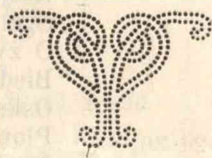
PRZEGLĄD WILEŃSKI

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.



Rok 1913.

WILNO, DRUKARNIA „ZNICZ"

Spis rzeczy.

Artykuły programowe.

Tani patrjotyzm. L. Abramowicz.—3.
Skromne żądanie. Novus.—3.
Suum cuique. L. A.—5-6.
Wzbierająca fala. L. Abramowicz.—7.
Stały sposób. J. Sorokowicz.—8-9.
Sapienti sat. L. A.—10-11.
Jedność narodowa. I. Sorokowicz.—12.
Stanowisko krajowe a ideja narodowa. L. Abramowicz.—13-14.
Znikczemnienie. *** —15-16.
Prawo i siła. J. S.—17.
Kto winien. L. A.—18 19.
Formuła siły realnej. J. S.—18-19.
Pro i contra. L. A.—20-21.
Rozkład skorupy. Wi—ski.—20-21.
Wpływy postronne.—22-23.
Baczność! *** —24-26.
Polityka realna, czy realna siła? Wi—ski.—24-26.
Samozwańcy. B. H.—27-29.
Składniki siły. Wi—ski.—27-29.
W poszukiwaniu syntezy. Wi—ski.—30-31.
Tragifarsa poznańska. L. A.—32-34.
Pierwszy krok. L. A.—35-37.
Godzina próby. L. A.—38-40.
Maskarada. L. A.—41—42.
Powrotna fala. Wi—ski.—43-45.
Zarzuty i wyjaśnienia. M. R. i L. A.—43-45.
Za wiele i za mało. L. A.—46-47.
Sentymentalizm polityczny. B. H. 46—47.
Wytarte hasło. J. Marcinowska.—46—47.
Miast rydza—muchomor. Wi—ski.—48—49.

Artykuły społeczne i polityczne.

Gdzie szukać orjentacji? M. R.—№ 1-2.
Słów parę o kwestji kobiecej. E. Wielowieyska.—№ 1-2
Walka z nędzą. St. Posner.—1-2.
Syndykalizm angielski. R. Dołęga.—1-2.
Rozłam w Towarzystwie Kultury Polskiej.—3.
Rajmund Poincaré. St. Posner.—3 i 4.
O „Kulturę Polską". Poseł czynu.—4.
Ideja spółdzielcza. J. Hempel.—4.
Syndykalizm niemiecki. R. Dołęga.—4.
Arystydes Briand. St. Posner.—5-6, 7 i 8-9.
Sufrażystki angielskie. B. H.—5—6.
Większość i mniejszość. Poseł czynu.—7.
Po latach pięćdziesięciu. J. K.—7.
Kwestja żydowska w Królestwie. Wi—ski.—8-9, 10-11 i 12.
Listy ze Wschodu. T. Nowik.—8-9, 12 i 15-16.
Młodzież i szkoła rosyjska. M. R.—10-11.
Żywotny ruch. St. Poraj.—10-11, 12 i 13-14.
Tradycja a postęp. Sławomir.—10-11.
Październikowcy w Dumie.—18-19.
Wrażenia poznańskie. B. H.—15-16, 17 i 20-21.
Nowa odmiana panslawizmu. Wi—ski.—15-16.
Pod skrzydłem tak zwanej... kultury pruskiej. St. Poraj.—18-19.
Pierwszy maja.—17.
Etyczne dążenia wsi w Królestwie. St. Poraj.—18-19.
Obłudna kapitulacja. T. G.—18-19.
Przed wyborami w Galicji.—20-21.
Rosjanie a sprawa polsko-żydowska.—22-23.
Spełnili powinność. J. Bróg.—22-23.
O zwyrodnienie młodzieży. W. Szukiewicz.—22-23.
Biedne miasto. K. Niedziałkowski.—22-23.
Oskarżenie przed forum Europy. B. H.—24-26.
Plon knowań endeckich. J. S.—24-26.
Przemiany angielskie. St. Posner.—24-26.
Szablony. Ostrożny.—24-26.
Dezorjentacja inteligiencji polskiej. M. Niedziałkowski.—27-29.
Niebankrutujący bankrut. J. Sorokowicz.—30-31.
Emigracja polityczna w Galicji. J. Krzesławski.—30 i 31.
Gospodarka szkolna w Galicji. J. Krz.—32-34.
Wzgląd nieznany. J. Sorokowicz.—35—37.
Wolność wewnętrzna. Wi—ski.—35-37.
Harcerstwo polskie. M. Niedziałkowski.—35-37.
Na mylnej drodze. J. S.—38-40.
O inteligiencji polskiej. Wi—ski.—38-40 i 41-42.
Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji. J. Krz.—38-40 i 41—41.
Muzy Weimaru. St. Posner.—38—40.
Rzadka sposobność. J. Sorokowicz.—41-42.
„Militans tactis". Sławomir.—41-42.
O kształceniu politycznem „Obywatela". St. Posner.—43-45 i 46-47.
Kto jest winowajcą. J. S.—46-47.
Źródło bogactwa krajowego w niełasce.—J. Sorokowicz.—48-49.
Przemiany w ugrupowaniach litewskich. M. R.—48-49.
Rozłam śród ludowców. J. Krzesławski.—48-49.
„Miles gloriosus". St. Posner.—48—49.
Ciernie drogi kobiecej. T. Zakrzewska.—48-49.
Zbożne życzenia. M. Augustowski.—48-49.
Beznadziejni. L. A. 48-49.
Początek końca. Wi—ski.—50-52.
Wygodna opinja publiczna. B. Hertz.—50-52.
Adwakoci. L. A. — 50-52.

Studja i szkice naukowe i literackie.

O uniwersytet w Wilnie. A. Janulaitis.—№ 1-2 i 3.
Udział polaków w procesie Hussa. St. Poraj.—17.
Prusactwo duchowe. Savitri.—20-21.
Nasza produkcja wydawnicza. J. Lorentowicz.—32-34.
Nieco o krytyce i krytykach. B. Zahorski.—49-49.
Krok naprzód. Cz. Jankowski.—48-49.

Życiorysy, wspomnienia pośmiertne, artykuły jubileuszowe.

1912—1913—№ 1-2.
Adam Mahrburg. St. Posner.—18-19.
Władysław Mickiewicz. St. Posner.—20-21.
Lord Avebury.—St. Posner.—22-23.
Unja w Horodle. J. Jakubowski.—27-29.
Sto lat temu a dzisiaj. K. Ostachiewiczowa.—30-31.
August Bebel. St. Posner.—32-34 i 35-37
Józef Korzeniowski. T. Dąbrowski.—38-40 i 41-42.
Na marginesie jubileuszu. B. Zahorski.—41-42.

Korespondencje.

Nad Wartą. J. S.—№ 3, 5-6.
Z nad Tamizy. Dr. K. Wrzos.—3.
Sprawa polska w prasie angielskiej. D-r K. Wrzos.—5-6.
Secesja monachijska. M. Japołł.—7 i 10-11.
Ugoda polsko-rusińska. Bezstronny.—12.
Ziemstwa zachodnie. J. Moczulski.—12.
Nad Sekwaną. W. Kiślańska.—13-14, 22-23, 24-26 i 27-29.
Wywiad z dyrektorem teatru poznańskiego. (bh)—13-14.
Na rzymskiej wystawie nowoczesnego malarstwa. M. Japołł.—15-16.
Z serca Polski. Wester.—17
Wojna domowa. Dr. K. Wrzos. 20-21.
Stulecie pracy kobiet holenderskich. M. Dąbrowski.—32-34.
Zgnilizna. Wester.—43-45.
Pozbawieni niektórych praw stanu. Argus. 48-49.
Czyn obywatelski. St. Okulicz.—50-52.

Nowela, dramat, opowiadania.

Z wędrówek mimowolnego turysty. Estede.—№ 4.
Piotr Buza. Z. Tyski. — 5-6, 7 i 8-9.
Redaktor. A. Awerczenko. 10—11.
Romans Wacława Błockiego. M. Pawlikowski.—12, 13-14, 15-16, 17, 18-19, 20-21.
Wielkanoc na Sachalinie. B. Piłsudski.—13-14.
Bajki jesienne. Wł. L. Ewert.—30-31, 32-34 i 35-37.
Ostatni idjota. M. K. Pawlikowski.—46-47.
Ognisko domowe M. K. Pawlikowski.—50—52.

Poezje.

Z księgi ciszy. J. St. Wierzbicki.—№ 1-2, 3, 5-6, 8-9, 10-11, 15-16, 30-31, 41-42 i 48-49.
Wiosna. E. Słoński.—4.
Park. A. Naworski.—7.
Mój sen. Br. Ostrowska.—13-14.
Smutki młodości. Z. Kleszczyński.—17.
Pomiędzy nami. A. Naworski.—18-19.
O tajemnico życia.—J. Jedlicz.—20-21
Mewa. W. Niedziałkowska.—22-23.
Kto z nieba gwiaździstego... J. Jedlicz.—24-26.
Z V-ej serji. W. Wolski.—27-29, 35-37, 43-45 i 50-52.
Cienie. M. C. Bielecki.—32-34.
Nad Naroczem. Jan. Ody. i Hero.—38-40.
Miecz Olbrzyma. B. Zahorski. 46-47.

Feljeton.

Rasa. Z. Kleszczyński. — 22-23.
Na marginesie. Behra.—27-29, 32-34, 38-40 i 43-45.
Z mego notatnika. Licz. — 43-45.

Sztuka (teatr, muzyka, wystawy).

Teatr zimowy. Z. Kleszczyński.—№ 1-2, 3, 4, 5-6, 8-9, 10-11 i 12.
Z ruchu muzycznego. H. Łopuska.—7, 15-16.
V-ta wystawa wiosenna obrazów. Miron.—8-9.
W sprawie teatru zimowego. rc.—17.
Teatr letni. rc.—18-19.
Teatr i muzyka. rc.—20-21, 24-26.
Litewska wystawa sztuk pięknych. Miron.—20-21.
Teatr wileński. rc.—30-31.
Drobny przemysł i sztuka ludowa. Hel. Rom.—35-37.
W nowym teatrze. B. H.—41-42 i 43-45.
Wystawa dzieł Czurlanisa. Spectator.—43-45.
O teatrze. Quidam. — 46-47.
Dokoła sceny. Quidam. — 48-49.

Oceny i sprawozdania.

W pięćdziesiątą rocznicę. Z. Polkowski.—№ 1-2.
Wierna rzeka. E. Czekalski.—1-2.
Dzieło łbów szalonych. Z. Polkowski.—7 i 8-9.
Marzenia o jawnogrzesznicy. J. Lorentowicz.—7.
„Muzy“. E. Czekalski.—8-9.
We mgle wspomnień. J. Lorentowicz.—12.
Młoda Polska. E. Czekalski.—15-16.
Xiądz Faust. E. Czekalski.—18-19.
Wątpliwe wyzwolenie. J. Lorentowicz.—22-23.
Ku światłu. Hel. Rom.—27-29.
Litwa z przed stu lat. B. Kalinowski i L. Janowski.—38-40.
Bliskie i nieznane. Hel. Rom. Och.—50-52.
Przegląd piśmienniczy. W. G., E. Czekalski, J. Iwaszkiewicz, E. Wielowieyska.—1, 2, 3, 4, 5-6, 7, 10-11, 13-14, 20-21, 22-23, 24-26 i 46-47.

Varia.

Oświata w państwie rosyjskiem.—№ 3.
Położenie katorżników politycznych.—4.
Na cele społeczne. St. Okulicz.—5-6.
Nowa placówka. a—5-6.
Bez steru.—7.
Po epilogu.—10-11.
Głosy rosyjskie.—12, 15-16, 17, 18-19.
Nowa organizacja rewolucyjna.—17.
Odezwa.—20-21.
Złośliwa insynuacja.—20-21.
Pragnienia słowian południowych.—22-23.
Wyjaśnienie.—24-26.
Lojalizm poznański.—24-26.
Nikczemność czy głupota.—24-26.
Godna kompanja. a—30-31.
Przed wyborami miejskiemi. Urbanus.—30-31.

Wbrew konstytucji.—30-31.
Czarna lista.—32-34.
Protest litwinów.—32-34.
Muzeum Rapperswilskie. J. Lorentowicz.—35-37.
Zatrważająca symptomata.—35-37.
Nec plus ultra.—38-40.
W sprawie samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem.—41-42.
Losy emigracji polskiej.—41-42.
Śmierć Pawła I-go.—41-42.
Projekt hipoteczny.—F.—43-45.
Wypadki nieszczęśliwe z robotnikami.—43-45.
Nowa placówka postępu. M. Orsetti.—46-47.
Uchwały październikowców.—46-47.
Większość bez znaczenia.—46-47.
Po dwuch latach. Redakcja.—48-49.
Manifest futurystów.—48-49.

Na Widnokręgu.

№ 1-2, 3, 4, 5-6, 7, 8-9, 13-14, 15-16, 17, 22-23, i 35-37.

Listy do redakcji.

J. St. Wróblewskiego.—№ 7.
Br. Oranowskiego.—8-9.
St. Montwiłła.—27-29 i 50-52

Prasa polska.

Rubryka stała.

K r o n i k a.

Rubryka stała.



Rok II. Wilno, 12 (25) Stycznia 1913 r. № 1—2.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
w Wilnie	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
Rocznie - - - 7.00	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.	W tekście (nadesłane) - - - 1 rb.
Półrocznie - - - 3.50	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście - - - 20 k
Kwartalnie - - - 1 75		Numer pojedyńczy 15 kop.
Miesięcznie - - - 60		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu		
Rocznie - - - 8.—		
Półrocznie - - - 4.00		
Kwartalnie - - - 2.00		
Miesięcznie - - - 70		



1912—1913.

Latom wielkich rocznic i jubileuszów nie sądzono minąć w ciszy rozpamiętywań i żałobnych obchodów.

Zewsząd dochodzi szczęk broni, napróżno przygłuszany urzędowemi zapewnieniami pokojowemi. Napełnia on jednych trwogą, nadzieje budzi w innych.

Może nie danem będzie ziścić się im tak prędko, Ale sam fakt obudzenia się ich ma doniosłe znaczenie. Odrywają one ludzi od cmentarzy i grobowców, wlewają otuchę w znękane dusze, podnoszą opuszczone głowy, sercom każą bić przyśpieszonem tętnem..

Myśl utęskniona biegnie ku przyszłości.

Twarda rzeczywistość smaga wciąż bez litości i coraz to nowe zsyła udręczenia. Bez wiary w jutro zmarnieć by wypadło lub... ustąpić i przystosować się do warunków życia, dalekich od wewnętrznego nakazu moralnego.

Proces przystosowania się istotnie przybrał zastraszające rozmiary. Śliska droga kompromisów prowadziła do zaniku wszelkich ideałów, pustkę istotną przykrywano frazesem szumnym, ratującym pozory, lecz nie dającym żadnej karmi posilnej dla ducha.

Iść po linji najmniejszego oporu stało się hasłem popularnem, kryjącem w sobie zdradne niebezpieczeństwo zatraty hartu i odporności a rozpętania niskich instynktów. Zaczęło się wkradać zupełne rozprzężenie do tych nawet dziedzin, gdzie panowały dotychczas karność i posłuch względem najszacowniejszych wskazań idejowych. Walka o byt materjalny przesłoniła wszystkie inne aspiracje. Poczęły się mnożyć niepokojące oznaki skarłowacenia i uwiądu starczego.

Koniec roku ubiegłego stał się chwilą przełomową. Z jednej strony oportunizm doszedł do zenitu, począł święcić niebywałe tryumfy, szerząc spustoszenie w szeregach doświadczonych nawet, zdawało się, bojowników, z drugiej strony zaczęły się skupiać siły młode, nie zużyte i nie zdeprawowane polityką kompromisową, rozwijając sztandar z napisem płomiennym: wierność idei!

Rok 1913 rozpoczyna się pod znakiem zmagania się tych dwuch obozów. Zwycięży ten, który niesie odrodzenie duchowe, który roztwiera drzwi na roścież przed ożywczym podmuchem wiosennym, który woła: niedość trwać, trzeba iść naprzód!

Zwycięstwo to będzie najpiękniejszem uczczeniem tych doniosłych wypadków dziejowych, których rocznice przypadły na rok ubiegły i obecny.

Nie chcemy być, jako ów nędzarz, który ucieka z zaduchu swej izby, położonej przy cuchnącem podwórku na cmentarz rozległy, by odetchnąć świeżem powietrzem i napawać się zielenią bujnej roślinności.

A potem wraca na swój barłog lub z rezygnacją pochyla grzbiet nad warsztatem, by trwać przy nim aż do zupełnego wyczerpania.

Zstępujemy do katakumb i stajemy przed nagrobkami, by wyczytać z nich, że są czyny nieśmiertelne, które stanowią skarbnicę drogocenną, zasilającą odległe pokolenia. I czerpać z niej chcemy oburącz.

Bo z kamieni tych bije wielka moc ku tym co zwątpili i płynie pokrzepienie dla tych, co wiary w jutro nie utracili.

Spoglądamy w przeszłość nie tylko by schylić głowy przed bohaterstwem i poświęceniem, lecz również aby poznać błędy i iść do celu wytkniętego nie zbaczając na manowce...

Majestatyczne tony organów zlewają się z donośną melodją pobudki...

Gdzie szukać orjentacji?

Zamieszczając poniższe gruntowne rozważania p. M. R. na temat stanowiska naszego wobec ewentualnych komplikacji międzynarodowych, zastrzec się musimy, że, podzielając zasadnicze poglądy autora, nie zdajemy sobie jasno sprawy z wyrażonego przezeń postulatu: opierania się na czynnikach rozwojowych naszego kraju. Określenie tych właśnie czynników nie jest bynajmniej łatwem zadaniem. Na tym punkcie panuje właśnie wielka rozbieżność zdań. Aspiracje, tkwiące w psychice znacznego uświadomionego odłamu ludności niewątpliwie stanowią poważny czynnik, którego nie można nie brać pod uwagę, a który p. M. R. zapoznaje.

W stosunkach międzynarodowych coraz mniej nadziei na wypogodzenie się sytuacji, coraz mniej wiary w trwałość status quo. Zawierucha bałkańska dotyka niewątpliwie bardzo żywotnych interesów zarówno ludów miejscowych, jak wielkich mocarstw europejskich. Atoli nie o Bałkany same chodzi, nie w nich nawet mieści się właściwy środek zagadnień międzynarodowych.

Są rzeczy większej wagi dziejowej, głębsze od kwestji ustroju Albanji lub przyszłych granic państewek i Turcji.

Mocarstwa europejskie nie są oczywiście zjawiskami stałemi, niewzruszonemi w przestrzeni i czasie. Byt ich i kierunek rozwoju ulega działaniu czynników żywych, które są w stanie ciągłego ruchu. Czynniki te są tak różnorodne, że jakimś szematem ogólnym określić się nie dadzą. Składają się na nie sprawy ekonomiczne, aspiracje historyczne ludów, względy układu społecznego i kultury i t. d. Nietylko same czynniki konkretne, ale też ich stosunek wzajemny i układ— różnią się w każdem społeczeństwie, narodzie i państwie i wytwarzają przeto różne procesy dziejowe. Każde państwo ma swój odrębny proces, odrębną logikę rozwoju wewnętrznego i ekspansji zewnętrznej, którą realizować musi w myśl swych najżywotniejszych potrzeb. Dążenie wybiega zawsze poza stan istniejący, to też zawsze i wszędzie *status quo* jest minowany przez tendencje żywego wciąż procesu dziejowego.

Państwa, a zwłaszcza mocarstwa europejskie, nie są dziś w większości li tylko wyrazem organizacji pewnego plemienia czy narodu. Są one aglomeratami wielu społeczeństw, ludów i kultur i mieszczą przeto w sobie najsprzeczniejsze nieraz dążenia. Pod tym względem najdziwaczniejszą konstrukcję państwową stanowi zwłaszcza środek i wschód Europy, podzielony między Cesarstwem Niemieckiem, Austrją i Rosją.

Niemcy na zachodzie mają Alzację i Lotaryngję, które kulturą i tradycją dziejową ciążą do Francji; na północy — prowincje duńskie, na południu separatyzm szwabski. Mają też Niemcy wcielone ludy obce na wschodzie z Polską na czele, gdzie walka ekonomiczna kojarzy się z walką kultur narodowych i zorganizowanych czynników odśrodkowych.

Jeszcze większą rozmaitość ludów, kultur, dążeń i aspiracji historycznych mieści w sobie Austrja, która jednak dąży konsekwentnie do ich pogodzenia wzajemnego. Wprawdzie i Austrja nie jest jeszcze wolna od klasycznych przeżytków starej monarchji centralistycznej, ale kierunek jej rozwoju coraz wyraźniej zmierza do kapitalnej reformy państwowej. Reforma ta dokonywa się nie w drodze wstrząśnień gwałtownych, nie jednorazowo, lecz przez ciągłą stopniową ewolucję. Daleką jest jeszcze Austrja spółczesna od ideału związkowego państwa wolnych ludów i krajów. Cała jej budowa decentralistyczna opiera się dotychczas na starych, sztucznych przeważnie, konstrukcjach krajów koronnych, nie odpowiadających dokładnie żywym formacjom narodowym i kulturalnym doby obecnej. Druga polowa dualistycznej monarchji Habsburgów, — Węgry, — jeszcze jest dalsza, niż Austrja, od realizacji ideału związkowego. Ale o ile chodzi o kierunek rozwoju państwowego, monarchja ta dąży rzeczywiście do organizacji związkowej. Na tem właśnie polega spoistość monarchji austrjackiej, mimo pozornego rozstrzelania jej ludności, mimo ostrych nieraz walk między ludami w jej łonie, gdy chodzi o przezwyciężenie supremacji jednych nad drugimi wewnątrz poszczególnych krajów koronnych. Wykonanie wielkiego dziejowego programu reformy państwowej Austrji, nie jest zresztą rzeczą łatwą.

Gdyby wszystkie jej ludy były na tym sa-

A. JANULAITIS.

O uniwersytet w Wilnie.

(1832—1872).

Podniesiona obecnie sprawa założenia w Wilnie uniwersytetu nie jest bynajmniej nową.

Projekty, starania o jego otwarcie czyniono wkrótce po jego zniesieniu. Wiadomości odnośnych w opracowaniach istniejących nie znalazłem, dlatego też, jak sądzę, będzie rzeczą ciekawą zapoznanie się z pracą poprzednich pokoleń w tym kierunku.

Materjał czerpałem z Archiwum Wileńskiej Deputacji Szlacheckiej, *) czasami znajdywałem wzmiankę w tem lub owem dziele. Dużo materjałów zawierają w sobie Archiwa Wilensk. Gieneral - gubernatorów i Wileńskiego Okręgu Naukowego. Te ostatnie zebrał i opracował p. A. Miłowidów i ogłosił drukiem w niewielkiej, lecz nader obfitej w fakty książeczce, na temat ten napisanej, z której dużo korzystałem **).

Uniwersytet Wileński ze względów politycznych zamknięty został 1 maja 1832 r. Całe jego mienie przekazano różnym instytucjom miejscowym i zamiejscowym.

Brak wyższego zakładu naukowego prędko dał się odczuwać, zniesienie bowiem jego spowodowało dużą stratę dla kraju. Najpierw stratę tą odczuła ta część mieszkańców Litwy, która dostarczała największej liczby studentów, która najwięcej korzystała z owoców pracy naukowej. Tą częścią byli ziemianie, najkulturalniejszy i najbardziej oświecony element na Litwie. Miasta były nieduże, oraz nieliczne, przemysł i handel mało rozwinięty, i mieszczaństwo przez to nie grało ważnej roli w życiu społecznem,

*) Muszę tu wyrazić gorące podziękowanie pp. Krasowskiemu i de-Wittowi, marszałkom wileńskim, gubernjalnemu i powiatowemu, za ich uprzejmość, która mi pozwoliła zapoznać się z aktami sejmikowemi, przechowywanemi w Wileńskiej Deputacji Szlacheckiej.

**) Tytuł jej: Историческая справка о высшихъ учебныхъ заведеніяхъ бывшихъ и предполагавшихся къ открытію въ Сѣверо-Западномъ краѣ". Wilno. 1908. str. 28.

— Wiadomości bez wskazania źródeł są wzięte z Archiwum Wil. Dep. Szlacheckiej.—

mym poziomie kultury narodowej, oświaty i cywilizacji, gdyby też ich terytorja i wpływy były dokładnie odgraniczone, rozwiązanie problematu związkowego byłoby łatwiejsze. Tak jednak nie jest. Są tam polacy, czesi, węgrzy o wysoce rozwiniętej i żywej tradycji państwowej, narody kulturalne, świadome i przedewszystkiem posiadające określoną koncepcję swego dziedzictwa historycznego, sprzecznego nieraz z aspiracjami spółżyjących młodszych narodowoś·i. Dalej są niemcy, pomni swej tradycyjnej supremacji w Austrji, opierający się skądinąd na idei pangermańskiej, wiążącej ich z sąsiedniem Cesarstwem Niemieckiem. Są włosi nad Adrjatykiem, przejęci ideją jedności narodowej, irredenci w stosunku do Austrji, gardzący stanowiskiem równych śród wielu, tęskniący do roli gospodarzy i panów prawowitych na swej ziemi — w zespole z Królestwem Włoch. Są serbowie w Bośnji i na Węgrzech, bolejący nad rozdarciem narodu, mający w najbliższem sąsiedztwie wolne Królestwo Serbskie; widzą oni ciągłe wysiłki swych braci do utrwalenia bytu państwowego i zapewnienia sobie wolności. Są dalej kroaci, mający cień bytu autonomicznego na Węgrzech, dziwnie dwoiści w wiecznem zagadnieniu o samym fakcie swej narodowości--kroackiej czy serbskiej. Są dalej narody młode, zbudzone dopiero, bez określonych kształtów bytu odrębnego, gorące i zdobywcze, jak rusini, słabe i chwiejne, jak słoweńcy, bierne, jak słowacy. Pozatem wszystkiem są, jak wszędzie na wschodzie, żydzi, eksterytorjalni, nieokreśleni właściwie, jako narodowość odrębna, i nieuznawani za taką, a przecież stanowiący jakąś czy to kulturę, czy typ, czy warstwę ludnościową, — osobną, w której gdzieniegdzie budzą się jakieś ogniki świadomości odrębnej, jakieś prądy do formacji swoistej.

Wszystkie ludy powyższe o rozmaitej kulturze, układzie społecznym, tradycji dziejowej, — posiadają każdy odrębne aspiracje i dążenia. W poszczególnych krajach monarchji nietylko sąsiadują ze sobą, ale nieraz spółżyją, tworząc najrozmaitsze figury układów i stosunków lub konfliktów wzajemnych. Pod względem też gospodarczym oraz ogólnego poziomu cywilizacyjnego poszczególne ludy i kraje wielce się różnią. Przemysłowe Czechy, właściwa Austrja, Śląsk, handlowe wybrzeża Adrjatyku, rolnicza Galicja wschodnia, Bukowina—każda ma odrębne oblicze gospodarcze i odrębne potrzeby. Pogodzenie tych różnorodnych czynników rozwoju w odpowiednim ustroju bytu państwowego jest oczywiście zadaniem niełatwem.

Niemniej proces przebudowy państwowej na zasadach uwzględnienia wszystkich właściwości i dążeń poszczególnych jest zjawiskiem o tyle realnem, że dziś już dla najbliższych ludów, podległych berłu austrjackiemu, powstaje dylemat dziejowy: czy lepsze jest tworzenie państewek osobnych czy też udział w państwie związkowem, jakiem się musi stać Austrja. W dylemacie tym punktem wyjścia jest zawsze ideja niepodległości. Chodzi o to, czy ideja ta da się lepiej zrealizować w postaci odosobnienia czy też federacji.

Takież głębokie różnice kultury, układu społecznego, tradycji i dążeń, mieści w sobie państwo Rosyjskie. Cały zachód Rosji europejskiej, którym się ona wiąże z Europą, jest nurtowany przez prądy kulturalne, narodowe, społeczne, posiadające głębokie podłoże historyczne w szczególnych właściwościach krajów i ludów miejscowych. Jeżeli Rosja właściwa, centralna i wschodnia, otworzona przez kolonizację ruską na ziemiach półdzikich i zamierających plemion fińskich, stanowi bryłę mniej lub więcej jednolitą, to jej kresy zachodnie, od Finlandji na północy aż do Ukrainy i Besarabji na południu, w każdym razie są z tej bryły wyłączone.

Każdy z krajów i ludów zachodnich stanowi odrębną złożoną całość. Państwo Rosyjskie, wcielając te kraje, nie zdołało zatrzeć znamion indywidualnych. Zastało w nich społeczności zorganizowane, żywe i zdolne do rozwoju, które i po wcieleniu zachowały swe tradycje, zwyczaje, koncepcje historyczne - narodowe, wiążąc je z właściwym sobie stanem kultury, układem społecznym i potrzebami rozwoju gospodarczego. Zniwelowanie głębokich właściwości kulturalnych i narodowych nie mogło tu być dokonane przez nową państwowość tak, jak zostało dokonane na ziemiach barba-

---

nie potrzebowało przez to wielkiej ilości inteligiencji fachowej. Nie ucierpiało na zamknięciu uniwersytetu i duchowieństwo, gdyż po skasowaniu uniwersytetu urządzono akademję Duchowną, w której wybitniejsze jednostki zpośród duchowieństwa mogły dalej się kształcić w naukach teologicznych. Akademja Duchowna istniała w Wilnie do r. 1872, kiedy to została przeniesiona do Petersburga. Również przy kasowaniu uniwersytetu z wydziału lekarskiego utworzono Akademję Medyko-Chirurgiczną, którą potem jednocześnie z Akademją Duchowną przeniesiono do Petersburga.

Odczuwano więc brak znawców prawa, historji, literatury, matematyki i nauk przyrodniczych, przedewszystkiem starano się o zapełnienie tych luk.

* * *

Minęło powstanie r. 1830-31, życie zaczęło iść dawnym trybem. Ziemianie, jedyny stan, mający głos i prawa, zaczynają w miarę możności naprawiać co się da, i co było potrzebne. Mieli w dodatku ziemianie i organ ku temu odpowiedni, mieli bowiem korzystając z samorządu, obieralnych urzędników; co 3 lata zbierali się na sejmiki dla ich wyboru oraz dla załatwienia spraw innych. W prasie ze względów cenzuralnych trudno było załatwiać te sprawy. Dopiero czytając protokuły tych sejmików szlacheckich, wertując ich karty, przeglądając pojedyńcze zdania tego lub owego delegata (posła), możemy zrozumieć, czem żyło ziemiaństwo, jakie sprawy je obchodziły.

Nie znam archiwów szlacheckich całej Litwy. Znam tylko protokuły sejmików wileńskich, które złożone były z posłów teraźniejszej gub. wileńskiej i kowieńskiej. Nie były tedy znane mi protokuły sejmikowe wyrazem opinji całej Litwy, a zresztą chociaż interesowano się w Wilnie tem, co się działo w gub. grodzieńskiej i mińskiej, wszakże zapominać nie należy że do wyborów dopuszczona była tylko szlachta — ziemianie i to zamożniejsza. Na sejmikach więc był reprezentowany wyłącznie element zamożniejszy, więcej oświecony i uświadomiony co do swych interesów, i on to wyrażał swe poglądy w obradach sejmikowych.

Ciężkie były czasy, które nastąpiły tuż po powstaniu. Zaszły zmiany co do składu osób i co do ich stanowiska.

rzyńskiego wschodu fińskiego. Nowa państwowość nie tylko nie zdołała wykreślić z życia właściwości krajów i ludów zabranych na zachodzie, ale już nawet za czasów przynależności do Rosji w krajach tych uwydatniły się nowe procesy społeczno-narodowe, snujące dalszy rozwój dziejowy poszczególnych krajów. Oczywiście, że fakt przynależności do państwa rosyjskiego nie pozostał bez wpływu na kształty i przebieg tych procesów dziejowych, które się w krajach zabranych w tym czasie dokonały. Warunki bytu państwowego określają konkretne drogi rozwoju zjawisk społecznych i kulturalnych. Gieneza ich wszakże, punkt wyjścia i treść wewnętrzna — mieszczą się w określonych właściwościach i czynnikach kultury społeczeństw, które je wyłoniły.

Finlandja, t. zw. kraj Nadbałtycki, Litwa i Białoruś, Polska, Ukraina,—nie zdołały się wcielić do jednolitej bryły wszechrosyjskiej i w niej się roztopić. Należąc do państwa, zachowały one własną kulturę, tradycje i dążenia historyczne, płynące z ich własnych założeń dziejowych. Widzimy, że już za czasów przynależności do Rosji, wyrosły i ukształtowały się w tych krajach nowe formacje dziejowe takie, jak powstanie ruchu estońskiego, łotewskiego, litewskiego, ukraińskiego, wreszcie i białoruskiego. Kraje zachodnie nie zatraciły swych dziejów własnych, nie umarły bynajmniej. Oczywiście, że różnią się one dziś od tego, czem były w chwili zaboru, ale w różnicy tej wyraża się przeważnie ich własna ewolucja wewnętrzna. Wiek lub półtora wieku stanowi w historji każdego kraju etap poważny w rozwoju społeczno-kulturalnym.

Kraje zachodnie mają dla państwa rosyjskiego wagę pierwszorzędną. Oderwanie ich odrzuciłoby Rosję w głąb masy lądowej, zniweczyłoby dzieło, rozpoczęte z takim wysiłkiem przez Piotra Wielkiego. Kraje te są dla Rosji przewodnikami kultury, łącznikami z Europą. Choć pod względem stosunku terytorjalnego i ludnościowego t. zw. kresy zachodnie, od Finlandji do Besarabji, stanowią jeno nikłą cząstkę olbrzymich przestrzeni i miljonów mieszkańców od Wisły i Bałtyku po Ocean Spokojny, to jednak ich względna waga gatunkowa określa się nie stosunkiem cyfr biernych, lecz stosunkiem żywych czynników kultury i organizacji.

Państwo rosyjskie nie jest przeto bynajmniej tak jednolite, tak spoiste wewnętrznie, jak się to zdawać może z ilościowej przewagi w nim plemienia rosyjskiego. Jeżeli prócz wysoce rozwiniętych zachodnich dzielnic jego, uwzględnimy jeszcze Kaukaz, Syberję i inne posiadłości azjatyckie, które mają także odrębne pierwiastki kultury, zdolne w przyszłości do rozwoju samodzielnego, to kolos państwowy rosyjski przedstawi się nam nie o wiele mniej złożony i różnobarwny w swych dążeniach wewnętrznych—od Austrji.

Kierunek wszakże polityki państwowej nie uwzględniał dotychczas i nie uwzględnia nadal tej rozmaitości kultur i czynników dziejowych, które się w granicach państwa mieszczą. Państwo, wyrosłe z carstwa Moskiewskiego, zachowuje nadal cechy organizacji centralistycznej i jednolito-narodowej. System ślepej rusyfikacji, tłumienia i negowania właściwości krajowych i narodowych poza Rosją właściwą, syzyfowy system eksterminacji,—cechował politykę państwową do lat ostatnich. „Odnowiony ustrój" państwa po r. 1905 nie zmienił tych stosunków na lepsze. Ludność podzielona została na obywateli I i II klasy, właściwie na obywateli prawowitych i rzeszę tolerowaną. Do pierwszych zaliczeni zostali rosjanie, do drugiej zepchnięci zostali gremjalnie t. zw. „obcoplemieńcy", t. j. ludność nierosyjska poszczególnych krajów zabranych. Ludność ta z jej kulturą, dziejami, dążeniami narodowemi, społecznemi i t. d., nie znajdując wyrazu w państwie, jest wyrzucona poza jego nawias. Państwo jest nietylko z nazwy, ale też z treści swej i kierunku rozwoju—li tylko Rosją, w myśl kapitalnej dewizy nacjonalizmu: Rosja dla rosjan. Żadnych usiłowań do nadania państwu cech związkowych—niema. Przeciwnie,—tam, gdzie pozostały dotąd cechy związku państwowego, jak w stosunku Rosji do Finlandji, są one namiętnie tępione.

Na tle obecnej skomplikowanej sytuacji międzynarodowej stosunki wewnętrzne w poszczególnych państwach, układy kulturalne, narodowe

---

Pierwszy sejmik popowstaniowy miał miejsce w Wilnie w r. 1834. Po przejrzeniu sprawozdań, po odbyciu wyborów, sejmik przeszedł do najgłówniejszych swych czynności—do formułowania i rozpatrywania *„dezyderjów"*. Śród nich znajdujemy pewną ilość takich, które dotyczą podniesienia nauk i rozwoju szkolnictwa. A więc dopominano się o szkołę dla młodzieży szlacheckiej w Oszmianie. Przypomniano, że niegdyś ze składek zebrano fundusz na urządzenie korpusu kadeckiego w Wilnie; szkołę tę później skasowano, lecz fundusze podziały się niewiadomo gdzie. Rozpatrywano również sprawę utworzenia biblioteki publicznej w Wilnie.

Ważniejszą jednak rzeczą, nad którą zastanawiano się więcej była sprawa uniwersytetu w Wilnie, kwestja w dodatku bardzo drażliwa. Istniały bowiem Najwyższe ukazy: z d. 1 maja 1830 i 31 sierpnia 1832 i 1 lipca 1833 r., na mocy których kasowano uniwersytet i otworzono Akademję Duchowną i Medyko-Chirurgiczną, a przeciwko którym nie można było w żadnej formie wystąpić. Przybrano formę możliwie najdostępniejszą wyrażając życzenie, aby przy Duchownej i Medyko-Chirurgicznej Akademjach były dodane katedry Matematyki, Prawa i Literatury, dla kształcenia się młodzieży, do służby Jego Cesarskiej Mości, o ile to nie będzie przeciwnem Najwyższym Ukazom d. 2. lipca i 31 sierpnia 1832 roku wydanym (28. II. 1837 r. dez. B.) Była to w formie bardzo ostróżnej petycja o utworzenie uniwersytetu. Uchwała przeszła. Prokurator, obecny na posiedzeniu, nie zauważył, aby ten dezyderat wykraczał przeciwko prawu.

Pomimo to znaleźli się ludzie, którzy bali się odpowiedzialności nawet za tak umiarkowane wystąpienie i starali się otrząsnąć ze siebie wszelkie pozory rzekomego „buntu". Najciekawszym typem pod tym względem był marszałek telszewski—Kalikst *Daniłowicz*. Kiedyś był redaktorem „Kurjera Litewskiego", w czasie bytności Napoleona w Wilnie był największym jego wielbicielem a pogromcą rosjan. Awansował nawet za to na policmajstra miasta Wilna *). Teraz już protestował przeciw prośbie o zostawianie w urzędach języka polskiego, obawiał się również, aby prośba o uniwersytet nie była źle widzianą. Podał natychmiast w tym celu swój protest w osobnem pismie w języku rosyjskim.

*) Кудринскій. Вильно въ 1812 году. str. 52, 58.

i społeczne, wszelkie czynniki rozwoju dziejowego, — mają znaczenie pierwszorzędne. Od nich w dużym stopniu zależna jest względna siła lub słabość poszczególnych stron w stosunkach wzajemnych. Zważywszy, że prądy dośrodkowe w poszczególnych państwach odpowiadają ściśle pewnym prądom odśrodkowym w sąsiednich, zrozumiemy, jak pewne konflikty międzynarodowe komplikują rozwój wewnętrzny państw, stają się źródłem ruchów i prowadzą do konsekwencji zgoła niepowszednich.

W każdym razie obecna sytuacja międzynarodowa może gotować wielkie niespodzianki, może spowodować zmiany i komplikacje niepospolite, których przewidzieć jeszcze niepodobna.

My w krajach tych, których obywatelami jesteśmy, musimy przedewszystkiem uprzytomnić sobie dokładnie stosunek i układ czynników kulturalnych, narodowych i społecznych, określających rozwój krajowy. Cokolwiekbądź by nam gotowała przyszłość, jakiekolwiekbądź by zaszły okoliczności i wypadki, musimy mieć ustalone kryterjum, któreby nam służyło za podstawę orjentacyjną.

Kraj nasz Litwa i Białoruś — jest narodowo mięszany. Zachodnią część jego, właściwą Litwę etnograficzną, zamieszkują litwini, którzy wprawdzie niedawno jeszcze dokonali swej formacji narodowej, ale stanowią już dziś jeden z najpoważniejszych czynników kulturalnych w kraju, a w dalszym rozwoju zdobywać będą niewątpliwie wpływ coraz większy na kształtowanie dziejów krajowych. Z tym czynnikiem liczyć się przeto należy stanowczo, pomnąc, że kierunku rozwoju krajowego dowolnie zmienić nie można i że ten czynnik stanowi u nas poważną placówkę dziejową, jeden z kapitalnych przejawów dźwigania się i usamodzielnienia kraju. Dalej mamy ogromną, bierną przeważnie, masę ludu białoruskiego bez określonej świadomości dróg swego rozwoju, ale nie bez czynników takowego, które są założone w jego potrzebach i jego układzie kulturalnym. Nasze też polskie potrzeby narodowe w tym kraju, gdzie stanowimy jeden z elementów miejscowych o wybitnej kulturze i świadomości dziejowej, muszą też być należycie uwzględnione. Wreszcie i względy ogólne zapewnienia przewagi kulturze zachodnio-europejskiej, zgodnie z jej rolą historyczną w tym kraju, jej stanowiskiem w poszczególnych kulturach narodowych, jej ciągłem działaniem twórczem we wszystkich formacjach rozwoju krajowego, winny być stale brane w rachubę przy określaniu naszego stanowiska obywatelskiego. Całokształt tych czynników, ich stosunek wzajemny w rozwoju dziejowym Litwy i Białejrusi—powinien posłużyć za podstawę do określenia stanowiska, które ewentualnie zająć wypadnie.

Niemałą też wagę ma gieograficzne położenie kraju w sytuacji międzynarodowej. Pod tym względem, niestety, kraj nasz nie jest szczęśliwie położony wobec mogących nadejść wypadków.

Nie my kierujemy wypadkami, to też nie od nas zależą ewentualne wstrząśnienia i najbliższe losy kraju. Ale jako obywatele kraju my kształcimy jego przyszłość, my bierzemy udział w wytwarzaniu czynników, które określać będą jego rozwój i jego dzieje. Wytwarzanie czynników tych nie jest jednak spekulacją dowolną, jeno zawsze funkcją historyczną pokolenia spółczesnego,—historyczną, to znaczy w treści swej zgodną z założeniami tradycji, kultury, potrzeb.

W najściślejszym związku z kształceniem dziejów kraju pozostaje społeczny rozwój demokracji krajowej. Zapoznawać postulaty społeczne i ekonomiczne, stanowiące olbrzymią dźwignię rozwoju i kultury, byłoby w działalności obywatelskiej kręceniem biczów z piasku. Jak elementy konserwatywne mają wyraźne oblicze i program społeczny, odpowiadające potrzebom warstw uprzywilejowanych, zadowolonych ze stanu istniejącego, tak elementy i grupy demokratyczne muszą się opierać na potrzebach ludu pracującego, muszą je w działalności swej i programie wyrażać. Inaczej akcja ich będzie martwa, będzie chybiona. Masy wytwarzające ludu wiejskiege i miejskiego, stanowiące kadry demokracji, zdobywając świadomość swych potrzeb i urabiając swą wolę, coraz większy wpływ wywierają na bieg wypadków i losy kraju. Z nich wypływają społeczne wskazania demokracji.

Z tą wiarą, z tą wyraźną zasadą opierania się

Prośba o utworzenie uniwersytetu widocznie została bezowocną. Nie mamy wiadomości, gdzie ugrzęzła: w Wilnie, czy też w kancelarjach petersburskich.

Rząd sam odczuwał brak wyższego zakładu naukowego na Litwie — bez niego trudno było o wykształconych urzędników. Dlatego jedną ręką kasuje uniwersytet Wileński, z powodów natury politycznej, drugą zaś stara się o utworzenie zastępcy jemu. W r. 1832 powstał w Petersburgu projekt utworzenia w Orszy liceum. W tym celu Cesarz Mikołaj I zamierzał zużytkować gmachy dwuch skasowanych klasztorów. Miejscowa administracja nie znalazła odpowiednich i pewnych architektów dla stosownego przerobienia gmachów klasztornych na liceum. Cesarz jeszcze raz się dopominał o Orszańskie liceum, wreszcie przestał interesować się tą sprawą po r. 1837, w którym otwarto uniwersytet Kijowski dla młodzieży z Litwy, Rusi i Ukrainy *).

Od sejmiku Wileńskiego z r. 1834 minęły 3 lata. W r. 1837 jak zwykle zebrała się szlachta—ziemianie do Wilna na sejmik. Już nikt nie wspomina o uniwersytecie. Czy było to z góry zakazane, czy też wpłynęło na to utworzenie uniwersytetu w Kijowie — wiadomości nie mamy. Podnoszone są atoli sprawy szkolnictwa w szerszym zakresie. Jedne z tych spraw poruszano z inicjatywy ziemian, inne z ramienia rządu, który coraz częściej zabierał głos w tej sprawie i żądał asygnowania pieniędzy. Przypatrzmy się niektórym z nich pokrótce.

Ziemianie prosili o pozwolenie na otwarcie szkół powiatowych w Trokach i Mereczu.

Acz niechętnie, zgodzono się na żądanie wileńskiego wojennego gubernatora co do asygnowania corocznego 715 rub. na utrzymanie w Połockim korpusie kadetów II uczniów, po I od każdego powiatu. Posłowie powiatu trockiego probowali protestować przeciwko takiej uchwale, wskazując na motywy natury ekonomicznej, nieurodzaje i t. d., ale widząc, że sejmik na to wymaganie przystaje, zgodzili się, załączyli jednak swój protest do protokułów (sesja 9. III. r. 1837).

Dalej wojenny gubernator żądał asygnowania pieniędzy na zbudowanie domów, opał dla początkowych szkół w różnych miastach i miasteczkach. Sejmik odmówił tej propozycji, motywując w ten

*) Миловидовъ, 12.

na czynnikach rozwojowych naszego kraju, — musimy być przygotowani do wszelkich ewentualności. Znamy źródło, z którego czerpać powinniśmy wskazania dla ewentualnego czynu.

M. R.

ooooooooooo

W pięćdziesiątą rocznicę.

J. Grabiec. *Rok 1863—„W pięćdziesiątą rocznicę“*. Poznań, r. 1913, nakł. Zdzisława Rzepeckiego i S-ki—str. 464.

Bodaj czy jest w Polsce rodzina, której świeża tradycja nie splatałaby się z ostatnim rozpaczliwie bohaterskim wybuchem narodowym. Pokolenie, znajdujące się dziś w sile wieku męskiego, rosło śród bezposrednich wspomnień tej tragiedji dziejowej — wspomnień osobistych uczestników i świadków naocznych.

Może właśnie dlatego moment ów jest tak mało znany i w tylu różnych występuje oświetleniach. Wszyscy *coś* o nim wiemy; jakiś jeden szczegół zna każdy doskonale; reszta w chaosie tonie. Obraz całości zgoła nie istnieje.

Nadto uciera się coraz bardziej zupełnie fałszywy pogląd na sens polityczny całego owego ruchu. Pod wpływem rachub aktualnych, w widokach mniej lub więcej praktycznych, pewne obozy publicystów po swojemu. tendencyjnie „ruchawkę“ oświetlają. Jedni szukają w niej dowodów, że liczenie na pomoc Europy tylko zawody przynosić może; inni szukają tu znów potwierdzenia teorji, jakoby wyłącznie uległością a pokorą ustępstwa wypraszać należało. Pozatem do opinji polskiej zdążyły poprzedostawać się tu i owdzie zgoła przewrotne komentarze, przez zwycięsców rozpowszechniane. śród ludu, a przedstawiające walkę, jako opór arystokracji polskiej przeciw reformom demokratycznym Rosji.

Wszystko to stwarza dziwaczną plątaninę pojęć, z której coraz wyraźniej, coraz zgodniej wyłania się przeświadczenie, iż „ruch był błędem“. Tymczasem bezstronne badania historyczne wykazują, że owo twierdzenie jest conajmniej niedokładne. Można bowiem bardzo dużo mówić o *błędach*, i to licznych błędach, tak Rządu Narodowego, jak i wykonawców jego zleceń; ale to jeszcze nie dowodzi, by sam wybuch stanowił tylko — jak się to teraz często słyszy — „nierozważny poryw garstki szaleńców“.

Przeczy temu w pierwszym rzędzie manifest cesarski z d. 12 kwietnia r. 1863, który—w odpowiedzi na noty Francji, Anglji i Austrji—sankcjonował wszystkie zdobycze dwu lat ubiegłych, obiecywał amnestję powstańcom. „Zarazem manifest ten po raz pierwszy w tak uroczystej formie zatwierdzał nadaną Królestwu autonomię“, zapowiadał dalszy jej rozwój; co zaś najważniejsze, kładł kres wszelkim w stosunkach polsko-rosyjskich niedomówieniom, a system Paskiewiczowsko-Mikołajowski ostatecznie zaniechać przyrzekał.

Ustępstwa zatem szły dalej, a w każdym razie mocniejsze miały podstawy, niż te, do których dążył Wielopolski.

Był więc moment, w którym ruch przyniósł wyraźne polityczne korzyści. Od tej chwili dopiero poczynają się mnożyć błędy, z których pierwszym, najgłówniejszym było zlekceważenie powyższego manifestu, odrzucenie amnestji i potępienie paktów.

Punkt obrazy stanowiło ograniczenie ustępstw do terytorjum Królestwa i nie łączenie z jego losami losów Litwy i Rusi. Działacze ówcześni ani na chwilę nie wątpili o żywotności hasła: „Od morza do morza“. Z uporem przy niem trwali, choć już wówczas rzeczywistość gorzko szydzić z nich poczynała. Za wyjątkiem Żmudzi, ani jedna z prowincji „zabranych“ nie wykazała dla ruchu oczekiwanego entuzjazmu. Przeciwnie — masy ludowe mało-i białoruskie stanęły jawnie po stronie Rosji, niosąc tłumnie pomoc armji rządowej. Tylko w wyjątkowych wypadkach zachowywały się neutralnie.

Naczelnem więc źródłem błędów było ignorowanie faktu wyraźnego ciążenia politycznego kresów dawnej Rzeczypospolitej ku wschodowi, chęć „zbawiania“ tych, co wcale zbawianymi być

---

sposób, że to jest sprawą każdego poszczególnego powiatu. Czy był to tylko wybieg, czy też może istotnie dały pieniądze na to poszczególne powiaty, nie mamy wiadomości.

Na Rusi było lepiej pod niektóremi względami. Na skutek prośby obywatelstwa mohylowskiego już w r. 1840 otworzono w Hory-Horkach rolniczą szkołę, którą w r. 1848 przerobiono na Instytut Agronomiczny *).

Dalsze sejmiki (z lat 40-tych) sprawami szkolnictwa i uniwersytetu nie zajmują się, zaprzątając się bardziej takiemi sprawami, jak rozszerzanie wódki, jej sprzedaż, uszczuplanie praw żydow i drobnej szlachty. Zresztą przeszły one spokojnie; pomimo, iż mnóstwo kwestji pierwszorzędnych nadawało się do dyskusji publicznej. Z jednej strony przecież kasowano wówczas wszystko, co swiadczyło o odrębności Litwy, (zniesienie Statutu Lit., **) przeniesienie Akademji), z drugiej—niepokojąco działała na ziemiaństwo sprawa włościańska. Ucisk chłopów wówczas się srożył, a rząd wtrącał się w te stosunki i broniąc chłopów od ucisku zyskiwał śród nich popularność a niechęć śród ziemian. Taka polityka usuwała grunt z pod nóg ziemiaństwu. Biurokracja zdała sobie sprawę, że interes państwa wymaga polepszenia bytu włościan, że ziemiaństwo samo temu zadaniu podołać nie może, i zaczyna tedy wypracowywać projekty coraz nowe wbrew chęci i woli ziemiaństwa. Wskutek tego siła moralna biurokracji wzrasta; ziemiaństwo więcej się zajmuje na sejmikach tem, co poprawia jej byt wyłącznie materjalny.

* * *

Ze wstąpieniem na tron Aleksandra II zaczyna się nowa era w życiu państwowem i społecznem. Zmienia się duch i usposobienie ziemian litewskich. Na sejmiku w r. 1835 ziemianie w swoich dezyderatach potrącają i o kwestje natury politycznej nie tylko ich samych dotyczące. Na 3 sesji 8 paźdz. 1855 r. znajdujemy takie dezyderja:

(Dok. n.)

*) Миловидовъ, 13.

**) Vide ciekawą pracę bar. Nolde'go o tej kwestji. W roku 1843 od Wileńskiej gub. oddzielono część i stworzono gub. Kowieńską; lecz więzy pozostały dawniejsze

nie pragnęli, wreszcie anachroniczne plątanie haseł demokratycznych z bezwiedną tendencją bronienia stanu posiadania szlachty polskiej.

Płynące stąd omyłki mnożyło — jak się dziś okazuje—zupełne niedołęstwo dyplomacji polskiej, zogniskowanej dokoła ks. Czartoryskiego, który zbyt wielkie nadzieje pokładał w akcji Napoleona III, nie orjentując się zgoła, gdzie kończą się wpływy cesarza i jaka jest jego własna sytuacja.

Trzecim wreszcie kapitalnym błędem ruchu było „wystrzeganie się demagogji", czyli odsunięcie od wpływu t. zw. „Czerwieńców" i unikanie haseł społecznych, zwłaszcza w okresie największego napięcia walki. „Rząd narodowy... nawet wprowadzenie w życie (własnych) dekretów styczniowych zawiesił na kołku, zaniedbując w zupełności sprawę włościańską, przez co tracił sposobność wykorzystania przychylnego dla ruchu zwrotu śród ludowych mas wiejskich". To również nie pozwoliło mu wyzyskać w dostatecznej mierze sympatji rewolucjonistów innych narodowości, zbiegających sie ze wszech stron pod sztandary polskie i widzących w nich uosobienie pewnych haseł ogólnoludzkich.

Popełnionych błędów było więcej. Wystarczy jednak wytknięcie tych trzech głównych, by zrozumieć, że porażka nie była dziełem tylko sił wyższych. Słyszy się dziś nieraz głosy, zwalające całą winę na przyjazne mocarstwa: Francję, Anglję i Austrję. One to pogrzebać miały sprawę polską. Atoli beznamiętny przegląd wypadków zgoła tego nie potwierdza. Dyplomaci państw tych czynili bardzo wiele. Jeszcze 7 września 1863 r. lord Russel proponował Francji i Austrji nową interwencję i zbiorowe ogłoszenie, „że Rosja, wobec niedotrzymania zobowiązań, na kongresie wiedeńskim przyjętych, straciła prawo do Królestwa Polskiego". Natychmiast zgodziła się na to Francja. Austrja zaś odmówiła jedynie pod grozą wspólnej przeciwnej akcji zbrojnej Rosji i Prus. A dodać trzeba, że Austrja gotowa była wówczas stracić Galicję dobrowolnie na rzecz odbudowanej Polski, i—jak się wyraził jeden z jej polityków — byłaby to pierwsza wojna, prowadzona nie dla zdobycia prowincji, ale dla jej oddania.

Winy więc należy przedewszystkiem samym sobie przypisywać.

Autor dzieła, które nam te refleksje nasuwa, czyni w pewnem miejscu bardzo znamienną uwagę. Oto zestawia on cyfry, dotyczące walki o niepodległość Stanów Zjednoczonych, z odnośnemi cyframi ruchu polskiego.

W Ameryce walka trwała lat 8, tu rok wszystkiego, nie licząc okresu wrzenia i manifestacji. Straty w ludziach wynosiły w Stanach Zjednocz. 81 tysięcy, tu 42 tys. Koszta wojny przedstawiały w Ameryce 130 miljonów dolarów, tutaj suma nie przekracza kilku miljonów rubli. A pamiętać trzeba, że ludność ówczesna Stanów Zjednoczonych liczyła o miljon głów mniej, niż Królestwo.

Z nowej książki p. Grabca (autora omawianych już w „Przeglądzie" dziejów narodu polskiego) wiele bardzo ciekawych rzeczy dowiedzieć się możemy. Praca to sumienna, poważna, na skrupulatnych studjach oparta.

Mimo pewnej tendencyjności, której przy traktowaniu tak bliskiego nam tematu, żaden polak wyzbyć się nie może, znać u autora ciągły wysiłek, by utrzymać się na stanowisku możliwie najobjektywniejszem. Czuć to np. w ustępach, poświęconych margrabiemu Wielopolskiemu, któremu jednak przyznaje pewne wysokie zalety obywatelskie i polityczne. W każdym razie portret margrabiego dużo tu zyskuje w porównaniu z popularną famą, odsadzającą działacza tego od czci i wiary.

Wypadki 63 r. poprzedza autor opisem nastroju, jaki stopniowo ogarniał społeczeństwo, począwszy od r. 61, a przedtem jeszcze daje nam treściwy obraz tego wszystkiego, co działo się w Polsce od r. 1831. Zdarzeń politycznych nie wyosabnia. Łączy je żywo z podłożem, na którem powstają; barwnie maluje panujące i zmieniające się stosunki, a wreszcie plastycznie przedstawia nam głównych działaczów epoki.

Bardzo mu w tem pomaga duży talent pisarski. Niektóre epizody odtwarza z barwnością i brawurą beletrysty, co sprawia, że książkę czyta się łatwo, jednym tchem niemal.

Szata zewnętrzna, przepyszna, zaszczyt przynosi księgarni poznańskiej Zdzisława Rzepeckiego i S-ki Wydawnictwo zdobi moc ilustracji. Obok fotografji ludzi ówczesnych, mamy tu reprodukcje obrazów pamiątkowych, kryjących się po muzeach (zwłaszcza w Rapperswilu), grupy żyjących weteranów, a pozatem bardzo ładne, głębokiem sentymentem owiane, kolorowe ilustracje p. J. Sobeckiego, dobrze zharmonizowane z charakterem książki.

Z. Polkowski.

oooooooooooo

WIERNA RZEKA*)...

Wierna powiernico trosk i bolów, szara rzeko, Wisło, o twoim wartkim i rzeźkim strumieniu sni serce i sumienie.

Zatonie w twoim nurcie tajemnica Olbromskiego, zginie niesławny, złoty, książęcy pieniążek panny Salomei.

I przez wiek pamiętać będziesz tajemnicę skórzanej torby.

I przez wiek wołać będziesz o utraconej treści.

I przez wiek budzić będziesz zjełczałe pańskie, polskie sumienie.

Weźmiesz na swój zwinny, wężowy grzbiet łzy niewypłakane, łzy matczyne.

Weźmiesz sromotę chłopskich nędz i pańskich podłości.

I staniesz się nam koicielką, i staniesz się powiernicą tęsknot.

Wodo szara, rzeko wartka—Wisło rodzima!

O urodzie twojej smutnej i zadumanej wyśpiewano nam klechdę krwawą, klechdę przejmującą!

A było to niedawno. Zima jęczała i wyszczerzała zęby. Zamarło wszystko — tylko leśne szeptały ostępy, tylko bory zmawiały się na jakąś nową Golgotę.

Ach! te bory! te bory nasze!

. . . .

Było to niedawno. I czemuż więc klechdę dał nam Żeromski? Czyżby wszystko to, co było, wyginęło już doszczętu? Czyż zamarła łkająca, polska tęsknota? Czyż rok ów jest już tylko koszmarem krwawym? Czyż niepokój zczezł, a łzy

*) Stefan Żeromski „Wierna rzeka". Klechda str. 264. Spółka nakładowa „Książka". Warszawa. J. Mortkowicz.

zginęły? Czy zginęły stare przysięgi i serdeczne upomnienia? Czy zwietrzały nienawiści i miłość się stala płonna, bezowocna?

Głuchy szept murów więziennych mógł by opowiedzieć, co kryje w sobie serce polskie. Nieraz te mury mówią szczerzej, jaśniej, wyraźniej, niż zgiełk ruchliwych naszych miast, niż szara połać ugoru.

Słuchać tylko trzeba umieć. Słuchać, jak to... mówią mury, stoki i dalekie sybirskie wydmy.

Nie ginie ich słowo na marne. Nie upada kamieniem, jeno zbożem na pole nasze. I wykwita w coraz to bujniejszy kwiat, i staje się świadomością duszy polskiej. I trzyma sztandar marzeń naszych, marzeń, co muszą być nam rzeczywistością.

Żeromski klechdą nazwał ostatnią powieść swoją i czyż nie rzucił znów rękawicy społeczeństwu naszemu?

Posłuchajcie bowiem, jak to mówi się o przeszłości naszej. Niema świstka drukowanego, w którym by nie spotwarzano sumienia i ducha naszego. O rzeczywistości naszej mówi się, jak o przygodach z tysiąca i jednej nocy. Wysiłek mózgów i troska serca przedstawiana nam bywa, jako kłopoty z bajeczek dla ośmioletniej „pociechy".

W bajeczkę urasta nasza rzeczywistość. W klechdę zamienia się nasza przeszłość. Stoimy bezradni i smutni, jak piękna panna Salomea, po odjeździe Odrowąża. Przypadamy do piasku twarzą i — „strusiową mądrością" koimy niepokój o dziś i o jutro.

Nie dziś też poczęła się ta mądrość. Nie od dziś rumieniec wstydu pali nam policzki. Pytała panna Salomea:

— Jaką mieć wiarę? Czem żyć?

— Serce mężne nastrój w sobie.

— I cóż z serca mężnego!

— Nie czas już pytać i odpowiadać.

Tak wyrzekł Hubert Olbromski, wódz czy też przypadkowy głos sumienia. Do tej konkluzji dopowiedzą treści jeszcze słowa jednego z przewódców wolnościowych w Niemczech spółczesnych (Bebel).

— Nie chcemy wojny. Protestujemy przeciw wojnie.

— A cóż się stanie gdy wybuchnie?

— Pójdziemy piersiami naszymi bronić ojczyzny.

Nie czas to już bowiem pytać i odpowiadać.

Panna Salomea pytała nie w porę. Wtuliła piękną swoją główkę w trwogę i rozpacz i pytała, bo zgliszcza wołały o te pytania.

Nie pora jednak pytać wtedy. Pytania te— to strusiowa mądrość. Trzeba pytać, kiedy czas po temu. Trzeba wołać o odpowiedzi, o jasne wskaźniki, trzeba ważyć każdy krok, lecz gdy huragan szaleje—nie czas przygotowywać się na jego spotkanie, nie czas wychodzić w pole orać zagony.

Opowieść klechdy Żeromskiego maluje dzieje Józefa Odrowąża w rok ów smutny i krwawy. Z pobojowiska zdołał się zwlec i dostać do opuszczonego dworu. Posiekany, ranny dostaje się pod opiekuńcze skrzydła panny Salomei i starego kucharza. Przechodzi przez kryzys choroby, przypadek ratuje go od szponów nieprzyjacielskich. We dworku tym śród nocnych niepokojów i trwóg zakwita miłość między powstańcem i uroczą panną. Słodka jest ich pieśń, prosta, wojacka.

Gdy Odrowąż zaczyna być coraz zdrówszy, matka jego pełna troski o swego syna przekonywa go, by wyjechał za granicę dla zupełnego wyzdrowienia. Prosi, by p. Salomea pomogła jej przekonać syna, że będzie to dla niego pożyteczne, że nie uchybia to jego żołnierskiemu honorowi. P. Salomea przyrzeka, lecz miłość jej woła też o swoje prawa. Wtedy to dowiaduje się od księżnej pani:

„On musi przekląć te obłąkane zmysły".

— On nie przeklnie tych obłąkanych zmysłów!

— Otoż musi! Co jest gorsze przekleństwa, musi być przeklęte!

— Nie, to, co oni czynili, nie jest godne przekleństwa!

— Mój syn musi sobie przypomnieć, że nie jego to rola teraź się w zgniłych barłogach, ukrywać się w sianie, — że on jest — pan — i z rodu książę!

Zrozumiała panna Salomea dokąd zdąża jejmość pani matka. Tak ukochała to wypielęgnowane przez nią istnienie, tak zawierzyła honorowi polskiego wojaka. Przed nieprzyjacielem nad wypadek gwałtu zostawił jej ojciec pistolet do obrony. Nie śmiał nieprzyjaciel, odważył się gładki, porąbany panicz. Zostawiła jej zato księżna pani złotą sakiewkę. Zostawiła jej pocieszenie, że czas wszystko uleczy.

Pojechał książe pokornie do Włoch — została na polskim, krwawicą przepojonym zagonie biedna szlachcianka.

Poszła do rzeki wrzucić złoto hańbiące, załamała ręce bezradne i smutne.

Uratowała człowieka, ukochała w trwodze, niepokoju, a nie wiedziała, że to nie człowiek, tylko książę.

O przesądzie dziki, przesądzie małoduszny! Przypomnij sobie te oczy Wisnicyna, przypomnij rewizje w pokoju p. Salomei.

. . . .

„Wierna rzeka" należy do rzędu najlepiej skonstruowanych powieści Żeromskiego. Czyta się ją z zapartym oddechem. Gorący strumień przedziwnej prozy Żeromskiego unosi szybko ciekawość czytelnika i nie pozwala przerwać, nie pozwoli odłożyć książki. Czyta się więc jednym tchem, jednem wytężonem skupieniem te stronice smutnych przygód powstańczych. Ludzie wszyscy narysowani ręką pewną i śmiałą. Co za bajeczny typ żydówki, lekarza?

„Wierna rzeka" pozostanie w literaturze naszej, jako pomnik chwały Żeromskiego. Jego „czujące serce" nie milknie, czuwa, przypomina i napomina.

Bo czyż to nie napomnienie, gdy opowieść smutną, gdy tragiedję krwawą pisarz tej miary, co Żeromski nazwie klechdą?

Czyż to nie napomnienie?

Odpowiedz wodo szara, odpowiedz rzeko wartka.

Przecie wierna nam jesteś, przecie ukryłaś tajemnicę ukochań Olbromskiego i hańbę stanów, hańbę chłopstwa i książęcej mitry.

O, rzeko wierna!

Eustachy Czekalski.

ooooooooooo

Słów parę o kwestji kobiecej.

O ruchu kobiecym pisano dużo w ostatnim dziesiątku lat — pisano z sarkazmem i lekceważeniem lub ze skrajnem, szowinistycznem zacięciem. Utworzyły się dwa obozy: jeden bezwzględnie potępiający wszelki „feminizm“, drugi apoteozujący ruch ten wyzwoleńczy, głoszący równość praw i niosący odrodzenie kobiecie przyszłości.

Ze starć tych idejowych, krańcowo przeciwnych sobie obozów, wynikało najczęściej zobopólne rozgoryczenie i zamęt pojęć śród ogółu mniej uświadomionego. Obie strony miały w założeniu swem słuszność, obie zwalczały się racjonalnemi argumentami: bronią jednych była *tradycja i wiekowy obyczaj*, bronią drugich *krzywda kobieca, niesprawiedliwość, wyzysk*...

Jak po każdem natężonem napięciu i wyładowaniu energji, następuje reakcja, tak też i w tej kwestji drażliwej i podniecającej umysły, nastąpił zwolna zwrot pożądany—pracę od podstaw, mniej na słowach, a więcej na czynach polegającą, rozpoczęto na całej linji kobiet-pjonierek ruchu wyzwoleńczego; przeciwnicy natomiast, konserwatyści z rutyny i przyzwyczajenia, stępiwszy pióra na tendencyjnej ironizacji, przycichli nieco, zaczęli rozważać, porównywać.

W miarę jak w Stanach Zjednoczonych, Danji, Skandynawji, przyznawano kobiecie należne stanowiska w pracy, urzędzie, nauce, i w Polsce, w opinji ogółu następowało przeobrażenie.

„Prędzej włosy mi na dłoni wyrosną, niżli kobiety wstąpią na uniwersytet!“ — wołał z przekonaniem, przed kilkunastu laty, wybitny i powszechnie szanowany profesor krakowski.

Dziś, Alma Mater Jagiellońska gościnne wrota kobiecie otwarła, a choć gremjum profesorskie zżyma się jeszcze i obostrzenia różne wprowadza, wobec przykładu zachodnich uczelni, zmuszone jest reformę w zasadzie zaakceptować.

Gdy w państwie Rosyjskiem, Izba parlamentarna uchwala rozszerzenie praw należnych kobiecie — zachowawcza Rada Państwa projekty te zwala lub je do minimum redukuje. Zwolna jednak i ona ustępstwa czynić będzie zmuszona — ewolucja bowiem, będąca prawem przyrodzonem ludzkości, wstrzymać się nie da w swym pochodzie ku postępowi, tylko że ewolucja ta nie wszędzie równomiernie się objawia, zależnie od stopnia przygotowania i rozwoju kulturalnego danego narodu.

Jeden z filozoficznych spółczesnych umysłów Ameryki—Ralph Emerson, zbyt mało znany i czytany w kołach inteligiencji naszej, a dążący pismami swemi do zharmonizowania wewnętrznego i zewnętrznego życia ludzkości, następnemi słowy określił budzący się ruch kobiecy:

„Rozwój ludzkości jest progresywny — aspiracje jednej epoki poprzedzają prawa niezbędne dla drugiej. W epoce naszej uwydatnia się prąd wyzwoleńczy kobiety, żądającej praw równych — w wykształceniu, pracy i własności, w małżeństwie, oraz wszystkich przywilejach politycznych i społecznych przysługujących mężczyźnie. Żądania te są najsłuszniejsze i w każdym szanującym się narodzie powinny być przyznane. Niewola wytwarza niewolę — wolność stwarza wolność. Mężczyźni tworzyli prawa ograniczenia dla kobiet, wtedy, gdy sami byli w niewoli władz swych i prawodawstw. W miarę poprawy obyczajów i postępu cywilizacji, stanowisko ich ulepszało się, ulegając korzystnym zmianom. Dziś nadszedł czas na poprawę i ulepszenie stanowiska towarzyszki ich, matki, córki“... (Emerson: Pages choisies. „Des femmes et du féminisme“).

Prawa nie są potrzebne tam, gdzie samo poczucie wewnętrzne sprawiedliwości i sumienie szlachetne, przewodnikiem jest i rozjemcą w kwestjach spornych. Ale nieodzowne są w tych środowiskach, gdzie hamulcem być muszą i stoją na straży przed nadużyciem i bezprawiem. Dlatego też, z postępem czasu i one udoskonalać się powinny, w miarę jak ludzkość sama podnosi się i uszlachetnia. Inaczej konflikty moralne coraz cięższe groziłyby ludzkości, wobec wzrastających krzywd warstw jednych, a nieuzasadnionych, wciąż się powiększających przywilejów warstw drugich...

Ruch kobiecy jest emancypacyjny. Nie jest jego dążeniem — co przeważnie w wysiłkach tych ogół upatruje i pod nazwą „feminizmu“ określa — by kobieta zajęła stanowisko mężczyzny i wyzbyła go z praw mu należnych — chodzi mu jedynie, by kobieta, *zrównana w prawach*, kształcona i rozwijana odpowiednio, władzami nietylko serca, ale i rozumu stanęła na wysokości zadań życiowych. A dokaże tego jedynie kobieta rozumna i logiczna, w pełni uświadomiona o brakach charakteru swego i słabości swej płci, umiejąca panować nad impulsem natury swej i jej wrażliwością—nieobliczalną, bo dotąd nigdy niepowściąganą, ani kontrolowaną..

I znikną wtedy może z powierzchni ziemi, owe legjony wiecznie niezrozumianych i złamanych istot, owe falangi bezmyślnych, salonowych lalek i niepoczytalnych erotycznych histeryczek, zapełniających domy nasze i towarzystwa!..

Kobieta—matka i karmicielka ludzkości, wychowawczyni przyszłych pokoleń, musi stać umysłem i duchem na najwyższym szczeblu rozwoju władz swych i zdolności, jeśli ludzkość ma postępować coraz wyżej drogą ideału! Poza wdziękiem i urokiem, których kobieta prawdziwa nie zatraci nigdy, mimo ściślejszego wykształcenia i logicznego myślenia — przybędzie jej powaga i godność zrozumianych praw człowieczeństwa swego i płynących stąd obowiązków i zadań.

Mężczyzna przeciętny, stroni dziś od kobiety, umiejącej więcej niż ogół jej rówieśnic i obdarzonej dyplomem ukończonych kursów naukowych lub doktoratem – bo woli czuć przewagę swej wrzekomej lub rzeczywistej wyższości. Ale jeśli poziom umysłowy wszystkich kobiet podniesie się nareszcie, i wykształcenie każdej kobiety sfery inteligientnej, nie zaś wyjątków tylko—będzie wyższe i racjonalne, to tem samem zniknie typ unikany: kobiety „feministki“ czy „uczonej“, a przybędzie ogół kobiet rozumnych i logicznych, z któremi mężczyzna liczyć się będzie musiał w życiu—zaś wyjątki tylko pozostaną naiwne i ograniczone.

A że zdolności do szerszego objęcia spraw wieku nie brak kobiecie—dowodem, iż nieraz, choć tak mało i źle kształcona, przewyższa mężczyznę w zarządzie domem i interesami, w wychowaniu dzieci i decydowaniu o wielu kwestjach społecznych—dzięki subtelności umysłu swego i wrodzonej intuicji serca. O wieleż łatwiej i lepiej by tym obowiązkom odpowiedziała, idąc ręka w rękę z mężczyzną i stojąc na równi z nim, w rozwoju władz swych i inteligiencji.

Wtedy i rozdźwięk mniejszy byłby między matkami i dorastającymi synami, i zlanie większe

i zrozumienie aspiracji córek, daremnie nieraz rwących się do światła wiedzy a skazanych na wegietację umysłową w banalnej sferze zajęć czysto zewnętrznych wtedy, gdy stać je na życie intelektualnie pełniejsze i ze wszechmiar wyższe!

Nie tracą na tej zmianie obowiązki kobiety w domowym i rodzinnym zakresie, ale przybędzie harmonji w rodzinach i szczęścia pełniejszego w małżeństwach szlachetnych a nie dobranych dziś nieraz, mimo miłości i dobrej woli zobopólnej. z powodu niższego poziomu umysłowego kobiety i lekceważącego z tego względu postępowania mężczyzny, co naturalnem jest następstwem jej umysłowych braków...

Często słyszymy zdanie, iż mężczyźni nie chcą, by kobiety dotykały życia publicznego we wszystkich jego przejawach, by nie zbrukały się moralnie i nie straciły idealizmu swych dusz! Ale wobec tego iż sprawy społeczne tak nisko niestety stoją obyczajowo i moralnie, dzierżone dotąd przez mężczyznę tylko—może właśnie podniosą się i oczyszczą, jeśli pierwiastek ten, idealniejszy i subtelny, wraz z kobietą wniesiony w nie będzie?..

Czemuż koniecznie przypuszczać, iż kobieta obniży się i zepsuje, kiedy dotąd, mimo umyslowej niższości swej, ona jeszcze tę wyższość najczęściej w rodzinie utrzymuje? Czemu nie uwierzyć właśnie, że podniesie wpływem swym, uszlachetni i udoskonali społeczeństwo, jeśli ją na tę arenę życia, niedostępną dla niej dzisiaj, dopuszczą odpowiednio przygotowaną i wychowaną??..

Tylko trzeba, by w tę możliwość i kobiety same nareszcie uwierzyły i zapragnęły podnieść się z przysłowiowego ograniczenia i umysłowej niższości, w której przeważnie się znajdują. Trzeba, by otrząsły się z atawistycznego nawyku bezmyślnego spuszczania się na zdanie cudze i biernością swą czy bezkrytycyzmem w tej najżywotniejszej dla nich dziś sprawie reformy wychowania, nie opóźniały owej pożądanej chwili, w której kobieta—*odmienna ustrojem i psychicznemi właściwościami, ale równa umysłem i poczuciem odpowiedzialności*, stanie wreszcie obok mężczyzny jako spółrzędny członek społeczeństwa, zdążający z nim zgodnie, spółpracą myśli logicznej i niezależnej, do coraz wyższego, humanitarnego rozwoju ludzkości.

E. Wielowieyska.

oooooooooooo

Walka z nędzą.

(Z powodu dzieła Beatrice i Sidney Webb'ów: *The Prevention of Destitution).*

Nie od wczoraj nazwisko Sidney'a i Beatrice Webb'ów, zasłużonych publicystów angielskich są znane na kontynencie europejskim. Od lat dwudziestu czynni w ruchu społecznym Wielkiej Brytanji, oddawna pracując w różnych dziedzinach życia społecznego ojczyzny swojej Webbowie znani byli publiczności kontynentalnej. Tłomaczono ich prace na język francuski i niemiecki. Z pracą Beatrix Potter, kiedy jeszcze nie była małżonką Webb'a poświęconą ruchowi kooperatystycznemu angielskiemu, zapoznał publiczność niemiecką nikt mniejszy, jeno Lujo Brentano, (a za nim uczeń jego S. Schultze-Gaevernitz). Bogatego przemysłowca angielskiego córka, uchodząca w kole blizkich i przyjaciół za dziwaczkę, poszukującą silnych urojeń, obcująca tylko ze starymi działaczami społecznymi, spółpracowniczka Charles Booth'a w jego wielkiem dziele poświęconem życiu i pracy ludu londyńskiego, w 30 roku życia wyszła za mąż za Sidneya Webba, który w tych sferach bogatej burżuazji londyńskiej uchodził za wielkiego i niebezpiecznego socjalistę, burzyciela porządku społecznego.

W rzeczywistości był to bardzo poważny, bardzo porządny publicysta radykalny, z tytułu adwokat, z upodobania pisarz społeczny, zwolennik socjalizmu municypalnego t. zw. poprostu umiastowienia różnych przedsiębiorstw miejskich, przedmiot zabiegów i wyzysku i kradzieży wielkich kapitalistów londyńskich i ich przyjaciół w radzie miejskiej. Sidney Webb był spółzałożycielem towarzystwa Fabjan'ów, owych porządnych, uczonych, uczciwych radykalów angielskich, którzy naukę swoją nieśli od historycznego rzymskiego Fabjus'a *Cunctatora*, rodzica wszelkiego na wszystkich polach nie śpieszenia się, ewolucyjnego, nie rewolucyjnego działania społecznego. Fabjanie (do których należał i dramatopisarz późniejszy Bernard Shaw) pozostawili po sobie dobrą pamięć i wielkie zasługi. Budzili świadomość społeczną inteligencji, do której przedewszystkiem się zwracali, uczyli obowiązku wobec mas pracujących, organizowali inicjatywę społeczną na wszystkich polach: w radach miejskich wielkiego Londynu, w szkolnictwie. Jakakolwiek sprawa wypływała na porządek dzienny życia społecznego, Fabjanie starali się ją oświetlić ze stanowiska interesu społecznego, socjalizowali każdą kwestję, tłomacząc zamożnym klasom angielskim, jakim będzie bieg historji, co czynić należy, aby było lepiej. Tak powoli uzupełnili cały liberalizm angielski i niejedna mowa Lloyd George'a i jego adherentów w Izbie gmin z fabjańskiego ducha została poczęta.*) Ich inicjatywa przeniesiona na kontynent znalazła wyznawców i we Francji i w Niemczech, ale w czynach, równych angielskim nie znalazła wyrazu.

Sidney Webb i jego utalentowana małżonka długie lata pracowali nad poznaniem i opracowaniem związków zawodowych angielskich. Urodziły się z tych umiłowań dzieła znakomite, wielkie, obszerne, nietylko pod względem naukowej wartości, olbrzymiego materjału, zebranego i opracowanego po mistrzowsku. Wartość literacka, wartość socjologiczna tych prac odpowiada wartości naukowej. Duch tych prac twórczy, krzepiący, syntetyczny otwiera nam szerokie perspektywy na przyszłość rozwoju angielskiego (i świata) w kierunku *demokracji industrjalnej***). Tłomaczone na różne języki kontynentu i u nas znajdowały czytelników. W r. 1906 noszono się z myślą przetłomaczenia ich na język polski.

Później zajęli się małżonkowie Webb kwestją alkoholizmu, kwestją inspektoratu fabrycznego, oświaty, sprawą demokratyzacji samorządu miejskiego, — a każde umiłowanie prowadziło za sobą nową książkę, niekiedy wielkie i dużej wartości dzieło. Brali też udzial w ankietach i komisjach rządowych, organizowanych bezustannie i z powo-

---

*) Patrz mój artykuł o Lloyd George'a w „Krytyce“ z listopada 1911 r.

**) Taki jest tytuł jednej z tych prac *Industrial Democracy* (1897). Druga jest historyczna *History of Trade Unionism.* (1894). Tutaj także należą *The Problems of modern industry.* (1898).

dzeniem przez rząd angielski. W roku 1905 do takiej komisji, powołanej do zreformowania *organizacji dobroczynności angielskiej* (*the Poor Law Commission*) powołano panią Beatrice Webb, jedyną kobietę śród ośmnastu mężczyzn: specjalistów, urzędników, pastorów, lekarzy. Komisja pracowała trzy lata, prace jej zajęły kilkanaście tomów. W komisji utworzyły się dwa stronnictwa: stronnictwo większości i stronnictwo mniejszości. Duszą i egerją tej mniejszości była pani Webb. Ona była w tej komisji elementem najbardziej radykalnym. Jej wnioski wywoływały największą dyskusję. Ona była śród tych działaczów społecznych najbardziej — uspołecznioną. Specjaliści, lekarze, pastorzy — reprezentowali element sceptycyzmu: ubóstwo należy zmniejszyć, ostre jego kontury osłabić, ociosać, nędzę można uszczuplić, ale jej usunąć nie sposób. Cokolwiek uczynimy, będzie tylko paljatywem, nie specyfikiem uzdrawiającym. Nędza była zawsze i będzie; chodzi o to, aby pasożyt nie pożarł organizmu społecznego, aby nie rozrastał się, aby środki, przeznaczone na walkę z nim były dobrze administrowane.

Beatrice Webb nie wie, co to niewiara. Lata posypały głowę srebrem zbliżającej się siwizny, pokryły zmarszczkami twarz ciekawą i sympatyczną. — ale wiara pozostała, jak wówczas, gdy z inicjatywy entuzjasty nieuleczalnego Charles Booth'a opisywała nędzę pracującego Londynu. Pani Webb uważa, że nędza powinna i może być uleczona. Dobroczynność zastąpić musi reforma społeczna. Posiadamy siłę, posiadamy środki—do zastąpienia *pomocy* dla nędzarzy przez *zapobieganie* nędzy. Nie wolno nam godzić się z nędzą, jako z faktem istniejącym a koniecznym, należy raczej przy pomocy nauki, rozumu, doświadczenia usuwać przyczyny nędzy, drenować pole, na którym rosną jej kwiaty, kanalizować jej moczary. Należy nam to czynić nie tylko w imię moralności, sumienia obowiązku; należy to czynić w interesie organizmu społecznego, który wyradza się, traci odporność, rozkłada się. Towarzystwo Dobroczynności utrzymywane przez filantropów musi ustąpić miejsca—urzędom akcji społecznej, zorganizowanej i twórczej, prowadzonej przez uczonych i świadomych sprawy działaczów społecznych.

Sprawozdanie mniejszości zostało ogłoszone w roku 1909 przez małżonków Webb w dwuch tomach poprzedzone obszernym wstępem*). W ciągu lat czterech oboje stali się pierwszorzędnymi znawcami „dobroczynności" angielskiej i wogóle spraw ubóstwa. Powołali do życia specjalny „komitet dla zapobiegania ubóstwu". (*National Committee for the Prevention of Destitution*), którego sekretarzem została pani Webb a który rozpoczął głośną agitację za poglądami mniejszości, postarał się o złożenie wniosku do prawa (*Prevention of Destitution Bill*) w parlamencie (w roku 1910), wreszcie w r. 1911 ogłosili piękne dzieło synteteczne, w którem poglądy urobione sześcioletniem, nieprzerwanem myśleniem, krytyką, polemiką—wypowiedziane zostały w formie ostatecznej, jasnej, skończonej.

Książka ta nosi tytuł *The Prevention of Destitution*. Została natychmiast wydana w przekładzie francuskim i niemieckim. Zasługuje i na przekład polski. Byłoby wskazanem, aby się znalazł wydawca polski, którýby środków nie pożałował na przyswojenie cennej i pouczającej pracy, która przydać się może wielu naszym działaczom dobroczynnym, urzędującym w dobrej wierze i z najlepszą wolą w setkach znanych urządzeń dobroczynnych.

Webbowie, jak już powiedziałem, są dalecy od przewrotów społecznych. Rozwiązują problemat nędzy w warunkach dzisiejszej organizacyi społecznej. Nędza dla nich jest chorobą, która może być uleczona. Zniknie sama z usunięciem przyczyn, które je wywołują. Przyczyny nędzy sprowadzają się do kilku typów: upadek fizyczny albo moralny, śmierć żywiciela, osamotnienie, zaniedbanie moralne w młodości; zła organizacja pracy. Opiekę nad chorymi i starością, opiekę nad matkami, niemowlętami i małemi dziećmi — wykonywać musi publiczny *urząd zdrowia*; odpowiedzialność za życie młodzieży w wieku szkolnym aż do dojrzałości — *urząd oświaty*; organizacją pracy, zapobieganiem nadużyciom chałupnictwa (*sweating*), zapobieganiom brakowi pracy — zajmie się *urząd pracy*. Pozostanie jeszcze obszerne pole pracy dla dobroczynności prywatnej. Państwo i społeczeństwo może tylko zaspakajać potrzeby minimalne. Dobroczynność prywatna uzupełniać musi to, co będzie niewystarczające, tam dotrze, dokąd państwo, urząd społeczny nie dotrze, będzie pionierem nowych sposobów zapobiegania, zawsze czułym, zawsze twórczym.

Nie pragniemy tu streszczać całej książki Webbów, zwracamy na nią tylko uwagę. Nie godzimy się zresztą ze wszystkiemi pomysłami autorów angielskich. Czytelnik polski zawsze liczyć się musi ze swoistem stanowiskiem pisarza angielskiego, który wyrasta z własnych odmiennych warunków życia i na różne kwestje społeczne zapatruje się inaczej niż europejczyk kontynentalny. Webbowie są np. przeciwnikami ubezpieczeń robotniczych państwowych. Europa kontynentalna przyzwyczaiła się do innych poglądów na tę sprawę.

Kto badał zblizka takie sprawy, jak kwestja *mieszkań robotniczych* ten widział jak w tej jednej kwestyi spoczywa tysiąc momentów rozkładowych: zanik rodziny, alkoholizm, gruźlica, prostytucja, zwyrodnienie dzieci, moralne ich zaniedbanie, brak życia umysłowego. Społeczeństwo tysiącem paljatywów stara się leczyć skutki tej strasznej choroby społecznej zakłada szpitale, prowadzi walkę z alkoholizmem, opiekuje się prostytutkami, młodzieżą, zakłada niezliczone „przytułki", „ogniska", „zakłady" i „kolonje". Społeczeństwo więcej leczy niż uprzedza. Do niedawna zgoła nie interesowało się zapobieganiem. Zaś leczenie w skutkach swoich nie odpowiada zgoła nakładom. Są i lekarze, który mówią, że pragną leczyć zdrowe dzieci, a nie chore. Działacz społeczny, który pragnie budować w interesie pokoleń przyszłych, a nie tylko dla spokoju własnego sumienia—musi też leczyć społecznie zdrowe jeszcze elementy społeczne, nie zaś reperować podniszczone, drutować, odświeżać, pozory zdrowia nadawać zatrutym, zmęczonym, mało już odpornym, dziedzicznie obarczonym.

Kwestja mieszkaniowa, gdyby była prowadzona rozumnie, w dużych rozmiarach przy spółdziałaniu państwa, społeczeństwa i inicjatywy prywatnej, gdyby znikły jednoizbowe mieszkania dla setek tysięcy rodzin robotniczych zaludniających wielkie miasta, gnieżdżące rodziny całe w jednem łożu bez względu na wiek

---

*) *Break Up of the Poor Law and the public organisation of the Labour Market* being the Minority Report of the Poor Law Commission (2 tomy) 1909. — *English Poor Law Policy* (1910)—część tej książki przełożyli małżonkowie H. Bourgin na język francuski i wydali pod tytułem *Le Probleme de l' assistance publique en Angleterre*, Paryż 1912.

i płeć, stan zdrowia, gnieżdżące tysiące chorób fizycznych i moralnych,—jakżeby już inaczej wyglądała sprawa dobroczynności.

Należy Webbom za zasługę poczytać, że wszędzie podkreślają czynnik moralny i odsłaniając głębokie rany w organiźmie społecznym naszych czasów wołają do sytych, do zadowolonych, do tchórzliwych, do uciekających za okopy istniejącego porządku przed czerwonem niebezpieczeństwem: nie szukajcie w domniemanej niemożliwości rozwiązania zagadnienia nędzy—schronienia dla strachu własnego, dla egoizmu, dla czerstwości serca!

Do pracy!

Stanisław Posner.

ooooooooooo

Syndykalizm angielski.

Dziejom syndykalizmu we Francji poświęciliśmy więcej miejsca,*) gdyż tworzył się on w naszych czasach i jeszcze podlega zmianom; wniosk można z łatwością przesunąć na grunt naszej przyszłości, chociażby dalekiej. Jesteśmy zresztą francuzami północy: zakładamy stowarzyszenia, budujemy ideały i programy partyjne częściej na podstawie uczuć, niż interesów. Ale jeśli zechcemy poznać powolną i wytrwałą pracę dla zaspokojenia potrzeb narodu, jego siłę tak wielką, że aż leniwą, marzenie potęgi tak rozrosłej, że przyszłość niewiele do niej dodać—raczej odjąć może, to zazdrosne oczy zwróćmy w stronę Anglji.

Wszelki konserwatyzm ma przynajmniej jedną niezaprzeczenie dodatnią stronę: dobrą zdobycz czasów również zachowuje. Prawda, że w lamusie wieków zabierają miejsce rozwalone bez użytku rupiecie przesądów często z rdzą krzywdy innych, często zasłaniając drogocenny antyk przeszłości. Ale jeśli kieruje tem mądra wola ogółu, to zakurzone strychy pół-panków zamieniają się na olbrzymie muzea narodów. Tak właśnie konserwatywną jest Anglja: każdy uśmiech zastygnie przy widoku lorda, siadającego na worku wełny, gdy uprzytomni sobie, że ten lord nigdy nie sprzedawał kraju, lecz go do niebywałej potęgi doprowadził. Niewypada gwizdać w niedzielę? Ale wolno myśleć, mówić, pisać, działać, żyć swobodnie. I jak!

Odblask obyczajów społeczeństwa angielskiego daje się znakomicie zauważyć w ich syndykaliźmie. Zdawałoby się, że proletarjat z natury rzeczy musi dążyć do zmian w formie o tyle szybkiej, nawet gwałtownej, im większy nacisk wywierają nań czasy teraźniejsze. I tam, gdzie związki robotnicze powstały razem z względną wolnością ogółu t. j. niedawno, obserwować można to zjawisko w całej rozciągłości. W Anglji wolność jest starą, doświadczoną, czcigodną obywatelką kraju: inaczej się też zachowuje.

Pewien właściciel zakładu krawieckiego — Franciszek Place przy pomocy dwuch przyjaciół M. Culloch i J. Hume rozwinął tak szeroką agitację za swobodą zrzeszeń, że w 1824 roku parlament bez dyskusji uchwalił bill, znoszący wszelkie ograniczenia dla organizacji robotniczych. W tym więc roku oficjalnie powstały pierwsze trade - uniony, lecz właściwie już w początkach XVIII wieku istniały zarodki cechowych stowarzyszeń pomiędzy drukarzami, nożowcami i w kilku innych drobniejszych rzemiosłach. Najstarsze trade-uniony wywodzą swój rodowód od tych pionierów pracy, a niektóre posuwają swe szlachectwo jeszcze dalej, bo aż do wieków średnich. Zachodzi znaczna różnica pomiędzy związkami z odległą przeszłością i nowemi, które powstały w ostatnich trzydziestu latach. Pierwsze ogarniają robotników jednego fachu, wymagają kwalifikacji, zręczności praktycznej, a nawet pewnego okresu nauki; dumne są ze swej historji, zachowawcze względem pewnych tradycji, potężne przez znaczne środki materjalne. Drugie zaś, złożone z posługaczów, tragarzy portowych (dockers) i t. p., którzy mają do zaofiarowania tylko swoje muskuły na rynku pracy, są bardziej krewkie, mniej doświadczone, biedniejsze, z górującym nastrojem rewolucyjnym. Niechętnie wiążą z niemi swe losy arystokraci trade-unionów; coprawda za tę pogardliwą nieco wyłączność socjaliści parokrotnie nie omieszkali robić wyrzutów i w ostatnich czasach separatyzm związkowy osłabnął, chociaż nie zniknął.

Ludność przemysłowa Anglji jest obliczaną na 7 miljonów mężczyzn i 3 miljony kobiet. Podczas gdy kobiety zsyndykowane dochodzą do 4%, mężczyźni osiągnęli stosunek 26%. Trzeba jednak zaznaczyć, że jest to średnia ogólna, wahająca się niezmiernie przy poszczególnych rodzajach pracy. Sto najgłówniejszych syndykatów na 1300 przedstawiają $^2/_3$ ogólnej armji unionistów. Grupują się one w następujący sposób:*)

Ilość syndykatów	Ilość członków
5	344,487
9	282,558
19	252,781
67	281,400
100	1,161,226

Związki zaś w handlu np. artykułami spożywczemi są tak drobne, że 805 syndykatów posiada łącznie 195,058 członków. Dlatego też dane oficjalne najczęściej mówią o owej setce, pomijając resztę ogólnemi cyframi członków, budżetu i zmian.

Przy sposobności sprostujemy pewien błąd nadzwyczaj często popełniany w cytatach statystycznych (i przez pisma polskie). Mianowicie, dla obliczeń są brane tablice federacji trade-unionów, które wykazują liczby wyższe, niż w rzeczywistości. Tak np. w 1908 roku było 1165 związków z 2,378,000 członków, a dane tylko 109 federacji z tego samego roku posuwają liczbę członków aż do 3,131,000. Różnica tłomaczy się przez to, że unionista często zapisuje się do kilku federacji jednocześnie.

Główne syndykaty rozgałęziają się z centrów po całej Anglji. Związek górniczy posiada 195

*) Patrz №№ 43—52 z r. 1912.

*) Report by the chief labour correspondent of the Board of trade Trade Unions in 1906 with comparative statistics for 1892—1908.

gałęzi z przeszło 90,000 członków; mechanicy 660 gałęzi i 100,000 członków; cieśle 800 oddziałów i 70.000 członków. Proporcjonalnie z tem idą dochody i wydatki tej setki olbrzymów. W 1900 r. dochody wynosiły 48½ miljonów franków, w 1905 r. już 55¼ miljonów fr., w 1908 — 68 miljonów, w 1911 przeszło 72 miljony. Od roku 1895, który wykazywał dochód 39-miljonowy, suma ta powiększyła się o przeszło 84%!

Wydatki, rzecz prosta, wahają się nadzwyczaj nierównomiernie w zależności od strejków i kryzysów ekonomicznych. W 1895 r. wynosiły 35 miljonów, w 1900 — 36, w 1905 — 51½, spadają znowu w 1906 r. do 49 miljonów, ażeby w 1908 roku podnieść się do olbrzymiej sumy 80 miljonów franków. Deficyt z tego roku powiększał się tylko w latach następnych. Przypominamy też sobie, że trade-uniony metalurgiczne, mechaniczne, górnicze, portowe i tkackie przechodziły bądź przez brak pracy dzięki kryzysom ekonomicznym, bądź też przez olbrzymie strejki. Gdy zapomoga dla bezrobotnych średnio wynosiła na członka w roku 1900 — 8 25 fr., w 1908 doszła do 17,50 franków. Lata następne były jeszcze widownią rujnujących strejków.

Nadzwyczaj charakterystyczny jest stosunek wydatków na administrację trade-unionów: 21,8%. Służy to przeciwnikom socjalizmu w Anglji jako niebezpieczna broń: gdzież dowód, twierdzą oni, że w przyszłym ustroju dobro społeczne będzie przez was lepiej i ekonomiczniej rządzone? Rzeczywiście urzędnicy trade-unionów nie są wyzyskiwani; ale mało brakuje, żeby nie można było nazwać tych posad synekurami.

Wkładki są uzależnione od zarobku, a więc różne w rozmaitych trade-unionach. W starych związkach, gdzie ukwalifikowani robotnicy zarabiają więcej dochodzi do 100 fr. rocznie; średnia jest 65 fr. t. j. 1 szyling tygodniowo (około 50 k.) W związkach „walki“ t. j. młodych po większej części wkładka nie dochodzi 10 rubli rocznie (26 fr.). Te więc trade-uniony nie organizują na wielką skalę samopomocy; prawie cały dochód idzie na strejki. Lecz jak w jednych, tak i w drugich zdumiewającą jest sumienność, z jaką płacone są dobrowolne podatki. Niema „martwych dusz“, niema kapitałów na papierze, tam rzeczywiście 2 i pół miljona członków płaci, działa i przez to wytwarza prawdziwą potęgę. We Francji zapisują się chętnie i chętnie biorą zapomogi, ale bezustannie trzeba łowić zalegających dłużników: kasa jest pustą, bez rezerw, często bezsilną w potrzebie. Polski czytelnik wyobrazi sobie taki stan rzeczy z łatwością.

Ażeby określić wpływ, jaki wywierają trade-uniony, również wystarczy kilka liczb. Od 1896 r. do 1901 wysokość płacy robotniczej została zmienioną 8511 razy. Na zmianie tej zarobiło 5,463,755 robotników w ogólnej sumie 9,046,250 franków. Do dnia dzisiejszego określają w przybliżeniu sumę zarobku na 67,000,000 franków! W tym samym okresie czasu (1896 — 1901) długość dnia pracy została zmienioną 1185 razy, prawie zawsze na korzyść robotników. Lecz za najważniejszą zdobycz trzeba uważać wprowadzony przez trade-uniony zwyczaj zawierania kollektywnych kontraktów i ostatnio uchwalony przez parlament bill dla minimum zarobku; nieprędko, zapewne, wszystkie fachy wywalczą sobie podobne prawo, lecz ten precedens ma na razie mocne wychowawcze znaczenie.

Ponieważ socjalizm angielski należy prawdopodobnie do najspokojniejszych, jak gdyby pod patronatem wspomnień „trzeźwych romantyków“ w rodzaju R. Owen'a, J. Burns'a, T. Mann'a, przeto łatwiejszy miał wpływ na trade-uniony. W każdym jednak razie syndykalizm stoi osobno, modyfikując według swoich potrzeb podsuwane mu teoretyczne wnioski. Przypomnijmy tylko sensacyjne odłożenie strejku, ażeby nie zakłócać... uroczystości koronacyjnych nowego króla. Było to prawdziwie angielskie.

Byliby bezbronni już dzisiaj kapitaliści wobec bogatej, a nadewszystko wspaniale zorganizowanej masy unionistów, gdyby nie znaleźli broni właśnie w ich bogactwie. Kompanja Taff Vale wytoczyła syndykatowi kolejarzy proces o odszkodowanie za strejk i wygrała. Suma doszła do 1 miljona rubli. Wyrok *law lords* wywołał przerażenie, bo z chwilą kiedy uznano trade-uniony za cywilnie odpowiedzialne, otworzyła się droga do rujnowania je przez sądy. Od 1902 roku kwestja ta jeszcze nie została ostatecznie uregulowaną. Podobno jest bardziej trudną z punktu widzenia prawniczego, niż społecznego.

Niełatwo określić jak wysoką jest rewolucyjność trade-unionów. Ostatnie strejki były zjawiskiem, wywołującem powszechne zdziwienie. Gwałty już nie mogły być powstrzymane przez policję, rząd zawezwał do pomocy wojsko. Polowanie na lisa (łamistrejków), burzenie sklepów, niszczenie zapasów i narzędzi, zamieszki nadzwyczaj ostre pozwalają przypuszczać, że zwycięża wpływ młodszych. Obecny rząd robi najdalej idące ustępstwa, konserwatywna część kraju już bije na alarm. Sądzimy, że jeszcze daleko do przewrotów: ściany tego państwa wytrzymały nacisk wielu burz: to nie Francja!

R. Dołęga.

oooooooooooo

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Promień.

Już był na drzewie śród listkowych gwarów,
Na kalenicy siadł, omusnął trawę,
Do rosy zajrzał, wbiegł ze strugą w parów,
By tęczą z dzieł swych zdać przed słońcem sprawę.

I odpocząwszy na szerokim liściu,
Otworzył lilji wodnej biały kielich,
Uderzył w dzwonki i o swojem przyjściu
Dał znać w pasiece matce ulów pszczelich.

A gdy obejrzał wszechsłoneczność całą,
Nad każdą troski chyląc się ostoją
I do mnie zakradł się ze złotą strzałą
I z okna strzelił prosto... w duszę moją.

oooooooooooo

TEATR ZIMOWY.

(„Siódme przykazanie“ — Komedja w 4 aktach Herm. Heyermansa).

Nie pamiętam podobnie przykrego wrażenia, jak to, pod którem wychodziliśmy z teatru po premjerze „Siódmego przykazania“.

Gra?

O, nie. Gra naszych artystów była zupełnie poprawną; dały się spostrzec wprawdzie usterki, lecz mieliśmy też do zanotowania zupełnie ładne przebłyski w poszczególnych rolach.

Więc sztuka?

Tak. Sztuka.

„Siódme przykazanie“ — to rozpaczliwe rozpasanie mieszczaństwa.

Mieszczaństwo to brutalizuje nas tak bezwględnie, buntuje do tego stopnia wszelkie ludzkie uczucia, tak przybija, tak fascynuje — że spoliczkowane wrażenie estetyczne pierzcha.—

— Het! — z teatru.

Wszystko dla tezy etyczno-socjalnej.

Oh, nie wymagamy przecie, żeby prawda życia zdobiła się w pióra rajskich ptaków, żeby w stęchłych promieniach codziennego życia zakwitały wiosenne kwiaty, żeby słońce świeciło tam, gdzie go niema!

Oh, nie żądamy wszak, by sztuka przeczyła życiu: lecz nie nazywajcie życiem skarykaturowanej nędzy powszedniej, nie nazywajcie zaciekłej broszury etycznej mieszczańsko - obyczajową komedją!

W literaturze naszej mamy kapitalną „Moralność pani Dulskiej“ mamy „Lekkomyślną siostrę“ —i tyle innych sztuk malujących smutną rzeczywistość, chłoszczących bezwzględnie, fotografujących wiernie; żadna z nich jednak nie pozostawia wrażenia ohydy, nie jest *samym* niesmakiem.

A takim *niesmakiem* właśnie przejmuje rzecz Heyermansa.

Poczęta snać w rozjątrzeniu nie ma objektywnego spokoju, nie ma harmonji w koncepcji, która może widzem miotać i łamać, może na widowni budzić śmiech, oburzenie i łzy—ale w źródłach swych nie może być ani filipiką, ani kazaniem, ani polemicznem paleniskiem.

Dlatego pamiętamy, że autor posiada talent bardzo silny, lecz za „siódme przykazanie“ nie złożymy mu do wieńca sławy ani jednego wawrzynu.

Panna Arkawinówna stanęła znów na czele zespołu; nie zaliczę wprawdzie roli Luci do najcelniejszych jej kreacji: miałem chwilami wrażenie, iż patrzę na reminiscencje „Gry serc“—atoli wypadnie przyznać, że gra naszej artystki wywierała silne wrażenie—jak zwykle.

P. Mostowska była zupełnie dobrą: miała miękkość i dużo kobiecości. Sądzę, że skala jej zdolności ma zakres ściśle kameralny: a więc nie tragiedja i nie t. zw. wielki repertuar.

Należy się również uznanie, paniom: Millerowej, Wrześniowskiej i Sachnowskiej.

Ta ostatnia miała rolę aż nazbyt charakterystyczną: stworzyła na ogół typ bardzo plastyczny — że był jeszcze jaskrawy — wina to wogóle autora.

Wybornym był p. Strycharski: wybornym i pełnym specyficznie łajdackiego sentymenciku; p. Borowski grał zupełnie poprawnie: rola ta udała mu dotychczas się najlepiej; dobry był p. Cornobis, dobry i bardzo szczery p. Norski.

P. Kiernicki może również zaliczyć swego Samuela Dobbe do jednej z lepiej udanych postaci.

* * *

Występy gościnne M. Frenkla („Pan Geldhab“, „Cyganerja Warszawska“, „Orlę“, „Głupi Jakób“).

Frenkiel jest zupełnie wyjątkowym aktorem. Zazwyczaj podobają się *wszystkim* jedynie miernoty: człowiek wybitny miewa gorących przyjaciół — a nieraz — nierównie liczniejszych — wrogów.

Koło tyglów, w których się topią drogocenne kruszce talentów unoszą się złe opary nienawiści, niechęci, obmowy — marna sztuka zazdrostek.

To wszystko jest prawdziwem zwłaszcza w stosunkach teatralnych, gdzie powodzenie jest sprawą godziny, gdzie wartości tworzą się i rozsypują w proch łatwo, jak nigdzie, gdzie ciągła rywalizacja, gorączka, praca z dnia na dzień, karmi chore nerwy i chore ambicje...

A jednak Frenkiel podoba się wszystkim.

Nie zdarzyło, mi się dotychczas spotkać z krytyką niechętną... Wielki — pisze mu proza; Wielki! — woła gorąco widz teatralny; Wielki — przyznaje chętnie i szczerze brać aktorska.

Bo Frenkiel ma nietylko ogromny — talent, nietylko technikę niepospolitą: jest w każdym calu artystą, artystą najwyższej marki.

Wilno powitało w nim dziedzica wielkiej tradycji, spółcześnie pierwszego aktora polskiej sceny. Chcę wierzyć, że Wilno pozna się na Frenklu, zaś szereg kreacji, które nam daje, wykształcić może potrosze smak naszej publiczności, która zasadniczo ceni dramat, praktycznie jednak... woli wodewil.

Frenkla zobaczyliśmy po raz pierwszy w Geldhabie.

Komizm kapitalny, a dyskretny i szczegóły rzeźbione z finezją tak doskonałą, że techniki ich nie widzieliśmy zupełnie—oto był dorobek pierwszego wieczoru teatralnego, w którym nasz gość brał udział.

Dnia następnego, widzieliśmy niezrównanego Gorgonjusza z „Cyganerji Warszawskiej“ A. Nowaczyńskiego.

Z kolei przyszło „Orlę“.

Frenkiel-Flambeau porywał widownię mocą męskich, marsowych akcentów: nie tracił na chwilę stylu, był tak wstrzemięźliwym, tak pozornie skąpym w ekspozycji swej roli, że w pierwszej chwili zlekka zadziwił. W toku gry postrzegliśmy, jak postać wiarusa olbrzymieje... nocna warta w Schoenbrunn, scena z Metternichem, Wagram... były to sceny skończone, piękne, wzruszające, bo niezmiernie proste. Frenkiel każe nam wierzyć w każde słowo, które wypowiada; każe rozumieć, że każdy ruch, każdy giest jest celowym i jedynie koniecznym.

Ostatnie grano „Głupiego Jakóba“ Rittnera.

Postać Szambelana jest wogóle żywą i ciekawą.

Gra Frenkla... dalibóg! przeglądam moją recenzję i niemam co pisać dalej?

W krótkim feljetonie mam streścić wrażenia z czterech sztuk: cztery kreacje — to same superlatywy...

* * *

Nasza drużyna artystyczna spisuje się dzielnie. Widzimy usiłowania utrzymania się na poziomie jaknajwyższym — usiłowania — należy to przyznać — wieńczone przeważnie pomyślnym skutkiem.

Zacznę od p. Rommówny.

W „Geldhabie" grała jedyną kobiecą rolę — Florę.

Młodziutka artystka może sobie powinszować śmiało: doskonałe opracowanie, deklamacja wykwintna i stylowa zdobyły jej ogólny poklask.

P. Rommówna posiada nawet cenne zalety: głos ładny i dykcję niezwykle szlachetną—jak dla młodej aktorki—są to atuty nader cenne.

O wykonaniu „Cyganerji" i „Orlęcia" miałem sposobność pisać w swoim czasie.

Wznowiony „Głupi Jakób" zobaczył doskonałą grę p. Dąbrowskiej, którą oklaskiwano ogólnie w roli Katarzyny; panna Arkawinówna zagrała Hankę interesująco — naogół jednak nie powiem, by tym razem pojęła odtworzoną postać trafnie: nazbyt była salonową i wykwintną (zwłaszcza w ostatnim akcie).

Dobry był p. Czarnowski.

Wymienię jeszcze p. Węgierkę.

Natomiast p. Cornobis nie zachwycił nas wcale: „głupi Jakób" nie ma znaczyć wcale: „Jakób jest głupi..."

Zdzisław Kleszczyński.

ooooooooooo

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Zygmunt Balicki. *„Psychologja społeczna"*. Nakład autora i Kasy Mianowskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1912 r.

Nie mamy zaufania i przekonania do objętościowych książek, jeżeli nie są treści opisowej, która ma być wyczerpująca i szczegółowa. W przeciwnym razie albo autor sam siebie nie rozumie, albo nie umie jasno i krótko swych myśli wyrażać i z obawy, ażeby nie być zrozumianym przez czytelnika, wielosłownością usiłuje zastąpić jasność, osiągając zazwyczaj wyniki wręcz przeciwne zamierzonym. Czytając wstęp, nieufność nasza tylko rośnie, dowiadujemy się bowiem, że autor nie lubi posługiwania się faktami i opierania na nich swoich wywodów, uważając to za objaw „mikrologiki", będącej upodobaniem niemców. Rządząc się, jak się domyśleć należy, „mikrologiką", autor mało się troszczy o ugruntowanie podstawowego założenia, które jeżeli jest urojeniem, to obala całą żmudną pracę autora. Tem założeniem jest: czy istnieje swoista, odrębna psychologja społeczna? czy tak zwana psychologja społeczna nie jest czasem niczem innem, jak psychologją jednostkową, postawioną w warunki społecznego bytowania jednostki pod postacią spółżycia i spółdziałania? Za całe bardzo wątłe uzasadnienie założenia służy autorowi powołanie się na fakt mało sprawdzalny, na ten mianowicie, że ludzie, którzy zbiorowo wydali wyrok śmierci na Ludwika XVI, każdy, oddzielnie nie był za ferowaniem takiego wyroku.

Po takim wstępie autor przystępuje do bajecznie zagmatwanego i zawiłego wykładu, mającego pouczyć o prawach, rządzących psychologją społeczną. Jeżeli „mózg niemiecki" słusznie czy niesłusznie ma być wzorem i typem niejasnego, zawiłego rozumowania, to autor, jakby na urągowisko sobie samemu dał omawianą pracą exemplum nie słowiańskiego, ale właśnie niemieckiego mózgu. W swoim czasie w Rosji zadawano jako karę odczytywanie wierszy Tredjakowskiego. Być bardzo może, że odczytywanie ustępów „Psychologji społecznej" autora będzie używane w Polsce jako kara. Każdy ustęp to rebus konkursowy. Zagmatwanie to pochodzi stąd, że, czyniąc zadość potrzebom swego „dyplomatycznego" umysłu, autor wprowadza, bez potrzeby, jakieś elastyczne nowe definicje i terminy, których jedynym celem jest odebranie im cech przynależności do tej lub owej szkoły naukowej. Jeżeli autora rozumiemy, to uważa on nietylko istnienie psychologji społecznej za niewzruszony fakt, ale idzie znacznie dalej, gdyż jednostkową psychologję w takiej mierze uzależnia od społecznej, że ta pierwsza wraz z jej prawami jak gdyby całkowicie zanikała. Wadą autora, naszem zdaniem, jest również niedostateczne przygotowanie przyrodnicze, pozbawiające go nietylko jasności, ale i należytej orjentacji. Jeżeli książkę autora rozumiemy, to musimy oznajmić, że zawiera w sobie dużo słusznych twierdzeń i trochę bezwartościowych urojeń. To, co w niej jest słusznego, to już inni dawno krótko i jasno wypowiedzieli, a to, co w niej jest bezwartościowem urojeniem, to jest własną oryginalną improwizacją autora. Gdyby ktoś przetłumaczył na język jasny słuszne twierdzenia książki (pomijając oryginalne urojenia autora), które odgadywać trzeba dzięki zagmatwaniu ich przez autora, to książka byłaby użyteczna. Bez dokonania tej reparacji, ośmielamy się twierdzić, że ani dzisiejsze, ani przyszłe pokolenia czytać jej nie będą.

Alexy Kurcjusz.

Remigjusz Kwiatkowski. *„Chiakunin-Izszu"*—antologja stu poetów japońskich.—Nakł. Gebethnera i Wolffa 1912

Niedużego formatu, niezwykle wdzięcznie wydana książeczka. Mieści ona najsłynniejsze „uty" japońskie stu najznakomitszych poetów japońskich i poetek od VII do XIII wieku naszej ery. Redaktorem „Chiakunin-Izszu" — powiada w krótkim wstępie utalentowany tłomacz, p. Remigjusz Kwiatkowski,— był Teikakjo, żyjący około r. 1200. Porzuciwszy w 70 roku służbę dworską, zamieszkał w rodzinnej wiosce pod Ogurajamą, gdzie zajął się zbieraniem i redagowaniem utworów poetyckich. Korzystając z dawniejszych antologji, wybrał ostatecznie sto krótkich pieśni pióra stu najsławniejszych poetów i poetek i wykaligrafował je na „fusumach" czyli na papierowych przesłonach własnego domu w Ogurze. Podobno dom Teikakja zachował się do naszych czasów, więc obecnie liczy siedemset lat!

Zamiast wykładać czem jest uta, najlepiej przytoczyć jeden taki krótki wierszyk, który w oryginale nie posiada ani rymu ani rytmu, a przecież należy do najkunsztowniejszych form literackich. P. Remigjusz Kwiatkowski w przekładzie uty zastosował tryolet i, o ile możemy sądzić, a raczej... przeczuwać na podstawie przytoczonych w przedmowie oryginałów, zastosowanie p. Kwiatkowskiego jest szczęśliwe. Bądźcobądź tryoletowe uty p. Kwiatkowskiego posiadają delikatność subtelnych cacek japońskich, nerwowość najwykwintniejszych kwiatów nie znoszących innego dotknięcia oprócz dotknięcia wielbiącem spojrzeniem, kruchość kunsztownej porcelany i wielobarwność

chryzantemów. Oto przekład uty damy Sagami, poetki XI wieku:

Od łez zmokły mi rękawy,
zwisające u kimono,
martwią mnie miłosne sprawy,
od łez zmokły mi rękawy...
Pełnam lęku i obawy,
imię moje zniesławiono —
od łez zmokły mi rękawy,
zwisające u kimono.

„Chiakuniu-Izsza“ jest najpopularniejszą antologją w Japonji nietylko dla zalet artystycznych, ale również dlatego, że z tym zbiorem związana jest t. zw. „uta-garuta“ gra narodowa, w którą przed Nowym Rokiem grają japończycy.

„Gra w ute-garutę — mówi tłomacz polski i przedmówca—polega na tem, że uczestnicy rozdają pomiędzy siebie 200 kart, dwie talje po 100, których jedna zawiera początki kolejnych utworów antologji „Chiaku-Izszu“, a druga odpowiednie zakończenia. Ktoś, co nie bierze udziału w grze, odczytuje początki utworów, wyczerpując stopniowo pierwszą talję, a ci, któr y posiadają ich zakończenia, dorzucają odpowiednie karty. Kto pierwszy dorzuci wszystkie trzymane w ręku, otrzymuje pierwszą nagrodę i t. d. dopóki nie zostanie jeden tylko gracz z kartami, t. zw. „o-fukuro“ t. j. worek, i temu rzeczywiście śród ogólnej wesołości wkładają worek na głowę“.

Stawką w tej grze są owoce i słodycze.

Europejski poker nie ma nic wspólnego z poezją, chociaż bardzo wiele — z workiem.

W. G.

oooooooooooo

PRASA POLSKA.

— W „Gońcu“ warszawskim p. Wł. Studnicki w długim umotywowanym wywodzie obala rozpowszechnioną legiendę, jakoby Prusy żywiły zamiar zaboru Królestwa Polskiego.

Legiendę tę p. Studnicki uważa za pospolity straszak demagogiczny, stosowany z powodzeniem w celu stłumienia aspiracji odśrodkowych w społeczeństwie polskiem.

„Tymczasem w literaturze politycznej spółczesnych Niemiec, omawiającej zdobycze i ekspansję Niemiec na wsze strony, brak głosów, propagujących nowe zdobycze ziem polskich. Jeden tylko znany pisarz polityczny i statysta, Rudolf Martin, przewidujący powikłania w Rosji, twierdzi, że dojdzie do tego, że Królestwo Polskie zechce być przyłączone do Niemiec i temu życzeniu Królestwa Niemcy zadosyć uczynią.

Natomiast w bardzo popularnej w Niemczech książce Tannenberga, „Gross Deutschland“, propaguje się udzielenie Królestwa Polskiego Habsburgom, jako rekompensatę za niemieckie części Austrji, które mają wejść do Rzeszy, jako jedno z państw, przyczem otrzymać mają bardziej niemiecką w swych dążeniach dynastję. Literatura hakatystyczna, stale przesadzająca siłę odporności polskiej, dla uzasadnienia potrzeby nowych kredytów na cele giermanizacyjne, oraz nowych giermanizacyjnych zarządzeń, wytwarza śród społeczeństwa niemieckiego nastrój nieprzyjazny dla wszelkich nabytków ziem polskich“.

Rozpatrzywszy rzekomo zaborcze koncepcje pruskie z dawniejszych okresów i wykazawszy ich słabą wiarogodność, p. Studnicki bada następnie obecne warunki ekonomiczno-społeczne, które przeczą najwyraźniej możliwości przyłączenia Królestwa do Niemiec.

„Przed laty pięćdziesięciu proces niemieckiej kolonizacji zaboru pruskiego, a nawet Królestwa był naturalny, nie wymagający żadnego poparcia ze strony państwa. Samo Królestwo posiadało 6 proc. ludności niemieckiej, gdy dziś posiada około 3 proc. Niemcy nie miały tego szybkiego rozwoju przemysłowego, wzrastała i zagęszczała się w państwie ludność rolnicza i posuwała się ku wschodowi. W ciągu ostatnich lat trzydziestu kilku rozwój przemysłu pochłaniał niemal całkowicie przyrost naturalny Niemiec, ludność rolna nie zagęszcza się, materjału dla kolonizacji rolnej nie mają Niemcy i tylko miljardowemi wydatkami wbrew tendencji gospodarczej kolonizują Niemcy Poznańskie i Prusy zachodnie.

Przed pięćdziesięciu laty Królestwo Polskie miało około 40 mieszkańców na kilometr kw., dziś ma 98. Przed 50 laty Niemcy miały o dwudziestu mieszkańców na kilometrze kw. więcej, niż Królestwo, obecnie mają o 10. Uprzednio miały ludność rolną gęstszą, niż Królestwo, dziś mają rzadszą, gdyż dwie trzecie ludności spółczesnych Niemiec, są dziś ludnością miejską, na ludność miejską Królestwa przypada jedna trzecia jego ludności.

Przed pięćdziesięciu laty Poznańskie miało 48 mieszkańców na kil. kw. Prusy zachodnie — 47, a więc o kilku mieszkańców na kilometr kw. więcej, niż Królestwo, dziś gdy Poznańskie ma 72 mieszkańców na kil. kw., Prusy zach. — 67. Królestwo z 98 mieszkańcami na kil. kw. jest gęściej zaludnione, mogące je kolinizować w razie ich zcałkowania.

Polski pierwiastek w Prusach zachodnich, Poznańskiem, a nawet Śląsku i Prusach wschodn., zasilałby się ludnością z Królestwa i wypierałby niemiecki. Robotnik niemiecki byłby wypychany gospodarczo przez polskiego, poszłaby też kolonizacja rolna z Królestwa“.

„Przy gęstej ludności Królestwa nawet po podniesieniu produkcji rolnej tego kraju, niewieleby dostarczył on produktów rolnych Rzeszy niemieckiej. Niemcy nie potrzebują przez pół przemysłowego, gęsto zaludnionego kraju dla sweich celów gospodarczych. Im bardziej przydałby się kraj o słabem zaludnieniu i rolniczy, gdyż one potrzebują zwiększenia rolniczej podstawy dla swego gospodarczego rozwoju. Takim krajem nie byłoby Królestwo, ale raczej gubernja kowieńska i część kraju Nadbałtyckiego. Gdy się zabiera jaki kraj, to czyni się to dla wzmocnienia sił państwowych, stąd rację dla zaboru może mieć tylko prowincja, która będzie przez polityczne aspiracje swej ludności ciążyła do danego państwa, lub która posiada ludność o słabo rozwiniętej indywidualności narodowej, przez to możliwa do asymilacji, lub kraj, który jest tak słabo zaludniony, że może być przeniknięty całkowicie przez kolonizację narodu państwowego, dokonywającego podbój“.

Przytoczywszy jeszcze kilka mocnych argumentów na korzyść swego twierdzenia, autor konkluduje kategorycznie:

„Zaostrzenie kwestji robotniczej, wywołanie kwestji żydowskiej, a przedewszystkiem przekasowywanie stuletniego przeszło procesu giermanizajyjnego wschodnich prowincji państwa, nie uśmiecha się Niemcom. Polityka Niemiec korzysta z bogatego arsenału, dostarczanego przez naukę niemiecką, ekonomję, statystykę. Referaty Scholerów, Wagnerów, Weberów, Sombartów, rozważały niejednokrotnie kwestję tych, lub owych nabytków dla Niemiec, tej lub owej polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Wobec tego uważać należy za wykluczony zamiar Niemiec zaboru Królestwa“.

oooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Wiwisekcją nazywa nader trafnie „Przegląd Codzienny“ tę operację, której dokonywa obecnie dyplomacja europejska na Turcji.

Nota wystosowana do Turcji przez część mocarstw europejskich, przypomina piłowanie żywych kości. Skrzypiąc i świszcząc, wrywa się piła w żywe ciało i widz, który nie jest pozbawiony zmysłu historycznego, oprzeć się nie może fizycznemu wprost uczuciu wstrętu wobec tych męczarń ściganego przez fatum narodu...

Mocarstwa najspokojniej w świecie żądają od Turcji, by dobrodusznie położyła głowę swą pod nóż giljotyny... Niech i kat ma wygodę.

Delegaci bałkańscy nie byliby bardzie okrutni. Krótka nota jest tak w swoim lakonizmie bezlitośną, że nie znaleźlibyśmy jej podobnej w archiwum dyplomatycznem dotychczasowych wystąpień państw neutralnych.

Tak pisze „Neue-Freie Presse". I w samej rzeczy, niemi świadkowie tragicznego epilogu potężnego niegdyś państwa zwycięzkich Osmanów, stoimy w obliczu żywego zaprzeczenia całej tej cyniczno-obłudnej frazeologji, jaką posiłkować się lubi dyplomacja europejska. Widzimy naocznie, co znaczą wszyskie gwarancje, wszystkie obietnice, wszystkie zapewnienia.

Te same mocarstwa, które stopniowo i nieubłagalnie podkopywały fundamenty starej Turcji, które łaskawie protegując zakusy chciwej zysku finansjery, torowały jej drogę ku zupełnemu rozkładowi ekonomicznemu państwa Padyszacha; te same mocarstwa, które w sobie swych ambasadorów za każdą uzyskaną koncesję deklamowały tyrady o konieczności utrzymania status quo, nie tylko nie wypełniają swych moralnych zobowiązań—nie istnieją bowiem takowe w dziedzinie polityki, — ale prześcigają w trosce swej o ćwiartowanie nieszczęsnej Turcji naturalnych jej wrogów.

Na ostatnim międzynarodowym kongresie pokoju w Gienewie, wystąpienie delegata tureckiego przeciwko najazdowi włoskiemu na Trypolitanję pokryte było burzą entuzjastycznych oklasków. Między oklaskującymi było wielu dyplomatów, być może, tych samych którzy, obecnie przy zielonym stole w Londynie z zapamiętałością chirurgów wojennych dokonywają, bynajmniej nie dla celów naukowych, sekcji anatomicznej na żywym jeszcze człowieku.

I potem wszystkiem, cóż ma sobie myśleć przeciętny Abdullach czy Sulejman o słodkich słowach giaurów? Cóż pomyślą sobie setki miljonów muzułman o wartości tych haseł prawa, miłości i humanitaryzmu, jakim się szczyci kultura Europy?

Wszak jest jasnem, że ta rzekoma bezsilność mocarstw, gdy chodzi o obronę praw zwyciężonego ludu byłaby siłą nie do zwalczenia w każdym innym wypadku, w szczególności zaś, gdyby podłożem jej był dobrze upatrzony interes.

Okrojona z wszystkich stron Turcja, nie ma już nic dla nasycenia apetytów swych serdecznych opiekunów. Nie ma Egiptu, nie ma Trypolitanji, nie ma portów o znaczeniu strategicznem, nie ma kompensat, za które mogłaby ocalić Adrjanopol ze świętemi dla niej szczątkami kalifów.

To, co zostało, jest jej częścią najistotniejszą, żywem ciałem.

Naród ten jednak, opromieniony fanatyczną wiarą w moc proroka pragnie walczyć do ostatka i woli zginąć śmiercią bohaterską, niż żyć w wiecznem przeświadczeniu o dokonanym na sobie gwałcie.

Nic nie wskórają rozumne namowy mocarstw, wskazujących na niemożliwość prowadzenia dalszej wojny przez Turcję, grożących jej nawet bojkotem finansowym. Rozbudzony patryjotyzm turecki żąda odwetu i jeżeli Wielka Porta nie da mu do tego sposobności, będziemy świadkami nowej rewolucji, być może, bardziej owocnej dla nieszczęśliwego ludu, niż poprzednia.

ooooooooooo

KRONIKA.

= Z żałobnej karty.

W Wołożynie (pow. oszmiański) padł ofiarą epidemji tyfusu, niosąc pomoc innym, Leon Falski, lekarz i działacz społeczny niepospolitych zasług.

Leon Falski urodził się w Warszawie w r. 1868; tu ukończył nauki gimnazjalne i wstąpił do uniwersytetu. Arestowany w r. 1893, po 4 latach więzienia, został skazany na 5 lat zesłania do Syberji wschodniej.

Już na wygnaniu, gdy objął posadę felczera na kolei Zabajkalskiej, wiedzą, troskliwością i oddaniem się cierpiącym zyskał niezmierną popularność śród ludności miejscowej. W tamtych też stronach, w górach Chamar-Dabanu pełnił z ramienia Irkuckiego Oddz. Tow. Geogr. obowiązki zawiadowcy obserwatorjum meteoreologicznego.

Po powrocie, przeżywa okres burzliwy w kraju...

W r. 1906 wyjeżdża zagranicę, a następnie powraca i w Kazaniu uzyskuje dyplom lekarski.

Osiadłszy w Wołożynie z całem poświęceniem oddaje się pracy zawodowej, jednając sobie w krótkim czasie całą ludność miejscową. Gdy wybuchła epidemja tyfusu, gorliwie walcząc z chorobą, sam padł jej ofiarą. Gdy chorował — duchowni—jak pisze „Kuźnia" — wszystkich trzech wyznań: katoliccy, prawosławni i izraeliccy nakazali modlić się o jego wyzdrowienie, a gdy padł ofiarą swego obowiązku — na pogrzeb zebrały się tłumy wielotysiączne, żegnając go kwiatami

= Zgon.

W Petersburgu zmarł prof. Filewicz, jeden z najgorliwszych działaczów na polu rusyfikacji zachodnich kresów państwa. Będąc z pochodzenia unitą znał doskonale stosunki narodowościowe i wyznaniowe w Polsce, Litwie i Białejrusi i znajomość tę wyzyskiwał w celu tendencyjnego oświetlania kwestji miejscowych. Jego to zasługą podobno był projekt wydzielenia Chełmszczyzny.

Jednocześnie niemal przestało wychodzić w Petersburgu wydawane tam od siedmiu lat pismo tygodniowe p. t. „Okrainy Rossii", którego zmarły był stałym współpracownikiem. Pismo upadło z braku prenumeratorów.

= Kursa dla asystentów kontroli obór.

Departament rolnictwa asygnował wil. tow. rolniczemu zapomogę pieniężną na organizację 3-miesięcznych kursów dla asystentów kontroli obór. Towarzystwo urządza takowe kursa w majątku Kiena 10 wiorst od stacji tejże nazwy kolei Lipawskiej u p. W. Sławińskiego. Początek kursów 16 stycznia 1913 roku. Na kursa będą przyjmowani słuchacze, posiadający wiedzę, minimalnie w zakresie dwuklasowej szkoły ludowej, pierwszeństwo mają posiadający praktykę mleczarską i hodowli bydła. Kursa te mają na celu dać do krajowej hodowli bydła szereg umiejętnych asystentów kontroli obór, których brak dotkliwie w kraju odczuwamy. Opłata za naukę z całkowitem utrzymaniem 75 rb. winna być wniesiona zaraz po przyjęciu słuchacza. Na kursa będą przyjmowani fizycznie rozwinięci ludzie bez ograniczenia wieku, byle mogli wykonywać wszelkie prace fizyczne w oborach, mleczarniach i t. d.

Słuchaczom będą komunikowane wiadomości: botanika i fizjologja roślin, chemja, anatomja i fizjologja zwierząt, mleczarstwo, weterynarja poglądowa, nauka o hodowli bydła i karmieniu, o produktach pokarmowych, dozór bydła i obór. Związki kontroli obór i rachunkowość takowych. Oprócz tego praktyczne zajęcia trwać będą około 300 godzin. Zgłoszenia przyjmuje i bliższych szczegółów udziela sekretarjat wileńskiego towarzystwa rolniczego (Zawalna 9) codziennie, oprócz świąt, od 10 rano do 3 po południu.

= Rusyfikacja Finlandji.

Do rady ministrów wpłynęły dwa projekty w sprawie języka rosyjskiego w Finlandji. Jeden z nich ułożony został przez generał-gubernatora finlandzkiego, drugi przez senat finlandzki.

Generał-gubernator proponuje, by na urzędy senatorów oraz prokuratora Cesarskiego senatu finlandzkiego, gubernatorów i naczelników głównych zarządów oraz na urzędy etatowe w ekspedycjach i kancelarjach gospodarczego departamentu senatu, w zarządach gubernjalnych i w policji miejskiej mianowane były stopniowo i co pewien termin osoby, władające językiem rosyjskim, oraz by przy przyjmowaniu na służbę do wszystkich innych instytucji finlandzkich, dawano pierwszeństwo osobom, znającym język rosyjski. Po upływie zaś 7 lat od dnia zatwierdzenia projektu na urzędy etatowe nie powinny być zupełnie przyjmowane osoby, nie władające językiem rosyjskim. W swym projekcie generał-gubernator proponuje zarazem, by Cesarskiemu senatowi finlandzkiemu

przyznano prawo do przedsiębrania za zgodą gienerał-gubernatora wszelkich środków w celu wprowadzenia do podlegających mu instytucji, korespondencji i procedury w języku rosyjskim. Według projektu mają być wprowadzone czasowo urzędy tłomaczów, referentów i t. d., urzędnicy finlandzcy mają być wysyłani do Rosji w celu uczenia się języka rosyjskiego, mają być organizowane kursy języka szwedzkiego i fińskiego dla pragnących służyć w Finlandji rosjan. Projekt senatu jest prawie identyczny.

= **Petycja mongolska.**

Podczas odwiedzin delegacji mongolskiej rosyjskiego ministra spraw zagranicznych p. Sazonowa, temu ostatniemu delegacja wręczyła petycję zawierającą następujące punkty:

1) o utworzeniu stałego poselstwa mongolskiego w Petersburgu i poselstwa rosyjskiego w Mongolji;

2) o uzbrojeniu wojsk mongolskich w karabiny rosyjskie;

3) o ewentualnej obronie Mongolji przez Rosję w razie zaatakowania przez Chiny.

Pisma petersburskie donoszą, że p. Sazonow przyjął delegację bardzo serdecznie, ale żadnych obietnic nie dał.

= **Umorzenie sprawy.**

W Petersburgu mówią, że sprawa Kurłowa uważana jest za załatwioną ostatecznie. Kurłowa, Spiridowicza i Wierigina uwolniono od wszelkiej odpowiedzialności. Kulabko pozbawiony zostaje urzędu. Spiridowicz i Wierigin zaś pozostają na poprzednio zajmowanych stanowiskach. Kurłow otrzyma posadę w zarządzie pałaców Cesarskich, a nawet może powróci na dawne stanowisko. Wszystkim trzem postanowiono wypłacić pensję za czas śledztwa. Kulabko otrzyma ją w rozmiarze zmniejszonym a następnie na zasadzie amnesji będzie ponownie przywrócony na urzędowanie.

= **B. poseł.**

B. poseł do III Dumy, Kowalew (z prawicy), wstąpił do policji w Krasnojarsku, w charakterze stójkowego.

= **Uniwersytet warszawski.**

W tych dniach dokonano spisu studentów, farmaceutów i wolnych słuchaczów uczęszczających na wykłady warszawskiego uniwersytetu w b. roku szkolnym. Ogólna liczba studentów wynosi 2414, z których 1887 prawosławnych, 240 katolików, 236 żydów i 51 innych wyznań.

Na historyczno-filologiczny fakultet uczęszcza 544 słuchaczów, pomiędzy nimi znajdują się 532 prawosławnych, 9 katolików, 2 żydów i 1 ewangielik; na fizyczno-matematycznym fakultecie: 128 matematyków i 158 przyrodników, śród nich jest prawosławnych 207, katolików 19, żydów 55, a innych wyznań 5; na wydziale prawnym jest 957 studentów, pomiędzy nimi jest 770 prawosławnych, 70 katolików, 97 żydów, a 20 należących do innych wyznań.

Medycynę studjuje 627, studentów prawosławnych jest 378, katolików 142, żydów 81, pozostali 26 należą od innych wyznań. Farmaceutów jest 113, wolnych słuchaczów 2.

= **Statystyka wielkiej własności ziemskiej w Prusach.**

„Berl. Tgbl." podaje następującą statystykę wielkiej własności ziemskiej w Prusach Zachodnich: W ręku niemców znajduje się 414 większych majątków, obejmujących 341,340,051 hektarów. Polacy posiadają 97 takich majątków, obejmujących 59,781,002.

„Berliner Tageblat" dodaje taki komentarz: „Cyfry wykazują, jak mało przeciwpolska polityka kolonizacyjna rządu pruskiego przyczynia się do uzdrowienia naszych stosunków socjalnych, ponieważ nie obejmuje wielkiej posiadłości niemieckiej. Gdyby nawet rząd wykupił, lub wywłaszczył — o czem na razie niema mowy — wszystkie 97 majątków polskich, to i tak dopiero w bardzo nieznacznej części wielkiej posiadłości osiedliby niemcy. Jeżeli rząd chce osiągnąć skutek, to powinien rozpocząć również kolonizację niemieckiej wielkiej własności".

= **Nagroda Goncourt'ów.**

Do zeszłorocznej nagrody akademji Goncourt'ów w sumie 5,000 fr. stanęło dziesięciu kandydatów. Po siedmiu głosowaniach komitetu akademików, których jest, stosownie do życzenia fundatorów, tylko dziesięciu, okazało się, że jednakową liczbę głosów posiadają Juljan Benda i Albert Savignon. Ponieważ jednak Savignon zdobył głos prezesa Akademji, Oktawjusza Mirbeau, przeto jemu nagrodę przyznano. Dorobek literacki nowego literata niewielki — wydał dotychczas tylko jeden tom nowel p. t. „Les filles de la plute". Temi „córami deszczu" są kobiety z wyspy bretańskiej Quessant, gdzie Savignon spędził lata młodzieńcze. Obecnie mieszka on w Anglji, uprawia zawód dziennikarski a ma lat trzydzieści.

Książki nadesłane do redakcji.

Sławomir. *Prometeusze.* Powieść psychologiczna spółczesna. Kijów—Warszawa. Nakładem L. Idzikowskiego. 1912.

Prof. August Messer. Wstęp do teorji poznania. Przekład W. Zn. Warszawa 1912. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

Ada Werner-Silberstein. Wstęp do estetyki nowoczesnej. Część I. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

Zofja Kowalewska. *Obrazki mińskie 1850—1863.* Nakład księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie. 1912.

Poczet królów polskich podług kartonów Tadeusza Dmochowskiego z tekstem Jana Obsta. I. „Królowie Baśni". Wilno. Nakładem księgarni J. Zawadzkiego. 1913.

Adam Mickiewicz. Ballady, pieśni, bajki. Wydawnictwo ludowe Zygmunta Nagrodzkiego. Książeczka 12-ta. Wilno. 1912.

Dr. B. Margules. *W sprawie żydowskiej.* Warszawa 1912.

№ 50 — 52 „Przeglądu Wileńskiego" z dnia 20 grudnia 1912 r. uległ konfiskacie na mocy rozporządzenia komitetu prasowego.

Treść numeru.

1912 — 1913.

Gdzie szukać orjentacji?—M. R.

W pięćdziesiątą rocznicę.—Z. Polkowski.

Wierna rzeka.—E. Czekalski.

Słów parę o kwestji kobiecej. — E. Wielowieyska.

Walka z nędzą.—St. Posner.

Syndykalizm angielski. — R. Dołęga.

Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbicki.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.

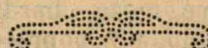
Przegląd piśmienniczy.—A. Kurcjusz i W. G.

Prasa polska.

Na Widnokręgu.

Kronika.

Odcinek: A. Janulaitis. O uniwersytet w Wilnie.



Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 19 Stycznia (1 Lutego) 1913 r. № 3.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie - - - 7.00
Półrocznie - - - 3.50
Kwartalnie - - - 1 75
Miesięcznie - - - 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie - - - 8.--
Półrocznie - - - 4.00
Kwartalnie - - - 2.00
Miesięcznie - - - 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
W tekście (nadesłane) - - - 1 rb.
Po tekście - - - 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

TANI PATRYJOTYZM.

Dopóki Galicja miała na sobie c. k. uniform, który od święta zmieniała na kontusz — dopóty stawiana była przez naszych polityków ugodowych za wzór dobrych manier i taktu.

Nie szczędzono społeczeństwu galicyjskiemu słów najwyższej pochwały za jego wyrobienie życiowe, za jego stanowisko lojalne, za jego rozwagę i niechęć do lekkomyślnych awantur. Jako przykład do naśladowania wskazywano na nie stale fermentującemu Królestwu.

Wówczas polityka stańczyków święciła w Galicji swe niepodzielne tryumfy. Kraj cały z małemi wyjątkami ulegał ich dyrektywom i kroczył posłusznie drogą wytkniętą przez Szujskich i Koźmianów.

Błogostan ten począł się psuć z chwilą, gdy gorętsze jednostki z Królestwa poczęły propagować ideję wszechpolską, walcząc z zasklepianiem się w sztucznych ramach podziałowych.

Pod wpływem tej ożywczej—w przeciwstawieniu do lojalizmu stańczykowskiego—propagandy, w Galicji rozpoczął się ruch opozycyjny przeciwko dotychczasowej supremacji idejologji szkoły krakowskiej. Rozbudzone życie polityczne, na co zresztą się złożyły i inne czynniki, jak powszechne prawo wyborcze, nie mogło się już zmieścić w ciasnym obrębie spraw lokalnych i zaczęło się wylewać po za granice czarno-żółtych kordonów.

Promotorzy tego zjawiska, dawni irredenci z przerażeniem musieli stwierdzić, że niebacznie wszczęty przez nich ruch nie chce się zatrzymać na tym punkcie, gdzie za słowem następuje czyn i rzucili się do tłumienia rozpalającego się szybko pożaru.

I oto obecnie dawni spółzawodnicy, zaciecie się zwalczający — siłą rzeczy zmuszeni zostali do podania sobie dłoni i znaleźli się w jednym obozie.

Zakorzenione nawyki, pewne zobowiązania, nieostrożnie za dawnych czasów przyjęte, wreszcie niewyrównane jeszcze uprzedzenia —dzielą nieraz obecnych sojuszników, wywołając nawet komiczne nieporozumienia — na jednym punkcie jednak panuje niezakłócona harmonja, absolutna zgodność poglądów i działań.

Gdy chodzi o zohydzenie „czerwieńców" galicyjskich.

Na naszym gruncie w akcji tej dzielnie się wspierają wzajem p. p. J. Hł. i W. B-ski, niejednokrotnie w innych wypadkach spoglądający na siebie spodełba.

W metodach się, rzecz prosta, różnią zasadniczo.

P. J. Hł., jako bardziej ostrożny i przebiegły, dyskredytuje wobec swych czytelników obecny nastrój galicyjski, dopatrując się w nim czynników podejrzanych: inspiracji biurokracji wiedeńskiej, machinacji spekulantów żydowskich, dążących do osłabienia ekonomicznego kraju, sprytnej taktyki nieokreślonych bliżej wrogów narodowych, pragnących odwrócić uwagę społeczeństwa od walki z rusinami i t. p.

P. W. B-ski natomiast jest bardziej impulsywny. Przeraża go wzrost żywiołów radykalnych w Galicji, upadek polityki oportunizmu i z rozpaczą załamuje ręce, wołając gromkim głosem: biada narodowi, biada! Sprawie polskiej grozi straszne niebezpieczeństwo galicyjskie!

Polegać zać ono ma na tem, że „hamulce, powściągające do niedawna porywy nieopatrzne absolutnie osłabły" i że „odporność wobec „czerwonych" również niesłychanie osłabła".

Czemuż przypisać należy tę zmianę? P. W. B-ski z goryczą stwierdza, że „fakt stanięcia przeciw sobie oddawna do boju rwących się obozów: Austrji i Rosji, zaważył na ukształtowaniu się stosunków galicyjskich w dwuch kierunkach: z jednej strony zapewnił grupom rewolucyjnym polskim coś w rodzaju poparcia ze strony rządu wiedeńskiego, z drugiej — odebrał możność kołom umiarkowanym przeciwdziałania konspiracji, uznanej poniekąd i zaaprobowanej jako państwowo pożyteczna przez sfery rządzące. Z kolei wmieszał się w grę lojalizm austrjacki galicyjskich polaków i przesadna ich wiara w Austrję..."

Oto mamy wymowne stwierdzenie słuszności przysłowia, że kij ma dwa końce.

Przez tyle lat ugodowcy zalecali taktykę lojalną i wskazywali na Galicję, jako kraj klasyczny, gdzie taktyka ta stosowana konsekwetnie zapewnić miała niezwykłe korzyści narodowi, i nagle ten sam loja-

lizm staje się niebezpieczeństwem, objawem szkodliwym i groźnym!

Tajemnicę tej niekonsekwencji wykryć nie trudno.

Dopóki rząd austrjacki popierał stańczyków i trwał w błogiem status quo, wymagając od społeczeństwa polskiego wyłącznie spokoju, posłuszeństwa i bierności, dopóty zasada „przy Tobie, Panie, stoimy" była czczona przez ugodowców jako jedynaste przykazanie. Z chwilą jednak, gdy ten sam rząd zainicjował politykę czynną i skutkiem tego musiał się oprzeć na żywiołach bardziej ruchliwych, stanowisko lojalne galicjan w tych samych kołach spotyka się z ostrą naganą.

Czy słusznie jednak upatrują publicyści z obozu endo-ugody w obecnym ruchu galicyjskim głównie jeżeli nie jedynie niesumienną robotę wiedeńską?

Czy nie jest to poprostu zrządzenie losu, że aspiracje „elementów nieprzejednanych" zbiegły się z widokami rządu austrjackiego? I czy w takim razie wolno oskarżać ruch galicyjski o wysługiwanie się Wiedniowi?

Nic łatwiejszego jak zakwestjonować wszelki wyraźny czyn, rzucić nań posądzenie o lekkomyślność i szkodliwość. O wiele trudniej przeciwstawić mu własną koncepcję i wykazać jej większy pożytek.

Być może zresztą, że robota galicyjska jest lekkomyślna i zbyt przesadne nadzieje pokłada w Austrji. Należy w takim razie prócz gołosłownej krytyki wysunąć inny jakiś, również wyraźny postulat i dowieść jego zbawienności.

Siedzenie z założonemi rękami i wyczekiwanie na wypadki nie może wszakże wystarczyć społeczeństwu o niezużytym jeszcze organizmie i pewnym, chociaż nadwątlonym zasobie energji.

Publicyści, deklamujący o „niebezpieczeństwie galicyjskiem" powinni jasno i niedwuznacznie się wypowiedzieć na co i na kogo rachują, jaką zalecają busolę społeczeństwu, do jakiej przystani chcą skierować nawę narodową. Robota galicyjska może jest błędną i w skutkach swych zawodną, ale bądź co bądź pobudza narod do czynu, opiera swe rachuby może na mylnych, lecz konkretnych podstawach.

Dyskredytując ją, należy wskazać inne drogi postępowania, ukazać inne, bardziej zachęcające i ponętne perspektywy. Pozytywnych jednak wysiłków w tym kierunku jakoś nie widać.

Kwestja polska staje się obecnie tematem aktualnym. Raz po razu poruszają go pisma rosyjskie. Czemuż politycy nasi „trzeźwi i umiarkowani" nie zabiorą głosu i nie sformułują swych postulatów, któremi by mogli zaszachować tendencje galicyjskie? Społeczeństwo zapewne chętnie by za nimi poszło, widząc przed sobą wytkniętą drogę. Niebezpieczeństwo dałoby się zażegnać wówczas o wiele skuteczniej, niż za pomocą wydrwiwania i szkalowania „demagogizmu" galicyjskiego.

P. J. Hł. oburza się na przypuszczenie, że nam tu przypadnie rola jeno widzów. P. J. Hł. chciałby odegrać bardziej czynną rolę..., dorzucić własne słowo na szalę wypadków. Wyręcza go na razie p. W. B-ski. Ale jeżeli takie tylko głosy mają się rozlegać z nad Wilji, to czy nie lepiej postokroć milczeć? Bo nie wychodzi z roli widza ten, kto swój czynny udział redukuje do dawania jeno oklasków—lub... sykania.

Tani to, bardzo tani patryjotyzm!

Trudno się zresztą dziwić politykom ugodowym, gdy nawet postępowa „Prawda" rozdziera szaty nad rzekomym egoizmem Galicji i *w tej chwili* właśnie zarzuca, że spojrzenia jej nie wzdłuż Wisły biegną, lecz nad brzegi Dunaju, że zamiast dośrodkowej, polskiej hoduje w sobie dążność odśrodkową...

A gdy się czyta i słyszy wszystkie te lamenty, wyrzekania i obawy—chętnie powtórzymy za „Prawdą" jej wymowną skargę:

„Oto rysuje się i rozpada na części dusza polska; coraz wyraźniej łamie się i rozpada; coraz dalej od siebie samej odchodzi po linjach odśrodkowych w obce strony. Gdy tedy ostatnią budowy jednolitej tracimy osnowę, trwogą ściska się serce na myśl o straszliwym a jakże niedalekim progu tej przyszłości, w której pytać zaczniemy siebie nawzajem: „gdzie jest Polska? Powiedzcie, gdzie jest Polska?"

L. Abramowicz.

A. JANULAITIS. 2)

O uniwersytet w Wilnie.

(1832—1872).

1) zrównanie miejscowej szlachty z rosjanami w prawach służbowych, 2) *otwarcie w Wilnie uniwersytetu*, 3) amnestja dla powstańców 1831 r., 4) zmniejszenie akcyzy na wódkę, która była w dodatku rozwodnioną. To ostatnie żądanie motywowano interesami włościan, o których dobrobyt im chodziło. Na 5 sesji, 11 paźdz. rozpatrywano projekt adresu do cesarza. Autorem jego był Kazimierz Piasecki, wileński marszałek powiatowy, właściciel Szyrwint*). Do adresu włączono tylko te II punkty, a III i IV polecono załatwić marszałkowi gubernjalnemu (czyli „gubernskiemu" jak go nazywano).

Również nie chciał sejmik rozwiązywać propozycji rządowej o zapomogę dla biednej szlachty, kształcącej się na oficerów i wybrał odpowiednią komisję.

D. 20 paźdz. sejmik wskutek przedłożenia komisji odrzucił propozycję rządu, motywując krok ten brakiem środkow wskutek nieurodzajów.

Na tejże sesji rozpatrywano ewentualną sprawę wyborów do deputacji adresowej, gdyby takowa dla podania adresu była potrzebną. Miano wybrać Oskara Milewskiego, Michała Balińskiego, Aleksandra Domejkę i ks. Ireneusza Ogińskiego, nieobecnego na zebraniu. Milewski się nie zgodził, Ogińskiego kandydaturę cofnięto; wybrano zamiast nich Jana Lubańskiego. Więc Balińskiego, Domejkę i Lubańskiego sejmik upoważnił do wręczenia, poparcia i uzasadnienia adresu, gdyby rząd zwrócił się do deputacji.

Lecz do deputacji nikt się nie zwracał.

Marszałek doręczył adres w zapieczętowanej kopercie gien.-gub. Bibikowowi. Ten przesłał go do ministra spraw wewnętrznych dla doręczenia Cesarzowi. Prócz tego przesłał do Petersburga kopję wszystkich uchwał sejmikowych, nie tylko tych, które były objęte przez adres. W Petersburgu znaleziono

*) Z archiwum „Bibljoteki Wróblewskich", gdzie się przechowuje oryginał.

Rozłam w Towarzystwie Kultury Polskiej.

W łonie Warszawskiego Towarzystwa Kultury Polskiej, założonego przez Świętochowskiego, przed kilku dniami nastąpił rozłam, który nie był zresztą niespodzianką. Od dłuższego czasu bowiem widocznem było ścieranie się tam dwuch prądów idejowych: postępowego, na czele którego kroczył Aleksander Świętochowski oraz skrajnego, którego leaderem był Ludwik Krzywicki.

W tem tkwi przyczyna rozłamu. Powód był inny. Dostarczyła go aktualna obecnie kwestja żydowska. Postępowcy postawili wniosek, że „do Towarzystwa należeć mogą wyłącznie polacy bez różnicy wyznania i pochodzenia“. Wniosek ten na propozycję p. Rotwandowej został odrzucony nieznaczną większością głosów. Przeciwnicy wniosku byli tego zdania, że nie należy zamykać bram instytucji kulturalnej przed nikim, kto się do niej garnie, innemi słowy, nie mieli nic przeciwko przyjmowaniu na członków tych żydów, którzy się za polaków nie uważają.

Przebieg zebrania był niezwykle burzliwy. Roznamiętnienie obustronne dochodziło do takich granic, że przewodniczący p. W. Makowski z trudem mógł utrzymać porządek. W rezultacie przedstawiciele kierunku „lewicowego“ zwyciężyli. Zarząd dotychczasowy ustąpił, część delegatów prowincjonalnych opuściła salę i Świętochowski twórca i założyciel Towarzystwa manifestacyjnie się zeń usunął.

Wydarzenie to niezmiernie żywo jest komentowane w prasie polskiej. Ze sprzecznych głosów trudno wyłowić istotną prawdę, trudno też wydawać w tej kwestji ocenę bezstronną—z oddali, nie znając wszystkich szczegółów zakulisowych, które niewątpliwie odegrywały tu niepoślednią rolę.

Nie ulega wątpliwości tylko, że fakt sam jest nader smutny, świadczący o zaciętości wojny domowej, która się toczy obecnie na terenie warszawskim.

Z tego też punktu widzenia ocenia go „Kurjer Poranny“, który zajął stanowisko najbardziej objektywne bodaj z całej prasy warszawskiej.

„Od pierwszej chwili — pisze „Kurjer Poranny“—wojnę domową, jaka się u nas obecnie toczy, uważaliśmy za wielkie nieszczęście publiczne. Wywołali ją żydzi i prowadzą ją z zaciętością i zaślepieniem, nad wszelki wyraz dla nich samych groźnem. Nie zamykamy oczu na złe strony analogicznego roznamiętnienia i po naszej stronie i wiemy, że koszta w osłabieniu narodowem, jakie ta wojna z konieczności dla nas pociągnąć musi, są olbrzymie. Nawołujemy do pokuju pod warunkiem czci dla naszych sztandarów. Jest to oczywiście w runek nieodzowny. Wrogowie obustronnych nacjonalizmów powinni nad takim pokojem pracować“.

. . . .

„W prasie warszawskiej rozległ się z powodu przesilenia w Towarzystwie Kultury Polskiej jeden tylko okrzyk radości.

Jedynym mężem, którego szlachetna pierś wezbrała radością jest nadprokurator narodowej demokracji i wydawca dwugroszowej najtańszej polskości p. A. Sadzewicz. Radości dał folgę nie w wydaniu ludowem swojego organu, ale w jego wydaniu oficjalnem, przeznaczonem dla tych, którzy mogą płacić drożej za ten sam towar przędzy „jedynie prawdziwej“ myśli publicznej.

„Postęp polski poniósł wczoraj porażkę zupełną“ — czytamy w sprawozdaniu p. Sadzewicza w „Gazecie Warszawskiej“. „Bądź co bądź dobrze się stało; raz przecie i to wyraźnie oddzieliła się kultura polska od kultury żydowskiej, raz wreszcie skończyła się ta potworna symbioza“... „Postęp polski przegrał, bo nie czuł i nie widział, że nowe czasy idą pod gwiazdą nacjonalizmu, aż żydowski nacjonalizm obudził ich boleśnie ze słodkiego uśpienia“. Czy nie słyszycie w tych słowach dumnej przechwałki: „Patrzcie i dziwcie się! To moje dzieło i moich politycznych przyjaciół! My to zapaliliśmy na polskim widnokręgu tę gwiazdę nacjonalizmu, która świeci nad moją głową i nad głową równego mi boga na drugiem słońcu, kolegi Jackana. Gdyby nie my, gdyby nie ja, gdyby nie Roman Dmowski, czyżby doszło do tego, do czego

---

że szlachta na sejmiku rozpatrywała sprawy dotyczące nie tylko gubernji wileńskiej lecz, i takie, które dotyczą zachodnich gub. wogóle, przyjęto adres z niezadowoleniem, zwrócono go w nierozpieczętowanej kopercie *). Jakie wymaganie wywołało niezadowolenie — czy kwestja akcyzy na wódkę, czy też poruszone sprawy polityczne i kulturalne—trudno jest dzisiaj określić. Bądź co bądź amnestja wkrótce była daną; kwestję zaś uniwersytetu rozpatrywał, jak zobaczymy niżej, sam rząd.

Wkrótce nastąpiły zmiany w administracji Litwy. Miejsce Bibikowa zajął nowy gien.-gub. Nazimow, człowiek miękkiego charakteru, ugodowo usposobiony, osobisty przyjaciel Cesarza, który nieraz umiał zręcznie wykonywać Jego wolę, nadając jej czasami charakter prośby ziemian.

Z instytucji naukowych utworzono jedną w r. 1856. Znany archeolog hr. E. Tyszkiewicz uzyskał pozwolenie i utworzył Towarzystwo Archeologiczne i Muzeum, które egzystowało do 1866 r. Zamknięte zostało z powodów politycznych. Była to jedyna instytucja naukowa na Litwie.

W roku 1858 d. 6 i 7 IX, Cesarz Aleksander II odwiedził Wilno. Deputacji wówczas nie było żadnej. Tylko literaci i uczeni wileńscy w gmachu Towarzystwa Archeologicznego doręczyli Mu książkę zbiorową, napisaną w językach: rosyjskim, polskim, francuskim, białoruskim, litewskim. Autorami byli: Kirkor, Malinowski, Odyniec, Chodźko, Akielewicz, Korotyński. Radośnie witano tutaj przybycie Cesarza i wysławiano Jego dobrodziejstwa.

O uniwersytecie wtenczas nie było mowy.

Ale już na miesiąc przed przybyciem Cesarza d. 19 sierpnia zakomunikował Nazimow gub. marszałkowi guberjalnemu o swoim projekcie *Wyższej Szkoły Realnej* w Wilnie. Według tego projektu miały być 3 wydziały, niezależne jeden od drugiego — rolniczy, mechaniczny i architektoniczno - gieodezyjny. Kurs miał być 5-letni. Prawo wstępu mieli posiadać ci, którzy ukończyli gimnazjum. Ukończenie nauk w wyższej szkole Realnej wileńskiej miało dawać prawa większe niż szkoła Rolnicza w Hory-Horkach i niemniejsze od tych, jakie dawał Instytut Rolniczy tamże. Nowy zakład naukowy przeznaczony

*) Bibikow zawiadomił o tym wileńskiego gub. marszałka 16. XII 1855. № 14366 (archiwum „Bibl. Wróblewskich“).

dziś doszło! Czyż żydzi poważyliby się dysponować mandatem warszawskim, czyż przyszłoby im do głowy odbierać charakter polski Towarzystwu Kultury a wtedy — czyż postęp polski nie miałby swobodnego pola do pracy nad rozpędzaniem mroków obskurantyzmu, czyż byłby wypierany z stworzonych przez siebie placówek przez naszych wiernych naśladowców mojżeszowego wyznania, tak dzielny przynoszących nam sukkurs w tamowaniu rozwoju postępowej myśli polskiej i w odpieraniu jej wpływu na rozwianie atmosfery piwnicy i kruchty, w której nam tak błogo i swojsko? Doprawdy—zdaje się wołać p. Sadzewicz — na kolana przed gienjuszem Dmowskiego, który gdzie sam nie mógł, tam panią Rotwandową posłał, siostrę po duchu w sąsiedzkiej narodowej-demokracji żydowskiej... Precz, postępowcy! Nowe czasy idą pod gwiazdą nacjonalizmu. Już się ma pod koniec nadziejom panowania światła w Polsce! Do mnie i do Jackana należy przyszłość"!

Jesteśmy najgłębiej przekonani, że p. Sadzewicz ulega złudzeniom politycznego manjactwa. Obecne orgje nacjonalizmu, zaperzonego, skłóconego, krwiookiego, wpadającego w szały konwulsyjne, świadczą raczej o przesilaniu się tego trądu dusz w świecie spółczesnym. Wicher jego hula po naszych zdziczałych grządkach dla tego tak bujnie, że znalazł tu zachwaszczoną równinę cmentarną bez żadnej twierdzy, o którąby mógł się rozbić. Na gmach Kultury Polskiej, o którym marzył Świętochowski, dopiero pierwsze stawiano cegiełki; wicher nacjonalizmu pani Rotwandowej i jej spółplemieńców rozrzucił je. Trzeba będzie je ustawiać na nowo pod tym samym sztandarem humanitarnej polskości, który stał się powodem nienawiści swojskiego nacjonalizmu i wściekłego ataku nacjonalizmu napływowego. I ten gmach stanie, jak miłym nam jest nasz język ojczysty, jak drogą nasza ziemia, jak umiłowaną przeszłość i przyszłość! Ten gmach stanie i stać będzie długo jeszcze wtedy, kiedy się już będzie opowiadać o dmowszczyznach i o jackanizmach, jak się dziś mówi o kannibaliźmie ludów pierwotnych.

Postęp polski nie przegrał wczoraj, nie poniósł porażki. Przeciwnie, jeżeliby tylko o jego szło interes partyjny, dzień ten może zapisać jako dzień swego niesłychanego moralnego tryumfu. To co p. Sadzewicz nazywa „skończeniem się raz wreszcie potwornej symbiozy", to jest tylko rozpryśnięciem się tego ogromu kłamstw i potwarzy, jakie dokoła haseł i dążeń polskiego postępu rozsnuła w najpotworniejszej legiendzie zła wiara nacjonalistycznych paszkwilantów. Aleksander Świętochowski ani jednem słowem nie przestał być onegdaj wiernym sobie i temu wszystkiemu, co postęp polski zawsze głosił: a przecież p. Sadzewicz wiedząc o tem, co Świętochowski pisze, czuje i myśli nazywał go systematycznie zżydziałym wrogiem polskości. Nie jest wykluczone, że tak samo nazwie go przy najbliższej zdarzonej sposobności, gdy Świętochowski znowu kiedy przywoła do porządku tę jedyną prawdziwą polskość, która ma na monopolowym składzie firma Dmowski, Sadzewicz i S-ka. Obecnie p. Sadzewicz ciężko wykształca uznanie dla „Nestora postępu polskiego i oddanego działacza społecznego", a wraz z nim i cały chór prasy reakcyjnej, której czytelnicy, jeżeli myślą i pamiętają cokolwiek, zapytać muszą swoich redaktorów: „dlaczegoż tedy łgaliście tyle lat, że Świętochowski stoi po za nawiasem polskości"! Największym tryumfem dla człowieka czynu, jest pochylenie przed nim głowy przez wroga, który wie, że nietylko był nim wczoraj, ale że pozostanie nim także i jutro. Trudno też o większy tryumf moralny, niż ten przez jaki obecnie przechodzą przywódcy polskiego postępu.

Przegrana, jeżeli jest, to tylko wspólna chwilowa przegrana polska w walce z nowym wrogiem, nad którego stworzeniem i uzbrojeniem politycznem pośrednio pracowała przedewszystkiem i pracuje bodaj do tej pory nasza nieszczęsna endecja. We wspólnym z tym wrogiem szeregu postępuje kilku ludzi, którzy jak Korjolan „wciąż mieli na myśli szlachetną żądzę honoru i sławy; wielkością duszy bogom chcieli zrównać, powietrzne sklepy rozdzierać piorunem". Ci, którzy ich wysoce cenią mogą tylko powtórzyć to, co mówi Wolumnia: „Albo musimy ojczyznę utracić, tę karmicielkę drogą, albo ciebie; którebądź z naszych życzeń się wypełni, z którejbądź strony wypadnie zwycięstwo,

---

był na 4 gubernje. Kończąc swój komunikat, Nazimow dodawał, że gdyby ziemiaństwo zgodziło się dawać rocznie po 12.500 rub., to starał by się o urzeczywistnienie tego projektu.

Projekt ten gien.-gub. omawiał z niektórymi ziemianami, dla tego też był on przyjęty natychmiast na posiedzeniu z d. 26. I. 1859. Ze swojej strony ziemianie dodali prośbę, aby do tego zakładu przyjmowano nie tylko szlachtę, ale i ludzi innych stanów. Co zaś do zasobów pieniężnych, to decydującej uchwały nie powzięto.

W kilka dni po tej sesji, po odczytaniu protokułów 20 stycznia, część delegatów zauważyła, że chociaż wyższa szkoła Realna byłaby wielkim krokiem naprzód, nie daje wszystkiego, co było by dla kraju potrzebne. Szkoła Realna podniesie rolnictwo i przemysł, lecz nie zadowali innych potrzeb duchowych, szczególnie szlachty i prosili o dodanie do 3 wydziału jeszcze dwuch: prawa i literatury, ale wyłącznie dla młodzieży szlacheckiej. Lecz sejmik d. 26. I odrzucił tę propozycję i dla tego Żukowski i inni w liczbie 8 ludzi zgłosili swoje votum separatum.

* * *

Radykalniejsze elementy śród ziemiaństwa nie były zadowolone z biernego zachowywania się ogółu. Protestowały przeciwko temu, że nie skorzystano z obecności Cesarza w 1858 r. i nie podano żądań politycznych. Dlatego skorzystać chciano z powtórnej bytności Cesarskiej w Wilnie w r. 1860. Rej wodzili tu niektórzy obywatele w gub. kowieńskiej i nalegali na wileńskich. Wypracowali projekt adresu do Cesarza, w którym między innemi punktami, dotyczącemi natury politycznej, był punkt o utworzeniu uniwersytetu w Wilnie. Wilnianie projekt adresu przyjęli. Zamierzano podać adres na balu. Nazimow wszakże chciał uniknąć nieprzyjemności mogących stąd wyniknąć i sam bal został odwołany. Rozpatrywano jeszcze tekst adresu. Znany już nam K. Piasecki wystąpił znowu ze swoim projektem zmiany akcyzy na wódkę, wywołując tem ogólne oburzenie. Zmniejszano punkta żądań, ktore zredukowano wreszcie do jednego punktu — uniwersytetu w Wilnie. Nazimow zgodził się na ten punkt, miał przedłożyć go Cesarzowi z warunkiem, że żadnegu adresu ziemiaństwo nie poda, a prośby dołączone złoży marszałek gubern. Domejko. Adres nie był podany, lecz Cesarz wiedział o nim i dla tego wyraził swoje niezadowolenie

cierpienie tylko naszą będzie dolą, bo lub ty synu jak wróg przeniewierny, w więzach po naszych przeciągniesz ulicach, lub jak zwycięsca nasz gruz będziesz deptał"...

Co do tryumfu jednak postępu polskiego, o którym wspomina „Kurjer Poranny", można mieć poważne wątpliwości. Niewątpliwie bowiem przechodzi on w tej chwili ostry kryzys, którego skutków przewidzieć na razie niepodobna.

ooooooooooo

NAD WARTĄ.

Teatr poznański.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.").

Dwa są teatry w Poznaniu.

Jeden — pyszny, wielki, przez lwy kamienne strzeżony, majestatyczny portyk swój wznosi w najwidoczniejszym punkcie nowej, wspaniałej dzielnicy. Drugi—mały, ubogi kryje się skromnie w podwórzu kamienicy dochodowej, jakby nie chciał niczyjej zwracać na się uwagi.

Pierwszy — to „świątynia sztuki" butnych najeźdźców; drugi—gospodarzy kraju.

Ten ostatni wystawił „naród sobie" i dumny ten napis umieścił nad bramą domu... od strony podwórza.

Wnętrze dość ładne, schludne, jak odświętny strój bamberki — i miniaturowe. Ot, takie mniej więcej, jak starego teatru zimowego w Wilnie. Lecz pamiętać trzeba, że Poznań ma więcej polaków, niż Wilno; a pozatem znacznie większa ich część stanowi publiczność teatralną. W Wilnie scena opiera się przedewszystkiem na inteligiencji; w Poznaniu — na masach drobnomieszczaństwa, nierzadko nawet z domieszką kulturalnych włościan.

To też względnie często trafiają się dni, w których teatr bywa przepełniony. Szary tłum zalega wówczas wszystkie możliwe miejsca, tłoczy się w lożach, przejściach i galerjach nienumerowanych.

Budowa więc nowego, większego teatru jest pilna. Pozwolenia jednak w żaden sposób uzyskać nie można. Fundusz jest, leży, czeka. Czeka na lepsze czasy, które przecież nie nadchodzą.

Ten fundusz zebrany i leżący jest już do pewnego stopnia miarą stosunku społeczeństwa tutejszego do teatru, który prawdziwie stał się jego potrzebą żywotną. Jak wyraziście jest ona rozumiana, wskazują warunki umowy, zawieranej między dyrekcją a towarzystwem popierania sceny. To ostatnie wymaga przedewszystkiem, by teatr był możliwie jak najtańszy. I rzeczywiście, miejsce najdroższe (przy cenach operowych) kosztuje tu 5 m. 80 fen. — to znaczy rb. 2, kop. 67. Ceny miejsc, których używają szersze masy, wahają się od 9 do 52 kop.

Żądając popularności teatru, towarzystwo odpowiednio go jednak subsydjuje. Prócz 30 tys. marek rocznego zasiłku, dyrekcja otrzymuje bezpłatnie gmach, dekoracje, kostjumerję i bibljotekę. Subsydjum wypłacane jest z dochodów, jakie daje kamienica, otaczająca teatr, a wystawiona ongi przez towarzystwo popierania sceny na placu, ofiarowanym bezpłatnie przez hr. Potockiego.

Kwestję więc, jak widzimy, załatwiono nadzwyczaj praktycznie i dziwić się należy, czemu to inne miasta nasze nie kwapią się z naśladowaniem tego doskonałego wzoru.

Przyzwoite subsydjowanie sceny poznańskiej i utworzenie stałego źródła zasiłku, nietylko byt teatru mocno utrwaliło i uniezależniło od okoliczności przypadkowych, ale dało też możność stawiania dyrekcjom uzasadnionych wymagań natury artystycznej i społecznej. Wymagania takie, jak wiemy, w zasadzie stawiać jest bardzo łatwo; łatwo jest np. czynić przedsiębiorcy teatralnemu wymówki, że schlebia gustom tłumu i obniża poziom repertuaru. Daleko natomiast trudniejsze bywa dawanie mu materjalnej możności nieliczenia się z tym gustem bez ponoszenia ofiar, których nikt nie ma prawa od niego żądać.

Postawiwszy kwestję na gruncie racjonalnym, polski Poznań zdobył teatr, ściśle przystosowany

---

z powodu tajnych zebrań i żądań nieodpowiednich. *)

Domejko i dalej bronił sprawy uniwersytetu. Stojąc na uboczu od ruchów politycznych i nawet wrogo względem nich usposobiony, nie omijał okazji bronienia tej sprawy, której potrzebę uznawał. W ankecie, zarządzonej przez ministra oświaty Gołowina, podał swój głos, udowadniając, że szkoła początkowa ma się posługiwać językiem ludowym, gimnazja i uniwersytet — tylko polskim. Był on przekonany, że uniwersytet będzie: „rząd ma się rozumieć, napewno go nam zwróci", powiadał w swojem gronie Domejko. *).

W następnych latach nie mogło być mowy o żadnych wyższych zakładach naukowych. Powstanie przerwało wszelką pracę. Szlachta już nie zbierała się na sejmiki. Dokonany przewrót społeczny — zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie chłopów —pchnęło życie na nowe tory.

Nazimow opuścił Wilno. Jego miejsce zajął M. Murawjew. Po stłumieniu powstania, po zakończeniu reformy włościańskiej, sam podjął kwestję uniwersytetu w Wilnie.

Cała ta praca, którą zamierzał i już wykonywał Murawjew, wymagała ogromnej ilości nowych ludzi, bo dawniejsi urzędnicy i nauczyciele usunięci zostali. Musiał tedy ich sprowadzać z centralnej Rosji. Zrozumiałą jest rzeczą, że nie mógł Murawjew nagle otrzymać odpowiedniej liczby ludzi zdatnych. Trzeba było utworzyć nowe kadry urzędników, nauczycieli tu na miejscu, znających warunki lokalne. Dla tego chciał utworzyć w Wilnie uniwersytet. Oprócz tego w ten sposób zamierzał usunąć wpływ studentów z Litwy i Królestwa na młodzież rosyjską.

D. 7 września 1863 r. posyła swój projekt do kuratora okr. wil., prosząc go o przejrzenie. Uniwersytet miał się składać z 4 wydziałów. Według projektu murawjewskiego na wydziale historyko-filologicznym miał być wykładany między innemi przedmiotami język litewski. Profesorami mieli być wyłącznie prawosławni i rosjanie. Młodzież kraju północno-zachodniego kształcić się może tylko w Wilnie. Dla zwiększenia ilości studentów rosjan wszelkie skarbowe

*) Wiadomości o tem czerpałem z mających wkrótce wyjść z druku Pamiętników Giejsztora.

*) Ogłoszono w książce: „Русское дѣло въ Сѣверо-Западномъ краѣ". Petersburg. 1901. na str. XXVI.

do jego potrzeb i dobrze spełniający swą misję kulturalną.

To wszakże nie znaczy, by raz obrany kierunek nie ulegał co pewien czas modyfikacjom. Przedewszystkiem sam zarząd towarzystwa popierania sceny, mając bliski kontakt z interesami dyrekcji (część poborów za bilety idzie na towarzystwo), przekonał się, że całkowite ignorowanie upodobań szerokich mas jest wręcz niemożliwe, a pewne ustępstwa na ich rzecz, pewien oportunizm — konieczny. Dopóki utrzymywano jedynie dramat i komedję, uwzględnianie gustów tłumu wyrażało się przez wystawianie popularnych melodramatów, sztuk ludowych, „bomb" etc. Okazało się to jednak niedostateczne. Utworów tego rodzaju przybywa obecnie bardzo mało, a pozatem w grę weszły utrudnienia cenzuralne. Śród lepszych sztuk popularnych, ludowych spora część ma wyraźne tendencje patryjotyczne; a od kilku lat policja na tym punkcie jest nadzwyczaj czuła. Oto np. niepozwala ona teraz wystawiać „Kościuszki pod Racławicami"—sztuki ongi w Poznaniu kasowej.

Z tego więc poniekąd względu towarzystwo popierania sceny, zdecydowało wprowadzić do teatru operę i operetkę. Wówczas to powierzono dyrekcję doskonałemu komikowi operetki lwowskiej, p. Lelewiczowi.

Ale wybór okazał się niezupełnie szczęśliwy. Dyrektór zbytnio faworyzował lekką muzę kosztem sztuki poważnej. Zorganizował on wybornie operetkę, słabiej operę, a najsłabiej dramat i komedję tak pod względem repertuaru, jak sił autorskich. Ostatecznie, po upływie tepminu, nie odnowiono umowy z p. Lelewiczem; oddano natomiast kierownictwo teatru dobrze Wilnu znanym pp. Szczurkiewiczom.

Sądząc z opinji, jaką cieszy się ta dyrekcja, wybór uczyniono trafny. Mimo wysunięcia na plan pierwszy dramatu, mimo znacznego podniesienia literackiej wartości repertuaru, teatr cieszy się dziś większem powodzeniem, niż za czasów panowania w nim głównie operetki. Ogromny ma tu wpływ dbanie nietylko o grę dobrą, ale też o efekty optyczne. Wilno pamięta, jak wielką atrakcją była inscenizacja „Lilli Wenedy", do której p. Młodziejowska zaprosiła prof. Ruszczyca. Otóż pokazało się, że jest to system doskonały, a obecna dyrekcja poznańska stale nim się posługuje. Dbając wogóle o dekoracyjność wystawy, dbałość tę posuwa do nabożnego pedantyzmu, ilekroć chodzi o przeniesienie na scenę dzieła prawdziwej poetyckiej wartości. Można twierdzić bez żadnej przesady, że niektóre sztuki, grane w obecnym sezonie w Poznaniu, tak były wystawione, jak tylko najpierwszorzędniejsze sceny pozwolić sobie mogą.

Do nich należy przedewszystkiem „Bolesław Śmiały" Wyspiańskiego, grany niedawno jeszcze na żądanie publiczności po kilkunastu pełnych spektaklach. Powodzenie sztuki tej, zgoła niepopularnej, trzeba w znacznej części przypisać jej malowniczości. Obecnie znów szykuje się teatr poznański do wystawienia „po wileńsku" Lilli Wenedy.

Tendencja popularyzowania takich właśnie dzieł kosztem ogromnego nakładu pracy i pieniędzy — przynosi zaszczyt p. p. Szczurkiewiczom. Uznanie zaś, jakie ich za to spotyka nad Wartą, dowodzi, że poznańskie towarzystwo popierania sceny pojmuje właściwie swą misję kulturalną.

Przy dzisiejszej dyrekcji teatr poznański zdobył śród scen polskich stanowisko poważne. Jednym z dowodów tego może być fakt, że piękny nowy dramat L. H. Morstina, zakwalifikowany do grania w Krakowie i Warszawie: „Szlakiem Legjonów", premjerę święcić będzie w Poznaniu.

Jakkolwiek dyrekcja wysunęła na plan pierwszy dramat i komedję, nie zaniedbuje też ona opery, której reżyserję powierzyła p. Włodzimierzowi Malawskiemu, artyście o wysokiej kulturze, b. kierownikowi opery warszawskiej. Doskonały śpiewak, wytrawny reżyser, wystawił w krótkim czasie kilka oper tak pięknie, że nawet dyrekcja tutejszego teatru niemieckiego (bogato przez rząd subsydjowanego) uznała się za zwyciężoną.

Byłoby, sądzę, błędem nie do darowania, gdyby Wilno, pragnące mieć latem operę i operetkę, nie skorzystało z okazji, iż teatr poznański skazany jest w sezonie letnim na przymusowe wakacje. Opera i operetka poznańska znaleść się powinna niezadługo — w ogrodzie Bernardyńskim.

J. S.

---

stypendja przy innych uniwersytetach przeniesione być mają do Wilna. Stypendyści po ukończeniu studjów muszą odsłużyć pewną ilość lat w tym kraju. Oprócz tego zamierzano nie dopuszczać do wileńskiego uniwersytetu młodzieży z Królestwa *).

Niektórzy z urzędników nie zgodzili się na ten projekt. Murawjew sam zaczął się chwiać. I dla tego zaniechał tej idei i zajął się projektem utworzenia prawosławnej akademji duchownej **).

Widocznie jednak znowu powrócił do sprawy uniwersytetu, gdyż złożył Cesarzowi aport, w którym mówi o potrzebie wyższej uczelni dla tego kraju. Cesarz zgodził się na to, zażądał tylko szczegółowego opracowania.

Czy Murawjew zdołał to uskutecznić, nie mamy wiadomości, gdyż i sam wkrótce (1865) opuścił Litwę.

Po powstaniu 1863 r. ziemianie nie poruszają kwestji uniwersytetu. Sprawą tą wyłącznie się zajmuje administracja miejscowa i centralna.

*) Miłowidow, 16-17.

**) tamże 81-21.

W r. 1889 kurator wil. okr. nauk. Batiuszkow złożył projekt ministrowi oświaty kr. Tołstojowo utworzeniu wyższego zakładu naukowego, składającego się przynajmniej z dwuch wydziałów — teologicznego i historyczno - filologicznego. Minister nie zgodził się na takie połączenie wydziałów, wolał by mieć pełny uniwersytet.

Wkrótce po tem, w r. 1872 ten sam minister zwiedzał Litwę i Ruś, oglądał szkoły i, zwracając się do gien.-gub. Potapowa, przypominał, że dla tego kraju jest uniwersytet niezbędny. Za bardziej odpowiednie miejsce dla niego niż Wilno uważał Połock, gdzie są wolne gmachy byłej akademji Jezuickiej, mieszczące wówczas gimnazjum wojskowe. „Sądzę, mówił minister, że uniwersytet ma większą wartość dla kraju, niż gimnazjum wojskowe, i jeżeli się go da dobrze urządzić, o czem nie wątpię, to fakt ten doda jeżeli nie całą kartę, to przynajmniej kilka pochlebnych wierszy do historji panowania naszego Cesarza". Potapow sądził, że dla sprawy rosyjskiej niema potrzeby obawiać się uniwersytetu w Wilnie. Jego zdaniem, dostatecznie będzie, żeby nauczyciele i profesorowie byli nie polacy, studenci zaś mogą być bez wyjątku i różnicy narodowości. Lecz

Rajmund Poincaré.

Paryż, 20 stycznia.

Poincaré był zawsze i pozostał liberałem. Pragnie wolności dla wiary tak samo jak i dla rozumu, dla człowieka, dla stronnictwa bez różnicy wyznania politycznego. Nie zawsze jednak jest po stronie liberałów politycznych. Nie jest po ich stronie, gdy spodziewają się wszystkiego od wolności osobistej, nie jest też po stronie socjalistów, gdy ci niedoceniają tej wolności, jako dźwigni postępu społecznego. Pozostawia jednostce jej „niezależność, jej godność, jej prawa“, tylko rozumie indywiduum pod kątem kategorji pożycia w społeczności. Prawdę polityczną i społeczną widzi pośrodku pomiędzy biegunami. Ma odwagę przyznania się, że jest wyznawcą złotego środka, odwagę niemałą i nie obawia się śmieszności. Może dlatego, że złoty środek Poincaré nie jest punktem stałym, jest on raczej sytuacją wciągłą i zmienną. Przeciwnik socjalistów może niekiedy mówić o nich: „jestem wdzięczny socjalistom, że dając nam sposobność poznawania ich teorji i badania ich bez nienawiści i uprzedzeń, zmuszają nas do rozmyślań nad początkiem i przyczyną zjawisk ekonomicznych i społecznych, które przyzwyczajenie nieświadome kazałoby nam raczej ujmować w postaci zasad niewzruszonych.

Indywidualista, nie odrzuca pomocy państwa, gminy, departamentu. Przeciwnie: domaga się żywej i zasadniczej ingerencji wszystkich organizacji państwowych i społecznych. Przewiduje, że nadejdzie dzień, kiedy wszędzie. we wszystkich państwach świata trzeba wybierać pomiędzy wydatkami na cele *militarne* z wydatkami na cele *społeczne*. Ten dzień przeciwstawi dwie wielkie koncepcje celów ludzkich Dylemat ten stawia filozof, boi się jego bezwzględności — polityk. Poincaré wyprowadza z niego wniosek jeden: „stronnictwo republikańskie obowiązane jest popierać jeden cel zarówno jak drugi“, tylko—dodaje inny znowu Poincaré, minister finansów,—„w granicach możności finansowej kraju“. Reformy, oczywiście, ale pod warunkiem, aby reformatorowie posiadali „zmysł ścisły rzeczywistości, możliwości społecznych...“ Nie boi się przyszłości tajemniczej. Idąc śmiało w jej kierunku ostrożnie tylko stawia nogę za nogą. Spodziewa się, że droga ciemna i niepewna odsłoni późniejszym pokoleniom perspektywy jaśniejsze i że u kresu tych wędrówek ludzkości znajdzie „trochę mniej złego i trochę więcej dobrego“.

Tymczasem trzeba żyć dniem dzisiejszym, Rządzi Francją powszechne prawo wyborcze. „Starajmy się tedy, aby ono było istotnie swobodne, prawdziwe; nie okłamujmy wyborców; usuńmy licytacje wyborcze, targi pomiędzy wyborcami a deputowanymi, pomiędzy deputowanymi a ministrami, targi, które są jak gdyby stopniami hierarchji niewoli“. Ponad drobnemi namiętnościami, drobnemi interesami, małymi ludźmi dźwignąć ideał dobra publicznego, ideał ten dźwignąć ponad całym narodem, obudzić interes narodu do polityki, strząsnąć obojętność leniwych, obcych czasowi i Francji, stado nieme podkreślające milczeniem wołania krzykliwych, bronić się przed gwałtem, szukać tranzakcji pomiędzy interesami sprzecznemi, albowiem z tych tysiąkrotnie ponawianych tranzakcji ugodowych urodzi się prawo przyszłego społeczeństwa; zawstydzić garść egoistów wystraszonych i leniwców, organizatorów „teroru dziecinnego“, „zamykających swoje okiennice w okresie Pierwszego Maja a sakiewki przez rok cały, pouczać szczęśliwych i zadowolonych, aby spoglądali poniżej siebie do świata niezasłużonej nędzy, której niewolno nam uważać za ostateczną i nieodwołalną, ostrzegać, że nadszedł czas ofiary koniecznej i domagać się od nich tych ofiar w imieniu ojczyzny...“

Hipotezy filozoficzne — są to tylko „zmienne pseudonimy Niewiadomego, *być może* Niepoznawalnego“ To *być może* — jest nadzwyczajnie charakterystyczne; jest to wyraz najdalej idącej przezorności. Polityk złotego środka jest i w filozofji wiary politykiem. Mówi *być może* tam, gdzie doktryner powiedziałby *nigdy* albo *zawsze*.

Jako mówca prosty, jasny, djalektyk niełatwo pokonalny — lotaryńczyk, panujący nad sobą, o pozorach chłodu, który nie jest obojętnością i lekceważeniem, myślący zawsze czynny. Takim jest Poincaré.

Brat stryjeczny Henryka Poincarégo, słynnego matematyka, zmarłego w roku ubiegłym, Rajmund za czasów studenckich wiele skorzystał z obcowania ze starszym od siebie o lat sześć młodym uczonym.

Słuchał uczył się, gromadził wiedzę przeróżną: przyrodniczą, filozoficzną. I choć uczył się tylko trochę literatury francuskiej i skończył szkołę prawa w Paryżu *), później przemawiając o Berthelot'cie, chemiku, o Pasteurze, o Arago, o Fustel de Coulanges, historyku—z łatwością poruszał się zawsze śród zagadnień najbardziej specjalnych.

W r. z. podczas gloryfikacji Leonarda da Vinci jako ojca awjatyki nowoczesnej, przemawiał on, prawnik z zawodu, prezydent rady ministrów pomiędzy jednem, a drugiem posiedzeniem Izby wypełnionem kłótniami na temat reformy wyborczej — z taką pewnością siebie, z taką znajomością przedmiotu, w mowie swobodnej, czyniącej wra-

*) Poincaré jest kandydatem literatury; doktorem prawa jest od r. 1883.

---

jeżeli już niema możności otworzenia go w Wilnie,— konkludował Potapow—to o wiele właściwszem miejscem na uniwersytet byłby Witebsk niż Połock, gdyż tam i gmach by się znalazł odpowiedni i miasto jest gubernjalne.*)

Cała sprawa przeniosła się do Petersburga. Minister złożył Cesarzowi odpowiedni raport. Z początku sprawa ta była przyjęta nieprzychylnie, następnie uznano za możliwe i potrzebne otwarcie uniwersytetu.

Lecz wkrótce zaczęła się wojna turecka (1877-78), i kwestja uniwersytetu znowu poszła w zapomnienie Tylko w prasie poruszano ją i dyskutowano jeszcze. Żadnych zresztą poważniejszych projektów aż do chwil dzisiejszych nie było.



*) Miłowidow, p· 21-25.

żenie improwizacji, jak gdyby całe życie spędził nad rękopisami Leonarda, nad wyższą matematyką. Siwy Gabriel Séuilles, który przecież uchodzi za jednego z większych znawców Leonarda, czynił przy nim wrażenie — ucznia, bełkotał, odczytując wypracowanie bakalarskie, nikt go słuchać nie chciał.

Łatwość asymilowania sobie cudzych myśli, przystosowania umysłu swego do każdego zagadnienia — jest w tym człowieku nadzwyczajna. Złożyło się na to pochodzenie. Urodził się Poincaré w starej rodzinie lotaryńskiej, oddawna nad brzegami Mozelli osiadłej, oddawna do zamożnej burżuazji należącej. Ojciec był inżynierem dróg i komunikacji, stryj profesorem na wydziale medycznym w Nancy, rodzina matki była — polityczna i od stu lat czynna w Izbie Deputowanych, w gminie, w radzie departamentowej. Była pobożna, zamożna, i jak wszystkie tego rodzaju rodziny na prowincji—poważna. Nie było w tej rodzinie fanatyków wiary ani heretyków, ani wynalazców, ani poetów. Wątpię, czy był choć jeden awjator, choć mógł być fabrykant automobilów. Wszyscy byli republikanie, konserwatywni, w zgodzie z rządem, z władzą kościelną, mocno siedzący na wysokich stanowiskach, szanowani przez opinję publiczną miasta i departamentu, mocno związani ze sobą, pomagający sobie wzajem, patronujący sobie.

Rajmund Poincaré chciał w pewnym momencie życia zostać wolnym literatem. Radził się André Theuriet powieściopisarza—czytanego niegdyś w burżuazji francuskiej, szukającej strawy umysłowej w *Revue des deux Mondes*; usłyszał w od powiedzi: „Rób jak ja robię, staraj się zająć pozycję“. Poincaré został tedy adwokatem (1882). Pracował w kancelarji mecenasa du Buit, poszukiwanego niegdyś obrońcy cywilnego. W „Pałacu Sprawiedliwości“ zwrócono uwagę na talent oratorski młodego prawnika, ale klijentów niebyło. W r. 1886 „spółpowietnik“ Develle, minister rolnictwa, bierze go na szefa gabinetu. Rok później jest już członkiem rady gieneralnej w departamencie Mozelli, jednocześnie niemal republikanie tegoż departamentu powołują go do izby. Wszystko to było dziełem rodziny*). Deputowany przeważnie milczał, uczył się, pracował dalej dla mecenasa‘ w oczekiwaniu bogatej klijenteli.

W r. 1890 wybierają go do Komisji budżetowej, zwraca na siebie uwagę znajomością rzeczy, obierają go sprawozdawcą—wiadomo, że to pierwszy stopień na drabinie godności ministerjalnej. Sprawozdawca zdobywa uwagę Izby. Jest znowu sprawozdawcą w r. 1893. Poraz pierwszy jest ministrem (oświaty) 1893 r., w trzydziestym trzecim roku życia. Wielu już wtedy przepowiadało późniejsze etapy karjery. Teka wypadła z rąk po sześciu zaledwie miesiącach. Po pół roku wraca z powrotem już jako teka ministra skarbu, znowu na sześć miesięcy. Po półrocznej przerwie Ribot ofiarowuje znowu ministerjum oświaty tym razem na czas dziesięciu miesięcy. W 1895 r. kończy się pierwszy okres ministerjalny Poincarégo. Zostaje adwokatem. Adwokat, który był trzykrotnie ministrem, może być pewny powodzenia w Paryżu. Kancelarja Poincarégo urasta szybko do godności najpierwszej. Bankierzy, fabrykanci, towarzystwa akcyjne — wyrywają sobie złotoustego obrońcę, znającego kodeks jak i arkana polityki, wywierającego wpływ na sędziów, jak i na rząd, umiarkowanego w poglądach, gładkiego, sympatycznego. Poincaré nie schodzi z ławy obrończej przez lat jedynaście.

Sześć razy odrzuca teki ministerjalne, dwa razy odrzuca nęcące stanowisko premjera. Nie tylko dla tego, że powodzenie w sądzie i śród klijentelji, dobrze płacącej, zagłusza w nim namiętności polityczne. Ale i właśnie z przyczyn politycznych. W okresie burzy wywołanej sprawą Dreyfus'a przezorny, umiarkowany Poincaré trzyma się w rezerwie. I na prawdę od r. 1896 stara się wpłynąć na rząd, bez skutku. Wreszcie w listopadzie 1898 r. zabiera głos, domagając się od rządu — w głośnem, politycznem przemówieniu, — aby stało się zadość sprawiedliwości w tej sprawie i aby stosowano zwykłą przez ustawę przepisaną procedurę. Głos ten uczciwy i odważny ginął w zgiełku rozkiełzanych namiętności.

Poincaré, jak twierdził, *ulżył sumieniu***) i zamilkł na lat dziesięć. Wiedział widocznie, że dzień jego nadejdzie. Czekał poranku.

(Dok. nastąpi).

Stanisław Posner.

Ustępy w cudzysłowie pochodzą ze zbiorów przemówień Poincarégo „Idées contemporaines, figures et questions politiques“.

ᐅooooooooooᐊ

Z NAD TAMIZY.

(Korespondencja własna).

Londyn 17 stycznia.

Co to jest angielski Chrystmas?

Jest to czas, w którym cała Wielka Brytanja raduje się z powodu Narodzenia Bożego wkoło ogromnego pudingu — wlewa w gardło nieprzeliczoną ilość whisky i między jednem a drugiem zajęciem wyśpiewuje narodowe kolendy.

O! jak wyśpiewuje!

W Anglji każdy rodzi się śpiewakiem.

Co drugi ma aspiracje do Medjolańskiej Scali, co trzeci występuje na koncertach — i niemasz ulicy, przy którejbyś nie naliczył przynajmniej dwuch śpiewackich klubów.

Trzeba mieć jednak dużo silnej woli, by wysłuchać do końca choćby jednego tylko rodzinnego koncertu.

Istnieje nawet w Anglji pieśń, zda się umyślnie stworzona na tego rodzaju śpiewacze wieczorynki.

Obowiązuje wobec niej surowy przepis.

Najdłuższy w domu dromedar zanosi się dyszkantem, a w pewnych chwilach, kto żyw jeszcze i dźwiga się na własnych nogach, z najszczerszem uczuciem zawtórzyć musi dwa tylko słowa:

Excelsior — Excelsior!

Ale w tym krótkim refrenie mieszczą się odgłosy prerji i dżungli — pustyni i puszczy, podzwrotnikowych lasów i zwierzyńców.

Ta pieśń jest symbolem dziewiczej fauny i wszystkich ogoniastych bogactw najbardziej

*) Deputowany od maja 1887 r., wybierany do Izby 1889, 1893, 1898, 1902, od r. 1903 senator tegoż departamentu.

**) Przemówienia publikowane w zbiorku *Questions et figures politiques* (1907), gdzie wyrażenie to jest użyte (*je libérai ma conscience*)

ekscentrycznych posiadłości. Excelsior dzwięczy mi dotąd w uszach.

Przy tej śpiewności narodowej—Anglja cierpi na brak jakiejkolwiek orjentacji muzycznej.

To nic, że zawita czasami jakowyś maestro z kontynentu lub niejeden Caruso sprzeda za worek gwinei jeden jedyny wieczór, skoro brak akademji muzycżnej, na którejby swój śpiewak, swój muzyk mógł oprzeć twórczą działalność.

Tak jest, jak bywało trzy wieki wstecz—kiedy to sławna „comoedia italiana“ przebiegała Europę roznosząc sławę Arlekinów, Gilów i niewinnych Colombin.

W królewskiej operze, przypominającej wyglądem raczej wyścigową ujeżdżalnię niż przybytek sztuki występują niemcy, francuzi i włosi.

Traviata, Carmen, Faust, to mniej więcej cały repertuar od lat niezmienny — od lat powtarzany na przemianę...

„Jeśli mnie zdradzisz słowem, albo innym znakiem
„Zapłacisz mi głową, lub czemś innem takiem“.

powtórzmy za librecistą z Rigoletta.

Ale anglik nie zdradza swych przenajsłodszych ulubieńcow, zna ich na pamięć, na wyrywki, o każdej porze gotów wyśpiewać partję smętnego Mefistofelesa, lub dolce—umierającej bohaterki.

Pomnę lata spędzone w Monachjum.

Szliśmy kupować bitety na „Pierścień Nibelungów“ już o godzinie dziesiątej z wieczora.

Siadało się na schodach teatru i czekało rana — a fala ludzka rosła z godziny na godzinę i potężniała.

O północy czekających było tyle, że zapełnić by można było całą widownię.

A potem na najwyższej galerji zatulał się człowiek w najciemniejszy kąt i chłonął z nabożeństwem każdy dźwięk boskiego tytana i drugą noc przemarzył śniąc czarodziejskie widy.

W Londynie grano kiedyś Wagnera.

Przepadł jednak z kretesem... po kilku przedstawieniach pustkami świeciła sala.

Kilku szaleńców próbowało tłumaczyć, usiłowało przekonać—ale bez skutku.

Żaden motyw nie nadawał się do wieczornej „party“ kiedy to rodzina powstanie od stołu... gdy panie połyskują alabastrowemi biustami—a grzeczni panowie śnieżno-białym gorsem koszuli.

To nie jest muzyka, z której najstarsza córa domu nie może wybrać ani jednego ustępu, aby przekonać najmilszego „Dicka“, że gotowa życie całe zostać jego... słowikiem.

Podczas, gdy w królewskiej operze, pomiędzy jednym a drugim występem cudzoziemskich zespołów — króluje stale kinematograf, w teatrach zagościła pantomina.

Dawna świetność dramatu angielskiego, jak powiada Mr. Harrison przepadła w dymie fabrycznym.

„Dyrektorom chodzi nie o sztukę, ale o ilość sprzedanych biletów“.

Ciekawa jest ta twórczość drugorzędna, przeznaczona na zjednanie sobie łask najliczniejszych odbiorców.

Czem się podbija serca tego wielo-miljonowego tłumu? Jaką sztuką trafia autor do londyńskich zaułków i wyciąga szanowną rodzinę na cały aż wieczór z domowych zaciszy?

Paryski pisarz z Guignolu, Cluny, St-Martin, Grevin i tylu innych teatrzyków rozsianych na Sebastopolu lub Montmartrze wymyśla trójkąt, czworokąt, lub bardziej jeszcze skomplikowaną kolizję małżeńską.

Szereg kalamburów i niedwuznacznych już sytuacji wprowadza w zachwyt słuchaczów.

W tragicznej chwili francuska czuje się w obowiązku zrosić łzami batystową chusteczkę.

Czyni to zresztą przy pierwszej, lepszej sposobności, ze zbytku radości lub smutku...

A gdy się naszlocha i naśmieje, wychodzi rozpromieniona z teatru w tem przeświadczeniu, że sztuka była... „magnifique“.

Niechby taką sztukę napisaną dla paryskiego bulwaru odważył się wystawić jaki dyrektor w Londynie.

Przed końcem jeszcze przedstawienia zlynchowano by wszystkich aktorów — zdemolowano teatr, a przedsiębiercze go dyrektora wysłanoby na dożywotnie osiedlenie do Australji.

Anglik łaknie innych rozkoszy.

Niedarmo kładą mu w uszy spółcześni moraliści, że glorja Francji zbliża się ku zachodowi i naród sławny wymiera.

Lęka się tych trójkątów anglik—ale natomiast chłonie rycerskie klechdy i opowiadania o cudownych królewiczach i królewnach. Nęcą go bohaterskie opowieści o dalekich lądach i niebezpiecznych przygodach.

Popularny autor angielski, z nieprzebranego bogactwa bajek czerpać może do woli i zawsze z należytem powodzeniem.

Dlatego też, „ludowa sztuka“ angielska posiada osobliwy urok i dziecięcą naiwność.

Niezepsutem dzieckiem musi być taki lud, który przez kilka godzin z rzędu oklaskuje fantastyczne baśnie o bohaterach i spółczuje z boleścią „Śpiącej piękności“ lub „Dzikich dziewczyn“.

W ostatnich miesiącach popularnym sztukom zabiera miejsce pantomina.

Coraz bardziej rozwielmożnia się w teatrach i usuwa ze sceny żywe słowo.

Obowiązkową ilustrację pantominy stanowi muzyka i taniec.

Treść tych widowisk zaczerpnięta jest z fantastycznych bajek lub podróży.

Z natury rzeczy ciężar pantominy spoczywa na zewnętrznem jej uposażeniu w kostjum i dekoracje; pod tym względem teatr angielski stoi na wysokości zadania.

W pantominach historycznych spełnia je z muzealną dokładnością — w widowiskach fantastycznych tworzy arcydzieła charakteryzacji.

Zwłaszcza figury groteskowe pełne są karykaturalnych pomysłów w najlepszym stylu.

Tam gdzie słowo nie określa postaci, uczynić to musi maska i szata.

Więc do spółdziałania z poetą i aktorem przystąpił artysta plastyk z tą tylko odmianą—że poeta rzuca projekt sztuki, a w kształt ją obleka aktor wraz z malarzem.

Czwartym w towarzystwie jest baletmistrz—niestety w angielskiej pantominie sprowadzający sztukę taneczną do łamańców mniej lub więcej nadobnych diw.

Reforma tańca zajmuje w Anglji wiele poważnych umysłów.

Celem ich jest przywrócić tańcowi dawne formy z tych czasów, gdy pląsy należały do obrzędów i tworzyły nieodłączną część nabożeństw religijnych.

Dr. Kazimierz Wrzos.

⊳○○○○○○○○⊲

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

W cichym sadzie.

Szła, pokazując twarz śmiertelnie bladą,
A przed Nią wiatr się tarzał w traw wezgłowiu
I—jako ścieżka, którą duchy jadą
Na gwiazdy, śród drzew grał promyczek nowiu.

Oploty krucze obwiły Jej głowę,
Jak chmura pełna węźów i błyskawic,
Płonęły żywiej wargi purpurowe
I jeszcze jaśniej błyszczał wzrok śród mgławic.

Szła, depcząc stopą traw i blasków cuda,
Skroś bluszcz, co w koło gibką falą pnie się;
Jakby za rękę wiódł Ją sen, a złuda
Pokazywała drogę w dziwów lesie.

Przed Nią jak wizja nieba gwiaździstego
Staw lśnił obręczką pośród trzcin promienną
I brzegu olchy czarnoksięskie strzegą,
Gdzie ukochany skroń położył senną.

On śnił, On czekał Jej pod liści chmurą;
Tam z szeptem słodkim skargi czy zaklęcia
Na Jego szyję padła warg—purpurą,
Krew ssąc z uśmiechem dziwnym wniebowzięcia.

Aż skonał z twarzą bladą niby chusta,
Jęk tylko rzucił w ciszę nocy głuchą...
A potem długo całowała usta
I oczy zgasłe, szepcząc coś na ucho...

Jakby błagała u zmarłego łaski,
Jakby ze skargą tuląc się miłosną...
A sad jak czara w gwiazd oprawna blaski
Był aż po brzegi przepełniony wiosną.

⊳oooooooooo⊲

TEATR ZIMOWY.

(Nieco o ubogiej rodzinie i bogatej ciotce — Łzy wzruszeń — Popieramy teatr — Wilno i Frenkiel — Inscenizacje Ruszczyca — Bajka).

Motto: „Miękki atlas jeszcze ma powodzenie, ale więcej się podobają atlasy brochés, wzorzyste. o deseniach wypukłych. oraz mory, przetykane jedwabiem — a na strojne wieczorowe suknie przepiękne tkaniny złotolite lub barwne lamy...
(Mody).

Jesteśmy tu wszak en famille — więc pocóż ukrywać? Rodzina nasza zbiedniała okropnie: gotówki brak, lasów brak, brak kredytu... mieliśmy (pamiętacie?) kapitalne posiadłości wiejskie, domy, tęgo murowane wzwyż i wszerz, mocne obszerne dworce modrzewiowe!

Dziś... ba, ba! Starą budę cyrkową nazywamy pałacem sztuki. Sienie, w których pusto i chłodno — nazywamy vestibulem. Kurytarze, w których z gruba klecone kojce urągają swemi szparami chłodom zimy — to nasze szatnie... A pamiętacie pyszne wieczory u pani Marszałkowej!? Toż to było wesela, a radości, a przepychu i jarzyło się od świec, błyszczały stroje, muzyka grała. Dobrze się miała nasza rodzina...

A dziś? Zbiednieliśmy okropnie.

No — więc chyba nikt się nie zdziwił, gdy nas opanowała warjacka radość z powodu przyjazdu bogatej ciotki: gruchnęła z początku wieść, że ciocia przyjeżdża z pierwszym dniem karnawału; potem zaś coraz nowe, coraz lepsze, wiadomości: zaczęli mówić w rodzinie, że ciocia zawsze na nas łaskawa przywiozła ze sobą muzykę i kwiaty na bale i dziesięć posażnych jedynaczek przyjechało za nią sleepingami — więc wraz stu kochanych chłopców z naszej rodziny za niemi wślad: z Korony, z Rusi.

Nic, jeno rozmowy o modach, o balach, o strojach — że to się miasto ożywi, a *maluczkim*, niejedno się oberwie.

Więc i w naszym teatrze potracili głowy: Pawłowski ze Strycharskim zaczęli gadać, jak to w tym czasie będą nosili złoto beczkami Działowce: niejeden chciał podkręcić wąsa — zaś zamiaru poniechał tylko kwoli tego, że mu zawód aktorski (zawód...) nakazuje golić tę piękną oznakę męskości...

Niejeden mówiący często „biiidny jestem"— wsparł się rękami w bekieszę, rojąc, jak to teatr będzie robił kasę. Lano łzy wzruszeń.

Ruchnęła wieść, że Frenkla po gościnnych występach publiczność wileńska pożegna hucznym bankietem: toć w rodzinie naszej biednej Frenkle nie rodzą się na kamieniu — potrząśniesz pustym mieszkiem i nic z niego nie wytrzęsiesz, krom chyba trocin nieco i paru dyrektorow albo prezesów...

Dopieroć się teatr cieszył razem z biedną rodziną, że przyjechała bogata karnawałowa ciocia.

Rozmawiano w antraktach ciepło, choć łzy ocieraj, jakie tam kto ma wspomnienia, ilu znamienitych artystów widział, jak się kochał z paradyzu w Modrzejewskiej, jak dzieckiem w domu fotografję Żółkowskiego z kurzu trzepał — zaś Żołkowski wisiał w honorze tuż na ścianie, obok dziadka pułkownika i portretu xięcia Józefa...

— Tak, tak, panie. To byli ludzie! Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska...

— To byli aktorzy!

— Ale spółcześnie mamy Frenkla: wielki to artysta.

— Niezaprzeczenie wielki. Wilno oceni go napewno.

— O, bezwątpienia. Wilno umie popierać teatr.

Zaś obok, w fotelach pierwszego rzędu toczono inne rozmowy:

— Elle est mignonne.

— Istotnie, dobra aktorka: bardzo ładna.

— Jak pan myśli—będą chodzili na Frenkla? Il est superbe, n' est—ce—pas?

— Certes. Bahdzo, bahdzo dobhy. Będą chodzili.

Frenkiel grał w „Geldhabie", w „Cyganerji",

w „Orlęciu“, w „Głupim Jakubie“, w „Odrodzeniu“.

Za „Cramptona“ sypano mu rzęsiste oklaski. Pustka była w teatrze, ale nic w tym dziwnego, bo bogata ciocia nazbyt zaprzątała uwagę rodziny.

Potem przyszły doskonałe „Grube ryby“, niestarzejący się „Wicek i Wacek“, Fredrowski „Wielki człowiek“, w ktorym zmuszono nas istotnie do wybuchów śmiechu — nie tego z komunikatów teatralnych, ale do śmiechu żywiołowego, z całej piersi.

A potem był „Dwór w Wladkowicach“, a na zakończenie — „Zemsta“, na której było już zupełnie pusto. Rodzina nie dopisała. Dla tego samego snać powodu, dla którego nasz kuzyn Żorż znał tylko pierwszą księgę pana Tadeusza i to że tak powiem à vol d'oiseau—„bo to przecież rzecz taka znana!“

Frenklowi przeszkodził karnawał — i w tem znowu niema nic dziwnego: istotnie, rauty i bale — tak dużo zabierają czasu, że na teatr go pozostaje zbyt mało: a, pamiętać jednocześnie o św. Antonim, o domu Serca Jezusowego, o ochronie kobiet, i o tem że i aktorzy miewają nieraz zachcianki — naprzykład chcieliby od czasu do czasu pić kawę ze śmietanką (ze śmietanką, moi państwo: tak, tak ze śmietanką! To dobre, co?) — nie sposób.

Dość, że teatr znów robi bokami.

A Frenkla żegnali na ostatniem przedstawieniu znowu nieliczni widzowie. Działówka na tym nie zarobiła.

Powiedziałem: zbiedniała nasza rodzina.

- - - - - - - - - - - - - - - - - -

Tłumnie poszliśmy oglądać inscenizacje Ruszczyca. Był cel, był dochód, chwałaż Ci Panie.

W pierwszej części widzieliśmy rzecz uscenizowaną ładnie, w drugiej niezmiernie ciekawe pomysły dekoracyjne, snute na tle słów: „..o czem tu dumać na paryskim bruku?“

Ruszczyc dał pomysły i pracę, artyści nasi — wykonanie; publiczność — pieniądze na dobroczynność. To zrównało podobno saldo. Tak mówiono, przynajmniej.

Mówiono jeszcze, zdaje się, że teatr zrobił na tem dobry interes.

Otóż to złudzenie muszę, niestety rozwiać. Interesu teatr nie zrobił.

Dla tej prostej przyczyny, że zbyt drogo go kosztowały dekoracje.

— W każdym razie nie stracił?

— O nie. Nie stracił. Jesteśmy zadowoleni?

Prolog do ‚Nieboskiej komedji“, potem wizje mickiewiczowskie —z których zwłaszcza pierwszy obraz działał celowo i silnie nastrojowo — wreszcie nowa inscenizacja „Warszawianki“ — wszystko to, stanowi poważny dorobek artystyczny, a w wieńcu laurów Ruszczyca nowy liść zasługi.

Na tem zamkniemy teraz rzecz naszą. Ciekawiśmy —przyznajemy szczerze — ciągu dalszego.

Wyznamy nawet, że się nam à propos losów „gmachu po-cyrkowego“ majaczy perspektywa odmienna od ostatnich, o której jednak tymczasem tylko marzyć wolno.

Tylko wstęp do bajki jeszcze.

..w egzotycznej gdzieś Pampelunie, czy innej Trebizondzie dzień i noc obraduje komitet nieustającej pomocy. Mężowie konsularni, mecenasowie lokalni i doktorzy spraw publicznych głowią się, jak, zaradzić na teatralną hiper-frekwencję?

Zaś u podwoi teatru tłok i ścisk.

Arystokracja, miasto, paradyz.

Automobile, powozy, tłumy piesze... goreje słońce!.. szumią palmy..

Jakiś globe-trotter, w wędrówkach po świecie zbłąkany w rzeczonej Pampelunie dobija się do kas teatralnych.

— Ani jednego biletu, — brzmi odpowiedź.

— Zapłacę potrójnie!

Nie poradzi. Od kasy odeszły tysiące osób z niczem—odpowiada kasa.

— Dajcie krzesło dostawne. Ja jestem obszarnik z Litwy.

— Aaa... chyba że tak.

Kasa wyprzedana na dwa miesiące...

Grzeje słońce... szumią palmy...

Oh, bajko, bajko.

Zdzisław Kleszczyński.

oooooooooooo

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Dzieła Moliera — przełożył Tadeusz Żeleński (Boy) sześć tomów. Wstępem i uwagami krytycznemi opatrzył dr. Władysław Günther. Wydanie zupełne. Lwów, 1912 r., nakł. księg. polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, księg. E. Wende i S-ka.

W „Comedie Française“ istnieje piękny zwyczaj corocznego obchodzenia w dniu 15 stycznia uroczystego święta patrona tego teatru Moliera. Adolf Brisson w jednym z ostatnich swoich akademickich feljetonów teatralnych „Tempsa“ przypomina, że artyści Domu Moliera nie zaniedbali tej uroczystości nawet śród okropnego oblężenia Paryża przez prusaków w r. 1871. „Afisz ogłaszał „Zwady miłosne“ i Amfitrjona“. Tu i owdzie rozsiane lampy słabo oświetlały parter i loże. Marznięto. Licznie przytomne i pełne entuzjazmu audytorjum rozgrzewało się oklaskiwaniem patryjotycznego wiersza Edmunda Gondinet'a. Nazajutrz Sarcey pisał o Molierze: „Narody cywilizowane czczą go i karmią się nim. Teatr niemiecki żył przez sto lat jedynie naśladowaniem jego dzieł“.

To uwielbienie dla wielkiego poety wciąż wzrasta. Wszędzie stawiany prawie narówni z Szekspirem, we Francji jest Molier przedmiotem niemal religijnego kultu. A jednak jego sława rozszerzała się zwolna. Większość spółczesnych widziała w autorze „Grzegorza Dandin“ tylko przedsiębiorcę widowiskowego, pracującego na obstalunek, układacza baletów i rozrywek. Przyznają mu pewną wartość, niejaką zręczność, ale lekkości jego utworów odmawiają tego uznania, które przyznają szlachetnej powadze tragiedji. Przychylność królewska, codzienne powodzenie Moliera, jego zamożność (Molier zarabiał bardzo dużo pieniędzy) wzbudzają zawiść. Ścigają go oszczerstwa.

Nienawiść nie składa broni nawet po jego śmierci. Dopiero w początkach XVIII stulecia Leonor Le Galloissieur de Grimarest probuje rehabilitować wielkiego komedjopisarza. Ta obrona wywołuje gwałtowne odpowiedzi. Biednego Moliera atakują Muratori, Riccobini i mnóstwo napastników mało znanych lub anonimowych.

Nareszcie następuje w opinji o Molierze zwrot stanowczy na jego korzyść, zaczyna się nawet jego apoteoza. Tedy najpierw publiczność pragnie przeczytać utwory autora tak spornej wartości, a przeczytawszy je, odczytuje powtórnie. Zjawia

się mnóstwo wydań dzieł autora „Mizantropa“. Molier staje się ulubieńcem tłumów. Oklaskują go w teatrze. Literaci komentują jego komedje w obszernych studjach. Bracia Parfaict oddają mu sprawiedliwość w swojej „Historji teatru“ wydanej w r. 1745; Voltaire opowiada jego życie; Akademja Francuska ogłasza w r. 1769 konkurs na „pochwałę“ (éloge) Moliera i nagradza za takową Chamfort'a. W 1773 odbywają się pyszne przedstawienia jego komedji i uczczenie jego stuletniej rocznicy. W 1777 Houdon rzeźbi dla Akademji jego biust, niestety dziś zaginiony; ogłaszają wybór fragmentów z jego pism p. t. „Esprit de Moliere“—w ten sposób uhonorowano go w antologji przeznaczonej jedynie dla wielkich klasyków. Marmontel stawia go bardzo wysoko w swoich „Eléments de litterature“. Rewolucja przypomina sobie scenę Biednego z „Don Juana“ i satyry pisane do margrabiów, więc wydaje polecenie uroczystego przeniesienia jego popiołów w 1792 r. W końcu zjawia się Caillava, istotny założyciel molieryzmu, tak przepełniony pietyzmem dla znakomitego twórcy Alcesta, że porwawszy w chwili exhumacji zwłok ząb ze szczęki Moliera, nosił odtąd ten ząb oprawiony w pierścieniu, żył tylko dla Moliera, przez Moliera, projektując wprowadzić go do Akademji, układając scenę pośmiertnej recepcji, pisząc mowy, które miałyby być wypowiedziane wówczas, etc. Działo się to na progu XIX stulecia. (Caillava ogłosił swoje słynne studja w 1802 r.). Sława autora „Pociesznych wykwintniś“ dobiega zenitu. Nikt gienjuszu Moliera nie podaje w wątpliwość. Goethe wspaniale go broni przeciw Lessingowi i Schlegelowi; Wiktor Hugo unosi się nad nim w przedmowie do „Kromwela“.

W blasku jego gienjuszu jednakowo entuzjazmują się klasycy i romantycy, Legouve i Gerard de Nerval, Scribe i Musset, Viennet i Gautier. Po essejach, studjach i rozbiorach dzieła, ciekawość erudytów skierowuje się na człowieka, który to dzieło tworzył.

Mobilizuje się legjon poszukiwaczów w tym kierunku, legjon nieomal dosłownie. Edward Thierry czyni wykopaliska na gruncie trupy Moliera; Arsene Houssaye i Gustaw Larroumet dociekają prawdy o jego ognisku domowem; August Vitu bada jego mieszkania; Jules Claretie śledzi jego podróże. Czterech poważnych doktorów, Fauconneau, de Parseval, Carcassonne, Cabanes, rozpatrują Moliera lekarza; dwaj adwokaci, Perigault i Jules Connet rozpatrują Moliera prawnika; Castel Blaze poświęca otyłe tomy Molierowi muzykowi. W 1879 r. Jerzy Monval powołał do życia pismo perjodyczne p. t. „Molieriste“, gdzie drukowano wyłącznie artykuły o Molierze.

Ale dość cytacji. Miały one na celu wykazanie, jak żarliwej reklamy i jak rozgałęzionej reklamy i ile czasu reklamy potrzebuje nawet gienjalny pisarz, aby cały świat cywilizowany o nim się dowiedział i pochylił przed nim głowy. Czyliż nie podobne koleje przechodziła sława Szekspira? Czyliż nie był on do pewnego stopnia zapomniany przez całe stulecie? Czyliż europejskiej jego sławy nie rozpoczął dopiero w 1741 r. znakomity i niezwykle wykształcony aktor angielski, Garrick, a w jeszcze jeden wiek później rozszerzył tę sławę w kraju i zagranicą Frederick James Furnivall, nadludzkiei a błogosławionej energji założyciel „Towarzystw Szekspirowskich“, szerzyciel śród młodzieży robotniczej angielskiej zapału do czytania utworów wielkiego Wila?! I sypnęły się przekłady dramatów Szekspira na wszelkie języki, nawet na język japoński. (Obecnie ukazało się nowe kompletne wydanie dzieł autora „Hamleta“ w języku polskim nakładem Gebethnera i Wolffa).

Zamknijmy jednak tę notatkę o Molierze, notatkę mającą być tylko sygnalizowaniem naszej inteligiencji dobrej wieści: że ukazał się po raz pierwszy całkowity dorobek twórczy Moliera w polskim przekładzie, w przekładzie świetnym p. Tadeusza Żeleńskiego (Boya) tłomacza Balsaca i Laclos'a. Mylił się Krasiński nadmieniając w artykule do „Bibljotheque Universelle“ r. 1830:

„P. Kowalski wzbogacił polski teatr przekładem całkowitym Moliera najzupełniej udatnym“. Dokonał tego dopiero Boy. Należy mu się od nas za to głęboka wdzięczność.

W. G.

NA WIDNOKRĘGU.

W przesileniu bałkańskiem nastąpiły trzy fakty, które przerwały nastrój wyczekujący i oznaczyły przejście do polityki czynnej.

Faktami temi były: zerwanie konferencji pokojowej przez przedstawicieli związku państw bałkańskich, wypowiedzenie rozejmu przez rząd bulgarski i wreszcie odpowiedź Turcyi na notę mocarstw. Teraz rozpoczyna się gra otwarta, w której pozycje przeciwników są zupelnie wyjasnione.

Nowy rząd turecki, poznawszy istotny stan rzeczy w Turcji i zgłębiwszy stosunki między mocarstwowe, najniespodziewaniej wszedł na drogę ustępstw. Jak już wiadomo z depesz, rząd młodoturecki proponuje kompromisowe wyjście z sytuacji, mianowicie podział Adrjanopola na dwie części. Jedna z nich wraz z prawym brzegiem Maricy ma przejść w posiadanie Bulgarji; druga zaś część Adrjanopola, w której mieszczą się święte pamiątki tureckie, ma bezwzględnie przy Turcji pozostać. W sprawie wysp na morzu Egejskiem rząd turecki czyni również znaczne ustępstwa, nalegając jednak na pozostawienie przy Turcji wysp, położonych w pobliżu cieśnin i wybrzeż i mających dla Turcji znaczenie strategiczne.

Znamienne jest tylko, że nota turecka w ustępie końcowym zaznacza, że propozycja powyższa jest ostateczna i iż ustępstwa Turcji dalej już się nie posuną.

Kwestya sprowadza się teraz do sposobu, w jaki na odpowiedź Turcyi zareagują trzy strony, mianowicie: związek bałkański, mocarstwa trójporozumienia i mocarstwa trójprzymierza. Od tego zależy dalszy rozwój wypadków.

Według głosów dotychczas nadeszłych, związek bałkański i mocarstwa trójprzymierza zajęły stanowisko krańcowo przeciwne. Związek bałkański, uważa, że nota turecka nie stanowi materjału do dalszych rokowań. Związek bałkański nie odstępuje od żądania kompletnej rezygnacji Turcji z Adrjanopola i z wysp Egejskich. Jeśli żadne zmiany nieprzewidziane nie nastąpią zatem, związek bałkański w najbliższym czasie rozpocznie zapowiedzianą akcję czynną.

Stanowisko mocarstw trójprzymierza również zaczyna się wyjaśniać. Według informacji nadchodzących z Wiednia i z Berlina, trójprzymierze uważa propozycje tureckie za zupełnie wystarczające. Półurzędowy „Lok. Anzeiger“ oświadcza. że rokowania na podstawie nowych propozycji turec-

kich prowadzić będą pełnomocnicy wielkich mocarstw, wobec zrzeczenia się mandatów przez delegacje bałkańskie. W tym wypadku wykluczony jest, według „Lok. Anz.", wszelki dalszy nacisk na Turcję. Oczywiście opinja to jednostronna i wniosków ogólnych wyprowadzić z niej niepodobna.

Trójporozumienie jedynie milczy dotychczas. Trudno będzie mocarstwom trójporozumienia dalej lawirować między wyłuszczonemi wyżej sprzecznemi poglądami trójprzymierza i zwycięzców bałkańskich, a stopień kompromisu może tym razem decydować o najbliższych wydarzeniach.

Liczyć się należy z faktem, że Bułgarja wielkie nadzieje pokłada w zdobyczach dyplomatycznych, poczynionych przez Teodorowa w Petersburgu. Ewentualna aprobata Rosji na zajęcie przez Bułgarów Konstantynopola zyskuje ogromnie na znaczeniu wobec energicznej postawy Niemiec, zaznaczonej przez ambasadora Wangenheima. Nowe tło dyplomatyczne w każdym razie utrudni solidarną akcję trójprzymierza i trójporozumienia.

Im bardziej prawdopodobnem się staje wznowienie akcji wojennej na półwyspie Bałkańskim, tem bardziej zaognia się zatarg bułgarsko-rumuński. Rumunja znów powiększyła swe żądania, popierając je nowemi zarządzeniami militarnemi.

Sfery finansowe nie tracą pomimo to optymizmu.

⊳○○○○○○○○○⊲

Oświata w państwie Rosyjskiem.

Członek Rady państwa z mianowania A. N. Kułomzin, ogłosił na podstawie dokumentów urzędowych zestawienia cyfrowe stanu oświaty i szkolnictwa w państwie Rosyjskiem.

Z szeregu tablic, zawartych w rzeczonem wydawnictwie, przytaczamy trochę liczb ogólnych, a mianowicie: w roku 1909/10 było w państwie 104.350 szkół początkowych z 6,518,565 uczniami, 2,452 szkoły średnie z 727,843 uczniami i 101 szkół wyższych ze 110,341 studentami.

Na potrzeby oświaty początkowej wydatkowano w r. 1909/10 ogółem 169,100,310 rb., z czego 86,703,623 rb. ze skarbu państwa, a 78,022,906 rb.— z innych źródeł, jako to: z opłat od uczniów, z funduszów ziemstw, gmin i miast oraz instytucji stanowych, z funduszów kościelnych, z procentów kapitałów specjalnych, ofiar itd.

Na szkolnictwo średnie wydatkowano 107,930,215 rb., z czego 47,212,834 rb. ze skarbu państwa, a 60,717,381 rb. z innych źródeł.

Szkoły wyższe kosztowały rubli 32;538,690, z czego 19,900,056 rub. wydatkował skarb państwa, a rb. 12,633,634 pokryto z innych źródeł.

Prócz tego skarb państwa przeznaczył na różne cele, związane z rozwojem wiedzy 11,360.612, a organizacje samorządowe i stanowe 57,104 rb., razem 11,417,716 rb.

Na cele oświatowe wydano przeto w państwie w roku 1909/10 ogółem rub. 320,996,931.

P. Kułomzin zwraca uwagę przedewszystkiem na bardzo znaczny udział w wydatkach oświatowych — społeczeństwa, wynoszący prawie połowę ogółu wydatków, jak o tem świadczą przytoczone cyfry. W wydatkach na szkolnictwo średnie udział społeczeństwa przewyższa nawet udział skarbu, przyczem na szkoły średnie żeńskie skarb łoży tylko niespełna 5 miljonów, a społeczeństwo z górą 28 miljonów,

Drugą bijącą w oczy cechą szkolnictwa rosyjskiego jest, według A. N. Kułomzina, nadzwyczajnie szybki jego rozwój w ostatnich czasach, zwłaszcza zaś rozwój szkoły początkowej.

W r. 1860 w całem państwie było zaledwie 4.077 szkół początkowych, pod koniec panowania cesarza Aleksandra II—22,770 szkół z 1,140,915 uczniami, pod koniec panowania cesarza Aleksandra III — 43,385 szkół z 2,970,000 uczniami.

W ten sposób liczba szkół podwoiła się przez 13 lat, a liczba uczących się w nich wzrosła o 260%.

Spis szkolny w r. 1911 wykazał w państwie 100,295 szkół ze 154,174 nauczycielami i nauczycielkami i z 6,180,510 uczniami i uczenicami.

W ten sposób przez ostatnie 16 lat liczba szkół powiększyła się prawie 3 razy, a liczba uczniów 2 razy, gdy ludność państwa zwiększyła się w tym okresie zaledwie o 33 proc.

Budżet ministerjum oświaty w ostatnich latach 10 wzrósł z 37 miljonów w r. 1902 do 114 miljonów w r. 1912, a więc o 300 proc. W r. 1902 na oświatę ludową wydatkowano ze skarbu państwa 8,971,883 rb., a w r. 1912 preliminarz budżetowy żądał 63, 552.499 rb. czyli więcej o 600 proc.!

Niezależnie od tego wzrosły znacznie wydatki państwa na szkołę początkową i w budżetach innych ministerjów i zarządów, oraz instytucji społecznych i osób prywatnych.

Jako uzupełnienie, przytoczymy tu parę cyfr wyjętych z ostatniego zeszytu wydawnictwa urzędowego, minist. spr. wewnętrznych, „Jeżegodnik Rosji r. 1910". Według danych z tego źródła na 1,000 ludności obojga płci było w r. 1908/09 uczniów i uczenic w Rosji Europejskiej 50,5, na Kaukazie 45,5, w Królestwie Polskiem — 42,2, w Finlandji — 74,8, w kraju Zakaukaskim — 27,5, na Syberji — 33,0, w Azji Środkowej — 21,1.

Stosunek uczniów do ludności wzrósł w Azji Środkowej o 19,2 proc., w Finlandji o 10, proc., na Syberji o 7, 8 proc., w kraju Zakaukaskim o 7,4 proc., na Kaukazie o 7,3, proc., w Rosji Europejskiej o 5, proc. i w Królestwie Polskiem o 1,7 proc.

Żałować wypada, że Litwa i Białoruś nie są wydzielone również w osobną rubrykę.

⊳○○○○○○○○○⊲

KRONIKA.

═ Z żałobnej karty.

D. 18 b. m. zmarł w Wilnie Bolesław Rusiecki, syn znanego artysty-malarza i sam niegdyś malarz, nie pozbawiony zdolności.

Zmarły poczynił znaczne zapisy na cele publiczne, między innemi, jak informuje „Kurjer Litewski", wszystkie swe bogate zbiory obrazów, książek i starożytności przekazał Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Wilnie. Na budowę własnego gmachu Towarzystwo z tegoż zapisu otrzymuje 10,000 rubli.

W Warszawie zmarł Kazimierz Laskowski, znany pod pseudonimem El, poeta i dziennikarz.

We Lwowie zmarł Władysław Bełza, literat i publicysta.

═ Nowe pismo.

Z chwilą zwinięcia drugiej edycji „Naszej Niwy", drukowanej czcionkami łacińskiemi—powstała luka, którą zapełnił obecnie „Biełoruś", tygodnik w języku białoruskim, wydawany, o ile może sądzić z treści, przez sfery klerykalne.

Powstanie tego pisma świadczy o wzroście narodowego ruchu białoruskiego, który zagarnął, jak widać, nawet część duchowieństwa.

Z tego powodu „Kurjer Krajowy" obawia się, że ruch białoruski może przybrać cechy szowinistyczne, na wzór nacjonalizmu litewskiego, natomiast „Gazeta Codzienna" podkre-

śla życzliwe względem społeczeństwa polskiego tendencje „Białorusa", w przeciwstawieniu do „Naszej Niwy".

Na razie trudno osądzić, po czyjej stronie słuszność. Zobaczymy.

= **Projekt gubernatora.**

Niedawno gubernator grodzieński złożył w ministerjum spraw wewnętrznych sprawozdanie ze stanu gubernji powierzonej jego władzy. W sprawozdaniu tem gubernator domaga się przyznania władzom szkolnym prawa określenia języka przy nauczaniu religji katolickiej. Zdaniem gubernatora grodzieńskiego, władze szkolne nie powinny wcale uwzględniać woli rodziców. ponieważ znajdują się oni pod całkowitym wpływem księży. Ten projekt gubernatora grodzieńskiego ma zapobiec „sztucznemu rozszerzaniu języka polskiego i gwałtownemu zaszczepianiu go ludności czysto rosyjskiej przez nauczanie religji katolickiej w języku polskim".

= **Statystyka więźniów politycznych w Rosji.**

Ciekawe dane, tyczące się ilości zesłanych i więźniów w Rosji europejskiej i Syberji, podaje „Russkaja Molwa".

Zesłanych bez sądu i śledztwa — według tej gazety — było do 1-go stycznia 1911 r. w oddalonych gubernjach Rosji europejskiej i Syberji 6946 osób; w ciągu 1912 r. liczba ta powinna była zmniejszyć się do 3500 osób, jeżeli nie weźmie się w rachubę żon i dzieci, udających się dobrowolnie na zesłanie ze swymi mężami i ojcami.

Jeżeli do tej liczby dodamy jeszcze przestęp„ów politycznych, odbywających karę na mocy wyroku sądowego, to ogółem liczba więźniów w roku 1912 wynosiła 180 tysięcy, w czem 30 tys. „katorżników", a 40% więźniów, skazanych na długie terminy.

W cyrkułach policyjnych w tym samym czasie było około 30 tys. więźniów, trudno jest jednak określić, ilu z tego było więźniów politycznych, choć nie ulega wątpliwości, że dość spory procent.

= **Nauka o nieprawomyślności politycznej.**

Ministerjum sprawiedliwości stara się usilnie o techniczno-zawodowe udoskonalenie swych funkcjonarjuszów w oddziale policji zapobiegawczej przekroczeniom natury politycznej.

Niedawno ministerjum sprawiedliwości wniosło do Dumy państwowej projekt utworzenia w tym celu kursów dla nadzorców więziennych. Obecnie dowiadujemy się z „Grażdanina". że departament policji zajął się opracowaniem poglądowych „pomocy naukowych; opracowano mianowicie mapę geograficzną nieprawomyślności politycznej, na której różnemi kolorami zaznaczony jest stopień nieprawomyślności w całej Rosji.

Wszystkie te sposoby nie dają podobno pożądanych rezultatów, gdyż, jak twierdzi ten sam „Graždanin", na egzaminie, który odbył się na „kursach oficerów żandarmerji, przeznaczonych do służby w ochranie" okazało się, że oficerowie żandarmerji niedostatecznie znają historję rewolucji.

Przyczyną takich wyników jest podobno brak odpowiednich „profesorów".

= **Statystyka gub. kijowskiej według wyznania.**

„Dziennik Kijowski" podaje ostatnią statystykę ludności zamieszkałej w gub. kijowskiej. Według tego obliczenia, w podziale na wyznania, w gub. kijowskiej jest prawosławnych wraz z staroobrzędowcami i jednowiercami—84 38 proc.; katolików—3.07 proc.; i mahometan—0.09 proc.; żydów—15.03 proc

= **Dom polski w Petersburgu.**

W „Dzienniku Petersburskim" rzucony został projekt wybudowania w Petersburgu Domu Polskiego, któryby pomieścił wszystkie instytucje polskie, dziś rozrzucone po całem mieście, a także posiadał sale zebrań, koncertów itd., a o ileby starczyło miejsca—i mieszkania do wynajęcia.

Do Petersburga przyjeżdża rocznie tysiące naszych rodaków, a stała polska kolonja tamtejsza liczy kilkadziesiąt tysięcy członków, jest więc rzeczą wielce ważną stworzenie jakiegoś centrum, któreby tych wszystkich spółrodaków łączyło w jedno społeczeństwo. Zbudowanie takiego Domu Polskiego nie byłoby przedsięwzięciem trudnem; kolonja polska liczy wielu ludzi zamożnych, którzy z łatwością zebraliby potrzebny fundusz.

„Dziennik Petersburski" pisze, iż Dom Polski nie powinien być instytucją dobroczynną, ale spółdzielczą, opartą na zasadach samopomocy. Nie należy zbierać ofiar, lecz udziały, przynoszące 4—4 i pół proc.

= **Hojny dar.**

T-wo Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej „Pomoc Bratnia" w Zakopanem otrzymało w d. 5 stycznia hojny dar od Henryka i Matyldy Grohmannów, którzy celem uczczenia pamięci zmarłego w Zakopanem Teodora Trenklera ofiarowali 25 000 koron na stypendja dla najuboższej młodzieży płci obojga, wyznania chrześcijańskiego, pragnącej się leczyć na płuca w Domu Zdrowia „Pomocy Bratniej". Stypendja powstałe z odsetków od tej sumy będą przyznawane kandydatom przez naczelnego lekarza oraz zarząd Domu Zdrowia.

Nazwiska p.p Grohmannów zapisane są zaszczytnie na kartach działalności filantropijnej w Zakopanem. Nie jedna instytucja użyteczności publicznej znalazła już z ich strony skuteczną pomoc.

= **Szpiegostwo.**

Czytamy w „Russkim inwalidzie" (№ 6):

„Nigdy chyba szpiegostwo cudzoziemskie w Rosji nie panoszyło się tak, jak obecnie.

„Do szpiegostwa japońskiego jużeśmy przyzwyczaili się. Więc oto fakt drugi, bardziej zajmujący.

„Dnia 10 stycznia sąd okręgu wojskowego w Warszawie sądził sprawę poddanego pruskiego, Emila Ballarina. Pan ten skrytym aparatem zdejmował fotografje fortyfikacji rosyjskich, przewoził z Niemiec do Rosji gołębie pocztowe i posyłał do ministerjum wojny w Berlinie rozkazy dzienne niektórych oddziałów wojska rosyjskiego. W jakiż sposób szanowny Herr Emil Ballarin mógł uprawiać tak wielostronną i owocną działalność? Fotografowanie fortyfikacji—to jeszcze rzecz zrozumiała. Gołębie pocztowe—rzecz trudniejsza, ale możliwa. Ale regularne, codzienne posyłanie do Niemiec rozkazów wojskowych? Tymczasem—rzecz bardzo prosta Ballarin służył, jako berejter, w wielu oddziałach piechoty, jazdy i artylerji, i z oddziałów tych przysyłano mu rozkazy dzienne w sposób najlegalniejszy.

„W tych dniach zaś, na stacji Łapy kolei nadwiślańskiej, trzej mężczyźni pochwycili w nocy dróżnika i, zagroziwszy mu zastrzeleniem z rewolwerów, kazali się zaprowadzić do wielkiego mostu kolejowego na rzece Narwi. Obejrzawszy starannie most, wymierzywszy jego długość i szerokość, zbadawszy grubość belek i jakość filarów, znikli w ciemnościach

= **Z braku metryki.**

Syn Czertkowa, przyjaciela Tołstoja, z woli ojca nieochrzczony i przeto nie wciągnięty do ksiąg metrycznych prawosławnych, oświadczył isprawnikowi, że jako jedyny syn nie podlega powinności wojskowej. Władze jednak uznały oświadczenie to za gołosłowne i pociągnęły Czertkowa do odpowiedzialności za uchylenie się od odbywania służby wojskowej.—Wskutek prośby babki jego na imię Najwyższe, sprawę umorzono.

Z rozporządzenia komitetu prasowego № 1 — 2 „Przeglądu Wileńskiego" został skonfiskowany.

Treść numeru.

Tani patryjotyzm.—L. Abramowicz.

Rozłam w Towarzystwie Kultury Polskiej.

Nad Wartą.—J. S.

Rajmund Poincaré.—St. Posner.

Z nad Tamizy.—Dr. K. Wrzos.

Z księgi ciszy.—J. St. Wierzbicki.

Teatr zimowy.—Z. Kleszczyński.

Przegląd piśmienniczy.—W. G.

Na Widnokręgu.

Oświata w państwie Rosyjskiem.

Kronika.

Odcinek: A. Janulaitis. O uniwersytet w Wilnie.

Druk „ZNICZ" Wilno.

Rok II. Wilno, 26 Stycznia (8 Lutego) 1913 r. № 4.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
w Wilnie Rocznie - 7.00 Półrocznie - 3.50 Kwartalnie - 1 75 Miesięcznie - 60 Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu Rocznie - 8.— Półrocznie - 4.00 Kwartalnie - 2.00 Miesięcznie - 70	Ś. Jerska 15 m. 26 Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp. Skrzynka pocztowa № 52	Przed tekstem za wiersz petitu - 50 k. W tekście (nadesłane) - 1 rb. Po tekście - 20 k Numer pojedyńczy 15 kop.

Od Administracji.

Sz. Prenumeratorów upraszamy o odnowienie przedpłaty na rok 1913.

Skromne żądanie.

Duma czwartego powołania rozpoczęła swą sesję poświąteczną.

Fakt ten przeszedł w prasie bez większego wrażenia. Poświęciły mu pisma artykuły raczej z obowiązku dziennikarskiego, bynajmniej zaś nie z poczucia doniosłości rozpoczynającej się pracy „parlamentarnej.“

Publiczność czytająca dawno już przestała się interesować rubryką: z Dumy i Rady Państwa, wiedząc z góry, że nic tam ciekawego nie znajdzie, prócz efektownych zapowiedzi interpelacji, które żadnego skutku nie odniosą oraz pięknie brzmiących programów frakcyjnych, które nigdy w życie wcielone nie będą. Sprawozdaniom zaś z posiedzeń Dumy odebrał wszelki urok Puriszkiewicz, zachowujący się od dłuższego czasu z zadziwiającą powściągliwością.

Nawet sami posłowie nie przywiązują najwidoczniej do swej działalności większego znaczenia, skoro na otwarcie sesji stawiła się ich zaledwie połowa.

Dziwnie apatyczny nastrój płynie dziś z pałacu Taurydzkiego.

Być może, wrażenie to się otrzymuje na skutek zestawienia nikłej roli przedstawicielstwa rosyjskiego z doniosłemi przeobrażeniami, jakie zachodzą na widowni międzynarodowej, boć teoretycznie rzecz biorąc, przed Dumą obecnie otwiera się rozległe pole działania.

Prezes rady ministrów zapowiedział przystąpienie do urzeczywistnienia fundamentalnych praw każdego ustroju konstytucyjnego, wspominając — w formie dość ogólnikowej wprawdzie — o tolerancji religijnej, o nietykalności osobistej, o stanach wyjątkowych, o wolności słowa, o stowarzyszeniach i związkach i t. p.

Duma stoi także na tem stanowisku, że wspomniane akty prawodawcze stanowią najpilniejszą potrzebę państwową. Wyraża to uchwała, która zapadła po rozprawach nad deklaracją, stwierdzając stare życzenie, aby rząd jaknajrychlej przystąpił do wcielenia w życie zasad manifestu październikowego.

Zdawałoby się więc, że nic nie przeszkadza wspólnej pracy rządu i Izby w zakresie tych chociażby stycznych punktów, które się odnalazły między powyższemi dwoma czynnikami życia państwowego.

Nikt jednak nie wierzy, aby rząd na serjo myślał o przeprowadzeniu reform i nikt też na obietnicach p. Kokowcowa nie myśli opierać swych rachub i nadziei. W tem przeświadczeniu właśnie tkwi źródło obojętności i apatji, sztucznie maskowanej frazeologją opozycyjną i komicznemi wprost usiłowaniami zachowania *bonne mine*.

Nie należy przytem zapominać, iż na drodze szukania punktów stycznych między rządem a Dumą stoi jeszcze Rada Państwa.

Ubiegłe pięciolecie prawodawcze odznaczało się stałym zatargiem między obu izbami. Czy dziś sytuacja ulegnie zmianie na lepsze? Nic tej zmiany nie zapowiada. Duma obecna przesunęła się nieco ku lewicy, Rada ma nieco silniejsze, niż poprzednie, skrzydło prawe. Przeciwieństwa więc zaostrzyły się jeszcze bardziej. O znalezieniu „wspólnego języka“ niema mowy.

Wszystko to czyni istnienie Dumy zgoła bezbarwnem i pozbawionem wszelkiej żywotnej treści. Już po rozwiązaniu drugiej Dumy stało się widocznem, że przedstawicielstwo rosyjskie nie stanowi żadnej realnej siły i jest tylko fikcją parlamentu, jako instytucji prawodawczej. Łudzono się jeno, że długoletniem swem funkcjonowaniem utrwali w społeczeństwie przywiązanie do ustroju reprezentacyjnego i będzie widocznym znakiem granicznym pomiędzy dwiema epokami państwa Rosyjskiego.

Opozycja widziała również w trybunie dumskiej doskonały środek do uświadamiania mas i pobudzania ich do życia obywatelskiego.

Na razie przewidywania te nie były pozbawione słuszności. Nowość budziła ogólne zaciekawienie

i niewątpliwie wpływ swój wywierała. Z czasem jednak otrzaskano się z nią i wrażliwość społeczeństwa przytępiła się. Jałowość rozpraw nudziła, cynizm zaś większości sprawiał obrzydzenie. W końcu, unikając przykrego a bezcelowego szarpania nerwów, organizm społeczny instynktownie zdobył się na środek odporny, uzbrajając się w doskonały indyferentyzm i płynącą stąd rezygnację.

Jedynie ludność „obcoplemienna“ nie mogła i nie może przejść do porządku dziennego nad robotą „parlamentu“ rosyjskiego. Nie oczekuje ona oczywiście odeń żadnych ulg ani poprawy swego losu, ale zmuszoną jest stale wytężać bacznie swą uwagę ku temu, co się dzieje w pałacu Taurydzkim, gdyż nie ma żadnej pewności, azali nie spadną na nią stamtąd nowe ograniczenia, azali nie urodzą się w tych ścianach nowe pomysły ku jej utrapieniu a zadowoleniu karjerowiczów kresowych, robiących doskonałe interesy na dopingowaniu uczuć szowinistycznych społeczeństwa rosyjskiego za pomocą podburzających przemówień dumskich.

Zdaje się jednak, że czwarta Duma pod względem zapału nacjonalistycznego ustępuje znacznie swej poprzedniczce. Przestanie więc być może odegrywać i tę jedyną rolę straszaka, do której może poczuwać się na siłach. Innych złudzeń chyba sama nawet nie żywi.

Oby była nieszkodliwą — oto jedyna pretensja, którą ma względem niej społeczeństwo. O pożytku i rezultatach pozytywnych jej działalności nikt rozsądny marzyć nie może. Natomiast robota destrukcyjna i negatywna nie jest bynajmniej wyłączona. Dlatego też musimy pragnąć, aby ów nastrój senny, stwierdzony przez rozmaitych korespondentów petersburskich, trwał jak — najdłużej i nie ustępował miejsca zbytecznej żarliwości w sprawach, nas dotyczących.

Nikt chyba nie zaprzeczy, że żądanie nasze jest nader skromne i nie trudne do spełnienia.

Novus.

O „Kulturę Polską“.

Od jednego z wybitnych publicystów warszawskiego otrzymujemy poniższe uwagi na temat głośnego rozłamu w T-wie Kultury Polskiej. Głos ten, nacechowany spokojem, chociaż nie pozbawiony pewnej dozy goryczy, rzuca światło dostateczne na niezrozumiałe dla wielu z nas zajście. Zaleca go nieposzlakowane polskie uczucie obywatelskie oraz usiłowanie zajęcia stanowiska objektywnego, górującego nad roznamiętnieniem, panującem obecnie w warszawskim obozie postępowym.

Podczas koronacyjnych uroczystości w Anglji dotąd trwa prastary zwyczaj, polegający na tem, że rycerz królewski, zbrojny w całą straszliwość średniowiecznych blach i pióropuszów, wywołuje z piorunowym gniewem i wyzywa na bój każdego, ktoby się ośmielił przeczyć, że koronowany monarcha jest prawym królem Anglji.

Kiedyś może byli tacy, którzy się ośmielali zaprzeczać, ale kości ich dawno już spróchniały, przeszły stulecia, a rycerz ciągle z tą samą pompą, dziś już tylko dla tego nie śmieszną, że nikt jej na serjo nie bierze, woła: „Wychodź każdy, kto zaprzecza praw monarsze, niech roztrzaskam twój zuchwały łeb“. Nikt nie wychodzi, rycerz wraca do domu, składa zbroję i stroje do muzeum; śpią tam spokojnie, aż póki nowego króla koronacja nie zbudzi ich na żywot krótki, choć buńczuczny.

Są ludzie, którym się zdaje, że obowiązkiem ich jest być takimi rycerzami angielskiego króla, pod jakąkolwiek się on im objawi postacią, i którzy biorą, — albo przynajmniej udają, że biorą, — rolę swoją na serjo.

A wtedy dzieją się rzeczy i smutne i śmieszne. Widownią takiego turnieju o honor angielskiego króla było (i jest jeszcze) Towarzystwo Kultury Polskiej, podczas ostatecznego zebrania ogólnego delegatów.

Tow. Kultury Polskiej liczy około 6000 członków z rozmaitych sfer społecznych i w rozmaitych miejscowościach kraju trzydzieści kilka oddziałów, z których każdy prowadzi w miarę sił poważną pracę kulturalną i oświatową, jest zatem instytucją społecznie doniosłą, której normalny rozwój

ESTEDE.

Z wędrówek mimowolnego turysty.

(Fragment).

Wczesnym rankiem do celi naszej wszedł starszy strażnik.

— No, panowie, zabierajcie wasze manatki, podwody czekają, im wcześniej wyjedziecie, tem lepiej dla was, kawał drogi macie przed sobą.

Pakuję do worka moje ruchomości i wraz z towarzyszami wychodzę na podwórze.

— Słyszeliście—zwraca się do mnie towarzysz— „panowie“ powiedział, dawno już nas tak nie tytułowano. Konstytucję ogłosili, czy co?

Pożegnanie z więzieniem trwało krótko, strażnik odczytuje nazwiska i bez dalszych ceremonji brama otwiera się i wychodzimy na ulicę.

Nareszcie! skończyły się etapy, skończyły się ciągłe rewizje i czuła opieka konwoju!

Pozostały jeszcze chałaty z czerwonemi tuzami na plecach, pozostały ślady na rękach od parutygodniowego noszenia „naruczników“; ale władze więzienne nie mają już do nas pretensji, jesteśmy na wolności!

Siadamy na oczekujące nas wozy i pod eskortą dwuch strażników ruszamy.

Pogoda prześliczna, dzień zapowiada się gorący, syberyjski lipiec wcale nie ustępuje „przywiślińskiemu“.

Szybko mijamy nędzne uliczki powiatowej mieściny, przeprawiamy się promem przez jakąś rzekę i po chwili wjeżdżamy w las.

Humory turystów świetne, trzynastu osiedleńców wchodzących w skład „partji“ reprezentowało razem około trzydziestu lat różnej kategorji więzienia, nic więc dziwnego, że opuściwszy aż nazbyt gościnne mury, daliśmy folgę szalonej, rozhukanej wesołości.

Nikt prawie nie został na trzęsących zresztą niemiłosiernie telegach. Na trawę! w las! dawno już nie było do tego sposobności.

To nie półgodzinny spacer więzienny po brudnem i niezbyt woniejącem podwórku, tu bujna, zie-

i trwanie powinno stanowić troskę każdego jej członka. Ciekawi znajdą szczegóły w sprawozdaniach rzeczowych Towarzystwa i oddziałów, więc się w to nie zagłębiam, przechodzę wprost do punktu głównego, do kości niezgody.

Kiedy się w ciągu ubiegłej jesieni pod wpływem przemożnym walki wyborczej i jej wyników rozgorzał ruch antysemicki w Warszawie i w całem zresztą Królestwie Polskiem, ruch, który ma obecnie specyficzny charakter, bo został połączony z hasłami bezwzględnie dodatniemi, jak tworzenie kooperatyw, — jak polszczenie miast i t. p.,—ruch ten nie pozostał w sferze polityczno - społecznej tylko, ale się począł wciskać do sfery uczuciowej człowieka, rodząc zupełnie zbyteczne zacietrzewienie, rozbudzając namiętności, grożąc opanowaniem placówek, których dziewiczość jest ich warunkiem istnienia.

Placówką taką było i powinno było pozostać Tow. Kultury Polskiej.

Nie tylko żydowski sklepikarz i nacjonalistyczny czytelnik „Hajnta" jest wrogiem interesów polskich, mają one wrogów innych i gdybyśmy chcieli wrogów tych wyliczać, zaprowadziło by to nas za daleko.

Bądź co bądź Towarzystwo Kultury Polskiej, które postawiło sobie za zadanie wytknięte odrazu w § 1 ustawy szerzenie kultury narodu polskiego, w oczach wielu swych członków powinno było nieść wielką, trwałą, nieprzerwaną narodowi polskiemu i jego kulturze służbę, zdobywać, stwarzać trwałe wartości kulturalne, a stąd uciekać najdalej od wszelkich odgłosów walki wyborczej, czy innej, od wyliczania wrogów i t. p.

Tymczasem ten uczuciowo już zabarwiony nastrój antysemicki nie mógł pozostać poza granicami dyskusji w Towarzystwie i oto nastąpiła niefortunna w założeniu uchwała sekcji etycznej, będąca oddźwiękiem tych walk poza Towarzystwem.

Nazywam ją niefortunną, jakkolwiek w jej sformułowaniu niema nic, z czem by się można zasadniczo spierać. Niefortunność jej płynie stąd, że jest ona najzupełniej zbyteczna i najzupełniej nie na czasie.

O tem, że Tow. Kultury Polskiej jest i musi być polskiem nikt nigdy nie wątpił; tego aby miasta polskie stały się polskiemi, każdy polak chcieć musi. Dlaczegoż przypominano to teraz. Czy zaszły jakie wypadki, któreby wymagały takiego przypomnienia? Jeśli tak, należało by je wytknąć, wskazać, napiętnować.

Wypadki te jednak były poza Towarzystwem Kultury Polskiej, poza sferą jego działalności, wypadki te to: rezultat walki wyborczej do Dumy państwowej, to wzrastająca fala wrogich sobie nacjonalizmów, to agitacja pewnych organów prasy i stronnictw politycznych. Część Tow. Kultury Polskiej uległa prądowi.

Że prądowi uległa grupa znaczna ludzi szarych, bez fizjonomji, ludzi bez nazwisk i bez działalności społecznej, dziwić się trudno, prąd był silny, zahaczał o sprawy żywotne, codzienne, poruszał kwestje doniosłe i proponował rozwiązanie nieskomplikowane, łechtał miłość własną, poruszał strony uczuciowe, czasami zawierał w sobie obietnicę zysku. Nie będę tu rozważał znaczenia społecznego haseł bojkotowych w stosunku do żydów, jakkolwiek zdaje mi się, że pochłaniają one istotnie zbyt wiele sił narodu, które należałoby może skoncentrować na innych polach, ale niezależnie od wszelkiej krytyki, chodzi mi o skonstatowanie faktu, że prąd ten ogarnął poważną ilościowo grupę szarych członków Towarzystwa i że stać się to musiało.

Nie o tę grupę jednak chodzi, nie chodzi także o paru „polityków" in partibus infidelium w rodzaju p. Łypacewicza i innych jego towarzyszów ze Zjednoczenia Postępowego, nie chodzi o warchołów i krzykaczów w rodzaju p. Niemojewskiego (temu ostatniemu zresztą należałyby się bardziej jaskrawe epitety) — chodzi jednak o Aleksandra Świętochowskiego.

Na zebraniu delegatów T. K. P. Aleksander Świętochowski kategorycznie żądał, aby zebrani uchwalili wnioski dotyczące polskości stowarzyszenia i miast grożąc, że w przeciwnym razie on, twórca T. K. P. to własne dziecko zabije, „zamknie Kulturę Polską w historji" i t. d.

Jeżeli można lekceważyć wszystkie inne głosy

---

lona murawa zastępuje bruk, a w miejsce zaduchu więziennego mamy cudny, balsamiczny zapach sosnowego lasu.

To też biegamy jak gromada sztubaków wypuszczonych po parugodzinnej męce w klasie na „długą" pauzę, poważni społecznicy zapominają na chwilę o wszelkich „principjalnych" kwestjach, a echo roznosi daleko po lesie wesołe ich krzyki i śpiewy.

Dwaj przedstawiciele „władzy" zachowują się zupełnie przyzwoicie, nie czynią żadnych wstrętów i nie okazują najmniejszej obawy, aby zginął który z powierzonych ich pieczy podróżnych.

I słusznie: więzienne ubranie, absolutny brak monety i jakichkolwiek dokumentów dają im najzupełniejszą gwarancję, że nikt nie „zwieje".

Właściwie rola ich ogranicza się do tego, że wiozą nasze „bumagi" i „karmowe" po dziesięć kopiejek dziennie na osobę. Rozmawiają tonem zwykłych śmiertelników i nie mają nawet miny gienerałów, jak się to nieraz zdarza stójkowemu na Złotej, lub Brackiej.

Idziemy wciąż lasem, a telegi nasze wloką się po piaszczystej drodze, ten i ów nie chcąc się przyznać, że odzwyczajone od długiego chodzenia nogi odmawiają posłuszeństwa, dochodzi do wniosku, że wozy są na to, aby na nich jechać. Większość jednak trzyma się nieźle, a niektórzy „odgrażają się" że przejdą pieszo całą przestrzeń trzystu wiorst oddzielających nas od Wydryńska; rozumie się jednak, że przechwałek tych nikt nie bierze na serjo.

Po paru godzinach takiej podróży telegi nasze sznurem zatrzymują się przed kancelarją gminną Iłańska, gdzie ma nastąpić zmiana podwód i krótki wypoczynek.

Wkrótce otacza nas tłum ciekawych, chcących z bliska przyjrzeć się groźnym dla całości państwa przestępcom.

Po chwili zjawia się kilku chłopców niosąc ogromnych rozmiarów dzbany mleka, kołacze, bliny i inne przysmaki.

— To dla „polityków" — objaśniają chłopcy i dodają:

— Jeżeli będzie mało, przyniesiemy jeszcze.

Widocznie związek ludzi prawdziwie rosyjskich mało ma w tej miejscowości zwolenników.

Wogóle podczas całej sześciodniowej podróży

i krzyki, to głosu tego lekceważyć nie wolno. Był zatem powód, który skłaniał do postawienia tych wniosków? Nie — powodu nie było.

Nawet Świętochowski może popełnić błąd i jakkolwiek należy się z nim liczyć, nie można uważać błędów jego za rzeczy słuszne.

Cechą jest ruchów i odruchów społecznych, a takim jest niewątpliwie antysemicki prąd w Polsce w chwili obecnej, że odbywają się one wedle praw psychicznych analogicznych do tych, jakie obserwujemy w działalnościach tłumu. A psychologja tłumu podatna jest objawom specyficznej halucynacji. Taką zbiorową halucynacją są cuda, anioły i święci unoszące się nad polami bitew, taką zbiorową halucynacją, była trwoga przed zdrajcami ojczyzny czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, trwoga, która stwarzała giljotynę i „czerwone msze" trybunału rewolucyjnego, dopatrywała się zdrajcy w każdym, kto świadomie, czy bezwiednie myślał, czy działał nie tak, jak się zdawało właściwem Robespierrowi; taka zbiorowa halucynacja każe mówić hakatystom niemieckim o niebezpieczeństwie polskiem; — do tej samej kategorji należy obecny ruch antysemicki w Polsce.

Nie znaczy wcale, aby zalew żydów rosyjskich, jakiemu ulega Królestwo, nie był zawadą w normalnem życiu i rozwoju społeczeństwa polskiego, owszem jest i jest przeszkodą poważną, ale stąd nie wypływa jeszcze ani to, żeby każdy człowiek o nazwisku żydowskiem był wrogiem społeczeństwa i kultury polskiej, żeby każdy człowiek, który się odważy nie krzyczeć „gore", a zwracać wysiłki swoje do spokojnego budowania przyszłości narodu, przyszłości społeczeństwa polskiego i kultury polskiej, żeby każdy taki człowiek był „pachołkiem żydowskim" i sługą „interesów separatyzmu żydowskiego". Krzyczą wszyscy przeciwko żydom, bo w danej chwili stali się oni straszakiem dla wielu wygodnym, tak dalece wygodnym, że nawet, dający przyjacielskie rady polakom, paryski „Temps" nie zapomina wskazać na konieczność walki z żydami i wskazuje skwapliwie sojusznika w tej walce. Czytając te rady mimowoli przypomina się przysłowie: od przyjaciół ustrzeż mię Panie, od wrogów sam się ustrzegę...

Ale to nic, krzyczą wszyscy przeciwko żydom — a kto nie krzyczy, kto się ośmieli powiedzieć, że poza tym krzykiem są inne ważniejsze rzeczy do spełnienia, ten jest zdrajcą, adwokatem żydowskim, wrogiem narodu, „pół - polakiem", „ćwierć - polakiem" i t. d.

Niebezpieczeństwo żydowskie rośnie, olbrzymieje, zakrywa sobą wszystko inne, zakrywa sobą niesłychanej żywotności sprawy i zadania społeczne i polityczne, których wyliczać tu ani czas, ani miejsce.

Ludzie przestają mówić ze sobą zrozumiałym językiem, zatykają uszy na perswazje; wara podnosić głos, nie przeciw zasadzie samej, ale tylko przeciw jej wyłącznej doniosłości, wara, bo za tem pójdzie ze strony niedowarzonych półgłówków anonimowy list z groźbami i przekleństwami samozwańczo w imieniu polskości rzucanemi, ze strony zacietrzewionych krzykaczów dwugroszowych czy innych szereg inwektyw mniej lub więcej ślepych i bezmyślnych, a dobrze jeszcze, jeżeli jakiś nieprzebierający w środkach kalumniator nie zacznie walczyć oszczerstwem, szarpaniem dobrej sławy i t. d. i t. d., pewny bezkarności, bo grający w dudkę popłatnego hasła.

Krytycyzm zamiera. Można śledzić na samym sobie, jak się powoli zatraca zdolność oporu w stosunku do hałaśliwej zalewającej fali. Rozpoczęty od typów społecznie niższych, intelektualnie słabszych poczyna prąd taki ogarniać typy wyższe, wciągać, pochłaniać, zmuszać, aby i one poddały się pędowi tłumu. Doskonale zobrazował to zjawisko J. K. Kochanowski w pracy p. t. „Błyskawice praw dziejowych".

Głęboko czczę Świętochowskiego. Na jego dramatach, na jego „Liberum Veto" uczyłem się myśleć ja i całe moje pokolenie. W drabinie ludzi społecznie pożytecznych widzę go na szczeblach najwyższych. Niech nam daruje jednak mistrz, żeśmy, uczniowie, wzięli od niego tylko to, co się nam istotną wartością zdawało, żeśmy nie stali się epigonami tylko. Nie przyjęliśmy jego „Wskazań politycznych", a może i poza politycznemi nie wszystkie wydały się nam stojącemi ponad krytyką. Zresztą, nie o to dziś chodzi, zapewne sam

---

trzeba było zaznaczać sympatyczne zachowanie się miejscowej ludności. Z chwilą, gdy dowiedziano się we wsi, że w partji są „polityczni", wszystko było na nasze usługi, a w wielu wypadkach włościanie nie chcieli przyjąć żadnego wynagrodzenia.

Napotykaliśmy na trudności jedynie wtedy, gdy trzeba było zmieniać konie, tłomaczy się to jednak tem, że włościanie obowiązani są dostarczać podwody bezpłatnie, co zwłaszcza podczas robót polnych wcale nie było im na rękę.

— Co my jesteśmy winni, że was tu wysyłają? — pytano nas nieraz. Argument zupełnie przekonywujący, dający przytem wdzięczny temat do rozmowy.

Słabą stroną podróży były noclegi, na które zwykle przeznaczano lokale gminne.

O ile chodzi o zewnętrzny wygląd, budynki te przedstawiają się wcale przyzwoicie w porównaniu z chałupą chłopską w gubernji, dajmy na to kieleckiej, my jednak niestety nocowaliśmy wewnątrz tych domów.

Noclegowe nie były pozbawione oryginalności, mimowoli, siłą przyzwyczajenia szukało się krat w oknach, drzwi na klamkę tylko zamykane wydawały się również nowością, wcale nawet nie przykrą, niestety jednak chwil tu spędzonych nie mogę zaliczyć do najszczęśliwszych w mem życiu.

Spać trzeba było pokotem na podłodze, w tem jednak leżał tragizm sytuacji, że spać trzeba było, a nie pozwalały na to niezliczone roje wszelakiego robactwa.

Noc całą trwała nierówna walka, siły nieprzyjaciela były zda się niewyczerpane i co chwila nowe kohorty występowały do boju.

Zdaje sie, że jedną z plag egipskich miało być robactwo. Spoczywające po różnych muzeach mumje mogłyby dużo w tej kwestji powiedzieć; nie więcej jednak ucierpiały one za życia, niż my podczas tych nie zapomnianych „snów nocy letniej".

Zresztą, w ostatnich latach tak się u nas rozpowszechniło badanie fauny więziennej, że wystarczy gdy powiem, iż jeden chyba fort Aleksieja w czasach swej „świetności" wytrzymałby konkurencję z budynkiem, którego podwoje tak gościnnie nam otwarto.

Najdłuższa noc musi się jednak kiedyś skoń-

Aleksander Świętochowski uczynił nie jeden krok po nad siebie samego w ciągu długich i owocnych lat pracy.

Ale i tacy ludzie nie zawsze mogą pozostać w roli spokojnych kapłanów, po świętej drodze i schodach Kapitolu wstępujących ku szczytom. Zapominają czasem i tacy ludzie, że nie każde hasło popularne jest już dla tego samego potrzebne i na czasie, że może właśnie należy przypomnieć ludziom, że nie powinni się dać oczadzić frazesom takich popularnych i bezspornych haseł, a zachować całkowitą przytomność umysłu i czystość uczucia do rozstrzygania stawianych przez życie zagadnień, do twórczego społecznego czynu.

Przypomnijmy sobie niedawny przykład znakomitego Momsena i jego antypolskich halucynacji.

Najwięksi ludzie, jeżeli szczególniej są to ludzie o charakterze apodyktycznym, łatwo mogą w warunkach takich, jak obecnie, ulec ogólnej hypnozie. A wtedy gotowi powiedzieć, jak Świętochowski: „Ja zamknę Kulturę Polską w historji".

A przecież Świętochowski wie, że to tylko frazes, że on Kultury Polskiej w historji nie zamknie, bo on sam jest tylko jej epizodem,— jakkolwiek wielkie dla niej położył zasługi. Dzisiaj wydało mu się, że jest rzeczą konieczną stanąć w obronie zagrożonej polskości, że grozi tej polskości garść ludzi, którzy nie mniej gorąco ukochali polskość niż on sam i niemniej gorąco pragnęliby swoją w miarę sił służbę tej umiłowanej złożyć.

I nie chodzi o słowa i cześć przechwałki. Nie od dzis i nie od wczoraj idą ci ludzie z pługami swemi po roli życia polskiego, orzą i sieją, jak umieją i mogą; jeśli pszenica ich zbiorów nie jest tak bujna, jak w Świętochowskiego śpichrzu, to nie wola złej woli, może siły słabsze, ale wysiłek i pracy nieustanność i zapał i wiara nie mniejsze.

I nie raz jeszcze mimo zapowiedzi Świętochowskiego, że odejdzie i zamknie Towarzystwo, nie raz jeszcze będą się musieli spotkać ze sobą. Tu, czy gdzieindziej, ciągle się wszak ci sami ludzie spotykać i spierać muszą. I znowu może spotkanie to wykaże istotne różnice poglądów, będzie polem sporu. Ale będzie niewątpliwie polem służby znowu tej samej idei polskiej, jak było dotąd, jak jest dziś.

Jakże to niesłychanie łatwo korzystając z powszechnego zaślepienia, z otumanienia chwilowego lub poddawszy się jemu odsądzić ludzi, którzy myślą inaczej, niż my, od praw i czci. Jak łatwo stawać się bohaterem w obronie angielskiego króla, któremu nikt praw nie zaprzecza, jak łatwo zwyciężać, jeśli się przeciw sobie ma tylko owoc własnej wyobraźni. I jak łatwo czynić krzywdę ludziom dobierając wyzwisk przeciwko nim tylko dla tego, że nasze własne zaślepienie nie pozwala nam ochłonąć, nie pozwala być sobą, nie pozwala przypomnieć, że nie tak to dawne czasy, kiedy w ten sam lub bardzo pokrewny sposób nas krzywdzono, tylko dla tego, że popularne hasła nie wydawały się nam bezwzględną i nienaruszalną prawdą.

Konkretnie spór w T. K. P. wyglądał tak: delegaci centrali postawili wniosek o tem, że do towarzystwa mogą należeć tylko polacy bez różnicy wyznania i pochodzenia i o tem, że miasta polskie winny być spolszczone. Przypuszczam, że wnioski te nie zawierały w sobie nic więcej ponad to, co z ich ścisłego brzmienia wypływa.

„Opozycja" większością kilku głosów postanowiła zdjąć te wnioski z porządku dziennego, motywując to zdjęcie między innemi tem, że są one wobec wyraźnego brzmienia ustawy zbyteczne, a w obecnej chwili do dyskutowania nie odpowiednie, gdyż zahaczając o zagadnienia charakteru politycznego wprowadzić mogą nie pożądany i szkodliwy dla pracy kulturalnej rozdźwięk do stowarzyszenia. Mówcy „opozycji" uzasadniając zdjęcie wniosków z porządku dziennego mówili, że przeciwko ich istocie występować nie mają zamiaru, że tylko czas i miejsce nie wydaje im się odpowiednie do analizowania i komentowania tych haseł, ktore mimo swojej niesporności w zasadzie, budzą szereg nieporozumień, gdy chodzi np. o sposoby, jakiemi do spolszczenia miast dążyć należy, albo probierze do określania polskości, którą już próbowano mierzyć na „polowy" i „ćwierci".

Czasami układ stosunków społecznych jest

---

czyć, tem bardziej noc lipcowa. Z radością witamy wschód słońca i siadamy na wozy, a raczej ostrożnie układamy na nich niedojedzone szczątki doczesnej powłoki.

Zaspani i zmordowani całonocną walką ruszamy w błogiem przeświadczeniu, że przynajmniej następnego noclegu będziemy wolni od naszych prześladowców.

Równie mądre jak niezbadane wyroki Opatrzności chciały jednak inaczej, wkrótce mieliśmy się przekonać, że widocznie było nam sądzonem służyć za pokarm dla wszelkiego rodzaju pełzających, skaczących i latających owadów.

Droga prowadziła przez tajgę (kto nie wie czem jest tajga, ten niechaj zajrzy do encyklopedji) i nigdy nie zapomnę przyjęcia, jakie nam zgotowali jej mieszkańcy.

Niezliczona moc ptactwa i przeróżne, od czasu do czasu spotykane czworonogi zachowały wobec nas ścisłą neutralność, nie można jednak tego powiedzieć o rojach komarów, a zwłaszcza o maleńkiej, nie większej od łebka od szpilki muszce, którą dostawała się literalnie wszędzie, nawet w najmniej dostępne zdawałoby się miejsca.

Skąd w tak małem lichu bierze się tyle złośliwości, nie wiem, napróżno również łamałem sobie głowę czem żyły te stworzenia, zanim pewną kategorję ludzi zaczęto posyłać w „miejsca bardziej oddalone".

Być może, że uda się kiedy jakiemu niemieckiemu statystykowi obliczyć, ile muszek wypada na kwadratowy sążeń tajgi, co do mnie, twierdzę z całą stanowczością, iż jest ich znacznie więcej niż potrzeba, aby człowieka zupełnie zniechęcić do życia.

Nagle krajobraz zmienił się zupełnie, znikła bujna zieloność, po obu stronach drogi ziemia była pokryta popiołem i zwęglonemi gałęziami drzew, nagie, opalone pnie wskazywały, że przeszedł tędy pożar, częsty gość tajgi.

Powoli wlokła się nasza karawana przez to cmentarzysko puszczy, słońce dopiekało nielitościwie, kopyta końskie wzbijały w powietrze tumany pyłu, który przedostawał się wszędzie i pokrywał grubą warstwą ludzi, wozy i konie. a utrapiona muszka nie odstępowała nas ani na chwilę.

W milczeniu posuwaliśmy się na północ, znikła bez śladu dawna wesołość, ponury krajobraz wywarł przygnębiające wrażenie na wszystkich.

taki, że niesporne prawdy dają pole do nieporozumień, a to się dzieje wówczas, kiedy się stają one parawanami dla dążeń i celów ubocznych; tak było i tutaj.

A kiedy ongi młody pozytywista z zapałem i gniewem potępiał starych romantyków i marzycieli, to nie dlatego, żeby ci albo tamci byli wrogami polskości, tylko, że się między sobą w wyborze dróg różnili. Kto z nich był na lepszej drodze?—nie wiem.

I przypomina mi się tutaj przypowieść z „Ksiąg pielgrzymstwa" o kobiecie leżącej w letargu, i lekarzach, co się spierali o metodę leczenia i synu, co krzykiem miłości matkę obudził. Nie bądźmy tylko lekarzami.

Życie narodu tak samo jak życie człowieka, a może w bardziej jeszcze skomplikowany sposób jest procesem ciągłego wchłaniania nowych pierwiastków, ciągłego stwarzania nowych wartości.

My chcemy, żeby naród polski żył, chcemy żeby nie tylko myślał, ale i czynił; myśleniom, chęciom i czynom tym nie stawiamy granic. Niech się rozrasta i rozkrzewia, niech się najcudniej rozkwieca, i potężny i wielki niech się nie lęka burz. My chcemy nietylko cegła po cegle od podstaw wznosić dla narodu polskiego dom, ale chcemy żeby w tym domu mieszkał duch żywy, twórczy, wciąż naprzód idący. My chcemy, żeby polskie były miasta i wsie i jeszcze wiele innych rzeczy chcemy, o których niema mowy w uchwale. A w Towarzystwie Kultury Polskiej chcemy, żeby byli wszyscy ci, którym kultura polska jest droga, którzy pragną rozniecać jej światło, albo się przy jej ogniu grzać. Polaków nie chcemy mierzyć na „ćwierci" i nie po słowach, a po czynach chcemy ich poznawać, przy pracy, nie przy rozprawach pustych.

Są, którzy nie mówią tego i nie wykrzykują, bo w dumnem zapamiętaniu myślą, że praca ich codzienna mówi za ich dobitniej. Niech krzyczą ci, co mają mocne płuca i żadnych zadań do spełnienia.

Poseł czynu

Pogrążyłem się w myślach, nad tem jaka przyszłość oczekuje nas w tym nieznanym i odległym zakątku Syberji.

Czy mamy wyrzec się na zawsze dawnego życia, życia pełnego walk i niebezpieczeństw, ale też i wielkich nadziei na lepszą, jaśniejszą przyszłość?

Czy ta obrócona w popiół i zgliszcza roślinność nie jest symbolem tego, co nas oczekuje w przyszłości?

Czy pod wpływem ogólnej martwoty otaczającej nas przyrody nie zamienią się w popioły nasze pragnienia i ideały, czy nie zetleją wielkie hasła?

Lecz na tem cmentarzysku pusto było i głucho i na moje pytania nie znalazłem odpowiedzi...



Ideja spółdzielcza.

Kooperacja, podobnie jak dobroczynność, zwraca się przedewszystkiem ku słabym społecznie, ku wydziedziczonym; zasadniczo przecie różni się od dobroczynności. Dobroczynność jest pomocą przychodzącą zzewnątrz, jest jałmużną rzuconą przez silnych naprzykrzającym się słabym. Dobroczynność nie ma na celu takiego wzmocnienia słabych, aby słabymi być przestali, jeno przyniesienie im ulgi doraźnej, podanie ręki do przejścia przez bolesną, ciernistą drogę ziemskiego żywota.

Zupełnie innym duchem przeniknięta jest kooperacja, która mając na widoku wzmocnienie słabych, im samym zrzeszyć się nakazuje, powołuje słabych do gromady, aby łącznemi siłami wrogiemu naporowi czoło stawić mogli. Złączeni w kooperatywę słabi, sami własnemi rękami i wspólnym wysiłkiem lepszą stwarzają sobie dolę, dążą do zdobycia siły, której ich dzisiejszy układ społeczny pozbawia.

Kooperatywa — dalej—jest pewnego rodzaju związkiem, spółką handlową lub wytwórczą, głęboko jednak różni się od związków kapitalistycznych, od syndykatów fabrykanckich lub zmów wielkich kupców. Te syndykaty i zmowy bowiem są związkami silnych uprzywilejowanych, zawiązanemi w celu powiększenia swej siły i przywileju, są to zgrupowania wyzyskiwaczów dla tem skuteczniejszego, tem głębiej sięgającego wyzyskiwania. Są to przytem organizacje założone wyłącznie na interesie samolubnym i których jedynem zadaniem jest powiększenie majątku swych członków, choćby za cenę zrujnowania lub metodycznego wyzysku olbrzymiej większości społeczeństwa. Wreszcie organizacje kapitalistyczne są prawie zawsze zamknięte: nietylko nie dążą do rozszerzania się na całe masy, lecz wprost przeciwnie—mają tendencję do zacieśniania się w gronie coraz bardziej uprzywilejowanych jednostek.

Warto jeszcze rozpatrzeć różnicę między kooperatywą i spółką udziałową. Zwykle powiada się w tych razach, że spółka udziałowa jest zgrupowaniem kapitałów, gdy kooperatywa jest zgrupowaniem ludzi. Członkowie spółki udziałowej pobierają dywidendę proporcjonalną do wysokości wniesionego udziału i mogą udziały sprzedawać, gdy członkowie kooperatywy uczestniczą w zyskach w stosunku — jak mówią anglicy — „korzystania z kooperatywy". Są to wszystko jednak jeszcze zbyt powierzchowne, zbyt grube, jakkolwiek dla celów prawnych wystarczające, rozróżnienia.

Ostateczne kryterjum, zdaniem jednego z wybitnych angielskich teoretyków kooperatywy, leży głębiej i jest delikatniejsze. Aby orzec, czy dane zrzeszenie jest kooperatywą, czy nie — winniśmy nie tyle studjować ustawę i porównywać ją z tekstami typowych ustaw kooperacyjnych, ile wejrzeć w życie danego stowarzyszenia i w usposobienie jego członków, zapytując: Czy stowarzyszenie wasze gotowe jest zawsze przyjąć do grona członków każdego kto, posiadając wymagane warunki charakteru osobistego, ekonomicznie jest tak słaby, jak wy byliście przed zawiązaniem stowarzyszenia, lub nawet słabszy od Was?

Jeśli odpowiedź wypadnie twierdząco, daną organizację musimy uznać za kooperatywę, w przeciwnym zaś razie odmówimy jej tego mia-

na, choćby ustawa jej była zgodna z najdoskonalszemi kooperatystycznemi wzorcami.

A odnosi się to zarówno do zgrupowań jednostek, jak do całych związków. Tak gdy kooperatywa wytwórcza, jakiś warsztat kooperatystyczny, nie chce przyjmować nowych członków pod pozorem, że przychodzą za późno i nie przyczynili się do wyrobienia całego dotychczasowego majątku, lub wymaga od tych nowych przybyszów wniesienia kapitału odpowiadającego stosownej części dzisiejszej wartości spółki, spółka taka nie jest kooperatywą. Gdyby np. związek kooperatyw mleczarskich, doszedłszy do pewnej potęgi, nie chciał przyjmować nowych kooperatyw do swej organizacji pod pozorem, że ograniczenie się w ciaśniejszem gronie zapewni większe zyski zrzeszonym, związkowi takiemu musielibyśmy odmówić miana kooperatywy. Gdyby kooperatywa spożywcza przestała dążyć do powiększania ilosci swych członków, utrudniała wstęp nowym, którzy jakoby nie mogą mieć tych samych praw, co starzy członkowie, gdyby kooperatywa ta zamiast rozszerzać się po ludziach, jęła dążyć do powiększania swych obrotów handlowych przy tej samej ilości członków — kooperatywa taka sobą być przestała, to już nie kooperatywa, jeno spółka handlowa.

To kryterjum, ten znak wyróżniający kooperatywę od wszystkich innych zrzeszeń handlowo-wytwórczych, jest rzeczywiście kapitalny i podstawowy. Kooperacja bowiem nie jest jedną więcej metodą zrzeszania się wytwórców lub pośredników, to nie jest metoda tylko powiększenia osobistych dochodów lub wygód stowarzyszonych, jeno to wielka ideja społeczna zdążająca do radykalnej przebudowy całego dzisiejszego ekonomicznego ustroju, to wielka międzynarodowa ideja, której celem jest zniesienie kapitalistycznego przywileju — a więc usunięcie, jako niepotrzebnego, fabrykanta z fabryki, obszarnika z ziemi, której dzierżyć nie ma prawa, gdy własnemi nie uprawia jej rękoma, wreszcie kupca i pośrednika z handlu.

Kooperacja jako wielka międzynarodowa ideja nie może być inną w Polsce niż w Anglji, Francji, Szwajcarji, w Ameryce lub Japonji: wszędzie, gdzie rozwój stosunków gospodarczych jest dostatecznie posunięty, kooperacja może znaleść i znajduje zastosowanie i wszędzie, o ile tylko kooperacja pozostać pragnie, dążyć musi do tych samych ostatecznych celów.

Dlatego kooperacja nie może być używana jako narzędzie do załatwiania jakich bądź ubocznych spraw, choćby skądinąd najbardziej na poparcie zasługujących. Kooperatywy służą do ekonomicznej przebudowy społeczeństwa, a nie do walki z żydami, a nie dla zwalczania obcego kapitału, ani nawet dla najszczytniejszych celów narodowych. Wszystkie takie i tym podobne sprawy mogą coprawda nieraz i swoją pieczeń przy wielkim ogniu kooperatystycznym upiec, ale w żadnym razie kooperatywy nie powinny im pozwolić na zawładnienie sobą.

Każda kooperatywa, choćby najdrobniejsza, pamiętać zawsze powinna, że jest ogniskiem wielkiej idei odrodzeńczej dla ludzkości całej; że w tych pozornie tak drobnych sprawach, jak wspólne zakupywanie najniezbędniejszych artykułów spożywczych, mieści się zalążek przemiany społecznej, niesłychanie głęboko sięgającej, że to jest jedna z dróg do radykalnej przebudowy społecznej, do wyzwolenia pracy z pod kapitalistycznego ucisku. Niewolno jej przytem zapominać o podanym wyżej znaku wyróżniającym ją z pośród wszystkich innych spożywczo - wytwórczych organizacji.

Jan Hempel.

⊳oooooooooo⊲

Rajmund Poincaré.

(Dokończenie).

W r. 1905 grupa umiarkowana wraca do władzy. Poincaré uznaje oddzielenie kościoła od państwa i otrzymuje w gabinecie Sarriena tekę ministra skarbu: znajdujemy go tu obok Brianda, socjalisty niezależnego, ministra oświaty i wyznań, zajętego wprowadzeniem w życie nowej ustawy o separacji, obok Clémenceau... Po siedmiu miesiącach ustępuje wraz z Sarrien'em z tego ministerjum, które torowało drogę Clémenceau. Poincaré czeka znowu. Mijają lata. Ministerjum Clémenceau nie długo mogło rządzić Francją. „Blok" radykałów i socjalistów został porzucony przez socjalistów naskutek uchwał kongresu Międzynarodówki w Amsterdamie. Dezercja ta znaczyła w rachunku wpływów parlamentarnych więcej, niż arytmetyczny tylko jej wyraz. Większość radykalna osłabiona zaczynała się chwiać. Nadeszły wypadki polityki wewnętrznej: rewolucja winiarzy na południu i na wschodzie, żakierje chłopskie i krwawe strajki na północy (podobno przez prowokatorów płaconych przez Clémenceau wywoływane).

Cudzoziemiec w tych latach odwiedzający Francję i nie znający jej bliżej i z łatwością uogólniający zewnętrzne — przyznajmy ważne zresztą bardzo wypadki — odbierał wrażenie, że Francja rozpada się. Jej więź państwowa taka ścisła, spojona, żelazem Napoleona zcentralizowana — rozluźniała się raptownie. Miały przyjść takie czasy, kiedy obłąkani winiarze w Szampanji wołali: niech żyją Niemcy i niech żyje Wilhelm II. Południe chciało się wyodrębnić autonomicznie i porzucić rząd centralny.

Jednocześnie statystyka przypomina, że Francja wyludnia się, że jej rzedniejące kadry zapełnia cudzoziemiec, że Niemcy zalewają ją towarem tanim, dawniej zresztą wypędziwszy z rynku międzynarodowego; że alkoholizm szerzy się w sposób przerażający — a czynniki państwowe nie czynią nic, aby alkoholizacji kraju położyć tamę (szynkarz jest najpotężniejszym agientem wyborczym!). Upada powaga władzy, administracji, sprawiedliwości. Wrogowie pisali już *mane, tekel, fares*— jak niegdyś Baltazarowej uczty niewidomy uczestnik. Może to nie były jeszcze zapowiedzi anarchji, było to atoli poważne bardzo przesilenie.

Z przesilenia Francja wyszła cało. Podczas zatargu marokańskiego z Niemcami pod wpływem prowokacji niemieckiej zespoliła się. Kto te miesiące we Francji przeżył, ten czuł wyraźnie, jak się nastrój zmieniał, milkły czynniki różnicowania, jak głośniej przemawiać zaczynały momenty integracji. Zagranicą, gdzie ostatecznie poprzestawać musimy na świadectwie prasy, odbierano wrażenie, że prasa „sprzedajna" stała się nagle w interesie rządu i giełdy szowinistyczną. Tu na miejscu mogliśmy obserwować, jaki bliski zaczął tworzyć się związek pomiędzy prasą burżuazyjną

a burżuazyjną—miejską i chłopską—Francją. Z wyjątkiem socjalistów — a iluż między nimi jest doskonałych patryjotów!—cała Francja była „gotowa“, a przedewszystkiem stanęła przy rządzie, który chciał bronić Francję, jako takiej.

Mijały czasy radykalnych ministerjów. Kto bywał w Izbie, ten zmiany nastroju łatwo wyczuwał. Po zdeptaniu strajku kolejarzy (1910) miał Briand większość w Izbie, wbrew radykałom, ale musiał ustąpić na rzecz ministerjum radykalnego. Nie utrzymał się Monis, nie utrzymał się Caillaux, który prowadził negocjacje z Niemcami i przeżył odrodzenie nacjonalizmu francuskiego. Przychodził znowu dzień Poincarégo.

Ministerjum jego powołane do życia po upadku Caillaux zostało odrazu przezwane wielkiem. Zestawiano Poincaré z Gambettą. „Wielkiem“ — dlatego, że wchodziło do niego kilku byłych premjerów, cały szereg przewódców parlamentarnych, kandydatów nawet na najwyższy urząd republiki. Zgodził się porzucić zacisze domowe Cyncynnat: Leon Bourgeois — kandydat na prezydenta republiki, pomimo ciężkiej, nieuleczalnej choroby zgodził się przyjąć w ministerjum tekę ministra pracy. Wchodził Millerand, Delcassé, Briand. Każdy z tych ludzi był premjerem (Briand dwukrotnie) albo był kandydatem na premjera. Wchodząc do ministerjum, twierdzili, że wobec groźnych niebezpieczeństw zewnątrz i wewnątrz, wobec konieczności pacyfikacji Francji, godzili się zająć byle jakie stanowiska, aby być na stanowisku w godzinie próby. Trzeba im przyznać, że rolę pacyfikacyjną pełnili, że ją grali do końca niemal.

Briand, minister sprawiedliwości, nie zrażony kampanją bez litości prowadzoną przeciwko niemu przez socjalistów, w szczególności przez anarchistów w Konfederacji gieneralnej Pracy (C. G. T.)— uwolnił Hervégo z więzienia przed czasem—czego nie chciał uczynić radykał Crup i; zgodził się na ten akt rozumnej sprawiedliwości umiarkowany Poincaré, nie chcieli się zgodzić radykali Monis ani Caillaux.

Poincaré, przyjaciel ambasadora Izwolskiego jeździł do Petersburga i podróż ta, owacyjnie komentowana w Rosji i we Francji, napsuła dużo krwi w Berlinie, osłabiła skutki spotkania w Poczdamie — a tem samem wzmocniła pozycję Poincarégo we Francji. Gdy rozpalił się pożar wojenny na Bałkanach, Poincaré miał zająć w Trójporozumieniu stanowisko naczelne; wciąż układał t. zw. formuły, pisał noty, zabiegał. Co przecież znaczyło nie wiele, co jednak, gdy szczęście sprzyja i słowianie bałkańscy osiągnęli zdobycze, o jakich im się nie śniło — tylko wpłynęło na wzmocnienie pozycji premjera fruancuskiego. Imię jego, sława jego zakreślały koło coraz szersze, płynęły ponad Izbą, ponad radą ministrów, ponad kancelarjami Europy. Pod koniec roku ubiegłego był to najpopularniejszy człowiek we Francji.

Chory Bourgeois nie uległ prośbom ani prośbom radykałów. Pomimo zaklęć i wyklinań,—odrzucił nęcący wieniec prezydenta republiki. Jedyny tedy konkurent odpadał. Z innymi Poincaré mógł podjąć walkę nawet wbrew radykałom. Miał pierwszeństwo przed Ribotem, tak samo umiarkowanym wielkiej zresztą wartości moralnej i umysłowej spółzawodnikiem. Ribot zwalczał namiętnie separację kościoła i państwa. Tego radykali zarzucić Poincarému nie mogli. O niebo przerastał radykalnego Pamsa, miernotę obciążoną miljonami, ministra rolnictwa w gabinecie Poincarégo, wyciągniętego z mroków polityki parlamentarnej w ostatniej chwili. Nie zaszkodziła mu zdrada Milleranda, który na tydzień przed wyborami mianował jednego z głównych winowajców i fałszerzy w „sprawie“ kapitana Dreyfusa, — Du Paty de Clama, —pułkownikiem rezerwy (zresztą nominacja ta była ponoć wygotowana przez radykalnego poprzednika Milleranda, ministra wojny Messimy).

Pomimo zabiegów nadzwyczajnych, pomimo namiętności rozpalonych do białości, pomimo całej sztuki Clémenceau -- d. 17 stycznia Kongres Wersalski przekazał insygnja władzy najwyższej, co lat siedem odnawianej—Rajmundowi Poincaré. Sočjaliści głosowali do końca na Vaillant'a, który otrzymał głosów 69 (na 75) radykali głosowali do końca za miljonowym fabrykantem papieru do papierosów (marka „Job“) Pams'em, przedstawicielem południa. Poincaré otrzymał głosów 483, tyleż co Loubet, poprzednik Fallieres'a.

Za Poincarém były rządy Trójporozumienia: minister Sazonow, jego przyjaciel Izwolskij, pan Kokowcew, tak samo jak Asquith i sir Edward Grey. Za nim była też przeważnie posiadająca Francja, o ile nie była wyraźnie za Pamsem. Przezorny, spokojny, zamknięty w sobie, umiarkowany we wszystkiem, bardzo zamożny lotaryńczyk — miał za sobą wszystkich. Dla kapitału — miał umiarkowanie. Ludzie pobożni wiedzieli że jest katolik, może niepewny, wprawdzie separatysta—ale napewno przeciwnik wolnej myśli i nie wolnomularz. Potrafił nie mieć przeciwko sobie Jaurésa; agitował za nim na Kongresie wielki mistrz Wielkiego Wschodu Francji socjalista Sembat.

Pan Poincaré jest człowiekiem szczęśliwym. Złośliwy gotów powiedzieć *aurea mediocritas.* Cóż by wtedy zostało dla ...Pams'ów? Bardzo zdolny, bardzo przezorny, bardzo zabiegliwy, pracowity, wymowny -- to każdy powie o p. Poincarém. To wszystko są cnoty burżuazji francuskiej, najgłębszemi bruzdami wyryte w zwojach mózgowych francuza. Jakimże ma być prezydent Republiki na tych cnotach zbudowanej, temi cnotami żyjącej w sensie materjalnym tego słowa? Nie obejmują one całej duchowej Francji. Francuski rentier, francuski chłop, zjadacz chleba, płatnik podatkowy, urzędnik, deputowany—giną bez reszty w tych właśnie cnotach mieszczańskich. Pan Poincaré nigdy nie był biednym, nie był synem rybaków, jak Briand. Był „najlepiej urodzonym“ przedstawicielem mieszczańskiej Francji. Miał za sobą starą i zasobną rodzinę, miał za sobą miasto rodzinne, departament, — gdy do życia wchodził. Nie potrzebował o nic prosić, przed nikiem korzyć się, nie potrzebował kłaniać. Koło wyborcze było gotowe, gdy mógł się zacząć o jego względy starać. Był deputowanym w 27 roku życia, ministrem w 33-im. Był ministrem ile razy zapragnął. Zdobył jedną z najpierwszych klijenteli, jako adwokat. Miljony płynęły przez ręce szczęśliwego obrońcy. Nie wiadomo za co—za piękne przemówienia parlamentarne, spokojne, literackie,—został członkiem Akademji, Nieśmiertelnym. Zostal premjerem w najwłaściwszej chwili życia własnego. I licząc zaledwie lat 53 zostaje prezydentem rzeczypospolitej, który napewno nie będzie figurantem tylko, zabawką w rękach stronnictw, frakcji, kamaryli parlamentarnej.

Prochu nie wymyślił, nawet automobilu nie zbudował. Żadnej własnej myśli nie miał nigdy. Nie podróżował po nieznanych, wyboistych drogach poznania. Nie znał męki tworzenia, wzlotów bohaterskich i takichże upadków. Ale bohatera

miejsce na barykadach, w więzieniu, w odosobnieniu, w samotności, niekiedy w pogardzie spółczesnych, a w sto lat po śmierci w Panteonie. Ale nie w kurulnym fotelu przecież Republiki...

Stanisław Posner.

⊳oooooooooo⊲

Syndykalizm niemiecki.

Gdy w Anglji wchodzi w życie nowy bill,— napewno większa część społeczeństwa jest zadowoloną. Jest to skutek dobrego ustroju. Gdy we Francji parlament coś postanowi, ludność wyciąga z tego korzyści, lecz ośmiesza lub krytykuje. Jest to skutek temperamentu. Gdy w Polsce zostajemy obdarzeni nowym cyrkularzem, każdy myśli jakby można postanowienie bezkarnie ominąć. Jest to skutek niewoli. Gdy w Niemczech pojawia się prawo, pierwszym instynktem starają się wszyscy do niego zastosować. Jest to skutek dyscypliny.

I rzeczywiście pod tym względem niemcy są niezwykłym narodem. Zlepieni jakimś duchowym kitem, jak pleń posuwają się wspólnie w jednym kierunku. Zdaje się, że niepodobna byłoby tam znaleść o tyle odmiennych natur, które nie wyszukałyby sposobu porozumienia się i połączenia w związek. Nikt, tak jak oni nie pojął korzyści z sumowania sił, które stosują w pracy i w instynktach ludzkich. Zarazem znaną jest ich specjalizacja w nauce i przemyśle: mieliśmy sposobność oglądać spory miesięcznik niemiecki poświęcony np.: *wyłącznie filcowym podeszwom* do butów. I właśnie takie rozdrobnienie pozwala im zbliżać sio, jak ziarnkom piasku, i układać w rozmaite warstwy społeczne. Dla nas wystarczającą jest jedna odmienna cecha, ażeby najbardziej wspólne potrzeby i upodobania rozdzielić, dla nich ta jedna cecha będzie cementem, łączącym w trwałą całość rozmaite elementy. Man muss ein System haben — nawet w bezładzie. Czyż nie najlepszym dowodem służy moc państwa niemieckiego?

W przeszłości byli rozczłonkowani wielokrotjak hydra, nie tracąc nigdy żywotnych sił, dzisiaj zrośli się w potężnego smoka. A szczególny nacisk trzeba położyć na to, że u niemców nie jest to skutkiem instynktu państwowego, jak u anglików lub rosjan, lecz instynktu stada, gromady, wreszcie społeczeństwa. Takimi byli krzyżacy, Hanza, junkry, centrowcy, takiemi partje, takimi w końcu syndykaty.

Naturalnie, że związki cechów, rzemiósł, majstrów i czeladników Niemcy posiadały nawet w wiekach średnich. Właściwy jednak ruch syndykalny rozpoczął się spółcześnie z francuzkim, chociaż pod wpływem wzorów angielskich. W 1865 r. doktór filozofji Max Hirsch, zachwycony podczas podróży w Anglji działalnością trade-unionów, postanowił stworzyć podobne w Niemczech. Połączywszy się z posłem i członkiem partji postępowej Franciszkiem Dunker, założyli pomimo znacznych trudności pierwsze syndykaty w właściwem znaczeniu tego wyrazu. Zabarwienie związków Hirsch-Dunkierowskich—utrzymały one imię swych twórców do dnia dzisiejszego — możnaby nazwać żółtem. Pierwsze statuty jeszcze z roku 68 stawiają, coprawda, wyżej wartość pracy niż własności, ale celem jest głównie pokojowa obrona interesów robotniczych z odrzuceniem wyłączności korporacyjnej, a zwłaszcza utopji socjalistycznych.

Pamiętamy, że sławny manifest międzynarodówki, został zredagowany przez Marksa i Engelsa we wrześniu 1864 roku. Jeśli więc poprzednie syndykaty były reakcją na jego hasła, to jednocześnie powstał znacznie silniejszy prąd ujęty w koryto kollektywizmu. Również po powrocie z Anglji, lecz jako bezkrytyczny wielbiciel Marksa,—wspaniały organizator Liebknecht z początku samodzielnie, a potem przy pomocy Bebla utworzył pierwsze syndykaty czerwone. Wpływy innych szkół socjalistycznych np. Lasalle'a okazały się nieznaczne i wkrótce znikły. Syndykalizm niemiecki pozostał samorodnym.

Trzecia kategorja zawdzięcza swe istnienie wysiłkom biskupa Moguncyi Kettelera, który rozwinął zadziwiającą energję w celu odrodzenia życia religijnego. Szkoły, wydawnictwa, zebrania, związki —wszystkiemi sposobami starał się zdobyć świat robotniczy. Udało mu się nakońcu w 1868 roku założyć pierwszy syndykat społeczno chrześcijański. Rzecz prosta, że natychmiast pastor Stocker przedsiewziął organizację według swojej religji. No, dzisiaj się już pogodzili i różnica wiary nie przeszkadza im wspólnemi siłami zwalczać socjal-demokratycznego wroga.

Istnieje pozatem sporo syndykatów niezależnych, które ze względów miescowych nie przyłączyły się do żadnej z poprzednich kategorji. Wymykają sią one z pod kontroli statystyki, chociaż ogółem przedstawiają tak znaczną liczbę, że nie można o nich zapominać, wyciągując wnioski z poniższych danych. Zatrzymamy się dla porównania na roku 1908, gdyż z tego samego czasu poznaliśmy bliżej syndykalizm francuski i angielski.

Dzisiaj ogólną liczbę zsyndykowanych obliczają w Niemczech na przeszło 3 miljony. Ścisła liczba z roku 1908 wykazuje 2,382,655. Na syndykaty zapoczątkowane przez Liebknechta wypada 1,831,700 członków; chrześcijanskie — 264,500; Hirsch-Dunkierowskie — 105,600; reszta zaś około 180,000 dzieli się pomiędzy rozmaite syndykaty niezależne, lokalne, chrześcijańsko-niezależne i t. d. Widzimy więc, że przeszło trzy czwarte robotników połączyła się w grupy czerwone. Oni też nadają ogólny charakter syndykalizmowi niemieckiemu, oni go słusznie mogą reprezentować.

A zwalczali czerwoni wielkie trudności. W 1878 r. liczyli zaledwie 50,000 członków. Dwa w tym samym roku następujące po sobie zamachy Hoedek'a i Nobilinga przeciwko cesarzowi zwróciły straszną czujność Bismarka przeciwko socjalistom. Posypały się obostrzenia i zakazy, a uderzające głęboko, najczęściej w sam korzeń rosnącej formy życia. Agitacja została uniemożliwioną, prasa bezsilną wobec kar. I na to trzeba rzeczywiście natury niemieckiej, nadzwyczajnej żywotności idei i niezwykłego instynktu organizacji, ażeby po dziesięciu latach takiego istnienia zwyciężyć Bismarka liczbą 200,000 członków. W 1890 roku prawa ograniczające zostają cofnięte; syndykalizm od tego czasu ma kłopoty codziennego życia, ale nie tamy, opóźniające jego coraz szerszy, coraz głębszy rozlew po kraju.

Stosunek środków materjalnych jest prostym do ilości członków. Porównanie zasobów w 1908 r. rozmaitych grup wykazuje równie jaskrawo przewagę syndykatów socjalistycznych.

	Dochody		Wydatki	Rezerwa
Syndykaty czerwone	48,572,365	marek	42,043,935 „	40.840,500 „
„ Hirsch-Dunkiera	2,695,571		2,350,660 „	4,200,000 „
„ chrześcjańskie	4,395,710		3,556.217 „	4,513,000 „

W pierwszych z tych grup najważniejsze pozycje wynosiły w liczbach okrągłych: pomoc dla chorych 8,474,000 mar.; dla bezrobotnych 8,134,000; pomoc w czasie strejków i lokautów 4,819,000; dla robotników wydalonych 1,440,000. Od 1891 r. do 1908 r. w sumie największą w każdym razie liczbę wykazuje rubryka strejków i lokautów, bo przeszło 65 miljonów marek, podczas gdy w tym czasie pomoc dla chorych wynosi 27 i dla bezrobotnych 25 miljonów marek. Ostatnie lata wciąż powiększają budżet walki, natomiast pozostałe wydatki trzymają się mniej wiącej na tym samym poziomie.

Wkładka roczna naogół jest dosyć wysoka w syndykatach z odcieniem rewolucyjnym: 71,600 członków płaciło przeciętnie 54 marki 60 fenigów, 381,000 wniosło po 31 m. 20 f. i t. d., wreszcie tylko 490 członków zostało spodatkowanych 7 m. 20 f., a paru jeszcze niżej. Lecz zupełnie uwolnionego od wpisu nie było ani jednego.

Socjalistyczne syndykaty jednej profesji łączą się w federacje, których jest około 70. Najliczniejszą jest metalurgiczna z 360,000 członków i 12 miljonami dochodu, potem idą mularze, stolarze i cieśle, górnicy i t. d.

Dosyć dziwnym jest fakt, że syndykaty o rozmaitych zabarwieniach rekrutują swoich zwolenników specjalnie w pewnych fachach. Tak naprzykład, większość w syndykatach Hirsch-Dunkierowskich stanowią robotnicy przy konstrukcjach mechanicznych — 47,000 członków. Chrześcijańskie znowu znalazły 74,000 wyznawców śród robotników, którzy rzadko widzą światło: są to górnicy. Niezależni zaś są bardzo często szewcy.

Wpływ partji politycznych na syndykalizm, a nadewszystko wpływ socjalistów daje się łatwo zanalizować przy zrozumieniu tych poglądów, które wysunęlismy przy początku naszej pracy. Jeśli stają do walki z równie dobrą i potężną organizacją fabrykantów, to pomimo swej niezależności i abstynencji politycznej chętnie wzywają pomocy socjalizmu w parlamencie. Potrafią się nawet zdobyć na oportunizm pożyteczny, gdy chodzi o interesy kraju. I oni to właśnie wytworzyli ten niepokój w parlamencie rzeszy Niemieckiej, przeprowadzając liczbą swych głosów socjalistyczną większość. Nie czyniąc wzajemnie zamachów na swoją indywidualność, oddzielnemi drogami dążą do jednego celu wolności. Jak oni go rozumieją?

Zdawna już Heine tak odpowiedział w swoich Reisebilder:

„Anglik kocha wolność jak prawowitą małżonkę; posiada ją i chociaż nie traktuje jej z szczególną czułością, potrafi wszakże w razie potrzeby bronić jej jak mężczyzna i biada strojnisiowi, który dotrze do sanktuarjum sypialni, bez względu czy to będzie salonowiec, czy sierżant. Francuz kocha wolność jak narzeczoną, którą wybrał sobie; płomienieje dla niej, zapala się, rzuca do jej stóp z przysięgami najbardziej przesadnemi, bije się za nią na śmierć i dla niej czyni tysiące szaleństw. Niemiec kocha wolność tak, jak kocha swą starą babkę. Być może, iż znudzony anglik, obrzydziwszy sobie żonę, założy jej kiedyś sznurek na szyję i pójdzie sprzedać na targu w Smithfield. Być może lekki francuz zdradzi narzeczoną, opuści ją i pójdzie, śpiewając i tańcząc, zalecać się do dam w pałacu królewskim. Ale niemiec nigdy zupełnie nie wyrzuci za drzwi swojej starej babki i zachowa jej zawsze mały kącik przy kominku“...

R. Dołęga.

⊳oooooooooo⊲

Wiosna.

Ludzie mówią o wiośnie:
— Przyjdzie tu lada dzień —
słychać, jak trawa rośnie
od ciepłych wiatru tchnień...

— W nocy coś ze snu budzi
szumem wezbranych rzek...—
Więc pytam dobrych ludzi,
czy wszystek stopniał śnieg?

Mówią mi dobrzy ludzie:
— Jeszcze się czerni błoń,
ale już gdzieś po grudzie
bije kopytem koń.

— I trąbka się odzywa —
raz wraz zaczyna grać...
Coś w nocy ze snu zrywa,
coś nam nie daje spać...

I prawda — trawy rosną
i świat się budzi wkrąg...
O przyjm, idąca wiosno,
ofiarę z naszych rąk!

Edward Słoński.

⊳oooooooooo⊲

TEATR ZIMOWY.

(*Repertuar.—„Nitouche“—„Poeci się żenią“*).

Losy teatru i repertuaru emocjonują nas obecnie w stopniu znacznym.

Gościnne występy Frenkla były poniekąd kulminacją sezonu — że kulminacja ta przeszła nieświetnie pod względem kasowym, wina w tem nasza.

Boć mieliśmy szereg doskonałych sztuk — a w każdej niezapomnianą kreację Frenkla. Dziś dziwić się trudno, że gdy Frenkiel zawiódł oczekiwania dyrekcji pod względem kasowym, daje się zauważyć pewna dezorjentacja, brak wytycznej w stosunku do repertuaru, brak rozmachu, z jakim dyrekcja rozpoczęła obecny sezon, przełamując po krótkim okresie wahań bierny opór naszej publiczności.

Chcielibyśmy wskazać na niebezpieczeństwo wystawiania sztuk słabych, lub nazbyt znanych; nie cały personel teatralny jest przepracowanym w tym roku: są aktorzy, którzy nie grają nic, lub prawie nic — obawiać się tedy premjer zasadniczo nie należy.

Natomiast należy się obawiać dla finansów teatru zbyt częstego grania wodewilów, gdy w składzie towarzystwa brak prawie całkowicie artystów po temu uzdolnionych i materjałów głosowych; należy z wielką ostożnością obsadzać poszczególne role zaś sztukom tak słabym, jak ostatnio inaugurowani „Poeci się żenią“ Gorczyńskiego — całkowicie odmówić racji bytu.

Mógłby ktoś twierdzić, że trudno jest przewidzieć przed premjerą, jakie ją spotka przyjęcie—i dla ścisłości przyznamy, że w naszych stosunkach teatralnych istotnie nader trudno jest spekulować na powodzenie *murowane*.

Ale z praktyki wiemy, że opinja teatralna orjentuje się zazwyczaj doskonale w szansach premjery, że niechęć i brak zapału do pewnego utworu są dosyć miarodajne.

Dało się to zauważyć śród naszych artystów przed wznowieniem Nitouche, a w znacznie jeszcze silniejszym stopniu przed zagraniem sztuki Gorczyńskiego.

Mogła, oczywiście liczyć nasza działówka, że „Nitouche“ —wodewil stary, lecz wesoły i wdzięczny — utrzyma się przez czas pewien w repertuarze: obyż tak było.

Zrozumiałe jest jednak że przy braku odpowiednich sił aktorskich rzecz z paroma wyjątkami będzie obsadzoną i graną po amatorsku.

Cóż?

P. Galińska — Nitouche — dała bardzo dobrą grę — śpiewała — o ile mogła — najlepiej, lecz już w trzecim rzędzie słyszeliśmy tylko połowę.

Nie przyczynił się do powodzenia wodewilu p. Kiernicki, gdyż grał marnie i wyglądał nie odpowiednio.

Że całość wypadła mimo rozliczne braki — składnie, zawdzięczać to należy całemu szeregowi dobrych gier aktorskich: nie były to jednak gry w stylu *wodewilowym*.

Tak więc b. dobre były panie: Müllerowa, Dąbrowska, Sławińska; dobry byli pp. Cornobis, Węgierko, Bielicz... p. Strycharski dał wyborną sylwetę—wypada też wymienić pp. Szarkowskiego i Norskiego.

Jedynie i wybitnie wodewilowym artystą jest jednak p. Jerzyński — komik dobry, ruchliwy i pomysłowy. Jemu też przypadła w udziale lwia część oklasków.

Rola Celestyna „leży mu w głosie“.

- -

Najnowsza sztuka B. Gorczyńskiego „Poeci się żenią“ jest stanowczo najsłabszą ze wszystkich, które dotychczas powstały na jego warsztacie artystycznym.

Gorczyński należy obecnie do pisarzy „de qualité“ — w Warszawie ma debit szeroki, a względy, o które, nieraz tak bezskutecznie dobijają się młodzi pisarze dramatyczni — posiadł oddawna.

Nie tłumaczy to jednak, dlaczego sztukę jego grają obecnie: zalet innych, prócz dobrej firmy literackiej autora — nie posiada.

Nie wiem, o ile słuszne się okażą twierdzenia o stałej dekadencji jego talentu. Wypada jednak skonstatować, że ostatnio grywane jego sztuki są coraz słabsze.

Czyżby się wypisał?

Niemasz w „Poetach...“ zalet akcji, ani plastyki rysunku, bodaj szkicowego.

Intryga — czy fabuła — nader nikła nie wiąże poszczególnych sytuacji w całość logiczną.

Lekka satyra — o ile się ją w zamierzeniu dostrzega, nie ma ani lwiego pazuru, ani ciętego persiflażu.

Djalogi ustawiczne, w których jest trochę feljetonu, dużo zużytych prawd o artystycznem „stań się“ — ciągła szermierka słów — nużą, lecz nie podniecają i nie bawią.

Sztuka jest par excellence papierową, dlatego też przechodzi całkiem bez wrażenia — chwilami parafrazując wersję komedji, chciałoby się powiedzieć:... „napisałem lecz absolutnie nie wiem poco napisałem.“

Wysoce niewdzięczne zadanie miała reżyserja, z której jednak b. dobrze i sumiennie wywiązał się p. Borowski.

Niewdzięczne i trudne zadanie mieli nasi artyści, którym autor kazał prowadzić trzy akty djalogów, pozbawionych racji, a chwilami wprost enigmatycznych.

To też nuda była na widowni.

Nie przesadzę chyba, gdy powiem, że poza paroma żywszemi scenami w trzecim akcie, za które należy się pochwała paniom: Arkawinownie, Wrześniowskiej i Czechowskiej — momentem centralnym był ten, gdy p. Sachnowska w porywie realistycznej ekspansji wybiegając, wyważyła z łoskotem całą połowę drzwi i zatrzęsła kulisami w sposób żywiołowy...

Nie mieli odpowiednich ról pp. Czarnowski i Węgierko — zwłaszcza ostatni. Zresztą... czy są w tej sztuce role „odpowiednie?“

Duet literacko-dziennikarski wypadł w ich ujęciu względnie dobrze.

Stosunkowo wdzięczną rolę miała p. Wojciechowska — lecz naiwność jej i wioskowy intellektualizm — nie robiły wrażenia szczerości.

Pp. Bielicz i Norski nie wydobyli ze swych ról nic indywidualnego.

Kilka niezłych momentów dał p. Kiernicki.

Oto wszystko.

Artystom naszym za tę sztukę warto, zaiste, złożyć kondolencję.

Na przyszłość zaś chyba życzenie, by natrafiono znów na jaką rzecz kasową: wiemy, że praca w warunkach zachwianych nie należy do rozkoszy, a troska o losy sezonu nie wpływa na olimpijski spokój i pogodę, tak cenną w sprawach twórczości artystycznej...!

Zdzisław Kleszczyński.

<oooooooooo>

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Samuel Peszke. *Mój pobyt w niewoli rosyjskiej w r. 1812.* str. 66 Warszawa 1913. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Pamiętnik Samuela Peszkego przełożył na język polski wnuk dr. Józef Peszke. Dowiadujemy się z tych żołnierskich prostych zapisek wiele ciekawych szczegółów dotyczących klęski wielkiej armji napoleońskiej. Dowiadujemy się też o stosunkach, jakie panowały śród poczczególnych korpusów. Wreszcie, co jest najciekawsze, mamy

odmalowany obraz niewoli, w jakiej znajdowali się jeńcy.

Samuel Peszke był chirurgiem 1 klasy w 10-ym pułku jazdy wojsk Królestwa Warszawskiego. Z pułkiem tym odbywał kampanję, uczęstniczył pod Smoleńskiem i Możajskiem. Był ciężko kontuzjowany w piersi odłamkiem granatu. Po zdobyciu Moskwy dostał się do niewoli rosyjskiej, gdyż zaufał przewodnikom-rosjanom, którzy podstępnie uprowadzili go wraz z kilkoma jeszcze łatwiowiernymi.

Peszke początkowo służył w wojsku saskiem. Uczestniczył w bitwach pod Jeną, Ratysboną, Essling i Wagram. Służbę saską opuścił w 1811 roku i od tej pory już nie wrócił do swojej ojczyzny. Polska stała mu się matką i karmicielką. Rodzina Peszkich zasymilizowała się zupełnie i jest już od lat wielu wzorem cnót obywatelskich. W 1813 roku wrócił z niewoli Peszke do Polski i choć chciał go wieźć z Płocka do Drezna oficer saski, oparł się temu kategorycznie, gdyż służył w armji polskiej, więc choć sas z pochodzenia, uważał, że powinien być odstawiony do Warszawy, nie zaś do szeregów króla saskiego.

Pamiętniki Peszkego są bardzo interesujące dla każdego człowieka. Historyk ma jedyny rzadki pamiętnik niewoli, zwykły zaś śmiertelnik atmosferę moralną tak w armji, jak i na cudzym rosyjskiem chlebie. Peszke nie znosił prusaków i wszędzie, gdzie wspomina o nich, maluje ich w barwach ciemnych. Toż samo też dotyczy żydów. Mówi o nich z lekceważeniem, które było przecież tak naturalne sto lat wstecz.

Ciekawe są charakterystyki wielu naszych wojskowych, interesują też opisy życia rosyjskiego w oddalonych wschodnich gubernjach państwa. Peszke umarł w 1837 roku. Synów swoich przeznaczył do wojska polskiego. Jeden z nich Franciszek brał czynny udział w powstaniu i umarł na Syberji.

Komu jest droga przeszłości nasza, niech stronice pamiętnika Peszkego sumiennie przeczyta. Znajdzie w nich wiele uwag cennych a zupełnie bezstronnych.

Oryginał pamiętnika był pisany po niemiecku. Uzupełnił przekład dopiskami znany historyk Henryk Mościcki.

Ludwik Romocki. *Owoc zakazany.* (powieść) str. 352. Kijów 1912. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego, Warszawa. Leon Idzikowski, Marszałkowska 119.

Że też chce się wydawcom takie powieści drukować! Lepiej było już, gdyby otwarcie wydali coś skandalicznego, coś wołającego o posłuch śród szwaczek, praczek i pensjonarek! Wtedy każdy zgóry byłby przygotowany, że należy drzwi od tyłu zamykać, gdyż może go nawiedzić taka „hintertreppeliteratur“.

Pan Romocki w niespełna rok rzuca na rynek księgarski już drugi tom bigosu z zapaszkiem skandalu, alkowy, seperatki i zamtuzu. Uczy swoich czytelników, jak z kobiety można zrobić tulipana, jak podgląda się zakochanych, jak wygląda poznański dom schadzek.

Wogóle cała ta powieść dyszy okropną atmosferą. Niesmaczne jest bowiem, gdy ktoś uważa się za upoważnionego, by opisywać dzieje procesu hr. Kwileckiej i to jeszcze w taki sposób! Język wandalistyczny, pełny dziwolągów, jak np. „tudotąd“. Ma to być jedno słowo! Czy kto słyszał, by polak mógł powiedzieć: idę tudotąd. Mówi idę tu, idę dotąd, ale idę „tudotąd“ — tego nikt jeszcze nie słyszał.

Tego rodzaju kwiatków pełno w powieści p. Romockiego. Po „Liściu figowym“ obraził się na krytykę, że wykazała pornograficzne tendencje w jego powieściach. Obecnie — niema już dwuch zdań. Więcej p. Romockim, jako powieściopisarzem, zajmować się nie będziemy.

Józef Lange. *Moda.* (szkic społeczno-polityczny) str 86. Warszawa 1912.

Na szerokiem podłożu rozważań społecznych stawia p. Józef Lange zjawisko mody. Widzi w tem zjawisku siłę kształtującą, siłę socjologiczną. Nim jednak dochodzi do pewnych uogólnień, sięga pamięcią wstecz, odtwarza historję walki z modą, wykreśla w przeszłości linje, które pomagają do orjentacji w zagadnieniu. Utyskiwania na mody w Polsce są bardzo starej daty. Lange przytoczył cały szereg pisarzy wieku złotego, którzy modę uważali za równoznacznik niemal z rozluźnieniem obyczajów, a nawet pomawiali o zbrodnię przeciwpaństwową, przeciwnarodową.

Na szerokich tłach ekspansji narodów wykazał Lange, że francuska moda dla tego zawładnęła światem, bo naród francuski wtedy stał u szczytów przodownictwa politycznego i kulturalnego. Podkreśla też wyraźnie autor, że sama kultura narodu nie wystarcza, by uczynić ją władczynią dusz innych narodów. Gdy naród jakiś staje się wzorem w czemś, to pierwszym krok'em w danym kierunku jest jego potęga materjalna i państwowa. Moda hiszpańska władnęła wtedy na całym obszarze Zachodu, gdy hiszpanie stali u zenitu swojej ekspansji narodowej, później przyszła kolej na Francję, obecnie chodzimy w strojach angielskich—a wszystko to idzie w parze z rozwojem sił społecznych.

Podkreślenie tego momentu państwowo - ekspansyjnego w rozważaniu mody uważam za bardzo dodatnią cechę pracy Langego. Świadczy to bowiem, że Lange umie wiązać problemy społeczne z ich rzeczywistem podłożem.

Książka Langego ma wartość dla każdego człowieka. Obok bowiem wielu szczegółów historycznych daje śmiałą wytyczną, w jaki sposób należy podchodzić do zjawisk socjologicznych. Pisana jest językiem jasnym i precyzyjnym.

Eustachy Czekalski.

ooooooooooo

PRASA POLSKA.

— Sprawa wychodźtwa z naszego kraju do Ameryki stanowi niewątpliwie bardzo doniosłą kwestję, o której społeczeństwo powinno pamiętać. Uregulowanie emigracji włościańskiej i zapewnienie jej znośnych warunków stanowić powinno jedno z najważniejszych zadań tych, którzy się poczuwają do obowiązków względem ludu.

„Przegląd Wileński“ zamieścił w № 13 z r. z. wyczerpujący artykuł w tej kwestji, gorąco nawołując społeczeństwo do zaopiekowania się nowootworzonem wówczas Biurem emigracyjnem w Wilnie.

Niestety, słowa te przebrzmiały bez echa. Instytucja ta po roku wegietacji—upadła. „Kurjer Krajowy“ poświęca jej wymowny nekrolog:

„W lecie 1911 r. szczupła garstka osób zaczęła przemyśliwać nad utworzeniem w Wilnie Towarzystwa opieki nad wychodźcami.

Po zwróceniu się tu i owdzie, garść ta przekonała się o zupełnej bierności społeczeństwa naszego na Litwie i Rusi; spotkała się nawet z twierdzeniem zamożniejszych sfer w mieście a szczególniej na wsi, że skoro jednego emigranta agienci obedrą z pieniędzy, nie wpuszczą go władze amerykańskie na ląd, ponieważ nie mają pewności, czy nie będzie on dla nich zbyt uciążliwym: taki wychodźca wróci i dziesiątemu odradzać będzie emigrację...

W tych warunkach Towarzystwo Warszawskie zwróciło się do społeczeństwa miejscowego z projektem założenia oddziału Towarzystwa w Wilnie lub samodzielnego Towarzystwa Krajowego. Lecz projekt upadł, a Warszawa, niezrażona, postanowiła w przeciągu roku łożyć ze swych szczupłych funduszów na wydział wileński będąc pewną, że mieszkańcy Litwy i Rusi poprą te usiłowania, że zechcą korzystać z doniosłej pomocy Towarzystwa i że przykład ten pociągnie społeczeństwo naszego kraju do spółdziałania w tej tak doniosłej a niezbędnej społecznej instytucji.

Nie będziemy się tu rozwodzić nad poszczególnemi faktami z życia Wileńskiego oddziału Towarzystwa, podkreślimy tylko, że gdy nadeszła wiosna 1912 roku, z Warszawy przyjechał dyrektor Towarzystwa i między innemi na zebraniu rzucił projekt „utworzenia oddzielnego Towarzystwa", albo też „oddziału krajowego T-wa warszawskiego" z komitetem złożonym z ludzi tu, w kraju pracujących, dodając, że T-wo warszawskie przez rok tylko jeden będzie mogło utrzymywać oddział wileński, bo choć oddział ten nie wymagał wielkich funduszów, tym nie mniej jakieś półtora tysiąca rubli zaciężyłoby na budżecie ogólnym Towarzystwa.

Zebranie nie wypowiedziało się w tej kwestji: postanowiono poczekać i zrobić co się da...

W ciągu jednego roku istnienia Oddziału Wileńskiego Towarzystwo wydało własnym kosztem słowniczki dla emigrantów, jadących do Ameryki, w języku angielskim, polskim, litewskim i białoruskim; lud się zwracał do biura pozostającego pod kierownictwem p. Haliny Kremerowej, z zupełnem zaufaniem, ponieważ zasadą wileńskiego oddziału było traktowanie emigrantów—jako emigrantów, bez zwracania uwagi na narodowość, wyznanie lub poglady polityczne; dowodem między innemi jest liczne zgłaszanie się żydówek-emigrantek.

Powtarzamy: lud przyjął instytucję wychodźczą bardzo sympatycznie: czy to polacy i litwinie, czy też białorusini i żydzi; przy rozwoju na przyszłość Towarzystwo miałoby ogromne znaczenie.

Cóż? Kiedy społeczeństwo miejscowe zachowało się biernie, nie rozumiejąc czy nie chcąc zrozumieć społecznego znaczenia podobnej instytucji: d. 1 listopada 1912 roku, Oddział Wileński Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami po roku istnienia zamknął swe biuro"

„Kurjer Krajowy" oburza się na obojętność społeczeństwa. Niesłusznie, naszem zdaniem. Wszakże na czele T-wa nie stał żaden ksiądz ani hrabina. Więc żadne „Achy" ani „Tęcze" z pomocą mu pośpieszyć nie mogły. A nasze społeczeństwo nie rozumie innego wspierania instytucji, jak tylko w postaci tańczującej i karotującej filantropji.

Wir kennen unseren Pappenheimer!

— Niestrudzony działacz na polu kooperacji p. A. Szklennik zwraca uwagę w № 1 „Życia Spółdzielczego" na barbarzyński zwyczaj całowania ręki, jako sposób witania się między włościanami i ziemianami. Szczególniej razi ten przeżytek z czasów pańszczyźnianych w instytucjach spółdzielczych, gdzie musi panować zupełna równość pod hasłem zrzeszania się ludzi dla celów zbiorowej samopomocy. Istnienie i rozwój kooperatywy zależnem jest bezpośrednio od tego, z czem uczestnicy przychodzą do wspólnej pracy, jakie są ich zalety duchowe i społeczne.

„Niestety, nie trzeba wielkich zdolności spostrzegawczych, aby widzieć, co stara się uwydatnić nasz ziemianin wchodząc na salę, gdzie zebrali się uczestnicy kooperatywy, aby radzić nad sprawami wspólnej instytucji; oto przedewszystkiem stara się wykazać nie dobrą wolę, nie inicjatywę lub przygotowanie swoje do kierownictwa instytucją, lecz obowiązkiem swoim uważa podkreślić „ton" i za wszelką cenę wykazać swoją wyższość społeczną przed wszystkimi obecnymi; zgodnie z tradycją, ziemianin podaje rękę tylko... „do ucałowania"!

Niezależnie od swych uzdolnień i swego przygotowania, ziemianin może zająć tylko stanowisko „przodujące", czyli najwyższy urząd w instytucji, a lista członków zarządu układa się zgodnie z jego wskazówkami, przyczem, dla potrzeb chwili, robi się to ustępstwo, że w poczet członków zarządu zaprasza się paru przedstawicieli włościan. Pomimo swych równych praw w radzeniu nad sprawami instytucji społecznej, oraz, że do zarządu wchodzą najpoważniejsi z włościan, ziemianin zostaje wiernym tradycji stanowej i włościaninowi nie podaje ręki do uścisku nawet na posiedzeniu zarządu, zasiadając za jednym z nim stołem..

Taki pan widocznie nie ma nawet tego poczucia, że z chwilą, jak wykazał „ton", porwał on te nici serdeczne, jakie go mogły łączyć z uczestnikami kooperatywy, a zezwalając na całowanie ręki, poniżył godność członków instytucji społecznej. Po takiem przywitaniu się z jednym z uczestników, nie będzie już dziwnem, jeżeli ziemianin poczytuje sobie za ubliżenie podanie ręki innemu włościaninowi, czy to będzie założyciel nowopowstającego stowarzyszenia, czy korzystający z zaufania ogólnego członka zarządu lub rady. Ten rodzaj powitania wygląda conajmniej dziwnie, szczególnie w pracy spółdzielczej i wyjaśnia znakomicie całą nieszczerość uczuć naszych ziemian względem włościan".

Oh, ileż takich przeżytków pokutuje jeszcze na naszym gruncie, tamując normalny rozwój kraju i społeczeństwa! Uskarżamy się na ciemnotę ludu i wołamy o oświatę dla mas. A czy nie toną również w barbarzyństwie duchowem znaczne warstwy naszej „inteligiencji", zarówno miejskiej jak ziemiańskiej? I czy nie jest wobec tego najpilniejszem zadaniem praca nad wyplenianiem rozmaitych chwastów na niwie kulturalnej śród t. zw. sfer oswieconych?

Strasznie daleko pozostaliśmy w tyle w ogólno-ludzkim pochodzie cywilizacyjnym.

NA WIDNOKRĘGU.

Na Bałkanach znowu grzmią działa. Wojna została wznowiona i według depesz operacje przeciw pozycjom tureckim prowadzone są z wielką intensywnością. Wielkie dzienniki europejskie, inspirowane z kół dyplomatycznych, nie szczędzą optymistycznych zapewnień na temat bliskiego pokoju, ale zbyt widoczne jest w całej tej sprawie bankructwo urzędowej dyplomacji, iżby na zapewnieniach tych można było polegać. Łatwiej chyba było niedopuścić do powtórnego wybuchu wojny, niż pokierować dalszym biegiem wypadków, obejmujących wciąż szerszy teren i uderzających o żywotne interesy mocarstw.

Misja ks. Hohenlohego do Carskiego Sioła z własnoręcznym listem cesarza Franciszka Józefa może świadczyć o szczerych usiłowaniach pokojowych ze strony sędziwego monarchy, ale sama przez się nie stanowi bynajmniej symptomatu pokojowego. Do tego bowiem potrzeba, iżby misja ta wydała pozytywne owoce, iżby doprowadziła jeżeli nie do porozumienia, to przynajmniej do nawiązania układów pomiędzy obu państwami. Oczywiście to wszystko pozostaje dotychczas w krainie domysłów i pogłosek bez żadnej podstawy faktycznej.

Tymczasem zaś, jak to zaznaczają niektóre głosy, list cesarza austrjackiego świadczy o tem, że sytuacja jest bardzo poważna. Może ona świadczyć również o niepewności i kruchości wiary

w cały t. zw. koncert europejski, skoro obecnie po długich konferencjach londyńskich Wiedeń próbuje drogi bezpośredniego porozumienia z Rosji.

Zresztą w obecnej fazie przesilenia wschodniego antagonizm austrjacko-rosyjski przestaje być czynnikiem górującym. Drugi okres wojny stawia na porządku dziennym polityki międzynarodowej kwestję resztek panowania tureckiego w Europie, czyli Konstantynopola z cieśninami. Ale, jak wiadomo, jest to centralny punkt historycznej kwestji wschodniej, obciążony licznemi umowami i zobowiązaniami międzynarodowemi. Tu już obok Rosji nie Austrja będzie głównym partnerem, lecz chyba Niemcy oraz Anglja. Co więcej, zupełna likwidacja państwa Ottomańskiego w Europie podważa, a właściwie obala możliwość panowania tureckiego w Azji.

Obok skutków moralno-politycznych, sprowadzających się do upadku autorytetu wszelkich władz tureckich i nieuknionej anarchji, w tym samym kierunku działać muszą czynniki gieograficzne. Niemożliwością jest przy roztrzygnięciu kwestji cieśnin oddanie jednego brzegu Bosforu i Dardaneli nowemu europejskiemu gospodarzowi, a pozostawienie drugiego turkom. Tak więc bezpośrednie skutki wojny przerzucą się nieuchronnie na brzeg azjatycki, chociażby nawet zwycięzcy bałkańscy trzymali się od niego zdaleka. Aktualność rozbioru Turcji azjatyckiej, wywołana przez dalszą wojnę, jest tak widoczna, że zaznaczyła ją wyraźnie zbiorowa nota koncertu europejskiego, wystosowana do Porty celem skłonienia jej do smutnej rezygnacji.

Gdyby pokój został zawarty w Londynie i nie przyszło do ponownego wybuchu wojny, dyplomacja europejska miałaby przed sobą tylko sprawy, bałkańskie. Ale wojna toczy się w dalszym ciągu i do nierozwiązanych i dość gorących kwestji bałkańskich przybywają nowe, z pewnością gorętsze kwestje azjatyckie. W tych ostatnich Austrja i Włochy niewiele mają do powiedzenia. Za to bardzo wiele mają do powiedzenia cztery pozostałe mocarstwa koncertu europejskiego, z których każde mniej lub więcej wyraźnie zgłasza pretensje do określonej części masy upadłościowej tureckiej.

Jeżeli tak trudną się okazała częściowa likwidacja panowania tureckiego na półwyspie Bałkańskim, to chyba trudności o wiele wzrosną, gdy przyjdzie do ostatecznej likwidacji państwa Ottomańskiego.

⊳ooooooooo⊲

Położenie katorżników politycznych.

Jak donosi „Russk. Słowo“, nie długo przed wakacjami Bożego Narodzenia niektórzy posłowie Dumy zwrócili się do prezesa Rady ministrów, starając się o zmianę przepisów więziennych dla katorżników w więzieniach kutomarskiem i ałgaczyńskiem.

Posłowie oświadczali, że pożądanem jest przynajmniej złagodzenie środków, stosowanych celem „równouprawnienia“ katorżników politycznych z kryminalnymi. Środki te, wprowadzone przez zarząd więzienny oraz przez wojennego gienerał-gubernatora zabajkalskiego, Kiaszkę, polegały na karach cielesnych i poniżającem obchodzeniu się z politycznymi katorżnikami.

Prezes rady ministrów odpowiedział posłom, że osobiście uważa za pożądane złagodzenie tych przepisów i że według niego w danym wypadku trzeba nawet nie zmiany rozporządzenia, ale bardziej ludzkiego jego stosowania. Ale ponieważ więzienia-katorgi zależą od głównego zarządu więziennego, podległego ministrowi sprawiedliwości, więc roztrzygnięcie tej sprawy nie zależy od prezesa rady ministrów, lecz od Szczegłowitowa. Co zaś do gienerał-gubernatora zabajkalskiego, Kiaszki, który najbardziej nalega na stosowanie surowych przepisów do katorżników politycznych — to on podlega ministrowi wojny, od którego zależy mianowanie innego zarządcy na jego miejsce.

Irkucki gienerał-gubernator Kniaziew, który starał się o pomoc materjalną, rządową dla skazańców, osiedlanych w dalekich miejscowościach Syberji, stara się teraz w Petersburgu o złagodzenie przepisów więziennych dla katorżników politycznych, stawiając nawet sprawę — jak dalej donosi „Russk. Słowo“ w sposób kategoryczny. Oto w razie pozostawienia gien.-gubernatora zabajkalskiego na jego stanowisku i w razie dalszego stosowania kar cielesnych względem katorżników politycznych, gien.-gubernator Kniaziew grozi swoją dymisją.

Według dalszych informacji „R. Słowo“, minister wojny nie zgodził się na zamianę gien.-gubernatora Kiaszki na inną osobistość na stanowisku gien.-gubernatora zabajkalskiego. Również minister Szczegłowitow uznał za nieodpowiednie złagodzenie przepisów więziennych dla katorżników politycznych i nalega na całkowite zrównanie katorżników politycznych z kryminalnymi.

Gien.-gubernator Kniaziew, według informacji „Russk. Sł.“, zamierza wobec tego podać się do dymisji.

⊳ooooooooo⊲

KRONIKA.

= Tajne szkoły.

Na zasadzie protokułu policji, która wykryła przed miesiącem w Lachowiczach (pow. słucki) „tajną szkółkę polską“, gubernator miński skazał administracyjnie: Annę Pobieżeńską na 200 rubli kary lub dwa miesiące aresztu, matkę jej na 3 tygodnie aresztu za danie mieszkania na „szkołę“ i 10 osób z miasteczka każdą na 50 rub. lub dwa tygodnie aresztu za posyłanie do tej „szkoły“ dzieci swoich. W liczbie tych 10-ciu są trzy ubogie kobiety wdowy i 70-letni schorowany i ubogi starzec Maciej Sokołowski. W dniu 16 b. m. wszystkie powyższe osoby aresztowano i wysłano etapem do Klecka, a stamtąd do Słucka, gdzie odsiadywać będą karę.

= Interwencja rządu.

Dzienniki petersburskie donoszą, jakoby ministerjum spraw wewnętrznych postanowiło zwrócić uwagę na stosunki polsko-żydowskie w Królestwie Polskiem. Ministerjum podobno zwróciło się do gienerał-gubernatora warszawskiego z zapytaniem, jaki jest wpływ działaczów polskich na te stosunki.

Jednocześnie dzienniki te notują pogłoskę, jakoby ministerjum zamierzało przedsięwziąć kroki w celu uregulowania stosunków polsko-żydowskich i udaremnienia bojkotu.

W jaki sposób ministerjum zamierza przeprowadzić swą regulację stosunków polsko-żydowskich w Królestwie — na razie niewiadomo.

= Zerwanie solidarności.

Czytamy w „Dzienniku Poznańskim“: „W parlamencie niemieckim przy głosowaniu imiennem nad wnioskiem posła Ablassa, żądającym, aby od 1 kwietnia 1913 roku rada związkowa upoważniona była do całkowitego lub częściowego zniesienia ceł ochronnych na bydło i mięso—została zerwana solidarność Koła Polskiego. § 9 statutu powiada, że wbrew uchwale Koła nie wolno żadnemu posłowi głosu oddawać.

Z poważnych powodów wolno mu się jedynie wstrzymać od głosowania w ten sposób tylko, że opuszcza salę, za osobnem oświadczeniem poprzedniem prezydjum Koła Polskiego. Według liczenia urzędowego posłowie Czarliński i Nowicki oddali niebieskie kartki (wstrzymali się od głosowania), Sosiński zaś głosował pozytywnie za wnioskiem Ablassa, gdy tymczasem Koło Polskie uchwaliło głosować przeciw temu wnioskowi. W Kole panuje wskutek tego postępowania owych 3 posłów ogromne wzburzenie. które prawdopodobnie będzie miało poważne następstwa".

Tyle „Dziennik Poznański". Wydarzenie to dowodzi raz jeszcze, do jakich niepożądanych wynikow prowadzi zasada bezwzględnej solidarności Koła. Trudno przecież wymagać, aby posłowie, wybrani głosami robotników i wogóle ludności miejskiej głosowali za cłem na mięso, czyli za drożyzną — i tak nadmierną — artykulów żywności.

= **Statystyka pism perjodycznych.**

Opuściło prasę drugie wydanie książki Wolfsona p. t „Gazietnyj Mir", zawierającej ciekawe dane statystyczne o pismach perjodycznych w państwie rosyjskiem. W 246 miastach w 1912 r. wychodziło 2.107 wydawnictw perjodycznych. Pierwsze miejsce co do liczby wydawnictw zajmuje Petersburg, gdzie wychodzi 531 wydawnictw, czyli 24,5 proc. wszystkich wydawnictw w Rosji. Następnie idzie Moskwa (208 wydawnictw), Warszawa (204). Kijów (69), Ryga (59), Odesa (58), Tyflis (44), Wilno (41), Charków (39), Rewel (28), Kazań (23), Saratów (21), Dorpat (20), Jekaterynosław i Łódź (po 19) itd.

W języku rosyjskim ukazało się wydawnictw perjodycznych 1585, czyli 73,1 proc. Stosunkowo pokaźne miejsce zajmują wydawnictwa w języku polskim, których wyszło 234, czyli 10,8 proc. W języku niemieckim ukazało się 9 wydawnictw, w łotewskim — 47, w estońskim — 43, w żydowskim (żargon i hebrajski) — 31, w ormiańskim—21, w litewskim—20 (0,92 proc.), gruzińskim — 13, ukraińskim — 12, tatarskim — 11. W innych językach wychodziło wydawnictw najwyżej 1—2.

= **Zjazd lekarzy i przyrodników.**

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich odbędzie się we Lwowie w lipcu 1914 r. Na prezesa i wice-prezesa wydziału gospodarczego Zjazdu zaprosiła stała delegacja zjazdów prof. dr. Jurasza i prof. dr. Twardowskiego ze Lwowa.

= **Międzynarodowy „Dzień kobiecy".**

Międzynarodowe biuro socjalistyczne uchwaliło dzień 23 lutego n. st. ogłosić, jako „Międzynarodowy Dzień Kobiecy", a to w celu agitacji na rzecz praw politycznych kobiet i wzmocnienia kobiet w organizacjach robotniczych.

Rosyjskie organizacje robotnicze postanowiły wziąć udział w obchodzie „Dnia Kobiecego", urządzając tego dnia zebrania związków zawodowych, referaty, zgromadzenia robotnic, oraz wydając specjalne numery pism, poświęcone oświetleniu kwestji kobiecej, zwłaszcza w dziedzinie stosunków robotniczych. Jednocześnie ma być zarządzona tego dnia ankieta śród robotnic po fabrykach i warsztatach. Rezultaty ankiety będą opublikowane w pismach.

= **Reforma wyborcza w Holandji.**

Rząd Holenderski przedstawił parlamentowi nowy projekt prawa wyborczego. Na mocy tego projektu, prawo głosu ma każdy obywatel, który ukończył 25 lat życia, jest ojcem rodziny albo samodzielnie zarabia na swoje utrzymanie. Wyłączeni od praw wyborczych są żebracy i pobierający wsparcie z funduszów publicznych.

= **Rozdział kościoła i państwa.**

Izba gmin przyjęła w trzeciem czytaniu projekt rozdziału kościoła i państwa w Walji 347 głosami przeciwko 240.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu Z. T. Zamieścimy.

Ciekawemu. Istotnie powinno być „wodór". „Wodorod" — szpetny rusycyzm. Kto jest tłomaczem telegramów w „Kurjerze Litewskim" — nie wiemy.

Pani Z. Wasilewskiej. Pseudonim. Adresu nie znamy.

Treść numeru.

Skromne żądanie. — Novus.

O „Kulturę Polską". — Poseł czynu.

Ideja spółdzielcza. — J. Hempel.

Rajmund Poincaré. — St. Posner.

Syndykalizm niemiecki. — R. Dołęga.

Wiosna. — E. Słoński.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.

Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski.

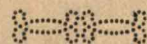
Prasa polska.

Na Widnokręgu.

Położenie katorżników politycznych.

Kronika.

Odcinek: „Z wędrówek mimowolnego turysty" — Estede.



Wydawca **Witold Abramowicz**. Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 9 (22) Lutego 1913 r. № 5-6.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie - - - 7.00
Półrocznie - - - 3.50
Kwartalnie - - - 1 75
Miesięcznie - - - 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie - - - 8.--
Półrocznie - - - 4.00
Kwartalnie - - - 2.00
Miesięcznie - - - 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;
Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
W tekście (nadesłane) - - - 1 rb.
Po tekście - - - 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Suum cuique.

Dewizą powyższą chce się kierować „Now. Wriemia“ przy rozstrzyganiu kwestji stosunków polsko-rosyjskich.

Zaiste, trudno o bardziej sprawiedliwą zasadę— w dziedzinie polityki, gdzie dotychczas panuje niepodzielnie wręcz przeciwna — prawo pięści.

Trudność stosowania jej w praktyce polega jednak na tem, że wymaga ona decyzji jakiejś wyższej instancji, jakiegoś trybunału rozjemczego, któryby rozważył zobopólne pretensje i wydał wyrok bezstronny, obowiązujący obie strony.

Może „Now. Wriemia“ zgodziło by się oddać sprawę polską do rozstrzygnięcia sądowi polubownemu, dajmy na to, kongresowi pokojowemu w Hadze lub konferencji ambasadorów w Londynie?

Oczywiście, nie. Rząd rosyjski nigdy dobrowolnie nie przystanie na to, aby kwestja polska nabrała charakteru międzynarodowego. Nawet w teorji jest to wykluczonem. A w takim razie, pięknie brzmiąca maksyma pozostaje tylko pustym frazesem, mającym uzasadnić twierdzenie, które umiemy na pamięć, że na Litwie i Białejrusi, jako w dzielnicach odwiecznie rosyjskich, muszą być stosowane względem żywiołu polskiego prawa wyjątkowe.

Więc bezwzględny ucisk polaków w naszym kraju i szerokie ulgi... w postaci samorządu miejskiego i ziemskiego w Królestwie — oto warunki, na których „Now. Wriemia“ proponuje układ. Zapewne nie jest to ostatnie słowo. Coś nie coś dałoby się jeszcze utargować.

W tej myśli widocznie p. Wojciech Baranowski wystosował w „Kurjerze Litewskim“ list otwarty do Michała Aleksiejewicza Suworina, jako redaktora „Now. Wriemia“.

Przekonywa w nim publicysta wileński nacjonalistę petersburskiego, że rosyjska przezorność polityczna powinna położyć kres prześladowaniu polskości nie tylko nad Wisłą, lecz i nad Niemnem, Wilją, Dnieprem i Prypecią, bowiem właśnie w tych dzielnicach mniejszość polska stanowi materjał „spokojny, twórczy, politycznie zrównoważony“, który doskonale się nadaje do cementowania państwa...

Szkoda tylko, że Michał Aleksiejewicz ani odrobinę nie wierzy tym zapewnieniom lojalnym i wciąż jeszcze szablonowo posądza szlachtę polską i duchowieństwo o złowrogie knowania antypaństwowe, całą zaś swą swą nadzieję pokłada w ludzie polskim.

Może po artykule p. Baranowskiego zmieni swe zdanie? Powinien był by zresztą uczynić to już dawniej, po tylu wystąpieniach reprezentantów szlachty polskiej, mających większy wszak walor niż słowo drukowane.

Ale „Now. Wriemia“ wciąż nie może się otrząsnąć z idejologji, zaszczepionej ongiś polityce rosyjskiej przez nieboszczyka Katkowa. Wciąż jeszcze upatruje swych najgroźniejszych wrogów w szlachcie i księżach i wciąż jeszcze łudzi się, że lud polski jest tak samo ciemny jak za czasów Milutina i że czuje niewygasłą wdzięczność do rządu za zniesienie pańszczyzny.

Nie rozumie organ p. Suworina, że w ciągu 50 lat zmieniło się znacznie oblicze narodu polskiego, że zaszły w organizmie jego radykalne przeobrażenia, żę pewne części dojrzały, inne zaś się zużyły lub przystosowały do zmienionych warunków bytu.

Gdyby nadeszła godzina próby, gorzkie rozczarowanie musiałoby ogarnąć polityków z „Now. Wriemia“. Dziwić się tylko można, że lata 1905 — 1906 nie nauczyły jeszcze ich patrzeć trzeźwo na społeczeństwo polskie.

Źle więc wyjdzie „Now. Wriemia“, jeżeli pomijając warstwy uprzywilejowane, chce przemawiać do

uczuć i nastrojów polskich elementów demokratycznych. O wiele bardziej twardy to żywioł i o wiele mniej chętny do ustępstw.

Nie zadowolnić go samorządem miejskim ani nawet ziemskim. Potrzebuje on przedewszystkiem tych swobód, których nie da mu „Now. Wriemia", bo i swemu ludowi ich odmawia, a przytem posiada całą sferę aspiracji, których nie zaspokoi najidealniejszy nawet dobrobyt materjalny.

Zasadę *suum cuique* uznaje w całej jej rozciągłości bez żadnych wybiegów dyplomatycznych. Demokracja polska nie żywi żadnych zamiarów zaborczych i nazywa rzeczy po imieniu. Doskonale też rozróżnia, gdzie są ziemie polskie, a gdzie litewskie i ruskie. Tam chce być gospodarzem samodzielnym, tu tylko rości pretensje do stanowiska spółrzędnego z innemi. Ale do roli kolonistów jeno, którą społeczeństwu polskiemu wyznacza „Now. Wriemia", zepchnąć się nie da.

Bo „N. Wriemia" przypuszcza zapewne, że w naszym kraju polskość reprezentuje wyłącznie szlachta—ziemiaństwo i dlatego z takiem lekceważeniem odzywa się o głosach prasy wileńskiej. Oczywiście, gdyby tak było, miało by pewną słuszność. Ale czas już chyba był by wielki przekonać się, że jest inaczej, że nie brak tu żywiołów demokratycznych polskich, nad któremi nie sposób przejść do porządku dziennego.

Kwestja polska na Litwie i Rusi nie zniknie przez to, ze jej nie uznaje „Now. Wriemia". Będzie ona wciąż domagała się uregulowania w myśl owej zasady *suum cuique*. Inny ma ona charakter u nas, niż w Królestwie, wszakże nie rozwiąże jej również samorząd ziemski. O miejskim niema co mówić, gdyż ten funkcjonuje oddawna.

Charakterystyczny szczegół stanowi to, że „Now. Wriemia" w szeregu możliwych ulg wylicza niemal wyłącznie reformy o charakterze ekonomicznym, ani słówkiem zaś nie potrąca o stronę duchową. Nawet tak minimalne żądania w zakresie potrzeb narodowych, jak uwzględnienie języka polskiego w szkołach i urzędach, zostały pominięte milczeniem.

Oczywiście, wobec tak skromnej oferty nawet nasze koła ugodowe nie uważały za możliwe traktować jej poważnie i zgodnie oświadczyły, że tego stanowczo za mało. Nie tracą jednak, zdaje się, nadziei, że wytargują więcej.

Złudzeń żadnych nie żywi natomiast demokracja polska, rozumiejąc dobrze, że obiecanki i zabiegi wpływowego organu są wywołane jedynie przez niepewność sytuacji międzynarodowej. Gra to nazbyt widoczna i z góry skazana na niepowodzenie.

Nie można wszak stawać do licytacji, mając w pugilaresie zamiast papierów wartościowych tylko blankiety wekslowe, gdy jest się nadto znanym jako niewypłacalny dłużnik. Sprytny aferzysta w takim wypadku pośpieszył przynajmniej spłacić najpilniejsze chociażby zaległości, by tą drogą uzyskać znów kredyt i zaufanie.

„Now. Wriemia" nie zadaje sobie nawet tej fatygi. Wierzy prawdopodobnie w naiwność i potulność społeczeństwa polskiego. Tak czułe jest ono wszakże na najbłahszy objaw przychylności, ba, nawet byle uprzejmości!

Tym razem jednak „N. Wriemia" przerachowało się najwidoczniej. Dwukrotne wystąpienia pojedynawcze organu p. Suworina nader zimno zostały powitane przez całą prasę polską, nie wyłączając z obozu endo — ugody. Nikt już nie wierzy ani w szczerość ani w skuteczność enuncjacji z nad Newy. Nie wzruszają też łaskawe względy i pamięć o sprawie polskiej dziś, gdy najpoważniejsze dzienniki francuskie i angielskie poświęcają jej artykuły wstępne. Wdzięczność jedynie się należy „Now. Wremia" za przypomnienie zasady *suum cuique*. Jest to doskonały punkt wyjścia do dalszego postępowania.

L. A.

Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

ZYGMUNT TYSKI.

Piotr Buza.

Chłop bezrolny, Piotr Buza, wysługiwał się czas jakiś w charakterze parobka na ordynarji po różnych dworach i dworkach

Miał żonę, acz jeszcze młodą, już steraną kobietę, sporo drobiazgu w brudnych, zgrzebnych koszulinach, no i jedną krowinę—karmicielkę całej rodziny. Prócz tej „żywiołki", majątek jego ruchomy reprezentowało jeszcze chyba ogromne łóżko z niemalowanych tarcic sosnowych, mebel przedziwny, prawie równie szeroki, jak długi z notorycznie gnieżdżącem się po szczelinach robactwem wszelkich możliwych kalibrów i zabarwień, — oraz rezydujące w sieni żarna, otrzymane jeszcze w posagu po żonie łącznie z wyżwzmiankowaną krowiną. Stół zaś i ławy po czworakach były zazwyczaj dworskie, co, naturalnie, zwalniało służących nędzarzy od konieczności zaopatrzenia się w nie.

W pierwszych latach po ślubie młode stadło rok rocznie ku Bożemu Narodzeniu miewało zwykle już dobrze podkarmionego „parsiuczka", do którego zakłócia przystępowano z uroczystym pietyzmem, niby do spełnienia jakiegoś kultu religijnego... Ale gdy jęło przybywać dziecisków i coraz więcej gąb czyhało żarłocznie na ojcowską ordynarję, którą powiększyć z tego tytułu, oczywiście, ani śniło się chlebodawcom — nie stawało już pedantycznie wymierzanego czy ważonego zboża na karmnika i trzeba się było stale obywać bez omasty.

Buza, jako pur sang analfabeta z dziada pradziada, oczywiście, nie czytywał gazet. Nie mógł tedy w swych zajadłych suplikacjach o mizerną nadwagę przy pobieraniu co kwartał ważonego zboża powoływać się na... Wilhelma II-go, który jakoś w tych czasach właśnie wyjednywał sobie od parlamentu Rzeszy podwyższenie listy cywilnej o kilka miljonów z okazji — rozrodczej energji cnych Hohenzollernów. Ale co cesarz zjednoczonych Niemiec, to nie—Buza, ordynarjusz w jakimś zapadłym kącie Litwy. Iuści... Quod licet Iovi, non licet bovi.—

I dlatego, być może, Buza do fanatycznie nieustępliwych, obojętnych ekonomów, oraz skąpych dziedziców, niekiedy osobiście wydających ordynarję,

Sprawa polska w prasie angielskiej.

Londyn 13 lutego 1913 r.

Od chwili zatargu bałkańskiego sprawa polska wróciła znowu powrotną falą do Europy.

Szczupłe grono sympatyków na wszystkich krańcach kontynentu przypominać jęło publicznej opinji, że naród dwudziestomiljonowy żyje i zaważyć może niemało na ułożeniu się stosunków międzynarodowych.

W Anglji zrazu szczupłe, transportowane drogą na Wiedeń, nowiny jęły głosić o zmobilizowaniu sił polskich w Galicji, o nadziejach i planach.

A później przyszła kwestja wywłaszczenia, pogrom polityki hakatystycznej w parlamencie Rzeszy.

W Anglji urzędowej, w stronnictwach rządzących kierowanych orjentacją sira Greya — a więc broniącą interesów trój porozumienia—nie na rękę może wypadło gwałtowne wysunięcie sprawy polskiej w związku z komplikacjami bałkańskiemi.

Odezwała się jednak prasa niezależna, — nie utrzymująca kontaktu z rządem — nie mniej jednak wpływowa i poczytna.

Przemówił „John Bull“ — potentat liczący z górą miljon odbiorców — a kilkakroć razy tyle czytelników i wystąpił z napiętnowaniem wywłaszczenia — polityki gwałtu i grabieży.

Gdy przed niedawnym jeszcze czasem grono tutejszych polaków usiłowało zapoznać opinję angielską z prawem wywłaszczenia, spotkało się z obojętnością, a nawet niechęcią.

Polska stała się kamertonem regulującym skalę sprawiedliwości narodów — Polska — zwana Irlandją środkowej Europy. Przecież w Westminsterze rozgrywał się ostatni akt „samorządu Irlandji“ — przeciwko której opozycja konserwatystów wyciągała największe działa — byle tylko nie dopuścić do uchwały w izbie poselskiej.

W takich wypadkach poruszanie sprawy polskiej — byłoby niebezpiecznym i niepożądanym atutem na korzyść Irlandji.

Prasa konserwatywna dyskretnie więc przemilczała kwestję polską.

Po pamiętnym bilu i zycięstwie opozycji — gdy lordowie ostatecznie wypowiedzieli swe — veto — atmosfera dla Polski stała się przyjazną— ba nawet weszła w fazę serdeczności — tak dobrze niestety znanej nam w historji porozbiorowej.

Tygodnik „Everyman“ i „Pall Mall Magazine“, poświęciły Polsce szczególną uwagę.

I zgodnie zapatrują się pisma, że sprawa Polski nie jest wewnętrzną jakąś troską tego lub owego państwa, ale kwestją pierwszej wagi — zasługującą na wielką rozwagę, bo najbliższy zatarg jaki wstrząśnie Europą, rozgrywać się będzie na terenie tego narodu, który dzięki swym osobliwym darom natury zajmuje poczesne miejsce w cywilizacji.

Tygodnik „Everyman“ z rzadką jak na cudzoziemskiego pisarza znajomością spraw polskich ocenia położenie trzech zaborów i do tej dochodzi konkluzji.

Polską należy się interesować, bo jest to naród, który przez wieki całe stał na straży zachodnio-europejskiej cywilizacji.

O Polsce nie należy zapominać — bo stała się ona ofiarą prześladowań — wobec których każdy człowiek wierzący w sprawiedliwość nie może przejść obojętnie.

O Polsce musimy pamiętać, bo być może najbliższe już wypadki zgotują jej inną przyszłość.

Autor angielski poznał stosunki polskie na miejscu; bawił w Księstwie, Królestwie i Galicji.

Z pobytu na ziemiach polskich najlepsze wrażenie wyniósł z Galicji.

Charakteryzuje ją w sposób następujący.

Galicja jedna z najbardziej nieuległych prowincji — przemieniła się z biegiem czasu w najlojalniejszą część monarchji austrjacko - węgierskiej.

Rezultaty polskiej autonomji w Galicji — która tak bardzo wzmogła kraj—najlepszą są od-

---

— nie żywił najmniejszej nienawiści. Targował się, skamlał, złorzeczył, rozpinał, bo — musiał i ostatecznie, co wyprosił, było jego, ale w duszy postępowaniu swych chlebodawców przyznawał zupełną słuszność. Gdyby był na ich miejscu, postępowałby taksamo, a może nawet był jeszcze twardszy od nich, jeszcze skrzętniej zabiegał o każde swe ziarenko. Zakuta mózgownica kartoflarza nie mogła zdobyć się w najmniejszym stopniu na jakiś szerszy, ogólniejszy pogląd. Wulgarny, zwierzęcy egoizm był tu jedynym punktem wyjścia, jedyną miarodajną instancją. Ale zapatrując się na wsze sprawy z najbardziej egoistycznego punktu widzenia, Buza nie potępiał podobnego stanowiska u innych. Owszem — było to dlań powodem bardzo pochlebnego mniemania o nich. Tylko tacy ludzie właśnie mogli być — zdaniem jego — uważani za rozumnych. O ile zaś przyszło mu w życiu zetknąć się wyjątkowo z osobnikami bezinteresownymi, uczynnymi, gotowymi do poświęcenia się i ofiar — jušci naciągał ich, ile się dało, wychwalając z wstrętną uniżonością w oczy i za oczy, ale w duszy uważał ich za wierutnych głupców, o ile nie wietrzył w ich postępowaniu jakichś podstępnych, tajemniczych celów.

Tak tedy zasada: homo homini lupus nie przejmowała go bynajmniej zgrozą. Przeciwnie, zdawała się lojalnem stwierdzeniem jedynie możliwego stanu rzeczy. Było to jasne, jak słońce, co świeci — no, a świeci oczywiście poto, by się ludziska wzajem żarły... Rzecz prosta, że nie widział najmniejszej potrzeby stawiania jakichkolwiek tam swemu żarłocznemu, chłopskiemu, żywiołowemu egoizmowi. Rolę ich aż nadto gorliwie spełniały reagowania innych egoizmów, z któremi wprost lub pośrednio się stykał. One jego ekspansję nietylko mitygowały, ale ujmując w karby należyte, ubezwładniały w zupełności. Przytem jednak i same traciły swój pierwotny impet, swój rozmach, niejako się regulowały i przytępiały. Ta koncepcja nieustannego ścierania się egoizmów, które się przytem w większym lub mniejszym stopniu normują i umożliwiają tem samem jaki taki ład na świecie— była podstawą światopoglądu Buzy, kamieniem węgielnym jego chłopskiej „zdrowej“ filozofji. Oczywiście nigdy o tem nie myślał, nie wyindukowywał tego sobie detalicznie i stopniowo z całą świadomością i krytycyzmem, ale powyższa percepcja tkwiła niejako w korzeniach jego duszy, była punktem wyjścia wszystkich jego odruchów, jak i obmyślanych sposo-

powiedzią dla tych, którzy twierdzą — że polski naród nie dorósł do samorządu.

Zabór rosyjski określa angielski pisarz — jako kraj bogaty, przemysłowy i kupiecki który, pomimo tego nie przynosi szczęścia ludności w niem zamieszkałej.

Warszawa jedno z najweselszych niegdyś miast, budzi przygnębiające uczucie, a przejezdny doznaje wrażenia jakby przybył do obleganej twierdzy.

Niema w niej życia politycznego, i uderza brak jakiejkolwiek opinji.

Żyje się w dusznej atmosferze.

W Księstwie, zdaniem angielskiego autora, przedstawiają się stosunki bardziej jeszcze niepomyślnie.

Prusak wywłaszcza, wypędza z ziemi ojców, ale przy tej sposobności oczernia swoją ofiarę, prawiąc o misji cywilizatorskiej — tak jak by naród, który posiada własną sztukę, literaturę i naukę, potrzebował pruskiej kultury.

Tego samego zdania co autor z „Everyman" — jest pan Hilaire Belloc — który w „Pall. Mall Magazine" poświęca sprawie polskiej obszerny artykuł.

Być może — pisze angielski publicysta, że w najbliższej już przyszłości będziemy się musieli liczyć z dokonanym faktem powstania państwowości polskiej.

Zadziwiające to zjawisko w dziejach spółczesnej Europy, by naród liczący zgórą dwudziestomiljonową ludność, posiadający niezwykle bogatą literaturę, słynny z swej rycerskiej przeszłości—mógł być wykreślonym z mapy europejskiej.

Szaleństwem jednak byłoby zapominać, że Polska istnieje. Naród bowiem nietylko wzrósł liczebnie, ale wzmógł się w dobrobyt — nadewszystko jasność celu i gotowość do czynu spaja go w jedność.

Los wszystkich trzech zaborów jest różny.

Rusyfikacja nie osiągnęła żadnych sukcesów.

Metodyczny — niemiłosierny ucisk pruski nie przyniósł spodziewanych rezultatów.

Polacy wzrośli liczebnie—posunęli się w nabytkach terytorjalnych bardziej na zachód, a nawet jako wyżsi inteligiencją od prusaków, wdarli się w serce niemieckiego przemysłu.

W Austrji polacy są wolni i dlatego stamtąd płyną najszczytniejsze hasła odrodzenia narodowego.

Przebudzenie się Polski—jest dla Prus wielkiem niebezpieczeństwem, a to tylko z powodu zasadniczo mylnej polityki pruskiej, która z dniem każdym popełnia coraz nowe błędy!!

Angielski dziennikarz bawił na ziemiach Polski—„dotykał ręką" grobów królewskich w Krakowie, odwiedził Mazowsze i Księstwo, od Torunia, po przez całą dolinę Wisły, obiegł kraj. — To jedno powiedzenie: „Wierzę w Polskę" aż nadto dobrze charakteryzuje wrażenia cudzoziemców.

Czy jednak te uwagi i spostrzeżenia obojętnych nam zresztą obcokrajowców mają pewne realne znaczenie?

Bezwątpienia jedną tylko korzyść wyciągnąć należy z tej dziennikarskiej alchemji — poczucie i zrozumienie swej własnej siły.

Dr. Kazimierz Wrzos.

⊳ooooooooo⊲

Nad Wartą.

(Korespondencja własna „Przeglądu Wileńskiego").

Poznań, d. 12 lutego.

W prasie naszej — zwłaszcza warszawskiej — ujawnia się coraz wyraźniej demoralizujący wpływ stosunków. Gdy przeglądam pisma tamtejsze, doznaję często wrażenia, jakbym patrzał na psa łańcuszkowego, który rzuca się, a właściwie tylko szczeka na wszystkich, łasząc się jeno do pana, co go w obróżę ustroił.

Niestety, przyznać trzeba, że znikczemnienie to wzoruje się w praktyce na metodach, ongi stosowanych przez polskie tygodniki postępowe. One to, mając kagańce najmocniej zaciągnięte, wprowadziły zwyczaj gryzienia... wedle możności. Więc stawiały pod pręgierzem centralizm austrjacki, opor-

---

bów działania. Z tem wszystkiem ten proletarjusz zepchnięty na samo dno niedoli ludzkiej, skazany dożywotnio na pracę upadlającą i ostateczne zezwierzęcenie, często gęsto nie mający za co kupić szczypty soli do warzy, jakiej z pewnością nie tknąłby ostentacyjnie pies jako tako utrzymany, — ten parjas w łachmanach, kapiący cuchnącym potem i wszami, — ten urodzony bezspodniowiec — wcale nie był—jakby to zdawać się mogło—jakimś nieuleczalnym pesymistą, czy mizantropem, a już co najmniej: radykałem, wywrotowcem, „prochem oczekującym iskry"—jak lubią po dyletancku charakteryzować podobne okazy mówcy mityngowi.

Oczywiście bez ryzyka można było kwalifikować Buzę jako do pewnego stopnia optymistę, no i — zachowawcę. Stanowisko to było konsenkwencją jego egoistycznych, samolubnych tendencji. Buza, jak wogóle wszyscy konserwatyści, nie mógł zdobyć się na objektywne wartościowanie otaczającego go świata— wzbić się na wyżyny bezinteresowności, altruizmu, poświęcenia, co zawsze było i po wsze czasy będzie jedynym punktem wyjścia dla wszelkich humanitarnych poczynań i usiłowań reform społecznych. Otóż Buza nie pożądał w istniejących stosunkach żadnych zmian, reform, ulepszeń. Poco to, kiedy wszystko było w sam raz, nic ująć, nic dodać. Świat był urządzony znakomicie — i pomyśleć coś lepszego poprostu nie leżało w sferze możliwości ludzkich. Ogrom jego i misterność oszałamiały i przytłaczały, wywołując w duszy jakieś uwielbienie nieśmiałe. Czyż wszystko na nim nie było doskonałe, celowe, pożyteczne, smaczne? Naprzykład: kapuśniak ze świniną, jaki w pierwszych latach po ślubie zajadał z Hanną — i jej wypieku razowiec na liściach klonowych z umiarem kiszony, pulchny, dziurkowaty — i sama ona, Hanna, „kabieta kiej wata" a jurna, nienasytna zwłaszcza w miodowych miesiącach przed pierworodziem—i krówka dająca nabiał — i „bulbeczka" rodząca w polu — i piwo w Ejszyszkach u Mordki — i manapolka kazionna—wszystko, wszystko...

— Ach! ludcy wy moje, czegoż tutaka żydać więcej?...

W tym najlepszym ze światów, ażeby już był chyba rajem ziemskim, należało tylko zrobić śmiesznie drobną, nic nieznaczącą, niemal niedostrzegalną poprawkę. Polegała ona na manipulacji nie do uwierzenia prostej. Mówiąc figurycznie, należało bezspo

tunizm francuski, imperjalizm angielski, trusty amerykańskie etc. Była to smutna konieczność. Nieliczni myślący i inteligientni czytelnicy artykuły te odcyfrowywać umieli, czerpiąc z nich równocześnie pewne aktualne, pożyteczne wiadomości. Ogół jednak coraz mocniej tylko utrwalał się w przekonaniu, że — „wszędzie jest źle“.

Największą przysługę oddała prasie warszawskiej hakata. Tu już naprawdę można było pokazać pazury jaknajtańszym kosztem. Najmizerniejsze świstki pseudo-humorystyczne dosiadały tego wygodnego konika i udawały bojowników narodowych.

A w biednych głowach czytającej rzeszy urabiało się przeświadczenie: „wszędzie jest źle, a w Poznańskiem najgorzej“...

Chcąc właśnie zbliska przyjrzeć się prowincji, w której polakom jest *najgorzej*, osiadłem teraz w Poznaniu. Pozwól tedy, szanowny czytelniku, że ci kilku sylwetkami smutny ten stan zilustruję.

* * *

Gdym tu przybył, na dworcu spotkałem znajomego. Zaczęła się, oczywiście, rozmowa o stosunkach publicznych.

— Pamiętaj pan — powiada wreszcie—że bojkotujemy handel niemiecki. Kupujemy tylko u kupców polskich. Muszę pana odrazu zaagitować.

— Dobrze—odparłem—zastosuję się już choćby dlatego, że imponuje mi każda planowa akcja społeczna. Ale w jaki sposób odróżnię sklep polski od niepolskiego? Z nazwiska?

— O nie! Mamy tu polaków o nazwiskach czysto niemieckich i naodwrót. Ale poznać przecież łatwo.

— Jakże to?

— Ano, jeżeli nad sklepem jest tylko szyld polski, albo też wisi on na pierwszem miejscu, przed niemieckim...

— Więc kupcy tutejsi nie są zmuszeni posiadać napisy w języku urzędowym?

— No, jeszczeby tego brakowało — odpowiedział, patrząc na mnie zdziwiony.

* * *

W kilka dni potem zaczęły ukazywać się w pismach jednobrzmiące wezwania do gromadnego zbierania się na wiece, protestujące przeciw wywłaszczeniu.

Niema miasteczka, w ktorem nie odbyłoby się takie zgromadzenie. Tysiące ludu ze wszech stron na nie ściągały. Ponieważ sam Poznań ulega „prawu kagańcowemu“ (jako nie posiadający, wedle sfałszowanej statystyki, 60% polaków), wiec protestujący urządzono o kilka kilometrów dalej—w Urbanowie. I oto w oznaczonym zgóry i w dziennikach ogłoszonym dniu, cały polski Poznań tłumnie na to przedmieście wyruszył. Istne pochody ciągnęły ulicami przed oczyma zirytowanych hakatystów i godnie wartujących „szucmanów“.

Olbrzymią salę szczelnie wypełniła publiczność, ciżbę pozostawiając na dworze. W obliczu pilnujących porządku przedstawicieli władzy, rozpoczęły się obrady. Na trybunę kolejno wstępowali mówcy i gromy ciskali, zachęcając do walki z rządem.

Potem zaczęły napływać depesze, donoszące o podobnych wiecach, urządzanych w Galicji, Czechach, Chorwacji—ba! we Francji nawet.

Tylko z Warszawy depeszy nie było.

* * *

A na wszystkich tych zebraniach zapadła uchwała—gromadzić “fundusz narodowy“.

Odtąd w pismach zaczęły ukazywać się długie listy ofiar i płomienne zachęty do dalszego ich składania.

Przeznaczeniem kapitału tego ma być służenie akcji, przeciwdziałającej giermanizacyjnym zamachom rządu.

— I robicie to tak bez żadnej konspiracji?

— Poco?—zdziwił się mój przyjaciel—przecież to robota zupełnie legalna. Toć bronić się wolno chyba wszędzie

Usiłowałem wyprowadzić poznańczyka z błędu, ale mi nie wierzył.

Jest słowianofilem.

* * *

---

dniowca Buzę obdarzyć... spodniami t. j. kilku morgami gruntu. Oh! gdyby jemu te kilka morgów ziemi... Buza pojmował jednak doskonale, że tego szczęścia na tym tak ukochanym przez siebie świecie nie potrafi osiągnąć osobistemi wysiłkami. Choćby ze skóry lazł, choćby duszą rzygał — może tylko przeżyć, przymierając mniej więcej głodem. A nikt przecież i piędzi ziemi ani daruje, ani da sobie wydrzeć: każdy jej się trzyma zębami i pazurami. — Uświadamianie sobie tych faktów już po stokroć uświadomionych, bolesne ich konstatowanie i rozpamiętywanie nie mogły jednak wyrwać z duszy nędzarza pragnienia jedynego... Wrosło ono w tę duszę tak, że tylko chyba z nią razem w chwili śmierci opuściłoby ten kadłub wyschły, koscisty, zczerniały o mięśniach ze stali. Widząc na drodze ku swojemu urzeczywistnieniu nieprzemożone zapory, myśl, wytężana straszliwie, kurczyła się, jak robak zdeptany, wciągała w siebie, skłębiała potwornie, by z przekorną ostentacją rozpalić się pod czaską w miraż porywający, w fantasmagorję świetną. Wyobrażał sobie tedy Buza wciąż jakieś nadzwyczajności, które mimo wszystko miały go niejako extra ordinem uczynić „aktorem“. Zamknięty w sobie, małomówny, posępny wytrwale wyczekiwał tego cudu, tego szczęśliwego trafu, śniąc niekiedy poprostu na jawie.

I zaprawdę czyż nie mógłby się zdarzyć rzeczywiście taki naprzykład przypadek, postokroć oglądany oczyma duszy maniaka? Oto Buza powraca sobie najzwyczajniej dniem czwartkowym z kiermaszu w Ejszyszkach. Miał do sprzedania 50 funtów siemienia. „Odprosił się“ przeto z wieczora — i pan go na dziś uwolnił. Siemię naturalnie spieniężył u Mordki, który ma „honesty“ zwyczaj po obiciu targu częstować „likierem“, smakołykiem nielada, pędzonym przez Mordkę tajemnie z politury z dodaniem sacharyny i anodyny. Następnie pogapił się trochę na rynku, pogadał z tym i owym, wreszcie kupił czego było potrzeba — i hajda z powrotem! Co się ma późnić—trzy mile drogi przed nim. W torbie na plecach niesie kupione zapałki, dwa garnce soli, skórę na podłatki do chodaków i dwie bułki po sześć groszy dla najmłodszego, co to już wypadło odłączyć, gdyż baba znowu „gruba“...

D. C .N.

Pod koniec stycznia rozpoczęły się gwałty policji pruskiej. Tu i owdzie nie podobało jej się tolerować obchodów pięćdziesięciolecia. Ponieważ nie było szans zdobycia pozwolenia na zgromadzenia publiczne, postanowiono urządzać je w „zamkniętych kółkach, za zaproszeniami“.

Jedno z takich „zamkniętych kółek“ zebrało się w sali poznańskiego „Bazaru“ (jest to największy tutaj hotel, założony przez spółkę polską). W tej sali właśnie byłem świadkiem gwałtu.

A gwałt ów wyglądał tak:

Gdy wobec przeszło tysiąca osób zaczęto wygłaszać mowy i deklamacje patryjotyczne, zjawił się niespodzianie komisarz policji; podszedł do trybuny i jął coś żywo perswadować przewodniczącemu. Ten protestował:

— To nie jest żaden wiec publiczny i pan nie masz wcale prawa tu wkraczać. Jest to zamknięte kółko towarzyskie.

Komisarz rezejrzał się po tłumie z wyrazem powątpiewania.

—Ha!—rzekł po chwili—to mnie pan zaskarżysz do sądu, ale ja jednak zebranie rozwiążę.

Wtem spostrzegł, że deklamator przestał mówić. Na obliczu policjanta odmalowało się coś, jakby bezradność.

— Ależ mów pan dalej — powiada — bo gdy pan milczysz, nie mam prawa rozwiązywać zebrania.

Ostatecznie zamknął je sam przewodniczący, wybawiając z kłopotu reprezentanta władzy.

W odpowiedzi na ten i jemu podobne gwałty, prasa gromko nawołuje do wytaczania procesów policji, a do Sejmu wniesiono już interpelację.

Szanowny czytelniku z Wilna, może sądzisz, że to nie był gwałt?

Poznańczyk jest innego zdania i ma zupełną podstawę tak sądzić. Odróżnia on bardzo subtelnie prawo od bezprawia i każdy czyn władzy, odchylający się od ścisłej legalności, po imieniu nazywa.

* * *

Były urodziny Wilhelma.

Na placach publicznych parada wojskowa. Orkiestry grają; żołnierze po ulicach obnoszą sztandary. Wszędzie oficerowie w galowych mundurach i tłumy wystrojonej odświętnie publiczności, rozmawiającej wyłącznie po niemiecku.

Na bardzo wielu łopocą flagi czarno-czerwono-białe. W oknach pootwieranych i nie przerywających handlu sklepów — portrety cesarskie, kwieciem przystrojone. Najpatryjotyczniejsi okazują się szynkarze. Prawie każdy z nich ma w wystawie gipsowego Wilhelma, obstawionego butelkami po sznapsie, w które powtykano świece.

— Skąd pochodzi ten specjalny zapał restauratorów?

— Bo i tak wystawy mają puste.

— Aha...

Lecz widzę też sporo domów i sklepów, ignorujących „święto narodowe“. Większość ma szyldy polskie, ale są i niemieccy kupcy, którzy w uroczystości nie biorą udziału. Inni znów wyzyskali ją zręcznie dla reklamy. Jakiś krawiec postawił w oknie całego woskowego Wilhelma (jak w panopticum) i ustroił go w nowiuteńki mundur własnego wyrobu.

Wchodzę do jednego z polskich, nieprzybranych sklepów.

— A pan nic nie urządził?

— Jeszcze czego? Za co? Za to, że nas traktuje, jak obywateli drugiego stopnia? Niedoczekanie.

* * *

Był tu cesarz kilku dni temu przejazdem. Ale nie czuje się, widać, dobrze w Poznaniu. Cała okolica zamku obstawiona była wojskiem; wciągu kilku godzin ruch był wstrzymany na niektórych ulicach.

— Czego on się boi? — powiada jakiś robotnik, wzruszając ramionami. — Czyżby już tak mu dokuczało sumienie?

J. S.

<oooooooooo>

Arystydes Briand.

Paryż, w lutym.

Arystydes Briand wrócił znowu do władzy. Wiedziano o tem oddawna, że kombinacja polityczna, która prowadzić miała pana Poincaré ku szczytom prezydentury francuskiej złoży znowu losy polityki francuskiej w ręce p. Brianda, od roku znowu ministra sprawiedliwości i wiceprezydenta rady ministrów w gabinecie Poincaré. Pan Briand należał do aranżerów tej kombinacji politycznej. Był może jednym z głównych jej reżyserów. Kiedy wiadomem się stało, że Leon Bourgeois, chory oddawna na djabetes, nie może brać na siebie ciężkich obowiązków reprezentacyjnych, że, innemi słowy, znika najpoważniejszy kontrkandydat, Briand zaczął całą siłą pary pchać naprzód Poincarégo. Droga była kamienista, pełna błota i wybojów. Dygresja — niewiadomo przypadkowa czy świadoma—Millerand'a odebrała Poincarému głosy radykałów, których kandydatem nigdy nie był, którzy jednak poza Bourgeois nie mieli kandydata, pewnego poparcia Kongresu. Wysunięto kandydaturę niejakiego Pamsa, człowieka ducha winnego Bogu i... p. Clémenceau. Kiedy chodzi o „podstawianie nogi“— wiadomo, że niemasz nad p. Clémenceau, „tygrysem“ zwanego. To też p. Briand miał sprawę niełatwą.

Na próbie gieneralnej w Senacie, gdzie hałasy były tak wielkie, że woźni musieli gasić światło i w ten sposób zmuszali deputowanych i senatorów do rozejścia się, zdawało się, że Poincaré nie ma widoków. P. Clémencau „radził“ mu, aby sam lepiej ustąpił. Twardy atoli lotaryńczyk nie ustąpił: Briand był optymistą do ostatniej chwili, a p. Poinbaré wierzył w gwiazdę, w nos Brianda. Teraz jest prezydentem republiki. Rzecz jasna, że pan Briand nie mógł nie zostać prezydentem rady ministrów.

Jest to zwycięstwo, przedmiot emulacji, bezwzględnej walki kilkudziesięciu „najsilniejszych“ ludzi w Izbie i w Senacie. Tu i tam są klany *ministrables'ów* t. j. kandydatów na ministrów i prezesów rady. „Większość“ w Izbie nie jest stała (jak dotychczas w parlamencie W. Brytanji). Premjera i ministrów (według ustawy) dowolnie wybiera prezydent rzeczypospolitej i w zależności od osoby premjera tworzy się większość (w Anglji wiadomo zgóry, kto będzie premjerem: zawsze przewódca stronnictwa mającego większość za sobą

w parlamencie), większość niestała, ulegająca zmianom w zależności od poszczególnych kwestji politycznej czy społecznej natury. Powietrze nigdy nie jest czyste, wolne od obłoków, premjer rzadko może przewidzieć: ile tygodni będzie jeszcze u władzy; konkurenci nie śpią, każdy ma za sobą grupę, równie lotną i bujną. Nieostrożny krok premjera, nie na trybunie, a w kuluarach Izby, nawet w prywatnem życiu—mobilizuje wszak niezadowolonych, interpelacja gotowa, a interpelacje nie rzadko zamykają porządki dzienne, grzebiące ministerja.

„Wielkie ministerjum" Poincarégo trzymało się rok cały nie tylko talentem premjera i jego nadzwyczajnem szczęściem, ale i dlatego, że cały szereg spółzawodników zgodził się „ze względu na sytuację wysoce poważną" zająć w tem ministerjum stanowiska członków orkiestry, zrzekając się pałeczki dyrektorskiej na rzecz jednego, bardzo umiarkowanego *outsider'a* senatora Poincaré. Pan Briand nie miał tego szczęścia. Do jego gabinetu nie chciał wejść ani Bourgeois, ani Ribot, podobno kilku innych. Trzeba było odwołać się do pomocy kilku drugoplanowych osobistości, bądź oddawna nieczynnych, bądź nielubianych i nieszanowanych. Pan Jonnart był gubernatorem Algieru, od kilku lat w dymisji, pan Etienne, „człowiek" niegdyś Gambetty — obaj wielcy gieszefciarze, spekulanci gruntowi w Algierze, dobrze tam znienawidzeni, niechętnie widziani w Izbie, w opinji publicznej wymieniani bez szacunku (pomimo, że p. Etienne jest wiceprezydentem Izby). Deklaracja ministerjalna przyjęta raczej zimno, pomimo że pełna obietnic natury społecznej powinna była zdobyć sympatje radykałów, socjalistów i zneutralizować nienawiści skrajnej lewicy.

Kto był w Izbie owego piątku 24 stycznia 1913 roku, wynosił wrażenie, że Izba nie przepowiada długich miesięcy życia ministerjum p. Brianda. Nie dlatego, iżby odrazu wypowiedziała mu walkę. Nie. Skrajna lewica zachowywała się raczej spokojnie. Nawet osobiści wrogowie p. Brianda towarzysz Colly, towarzysz Lauche siedzieli spokojniej niż zazwyczaj: nie rzucali w p. Brianda ani tekami, ani kamieniami krwawej obrazy, nie grozili kułakami. Nastrój Izby był raczej żartobliwy, pełen ironicznej rezerwy. Pan Briand w przerwie zemdlał, jak mówiono z powodu gorąca, niestrawnego śniadania. Znalazła się większość przyzwoita, wyczekująca. „Zobaczymy"—mówił p. Charles Benoist, przewódca zwolenników reformy prawa wyborczego. „Zobaczymy" — mówił p. Thomson, przewódca przeciwników tej reformy. Reforma jest obecnie w senacie, gdzie podobno nie ma większości. O p. Briandzie nie wiadomo, po czyjej jest stronie. Formalnie *musi* być za reformą, którą uznał za swoją i przeprowadził p. Poincaré. Ale opinje pana Brianda!...

Jest to bardzo ciekawa postać w tym najciekawszym parlamencie świata. Śród dziesiątków najzdolniejszych ludzi Francji, on jest najzdolniejszy. Mówca pierwszorzędny, czarujący, psycholog, akrobata, cynik, kabotyn — wszystko w stopniu bardzo wysokim. Gdyby było prawdą w części chociażby, co o nim złe języki mówią,—nie mógłby odgrywać roli w życiu publicznem. Czegoż o nim nie mówią, nie gadają publicznie, nie wypisują przeciwnicy! Co prawda, „opinja publiczna" jest to instytucja dosyć złożona—opinji „poruszalnej" niema wcale w życiu dzisiejszem rozbitem na klasy, na grupy, na klany. Pan Briand miał za sobą różne grzechy młodości, był wykreślony z listy adwokatów w Saint-Nazaire, nie został przyjęty do adwokatury paryskiej, — gdy zaczął odgrywać wielką, dominującą rolę w proletarjacie w syndykalizmie paryskim, „Opinja powszechna" nie przeszkadzała mu zająć tego stanowiska. Został przyjacielem najbliższym p. Jaurésa. Został deputowanym, ministrem.

P. Briand miał ciężką młodość. Pochodzi z rodziny ubogich pobożnych rybaków w Nantes. Śród kolegów uchodził zawsze za chłopca wielkich zdolności, mówca piewszorzędny. Spotkał się Fernandem Pelloutier'em, entuzjastą szlachetnym zmarłym w 33 roku życia na gruźlicę, ale zanim życie zakończył, zdążył jeszcze zbudować i ugruntować teoretycznie i praktycznie ruch syndykalistyczny nowoczesny. Pelloutier wierzył w Brianda i postanowił poprzeć jego kandydaturę do parlamentu z Saint-Nazaire. Było to w r. 1889. Briand nie przeszedł. Ale poczuł, że ruch syndykalistyczny będzie gruntem, na którym urośnie jego sława. Trzeba zwrócić na siebie uwagę robotników, trzeba zdobyć miejsce około uznanych powag w świecie robotniczym.

W roku 1892 w Marsylji zdobywa pierwsze ostrogi. Jako delegat giełdy pracy w Nantes występuje z referatem w obronie „strajku powszechnego". Spokojny, zimny nader wymowny uderza w najczulsze struny syndykalistów. Opanowuje ich uczucia, sny o potędze dzisiejszych nędzarzy, sny o zwycięztwie—zwyciężonych dnia dzisiejszego. Opanowuje ich umysły. Bez dyskusji, przez aklamację gromada przyjmuje wnioski referenta. Syndykalistom rodził się wtedy mówca z bożej łaski, Jaurésowi równy u socjalistów. Briand utrzymuje czas jakiś dobre stosunki z Guesde'm, który podówczas był u szczytu powodzenia: syndykaliści byli z Guesde'm w zgodzie. Ale wnet Guesde — przeciwnik zasadniczy (za przykładem socjalistów niemieckich) strajku powszechnego—zauważył, że wpływ Brianda zaczyna mu wchodzić w paradę. W 1894 r. w Nantes syndykaliści-guesdyści zwalczają „strajk powszechny", zwalczają i Brianda. Nadaremnie. Wytknięto mu w tem spotkaniu, że jest adwokatem. Nie trudno pokonać demagoga. „Byłem adwokatem, odpowie Briand, przestałem nim być. Dziś jestem prostym urzędnikiem, ciężko pracującym na chleb. Domagano się, abym powrócił do adwokatury. Przypuszczano bowiem, że mogę na tem stanowisku nie jedną oddać przysługę. Nie mogę uczynić tego, nie posiadając środków na umeblowanie mieszkania*). A wy zarzucacie mi, że jestem adwokatem"!... Gedyści opuścili owo zebranie. Briand urósł jeszcze o pół metra w przekonaniu zwolenników.

Zostaje redaktorem dziennika lewicowego „*La Lanterne*". Zbliża się do Jaurésa, do Milleranda. Pisze wtedy wiele, wiele artykułów anarchistycznych o strajku, kuje broń na użytek syndykalistów, jeździ po Francji ucząc, propagując, tworząc kadry nowych organizacji robotniczych. Czarodziej słowa i obejścia, psycholog i wirtuoz niezrównany zyskuje serca tęskniące do lepszych czasów. Briand broni Jaurésa, broni Milleranda, broni akcesu do rządu, broni udziału w rządzie, broni Milleranda przed bezwzględnością towarzyszów, aż do końca umiejętnie wyzyskuje błędy gedystów, którzy polityką ustępstw i tranzakcji

*) Aby być przyjętym do korporacji adwokatów we Francji, trzeba między innemi wykazać się posiadaniem mieszkania i własnych mebli.

przygotowali tylko tę tranzakcję ostateczną. Broni tu — tak dawno już — i swojej przyszłej sprawy, i swoich tranzakcji ostatecznych „przygotowanych, zapewne, przez poprzedników“. Syndykalistów to niewiele obchodzi. Syndykaliści bowiem zwalczają pracę w parlamencie.

(D. c. n.)

Stanisław Posner.

Sufrażystki angielskie.

Co pewien czas to tu, to owdzie odzywają się głosy, ubolewające, że tak mało znaczymy w świecie; że w chwilach jeno wyjątkowych świat ten nas sobie przypomina; że zwolna zapadamy się w jakąś otchłań, od której i do której żadne nie prowadzą drogi.

A ilekroć tego rodzaju lament się odezwie, żal mamy do całej niewdzięcznej ludzkości, do cywilizacji, postępu—słowem do wszystkiego i do wszystkich, tylko nie do siebie. Tymczasem nie orjentujemy się zupełnie, że to nie świat nam się sprzeniewierza, ale my światu; że nie on pozostawia nas złośliwie w tyle, idąc swoją drogą, lecz sami dobrowolnie uparliśmy się stać w miejscu.

Że tak jest rzeczywiście, przekonać się łatwo w chwilach, gdy gdzieś na obczyźnie dokonywane są jakiekolwiek reformy społeczne. Wówczas to ze szczególną mocą uwydatnia się olbrzymie nasze oddalenie od stosunków i dążeń, właściwych obecnie ludom, kulturalnie przodującym.

Weźmy chociażby aktualną sprawę sufrażystek angielskich.

Dziś, gdy nad Tamizą odezwali się w tej kwestji ministrowie, parlament i najmiarodajniejsi przedstawiciele opinji publicznej, widzimy, że w Anglji nawet najgwałtowniejsi przeciwnicy równouprawnienia kobiet absolutnie dojśćby nie mogli do porozumienia ze swymi stronnikami z nad Wisły, Warty i Wilji. Przypomnijmy sobie tylko, jak tę sprawę traktowała duża większość pism polskich? Zupełnie tak, jakby sufrażystki były bandą warjatek, śmiesznych, w najlepszym razie politowania godnych, ale nie zasługujących, by zajmowano się poważnie ich „dzikiemi pretensjami“.

Nawet dzienniki, w wyrażeniach wstrzemięźliwe i utożsamiające z taktem kulturę (której posiadania są, naturalnie, pewne), w akcji sufrażystek widziały jedynie „awantury“ i „wybryki“. I gdyby tak przypadkiem uczyniono którego z naszych dostojnych redaktorów prezydentem policji londyńskiej, pewno miałby chwilę wątpliwości, czy nie należy po prostu oćwiczyć agitatorek rózgami.

Boć dla niego były to tylko rozczochrane wichrzycielki i nic więcej.

A teraz proszę sobie wyobrazić, co dziać się musi w głowie przeciętnego czytelnika gazet polskich, gdy się raptem dowiaduje z depesz, że owe „warjatki“, „awanturnice“, „krzykaczki“ etc. — są już bardzo bliskie zwycięstwa; że po ich stronie staje większość ministrów najkulturalniejszego państwa; że urzeczywistnienie ich żądań jest kwestją conajwyżej lat kilku?

Jestem pewien, że nie jeden z tych czytelników zawoła w pierwszej chwili: „ależ to niemożliwe“! A gdy wreszcie oczywistość niedowierzanie jego obali, będzie się macał po mózgownicy, czując w niej bigos.

I nie dziw. Taka niespodzianka.

A jednak...

Faktem jest niezbitym, że wytrwała agitacja sufrażystek, z której do nas dobiegały jeno echa występów terorystycznych (stanowiących pośledniejszą część akcji), o słuszności ich żądań przekonała najświatlejsze w Anglji umysły. W związku z tą agitacją powstało stowarzyszenie mężczyzn, popierających równouprawnienie polityczne kobiet, a wpływy jego sięgnęły do najwyższych sfer w społeczeństwie i państwie.

Dziś, jak się rzekło, po stronie reformy stanęła większość ministrów z dzielnym Lloydem George'm na czele. A Lloyd George — to dostojnik, wpływowy przedewszystkiem z racji swej olbrzymiej popularności w narodzie. Niezliczone koła jego zwolenników nie ustają w manifestowaniu żywej dla ministra sympatji: obdarzają obywatelstwami honorowemi, po klubach wieszają portrety i wydają życiorysy, w których sławią niepospolity umysł i znajomość potrzeb kraju.

I oto ten właśnie minister Jego Królewskiej Mości, a zarazem mąż zaufania narodu, jest stanowczo za nadaniem kobietom praw politycznych. Sojusznikami zaś jego są: sir Edward Grey, lord Morley, lord Haldane, lord Beauchamp, mr. Birrel, mr. Buxton, i mr. Runeiman. Pozatem Churchill, pierwszy lord admiralicji, zgadza się na równouprawnienie kobiet, ale warunkowo. Jedynym zdeklarowanym przeciwnikiem jest sam prezydent gabinetu — Asquith.

Wobec stanowiska, zajętego obecnie przez większość ministrów, jako też wobec tego, że w lipcu r. 1911 w parlamencie 299 głosów opowiedziało się za postulatem sufrażystek, a tylko 189 przeciw—wycofany został rządowy projekt ogólnej reformy wyborczej. Artykuł I tego projektu głosił, że „w spisie wyborców każdego okręgu znajdować się mają te osoby *płci męskiej*, które“... i t. d.

Gdyby w tem brzmieniu artykuł powyższy został uchwalony, było by to odroczeniem sprawy równouprawnienia kobiet na długi szereg lat. Tego jednak nie życzą sobie najmiarodajniejsze w Anglji czynniki. To też nietylko zgłoszona została przez ministra Greya poprawka, żądająca skeślenia słów: „płci męskiej“, ale równocześnie przedstawiono Izbie 3 nowe wnioski.

Pierwszy, najradykalniejszy, zgłosił członek partji robotniczej Hendersen. Żąda on powszechnego prawa głosowania dla osób pełnoletnich obu płci. Reforma taka stworzyłaby 13 miljonów wyborczyń — więc o półtora miljona więcej, niż wynosi liczba wyborców męskich.

Drugi wniosek — radykała Dickinsona, przyznaje prawo głosowania kobietom, liczącym powyżej lat 25-u wieku i posiadającym własne (albo wspólnie z mężami) domy lub pomieszkania. Wedle tego projektu, liczba wyborczyń stanowiłaby 6 miljonów. Wniosek ten ma jedną wszakże słabą stronę. Oto reforma obowiązuje tylko w Anglji, Szkocji i Walji. Do Irlandji zaś nie ma być stosowana, zgodnie z wolą większości posłów irlandzkich. Głosując za tym projektem, irlandczycy daliby Angli to, czego sami u siebie mieć nie chą. Taka zaś ingierencja irladczyków w sprawach Anglji wywołałaby niewątpliwie bardzo silny protest.

Ale nie należy sądzić, jakoby tylko partje postępowe były za nadaniem praw politycznych kobietom. Do zadośćuczynienia żądaniom sufra-

żystek skłonna jest również część unjonistów. W ich to imieniu, przedstawił Lyttleton trzeci projekt, nadający prawo głosowania do parlamentu tym kobietom, które są już wyborczyniami do rad gminnych i powiatowych. Liczba ich dosięga 1,200,000.

Oczywiście, mimo wszystko, co się rzekło, lata jeszcze będą musiały upłynąć, nim kobiety angielskie zasiądą w Izbie gmin. Sprawa nazbyt jest złożona i w zbyt wielu punktach zawadza o najrozmaitsze instytucje żywotne, by mogła być załatwiona z dnia na dzień. Niemało zresztą ma i przeciwników jeszcze, którzy niczego nie zaniedbają, by udaremnić tę doniosłą reformę.

Idzie tu wszakże o rzecz inną. Mianowicie, o zwrócenie uwagi, jak wątpliwą wartość ma oświetlanie europejskich, kulturalnych, spraw postępu społecznego przez nasze dzienniki.

O ruchu sufrażystek—powtarzam—pisały one i piszą wciąż bardzo dużo. Z głosów tych jednak, przedstawiających sprawę, jako zasługującą tylko na płaskie szyderstwo, nikt nie mógł się domyślić, że jest to kwestja, oddawna już traktowana poważnie przez mężów najznakomitszych i szybkim krokiem zbliżająca się do rozwiązania w myśl—owych wyśmiewanych „awanturnic".

B. H.

ᐅooooooooooᐊ

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Kwiaty białe.

Jest chwila, kiedy błękit mgłą się pławi,
Gdy w równej mierze stoją blask i cienie;
Wtedy z przepaści, co się słońcem krwawi,
Spływa na obszar pól i wód milczenie.

I żaden powiew, ani czyje pióra,
Nijaka fala ciszy tej nie niesie,
Wszystko się staje tak, jak mgły tej chmura
I wszystko w srebrnym gubi się bezkresie.

Ni jakiej barwy, ni żadnego kształtu,
Wszystko opływa w nieskończoną mglistość;
Zda się, ze świata rzeczy, co się stał tu,
Wychodzi na jaw inna oczywistość.

Dusze się w uścisk bezcielesnie chylą,
Sny odrywają się od serc i błądzą,
Wieczność się staje czasu snem i chwilą,
A życie wiecznych prawd bezkreśną żądzą.

Wtedy, w te cisze jakby już pozgonne,
Na fale dziwne, świetlną mgłą nabrzmiałe,
Wschodzą, — bezbarwne, czyste i bezwonne,
W nieskończoności siane... kwiaty białe.

ooooooooooo

TEATR ZIMOWY.

(*„Dwanaście żon Jafeta."—Benefis Dyrektora J. Pawłowskiego: „Sąd" — „Żagiew"*).

Jeszcze jeden wodewil.

Ale tym razem udany, bo bezpretensjonalny i pełen humoru, wybuchającego na widowni salwami szczerego śmiechu.

Dwanaście żon Jafeta Petersona — to zamęt wesołości, ruchu, sytuacji zabawnych i groteskowych — to istny popis dla p. Dąbrowskiej, afektującej z niemałą dozą temperamentu spóźnione uczucia miłosne. —

To popis dla p. Jerzyńskiego, któremu zarówno jako aktorowi wodewilowemu, jak i ruchliwemu reżyserowi należy się rzetelna pochwała. „Dwanaście żon..." wydobyto z bibljoteki nie napróżno.

Wilno bawiło się na przedstawieniu premjerowem — bawić się też będzie na przedstawieniach następnych.

Stąd kredyt dla dyrekcji, która robi krok dość ryzykowny i wystawia nam oto „Sąd" — utwor Halicza (pseudonim kobiecy), nagrodzony na konkursie Warszawskich Teatrów Rządowych.

Nazywamy ten krok *ryzykownym*, bo dotychczas jeszcze granie u nas sztuki autora polskiego jest eksperymentem stokroć poważniejszym niż wystawienie sztuki firmy obcej; nazywamy ten krok ryzykownym, bo prócz niewielkiej ilości pisarzy en vogue, do których poza Zapolską, Krzywoszewskim, Gorczyńskim i t. d. — należy nader szczupłe grono naszych twórców dramatycznych, mało kto może się poszczycić żywszem poparciem naszej publiczności teatralnej, której snać nazbyt wiele mówi Jean, Hugo, Maurice, Gerhard, Bernard — by mogła w pełni odczuć, co na polskiej lutence zagra polskiej muzie cierpiętnik — tylko dlatego cierpiętnik, że się rodził w Polsce i... dla Polski.

Aliści „Sąd" nie upadł na pierwszem przedstawieniu. Przeciwnie. Obudził żywe zainteresowanie, polemiki, pełne zacięcia, poruszył kwestje zasadnicze — — : o istocie duszy mieszczańskiej, o istocie winy i kary, o istocie duszy polskiej kobiety, która raczej upadnie w omdlenie, nim powie miłośnie: „tak"; — która raczej poświęci się do granic... małżeństwa, lecz winy nie przebaczy — bo ma zasady, bo ma siłę i hart, bo ma w całym splendorze „das Ewigweibliche, das Keusche und Reine"... etc.

A więc „Sąd" spodobał się ogólnie, choć zastrzeżeń było coniemiara.

Zastrzeżenia te podzielamy całkowicie — najgłówniejsze sformułujemy pokrótce.

Faktura: naiwna, miejscami nazbyt kwiecista, miejscami niepotrzebnie rozpoetyzowana, co w sztuce realistycznej robi akurat tak, jak ozdobienie misterną ornamentacją przedmiotu wulgarnego.

Teza: ustawiona silnie i z dużym nerwem scenicznym, ale — — tu mamy znowu ale.

— Poco każdy z aktorów sztuki powtarza nam ją we własnem oświetleniu aż nazbyt dobitnie— do znudzenia?

Sytuacje: poszczególne z nich usposabiają nas bardzo krytycznie. —

Tak naprzykład scena *Sądu* przy obiedzie, gdzie snać chochlik sceniczny płata autorowi figle, gdyż miast wrażenia konfliktu o silnem napięciu dramatycznem — otrzymujemy efekt trochę

komiczny, trochę niewyraźny — w każdym razie chybiony.

Po tych ujemnych *ale*, wypadnie jednak powiedzieć jedno duże *ale* dodatnie: to mianowicie, że osoby sztuki nie mają znamion koncepcji papierowej, lecz robią wrażenie ludzi z krwi i kości—; to dalej, że akcja cała, choć nosi charakter programowy — zawiera w sobie pełną tężyznę i pulsację życia, jakie mają jedynie utwory naprawdę sceniczne: to wreszcie, że od początku do końca trzymani jesteśmy w naprężeniu.

Na imię temu wszystkiemu: talent, więc mimo wszystko śpieszymy go przyznać skwapliwie autorce „Sądu" — wróżąc jej przyszłości literackiej — powodzenie.

Benefisant — p. Pawłowski — dał grę dobrze obmyśloną, akcenty silne, umiar, godny poważnego i rutynowanego artysty.

Rolę Jana należy mu zaliczyć do najlepszych w jego repertuarze.

Przyjmowano benefisanta gorąco, darząc żywem kwieciem i szeregiem realniejszych dowodów uznania dla jego zdolności i energji.

Szczera pochwała należy się dalej p. Czarnowskiemu; dobrze grali pp. Borawski, Skąpski, Szarkowski, Bielicz.

Momenty dobre miała p. Millerowa; p. Czechowska była szczerą i sympatyczną Dosią; p. Mostowskiej należy się pochwała za rolę Jadwigi — chociaż wyznamy, że rola zagrana mniej refleksyjnie, a więcej dramatycznie, mogłaby zarysować się plastyczniej.

Dodamy wreszcie kilka słów o epizodzie, który p. Rommówna zabarwiła szczerością i uczuciem: nieco zagadkowa postać Ady Demel miała w interpretacji młodej artystki urok prawdziwego, ładnego sentymentu.

— — — — — — — — — — — —

Grana ostatnia sztuka Kistemaeckersa „Żagiew" — należy niewątpliwie do utworów, które mogą pociągnąć szerszą publiczność interesującą fabułą, splotem intrygi miłosnej i tajemniczością afery szpiegowskiej, którą notorycznie inspirowany pan Juljusz Glogan (p. Strycharski) stara się uwieńczyć pomyślnym skutkiem pod gościnnym dachem pałacu baronostwa Stettin.

„Żagiew" — („Szpieg") — graną była nie bez zarzutu.

Wyborna była p. Arkawinówna. Dobra w epizodzie p. Czaplicka; dobrzy byli panowie: Strycharski, Klimontowicz, Kiernicki, Cornobis.

Natomiast p. Knake - Zawadzki zawiódł tym razem nasze oczekiwania: traktujemy to w sposób raczej przypadkowy, bo z roli tej, bezwarunkowo nader efektownej, potrafiłby wydobyć znacznie więcej — — nie wątpimy.

Nie był również dobrym p. Norski.

Co do p. Wojciechowskiej, Elkorn—i p. Węgierki — sądzimy, iż obsadzono ich zupełnie nieodpowiednio.

Zarzut ten skierowujemy pod adresem reżyserji, której skądinąd sztuka mogła dać pole do prawdziwego popisu.

Zdzisław Kleszczyński.

⊳oooooooooo⊲

Na cele społeczne.

Kiedy wokół rozlegają się społeczne zgrzyty, mnożą się życiowe bankructwa, uboży się moralnie naród, kiedy ziemię rodzinną oddaje się dobrowolnie w ręce obce, a grosz odziedziczony rozrzuca się na hulankę i swawolę, pozagrobowy dochodzi nas głos.

Niedawno odszedł w wieczność jeden z najstarszych weteranów, człowiek cichy, czysty, sprawiedliwy, gorącego serca i szlachetnej duszy, który, jakby chcąc odwrócić oczy nasze od marnotrawionego przez nas życia, cały swój dorobek przekazał społeczeństwu—swojemu.

Tym czcigodnym mężem był znany Wilnu całemu ś. p. B. Rusiecki.

Oto, w krótkiem streszczeniu testament Jego.

1) 5.000 rs. w listach zastawnych, przeznaczone zostały Tow. Dobroczynności w Wilnie z tem, że—

a) % od 2,000 rs. idą na ulepszenie pokarmu dla pensjonarzy T-wa po nad summy budżetowe,

b) % od 3,000 rs. Tow. Dobr. powinno wydawać corocznie trzem rzemieślnikom na założenie własnego warsztatu.

2) 2,000 rs. w listach zastaw. T-wu Opieki nad dziećmi.

3) 2,000 rs. w listach zastaw. T-wu Opieki nad chorymi pod wezwaniem Św. Józefa, na przytułek dla nieuleczalnych.

4) 3,000 rs. w list. zast. na Wileńskie Rzymsko-Katolickie Seminarjum. — na utrzymanie alumna — polaka.

5) 2,000 rs. w list. zast. T-wu Ojców Zmartwychwstańców w Krakowie, na misje katolickie.

6) 1,500 rs. w list. zast. 3-m kościołom: Juchnowieckiemu, Zabłudowskiemu i Białostockiemu.

7) 10,000 rs. w list. zast. T-wu Przyjaciół Nauk w Wilnie, na ukonczenie budowy gmachu. Temuż T-wu zapisane zostały wszystkie obrazy, sztychy, rzeźby i inne mające jakąkolwiek wartość artystyczną przedmioty.

8) 2,000 rs. w list. zast. T-wu „Powściągliwość i Praca".

9) 2,000 rs. w listach zast. na dom Serca Jezusowego.

10) Reszta funduszu po wypłaceniu legatów osobom prywatnym i instytucjom, przechodzi na własność T-wa popierania pracy społecznej im. Józefa i Stanisława Montwiłłów. Reszta ta wyniesie około 90,000 rs.

Razem więc legaty na instytucje społeczne, sięgają prawie cyfry 120,000 rs.

Ekzekutorem testamentu jest p. Feliks Zawadzki.

Cześć pamięci zmarłego obywatela kraju.

Stefan Okulicz.

⊳oooooooooo⊲

Nowa placówka.

„Kurjer Litewski" zamieścił już szczegółową informację o powstaniu w Wilnie nowej doniosłej placówki kulturalnej, mianowicie „Towarzystwa bibljoteki publicznej imienia Eustachego i Emilji Wróblewskich".

Twórcą tej instytucji jest znany adwokat i działacz społeczny p. Tadeusz Wróblewski, który przekazał T-wu wszystkie swe zbiory, gromadzone z wiel-

kim nakładem pracy i środków. Składają się one z bibljoteki, liczącej około 65.000 tomów, około 3.000 rycin, przeszło 1.000 map. i t. p., z archiwum, obejmującego ok. 5.000 rękopisów i przeszło 10.000 aktów, dokumentów, listów i autografów, z kolekcji godeł, pieczęci i dokumentów masońskich oraz z niewielkiej, lecz cennej galerji obrazów i rzeźb.

Wszystkie te zbiory mieszczą się w mieszkaniu prywatnem ich dotychczasowego właściciela. W celu umożliwienia korzystania z nich publiczności ma stanąć specjalny gmach na placu ofiarowanym przez fundatora. Nadto p. Wróblewski przeznaczył na rzecz budowy 40.000 rubli w gotówce.

Tak więc właściwie nowe Towarzystwo przychodzi do gotowego. Obejmuje ono w posiadanie i zarząd magnacki dar, jak na nasze stosunki — zgoła wyjątkowy.

Społeczeństwo nasze będzie mogło korzystać z bogatej instytucji, nie łożąc jednocześnie na nią żadnych kosztów. Jakie wyrazić ono zdoła swą wdzięczność hojnemu ofiarodawcy?

Należy mieć na widoku dalszą perspektywę.

Na razie opieka założyciela i szczupłego grona członków T-wa (liczba tych jest ograniczona i nie może przekroczyć cyfry 99) niewątpliwie zapewni bibljotece spokojny byt i normalne funkcjonowanie. Wobec jednak zamkniętego charakteru Towarzystwa budzi się obawa, jaki los ją spotka w odległej przyszłości.

Bibljoteka jest organizmem żywym i nie może pozostawać w tym samym stanie, jak przy swych narodzinach. Potrzebuje ona wciąż nowego dopływu soków żywotnych w postaci książek i pism. Inaczej staje się zabytkiem muzealnym, mającym bardzo poślednie znaczenie kulturalne. Uzupełnianie zaś księgozbioru z uwzględnieniem chociażby najważniejszych istniejących w niej działów, wymaga ogromnych środków pieniężnych.

Budowa i urządzenie gmachu pochłonie prawdopodobnie wszystkie zasoby, jakiemi Towarzystwo obecnie, na mocy aktu donacyjnego założyciela, — rozporządza. Przypuśćmy, że wpłynie jeszcze jakaś znaczniejsza suma. Odsetki z niej może wystarczą na utrzymanie instytucji t. j. gmachu i personelu ją obsługującego. Na zakup nowych książek, prenumeratę pism, oprawę etc. potrzeba będzie pieniędzy i to niemałych. Skąd się one mają wziąść. skoro Towarzystwo nie może rachować, wzorem innych, nawet w zasadzie, na swój rozrost i ewentualny dopływ składek członkowskich?

Nie myślimy bynajmniej krytykować intencji fundatora. Miał widocznie poważne powody po temu, by ograniczyć liczbę członków i nie oddawać instytucji na łaskę i niełaskę społeczeństwa. Wyposażył ją hojnie i założył mocne podwaliny.

Mimo jednak swego charakteru zamkniętego bibljoteka im. Wróblewskich nie przestaje być instytucją społeczną. Społeczeństwo też powinno o niej pamiętać.

W jaki sposób?

Jedyną formą odpowiednią może tu być zwiększenie kapitału żelaznego, tak aby odsetki wystarczały nie tylko na utrzymanie bibljoteki, ale i na pomnażanie księgozbioru. O drobnych ofiarach mowy w danym wypadku być nie może. Lecz większe pojedyńcze zapisy i legaty nie należą wszakże do niemożliwości. Zmarły świeżo Bolesław Rusiecki wskazał drogę, która powinna znaleść niejednego naśladowcę.

Słyszeć się dają głosy, że nowo założona instytucja wytworzy niepotrzebną konkurencję istniejącemu już dawniej Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Czyżby jednak Wilno nie było godne posiadać dwuch instytucji kulturalnych o charakterze pokrewnym? Wilno, stolica kraju, z tradycjami uniwersytetu i takiemiż aspiracjami? Nie rywalizować ze sobą będą dwie książnice, lecz wzajemnie się uzupełniać. Dla pracowników na polu nauki i literatury stanowić to będzie niezmierne ułatwienie.

a.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Andrzej Strug. *Portret.* (powieść) str. 266. Warszawa (bez daty) wydaw. spółki nakładowej „Książka" E. Wende i S-ka.

Jeszcze jedna krwawa, z wnętrza serca ludzkiego wyrwana książka! Książki takie są rzadkością. Nie chodzi w nich o tę czy inną fabułę, o ten czy inny zatarg psychologiczny, lecz o bezpośredni rachunek sumienia ludzkiego. Patrzą wytężone oczy w rzeczywistość i nie znajdują w niej dla siebie oparcia. W bezkresie tonie wejrzenie ludzkie, szaleje z samotnej swojej świadomości umysł, kurczy się i niemieje dusza.

Siewierski ukochał przesłodką grę kolorów, ukochał słońca djonizejskie, słaniające się po jego palecie, aż oto zrodziła się w jego sercu zachłanna miłość dla okropnej, niszczącej Kory, rewolucji. Ach, jak pragnąłby znaleść most porozumienia między swoim a jej światem! Lecz te dwa przeciwległe bieguny nie mogą się spotkać ze sobą. We Francji, w Anglji — rzeczy takie są możliwe. W życiu polskiem kto ukochał ideję rewolucji, wyrzekł się tem samem radości, wyrzekł się słońca. Zejść musi on do ponurych podziemi na zatracenie, użyźnienie kośćmi swojemi pola, z którego kiedyś dopiero zrodzą się bujne plony.

Okropna jest ta rzeczywistość polska. Trudno się z nią pogodzić, ale cóż zrobić, trzeba ją widzieć tak, jak ukazuje się naszemu oku.

Chciałby pogodzić świat swój Siewierski z ukochaniami Kory, lecz próżny trud. Oddała się życiem swojem radosnej a ponurej idei, musi więc umrzeć.

Odczytał Siewierski w dziennikach wiadomość o jej śmierci bohaterskiej i zapadł w głęboką zadumę. Chciałby choć w marzeniu odnaleść wspólne podłoże, wspólny fundament. Głębiny jednak odszukania takiej podstawy są zawrotne. Nawet marzenie nie zawsze sprostać może takim zadaniom. Na skrzydłach artystycznych swoich wizji wzlata ponad domówstwa ludzkie, a szare, błotne niziny wołają o swoje prawa. Dyktują one żelazne kategorje dla przyszłości, budują ją w trudzie i mozole.

Dla stroskanego serca są one tajemnicą. Gdzie spojrzeć bowiem usuwa się grunt pod nogami. Ludzie kłócą się o ten lub inny drobiazg, a nie widzą, że zanika polskość nasza. Wyraża ciągle przepaść między słonecznym światem marzenia, a światem rzeczywistości. Życie nie daje podstaw żadnych do marzeń, co więcej obdziera nas ze wszystkich złud. A serce artysty pełne jest przecież legiend o Walgierzu Udałym!

Świadomość tej przepaści wprawiła w obłęd Siewierskiego. Zwarjował on, gdy spojrzał w oczy cudu, który stworzył, w oczy portretu, który wymalował.

Gdyby mógł znaleść jakie takie ukojenie w rzeczywistości—malowałby dalej spokojnie swoje arcydzieła. Ale ukojenia niema! Życie polskie

otwiera coraz to większe przepaści przed świadomością naszą.

Kto w taką przepaść patrzył choć przez chwilą, nosi na sobie stygmat tragiedji, jaka omotała mózg Wyśpiańskiego i prześladowała go aż do grobu. Strug podjął znów pracę nad budowaniem hartu dla dusz, by przetrwały te lata okropnej męczarni, bo może nigdy jeszcze nie staliśmy tak nad brzegiem kontradykcji w życiu zbiorowem, jak obecnie. Nawet ludzie o lotach orlich nie widzą wyjścia z tego smutnego chaosu.

Siewierski zwarjował, bo nie znalazł drogi realnej w przyszłość, bo nic mu nie wróżyło pewności, że kiedys hymn zdobywczy przerodzi się z zatracenia w pieśń radości i wesela.

Nowa powieść Struga dorzuca znów gromadę pereł szacownych do skarbca naszej literatury. „Ojcowie nasi“ rozkwiliły w nas wszystkie struny uczuciowości, obudziły Irydjonowe loty, ale „Portret“ woła nas znów do porządku i trzeźwi.

Niektórzy krytycy zastanawiali się szczegółowo nad stosunkiem—Siewierskiego do pani Narcyzy, doktora Krysztalewicza oraz całej bandy malarzy. Analiza taka nie jest bezwartościowa, ale trzeba się liczyć z faktem, że „Portret“ nie jest powieścią rodzajową, lecz głęboką refleksją artysty nad rzeczywistością naszą.

Gdy jedzie on do Paryża do znachorów, by wywołali mu cień Kory, to przecież nie po to, żeby czytelnik dowiedział się o paryskich wróżbitach i szarlatanach. Chodzi tu o roznoszenie nędzy naszej po stolicach świata, chodzi o te niedostojne umizgi do różnych politycznych cudotwórców, co to sprawą polską zajmują się, jak ekstrawagancją.

Wogóle powieść ta powinna być czytana nie jak „prawdziwe zdarzenie“ z kroniki kurjerkowej, lecz jak bolesny skurcz jasnowidzenia o życiu naszem spółczesnem. Kto ją inaczej chce czytać—nie wiele odczyta.

Ale przeczytać powinien każdy...

T. Jaroszyński. *Za wieku starego.* (powieść) str. 223. Warszawa 1913. Skład. główn. Centnerszwer i S-ka.

Zwyczaje miasta polskiego podał Jaroszyński w barwnej i bogatej swojej opowieści. Opisał przygody imcipana Trzaski podpisarza krakowskiego, który „gesta sądu karnego do księgi nadobnie wpisać był powołan“.

Ten to Trzaska odwieczerza pewnego został porwany przez zbirów jakiegoś jegomości magnata i odwieziony na prześwietny zamek. Tu ożeniono go; nie wiedział kiedy i za co wtrącono do lochu na długie rekolekcje. Za żonkę dano mu nadobną Kasię, ale trzymano ją od niego daleko zasię.

Perypetje miłosne Kasi są nadzwyczaj zajmujące. Była nadobną wnuką jakiegoś lwowskiego kupca, zadurzyła się w jakimś chłystku, poszła za nim z domu, on zaś przegrał ją w kości. Wydano ją wreszcie na pośmiewisko za mąż za cherlawego pisarczynę.

Żałośny koniec jest tej fantastycznej, jakgdyby z kronik za czasów rządów Bony, wypisanej anegdoty. Zwidziało się cnym ludziskom, że małżonka Trzaskowa trzyma z djabłami, a więc z tumultem i krzykiem napadli na dom ich ciury. Trzaska broniąc swoją połowicę, łeb uciął Jorgowi Szylingowi, który to „kat był na białogłowy okrutny, ile że mówią doma rogal wierutny.“

Za głowę to tego Jorga miał dać Trzaska gardło, ale go sobie na pomocnika wyprosił magister justitiae vulgo kat. Kasia zaś, podobno, uciekła z malarczykiem jakimś w świat szeroki. Nie jest to jednak pewne, bo inni mówią, że na miotle pojechała, jak Twardowski.

Zresztą jest to zupełnie obojętne, co się z nią stało. Dosyć że przez czas całej swojej obecności w opowieści Jaroszyńskiego służy ona doskonale za pyszny ekran, na którym wymalowano dosadnie i mistrzowsko zwyczaje panujące za wieku Jagiellonów.

Szereg plastycznych typów uzupełnia świetny w swoim rodzaju obraz obyczajowy epoki. Język archaizowany szczęśliwie, nawet faktura powieści umyślnie przeprowadzona w sposób kronikarski.

Powieść Jaroszyńskiego godna jest ze wszech miar, by ją przeczytano. W literaturze powieściowej ostatnich kilku lat zajmuje miejsce poczesne.

Eustachy Czekalski.

⊳ooooooooo⊲

PRASA POLSKA.

— Bardzo rozumne uwagi wypowiada p. K. Srokowski w ostatnim numerze „Krytyki“ na temat aktualnej obecnie w Królestwie kwestji żydowskiej.

„Obserwacja życia i historja uczą dowodnie, że wszelkie „antyizmy“ rasowe, narodowe i religijne towarzyszą stale epokom upadku wewnętrznego, zastoju i rozstroju. W okresach wzrostu i rozwoju, kiedy pnie się wszystko do góry śmiało i silnie, kiedy naród w swych tkankach czuje radosny nadmiar siły życiowej i twórczej, nie ma on poprostu ani czasu ani potrzeby zajmować się swoimi wrogami wewnętrznymi, których obecności nie odczuwa nawet. Otwiera się przed nim takie pole szerokie a puste niezniszczonych możliwości twórczych, widzi on przed sobą tyle zadań, piętrzących się coraz wyżej i wyżej, że za s p ó ł p r a c o w n i k a m i ogląda się i zwołuje ich do siebie, a nie wypatruje ze strachem rywali.

Ale mija okres siły i zdrowia. Nadchodzi słabość, bezsiła i choroba. Naród jak chory. Instynktownie zaczyna szukać przyczyny tego niedomagania swojego i znalazłszy coś niepodobnego do siebie, które pretenduje na indywidualne istnienie, woła radośnie: A tuś mi! I dusić próbuje to coś innego, nie pomny, że resztę sił zużywa na coś, co go jeszcze bardziej osłabi“.

Nacjonalizm wszelki, pojmowany jako egoistyczna ekskluzywność i nietolerancja i zawiść i nienawiść, nie jest niczem jak tylko tym nadmiernym egoizmem chorego, który bole swoje i braki chce uczynić osią świata nieledwie. I nie łudźmy się tem, że w idejologji wszelkiego nacjonalizmu kult siły narodowej zajmuje tak wielkie miejsce. Przesadność tego kultu i sprzeczność, w jakiej z reguły pozostaje on z rzeczywistością, dowodzi właśnie, że jest on znamieniem i skutkiem słabości. Człowiek silny nie obmacuje co chwila swoich bicepsów i nie powtarza sobie po cichu lub głośno: jestem silny, chcę być silnym, muszę być silnym. On poprostu jest silnym i basta. A oznaką tej siły jest przedewszystkiem to, że nie ma on co do niej żadnej wątpliwości.

Autor czyni, między innemi, trafną uwagę, że żydzi mieszkają w Polsce od lat przeszło sześciuset. W ciągu tego czasu naród polski wnosił się nieraz bardzo wysoko i osiągał bardzo górne poziomy rozwoju politycznego i kulturalnego. Dlaczegóż wówczas żydzi nie stali temu na przeszkodzie? Nawet w okresie upadku politycznego ileż to razy żydzi przeszkodzili w dokonaniu czynu, gdy sami polacy mieli odwagę?

„Przeciwnie przykład przebiegu tak zwanej „rewolucji moralnej“, która poprzedziła wybuch styczniowy

uczy, że właśnie w okresie największego podniesienia się ducha narodowego symbioza z żydami zacieśniała się do stopnia niemal nieprawdopodobnego. Wszak był to czas, kiedy żydzi chodzili w procesjach kościelnych. kiedy do kościołów znosili dary i kiedy polacy naodwrót okazywali szacunek głęboki dla Beerów Majzelsów i innych nadrabinów. Cóż to stało się, że dzisiaj synowie tych samych żydów a może nawet i niektórzy z nich samych nazywają orła polskiego „kaczką" i z nienawiścią spoglądają na każdy niemal objaw polskiego życia narodowego?

Zapewne zmieniły się żydzi. Ale czy tylko oni. Czy to tętno życia narodowego naszego, czy jego polot i kierunek nie uległy także jakiejś bardzo zasadniczej zmianie? Czy to życie nasze narodowe reprezentują i ucieleśniają w sobie ci sami idealiści, marzyciele, zapewne szaleńcy nawet, ale o ileż w gruncie rzeczy mądrzejsi od dzisiejszych „nowoczesnych polaków" i egoistów narodowych, którzy kandydując w Warszawie prawią wiele o potrzebie kłów i pazurów, a pojechawszy do Petersburga, nie drapią bynajmniej i nie gryzą, ale— całują się z Bobrynskimi i na wyścigi z Puryszkiewiczami kontyngienty rekrutów uchwalają.

Może być, że ta ideja nasza narodowa w dzisiejszej jej aż nazbyt powszechnej interpretacji i rozumieniu utraciła zbyt wiele ze swej siły przyciągającej, być może, że między słowami a czynami potworzyły się próżnie zbyt wielkie i bylejakiem gałgaństwem wypełnione, aby masy z tradycji i życia obce, odpychane, pogardzone, przedewszystkiem zaś w takiem pojmowaniu idei narodowej bezpośrednio nieinteresowane, zagrzać, porwać i przyciągnąć"...

Czy nie myli się tylko p. Srokowski, przypuszczając, że obecny prąd antysemicki skierowany jest przeciwko „litwakom" i żydom nacjonalistom? Ostatnie zajścia i głosy prasy warszawskiej wskazują, że z niemniejszą zaciekłością antysemityzm atakuje żydów—asymilatorów, że właśnie dąży do tego, aby odstręczyć masy żydowskie od kultury polskiej, zagrodzić im dostęp do niej, uchronić naród polski od dopływu sił, rasowo obcych.

„Zginął duch starej kultury szlacheckiej, duch zaś nowej kultury demokratycznej, mieszczańskiej jeszcze się nie ukształtował i stroi się w błyszczące strzępy wspaniałej szaty, która nie na jego miarę była skrojona. Dlatego też wygląda jak subjekt w sklepie bławatnym ze skrzydłami husarskiemi na plecach i z lancą straszliwą pod pachą"...

Ta dziwaczna mieszanina budzi właśnie ów niesmak, któremu trudno się oprzeć, gdy się patrzy na histeryczne objawy walki z żydami w Królestwie.

oooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Przesilenie, przeżywane od paru miesięcy przez Europę, ma tę cechę charakterystyczną, że każde zachwianie chwilowych i niezawsze usprawiedliwionych fal optymizmu, wywołuje przez reakcję natychmiast obawy paniczne. Tak samo stało się i teraz. Panika, jaka ogarnęła całą Europę, nie byłaby tak bezwzględna, gdyby nie poprzedzał jej parotygodniowy okres optymizmu, do którego nic podstaw nie dawało.

Sytuacja chwilowa jest w samej rzeczy ciężka i niebezpieczna, ale nie składają się na nią żadne nowe fakty, nie spowodowały jej żadne zwroty nieoczekiwane, żadne zmiany w ustosunkowaniu sił politycznych Europy. Poprostu Europa zbliża się do momentu, w którym wypadnie rozstrzygnąć kwestje, oddawna nakreślone przez bieg wypadków. Na nadejście tego momentu należało być przygotowanym od chwili, kiedy przesilenie bałkańskie, ogarnęło owe olbrzymie kręgi.

Niebezpieczeństwo koncentruje się w trzech punktach, z których dwa pierwsze łączą się organicznie. Kwestja albańska, czyli walka o wpływy na Zachodzie bałkańskim i kwestja zatargu rumuńsko-bułgarskiego, pozostają w dalszym ciągu narzędziem. które służą Austro-Węgrom do utrwalenia swych prerogatyw ekonomicznych i politycznych na półwyspie, po dokonanym tam przewrocie, niekorzystnym z punktu widzenia Wiednia. Główne niebezpieczeństwo Austro-Węgry przewidują ze strony Rosji, która z natury rzeczy patrzyć musi na przewrót bałkański w sposób wręcz przeciwny.

Ostatnim z trzech wspomnianych punktów są Dardanele, które, sądząc z ostatnich depesz, w krótkim czasie wywołać mogą nowe i groźniejsze jeszcze niebezpieczeństwo.

Najbardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo tkwi w zatargu rumuńsko-bułgarskim, który drogą znanych już inspiracji, dojrzał dostatecznie, aby w każdej chwili móc wywołać konflikt zbrojny. Wybuch wojny między Rumunją a Bułgarją bynajmniej nie jest uzależniony od rokowań, prowadzonych zresztą przez ks. Ghikę, w duchu bardzo pojednawczym. O wojnie, lub pokoju decydować będzie skłonienie się orjentacji politycznej Rumunji ku Austrji, lub ku związkowi bałkańskiemu. Wahają się jeszcze w Bukareszcie dwa prądy, a zwycięstwo jednego, lub drugiego jest całkowicie w rękach Wiednia. Dlatego też naiwnością byłoby przypuszczać, że zatarg rumuńsko-bułgarski może być rozstrzygnięty przez sąd rozjemczy w Hadze, skoro samo jego rozstrzygnięcie mogłoby nastąpić z łatwością na drodze obecnie prowadzonych rokowań.

Powyższe wyjaśnienia wyraźnie wskazują, jak ściśle łączy się zatarg rumuńsko-bułgarski z kwestją albańską, również uzależnioną od dobrej woli Austrji. Austrja musi poprzestać na swem zwycięstwie dyplomatycznem w sprawie dostępu Serbji do Adrjatyku, lub też musi uznać, że utrwalenie jej wpływów na Zachodzie bałkańskim wymaga bezwzględnie nowych jeszcze podstaw.

W chwili obecnej dyplomacja austro-węgierska skłania się raczej ku drugiemu z tych poglądów i zdradza bardzo małe zaufanie do konferencji ambasadorów, mającej rzekomo znaleść kompromis w sprawie Albanji niezależnej. Wpływowe organy prasy wiedeńskiej i peszteńskiej wszczęły energiczną kampanję przeciw konferencji ambasadorów, usiłującą zdyskredytować pracę „sześciu palaczów cygar". Ta kampanja wskazuje. jak mało opinja Austro-Węgier wierzy w możliwość znalezienia kompromisu w kwesji albańskiej, którą z podobną bezwzględnością traktują też niektóre sfery społeczeństwa rosyjskiego.

oooooooooo

KRONIKA.

= Wystąpienie Koła Polskiego.

Korespondent petersburski „Kurjera Porannego" telegrafuje:

„Koło Polskie poselskie nazywa potwarzą wiadomość o propagandzie przeciwkorosyjskiej w Królestwie Polskiem na wypadek wojny.

Posłowie polscy oburzeni są na ową potwarz i twierdzą, że wiadomości lwowskiej nic w Królestwie nie usprawiedliwia. Na całym terenie Polski, znajdującym się w obrębie państwa Rosyjskiego, o niczem podobnem nie myślą.

— Polacy doskonale rozumieją - twierdzą posłowie polscy—że pierwszą ofiarą na wypadek wojny stałaby się Polska w obrębie państwa Rosyjskiego".

Wiadomość powyższa wymaga ścisłego sprawdzenia.

= **W Tow. Kultury Polskiej.**

Przed kilku dniami odbyło się powtórne zebranie członków T-wa Kultury Polskiej w Warszawie. Tym razem wnioski centrali uzyskały większość. Przemówienia mówców obracały się w toku argumentów znanych już i stwierdzonych ze stron obu. Opozycja zaprotestowała tylko silnie przeciw narzucaniu jej niepolskiego stanowiska.

Do Zarządu zostali obrani Aleksander Świętochowski, Janina Bemówna, Władysław Chrzanowski, Stefan Mierzejewski, Stefan Perzyński, Marjan Grotowski, Wacław Łypacewicz, Klemens Pawlikowski, Władysław Grabowski, Jan Baliński, Lucjan Orłowski i Kazimierz Życki.

Wniosek złożenia hołdu Świątochowskiemu przyjęto przez aklamację.

= **Konfiskata „Marji Magdaleny".**

Dzienniki krakowskie donoszą, że powieść G. Daniłowskiego p. t. „Marja Magdalena", która wyszła z druku nakładem wydawniczej spółki „Książka" w Krakowie, została przez władze austrjackie skonfiskowana. Autor osnuł tę powieść na tle ewangielji. Kreśli on obraz zmysłowości i rozwiązłych obyczajów upadającego świata starożytnego i odbijającą od tego tła postać Chrystusa, oraz jego naukę miłości idealnej i czystości. Fabułę stanowi nawrócenie się jawnogrzesznicy Marji Magdaleny. Niektóre części tej powieści, drukowane poprzednio w różnych pismach, częściowo skonfiskowano, ale wskutek interwencji posła Regera konfiskatę zniesiono i ustępy inkryminowane weszły do wydania książkowego w całości. Obecnie prokuratorja krakowska zarządziła konfiskatę całej powieści z powodu innych, dotychczas drukiem jeszcze nie ogłoszonych ustępów, opisujących obyczaje świata pogańskiego. Sąd krakowski konfiskatę zatwierdził.

Fragment „Marji Magdaleny" był drukowany w naszem piśmie, w zeszłym roku.

= **Instytut handlowy w Mińsku Litewskim.**

Sprawa założenia instytutu handlowego w Mińsku litewskim posunęła się naprzód. Zarząd miejski wyasygnował na ten cel 20 tysięcy rubli, komitet zaś giełdowy wraz z zgromadzeniem kupiectwa mińskiego—30 tysięcy.

Przedstawiciele giełdy czynili w tej sprawie starania w ministerjum handlu. Możliwe jest uzyskanie pozwolenia na założenie instytutu z prawem przyjmowania żydów bez ograniczeń. W tym wypadku osoby, kończące instytut, nie otrzymywałyby praw, jakie daje ukończenie wyższego zakładu naukowego.

= **Echa sprawy mecenasa Patka.**

Dnia 28 stycznia w moskiewskiem towarzystwie prawniczem adw Zarudnyj z Petersburga wygłosił referat na temat „Tajemnica adwokacka".

Referent podkreślił ostatnią decyzję senatu w znanej sprawie mec. Patka. Sprawa ta jest jednym z tragicznych przejawów spółczesnej Temidy rosyjskiej i, zdaniem referenta wszyscy, którym drogą jest ideja prawa winni wszelkiemi siłami walczyć z podobnem niesłychanem deptaniem prawa.

Zebranie jednogłośnie uchwaliło wysłać następującą depeszę do mec. Patka:

„Towarzystwo prawnicze moskiewskie, wysłuchawszy referatu Zarudnego „Tajemnica adwokacka", śle Panu wyrazy głębokiego szacunku dla Pańskiej działalności adwokackiej, wyrażając przekonanie, że Pan powróci do szeregów adwokatury, w której zasłużenie zajmował Pan miejsce honorowe".

= **Statystyka kar prasowych.**

W styczniu r. b. skazano 30 wydawnictw na kary pieniężne przez władze administracyjne. Ogólna suma tych kar wynosi 9 tys rubli. Na mocy wyroków sądowych skazano na kary pieniężne 5 pism.

Areszt nałożono na 35 wydawnictw, sprawy sądowe wytoczono 20 redaktorom. 3-ch redaktorów skazano w drodze administracyjnej na 3 miesiące aresztu bez zamiany na grzywnę.

= **Projekt ustawy prasowej.**

„Riecz" donosi, że zasady projektu ustawy prasowej nie są jeszcze ustalone. Nowy minister spraw wewnętrznych uznaje za rzecz niezbędną opracowanie środków w tym celu, żeby konfiskaty numerów pism, w których zarząd do spraw prasowych dopatrzy się cech przestępstwa, było dokonywane we właściwym czasie i nie miały charakteru fikcyjnego. Stąd powstał projekt, by pisma przed wydaniem numeru przesyłały odbitki korektowe treści numeru.

Ponieważ myśl ta nie zyskała aprobaty większości Dumy, przeto ministerjum zbiera obecnie informacje, jaki wpyw może wywrzeć żądanie przedstawiania odbitek korektowych zarządowi do spraw prasowych, na opóźnianie wydawania pism.

= **Fatalny debiut.**

W Kijowie ukazał się pierwszy numer pisma robotniczego „Gołos Truda".

Z rozporządzenia gubernatora redaktora tego pisma, Swirskiego skazano na trzy miesiące więzienia bez zamiany na karę pieniężną, numer dany skonfiskowano, a redaktor odpowiadać będzie przed sądem za wszystkie artykuły, jakie dostały się do numeru.

= **Sprawy finlandzkie.**

Po całym szeregu projektów, z których niejedne są już urzeczywistnione, a zmierzających do zjednoczenia Finlandji z Cesarstwem, zamierzone jest teraz zniesienie granicy celnej pomiędzy Cesarstwem a Finlandją. Projekt ten atoli napotyka przeszkody natury poważniejszej, albowiem jego urzeczywistnienie wywołałoby przewrót w dziedzinie eksportu finladzkiego i odbiłoby się niekorzystnie na handlu rosyjsko-finlandzkim.

Wobec tego uchwalono odroczyć na czas nieokreślony posiedzenia komisji, która miała opracować przepisy o przeprowadzeniu unji celnej

Kwestja ta będzie poruszona dopiero przy ogólnej rewizji ustawy taryfowej rosyjskiej.

Książki nadesłane do redakcji.

„Muzy". Bibljoteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza:

Piotra Skargi: *„Kazania i pisma co najprzedniejsze"*. Wybrał. objaśnił i wstępem opatrzył Wiktor Gomulicki. Cena rb. 1.15.

August de Villiers de l'Isle Adam: *„Wybór nowel"*. W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza. Cena 90 kop.

Ernest Renan: *„Djalogi i fragmenty filozoficzne"*. Przekład i słowo wstępne Grzegorza Glassa. Cena 75 k.

Sprostowanie.

Do artykułu: „Rajmund Poincaré" w № 4 wkradły się błędy, które niniejszem prostujemy:

Str. 8 wiersz 19 od dołu zamiast—kłaniać—powinno być *kłamać.* Str. 9 wiersz 4 od góry zamiast—przecież—powinno być *Trzeciej.*

Treść numeru.

Suum cuique. — L. A.
Sprawa polska w prasie angielskiej. — Dr. K. Wrzos.
Nad Wartą. — J. S.
Arystydes Briand. — St. Posner.
Sufrażystki angielskie. — B. H.
Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbicki.
Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.
Na cele społeczne. — S. Okulicz.
Nowa placówka. — a.
Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski.
Prasa polska. Na Widnokręgu. Kronika.
Odcinek: „Piotr Buza". — Z. Tyski.



Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ“, Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 16 Lutego (1 Marca) 1913 r. № 7.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie - 7.00
Półrocznie - 3.50
Kwartalnie - 1 75
Miesięcznie - 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie - 8.—
Półrocznie - 4.00
Kwartalnie - 2.00
Miesięcznie - 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu - 50 k.
W tekście (nadesłane) - 1 rb.
Po tekście - 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Administracja „Przeglądu Wileńskiego“ posiada na składzie ograniczoną ilość kompletów pisma za rok ubiegły, po cenie 4 rb. za rocznik (bez przesyłki pocztowej).

Wzbierająca fala.

Trudno wymagać, aby cały naród składał się z ludzi oddanych idei, gardzących życiem powszedniem, gotowych do najwyższych poświęceń, bohaterów...

Stosowanie tak wysokiej miary do społeczeństwa dowodziłoby zupełnego zaniku poczucia rzeczywistości, naiwnej nieznajomości życia.

Natura ludzka bynajmniej nie uprawnia do takich iluzji; jednostki tylko mogą wspinać się po stromych ścieżkach, prowadzących do królestwa Ducha. Tylko wybrańcy, wodzowie orlim wzrokiem przebijają gęstą mgłę wyziewów, któremi bucha tłuszcza ludzka i śmiało wzrok swój kierują ku oślepiającym słońcom. Za nimi zdąża garstka wiernych, co szukają ujścia dla swych tęsknot i marzeń, co się dławią w pospolitości zabiegów i trosk przyziemnych.

Ta elita, ta najlepsza cząstka społeczeństwa, odosobniona zwykle i nierozumiana przez tłum, pełni służbę kapłańską przed ołtarzem ideału, strzegąc pilnie, by nie zagasło promieniotwórcze ognisko.

Bo, mimo całą swą obojętność i zasklepienie, ogół wchłania w siebie te promienie i podlega ich dobroczynnemu działaniu. Mniej lub więcej,—w zależności od chwili i panujących nastrojów.

W najnowszej historji narodu polskiego najsilniejszym był wpływ czynników idealistycznych w okresie romantyzmu. Społeczeństwo, narodowo uświadomione, składało się wówczas niemal wyłącznie ze szlachty, stanowiło jakby jedną wielką rodzinę. W najszczytniejszych tradycjach kultury szlacheckiej brzmiał stale ton rycerski, porywów i bezinteresownego poświęcenia, cechowały je szeroki giest i bunt przeciwko więzom, wytwarzanym przez ewolucję dziejową.

Gdy na tych strunach zagrały pieśń bojową dłonie mistrzowskie, zadrgały niemal unisono, zlewając się w jeden potężny głos uniesienia, budząc dalekie echa.

A gdy już nawet mistrzów nie stało, pod uderzeniami ich uczniów jeszcze długo struny drżały, aż popękały w rozpaczliwym akordzie...

Nadszedł okres pozytywizmu. Pomimo zmian zewnętrznych organizm społeczny pozostał ten sam. Przewaga pierwiastku szlacheckiego w warstwach inteligientnych nie znikła. Idejolodzy pozytywizmu usiłowali jeno przekształcić niesforną naturę szlachecką, naginając ją do twardej pracy organicznej. Udało się to im zaledwie w części. Zbyt świeże jeszcze były tradycje rycerskie, by wysadzone z siodła hufce mogły się tak prędko przystosować do roli obrotnych kupców i przejąć się hasłem „enrichissez vous“.

Wzmożone życie przemysłowo - handlowe przyciągnęło przedewszystkiem żywioł żydowski, z którym na tem polu spółzawodnictwo było nader utrudnione. On też zaważył mocno na psychice społeczeństwa, wysuwając za pośrednictwem swych przewodników duchowych, na pierwsze miejsce ideały ogólno ludzkie, humanitarne, o podłożu intelektualnem, zabarwione chłodnym racjonalizmem. Szlachta, która utrzymała się przy ziemi, potrafiła pogodzić w sobie sprzeczne pierwiastki dwuch okresów, nasiąkając zwolna duchem pozytywizmu i zachowując jednocześnie stare, przeżyte formy.

Jednostki idejowe, pochodzące ze środowiska inteligientnego, obciążone dziedzictwem tradycji wolnościowych, usiłowały w pozytywizmie znaleść ujście dla swego temperamentu i szerszych aspiracji. Kierunek ten jednak będący antytezą romantyzmu, wykluczający wszelkie dążenia nie oparte na ścisłym obrachunku sił materjalnych, zapoznający znaczenie pierwiastku uczuciowego w psychice społecznej— nie

przedstawiał oczywiście gruntu podatnego dla natur zapalnych, altruistycznych wybiegających myślą daleko poza obręb dnia dzisiejszego.

Znalazły one dla siebie miejsce w ruchach ideowych patryjotyczno-demokratycznym i międzynarodowo-klasowym Do ostatnich niemal czasów dwa te kierunki idejowe dominowały w społeczeństwie polskiem, tworząc niejako dwa łożyska, do których zlewało się wszystko, co szukało wyjścia z zaduchu i stęchlizny piwnicznej. Nieraz dwa te prądy krzyżowały się z sobą lub znów toczyły swe fale równolegle, tworząc odnogi je łączące. Po za niemi jednak było tylko spokojne bytowanie z troską lub beztroską o jutro.

Ruch rewolucyjny w latach 1905 — 1906, ujawniając zakonspirowane dotychczas istnienie stronnictw, dając możność legalnej, w pewnym przynajmniej zakresie, działalności—odegrał rolę sita, przez które przesiały się elementy nieprzejednane, niezdolne do kompromisu, wierne idei. I to niezależnie od kierunku społeczno-politycznego, bowiem w każdym z nich tkwiły czynniki idejowe i oportunistyczne.

Ze szczególniejszą wyrazistością ujawnił się ów podział w warstwach, nie stojących na stanowisku wyłączności klasowej. Warstwy te najbardziej ulegały wpływom tradycji szlacheckich, oczywiście zmodernizowanych i przystosowanych do zmienionych warunków, lecz mających swój rodowód w odruchach idejowych takich jak wyprawa wiedeńska, legjony, insurekcje.

Nieśmiertelne tradycje te, czczone w formach obrzędowych, lecz duchem swym obce społeczeństwu, wstępującemu na nową drogę wskazań „egoizmu narodowego“ znalazły grunt podatny tam, gdzie już mieszczaństwo polskie osiągnęło swój rozwój i gdzie na arenę wystąpiły nowe świeże siły w postaci ludu włościańskiego- A więc przedewszystkiem—w Galicji. Pewne symptomata zaś wskazują, że i w Poznańskiem zaczyna kiełkować nowe życie.

Królestwo Polskie natomiast przedstawia od niedawna teren, na którym dochodzi do panowania mieszczaństwo ze swą idejologją burżuazyjną, kultem siły materjalnej i bezwzględną walką o byt. Antysemityzm jest jednym z objawów tego przeobrażania się społeczeństwa polskiego nad Wisłą. Wrogi stosunek do fermentu galicyjskiego jest również charakterystyczną oznaką wzmagania się ducha mieszczańskiego, którym były przesiąknięte zabór austrjacki i poznański.

Nie powinno więc dziwić zdumiewające z pozoru zjawisko jak zacieśniająca się coraz bardziej przyjaźń dotychczasowych zaciętych wrogów: postępowców i endeków, „Prawdy“ i „Gazety Warszawskiej“, „Myśli Niepodległej“ i „Kurjera Warszawskiego“. Jest to konsolidacja neo-pozytywizmu, który zaszczepiony przed kilkudziesięciu laty na pniu szlacheckim wegietował wciąż i dopiero teraz w odpowiedniej atmosferze puścił jędrne pędy.

Oczywiście wobec takiego nastroju hasła idejowe, neo-romantyczne, budzące w duszach ludzkich najszlachetniejsze instynkty, unoszące je *ad astra*, nie mogą znaleść oddźwięku, są wydrwiwane, opluwane. Mieszczaństwo nie jest zdolne do przejęcia się ideałami wyzwoleńczemi, nie rozumie aspiracji wolnościowych i zna tylko płytkie zasady merkantylizmu. Dlatego też widzimy taki zanik idejowości w prasie i obozach politycznych warszawskich.

Żadne biadania ani pomstowania nie zmienią tego stanu rzeczy, żadne siły nie powstrzymają procesu ekonomiczno-społecznego, któremu ulega obecnie Królestwo. Fala musi wezbrać i zalać. Dopiero gdy zaleje, gdy mieszczaństwo wzmoże się na siłach i obejmie placówki, o które dziś walczy — nastąpić musi reakcja i dusze ludzkie, znużone gwarem sklepikarskim, zapragną innej karmi, zatęsknią do innego świata. Bo pozytywizm, jako kierunek idejowy, jest jałowy i bezsilny w tworzeniu nieprzemijających wartości. W dziedzinie ducha żadnych twórczych pierwiastków nie posiada.

Proces ten naturalny o tyle może być przyśpieszony, o ile szybciej przenikać będzie uświadomienie do mas ludowych, dotychczas jeszcze w większości nie biorących udziału w życiu politycznem. Lud polski wciąż jeszcze przedstawia surowy materjał, nie wydobyty z głębin na powierzchnię. A sądząc z Galicji, jest to materjał pierwszorzędnej wartości, który w umiejętnym ręku może przybierać posągowe kształty. W nim też pokładają nadzieje ci, którzy nie zwątpili o lepszej przyszłości narodu.

L. Abramowicz.

ZYGMUNT TYSKI. 2

Piotr Buza.

Zmierzch jesienny — deszcz, zimny kapuśniaczek mży, — czarne, błotniste groble, porżnięte koleinami szklą się ponuro — z rowów obrosłych zrudziałą trawą tchnie wilgocią i odpychającym chłodem. Buza człapie bosy, zakasawszy nogawice parcianych portek niemal po kolana. Gościńcem ciągną furmanki — pijani chłopi hałasują na wozach, jadąc do domów. Niekiedy minie go bryczka dworska na drągach w parę lub trójkę cugantów zaprzężona. Gruby „pan“ buja na sprężynowem siedzeniu, szczelnie owinięty w burkę sławucką z nastawionym kołnierzem. Buza zdejmuje czapkę, usiłując twarz posępną przybrać w męczeńską uprzejmość — ale jadący ani widzi i tylko błoto z pod kół pecynami obdaje biedaka. Buza z rezygnacją ociera twarz dłonią i za jednym zachodem siąka nosem na ziemię przy pomocy dwu brudnych palców. Uchodzi kilkanaście kroków aż tu... co to?! Jezusie... W kołeinie do połowy zatłamszony błotem leży lśniący, ciemno-wiśniowy, groszkowany „pulares“. Chłop błyskawicznie, jakby był bez kości, schyla się w pałąk, chwyta znalazek, jak gdyby chwytał za gardło straszliwemi paluchami wroga śmiertelnego... Poczem wyprostowuje się, rzuca przezornie wokół ostrowidzącemi, niemal wyskakującemi, z orbit oczyma — czy kto nie podjeżdża? — i drżącemi jak w febrze rękoma otwiera gruby, elegancki pugilares: obie bokówki i środek, wypakowane storublówkami, wybrzuszają się pękato...

Albo znów taka historja sezamowa, inscenizowana już w innej porze roku, przy innych okolicznościach i zgoła odmiennej dekoracji: Orze sobie chłop na długim wiosennym dniu w Pieckuszkach, dalekiem uroczysku od dworu, śród lasów. Orze sam, bo resztę parobków pognał rządca z furmankami na stację po nawozy „sztućne“. Pogoda cudna; ciepły wietrzyk przeciąga od łęgów i miesza przenikliwą woń torfu i bagnisk leśnych z zapachem świeżo rozoranych, czarno rudawych skib. Cisza... Tylko czasem z wysokości spadnie żałośny pisk kani, lub w boru zakrzyczy płochliwa kraska. At, chwalić Boga, ciepło, bąków i ślepaków jeszcze niema, ani inszych kąśli-

Większość i mniejszość.

Udzielając miejsca poniższym uwagom „Posła czynu“, musimy się zastrzec, że nie przesądzamy bynajmniej po czyjej stronie w T-wie Kultury Polskiej jest słuszność. Z oddalenia sądzić o tem nie możemy. Wywody „Posła czynu“, wyróżniające się zpośród tyle innych głosów na ten sam temat, swym spokojem i rzeczową argumentacją, mają zresztą ogólniejsze znaczenie, gdyż poruszają zasadnicze zagadnienie: większości i mniejszości.

„Mniejszość była zawsze kwiatem ludzkości, była jej gienjuszem, mądrością, cnotą i chwałą, a jednocześnie była jej poniewieraną pasierbicą jeśli nie zupełną sierotą“.

Głębokie te i niezmiernie słuszne słowa wygłosił nie tak dawno Aleksander Świętochowski*). Dzisiaj muszą się one stać platoniczną pociechą dla tych grup w Tow. Kultury Polskiej, które zostały przez większość ze Świętochowskim na czele, pokonane, choć nie przekonane.

Stanięto wobec zagadnienia: jaka jest droga najlepsza i najwłaściwsza prowadząca do rozwoju kultury narodu polskiego? Większość olbrzymia, bo licząca za sobą nie tylko tę nadwyżkę 30 głosów jaka stanowiła o niej na zebraniu delegatów T. K. P. d. 16 lutego, większość oparta o tysiące i dziesiątki tysięcy czytelników „Dwuch Groszy“ i szeregu innych dzienników warszawskich, które już dawno zajęły i umocowały swoje stanowisko wobec zagadnienia, większość oparta o niezliczony „zastęp miernoty, posiadających tylko tresurę i zdolność słuchania komendy“ (Świętochowski l. c.), „używająca nieograniczonej swobody mówienia bredni“, — (patrz dzienniki warszawskie z d. 17 lutego b. r.) — ta większość zwyciężyła w Tow. Kultury Polskiej.

Nie chciała ona słyszeć ni słuchać wywodów mniejszości, każdą chęć argumentowania uważała za cyniczną obstrukcję, nie mogła zrozumieć, że może ludziom chodzić o przekonanie kogoś, o wyjaśnienie, o dowód — im chodziło tylko o liczbę głosów i panowanie. Wiadomo było odrazu, wiadomo było dawniej już, że tę liczbę osiągną, wszak szli z prądem, szli z tą większością, która dziś nadaje ton opinji publicznej polskiej. Pięknie i mocno mówi Świętochowski w zacytowanej wyżej broszurze o tem, jak szkodliwą dla społeczeństwa jest taka większość.

A na terenie T. K. P. odbyło się wszystko *lege artis*, jakby po to, by dokumentować słuszność Świętochowskiego twierdzeń. Odrazu, zawczasu już, poza Towarzystwem w urabiających wiadomą opinję organach prasy ustalono dogmaty, że wnioski centrali są polskie, a opozycji — przeciwne polskości i z chwilą kiedy ten dogmat został przyjęty—dyskusja wszelka istotnie była tylko hamowaniem szybkiej i pewnej decyzji, była obstrukcją. Wszak jeśli tak jest, jeśli są ludzie, którzy zmierzają ku temu, aby odebrać polski charakter Towarzystwu Kultury Polskiej, to jasną jest rzeczą, że z nimi iść nie można.

Dziwnem by tylko być mogło, że się znalazło jednak bezmała sto osób na zebraniu delegatów, którzy tej antypolskości byli zwolennikami. Czyżby zaprawdę poszli oni na służbę „interesów separatyzmu żydowskiego“ sprzedali się za srebrniki lub dali powodować cudzemu wpływowi. Czy zaprawdę społeczeństwo polskie jest tak zgangrenowane, aby 40% jego stanowili „pachołkowie żydowscy“?

Myślę, że nie. I gdyby nie to zapamiętanie, nie ten owczy pęd z jakim gnano do „stwierdzenia polskiego charakteru instytucji“,—o czem nikt nie wątpił, — gdyby możliwa była spokojna rozwaga, to może nie byłoby wcale walki, nie powstałaby wogóle *ta* większość.

Bo dlaczego większość jest czynnikiem ujemnym, a dodatnich trzeba szukać w mniejszości, czyżby rzecz słuszna przestawała nią być zyskując zwolenników? Oczywiście nie; tłumaczenia zjawiska szukać trzeba gdzieindziej.

Życie społeczne w normalnym toku dnia mało się interesuje stosunkiem mniejszości i większości. Idzie ono drogą pojedyńczych wysiłków koordynowanych na mocy świadomego spółdziałania,

*) A. Świętochowski. O prawach człowieka. Warszawa 1907. str. 82.

---

wych „muchów“ — i koniska nie kręcą się w chomątach, nie fajtają ogonami, idą raźno w sosze bez mitręgi nijakiej. To też Buza już odwalił akordowy mórg, choć jeszcze kula słoneczna buja sobie w najlepsze nad czarną gęstwą lasu, niby piłka ognista w nimbie blasków miedzianych, podobnych do przejrzystego kurzu. Oto na ostatnim już zagonie bierze ostatnią skibę.

— No, kasztan! no!.. stój łysy! stój łysy! — pokrzykuje w najlepszym humorze.

— Łysy hdzie!! Wołcz'ja wątroba, kab jaho wołk zajeu! — wrzasnął nagle i w pasji, przysiadując za sochą na muskulistych łydach, jak wór żyta, ciął batem łysego, że nie idzie równo w wązkiej bruździe, lecz groteskuje. Podcięty koń skoczył raptownie w postronkach. Naraz—ta trach. Oba konie aż przysiadły na zadach, podwoje pękły jak pajęczyny.

— Psiakrew, kamień potajemnik!—mruczy Buza i związuje niefrasobliwie podwoje. Ale jednocześnie coś go ogromnie korci namacać ręką ten kamień, pociekawić jaki on też tam? Ot tak cosik „ciachnie“, jakby ramię niewidzialne, a okrutnie silne. Uporawszy się więc z sznurami klęka i reką gmera w roli w miejscu katastrofy. Nagle błysły mu oczy dziko, zwierzęco, strasznie. Hii... Toć nie żaden tam kamień, ino tęgie ucho garnczka obłego, kociołka w ziemi no i juści dukatów pełnego...

Takie i tym podobne fantazmaty wysnuwał nędzarz na żertwę rozżartej chuci, władnącej w jego sercu. Straszliwy głód ziemi na podścielisku cudownie nęcącej wizji świata stawał się w nim zaiste czemś potwornem, pożerającem życie u samego korzenia. Więc oszukiwał go iluzjami, aby żyć. Ale już w tym iluzorycznym świecie bardziej żył, niż w rzeczywistym, traktując ten ostatni lekceważąco, jako stan przejściowy, prowizoryczny z policzonemi rzekomo chwilami. Jak jest, tak — przeharuje się, oby tylko dopłynąć do portu! Tam dopiero rozpocznie się prawdziwe życie i smakowanie jego rozkoszne, czego przedsmak kuszący dawał obecny surogat bytowania mocą kontrastującej wyobraźni. Łudzony tą wizją zdobywał się nawet na pewien stoicyzm, odbijający dosadnie od usposobienia żony, wiecznie biedującej i narzekającej. Jeno z latami w miarę pogarszających się warunków życiowych chłop stawał się coraz bardziej zamyślony, roztargniony w robocie, „zaspały“ — jak mawiał rządca. Często wcale jakby nie słyszał, co do niego mówiono i najopaczniej nieraz

albo na mocy częściowo tylko i niedokładnie znanych nam, a więc często niezależnych, praw społecznego ładu. Stosunek większości do mniejszości ujawnia się dopiero przy konfliktach, przy sporze, przy walce toczonej o cokolwiek bądź: o zasady, czy o władzę, o sławę, czy o korzyści.

A walce towarzyszyć musi przewaga czynności motorycznych w psychice ludzkiej nad poznawczemi, i w walce bierze udział zbiorowość. Zbiorowość, jak to wskazała już dawno psychologja i socjologja, także przytłumia swobodną pracę indywidualnej myśli popychając człowieka czem prędzej do czynów, których by sam świadomie może nie pragnął.

Więc kiedy zaczyna się walka o ideje, kiedy dwaj szermierze — a tak się w życiu społecznem dzieje zwykle — stawać muszą do turnieju przed tłumem i przed królową opinją publiczną — to większość zdobędzie nie ten, kto wygłosi rzecz głębszą, słuszniejszą, społecznie bardziej pożyteczną i prawdziwą, ale ten kto natrafi na prostszą, łatwiejszą drogę do przytępionej świadomości zbiorowej, znajdzie klucz albo wytrych, którym potrafi otworzyć drzwi czekającemu na skinienie tylko oklaskowi, — a wtedy już oklask zagłuszy najbardziej dobitne wołanie argumentu, a wtedy entuzjazm jak czerwona płachta będzie wisiał przed oczami tłumu, podniecał do coraz zawziętszego uporu i przeszkadzał widzieć największe nawet prawdy poza tą płachtą będące. Wtedy to tłum chwyta kamienie, a niema potęgi tak wielkiej, którąby mogła dorównać tłumowi.

Że jednak i w tłumie bywają ludzie, którzy dla jakichkolwiek istotnych, czy przypadkowych powodów mogą się nie poddać prądowi, powstaje mniejszość. Ta mniejszość rozumuje i rządzi, czasami stara się przekonywać, — ale słuchać jej nikt nie chce; na nią spadają kamienie większości.

Czemu jednak to, co wybrała większość, nie jest prawdą? Wszak prawdy zwykle są proste, więc łatwo trafiać powinny do świadomości?

Prawdy są proste, ale droga do świadomości prowadzi przez boczne zaułki często; prawdy są proste i twarde, ale ludzka świadomość lubi miękką pieszczotę wygody; prawdy są proste i gorzkie, ale ludzka świadomość lubuje się w słodyczy łatwych zadowoleń; prawdy są proste i jasne, — ale ludzka świadomość woli często łagodną szarość obłudy, niż oślepiającą jasność prawd.

I dlatego prawdom tak często sądzono zostawać za progiem świadomości. Czasami wolno im wejść do przedpokoju; czasami się je sadza w salonie na pokaz dla gości; pozwala się im nawet panoszyć dowolnie w bibljotece; z pewnemi już zastrzeżeniami i mocno zakwefione wchodzą do dziecinnego pokoju, — ale tam gdzie się naprawdę toczy życie, tam gdzie się zaczynają te podniety, które mają się stać czynem, tam rzadko dane jest wchodzić prawdom. Tak już zbudowany jest ten labirynt, w którym mieszka świadomość człowieka.

Nic więc niema dziwnego, że niezawsze to, co trafia łatwo do świadomości jest prawdą, że przeciwnie po to aby trafić do niej łatwiej, lepiej nie być prawdą. A jeśli chodzi o świadomość opancerzoną zbiorowości—spostrzeżenie to narzuca się tem jaskrawiej.

W „Kulturze Polskiej“ postawiono pytanie: jaką drogą najlepiej i najwłaściwej zdążać należy do rozwoju kultury narodu polskiego.

Pytania tego nie rozstrzygnięto, nie chciano go rozstrzygać, uznano *a priori*, że jedna jest droga polska, a druga nie polska, że droga polska to ta, która prowadzi przez oddzielenie się i odseparowanie kategoryczne od bezpośrednich stosunków z tą częścią ludności Polski, która rdzennie polską nie jest;—przez odpychanie tej ludności od spółpracy, od udziału w pożywaniu kultury polskiej; przez uznanie celowości ghetta i t. d. i t. d.

Nie polska droga to droga tych, którzy twierdzą, że naród polski w dążeniu do rozwoju własnej kultury nie powinien ograniczać promieniowania tej kultury na ludność etnograficznie nie polską, ale w krąg odwoływań polskich wplecioną przez życie,—nie polska to droga tych, co pragną ażeby przez kulturalną pracę mógł naród polski osiągać te zdobycze, jakich nie może osiągnąć dla braku innych sprzyjających warunków... i t. d.

Nie wiem, ale zdaje mi się, że gdyby spokojnie można było rozważać kierunek obu tych

---

wykonywał zlecenie zwierzchników. Ale że był „robotnik“, rataj i kosiec zawołany — trzymano go na służbie, wyrozumiale patrząc przez palce na powyższe wady, wynikające, jak mniemano, z braku roztropności, i pamięci w zakutym czerepie.

Nikomu nie przychodziło do głowy, że ten obskurny najmita może mieć w duszy jakieś tęsknoty i pożądania poza naładowaniem codzień kałduna paru garncami ziemniaków i wypoczynkiem na barłogu trudzonych w ciągu 16 godzin gnatów. On sam zaś nie wywnętrzał się przed nikim; milczał jak grób, zamykając w swem sercu słodkie nadzieje, które wciąż rzeczywistość okropna stopą bezlitosną rozdeptywała najbrutalniej. Jeżeli te nadzieje można z całą słusznością nazwać warjackiemi, to cierpliwość chłopska była tu iście bezgraniczna. Jątrzony przeciwnościami — nie zrażał się. Nad wszystkiem brała górę ślepa, bezmyślna, żelazna zawziętość i podsycała upór kamienny. Wciąż czekał. Czekał coraz bardziej. I ostatecznie cały sens życia mieścił się dla niego w tem wyczekiwaniu napiętem, w tej wyśrubowanej do ostatnich granic egzaltacji ponurej, w tem szaleństwie zamkniętem w sobie i jakby jodowatem. I gdyby ktoś miarodajny — jakiś anioł z nieba — stanąwszy przed nieszczęsnym, zapewnił go apodyktycznie, że to nadzieje płonne, że nic z nich nie będzie — Buza zapewno padłby mu do nóg bez... życia.

A jednak, gdyby tak się stało, ów prorok-anioł okazałby się fałszywym prorokiem... Albowiem mimo wszystko w księdze przeznaczeń stał wypisany wyrok najłaskawszy. Czy Buza miał jakieś o tem tajemnicze przeczucia, za których głosem szedł tak uporczywie i niezmordowanie, czy odwrotnie: swym bohaterskim uporem zaimponował losom i zmusił je do ustępstw, stając się niejako żywem stwierdzeniem maksymy Napoleona: „należy tylko chcieć!“ — — dość, że koniec końców dochrapał się do „hraszej“, i stał się właścicielem włoki gruntu.

Siostra Hańci Buzowej, o kilka lat od niej młodsza Józka, służyła we dworze za pokojówkę i tam zwąchała się z Bałukończykiem Adamkiem, co to furmanował państwu w „ryberji“ z błyszczącemi guzami i czapce z galonem.

D. N.

dróg, to nie przesądzając, która z nich zyskałaby przewagę celowości, przyznać trzeba, że spór, co do ich polskości nie rozstrzyga się tak łatwo.

Łatwo się o rozstrzyga dla stada, dla tradycyjnej większości tak dobitnie scharakteryzowanej przez Świętochowskiego, idącej ślepo i bezmyślnie za tym, kto w odpowiedniej chwili podsunął hasło mogące się stać popularnem.

A potem już wszystko jedno, już żadne argumenty nie pomogą.

Mniejszość w „Kulturze Polskiej“ w d. 16 lutego odniosła wielkie moralne zwycięstwo. Rozumiała ona na poprzedniem zebraniu 26 stycznia, kiedy przypadkowo uzyskała o 4 głosy więcej, że jest to niezgodne z istotnym stosunkiem w Towarzystwie, nie chciała snuć konsenkwencji z tej swojej przewagi, choć mogła z niej formalnie korzystać, odłożyła zebranie, pozwoliła zmobilizować zwykle senne i obojętne zastępy większości, których przy pracy kulturalnej niema, a pojawiają się one tylko kiedy trzeba robić głosujący za hasłem tłum. (Na zebraniu 26 stycznia opozycja miała głosów 82—przeciwko 78, na zebraniu 16 lutego—82 przeciwko 112).

Bo mniejszości nie chodziło o władzę, ani o przeprowadzenie par force swoich wniosków, chodziło i chodzi o zaszczepienie w świadomości społeczeństwa polskiego tych prawd, na które ono dziś jest ślepe, których słyszeć nie chce. Chodziło i chodzi o to, aby kultura narodu polskiego rozwijała się istotnie i wszechstronnie, wchłaniając nowe pierwiastki i stwarzając nowe wartości. I dla tego mniejszość cała i poszczególni jej członkowie poczuli na sobie nie jeden kamień rzucony z tłumu, dla tego zostali piętnowani i szczuci, obwołani na wrogów narodu.

Bo jak to słusznie i mądrze powiedział Aleksander Świętochowski: „Mniejszość była zawsze kwiatem ludzkości, była jej gienjuszem, mądrością, cnotą i chwałą, a jednocześnie była jej poniewieraną pasierbicą, jeśli nie zupełną sierotą“.

Poseł czynu.

Dzieło „łbów szalonych“.

I.

Nakładem ruchliwej księgarni Zdzisława Rzepeckiego i S-ki w Poznaniu ukazało się drugie wydanie (na nowo opracowane i uzupełnione) „Dziejów oręża polskiego w epoce napoleońskiej“, pióra dra Marjana Kukiela *). W przedmowie autor wyznaje, iż nie spodziewał się, by „skromna“ jego praca tak rychło doczekać się miała powtórnego nakładu. Powodzenie to przypisuje „jedynie wielkości przedmiotu i jego wartości życiowej, trwającej po dzień dzisiejszy“.

Jakkolwiek dr. Kukiel niezupełnie słusznie pomija tu czynniki inne: literackie zalety dzieła, naukowe, a jasne traktowanie przedmiotu, wreszcie, liczne, ciekawe ilustracje — wszelako zgodzić się z nim wypada, że książka przedewszystkiem pociąga żywotnym swym tematem. Legjony, legjoniści, Somosierra, Dąbrowski, ks. Józef, Sułkowski — wszystko to barwi się jeszcze i gra w pamięci ludzkiej. Wszystko to, pijetyzmem powszechnym otoczone, naród coraz gęściej nimbem osłania i ze szczegółów relikwje czyni.

W ogólnem tem wielbieniu polskich bohaterów epoki napoleońskiej biorą udział wszyscy, bez względu na to, jakie sami obecnie reprezentują przekonania. Onych „polskich jakobinów“, „warjatów“, „szalone głowy“ (jak mianowała legjonistów owoczesna *trzeźwa i wytrawna* opinja publiczna) nietylko apoteozują „trzeźwi“ i „wytrawni“ naszej doby, ale swym gorliwym dla nich respektem starają się dowodzić, jakoby oni właśnie byli prawymi spadkobiercami idei, ożywiających rycerzy z San Domingo, Iławy, Raszyna, Saragossy.

Tak zawsze bywa.

Każda epoka ma swoje „trzeźwe“ i swoje „szalone“ głowy. Trzeźwemi mianują się zwykle żywioły tchórzem podszyte, umiejące w gnuśnej bierności do najgorszych nawet przystosywać się warunków i za wszelką cenę łaknące spokoju. One to każdy element czynu usiłują dyskredytować, wyrabiając mu opinję szaleństwa. Potem dopiero, w jakieś lat pięćdziesiąt, sto i więcej, gdy po „warjatach“ owych jeno pamięć czynów nieśmiertelnych zostaje, ceniąca tradycje gnuśność narodowa, czyni z nich narodowe świętości.

Nie pozwalajmy jednak z pięknych tych postaci czynić fetyszów i teatralne kukły. W owych bohaterach prawdziwie polskich szukajmy rysów żywych ludzi i rozglądajmy się, gdzie ich właściwi są dzisiaj następcy.

Więc taki oto Józef Sułkowski, cieszący się dotąd opinją rycerza bez skazy—któż to był?

„Domyślać się można—odpowiada historyk—że chciwem chwytał uchem odgłosy burzy rewolucyjnej, która szalała nad Francją; to pewne, że na prace sejmu wielkiego patrzał z lekceważeniem młodego entuzjasty, zapatrzonego we wspanialszy wzór obcy. W dziełku „Ostatni głos obywatela polskiego“ uderzał namiętnie Sułkowski na Ustawę majową i jej twórców, z powodu monarchicznego charakteru konstytucji. Zarzucał mianowicie połowiczność reformy „w stosunku do mieszczan i włościan, przekonany, że ludzie rodzą się z temi samemi potrzebami, a więc i z prawami równemi“.

„Polska jest wszędzie — wołał Sułkowski — gdzie bronią wolności“.

Gdy Dąbrowski, pospołu z włoskiem stronnictwem republikańsko-patryjotycznem, żądał zjednoczenia państwa kościelnego z Cisalpiną i gromił wojsko papieskie, bawiący w Paryżu spółtwórca legjonow, Franciszek Barss, pisał do Wybickiego: „Dąbrowskiego ściskamy serdecznie. Niech przypomni Ojcu Świętemu jego błogosławieństwa, konfederacji targowickiej udzielone“.

Głosy takie, głosy tchnące wolnomyślnością, a nawet radykalizmem społecznym, w odezwach legjonistów co moment się spotyka. I nie dziw. „Wszyscy niemal oficerowie polscy — jak stwierdza historyk — należeli do lóż wolnomularskich, przejmując się w nich duchem humanitaryzmu, oświecenia i tolerancji“; byli też zdeklarowanymi demokratami i republikanami. Szli z Francją, bo widzieli w niej bojownicę tych właśnie zasad. Szli do Francji, bo w kraju „na powierz-

*) „Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej, 1795—1815“. Napisał Marjan Kukiel. Wydanie drugie na nowo opracowane i uzupełnione. Str. 475. Poznań, 1912, nakł. Zdzisława Rzepeckiego i S-ki.

chnię życia publicznego wypłynęły jednostki, najbardziej do służalstwa i zaprzaństwa zdolne; służalstwem dyszały gazety, ocalone z pogromu nieliczne druki, tłoczone w krajowych drukarniach".

Przeróżna pisząca kanalja, w myśl drżących o swe dobra magnatów, tworzyła ody na cześć nasłanych wielkorządców i ich władców; odżegnywała się w imieniu narodu całego od „knowań" „warjatów" i „łbów szalonych", wskazuje urzędnikom pruskim „niebezpieczeństwo galicyjskie", ileże z tej to właśnie dzielnicy najpierw poczęły dolatywać głosy o konieczności podźwignięcia sprawy.

W tych warunkach żądni czynu „szaleńcy" nie mieli nic w kraju do roboty. Pozostawało więc tylko działać — *dla* kraju. A za działalność taką poczytywali urzeczywistnianie zasad wolności, gdziekolwiek o nie toczyła się walka.

Pod tym, ani innym prowadzona była sztandarem wojna włoska. „Polacy!—pisał Dąbrowski— nadzieja powstaje. Francja zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów". I rzeczywiście: Bonaparte „niósł Włochom, za cenę unicestwienia oligarchicznej i tyrańskiej republiki weneckiej, zawiązek ich państwa narodowego". Kiedy zaś następnie armja francuska wkroczyła do Rzymu, wojsko doskonale zdawało sobie sprawę, że „walczy ze świeckiem panowaniem papieży, bo panowanie to jest grobem narodu włoskiego i wolności włoskiej". W Neapolu „wszystko, co było oświecone, zamożne, szlachta, mieszczaństwo, ludzie nauki i pióra, wszystko z zapartym tchem oczekiwało wejścia francuzów, dyszało zapałem republikańskim i uwielbieniem dla tego nowego rycerza bez zmazy i trwogi, który kruszy odwieczne kajdany i obala tyranję".

W wojnie takiej legjony, złożone ze zdeklarowanych „republikantów", udział brać mogły z zupełnie czystem sumieniem i nie sprzeniewierzając się idei, którą żołnierze nosili wypisaną na piersiach: „ludzie wolni są braćmi".

Zawahali się owi „republikańci" polscy jeno wówczas, gdy pierwszy konsul sięgnął po cesarską koronę. Niektórzy opuścili go. Inni godzili się służyć nowemu monarsze, w przekonaniu, iż świeży jego tytuł wywołać musi dalszą, a upragnioną wojnę.

Jeszcze raz odezwą się te skrupuły w szereg lat później, już po okupieniu krwią legjonów Księstwa Warszawskiego — mianowicie w Hiszpanji. Mimo to, większość trwała przy Napoleonie, czując instynktownie, że bohater ten bez korony, czy w koronie światu, na bagnetach swych żołnierzy, jakąś dobrą nowinę niesie. Dziś wiemy, że nie myliło ich przeczucie.

Jakkolwiek w modzie jest obecnie uprawiać płytki krytycyzm w stosunku do Napoleona i widzieć w nim tylko ambitnego, krwią ludzką szafującego karjerowicza — kto jednak w dziejach ludzkości widzi coś więcej, niż ich pierwszoplanowych aktorów, dostrzeże w epopei małego kaprala dalszy ciąg Wielkiej Rewolucji, mającej przekształcić i odrodzić całą Europę. Gdyby Francja nie była wówczas wyszła ze swych granic na pogrom starego świata, musiałaby sama, wraz ze swem dziełem, ulec pogromowi. Nie ona rozpoczęła walkę. Zarzewie rzuciły dwory sąsiedzkie, widząc w republice niebezpieczną formę rządu i pragnące ją unicestwić.

Wszystkie monarchje ruszyły przeciw Francji, nie czując, że rozpętają siły olbrzymie, a dotąd nieznane, nieprzewidując nadto, że czynem tym obruszyć mogą własne fundamenty.

Z. Polkowski.

Po latach pięćdziesięciu.

Jedną z najpiękniejszych, ale i najtragiczniejszych zarazem kart w historji powstania 63-go roku stanowi udział w niem młodzieży polskiej na Ukrainie.

Ożywieni duchem demokratycznym powstańcy znaleźli się w tej kresowej dzielnicy b. Rzeczypospolitej w położeniu nad wyraz trudnem.

Z wychowania, tradycji, kultury szczerzy polacy, widzieli jednak jasno, że ideja demokratyczna—owa najwyższa zasada ich myśli i czynu—nakazuje poświęcić się przedewszystkiem dla dobra ludu ukraińskiego, śród którego żyli i dla którego tak gorąco pragnęli pracować. Lud ów natomiast, ciemny wówczas i nieuświadomiony, nie mógł zrozumieć tych porywów, z gorącej żądzy ekspiacji i umiłowania idei zrodzonych. Polska była dlań synonimem ucisku, a szlachta polska — wrogiem odwiecznym, któremu nigdy w niczem ufać nie można. Ta sprzeczność fatalna stała się źródłem potwornej zbrodni ślepego żywiołu masy ludowej i nadludzkiej ofiary dusz świadomych, które męką i krwią własną grzechy ojców odkupić chciały.

Najtragiczniejszym epizodem tych smutnych dziejów jest rzeź młodzieży polskiej we wsi Sołowjówce. (d. 10 maja 1863 r.)

T. Siemiradzki (p. Porozbiorowe dzieje Polski. Chicago 1903. T. II. str. 289) tak o tem pisze: „Rząd narodowy wydał dla Rusi osobny manifest, zawierający treść dekretów 22 stycznia i 10 maja. Dokument ten, spisany w języku ruskim, jest znany pod nazwą „Zołotoj Hramoty". Zołotaja Hramota nadawała ludowi wiejskiemu na Rusi wolność, ziemię i prawa obywatelskie na równi z innemi stanami, poręczała swobodę wyznania, panowania języka ruskiego w szkołach i urzędach, a popom prawosławnym wyznaczała pensje ze skarbu państwa z obowiązkiem niepobierania od ludu zapłaty za posługi duchowne.

W celu głoszenia ludowi Zołotoj Hramoty wyruszył z Kijowa oddział, złożony z samej młodzieży uniwersytetckiej w sile 21 ludzi na dwuch wozach z trzema jeźdcami. Minąwszy szczęśliwie rogatki i straże kozackie, powstańcy przybyli do wsi Motowidłówki; lud wysłuchał ich spokojnie i przyjął Hramotę. W dalszej drodze spotkała polaków konna gromada włościan ze wsi Helenówki; tu nastąpiło całkowite porozumienie się i zbratanie ludu z powstańcami. Również pomyślnie poszło odczytanie Hramoty we wsi Fastówce i miasteczku Fastowie. Dopiero, gdy powstańcy po dłuższej i bardzo uciążliwej podróży przybyli do wsi Sołowjówki, znaleźli lud, przygotowany..... do napaści.

... Nie było innego ratunku, jak przebić się siłą. Lecz młodzież polska, dla dobra sprawy, postanowiła raczej zginąć, niż przelać choć jedną

kroplę krwi chłopskiej... Wniosek jednego, aby się przebić zbrojną dłonią i iść dalej, został odrzucony. Powstańców rozbrojono i zamknięto w obszernej izbie. Wtem na ulicy, gdzie stały wozy polskie, rozległ się strzał. Po dziś dzień niewiadomo, kto strzelił.

Rosjanie utrzymują, że jeden z polaków strzelił do ludzi, większość jednak źródeł zgadza się ze sobą, że strzelił jeden z włościan, namówiony zawczasu... Na odgłos strzału polacy wybiegli na ulicę; wtedy chłopi rzucili się na nich z toporami i kołami. Zginęli z ręki ludu Biesiadowski, Izbiński, Peretiatkowicz, Krypski, Kostko, Bobowski, Przedpelski, Wasilewski, Wołoncewicz, bracia Przedmirscy. Reszta dostała się do niewoli"...

Wypadek ten wstrząsnął do głębi umysły społeczeństwa polskiego na Ukrainie. W jednych rozpalił większą jeszcze nienawiść do „dziczy hajdamackiej", innych umocnił w przekonaniu o „łączności ich i jedności" z ludem ukraińskim, którą młódź polska pod Sołowjówką „krwią swoją bohaterską, w imię dobra ludu tego przelaną,... stwierdziła i przypieczętowała"*).

O uczuciach, ożywiających młodzież powstańczą na Ukrainie, mamy świadectwo wymowne w fakcie mało znanym, przekazanym potomności przez niezbyt dla nas przychylnego, wybitnego uczonego i publicystę, ukraińca Dragomanowa.

„Koło pewnej wsi, w gub. kijowskiej, —opowiada D.—chłopi bili powstańców. Oficer rosyjski, widząc, że leżący na ziemi polacy już dogorywają, krzyknął do znęcających się nad nimi chłopów: „Dlaczego ich bijecie? Przecież i tak już, leżą bez czucia!" Wówczas jeden z ociekających krwią polaków uniósł nieco głowę i rzekł: „Zostaw, pan. Niech biją! Myśmy tak wiele przeciwko nim zawinili! Bardzo wiele!"...

Pół wieku upłynęło od tej chwili.

Wiele się rzeczy zmieniło na świecie.

Z łona ludu, który niegdyś z okrutną fatalnością ślepego żywiołu mordował tych, co go nad życie umiłowali, wyszedł spory już zastęp inteligiencji, dążącej do odrodzenia swojego narodu.

Zdawałoby się, że ci świadomi siebie i dziejów swych ukraińcy — potomkowie nieszczęsnych sprawców rzezi sołowjowickiej — potrafią i zechcą uczcić pamięć tych, którzy z uśmiechem przebaczenia na ustach ginęli z rąk ludu, za który walczyli.

Nienawiść jednak głębsze snać korzenie zapuszcza w serca ludzkie, niż miłość.

Bo oto co w 50-tą rocznicę powstania czytamy dziś w kijowskim organie narodowców ukraińskich (p. „Rada" № 15): „Lud ukraiński nie uwierzył obietnicom powstańców. Doświadczenie własne wskazywało mu, że w ciężkiej potrzebie prowodyrowie polscy mogą pisać i obiecywać, co się podoba, ale potem równie łatwo zamią swoje słowo. Historja stosunków polsko ukraińskich daje nam mnóstwo takich przykładów, a obecne położenie ukraińców w Galicji pod uciskiem polaków dowodzi najlepiej, czego można było spodziewać się od nacjonalistów polskich (sic!), gdyby wzięli oni górę i na Ukrainie. To też urzędnicy rosyjscy, którzy ostrzegali lud ukraiński przed powstaniem, mieli słuszność, mówiąc do włościan naszych: — Gdyby polacy naprawdę chcieli coś dobrego dla was uczynić, to mieli przecież dość czasu na to. Nikt im wtedy nie przeszkadzał. I włościanie nasi wierzyli urzędnikom, lecz nie polskim agientom, którzy czytali zanadto już ponętne obiecanki „Złotoj Hramoty" pod rozwierającym się sztandarem polskiego powstania.

A we wsi Sołowjówce, dokąd przybyła niewielka garstka powstańców, włościanie zaaresztowali ich i ciężko pomordowali"— z epickim spokojem kończy swe wywody autor artykułu w „Radzie".

Prosto i szczerze.

Jeszcze raz, — po latach 50-ciu — jeszcze raz kamieniem w mogiły męczeników...

J. K.

*) Wacław Lipiński. Szlachta na Ukrainie. Kraków. 1909 str. 68.

Arystydes Briand.

(Ciąg dalszy).

Dla syndykalistów ma Briand tem mocniejsze słowo. „Strajk powszechny — mówiłem, mówię, wierzę—to będzie rewolucja, rewolucja zwycięska. Łatwo ją zacząć, ile że jest prowadzona środkami legalnemi, porwałaby wszystkich robotników; mobilizacja wszystkich robotników na całem terytorjum kraju, — zniosłaby jednocześnie armję... Idźcie tedy do walki z kartką wyborczą, jeżeli uważacie to za środek dobry, ja nic nie mam przeciwko temu. Idźcie z pikami, z pałaszem, z pistoletami, ze strzelbami; nie tylko nie będę was potępiał, ale w danym wypadku stanę w waszym szeregu... Można głosić strajk żołnierzy, można go nawet przygotowywać... A wtedy, gdyby w dalszym ciągu miał trwać rozkaz strzelania, gdyby oficer mimo wszystko chciał przymusić żołnierza do strzelania do strajkujących, niewątpliwie strzelby mogłyby strzelać—ale być może nie skierowałyby się w stronę strajkujących"...*)

To było w roku 1899. Trzy lata później Briand jest w Izbie w stronnictwie socjalistycznem, podówczas związanem z blokiem radykalnym. Wraz z socjalistami zwalcza nacjonalizm francuski, prowadzi politykę radykalną. Jak się broni później, wtedy, w tych latach, obcując z Jaures'em pozbył się wyłączności, bezwzględności, głośnych słów młodości. Stawał się politykiem t. j. człowiekiem kompromisu. Nie jest też więcej i tylko przedstawicielem syndykalistów. Uważa, że powołany do Izby posiada mandat do obrony interesu powszechnego.

W polu widzenia tego interesu znajduje się podówczas sprawa separacji kościoła i państwa. Briand staje w pierwszym szeregu walczących. Jednakowo oddalony od obrońców kościoła jak i od sekciarzy jakobińskich z pod znaku Combes'a, zwolennik kompromisu wysuwa się na czoło Izby. Jest przekonany, że zasada separacji wyjść może na dobre zarówno państwu jak kościołowi. Nie chce kościoła poniżać, nie chce wpływu jego nieweczyć. Chce zapewnić mu zupełną swobodę wpływu, niezależnego od władzy świeckiej. „Wolność kościoła powinna być ograniczona o tyle tylko, o ile tego wymaga potrzeba porządku publicznego". Sprzeciwia się żądaniom mającym na celu zabór kościoła. „Z żalem i nie bez poniżenia widziałbym kościoły w posiadaniu wolnomyślicieli,

*) Są to wyrazy, których nie przestają wymawiać Briandówi od czasu jak został ministrem. W *Lanterne* jest więcej takich cytat.

którzy pragną w nich odbywać swoje zgromadzenia. Nie chcę być tutaj sentymentalnym, ale niechaj mi wolno będzie powiedzieć, że gmachy te, jeżeli mogą służyć za mieszkanie dla ciemnych tajemnic dogmatów i dla tęsknot trwożliwej wiary, nie są zbudowane jako przytułki dla nadziei i dla słonecznych prawd rozumu. Wolna myśl jest silna i wielka, albowiem ma za sobą prawdę, powinna znaleźć w sobie dostateczną siłę gwoli dźwignięcia swoich świątyń na przeciwko świątyń dogmatów".

Walka w Izbie trwała trzy miesiące. Skończyła się kompromisem, który zyskał uznanie wielu nawet katolików, samego nawet kleru. Tylko bezwzględność Piusa X stanęła na przeszkodzie ugodzie zawieranej z wolnej woli. Zaczynała się walka z kościołem, walka kościoła ze świecką republiką na śmierć i życie.

Sporządzanie inwentarzy kościołów dało powód do krwawych nieraz awantur. Interwencja władzy wojskowej stawała się nieraz konieczną. Atmosfera stawała się ciężką. Cóż dziwnego, że kompromisowy pan Briand wydawał się mężem opatrznościowym. Powołano go do ministerjum jako sekretarza stanu w misterjum oświaty i wyznań (marzec 1906). W ciągu dwu lat trwała walka pomiędzy Briandem, reprezentującym interesy republiki świeckiej a dyplomacją Watykanu—walka, wprowadzająca ustawę o oddzieleniu kościoła. Minister był kompromisowy, starał się nie ranić, działać ostrożnie tranzakcyjnie. „Czyniłem, co mogłem, mówił później, aby seperacja nie była nieszczęściem dla katolików tego kraju". Przedłużał termin, na ukonstytuowanie stowarzyszeń wyznaniowych przeznaczony, umożliwiał najmowanie kościołów u rad miejskich.*) „Nie podaję w wątpliwość wielkości kościoła. Jego działalność wiązała się z rozwojem i wielkością kraju; powiem otwarcie, że urodzony katolik, choć nie praktykujący, widzę nie bez smutku rozkład, *(l'effritement)* dokonywający się na oczach naszych". (1 kwietnia 1908 r.**).

Kto przyglądał się zblizka działalności Brianda na polu stosowania ustawy o oddzieleniu kościoła i państwa, ten widział doskonale, kogo ma przed sobą, ten nie mógł mieć wątpliwości, że w najbliższym czasie ujrzy go na najodpowiedzialniejszem stanowisku politycznem, jako prezesa rady ministrów. Wszystkie żywioły umiarkowane Izby, na lewicy i w środku — były pod jego stronie. Rozumiały, że to jest mąż opatrznościowy, który potrafi ukrócić burzę społeczną, rozszalałą w tych latach w organizacjach robotniczych Francji. Pan Briand uchodził w niektórych kołach za anarchistę, pamiętano mu jego referat o strajku powszechnym. Ale słusznie uważał Jaurés w słynnej, morderczej polemice z maja 1907 r. na Trybunie Izby Deputowanych prowadzonej, że „najczęściej nie ludzie się zmieniają, ale raczej pojęcia, jakie o ludziach posiadamy". Jaurés tedy przyznawał, że Briand-minister był tylko dalszym ciągiem Brianda - towarzysza. „Dawniej — mówi Jaurés — pan Briand, spotykając na drodze życia anarchistów, znajdował w nich upodobanie. Uderzyła go ich indywidualność awanturnicza, ale także i to, że te dusze dzikie i dziecinne mogły być z łatwością kierowane; umiejętnie tedy je prowadząc, skłaniał do porzucania bomby o krótkim loncie na rzecz strajku powszechnego, równie wybuchowego, jednak na daleką odkładanego metę: to były pierwsze doświadczenia przyszłego męża stanu...

„Ale należy przyznać, że p. Briand, propagując strajk powszechny, nie wyrzekał się żadnych innych metod walki, metod spokojnej ewolucji i parlamentarnej działalności. Ale stąd nie wynika—co teraz p. Briand chciałby w nas wmówić, że on strajk powszechny uważał za metodę walki spokojną, legalną. Przeciwnie, mówił: „Emancypujcie się na drodze rewolucyjnej. Tylko, że są dwa sposoby rewolucji. Jeden—stary, romantyczny, walka na barykadach. Ja go wam nie bronię, jestem zwolennik rewolucji eklektycznej. Nie odrzucam żadnego sposobu walki. Jeżeli chcecie wyjść na ulicę z bronią w ręku, jak to czynili rewolucjoniści 1830, 48 i 71 roku,—pójdę z wami. Jednak radzę wam, jako przyjaciel, inną formę walki: bardziej skuteczną, bardziej sprawną, bardziej nowoczesną metodę—strajku powszechnego. Bardziej skuteczną dlatego, że strajk odbywa się jednocześnie na całem terytorjum Francji i że nie jest, przynajmniej w pierwszej chwili, tak strasznie niebezpieczny dla uczestników, jak rewolucja zbrojna". Mówił dalej, że ideja strajku powszechnego mieści w sobie *implicite* strajk armji. „Żołnierz spropagowany dla idei strajku powszechnego, będzie wiedział, że ma przed sobą robotników, towarzyszów... Żołnierz zawaha się, a kiedy oficer trwać będzie przy rozkazie strzelania do robotników wtedy karabiny odezwą się, ale lufy ich skierowane zostaną nie w kierunku rozkazu"*)....

Na zarzuty Jaurésa odpowiedział Briand, wielką mową, która wypełniła całe posiedzenie 13 maja**). Czarował wszystkich. Nigdy nie był demagogiem, nie podnosił, nie podniecał, nie zapalał masy robotniczej. Nigdy nie propagował anarchji. Przeciwnie. Pan Jaurés wie przedewszystkiem, że nawet na tem polu był zawsze zwalczanym przez anarchistów. Nigdy go nic z nimi nie wiązało. Starał się zawsze oddziaływać na rozum, na spokój klasy robotniczej, kierować ją ku metodom spokojnym, ku spółdziałaniu z innemi stronnictwami demokracji, aby ją zorganizować w kierunku poprawy jej losu i w granicach możliwości w kierunku jej emancypacji. W jakich warunkach odczyt jego o strajku powszechnym został wygłoszony? Stronnictwo socjalistyczne przechodziło kryzys najniebezpieczniejszy. Millerand wszedł do ministerjum Waldeck-Rousseau. W partji z tego powodu wrzało. Padały surowe słowa, wyroki, przekleństwa; stawiano pręgierze. I pan, panie Jaurés, rozumiał, że partja socjalistyczna musi wejść na drogę ewolucji legalnej i reformy. Na kongresie, na którym wypowiedziałem odczyt mój, walczyłem u pańskiego boku. Przeciwko nam po drugiej stronie walczyli dzisiejsi przyjaciele pańscy, p. p. Guesde i Vaillant. Wtedy nie na wiecu, ale na zgromadzeniu przedstawicieli partji — wygłosiłem ową mowę, aby pomóc panu, aby rzucić kamień niezgody pomiędzy szeregi przeciwników pańskich, aby rozdzielić, rozbić szeregi p.p. Guesde'a i Vaillant'a aby pan mógł zdobyć większość na kongresie i zorganizować partję własną, partję reform. Tej właśnie polityce reform służyliśmy obaj w latach następnych. W tych warunkach nie

*) Drugie ministerjum Brianda doprowadzone zostało do upadku (początek 1911 r.) pod zarzutem niewłaściwego stosowania ustawy o separacji na korzyść kościoła katolickiego.

**) Wszystkie mowy Brianda w przedmiocie separacji zebrane w dwu tomach. *„La Separation. Discussion de la loi. Application du régime nouveau.* (1909).

*) Stenogram rozpraw w Izbie w *Journal Officiel* 1907, posiedzenie z dnia 11 maja 1907 r. str. 969 nast.

**) Tamże str. 971—981.

powinien pan był wykorzystać mocy swojej przeciwko mnie... W każdym bądź razie ten kongres zaznaczył się wyraźnie w moim rozwoju osobistym. Ten kierunek trwał dalej i dzięki temu, u pańskiego boku, na skutek rad pańskich, niemal pod rozkazami pana stałem się tym, kim jestem dzisiaj. W Izbie, do której zostałem wybrany, jaką prowadziliśmy politykę? Politykę kooperacji z partjami burżuaznemi. A za ministerjum Waldeck-Rousseau? Gdybym chciał stosować metody polemiczne pańskie, nie potrzebowałbym bardzo szukać, aby znaleść artykuły, mowy, który znajdują się w sprzeczności bezwzględnej z całą pańską polityką dzisiejszą. Wtedy, z jakim talentem pouczałeś pan robotników, że ich przedstawiciele powinni uczestniczyć w rządzie i kooperować z innemi czynnikami stronnictwa republikańskiego. Sam Pan byłeś wiceprezydentem Izby i z jaką łatwością przystosowałeś się do obowiązków stanowiska. Wtedy, pan byłeś zdrajcą, renegatem, trucicielem klasy robotniczej — wtedy nawoływałeś robotników, aby rozumieli co znaczy odpowiedzialność związana z władzą i z funkcją publiczną. Ja tylko zostałem tam, gdzie pan byłeś — i dziś żądam tylko od Izby, aby sądziła mnie wedle moich czynów"...

(D. n.)

Stanisław Posner.

Secesja monachijska.

Monachjum, w lutym.

(Zimowa wystawa trzech: *Leon Samberger, Ignacio Zuloaga, Józef Flossmann).*

Każdorazowa wystawa monachijskiej secesji, zapoznaje z twórcami „nowej sztuki". Budzi nie proste zaciekawienie, ale odzwierciadla ducha swego czasu, dlatego jej wystawy, są zarówno, jak nowe dzieła w literaturze, wielkie dramaty na scenie —wyrazem twórczości tych talentów, którym zawdzięczamy nasz postęp w kulturalnem życiu.

Obchodzą zatem nie tylko specjalne koła artystów, ale przez obrazy wielkich malarzy różnych narodowości, przez największych (możliwie!) doszukanych śród swoich, czynią z sztuki—jaką być powinna—wspólną własność kultury każdego człowieka, który w niej znajdzie swoją cząstkę.

Ostatnia „zimowa wystawa" monachijskiej secesji, zapoznaje z trzema: *Ignaciem Zuloagą, Leonem Sambergerem*, z *Józefem Flossmanem*; dwaj pierwsi, malarze, reprezentują dwa światy: kolorystyki i bujnej fantazji u malarza z Segowji (część roku przepędza również w Paryżu!), indywidualnie pojętej formy w portrecie u monachijskiego, L. Sambergera. Rzeźba Flossmanna charakteryzuje artystę środowiska, w jakiem żyje, a dla którego, dla celów więcej dekoracyjnych, aniżeli w znaczeniu „l'arte pour l'arte" tworzy.

Ignacio Zuloaga, zdobył sobie znane dzisiaj nazwisko, głosząc nieprzerwanie sławę wielkiego malarstwa hiszpańskiego. Każdy z jego obrazów, (wystawa obejmuje ich 25) odslania „cudowne" bogactwo kolorów, obok gorącej, południowej fantazji człowieka rozkochanego w tej atmosferze barw przyrody, wydobywających przez oko artysty odrębny świat, by go potem namalować w koncepcji — wizji.

Hiszpanie są malarzami „par excellence" realistami! Ale jakżeż przedziwnie ten realizm wygląda: odkrywa on w tej realnej wartości malowanego przedmiotu nieskończoną ilość optycznych (na płótnie: „barwnych")—nuance'ów, jakie posiada natura w pierwszym rzędzie, a którą artysta złączył harmonijnie z człowiekiem, z jego właściwościami, a jakie jemu jedynie pozwalają go kojarzyć z nią w jedno!

Ten realizm przedziera się, poprzez szereg wizji, które w twórczości każdego artysty tworzą najwznioślejszą chwilę — w jego obrazie dają odblask „wiekuistej prawdy", odkrytej poprzez szereg wnikań, ażby się ostatecznie w pomysłach zrealizowały. „Stara Kastylja", „Ofiara wesołego święta"—niechaj będą wielką księgą dla poznania Zuloagi—artysty. Z jej barw, z szczegółów harmonijnego układu płynie ta moc, jaka stworzyła inne arcydzieła: „Kobiety z Sepulvedy", „Wielki piątek", tak znanego z reprodukcji „El Corcita".

Aby rozumieć dzieło sztuki, należy się do niego zbliżyć „z kompasem oka" — powiedział Hodler — Znaczy to, że nie wystarcza bynajmniej kryterjum szczegółów, ale potrzeba umiejętnego wniknięcia w całość obrazu, doszukania się w nim pełnej harmonji, abyśmy tak, jak artysta nań spoglądali.

Wówczas zobaczymy w kobietach Zuloagi ideały formy, przy wyzbyciu się małostkowości na korzyść potężnego odtwarzania subtelnych (nie, jak pragną snobi „czułostkowych", lub „zbyt rafinowanych") wdzięków kobiecych, wyrażonych w namiętnej barwie, w wytwornej linji, w ześrodkowanej całości, która nadaje dziełu sztuki głęboką, realną prawdę!

Obrazy *L. Sambergera* wyłaniają się niespodziewanie w spółczesnym sposobie ujmowania postaci na portretach. Wyrażenie wszelkich cech, oddających w twarzy człowieka w charakterystycznym wyrazie tej psychologicznej prawdy, niepospolity rysunek, łudzący wprost bogactwem linji, jakich się można doszukać w ludzkiem obliczu — oto portrety - charaktery, lub jak chcą inni typy, jakie namalował artysta, jakie barwą i rysunkiem „opisał" Leon Samberger, Zadziwiająca lekkość formy, a przecież silnym patosem wyrażona, jak łuna, lub nimb odbija się z każdego obrazu. Nie widać nigdzie maniery, lub wpływu choćby Lenbacha, tak dominującego i pokutującego u monachijczyków w portretach; nie spotka się na obrazie Sambergera kaulbachowskiej słodyczy ckliwej, głąb duchowego pierwiastka dominuje ponad jednostronnem „fotografowaniem — malowaniem"...

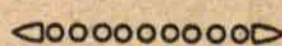
Wyjątkowo dobrani artyści: Zuloaga i Samberger uzupełniają się, dając mimo wszystko odmienne cechy swej twórczości wielkich malarzy spółczesnych.

Wobec silnej, wizyjnej twórczości Zuloagi, nowożytnej formy portretu Sambergera, nikną rzeźby Flossmanna. Na pierwszym planie ich dekoracyjna strona, a koncepcje bez wielkiego wysiłku, dają „zwyczajne rzeźby"—a nie, jakbyśmy się spodziewali (opuszczając salę Zuloagi), że znajdziemy równej miary arcydzieła. Przemawia z nich utylitaryzm, sztuka codziennego życia, lub ujawniona w małej koncepcji „chęć" (w sztuce jest bez znaczenia) stworzenia dobrej rzeźby („*Matka*").

Na tej ostatniej wystawie przemawia z obrazów silny giest spółczesnej sztuki, której tacy jak

I. Zuloaga, L. Samberger, nowe drogi torują — a „secesja“, (skupiająca w Monachjum wszystkich artystów sławnych), okazała pełną żywotność, że z tego pałacu przemawia ciągle „nowej sztuki“ hasło!

Michał Japołł.



Park.

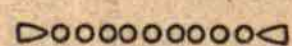
Gdy złote sznury latarń, jak Arjadny nić,
Rozbłysną nagle w ulic dusznym labiryncie,
Park, co wyspą jest mroku, zda się szumi: Płyńcie!
Płyńcie do mnie, gdy chcecie w mych cieniach się skryć!
Bo wszystkich rad ugościć dobrotliwy park,
A gdy zwabi przechodnia w zaciszne aleje,
Wnet ciemnym go muślinem mroku przyodzieje
I czoło mu owionie całunkiem swych warg.

Jak w ukłonie przed każdym ławka w pół się gnie,
Obiecując, że miło na niej chwile miną
Sam na sam z samotnością, choć milej z dziewczyną,
Którą los chwilą szczęścia dziś obdarzyć chce.

A nad głowami wzajem tulących się par
W zielonym stropie liści noc gwiazdy już nieci
I blask ciekawskich latarń łowiąc w czarne sieci,
Zdradziecko w krąg roztacza narkotyczny czar.

Namiętną żądzą życia wszystko wokół drży
I tętnem krwi wydzwania starą pieśń godową,
Której całunkiem rwane w strzępy każde słowo
Opuszczonym kochankom z ócz wyciska łzy.

Aleksander Naworski.



Z RUCHU MUZYCZNEGO.

Tegoroczny sezon w Wilnie może już rokować pewne nadzieje co do przyszłości muzycznej tego miasta.

W powodzi ogłoszeń koncertowych zwracają uwagę afisze wileńskiej orkiestry symfonicznej i one też nadają tegorocznemu sezonowi muzycznemu cechę europejską.

Dziwnem jest tylko, iż jedynie społeczeństwo polskie dalekiem jest od zrozumienia, jak prawdziwie kulturalnym czynnikiem jest orkiestra symfoniczna, jak wszystkich sił dokładać należy, aby zapewnić jej istnienie i stworzyć warunki sprzyjające jej rozwojowi. Pod tym względem społeczeństwo polskie wykazało największą obojętność i zacofanie kulturalne.

Pomimo wszelkich trudności wynikających głównie z braku poparcia materjalnego ze strony warstw zamożniejszych, orkiestra prowadzi swoją kampanję, chociaż nie tak planowo, jakby to mogło mieć miejsce w innych warunkach. Usiłowania przyciągnięcia publiczności głośnem nazwiskiem solistów dały pożądane rezultaty na koncercie z udziałem Smirnowa. Sławny tenor posiada wielką umiejętność modulowania głosu, ale brak mu poczucia stylu wykonywanych kompozycji, stąd nawet takie arcydzieło jak „Ich grolle nicht“ Rob. Schumanna w wykonaniu Smirnowa miało cechy salonowego romansu.

Następne dwa koncerty z udziałem: koloraturowej primadonny Maryjskiego teatru, Katulskiej i dyrygienta tegoż teatru Malko, nie znalazły oddźwięku w rozbalowanem Wilnie.

P. Katulski wywarł bardzo korzystne wrażenie spokojem ruchów i wydobyciem dość subtelnego kolorytu z orkiestry (w czem pomocną była wyjątkowo duża ilość prób). Tłumnym znów był koncert symfoniczny z udziałem skrzypka Polakina, cudownego dziecka wkraczającego już w wiek młodzieńczy. Jedynie nieumiejętność opanowania swego temperamentu zdradza niedojrzałość młodocianego wirtuoza—interpretacja mało planowa bierze bezpośredniością uczucia przy technicznem wykończeniu.

Z dzieł symfonicznych usłyszeliśmy symfonje: „Szkocką“ Mendelsohna, „Z Nowego świata“ Dworzaka, V-tą Bethovena, g-moll Mozarta. Oprócz tego były wykonywane uwertury i poematy symfoniczne: Mozarta, Bethowena, Mendelsohna, Liszta, Noskowskiego, Czajkowskiego i innych.

Położenie gieograficzne Wilna na drodze między Petersburgiem a Warszawą—dwoma wybitnemi ośrodkami muzycznemi sprawia, że w przejeździe występują tu prawie wszyscy wirtuozi. W ostatnim miesiącu mieliśmy takie znakomitości jak Backhauz (pjanista o niezwykłej technice, trochę chłodny, t. zw. muzyk absolutny, zadawalający się barwnością kolorytu i czystemi kombinacjami dźwiękowemi bez nadawania im znaczenia historji duszy ludzkiej) i Hoffmann, w którego grze, choć idealnej pod względem technicznym i estetycznym, jak i w doborze programu przebijało pewne lekceważenie publiczności prowincjonalnej.

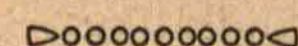
Mieliśmy również skrzypków: Manena (o olbrzymiej technice i niepoślednicj miary artyzmie) i o wiele głębszego odeń Marteau — imponującego olbrzymim tonem i uduchowieniem interpretacji.

Usłyszeliśmy również po raz drugi w tym sezonie Barcewicza. Był to koncert klubu rzemieślniczego, który trwa dalej w chwalebnym zamiarze urządzania koncertów o wysokim poziomie artystycznym.

Niezwykłe powodzenie miał pjanista Smidowicz na koncercie Lutni. Duży i różnorodny program dał nam poznać artystę wybitnego, wszechstronnego, z usposobienia liryka, którego grę cechuje jak gdyby pewne zamyślenie.

Ocena zresztą koncertów urządzanych przez „Lutnię“ i wogóle całej jej działalności na tem polu wymaga osobnego sprawozdania.

H. Łopuska.



Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. t. „Nowa placówka“, dotyczący założenia Bibljoteki im. Eustachego i Emilji Wróblewskich, wymaga pewnych wyjaśnień.

Przedewszystkiem muszę sprostować wyrażenie, użyte przez autora artykułu, jakobym złożył społeczeństwu „magnacki“ dar, gdyż działałem tylko w myśl życzenia moich rodziców, a że przeznaczonych na cele społeczne pieniędzy nie przywłaszczyłem — tego nikt chyba mi za zasługę poczytać nie może.

W kwestji ograniczonej ilości członków rzeczywistych zaznaczyć należy, że założyciele powodowali się tu jedynie przeświadczeniem, że instytucja funkcjonuje o wiele sprawniej przy określonej liczbie gospodarzy, rolę których w myśl ustawy pełnią właśnie członkowie czynni. Natomiast liczba członków wspierających i dożywotnich jest nieograniczoną, prawa zaś ich co do korzystania ze zbiorów T-wa są te same, co i członków czynnych.

Wreszcie niesłuszną jest zanotowana pogłoska, jakoby nasza Bibljoteka miała konkurować z T-wem Przyjaciół Nauk. Jest to zupełnie niemożliwe z powodu działania obu instytucji w różnych zupełnie płaszczyznach. T-wo Przyjaciół Nauk, zarówno jak T-wo Naukowe Litewskie, gromadzą podług ustawy, zbiory swoje dla celów naukowych, swoich członków i wprowadzonych przez nich gości. Nasza zaś instytucja jest *oświatową* i organizowane przez nią czytelnie będą służyć do powszechnego użytku wszystkich żądnych wiedzy, bez różnicy płci, pochodzenia i wyznania.

Chyba w interesie „przyjaciół nauki“ leży rozwój czytelnictwa, jak również w interesie krzewicieli oświaty rozwój nauki.

Proszę przyjąć etc.

Tadeusz Stanisław Wróblewski.

ooooooooooo

Marzenia o jawnogrzesznicy.

Marja Magdalena, powieść przez *Gustawa Daniłowskiego*. Kraków. Spółka nakładowa „Książki“, 1913.

Gustaw Daniłowski przedsięwziął dzieło trudne i śmiałe: napisał „romans“, w którym znaczną część stanowi nauka i męka Jezusa Chrystusa. Gdy do przedmiotu takiego zabiera się pisarz religijny, można z góry przewidzieć ogólny ton narracji. Ale jakże wypadnie „powieść“ o Golgocie, gdy jej dotknie człowiek wolnomyślny? czy zdoła utrzymać się na tym wysokim poziomie, jakiego wymaga sama natura tematu a jednocześnie nie obrazić uczuć szerokich mas czytelniczych, dla których powieść jest przeznaczona?

Daniłowski rozstrzygnął zagadnienie bardzo łatwo: w opisach nauczania Chrystusowego i Passji stanął ściśle na gruncie wersji Nowego Testamentu. Starał się słowa Chrystusa powtarzać o ile możności dosłownie z Ewangielji a przebieg pojmania, sądu i ukrzyżowania odmalował naogół bez żadnej głębszej inwencji poetyckiej. Najlepiej wypadły dość żywe postacie kapłanów żydowskich. Są to nietylko żarliwi opiekunowie starego zakonu, ale mściwi obrońcy własnych stanowisk. Mniej ciekawie narysował Daniłowski figurę Piłata. Nie ma on żadnego określonego charakteru. Oto np. próba jego djalogu: — „Czy wyście powarjowali?—wmawiacie we mnie, że dybię na śmierć tego człowieka. Ależ gotowym trzy dni spędzić o chlebie i wodzie, by go ocalić, choćby na złość kapłanom. Marzyciel, zgoda—ale jak się wam zdaje? czy słowo to wystarczy, gdy wypadnie mi zdawać sprawę przed Cezarem? Nie!—i słusznie! Z marzenia wszystko się poczyna, marzenia szybko bujają w kłos i ścinać je póki czas należy — tak powie Tyberjusz. Sejan też marzy... Dla romantycznej (!) historji chcecie, bym poświęcił karjerę, głowę nadstawił dla pięknych oczu Marji“.

W takiej bezstylowości utrzymana jest cała tragiedja Golgoty. Ani razu Daniłowski-poeta nie nie dojrzał kolosalnego patosu chwili, ani razu nie drgnęło mu silniej serce. O cudach Chrystusa, śmierci, zmartwychwstaniu opowiada ze spokojem realisty, jak o wypadkach bardzo zwyczajnych i pospolitych. Swego poetyckiego stanowiska do przedmiotu nie odsłania nigdy: jest niezdecydowany, albo szablonowy; nie chce obrazić uczuć chrześcijańskich, ale sam nie ujawnia też żadnych określonych uczuć.

Według planu opowiadania, Pasja miała być tylko centralnym epizodem „powieści“, poświęconej historji Marji Magdaleny. Nawet przy takim planie nie podobna *zmniejszać* okoliczności chwili, która stanowi epokę w dziejach moralnych świata. Poeta, który tematu takiego dotyka, winien dać *własną* wizję dziejowego momentu, aby dostatecznie usprawiedliwić potrzebę swej opowieści.

Daniłowskiemu chodziło o „psychologję“ Marji Magdaleny. Jakże ją skonstruował? Historja Marji Magdaleny nie jest dostatecznie ustalona. Jedna tradycja mówi, że była siostrą Łazarza i Marty; inna, przyjęta przez kościół wschodni, przez krytyków protestanckich, a nawet przez niektórych doktorów katolickich XVI wieku, zapewnia, że Marja Magdalena—jawnogrzesznica z Naim i Marja z Betanji, siostra Marty i Łazarza—to dwie odrębne osoby. Daniłowski wierny jest w swej powieści pierwszej tradycji. Była mu dogodna dla zwartszej budowy powieści.

Czy jednak to przebywanie w biednej, poczciwej rodzinie Łazarza daje się pogodzić chociaż jako tako z życiem Magdaleny? Daniłowski nie chciał z niej uczynić pierwszej lepszej dziewki sprzedajnej. Byłaby za mało interesująca. Ubrał ją nietylko w krasę nadzwyczajną, ale w bogactwa, inteligencję, wyrafinowanie, ponęty wielkiej hetery greckiej. Magdalena prowadzi żywot, którego wystawności i zbytku mogłaby jej pozazdrościć Chryzis Louysa z jego „Afrodyty“. Odmalowawszy dekoracje tego żywota z niemałym talentem, Daniłowski doszedł do szczególnego wniosku, że dla stworzenia podłoża duszy Magdaleny dobrze będzie „przerobić“ w marzeniu wszystkie lekcje orgji zmysłowych, do jakich Magdalena była zdolna. Taki podręcznik jawnogrzesznictwa w Betanji nie podobał się, oczywiście, prokuratorji krakowskiej, która książkę skonfiskowała; do nas zaś dostały się egzemplarze „Marji Magdaleny“ z mocnem wykropkowaniem jej poglądowych wykładów grzechu. Nic nie pomogły rezolutne zastrzeżenia Marji Magdaleny, która, „przeciągając się rozkosznie“, takie powtarza za autorem uogólnienia obyczajowe: „Czego się jedni wstydzą, to inni rzeźbią na krużach, na drzwiach, a na straży lasów, rozłożystych drzew, zacisznego, stworzonego dla schadzek cienia, stawiają chutne bóstwo: Pryjapa. U nas jest wszystko zdrożne—myślała—spętane surowym przepisem twardego zakonu! a tam na wschód i zachód szeroki, kipiący radością życia świat, gdzie upojenie miłosne nie jest grzechem, lecz darem bogów, przedmiotem sztuki i religijnego obrządku! Tu psalmy jęczą pokutne, a tam cudną helleńską mową dzwonią pieśni weselne, słodkie głosy fletni, tańce polotne“. Pomimo tych zastrzeżeń, racja... „przerabiania“ praktyk kurtyzańskich Marji Magdaleny nie została przez autora dosta-

tecznie uzasadniona. Niema w nich tej siły fatalnej, która reguluje formy grzechu, która pogrąża istotę w piekło niepokojów ciała; jest tylko swawola marzenia, dla której karą będzie niezdrowa sensacja.

Co gorsza, cały ten żywot Marji aż do chwili spotkania Chrystusa, nie zdoła wyjaśnić jako tako późniejszego jej przeobrażenia wewnętrznego. Prócz pewnych napomknień o historji Magdaleny, niema w tej pierwszej fazie jej życia żadnych oznak zdolności gwałtownej przemiany niedalekiej. Trzeba było poprzestać na rozwałkowaniu wersetów biblijnych. Nad jednym tylko Judaszem zastanowił się autor głębiej i starał się uczynić z niego postać, odskakującą nieco od szablonu. Judasz włóczył się po różnych krajach. Ma duszę chorą i niespokojną, a pełen jest żądzy wszelakich. On to uwiódł Marję, on pierwszy staje przy Chrystusie, biorąc jego naukę dosłownie, t. j. oczekując wciąż przewrotów państwowych, nowego króla i t. d. Nawet zdradzając, Judasz myśli wciąż, że zmusi w ten sposób Chrystusa do działania. Samobójstwo Judasza pozostawił autor w cieniu; tylko Marja, która odnajduje jego trupa, bierze w swe dłonie rozsypane przy nim srebrniki i rzuca je w... „wierną rzekę".

Dopiero w ostatniej części powieści, po ukrzyżowaniu, zbliża się Daniłowski do Marji z odrobiną poezji. Poezja to wciąż wątła, niepewna, ale ujawnia się pomimo wszystko. Mniej wyraźna w malowaniu życia Marji w grocie, zyskuje barwę i mocny wyraz w opisach pobytu Magdaleny w Marsylji, historji jej stygmatów, wreszcie ofiarnej śmierci przy krzyżu, który wystawili wierni na jej żądanie, aby mogła powtórzyć ból męki Chrystusowej, złączyć się ze swym oblubieńcem na krzyżu. Niestety, i w tych końcowych, najpiękniejszych stronicach, zbyt razić będzie czytelnika udana wiara w mistyczną legiendę. Po przez realizm autora dostrzegamy sceptyczny jego uśmiech, który tem właśnie drażni, że się tai po za naiwnością wersji.

„Marja Magdalena" jest niewątpliwie dziełem talentu. Wadą jej — zmącony ton opowiadania, próba połączenia sprzecznych nastrojów, pogodzenia tradycji chrześcijańskiej z chłodnem roztrząsaniem realisty. Gdy do tych szkopułów dodamy jeszcze trzeci: niepotrzebne opisy kurtyzaństwa Marji, zrozumiemy, że ta szczególna „powieWność" stanie się niezawodnie przedmiotem bardzo żywych, ale przeważnie... jałowych dyskusji.

Jan Lorentowicz.

⊳○○○○○○○○⊲

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Wacław Gąsiorowski. *Babilon.* str. 329. Warszawa 1912. Nakład kary przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

W publicystyce polskiej utaiło się mniemanie, że Francja spółczesna znajduje się w stadjum zupełnej korupcji. Zdanie to nie jest tylko polskiej publicystyki odkryciem. Niemcy wytrwale dążą do unicestwienia zewnątrz siebie wpływów francuskich i przez to rozpuszczają na świat cały podobne wyroki.

Książka p. Gąsiorowskiego chce obalić wszystkie te niesłuszne mniemania. Ze wszystkich więc stron stara się przedstawić życie spółczesnej Francji. Polityka, ekonomja, życie społeczne i artystyczne, życie rodzinne — wszystko to obejrzał p. Gąsiorowski i komunikuje nam rezultaty swoich oględzin. Nie może być mowy bowiem o wyczerpującem studjum. Chodziło p. Gąsiorowskiemu tylko o rolę sumiennego sprawozdawcy — korespondenta, co miejscami udaje się mu w zupełności.

Zasadniczą cechą spółczesnego życia w Francji jest niesłychana intensywność pracy. Kto patrzył w stosunki francuskie nie z okien teatrzyków, knajp i nocnych spelunek, a wszedł w sam wir tego wiecznie spieszącego życia, musiał zdumieć się, jak zachłannie, jak wytężenie tu pracują. Po za tą pracowitością uderzy też każdego dziwna radosność, słoneczna jasność charakteru i ducha. Francuz się nie martwi, francuz nie wyciąga rąk o pomoc, francuz nie liczy na nikogo. Nauczył się ufać siłom własnym, idzie naprzód odważnie i bez trwogi. Ufając sobie — francuz umie ufać każdemu. P Gąsiorowskiego nie dziwi z jaką łatwością francuzi udzielają kredytu każdemu człowiekowi, choć niema dnia, by dzienniki nie przynosiły wiadomości o oszustwach. Prawo francuskie dla oszustów, podstępnych bankrutów jest nielitościwe.

Tego rodzaju psychologiczne zalety odszukał p. Gąsiorowski u francuzów. Co do kobiety francuskiej — mówi p. Gąsiorowski, że jest dobrą matką, oszczędną gospodynią, pracowitą pomocnicą męża. Jest wymagająca w swojem uczuciu, ale i wierna, jak rzadko. Tylko w podłych ramotach czyta się o „niewiernych" francuskach. W rzeczywistości zaś procent niewiernych małżonek napewno nie jest większy, niż w państwie bojaźni bożej i pruskiej pikelhauby.

Mówi się też o anarchji rządów we Francji. Pan Gąsiorowski dostrzegł niesłychaną sprawność w rządach rzeczypospolitej. Funkcjonuje tu wszystko nie gorzej, niż w innych państwach. Że upada jakieś ministerjum, że jakiś kacyk niedługo utrzymuje się na powierzchni — to wcale nie znaczy, że kruche są fundamenty państwowości francuskiej. Rzeczpospolita stoi na energji i dzielności swoich dyplomatów, na roztropności deputowanych i polityków. Duch obywatelski tak rozwinięty jest w społeczeństwie, że w każdej chwili dla dobra ogółu umie on poświęcić swoje nawet nieraz słuszne pretensje. W cyfrach rozwój stosunków przedstawia się zupełnie wyraźnie. Widać, że niema tu rozkładu.

Dług publiczny z 12 miljardow zmniejszył się do 4-ch, pomimo, że wydatki na cele wojenne podniosły się w trójnasób. Nie mówi się tu o takich wydatkach, jak ministerjum oświaty. Przecież w roku 1869 etat tego ministerjum wynosił tylko 24 miljonów franków. W 1909 roku uchwalono 274 miljony na cele oświatowe. Zdaje się, że już te liczby świadczą o ekspansji francuskiej. Trzeba bowiem dodać, że liczebność francuzów od tego czasu zaledwie o jeden miljon się zwiększyła. (1869 roku — 38 mijonów. 1906 — 39 miljonów).

Książka p. Gąsiorowskiego jest bardzo interesująca. Byłaby jeszcze więcej interesująca, gdyby pan Gąsiorowski powstrzymał się w swoich zachwytach dla Francji i nie apoteozował burżuazji. Co więcej, robi pan Gąsiorowski z mieszczaństwa francuskiego jakichś idealnych obywateli, sądzi, że ich episierski i oszczędnościowy rozumek powinien się stać pochodnią prowadzącą

życie społeczne. Dla nas polaków, żyjących w quasi — konstytucyjnych państwach obywatelskość urządzeń francuskich jest bez wątpienia pożądanym czynnikiem. Nie znaczy to jednak, iż jest to ostatni wyraz, ostatni szczebel w rozwoju społecznym.

Nawet w robotniku francuskim podkreśla p. Gąsiorowski pierwiastki episierstwa i uważa je za „zdrowy instynkt“. Solidarność klasowa proletarjatu francuskiego jest wymysłem dla autora „Babilonu“. Sądzi on bowiem, że Jaurés, Hervé, oraz wogóle stronnictwa polityczne, reprezentujące robotników nie są wcale rewolucyjni. Wypowiada się przez te partje taki sam gienjusz francuskiego narodu — jak i przez inne stronnictwa, nie pozbawiony instynktu samozachowawczego i nic więcej.

Nie zupełnie też dobrze wyjaśnia p. Gąsiorowski przyczyny wyludnienia Francji. Jeżeli bowiem rzeczywiście tak jest, jak opowiada p. Gąsiorowski, to nie znaczy wcale, że należy z tego brać przykład.

Dziennikarstwo, życie parlamentarne wraz z różnemi „panamami“ oraz „dreuffusjadami“ — nie przerażają, ani dziwią. Są one oparte na chęci zysku, zarobku. Tu bowiem każdy marzy, by zostać rentjerem. Tu nawet stróże, „concierge“ odcinają rentę. A więc i sprzedajna krytyka i wściekła reklama literacka i artystyczna—są „normalnym“ wykwitem tych „zarobkowych“ stosunków.

Gdy się odrzuci balast uwielbień p. Gąsiorowskiego dla mieszczaństwa— książkę z pożytkiem przeczytać można. O rozkładzie bowiem moralnym episjerji z nad Sekwany—pisali i piszą sami francuzi. Mieszczaństwo wprawdzie nie skończyło jeszcze swojej historycznej roli, ale też nie jest już w zaraniu twórczych, życiodajnych młodych sił. To należało zaznaczyć przy omawianiu stosunków francuskich. Pan Gąsiorowski zaś wolał przedstawić mieszczaństwo, jako klasę twórców a Rzeczpospolitą, jako apoteozę ich rządów.

Stanisław Przybyszewski. Wyzwolenie. (powieść) „Mocnego człowieka“ część II. str. 311, Warszawa (bez daty) Nakład Gebethnera Wolffa.

Bielecki popełnił szereg zbrodni kłócących się z kodeksem karnym i moralnym dla jednej jedynej fantasmagorji, dla sławy. Ukradł dramaty, który otrzymały na konkursie pierwszą nagrodę i chcąc, by nie wydała się tajemnica kradzieży, utopił swą kochankę.

Sławę zyskał, lecz spokój jego odszedł gdzieś daleko. Wytężona czujność sumienia nurtuje cały jego organizm. Ciągle czuwa w mózgu myśl okropna, przypominająca za jaką cenę zdobył rozgłos, śmieszny nimb glorji.

Problem psychologiczny Bieleckiego jest nadzwyczaj interesujący, gdyż chodzi tu o stosunek człowieka do pisarza. Każdy pisarz okrada siebie, jako człowieka. Nie żyje, jak zwykły śmiertelnik, lecz zawsze czyha w nim osobnik, który każdy szczegół transponuje na epizod dramatyczny czy powieściowy. Przybyszewski postawił pytanie, czy warto dla sztuki poświęcać siebie jako człowieka?

Bo przecież artyści popełniają różne niedorzeczności, różne życiowe nonsensy i z tych konfliktów tworzą swoje poemata. Gdy zbierają kwiaty i uznanie za swoją sztukę, przestają być ludźmi. Są tylko pisarzami, są sprytnymi konstruktorami, którzy krew jakiegoś przeżycia umieją zamknąć w pewną gładką a ekspresyjną formę.

Otoż czy sztuka usprawiedliwia ich życie? Przybyszewski w pierwszym okresie swojej twórczości zupełnej udzielał absolucji artystom dla ich sztuki. Sztuka mazała wszystkie winy. Ciekawe, że obecnie zagadnienie w inny sposób rozwiązuje. Dziś miłość, dziś życie, dziś prawda rehabilituje artystę wobec sumienia i ludzi.

To przesunięcie punktu ciężkości jest nad wyraz znamienne. W stosunku do przeszłości, jest niemal całkowitem zaprzeczeniem.

Bielecki w miłości dla Niny odnalazł odkupienie, odnalazł wyzwolenie ze swoich dramatów. Miłość stała się djonizejskim hymnem, który słodkiemi swemi melodjami łagodzi i unicestwia wszystkie zgrzyty duszy.

Perypetje zatargu moralno - psychologicznego opowiedział z właściwą sobie furją Przybyszewski. Zdolność uplastyczniania najbardziej subtelnych zgrzytów djalektyki moralnej wyraziście mówi poprzez dosadne stroniczki ostatniej powieści autora „Wigilji“ o niesłychanej jego wrażliwości dla spraw psychologji i etyki.

Tło powieściowe doskonałe. Nie wszystkim może przypada do gustu ten goyowski rodzaj sztuki, jaki uprawia Przybyszewski, lecz jest to kwestja estetycznych zapatrywań, a nie ma ona nic wspólnego z większą lub mniejszą wartością dzieła.

Typy ludzi narysowane zwięzle, wyraźnie. Długo pozostają w pamięci kawiarniani gienjusze Przybyszewskiego, lub też owa Egerja, Ada. Język o szerokim, prozodyjnym rytmie, okresy płynne i wartkie, przykuwają uwagę czytelnika i trzymają w skupieniu poprzez cały ciąg interesującej opowieści.

Gustaw Olechowski. Dzieje mężczyzny. (powieść) str. 409. Warszawa (bez daty) Nakład Gebethnera i Wolffa.

Właściwie powieść pana Olechowskiego powinna się nazywać pamiętnikiem erotycznych przygód Stanisława Bruzdy. Od 15 roku życia opowiada swoje dzieje miłosne, przygody alkowiane. Zaczyna od służących a kończy w egzotycznej krainie Kongo na czarnoskórej córce słonecznej Afryki swoje kawalerskie eksperymenta. Wreszcie, jak przystało na solidnego człowieka żeni się... z miłości. O tych dziejach nie opowiada już p. Olechowski.

Najciekawsze stroniczki pamiętnika p. Bruzdy są te, które dotyczą Kongo. Wiele w nich barwnych uwag o obyczajach tamtejszych, o gospodarce białych. Gdyby nie te stroniczki, powieść była by bardzo niezajmującą. Nic w niej niema bowiem, coby mogło naprawdę skupić czy zainteresować. Tyle już naczytaliśmy się o różnych awanturach salonowo-buduarowych, o różnych romansach lekarzy z księżnami czy hrabinami. Masaż jest dobrą rzeczą, o ile nie usprawiedliwia grzeszków, które w konsekwencji skazują delikwentów znów na... masaż. Pojedynek p. Bruzdzie się udał, ale pamiętniki zbyt są długie.

Eustachy Czekalski.

⊳oooooooooo⊲

Bez steru.

Korespondent petersburski „Przeglądu Codziennego“ stwierdza, że w toku prac czwartej Dumy, coraz bardziej daje się odczuwać brak trwałego centrum, brak środka, który mógłby określić i wytknąć w mniejszem lub większem przybliżeniu linję przewodnią polityki prawodawczej.

Nacjonaliści, którzy w okresie stołypinowskim usiłowali stanąć u steru działalności Dumy i dzięki którym przeprowadzone zostały tak poważne, przewrotowe reformy, jak oddzielenie Chełmszczyzny, uszczuplenie praw konstytucyjnych Finlandji, ziemstwa na Litwie i Rusi, okazali się niezdolnymi do jakiejkolwiek pozytywnej, budującej pracy.

Zresztą było to do przewidzenia. Partja ta, powstała na kresach, jest wyłącznie produktem nienawiści dla opornych rusyfikacji mniejszości narodowych. Tam, gdzie niema kwestji narodowościowej, mikrob nacjonalizmu rosyjskiego szybko zanika.

Październikowcy oddawna już przestali egzystować, jako ściśle zarysowana partja polityczna. Była to partja Guczkowa. Po smutnym fiasku i ustąpieniu jego z widowni, pozostała nieskoordynowana grupa bez wodza, bez idei. Lada powiew, szczególnie zaś, o ile pochodzi ze sfer górnych, może ich pchnąć w tę lub ową stronę.

Skrajna prawica jeszcze mniej, niż nacjonaliści, stworzona jest do pracy parlamentarnej. W dodatku jest ona zasadniczo przeciwną samemu istnieniu parlamentaryzmu. Czyż można poważnie traktować Puryszkiewicza, Markowa II lub Szulgina, jako prawodawców?

Postępowcy i kadeci stanowią być może najodpowiedniejszy materjał dla twórczości konstytucyjnej. Przy innych warnnkach byliby oni naturalnym punktem ciężkości Dumy, skoro jednak warunków tych niema, drudno operować fikcjami.

Reszta opozycji, składająca się z drobnych grupek, zbyt słaba jest i zbyt rozstrzelona, by móc wywierać jakiś wpływ poważniejszy na kierunek działalności Dumy.

Ten stan rzeczy wymownie się zaznaczył podczas ostatnich obrad z powodu wystąpienia ministra Kasso, jak również i w kilku innych wypadkach.

A jednocześnie, co jest rzeczą wysoce charakterystyczną, ujawnił się pewien opozycyjny nastrój tej różnolitej, różnobarwnej zbieraniny, jaką przedstawia Duma państwowa, w stosunku do polityki rządu.

Przyczyny jasne. I ze strony rządu niema tej świadomej, konsekwentnej, prostolinijnej w raz obranym kierunku polityki, jaka cechowała gubernatorskie rządy Stołypina.

Koła liberalne nie bez pewnej sympatji powitały nowego ministra spraw wewnętrznych, Makłakowa, który w swych mowach inauguracyjnych zapowiedział okres panowania prawa w życiu państwowem. Powiało przez chwilę wiosną.

Było to jednak tylko złudzenie. Okazało się, iż nowy minister, mimo swych rozległych pełnomocnictw, nie jest widocznie mocen dokonać zamierzonego przez siebie dzieła. Już pierwsze jego kroki, przedsięwzięte w celu sanacji niektórych gałęzi władz administracyjnych, spotkały się z wyraźną niechęcią ze strony sfer miarodajnych.

Jeżeli zaś w łonie samego gabinetu zaznaczyły się rozbieżne prądy, niepodobna przypuścić, by nastąpił jakiś bliższy, umożliwiający zgodną pracę, kontakt pomiędzy gabinetem a Dumą państwową.

W atmosferze nieokreśloności, jaka zapanowała na całej linji, przyszłość zarysowuje się bardzo mglisto. Na razie wypadki zewnętrzne i sytuacja międzynarodowa odciągnęły nieco uwagę rosyjskich sfer politycznych od bliższych zagadnień.

Co nastąpi potem, gdy czwarta Duma wdroży się w swe funkcje prawodawcze, trudno powiedzieć.

W każdym bądź razie w dobie obecnej, dobie depresji społecznej i wyjałowienia, na wielkie niespodzianki i możliwości ze strony grand inconnu, jak lubią Rosję nazywać cudzoziemcy, liczyć nie należy.

NA WIDNOKRĘGU.

We Francji i w Niemczech zapanowały nastroje walki podczas pokoju Rządy obu państw wnoszą projekty nowych uzbrojeń, a prasa tu i tam, rzuca stronie przeciwej mniej, lub więcej ostre pogróżki. Przed samym wybuchem wojny bałkańskiej, dawało się dostrzegać w dziennikach paryskich i berlińskich dość znaczną zgodność zapatrywań, wypływającą z pewnej zgodności interesów w kwestji utrzymania Turcji. Ale w miarę, jak rozwijał się kryzys wschodni i przybierał rozmiary wielkiego przesilenia, stającego się dla wszystkich mocarstw próbą siły i znaczenia, Francja przeszła stanowczo do polityki aliansu podwójnego i zaczęła ją akceptować bardzo wyraźnie.

Jakże blade w porównaniu do dzisiejszego było stanowisko Francji podczas zatargu aneksyjnego! Potrzeba aż było późniejszych wynurzeń i zapewnień,ażeby przekonać opinję, że rząd rzeczypospolitej nie zamierzał opuścić Rosji, że w razie potrzeby gotów był śpieszyć jej z pomocą.

Dzisiaj jest zgoła inaczej. Francja wyraźniej, niż kiedykolwiek manifestuje chęć odgrywania polityki mocarstwowej. Pragnienie to datuje się od znanego zatargu agadirskiego, który zadał dotkliwy cios dumie narodowej francuzów.

Wytworzyła się wówczas tak szczególna sytuacja, że w obu spółzawodniczących krajach opinja publiczna odczuwała w wyniku owego zatargu swoją porażkę, której winę przypisywała własnemu rządowi. Pangiermaniści biadali nad słabością polityki niemieckiej, która zadowoliła się nędznym ochłapem francuskiego Konga, zamiast wolę swą podyktować Francji i Anglji i tem określić stanowisko Niemiec w Europie. Zamiast głosić swe zwycięstwo, szowiniści pangiermańscy podnieśli niebywały lament, skarżąc się na klęskę i upokorzenie. Klęska zaś polegała na tem, że nie wzięli tyle, ile pragnęli.

Ale jeszcze gorzej powitano rezultat sporu we Francji. Minister Lebrun oblał go w Izbie deputowanych łzami. Za upokorzenie Francji uznało go wielu wybitnych polityków, a Poincaré, obejmując urząd, dał do zrozumienia, że zawarta umowa jest poniekąd faktem dokonanym i musi być zatwierdzona pomimo jej stron ujemnych.

Agadir wywołał we Francji reakcję na korzyść patryjotyzmu i militaryzmu. Minister wojny, Millerand, pozwolił sobie w tym kierunku na wiele rzeczy, które uchodziły za niemożliwe od znanego przełomu, związanego ze sprawą Dreyfusa. Poincaré, jako kierownik polityki zewnętrznej, usiłował nadać mocniejszy ton wystąpieniom rzeczypospolitej na zewnątrz. W początkach kryzysu bałkańskiego wygłosił znaną mowę, w której oświadczył, że Francja nie pragnie wojny, ale się jej nie boi.

Stanowisko Francji podczas obecnego kryzysu odznacza się daleko posuniętą aktywnością. Wprawdzie występuje ona w roli aliantki Rosji, ale tym razem spełnia ją ze swym własnym impetem i ze szczególnem zaangażowaniem własnej godności mocarstwowej. W stosunku do Austrji postawa prasy francuskiej prawie nie różniła się od rosyjskiej, bywały nawet tygodnie, kiedy panslawizm nad Sekwaną wydobywał tony namiętniejsze, niż nad Newą.

W zwycięstwach koalicji bałkańskiej, w pogromie Turcji alians podwójny widzi zadatek swego własnego zwycięstwa nad trójprzymierzem. Dla Francji sukcesy związku bałkańskiego stanowią część jej historycznego odwetu, oraz powrotu do zapomnianych tradycji mocarstwowych.

W tych warunkach wielkie projekty militarne, zainicjowane prawie jednocześnie, mają swą szczególną wymowę. Francuski stanowi odpowiedź rzeczową na niemiecki, odpowiedź do takiego stopnia bezpośrednią, że na opinję europejską, przedewszystkiem zaś na opinję obu tych krajów, musi to robić wrażenie skrzyżowania szpady. Niemiecki partner dorzuca na szalę wielki ciężar i patrzy w oczy swej rywalce, czy nie dostrzeże lęku i odruchu wstecz.

Chodzi o to, że Francja środkami zwyczajnemi nie może dotrzymać kroku przyrostowi siły niemieckiej. Pozostaje jej środek nadzwyczajny — wznowienie służby trzyletniej. Tu jednak wchodzi w grę opór socjalistów i innych żywiołów radykalnych, które we Francji posiadają wpływ o wiele większy i realniejszy, niż w Niemczech.

Decyzja narodu francuskiego, która zapadnie w najbliższej przyszłości, będzie miała pierwszorzędne znaczenie. Już w czasie pokoju określi ona ze znacznem prawdopodobieństwem moralny stopień pogotowia wojennego, jaki w narodzie tym spoczywa.

KRONIKA.

= Zawieszenie T-wa Kultury Polskiej.

Z rozporządzenia gienerał-gubernatora warszawskiego działalność T-wa Kultury Polskiej i oddziałów została zawieszona.

Zawieszenie to ma charakter tymczasowy; nastąpiło ono wskutek raportu, złożonego przez władze policyjne, a zarzucającego T. K. P pogwałcenie ustawy.

W celu wyjaśnienia, o ile dane zawarte we wspomnianym raporcie odpowiadają rzeczywistości, gubernator warszawski zarządził przeprowadzenie specjalnego dochodzenia, oraz polecił wybadać członków zarządu T-wa. Jeżeli wyniki wszczętego dochodzenia potwierdzą zarzuty, zawarte w raporcie, wówczas kwestja ostatecznego zlikwidowania Towarzystwa Kultury Polskiej poddana będzie orzeczeniu komisji gubernjalnej do spraw stowarzyszeń—co potrwa nie mniej, niż miesiąc czasu.

W rasie przeciwnym, t. j., o ile zarzut pogwałcenia ustawy nie znajdzie potwierdzenia, wznowienie działalności T. K. P. nie jest wykluczone.

= Sprawa ks. Hanicza.

Dnia 7 lutego departament kasacyjny Senatu, osądził sprawę księdza Antoniego Hanicza, z gub. mińskiej, oskarżonego o to: 1) że ochrzcił dziecko małż. Sereda, wiedząc o tym, że tylko matka dziecka jest katoliczką, 2) że, w charakterze proboszcza, fałszywie zapisał do ksiąg owe dziecko, jako nieślubną córkę niejakiej Pawłowskiej i 3) że w imieniu Pawłowskiej napisał fałszywą prośbę o ochrzczeniu jej córki.

Izba sądowa w Wilnie pomimo tego, że większa część oskarżenia została obalona przez 10 świadków, skazała ks. Hanicza na pozbawienie szczególnych praw oraz na rok i 4 miesiące twierdzy.

Senat skasował wyrok Izby i nakazał ponowne osądzenie sprawy.

= Konfiskaty.

W Warszawie uległy konfiskacie numery „Kurjera Warszawskiego" i „Gońca" za przedruk z „Kurjera Litewskiego" opisu uwięzienia ks. Miłaszewskiego, oraz numer „Kurjera Porannego" za artykuł „Zawieszenie T-wa Kultury Polskiej".

W Wilnie został skonfiskowany № 33 „Kurjera Krajowego" za artykuł wstępny p. t. „Chwila osobliwa".

= Uchwały stronnictw galicyjskich.

Odbyły się w Galicji zjazdy delegatów stronnictw ludowego i demokratycznego. Uchwalono na nich wystąpienie z Rady Narodowej i przystąpienie do Komisji Tymczasowej.

= Konwencja literacka Niemiec i Rosji.

Na naradzie pełnomocników Niemiec i Rosji celem zawarcia konwencji literackiej przyjęto projekt w redakcji bardzo zbliżonej do konwencji francusko-rosyjskiej. Zmiany, w porównaniu z tą ostatnią, przyjęte na posiedzeniu, mają na celu, o ile można, zbliżenie do zasad autorskiego prawodawstwa rosyjskiego. To było tem łatwiejszem, że odnośne prawo niemieckie w swojej treści zbliża się bardziej do rosyjskiego, niż do francuskiego.

Dnia 15 b. m. miało nastąpić ostatnie posiedzenie pełnomocników, poczem projekt konwencji będzie wniesiony do parlamentu niemieckiego, a w Rosji—do rady ministrów.

= Rozłam u październikowców.

„Riecz" donosi, że w związku z wyborami do prezydjum frakcji październikowców wynikł rozłam w jej łonie. Na prezesa i wiceprezesa wybrani zostali Antonow i hr. Bennigsen, zaliczający się do prawego skrzydła tej partji, która również pragnie obsadzić swymi zwolennikami stanowiska drugiego wiceprezesa oraz drugiego sekretarza. Lewica październikowców nie chce się na to zgodzić, uważając, że jest to odchylenie się ku prawicy. Październikowcy lewicowego autoramentu stawiają sprawę na ostrzu noża, twierdząc, że w takich warunkach niemożliwa jest spólna praca. To też, o ile większość urzeczywistni swój zamiar, lewicowi październikowcy prawdopodobnie wystąpią z frakcji.

Z rozporządzenia komitetu prasowego № 5-6 „Przeglądu Wileńskiego" został skonfiskowany.

Sprostowanie.

W artykule: „Arystydes Briand" w № 5-6 „Przeglądu Wileńskiego" — str. 7, I-a szpalta, 4-ty wiersz od dołu—należy czytać *„opinji powszechnej"*.

Treść numeru.

Wzbierająca fala. — L. Abramowicz.
Większość i mniejszość. — Poseł czynu.
Dzieło „łbów szalonych". — Z. Połkowski.
Po latach pięćdziesięciu. — J. K.
Arystydes Briand. — St. Posner.
Secesja monachijska. — M. Japołł.
Park. — A. Naworski.
Z ruchu muzycznego. — H. Łopuska.
List do redakcji.
Marzenia o jawnogrzesznicy. — J. Lorentowicz.
Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski.
Bez steru.
Na Widnokręgu.
Kronika.
Odcinek: „Piotr Buza". — Z. Tyski.



Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 3 Marca (16 Marca) 1913 r. № 8—9.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ;
w Wilnie Rocznie - 7.00 Półrocznie - 3.50 Kwartalnie - 1.75 Miesięcznie - 60 Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu Rocznie - 8.— Półrocznie - 4.00 Kwartalnie - 2.00 Miesięcznie - 70	Ś. Jerska 15 m. 26 Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp. Skrzynka pocztowa № 52	Przed tekstem za wiersz petitu - 50 k. W tekście (nadesłane) - 1 rb. Po tekście - 20 k. Numer pojedyńczy 15 kop.

Stały sposób.

Do stałych, tysiąckrotnie wypróbowanych metod demagogji, stającej w obronie bezwładu, należy straszenie bezkrytycznych mas obcością każdej, idącej z duchem czasu, idei. Gdziekolwiek i kiedykolwiek zwolennicy reform rzucają hasło odrodzenia społeczeństwa w tej lub owej dziedzinie, wnet alarm podnoszą handlarze tradycji i wytykają szerzycielom „nowinek“ — cudzoziemczyznę.

Jednym z najklasyczniejszych przykładów systemu tego była swojego czasu polityka stronników Targowicy. Jak nam wiadomo z historji, działacze ci—bez względu na to, że sami zaprzedawali się obcemu dworowi—nie ustawali w miotaniu na „kuźnicę Kołłątajowską“ insynuacji, jakoby celem jej było odpolszczenie Polski, „sfrancuzienie“ jej i zarażenie obcą zgnilizną zachodu. Rzekoma obrona „swojskości“ staje się w takich razach lepem, na który najłatwiej daje się brać bezmyślność i inercyjność tłumu. Używa go też wstecznictwo bez żadnych skrupułów, często z najcyniczniejszą świadomością popełnianego kłamstwa.

Rzadko jednak trafiają się wypadki, w których przewrotność tych manewrów daje się unaocznić z całą wyrazistością. Przykłady, czerpane z dawno przebrzmiałych faktów historycznych, nie trafiają do tępych mózgów prostackiego i „inteligientnego“ motłochu. Walka z wstecznictwem jest tem też trudna, że potrafi ona zawsze anektować sobie każdy piękny moment przeszłości—a im dalszy, tem pewniej, z tem większą czyni się to bezceremonjalnością. Wszak od tego są komentatorowie, by fałszowali i przystosowywali do wymagań aktualnej miernoty olbrzymy czasów minionych. Od tego są obchody narodowe, by ducha bezwładu czynić prawym spodkobiercą ducha czynu.

Więc też, gdy my—dzisiejsi „nowinkarze“—wskazujemy, iż broń, której używa przeciw nam spółczesne wstecznictwo, jest ta sama, co godziła ongi w ludzi, teraz przez nie apoteozowanych—odpowiada ono wykrętami, lub też prostem milczeniem; wie bowiem, że mocniejszem od wszelkich argumentów rozumowych jest schlebianie bezmyślności gawiedzi. Do niego się też ucieka jedynie.

Ale oto mamy do zanotowania wypadek, który może niejednemu oczy otworzyć. Wypadek rzadki, stanowiący konsekwencję rozbicia Polski na trzy odrębne społeczeństwa, które przeżywają w różnych (a przecież niezbyt oddalonych od siebie) terminach jedne i te same fazy ewolucji myśli politycznej.

Jak wiadomo, stronnictwo Nar.-Demokratyczne w Poznańskiem dopiero teraz zdobywa stanowisko wpływowe, które w Galicji zdążyło już stracić, a w Królestwie traci. W Warszawie, we Lwowie rozwój jego należy już do przeszłości; kierunek zasadniczy i etap ostateczny znamy. Ideja wszechpolska, po szeregu zwrotów, w rezultacie utożsamiła się ze zwykłym nacjonalizmem, bliźniaczo podobnym do swego pangiermańskiego i rosyjsko-panslawistycznego kompana. Podobnie, jak wszechniemcy, w poszukiwaniu tanich tryumfów, atakują polaków; podobnie jak „prawdziwi rosjanie“—z tych samych pobudek—gromią „inorodców“: tak też wszechpolacy radziby jeździć na barkach rusinów i żydów.

Szablon.

Dziś też mało kto pamięta, że stronnictwo to miało jednak i dni piękne; że jeszcze 20 lat temu szło ono w szeregach przodowników postępu; że dążyło szczerze do odrodzenia narodu środkami kulturalnemi; że brało się z innemi partjami demokratycznemi i mocno atakowało obecnego sojusznika swego — wstecznictwo.

Okres ten należy do bezpowrotnej, choć niedawnej, przeszłości — dodajmy jednak: w Królestwie i Galicji.

Inaczej w Poznańskiem.

Dzielnica ta, wyprzedzająca dwie pozostałe na punkcie kultury chłopskiej, idejowo demokratyzuje się od nich wolniej. Wstecznictwo ma tu żywot twardy. Konserwatyzm zarówno sprytny, jak prostacki, wsparty na zręcznie manewrującym klerykalizmie, nadaje ton duchowemu życiu zaboru pruskiego i rości pretensje do reprezentowania ogółu miejscowych interesów polskich. Lecz ostatniemi czasy jęła śmielej występować na widownię Demokracja Narodowa. Po-

jawienie się jej związane jest ze wzmożeniem się liczebnem mieszczaństwa polskiego, rekrutowanego z dawnych mieszkańców wsi, którym hakata grunt zpod nóg wyrywa.

Rzecz prosta, iż konserwatyści i klerykałowie niezbyt mile witają spółzawodnicze stronnictwo i dokładają starań, by jego wpływy poderwać. Jest to tembardziej zrozumiałe, że w obecnej swej fazie poznańska Demokracja Narodowa przypomina dawną swą imienniczkę warszawską: jest w wielu kierunkach postępowa, ma rozmach, zapał, grupuje dokoła siebie wiele jednostek ofiarnych, wiele umysłów jasnych i dobrze widzących konieczność walki z mnogiemi przeżytkami, stojącemi na zawadzie odrodzeniu polskiego życia umysłowego, polskiej kultury, w dzielnicy, przywalonej wpływami niemczyzny.

Wobec tego, wszechpolacy na gruncie poznańskim reprezentują dziś ruch, życie, pęd w przyszłość— oczywiście, w pewnej mierze; ale w stosunku do zaśniedziałego wstecznictwa są, bądź co bądź, „nowinkarzami".

Jakże z nimi walczy konserwatyzm?

Oto wmawia bezkrytycznym tłumom, że stronnictwo Narodowo-Demokratyczne jest stronnictwem... żydowskiem. Ima się więc tej samej broni, którą owa Nar. Demokracja tak chętnie posługuje się w Królestwie i Galicji, walcząc z postępowcami i socjalizmem.

Gdy przed kilku tygodniami pewien spółpracownik organu zachowawczego mówił mi z całą powagą, że wszechpolaków popierają żydzi, by „nas rozbić"—sądziłem, że kpi ze mnie. Teraz jednak pokazuje się, że insynuacja ta traktowana jest całkiem poważnie. W chwili obecnej nar.-demokratyczne dzienniki poznańskie pełne są na ten temat polemik. Zaklinają się one, iż z żydowstwem nic wspólnego nie mają, ale strona przeciwna wciąż udaje, że temu nie wierzy i oskarżenia swe dalej powtarza.

Dla nas, z zaboru rosyjskiego, jest to epizod tak dziwaczny, że aż śmiech budzi. Komizmu tego wszakże nie ma on bynajmniej w oczach poznańczyków. Niejeden z nich z całą naiwnością odżegnywa się od Demokracji Narodowej, jako partji żydowskiej, masońskiej, godzącej w nietykalną swojskość i fałszowanemi tradycjami karmioną bezmyślność.

Fakt ten doskonale uwydatnia najbardziej charakterystyczną metodę demagogji.

Józef Sorokowicz.

Poznań.

<oooooooooo>

Kwestja żydowska w Królestwie.

Kwestja żydowska w Polsce staje się dziś zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, chociażby ze względu na wpływ, jaki wywiera na ukształtowanie się stosunków wewnątrz społeczeństwa polskiego. Wymaga też gruntownego i wszechstronnego zbadania. Artykuł p. Wl-skiego oświetla kwestję tę z punktu widzenia antyżydowskiego, chociaż nie antysemickiego. Należy rozróżniać te dwa pojęcia. Wydaje się nam słuszną zasadnicza teza autora, iż nienormalne skupienie żydów na terenie ziem polskich wymaga nie szablonowego traktowania stosunków polsko-żydowskich. Zasada równouprawnienia tu nie wystarcza. Za poszczególne jednak wywody p. Wl-skiego redakcja odpowiedzialności na siebie nie bierze, zastrzegając sobie głos na końcu.

Kwestja żydowska w Królestwie — to wprawdzie sprawa nie najważniejsza i nie najtrudniejsza spośród tych, jakie leżą przed narodem polskim, ale bezwarunkowo — jedna z ważniejszych i trudniejszych.

Mało tego, sprawa to jedna z najdrażliwszych—już nietylko przy samem rozstrzyganiu jej, lecz—przy poruszaniu, omawianiu.

Wpływają na to pewne nawyknienia myślowe, pewne schematy, skłonność do upraszczania spraw najwięcej zawiłych.

Powstają na jej tle częste nieporozumienia, powstają dziwolągi określeń, naiwne porównania, cudaczne alegorje, niebaczne wyroki.

Kwestję żydowską przyjęto w Rosji i u nas traktować, jako probierz postępu, święte „tabu".

A więc, kto wypowie się ze słowem choćby krytyki w stosunku do żydów, ten, bez względu na założenie, pomimo przynależności klasowej, po-

---

ZYGMUNT TYSKI. 3

Piotr Buza.

Parobczak był smagły, z wykrętasami, „aligant", dla dziewek jak ulał. Sama nawet panienka miała nań oko łaskawe i ilekroć gdzie jechała, darzyła go sutemi napiwkami. Podobno też miał już siłę „popsutych" dziewcząt na sumieniu, ale się nie żenił z żadną. Wciąż bykował, nie przestając smalić koperczaków do coraz to inszych młódek. Aż ujarzmiła go Józka, dziewucha ognista, ale niedopuszczająca się za nic zniewolić przed ślubem. Dali więc na zapowiedzi, że zaś przeszkód nijakich nie było, wrychle się pobrali i zjechali na swoje śmiecie. Bałukoń bowiem miał ośmak gruntu w sąsiedniej wioszczynie, który czasu służby we dworze wydzierżawiał bratu. Teraz za wspólne pieniądze, uciułane na obowiązkach kupili konia, krowę, nasienie, potrzebne „snaści".

Ale już po upływie kilku miesięcy nowożeniec najzupełniej zniechęcił się do gospodarowania. Rozpatrzywszy się należycie w sytuacji, wymiarkował, że nie było nijakiego profitu na takim spłacheciku „stakonić się". Kilka tych niwek jałowych, kamienistych, a tak wązkich, że jak pies położy się w poprzek na jakiej, to już ogon ma za miedzą — bynajmniej nie rokowały obfitych plonów. Poprostu zachodziła obawa, czy chleba starczy dla obydwojga. Chłop tedy nie namyślał się długo. Sprzedał grunt łącznie z chatynką i walącą się stodołą sąsiadowi o miedzę za 200 rubli i przy pomocy agienta, Mordki, tego samego, co to tak dowcipnie preparował likier, — „poszedł do Amerki", pozostawiając żonę w dość już zaawansowanej ciąży na pokomornem u Buzów.

Ci ostatni z zainstalowania się u nich Bałukoniowej byli bardzo zadowoleni, gdyż lokatorka poczuwała się do obowiązku fundowania niemal co niedziela po funcie sadła na wereszczakę do kaszy lub blinów, co dla całej rodziny stawało się zdarzeniem niezmiernej wagi, wprost epokowem, — śmiało rzec można: o wiele donioślejszem niż najświeższe wynalazki, — odkrycie radu czy bieguna północnego. Po paru miesiącach Bałukoń przysłał żonie

mimo przekonań społecznych i politycznych, uznany jest za reakcjonistę, ergo, porównany z Puriszkiewiczem, Markowem.

Zachodzi dziwowisko tego rodzaju, że można bezkarnie i bez narażenia na utratę patentu postępowości krytykować i wytykać ujemne strony niemców, francuzów, można odsądzać od czci i wiary całe niemal społeczeństwo polskie, lecz nie można krytykować żydów.

W Europie Zachodniej, gdzie najwyższy procent żydów, w stosunku do ludności rdzennej, posiada Austrja — 4,4%, z czego Galicja lwią część, bo 11% swej ludności, gdzie Włochy posiadają żydów — 0,1%, Francja 0,2%, Anglja 0,6%, Bułgarja 0,9%, Niemcy 1,0%, Holandja 1,8%—kwestji żydowskiej niema i być niemoże, istnieje zaś jedynie antysemityzm rasowo-wyznaniowy, antysemityzm naskórka.

W Rosji, gdzie na ogół ludności całego państwa żydów przypada 4,2%, z czego olbrzymia większość odchodzi na Królestwo, Litwę, Białoruś i Ukrainę—kwestja żydowska jest sztucznie wywoływana przez rząd i prasę czarnosecinną. Problemu żydowskiego niema i być nie może, jest tylko ucisk.

Stąd też ludzie, nie znający stosunków w Królestwie, ludzie, przywykli do szablonów myślowych, uważają kwestję żydowską u nas, jako coś sztucznego, coś zgoła niegodnego uwagi, lub wprost mianują dziełem antysemitów, a więc reakcyjnem i wstrętnem.

Zapominają zwykle, lub nie chcą pamiętać o tem, że, nim sądzić, czy przesądzać, należy wszechstronnie zbadać i poznać podłoże i warunki, w jakich dana kwestja powstała.

Kwestji nie ulega, że badanie to i poznanie nie może być i nie bywa—całkiem objektywne.

Tam, gdzie stykają się z sobą dwie gromady ludzkie, mające odrębne rysy charakteru, odrębne potrzeby i dążenia, można tylko i jedynie zajmować stanowisko względne, stanowisko potrzeb i interesów jednej z tych gromad.

Wszelki objektywizm jest i będzie naciągany, bo oparty na racjonalizmie, a nie na życiu, które jest i będzie zawsze walką i tylko walką.

Zasadę walki, jako głównego motoru życia, uznała zarówno filozofja burżuazyjna, której doskonałym wyrazem jest Spencer, jak i proletarjacka, oparta na walce klas.

Różnice zachodzą jedynie w samych założeniach konieczności walki, uzasadnieniu jej, sposobach, systemie.

Poza tem, kto rozumie walkę jednostek w społeczeństwie, ten powinien zrozumieć walkę klas, kto zaś rozumie walkę klas, ten powinien rozumieć walkę gromad ludzkich, narodów o istnienie.

Niestety, proste te prawdy często są przeoczane. Rozumiana jest tylko ta walka, która— w danym momencie, dla danej grupy — jest wygodna, czy potrzebna.

A przecież inna rzecz jest zjawisko jakieś rozumieć, a inna godzić się na nie, uznawać je.

Obecnie często jest stawiane pytanie, dlaczego kwestja żydowska wypłynęła na widownię dzisiaj, kiedy żydzi mieszkają w Królestwie od wieków.

Odpowiedź na to jest prosta.

Dotąd, póki interesy społeczeństwa polskiego — zarówno ekonomiczne, jak i polityczne, nie przeciwstawiały się świadomie interesom żydów, jako masy, dotąd, póki interesy różne się nie ścierały, kwestji żydowskiej nie było. Z chwilą jednak, gdy to starcie nastąpiło, najdrobniejszego wystarczyło powodu zewnętrznego, by oba społeczeństwa wystąpiły przeciwko sobie w rynsztunku bojowym.

Dotąd, póki w miastach Królestwa żydzi byli jedynym prawie żywiołem w dziedzinie handlu, dotąd, póki życie Królestwa, a więc i miasto pogrążone było w letargu społecznym i politycznym, panował spokój martwy.

To też nie bez słuszności zaznacza w swym artykule „Polsko-jewrejskaja raspria", zamieszczonym w № 86-ym gazety petersburskiej „Dień", p. Bikerman, wybitny publicysta rosyjsko-żydowski, że za czasów Hurki, czy Murawjewa Wileńskiego — ani o bojkocie, ani o swarach nie mogło być mowy. Wzdycha on nawet cynicznie do tego, by pojawił się nowy Murawjew w Polsce, bo ten obezwładniłby polaków napewno.

I to westchnienie, to powoływanie się na

---

z Ameryki 50 rubli z listem krótkim, w którym zawiadamiał, iż szczęśliwie dojechał i ma niezłe zarobki. Prosił, aby żona szanowała się, nie pracowała, by, broń Boże, nie zroniła. „Jeżeli będzie syn — pisał — to dasz imię ojcowskie, jeśli zaś córka, to — swoje". W końcu zasyłał ukłony Buzie i Buzowej.

Po tym liście przez długi bardzo czas nie było z za morza żadnej wiadomości. Żona okrutnie się niepokoiła; czepiały się jej najgorsze przypuszczenia. Najoczywistszem zdawało się, że pewnie ciężko zachorował i w cudzej stronie może gdzie umiera w nędzy bez nijakiego dopatrunku i księdza. Wyschła też kobiecina, jak wiór nieprzymierzając z tej ciągłej „nieromości", co to gorzej niż choróbsko jakie żre człowieka. Aż po czterech niespełna miesiącach nadszedł wreszcie list, który jednego ze czwartków przywiózł z poczty ejszyskiej pachciarz Lejba razem z pańskiemi listami i gazetami. Wnet poproszono syna rządcy, co to w Wilnie uczył się w „klasach" i tylko na wakacje zjeżdżał do rodziców— aby raczył pofatygować się odczytać pismo. Chłopak, który właśnie grał na dziedzińcu z resztą młodszego rodzeństwa, skwapliwie skorzystał z zaproszenia i zjawił się do czworaku z powagą i dostojeństwem przynależnem osobie „uczonej". W kopercie oprócz właściwego listu znajdował się jakiś zadrukowany zielonemi literami papier z wytłoczonym na czele takąż farbą, efektownie płynącym parostatkiem, z którego wszystkich kominów buchały kłęby pary. Ten niewiadomego przeznaczenia apendyks zarówno wszystkich ciekawił, jak niepokoił. Oczywiście w liście było rozwiązanie zagadki. To też słuchano, co się zowie, z rozdziawionemi gębami i uszami, gdy pierwszoklasista, właśnie przed ferjami promowany ze wstępnej, jął chłopięcym głosikiem mozolnie odczytywać list, marszcząc się z niesmakiem i zgorszeniem wobec zaiste ekstraordynarnej jego kaligrafji i ortografji co najmniej — fenomenalnej.

Kochana żona, szwagier i szwagierka!

W pierwszych słowach mojego powitania niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a teraz w pierwszych słowach mojego listu donoszę wam, że ja jestem, chwała Bogu, żywy i zdrów, czego i wam wszystkim życzę. Nie pisałem długo, gdyż byłem z początku chory, a potem „wielmi" zajęty. Pracuję w „majnach" głęboko pod ziemią, gdzie kopią węgiel kamienny. Tu nieprzezpiecznie, bo może ziemia

Hurkę i Murawjewa w ustach radykała tylko — byłoby ohydne, w ustach żyda jest charakterystyczne. Ono uchyla nam rąbek zasłony, jaką kwestja żydowska jest zakryta, ono wykazuje nam charakter potrzeb żydów, jako masy.

Nikt lepiej i trafniej nie scharakteryzował masy żydowskiej i jej potrzeb, jak wielki ekonomista, Karol Marks, który pisał: „Chimeryczna narodowość żyda jest narodowością kupca, pieniężnego człowieka wogóle".

A w innym miejscu mówił: „Jaka jest świecka podstawa judaizmu? — potrzeba praktyczna, korzyść własna. Jaki jest świecki kult żyda? Szwindel. Jaki jest jego świecki Bóg?—pieniądze".

Wreszcie pisał: „Sprzeczność między polityczną potęgą żyda w praktyce a jego prawami politycznemi jest sprzecznością między polityką a potęgą pieniężną wogóle".

I istotnie, dla żydów w masie, a więc rzeszy bankierów, kupców, pośredników, sklepikarzy — ucisk polityczny gra rolę podrzędną, dla nich nie tyle reformy demokratyczne są niezbędne do życia, co swoboda ruchów, a więc zniesienie granicy osiedlenia, i wolność inicjatywy handlowej. Ich opozycja nie sięga poza interesy i potrzeby ekonomiczne kupca, giełdziarza.

Zaznaczyć tu należy jeszcze raz, że kwestja żydowska, że t. zw. naród żydowski w Królestwie— to półtora z górą miljona kupców, sklepikarzy, pośredników, faktorów, to półtora miljona nie wytwórców, a pasożytów społeczno-kapitalistycznych. Inteligiencja zaś żydowska i proletarjat żydowski— to tysiące tylko, to znikoma mniejszość.

Żydzi, podług liczb, podanych przez Grabca w jego książce „Współczesna Polska w liczbach i faktach" stanowią 14,39% ogółu ludności Królestwa, która w roku 1907-ym wynosiła jakoby 11.505.112 osób. (Obecnie procent żydów podają na 16%).

„Uważają się oni—pisze Grabiec — za naród odrębny. Podczas spisu jednodniowego ludności w r. 1897 z pośród ogółu żydów do narodowości żydowskiej przyznało się 95%, a tylko 3% do polskiej. Ogółem polakami nazwało się wówczas 46390 osób wyznania mojżeszowego, a z tych 29564 mieszkało w Warszawie. Prócz tego, 4630 żydów uznało się wówczas za rosjan, zaś 3126 za niemców. Dwie te ostatnie kategorje należały niemal wyłącznie do sfer inteligienckich".

Tak było w roku 1897-ym. Dziś po latach 16-u, po latach wzmożonego napływu żydów rosyjskich i ich ekonomicznego oraz politycznego wpływu na masy żydowskie—stosunek ten dla polskości zmniejszył się napewno na gorsze.

„Na 114 miast Królestwa—podaje Grabiec — 66 (a więc większość — przypisek mój) ma śród swej ludności więcej, niż 50% żydów.

Na 355 osad (byłych miasteczek) żydzi tworzą absolutną większość w 145-u. W stolicy Królestwa, Warszawie żydzi stanowią 39,7%. W zupełnie kosmopolitycznej Łodzi 33%.

Na 60000 mieszkańców Lublina polacy stanowią tylko 26000. Najbardziej zaś żydowska miejscowość w Królestwie, miasteczko Ryki na Podlasiu, ma w składzie swych mieszkańców 99,6% żydów".

Grabiec zaznacza też, że żydzi najsilniej trzymają się w powiatach, zacofanych pod względem gospodarczym, a więc na Podlasiu, gdzie zarazem ucisk polityczny był i jest najsilniejszy, ustępują zaś masowo z powiatów litewskich (Suwalszczyzna), lub przed kolonizacją niemiecką, t. j. z tych stron, gdzie ludność jest więcej zamożna, wyżej pod względem gospodarczym rozwinięta.

I nie może być inaczej, albowiem każdy krok w rozwoju ekonomicznym ludności jest zarazem krokiem, wymierzonym przeciw żydom.

Uznał to w swoim czasie Marks, gdy pisał, „Organizacja społeczną, która by zniosła podstawę szwindla, możliwość jego, uniemożliwiłaby istnienie żyda".

Zjawisko podobno, choć dalekie obserwujemy przy wysiedlaniu gromadnem żydów z Rosji.

Masy żydowskie, wydalone z Rosji rdzennej, nie jadą za granicę, na Zachód, gdzie przecież swobody polityczne są większe, lecz podążają do Królestwa.

Na Zachodzie musiałyby porzucić dotychczasowe najęcia, musiałyby rozproszyć się, przystosować, Królestwo zaś, teren, zbliżony pod względem

---

zawalić się, abo czasem bywają wypadki, że gaz rozrywa wszystko kopanie pod ziemią i zasypuje żywcem. Boże strzeż tu pod ziemią zapalić zapałkę. Ale płacą dobrze; można tu dubelt zarobić, co w fabrykach na wierchu. Byłem pierwiej w takiej, gdzie „czuhun" gotują—gorącość straszenna, trza było gołemu bez gaci i koszuli la kotłów się uwichać. Z tej nadto wielkiej parności, aż mnie mdlić wzięno i zachorowałem. Więc pomyślałem sobie, co będzie, to będzie i pozdrowiawszy, przeżegnał się—i marsz pod ziemię. Zaparli nas w głąb na takiej maszynie, co się nazywa, „lift". W głębokości tu ciemno i smród, a wszędy palą się lampy z elekstryki. Płacą tu od godziny. Kto dłużej pracuje, ten więcej zarabia. Razem z tym listem posyłam ci, kochana żono, Józefo, 150 rubli i szyfkartę w tymże liście dla szwagra. Niech rzuca tę sobaczą ordynarję i jedzie do mnie. Ty, Jożka, na dojechanie mu do wody daj 50 rubli, a od wody już zajedzie na szyfie wedle szyfkarty, co mu posyłam. Jak Bóg da, zarobi, to mnie odda i te 50 rb., co mu dasz i za szyfkartę. Tak, tak kochany szwagrze, jak otrzymasz ten list, zaraz do mnie przyjeżdżaj. Mordko cię narychtuje i wszystko roztłomaczy, co do jazdy maszyną. Tu kilka lat poharujemy, ale zato, powróciwszy, kupimy po włoce ziemi, abo i więcej „pasiek" grafowskich, Horodeńskich!....

Buzę który siedział na ławie, miętosząc świętobliwie w rozłożonych na stole swych ogromnych, narobionych dłoniach tajemniczy „papierz" drukowany, w miarę słuchania listu wciąż zamraczało, jakby każde usłyszane słowo było już nie to kieliszkiem mordkowego płynu, ale całem półkwarciem, które łykał duszkiem jedno po drugiem.

Wielka, bezmierna radość wstępowała mu do serca. Pierwszy raz doświadczał tego błogosławionego uczucia... Pierwszy raz w życiu! Coś go rozkosznie rozmarzało, upajało, oszołomiało. Jakieś niewysłowienie słodkie łaskotanie uczuwał w piersi, w piętach i palcach nóg, tudzież w gardle, które wyschło raptem, jakby w malignie przepotwornej. Nie zastanawiając się nad tem, odruchowo próbował je zwilżać językiem i jednocześnie zaczął się trząść i dygotać na ławie. Ręce latały po stole jak w febrze, wypuściwszy z bezwładnych paluchów szyfkartę drogocenną. Z nieśmiałością zaszczutego, wiecznie bitego psa patrzał na urzeczywistniające się swe marzenie najtajniejsze, takie nieprawdopodobne i szalone. Oto będzie miał ziemię! Włokę ziemi. I nie trzeba na to

gospodarczym do Rosji, uważają za łatwiejszy do wyzyskania.

Równocześnie przecież w Królestwie ludność wiejska coraz liczniej prze do miast, by szukać zarobku, warsztatów do pracy. Dąży do miasta nie tylko biedny najmita, proletarjusz, lecz i zamożny, lub posiadający pewne środki pieniężne — włościanin, rzemieślnik. Zniewalają go do opuszczenia wsi—działy majątkowe, chęć szerszego życia, wyższe potrzeby.

I oto włościanin ten, który pragnie jąć się— czy to handlu, czy rzemiosła, zastaje w miastach i miasteczkach naszych zasiedziałą już, solidarną, zwartą i obeznaną znakomicie z handlem liczną rzeszę żydów, obcych mu językiem, religją, obyczajami, zamkniętych w swym zespole i zazdrośnie strzegących swej wyłączności.

Dwie przeto płyną do miast naszych fale.

Jedna ze wschodu, obca nam i wroga, posiadająca kapitały i przewagę zawodową, posiadająca na miejscu urodzonych sprzymierzeńców, i druga ze wsi polskiej, z pośród ludu polskiego.

Czyż starcie nastąpić w warunkach tych nie musiało?

Czyż potrzeba było sztucznie je wywoływać, tworzyć?

Nie. Ono nastąpiło i nastąpić musiało tak naturalnie, jak to miało miejsce w Czechach, gdzie miasta niemieckie były i są zdobywane przez lud czeski, i jak to ma miejsce w Poznańskiem i na Śląsku, gdzie miasta niemieckie są zdobywane przez lud polski, przez chłopa polskiego.

Nie mieszczaństwo czeskie, czy polskie tworzyło sztucznie ruch odniemczenia miast czeskich, czy polskich, bo go nie było, lub było nieliczne i słabe, lecz chłop, lecz lud czeski i polski to czynił i czyni.

To samo ma miejsce, a właściwie poczyna mieć miejsce w Królestwie. I niema ten odpór, czy podbój, jak kto woli, nic wspólnego z antysemityzmem rasowo-wyznaniowym. Gdyby na miejscu żydów byli niemcy, czy francuzi, walka byłaby nie inna. Inna rzecz, że antysemityzm może walce tej w pewnych sferach towarzyszyć, może ją zabagniać, lub paczyć.

(D. C. N.)

Wi—ski.

Listy ze Wschodu.

I.

Zwyczajem jest naszym drukować w pismach liczne korespondencje i artykuły z krajów zachodnich. Stosunki francuskie, angielskie, włoskie, belgijskie, niemieckie i t. d. studjujemy chętnie, znamy takowe względnie nieźle, a w każdym razie mamy zawsze w naszej poważniejszej prasie dużo ciekawych i treściwych przyczynków do ich poznania, Zwyczaj to chwalebny, zainteresowanie zawsze godne utrwalenia. Albowiem, należąc do kultury zachodniej, powinniśmy się zawsze pilnie przyglądać jej najbardziej rozwiniętym wzorom.

Natomiast stale szwankuje u nas znajomość krajów wschodnich. Dowiadujemy się o nich najczęściej tylko z okazji jakiejś wojny lub innych okoliczności niezwykłych. Tymczasem Wschód bliższy, choć z innych względów, winien nas interesować nie mniej od zachodu. Samo położenie gieograficzne zbliża nas do wschodu. Kraj nasz stanowi jedną z najdalej na wschód wysuniętych placówek kultury zachodniej. Wschodu dotykamy bezpośrednio, mamy nawet poważne wpływy jego wewnątrz kraju. Związani z nim jesteśmy obecnie organizacją państwową, a wypadki na Wschodzie i kierunek rozwoju dziejowego krajów wschodnich wiążą się w znacznym stopniu z losami czy to Polski czy Litwy i Rusi. Widzimy, jak poważną rolę grają sprawy bałkańskie w układzie stosunków międzynarodowych, jakie wytwarzają, one pośrednio fermenty w grze interesów i tendencji państw europejskich. Dyplomacja europejska liczy się poważnie ze stosunkami na Wschodzie, kraje i ludy wolne zachodnie, zwłaszcza środ-

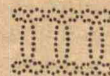
---

ani wyorać skarbu w roli, ani znaleść pugilaresu z banknotami!.. Za morzem dorobi się grosza, przyjedzie i kupi! Dorobi się... czemu nie dorobi się?! Oto Bałukoń już setki przysyła żonie... A on?.. On tę Amerykę gotów, jak Atlas, unieść w ramionach i dzierżyć póki każą, byle mu w perspektywie, (jak gwiazda), świeciła nadzieja dostania na własność włóki piasków litewskich... Otoczył go jakby rój pszczół złotych bzykających nieustannie: „będziesz mieć ziemię, Pietruk! będziesz mieć ziemię...“ A w to brzęczenie rozkoszne wpadały sporadycznie słowa gimnazjalisty, który wciąż jeszcze za stołem mozolił się nad odcyfrowaniem ostatniej stronicy listu. Chłop tego czytania już wcale nie rozumiał, ale czuł szaloną chęć wycałowania rąk i nóg „paniczowi“, poczem miarkował porwać wpół żonę, co stała, jak słup soli, pode drzwiami i zatańczyć z nią po izbie, że aż ha! jakto niegdyś na własnem weselu... Nagle runął z ławy na kolana. Z oczyma wbitemi w obrazek nad łóżkiem — popstrzony od much i rozdarty jął mamleć głosem roztaplanym, rwącym się boleśnie:

— A mateńko Ostrobramska! Jezuńko najsłodszy!..

Wreszcie z rozłożonemi rękami, jak długi grzmotnął się łbem o klepisko glinianej podłogi i ryknął na całą izbę rozdzierającym szlochem, który wnet zduszony darł się z gardła łkającem krztuszeniem się i chargotem. Zgroza wiała po izbie od tego ohydnego, grubego, męskiego płaczu .. Wszyscy osłupieli. Bałukoniowa, jako żwawsza od innych, porwała na podorędziu będącą konew z wodą i chlusnęła na głowę szwagra. Podniósł się. Siadł ciężko na ławie i ocierając rękawami zgrzebnej koszuli twarz mokrą od łez wody mówił śród czkawki i skurczów chwytających jeszcze za gardziel.

— Tak, wiedajecie, cosik mene chapiło za hrudzi i ścisnuło serce nierawnujuczi jak u ruce żeleznoj. Nie dotrymau i jak dzicia razpłakausia...



kowo-europejskie i należące do monarcji Habsburgów, rozumieją, jaką wagę mają dla nich kwestja wschodnia. Historja Litwy i Polski była zawsze jaknajściślej ze sprawami Wschodu związana i dziś znowu komplikacje wschodnie na Bałkanach wiążą się pośrednio z losami naszych krajów.

Wschód t. zw. bliższy, t. j. Turcja oraz kraje wydarte panowaniu turecko-tatarskiemu, przedstawia niezmiernie skomplikowaną mozajkę kultur i narodowości. Za klasyczny przykład takiego kraju mozajkowego uważana jest zazwyczaj Macedonja, a niewątpliwie niemniej mozajkowym jest Kaukaz. Zresztą całe Bałkany, Azja Mniejsza i kraje Czarnomorskie—mają ten sam charakterystyczny rys pomięszania lub równoległego spółistnienia kilku kultur, które się nie stopiły bynajmniej w jedną całość wspólną. Stąd pochodzą rozmaite sprzeczne ciążenia, tarcia, słowem — ciągły stan wulkaniczny tych krajów i ludów. Pozornie Wschód ten jest chory na jakąś niemoc chroniczną, na bezwład, który paraliżuje w nim wszelką moc twórczą, wszelką zdolność do rozwoju. Tak jednak zupełnie nie jest. Pomięszanie kultur sprawia, że lwia część wysiłków twórczych zużywa się na tarcie wewnętrzne, przybierające nieraz ostrą postać walk eksterminacyjnych, niezwykle zaciętych i ostatecznie bezpłodnych. Zato w okresach wyraźnej przewagi jednej z kultur nad innemi widzimy tam rosnące tak nagle potęgi, jak ongi potęga tatarów, jak potem turecka, jak wreszcie rosnąca obecnie coraz wyraźniej moc narodowa państewek bałkańskich. Żadna wprawdzie z tych potęg nie zdołała stworzyć dotychczas dzieła istotnie trwałego, posiadającego niespożytą wartość zasługi w dziejach ludzkości, jak to stworzyć potrafili starożytni grecy i rzymianie, żydzi, arabowie, wreszcie spółcześnie trwająca kultura zachodnio-europejska, na chrześcijaństwie oparta. Niemniej atoli Wschód miał swoje okresy chwały i mocy i niepodobna przesądzać o całkowitym braku żywotności jego. Ponadto Wschód ten europeizuje się dziś coraz bardziej i z czasem w innym nowym układzie czynników, zaważyć może nietylko pośrednio, ale wprost bezpośrednio na szali międzynarodowej dziejów.

Czy obecne komplikacje bałkańskie spowodują dla nas, w drodze gry interesów międzynarodowych, jakieś zmiany poważniejsze,—niewiadomo. Ale losy krajów i ludów nie mierzą się przemijającą chwilą bieżącą. Jeśli nie dziś, to jutro, to w każdym razie kiedykolwiek—istniejąca równowaga pryśnie i życie przystąpi do tworzenia innej, bardziej odpowiadającej nowemu układowi sił i czynników rozwoju. Nietylko same gabinety dyplomatyczne mocarstw istniejących, ale wszystkie kraje i ludy są poniekąd aktorami tego wiecznego dramatu życia, spółtwórcami własnej i powszechnej historji.

Pod powłoką formy i organizacji urzędowej, zaregiestrowanej i opatentowanej w aktach dyplomatycznych, dokonywają się ciągle nowe procesy życia, konsekwentne i twórcze, które dopóty gryzą i rdzą przejadają zawadzającą im powłokę, aż ją w okolicznościach stosownych rozsadzą, nakreślą sobie nowe prawa, zgodne z logiką ich rozwoju, i ujmą ster dziejów swoich we własne ręce. Dlatego też publicysta i polityk winien zawsze się przyglądać bacznie nietylko tym faktom oficjalnym, które się jawnie i z powagą afiszują i noszą na sobie stempel praw istniejących, ale też nadewszystko tym żywym procesom twórczym, ukrytym nieraz, które się dokonywują w kulturze poszczególnych krajów, ludów i społeczeństw. Zwłaszcza winni to robić publicyści ludów, społeczeństw czy klas upośledzonych, tych które w ramach praw obecnych nie znajdują dla potrzeb swych i rozwoju ujścia i które przeto z natury rzeczy solidaryzować się muszą z narastającemi czynnikami reformy. Trzeba im bowiem wiedzieć, gdzie szukać sojuszników w dziele wyzwolenia, jak w jakich okolicznościach i wobec jakich czynników określać swoje stanowisko, ażeby już dziś, już w ukryciu, umieć jaknajbardziej celowo kierować swemi sprawami.

Nietylko te procesy, które są jaskrawe i głośne, mają w sobie moc twórczą dla przyszłości. Nieraz w najmniej widocznych kryją się najżywotniejsze zarody przyszłych potęg. Często na wspaniałych ulicach, na najkrzykliwszych i najruchliwszych skrzyżowaniach wielkich centrów miast oko badacza mniej dostrzeże rzeczy ciekawych i twórczych, niż w głębokich norach suteren, dalekich warsztatach fabrycznych i t. d. Skupione wysiłki nielicznych pjonierów, ruchy tajemne, poczynające się z serc i umysłów ludu, elementy potrzeb, pragnień i wierzeń, tkwiące w psychice społeczeństw i zaczynające kiełkować w czynie zbiorowym, mają większą potęgę życiową, od zgiełkliwego wrzasku przechodniów ulicznych i przekupniów, od rozpanoszonego pasożytnictwa, które się rozsiada wszędzie plugawie na miejscach najbardziej widocznych i najgłośniej afiszuje swoją władzę, swój fakt bytu.

Znamy wielkie przykłady historyczne ruchów takich, które, tajemne nawet i prześladowane, zhańbione i pogardzone, rosły i zwyciężały, albowiem płynęły z najgłębszych założeń ducha ludzkiego, jego potrzeb, tęsknot i elementów jego kultury. Mówię oczywiście o chrześcijaństwie w świecie rzymskim. Przełamało ono swą mocą twórczą oficjalną powłokę kultury starożytnej, rozsadziło świat stary, pławiący się w pozorach świetnego blasku i niewzruszonej, zdawało się, potęgi. Przykłady mnożyć byśmy mogli bez liku. We Francji XVIII wieku w całym prześwietnym blasku tradycji starej monarchji Ludwików narastały stopniowo elementy nowego układu, które miały rozsadzić w Wielkiej Rewolucji powłokę społeczną i prawną narodu i dać podwaliny nowemu porządkowi organizacji społecznej.

Ruch do Zjednoczenia Niemieckiego lub wskrzeszenia Włoch dojrzewał długo pod zewnętrzną powłoką starych form państwowych, nim się z nich wreszcie wyzwolił. To samo widzimy z ruchem robotniczym w spółczesnym świecie burżuazyjnym. U nas wreszcie widzimy to samo. W Wilnie nie szyldy rosyjskie, nie stroje dorożkarzów, nie artel tragarzów na dworcu kolejowym, nie pomniki na placach publicznych i nawet nie mrowie urzędników — stanowią o kulturze miasta. Pozory oficjalne, uroczyste, opatentowane jaskrawie, bezwzględne — postały pozorami tylko; mają one wpływ niewątpliwy na bieg życia, ale same przez się zniweczyć twórczego działania elementów lokalnych kultury—nie są w stanie.

Bardziej pono jeszcze widocznem w kraju naszym, bardziej zdumiewającem jest inne zjawisko tegoż rodzaju, — to odrodzenie narodowe litwinów. Istniała bierna masa ludności włościańskiej w zachodniej cząstce kraju, posługująca się w życiu domowem, pod strzechami chat wiejskich, archaiczną mową litewską. Mowa ta ulegała coraz większemu

zalewowi języków kultury wyższej, terytorjum jej się wciąż od wieków kurczyło. Nie było żadnej wyższej kultury narodowej, żadnych narodowych instytucji, szkół. Szlachta, inteligiencja, miasta, wszystko, co wybiegało nad poziom ludu włościańskiego, było polskie lub spolonizowane. Gdzieś tam na skrawkach głębokiej Żmujdzi istniały jeszcze resztki średniej szlachty, mówiącej po litewsku, ale i w niej głębszych prądów narodowych nie było. Kultura polska, zespolona tu tradycyjnie z katolicyzmem, dominowała i pochłaniała wszystko, co się z masy siermiężnej wyłaniało. Oczywiście poziom kultury polskiej był o tyle wyższym od poziomu litewskiej, że o rywalizacji tych dwuch kultur pozornie mowy być nie mogło. Tradycje państwowe, świeże i żywe a oświecone wspólnem męczeństwem bohaterskich walk niepodległościowych wieku XIX, wiązały tembardziej kraj ten i lud katolicki z Polską. Jakieś stare tradycje litewskiego państwa narodowego, tonące w dalekiej pomroce przeszłości, zasnute żywemi tradycjami Unji i wspólnej Rzeczypospolitej, zdawały się być dla mieszkańców kraju tego wygasłe, niezdolne do poruszania serc, do zapłodnienia umysłów żywemi pragnieniami czynu; w każdym razie nie mogły one, jak się zdawało, dotrzeć do rzesz włościańskich i stać się dla nich jakimś bodźcem odruchu, jakąś żywą pobudką narodowych uczuć. Masy włościańskie, obce tradycjom państwowym przeszłości, przez wieki od życia obywatelskiego odcięte i z niego wyłączone, nie mogły się, jak się zdawało, przejąć nagle ideją wspomnień i tęsknot narodowych. Do włościan należeć może, jak sądzono, li tylko przyszłość: proces demokratyzacji społecznej, wcielając coraz szersze zastępy ludu do życia obywatelskiego, robi je narzędziem dziejów przyszłych; przeszłość i tradycja dziejowa to przywilej stanów wyższych posiadających ukształcony przez wieki zmysł historyczny, zaprawionych do sztuki obywatelskiej, — to przywilej przedewszystkiem stanu rycerskiego,—szlachty. Dla tego zaś stanu stara Litwa narodowa, już nawet nie ta wielkoksiążęca bardziej ruska niż litewska jaką była za Olgierdów, Witoldów i magnatów z przed Unji, ale ta rdzenna, pogańska, budująca swoje pilkalnie, organizująca męczeńskie walki obronne przeciwko krzyżactwu, Litwa pogańska, Litwa dębów świętych, bajecznych wajdelotów i Perkunasów,—dawno umarła. Dla włościan, mówiących po litewsku, — musiała ona być równie martwa, obca: chrześcijaństwo zresztą przecięło całkowicie nić tradycji z tą starą przeszłością — pogańską. Nic, zdawało się, nie mogło wskrzesić Litwy narodowej z popiołów. Kultura litewska — to już tylko szczątki kultury nadpsutego języka ludowego i kultura zwyczajów, dochowanych w najuboższem cywilizacyjnie środowisku, — włościańskiem: to już tylko coś tak nikłego, co w promieniach cywilizacji rozwieje się, jak resztki mgły porannej: wyjdą z użytku stroje ludowe, tandeta fabryczna wyruguje dawne sprzęty domowe, upowszechnią się zwyczaje i potrzeby przeciętnego szablonu miejskiego po wioskach, i rozpłynie się „kultura“ litewska. I oto w tej Litwie katolickiej, Litwie tak tradycją i kulturą polskiej, budzi się nagle, w warunkach niesłychanie ciężkich i niesprzyjających, ruch narodowy litewski. Narazie ruch ten jest ledwie dostrzegalny, tuła się gdzieś w odosobnionych wysiłkach garstek jednostek, zakłada gniazda swej propagandy za granicami kraju, ale rośnie stale, zyskuje na wyrazistości, upowszechnia się ze zdumiewającą siłą, staje się wreszcie ruchem masowym, zjawiskiem żywiołowem w narodzie włościańskim, poważnym czynnikiem życia kraju, procesem twórczym, który coraz bardziej ważyć będzie na szali rozwoju krajowego.

Takie zjawiska widzimy wciąż w dziejach i dokoła siebie. Najpotężniejsze mocarstwa, najsilniejsze organizacje społeczne nie są wolne od tych wewnętrznych procesów życia, w których się mieszczą zarody innej przyszłości. Życie wciąż toczy stare formy organizacji ustalonej, pokrywa je rdzą i przejada lub rozsadza wewnątrz.

Zacząłem ten artykuł do zaznaczenia naszego związku ze sprawami Wschodu i potrzeby badania przez nas stosunków wschodnich. Wschód jest przez nas bez żadnego porównania mniej znany od Zachodu; mniej mu poświęcamy uwagi, mniej się nim zajmujemy. Na wschodzie znamy tylko Rosję rosyjską, znamy społeczeństwo rosyjskie i państwowość rosyjską. Bardzo natomiast mało znamy poszczególne kraje na wschodzie, należące do państwa Rosyjskiego a posiadające odrębne oblicze własne, własne życie wewnętrzne, pełne ciekawych procesów i układów kulturalnych, które zwłaszcza tam, w tych krajach mozajkowych, są oryginalne i odrębne od znanych nam wzorów. Chcę więc skorzystać z okazji, jaką miałem do poznania, wprawdzie przelotnego, jednego z tylu krajów, Krymu mianowicie, aby się podzielić z czytelnikami „*Przeglądu Wileńskiego*“ wrażeniami i spostrzeżeniami poczynionemi. Będzie to drobny jeno i niezupełny przyczynek, ale sądzę, że bądź co bądź przy naszym pozomie znajomości tych krajów Wschodu—przyczynek pożyteczny na łamach naszej prasy perjodycznej.

Przynależność nasza do państwa Rosyjskiego sprawia, że kraje Wschodu, same przez się ciekawe i mające nieraz duży związek pośredni z dziejami naszemi, jak wogóle z dziejami całej Europy środkowej i wschodniej, są dla nas tem ciekawsze i tem bardziej godne uwagi, o ile także do tegoż państwa są wcielone. Procesy bowiem, które się w nich dokonywują i cały kierunek ich rozwoju wewnętrznego, mają wpływ na losy tego państwa, wpływ może niewidoczny na krótką metę, ale nie mniej żłobiący ciągle organizację istniejącą i wywierający nacisk w pewnym określonym kierunku. Uwzględnienie całokształtu tych procesów w poszczególnych krajach, wchodzących w skład monarchji Rosyjskiej, daje możność dokładnego wnioskowania tak o istotnej sile lub niemocy wewnętrznej państwa, jak o jego mocnych i słabych stronach w sytuacji międzynarodowej. Nie trzeba bowiem sądzić, jak to się często czyni, że w państwie Rosyjskiem kraje kresowe i „obcoplemienne“ głębszego znaczenia i wpływu na przyszłe losy tej masy państwowej — nie mają, i że przeto do sądzenia o Rosji wytworzyć może analiza li tylko rdzennego społeczeństwa rosyjskiego Mniemanie takie jest zgoła błędne. W następnym artykule postaram się zobrazować moje spostrzeżenia krymskie.

T. Nowik.

Dzieło „łbów szalonych“.

II.

Tą siłą nową a przedtem nieznaną, tym czynnikiem politycznym niebranym w rachubę, był urok nowych idei francuskich i zapał, jaki budziły one w masach ludowych.

A idei owych Napoleon — w koronie czy bez korony, zwalając czy budując trony — poniewoli musiał być i był reprezentantem. Wystarcza wziąć do ręki którąkolwiek z jego odezw, zwracających się do żołnierstwa czy też narodu, nawet najechanego, by przekonać się, że wiał z nich duch zupełnie nowy.

Słusznie też Kniaziewicz, zwracając się w początku r. 1800 do świeżo formowanej legji Naddunajskiej, zaznaczał, iż pod sztandarami Francji „nie urodzenie, jak u austrjaka, ale zasługi i zdatność wami dowodzić będą.“ „Dla każdego z was jest miejsce otwarte do awansu na najwyższy stopień“... Wcielani do armji napoleońskiej żołnierze obcy uświadamiali sobie nagle, że są ludźmi. W przeciwstawieniu do zasady fryderykowskiej, iż koniecznem jest, by żołnierz „lękał się więcej swoich zwierzchników, aniżeli niebezpieczeństw, na które go się wystawia“ — teraz ze zdumieniem dowiadywali się o wojsku, szanującem w żołnierzu człowieka; o wojsku, które żąda wierności dla sztandaru w imię godności ludzkiej i honoru; o wojsku, nie znającem kar cielesnych, będących podstawą dyscypliny we wszystkich innych armjach ówczesnych. Jakże dziwnie odzywać się musiały w uszach tych ludzi z ust oficerów idące słowa: „obywatelu“ lub „bracie“?

W oczach tych ludzi Napoleon—nawet w koronie cesarskiej — nie był niczem innem, jak żywym symbolem równości, która, łamiąc przesądy i przywileje stanowe, do przodowania narodom wzywała „najzdatniejszych“, a nie „urodzonych“.

I rzeczywiście, mimo całej pychy, jaka z czasem wyrobiła się w Napoleonie, zasad demokratycznych nie wyzbył się nigdy. Tkwiły one zbyt mocno nietylko w jego własnej duszy, ale — co ważniejsze—w duchu owych francuzów, z których woli stał się cesarzem. Pod tym względem nie zmienił się. I podobnie jak w r. 1797 tworząc z części Państwa Kościelnego republikę Cispadańską, wnosił tu nowe podstawy życia społecznego Francji, tak też w 1807, powołając do życia księstwo Warszawskie, za najpierwszy swój obowiązek uważał — znieść poddaństwo, powołać do życia politycznego stan trzeci.

„Zniosłem odwieczne poddaństwo w Polsce i to mych zwycięstw laur dla mnie najmilszy“— rzekł Napoleon, podyktowawszy Maretowi konstytucję nowego księstwa.

Księstwo to było jednak nietylko jego dziełem. Stworzył je patryjotyzm owych „jakobinów polskich“, „warjatów“, „łbów szalonych“, których jeszcze w r. 1795 błotem obrzucała tchórzliwa trzeźwość wobec przemocy płaszczących się służalców. Gdyby ówczesny poryw zapalnej, ofiarnej młodzieży dał się był wdeptać w ziemię znikczemnieniu rzekomo wytrawnych polityków, nietylko Księstwo Warszawskie nigdyby nie powstało, ale i żaden kongres wiedeński sprawą polską jużby się nie zajmował.

Wiedział bowiem Dąbrowski, tworząc legjony, że świat liczy się z tymi jedynie, którzy czynem zmuszają go do brania ich w rachubę. Rozumiał, że gdy rozpoczyna się grę wielką o przebudowę Europy, polacy zjawić się winni na terenie zapasów, jako siła żywotna, realna i zamanifestować swoje: „jesteśmy“.

To właśnie było ideją naczelną twórcy legjonów. Dlatego też gdy po zawarciu pokoju w Lunevillu (d. 9 lutego r. 1801) wszelka nadzieja zdawało się przepadłą, gdy nawet Kniaziewicz opuścił legjony, gdy jakobinizm oficerów polskich wkładał im w usta złorzeczenia przeciw nowemu „tyranowi“— Dąbrowski jeden niewzruszony przetrwał ten epizod. Czuł, że gra nie skończona i że w niej trzeba będzie jeszcze się odezwać.

Dąbrowski nie zraził się do Napoleona. Ale dlaczego? Oto dlatego, że ten „nieuleczalny marzyciel“ najtrzeźwiej ze wszystkich na fakty spoglądał. Czcząc w Bonapartem człowieka gienjalnego, pamiętał jednak o dwu rzeczach: 1) że cesarz nie jest wszechwładny i z okolicznościami rachować się musi, a 2) że działa on przedewszystkiem w swoich widokach, a nie polskich; interes polski uwzględniać będzie o tyle, o ile zniewolą go do tego warunki, śród których poważną rolę odegrać winna zorganizowana polska siła zbrojna.

Dzisiejsi krytycy Napoleona, zarzucający mu zdradę interesów polskich, zapominają, lub może zgoła nie wiedzą, że naogół stawiał on kwestję jasno i próżnemi obietnicami nikogo nie łudził. Odrazu powiedział Sułkowskiemu, gdy ten przybył doń z rozpaczliwym listem Ogińskiego, że polaków bardzo lubi, ale przedewszystkiem na siebie rachować powinni. To samo powtarzał ciągle nawet wówczas, gdy już rozpoczynał pierwszą wojnę polską. Niczego nie przyrzekał. nikogo nie łudził, „wszystkiego pozwalał spodziewać się od *losu*, przedewszystkiem zaś liczyć polakom kazał na wysiłki własne“.

W biuletynie swoim z d. 1 grudnia 1806 r. mówił cesarz do Europy i dla Europy: „Czy tron polski będzie przywrócony i czy wielki ten naród odzyska istnienie i niepodległość? Czy z głębi grobu odrodzi się na życie nowe? Bóg jeden, który w ręku trzyma związek tych wszystkich wydarzeń, rozstrzygnie tę wielką kwestję polityczną. Ale z pewnością nie było jeszcze nigdy wydarzenia tak pamiętnego, tak godnego uwagi“.

„To wszystko — dodaje historyk — co mógł w owej chwili Napoleon powiedzieć Europie. Postawił kwestję. Uczynił to w interesie *własnym*, ale uczynił to jawnie i śmiało. Rozstrzygnięcie jej zależało już od „Losu“ i od energji polaków“.

Bardzo też niemile dotknąć musiało cesarza, że mimo oficjalnych na jego cześć uniesień, dostrzegł „śród wybitnych osobistości, śród magnaterji zwłaszcza, ociąganie się i wahanie, oglądanie się z jednej strony na jakieś od Napoleona gwarancje, z drugiej na bliskie jeszcze armje najezdnicze“, oraz na majątki, leżące za granicami księstwa. A o gwarancjach żadnych mowy być nie mogło. Wojsko Bonapartego było wynędzniałe, zgłodzone, tęskniące za ojczyzną i—w sile 67 tys.—stało naprzeciw wroga, liczącego blisko 83 tysiące bagnetów. A choć, mimo to wszystko, bóg wojny znowu zwyciężył, tryumfu tego wyzyskać należycie nie mógł.

Niesłusznie więc na wieść o pokoju tylżyckim, wskrzeszającym z ówczesnego zaboru pruskiego tylko Księstwo warszawskie w jego pierwszych, szczuplejszych granicach, podniosły się przeciw Napoleonowi głosy zawodu i goryczy. „Najsilniej

—powiada historyk—dotkniętymi czuli się obywatele z dzielnicy rosyjskiej: a jednak nie mieli prawa mówić o zawodzie. Aż do chwili pokoju... pozostawali bezczynni, poprzestając na organizowaniu się, na układach z komisją rządzącą i na deputacji do Napoleona. Względem nich nie miał cesarz zobowiązania nawet natury moralnej innego, jak osłonięcie ich przed prześladowaniem. Artykuł 10 traktatu z Rosją, a 22 traktatu z Prusami czynił zadość owej powinności, gwarantując wszystkim polakom, którzy w wydarzeniach ostatniego roku udział brali, całkowitą amnestję".

Oto wszystko, co mógł i musiał uczynić, licząc się z siłą swych żołnierzy polskich.

Rychło wszakże okazało się, że nie tu był kres dzieła „szaleńców". Bo choć Napoleon powrócił do Francji, Poniatowski granice księstwa rozszerzył, przyłączając do ziem, odebranych Prusom, północno-zachodnią połać zaboru austrjackiego.

Jak dobrze zdawał sobie Napoleon sprawę z trudności sprawy polskiej, dowodzą słowa jego, wypowiedziane w roku 1805. „Cierpliwości! jeśli przeżyję jeszcze lat dwadzieścia, zmuszę państwa do oddania prowincji, które po trzykroć między siebie dzieliły".

Terminu tego nie doczekał. Mimo swego geniuszu, już w dziesięć lat potem padł pod naporem tłumu władców prawowitych ten korony— uzurpator, rozniósłszy po Europie nieśmiertelne ideje swej przybranej ojczyzny.

Padł. Ale on był tylko epizodem. Wyłom, który uczynić zdążył w fundamentach starego świata załatać się już nie dał. Wysiłkiem ludów, hasłami Francji ożywionych, odrodziły się państwa narodowe.

Nam zaś pozostała nauka, że nie wszystko jest szaleństwem, co za szaleństwo uważa miernota, rzekomo trzeźwem okiem na rzeczy patrząca; że zapał, wola i ofiarność—to są czynniki realne, z którémi świat liczyć się musi, a wreszcie, że na niczyje bezinteresowne sentymenty w polityce rachować nie wolno: rację bowiem tu mają ci jeno, co mocno chcieć umieją i na szalę wypadków dziejowych potrafią rzucić—swój ważki czyn.

Z. Polkowski.

ooooooooo

Arystydes Briand.

(Dokończenie).

W poczuciu tedy odpowiedzialności wobec nowej funkcji swojej p. Briand zwalczał namiętnie, poczynając od r. 1907 Konfederację gieneralną (C. G. T.), urzędników państwowych, organizujących się w syndykaty. W styczniu 1908 r. zostaje ministrem sprawiedliwości (jednocześnie pozostając sekretarzem stanu dla wyznań; oddzielono wtedy wyznania od oświaty), a 23 lipca 1909 r. po upadku Clémenceau — prezydentem rady ministrów.

W marcu t. r. wygłosił swoje wyznanie wiary przyszłego premjera w Le Neuboury (w Normandji). „Zaznałem goryczy, ciężkich i bolesnych wywczasowań, biedy; odstępowali mnie starzy przyjaciele, którym pozostawałem wierny w głębi serca. Zwracali się przeciwko mnie dlatego tylko, że w sumieniu swojem szanowałem umowę moralną, którą podpisałem obejmując ster rządów nad Francją. A gdyby ci, którzy może odstąpili, zająć byli powołani to pełne niebezpieczeństwa stanowisko, musieliby zrozumieć, że im wyżej zaniesiony jest ideał danego stronnictwa, im szerszym jest jego program reform, tem więcej musi porządać *porządku i dyscypliny*. Postęp bowiem nie rodzi się z gwałtu, rodzi się i rozwija w środowisku zdrowem i stałem... Naród nie byłby zgodził się na gwałtowną separację kościoła i państwa. Ten ważny postęp musiał być dokonany na drodze etapów. Taką samą taktykę musi rząd stosować w dziedzinie *reform społecznych*".

Reformy społeczne Brianda oznaczają: wolny i mocny ekonomicznie syndykat robotniczy. Wolny od opieki anarchistów, mocny — materjalnie, posiadający własny majątek, obowiązany do zarządzania tym majątkiem pod kontrolą zbiorowości syndykalistycznej. Reformy te obejmują jeszcze projekt udziału robotników w zyskach wielkich przedsiębiorstw. Majątek przedsiębiorstwa określają udziały składane w pieniądzach; część akcji powinna być odpisana na rzecz robotników, składających udziały swoje w pracy. Jako udziałowcy, powinni mieć głos w zgromadzeniach ogólnych, powinni wysyłać tam przedstawicieli, być może sekretarzy syndykatów. Powinni pobierać dywidendę na równi z akcjonarjuszami *).

Pierwsze ministerjum Brianda trwało od lipca 1909 r. do listopada 1910 r., drugie — dalszy ciąg pierwszego—trwało do lutego 1911 r. Oba wypełnione były namiętną walką wewnętrzną. W październiku 1910 r. strajk kolejarzy zdawało się, przez chwilę sprowadzi na Francję rewolucję społeczną. Strajk został złamany z bezwzględnością, bez litości, ze stanowczością, która wywołała podziw reakcjonistów całego świata. W izbie w ciągu całego tygodnia skrajna lewica równie bezwzględnie, bezlitośnie — sądziła Brianda. Świadek tych scen, kiedy mu wyrzucano zdradę, kłamstwo, nikczemności, szubrastwo, sprzedajność Rotszyldom (właścicielom kolei północnej i wschodniej), nawet prowokację (on miał ten strajk wywołać, aby tem łatwiej zniszczyć ruch robotniczy) — nie łatwo może ich pamięć precz od siebie odpędzić. Tak musiała wyglądać Izba Konwencji, kiedy jakobini rozprawiali się z żyrondystami, kiedy przychodził koniec Robespierre'a.

Podziwiać można było wtedy przytomność Brianda, jego zimną krew, jego talent przystosowania się, jego talenty kota oskrzydlające duszę tygrysa. Wszystko wytrzymał ten syn wielu pokoleń rybaków przywykły do burz, do walki samotnej z rozszalałym żywiołem, na żaglowej łodzi. Półtorej godziny stał pod pręgierzem sądu ludowego — ten sąd wyobrażała frakcja socjalistyczna, do której przyłączyło się kilkudziesięciu radykałów (bardzo pragnących tek ministerjalnych!): rzucano w niego książkami, tekami, towarzysze Colly i Lauche co chwila w podskokach biegali z zaciśniętemi pięściami w kierunku trybuny, odpychani siłą przez zwarte szeregi izby. Galerje wyły. Piękne panie płakały albo śmiały się spazmatycznie. Jednak Briand mowę swoją skończył, na miejsce wrócił. Znała Izba francuska takie sceny: Ferry „tonkińczyk" musiał niegdyś chyłkiem uciekać z ministerjum spraw zagranicznych, ścigany

*) Reforma ta — nigdy zresztą nie wypowiedziana wyraźnie i nie dyskutowana — znalazła się w deklaracji ministerjalnej ze stycznia 1913 r. Nikt jej dotychczas nie bierze poważnie; uchodzi raczej za przynętę demagogiczną.

przez tłumy po przegranej batalji w Izbie. Dziś pomnik Ferry'ego zdobi ogród Tuilleryjski. Nazajutrz Briand wytłomaczył Izbie swoje zachowanie. I przewódca radykałów p. Cruppi, który najgłośniej poprzedniego wieczora krzyczał (*il ne parlera plus le misérable*)... przepraszał go.

Rok trwały wakacje Brianda. Kiedy odchodził na wiosnę 1911 r., czując jak się większość jego rozluźnia i jak przeciwnicy czyhają tylko na chwilę właściwą, aby go powalić, byli tacy, którzy mniemali, że już nie wróci. Wszak był pod pręgierzem klasy robotniczej, wszak obity został przez rojalistę przy odsłonięciu pomniku Ferry'ego, wszak Malvy, młody obiecujący radykał przygwoździł go jako potajemnego klerykała, który jawnie broni państwa, a pocichu służy kościołowi. Rok zaledwie trwały wczasy silnego człowieka. Znalazł się znowu w „wielkim" gabinecie p. Poincarégo, na stanowisku ministra sprawiedliwości i wiceprezydenta rady ministrów. Uwolnił przed czasem z więzienia najzawziętszego przeciwnika swego Hervégo—czego nie umiał dokonać p. Cruppi, radykał, poprzednik p. Brianda (w ministerjum Monisa). Przygotował wybór Poincarégo.

Teraz (od 2 stycznia) jest znowu u władzy. Ma przeciwko sobie socjalistów, radykałów-socjalistów, wielu radykałów. Po deklaracji ministerjalnej było raczej zimno w Izbie. Nie chcąc stracić sympatji radykałów, nie wypowiadał się za reformą wyborczą wyraźnie w duchu uchwał 1912 roku. Bał się powiedzieć wyraźnie: *quotient électoral* (dzielnik wyborczy) — co przecież uczynił był nawet Poincaré. Miał tedy przeciwko sobie zwolenników reformy wyborczej: proporcjonalistów. Reformy społeczne nie grzeją nikogo: są zbyt ogólnikowe, utopijne. Pewnej większości p. Briand nie ma. Ale ją może zdobyć. W każdym bądź razie pan Briand rządzi znowu Francją, mając za sobą wszystkie żywioły „porządku", burżuazję, kapitał. Pamiętają mu dobrze te żywioły, z jaką bezwzględnością zniszczył syndykat kolejarzy w r. 1913 (nie może wyzdrowieć od ciosów, otrzymanych wówczas, rozpadł się na większość legalistów i mniejszość rewolucyjną).

Konserwatyzm społeczny, nie jest identyczny z konserwatyzmem politycznym. Wiadomo, że w Izbie Deputowanych niema „konserwatystów", niema „socjalistów", niema „prawicy". Wszystkie stronnictwa porządku i reakcji nazywają się „liberalnie", „demokratycznie". Nie licząc takich żywiołów, p. Briand może zawsze liczyć na konserwację „postępową" i „radykalną". Nikt nie przewiduje, jak długo żyć może, jak długo żyć będzie. Upadnie kiedykolwiek. Wszyscy, co rządzą, padają. Ich przeciwnicy też żyć muszą t. j. rządzić. Ale wróci.

Pan Briand jest realistą. Realistą w celach i w środkach. Jaurés opowiada zawsze, jakim jest nieukiem, jak nie posiada kultury. Posiada coś, co jest ważniejsze u polityka praktycznego: instynkt. Nie darmo wywodzi się z ludu, z rybaków bretońskich. Zna żywioł, jego naturę, jego silne i słabe strony. Wie, że trzeba niekiedy schylić się i falę nad sobą puścić, kiedyindziej znowu iść przeciwko fali. Nia zna strachu. Nie ciążą mu pojęcia szkolne, poglądy, przekonania, święte dla ludzi duchem żyjących, wypracowane w ciężkim trudzie, w polemikach, w walce, przekonania wypracowane w znoju i we krwi. Dla niego to są środki. Nie tylko środki do zdobycia i do zachowania władzy. Nie idziemy tak daleko w surowym sądzie nad p. Briandem. I on nie tylko o sobie myśli. Myśli i o Francji, myśli też o klasie robotniczej. Ale realista—miał jeden umysł, jedną świadomość, gdy był w opozycji, teraz, gdy rządzi Francją—nie tylko klasą robotniczą, ale i posiadającym chłopem, kapitalistą—posiada inny umysł, inną świadomość, inne poczucie odpowiedzialności.

Anatol Leroy-Beaulieu w znanej książce pisał niegdyś o żydach, że są „najbardziej stali i uparci a jednocześnie najbardziej giętcy pomiędzy ludźmi" *). Takim jest i p. Briand, aczkolwiek nie jest żydem. Spokojny, zimny, leniwie raczej kołyszący się na zmęczonych nogach, zrównoważony—jest niepokonalny, niezmęczony, wytrzymały, gdy zdąża do celu. Wymowa jego jest taka sama. Jestto człowiek północy: spokojny, zrównoważony, logiczny. Nie zna ani wzlotów Jaurés'a, ani jego ekspansji sentymentalnej, imaginacyjnej, jego porównań, jego żaru, jego wulkanicznych erupcji. Nie jest też literatem, jakim jest zawsze w mowach Poincaré. Nie zna też błyskotliwości, kostyczności, sztuki robienia bronią Clemenceau. Pan Briand improwizuje; przystosowuje się, ostrożnie, spokojnie, miękkim a drapieżnym ruchem lisa skrada się do świadomości słuchaczów, głosem metalicznym, dźwięcznym tę świadomość bierze w posiadanie swoje. Pan Briand jest jednym z najbardziej słuchanych mówców w tej Izbie, w której żyją dotychczas nieśmiertelne tradycje Cyceronów i Demostenesów.

O Briandzie wyrażamy się zazwyczaj bardzo ujemnie. Wspomina się o Machiawelu, o Talleyrandzie, o Fouché. Pamiętać należy, jakie były jego początki. Nie pracowała na niego rodzina, bogata, o wielkich wpływach, zasłużona. Był nędzarzem, z nędzy wyrósł, może — jeżeli wierzyć biografom niektórym — z najciemniejszej nędzy moralnej. Własnym talentem, własną siłą woli wzniósł się na wyżyny, z których rządzi Francją, a więc w jak dużej części ludzkością współczesną. Schiller mówi ustami Fiesco, że kto korony kradnie, nie jest złodziejem. W każdym razie inaczej go sądzą, niż rzezimieszka, co piasek w oczy rzuca i sakiewkę z ręki wydziera. Enver bey, który Nazima paszę zastrzelił, nie jest bandytą, operującym w zaułkach starego Stambułu. Ilekroć spotykam Brianda i oglądam jego zmęczoną, zoraną zmarszczkami twarz, jego przygarbione plecy, jego znużone ruchy — myślę o ciężkiej i smutnej młodości tego człowieka, któremu wróżki do kołyski nie włożyły żadnej cnoty, tylko: ambicję, pragnienia, sny o potędze, wolę do władzy. Zapominam o ministrze, myślę o nędzarzu. I żal mi go trochę. Bo w nim jest dużo Francji, najprawdziwszej Francji wielkiej i malej, wspaniałej i nędznej, Francji XX wieku.

Stanisław Posner.

<ooooooooo>

„Muzy".

Wydawnictw wszelkiego rodzaju mamy obecnie bardzo wiele. Z roku na rok widzimy też, jak zwiększa się kontyngens czytających, ale nie znaczy to, że fakt ten powoduje jakieś zmiany w utartym trybie sensacyjnego edytorstwa. Wy-

*) *Le juif est à la fois le plus résistant et le plus pliant des hommes, le plus opiniâtre et le plus malléable* (*Israel parmi les nations* 224).

dawcy nie troszczą się zupełnie o poziom prac, jakie rzucają na rynek. Wystarcza, by książka mogła liczyć na Conan-Doylowe powodzenie. O resztę, o... kulturę — troski znaleść nie można w przedsiębiorstwach naszych wydawniczych. Do czego prowadzi tego rodzaju bezplanowa gospodarka w uprawianiu dusz i sumień obywatelskich nie potrzeba dodawać. Zresztą wydawca nie jest przecież moralistą, lecz tylko zwyczajnym kupcem. Nie chodzi mu zupełnie o to, czy książka jest wartościowa naprawdę, lecz przedewszystkiem, czy uda się na niej zrobić jaki-taki interes.

Smutny to fakt, lecz mocno realny. Należy się z nim liczyć, gdy bierzemy pod rozwagę wszystkie te „Żony Detektywów“, „Zakazane owoce“, lub „Noce poślubne“. A jednak wszyscy czujemy, że powinno się znaleść w 24 miljonowem społeczeństwie jakieś zapotrzebowanie celowej, planowej pracy nad urabianiem poziomu kulturalnego naszego czytelnictwa. Bez takiej poważnej pracy nie można się przecież spodziewać, że kulturalny autor polski znajdzie dla siebie czytelników. Gdy stale obniżać się będzie poziom gustu i smaku, może przyjść do tego, że każdy śmiały i piękny giest literacki stanie się zbędny, niepotrzebny, że autor taki będzie musiał umierać z głodu. Czyż przypominać nazwisko Norwida? Czy przypominać wszystkie te znane i oklepane fakty z życia artystów polskich? Pamiętamy je przecież prawie wszyscy.

Tak. Pamiętamy. Nie znaczy to jednak byśmy czynili coś dla usunięcia powodów i przyczyn, które spowodowały smutne i tragiczne rozterki życia naszych artystów i uczonych. Przez pewien czas wydawał Miriam „Chimerę“, wydawał Przybyszewski „Życie“. Nie można nie uznać, że wydawnictwa te nie wpłynęły na poziom życia naszego wewnętrznego. Co więcej, wiemy wszyscy doskonale, że od Miriama nauczono się wydawać estetycznie książki. Ale od tej pory choć nad udoskonaleniem szaty wydawniczej pracowano i choć rezultaty te są dla wszystkich widoczne, to jednak nikt nie pokwapił się, by stworzyć takie wydawnictwo, któreby równocześnie stało na straży obydwuch ideałów edytorstwa. Jeżeli nawet ktoś wydawał bibljoteki, nie widzieliśmy planu kulturalnego w takiem przedsiębiorstwie. Dowolnie zgromadzeni pierwszorzędni autorzy spółcześni mieli zaspokoić wszystkie pragnienia. Może jedynym wyjątkiem między wydawcami był J. Mortkowicz, którego edycja „pod znakiem poetów“ rzeczywiście posiada ściśle określony charakter. Ale pozatem bezplanowość, chaotyczność, choć nawet niekiedy spotkać można pierwszorzędnej wartości książkę.

I dopiero w wydawnictwie, które zaczęło wychodzić pod redakcją J. Lorentowicza, widzi się pewien zgóry skreślony cel kulturalny. Wydawnictwo to nosi tutuł „Muzy“. Dotychczas zjawiło się na rynku księgarskim trzy tomy: Kazania i pisma co najprzedniejsze Piotra Skargi, nowele Augusta de Villiers de l'Isle Adama, oraz Djalogi filozoficzne Ernesta Renana. Na przyszłość wydawnictwo zapowiada „wybór poezji Mieczysława Romanowskiego“, „Satyrę polską“ (opracowanie J. Lemańskiego) „wybór poezji R. Berwińskiego“, „Antologję Cyganerji Warszawskiej“, oraz Christiansena „Filozofję sztuki“ i Carlyla „Historję rewolucji francuskiej“. Plan ten nie wyczerpuje wszystkich prac, które się zjawią w wydawnictwie. Tytuły, które wymieniłem, należą do książek, znajdujących się już na rynku lub takich, które niebawem zawitają na półkach. Na rok przyszły zjawi się nowy prospekt. Za stosunkowo nizką cenę (75 kop.) otrzymuje nabywca pierwszorzędnej wartości książkę w ślicznej, miłej edycji. Z książek takich powstanie kiedyś bibljoteka arcydzieł literatury i arcydzieł myśli wszechludzkiej. Bibljoteka taka stanie się więc wychowawcą sumień i mózgów, stanie się wierną towarzyszką uczuć serdecznych i pięknych.

Nie zaniedbał bowiem Lorentowicz w planie swoim żadnego z estetycznych czynników, które kształtują poczucie smaku i zmysłu moralnego. Obok proroczych kazań Skargi, subtelne djalogi filozoficzne Renana. Obok wykwintnych nowel króla prozy francuskiej de l'Isle Adama, płomienne, Konradowe pieśni Berwińskiego. Obok historji rewolucji francuskiej Carlyla, rozmyślania nad istotą sztuki Christiansena.

Nie zaniedbał też Lorentowicz umieścić w planie swoim nieznanych zupełnie poetów z plejady straceńców, którzy grupowali się przy Fillebornie. Będzie to pierwsze słowo rozważnego wyroku historji nad ich walką o piękno i wolność. Obok bowiem wyczerpującej antologji ich dzieł da Lorentowicz sumiennie i drobiazgowo opracowany wstęp, który musi rozwiąć pyły legiend, jaki się utworzyły koło działalności i życia tych pisarzy.

Nie chcę przesądzać, jak szeroka publiczność kształcona na Szerloku przyjmie bibljotekę Lorentowicza. Ale nie ulega wątpliwości, że wszyscy, którzy pracują nad pogłębieniem swojego stosunku do rzeczywistości, którzy kochają w Polsce każdy promień celowej pracy nad kulturą, napewno w książkach wydawanych przez Lorentowicza znajdą dla trosk swoich i upodobań estetycznych zupełne zadowolenie. Bibljoteki publiczne i prywatne powinny nabyć do swoich zbiorów tomiki „Muz“. Przez bibljoteki publiczne szerokie conandoylowe rzesze czytając „Muzy“ przestaną gustować w zbirowatej makulaturze. Nauczą się cenić piękno, nauczą się czytać dzieła trwałe i wieczne.

W ten sposób praca wychowawcza nad podniesieniem poziomu moralnego i estetycznego w upodobaniach czytelniczych rzesz szerokich zostanie spełniona. Oby tylko znaleźli się ludzie rozumiejący i rozumni, ludzie pragnący kultury i wiedzy!

Eustachy Czekalski.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Oblicze.

O widzę jeszcze piękne to oblicze
Nieśmiertelnością jakichś wielkich przeżyć;
W źrenicach głębie dziwnie tajemnicze,
Uśmiechy każą w ból bezdenny wierzyć;
Zastygła w rnysach już melodja smutk
Gra jeszcze koło ust tych pocichutku.

Oblicza takie wyrzeźbione duszą
I jakby pełne serdecznego krzyku.
Ujrzane w tłumie, wyobraźnię kuszą,
Jak owe zgłoski ryte na pomniku
W nieznanej mowie, choć się w pamięć wżarły,
Nic nie chce mówić język już umarły.

TEATR ZIMOWY.

(*Potrzeba racjonalnej organizacji—„Losy Europy*“).

Teatr nasz zamknął prowizorycznie swoje podwoje; przez pierwszy tydzień postu kasa teatralna skazaną była na przymusową bezczynność: nie mogli się jednak uskarżać na bezczynność artyści, gdyż zapowiedziane gościnne występy p. Ordon-Sosnowskiej absorbowały całe towarzystwo działowe; próby z szeregu sztuk wymagały pracy niemałej.

Zanim zbilansujemy w swoim czasie tegoroczne wyniki kampanji teatralnej—zarówno artystyczne, jak materjalne—nie możemy się powstrzymać od rzucenia kilku słów żalu, że działalność naszej trupy dotychczas jeszcze nie ustaloną jest o tyle, by całej grupie ludzi, pracujących z dużym wysiłkiem, zapewnić warunki trwałe, pozbawione niespodzianek.

Nazbyt łatwo przywykamy do pewników, które są raczej krzyczącą anomalją, nie logicznie uzasadnionym efektem stosunków istotnych. Stąd to szerszy ogół ze spokojem godzi się na szereg opinji o teatrze, gdzie niewiadomo, co bardziej podziwiać: naiwność bezwzględną, czy indyferentyzm—mało zaiste sympatyczny.

Tak więc. O obyczajach teatralnych mówi się, jak o rzeczy zgoła ralnej,natu że są „niesolidne“—t. zw. awanturnicze; o ludziach, poświęcających scenie swą pracę i swe talenta—zwłaszcza o aktorkach—wypowiada się zdanie, że są „lekkomyślne“... czytaj dowolnie· O całokształcie interesów teatralnych myślimy wprost, jako o imprezie, która z jednej strony graniczy z loterją, z drugiej—z bankructwem. To są rzeczy do tego stopnia stare i banalne, że pisaćby o nich niewarto, gdyby nie fakt, że wszystko to jest jednak żywotnem, jednak aktualnem, a Wilno — teraz w przededniu zamknięcia sezonu i rozpoczęcia rychłych już kroków w kierunku organizacji stałego teatru w stałej, odpowiadającej naszym wymaganiom siedzibie — powinno sprawom polskiej sztuki dramatycznej poświęcić nieco więcej czasu i więcej myśli.

Kto się interesuje życiem teatru, przypomni sobie bez wysiłku, że ubiegłe kilka tygodni było okresem, gdzie kryzys wisiał na włosku, a zmora zaległych gaż zaglądała w niejedne oczy.

Kto się interesuje losami naszego teatru, ten wie zapewne, że troski jego materjalne niecałkiem jeszcze należą do przeszłości. Że zaś teatr nasz jest jednem z najważniejszych ognisk kultury a społeczno - pedagogicznie warsztatem nieposlednim—nie będzie od rzeczy przypomnieć, że przyszły sezon w przyszłym teatrze powinienby się tak ukształtować, by wykluczone były dla miasta ujemne niespodzianki artystyczne, zaś dla artystów — administracyjne.

Gdy urzędnik banku, czy prywatnego polskiego towarzystwa kredytowego, lub asekuracyjnego ma prawo do odebrania we właściwym czasie należącego mu się rubla — śmiemy sądzić, że prawo to posiada również polski aktor.

Dyrekcja obecna zasłużyła sobie z wielu względów na całkowite nasze uznanie, podnosiliśmy niejednokrotnie energję kierowników obecnego sezonu, ożywienie repertuaru szeregiem dobrych premjer i t. d.

Nie jest jednak obecna dyrekcja działówki wolną od zarzutów; sądząc jednak nie bez pewnych podstaw, że zarzuty te stokroć owocniejszą wywołają reakcję, gdy je skierujemy w formie dezyderatów do miarodajnych sfer naszej inteligiencji, która we właściwym czasie zajmie się sprawą przyszłego sezonu, przypominamy, jak ważną rzeczą będzie *wczesne* i możliwie *ścisłe* objęcie kontroli nad sprawami teatru — z myślą nie tylko o interesach sztuki (miasta), lecz i o interesach artystów: zanim bowiem autor przyszłego teatru wileńskiego poruszy nam serca twórczem objawieniem, baczmy, by mu niezbędne kalorje pokarmowe podano w umówionym czasie: niezależnie, czy kalorje te będzie zawierał kosztowny ananas, czy też buljon Maggi (w kostkach) — używany przez nasze oszczędne gospodynie.

Dotychczas *fachowość i niezależność* były w stosunkach naszych zaletami wzajemnie się wykluczającemi. Byłoby nad wyraz pożądanem, gdyby tow. pop. sceny polskiej—posiadające ową niezależność—pozyskało w przyszłości siły istotnie kompetentne, choć neutralne.

. . . .

Na zakończenie sezonu karnawałowego pokazano nam niedawno nabytą w Warszawie, wybraną sztukę Brunona Winawera p. t. „Losy Europy“. Rzecz ta posiada zalety, które ją stawiają narówni z najcelniejszemi dziełami lekkiej satyry dramatycznej; pozatem sztuka p. Winawera utrzymaną jest w stylu wyborowym, znakomicie przerastającym szereg podobnych importowanych utworów.

„Losy Europy“—(„burleskę“—jak chce autor) cechuje wyborny dowcip: Humor, esprit prawdziwie europejski, kraszą akcję, która się rozwija błyskawicznie koło „konfliktu dyplomatycznego“— jaki wywołuje w stolicy egzotycznej Czarnoszyji Bogu ducha winny student Karapetkowicz, uwięziony za wywołanie zajścia z bohaterskim tenorem śpiewającym fałszywie partję Lohengrina na galowem przedstawieniu w operze. Zazdrość... policzek... skandal.... interwencja dyplomatyczna.... zmora wojny europejskiej... przemarsz i dyslokacja fikcyjnie groźnych korpusów—wszystko to wikła się w szalonem tempie, by niebawem rozwikłać się ku zadowoleniu i uciesze widza, towarzyszącego akcji szczeremi i częstemi wybuchami śmiechu.

Wyborna jest intryga burleski, wyborne i arcykomiczne typy ministra, dyplomatów, studentów etc. całość działa kapitalnie zwłaszcza że niejeden uśmiech aktualny wywoła myśl o spółcześnie popularnej kwestji komunikatów dyplomatycznych i pełnych niesłychanej grozy depesz agiencyjnych, zapowiadających z czwartku na piątek rzeczy, które nieodwołalnie mają zatrząść Europą... w sobotę, a w niedzielę zostają odwołane ze spokojem, który jest tak wielkim, że już przestaje być cynicznym.

Sztuka Winawera cieszy się w Warszawie wielkiem powodzeniem—u nas wybrano ją całkiem słusznie na benefis p. Strycharskiego.

Niestety. Nie mogę nazwać gry p. Strycharskiego ani benefisową, ani wybitnie dobrą.

Utalentowany i ceniony słusznie przez wilnian artysta potraktował swą wyborną rolę w sposób dość niedbały; w pierwszym akcie raziło całkiem jaskrawe borykanie się z tekstem; w następnych—benefisant miał wprawdzie dobre momenty, lecz nie rozwinął nawet części środków, które posiada w zakresie charakterystyczno-komicznym.

Zupełnie dobrym był w roli Karapetkowicza p. Węgierko, to samo powiem o pp. Szarkowskim

i Kiernickim (pierwszy dał dobry typ dyplomaty—drugi—bankiera).

Wprost wyborny był p. Czarnowski w roli sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi — Rododenronowicza... jego doskonale zaakcentowane i z brawurą a oburzeniem rzucone: „...ja nie jestem człowiek! ja jestem sędzia śledczy“ — wywołało homeryczny śmiech na widowni.

P. Jerzyński zrobił z roli Jerzego, lokaja ministra, postać nader plastyczną, nacechowaną doskonale obmyślanym komizmem. Dobra była p. Wrześniowska; p. Bilińska roli nie zepsuła, ale też nie dodała jej charakteru: dałoby się tu wydobyć znacznie więcej. Tosamo zastosuję do pp. Bielicza, Norskiego i Cornobisa.

Wilno w najbliższym czasie powtórzonych „Losów Europy“ nie zobaczy.

W przyszłości jednak sądzę, że sztuka ta nieraz jeszcze zrobi swoje: warta jest, doprawdy, gry koncertowej i kompletu w kasie.

Zdzisław Kleszczyński.

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Racz zamieścić na łamach swego poczytnego pisma tych kilka słów.

Wobec wzmianki zamieszczonej w „Gazecie Codziennej“ że Towarzystwo Popierania Sceny w sezonie letnim 1913 roku żąda jedynie operetki, niniejszem uprzejmie proszę o zaznaczenie, że o ile sezon letni zostanie mnie powierzony przez Zarząd Towarzystwa Popierania Sceny, to prócz oper i operetek będą również wystawione komedje i dramaty, a na widowiska popularne sztuki ludowe.

Dowodem czego jest angażowanie prócz wybitnych sił śpiewaczych kilkunastu osób personelu dramatycznego.

Uwzględniając nadto potrzebę dania jaknajszerszym warstwom ludności kulturalnej rozrywki—zostaną zaprowadzone przezemnie:

1) Bilety ulgowe po cenach zniżonych dla uczącej się młodzieży na odpowiednie sztuki.

2) Dla instytucji społecznych i związków jak „Sokół“, „Lutnia“ i t. d.

3) Kolejno jeden raz w tygodniu pewną ilość biletów *bezpłatnych* instytucjom dobroczynnym i ochronom.

Repertuar projektowany następujący:

Opery.

Straszny Dwór, Verbum Nobile, Zamek na Czorsztynie, Flis, Krakowiacy i Górale, Jaś i Małgosia, Córka Regimentu, Wanda, Mazepa, Halka.

Operetki.

Kochany Augustynek, Gri Gri, Sufrażystki, Dama w Czerwieni, Księżniczka Miljardów, Romantyczna Żona, Noc Miłości, Druciarz, Micado, Opowieści Hofmana, Noc w Wenecji, Legjonistka, Lekka Kawalerja, Palestrant, Paziowie Królowej Marysieńki, Indigo.

Komedje i Dramaty.

Djabeł i Karczmarka, Jeniec Napoleona. Szlakiem Legionów, Ks. Józef Poniatowski, Dwory Polskie, Topiel, Piękna Ogrodniczka, Bracia Lerche, Pani Bella, Jak liście, Pani prezesowa.

Lekkie komedje i farsy w miarę ukazywania się na scenach warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej.

Sztuki ludowe.

Czartowska Ława, Sobkowa Zagroda, Nad Pilicą, Ułani, Hulaj dusza, Pod godłem krzyża, Emigracja chłopska, Rycerze mgły, Tajemnice Warszawy. Szalawiła, Urszulka z Czarnolesia, Grochowy wieniec, Myszy bez kota, Noc Święto Jańska.

Pozostaję z należnym szacunkiem

Br. Oranowski.

V-ta wiosenna wystawa obrazów.

Niezbyt liczną jest V-ta wiosenna wystawa obrazów, niecałe 200 numerów, przeważnie miejscowych artystów; niektórych spotykamy już nie poraz pierwszy, możemy więc stwierdzić postęp w rozwoju ich talentu.

I tak np. szczerze winszujemy p. Międzybłockiemu jego pasteli—portrety zwłaszcza mają dobrą fakturę; zgoła nie banalne pojmowanie przedmiotu; nie można tego powiedzieć o p. Bałzukiewiczównie, której pejzaże i wnętrza są interesujące, ale za to portrety ciężkie, trywialne i wadliwe w kompozycji, np. układu ramienia (portret kobiecy). P. Józef Bałzukiewicz niepotrzebnie upstrzył sympatyczne widoki Wilna (Bosaczki, Ostrą Bramę, kościół po-Misjonarski) niemożliwie narysowanemi figurami, których brzydotę nie ratuje to, że mają stroje z przed stu laty.

Niezłe portrety dał p. Władimirskij, krajobrazy wydają się zbyt włoskie w kolorycie, jak na okolice Wilna, ale dużo w nich nieopanowanego temperamentu. To samo da się powiedzieć o portretach p. Zełkinda, jednak rozmach i brawura jego studjów paryskich i tutejszych każe wybaczyć błędy techniczne.

Ryzykowne są efekta księżycowe i słoneczne p. Kajgorodowa, te ostatnie wydają mi się jednak prawdopodobniejsze.

Niepodobna chwalić p Łukaszewiczówny za jej portrety — są to oleodruki do towarzystwa ze znanemi *marines* Gansona, o których da się powiedzieć, że są w sam raz do ozdoby podrzędnych restauracji.

Niezłe szkice nadesłał p. Socharski z Warszawy. Ciekawe są studja p. Tepera z Paryża i Palestyny, ale zbyt niedbałe, by je można było dać na wystawę. Są to notatki, które artysta chować zwykł do podręcznej teki.

Wszystko, co nadesłał p. Szer jest b. dobre; o ile go pamiętam z dawniejszych wystaw zrobił rzetelne postępy w rysunku, co w portrecie zwłaszcza każe rokować dobrą przyszłość.

P. Fleury dała dobry portret p. M. N. i bardzo zajmujące rysunki tuszem w rodzaju znanych i bardzo poszukiwanych w Paryżu „noirs et blancs“ rodaczki naszej p. Zawadzkiej. Jestto rodzaj groteskowo-sentymentalny nadający się świetnie do ilustracji i winjet, p. Fleury wydaje mi się że ma wybitne w tym kierunku uzdolnienie i, rzecby można, dowcip potrzebny właśnie do tego rodzaju utworów.

Życzliwi przyjaciele powinniby poradzić p. Sukowskiemu z Mińska, aby poza cztery ściany swego domostwa nie wyłaniał swych utworów; są one bowiem pod względem kolorytu, rysunku i techniki absolutnie nie możliwe, wprost... przykre.

Natomiast z prawdziwą rozkoszą zatrzyma się wzrok na czterech czy pięciu akwarelach p. Iwanowa—czysty rysunek przedziwna przezroczystość dalszej perspektywy, miękkość opalowej mgły sprawiają, że z rozkoszą się patrzy na jego zimowe i wiosenne krajobrazy.

Dlaczego na tej wystawie zabrakło znanych nam sympatycznie nazwisk pp. H. Römerówny, Dembowskiej-Romerowej, Jarockiego, Jurjewicza, to jest zapewne tajemnicą artystów lub winą komitetu; że na-

tomiast nigdy już nie widzimy nowego utworu prof. Ruszczyca jest to tajemnica, za którą nie wiemy kogo obwiniać—teatr, czy Dom Serca Jezusowego?

Miron.

PRASA POLSKA.

— Za beznadziejną sytuację uważa p. St. Gr. w „Dzienniku Petersburskim“ ten stan nudy i bezczynności, w którym trwa Duma czwartego powołania.

„Gdy tylko Duma zabiera się do pracy, musi odczuć ona, iż jest jakąś jałową wyspą na olbrzymiem morzu państwa Rosyjskiego, wyspą, którą stopniowo i powoli odcięto od reszty świata.

Wolno „parlamentowi“ żyć swojem życiem wewnętrznem, wolno mieć własne kryzysy i burze, prace i bohaterstwa, własne lenistwo i niezaradność, nie wolno mu jednak wysuwać się po za to swoje życie wewnętrzne. Każda próba w tym kierunku jest albo udaremniona, albo pozostawiona bez uwagi.

Jak słusznie zauważył poseł Szingariew, względem Dumy zastosowano strajk włoski, to jest poczęto postępować tak, iż choć formalnie, zewnętrznie wszystko odbywa się comme il faut, w rzeczywistości praca i znaczenie Dumy są najzupełniej sprowadzone do zera.

Trzeba dodać do tego, że nawet normalnie nie wszystkie pozory są przestrzegane i, jak to wskazywaliśmy, w całym szeregu spraw dojrzewa jawny konflikt pomiędzy Izbą a rządem.

Tragi-komiczna, staje się sytuacja, gdy skonstatujemy te objawy, na które świeżo w ankietach wskazali posłowie.

Z beznadziejnej sytuacji widziano wyjście w rozwiązaniu Izby, przynajmniej przedstawiciele lewego centrum tak się wypowiadali.

Obecnie i oni twierdzą, iż rząd do tego środka się nie ucieknie, i ma po temu poważne przyczyny.

Duma obezwładniona i unieruchomiona bez wielkich zachodów, bez przewrotów, bez głośniejszych konfliktów—to wielka zdobycz, wielki plus; pozbyć się go — to wielkie ryzyko.

A więc ostatnia nadzieja na rozwiązanie Izby również znika. Pozostawało by jako ostatnie, wyjście— złożenie mandatów. Jest to jednak krok tak poważny i odważny, iż zdecydować się nań może zaledwie część opozycji, co do październikowców nie może być żadnej wątpliwości; sami z trudem lub z cudzą pomocą zdobytych mandatów nie wyrzekną się oni.

A więc sytuacja staje się wprost beznadziejna: Izba sama sprowadzi swą pracę... ad absurdum.

To nowy etap konstytucjonalizmu w państwie, który może być brzemienny w poważne i niebezpieczne następstwa“.

Ostatni ustęp jest niezupełnie dla nas zrozumiały. O jakich poważnych i niebezpiecznych następstwach może być mowa? Reakcja się wzmaga i coraz wyraźniejszem się staje, że istnienie Dumy w jakiejkolwiek formie na bieg spraw nie ma żadnego wpływu. Znów zyskuje prawo obywatelstwa paradosalna formułka: im gorzej — tem lepiej.

— Feljetonista „Tygodnika Polskiego“ z ironją mówi o okresie próby, który przeżyło społeczeństwo polskie:

„Radość powszechna. Powracamy do dawnych, dobrych, — jakże dobrych! — czasów.

Pokój europejski uratowany.

Zmora głębszych wstrząśnień usunięta, ludzie i stronnictwa dalej ryby swe łowić mogą w mętnej cieczy stosunków dotychczasowych, — pewni, iż nic nie przerwie tej szlachetnej tradycji; giełda się już ruszyła, przemysł i handel do nowych gotują się podbojów, w rozmarzeniu swem sięgając coraz niebotyczniejszych dywidend,—słowem kamień z serca spadł i arkadyjskie znowu nastają dni. Tylko warjaci jacyś, marzyciele, na obcych zwykle pozostający żołdach, wrogowie narodu— ci przedewszystkiem przechodzą prawdziwy *katzenjammer*.

i słusznie im się należy ta kara — chociażby za tyle zgryzot, ile z ich strony doznał „porządny obywatel kraju“. To też czas rozprawić się z nimi ostatecznie, by zgnieść raz na zawsze wszelką chęć recydywy, raz na zawsze „otworzyć oczy“ społeczeństwu na zgubną robotę „wichrzycieli“. Oto, szanowny rodaku, pierwszy dzisiaj twój obowiązek.

Wszystko inne i tak się ułoży.

Więc przedewszystkiem zreasumować trzeba sytuację.

Naród okazał się odpornym na wszelkie insynuacje opozycyjne. Silny i mężny niedał się wyprowadzić z równowagi, pomny, iż komu się dobrze powodzi, temu nie wolno pomyślności swej na szwank narażać. Przez chwilę wprawdzie zdawać się mogło, iż nie wymarł jeszcze duch Don Kichota i na nowo nas porywać zaczyna. Ale rychło przyszło otrzeźwienie, rychło zwyciężyła rozwaga i roztropność, rychło stanęły do apelu wypróbowane siły stronnictw i w szlachetnym turnieju stracić zdołały z piedestału grożącego wszelkiemi klęskami ducha przewrotu.

To jedno.

I dalej. Jakże wspaniałą okazała się solidarność narodowa, jak wobec powagi czasów wykazała moc swą i potęgę. Jeden naród — jedna myśl. Kraków i Warszawa, Galicja i Królestwo — braterskim splecione uściskiem; Poznańskie, wyciągające ramiona do siostrzyc swoich, biegnące w ich objęcia, niepomne przeszkód i niebezpieczeństw. Zaiste, radujmy się“.

To też cieszą się i zacierają ręce ci wszyscy, którzy otwarcie powiadają: ideały—furda, rubel—to grunt. A imię im—legjon.

NA WIDNOKRĘGU.

Dawno zapowiadana, następnie zaś parokrotnie odwoływana demobilizacja, została wreszcie ogłoszona przez jednobrzmiące komunikaty rządów rosyjskiego i austrjackiego. Według słów komunikatu, „zdecydowano liczebność wojsk austrjacko-węgierskich w Galicji zmniejszyć do zwykłej normy“. Wiadomo, że Austrja, prócz uzbrojeń w Galicji, przedsięwzięła jeszcze uzbrojenia na granicy serbskiej. Te nie zostały objęte ogłoszoną demobilizacją.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno sam fakt demobilizacji, jak i sposób podania go do wiadomości przez jednobrzmiący komunikaat obu rządów jest doniosłym wypadkiem, znamionującym wyraźny zwrot pokojowy w naprężonej obecnie sytuacji.

Naiwnością wszakże byłoby mniemać, że cały kryzys wschodni stracił już swe ostre pierwiastki i przestał zagrażać pokojowi europejskiemu. Najwymowniejszą pod tym względem wskazówką stanowią wielkie projekty zbrojeń w Niemczech i we Francji, które prawdopodobnie znajdą naśladowców i w innych państwach. Bezpośredni związeki projektu niemieckiego z wypadkami na Bałkanach stwierdził otwarcie organ kanclerski.

Zamierzone uzbrojenia wskazują, że dotychczas rozegrała się mniej ważna, mniej niebezpieczna faza przesilenia, że w bliskiej przyszłości należy oczekiwać wypadków i rozwiązań więcej decydujących, z których dopiero wypadnie dokładniejszy bilans zysków i strat dla każdego z mocarstw.

Głównym czynnikiem możliwych zawikłań jest zachwianie dotychczasowej równowagi europejskiej wskutek zmienionego układu stosunków na półwyspie Bałkańskim. Potęga turecka dość wysoko szacowana w ostatnich latach przestaje właściwie istnieć w Europie, natomiast staje się już dotykalnym faktem niepoślednia siła czterech państw

bałkańskich. Czy siła ta pozostanie zjednoczona, czy koalicja wojenna przekształci się w związek bałkański — co do tego różne są wersje i przypuszczenia. W każdym razie tendencje, które doprowadziły do utworzenia koalicji nie przestają działać i po zwycięstwie nad Turcją. Trzeba się więc i w przyszłości liczyć z prawdopodobieństwem wspólnego działania paru, lub nawet wszystkich uczestników koalicji bałkańskiej.

W obecnych okolicznościach kierunek owego możliwego działania zarysował się jako antyaustrjacki. Dotyczy to szczególnie Serbji i Czarnogórza, ale w pewnych warunkach może się stosować do wszystkich czterech państw koalicyjnych. W położeniu strategiczno-politycznem monarchji habsburskiej zachodzi tym sposobem znaczna zmiana, stwarzająca dla niej nowy, niebezpieczny front.

Jeszcze niedawno uchodziło za rzecz pewną, że Austro-Węgry, związane pewnego rodzaju układem z Rumunją, oraz przyjaznemi stosunkami z Turcją są zupełnie bezpieczne od strony Bałkanów. Połączone siły obu tych państw wydawały się całkiem dostateczne do trzymania w szachu wszystkich pozostałych państw, gdyby te chciały uderzyć na Austrję. Mniemana nadwyżka sił, przyjaznych tej ostatniej, nietylko miała zabezpieczać południowo-wschodni front monarchji habsburskiej, ale jeszcze obiecywała pewnego rodzaju dywersję na jej korzyść w razie wielkiego starcia europejskiego.

To wszystko runęło w gruzy. Od strony Bałkanów ukazał się nagle front nowy, zagadkowy i niebezpieczny. Nie jest on tak zasadniczo i koniecznie wrogi Austrji, jak tego żądają doktryna panslawistyczna i jej organy w prasie rosyjskiej, nie ulega jednak wątpliwości, że jest to ewentualność prawdopodobna, której Austrja mogłaby uniknąć jedynie przez politykę rozumną i zdecydowaną.

Wszystkie spory o porty na Adrjatyku, o granice Albanji i t. d., były z jej strony usiłowaniami i próbami. Usiłowania analogiczne muszą iść dalej na gruncie samych państw bałkańskich i wskutek tego kryzys obecny daleki jest od wyczerpania. Staje się on obecnie po przejściu zimowej fazy kryzysem przewlekłym, który zresztą nabrzmiewa nowemi pierwiastkami i na tle austrjacko-rosyjskiego, lub też innego antagonizmu, może nagle przybrać charakter ostry. W tem przewidywaniu państwa europejskie na wyścigi rzucają się do nowych zbrojeń.

⊳oooooooooo⊲

KRONIKA.

= Sprawa St. Patka.

Podczas walki w łonie Kultury Polskiej, p. Andrzej Niemojewski w zapale polemicznym wystąpił z szeregiem oskarżeń w „Myśli Niepodległej“ przeciwko adwokatowi przys. p. Stanisławowi Patkowi.

P. Patek powierzył rozpatrzenie zarzutów, postawionych mu prez p. Andrzeja Niemojewskiego, „Kołu Polskich Prawników“, do którego należy.

Obecnie zarząd „Koła Prawników“ wydelegował ze swego łona specjalną komisję, która zajęła się zbadaniem sprawy i orzekła, że uczynione p. Patkowi zarzuty są bezpodstawne i niezgodne z istotnym stanem rzeczy.

Co do przytoczonego w № 234 „Myśli Niepodległej“ wyjątku z testamentu—komisja uznała, iż wyjątek ten, jako będący wyrazem subjektywnej opinji zgasłego testatora, co do osoby p. Stan. Patka i dotyczący stosunków ściśle rodzinnych ocenie komisji podlegać nie może.

= Ofiara zawodu.

W Wilnie zmarł dr. Muszkat, jeden z lekarzy instytucji „Miszmeres-Chojlim“, niosącej pomoc w dzień i w nocy ludności biednej bez różnicy wyznania i narodowości.

Dr. Muszkat zmarł na tyfus, którym się zaraził od jednego z chorych swoich pacjentów.

= Translokacja.

Gazeta „Siewiero-Zapadnaja Żiźń“, po przeniesieniu jej z Wilna, wychodząca od roku w Grodnie, obecnie zmienia znów miejsce pobytu i nadal będzie wychodzić w Mińsku. Redaktor p. Solonewicz tłomaczy ostatnią zmianę względami technicznemi, mianowicie brakiem drukarni rosyjskiej w Grodnie. Istotny jednak powód tkwi, zdaje się w tem, iż nacjonaliści mińscy obiecali gazecie swe poparcie materjalne.

= Uwolnienie.

Na mocy amnestji uwolniono z więzienia na Łukiszkach p. D. Rymkiewicza, redaktora odpowiedzialnego tygodnika „Światło“, skazanego w roku zeszłym na dwa lata więzienia za bluźnierstwo.

= Pisarze rosyjscy a amnestja.

Pisma doniosły już, że Maksym Gorkij na zasadzie Manifestu Najwyższego posiada prawo pewrotu do Rosji. „Przestępstwo“ znakomitego pisarza polegało na tym, iż napisał on w swoim czasie powieść „Matka“, na tle życia robotników zorganizowanych; niezależnie od tego Gorkij wydał kilka drobnych nowelek, w których urząd prokuratorski dopatrzył się zamachu na istniejący ustrój państwowy. Wobec tego, iż przestępstwa te przewidziane są w artykułach 128 i 129 nowego kodeksu karnego, sprawa więc Gorkija zostanie umorzona. Krążyły pogłoski, iż Gorkij pociągnięty został również do odpowiedzialności za wrzekomy udział w partji socjalno-demokratycznej. Wobec tego, iż do czasu procesu frakcji s.-demokr. Dumy drugiego powołania, prokuratorja udział we wskazanej partji kwalifikuje jako przestępstwo przewidziane w art. 102, przypuszczano, iż Gorkij z ukazu amnestyjnego nie skorzysta, gdyż artykuł ten nie został objęty amnestją. Okazało się jednak, iż Gorkij nigdy nie był pociągany do odpowiedzialności za udział w nielegalnych partjach politycznych, dziś więc może powrócić do ojczyzny.

Z ukazu amnestyjnego skorzystać może również i znany pisarz Amfiteatrów oskarżony o bluźnierstwo.

Według otrzymanych jednak wiadomości z Rzymu, obydwaj pisarze oświadczyli kategorycznie dziennikarzom zagranicznym, iż z przysługującego im prawa nie skorzystają i nie mają zamiaru powrócić do kraju.

= Działalność IV Dumy.

Kancelarja Dumy ułożyła zestawienie prac IV Dumy od jej otwarcia do chwili obecnej.

Rząd wniósł w ciągu ubiegłego czasu 445 projektów, z nich 205 było powtórzeniem wniesionych do III Dumy, Rada Państwa zwróciła 8 projektów III Dumy. Duma uchwaliła 23 projekty. Ministerja wycofały—13.

W drodze inicjatywy własnej—posłowie wnieśli 31 projektów. Wniesiono 20 interpelacji, z nich—17 przeszło do komisji, 3 przyjęto jako nagłe.

Zapytań wniesiono 8, co do jednego (o gimnazjach), uchwalono formułę wyrażającą niezadowolenie z wyjaśnień ministra.

Z rozporządzenia Komitetu prasowego № 7 „Przeglądu Wileńskiego“ uległ konfiskacie.

Treść numeru.

Stały sposób. — J. Sorokowicz.
Kwestja żydowska w Królestwie. — Wi—ski.
Listy ze Wschodu. — T. Nowik.
Dzieło „łbów szalonych“. — Z. Polkowski.
Arystydes Briand. — St. Posner.
„Muzy“. — E. Czekalski.
Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbicki.
Teatr zimowy. — Z. Kleszczyński.
V wiosenna wystawa obrazów. — Miron.
Prasa polska.
Na Widnokręgu.
Kronika.
Odcinek: „Piotr Buza“. — Z. Tyski.

Każdy bezwarunkowo ma możność gruntownego nauczenia się

JĘZYKÓW francuskiego, angielskiego, niemieckiego i łaciny.

(Czytania, pisania i biegłej konwersacji)

BEZ POMOCY NAUCZYCIELA w ciągu 2-3 miesięcy, a nawet i prędzej.

(zależy to od pilności i zdolności)

stosując naszą metodę nauki, i używając naszych SAMOUCZKÓW.

NAUKĘ GWARANTUJEMY!

W przeciwnym razie **zwracamy pieniądze** po upływie **trzech miesięcy!**

Tysiące osób, należących do najrozmaitszych sfer towarzyskich nadesłały nam

WYRAZY UZNANIA i PODZIĘKOWANIA!

Żądane podręczniki wysyłamy przekazami pocztowemi.

CENA Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ: jednego **Samouczka** rb. **1** kop. **27**; dwóch **Samouczków** rb. **2** kop. **25**; trzech **Samouczków** rb. **3** kop. **16**; czterech **Samouczków** rb. **4** kop. **05**.

ADRES:
St.-Petersburg, Italjańska № 15—140, Redakcja czasopisma „ВОЛНА ЖИЗНИ".

Pozostające pod zarządem Ministerjum handlu i przemysłu

Kursy buchalterji N. J. i A. J. MOCHOWÓW

DLA OSÓB PŁCI OBOJGA.

WLNO, Ś-to JERSKA 44.

Podania są przyjmowane. Wykłady zostaną rozpoczęte d. 1 lutego. Opłata wynosi 100 rubli. Na kursach będą wykładane: buchalterja, arytmetyka handlowa, korespondencja handlowa, prawoznawstwo, języki cudzoziemskie i arytmetyka ogólna. **PROGRAMY BEZPŁATNIE.**

Kancelarja otwarta od 10-tej do 4-ej po poł.

Do nabycia książka, polecona przez Kom. Nauk. Min. Handlu i Przem.

N. MOCHOWA

Buchalterja — kurs młodszy teorja i praktyka. **Cena 1 rb. 50 k.**

INTROLIGATOR

ALEKSANDROWICZ

Wilno, Tatarska, 11.

Telef. № 12-24.

PRAKTYCZNIE. ŁADNIE. TANIO.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY-LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)

Wilno, prosp. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja majątków ziemskich z udziałem Banków Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzanie gospod. leśnych oraz innych robót w zakres leśnictwa wchodzących. Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Czytelnia E. Żukowskiej

Wilno, Skwer Ś-to Jerski 3, m. 5.

Otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 7-ej prócz niedziel i świąt.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 16 (29) Marca 1913 r. № 10—11.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1 75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k

Numer pojedyńczy 15 kop.

Sapienti sat.

Dzięki niewyrobionym formom życia społeczno-politycznego u nas, daje się zauważyć wyraźna tendencja pewnych czynników do zabierania głosu i występowania w imieniu całego społeczeństwa. Do niedawna do roli reprezentantów narodowych poczuwali się w pierwszej linji kierownicy Banku Ziemskiego i Towarzystw Rolniczych.

Ogół nie protestował, uważając widocznie za całkiem naturalne, że zdolność do operacji finansowych lub znajomość uprawy kartofli wystarczyć powinny w zupełności do zrozumienia i odczucia potrzeb i dążeń narodowych. Do niedawna, co prawda, aspiracje społeczeństwa polskiego na Litwie i Białejrusi nie wybiegały poza obręb interesów ekonomicznych ze słabą domieszką elementarnych wymagań kulturalno-politycznych.

Stan ten uległ pewnym zmianom po roku 1905, gdy nowy ustrój powołał na arenę publiczną nowe legalne czynniki reprezentacyjne w postaci posłów do Dumy i Rady Państwa. Zmiana zaszła jednak tylko pod względem formalnym, treść pozostała niemal ta sama.

Obowiązująca bowiem w państwie Rosyjskiem ordynacja wyborcza zapewnia znaczną przewagę przedstawicielstwu większej własności ziemskiej, kosztem mniejszej, przedewszystkiem zaś miast.

Czy w tych warunkach można uważać urzędowych niejako przedstawicieli za istotnych wyrazicieli dążeń i nastrojów społeczeństwa? Oczywiście nie.

Już sam fakt, że o wyborze ich decydują obszarnicy, odosobnieni w swych dworach, biorący słaby udział w życiu gromadzkiem, dla którego naturalny teren stanowią tylko miasta—przesądza o charakterze reprezentacji poselskiej. Całe gremjum wyborcze nosi wybitną cechę szlachecko-ziemiańską. Mogą się w niem znaleźć jednostki, posiadające gruntowne wykształcenie, nie tylko specjalne, lecz i ogólne, doskonale znające potrzeby i niedomagania ekonomiczne kraju, nawet nie pozbawione zdolności politycznych. Brakować im wszakże będzie najważniejszego: odczucia i zrozumienia prądów, nurtujących w społeczeństwie, zżycia się z duszą zbiorową narodu,

Tych kwalifikacji, niezbędnych do sumiennego piastowania godności kierowników politycznych, nie da najdokładniejsza znajomość papierowych programów i zewnętrznych przejawów czynu. Trzeba samemu się stykać z niemi, trzeba się ocierać samemu o ludzi, o grupy, trzeba samemu brać udział w życiu społecznem i kulturalnem, by czuć się uprawnionym do zabierania głosu w sprawach, dotyczących najistotniejszych zagadnień bytu narodowego.

A wieluż z tych, którzy na mocy swego cenzusu majątkowego uważają siebie za reprezentantów opinji publicznej, ma chociażby powierzchowne pojęcie o kierunkach i nastrojach, panujących w społeczeństwie, szczególniej śród warstw demokratycznych?

Wprawdzie do kolegjum wyborczego należą również przedstawiciele miast, ale po pierwsze w szczupłej ilości, nie odpowiadającej bynajmniej znaczeniu dzisiejszemu miast, jako ośrodków kulturalnych, powtóre zaś skład ich jest jednostronny, dzięki tejże ordynacji wyborczej oraz wpływom przemożnym kleru, idącego ręka w rękę z ziemiaństwem.

Kierunki demokratyczne nie mają swych wyrazicieli w urzędowej reprezentacji. Jakkolwiek słabe one są jeszcze u nas i co do swych wpływów nie mogą się mierzyć z ugodowo-klerykalnemi, nie mniej zyskują coraz szersze koła zwolenników, rekrutujących się przedewszystkiem z żywiołów uświadomionych, z inteligiencji, a więc przodującej we wszelkich ruchach cząstki narodu.

Zapoznawać ich znaczenie byłoby grubym błędem politycznym.

Składać jakiekolwiek deklaracje i oświadczenia

nazewnątrz bez porozumienia, a nawet wbrew wyraźnym tendencjom grup demokratycznych—doprowadziłoby jedynie do konieczności przeciwstawienia się tych grup i zamanifestowania swych odrębnych poglądów na daną kwestję. Pomijając szkodliwość ujawniania rozłamu, istniejącego w społeczeństwie nawet na punkcie ogólno-narodowych zagadnień, przez taki lekkomyślny krok osiągnięty został by cel wręcz przeciwny zamierzonemu. Nie tylko nie zapobieżono by przewidywanemu wylewowi uczuć, lecz wręcz zmuszonoby do zamanifestowania swego stanowiska tych wszystkich, którzy nie godząc się zasadniczo z idejologją ugodowo-zachowawczą, nie uważają za wskazane w sytuacji obecnej reagować przeciwko w niej w formie bardziej konkretnej.

Wogóle trudno zrozumieć jaką korzyść mogą przynieść uroczyste deklaracje naszego gremjum poselskiego, popartego nawet przez głosy wszystkich wyborców? Dla tych, którzy się z niem solidaryzują, są one najzupełniej zbyteczne. Przeciwnikom podobne wystąpienie bynajmniej nie zaimponuje. Ogół bierny zaś, otrzaskany już z tylu precedensami analogicznemi, nie potrafi się przejąć doniosłością kroku, i w dalszym ciągu będzie wierzył święcie, że przez zajmowanie określonego stanowiska najłatwiej rzecz publiczną na szwank narazić.

Jeżeli natomiast chodzi o wrażenie nazewnątrz, to cel zostałby chybiony, gdyż natychmiast się ujawni, że nie jest to stanowisko *całego* społeczeństwa, lecz zaledwie jego cząstki, co do której i dziś nikt nie ma wątpliwości, jakim ona hołduje tendencjom.

Są one przecież dostatecznie znane; nie ominięto przecież żadnej sposobności do ich ujawnienia. A jakiż skutek? Czy mimo to nabrały sfery, dla których to się robiło, większego zaufania? Czy nie zaznaczają na każdym kroku swem postępowaniem, że nie wierzą w ich szczerość, a przedewszystkiem w ich istotne ugruntowanie się w społeczeństwie, poza garstką uprzywilejowaną? Korzyść realna żadna, a upokorzenie niezmierne.

W tem środowisku, w którem króluje ideał, aby kartofle były tanie, wódka droga i chłop spokojny, wszystko jest oceniane na miarę dobrego interesu, korzystnej tranzakcji handlowej. Z tego też punktu widzenia, jak to wykazaliśmy wyżej, nie wytrzymuje żadnej krytyki ewentualna akcja samodzielna gremjum poselskiego. Ale są i inne motywy, stokroć ważniejsze, których wymieniać nie potrzeba, bo każdy je z łatwością uprzytomni, gdy zechce tylko strząsnąć z siebie pleśń, jaką okrywa nas wszystkich piwniczna stęchła atmosfera, którą oddychamy'

Sapienti sat.

L. A.

Młodzież i szkoła rosyjska.

Wybitną kwestją we wszystkich społeczeństwach jest sprawa wychowania młodzieży. Chodzi nietylko o samą organizację szkolnictwa, t. j. nauki szkolnej, w ścisłem znaczeniu słowa. To bynajmniej nie wyczerpuje całego zagadnienia.

Młodzież szkolna nie jest tylko jakimś śpichlerzem i warsztatem pamięciowo-mózgowym, który należy odpowiednio wypełnić i zaprawić do funkcjonowania myślowego. Jest ona najistotniejszą cząstką społeczeństwa, tą, która w samym zarodzie swoim, karmiona tradycją rodzin, wchłania w swą duszę najrdzenniejsze pierwiastki zwyczajów i kultury otoczenia, i która jednocześnie, będąc najwrażliwsza na bodźce zewnętrzne, najusilniej przetwarza elementy wpływów na nowe subjektywne zdobycze myśli i uczucia.

Jak nauka ma wartość trwałą w umysłach ludzkich o tyle, o ile została nietylko wchłonięta mechanicznie, pamięciowo, ale też zdobyta, przyswojona twórczą samodzielną pracą myśli, tak też wogóle wychowanie i całkowite ukształcenie indywidualności człowieka i obywatela, to znaczy urobienie jego umysłowości, jego woli, jego wszelkich zalet i cech charakteru, o tyle tylko może być uskutecznione, o ile w tych czynnościach, równolegle do wpływów oddziaływania zewnętrznego, brały udział żywy i samodzielny jego własne władze psychiczne. To znaczy, że w wychowaniu człowieka niepodobna osiągnąć skutków dodatnich

A. AWERCZENKO.

Redaktor.

(Przekład z rosyjskiego).

W bocznym pokoju restauracyjki Osowjełowa siedziało przy kieliszku wódki dwuch mężczyzn: subjekt sklepu kolonjalnego Murzakin i redaktor wielkiego codziennego pisma „Myśl Stolicy“ Mikołajew.

Redaktor, żywo giestykulując, mówił:

— Tak bracie... Znalazłem złotą żyłę — niema co gadać! Nie życie, a raj! Pięćdziesiąt rubelków miesięcznie, jak drut! Hehe! Mikołajew, mój bracie, nie byle co! Każdy pies zna mnie teraz:

— „Redaktor—Mikołajew—wydawczyni Szmidt“ —w każdym numerze wydrukowane.

— Powiedział—skrzywił się subjekt.— Ty, Mikołaszku, jesteś dość miły, ale próżny. Głupi z ciebie człowiek. Nie długo pociągniesz — trach i wpadniesz do więzienia.

Wniebowzięty redaktor umilkł. i rozmazawszy palcem po stole wylano piwo, niezdecydowanie rzekł:

— Nie, nie wpadnę... Z jakiej racji mam wpaść?

— Sam nie wpadniesz... Już cię wpakują... Nie, mój drogi, to kiepska sprawa. Jakiż z ciebie redaktor? Władzy odpowiedniej nie posiadasz. Chociażeś mój przyjaciel, ale cóż z tego?

Piszę oto różne wierszyki, poematy, a ty... czy ty wydrukujesz je w „Myśli Stolicy“? Akurat! Dadzą ci! Gadaj zdrów!

— Dlaczego nie miałbym wydrukować—po namyśle odpowiedział redaktor.

— Można wydrukować... o ile... hm... materjał nadaje się...

Subjekt niedowierzająco zmrużył oczy.

— Jakżesz ty to zrobisz?...

— Bardzo zwyczajnie. Jeżeli wiersze twe spodobają mi się, wezmę i wydam polecenie, aby je drukować...

— No, no! Przecież jest tam inny redaktor?...

— C-o-o? Co za inny? Ja jestem redaktor Mikołajew, i żadnych innych Mikołajewów nie ma! Redaktor Mikołajew — Wydawczyni Szmidt — drukarnia „Pożytek i praca“! Mój drogi, wiem dobrze, co mówię.

— Gdzie są pańskie wiersze?

W tak poważnej chwili, redaktor uznał za stosowne zmienić ton rozmowy i zwracać się do swego przyjaciela na „Pan“, subjekt zaś odrazu odczuł chłód suchego oficjalnego zwrotu.

metodą wyłącznego oddziaływania na element bierny, lecz że nadewszystko niezbędne jest odpowiednie pobudzenie jego władz psychicznych do stanu czynnego. Sztuka pedagogiczna może być sztuką kierownictwa, ale nie władzy, przymusu, ślepego nakazu.

Młodzież w społeczeństwie jest przeciętnie nietylko jego cząstką najrzeczywistszą, ale też cząstką najlepszą, najczystszą, najmniej spaczoną przez życie, przez wybujałe jednostronnie namiętności i t. p. Zapewne, że taż młodzież jest najpodatniejsza wykolejeniu, bo jest najwrażliwsza, najmniej uzbrojona do walk życiowych, do twardego przeciwstawienia swojego „ja“ — warunkom zewnętrznym.

Stopień krystalizacji charakteru i woli jest probierzem odporności człowieka nazewnątrz. Młodzież, wychowana w dzieciństwie w rodzinach dostatnich a przynajmniej w warunkach takich, gdzie rodzina faktycznie istnieje i ma troskę o dzieci, jest naogół oczywiście miększa, łatwiej ulegająca wykolejeniu, o ile nagle się znajdzie wobec warunków ciężkich, wymagających czynu samodzielnego. Młodzież, pochodząca z niższych warstw ludowych, o ile rośnie w warunkach poza rodziną, albo, jak wiele dzieci ulicznych, prędzej i całkowicie ulega zepsuciu w wieku zbyt wczesnym, albo też zdobywa stopniowo zawczasu hart ducha, zaprawiając się w twardem życiu codziennem do samodzielności czynu, do odruchów świadomych i celowych, kształcących moc charakteru i woli. Oczywiście stopniowań w charakterach, w woli, w uzdolnieniu,—jest mnóstwo, zależnych tak od pochodzenia, środowiska kulturalnego, rozmaitych warunków zewnętrznych, jak od indywidualności osobników młodzieży. W każdym razie funkcje kształcenia i wychowania młodzieży polegać winny i na spotęgowaniu mocy oraz wyrazistości charakterów i na pozytywnem rozwinięciu w nich cech dodatnich, opierając się zawsze na spółczynności samychże władz psychicznych osobników kształconych. Tak wyrobienie przekonań, świadomego stosunku do zagadnień życiowych, wiedzy, cnót społecznych, jak sprężystość woli i ciała, — mogą być osiągnięte tylko w drodze czynnego usamodzielniania osobników.

Młodzież ponadto ma jeszcze jeden skarb niespożyty,—wielką cnotę zapału. Ta jest dźwignią największych czynów ludzkości, jest pobudką aktów twórczych, jest tą siłą potężną, która skupia rozproszone luźne elementy w człowieku, jednoczy władzę do czynu i prowadzi drogą prostą do przeznaczeń i do dzieł wielkich. Zapał tem się różni od namiętności, że kojarzy w człowieku władzę dla wydajności zewnętrznej, dla bezpośredniego aktu twórczego, podczas gdy namiętność kieruje czyn do celów wewnętrznych, pozbawionych pierwiastków twórczych. Młodzież ma w sobie przewagę zapału nad namiętnością i w tem jej moc istotna, ta moc młoda, twórcza, wiosenna, która rozwija pączki w liście, wytryska kwieciem bogatem i daje życie przyszłości. Potem w starszym wieku zapał jest zjawiskiem rzadkiem. O ileż częściej dostrzegamy u ludzi starszych, a choćby dorosłych tylko, — przewagę namiętności nad zapałem. Brak zapału, jako rzecz ujemna, może się w starszym wieku równoważyć chyba tylko wielką siłą przekonania woli.

Ten dar zapału jest wielką zaletą młodzieży i znakomitym czynnikiem wychowawczym. On niejako broni młodzież od ujarzmienia i wyzwala jej władze czynne do samodzielnego aktu twórczego w myśleniu, czuciu, pragnieniu i t. d.

„A ktoby zgorszył jednego z tych małych, którzy we mnie wierzą, lepiej mu, aby zawieszono kamień młyński u szyi jego i zatopiono w głębokości morskiej“. (Mateusz, XVIII, 6), a stosuje się to nietylko do tych, którzy uczą młodzież rzeczy złych, którzy ją psują bezpośrednio, rzucając w ich dusze, zapału pełne, ziarno namiętności, obłudy i myśli nikczemnych, ale też tych, którzy zabijają w młodzieży pierwiastek twórczy samodzielności władz, którzy ją ujarzmiają i chcą z niej zrobić automaty bez ducha i woli. Bowiem nie w Chrystusa—Boga żywego im wierzyć każą, ale w ślepy mechaniczny nakaz władzy zewnętrznej, w przymus martwy, płynący z biurokratycznych formułek ładu.

Dawni przyjaciele jakoby znikli i stanęli przed sobą: olimpijczyk—redaktor poczytnego pisma i nieśmiały początkujący poeta, los którego w zupełności zależał od decyzji tego olimpijczyka.

— Gdzie są pańskie wiersze? Zocaczymy.

Subjekt przejęty nastrojem chwili zsunął się na koniec krzesła, wydobył z kieszeni zwinięty k.wałek papieru i z uszanowaniem podał redaktorowi.

— Wu-a-la! błysnął francuzczyzną—moje wiersze.

Redaktor ściągnął krytycznie usta i rozwinął dzieło swego przyjaciela.

— Hm... tak! W samej rzeczy, wiersze. Pan mówił prawdę.

Przeczytamy, przeczytamy...

Z miną znawcy przeglądał utwór swego przyjaciela.

— Bardzo miłe wiersze, opiewające socjalne położenie ludowej klasy pracujących. Socjalistyczny utwór Karola Marksa. Tak, tak. Kasta klasowa, jak powiadają. No dobrze...

Mikołajew wstał i rzekł uroczystym głosem:

— No, dobrze!... Pracujący poeto, Murzakinie! Pańskie wiersze są przyjęte.

Subjekt, sądząc, że z chwilą przyjęcia wierszy, zakończyły się ich oficjalne stosunki, natychmiast przeszedł do zwykłego przyjacielskiego tonu.

— Dziękuję ci, Mikołasza. Bardzo ładnie z twojej strony. A kiedyż wydrukujesz moje wiersze?

— Jutro, panie Murzakin, bądź pan spokojny.

Subjekt starał się przywrócić dawny przyjacielski ton w rozmowie z redaktorem, ale redaktor widocznie nie usposobiony do rozstawania się z przywilejami swego stanowiska, podkreślił natychmiast swoją niechęć do wszelkiej poufałości z początkującym poetą.

— Bądź pan spokojny, panie Murzakin...

Subjekt, popatrzył uważnie na swego przyjaciela i nie poznał go. Coś zupełnie nowego pojawiło się na twarzy redaktora... Jakaś surowa, nieprzejednana zmarszczka spoczęła w okolicy ust; oczy, dotychczas mętne, zaświeciły blaskiem energji i zdawało się, że jakiś przełom nastąpił w dobrej, łagodnej duszy Mikołajewa.

Czy zakosztował on słodkiej trucizny władzy, czy poczuł piękno siły i czy drgnęły w duszy jego jakieś nowe struny?

Redaktor wypił jednym haustem szklankę piwa, wyprostował się i rzuciwszy na stół trzyrublówkę, rzekł niedbale:

— Czy nie zechciałby pan przejechać się ze

Cóż widzimy dziś w państwie Rosyjskiem? Oto rząd wypowiada walkę młodzieży szkolnej. Dostrzega w niej rzekomo prądy rozkładowe, wyrażające się w zepsuciu moralnem i fizycznem oraz w tajnej propagandzie rewolucyjnej. Metody, stosowane do uleczenia młodzieży z tych rzekomych bolączek, są typowo biurokratyczne, takie, które polegać mają na zabiciu w młodzieży wszelkiej indywidualności i poddania jej pod rygor dozoru policyjnego. O walce ze szkołą wyższą, o systematycznem obcinaniu jej praw autonomicznych, o tłumieniu wszelkich zalążków t. zw. ruchów studenckich,—mówić tu nie będę.

To, co się obecnie na wielką skalę robi, to walka ze szkołą średnią, z młodzieżą podlotków, których myśl i serce dopiero się otwiera z pączka. I tam już dostrzeżono zarody „zła“ i przystąpiono do pedagogiki radykalnej, policyjnej. Minister oświaty, p. Kasso, zdobył sobie na tem polu działalności smutną sławę. W drodze wyjaśnień i cyrkularzów do tego stopnia skrępowano instytucję komitetów rodzicielskich, że faktycznie w ogromnej większości wypadków skasowano ją całkowicie. Warunki formalne dla utworzenia komitetów rodzicielskich są tak ciężkie, tak w olbrzymiej większości wypadków poprostu niewykonalne, że instytucja ta zamiast normalnej stała się obecnie wyjątkową, niezwykle rzadką, a nawet tam, gdzie istnieje, jest zaledwie tolerowana. To, co miało być wyrazem spółpracownictwa rodziny ze szkołą, co było poniekąd wyrazem uspołecznienia sprawy wychowawczej,—zostało jeżeli nie całkiem wykreślone, to przynajmniej tak obcięte, tak skrępowane i wykoszlawione, że przeciętnie, a dla większości szkół absolutnie — stało się jeno fikcją. Komitety rodzicielskie mogą jeszcze istnieć tylko jako zło konieczne, zaledwie tolerowane. Rola ich jest upośledzona, bezbarwna i upokarzająca; o stopniu ich powagi decyduje w dużym stopniu łaska i dobra wola faktycznych zwierzchników poszczególnych szkół.

W ostatnich czasach w Rosji upowszechniły się rewizje, wysledzanie wszelakich zebrań i związków młodzieży, represje, aresztowania nawet, z udziałem policji, z całą inscenizacją powagi państwowej i władzy publicznej. Co to ma wspólnego z wychowaniem młodzieży, z elementarnemi zasadami pedagogji, jak to oddziaływa na młodzież, jak ją wykoleja, demoralizuje, zmusza bądź do bierności zupełnej, bądź do konspiracji, podwójnie niebezpiecznej i zawsze nieobliczalnej w skutkach wychowania! Młodzież się od pierwszych prób samodzielnego myślenia zaprawia do dwulicowości, do obłudy, traci czyste i naturalne poczucie ufności, musi się kryć z tem, co stanowi dla niej najistotniejszą wartość—mianowicie pragnieniem szukania, poznawania, rozwiązywania zagadnień, nietylko tych klasowych, ale wszelkich, które jej młody umysł i młode serce napotyka. Ma ona przed sobą alternatywę : albo stać się lalką bierną, bezmyślną, uległą nakazom zzewnątrz, chłonącą mechanicznie zdawkowe formułki rzekomych prawd, albo dać ujście szczere swym bodźcom pragnień, zapału, wiary i być samodzielnie czynną w ramach konspiracji, świecąc nazewnątrz pozorami obłudy.

Nic nie zgasi żywych pragnień młodzieży, dopóki nie znajdą one sobie ujścia we własnej twórczości władz psychicznych. Młode życie musi się krzewić, musi gimnastykować władze swoje, musi je do stanu czynnego wyzwolić. Robiąc to w warunkach dozoru policyjnego i konspiracji, młodzież traci równowagę, przesiąka niewiarą do wychowawców swoich i do całego starszego pokolenia, przecenia rychło wartość pierwszych wrażeń, i doświadczeń własnych, będąc odcięta od głębszych sprawdzianów życia. Warunki te są fatalne i stokrotnie się przyczyniają do wykolejenia młodzieży, do przedwczesnego pchnięcia jej na tory ryzykownych prób i doświadczeń życiowych.

Że młodzież się zrzesza, że się zbiera, że chce się dzielić myślami i wrażeniami, które żłobią w jej duszach o wiele głębsze rysy, niż wrażenia u większości ludzi dojrzałych, — to jest zjawisko naturalne i nic zdrożnego w sobie nie mające. Że młodzież urabia tą drogą swe przekonania, kształci i uzupełnia swą świadomość, choćby takowa doty czyła zjawisk społecznych czy narodowych, — to przecież polityką niebezpieczną dla kogokolwiek

---

mną do redakcji mojej gazety? Tylko na chwileczkę: wydam parę poleceń, odeszlę pańskie wiersze do drukarni—i jestem na pańskie usługi.

W oczach subjekta błysnęła nieśmiałość.

— Czy nas czasem aby nie wyrzucą, Mikołasza?

— C—o—o?! Kelner, płacić! Daj no mi „Myśl stolicy“. Dziękuję. Widzi pan, panie Murzakin — to jest gazeta... Czy widzi pan, panie Murzakin (o ile pan, ha, ha, ha, nie oślepł) co tu jest napisane na dole? Re—da—ktor A. S. Mikołajew, wydawczyni O. Szmidt, drukarnia „Pożytek i Praca“! Jedziemy!

. . . .

Redaktor z subjektem podeszli do eleganckiego domu, w którym znajdowała się redakcja „Myśli Stolicy“ i zatrzymali się.

— Idźżeś Pan,—nie bój się — oświecał łaskawie subjekta redaktor, a na twarzy jego znów zastygła sroga, zdecydowana zmarszczka. — No chodź pan... To moja redakcja.

— Do kogo?—zatrzymał ich woźny redakcyjny.

— Bydlę!—krzyknął, Mikołajew, marszcząc brwi. —Redaktora nie poznaje? Rozpuścili się, djabły... Pijacy!

— Pomóż temu panu zdjąć palto. Przyślij mi sekretarza i wydawcę! Czekam w gabinecie. Prędzej.

Redaktor śmiało podszedł do drzwi, na których widniał napis „Gabinet Redaktora“ i otworzył je. Gabinet był pusty.

— Chodź pan, panie Murzakin. He! Jesteś pan już przyjęty do liczby spółpracowników, i dlatego też możesz siedzieć u mnie w gabinecie.

Ton, którym mówił był jak i przedtem łaskawy i pobłażliwy. a w okolicy ust zjawił się grymas niesłychanego uporu i nieprzejednania.

— Ej, kto tam! Tysiąc razy trzeba powtarzać i zawołać mi tu sekretarza!

Do gabinetu wszedł tęgi, starszy jegomość i powiódł zdziwionym wzrokiem po siedzących—z których jeden wyciągnął się na redaktorskim fotelu przy ogromnym stole, drugi zaś—sterczał na końcu krzesła, nieśmiały i oszołomiony otaczającym go przepychem.

— Mikołajew!!! To pan tak krzyczy? Czego panu potrzeba? Pocoś pan tu usiadł.

Mikołajew oparł się plecami o poręcz fotelu i załamał ręce.

— Nie, to doskonałe: poco ja tu jestem? A któż jest redaktorem? Ja czy też pan? Czem pan tu jesteś? Sekretarz? To rób pan swoje! C-o-o? Rozpuścili się wszyscy, porządku nię pilnujecie! Gdyby was

ani szkodliwą rzekomo w wieku młodym, nie jest. Nie jest to bowiem jakiś czyn polityczny, bo zresztą dla takowego młodzież żadnych środków i form działania nie ma, jeno czyn kształcenia siebie, czyn pogłębiania swojej myśli, swojego rozwoju. Natomiast zaś właśnie konspiracja, im jest ściślejsza, im bardziej od zespołu z życiem odcięta, tem bardziej pcha młodzież do czynnej przedwczesnej akcji politycznej.

Ale to, co jest pewnikiem w społeczeństwach wolnych, nie jest oczywiście miarodajne dla systematów politycznych, opartych na rządach biurokracji. Dla biurokracji niebezpieczny jest sam fakt samodzielnego myślenia, sam proces usamodzielniania się przekonań ludzkich. Tu zasadą przewodnią jest powszechne zniwelowanie przekonań i charakterów do biernego poziomu posłuszeństwa i uległości, stanowiących kapitalne zalety tak karjerowiczów rządzących, jak trzody rządzonej. To też metoda polityki szkolnej p. Kasso, aczkolwiek nieobliczalnie szkodliwa dla młodzieży i społeczeństwa, jest przecież logiczna i w obecnych rządach reakcji konieczna, jak koniecznemi są jej wszelkie dalsze skutki.

Obecnie na porządku dziennym tej polityki szkolnej jest wznowienie starego systemu t. zw. dozoru pozaszkolnego. Uczniowie poza szkołą podlegać mają ciągłemu dozorowi specjalnemu, śledzącemu ich życie prywatne, ich stosunki, ich ruchy. Ustanowione są posady specjalnych funkcjonarjuszów dozoru tego, wywiadowców o funkcjach policyjno-śledczych, rekrutujących się oczywiście bynajmniej nie z wychowawców zawodowych, bo ci do tego rodzaju czynności uzdolnieni nie są. Gazety są pełne obrazków i scenek jaskrawych z debiutu tej wznowionej instytucji dozoru. Ujarzmienie młodzieży ma być dokonane w całej pełni, system ten nie może być połowiczny, jest on całkowity, wykończony logicznie, zbudowany stylowo od *a* do *z*.

Jest to najcharakterystycznejszy może objaw wzmagającej się reakcji...

M. R.

Kwestja żydowska w Królestwie.

(Ciąg dalszy).

W czasach ucisku strasznego i bezwładu społecznego do roku 1905-go ruch mas ludowych do miast nie był widoczny, bo był nieznaczny i nieświadomy.

Biedny, nieporadny i ciemny włościanin polski nie kusił się nawet o zdobywanie miast, o szukanie warsztatów pracy w kraju, u siebie.

Miljony ludu polskiego emigrowały do Ameryki, by tam szukać chleba, bo nie mogły znaleźć go w ojczyźnie.

Emigrowali nie tylko biedacy, lecz i ludzie zamożni, a z inicjatywą.

Dziś kolonje polskie w Ameryce liczą z górą 3.000,000 polaków, wyłącznie prawie z ludu, a do Polski cisną się coraz liczniejsze rzesze żydów.

Jakież stanowisko wobec tego tarcia, wobec tych zjawisk mogła i powinna zająć inteligiencja polska, myślący i czujący ogół?

Dotąd nie zajmowała żadnego wyraźnego stanowiska, bo nie wnikała, czy nie umiała wniknąć w istotę rzeczy, bo nie wydawała jej się ta sprawa palącą, bo wreszcie sama na własnej skórze nie odczuwała, że i dla niej teren pracy i zarobku w kraju się zmniejsza, zacieśnia.

Kwestje ekonomiczne w społeczeństwie polskiem, tak szlacheckiem duchowo, jak żadne inne, tak pogardliwie odnoszącem się do łokcia i miarki, zajmowały zawsze miejsce na szarym końcu.

Kierowały nami zwykle i przeważnie sentymenty. A więc raz opuszczaliśmy ręce i z rezygnacją machaliśmy ręką na wszystko: na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, to znów gotowi byliśmy iść choćby z grabiami na słońce*).

Nie lubiliśmy tylko obliczać i ważyć.

Jedni w sprawie stosunku do żydów kierowali się antypatjami naskórka, głosili, że, co ży-

*) Autor nie rozróżnia widocznie stosunku do spraw zewnętrznych i wewnętrznych. (*Przyp. Red.*).

---

nie trzymać ostro, to djabli wiedzą, co by się tu działo!... Nie bój się pan, panie Murzakin. Ach prawda, panie sekretarzu... przyniosłem tu wiersze tego pana. Odeślij je pan natychmiast do drukarni „Pożytek i praca" i każ pan wydrukować na widocznem miejscu.

— Pan jesteś pijany, panie Mikołajew—rzekł sekretarz, wzruszając ramionami.—Albo też zwarjowałeś.

Mikołajew wstał.

Twarz jego była spokojna, ale zaciśnięte usta i zmarszczone brwi wróżyły burzę.

— To do m n i e się w ten sposób mówi? Do m n i e? Precz ztąd! żeby śladu twego tu nie było! Jak się to panu podoba? — zwrócił się do poety. — On mi takie rzeczy śmie mówić. Ale poczekaj!... Czytałem właśnie wczoraj, o tem, że reakcja zapanowała,—słuszna racja! Jajko kurę uczy! Cóż to jeszcze stoisz? Mówiłem: wynoś się Pan! Powiedz pan tam, żeby się z panem obliczono w kantorze.

Idź pan! Ja was tu nauczę!

Wybladły subjekt nachylił się do redaktora i szepnął:

— Pójdziemy już lepiej.

— Zkąd? Dokąd? Ja muszę tu być i pracować! Jestem redaktorem, mój drogi... Nie chcę aby mi darmo płacono.

Zadzwonił. Gdy wszedł woźny, redaktor zagłębił się w czytanie jakiegoś papieru, następnie podniósł błędny, roztargniony wzrok i zapytał:

— Czy jest tu wydawca?

— Nie, niema go.

— Gdzie on się podziewa? Zamiast pracować wałęsa się i muchy łapie... Skandal! Dlaczego sam nie pilnujesz, wszystko się wali na mnie...

— Słuchaj pan — rzekł woźny, nieśmiało podchodząc do stołu—idź Pan lepiej do domu! Jak Boga kocham! Przecież gorzej Panu będzie... Zna pan przecież naszego Pawła Zacharycza...

— C-o-o? Głupi jesteś, bracie, wyrzuciłem sekretarza, bo choć to inteligientny człowiek, ale postępuje jak grubjanin!... Ty też jesteś głupi i nie wiesz, jak z kim masz mówić. Widzisz tę gazetę? Kto jest podpisany? Redaktor A. S. Mikołajew! A kto ja jestem? Adrjan Semjonycz Mikołajew. Zdaje się, że zrozumiałe?

Woźny kiwnął powątpiewająco głową i wyszedł.

Mikołajew powiódł dłońmi po czole i rzekł zmęczonym głosem.

— Wiesz, bracie, redagować pismo to ciężka praca. Tak, tak... A to co jest? listy? poczta?

Wziął ze stołu paczkę listów, położył na kolana, i począł je otwierać.

dowskie, to złe już dlatego samego, że żydowskie, drudzy, w imię humanitaryzmu i dla zaznaczenia swego przeciwieństwa względem pierwszych, również bezkrytycznie głosili, że, co żydowskie, to naznaczone stygmatem krzywd, a więc nietykalne, że przeciwstawianie się żydom — to antysemityzm i t. d.

Labirynt nonsensów.

Bo żydzi, jak i inne gromady, czy warstwy ludzkie, mają swe złe, lecz i dobre strony.

A stosunek do nich winien być taki, jak do innych narodów.

Tam, gdzie chodzi o interesy, byt Polski, nie może być mowy o sentymentach, sympatjach, czy antypatjach.

Tam, gdzie narody żyją na jednym terenie, nie może być mowy o idealnej symbiozie, a musi być walka: świadoma, czy podświadoma, celowa, czy bezładna.

Chyba, że jeden z narodów ma siłę tak przeważającą, że walkę drugiemu uniemożliwia.

Nie może być mowy o walce żydów z rosjanami. bo są oni kroplą w morzu rosyjskiem, bo broni społeczeństwo rosyjskie — rząd, cały aparat administracyjny, państwowy.

Tam może być mowa tylko o ucisku słabszego przez silniejszego.

W Królestwie zgoła inny obraz. Tu społeczeństwo polskie nie ma żadnej siły wykonawczej, żadnej ochrony zewnątrz. Jest ono uciskane stokroć dotkliwiej od żydów, bo ma do obrony język, kulturę, ziemię, całą przyszłość narodu.

Żydzi nie mają ani przywiązania do ziemi, ani przywiązania do języka, który zmieniają zawsze, stosownie do warunków, ani przywiązania do kultury, której po wyjściu z ciemnicy ghetta nie mają zupełnie.

To są ludzie, którzy zawsze gotowi są rzucić jedne warunki, o ile w drugich mogą znaleźć zysk. I trzeba dopiero takiego poniewolnego skupienia ich, jak w Królestwie, by powstała myśl o „narodzie“ żydowskim, jego prawach, dążeniach, wpływach.

To też w Królestwie żydzi, w których rękach znajduje się kapitał, siła ekonomiczna, przez wyodrębnianie się narodowe tworzą element nie uciskany, lecz zdobywczy, napastniczy, polacy zaś wobec ruchu tego mogą i muszą zajmować jedynie stanowisko obronne.

I jest to zrozumiałe, jako prawo czysto fizyczne. Im wpływy i siły żydów, jako takich, w Królestwie się wzmagają, muszą tem samem uszczuplać się siły i wpływy polskie i naodwrót.

Aby miasta w Królestwie się spolszczyły, muszą z nich ustąpić żydzi, lub wpływy ich zmaleć. Niema innej drogi.

A nie chodzi tu jedynie o stronę ekonomiczną, gospodarczą, o kwestję wytworzenia mieszczaństwa polskiego, o znalezienie drogi ze wsi polskiej do miast.

Tu chodzi o inne jeszcze rzeczy, nie mniej ważne: stronę kulturalną i polityczną.

Wszak w wieku XX-ym nie wieś, a miasto jest ośrodkiem życia kulturalnego kraju, narodu. Wszak nie na wsi, a w mieście koncentruje się życie umysłowe narodu, jego instytucje oświatowe, szkoły, teatry, muzea.

Wszak nie prędko jeszcze i niewiadomo czy kiedykolwiek stan ten się zmieni.

Wyobraźmy sobie teraz samorząd w Królestwie. W ustroju kapitalistycznym i ustroju obecnym państw trudno uzyskać 4-przymiotnikowe głosowanie do rad miejskich, trudno tem bardziej marzyć o tem w Rosji.

W większości miast Królestwa, bo w 66-iu na 114. żydzi mają większość. Prócz tego, jako kupcy, ludzie kapitału mogą mieć prawa wyborcze, których pozbawiona będzie biedna ludność polska.

Przy jakim takim przeto cenzusie, bez ograniczeń narodowościowych, otrzymalibyśmy obraz tego rodzaju, że gospodarzami większości miast Królestwa byliby żydzi. Jako naturalne i logiczne następstwo tego, gospodarstwo miejskie poszłoby w kierunku oświaty żydowskiej, a więc i kultury żydowskiej, a więc interesów żydowskich.

Jako preludjum tego rodzaju gospodarki, należy stwierdzić, że już obecnie w Łodzi została cofnięta subwencja teatrowi polskiemu przez in-

---

— Napisane: Do pana redaktora „Myśl stolicy“. Do mnie. Zobaczymy. Cóż to? Nowelka: „Bunt z powodu choroby“. Głupie. Tylko publiczność straszy. Pocóż? Trzeba coś wesołego, a oni o buntach piszą. A to co? „Konflikt na dalekim wschodzie“. Polityka... No, to można. „Jeszcze“ Znaczy się, że już coś było? Hm... autor się powtarza. Wogóle głupie: cóż to znaczy „drobna jednostka“? Czy bywają jednostki różnych rozmiarów? Dlaczego „ziemska?“ Piszą i sami nie wiedzą co piszą. Rzucimy to do kosza, a to do drukarni... Grubsze czczonki! Hm...

Redaktor tak się zagłębił w pracę, że nawet nie zauważył, jak do gabinetu wszedł wydawca gazety Korjawow.

— Mikołajew!?—rzekł on ze ździwieniem. — Cóż ty, mój kochany, tu porabiasz?!

— Ah, Paweł Zacharycz—odrzekł Mikołajew, nie odrywając się od pracy.—Gdzie to się pan podziewał? Dwa razy pytałem o pana. Tak nie wolno.

— Pijany jesteś?!!

— Pawle Zacharyczu—odrzekł surowo i stanowczo Mikołajew, — Jesteś pan u mnie i dlatego też proszę... Dość tego! nie zapominaj pan, kto jest tu redaktorem...

Wydawca podszedł do drzwi, otworzył je i napół ze śmiechem, napół z gniewem rzekł do woźnego:

— Ilja! Weź Mikołajewa i wyprowadź go do przedpokoju. Powiedz też w kantorze, aby zrobiono dla niego rachunek.

. . . .

Mikołajew, gdy go wyrzucono z gabinetu, krzyczał, szamotał się i groził, że wyrzuci wydawcę...

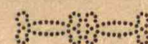
Subjekt zaś przeciwnie, zachowywał się cicho, pokornie, prosił jeno błagalnym głosem woźnego:

— Nie ruszaj go... On sam pójdzie, ach Boże mój... Taki skandal... Nie pchaj go...

Ocknąwszy się na ulicy, obaj długo szli milcząc, z opuszczonemi głowami. Nieprzejednana, surowa zmarszczka znikła z twarzy redaktora, a na jej miejscu wystąpiła inna, zdradzająca niezmierne zdziwienie i zakłopotanie.

U zbiegu dwuch ulic ex-redaktor usiadł na rynnie i podniósł na subjekta wzrok, pełen męczących myśli i niedowierzania samemu sobie.

— Nie rozumiem — rzekł ze smutkiem — co to właściwie znaczy: czy jestem redaktorem czy nie?



stytucję publiczną, do której steru przeszli ostatnio żydzi.

Bojąc się tej większości, klasy posiadające polskie były i są za ograniczeniem żydów w samorządzie, a rząd je w tem na razie poparł wraz z reakcją rosyjską.

Jakież jednak ma zająć stanowisko demokracja polska, stojąca w obronie interesów ludu polskiego?

Być za ograniczeniami nie może, bo to jest i bezcelowe, i demoralizujące zarówno dla uprzywilejowanych, jak i pokrzywdzonych.

Ale cóż w takim razie ma począć? Czy machnąć ręką na miasta i ich polskość i tem zatamować rozwój ludu polskiego? Czy, jak struś, schować głowę pod skrzydło i czekać na to, co przyniesie przyszłość? Czy wreszcie w interesie kramiku partyjnego, ciasno i niemądrze pojętej doktryny—iść ramię w ramię z żydami przeciwko wzgardzonemu mieszczaństwu, zwalczać mieszczaństwo polskie, a bronić mieszczaństwo żydowskie?

Nie. W imię interesów ludu polskiego i jego przyszłości, jego uczestnictwa w kulturze narodowej, jego oświaty—demokracja polska musi dążyć do spolszczenia miast Królestwa. Tylko drogi jej winny być inne, niż klas posiadających. Lecz o tem później.

Teraz rozważmy jeszcze stronę polityczną kwestji żydowskiej, stronę polityczną, o której mówi się najmniej, a która jest może, najważniejsza.

Wszelkie dążenia nasze narodowe: czy będziemy stawiali, jako cel, autonomję, czy co innego, mogą być krzyżowane przez wrogie nam dążenia żydów, lub choćby sprzeczne.

Jakież jest stanowisko żydów względem dążeń naszych?

Do niedawna masy żydowskie, zamknięte w ciasnych ramach ghetta, nie zabierały głosu w sprawach politycznych. A właściwie to my nie zajmowaliśmy się tem, czego te masy pragną, do czego dążą.

Pomijaliśmy te sprawy lekceważeniem. Budowaliśmy programy, plany, nie biorąc pod uwagę 1.538,000 żydów. (Dane Grabca. Dziś ilość żydów jest, podobno, znacznie większa).

Obecnie, zawdzięczając wzrostowi ogromnemu prasy żargonowej i jej głosom, zawdzięczając przeżyciom lat 1905 — 1906, wreszcie stanowisku żydów w czasach ostatnich, możemy jaśniej orjentować się w tem, czy mamy w żydach sprzymierzeńców, czy wrogów.

I otóż możemy i musimy to sobie powiedzieć, że żydzi względem naszych dążeń narodowych są usposobieni niechętnie, lub obojętnie.

Żydzi, lud pieniądza i handlu, twórcy kapitalizmu, jak pisze Sombart, nie uznają granic, tradycji naszych, uczuciowości, idejowości. Dla nich Warszawa, czy Moskwa, Łódź, czy Petersburg—to tylko środowisko takich, lub innych interesów, lepszych lub gorszych konjunktur handlowych. Poza realnemi interesami własnemi nie są w stanie nie tylko dzielić, lecz odczuć i zrozumieć porywów, potrzeb i dążeń innych. Zjednywa ich tylko siła, potęga.

To też są centralistami zagorzałymi, są, że użyję paradoksu, — niemcami baltyckimi Rosji— tylko z drugiego skrzydła, jako upośledzeni politycznie, jako opozycja.

Względem wszelkiego separatyzmu narodowego są usposobieni wrogo i zwalczają go namiętnie i otwarcie, lub wykrętnie.

Obserwujemy to zjawisko wszędzie, gdzie żydzi występują.

Żądając w „Bundzie"—powietrznej autonomji kulturalnej dla siebie, potępiają dążenia do samodzielności innych ludów.

Biorąc udział w naszych zespołach partyjnych, przeważnie lewicowych, o zabarwieniu kosmopolitycznem, inteligienci żydowscy, nawet uważający się za polaków, stanowią zawsze skrzydło wrogie wszelkiemu separatyzmowi. To samo ma miejsce na Litwie, Białej Rusi, Ukrainie.

W ostatnich czasach zwłaszcza z łamów prasy rosyjskiej, żydzi występują jeszcze wyraźniej, bo wprost twierdzą, że polacy nie mają prawa decydować o losach Królestwa, jako kraju o mieszanej ludności, że autonomja Królestwa byłaby szkodliwa dla żydów.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę liczebność żydów w naszych miastach, zwłaszcza w Warszawie, Łodzi, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że żydzi, jako posiadający kapitały, i siłę ekonomiczną, już dziś mają wpływy wielkie w miastach, że oddziaływują w duchu swych interesów i potrzeb na samo społeczeństwo polskie przez specjalnie wydawane po polsku gazety, organizacje, partje, to pojmiemy, jak groźną możemy spotkać i już zaczynamy spotykać—przeciwwagę.

Do zgubnych i trujących wpływów niewoli, do zaciemnienia orjentacji politycznej, do bezwładu i tchórzostwa naszych klas posiadających — przybyła nowa groźna zapora, zapora, która może zawsze—przy warunkach odpowiednich — zmienić się w miecz, czy maczugę, przeciwko nam skierowaną.

Zwłaszcza w dobie obecnej, tak poważnej, i brzemiennej w wypadki nieznane a doniosłe, wpływ stanowiska żydów i zaognienie stosunków w Królestwie—niemałą grają rolę w tej apatji tępej, jaka ogarnia tamtejsze społeczeństwo polskie*).

Nasze klasy posiadające są tchórzliwe, oportunistyczne, nie umieją nic zdobywać, prócz grosza.

I im większy będzie napływ żydów do miast Królestwa, im będą oni silniejsi, butniejsi, tem mieszczaństwo polskie będzie reakcyjniejsze, mniej odporne pod każdym innym względem, prócz kieszeni.

Bo zatamowanie dopływu sił nowych i żywiołów ludowych, demokratycznych ze wsi polskiej do miast—powoduje odosobnienie mieszczaństwa, jego kostnienie, kurczenie się, a więc i reakcyjność.

Często używa się u nas, zwłaszcza w organach lewicowych, frazesu: burżuazja polska.

Jakże jednak szczupłą garstką śród burżuazji tej stanowią polacy! Przemysł cały prawie jest w rękach żydów przeważnie. Gdzież więc ta burżuazja polska? Chyba — adwokaci, inżynierowie, lekarze, pracownicy biur. Aleć i tych, wobec coraz liczniejszego zastępu inteligiencji żydowskiej, opartej o siłę ekonomiczną żydów, jest coraz mniej. I dla tych teren pracy, możność zarobkowania— są coraz trudniejsze.

Aby piętnować, oskarżać, zwalczać burżuazję, trzeba ją mieć.

U nas zaś jest dużo szlachetczyzny, dużo klerykalizmu, dużo reakcji swojskiej, lecz burżu-

*) Stanowczo nie godzimy się na pogląd autora. Co innego zaognienie stosunków, a co innego stanowisko żydów. Żydzi zachowali się najzupełniej biernie względem obecnej sytuacji politycznej. (*Przyp. Red.*).

azji polskiej—w zachodnio-europejskiem znaczeniu tego słowa—dotąd prawie niema.

Miasta nasze naogół są mało polskie.

I dziś dopiero większość społeczeństwa polskiego przyszła do przekonania, że to zagraża naszemu bytowi.

(D. N.)

Wi—ski.

ᐅooooooooᐊ

Żywotny ruch.

(Słówko wstępne).

Od lat siedmiu zauważyć się daje w Królestwie pęd ludu włościańskiego, ku oświacie, uspołecznieniu i przedsiebirstwom natury ekonomicznej. Wszystkie te przejawy, o ile odbywają się pod hasłem: „sami sobie budujmy lepszą przyszłość", zwykło się w Królestwie mianować: ruchem ludowym, albo: „ruchem zaraniarskim", od tygodnika „Zaranie", które jest organem tego ruchu.

Oprócz „Zarania", które jest doradcą i inicjatorem wielu zapoczątkowań natury społecznej, ekonomicznej, oświatowej i kulturalnej, ruch ludowy uzewnętrznia swą fizjonomję w kółkach rolniczych im: Staszica, instytucji mającej za zadanie przedewszystkiem podniesienie u małorolnych kultury rolnej, ale i urabianie oraz wychowywanie rolnika drobnego na obywatela kraju świadomego celu i środków, zmierzających do gruntownej przebudowy otaczających go warunków.

Kółka rolnicze uczące lud samodzielności i pracy o własnych siłach, obchodzące się bez subwencji rządowych i „starszych braci", skupiające postępowy element chłopski i wyrabiające swoistą ludową inteligiencję, są rzecz prosta silnie i bezwzględnie zwalczane i szykanowane przez obóz klerykalno ziemiański, a krępowane i podejrzliwie traktowane przez władze. Mimo te przeszkody, młody, do żywiołu podobny ruch ludowy w Królestwie dąży nieustraszenie naprzód, krok za krokiem zdobywa trwały grunt pod nogami, sypie szańce swoich okopów po całym kraju i coraz lepiej się w nich bronić poczyna przeciw zakusom reakcji.

Towarzystwo ludowych kółek liczy obecnie 123 oddziały na prowincji; ma 5000 członków, którzy w tym roku na dorocznym zjeździe delegatów w marcu odbytym w Warszawie, powzięli dwie bardzo ważne uchwały:

1) Zakładać chłopskie syndykaty rolnicze udziałowe, 2) zbudować sobie w Warszawie dom ludowy.

Obydwie te uchwały świadczą o znacznem rozszerzeniu się horyzontu myśli u stowarzyszonych.

I nie może być inaczej. Myśl ta, z każdym rokiem krzepnąc, krystalizować i pogłębiać się będzie, bo z każdym rokiem z gospodarczych szkół ludowych, duchem idei ludowej przenikniętych, wchodzi po parę set chłopców i dziewcząt w lud; oni to na wsi polskiej, wytwarzają mniej lub więcej silne w napięciu ogniska ruchu.

Można więc powiedzieć, że ruch ludowy przechodzi jakby po szczeblach w życie. Pierwszym szczeblem jego jest to szkoła gospodarcza dla młodzieży dorosłej obojga płci.

Drugim ekonomiczna organizacja kółek rolniczych im. Staszica.

Trzecim „Zaranie", w którem jak w soczewce skupiają się wszystkie promienie tego ruchu.

Chcąc zrozumieć jakiem łożyskiem idejowem płyną fale tego ludowego prądu myśli i czynów, trzeba by z kolei zastanowić się nad tem po szczególe: czem są szkoły gospodarcze w Królestwie, czem kółka im. Staszica, a czem wreszcie jest dla ludu „Zaranie".

Dopiero po dokonaniu choć pobieżnej charakterystyki tych trzech ognisk pracy ludowej, będziemy mogli zrozumieć, a resztę dośpiewać sobie w duszy, jakim jest w treści swej, ruch ludowy w Królestwie.

St. Poraj.

ᐅooooooooᐊ

Secesja monachijska.

Monachjum, marzec 1913.

Wystawa wiosenna.

Wiosnę powitała w „mieście sztuki" pierwsza secesja „wiosenną wystawą", przeważnie najmłodszych artystów niemieckich! Wyborny przegląd sztuki (malarstwa, rzeźby, rysunku), spółczesnych niemców. Na wystawę nadesłano aż dwa tysiące obrazów, z tych „wybranych" sześćset — zdobi, niekoniecznie ilustruje — twórczość nowej gieneracji. Zdawałoby się, że po takiem „przesortowaniu", (przepraszam za kupieckie wyrażenie, „jury" często atoli tak postępuje !) przed okiem widza—będą wybrani z niewielu... Wybornym przykładem nie zawsze szczęśliwego wyroku w podobnych wypadkach, były obrazy Segantiniego, któremu Berlin niejednokrotnie odrzucał obrazy, a dziś galerje świata się o nie dopominają...

Przedźmy kolejno: krajobraz,, portret, studjum, „martwą naturę", obrazki rodzajowe i t. d., a nawet nie pomińmy tych, które dopiero co pracownię artysty opuściły.

Zdawałoby się, że bogactwo przyrody, niedalekie Alpy bawarskie, kraina jezior, to wszystko, oddziała z rowną hojnością, na duszę młodego artysty — tymczasem ani Ryszard Piezsch, swą „Drogą wiejską", lub Franciszek Eichhorst: „Spoczynkiem żniwiarzy"—ani „Zima" Feliksa Bürgersa, lub „Smętny dzionek" H. Haycka, nie oddały wielkiego bogactwa barw, nie skupiły w potężnym krajobrazie charakterystycznego momentu, skądby, jak z obrazów Boecklina igralo słonko, lub iskrzył się śnieg, jakto na Segantiniego krajobrazie zimowym... A portret: stara szkoła lenbachowska, zarzucona, Samberger należy do „starszych," młodzi dają zaledwie zaczęte „studja" portretowe, kopjują twarze, wyjątki tylko — będzie to portret Schradera Velgena (namalował wybornie poetę—malarza, Asarapetiana!), lub Marty Reich, bezpretensjonalnie zatytułowany: „w szezlągu", gdzie bogactwo linji, nie przyćmilo artyście młodemu chęci gwałtownego namalowania, ale pozwoliło pogłębić, by dać w portrecie arcydzieło! chociaż nie zawsze szczęśliwie: Schrader-Vilgen jest dobrym technikiem, wcale nie poetą, a malarka, Reich zanadto operuje refleksami, nie zharmonizowawszy ich np. w bogactwie barw twarzy!

Bardzo może zainteresować „akt", lub„ studjum", przez które dochodzimy do później skończonego dzieła. Aliści u prawdziwego artysty nawet

taka „impresja“ będzie wyrazem jego siły, tymczasem w powodzi aktów, studjów, na tegorocznej wystawie wiosennej, bynajmniej nie dominuje żadna praca, ponad już kroć razy widziane, podobne, często lepsze w pracowni, nie mówiąc o pewnej nowości technicznego pojmowania ruchów, szukania odpowiednich refleksów itp. Na wystawie młodych francuzów — pamiętam — każde studjum, a niemal co trzeci akt, dawały nową formę, jaką zdradzał artysta, szukający własnych dróg w swej sztuce. Krytyk niemiecki cieszy się, że niema: „all jener francösisch-slavischen Ungeheuerlichkeiten“ — a tymczasem owe — zdaniem krytyka „francusko-słowiańskie“ dziwotwory, wnosiły ożywczą atmosferę, ilekroć „secesja“ wystawiała obrazy obcych! Jedynie wyróżnia się rysunek, gdzie oczywista wzięta górę pracowitość niemiecka ponad fantazją!

W tych małych obrazkach, zdradzają niemcy — prz zapożyczonym temacie—często u słowiańskiego artysty,—wielką zdolność wykończenia i wycezelowania linijkami małego arcydziełka! Rzeźba ograniczyła się do małych koncepcji, jedna z nich, nagrobek Bary Doussin'a, tu i owdzie bronzowy portret (jako dobry wzór modelowania) wyszczególniają tego lub innego z najmłodszych. Na ogół — sądząc z wystawy — dochodzi się do wniosku, że brak w Niemczech talentów o silnej indywidualności — i jak tegoroczna wystawa w „pałacu kryształowym“ (w r. 1912), tak i bieżąca w „secesji“ podkreśla tosamo, zresztą przez niemieckich krytyków, wypowiedziane zdanie. Może przysz a wystawa międzynarodowa w „pałacu kryształowym“ przyniesie więcej „nowości“, które zdoła krytyk dostrzec w zespole.

Michał Japoł.

⊳ooooooooo⊲

Tradycja a postęp.

Dzieje ludzkości — to dzieje nieustającej ewolucji, ciągłego rozwoju wszystkich władz duchowych i umysłowych człowieka, to zmaganie się dzikich pierwotnych instynktów i barbarzyńskich popędów natury, z pierwiastkiem wyższym, uszlachetniającym i udoskonalającym.

Człowiek, ten arcy-twór stworzenia od jaskiniowych zamierzchłych czasów do dnia dzisiejszego, kroczy wciąż naprzód niepowstrzymanie i z mozołem pnie się ku szczytom, niestrudzony w swym pochodzie, niestrudzony w walce z napotykanemi przeszkodami czy to usuwa je potężną maczugą i kamiennym dzirytem, czy też, opanowawszy siły przyrody, posługuje się w dążeniu swem do postępu, ujarzmioną przez się elektrycznością lub świeżo odkrytemi promieniotwórczemi czynnikami kosmicznego wszechświata.

Najwspanialszym wyrazem i koroną genialnych wysiłków umysłu ludzkiego, to zdobycze ostatniej doby w dziedzinie lotnictwa, gdzie człowiek-ptak, o porywach rozsadzających pierś jego twórczą, niby orzeł wolny szybuje w przestworach i pod obłoki się wzbija dumnie — nienasycony nigdy, zawsze łaknący, zawsze pragnący szerszego poznania, wiedzy głębszej, nieskończonej...

A gdy z wyżyn tych podniebnych spada w przepaść, zdruzgotany swym skrzydłatym motorem, lub w nurtach zbałwanionych grób przedwczesny znajduje — cześć podziwu i uwielbienie budzi w duszach entuzjastów — boć to symboliczny bohater, co życie swe kładzie w ofierze, torując spółbraciom drogę ku gwieździstym szlakom!

A małoduszni potępiają go i dziwią się iż życie młode ryzykował tak nieopatrznie: Czyż nie lepiej mu było w spokoju dożyć lat długich — co mu po sławie, która wawrzynem wieńczy szaleńczą skroń jego przy zgonie?..

Podobnież każdy pjonier myśli wielkiej świetlanej — powstałej z ukochań jego i rozmyślań najgłębszych, lub też z samorzutnej intnicji natchnionej — niezrozumiany i potępiony, za szaleńca jest uważany przez ogół spółczesnych, niezadowolonych, iż narusza porządek rzeczy dawnych, i nowych jakichś reform i przeobrażeń żąda.

Więc szkalują go i wyklinają, kamienie uprzedzeń i zarzutów sypią mu pod nogi a gradem szyderstw obezwładniają mu ducha.

Potok jednak twórczy bieży bystro mimo tych gruzów i mielizn i skał podwodnych — czasem wzburzonym nurtem zahuczy l zakotłuje gwałtownie, wstrzymany w swym pędzie bezmyślnym głazem przydrożnym — lecz wnet, jakby wzmocniony oporem, z nową siłą żłobi sobie prawo do życia w ludzkości i kruszy skały, tamujące bieg jego zwycięski.

„Wstecz nie cofnie się olbrzymich wodopadów Njagary, i nie powrócą one już do swego łożyska, ani stać mogą na miejscu“ wołał przed kilkunastu laty myśliciel amerykański Ireland w swym zarysie ewolucji ducha ludzkiego, tłumacząc w ten sposób, iż tak żywioły jak dusze iść zawsze naprzód muszą i wstecz ich cofać nie wolno, bez naruszenia zasadniczych praw istnienia, bez gwałcenia źródła życia.

. . . .

Ale poza obskurantyzmem wstecznym, któremu hołdują tłumy — wiele bardzo napotykamy umysłów inteligientnych, które godziłyby się może prędzej z postępem i jego reformami, gdyby nie skrupuł, iż tradycji wiernemi być pragną — chcą żyć tak jak żyli ich dziadowie — prababki, kochać i czcić to, co oni czcili, wyznawać te same prawdy życiowe co oni wyznawali... O ten skrupuł, rozbijają się ich sympatje do postępu. „Zasada“ staje się tu, owym kamieniem, rzuconym wpoprzek nowej myśli czy teorji.

W niezłomnem tem postanowieniu, najczęściej jednostronnem i fanatycznem, nie spostrzegają jednak, iż bronią przeważnie formy samej, szablonu, a nie istoty i treści tradycji cennej, której myśl wytyczna, żywotna i użyteczna w danej epoce, sama z konieczności przeobraziła się i przystosowała do intelektualnych potrzeb epoki późniejszej, nic nie tracąc na swej pierwotnej prawdzie i pierwotnem pięknie — jeśli rzeczywiście prawdę i piękno zawierała w swej treści.

Jakże więc mylą się ci, co zastosować ją przedewszystkiem pragną w formach przejściowych, a nie urzeczywistniają w duchu. Inne formy zewnętrzne ludzkość dzisiejsza przybrała, innemi ścieżkami kroczymy teraz w życiu — ale cel ludzkości zawsze jednakowy: ta sama gwiazda polarna kieruje żeglarzem — czy płynie on prymitywnym żaglowcem czy też okrętem parowym. Dążyć do tego celu sposobami i środkami, które dziś posiadamy, to jedno z najważniejszych zagadnień życiowych.

Przez to samo, iż ludzkość identyfikuje w sobie nietylko teraźniejszość i przyszłość, ale i przeszłość — wzbudzać powinniśmy w sobie cześć dla tradycji przeszłości, w tem co w niej było

najdostojniejszego i co podtrzymuje po dziś dzień ducha naszego w godzinach zmagania się z samym sobą. Tak zrozumiana tradycja—to najwznioślejsza spuścizna stuleci.

Ale wieleż bezużytecznych *małości*, w szaty tradycji przybranych, oddziela nas od ideału prawdy i sprawiedliwości, który powinien rozgrzewać i ożywiać serca nasze. Wszystkie te przeszkody, pod praktycznym pozorem osłaniania nas i naszego szczęścia, zasłaniają nam tylko rzeczywiste światło.

Z pozorem przeto i szablonem prawdy wziąć należy rozbrat nareszcie, nie lękajmy sią spojrzeć śmielej w to światło, rozjaśniające mroki pojęć naszych. Uwierzmy, iż postęp w niczem tradycji, na cześć zasługującej, — nie uwłacza. Przez pogłębienie tego problematu poczujemy się rdzenniej jednostkami spółczesnego myślącego społeczeństwa, zdobywającego prawa wyzwalające w celu uszczęśliwienia i udoskonalenia przyszłej ludzkości.

Postęp albowiem humanitarny — „to dalsza część dzieła stworzenia.“ Słowa te, filozofa-myśliciela, pobudką niechaj będą w życiu tym wszystkim, co stanąwszy na rozdrożu, nie rozstrzygnęli jeszcze swej wątpliwości co do pozornych sprzeczności, zachodzących między tradycją a postępem,

Nie obciążajmy balastem bezmyślnych uprzedzeń i przesądów, i tak już skarlałej przez dziedzictwo życiowych małostek, duchowej jaźni naszej. Wyzwólmy ducha z utylitarnego konwencjonalizmu i czczego naśladownictwa. W miejsce form przeżytych i przewartościowanych. postawmy wartości nowe, bogatsze i pełniejsze treścią swą, odpowiadającą potrzebom dzisiejszym. Wyzwólmy się z szablonu zaśniedziałych pojęć i, mimo wszystko co nas ku nizinom ściąga, jako prawdziwi miłośnicy ludzkości — dążmy w górę, zawsze w górę — ku wyniosłym niedościgłym szczytom — ku gwiazdom jasnym i wielkim ideałom!..

Sławomir.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

W mgle słonecznej.

Sklep w słońcu zwisa niby troska boża,
Zmieniona w błękit nad pogodną ziemią;
Zadumą cichą złocą się przestworza,
Marzeniem sennem widnokręgi drzemią.

Na niebie pełnem duszy i słodyczy,
Gdzie słońce blade tkwi jak stróż na warcie
I różańcami blasków swój czas liczy,
Jest mgła jak skrzydeł białych rozpostarcie.

Jak widma wkoło majaczeją drzewa.
Nad kryształowym snem milczącej wody
I każdym listkiem złoty dreszcz powiewa,
I kuszcze w dali srebrzą się jak trzody...

O wtedy jakieś moce przedstworzenne
Dokoła grają tą ogromną ciszą,
Sny zjawów przyszłych wiją się promienne
I kształty świata, co się stanie, dyszą. —

TEATR ZIMOWY.

(Występy gościnne p. W. Ordon-Sosnowskiej).

Rzadkie w stosunkach naszych ożywienie zapanowało w teatrze wileńskim.

Koniec sezonu zbiegł się z gościnnemi występami p. Ordon-Sosnowskiej, artystki Warszawskich Teatrów Rządowych.

Zapełniła się widownia gmachu po-cyrkowego; jakieś ciepło niezwyczajne powiało ku nam ze sceny; utraciliśmy wątek znużenia, jakie przebijało się w ostatnich czasach w grze naszych artystów, dobijających kresu tegorocznego mozolnego sezonu.

W pewnej chwili poczuliśmy teatralną pełnię życia, plastyczną, pełną wyrazu indywidualność, torującą sobie drogę śród zwykłych przeszkód, jakie stawiają naszej muzie dramatycznej uciążliwe warunki pracy; postrzegliśmy uśmiechy nowe, szczere i piękne.

Stało się to za sprawą pani Ordon-Sosnowskiej. Więc będę mówił o niej — nie z szablonowego obowiązku grzeczności, kierowanej pod adresem gościa, ani ze względów, należących się hierarchji aktorskiej: słowa, które skreślę poniżej będą raczej skrótem wrażeń, jakieśmy odebrali w szeregu wieczorów teatralnych dzięki grze p. Ordon-Sosnowskiej.

Znam zasadniczo dwie kategorje aktorek, które to kategorje nie obejmują wprawdzie szczegółów indywidualnej organizacji talentu, lecz są raczej ogólnikowym, bardzo szerokim podziałem. Niemniej jest on typowym.

Do pierwszej kategorji zaliczę artystki, w których *scena* przesłania kobiecość, pochłaniając bezpośrednio, niejako dziewicze impulsy, szczerość, prostotę; kategorja ta posiada znamienną cechę: refleksję.

Najlepsze jej przedstawicielki wzbudzają podziw finezją opracowania scenicznego, rozmysłem trafnym, inteligiencją, pewnem *uświadomieniem*, które sprawia, że poznajemy niemal po pierwszych słowach roli. jakim jest do niej stosunek odtwórczyni.

Czaruje nas wówczas linja myśli, ozdobny, wykwintny ornament giestu, maska, przemyślana do najdrobniejszych szczegółów, kreacja, świadoma swych celów i środków.

Niemasz tu miejsca na niespodziane uśmiechy dziecka, lub nagłe rozkwity kwiatu... niema wybuchu... niema przypadku. Jeśli chodzi o przykład, wskażę tu na jedną nie z najzdolniejszych wprawdzie, ale najbardziej typową i niezaprzecznie wykwintną artystkę polską—Solską.

O drugiej kategorji da się powiedzieć lakonicznie: tryumf kobiety.

A więc temperament. Intuicja. Nerwowość i wrażliwość w wyczuciu roli; uniesienie — które czasem krystalizuje się w kapitalnym artystycznym faux-pas, lecz jest zdolnem także do wywołania głębokiego dreszczu i wyczarowania—łez.

Do drugiej—i wyłączn do drugiej kategorji należy p. Ordon-Sosnowska. Ne potrafi cyzelować roli na zimno, nie obmyśla drobiazgowo sytuacji; nieraz — oh, nie wątpię — popełnia te niodzowne artystyczne faux-pas, nieobce największym artystom.

Ale ma karnację, która mieni się gorącemi tonami uczucia; ma temperament, porywający widownię; ma kobiecość, naprzemian miękką i pieściwą, jednocześnie żebrzącą o łaskę miłości i wyzywającą potęgę swego gatunku.

Nadewszystko ma pani Ordon-Sosnowska tyle indywidualnego życia, że wypełnia sobą scenę. przykuwa uwagę widza i trzyma ją w napięciu do ostatnej kurtyny.

Gdy wychodzi z kulis — scena się śmieje radością i prawdy jej postaci. To nie jest aktorka „nie z prawdziwego zdarzenia“.

To jest, widzicie, kobieta i to kobieta z najprawdziwszego zdarzenia!

- -

Jest pani Ordon-Sosnowska kobietą o typie zdecydowanie charakterystycznym.

Po pierwszych odrazu wrażeniach poznania chciałoby się wykrzyknąć:... „ach, kolorowa bajecznie“!

I jako aktorka jest przedewszystkiem aktorką charakterystyczną.

Nie ma w typie akcentów miękkiego liryzmu. I na scenie ich nie ma.

Nie lubuje się w życiu (jak sądzę) w epizodach dramatycznych. I na scenie „miejsca“ dramatyczne nie są stanowczo jej specjalneścią. Natomiast szeroka w skali i śmiało zarysowana linja charakterystyczna jest jej lińją właściwą, zaś rola charakterystyczna staje się w jej interpretacji scenicznem chef d' oeuvre: arcydziełem.

Tak było z „panną Maliczewską“ w której to roli oglądaliśmy ją na pierwszem przedstawieniu.

Miała w tej sztuce silny wyraz dziecka bruku, dosadny żargon chórzystki, szorstką, chropawą nieomal dziewiczość nietkniętej dziewczyny, a potem.. a potem przedziwny, śliczny, poddany stoicyzm dziewczyny—kobiety, która „nie rozumie“...

Podobnie piękną kreację dała nam Ordon-Sosnowska w „Ich czworgu“. Umiała być tą kobietą „tragicznie głupią“ — samką, bezmyślnie depczącą miłość mężczyzny, jednocześnie troskającą się o jego zdrowie, o kalosze, o błahy fakt przeziębienia.

Była to znów kobieta, która „nie rozumie“!...

I poraz trzeci dała nam przepyszną grę w „Małym Domku“, gdzie wzniosła się na prawdziwe wyżyny artystyczne.

Wątłe naczynia szklane, kruche, a płytkie— i dusza—kanarka, czy gołębia?

Niemocne serca ptaka, które umiera w chwili, gdy sięga granicy człowieczeństwa — taką jest Marja w „Małym Domku“ — prześlicznej sztuce Rittnera,najcelniejszej rzeczy śród arcydzieł naszego nowego repertuaru dramatycznego.

Marja pani Ordon-Sosnowskiej obudziła w nas wszystkich uczucia litości, lęku i miłości, która jej towarzyszyła do ostatnich scen — nawet tam, gdzie artystka zawiodła nas w końcowych akcentach dramatycznych: pisałem już: dramat nie jest dla pani Ordon-Sosnowskiej polem *właściwego* popisu.

Hanka w „Moralności pani Dulskiej“ była traktowana przez naszą artystkę jednolicie silnie, plastycznie.

Te cztery role uważam za perły w repertuarze p, Ordon-Sosnowskiej.

W „Zuzi“ widzieliśmy grę b. dobrą; w „Kobiecie bez skazy“ — mniej dobrą: uważam to za całkiem naturalne: zarówno bowiem bohaterka Zapolskiej nie jest ustawioną mocno w koncepcji dramatycznej, jak sam charakter roli — par excellence refleksyjnej, misternie — psychologiczny, w gruncie rzeczy niecałkiem przejrzysty i niecałkiem konsekwentny—nie nadaje się dla p. Ordon-Sosnowskiej.

W „Weselu“ ujrzeliśmy Pannę młodą bardzo typową, istotnie „Kolorową bajecznie“.

Lecz tu gra p. Ordon-Sosnowskiej nie trafiła mi do przekonania.

Zastrzegam się, że pogląd ten uważam za całkiem osobisty, że z rozmów na widowni miałem sposobność skonstatować daleko idące uznanie, nawet zachwyt.

Dla mnie Panna młoda w Weselu nie jest tylko pełną prostej tężyzny, charakterystyczną, bujną dziewuchą wiejską.

Widzę w tej postaci znamiona głębokiego, choć prymitywnego sentymentu, liryzmu, pachnącego krasą i poezją szczerozłotej, polskiej wsi krakowskiej.

Nazbyt realistyczną była mi ta panna młoda p. Ordon-Sosnowskiej, jak wogóle nazbyt realistycznym wydaje mi się sposób grania u nas „Wesela“—tej po dziś dzień najdziwniej i najbardziej narodowej sztuki polskiej.

Lecz porzućmy kwestję „Wesela“... nazbyt tu dużo nasuwa się myśli treści ogólniejszej, związanych bespośrednio ze sposobem grania u nas Wyspiańskiego, który czeka jeszcze w Polsce—oh, czeka na swojego Stanisławskiego.

Ostatnią gościnną rolą p, Ordon-Sosnowskiej była rola Ireny w „Grze serc“—rola dobrze zapisana w naszej pamięci dzięki wybitnej kreacji, jaką w niej stworzyła p. Arkawin.

W recenzjach wileńskich pism codziennych, które ukazały się przed tygodniem, spotkałem a propos Ireny Orczyńskiej, i jej utalentowanych interpretatorek kilkakrotnie zaznaczone: „nie będziemy porównywali...“

Owszem... Dla czego nie mamy porównywać? Sądzę, że dwie indywidualności sceniczne tak wybitne i różne jednocześnie, jakiemi są p. Ordon-Sosnowska i Arkawinówna, zasługują na to, by je postawić obok siebie.

Więc...?

W całej pełni widzę zaznaczone różnice dwuch typowych kategorji artystycznych, o których piszę na wstępie tej recenzji: gdy zaliczam p. Ordon-Sosnowską do drugiej—umieszczę p. Arkawin raczej między pierwszemi: to znaczy: w grze jej dopatruję się raczej pierwszorzędnego pierwiastku refleksyjnego.

Pisałem kiedyś po premjerze „Gry serc“ o p. Arkawin, że dała nam grę serca—dziś widzę to jasno, jak gra jej szczera i żywiołowa, (bo taką była) powstała jednak na podłożu rozmysłu.

Gdy Irena p, Ordon-Sosnowskiej pociąga nas jakimś kosmicznym urokiem bujności i temperamentu—Irena p. Arkawin niepokoi myśl i uczucie treścią swej duchowej zagadki.

Pierwsza porywa — druga denerwuje; o ile głębiej odczuwamy bunt pierwszej—cierpienia i tęsknota drugiej przemawiają nam bardziej do przekonania.

Słyszałem spory zażarte: ktoś postawił kwestję dosyć naiwnie, stawiając bezmyślne pytanie:

— Która lepsza?

Na pytanie to możnaby również naiwnie odpowiedzieć: obie dobre!

Każda była inną. Każda wniosła na scenę urok własnej indywidualności i własnych, swoistych sposobów gry.

Żegnaliśmy p. Ordon-Sosnowską z żalem—że nas już opuszcza; z uczuciem wdzięczności za urok świeżego bujnego talentu, który roztoczyła w szeregu niezapomnianych wieczorów teatralnych.

Wilno zapragnie nieraz jeszcze ujrzeć znako-

mitą artystkę, pełniącą uśmiechnięte, pulsujące życiem służby sztuki.

- -

Brak czasu nie pozwolił naszej drużynie artystycznej dostroić się całkowicie do poziomu gry warszawskiego gościa: mówię tu oczywiście o zespole, który niezawsze stał na wysokości naszych wymagań.

Brak miejsca zaś nie pozwala nam na szczegółową ocenę pracy artystów naszych: powiemy tylko, że dla wysiłków codziennych—pominąwszy ich konkretne i indywidualne u poszczególnych osób wyniki—dla wzmożonej energji i najlepszych chęci towarzystwa, wyczerpanego szeregiem odpowiedzialnych premjer — mamy dużo uznania i wdzięczności.

Zdzisław Kleszczyński.

Po epilogu.

Głośną sprawę zatargu ks. I. Cyraskiego z p. D. Malinowskim oraz dalsze jej konsekwencje pominęliśmy we właściwym czasie rozmyślnie milczeniem, nie chcąc zaprzątać uwagi naszych czytelników tanią sensacją. Dziś, gdy roznamiętnienie ucichło i zapadł ostateczny wyrok sądu honorowego, ogłoszony w „Kurjerze Litewskim“ i „Gazecie Codziennej“ z d. 28 lutego (13 marca)—uważamy za słuszne podkreślić pewne momenty tej sprawy, wybiegające poza obręb nieporozumień osobistych.

Znany jest przebieg sprawy.

P. D. Malinowski pozwany został przez ks. Cyraskiego jesienią roku ubiegłego przed sąd honorowy za rozpowszechnianie uwłaczających czci jego pogłosek. Gdy się wszakże zebrali arbitrowie obu stron dla sądzenia sprawy, okazało się, że mandaty, dane przez p. Malinowskiego jego arbitrom, były inne od mandatu, udzielonego przez ks. Cyraskiego.

W tych warunkach niepodobna było przystąpić do czynności sądowych. Arbitrowie p. D. Malinowskiego postanowili wobec tego odwołać się do swego mocodawcy, lecz się z nim ani zobaczyć ani skomunikować listownie nie zdołali na skutek przyczyn od nich niezależnych. Gdy się w ten sposób ujawniła niemożność usunięcia różnicy mandatów, nie pozostawało naturalnie nic innego, jak sąd rozwiązać, co też uczynili wspólnie arbitrowie obu stron.

Tak się przedstawiają fakty objektywne, które też zostały stwierdzone w protokule urzędowym, podpisanym przez arbitrów obu stron. Zdawałoby się, że kwestja została na razie wyczerpana, aż do powtórnego ukonstytuowania się sądu, na podstawie identycznych pełnomocnictw.

Jakże się jednak zachowali arbitrowie ks. Cyraskiego? Oto układają list do swego mocodawcy, w którym wyłuszczają przebieg rokowań z przeciwną stroną, dając przejrzyście do zrozumienia, że sąd nie doszedł do skutku z powodu złej woli arbitrów p. Malinowskiego, wobec czego proponują ks. Cyraskiemu odwołać się do „szerszego grona otoczonych ogólnym szacunkiem obywateli“, których orzeczenie byłoby miarodajnem dla społeczeństwa polskiego.

Znalazło się w Wilnie dwanaście osób, które uznały siebie za ludzi „otoczonych ogólnym szacunkiem“ i w tym charakterze ogłosiło wyrok, przesądzający nie tylko samą treść pogłosek, uwłaczających ks. Cyraskiemu, lecz i stanowisko b. arbitrów p. D. Malinowskiego w niedoszłym sądzie, pomawiając ich o chęć „odwrócenia sprawy“.

Nazajutrz po ogłoszeniu tych sensacyjnych komunikatów w „Kurjerze Litewskim“ i „Gazecie Codziennej“ ukazały się obszerne artykuły, w których rola arbitrów p. D. Malinowskiego zostala oświetlona, jako przejaw „intrygi politycznej“ żywiołów, spiskujących na zagładę polskości i kościoła...

Obrazek piękny i jaskrawy.

Miasto poruszone, prawomyślni i patentowani urabiacze „opinji“ zacierają ręce. Zwycięstwo tem wiekszego nabiera znaczenia, że śród owych pięciu pognębionych „intrygantów“ są litwini, demokraci, postępowcy polscy, ludzie mniej lub więcej znani na polu pracy społeczno - politycznej. Tą drogą więc zarzut „intrygi“ sięga nie tylko tych pięciu bezpośrednio, jako jednostek, ale też pośrednio godzi w te obozy, które oni reprezentują. Sprawa więc zatargu osobistego wyrasta do poziomu obrony świętości narodowych przed zamachem niecnych wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

Oczywiście pokrzywdzeni na honorze b. arbitrowie p. Malinowskiego musieli zareagować i pozwali przed sąd honorowy owych 12-tu „powszechnie szanowanych obywateli“, autorów jednostronnej uchwały. Wyrok sądu honorowego jest znany. Stwierdza on, że chociaż istotnie były pewne niedokładności formalne w zachowaniu się arbitrów p. Malinowskiego, to jednak nie upoważniało to do posądzeń, jakoby działali oni stronnie, w charakterze obrońców swego mocodawcy. Wyrok sądu uznaje kategorycznie, że przedstawienie postępowania arbitrów p. Malinowskiego w uchwale 12-tu obywateli jest niezgodne z przebiegiem sprawy.

Cała sprawa nie nabrałaby takiego rozgłosu i takich powikłań, gdyby grono owych dwunastu obywateli, podejmujących się roli trybunału sądowego, jako instancji wyższej, nie kierowało się powziętem z góry uprzedzeniem względem arbitrów p. Malinowskiego i zadało sobie trud, będący ich *obowiązkiem*, zbadania sprawy dokładnie oraz wysłuchania przedewszystkiem strony przeciwnej.

Wprost oburzającem natomiast nazwać należy zachowanie się naszej zachowawczej prasy codziennej, pozostającej w bliskim kontakcie z ks. Cyraskim i usiłującej dokonać przy sposobności porachunków partyjnych ze swymi przeciwnikami politycznymi.

Nie przebieg sądu, lecz dalsze jego perypetje a przedewszystkiem artykuły — „Kurjera Lit.“ i „Gazety Codz.“ świadczą wymownie o niskim poziomie „obyczajów politycznych pewnych działaczów wileńskich“.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. *Koniec epopei.* (str. 390) Warszawa 1913. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Nie mieliśmy dotychczas powieści polskiej, któraby dokładnie scharakteryzowała udział nasz w wojnie Napoleona z Rosją. Powieści cudzoziemskie drobne epizody poświęcają polakom, lecz nagół mało się zajmują tak przełomową chwilą w dziejach naszych porozbiorowych. Tetmajer przeto

położył główny nacisk na ten ważny czynnik w planach Napoleona. Pokazuje on, że „bóg wojny„ wiele od nas żądał, a niczego nie obiecywał. Czynami mieliśmy świadczyć o naszej miłości dla ojczyzny, a Napoleon darzył nas za to.. pochwałami.

A pochwały nie zawsze wystarczają! Gdy chodzi o życie, kompliment przechodzi bez wrażenia. Tem nie mniej jednak wiernie stała większość przy sztandarach Napoleona, osłaniała go przed najdotkliwszemi razami. Śmierć Poniatowskiego jest przecie najwymowniejszym tego dowodem.

Powieść swoją Tetmajer rozpoczyna sceną w pałacu Tuilerjów, a kończy decyzją odwrotu z Moskwy. Wszystkie najważniejsze etapy Napoleona do Moskwy są przedstawione w zwartych linjach. Nie poniechał Tetmajer żadnego szczegółu historycznego znanego z zapisków czy też z legiendy, uposażył Napoleona w cały jego gienialny nimb, choć nie zapomniał i o dziwnem jego zachowaniu się wobec polaków.

W gwarze i rozgwarze wydarzeń wojennych nawiązuje się nić miłości oficera jazdy Zaremby do ślicznej pani Mirskiej. Nić ta przesłonięta jest jednak szczękiem broni i krwawą kurzawą walk. Najpiękniejsze stronice książki, to sceny rodzajowe poświęcone żołnierstwu polskiemu. Oryginalne pieśni żołnierskie wynotował Tetmajer i dał nam poznać ten małoznany u nas rodzaj twórczości. Pieśni Tetmajera są też ciekawe. Brzmią, jak puls prostych wiernych serc naszych starych wiarusów.

Amperer Napolijonie
Sto jest koni w tym szwadronie,
Pozwól nam na wroga natrzeć,
Będziesz miał dziś na co patrzeć!
rom! tom! tom!

Ton tej niewybrednej piosenki wskazuje, jak wierzono i kochano u nas Napoleona. Nastroj ten jednak nie był ogólny. Na Litwie nawet spotkać można było wyraźną niechęć.

Tetmajer plan dzieła swojego nakreślił na miarę olbrzymią. Obecnie mamy przed sobą drobną część tej koncepcji, którą zamierza dać nam autor „Zawiszy.“ Całość bowiem składać się będzie z dwuch tomów i epilogu. Pozatem zaś Tetmajer chce jeszcze dać fizjonomję Napoleona przed 1812 rokiem, by w ten sposób dać całożyciowy jego dramat.

Nie wiadomo, jak w wykonaniu całości portret ten wyglądać będzie. Wstęp bowiem bardzo interesująco zapowiada podobiznę duszy wielkiego korsykanina, ale w czynie artystycznym poznamy dopiero, o ile udało się Tetmajerowi zakląć w kształt wszystkie te monumentalne linje jego dramatu, o jakich wspomina. Gdyż dla Tetmajera życie Bonapartego, to kolej losów każdego człowieka. I powiada on: „Życie Napoleona Bonapartego jest klasyczną tragiedją, w której charakter bohatera stwarza sam dla siebie fatum, przeznaczenie, a również da się w niem widzieć personifikacja życia powszechnego człowieka. Wznosi się z nic nieznaczącego poziomu, jak z dzieciństwa, wchodzi zdobywczo w młodzieńczy wiek ważenia się na wszystko, wkracza w wiek męski, wiek zwycięstw, potęgi i chwały, wypróbowanej pewności własnej siły, użycia, rozwinięcia, wyzyskania wszystkich danych i rozpoczyna się słaniać ku zachodowi, z oporem, z porywami, ze złudzeniami „drugiej młodości“ które stwarza rozpacz, aż wreszcie upada bezsilnie, bezwładnie i kona.“

Schemat Tetmaera jest ciekawy przez gienieralizację życia Napoleona, przez podniesienie go do godności ogólnoludzkiej tragiedji. „Koniec Epopei“ zawiera pierwsze szerokie linje i płaszczyzny tego zamierzonego portretu. Kto interesuje się orlim łopotem skrzydeł ludzkich, kto szuka prawdy psychicznej twórczej dla siebie—ten „Koniec Epopei“ przeczyta z wielkim pijetyzmem.

Kazimierz Skibiński. *Pamiętnik aktora* (1786-1858) opraco- M. Rulikowski str. 333. Warszawa 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Panu Rulikowskiemu zawdzięczamy, że nie zginęły dla szerokiej publiczności arcyciekawe wspomnienia jednego z najwybitniejszych naszych aktorów z czasów Bogusławskiego. Szczególnie dla Wilna wspomnienia te się bardzo interesujące. Tu bowiem swój zawód aktorski Skibiński przez długie lata uprawiał, tu widzimy jak scena polska przez długie lata cieszyła się zasłużonem powodzeniem.

Ale nie tylko dla teatru samego warto z książką tą się poznać. Skibiński maluje tak dorażnie tło, na którem działał, że większość jego wspomnień może służyć jako doskonały przyczynek do historji naszej obyczajowości. Notaty o Kilińskim napewno będą czytane z wielką miłością dla tego pułkownika — szewca.

Wiele czasu przeszto od tej pory, wiele się zmieniło. Teatr polski kiedyś subwencjonowany moralnie i materjalnie dziś przechodzi przez nową drogą cierniową. A kiedyś Wilno posiadało przecież Skibińskiego! Posiadało operę polską! Posiadało... choć już wtedy rządziła cenzura.

Wspomnienia Skibińskiego napewno na Litwie spotkają się z żywem zainteresowaniem. Albowiem legienda o Skibińskim na Litwie jeszcze nie umarła, jak nie umarły dowcipy Żołkowskiego jak nie wyblakła ponura maska tragiedji Królikowskiego.

Eustachy Czekalski.

⊳ooooooooo⊲

PRASA POLSKA.

— „Gazeta Codzienna“ postawiła sobie za zadanie zwalczanie wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Do pierwszej kategorji zaliczeni zostali: postępowcy polscy, żydzi, litwini i białorusini, do drugiej.. Austrja. Monarchję Habsburską „Gazeta Codzienna“ nienawidzi z całej duszy. Nie omija też żadnej sposobności, by nie przypiąć jakiej łatki politykom austrjackim. Cieszy ją każde niepowodzenie dyplomacji wiedeńskiej, irytuje każdy krok, mający na celu wzmocnienie wpływów austrjackich na Bałkanach.

W swej podziwu godnej gorliwości o interesy słowian prawosławnych, organ duchowieństwa wileńskiego śmiało może konkurować z najbardziej panslawistycznie usposobionemi pismami petersburskiemi. Ostatnio z powodu akcji Austrji przeciwko Serbji i Czarnogórzu, „Gazeta Codzienna“ pisze w № 65:

„Austrja chcąc usprawiedliwić swój krok rzucenia się na maleńkie państewko bałkańskie, jakiem jest Czarnogóra, głosi światu całemu o okrucieństwach, jakich rzekomo dopuszczają się w Albanji zarówno czarnogórcy jak i serbowie. Austrja nie omieszkała w tym wypadku uderzyć nawet w strunę wyznaniową, krzycząc, iż czarnogórcy zmuszają setki albańskich katolików do

przyjmowania prawosławja, że aresztowali w Ipeku księdza katolickiego, który po przewiezieniu do Djakowy umarł itp."

Stwierdziwszy następnie, że opisywane przez gazety wiedeńskie okrucieństwa serbów i czarnogórców są mało wiarogodne, „Gazeta Codzienna" zaznacza z ironją, iż Austrja w roli „opiekunki uciśnionych" dopiero dziś występuje.

„Krwawe panowanie sułtana Abdul-Hamida, przyjaciela cesarza Wilhelma, snuło się nieprzerwanem pasmem podobnych okrucieństw. Rzezie ormiańskie, tyhże albańczyków, dokonywane systematycznie przez szowinistycznych mahometan, dlaczegoż nie wzruszyły sumienia austrjackich ministrów i nie zmusiły do zbrojnej interwencji?

Dawne rzezie działy się w czasie pokoju, dzisiejsze zaś rozpasanie podnieconego szałem wojennym żołdactwa byłyby więcej może usprawiedliwione,—a tu ni z tego ni z owego naraz cała eskadra austrjacka wyjeżdża w roli ekspedycji karnej.

Każdy więc zdrowo myślący człowiek, znający Austrję i jej obłudną dyplomację, tę samą, która nie szczędziła okrucieństw i w granicach swych posiadłości, uzbrajając w r. 1846 dłoń chłopa galicyjskiego przeciwko szlachcie, — ten powiadam, łatwo się pozna na łzach krokodylich Austrji i wywnioskuje istotną przyczynę interwencji zbrojnej".

. . . .

„Rozsiewaniem wieści o mordach i okrucieństwach Austrja pragnie usprawiedliwić swój najazd na walczących słowian bałkańskich.

Oby się nie przerachowała"...

Mówiono dawniej, że niebezpiecznie jest dawać miecz do ręki szalonemu. Jeszcze niebezpieczniej pióro — głupiemu.

— Nader ciekawe rewelacje podaje „Goniec" warszawski o roli posła do Dumy z gub. wileńskiej p. Henryka Święcickiego w sprawie udzielenia koncesji na budowę elektrycznych kolejek podmiejskich. Okazuje się, że p. Święcicki jest przedstawicielem T-wa kolejek podjazdowych warszawskich. Budowa nowych linji przyprawiła by oczywiście funkcjonujące obecnie ku utrapieniu publiczności parowe kolejki: Wilanowską, Grójecką i Jabłonno-Wawerską o straty. Wobec tego p. Święcicki wystąpił energicznie przeciwko udzielaniu koncesji na budowę kolejek do Grójca i Otwocka i dzięki swym stosunkom w Petersburgu dopiął celu. Najciekawszą jest jednak argumentacja, jaką się posługiwał p. poseł na posiedzeniach specjalnej komisji międzywydziałowej, rozpatrującej projekty kolejek. Czytamy w „Gońcu":

„Otóż w chwili, gdy nawet kolej Nadwiślańska, nie mogąc podołać napływowi pasażerów podmiejskich, wyrażała swą zgodę na projekt kolejki elektrycznej do Otwocka, aczkolwiek urzeczywistnienie projektu tego pozbawi ją dość znacznej części dochodów, p. Święcicki zbijał projekt, tłumacząc, że zmiejszenie się dochodu „znakomicie" obsługującej część tej okolicy jego kolejki Warszawskiej, narazi rząd na stratę kilkunastu tysięcy rubli, pobieranych od tejże kolejki, jako procent od dochodów.

Podobna troskliwość p. posła o dobro rządowe w przeciwstawieniu do niedbającej snadź o toż dobro kolei Nadwiślańskiej — to rzecz b. charakterystyczna. Jeszcze raz oświetla ona postać p. „reprezentanta interesów ludności naszej", który miast popierać wszelkiemi siłami jaknajdalej idące projekty zabezpieczenia tej ludności wszelkiego rodzaju wygód, dba przedewszystkiem o dobro kieszeni własnej i broni się przesłanką troskliwości o dobro rządowe.

Charakterystyczna również była uwaga p. Święcickiego w trakcie walki konkurencyjnej pomiędzy przedstawicielami konsorcjów konkurencyjnych, pp. Spokornym i Gierliczem, brzmiąca mniej więcej w ten sens, że „ten pierwszy zarobił już dosyć i czas, aby zarobili i inni". Wnosząc z tego, p. posłowi znów nie chodzi o dobro ludności, o zalety czy wady tego lub owego projektu, chodzi mu zaś jedynie o to, aby podział zarobków dokonany został prawidłowo.

Spokorny już zarobił, więc precz z jego projektem! Niech zarobi Gierlicz!

Gdyby rzecz się miała przeciwnie, zapewne ten sam p. Święcicki z równą dozą beztroski poświęciłby broniony obecnie przez niego projekt Gierlicza i rzekłby: Zarobił już Gierlicz, więc precz z jego projektem. Niech zarobi Spokorny!

Tak bardzo widocznie zależy p. posłowi, aby wszyscy zarobili swoje na kolejkach.

A ci, którzy z kolejek korzystać mają?

Ci niech się sami bronią, jeśli umieją. A tymczasem niech jeżdżą kolejkami Wawerską, Wilanowską i Grójecką, aby i p. Święcicki miał swój „równy udział" w zarobku i mógł zapłacić procenty rządowi, o którego dobro dba tak dalece"...

Ustęp powyższy polecamy uwadze szanownych wyborców wileńskich, którzy p. Święcickiego po raz drugi zaszczycają mandatem poselskim.

<ooooooooo>

KRONIKA.

= Krajowa Wystawa drobnego przemysłu i sztuki ludowej w Wilnie.

Myśl wystawy drobnego przemysłu i sztuki ludowej nieraz już była w Wilnie poruszona, tego zaś roku wskutek udziału gubernji kowieńskiej i wileńskiej w Wystawie petersburskiej—konkretniejsze przybrała kształty.

Realizacją projektu zajął się Komitet Drobnego Przemysłu przy Wil. Tow. Rolniczem i postanowił w tym celu:

1) Wystarać się u władz o pozwolenie i o subsydjum na otwarcie w roku bież. w Wilnie wystawy rejonowej na 6 gub. litewskich i białoruskich.

2) Zebrać w kraju, drogą dobrowolnych 100 rublowych wkładów, 2000 lub 3000 rubli, które będą zwrócone ofiarodawcom, o ile dochody wystawy pokryją rozchody.

3) Wybrać ze swego grona kilka osób do komitetu wystawowego.

4) Zaprosić do tegoż komitetu wystawowego po 2 osoby z każdego tow. rolniczego tych 6-ciu gubernji i po 2 osoby z kilku towarzystw interesujących się sprawami drobn. przem. i sztuk. lud — jako Wil. Tow. popierania przem. dr. i sztuki ludowej, oraz Litewskiego tow. artyst.

Pierwsze zebranie organizacyjne odbędzie się 26 marca bież. roku o 6-ej wieczor. w lokalu Tow. Rolniczego. — Zawalna 9.

Komitet wystawy raz już zorganizowany będzie zupełnie niezależny od Kom. Drobnego Przemysłu przy Wil. Towarzystwie Rolniczem.

= Rezolucje „Związku Równouprawnienia Kobiet".

Wynikiem dwudniowego walnego zebrania „Związku Równouprawnienia Kobiet" w Warszawie są następujące uchwały:

I. Zebranie ogólne poleca zarządowi głównemu: 1) występować przy każdej odpowiedniej sposobności do posłów polskich o popieranie praw kobiet, a także projektów praw dotyczących etyki obyczajowej; 2) spółcześnie organizować akcje dla uświadomienia opinji publicznej w tych sprawach; 3) przygotować odpowiednie siły dla rozwinięcia biura porad prawnych.

II. Zebranie ogólne uznaje konieczność spółdziałania w dążeniu do unarodowienia przemysłu, handlu i miast polskich ze względu na obowiązek obywatelski, na znaczenie jakie dążenie to ma dla rozwoju pracy zawodowej kobiet, ich stanowiska społecznego, jak również dla powstrzymania wychodźtwa ludu polskiego. Do tych celów dążyć należy przez rozwijanie akcji twórczej, solidarne poparcie wzajemne, kooperatywy i wytwarzanie nowych placówek pracy.

III. Zebranie ogólne uważa za wskazane w dalszym rozwoju prac Związku, tak w centrali jak i w oddziałach dążyć obecnie najusilniej do:

1) Popierania kursów wieczornych handlowych dla pracownic, wykładów rachunkowości, buchalteryjnych i t. p.

2) Rozwijanie i różniczkowanie biur pośrednictwa pracy, biur informacji w sprawie wyjazdów na studja, wyboru zawodu, spraw zawodowych, dobra kobiet a także porad prawnych i pomocy lekarskiej.

3) Szerzenie znajomości zasad i pożytku kooperatyzmu i jego praktycznych zastosowań, jak np. wspólne zakupy itp. ze szczególną uwagą na konieczność reformy gospodarstwa domowego.

= Zajścia w Akademji wojskowo-lekarskiej.

Dzienniki petersburskie poświęcają w ostatnich czasach dużo uwagi zajściom, do których pobudkę dały rozporządze

nia, zalecające studentom Akademji wojskowo-lekarskiej w Petersburgu oddawanie na ulicach przechodzącym oficerom honorów wojskowych. Nie przebrzmiała jeszcze sprawa studenta tej Akademji, Markowina, ciężko rannego przez oficera gwardji, gdy wydarzyło się nowe krwawe zajście ze studentem Pinoljancem, którego na ulicy zaczepiło trzech junkrów i ciężko zraniło w prawą rękę. Pinoljanca odwieziono do szpitala, a junkrów po spisaniu protokułu wypuszczono na wolność.

Nowe to zajście wywołało takie oburzenie śród studentów, że zwołali wiec w gmachu Akademji, pomimo przeszkód ze strony władzy i, rozważywszy ostatnie zajście, postanowili zdjąć kokardy i epolety z mundurów, oraz ogłosić strejk aż do czasu cofnięcia okólnika o oddawaniu honorów wojskowych, a komitetowi koalicyjnemu polecono kierować strejkiem i ewentualną jego likwidacją.

Wzburzenie studentów Akademji wojskowo-medycznej udzielać się zaczęło innym zakładom naukowym. W niedzielę na wyższych kursach żeńskich w Petersburgu odbył się wiec, w którym wzięło udział przeszło 700 słuchaczek. Postanowiono wyrazić studentom medykom wyrazy spółczucia i protest przeciwko systematycznemu prześladowaniu studentów. W Charkowie studenci-medycy ogłosili w związku z zajściem w Akademji wojskowo-medycznej strejk jednodniowy.

= W sprawie Łyżyna.

Ministerjum sprawiedliwości zażądało od senatu rządzącego przedstawienia aktów w sprawie Łyżyna. W dokumencie, przesłanym przez ministerjum wskazano, iż rozpatrzenie sprawy Łyżyna „winno być odłożone“ na czas nieokreślony. Żądanie ministerjum wywołało w prasie rosyjskiej rozmaite komentarze. Niektóre pisma uważają iż ministerjum chce bardziej szczegółowo zapoznać się ze sprawą, zanim przedstawiona ona będzie do umorzenia.

Inne gazety przypuszczają jednak, iż ministerjum sprawiedliwości zechce wystąpić z odpowiedzią w Dumie na wniesioną w tej sprawie interpelację.

Według jednak informacji, zasięgniętych przez gazetę „Dień“, w sferach zbliżonych do senatu przeważa zdanie, iż ministerjum nie wystąpi z odpowiedzią na interpelację, tembardziej, iż po umorzeniu sprawy sama interpelacja przekroczyłaby kompetencję Dumy.

= Gen. Rennenkampf w podejrzeniu.

Korespondenci gaz. „Birż. Wied.“ i „Riecz“ donoszą z Wilna o charakterystycznym dość fakcie denuncjacji nacjonalistów rosyjskich na głównodowodzącego wileńskiego okręgu wojennego, gien. Rennenkampfa, jako „nieprawomyślnego“.

Treści denuncjacji dostarczyły uroczystości jubileuszowe Dynastji. W kołach wojskowych, potem śród nacjonalistów i związkowców, zaczęto jakoby utrzymywać, że głównodowodzący po ukończeniu nabożeństwa w soborze prawosławnym, zaniedbał, jak zwyczaj każe, powinszować wojskom uroczystości, powiedzieć odpowiednią mowę, wygłosić toasty. Natomiast gien. Rennenkampf, wyszedłszy z soboru, powitał jakoby jedynie wojska i wydał rozkaz, aby ceremonjalnym marszem udały się na plac Łukiski, gdzie odbywały się uroczystości.

Pogwałceniem programu przez gien. Rennenkampfa, jak donosi „Riecz“, zainteresowała się nawet ochrana.

= Kadeci i żydzi.

„Razświet“ pisze, że poseł Friedman opowiadał ciekawe szczegóły, nieznane dotychczas ani posłom, ani prasie. Jak się okazuje, posłowie żydowscy natychmiast po otwarciu czwartej Dumy państwowej wnieśli do prezydjum oświadczenie, że nie pozwolą na używanie z trybuny dumskiej słowa „żyd“. Skłoniono ich jednak do cofnięcia oświadczenia, gdyż ks. Urusow i inni, jak np. Milukow zapewnili, iż prawica zachowywać się będzie zupełnie inaczej, niż w trzeciej Dumie. Tymczasem praktyka wykazała, że prawica nie wyrzekła się ulubionej taktyki skandalów i o zaniechaniu słowa „żyd“ nie może być mowy. Poseł Friedman uskarża się dalej, że kadeci wyznaczyli mu miejsce na odpowiedź na deklarację Kokowcowa tak dalekie z kolei, iż chcąc wystąpić uprosił socjalnądemokrację o udzielenie mu miejsca, co też frakcja Czcheidzego uczyniła. ▮

= „Prawo trzech lat“.

Ministerjum Brianda podało się do dymisji. Poincaré polecił utworzenie nowego gabinetu—Barthou.

Osią całego życia politycznego Francji jest obecnie kwestja trzyletniej służby wojskowej.

Przyczyną oficjalną upadku Brianda było, co prawda, odrzucenie przez senat projektu proporcjonalnego prawa wyborczego. Lecz już w procesie tworzenia się nowego gabinetu t. zw. „prawo trzech lat“ odegrało rolę wybitną.

Poincaré po dymisji gabinetu zwrócił się do Freycineta; ten jednak uchylił się od jego propozycji, gdyż jest przeciwnikiem zarówno reformy wyborczej jak i „prawa trzech lat“.

Barthou natomiast oświadczył przedstawicielom prasy, że jego zadaniem jest właśnie przeprowadzenie obu tych reform.

= Rozłam śród sufrażystek.

Państwo Pethick Lawrence, dotychczasowi najdzielniejsi bojownicy i przyjaciele słynnych pań Pankhurst, matki i córki, rozłączyli się z niemi, poświęciwszy większą część mienia swego, zdrowia, niemal życia sprawie głosowania. Teraz nie chcą już łączyć się z nadmiernie ostremi środkami walki obu fanatyczek. Zwłaszcza oponują wrogim wystąpieniom, jakie panie Pankhurst planują przeciw „Labour Party“. Partja ta oburzyła na siebie panie P., albowiem popierając wszelkiemi prawnemi środkami przeprowadzenie prawa głosowania kobiet, wszelako nie chce zobowiązywać się, że wogóle nie będzie głosowała za taką reformą wyborczą, która prawa głosowania kobietom nie przyzna. Państwo Lawrence zatrzymali przy wyjściu swojem z „Womens Social au Political Union“, pismo „Votes for Women“. Panie Pankhurst założyły pismo konkurencyjne: „The Suffragette“.

Sprostowanie.

Do artykułu „Arystydes Briand“ w № 8—9 wkradło się kilka błędów, które niniejszem prostujemy:

str. 9 szp. 1 w. 6 od dołu zamiast Le Neuboury należy czytać Le Neubourg.
str. 9 szp. 1 w. 4 od dołu zamiast wywczasowań należy czytać rozczarowań.
str. 9 szp. 2 w. 2 od góry zamiast może należy czytać mnie.
str. 9 szp. 2 w. 5 od góry zamiast zaniesiony należy czytać zawieszony.
str. 10 szp. 1 w. 31 od dołu zamiast 1913 należy czytać 1910.
str. 10 szp. 1 w. 25 od dołu zamiast socjalistów należy czytać rojalistów.
str. 10 szp. 1 w. 12 od dołu zamiast sin należy czytać się.
str. 10 szp. 1 w. 8 od dołu zamiast nia należy czytać nie.

Książki nadesłane do redakcji.

Bibljoteka pamiętników. Pamiętniki D-ra Józefa Franka, profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył dr. Władysław Zahorski. T. I i II. Wilno. Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski“. 1913.

Bohdan Wasiutyński. *Z listów do przyjaciela.* Warszawa, 1913.

M. Skrzetuski. *Otchłań.* Dramat w trzech aktach. Skład główny: Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1913.

Treść numeru.

Sapienti sat.—L. A.
Młodzież a szkoła rosyjska.—M. R.
Kwestja żydowska w Królestwie.—Wi—ski.
Żywotny ruch.—St. Poraj.
Socesja monachijska.—M. Japołł.
Tradycja a postęp.—Sławomir.
Z księgi ciszy.—J. St. Wierzbicki.
Teatr zimowy.—Z. Kleszczyński.
Po epilogu.
Przegląd piśmienniczy.—E. Czekalski.
Prasa polska.
Kronika.
Odcinek: „Redaktor“.—A. Awerczenko.



Wydawca Witold Abramowicz. Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa.

Rok II. Wilno, 24 Marca (6 Kwietnia) 1913 r. № 12.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadeslane)	1 rb.
Po tekście	20 k

Numer pojedyńczy 15 kop.

Jedność narodowa.

Jakże często, zwłaszcza ostatniemi czasy, wysuwana bywa przez prasę najrozmaitszych kierunków potrzeba „jedności narodowej“. Pod hasłem tem występuje i idejowiec szczerze wierzący w skuteczność zasad „swój do swego“, i kramarz goniący za pospolitym prywatnym zyskiem, i fabrykant, zwalczający strejk robotników, i ksiądz o jednej owczarni marzący,.. Przeróżne cele, przeróżne względy kładą ludziom w ręce sztandar bezwzględnej solidarności narodowej.

Czyżby istotnie jedności tej groziło niebezpieczeństwo, usprawiedliwiające, czynioną obecnie wrzawę? Owszem, niebezpieczeństwo takie istnieje rzeczywiście, lecz zgoła nie tam, gdzie je wskazuje hałasująca agitacja. Bo w czem-że je ona dostrzega? Oto najczęściej w tem, że interes proletarjusza przeciwstawia się interesowi kapitalisty, ideały mieszczaństwa—ideałom szlachty, dążenia nauki—dążeniom kleru, postulaty demokracji—widokom konserwatyzmu i t.d. Lekarstwem na wszystkie te przeciwieństwa, „rozsadzające (rzekomo) i osłabiające naród“, ma być hasło jedności.

Atoli jego zwolennicy zdają się całkiem nie dostrzegać, że gdyby udało im się zasadę swoją w czyn wprowadzić, gdyby potrafili stłumić wszelkie „rozsadzające“ walki wewnętrzne—zgasłoby samo życie narodu. Bez ciągłego zmagania się interesów i idei — możliwa jest tylko czcza wegietacja, właściwa jeno społeczeństwom najprymitywniejszym Wyobrazić sobie wcale nie można rozwoju kultury bez walk w łonie narodu. Szczególniej w czasach obecnych, gdy rozwój ten postępuje z szaloną szybkością, gdy mnożące się odkrycia naukowe i wynalazki techniczne, w dalszych swych konsekwencjach, powodują coraz to inne zmiany we wzajemnem stosunkowaniu się sił socjalnych—obrona i zdobywanie stanowisk przez rozmaite grupy społeczne jest koniecznością wpros żywiołową.

Jakże więc można żądać, jak można się spodziewać nagłego ustania wszelkich walk w łonie jednego i tego samego narodu? Przecież naród tylko wówczas posiada zdolność samodzielnego życia i rozwoju, gdy stanowi społeczeństwo zróżniczkowane; gdy w skład jego wchodzą wszelkie możliwe w danym okresie czynniki socjalne. Wiemy, że dziś np. kulturalnie najsłabszemi są narody, którym brak proletarjatu miejskiego; w końcu XVIII wieku klęskę prawdziwą stanowił (chociażby dla Polski) brak mieszczaństwa; widzimy też narody na których mści się (jak na czechach) brak w odpowiedniej epoce szlachty, brak bogatego ziemiaństwa. Wprawdzie nie wszystkie warstwy są w każdym okresie dziejowym równie ważne, ale istnieje pewne minimum zróżnicowania, wymagane przez poszczególne etapy postępu kultury. Na miejsce warstw zamierających powstają nowe, twórcze, żywiołowo symbolizujące przyszłość. Naród, który swe warstwy zanikające stara się sztucznie utrzymywać przy życiu, a nowo powstające gnębi, sam się na śmierć skazuje.

Konieczność posiadania elementów różnych, fakt stopniowego zamierania jednych, a tworzenia się innych warstw społecznych — wskazuje, iż walk wewnętrznych w narodzie uniknąć niepodobna. Polecanie zaś przeciw nim „jedności narodowej“ jest albo szkodliwe, ale—w najlepszym razie—bezcelowe; życie bowiem samo ową jedność rozbija w interesie cywilizacji.

Zresztą, przyjrzyjmy się tylko, kto właściwie w obronie tej jedności staje? Oto przeważnie te warstwy społeczne, które—w danym momencie ewolucji kulturalnej — nie zdobywają placówek nowych, ale bronią starych. Warstwy, schodzące z pola, przeżytki, dla których warunkiem bytu jest zastój.

I rzeczywiście skoro tylko zastanowimy się nad realnym celem wszelkich odezw, wzywających do jed-

ności narodowej, łatwo przyjdziemy do wniosku, iż dziś mają one na względzie korzyść jeno pewnych sfer społeczeństwa — mianowicie warstw posiadających, a więc nie większej, lecz mniejszej części narodu. Nikt np. nie widział, by w imię solidarności, prasa nawoływała kapitalistę do pamiętania o potrzebach pracujących nań „rodaków". Jeżeli nawet czasami zaleca mu ona pewne względy dla nich, czyni to pod wpływem uczuć i haseł ogólno-ludzkich, najwięcej filantropijnych. Natomiast jaskrawy sztandar solidarności narodowej podnosi śmiało wówczas, gdy pretensje robotników zwalcza. Wogóle interes mas pracujących stale bywa przeciwstawiany interesowi narodowemu; pojęcie „lud" w świadomości przeciętnego inteligienta zdaje się występować poza granice pojęcia „naród". Że tak jest istotnie, dość wypowiedzieć np. zdanie: „większość polaków nie umie czytać". Usłyszawszy coś podobnego, każdy z nas w pierwszej chwili żachnie się, gotów nawet zaprzeczyć. A to dlatego, że pospolicie wyraz „polak" w wyobraźni naszej nie budzi wspomnienia chłopa, ale historycznego szlachcica, spółczesnego „obywatela" ostatecznie nawet przedstawiciela inteligiencji miejskiej. Obraz chłopa występuje dopiero wówczas, gdy używamy nazw niektórych prowincjonalnych odłamów narodu: krakowiak, kujawiak, kurp, podlasiak etc.

To też publicyści, utożsamiający interes narodu z interesem jego mniejszości, t. j. warstw posiadających, bardzo często wcale nie orjentują się w popełnianym błędzie. Z całą prostodusznością widzą jedynie klęskę np. w emigracji chłopskiej, bo tracą na niej obszarnicy—czyli „naród"; boleją nad parcelacją tam nawet, gdzie dawne latifundja dzieli między siebie lud czysto polski, bo przywykli uważać dwory szlacheckie za główne ogniska kultury narodowej i zgoła nie widzą, że rolę tę prawie doszczętnie już one straciły.

A podczas gdy z tego właśnie stanowiska broniona jest u nas „jedność narodowa" ogół nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które grozi jej istotnie. Uważając za ową pożądaną jedność śmiertelny w łonie narodu spokój, zapomina się, na czem ona właściwie polegać winna.

Mało kto rozumie, jak wielką klątwą jest dla Polski rozbieżność ewolucji kulturalnej w trzech dzielnicach. Sam choćby fakt, że zabór pruski prawie całkowicie przestał być odbiorcą nauki i sztuki polskiej, dostatecznie chyba szkodę uwydatnia. Słabe, coraz słabsze interesowanie się tej dzielnicy polską twórczością duchową ma przyczyny dwojakie: z jednej strony odciąga umysły potężna twórczość niemiecka, z drugiej—ostateczne zmaterjalizowanie ideałów narodowych. Wyłączne dążenia do zdobycia mocnych fundamentów ekonomicznych, spowodowało zastój kultury intelektualnej. Wprawdzie w całej Polsce niema takich, jak w Poznańskiem, gospodarstw—zwłaszcza chłopskich; ale też nigdzie nie spotyka się tak przyziemnych dążeń, tak wąskich widnokręgów myśli i takiego zasiedzenia się w przeżytkach.

Dość wspomnieć, że Demokracja Narodowa jest tu uważana za stronnictwo wywrotowe. Dodam jeszcze do tego bardzo ciekawy szczegół. Oto, by ludowi stronnictwo powyższe obrzydzić, kler rozszerza obecnie zdanie, iż „masony, socjalisty i demokraty" — to trzy najgorsze wiary".

W kraju, gdzie jeszcze w ten sposób można prowadzić i prowadzi się walkę z partją dla bezwładu tak mało niebezpieczną, jak Nar. Demokracja, nowoczesna literatura polska nie może liczyć na poczytność. To też taki np. Żeromski, Sieroszewski, Berent, Daniłowski, a nawet pisarze w tendencjach swych daleko bardziej umiarkowani, nie docierają tu prawie zupełnie.

Tym sposobem w czasach, gdy państwa narodowe anektują i starają się zasymilować całe obcoplemieńcze prowincje, by rozszerzyć wpływy swej kultury—nauka, literatura i sztuka polska pozbywają się związku z krajem, który z natury swej powinien im ulegać i zasilać je. A pamiętać trzeba, że gdy mówimy o wpływach kulturalnych, to nie chodzi tu wyłącznie o trudne do ścisłego oznaczenia korzyści moralne. Zważmy, iż apatja kulturalna Poznańskiego odbiera literaturze polskiej dziesiątki, jeżeli nie setki tysięcy czytelników, co w dalszych konsekwencjach ujemnie odbijać się musi na jej produkcyjności. Pamiętajmy, iż narody przodujące na polu cywilizacji, rozwój swój w znacznej mierze zawdzięczają popularności ich języków; że o tę popularność walczą, bo

---

M. PAWLIKOWSKI.

Romans Wacława Błockiego.

— Pozwoli pani, że jej złożę życzenia.

Mówiąc to spojrzał w stronę, gdzie, śród gromady wyfraczonych panów, wznosiła się smukła postać mężczyzny z bezwarunkowo ładną twarzą.

Ira pobiegła za jego wzrokiem i patrzała jakiś czas z uśmiechem na ustach. Potem przeniosła spojrzenie na interlokutora, który siedział pochylony z szelmowskiem wykrzywieniem warg i nabrzmiałą linją sinej żyły na wysokiem czole.

— Czy to szczerze?—spytała, przechylając głowę.

— Co? — niby się zdziwił.

— Życzenie.

Bezczelnie stuknął językiem w podniebienie; potem wyprostował się. Po czole przeszła chmurka zadumy.

Panna Ira zaś zdawała się już zapominać o pytaniu: zupełnie szczerze i otwarcie kontemplowała postać narzeczonego.

Pan Wacław po namyśle rzekł:

— Owszem. Życzyłem zupełnie szczerze. Jeżeli między nami było kiedykolwiek *coś*, to, bezwątpienia, owe coś dawno należy do przeszłości. Ot!—niby zasuszony kwiatek, który niegdyś żył, rozsiewał cudną woń, czarował świeżą barwą.

— I kwiatek ten pójdzie do...śmietnika?

— Bynajmniej. Żywię dziwne przywiązanie do wszelkich pamiątek. Nawet nie miałbym odwagi spalić jaki stary, bez wartości list. Chowam wszystko, niby kolekcję, a dla wybitniejszych pamiątek mam specjalną szkatułeczkę. Tam chowam tylko cenne kamienie i kwiaty.

— A ten — kwiat?

— Ten kwiat właśnie pójdzie na schowanie do szkatułeczki.

Roześmiał się wesoło, błysnąwszy zębami. Panna Ira również bawiła się swobodą i wesołą melancholją pana Wacława

Tymczasem w salonie zawrzało.

Ochoczo zagrzmiał mazur; drgnęła podłoga; w powietrzu, śród blasku elektrycznych kinkietów, frunęły kolorowe suknie tancerek, wić się poczęły czarne postacie panów.

— Dziś, dziś, dziś....

Drgnęło powietrze i wespół z kurzem zachybo-

płyną z niej bardzo realne zyski, obracane na dalszy postęp kultury narodowej. Piśmiennictwo francuskie, angielskie, niemieckie ściąga od obcych olbrzymie kapitały. Podnoszą one znakomicie dobrobyt tamtejszych pracowników umysłowych i dają im niezależność materjalną, tak niezbędną dla twórczości duchowej. Tymczasem piśmiennictwo polskie nietylko pozbawione jest korzyści, jakie daje język, w świecie popularny, ale w dodatku traci swoje własne tereny przyrodzone.

Jakkolwiek przykład Poznańskiego jest najbardziej rażący, zwrócić też należy uwagę na kulturalne oddalanie się Galicji od Królestwa. Już dziś w pewnych sprawach dwie te jednako polskie dzielnice, choć mówią tym samym językiem, wzajem zrozumieć się nie mogą. Wiele kwestji zasadniczych, dawno już rozwiązanych w Krakowie,—wymaga w Warszawie długich jeszcze walk i dyskusji. Różnicę taką widzimy chociażby w aktualnej sprawie żydowskiej. Najzagorzalszy antysemita galicyjski nie wyobraża sobie, by można było ograniczać czyjekolwiek elementarne prawa obywatelskie z racji pochodzenia osobnika lub wyznawanej przezeń religji. Tymczasem w Królestwie nawet ludzie światli, postępowi zagadnienie to uważają za nierozstrzygnięte. Jakkolwiek teorje liberalne są w Warszawie daleko bardziej hałaśliwe, niż w Krakowie, jednak takie sprawy, jak kwestja robotnicza, kwestja kobieca i t. p., w Galicji bez porównania bliższe są praktycznego załatwienia. Opinja mas ludowych odgrywa też tu znacznie ważniejszą rolę, niż w Królestwie.

Wskutek takich i im podobnych rozbieżności, odmiennie przedstawia się całokształt kultury narodowej dwu prowincji identycznych pod względem etnograficznym (mam, oczywiście, na uwadze Galicję zachodnią). W związku z tem obserwujemy takie zjawisko, jak odmienny stosunek do jednego i tego samego pisarza obu powyższych dzielnic. Albo np. niepopularność w Królestwie wydawnictw krakowskiej Akademji Umiejętności; zupełnie inne traktowanie sztuki i t. d. Rozbrat idejowy uwidocznił się zresztą jaskrawo w czasie niedawnego naprężenia politycznego; nieporozumianie uwydatniło się tak mocno, że „Czas“ krakowski i „Słowo“ warszawskie dogadać się ze sobą nie mogły.

Wszystko to są tylko drobne przejawy faktu, że zwolna na miejsce jednej polskiej kultury narodowej powstają trzy kultury dzielnicowe.

Jest to niebezpieczeństwo bardzo groźne i dziw, doprawdy, że tak mało się na nie zwraca uwagi. Jakkolwiek walka z tem zjawiskiem jest w naszych warunkach bardzo trudna, lecz stanowczo nie wyzyskuje się wszystkich środków, które posiadamy. Istnieją zresztą takie, których nikt nam odebrać nie może; a do nich należy przedewszystkiem budzenie ciekawości życia nietylko dzielnicowego. Są u nas tysiące ludzi, znających wszystkie stolice Europy, a nie mających pojęcia, jak wyglądają, jak żyją główne miasta polskie. Gdyby ustała na tym punkcie obojętność, prawie pewnym być można, iż znalazłoby się bardzo wiele sposobów przeciwdziałania szkodliwym wpływom warunków.

A idzie tu o rzecz wagi pierwszorzędnej—o zachowanie właściwie pojmowanej jedności narodu i o wzmocnienie jego siły twórczej, kulturalnej, siły, dającej stanowisko w świecie.

Józef Sorokowicz.

Ugoda polsko-rusińska.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Lwów 30 marca.

Sejm galicyjski, który d. 5 (18) marca rozpoczął nową sesję, ma obecnie przed sobą zadanie epokowej doniosłości. Od szeregu lat na plan pierwszy spraw krajowych występuje postulat zreformowania ordynacji wyborczej w duchu demokratycznym i odrodzenia autonomicznej izby poselskiej przez dopuszczenie do niej świeżych sił społecznych. Do długich walk i targów żywiołów konserwatywnych z postępowemi, obok względów socjalnych, mieszały się kwestje narodowościowe.

---

tało w rytm mazura. Zakołychały się kiście martwiejącej palmy, „pod cieniem“ której siedziała Ira z Wacławem.

Po pewnej chwili przemówiła.

— Najmocniej przepraszam za niedyskrecję, lecz w danym wypadku mam do niej—prawo. Chciałabym, mianowicie, wiedzieć, czy długo będzie spoczywać ten kwiat w pańskiej szkatułce?

— Wieki.

— Tak?

— Noo!... Wieki nie wieki! W każdym razie będzie czekać lepszego losu.

— Jakto?

— To znaczy, że będzie czekać, aż jakie tchnienie ożywcze wróci mu piękną barwę, młodą świeżość, cudny zapach.

— Myśli pan, że to kiedykolwiek nastąpi?

— Mam nadzieję.

— A jeżeli—nie?

— Jeżeli—nie, to—nie!

Roześmieli się oboje, lecz zaraz spoważnieli. W ich stronę, bowiem, zbliżał się właśnie ów piękny młodzieniec.

Wacław zupełnie otwarcie zrobił grymas, który został odparowany dziwnym, trochę przekornym uśmiechem Iry.

— Nie przeszkadzam? — z uśmiechem spytał nowoprzybyły, jednocześnie patrząc poważnie w oczy narzeczonej.

— Bynajmniej, — odparł półgębkiem Wacław. Potem wstał i oddalił się, lawirując śród korowodu rozochoconych par.

— O czem mówiłaś z nim?—prędko spytał, gdy Wacław zniknął z oczu.

— Wcześnie zaczynasz być zazdrosnym.

Błysnął czarnemi oczami i wstrząsnął głową.

— Nie jestem zazdrosny, ale nie lubię tego... Błockiego.

— Czemu? Jeżeli widzisz w nim rywala, to...

Machnął ręką pogardliwie.

— Jesteś moją i będziesz moją, choćby mi przyszło stoczyć walkę z całym legjonem takich Błockich.

Roześmiała się rozkosznie, z przyjemnością ślizgając się wzrokiem po czystych, jak z marmuru kutych, linjach twarzy, po całej krzepkiej i smukłej postaci wybranego.

On zaś ciągnął dalej.

— Nie o to mi chodzi. Błocki jest kabotynem

One to komplikowały sprawę, utrudniały, a nawet —zdawało się chwilami—czyniły ją wręcz niemożliwą do rozwiązania. Szło mianowicie o rusinów, którzy zbyt radykalnie przystępowali do windykacji swych pretensji; nie liczyli się z realnemi warunkami, a czasami stawiali nawet żądania wprost fantastyczne, nie orjentując się, iż ulegają podszeptom czynników, mających interes w dalszem podsycaniu waśni narodowościowych. Z drugiej strony—niełatwo też było i większości stronnictw polskich polskich pogodzić się z koniecznością wielu ustępstw. Ogół nasz przywykł od wieków uważać Galicję za kraj, bezwzględnie podległy wpływom polskim; przywykł czuć się w nim gospodarzem, którego interesy i wola stanowią w polityce wewnętrznej moment główny, jeżeli nie wyłączny. Naturalną i zrozumiałą jest rzeczą, iż ogółowi temu—w większości, jak zawsze, inercyjnemu—trudno było uznać słuszność dążeń rusinów, zmierzających do emancypacji i równorzędnego z polakami stanowiska.

Sprawa więc szła w odwłokę.

Tymczasem jednak samo życie coraz gwałtowniej domagało się reformy. Nawet te stronnictwa polskie, które na myśl o pretensjach rusinów, cofały się ku *status quo*, przekonywały się stopniowo, że dalej tak być nie może, że pewne minimum zmian stanowi konieczność elementarną. Równocześnie orjentowały się one, iż niektóre ustępstwa na rzecz rusinów uczynione być muszą bez względu na trwałość całokształtu prerogatyw polskich.

Uwzględniając to, po długich i żmudnych korowodach doszedł do skutku kompromis ludowców, demokratów polskich i konserwatystów zachodniogalicyjskich; partje te, popierane nadto w niektórych punktach przez socjalistów, uznały przeprowadzenie ugody polsko-rusińskiej za sprawę równorzędną z kwestją reformy wyborczej i dającą się na jej właśnie tle przeprowadzić.

Rzecz oczywista, iż w tych warunkach sama reforma musi być bardzo daleką od ideału demokratycznego; ocenianie jej z tego punktu widzenia byłoby zgoła niewłaściwe; byłoby nawet pospolitą niesumiennością. Zasadnicze punkty, na które zgodzili się polscy konserwatyści, polscy postępowcy i przedstawiciele polskiego włościaństwa, miały bowiem na oku przedewszystkiem możność porozumienia się z rusinami. I to właśnie udało się osiągnąć. Do kompromisu z powyższemi trzema partjami polskiemi (reprezentującemi znakomitą większość ludności zachodnio-galicyjskiej) przystąpili ukraińcy, t. j. stronnictwo, za którem stoi cały niemal ogół rusinów.

Wielce znamienną jest okoliczność, iż na czele tego przymierza—a po części nawet jako jego organizator —stanął przedstawiciel rządu centralnego, namiestnik Bobrzyński. Wiedeń oddawna już parł do załatwienia ugody polsko-rusińskiej. Jakkolwiek z tego powodu w prasie naszej odzywają się głosy rozmaite, rzucające podejrzenia na ową interwencję austrjacką, nam jednak wydaje się godnem przypomnienia, iż dotąd polityka habsburska słynęła z zasady *„divide et impera“*. Obecnie daje się zauważyć tak w sprawie polsko-rusińskiej, jak i niemiecko-czeskiej zwrot radykalny. Wiedeń pragnie zgody poddanych sobie ludów. Ma to niewątpliwie blizki związek ze zdemokratyzowaniem państwa kosztem preregatyw korony i intrygującej biurokracji.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż — co się tyczy specjalnie kwestji polsko-rusińskiej—rząd centralny ma tu na oku wzgląd inny jeszcze. Niepokoi go panowanie wśród rusinów ustawicznego fermentu, który—przy niskiej kulturze mas — może być wyzyskiwany nawet przez czynniki wrogie zarówno państwu, jak i interesom tego ludu. Dowodem—chociażby pewne powodzenie agitacji grafa Bobrińskiego i wzrastająca czelność jego prokurenta, Dudykiewicza.

Wszelako niezależnie od powyższych względow rządu austrjackiego, przeprowadzenie ugody polsko-rusińskiej jest przedewszystkiem sprawą postępu, sprawą kultury.

Uchwalona d. 4 (17) marca przez komisję reformy wyborczej, podstawa ugody przyznaje rusinom 62 mandaty sejmowe (polakom 166). Nadto mają mieć rusini dwu członków Wydziału Krajo-

---

i marzycielem, — marzycielem tego niebezpiecznego gatunku, co lubią swoje marzenia wprowadzać w czyn. Jest tchórzem, ale nie cofnie się przed żadnym krokiem, gdy go ogarnie jakaś zmora chorobliwa. Nie lękam się o siebie, bo potrafię go usunąć ze swej drogi, ale o ciebie boję się, Iro.

Słuchała z uśmiechem. Przy ostatnich słowach wstrząsnęła głową, a uśmiech zmienił się w grymas.

— Boję się,—ciągnął, zapalając się—nie o twoją duszę, czystą i nieskalaną... Wierzę, że mnie kochasz i nie boję się spółzawodnictwa takiego Błockiego... Ale on nosi ze sobą zgniliznę duchowej pustki. Każda fibra jego istoty jest przesiąkniętą tą zgnilizną. Ty — pojęcia nie masz. To — potwór z maską bajronizmu.

Uśmiech nie schodził z warg Iry.

— Jasiu,—rzekła po chwili—kochał mię kiedyś. Nawet ja może... kochałam go. W każdym razie— żyliśmy ze sobą parę miesięcy bardzo blisko. Przez ten czas mogłam go poznać. Wiedziałam i wiem, że jest to dziwak, manjak, megaloman, a mimo to wszystko—człowiek szlachetny i dobry. Przedewszystkiem—nieszkodliwy.

— Potwór!—oburzył się Bojański. — Jeżeli jego nędza moralna nie udzieliła się tobie, to tylko dlatego, że jesteś święta, że masz duszę jak kryształ, że...

— Nudzisz mię...—Powstała z miejsca i zwolna odeszła, zostawiając po sobie czar zmysłowości i woń konwalji.

Patrzał za nią stęsknionym wzrokiem, potem westchnął i z rezygnacją powlókł się za nią.

— — — — — — — — — — — —

Wacław Błocki pokręcił się po salach klubowych, pogawędził ze znajomemi, poczem, widząc, że z trudem hamuje gwałtowne ziewanie,—wyszedł.

Po chwili pędził saniami po ulicach uśpionego miasta.

Na czarnym stropie nieba świeciło blade widmo księżyca, srebrząc pokryte śniegiem dachy i puste ulice.

Pęd powietrza dławił mu oddech, mróz szczypał policzki. Z lubością wtulił się w futrzany kołnierz i wygodnie rozwalił się na siedzeniu.

— Dokąd?—spytał woźnica.

— Do domu.

Brzęk dzwonków biegł jękliwem echem po śpiących ulicach, odbijał się od mrocznych kamienic, dzwięczał w zmartwiałych, wzorzystym szronem po-

wego, przedstawicieli swoich w komisjach sejmowych, a wreszcie udział w delegacjach do wszystkich instytucji krajowych.

Ogłoszenie ustępstw tych zmobilizowało trzy stronnictwa: wszechpolaków, podolaków (magnatów wschodnio-galicyjskich) i — do kompanji — „moskalofilów".

Wódz wszechpolaków, dr. Głąbiński, sformułował już zarzuty, jakie kompromisowi stawia Demokracja Narodowa. „Sejm polski — wołał on na sejmiku relacyjnym we Lwowie — przestanie być polskim, zasady autonomji politycznej kraju, jako całości i cała tradycja historyczna sejmu należeć będą do przeszłości".

Wszechpolacy zdają się nie rozumieć (a może udają tylko, że nie rozumieją), iż przedstawicielstwo kraju polsko-rusińskiego nie może wiecznie mieć charakteru wyłącznie polskiego. Było to możliwe dopóty jedynie, dopóki ogół rusiński składał się z ciemnego chłopstwa i dopóki chłopstwo owe —zarówno polskie, jak rusińskie — nie dorastało do stanowiska czynnika politycznego. Obecnie jedno i drugie uległo zmianie. Rusini z bezkształtnej, nieróżnicowanej masy włościańskiej zdążyli już (na gruncie galicyjskim przynajmniej) przeobrazić się w naród, posiadający już własną inteligiencję, literaturę, sztukę — zdobywający wogóle coraz bogatszą odrębną kulturę. Co jednak może i ważniejsze, to okoliczność druga: mianowicie, że w państwie austrjackiem sfery ludowe przyszły już do głosu i w polityce odgrywają rolę, która nie maleć będzie, ale się powiększać. Żądanie więc bezwzględnego szanowania tradycyjnie polskiego charakteru Sejmu jest albo bezmyślnością, albo demagogją. Niestety, o bezmyślność dr. Głąbińskiego posądzić nie można; demagogją natomiast przywykliśmy już uważać za stały atrybut Narodowej t. zw. Demokracji.

Tuż obok tej „demokracji" stanęli, jak się rzekło, t. zw. podolacy, konserwatyści wschodnio-galicyjscy, przedstawiający żywioł w kraju najreakcyjniejszy, bo rekrutowany wyłącznie z bogatych obszarników. Wszelako znaleźli się pomiędzy nimi ludzie, stawiający interes kraju ponad prywatą. Jednym z nich jest obecny marszałek, Adam hr. Gołuchowski, najczystszej krwi szlachcic podolski, ktory jednak ugodę szczerze, całą duszą popiera.

Postacie takie z dziejów polskich znamy; są one ich chlubą.

Element komiczny reprezentuje trzeci sojusznik reakcji—„moskalofil" Dudykiewicz, który, będąc na żołdzie hr. Bobrinskiego ma pretensje, że reforma nie wprowadza... głosowania czteroprzymiotnikowego. Ni mniej, ni więcej.

Dr. Głąbiński, który nad całą tą kompanją objął komendę, zapowiedział już bardzo ostrą przeciw ugodzie i reformie walkę. Grozi on nawet, w razie potrzeby, zdekompletowaniem Sejmu.

Groźba to poważna. Sojusznikom. jakkolwiek stanowią mniejszość, sił na to wystarczyć może. By jednak krok ten (uczyniony do spółki z Dudykiewiczem) nie odbił się szkodliwie na popularności wszechpolaków, rozwinęli oni nader żywą agitację, w której—budząc niby świadomość narodową—podniecają antagonizmy plemienne.

Czy im się uda projektowane wielkie dzieło udaremnić—niedaleka przyszłość pokaże.

Bezstronny.

Kwestja żydowska w Królestwie.

(Dokończenie).

Stoją na tem stanowisku nie tylko elementy mieszczańskie, lecz świadomi przedstawiciele najwięcej zainteresowanego w tej sprawie ludu polskiego („Zaranie"), stoi — większść inteligiencji polskiej, bez względu na przynależność partyjną.

Nie zajmuje tego stanowiska tylko garść inteligiencji, wychodzącej z założeń doktrynersko—humanitarnych i klasowych.

Pierwsi nie chcą widzieć niedoli miljonów wychodźtwa polskiego, a roztkliwiają się nad losem sklepikarzy żydowskich.

---

krytych oknach. Od koni waliły kłęby pary i srebrzyły się w odblaskach księżyca.

Błocki zadumał się.

Nie był zadowolony z siebie. Wedle programu, miał dzisiaj rozpocząć „pierwszy krok", tymczasem odrazu spotkał się z silną zaporą. Z innej strony — w całej istocie poczęło rozlewać się morze znudzenia.

Czy warto?...

Lecz pokusa była wielka.

Ira ma wszystkie możliwe zalety, których próżno szukał u innych kobiet.

Ta subtelność uczuć, przerafinowana zmysłowość, wreszcie—hipokryzja.

I wszystko w bardzo miłej dla oka postaci.

Kochał ją wszak kiedyś. Był głupi i kochał. Szukał wtedy ideału i właśnie ona miała być tym ideałem.

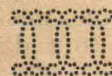
Do cielesnej doskonałości nic nie brakowało, poczynając od nóg posągowych, a kończąc na złotych splotach włosów. A dusza? — Tutaj grubo się omylił. Był młody a więc i niemądry. Myślał, że taka anielska, wyśniona, etc. postać nie może nie być personifikacją duchowego ideału.

Nie wiedział, że Ira posiada cały miljon duchowych „zalet", których teraz nawet, po długich studjach, nie może objąć i pojąć.

Dziś, gdy widział jej zagadkowy uśmiech, lub powłoczyste spojrzenie żywych turkusów, nie czuł tego niepokoju, które w nim budziły inne kobiety, noszące ze sobą czar zmysłowości i pożądania. Czuł tylko subtelny, wyrafinowany, niejako, — estetyczny pociąg. Pociąg, co nie budzi pożaru żądz, nie przepala nerwów, nie mąci rozsądku.

Pożądał ją z głęboką premedytacją człowieka, który zna dobrze własną cenę i cenę objektu swych żądz; pożądał ją bez ślepego zapamiętania, przeciwnie, analizował swój pociąg do najdrobniejszych szczegółów i odcieni; pożądał ją, jak esteta, i jak esteta, kochał się nie w niej, a w każdej cząstce, fibrze jej smukłej postaci.

(D. C. N.).



Dla nich nie jest tragiedją zagrożenie ze wszystkich stron bytu narodowego, dla nich nie jest najpierwszym obowiązkiem dbałość o przyszłość narodu. Oni są „wyżśi“ ponad to. Oni użalają się nad krzywdą żydów. Jakby mało było krzywdy pod słońcem i jakby obowiązkiem polaka było kosztem własnego bytu wszystkie te krzywdy umarzać.

Nie romantyzm to już, to naiwność, lub histerja.

Bo w czasach romantyzmu, gdy polacy istotnie walczyli po wszystkich krańcach świata o wolność cudzą, to walczyli przez wzgląd na wolność ojczyzny i dla ojczyzny.

Jakimże zaś czynem dla ojczyzny byłoby ustępowanie wrogowi na własnych śmieciach, jakiem bohaterstwem może być szaleńcze samobójstwo?

Takie samo stanowisko, — tylko z innych założeń wychodząc, zajęli marksiści, ci przynajmniej, co głos zabrali, bo większość socjalistów polskich dotąd przeważnie milczy.

Takie stanowisko zajęli ci marksiści nasi, którzy wogóle interesy narodu polskiego, jako takiego, traktują po macoszemu. którzy uważają, że losy narodu naszego, jego potrzeby, dążenia — psują im prostolinijność koncepcji socjaldemokratycznej, psują szablon myśli, psują schemat międzynarodowych programów, wreszcie, utrudniają skłonną do wygodnych a prostych założeń orjentację.

Sama przez się sprawa polska jest dla nich szkopułem nielada, najlepszymi sprzymierzeńcami w uproszczeniu jej i scentralizowaniu — byli i są żydzi, towarzysze i nie towarzysze, a tu naraz nowy szkopuł — sprawa żydowska.

Ponieważ ludzie ci, jako typowi doktrynerzy, nie przywykli zjawisk życiowych zgłębiać i obserwować wszechstronnie, a dopiero na ich zasadzie wyprowadzać wnioski, lecz przeciwnie po wszelkie odpowiedzi na pytania życia sięgali i sięgają do doktryny, programu, paragrafu, więc i w danym wypadku bez długich rozważań orzekli, że kwestja żydowska — to kwestja mieszczaństwa polskiego i żydowskiego, że kwestja ta nie powinna i nie może obchodzić robotnika polskiego, że zaciemnia ona walkę klasową. Jako ludzie konsekwentni, przedstawiciele tego obozu nie omieszkali jednak, ma się rozumieć, wystąpić w obronie mieszczaństwa żydowskiego, jako klasy, widocznie, krzywdzonej, przeciwko ludowi polskiemu i mieszczaństwu polskiemu, jako snać klasom krzywdzącym.

A więc krzyczą gwałtu, bo znaleźli się w Polsce ludzie, którzy chcą grosz swój zostawić w kieszeni rodaków. Mają pretensje do wzgardzonych mieszczuchów polskich, że chcą zakładać polskie sklepy, hurtownie, mają pretensje do mieszczaństwa polskiego, do inteligiencji polskiej, do ludu wiejskiego, że chcą walczyć o swój byt, swe istnienie.

O niebezpieczeństwie jakiemkolwiek dla dążeń narodu polskiego, jego kultury—ze strony żydów— nie mówią, bo żadnych dążeń narodowych, kulturalnych, wspólnych z innemi klasami społeczeństwa, nie uznają, bo sami są centralistami, pozostawiającymi załatwienie kwestji narodowościowych „absolutowi“ materjalizmu dziejowego — w przyszłości.

W obozie, uznającym konieczność polszczenia miast, również niema i nie może być jednakowych poglądów. Stosunek do kwestji żydowskiej jest tak różny, jak różne są interesy poszczególnych klas i odłamów narodu.

Mieszczaństwo, które opiera się na zasadzie wolnej konkurencji, jest poniekąd w sprzeczności ze swem założeniem, bo występuje przeciw konkurencji żydów. Ono chce tylko handel żydowski przejąć w swoje ręce.

Aby tego dokonać ogłosiło hasło bojkotu handlu żydowskiego, czyli, mówiąc jaśniej, hasło kupna u swoich, w sklepach polskich.

Nie opierając się na żadnych społecznych zasadach konsumcji i sprzedaży, jako przeciwnych jego psychice, mieszczaństwo wzywa przeto rodaków do dobrowolnego poparcia ich zamierzeń.

Jakkolwiek bojkot handlowy, jak wogóle handel spółczesny, nie ma nic wspólnego z idejologją demokracji, niema w nim przecież nic oburzającego, nic nieludzkiego, jest to zwykła broń ekonomiczna, inna rzecz, czy zawsze celowa.

Nic na tem konsument polski nie straci, jeżeli kupi w sklepie polskim, a nie żydowskim, bo kupi tylko wtedy, jeżeli sklepy te nie będą droższe i nie będą dawać towarów gorszych. Dopóki istnieje handel żydowski, konkurencja sama nie dopuści do śrubowania sztucznego cen. Jeżeli zaś handel żydowski upadnie, jak to przewidują groźnie przeciwnicy bojkotu, to snać handel polski będzie tak silny i liczny, że również zbytniego wyzysku konsument obawiać się nie potrzebuje.

W całej przeto historji bojkotu, którą pisma żydowskie i rosyjskie rozdęły do granic niemal pogromowych — nic strasznego, ani nadzwyczajnego niema. Jest to zwykła walka, walka, która w ustroju kapitalistycznym wre wszędzie.

Inna rzecz, że walka ta odbywać się powinna spokojnie, bez ekscesów i gwałtów, bez frazesów górnych, które w zetknięciu z rublem trącą obłudą i profanacją uczuć.

Takie są drogi do polszczenia miast, wskazywane przez mieszczaństwo.

Inne jest stanowisko demokracji polskiej.

Nie może ona poprzestać na bojkocie, który jest bronią bierną, wątpliwą i nietwórczą, nie może iść temi drogami, co mieszczaństwo, nie może pchać lud na ślizkie drogi wolnej konkurencji, walki wszystkich przeciw wszystkim.

Ona może i powinna usuwać wogóle wszelkiego pośrednika handlowego, jako pasożyta społecznego, ona może i powinna tworzyć już w ustroju kapitalistycznym zalążki i szkoły społecznego gospodarstwa. Aby tego dopiąć, musi tworzyć kooperatywy, lecz nie takie, jakie istnieją obecnie w Królestwie, gdzie niema ani zrozumienia ich znaczenia, ani pojmowania ich celu, gdzie są one raczej sklepami spółkowemi drobnych kapitalistów, którym chodzi jedynie o tańszy towar i możliwie największy procent od kapitału, gdzie pracownicy są przeważnie marnie płatni i dbają nie tyle o instytucję, co o swe doraźne zyski.

Kooperatywy demokratyczne winny z góry mieć wytknięty cel społeczny; winny udziałowcom dawać tylko towar tani i dobry, a czyste zyski winny być obracane na rozszerzenie ich działalności oraz na szkoły i inne instytucje społeczne.

Kooperatywy takie będą najpewniejszą bronią przeciw żydom, bo tam, gdzie rozwiną swą działalność i gdzie się utrwalą, usuną na zawsze wszelkiego pośrednika, a zarazem będą najlepszą w naszych warunkach drogą do społecznego, gospodarczego i kulturalnego kształcenia ludu.

Nie potrzeba, ma się rozumieć, wstydliwie

kryć pod korcem i tego, że rozwinięcie działalności spółdzielczej jest obecnie potrzebne ludowi nie tylko ze względów ekonomicznych i kulturalnych, lecz i politycznych, t. j. że akcja ta skierowana jest i przeciw wrogim nam żydom, którzy w kraju polskim dziś, a zapewne, i długo jeszcze będą prawie wyłącznymi przedstawicielami handlu i pośrednictwa.

* * *

Jednem z największych złudzeń społeczeństwa polskiego zwłaszcza postępowej jego części, w kwestji żydowskiej — była t. zw. asymilacja. Pozbawione własnej państwowości, własnego szkolnictwa, nie posiadające siły ekonomicznej. walczące z trudem o zachowanie własnej odrębności i kultury, społeczeństwo sądziło, że będzie w stanie podbić kulturalnie, zasymilować miljonowe rzesze żydów.

Na zasadzie tego, że setki żydów przyjęły całkowicie narodowość i kulturę naszą, że położyły zasługi dla nauki, literatury, instytucji społecznych, że tysiące inteligiencji żydowskiej przyjęło język polski i zewnętrzne cechy kultury, sądzono, że całe masy żydowskie, żyjące życiem odrębnem, zasymilują się z czasem.

I trzeba było napływu ze wschodu kilku tysięcy żydów rosyjskich, by wszystkie te złudy zostały obalone w niwecz, by nadzieje różowe okazały się płonne, by charakter asymilacji ukazał się we właściwem świetle.

Okazało się, że asymilacja, która od roku 1863 do czasów niemal ostatnich zrobiła postępy pewne, była zjawiskiem przejściowem. (Podkreślił to też p. Bikerman w wyżej wspomnianym artykule „Polsko-jewrejskaja raspria").

Młodzi żydzi, którzy wychodzili z otoczenia ghetta, otoczenia ludzi ciemnych i nic nie mających wspólnego z kulturą spółczesną, na ławie gimnazjalnej, w uniwersytecie i później w życiu musieli przyjmować kulturę otoczenia, a więc polską, o ile wogóle do kultury dążyli.

Szkolnictwo, nie zrusyfikowane jeszcze całkiem po roku 1863, prąd pracy organicznej, filozofja pozytywistyczna, która nadawała ton życiu polskiemu,—znakomicie do przyjmowania kultury polskiej młodym żydom, wychodzącym z środowiska kultu rubla,—pomagały.

Z tych to czasów rekrutują się przeważnie zastępy inteligiencji, które wytworzyły typ t. zw. żydów-polaków i które utwierdzały wiarę w asymilację w społeczeństwie polskiem.

Gdyby społeczeństwo polskie stanowiło siłę zwartą i potężną, posiadało lub posiadło wówczas władzę polityczną, gdyby w kraju naszym proces polszczenia miast już wówczas się odbywał świadomie i celowo, asymilacja inteligiencji żydowskiej kroczyła by naprzód i, może, pociągała masy.

Niestety, nic podobnego miejsca nie miało. Przeciwnie od 1863 roku spoistość i siła społeczeństwa polskiego stale się umniejszały, a handel, przemysł, a z niemi wpływy żydowskie w miastach się zwiększały.

Napływ żydów rosyjskich, pełnych, pomimo a, może, dzięki prześladowaniom, uwielbienia dla potęgi rosyjskiej, oddziałał na żydów polskich otrzeźwiająco. Z jednej strony utwierdził ich w przekonaniu o słabości polaków, z drugiej uprzytomnił im ich siłę ekonomiczną.

Odtąd asymilacja blednie i taje.

Poza drobnym odłamem żydów, który spolszczył się zupełnie, a więc zerwał więzy z masami żydowskiemi, większość owych żydów-polaków zaczęła po trochu odwrót,*) parta przez masy, opanowane przez prowodyrów „litwackich".

Zależność ekonomiczna i ów specyficznie „materjalistyczny" światopogląd inteligiencji żydowskiej w tym odwrocie grają rolę pierwszorzędną.

Ma się rozumieć, odwrót ten nie może odbywać się bez pewnego rodzaju rozterki wewnętrznej.

Wpływy kultury polskiej bądź co bądź tkwią w tych ludziach.

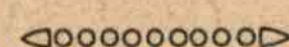
To też inteligencja żydowska próbuje ratować pozory i uderza w surmy humanitaryzmu, odwołuje się do tradycji polskich, nakazuje zgodną symbiozę.

Tak występuje na łamach pism, drukowanych po polsku, w Cesarstwie zaś na łamach „Odeskich Nowostiej", „Nowego Woschodu", „Dnia"— donośnie głosi, że okres asymilacji należy uważać za skończony, że Królestwo jest krajem polsko żydowskim, że marzenia polaków są romantyczną chimerą, że żydzi posiadają dziś w Królestwie siłę kulturalno-ekonomiczną, mają wpływy i będą je mieć, pomimo, czy wbrew polakom.

I trzeba panom, tym przyznać rację. Dziś warunki się układają tak, a nie inaczej.

Inaczej zaś może być tylko wówczas, gdy polacy będą dążyć do siły nie tylko kulturalnej i politycznej, lecz i ekonomicznej, tak niezmiernie ważnej w wieku Złotego Cielca.

Wi—ski.



Listy ze Wschodu.

II.

Ludność Krymu składa się z odłamów lub szczątków rozmaitych narodów napływowych. Jakiegoś ludu stałego, tubylczego—niema. Starożytna kolonizacja grecka, osadnictwo handlowe genueńczyków, którzy w wiekach średnich władali brzegami Krymu i prowadzili tędy handel wymienny ze Wschodem, rzesze ludów barbarzyńskich, zaludniających głąb półwyspu,—wszystko to zostało w następstwie zmiecione przez najazd tatarski. Tatarzy bądź wyparli, bądź pochłonęli poprzednich mieszkańców kraju. Starli całkowicie ślady poprzedniej kultury autochtonów i osadników handlowych, zniwelowali historyczne układy cywilizacyjne, zaleli kraj cały, jak powódź, i zatopili jego przeszłość. Jeno bardzo nieliczne szczątki ludności pierwotnej przetrwały najazd tatarski i zachowały się do dziś (do takich należą przedewszystkim karaimi krymscy).

Niedawną jest jeszcze ta przeszłość, kiedy

---

*) Zastrzegamy się kategorycznie przeciwko powyższemu zdaniu autora. Zmniejszenie się wpływów asymilacyjnych przypisać należy przedewszystkiem wzrostowi świadomości narodowej żydów. Nie rozróżnianie nacjonalistów żydowskich i żydów, garnących się do kultury polskiej jest kapitalnym błędem, popełnianym przez obecny ruch antyżydowski i jego publicystów. Zarzut, że żydzi—polacy siedzą na dwuch stołkach, są nieszczerzy i t. p. nie wytrzymuje krytyki. Nie uwzględnia się tu trudnej sytuacji i stadjum przejściowego, w jakim muszą się znaleźć ci żydzi, którzy swemi sympatjami ciążą ku kulturze polskiej, pochodzeniem zaś i tradycjami tkwią w środowisku żydowskiem. Wszelkie posądzenia o perfidję— są zupełnie nie na miejscu.

(*Przyp. Red.*)

tatarzy byli wyłącznymi gospodarzami tego kraju. Po złamaniu ich potęgi politycznej i wcieleniu Krymu do państwa Rosyjskiego, nietylko że się skończyła ich dominacja, ale też prysła jednolitość kultury tatarsko-mahometańskiej w kraju i w miejscu jednolitości tej tworzyć się zaczął nowy złożony układ ludnościowy.

Rdzeń wszakże ludności krymskiej stanowią jeszcze dotąd tatarzy. Dziś są oni jednak wypierani i usuwani do roli podrzędniejszej. Są wypierani z ziemi przez zwycięską kolonizację niemiecką, w miastach zaś dostarczają kontyngiensu niższym kadrom ludności robotniczej. Są śród nich jednostki bogate, ogół wszakże jest ubogi, przeważnie ciemny i niezaradny. W miastach uboższa ludność tatarska zamieszkuje dzielnice odrębne, tworzące charakterystyczne i malownicze kolonje: niskie lepianki z szarej gliny pośród dziedzińczyków, oddzielonych od ulicy takimże niskim murem z gliny, zaułki wąskie i kręte, bez żadnego planu w kierunku i wymiarze, brud, gromady psów, a śród tego same tylko postacie kobiet tatarek, jedynych we dnie mieszkanek dzielnicy, bo mężczyzni idą na dzień do pracy na miasto; młode dziewczęta tatarskie ubierają się chętnie kolorowo, a czoło i włosy ozdabiają malowniczym fezem, wykładanym błyszczącemi blaszkami lub naszywanym przeróżnemi ozdobami. Kobiety a zwłaszcza malowniczo-strojne dziewczęta odbijają jaskrawym kontrastem, jak żywe kolorowe plamy, od szarego tła glinianych murków i lepianek, gdzie żadne drzewko nie ożywia barwą i kształtem martwego krajobrazu dzielnicy. W głębszych miejscowościach wiejskich i górskich kobiety tatarskie noszą jeszcze tradycyjne zasłony na obliczu, lecz zwyczaj ten stopniowo wychodzi z użycia. Dzielnice tatarskie w miastach krymskich są bardzo charakterystyczne; są to wzorki szablonów miejskich Azji Mniejszej i całego Wschodu muzułmańskiego.

Ludność tatarska Krymu, choć liczna i wyrazista swą charakterystyczną odrębnością kulturalną, sprawia jednak smutne wrażenie rzeczy wymierającej, zanikającej. Nie do niej należy przyszłość tego kraju, nie ona urobi ją ze wzorów kultury własnej. Kultura ta się rozkłada i ustępuje miejsca nowym wzorom, nowym formacjom zdobywczym. Nie promienuje ona nazewnątrz, nie kształci typu krajowego na modłę swoją w żadnej dziedzinie, czy to budownictwa i sztuki, czy zwyczajów, czy jakichś elementów rozwoju ekonomicznego i układu społecznego. Przestała być czynnikiem twórczym a staje się natomiast coraz bardziej szkieletem szczątkowym, bez mocy, bez zdolności zapładniania życia. I im bardziej odrębna jest ta kultura, im bardziej jest charakterystyczna, tem bardziej rażąca jest jej niemoc, jej bezwład wobec nowych kształtujących się form życia.

Oprócz uprawy ziemi, z której zresztą stopniosą wypierani, i robocizny zarobkowej w mieście, tatarzy w masie swojej nie są czynni w żadnych innych gałęziach wytwórczości krajowej. Handel detaliczny w miastach jest przeważnie w ręku żydów i karaimów oraz ludności napływowej z Kaukazu i Grecji.

Minjaturowy ludek karaimów stanowi jedyną bodaj pozostałość dawnej ludności tubylczej, niepochłoniętą przez najazd tatarski. Potomkowie groźnych niegdyś chazarów, nawróceni na judaizm, zdołali karaimi zachować swoją odrębną kulturę psychiczną, opartą przeważnie na pierwiastkach zwyczajowych i religinych.

Odrębność ludu tego funduje się nie na określonej kulturze terytorjalnej, jak u osiadłych ludów Europy, lecz na czynnikach zgoła innych. Jest to nie tyle naród w pojęciu europejskiem, ile sekta i rasa. Potomkowie koczowników chazarskich, wyparci lub ujarzmieni przez nowe hordy najezdców muzułmańskich ze wschodu, w dużej ilości się rozproszyli po ziemiach sąsiedniej Rzeczypospolitej, gdzie dotychczas przetrwały kolonje karaimskie w Galicji, na Wołyniu, Białej Rusi i Litwie. Główna zaś masa ich pozostała w Krymie, jako kolonja odrębna śród zdobywców tatarskich. Jak żydzi w Europie, jak ormianie w Polsce i na Rusi, jak tatarzy litewscy, tak karaimi stali się obywatelami krajów, w których zamieszkali, zachowując jednocześnie odrębną organizację religijno-zwyczajową.

Nie mają oni właściwej ojczyzny; gdzie znaleźli gościnę, tam się zaaklimatyzowali, tworząc społeczność odrębną w rdzennej społeczności kraju. Obce im jest właściwie to pojęcie narodowe, które cechuje osiadłe terytorjalne narody europejskie. Nie mają języka własnego, nie mają zmysłu państwowości własnej. Natomiast wszystkie rozproszone po rozmaitych krajach kolonje bez względu na odrębność mowy, której używają, i układów społeczno-państwowych, do których należą, są związane żywem poczuciem wzajemnej solidarności religijnej, rasowej i zwyczajowej.

Mały ludek karaimski, liczący ogółem najwyżej kilkanaście tysięcy dusz, ma swój główny ośrodek ludnościowy w Krymie. Krym jest więc poniekąd metropolją tego ludu, co nie znaczy wszakże, aby był przezeń uważany za jego ojczyznę-właściwą. Tu jeno zachowały się najliczniej jego pamiątki historyczne, świątynie, księgi święte, wogóle to, co stanowi główną podstawę łączności wzajemnej i wyodrębnienia. Języka używają karaimi krymscy tatarskiego, jak gdzieindziej używają polskiego, rosyjskiego, białoruskiego.

Stanowią oni w Krymie ludność miejską i są bardzo nierównomiernie rozsadzeni. W kilku jeno miastach, jak w Bachczysaraju i głównie w Teodozji, starożytnej Kaffie, są skupieni w większej ilości. Są śród nich bogacze, wielcy przemysłowcy, jak znany fabrykant Stamboli, potentat teodozyjski. Najliczniej są oni zatrudnieni w handlu detalicznym, który wespół z żydami zmonopolizowali niemal.

Ciekawy też i charakterystyczny jest układ ludności żydowskiej w Krymie. Są tu właściwie dwie odrębne społeczności żydowskie. Jedną stanowią żydzi miejscowi, od wieków tu osiedli, pochodzący jeszcze z czasów tatarskich; są to t. zw. żydzi—„krymczaki“. Drugą stanowią żydzi napływowi, żydzi rosyjscy, odpowiadający t. zw. żydom „litwakom“ w Polsce.

„Krymczaki“ używają języka tatarskiego w mowie potocznej, są o wiele bardziej zacofani, przywiązani do litery religji i obrządków, do starożytnych zwyczajów i tradycji świętej, niż ich spółwyznawcy i rodacy z Rosji. Śród żydów napływowych przeważa oczywiście element bardziej ruchliwy i przedsiębiorczy. Przyjeżdżają tam i osiadają naturalnie nie nędzarze żydowscy z naszych miasteczek i zaułków miejskich, ale jednostki sprytniejsze, żywsze, należące do inteligiencji lub t. zw. półinteligiencji. Jednostki te należą do tych sfer żydowskich, które zostały już dotknięte pokostem kultury europejskiej i w których staro-

żytne cechy rasy i religji zatraciły już swą czystość pierwotną. Umysłowość żydów szybko się, jak wiadomo, w ostatnich czasach modernizuje. Zasadnicze pojęcia samej świadomości bytu społecznego i narodowego ulegają w masie żydowskiej i zwłaszcza w inteligiencji—głębokiej przemianie. U żydów zaczynają się budzić i kształtować pojęcia narodowe, które dotychczas były im obce. Nacjonalizacja żydów, jako wytwór najnowszy, ujawnia się coraz potężniej w odpowiednich ruchach i kierunkach politycznych, nurtujących społeczność żydowską.

Ciekawe jest też to, że proces unarodowienia się żydów jest wyrazem nie pogłębiania się tradycyjnych historycznych cech żydowskich, skupionych w religji i układzie zwyczajowo-rasowym, ale wyrazem rozpadania się tych cech archaicznych i przenikania do umysłowości żydowskiej ogólnych szablonów społecznej kultury europejskiej.

Ten proces unaradawiania się jest najintensywniejszy śród żydów w Rosji, Litwie i Rusi, t. j. tam, gdzie skupienie ich jest największe a prawa obywatelskie najszczuplejsze.

W Krymie ta dwoistość żydów przyjezdnych i miejscowych, jest bardzo widoczna. Żydzi miejscowi—„krymczaki" —stanowią stary typ społeczności żydowskiej: wyznaniowo-rasowej. Żydzi rosyjscy natomiast stanowią nową społeczność narodową. Między temi dwiema społecznościam pokrewnemi pochodzeniem, ale dalekiemi kulturą i idejologją, jest duży antagonizm. Żydzi rosyjscy pragną unarodowić „krymczaków", tworzą dla nich towarzystwa oświatowe, organizacje pomocy wzajemnej i t. d.; traktują ich naogół, jako masę ciemną, nieuświadomioną, zacofaną. „Krymczaki", którzy bynajmniej nie są nieuświadomionymi, jeno mają świadomość historycznie odrębną, są usposobieni nieufnie i niechętnie, a poniekąd nawet wrogo, do akcji swych spółwyznawców z Rosji. Są oni oporni względem idei narodowej.

Tatarzy, karaimi i żydzi,— to ludność tubylcza, ludność starej formacji Krymu. W następnym liście uwydatnię elementy nowej formacji ludnościowej w tym kraju.

T. Nowik.

Żywotny ruch.

Szkoły gospodarcze dla młodzieży ludowej.

Żywszy samodzielny ruch umysłowy, kulturalny i ekonomiczny datuje się na wsi polskiej od czasu, gdy wieś ta zaczęła wydawać nowy typ inteligiencji, która na tę wieś wracała, aby w następstwie środowisko to podnosić na wyższy poziom.

Taką, czysto wiejską inteligiencję poczęły wydawać dopiero szkoły gospodarcze dla młodzieży włościańskiej płci obojga przeznaczone.

Zakładano je na wzór duńskich szkół ludodowych Grundtwiga pod jego hasłem: „Szkoła ma służyć życiu", ale umiejętnie przystosowano te uczelnie do potrzeb i warunków polskiego życia wiejskiego.

Najpierw powstała szkoła taka dla synów włościan pod Warszawą w Pszczelinie, potem Kruszynek dla dziewcząt w ziemi kujawskiej, Nałęczów dla chłopców, Mierosławice w okolicach Kutna dla dziewcząt, Gołotczyzna pod Ciechanowem dla dziewcząt, Sokołówek pod Ciechanowem dla chłopców, Mieczysławów pod Kutnem dla chłopców, Krasienin pod Lublinem dla dziewcząt, Bratne pod Ciechanowem dla chłopców, Krzyżów pod Łomżą dla chłopców.

Krasienin, Bratne, Krzyżów, są szkołami najmłodszemi chronologicznie, bo zostały otwarte dopiero w r. 1913. Szkoły te, dzielą się co do długości kursu na roczne i zimowe.

Z wymienionych powyżej: Kursy rolnicze w Nałęczowie (p. Nałęczów gub. lubelska) i Kursy rolnicze w Sokołówku (poczta Ciechanów gub. płocka), są zimowe, zaczynają się 1-go listopada a kończą 1-go kwietnia, inne tak dla dziewcząt jak dla chłopców z wymienionych powyżej są roczne, zaczynają się w styczniu, kończą w grudniu przed Bożem Narodzenie, tylko jeden Kruszynek dotąd o rocznym kursie, w tym roku rozszerzył kurs do półtora roku. Wszystkie te szkoły gospodarcze, jeśli chodzi o starsze, zależą od Muzeum rolnictwa i handlu w Warszawie, jeśli o nowsze zależne są, od Ministerjum rolnictwa w Petersburgu. Zakres nauk w nich wykładanych obejmuje: gleboznawstwo, rolnictwo, hodowlę, warzywnictwo, sadownictwo, weterynarję, mleczarstwo, pszczelnictwo, wykłady z prawa gminnego, wiadomości elementarne z dziedziny kooperacji handlu, urządzeń społecznych i politycznych.

Wiadomości z zakresu społeczno - prawnego i społeczno-politycznego nie wchodzą w zakres systematycznych wykładów; zdobywane są przez uczniów w drodze systematycznego czytelnictwa, objaśnianego przez fachowców.

Skończenie takiej szkoły daje uczniowi pewien zaokrąglony światopogląd na jego stanowisko w przyrodzie i obowiązki jednostki wobec ogółu, oraz ogółu wobec jednostki.

Strona duchowa uczniów, jest rozbudzana i rozwijana przez odpowiednio dobrane: deklamacje, śpiewy chóralne, przedstawienia teatralne, gry towarzyskie, czytanie głośne z komentarzami arcydzieł naszej literatury pięknej.

W tym roku nap. w czasie wycieczki po kraju Kruszynianki grały fragmenty z Balladyny, a na pokazie swoim odegrały Halkę Moniuszki, uczniowie zaś z Sokołówka grali tej zimy fragmenty z Sułkowskiego.

Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański i Konopnicka a z ludowych poetów Sawczuk, oto twórcy, których poezje młodzież tych szkół deklamuje z dużą dozą uczucia i przejęciem głębokiem.

Strona moralna urabia się przez braterskie życie koleżeńskie i stosunek serdeczny, w wielu szkołach bardzo bliski z personelem nauczycielskim; śród młodych wpływ mają ideje odrodzenia etycznego, a więc nakazy: „nie pić, nie palić, nie grać w karty, nie kłamać, żyć czysto do małżeństwa"—znane są i praktykowane przez najlepsze zespoły tych szkół. Krajoznawcze wycieczki trwające po parę tygodni, które większość tych szkół urządza, są szkołą publicznego życia, poznawania zasobów, bogactw, potrzeb i bolączek kraju; są one, można powiedzieć, wolnym uniwersytetem pod sklepieniem niebios.

A że młodzież w tych szkołach, to młódź żądna wiedzy, pijana żądzą zdobycia jej jak najwięcej, więc ten króciutki kurs daje tym, co do tych szkół przychodzą nieprawdopodobnie dużo.

To też, po rocznym, lub półrocznym nawet pobycie, wracają na wieś jednostki ożywione szla-

chetnem dążeniem odrodzenia swego otoczenia, i dźwigania go na wyższy poziom uspołecznienia i kultury.

Stąd zdarza się, że wsie, na których starszym gospodarzom idzie trudno robota społeczna, za składkowe pieniądze wysyłają chłopca lub dziewczynkę do szkoły, licząc na to, że dopiero ci młodzi po powrocie, zrobią w ich środowisku ruch i życie nowe pełniejsze i piękniejsze krzesać poczną.

Że te nadzieje nie zawodzą, wiedzą o tem świadomi rzeczy działacze, których dzielnymi spółpracownikami są ci, co szkoły gospodarcze pokończyli. Prądy przebiegające nasze społeczeństwo, odbiły się i na formacji tych szkół ludowych.

Są między niemi takie, które reprezentują kierunek zachowawczy i zdecydowanie postępowe, oraz takie, które stoją na stanowisku pośredniem.

Zdecydowanie postępowe stanowisko zajmują: Kruszynek (pocz. Włocławek), Sokołówek (p. Ciechanów), Gołotczyzna (p. Ciechanów) Bratne (p. Ciechanów), Krasienin (p. Lublin). Do pośrednich pod względem przekonań, należy najstarsza szkoła dla chłopców w Pszczelinie (p. Brwinów).

Reszta z wyżej wymienionych stara się krzewić przekonania konserwatywne; udaje jej się to z każdym rokiem trudniej, bo co rok do wszystkich tych szkół przybywa materjał bardziej uświadomiony.

Wszystkie te szkoły, przez cały rok przyjmują zapisy kandydatów i kandydatek, wszystkie mają 5 rublową opłatę miesięczną za utrzymanie, a naukę dają bezpłatnie, we wszystkich tych szkołach na żądanie wysyłane są programy.

Chcąc poznać życie takiej szkoły, dobrze jest wybrać się na „pokaz", urządzany przez nie na jesień przy końcu kursu.

Wtedy można sobie zdać sprawę z tego, czem taka szkoła gospodarcza jest i wtedy zrozumieć można, że urządzona ona jest tak, aby nie wykolejała ludzi ze wsi, lecz budziła w nich świadome umiłowanie warsztatu pracy, jakim jest rola i wracała wsi jednostkę, umiejącą nietylko samodzielnie myśleć, twórczo pragnąć, ale i lepiej, intensywniej pracować na zaniedbanym od wieków ludowym łanie.

St. Poraj.

ᐅooooooooᐊ

We mgle wspomnień.

Wacław Sieroszewski: „ZACISZE". Powieść. Spółka nakładowa „Książka" w Krakowie.—1913 r. Str. 300 w 16-ce.

Wacław Sieroszewski jest niewątpliwie najmniej skomplikowany ze spółczesnych naszych powieścio-pisarzy. Gdy się obejmie wzrokiem żywot tego człowieka, te burzliwe czasy więzień a potem kilkanaście lat, spędzonych w najokropniejszych warunkach śród jakutów, wierzyć się nie chce, że ciężkie doświadczenia, tortury tęsknot, gorycze walk, tysiączne troski, przygody i zawody nie zmąciły ani odrobinę spokojnej jak jezioro toni jego duszy. Gorący zapał, odwaga, wiara w potrzebę walki i w przyszłość człowieka, z jakiemi stawał wobec życia, jako osiemnastoletni młodzieniec—pozostały w nim bez żadnej, zda się, zmiany. Kto go widział w r. 1905 w Warszawie, mógł się przekonać, że nie osłabła ani jego gotowość do stawiania swego życia na kartę — dla ideału, ani jego bezbrzeżny optymizm.

Losy zapędziły go do Paryża, to jest do środowiska biegunowo przeciwnego tej atmosferze zgoła dzikiego egzotyzmu, w której Sieroszewski spędzać musiał najlepsze lata swej młodości. Trudno sobie wyobrazić, aby to środowisko wywrzeć mogło jaki zdecydowany wpływ na jego twórczość. Przybył do stolicy Francji w tym wieku, gdy już dusza twórcy nie podlega zmianom ani przekształceniom. Przyniósł zresztą w sobie tę prostotę serca, która w wyrafinowanej kulturze uczuwać może tylko bolesny przymus. Tymczasem, jako realista *par excellence*, Sieroszewski musi widzieć własnemi oczyma rzeczy opisywane. Jakąż więc drogą pójdzie jego twórczość literacka? Mamy już częściową odpowiedź: z jednej strony opowieść historyczna („Beniowski"), z drugiej—wspomnienia, wypromienione przez nostalgję.

Napisał Sieroszewski powieść o wsi polskiej, tej z przed trzydziestu lat, która mu pozostała we wspomnieniach młodości. W Zaciszu płynie życie sielankowe, niemal roślinne. Przyjechali oto chłopcy z gimnazjum na wakacje; są śród nich i goście, są i dzieci pani Ramockiej, właścicielki majątku. Dorastający uczniowie, studenci z Rygi, dorosłe panienki, Atmosfera przedziwnej pogody i słodyczy. Pani domu—uosobienie tkliwości i dobroci—ma i dla swych dzieci i dla gości ogromną pobłażliwość. Młodzież więc bawi się, czyni niebezpieczne doświadczenia z prochem i fajerwerkami, jeździ konno, przyjmuje i oddaje wizyty, łowi ryby, poluje na wilki (a jakże!), urządza teatr amatorski, walczy o panny aż do zabawnych pojedynków.

Drobiutkie wydarzenia dnia owiał Sieroszewski atmosferą miłą, pełną uśmiechów, pogody, czarów natury, wdzięku młodości. W przerwach pomiędzy zabawą toczą się dyskusje: pan Rwęcki opowiada młodzieży, „strasznie lubiącej przygody", krwawe historje powstaniowe, studenci wiodą dyskusje o chłopach, Panu Bogu, społeczeństwie. Jeden z gości, konkurent panny Zosi pracujący na Wschodzie, mocno sobię zachwala tę pracę śród dzikich ludzi. Padają słowa, jakby odsłaniające psychologję niektórych polaków, zmuszonych szukać chleba tak daleko od kraju: „Dzięki tej właśnie młodości życia, dziewiczości przyrody, ogromowi nietkniętych bogactw przyrodzonych, wszystko, co się tam dzieje nabiera dziwnego polotu i rozmachu. Stepy bezbrzeżne, puszcze bezludne, rzeki, jak morza ogromne, i ludzie sami wielcy, cięźcy, a naiwni, jak dzieci.—Ma się wrażenie jakiegoś praświata, prabudownictwa, zakładania jakichś potężnych podwalin przyszłości przez lud młody, świeży, potężny.. Czas upływa w ciągłej walce, ale walce z przyrodą. Gdzieś na samem dnie schorzałego jestestwa budzą się wielkie instynkty zaborcze i twórcze. I nie wrogie ludziom, lecz przyjazne. Historja idzie gdzieś w kąt, zapomina się mimowoli o urazach i porachunkach wobec wspólnych niebezpieczeństw, wysiłków i zwycięstw. Takie przeżycia miała inteligiencja nasza zapewne niegdyś na Dzikich polach, na kresach Ukrainy, i to pewnie tak nas mocno spoiło z losami tej Ukrainy, że nas wreszcie zgubiło... Nerwy hartują się, myśl wypoczywa. Zatargi z ludźmi są proste i jakieś zoologiczne, nie potrącają naszej istoty, nie wlewają gryzącego żalu i rozpaczy. Zresztą, co nas w gruncie rzeczy na dal-

szy dystans obchodzą ci ludzie?... Nie więcej, niż wszystko, co cierpi. Są cząstką przyrody. Tutaj w ojczyźnie wszystko boli inaczej. Tak boli... Wie pani, że ja tam wcale nie czuję niewoli, zapominam o naszem położeniu..."

Rozkoszną atmosferę tych wczasów wakacyjnych i nieszkodliwych dysput zakłócają okoliczności życiowe: p. Ramocka, otrzymała po mężu, co zginął w powstaniu, majątek mocno obciążony długami. Dla ratowania sytuacji trzeba wyciąć starodrzew w lesie. Zaczyna się dramat serwitutowy. Znamy go już z „Chłopów" Reymonta, gdzie odmalowany został w barwach, pełnych grozy.

Sieroszewski patrzy na niego z tą samą pogodą, która go zawsze cechuje. Chłopi nie mają żadnej u niego racji, prócz tej, że „las siał wiatr i—Bóg", więc las ten nie powinien należeć do dworu. Ale Sieroszewski bardzo dyskretnie a plastycznie maluje ciemnotę chłopów, jako istotną przyczynę ich niedoli i zawziętości. Oto np. wyborna mowa o powstaniu, jaką wypowiedział przedstawiciel gromady chłopskiej do komisarza, który przyjechał na zbadanie i roztrzygnięcie zatargu: „Ciasno się zrobiło wsi, tchnąć było trudno. Dopiero przed samą tą wojną coś nie coś zelżało. Zwoływał nas coraz to, gadał, że dobrowolny wykup przeprowadzi, ziemię na wieczne czasy nam odda. Ale my nie wierzyli. Słychana rzecz, żeby kto komu ziemię za darmo oddał?! Nie dali my zgody. Dopiero on wtedy nam papiery czytać, postanowienia, rozkazy; nawet w kościele z ambony kazał zapowiadać, że jak to do tej wojny przystanie, to mu wszystek grunt za darmo pójdzie... Tak nam to już przypochlebnie obiecował, że my zaraz zmiarkowali, co musi być jakiś fałsz! A tu przyszed nieprzymierzając „Rząd". Zaczął się i we wsi rozruch. Jedni powiadają: i tych i tamtych zbić, wygnać, ziemię precz zabrać dla siebie; drudzy, co starsi, radzą czekać: jak się oba wygubią i bez tego więcej stanie! A kto wtedy tę ziemię weźmie? kto ją niebogę uprawi? kto jej wygodzi, obsieje, zaorze, jak nie chłop? Trafi ona, sierota, sama do jego ręki, przygarnie się jak nikogo nie stanie, jak panowie się na wojnie wytracą. I nie poszli my za nimi. I bez to panowie tę wojnę przegrali. Niech więc wielmożny komisarz te serwituty nam teraz przysądzi, bo jakby my poszli, to jeszcze niewiadomo, coby było. A i słusznie się one nam należą, bo my tych tabelów nie pisali, a pisali ich panowie. Las zaś był nasz od wieków".

Oczywiście, takie argumenty prowadzą do dramatu. Chłopi postanawiają najpierw niszczyć drzewa przeznaczone, do wycięcia, a gdy w nocy czatuje w lesie na szkodników bratanek pani Ramockiej, Józef—pada od skrytobójczej siekiery.

Dramat i dalszy jego przebieg śledzy maluje Sieroszewski prosto, wyraziście, komplikując go przygodą miłosną pana Rwęckiego, który kocha młodziutką Zosię. Komplikacja — nie wyjaśniona wcale, bo autor „Na kresach lasów" w psychologję dusz ludzkich nie zagłębia się nigdy mocniej. Wakacje w Zaciszu nie wyjawiają żadnych tajemnic serca; ukazują różnorodne sylwetki, kreślone z nadzwyczajną swobodą, wyraziście, barwą ciepłą, miłą dla oka. „Epilog", dotyczący losów młodziutkiego gimnazisty, którego wydalili ze szkoły za to, że nie chciał mówić do sędziego po rosyjsku, jest już zbędnem zaokrągleniem opowieści. Istotę gawędy stanowią tu nie tyle losy tej lub owej jednostki, co atmosfera wsi, malowanej przez mgłę roztęsknionych wspomnień. Jestto sielanka, pełna powietrza, barwy, melancholji niedawnych wypadków powstaniowych, czystych dusz i czystych serc. Taki obraz wsi polskiej jest dla człowieka, mieszkającego na bruku paryskim, zupełnym egzotyzmem. Sieroszewski więc i tu nie przestał być egzotycznym.

Jan Lorentowicz.

⊳○○○○○○○○○⊲

TEATR ZIMOWY.

(„Djabeł i karczmarka".—Benefis p. Czechowskiej.— Bilans zamkniętego sezonu).

Ostatnia premjera teatralna, zaś wieczór teatralny przedostatni przyniosły nam „Djabła i karczmarkę" — najnowszą sztukę Krzywoszewskiego, przyjętą w Warszawie i za kordonem naogół bardzo przychylnie.

Utwór utalentowanego autora „nie wyszedł" u nas dobrze: tak, jak „nie wychodzi" klisza fotograficzna, traktowana za pomocą niewłaściwych reaktywów. Odpowiednimi czynnikami byłyby tu —jak sądzę — umiejętne skontrastowanie pierwiastku realistycznego i fantastycznego, staranne wydobycie ornamentu stylowego, który stanowi nietylko o wartości literackiej fantastycznej komedji Krzywoszewskiego, lecz uzasadnia i sceniczny jej sukces.

„Djabeł i karczmarka", aczkolwiek reżyserowany inteligientnie, był *niedoreżyserowanym:* brakło stylu, który posiada tu urok niezaprzeczony, brakło właściwego ornamentu zewnętrznego; kostjumy (zwłaszcza kobiece) pozostawiały wiele do życzenia, a całość nie miała w interpretacji naszych artystów złotawych połysków humoru, zaprawionego dobrą kulturą, nie miała staroświeckiej myszki, która winna była unosić się nad utworem, nacechowanym wdziękiem peruki i szpady, karabeli i węgrzyna, lotnej miłostki i kwileń rozbrojonego djablotyna...

„Djabeł i karczmarka" nie jest zgoła utworem scenicznym; niemniej jest to rzecz wartościowa.

— To jest przecież jedno wielkie nic — słyszałem śród publiczności.

Słusznie.

Ale nie ma chyba scena za zadanie rozwijania jedynie królewskich purpur i złotolitych brokatów: dobrze zrobi nieraz i skrawek lekkiej, a stylowej materji, rysowanej w wytworny rzucik polskiego baroku. Tylko, że tę materję trzeba umiejętnie pokazać...

A pokazano nam ją właśnie niedość umiejętnie.

Nacechowana lekką, a zjadliwą ironją historja serca pięknej karczmarki, którą gładki Rożnik już był zabarwiał łuną misternej sedukcji; pełna dowcipnego wdzięku anegdota, grająca się śród zawiesistej poezji staroświeckiej karczmy, fraków saskich, domniemanie poszóstnych karoc podróżnych, wiozących rozfiglowane szatańskie towarzystwo—wszystko to chybiło efektu.

Niemasz w tym jednak winy autora.

Rzecz przygotowano na benefis p. Czechowskiej, która wybrała sobie rolę tytułową—pięknej karczmarki.

I uczyniła źle.

P. Czechowska, posiadająca na scenie cenne zalety temperamentu i życia nie obliczyła się snać z warunkami, sięgając po rolę popisową, efektowną, ale całkiem nie leżącą w zakresie jej atutów.

Karczmarkę grała w Warszawie p. Lubicz-Sarnowska: czarowała w tej roli leniwym wdziękiem i figlarną przewrotnością tryumfującej kobiecości;—p. Czechowska poskramiała swój temperament żywy jak iskra — i wydawała się mdłą; usiłowała stworzyć postać stylową — i popełniała rażące błędy: to wpadała w czysty liryzm, to znów afektowała sprycik zadzierzysty, z którym byłoby znacznie bardziej do twarzy djabliczkom...

Zaś djabliczki—Pamfila i Koziczka (p.p. Bilińska i Mostowska) były znów skomponowane w całkiem innym stylu—zgoła odmiennym od intencji Krzywoszewskiego.

P. Bilińska zagrała wprawdzie grande coquette—ale z spółczesnej komedji, czy farsy: kostjum jej—zapełnie nieodpowiedni w 2-m akcie — znacznie potęgował dysonans.

P. Mostowska nie powinna była wogóle podjąć się swojej roli, gdyż nie miała potemu najmniejszych danych.

Tak zawiodły nas kobiety w nowej komedji Krzywoszewskiego.

Co do artystów—wymienię z wstrzemięźliwą pochwałą p. Knake-Zawadzkiego: był dobrym, ale z przepysznej w rysunku postaci djabła kuternogi mógł był uczynić znacznie więcej; wymienię dalej p. Sarnowskiego—zupełnie dobrego w roli Wojciecha — pijaka; wymienię jeszcze wybornego w masce p. Strycharskiego, p.p. Szarkowskiego, Bielicza.

Gorąca pochwała należy się p. Węgierce: trudną rolę Rożnika zagrał stylowo i inteligientnie, trafnie podkreślając tragikomiczne metamorfozy, jakim ulega Rożnikowi serce; ostatnie sceny i skończenie gimnastyczny skok za okno wykonał — z całkowitą gracją...

Ta ostatnia rola p. Węgierki w tym sezonie raz jeszcze przekonała nas o zdolnościach i niebywałej rutynie, jaką młody artysta nabył w stosunkowo nader krótkim czasie.

. . . .

Benefis p. Czechowskiej pozostawił uczucie lekkiego zdziwienia.

Nie kwestjonujemy bynajmniej prawa młodej i naogół lubianej artystki do urządzania sobie benefisu; natomiast z naciskiem konstatujemy, że publiczność wileńska do ostatniej chwili czekała innego benefisu—benefisu bohaterki tego sezonu, która niosąc brzemię ogromnej i odpowiedzialnej pracy zaskarbiła sobie popularność w najszerszych kołach naszego miasta—p. Arkawin.

O benefisie p. Arkawin słyszeliśmy niejednokrotnie; że się nie odbył—żałujemy szczerze; dlaczego się nie odbył — ? Zapytanie to kreślimy z obowiązku lojalności, choć odpowiedzi nie spodziewamy się wcale: sezon się skończył, a błędy jego i defekty w organizacji należą do przeszłości.

W związku z tą przeszłością kreślimy kilka słów jeszcze w trosce o sezon przyszły, kiedy teatr wileński stanie się instytucją stałą, a gmach nowy na stokach Pohulanki da mu ramy bardziej godne polskiej sztuki i polskiego społeczeństwa.

Nie posiadamy, niestety, dokładnych danych co do bilansów zamkniętego sezonu.

Tyle jednak da się powiedzieć, że publiczność wileńska sprawiła się naogół dzielnie, gdyż frekwencja roku bieżącego przerosła znacznie frekwencję lat ubiegłych.

Dwadzieścia pięć przedstawień „Warszawianki“, trzynaście przedstawień „Orlęcia“ —świadczą wymownie o fakcie, że szersze warstwy wileńskie, które dotychczas słabo przyczyniały do powodzenia teatralnego polskiej sztuki—coraz szerzej i głębiej odczuwają swój związek z rzeczoną sztuką.

Jeszcze znakomicie przeważa na widowni inteligiencja miejska, jeszcze spotyka się jedne i te same osoby, popierające kasę teatralną działówki; aliści liczny, coraz bardziej chętny i świadomy zastęp widzów zajmuje amfiteatr i galerję.

Za stałe przyciąganie tych właśnie osób należy się przy zamknięciu sezonu słowo podzięki p.p. Pawłowskiemu i Strycharskiemu.

Liczne i częste zawody, na jakie w sezonie obecnym narażeni byli nasi artyści--zawody całkowicie uzasadnione w niedość ścisłej i konsekwentnej organizacji dochodów i budżetu spisujemy na debet tych sfer miejskich, które w przyszłym sezonie stworzą czynnik kontrolujący prawidłowe funkcjonowanie skomplikowanego mechanizmu teatralnego.

Niechże sezon przyszły skorzysta z owoców i zdobyczy tegorocznego i niech mu doda nowej siły i wartości.

Na tym oto apelu do ludzi dobrej woli zamykamy nasze recenzje z tegorocznego sezonu.

Zdzisław Kleszczyński.

<oooooooooo>

PRASA POLSKA.

— „Kurjer Krajowy“ krytykując zamierzone wystąpienie naszej reprezentacji urzędowej z zapewnieniami swych uczuć lojalnych, upatruje w tem objaw politykomanji, grę w wielką politykę. Najniesłuszniej. Przeciwnie byłby to czyn wyraźnie apolityczny, świadczący o rezygnacji ze wszelkich aspiracji politycznych na szerszą skalę.

„Gramy w „politykę“. A tymczasem pole twórczej pracy społecznej leży odłogiem, a chwasty na niem porastają i wiążą nogi, gdy stąpić naprzód pragniemy. Tak i samo pragnienie życia nowego obumiera. Kręcimy się w kółko o nader wązkim obwodzie i.. gramy w „politykę“.

Dziwnie brzmi ten zarzut w ustach demokraty polskiego. Nikt chyba nie jest większym przeciwnikiem budzenia w społeczeństwie intencji politycznych, jak właśnie żywioły zachowawcze, które pragnęły by pracą „realną“ zastąpić wszelkie dążenia idejowe. Bardzo ważna i potrzebna jest praca u podstaw, ale nie można uważać jej za jedyny środek podźwignięcia społeczeństwa. Musi ono posiadać wyraźną orjentację polityczną. „Kurjer Krajowy“ zdaje się zapoznawać ten pierwszorzędnej wagi czynnik.

„Winniśmy odnaleźć zgubioną drogę. Winniśmy nie trwonić sił na politykowanie i paktowanie, lecz pracą kulturalną niezniszczalne podstawy bytu naszego budować. Przyszłość nasza od siły kultury naszej zależy. Gdy takową zdobędziemy, gdy do ogólnego postępu kraju i ludów bratnich, z którymi tutaj żyć nam sądzono, rękę swoją przyłożymy, gdy kraj cały, jako siła świadoma, głos zabrać będzie w stanie — wówczas o faktach może być mowa, wówczas drogę należytą odnajdziemy“.

Niewątpliwie przyszłość nasza od siły kultu-

ry naszej zależy. Przyzna jednak chyba „Kurjer Krajowy", że praca kulturalna w obecnych warunkach politycznych ogromnie jest utrudnioną, a nieraz nawet wprost uniemożliwiona. Pozostaje więc tylko pole pracy ekonomicznej, na którem istotnie wiele można zdziałać, ale czyż dobrobyt materjalny jest głównym ideałem, który mamy mieć przed oczami? Do tego nakłaniać nasze „sfery miarodajne" jest co najmniej zbytecznem...

— „Kurjer Lubelski" z zadowoleniem stwierdza, że Koło Polskie w Dumie wkraczać się zdaje na drogę, wskazywaną przez opozycję.

„Kilka słów prawdy, jakie usłyszało Koło polskie podczas ostatnich wyborów, nie minęły bez wrażenia. Już dzisiaj, po paru miesiącach istnienia IV Dumy, możemy skonstatować, że taktyka Koła uległa zmianie; nie przesądzamy czy równolegle przeszło ono pewną ewolucję ideową, czy wyrzekło się swych upodobań panslawistycznych i ogólno państwowych ambicji, czy stanęło na gruncie wyłączności i samodzielności polskiej polityki narodowej, ale już sama zmiana taktyki parlamentarnej zasługuje na podkreślenie.

Choć oficjalnie kierownictwo naczelne Koła i partji, której ono jest ekspozyturą, nie potępiło jeszcze niedawno wygłaszanych haseł traktowania Dumy, jako terenu spekulacyjno-handlowego, choć nie wyrzekło się głośno i otwarcie roli „chodatajew po dielam", jednak widać wyraźnie, że po cichutku zaczyna się wycofywanie z tej polityki i wkraczanie na teren szerszy, wskazywany przez opozycję podczas ostatnich wyborów.

Dowodzą tego trzy interpelacje, wniesione przez Koło polskie, z których dwie dotyczą nadużyć administracyjnych, trzecia — prywatnego szkolnictwa polskiego.

Oczywiście, że nadużycia administracyjne na ziemiach polskich nie są zjawiskiem nowem, trzeba jednak było czekać aż IV Dumy, by je z trybuny parlamentarnej poruszyć.

Ważniejszą jeszcze rzeczą jest sprawa szkół polskich, która od kilku lat domaga się załatwienia, ale chęć „nienarażania się" sferom decydującym, czy może październikowcom, czy nacjonalistom rosyjskim (kto tam wie na kogo Koło polskie liczyło?) odwlekła ją aż do roku 1913.

„Lepiej późno, niż nigdy"—mówi przysłowie, i my tylko cieszyć się możemy, ze nareszcie Koło porzuciło dawne upodobanie do odrabiania „kawałków dumskich" i zapragnęło prowadzić szerszą politykę, odpowiadającą godności i interesom narodu polskiego.

Mówią nawet, że wniesiona będzie przez konserwatywne Koło interpelacja o postępową „Kulturę Polską", gdy zamknięcie daleko bliższej Kołu „Macierzy" przeszło dla niego bez wrażenia.

Wszystko to świadczy o dużych zmianach, jakie zaszły w poglądach panów posłów"...

Czy nie zawiele optymizmu? Gazety rosyjskie ostatnio wszakże donoszą, że Koło Polskie jest mocno zmartwione z powodu, iż minister Sazonow nie zaprosił jego przedstawiciela do siebie na herbatkę polityczną...

Głosy rosyjskie.

Przeciw Austrji.

Wobec szybkich zmian, zachodzącycų na widowni wojny na Bałkanach, sytuacja polityczna w Europie staje się coraz bardziej naprężona. Dają temu wyraz dzienniki rosyjskie w licznych artykułach, podkreślających zwłaszcza zaostrzenie stosunków między Austrją a Rosją w związku z ostatniemi wystąpieniami Austrji w Czarnogórzu. „Nowoje Wremia" dowodzi zatem, że Austrji nie chodzi tyle o Skutari, ile o upokorzenie Rosji:

„Na co potrzebne jest Austrji Skutari? Dlaczego wytargowawszy się do ostateczności, ustępuje wreszcie Djakowę, lecz co do Skutari idzie naprzód przebojem? Nie chodzi tutaj bynajmniej o maleńką fortecę, ale o niezwykłe zwycięstwo moralne, niweczące odwieczny autorytet rosyjski. Mieć prawo powiedzieć, że Rosja nie miała siły i męstwa, aby się ująć za Czarnogórzem, gdy chodziło o najistotniejsze interesy narodu czarnogórskie i o honor dynastji czarnogórskiej, to znaczy obniżyć całą powagę Rosji w chwili tryumfu słowiańszczyzny."

Liberalna „Russkaja Mołwa" również z dużem rozgoryczeniem pisze o ostatniem ustępstwie Rosji wobec dyplomacji austrjackiej:

„Czarnogórze wyraziło gotowość zaprzestania chwilowo bombardowania Skutari, aby umożliwić wyjazd ze Skutari spokojnej ludności „wobec jednogłośnie wyrażonego życzenia mocarstw", a więc i Rosji. W takich warunkach Czarnogórze musiało ustąpić bez wszelkich nawet „zastraszań" ze strony Austrji.

Ale wówczas nasuwa się pytanie: jaki cel miało takie odosobnione demonstrowanie siły wojennej z jej strony.

Odpowiedzi na to pytanie należy szukać oczywiście nietylko w neurastenji politycznej, cechującej, jak wiadomo, wiele wystąpień Austrji na Bałkanach.

Ważne jest dla niej zaznaczenie swego zainteresowania we wszystkiem, co dotyczy przyszłej Albanji, przygotowanie sobie zarazem odpowiedniego stanowiska w projektowanej przez państwa kontroli międzynarodowej nad Albanją. Oto gdzie się ukrywa najbliższe niebezpieczeństwo nowych komplikacji. Niechaj dzisiejsze ustępstwo będzie ostatniem naszem ustępstwem, a znajdziemy dosyć męstwa i wytrwałości przynajmniej na to, aby projektowany ustrój Albanji nie zamienił się we wspólną kontrolę, ograniczoną... austrjackiemi demonstracjami morskiemi".

Ten sam organ w innym artykule stawia nawet kwestję na ostrzu noża:

„Rozumiemy czem wojna grozi Rosji, lecz jest ona groźna dla wszystkich, a dla Europy nawet bardziej, niż dla nas. Jeśli z jednej strony i rząd i społeczeństwo będą tylko krzyczeli na wyścigi o niebezpieczeństwie, a przeciwna strona, której niemniej ono zagraża, będzie miała dość śmiałości do eksploatowania tego strachu i odważy się na ryzyko „zastraszania", to wytworzy się tego rodzaju idjotyczna sytuacja, że ludzie usuwają sobie sami grunt z pod nóg, oddając przeciwnikowi to, do czego nie ma on najmniejszego prawa rościć sobie pretensji i robią wobec całego świata wrażenie słabości, które będzie wzięte w rachubę i odbije się przy rozstrzyganiu naszych własnych spraw i nietylko dyplomaci będą wówczas temu winni. Bezpodstawne i bezsensowne roszczenie Austrji w stosunku do serbów i czarnogórców mogą być potem skierowane i do nas".

Zbliżony do kół październikowców „Gołos Moskwy" ubolewa nad optymizmem dyplomacji rosyjskiej i twierdzi, że postępowanie Austrji jest dowodem, iż nie liczy się ona zbytnio z Rosją:

„Nie trzeba szczególnej przenikliwości—pisze ów organ — żeby zrozumieć cel istotny zakusów austrjackich; jeśli można się czemu dziwić, to tylko temu, że dyplomacja austrjacka nie starała się nigdy ich nawet dobrze zamaskować. Uważa ona widocznie, że z nami nie należy się zbytnio krępować. W r. 1908 ambasador austro-węgierski oświadczył publicznie i urzędownie, iż rząd jego nie żywi żadnych zaborczych zamysłów w stosunku do Bośni i Hercegowiny. Słowa jego jednak

nie przebrzmiały jeszcze, gdy w Wiedniu ogłoszono aneksję. Niezadługo po mobilizacji baron Walssasin z takąż szczerą i uczciwą miną oświadczał w Peterburgu, że Austrja nie żywi wrogich uczuć względem słowian (co dało powód do dodania sławetnego dodatku do rosyjskiego tekstu o demobilizacji) i bezzwłocznie po tych słowach armja austrjacka na granicach serbskiej i czarnogórskiej zaczęła się przygotowywać do wojny".

Ziemstwa zachodnie.

II Sesja mińskiego zebrania gubernjalnego.

Mińsk, d. 20 marca.

Ziemstwa, wprowadzone tak raptownie przez Stołypina na Litwie i Rusi mają jakby dla ironji nazwę *„zachodnich“* mimo, że z Zachodem nie mają nic wspólnego.

Powoli rozpoczyna się już wyjaśniać droga, którą kroczyć będą te instytucje samorządne.

Druga sesja gubernjalnego zebrania odbyła się w Mińsku w pierwszych dniach lutego.

Na zebranie przedstawiono 15 tomów zawierających 244 sprawy, obejmujących około 2000 str. druku in folio.

Kolosalny ten materjał obejmował:

1. Sprawozdanie za rok 1911.
2. Projekt budżetu na 1913 (984,000 rb.).
3. Projekt budżetu wydziału rolniczego na 1913 r. (235,000 rb.).
4. Sprawozdanie komisji rewizyjnej.
5. Sprawozdanie oddziału lekarskiego z 1911 r.
6. Sprawozdanie o zarządzeniach przeciwpożarowych i budynkach ogniotrwałych.
7. Projekt zmiany taryfy premji asekuracyjnej.
8. Statystyka ziemskich ubezpieczeń i pożarów za 1911 r.
9. Sprawozdanie wydziału dróg i budynków publicznych.
10. Różne sprawy (4 tomy).
11. Sprawozdanie z wydz. dobroczynności publicznej.
12. Sprawozdanie z wydz. lekarskiego.
13. „ „ weterynajnego.
14. Protokóły i Sprawozdania „Stacji Błotnej“.

Ogólny budżet przewidywał 984,000 rb. rozchodów i tyleż dochodów rozumie się.

Podatek ziemski wynosi 721,000 rb. z całej gubernji mińskiej z miastem, przyczem tak się segreguje:

M. Mińsk płaci 52.000 rb.

Miasteczka i miasta (prócz Mińska) płacą 22.500 rb.

Z lasów i ziem rządowych (wartość 21.640,000 r.) 109,000 rb.

Z lasów i ziem prywatnych (wart. nie wykaz.) 498,000 rb.

Z fabryk i zakładów przemysłowych (wart. 11.983,000 rb.) 39,000 rb.

Widzimy więc, że lwią część podatków płacą lasy i ziemie, przemysł b. ubogi, miasta mało przemysłowe.

Oczywiście, podatki powyższe idą na rzecz gubernjalnych spraw ziemskich, każdy zaś z powiatów ma swój budżet, swoje podatki, z których właśnie część płaci do gub. zarzadu ziemskiego.

Opodatkowanie więc wzrosło znakomicie.

A ogólny stan gospodarki krajowej?

Prawie wcale.

Ważne przesięwzięcia poczyniono w sprawie podniesienia kultury rolnej i „ogólnego dobrobytu“ szerokich mas włościańskich, powołując specjalistów agronomów oraz innych (kultura traw, instruktorzy hodowlani) i przeznaczając w roku bież. 235,000 rb. na ten cel.

Organizacja pomocy lekarskiej ziemskiej kosztuje 258,000 rb.

Powinność drogowa 216,000 rb., a drogi są w takim stanie, że trudno gorszych sobie wyobrazić, jest to stała bolączka gospodarki ziemskiej.

Oświata ludowa — tylko 22.000 rb. pochłania, w tym względzie trzymają się oszczędności. Utrzymanie zaś Zarządu ziemskiego 38.000 rb.

Tak w głównych zarysach przedstawia się strona cyfrowa gospodarki guber. ziemstwa mińskiego. Na ogół sprawozdania są nacechowane biurokratyczną pedanterją, która pochłania moc pracy, rozprasza uwagę radnych na niezliczony szereg drobiazgów i utrudnia objęcie całości. Na tem wszystkiem znać piętno *„uprzednionnago“* ziemstwa.

Z ciekawych zapoczątkowań w dziedzinie kulturalnej wymienić należy zorganizowanie t. zw. „Stacji Błotnej“ dla badania błot torfowych i zamiany takowych na żyzne łąki lub pola. „Stację Błotną“ otwarto w 1911 roku. Połowę wydatków na utrzymanie ponosi rząd. Stacja uniezależniła się od ziemstwa i stanowi „dzielnicową stację błotną“, kierownikiem której jest uczony Florow. Stacja rozwija się b. dobrze i będzie miała przed sobą wielkie zadania. Oczywiście subsydjują stacje ziemstwa, a w pierwszym szeregu mińskie. Wobec wielkiej ilości nieużytków błotnych w Mińszczyźnie, wobec całego Polesia — prace podjęte w tym kierunku przynieść mogą istotne korzyści i rozwinąć bogactwa kraju.

* * *

W sali zebrań zwraca na się uwagę skromny stolik, na którym rozłożono broszury, fotografje, tablice, schematy.

To działalność gubernjalnego personelu agronomicznego. Wysuwają się tu na pierwszy plan prace p. Ed. Bakuna (obecnego sekretarza Miń. T-wa Rolniczego) nad badaniami miejscowego bydła białoruskiego, prace sumiennie i ze znajomością rzeczy przeprowadzone i ułożone. Są tu sprawozdania ciekawe z działalności „pomocy agronomicznej“ p. Weljaminowa-Ziernowa, agronoma gubernjalnego, wiele tablic, fotografji kolonji wzorowych. Wszystko to ma b. duże znnczenie, gdyż ilustruje prace podejmowane w tym kierunku i zapoznaje z wynikami.

* * *

Zebrania naogół były liczne, aczkolwiek główne prace odbywały się w komisjach. W całości daje się zauważyć małe wyrobienie ogółu radnych, że tak powiem, parlamentarne. Szczególnie włościanie milczą jak zaklęci, mówią rzadko i tylko o sprawach dotyczących *ich* powiatu lub okolicy. Na czoło wysunęły się już jednostki pracowite i te prowadzą debaty, stawią wnioski — tworzą życie.

Charakterystyką ogólną jest *decentralizacja*. Główne sprawy przenoszone są do powiatów; gospodarka powiatowa stanowi samorządną jednost-

kę, której bronią nawet przed najbliższym sąsiadem-powiatem przedstawiciele danego powiatu.

Dominuje zasada—każdy dla siebie.

To wywołuje specjalny *„patryjotyzm powiatowy“* w sprawach ogólnego znaczenia, jak szpitalnictwo, oświata i t. p.

Najbardziej charakterystyczną jest walka stała między miastem Mińskiem i powiatami. Wszystkie wnioski przedstawicieli Mińska zwykle zostają przegłosowane na niekorzyść miasta.

W trakcie obrad dało się zauważyć kilka momentów bardziej ożywionych. Do takich między innemi należała uchwała powołania 4-go członka Zarządu. Mimo debaty i logiczne dowody przy balotowaniu powołano takowego.

Polacy są bodaj najwięcej wyrobieni a już bezsprzecznie posiadają najlepszych mówców (p. Jastrzębski, Ambrożkiewicz, Chrząstowski, Woyniłłowicz, Lubański, Skirmuntt) i pracują z wielkim pożytkiem.

Zdaniem mojem, bronią oni jednak zbyt słabo spraw dotyczących stanowiska naszego, niedostatecznie uwydatniają niesprawiedliwą względem polaków ordynację kurjalną wyborczą. Przy takiem uchwalaniu asygnowań na pomnik Stołypina, twórcy ziemstw zachodnich, możnaby to zaznaczyć i podkreślić. Przecież sprawa ta tyle wywołała hałasu w swoim czasie...

Naogół w drugiej Sesji nie dało się zauważyć tendencji ciasno-nacjonalistycznych.

Wybitną była oszczędność na sprawy oświatowe, prawie wszystkie objęte budżetem asygnowania — odrzucono.

Józef Moczulski.

Wszystkich przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

KRONIKA.

= Z żałobnej karty.

D 21 b. m. zmarł w wieku lat 60 Mieczysław Ostachiewicz, zasłużony na polu pracy społecznej w Wilnie. Wszelkie zapoczątkowania o charakterze demokratycznym miały w nim gorliwego zwolennika. Gdy „Gazeta Wileńska“ upadła po paromiesięcznem istnieniu, zmarły przyłożył dużo starań w celu jej wskrzeszenia i nie szczędził zabiegów nad jej utrzymaniem i rozwojem. Był też szczerym przyjacielem naszego pisma.

Cześć Jego pamięci!

= Demonstracja słowiańska.

W niedzielę d. 17 b. m. około g. 4 pp. po nabożeństwie uroczystem z okazji zdobycia Adrjanopola, w Petersburgu, część publiczności urządziła owację na cześć generała Dmitrjewa, którego na rękach odniesiono do powozu.

Następnie część tłumu przeważnie młodzież śpiewajac hymn narodowy, ruszyła w kierunku prosp. Newskiego. Około gmachu rady miejskiej konna policja rozpędziła demonstrantów... nahajkami. Parę osób poturbowano. Demonstranci, gdy policja wzywała ich do rozejścia się, zwracali jej uwagę, iż śpiewają — hymn. Nic to jednak nie pomogło: nahajki były w robocie.

Część demonstrantów skierowała się z pod rady miejskiej na ul. Symeonowską przed gmach ambasady bułgarskiej. Tam odśpiewano „Szumi Marica“, a poseł bułgarski, Bobczew z balkonu wygłosił taką mowę:

„Panowie, widzę na waszych licach wyraz radości całego narodu rosyjskiego. To nie tylko nasze zwycięstwo, to zwycięstwo Rosji, której wojska jeszcze w 1829 r. zajęły to miasto. To zwycięstwo słowiańszczyzny. Niechaj żyje wielka Rosja“!

Po odśpiewaniu ponownie hymnu demonstranci ruszyli do ambasady serbskiej na Litejny pr. W oknie ambasady ukazał się poseł Popowicz, lecz zanim zdążył powiedzieć parę słów—tłum rozpędzono nahajkami.

We środę wniesiono z tego powodu nagłą interpelację w Dumie.

= Konkurs litewski.

„Viltis“ ogłosił rozstrzygnięcie konkursu ne sztukę sceniczną, ogłoszoną przez kowieńskie litewskie Tow. trzeźwości „Blaivybe“. Sędziami byli: rektor seminarjum katolickiego w Kownie ks. prałat Maculewicz, ks. J. Tumas, Ignacy Szlapelis, L. Gira i prezes „Blaivybe“ ks. Marmo.

Ogółem nadesłano 14 sztuk. Z tego 4 oryginalne i 10 przerobionych z języków obcych. Nagrody pierwszej (100 rb.) nie przyznano nikomu i podzielono ją miedzy autorów dwóch sztuk 3-aktowych: „Sugriautas gyvenimas“ (Rozbite życie) i „Jonukas isgelbejo“ (Janek uratował), których autorami są: pierwszej—Pijus Mieczulis i drugiej—K. Olita, obydwaj z Wilna. Nagrodę drugą (50 rubli) otrzymała Helena Rucewiczowa z Wilna za dramat p. t. „Smukle“ (Karczma), napisany według Zenona Parviego.

= Polacy w Inflantach.

Mitawski korespondent „Dziennika Petersburskiego“ oblicza, że polska ludność m. Rygi sięga 10 tysięcy głów; po niej idzie Lipawa z 4—6 tysiącami polaków, dalej Mitawa (koło tysiąca), Windawa, Dorpat, Rewel i kilka miast pomniejszych. Wogóle polacy zamieszkują tam przeważnie miasta i nieznaczny tylko odsetek osiadł na roli.

= Reforma Akademji wojskowo-lekarskiej.

Na skutek ogłoszenia, że studenci po zreformowaniu Akademji wojskowo-lekarskiej mogą składać prośby o powrotne ich przyjęcie do Akademji, odbył sia więc, na którym postanowiono nie wnosić podań o przyjęcie z powrotem. Uchwała ta ściągnęła do Akademji mnóstwo studentów, którzy oblegali kancelarję, żądając wydania dokumentów. Dotychczas wycofało swe świadectwa przeszło 400 studentów, a próśb złożono ogółem dwadzieścia

= Kongres wychowania fizycznego.

W Paryżu odbył się w bieżącym miesiącu międzynarodowy kongres wychowania fizycznego młodzieży, który pod znakiem fakultetu lekarskiego zgromadził półtrzecia tysiąca osób, a w tem blisko połowę z zagranicy. Otwarcie kongresu odbyło się uroczyście w wielkim amfiteatrze Sorbony wobec prezydenta rzeczypospolitej. Oprócz referatów naukowych, których tematy bywały przedmiotem ożywionej, niekiedy namiętnej dyskusji, odrębny dział kongresu stanowiły popisy gimnastyczne i sportowe, dające możność okazania wartości rozmaitych systemów i metod kultury fizycznej. Polacy nie uczestniczyli w popisach. W dziale referatów prócz referatu d-ra Piaseckiego, do apelu pod tym względem stanęli jedynie dr. Wyrzykowski ze Lwowa i H. Kuczalska z Warszawy. Referaty rzeczone, ilustrowane przezroczami, wywołały żywe zainteresowanie uczestników kongresu. Na kongres przybyło zresztą sporo polaków.

Treść numeru.

Jedność narodowa.—J. Sorokowicz.
Ugoda polsko-rusińska.—Bezstronny.
Kwestja żydowska w Królestwie.—Wi—ski.
Listy ze Wschodu.—T. Nowik.
Żywotny ruch.—St. Poraj.
We mgle wspomnień.—J. Lorentowicz.
Teatr zimowy.—Z. Kleszczyński.
Prasa polska.
Ziemstwa zachodnie.—J. Moczulski.
Głosy rosyjskie.
Kronika.
Odcinek: „Romans Wacława Błockiego“. — M. Pawlikowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ“, Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 6 (19) Kwietnia 1913 r. № 13—14.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie - - - - - - - - - - - - 7.00
Półrocznie - - - - - - - - - - - 3.50
Kwartalnie - - - - - - - - - - - 1 75
Miesięcznie - - - - - - - - - - - 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie - - - - - - - - - - - - 8.—
Półrocznie - - - - - - - - - - - 4.00
Kwartalnie - - - - - - - - - - - 2.00
Miesięcznie - - - - - - - - - - - 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k.
W tekście (nadesłane) - - - - - - 1 rb.
Po tekście - - - - - - - - - - - 20 k

Numer pojedyńczy 15 kop.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał drugi.

Stanowisko krajowe a ideja narodowa.

„Tylko polacy wymyślili jakieś stanowisko specjalnie krajowe, które im każe pracę swą na Litwie uzależniać od tych wszystkich, którzy od nich uzależnić się nie chcą i w każdem dążeniu ogólno-narodowem doszukiwać się, czy tam niema czasem czegoś przeciw krajowości“.

Z zarzutem powyższym występuje znana literatka p. Sawitri w ostatnim numerze „Tygodnika Polskiego“.

Zarzut tem cięższy, iż jest niesłuszny, a świadczący o niezrozumieniu warunków politycznych, w jakich społeczeństwo polskie na Litwie żyje.

Warunki te bowiem, nie jakaś fantazja, czy kaprys wytworzyły koncepcję „krajowości“ pojmowanej jako dążenie do ujęcia w całość odrębną interesów Litwy historycznej.

Mylnem jest jednak mniemanie, jakoby zasada obywatelstwa krajowego stała w sprzeczności z ideją ogólno-narodową. „Krajowość“ jako kategorja polityczna najnowszych czasów nie zdążyła jeszcze ustalić się w umysłach ludzkich, budzi zrozumiałą nieufność i interpretowana jest nieraz najdziwaczniej, przez publicystykę zaś warszawską i galicyjską niemal bez wyjątku wprost opacznie.

Do zaciemnienia tego pojęcia nie mało się przyczyniło wystąpienie znacznej grupy obszarników polskich z programem stronnictwa „krajowego“, będącym jaskrawym wyrazem tendencji ugodowych i braku wiary we własne siły. Szyld „krajowy“ był tu tylko parawanem do osłonięcia zupełnego odwrotu z dawnego tradycyjnego stanowiska.

„Krajowość“ w znaczeniu demokratycznem natomiast powstała na tle uświadomienia przemiany warunków społeczno-politycznych na Litwie i Białej Rusi, w związku z coraz bardziej wyraźnie się zarysowującemi dążeniami ruchów narodowych litewskiego i białoruskiego oraz pewną ewolucją ustroju państwa Rosyjskiego.

Nie liczyć się z rzeczywistością, nie brać pod uwagę zmian, które zaszły w układzie stosunków krajowych—byłoby równoznacznem z rezygnacją społeczeństwa polskiego na Litwie z roli twórczego czynnika politycznego i skazaniem go na wegietację jałową.

Nie brak jeszcze fantastów i marzycieli, którzy, zapatrzeni w przeszłość, nie chcą widzieć zmian, które życie przyniosło i przynosi wciąż, i z uporem powtarzają swoje „non possumus“. Polityk jednak musi myśleć o przyszłości.

A przyszłość ta zarysowuje się wcale niewesoło. Przy rozwoju dalszym nastrojów panujących obecnie śród młodych społeczeństw litewskiego i białoruskiego—przedział będzie się wciąż pogłębiał a społeczeństwo polskie, liczebnie o wiele słabsze i dzięki swemu rozproszeniu po całej przestrzeni kraju uzależnione w silnym stopniu od tendencji rozwojowych obcego środowiska, chociażby nawet kuluralnie niższego — zejdzie wreszcie na stanowisko żywiołu napływowego, zaledwie tolerowanego.

Pewność, że te nastroje niechętne znikną z czasem same przez się, ustąpią miejsca życzliwości i sąsiedzkiej uprzejmości na niczem nie jest oparta. Wobec odosobniania się społeczeństwa polskiego, wobec wyraźnego zaznaczania odrębnej myśli politycznej polskiej, można przeciwnie się spodziewać, że antagonizm będzie wzrastał.

By nie być oderwanym od gruntu, by móc działać w warunkach realnych, należy ustalić pewną zasadę, którąby w teorji przynajmniej pozwoliła na wspólną pracę i koordynację wspólnych wysiłków. Taką zasadą jest właśnie „krajowość“, która godzi

rozbieżne aspiracje wsrystkich rdzennych narodowości zamieszkujących teren Litwy i Białej Rusi.

Tylko nie wniknięcie w treść istotną tej zasady, tylko zła wola lub uprzedzenie mogą dopatrywać się w niej pierwiastków sprzecznych z interesem narodowym polskim, z ideją ogólno-narodową.

Przedewszystkiem zasada krajowości oraz ideja narodowa nie są to wielkości spółmierne, nie mogą więc być sobie przeciwstawiane. „Krajowość“ nie jest ideją, lecz metodą postępowania, o tem należy pamiętać przedewszystkiem.

Litwa i Białoruś nie stanowią bowiem kraju o wyraźnych granicach, nie stanowią zamkniętej całości, odgrodzonej szczelnie gieograficznie i historycznie od terenów sąsiednich, na wzór Szwajcarji lub Finlandji.

Wiążą je pewne wspólne cechy, wypływające z tradycji głównie i w wielu wypadkach będące już przeżytkiem. Organicznie jednak spojone nie są, dzięki różnoplemiennemu składowi ludnościowemu. Krajem odrębnym są one przeważnie w pojęciu społeczeństwa polskiego, które też stanowi główny cement, łączący tak odmienne terytorja jak Żmudź, Białoruś katolicka i wschodnio-południowe kresy prawosławne.

O idei więc krajowej mowy być nie może. Kto by w ten sposób ujmował zagadnienie „krajowości“ — ten popełnia błąd, oparty na złudzeniu i niedostatecznem zgłębieniu działających czynników. Nie wielu też liczy zwolenników ideja krajowa.

Natomiast stanowisko obywatelstwa krajowego, będące wyrazem uznania odrębności zadań polityki czynnej na ziemiach litewskich i ruskich, zyskuje coraz bardziej prawo obywatelstwa w świadomości ogółu i narzuca mu się siłą konieczności dziejowej.

Ideja narodowa jednak nic na tem nie traci, przeciwnie pozostaje tym samym drogowskazem, tą samą siłą odradzającą, pobudzającą do wysiłków twórczych.

Oczywiście o ile ideję narodową będziemy pojmowali w znaczeniu absolutnem, nie przemijającem, jako syntezę dążeń wszystkich warstw narodu, jego najgłębszych i najżywotniejszych aspiracji.

By jednak ta ideja żyła w duszach ludzkich, nie była tylko pustym dźwiękiem, frazesem od święta — powinna promieniować silnie, powinna zrzucić z siebie łachmany, w które stroić ją lubią rozmaici jej przygodni impresaria.

Z zanikaniem jej i wyradzaniem się na ziemiach polskich, ustaje wpływ jej jednocześnie na dzielnice sąsiednie. Prawo ciążenia zmusza masy drobniejsze do grawitacji ku mniejszym, indywidualności silniejsze panują nad słabszemi. Naród, ożywiony ideją twórczą, stanowi czynnik poważny, chociażby był pozbawiony możności oddziaływania za pomocą środków materjalnych.

Społeczeństwo polskie na Litwie i Białej Rusi, skazane na ciężką walkę o byt, musi wzmacniać swe siły duchowe pokarmem, czerpanym ze źródeł kultury narodowej. Stamtąd muszą ku niemu iść powiewy zdrowe, odświeżające, wzmacniające organizm. Pod skutecznem działaniem idei narodowej będzie ustępowała pleśń, która dziś obficie narasta. Wówczas „krajowość“ nie będzie się przeradzać w ugodowość, w zaprzaństwo narodowe. w indyferentyzm polityczny.

W blaskach idei narodowej „krajowość“ stanie się tem, czem być powinna: metodą do utrwalenia wpływów kultury zachodniej, drogą do odzyskania przez społeczeństwo polskie tego stanowiska przodującego, jakie dziś ono traci po części skutkiem niezrozumienia swych zadań względem ludów, słabszych kulturalnie i duchowo.

Trzeba bowiem pamiętać, że pojęcie „krajowości“ powstało wówczas, gdy warunki polityczne pozwoliły społeczeństwu polskiemu na wzięcie czynnego udziału w realnej pracy nad rozwojem kraju. Zasada „krajowości“ została wysunięta równolegle do postulatu autonomji Królestwa Polskiego. Nie a priori, lecz z życia się zrodziła potrzeba koncepcji politycznej, którąby dawała wyraz dążnościom odśrodkowym ludności miejscowej, przystosowanym do realnych warunków bytu.

Zarówno jednak postulat autonomji Królestwa, jak również mniej ściśle zformułowane tendencje krajowe Litwy i Białej Rusi nie mogą rościć pretensji do roli czynników idejowych, chociaż bynajmniej nie obniżają przewodniej idei narodowej. Ta pozostaje

---

M. PAWLIKOWSKI. 2)

Romans Wacława Błockiego.

Nie widząc jej w ciągu paru tygodni, czuł, jak to pożądanie blednie i znika. Wiedział, że jeżeli zechce, potrafi je zupełnie zdusić w sobie. Ale czując, że go otaczają zwolna zimne ramiona wszechmocnej nudy, sycił w sobie nikły ogieniek skoślawionego uczucia. Kochać już nie mógł, i tylko to mu zostało.

Na wyraźnem i jasnem tle rojeń zjawiała się chwilami smukła i groźna sylwetka Bojańskiego. Czuł wtedy dreszcz. Lecz nie był to dreszcz lęku. był to dreszcz emocji, którą również kultywował w sobie, jako ucieczkę przed szarą marą znudzenia. Zresztą, gdzieś w najgłębszych i dla siebie samego niepojętych tajnikach istoty miał jakieś atawistyczne resztki donkiszoterji. Z zapałem i bohaterstwem walczył w marzeniach z urojonemi przeciwieństwami — teraz pragnął walki z prawdziwym zatorem.

Do tego uczucia dołączyła się nieokreślona chęć zemsty. Zemsty za „sponiewieranie miłości. Właściwie jasno zeznawał, że żadne poniewieranie nie miało miejsce, że kochać się przestał w Irze bez żadnego postronnego impulsu, że, wreszcie, ona go również kochała, a miłość jej ku niemu zgasła tylko i przedewszystkiem dzięki niemu, — jednak.... Jednak pragnął zemsty za to, że ją mógł kiedykolwiek kochać, że tak późno poznał prawdziwą gienezę swego uczucia ku niej.

. . . .

Konie zwolniły biegu i same stanęły.

Błocki drgnął i otrząsnął się. Przed nim wznosiła się, srebrnem światłem zalana, ściana domu.

Prędko wbiegł do mieszkania.

— Był posłaniec z listem — zameldował zaspany fagas.

— Dobrze. Możesz iść.

Podszedł do biurka i niechętnie wziął do rąk kopertę, zapisaną wcale miłem rondem.

„Bardzo mi jest przykro, że nie byłeś wczoraj u mnie. Czekałam długo, bo nigdy przypuścić nie mogłam, że nie przyjdziesz. Coprawda pewną jestem, że tylko ważne przeszkody wstrzymały cię od tego, a jednak smutno mi jest bardzo. Może zresztą smutno mi dlatego, że taki szary bezbarwny dzień dzisiaj.

niezmienną i niezależną od form przemijających, które pozwalają na mniej lub więcej intensywne jej oddziaływanie.

Nie wyklucza wcale „krajowość" zainteresowania do spraw ogólno-narodowych, przejęcia się i oddania tym dążnościom, które każdego polaka żywo obchodzić muszą niezależnie od tego, gdzie mieszka: na ziemiach polskich, czy na Litwie, w głębi Rosji czy w Ameryce. Gdy jednak na emigracji czuje się przybyszem skazanym na czasowy pobyt z myślą o prędszym lub dalszym powrocie do stron rodzinnych, na Litwie i Białej Rusi polak stanowi czynnik lokalny, związany z ziemią, z krajem, który jest i będzie jego ojczyzną.

Losy jej nie mogą dlań być obojętne. Pragnąłby rozwój jej skierować na tory które, uważa za najbardziej racjonalne i pożądane. Wie jednak, że jego wola i jego pragnienie nie decydują, nie są siłami wystarczającemi. Zmuszony jest oglądać się na to, co powiedzą inni tego kraju mieszkańcy, dla których jest on wszystkiem, którzy myślą poza jego obręb nie wybiegają. Więc rozumiejąc, że odosobnienie skazuje go na rolę bierną, nagina swój program do wymagań chwili, nie uchyla się od wspólnej pracy przy wspólnym warsztacie, miarkuje swe popędy, by te nie uniosły go zadaleko, tam, dokąd nikt za nim obecnie nie podąży.

Oto gieneza „krajowości".

Ale jednocześnie może patrzyć z ufnością w przyszłość i wierzyć głęboko w żywotność idei narodowej, której symbolem jest czyn.

L. Abramowicz.

ᐅooooooooᐊ

Żywotny ruch.

Kółka rolnicze im. Staszica.

Kółka te założyli ludzie, którym chodziło nietylko o podniesienie kultury rolnej u małorolnych, ale i o zbudzenie w masach ludowych poczucia przynależności do życia społecznego.

Chcieli za pomocą tej czysto ekonomicznej na pozór instytucji, urabiać obywateli i ludzi nowych. Czy kółka im. Staszica kierują chłopa na dobrego obywatela tej ziemi, na której jest odwiecznym rozmnożycielem chleba?

Pomimo arcy trudnych warunków, w jakich ta instytucja pracować musi,—każdy, kto się bezpośrednio zetknął z pracą Staszicowców po wsiach, w stowarzyszeniach różnych, które zakładają, kto słuchał ich obrad na dorocznych zjazdach, odnosi wrażenie, że są to ludzie, którzy śmiałem okiem sięgają po za opłotki swej wsi, parafji, gminy i obejmują potrzeby ludu w całym kraju. Co więcej, w coraz szerszym zakresie interesują ich zagadnienia wychodzące po za obręb spraw ogół ludu polskiego obchodzących, i dobierają się coraz śmielej do zagadnień ogólno ludzkich.

To rozszerzenie światopoglądu rolnika drobnego w Królestwie jest w znacznej części zasługą atmosfery wnoszonej na wieś polską przez młodzież z postępowych szkół gospodarczych, która wróciwszy na wieś, albo wchodzi do istniejących już organizacji Staszicowskich, albo je zakłada tam, gdzie ich nie było, tworząc sobie grunt do pracy społecznej. Założenie kółka rolniczego im. Staszica na wsi nie jest rzeczą łatwą.

Kółka te, jako najdzielniejsze rozsadniki postępu i niezależnej idei ludowej, są bezwzględnie zwalczane przez wszystkie te czynniki, którym zależy na utrzymaniu „status quo ante" na wsi. A więc: zwalcza je ksiądz proboszcz, dziedzic, dzierżawca. rządca, lekarz, adwokat z miasteczka, rejent, kupiec.

Wszyscy ci ludzie, o ile niema między nimi jakiegoś zdecydowanego postępowca i szczerego demokraty, tworzą spisek napozór niezorganizowany, w rzeczywistości solidarnie przeciwdziałający powstaniu placówki chłopskiej, bo wszystkim im wygodniej, spokojniej żyje się z chłopem potulnym, biednym, ciemnym.

A więc: założenie kołka rolniczego im. Staszica nie jest rzeczą łatwą, przeciwnie, trudne to przedsięwzięcie, prowadzić je trzeba pod gradem

---

Lękam się, by moje usposobienie nie udzieliło się tobie."

Przerwał czytanie i uśmiechnął się.

— Jaka troskliwość! — pomyślał.—Zawsze boją się „one", by ich stan duszy nie udzielił się komukolwiek. No!... Dalej, naturalnie, gorące pocałunki i „przyjdź jutro o szóstej. Koniecznie. Zofja". Od tego trzeba było zaczynać!

Porwał list, rozebrał się prędko, buchnął na łóżko i spał mocnym snem bez marzeń.

. . . .

Nazajutrz spotkał na ulicy Irę z Bojańskim. Szli pod rękę, gawędząc wesoło. Brzoskwinowe policzki Iry płonęły na mrozie szkarłatem, czerwone wargi śmiały się, turkusowe ślepki wesoło patrzały przed siebie.

Na grzeczny ukłon Błockiego odpowiedzieli obojętnie, prawie oziębłe.

Uśmiechnął się.

Czuł że rozpoczyna pierwszy akt komedji, a może tragedji, którą sam stworzyć pragnie. Mimo, że wiedział o płytkości duszyczki swego objektu, jednak w oczach Bojańskiego była tak jawna niechęć ku niemu i tyle uczucia dla Iry, że nie wątpił, iż impreza, którą przedsięwziął, będzie nietylko walką z „zasadami" Iry, ale i walką z energją jej narzeczonego.

Znów uczuł miły dreszczyk emocji.

Raźniej mu się zrobiło na duszy. Nie cierpiał, bowiem, przeświadczenia, że jest „szarym pyłkiem", niegodnym uwagi. Z dwojga złego,—wolał być przedmiotem nienawiści lub niechęci, niż wzgardliwej obojętności.

Wesoło spojrzał na świąteczny tłum.

Wkoło skrzypiał śnieg, brzęczały sanie. Dym różowemi słupami wił się w mroźnem powietrzu.

Po chwili wszakże nowe uczucie owładnęło nim. Uczucie, które zawsze wkradało się do jego istoty, gdy był w tłumie. Dokoła kłębiło się mrowisko ludzi, każdy śpieszył przed siebie z widmem urojonego celu przed oczami. On też był jedną z tych drobnych mrówek społecznego mrowiska. Przeświadczenie to napełniło jego istotę uczuciem przygnębienia, chwilowego niesmaku, bezsilności. Mimowoli zgarbił się i ociężale powłóczył nogami.

— Wacek...—posłyszał cienki i nieśmiały głos.

Drgnął i przystanął, przed nim stała mała kobietka z bardzo różową i bardzo naiwną twarzyczką, z tęsknem i łzawem spojrzeniem czarnych, dużych oczu.

— Ach! To ty. Zocha. Dzień dobry.

oszczerstw, drwin i zasadzek stawianych bardzo często ręką bratnią.

Że Tow. Staszicowskie mimo to, rozwija się normalnie, i z każdym rokiem święci swój lepszy rozwój, dowodzi to jeno hartu i krzepkiej woli ludu, który nie tak łatwo da się zawrócić z wytkniętej drogi.

Obecnie T-wo w 7 roku swego istnienia posiada 123 oddziały w kraju całym, 5000 członków, podejmuje coraz szersze dla ogółu małorolnych prace, jak: budowę Domu ludowego w Warszawie i zakładanie chłopskich syndykatów służących potrzebom małorolnego rolnika. Członkowie na drugim już zjeździe omawiają sprawę ujęcia handlu zbożem w swoje ręce, ale ponieważ wpierw należy ujednostajnić produkcję zboża w całym kraju sród małorolnych, więc sprawa ta musi być odłożoną aż do tej chwili, gdy przynajmniej większość drobnych rolników produkcję zbożową dostosuje do wymagań rynku.

Tu i owdzie, włościanie rozszerzają produkcję warzyw, robią próbę z hodowlą nasion, a wszystko to dowodzi, że postęp w ustach chłopa polskiego nie jest jeno frazesem, ale wcielenie znajduje w całokształcie zjawisk z zakresu wiejskiego życia i jest procesem zmiany zasadniczej w strukturze duszy ludowej. Kółka rolnicze im. Staszica biorą nader żywy udział i przyczyniają się wysiłkiem swych członków do pisania żywej historji ludu polskiego, w wieku przejętym idejami demokratyzacji wiedzy i kultury.

Pismo ludowe.

Jak dotąd w Królestwie jedynem pismem, które lud polski pcha naprzód rozwija, kształci, lepsze pomysły mu poddaje; do krytycyzmu zaprawia, a zarazem w najszerszym zakresie odźwierciadla to, co chłop polski myśli, czuje, robi i czego pragnie;—jest tygodnik społeczno-rolniczy „Zaranie". (Warszawa Kanonja № 8. Cena 4 rb. rocznie).

Pismo to skupiło sród swych czytelników najświatlejszy odłam ludu, hołduje idejom postępu ewolucyjnie, nie radykalnie bynajmniej rozumianego, odważa się na krytykę szkodliwej. pod względem społecznym i moralnym działalności księży i obszarników, a choć stara się czynić to przedmiotowo, jednak w sferach klerykalno-ziemiańskich uchodzi za paszkwilistę i warcholski swistek, z którym jednak obie sfery liczą się poważnie „de facto", choć oficjalnie okazują pismu ludowemu lekceważenie. Niezbyt dawno „Zaranie", za swą działalność, mającą na celu próbę oczyszczenia augjaszowej stajenki, jaką przedstawiają stosunki między plebanjami a chatą i dozorami kościelnemi, za ujawnienie całego szeregu nadużyć gorszących w tej dziedzinie, zostało zaszczycone klątwą dwuch biskupów: płockiego i kieleckiego. Zaczem poszła klątwa z arcybiskupiej kancelarji w Warszawie.

Mimo tych gromów, lud przy swem piśmie wytrwał, na szykany świadczone „mniemanym heretykom", bo tak przedstawili infułaci wierzących, jeno antiklerykalnie usposobionych „Zaraniarzy", ci ostatni zacisnęli zęby, ale rezonu bynajmniej nie stracili. Przeciwnie, z coraz lepszą fantazją i coraz owoczniej pracują nad tem: aby wieś polska zbudzona ze snu zaczęła tworzyć coraz gęstszą sieć kółek rolniczych, maślarni, kas pożyczkowo-oszczędnościowych, stowarzyszeń spożywczych, spółek wytwórczych, a to dla zwiększenia dobrobytu, ale że „zaraniarze", nie tylko samym chlebem żyć chcą, więc zakładają szkoły, urządzają odczyty, wycieczki zbiorowe po kraju, tworzą trupy teatralne, amatorskie chóry spiewacze, bibljoteki.

O wszystko, zanim założą, mają zwyczaj po radę zwracać się z ufnością do redakcji „Zarania", stamtąd czerpią wskazówki prawne, wzory ustaw instytucji zakładanych, tam też przesyłają sprawozdania z działalnosci tych tworzonych przez siebie placówek.

Między czytelnikami a redakcją istnieje stosunek żywy, pełen miłości, zaufania i wdzięcznego uznania ze strony ludu, miłości i pracy rzetelnej a czujnej, ze strony redakcji. Pismo redagowane jest starannie: daje czytelnikom wiadomości treści ogólno-kształcącej, ekonomiczno-społeczne, wiadomości bieżące, przegląd polityczny i dział rolniczy

---

— Dzień dobry. Dokąd idziesz?

— Przed siebie, to jest, przechadzam się. A ty?

— To samo.

Zaległa pauza. Wreszcie kobieta przemówiła nieśmiało.

— Wacek....

— Co?

— Zajdźmy do mnie...

— Po co?

Było to tak okrutnie szczere, że w oczach Zochy zaszkliły się łzy.

Błocki dojrzał je i poprawił się.

— Widzisz bo... Czuję się tak nieswojo i źle... Jeżeli mam być szczery, to ci powiem, że nie byłem wtedy u ciebie nie dlatego, bym nie mógł. Wprost nie mogłem być. Łaknę teraz samotności i spokoju.

— Chory jesteś—spytała troskliwie.

Skrzywił się.

— Nie, nie jestem chory. Zresztą może to choroba? Czy ja wiem...

— ... jesteś zanadto drażliwy... przejmujesz się wszystkiem... najmniejsza błahostka drażni cię...

Zrobił ręką giest beznadziejny.

— To nie błahostka!

Milczeli czas pewien.

— Zajdźmy do mnie — trochę śmielej zaproponowała Zocha.

On zaś objął taksatorskim wzrokiem jej filigranową, ale kształtną postać od zgrabnych nóżek do zarumienionej twarzyczki.

— Dobrze, zajdźmy do ciebie! — rzekł z rezygnacją.

. . . .

Zmrok już był gęsty, gdy wychodził z mieszkania Zochy Bieleckiej.

Czuł jeszcze ciepłe i kochające uściski toczonych ramion i pocałunki dziecinnie świadomych, wilgotnych warg.

— Bydle jestem — pomyślał z pasją.

— Wciąż był pod urokiem zacisznego pokoiku, oświetlonego lampą z czerwonym abażurem. W uszach dźwięczał mu miękki, nieśmiały sopran Zochy, który z każdego frazesu tworzył mile łaszczące słuch dzwięki.

— Biedactwo!—przemknęło mu w głowie w nagłem wylaniu tkliwości.

Szedł prędko, stukając z pasją laską po chodniku.

Zocha kochała go. Kochała z oddaniem się

Że „Zaranie“ spełnia rzetelnie swe zadanie wychowawcze i informacyjne, za dowód może służyć to, że jego czytelnicy dostarczają największy procent czytelników wiejskich wypożyczających książki z czytelni „Kultury“, oni też, starają się tworzyć małe bibljoteczki domowe, a zamożniejsi pozwalają sobie na prenumerowanie kilku nieraz pism; prawie wszyscy zaś mają już zwyczaj czytywać stale książki, bo już poznali głód wiedzy.

St. Poraj.

ooooooooooo

NAD SEKWANĄ.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Paryż w kwietniu.

Salon niezależnych.

Jeśli chcielibyśmy określić w kilku słowach syntetyczne życie Paryża — to musielibyśmy go nazwać miastem skondensowanej energji życiowej. Energja ta—siłą odśrodkową swej różnorodności—rozpiera jednocześnie w różnolitych kierunkach, lecz charakter narodu o wybitnych cechach rasy łacińskiej chwyta i spaja pracę ową w jednolitą całość.

Jest to wrażenie, które musi otrzymać każdy, kto głębiej wejrzy poza utartą pospolitą formułkę, iż życie Paryża to kabarety i wyrafinowana rozpusta.

Właściwie ta druga, wesoła strona Paryża, żyje i utrzymuje się dzięki napływowi cudzoziemców—Paryż prawdziwy, Paryż istotny — to wytężona energja pracy na każdem polu tak ekonomicznem jako też intelektualnem i artystycznem.

Jednocześnie — gdy polityka obiera nowego prezydenta, gdy tworzy i obala nowe gabinety, gdy ludność potępia—to znów wotuje za trzechletnią służbą wojskwą, gdy z jednej strony zbierają podpisy młodych liceanistow, gotowych oddać swe ciała na usługi rzeźni wszechświatowych, a z drugiej urządzają manifestacje socjalistyczne przeciw nowemu prawu—jednocześnie nie ustaje i góruje po nad tem wszystkiem wytężona praca dnia codziennego. Tu — świat naukowy urządza kongres wychowania fizycznego i ściąga z całej Europy koło 2000 ludzi zainteresowanych tą kwestją, tam konkurs hipiczny — daje szerokie pole popisu—a znowuż świat artystyczny przedstawia rezultaty pracy sezonu zimowego, otwierając szereg wystaw wiosennych.

Pierwszą naturalnie jaskółką tej wiosny — to salon Niezależnych (Indépendants). Wielokrotnie miałam już sposobność mówić o tym salonie, oceniając dobre i złe jego strony. Czytelnicy „Przeglądu Wileńskiego“ w roczniku ubiegłym—znajdą me sprawozdanie z tegoż Salonu i stosunek jego do dwuch innych — zwanych naogół oficjalnemi. Dziś umieszczę o nim przedewszystkiem charakterystyczną, a zwięzłą wzmiankę artysty Bouche z tygodnika: „La Vie“; następnie, na tle ogólnych wrażeń zajmę się nieco pracami naszych artystów.

Oto, co pisze p. J. Bouche o „Niezależnych“:

„Stworzyli oni nową gienerację artystów znużonych sztuką dnia wczorajszego, a odrzuconych przez zamknięte stowarzyszenia Artystów Francuskich oraz Tow. Sztuk Pięknych (Nationale).

Wyemancypowali rynek naszych znanych handlarzy sztuką.

Odświeżyli paletę i umysły artystów świata cywilizowanego.

Zrodzili dziecię: t. j. „Salon Jesienny“.

Ugruntowali już poprzednio zazdrosną opinję.

Dopomogli neurastenji naszych spółczesnych.

Zebrali nieśmiałych, niespokojnych, słabych, burzliwych, sprytnych, skrzętnych wreszcie szaleńców sztuki.

Stworzyli człowieka dnia ubiegłego t. j. Cezanne'a.

Przygotowują człowieka Jutra.

W rezultacie — niezależni mają swój blask!...

. . . .

---

i wiernością bezbronnej, słabej istoty. Kochała go ślepo. Kochała jego ciało i duszę. Kochała każde słowo, ruch, spojrzenie. Kochała odzież i wąsy, włosy i obuwie, oczy i zapalniczkę kieszonkową, dlatego, że to było jego.

A on nigdy jej nie kochał.

Śmiało podszedł by zerwać kwiat czysty, wonny, świeży. Zerwał go, wpiął sobie w klapę i teraz nie wie, co z nim począć. Wiecznie nie może go nosić, bo mimo swej lekkości, jest on pewnym, dość męczącym ciężarem.

Wyrzucić?—To było by zbyt okrutne.

Okrutne, a przedewszystkiem — nieestetyczne.

Choć nie składał jej żadnych przysiąg, choć nie dawał jej nawet nadziei, choć pastwił się nad nią z bezwzględną brutalnością egoistycznego samca, jednak ma względem niej pewne „moralne obowiązki“.

Bądź co bądź, gdy mu było źle i pusto na świecie, gdy świat cały najbezczelniej pokazywał mu całą ohydę swej „odwrotnej strony“,—znajdywał ukojenie właśnie w tem zacisznem mieszkanku, zdala od trosk nerwowego życia.

Gdy usta Zochy łączyły się z jego ustami, gdy jej ramiona z lubieżną tkliwością owijały jego szyję,— zapominał o szarem życiu. Więc nie z litości przyjął to uczucie! Wzamian dała mu ona wiele chwil, jeżeli nie pięknych, to w każdym razie—miłych. Odtrącenie było by więc nie tylko zbrodnią względem niej, ale i względem siebie.

A ciężar ten, ciężar lekki i tkliwy, męczył go coraz wyraźniej. Tem wyraźniej, im wyraźniej rysowała się w majakach wyobraźni smukła postać Iry...

Po chwili dzwonił przed mieszkaniem Brzeskich. Zastał towarzystwo w salonie. W kącie. na kanapie Ira gawędziła z narzeczonym. Starzy Brzescy pertraktowali z jakimś nieznanym mu młodzieńcem.

Chociaż dalekie pokrewieństwo zezwalało na nieetykietalne wizyty, jednak Błocki uczuł, że wszyscy spojrzeli nań z niechęcią. Nie zraził się,—tylko w mózgu przemknęła zacięta myśl:

— Aha, już Bojański rozpoczął kontr-akcję.

Swobodnie przywitał się z rodzicami, zawarł znajomość z młodzieńcem—panem Liwskim — który był dawnym kolegą, czy przyjacielem Bojańskiego, poczem podszedł do narzeczonych.

— Jak dobrze, że pan przyszedł — zawołała Ira po przywitaniu—rozstrzygnie pan mój spór z Jasiem.

— Dziękuję za dowód zaufania,—odparł z uśmie-

Przytaczam tę krótką wzmiankę — gdyż ilustruje ona wspaniale ów znany powszechnie — „esprit francais“—czyż można bowiem w bardziej zwięzłych słowach dać lepszą charakterystykę? W gruncie—niby to nic—a jednak jest tu zebrane wszystko, co o tym Salonie powiedzieliby w długich, wyczerpujących artykułach przeciętni dziennikarze, zwani szumnie krytykami sztuki.

. . . .

Pierwsze sale nie przedstawiają tym razem nic ciekawego. Z małemi wyjątkami są to słabe loty młodego ptactwa, które widząc przed sobą zamknięte jeszcze drzwi oficjalnych salonów, tutaj—probuje swych sił. Z chwilą otwarcia sezonu—wielu z nich hurmem stąd odleci. Posuwając się w głąb tych długich, prowizorycznych sal wielkiego pawilonu na Quai d'Orsay—widzimy prace artystów bardziej zwartych grupami, których łączą jakieś wspólne poszukiwania, ideje, tradycje. Są też tu i tacy, którzy z zasady od lat wielu trzymają się tego salonu, albowiem nie uznają w dziele sztuki żadnego „jury“, ani też nagród ni medali.

Najbardziej zwartą, powiem—najharmonijniej wytrzymaną w stylu jest sala neoimpresjonistów. Przewodzi jej i w tym roku Paweł Signac — prezes Niezależnych. Właściwie wobec narzucających się z każdym rokiem nowych kierunków — grupa ta mogłaby czynić wrażenia „arriérés“ — lub „arrivés“.

Wistocie — szczególniej odłam punktystów („pointillistes“) to ludzie, którzy z maestrją operują raz zdobytemi środkami, nakładając z pewną schematyczno - matematyczną ścisłością swe barwy bezpośrednio w formie równych, jeden przy drugim idących punktów. Jest to dość jednostajne w technice, lecz daje gamę tonów miłą dla oka i zharmonizowaną. Głównie efekty świetlne, gra i drgania światła i fal powietrza pozwalają się tu podziwiać.

Śród neoimpresjonistów mamy prace: Bertrand, Butler, Jousset, Luec, Reymond Desgrange, M-me Chauchet, Cousturier, Petit Jean, Robin i innych.

W tej sali widzimy też bogatą w barwy paletę Jana Peske, polaka, przebywającego w Paryżu od lat wielu, na którego jako artystę sztuka francuska silnie oddziałała. Są pejzaże silne w rysunku i kolorycie.

Dalsze sale grupują legitymujących się od Cezanne'a, Gauguin'a. Są tu neoklasycy, są poważni poszukiwacze formy pełnej, zwartej w sobie, kompozycji silnej, uwarunkowanej koniecznością powstania takiej właśnie — nie innej.

Tutaj zaliczyłabym Dunoyer-de Segonzac (uważanego powszechnie za kubistę), pannę Laurencin—(Le bal elegant)—obecna kompozycja jej bardziej powierzchowna niż prace lat poprzednich; Laurens, rzeźbiarza, którego rysunki odznaczają się silnem pojęciem bryły, formą pełną i zwartą.

Mówiąc o tej grupie, myśl łączy z się pracami E. Zaka. Nie chcę przez, to powiedzieć. by młody ten artysta, którym słusznie możemy się chlubić, specjalnie do niej należał. Jest on zupełnie indywidualny, zawdzięcza swój rozwój własnym, poważnym studjom. To, co widzimy dziś, mówi o nowym kroku naprzód.

Zajęty zasadami dobrej kompozycji, silnej i szlachetnej budowy—artysta ten dał dotąd cały szereg prac pięknie skomponowanych, silnych w rysunku. Dziś jednak widzimy go bardziej swobodnie inspirującym się z natury. Nadaje to większą świeżość i bezpośredniość wizji, a sztuka jego nic przy tem nie zatraca z poprzednich walorów. Staje się jedynie bogatszą i pełniejszą.

Do sali kubistów dostał się Van Dongen. Sztuka jego skłania się coraz bardziej w kierunku afisza. W dzisiejszej epoce reklamy jest to zupełnie zrozumiałe. Dobry afisz—to dzieło sztuki. Pierwszorzędni artyści znajdują tu ujście dla swych bujnych pomysłów i barw krzykliwych.

Zmarły w roku ubiegłym naiwny celnik Rousseau znalazł tym razem naśladowców. Sztuczna jednak ich naiwność raczej bawi i śmieszy — nie wnosząc nieodzownego dla sztuki pierwiastku prostoty i świeżości.

Dziecinnie prosty sposób traktowania jest zbyt nieszczerym, by mogła tu być mowa o pię-

---

chem—lecz kwituję z godności superarbitra, by nie narazić się którejkolwiek stronie.

Mówiąc tak patrzał bezczelnie w ciemne oczy Bojańskiego.

— Tak chodzi panu o to? — spytał tamten, śmiało spotykając spojrzenie.

— Nie lubię mieć wrogów.

Djalog ten nie bawił Iry, bo zmarszczyła złote łuki brew i zwróciła się do narzeczonego.

— Jasiu, powiedz panu Wacławowi o naszej sprzeczce.

— Nie warto.

— Proszę cię, bo sama powiem.

— Mów.

— Otóż,—zaczęła Ira, zwracając się do Błockiego—Jaś chce donieść, że istnieje przeszłość, gdy ja jestem zdania, że wraz z całym wszechświatem pędzimy wciąż przed siebie, że każda chwila jest nową, zaś po upływie sekundy już nie istnieje, a nadchodzi druga. Przeszłość jest tylko niby śladem w naszych istotach.

Błocki słuchał z pobłażliwym uśmiechem dyletanta.

— Poczynamy wchodzić w sferę metafizyki — przemówił—ja zaś...

— Bynajmniej! — przerwała żywo — nie chodzi mi wcale o badanie istoty tej kwestji. Pozostawiam to filozofom. Chcę tylko powiedzieć, że przeszłość z jej całym legjonem przeróżnych zajść, wypadków, uczuć, wrażeń etc. zostawia w duszy tylko ślad. Jeżeli nadchodzi nowe uczucie, to, samo przez się, uczucie które było, już nie istnieje, najwyżej pozostał ślad.

— A ja,—rzekł Bojański — trzymam się starej maksymy. „Czem skorupka za młodu“... Może, zresztą, jak mówisz, to co było, pozostawia tylko ślad, ale ślad ten jest tak wyraźny, że żadna siła ludzka nie może go zniweczyć.

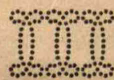
Błocki kiwał sentencjonalnie głową.

— Zupełnie zgadzam się z panem. Osobiście święcie wierzę w niezłomną moc i dziewiczość pierwszego uczucia, czy wrażenia. Jeżeli, naprzykład...

Zaciął się.

Bojański słuchał w milczeniu, Ira wlepiła weń ciekawie swe szerokootwarte turkusy.

D. c. n.



knie. Takimi są: Poizey, Lesztinski, Krogh, Vellay, Villlaume. Ostatni jako wspomnienie katastrofy „Titanica“ — dał obraz, zatytułowany: „Zły duch morza“. Przypominać to ma prymitywów, więcej jednak zbliża się do dziecinnych malowanek, nie stety, bez ich szczerości.

Zanim przejdziemy do kubistów, słów parę o rzeźbach Nadelmana, idejowo złączonego z neoklasykami. Przy pozornej sztuczności formy zowią go niesłusznie pseudoklasykiem; jest tu harmonijne piękno linji, które zniewala, każąc wniknąć głębiej w istotę twórczości artysty.

W pracach jego znać studja poważne, znajomość formy dużą, świadome operowanie materjałem. Rysunki jego to studja dla rzeźby, dążą również jak i rzeźba jego do zharmonizowania linji niby melodji w muzyce.

Nie należącym do żadnej szkoły jest artysta malarz Dupont. Portret, który tu widzimy, daje na pierwszym planie silną postać znanego rzeźbiarza polskiego Wittiga—tło stanowi atelier jego z wyłaniającemi się blokami rzeźb. Drugą stronę kompozycji zamyka postać dziewczęcia o bardzo szlachetnej linji.

Szkoła kubistów, nie zdoławszy się rozwinąć należycie—zdaje się przeżywać już okres schyłkowy.

Zwolennicy jego przechodzą gremjalnie do nowego obozu. Tym nowym, najświeższym kierunkiem jest *orfeizm*. Podobno Orfeusz ma nadawać imię nowej grupie.

Oto — co mówi o nim Andrzej Warnod w „Comoedia“.

„Kubizm i Orfeizm należą do jednej rodziny. Podczas jednak gdy kubizm całkowicie opiera się na rysunku—orfeizm jest poszukiwaniem czystego malarstwa. Gdy u kubistów tony są neutralne, obrazy orfeistów jarzą się barwami — chodzi tu o studjowanie przejść promieni świetlnych po przez płaszczyzny. Kubizm i orfeizm—uzupełniają się!!...

. . . .

Zaś Wilhelm Apollinaire w nowem pisemku poświęconem sztuce Niezależnych mówi o tym kierunku („Montjoie“):

„To—spółczesność. Jest to malarstwo jednocześnie suggiestywne i objektywne, które działa na nas podobnie — jak natura i poezja. Światła tutaj są w całym swym blasku. To nowe zadanie i dążenie kubizmu“.

. . . .

Właściwie jednak to raczej nowa chęć wyróżnienia się i zwrócenia uwagi.

Z kubistów lat poprzednich reprezentują obecnie orfeizm: Delaunay, Seger, Picabia Metzinger, Gleizes, Bolz R. de la Fresnay, Pełczyński, Kupka, wreszcie widzimy tutaj panią Żerebcow, która z całą nonszalancją pracę swą tytułuje: „Ce, qu'on voudra“—„Wszystko—co chcecie“ czyli wolno sobie każdemu dowolnie treść interpretować—wystarczy...

A jednak — pomimo wszystkie dziwactwa — każdy, kto na zadania sztuki patrzy szerzej — w salonie tym prędzej niż—gdziekolwiek indziej—znajdzie jakiś szerszy i szczerszy powiew: tu — uderzy go śmiała linja rysunku, tam — piękno kompozycji, ówdzie—studja w kierunku poważnej tradycji w sztuce.

Polaków—prócz wyżej wymienionych—spotykamy koło czterdziestu nazwisk. Liczba—pokaźna, rezultat prac — ogromnie różny. Zająć się szczegółowo pracami ich — niesposób — przekracza to ramy zwykłego artykułu.

Muszę z konieczności ograniczyć się do nazwisk. Z czasem do niejednego z nich — jako do wybitnej indywidualności—mam nadzieję powrócić w studjum obszerniejszem.

Zatem w salonie wystawili: młoda artystka Buchholz, dobrze zapowiadające się rzeźby; Gołembiowski Witold; Grabowski: „Do kościoła“; Grabowski Adam—pejzaże; dalej — Granzow; Gwozdecki — w dziale rzeźby i malarstwa; Hassenberg — wioskę korsykańską oraz martwą naturę; Hermanowicz, parafrazujący w sposób zbyt skomplikowany „tragiedję Polski“, Homolacs, artystka-rzeźbiarka — rysunki i pastele; Indenbaum — ciekawą i silną w budowie rzeźbę: „Heros biblijny“ oraz płaskorzeźby — głowy żydów w nieco asyryjskiej stylizacji; Żółtkiewicz -- impresyjną rzeźbę: „Fala“ oraz „Śledząc gwiazdy“, Kisling, Kraszewska, Kramstyk, Lewicka; Makowski—niezbyt szczęśliwe próby kubizmu; Markussis; Markowicz Katarzyna—biust młodej kobiety oraz „Murzynka“; Mieszkowski — przy widocznem owładnięciu stroną rysunkową dziwaczne w interpretacji sceny księżycowe; Mondral—rzeźby; Popławska—portret oraz kompozycję; Rerutkiewicz—pejzaże w charakterze ogromnie polskie — szczególniej w widocznym po przez koloryt sentymencie; Rembowski—typy góralskie, o tematach szerokich, lecz rysunku dość słabym; Smogulecki — ciekawe projekty dekoracyjne do kaplicy; Jan Rubczak—pejzaże: „port z Audierne“ oraz pejzaż polski,—mówiące o bogatej skali barw i silnym rysunku; Spiro, Pstrokońska, wreszcie Szercz Felicja, idąca śladem dobrych tradycji w malarstwie w wystawionem panneau dekoracyjnem oraz głowie kobiety.

Wacława Kiślańska.

oooooooooooo

Wywiad z dyrektorem teatru poznańskiego.

Poznań, d. 12 kwietnia.

Kilka tygodni temu „Kurjer Litewski“ zamieścił artykuł: „Czy Wilno może mieć dobrą operę polską?“, w którym zwrócono uwagę, iż opera poznańska latem jest wolna i—podobnie, jak Kraków sprowadza operę lwowską—mogłaby stale na miesiące letnie zjeżdżać do Wilna. Byłaby to dogodność podwójna. Opera bowiem, tylko funkcjonująca rok cały bez przerwy, ma warunki stałego podnoszenia swej wartości artystycznej; tym sposobem wspólne posługiwanie się jedną instytucją przez Poznań i Wilno przyczyniłoby się do powstania trzeciej poważnej opery polskiej (obok warszawskiej i lwowskiej). Nadto zaś oba te miasta zdobyłyby instytucję kulturalną, odpowiadającą wymaganiom spółczesnym.

Artykuł „Kurjera Litewskiego“ natychmiast przedrukował „Kurjer Poznański“, dodając wszakże, iż inicjatywa wyjść musi z Wilna. I nic dziwnego. Poznań uczynił wszystko, co było w jego siłach. Stworzył warunki, w których opera powstać mogła i utrzymuje ją na poziomie względnie bardzo wysokim.

Ponieważ — jak słyszę — i w Wilnie pomysł trafił do przekonania pewnych sfer; ponieważ nadto zwracano się w tej sprawie prywatnie do kilku osób w Poznaniu, postanowiłem spytać obecnego dyrektora sceny wielkopolskiej, p. Bolesława Szczurkiewicza, jak on się na tę kwestję zapatruje.

Przedewszystkiem pragnąłem wiedzieć, czy robił on jakiekolwiek kroki, by już w zbliżającym się sezonie letnim dać Wilnu operę i operetkę poznańską.

— Oficjalnie—rzekł mi dyr. Szczurkiewicz—starań nie przedsiębrałem, ale może byłbym to uczynił, gdyby nie...

— Gdyby nie co?—wtrąciłem, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu.

— Przed niejakim czasem, będąc w Wilnie (miałem bowiem interes do prof. Ruszczyca), wspominałem kilku osobom o projekcie przysłania tutaj na lato opery poznańskiej. Otóż jakkolwiek myśl tę naogół witano życzliwie, ostrzeżono mnie, że są też jednostki projektowi temu nieprzychylne.

— Czyż ta okoliczność tak bardzo pana zniechęciła? Przecież w podobnych wypadkach o zupełną jednomyślność trudno.

— Tak, ale zrozumiałem, że oferta moja spotkać się może ze spółzawodnictwem ofert innych dyrekcji.

— Dobrze, lecz wiem przecież, iż opera poznańska—po za warszawską i lwowską—niema konkurencji; czyżby się więc pan obawiał spółzawodnictwa?

— Naturalnie. W takich walkach mają często znaczenie względy uboczne. Ja zaś nie mogę instytucji poważnej, jaką jest teatr poznański, narażać na to, by dano przed nią pierwszeństwo jakiejś trupie ad hoc skleconej. Byłaby to dotkliwa, a—chyba przyzna pan—niezasłużona kompromitacja. Spółzawodniczyć można tylko z kimś sobie równym.

— Oczywiście, ale czy korzyść, jakąby stąd odniosła i scena poznańska...

— Korzyść—przerwał mi p. Szczurkiewicz—byłaby obustronna. Lecz niezależnie od tego projekt podobał mi się, bo dla Wilna czuję dużo sentymentu. Szczerze i żona moja i ja polubiliśmy to miasto, któremu chcąc służyć, poświęciliśmy dużo zapału. Zapał ten w Wilnie umiało wielu ludzi ocenić. To też łączą nas z tem miastem dobre wspomnienia. Ale... są to nasze uczucia osobiste. Nie wolno mi dla nich narażać godności instytucji, na której czele stoję.

— Teatr poznański — ciągnął dalej dyrektor —gra przez całą zimę, i nie jest znów tak daleko od Wilna położony. Odwiedzał nas tu zresztą szereg osób stamtąd (że wspomnę tylko red. Hłaskę, inż. Sokołowskiego, p. Studnickiego i in.); można więc z działalnością naszą bardzo łatwo się zapoznać. Jestem nawet zdania, że Tow. Pop. Sceny, szukając dla Wilna opery i operetki na sezon letni, byłoby najwłaściwiej postąpiło, delegując kogoś dla objechania istniejących teatrów.

Zresztą z poziomem sceny poznańskiej poniekąd zaznajomić się można, czytając pisma nasze—tutejsze, zamiejscowe, a nawet, jak panu wiadomo, najpoważniejszy organ francuski, poświęcony sprawom teatralnym, „La Commedie" dał niedawno artykuł o naszej instytucji.

Sądziłem więc, że gdyby przyjazd trupy poznańskiej odpowiadał życzeniom wil. Towarzystwa popierania sceny, dano by nam wprost znać o tem.

— A jak pan sądzi — przerwałem, zmieniając nieco temat—czy wogóle jest możliwość utrzymania w Wilnie przez lato opery i operetki?

— W Poznaniu, gdzie teatr istnieje już od lat kilkudziesięciu, przekonano się, że dramat może nieledwie w zupełności na siebie zarabiać. Przy odpowiednim repertuarze, bezpłatnym lokalu, utensyljach i ewentualnie pewnem, stosunkowo skromnem subsydjum, strat być nie powinno, a mogą być nawet zyski. Opera natomiast, o ile stać ma na poziomie artystycznym, a więc odpowiadać wymaganiom kulturalnym, jest przedsięwzięciem dużo ryzykowniejszem, bardziej kosztownem. To też Poznań subsydjuje swą operę kilkudziesięciu tysiącami marek. Starczy ta kwota na sezon zimowy, ośmiomiesięczny, ale nie starczyłoby jej na dodatkowe cztery miesiące wileńskie. Zresztą, samo Wilno ma już pod tym względem doświadczenie własne: wszystkie imprezy letnie kończyły się dotąd deficytem, jakkolwiek prowadzone były mniej kosztownie, niż opera poznańska.

Jaki jest poziom naszego teatru — pan sam wie najlepiej. Mamy 120 osób personelu, mamy reżysera, który prowadził przez czas pewien operę warszawską, mamy dobrych solistów nie tylko na scenie, ale również w orkiestrze (skrzypka i wiolonczelistę), mamy dwu kapelmistrzów, muzyków bardzo wykształconych i t. d.

Gdybym wybierał się do Wilna, nie zgodziłbym się na zespół skromniejszy, bo to by obniżyło artystyczną wartość całości. Oto także względ, dla którego trudno mi pierwszemu czynić kroki. Nie obniżanie—nawet w czasie ferji letnich—poziomu artystycznego opery — to ambicja poznańska. Czy Wilno zechciałoby ją uwzględnić—pytanie.

Na tem zakończyliśmy rozmowę. Sądzę, że w wynurzeniach tych znajdzie się niejedna informacja, ciekawa dla ludzi, interesujących się teatrem wileńskim i dalszym jego rozwojem.

(bh.).

ooooooooooo

Wielkanoc na Sachalinie.

(Wspomnienia najukochańszej siostrzyczce Zuli poświęcone).

Święta wielkanocne na dalekim krańcu Syberji, na Sachalinie, we wsi Rykowsku, przypadały na najsmutniejszą i najbardziej przykrą porę roku.

Co prawda zima zbliżała się ku końcowi, słońce świeciło już dłużej i silniej, czyniąc krąg nad ziemią wysoki, lecz śnieg zalegał jeszcze dokoła zwarty i oślepiający. Stąd od jego blasku chorowało mnóstwo ludzi, skarżąc się na charakterystyczny na północy ból kości nad brwiami. Źle odżywiani aresztanci zapadali dziesiątkami na t. zw. kurzą ślepotę. Różnica też pomiędzy ciepłotą dnia słonecznego i nocy była największa z całego roku—a wszystko to oddziaływało najujemniej na stan zdrowotny, zapełniały się szpitale, rosły wciąż nowe mogiły na cmentarnym pagórku...

Przeto słusznie powiadano, że nigdzie zapewne wielki post nie jest połączony z takiemi umartwieniami ciała i duszy, jak tu... w tej kolonji zesłańców, pokutujących za popełnione winy...

Ku końcowi postu zbiegało się nadto największej ciężkiej i naglącej pracy. Spieszono wywieźć i wyciągnąć z lasów przygotowane tam budulcowe drzewo, zapas drwa na lato i jesień a z łąk zno-

wu złożone w stogach siano, jako że w lecie nie ma tam dojazdu. Zarządy więzień wojsk, kompanje handlarzy transportowały z portu i głównego miasta Sachalinu zapasy prowjantów i rzeczy z zewnątrz dostarczanych, wkrótce bowiem następował dłuższy okres przerw w komunikacji podczas bezdroża wiosennego, z początkiem robót w polu. Ta zwózka forsowna po śniegu już nie zawsze wytrzymującym ciężaru zwierząt, albo i człowieka była jedną wielką męczarnią dla ludzi, koni i wołów.

Wogóle śnieg nie małą jest tu mitręgą. Walczyć z nim wypada na każdym niemal kroku. Poobsiadał np. budynki, tworzył w czasie mrozów pożądaną obronę—teraz szkodził już tylko swoją masą i wilgocią. Usunięty z dachów, ścian, obejść, rozlewał się w nieprzebyte kałuże.

Nadeszła niedziela palmowa. Miejsce palm zastępuje na Sachalnie pocziwa wierzbina, po której różdżki, upiększone białemi kwiatami („baraszki“) czynią się kilka dni przedtem wyprawy—szukać bowiem kwitnącą gałązkę wierzbową—rzecz tu nie łatwa. Należy zapuszczać się w liściaste lasy, w pobliżu rzeki rosnące. w dwumetrowe warstwy śniegu, więc tylko na nartach, lub wczesnym rankiem pieszo, kiedy trzymały szrony. Szło się zaś po zamarzłej korze śniegu z niezwykłą, od jesieni nie odczuwaną ochoczością! Cieszył się człowiek swobodą ruchu, opanowaniem żywiołu, który go tak długo więził na jednym i tym samym wązkim terenie! Wybiegały dzieci, młodzież, las zapełnia się gwarem, wesołością, świergotem stad małych ptaków zwiastujących nadejście wiosny. A szron tu i owdzie nie dość mocny, pękał pod stopami z hukiem podobnym do wystrzału fuzji. Nowy więc powód do śmiechu i uciechy. Mający więcej upodobania ku zieleni, a tych przy silnej depresji duchowej liczono tutaj nie wielu, ścinali całe gałęzie olch, brzóz, czeremch, by je w domu wstawić w naczynie z wodą i mieć już rozwinięte na niedzielę „wierzbową“ i święta.

Wielki tydzień rozruszał wieś i centrum handlowe miasteczka. Uskuteczniano obrachunki ze skarbem, katorżnicy otrzymywali trochę własnych pieniędzy, o ile mieli je złożone w zarządzie więziennym, gosposie kwapiły się do zakupów. Cerkiew, więzienie, szpital, zdobiono gałęźmi jodeł i świerków. Z kominów buchał dym gęsty, z dziedzińców bogatszych włościan szedł swąd osmalanych wieprzy. Na ulicach pojawiały się figury zręcznie i lekko stąpających gilaków lub oroków, witane długiem psów ujadaniem. Wiedząc o kończącym się poście, znosili nam ci tubylcy znaczne ilości reniferów, zajęcy, jarząbków, kuropatw, głuszców, albo i świeżą rybę: szczupaki, karasie, pstrągi.

Nabożeństwa w Wielki czwartek, piątek, czy sobotę ściągały do cerkwi zaledwie po kilkanaście osób, tak wszystko zdało się zajęte świątecznemi przygotowaniami. Dopiero Resurekcja, rozpoczynająca się o północy, gromadziła tu licznie zebraną prawosławną ludność, a nawet wyznawców innych religji, swoich świątyń pozbawionych. „Piewczyje“ (czyli zespół śpiewaków z aresztantów z dobremi głosami złożony) popisywali się arcykunsztownemi melodjami, szturmujęc w ten sposób do kieszeni urzędników, oficerów o datki na dalsze podtrzymanie chóru.

Dzieciaki i podrostki nie mogły się nacieszyć ślicznym widokiem iluminowanej na zewnątrz cerkwi, rozrzucającej światło na otaczające ciemne przestrzenie.

Wszystko zaś oczekuje w jednakim nastroju obwieszczenia, iż „Chrystus zmartwychwstał“ — hasła, które bodaj na chwilę uczyni równymi nieszczęsnych zesłańców z ich korniej teraz stojącymi obok panami...

Widok zaiste szczególny—tej gromady katorżników i osiedleńców o zwieszonych ku ziemi głowach. Jakież to wirują w nich myśli? Oderwani od swoich najbliższych, od rodzinnych wsi, miast, widoków, rzuceni zostali o tysiące mil na dziką, przeklinaną wyspę... Zmieniły się pory roku, wiatry, zda się i promienie słoneczne i rozkład gwiazd na niebie... Inne tu pola, drzewa, kwiaty, zwierz inny i ptactwo—ludzie też zgoła odmienni, odmienne prawa i zwyczaje. Został im tylko język i ta jednocząca ich cerkiew. Toż kiedy poczną się śpiewy i rozejdzie się wskroś zapach kadzideł a gromnice zamigocą... w duszach ich następuje przeobrażenie... Widzą się u siebie, w domu, wolnymi, bez więzów i znamienia katorżnika. Za chwilę okropna rzeczywistość weźmie nad złudzeniem górę — lecz odświeżeni duchowo, jacyś mocniejsi, wodzą pogodnem, jasnem okiem dokoła, rozradowani, prawie wdzięczni...

Już brzmi pieśń wesela. Rozkołysały się dzwony i huczą na całą okolicę. Ogólny pokoju pocałunek i powrót... ciemną nocą z święconem do domów. A szczęśliwi ci. co mają rodzinę, chociażby przyjaciół, i nie obchodzą „rozgowlenja“ samotnie! Cząstkę z przekrojonego jaja otrzymuje teraz każdy z domowników i kawałek mięsa. Niektórzy mają je w ustach po raz pierwszy od początku wielkiego postu.

Rankiem pop święci więzienie, kazamaty, całując się z „starostami“ oddziałów. Czynią to również i urzędnicy. W dniu pierwszym Wielkiejnocy zawieszone bywa „wyjątkowo“ wymierzanie kar cielesnych... Religja w stosunkach administracyjnych zostaje zepchnięta do strony obrzędowej. Natomiast bogatsi z osiedleńców, kupcy, kobiety dzielą się serdeczniej z upośledzonymi więźniami.

Od południa słychać bezładne, przykre uderzania dzwonów. To świąteczna praktyka podrostków. Im dziwniejsze kombinacje dźwięków, tem więcej uciechy! Na ulicach śpiewy i krzyki. Dzieje się to za sprawą wódki, którą dla święta zarząd wyspy pozwala kupować osiedleńcom w składach skarbowych. O ile zaś sprzyja pogoda—karuzele, huśtawki, ludowe teatrzyki, „bałaganami“ zwane, cieszą się ogromną frekwencją. Cukry, orzechy cedrowe, ziarna słoneczników rozchwytywane są przez młodzież wiejską. Gra „w orlanku“ (podrzucanie monet — orzeł czy reszka?) gęstych miewa zwolenników. Ale już najwięcej „katanije jaic“ — toczenie jaj, gra czysto narodowa, w każdym niemal domu uprawiana. I... wymiana pisanek, barwionych przez dziewczęta w najrozmaitsze sposoby. Dobyte z kieszeni ofiarowuje się po pocałunku, otrzymując je też w zamian.

Jest to ulubiona zabawa młodzi. Starsi przesiadują przeważnie w domu, pędząc czas na długich rozmowach. Przeważnym ich tematem... wspomnienia. Lubiła gawędzić „o swoich świętach“, małorosjanka, Eufrozyna Akimówna, u której stołowałem się lat parę na Sachalinie. Uważała się ona za jedną z najlepszych we wsi gospodyń, nie ustępującą w tem polkom, które na tym punkcie miały tu osobliwą sławę! „Pascha“, upiększona krzyżykami była jej specjalnością i dumą. Z ciastem tem związane są różne ciekawe przepowiednie. Opowiadała mi też Eufrozyna Akimówna o zwyczaju noszenia jaj zmarłym, które zakopuje

się w mogiły. Wielkorosjanki chwalą się znowu wystawianiem na rozstajnych drogach, w noc przed Wielkąnocą, kuliczów, bułki dla biednych i podróżnych, zwanej także „Bożym chlebem“.

W dniu tym, po południu, zasiadają dziewczęta „gniazdami“ na jakichś ulubionych miejscach, na gankach, stosach drzewa, zawsze w pobliżu swoich domów i intonują pieśni. Zaraz też odwiedza je młodzież wiejska z muzyką, rozpoczynają się rozmowy, żarty, tańce. Posiedziny te dziewcząt i odwiedzanie chłopców zwykły trwać do wieczora. Klimat Sachalinu nie pozwala na późniejsze „wieczorynki“.

Najprzykrzejszą stroną świąt — ogólne całowanie, pocałunku bowiem przy tej okazji nie można odmówić tu nikomu. Więc pierwszy lepszy nieznajomy, na przejściu wązkiej drogi, czy jaki taki pijanica darzy cię siarczystym całusem. Ta jedyna w swoim rodzaju ekspansywność rosjan, dla nas wprost niezrozumiała, dziwiła również zamkniętych w sobie, głębszych, przedstawicieli plemion kaukazkich, tatarów, sartów, wogóle mahometan.

Każdej Wielkiejnocy przychodził do mnie pewien starzec, administracyjny zesłaniec z Kaukazu i po krótkiem przywitaniu zapytywał stereotypowo, czy niema już manifestu, czy nie będzie mógł wrócić do kraju... Wierzył on, że w wielkie to święto chrześcijańskie litość władzy musi się wyrazić w pięknym czynie przebaczenia. Biedny Jusup Kierbałaj-Ogły! Rozmawialiśmy więcej na migi. Jusup bowiem prawie nie władał rosyjskim językiem. A tak mi chciał opowiedzieć o swoim umiłowanym synu jedynaku. Alim, który oczekuje wciąż ojca w rodzinnych górach i może w tej chwili bawi się, jak każe zwyczaj, malowanemi jajami. Z wysileń starca o szlachetnej, myślącej twarzy, z jego smutnych bardzo oczu i bezwładności prawie ciała, która następowała po tych niefortunnych próbach rozmowy, czytałem jedno, że brak mu ciężki, rozpaczny rodowitego języka, języka jego stron rodzinnych, którym zdawało mu się, że śpiewają ptaki, las szumi i pachną kwiaty, który brzmi jak najpiękniejsza muzyka, a tu... dla wszystkich jest tylko pustym dźwiękiem.

A my... cóż my tutaj?

Czyż na kresach Syberji czuli się polacy tak samo, jak ów Jusup z gór kaukazkich? Zapewne było nam lżej nieco. chociaż bowiem śród obcych, mogliśmy przynajmniej mówić między sobą i rozumieć innych. Lecz ból, samotność, oderwanie od swego środowiska oddziaływały w czasie tradycyjnych dni najmocniej. Ksiądz nasz dojeżdżał tylko w lecie, uroczyste zatem święta przechodziły bez nabożeństwa, modlitw i owych śpiewów wspólnych, bez polskiej mowy i swoich zwyczajów. Wspomnienia chwil świątecznych ongi na ojczystej ziemi, drogich sercu, porzuconych zdawna osób i tęsknota... tęsknota za krajem — wypełniały długie, męczące godziny Wielkiejnocy na zesłaniu.

Były to też momenty najkrytyczniejsze w życiu naszych rodaków. Nie brakło nadto nęcących pokus... Ale przez łzy tęsknoty hartowała się i tkliwa dusza i uczyło się wytrwania do końca.— Więc umrzeć na zesłaniu, lub wrócić kiedyś do Polski--polakiem.

Bronisław Piłsudzki.

ᴑooooooooᴑ

MOJ SEN.

Na chwiejne morza kłosów i na polne kwiaty,
Na modre niezabudki i na jaskier dziki,
Na koniczyny miodne, łubiny i gryki,
Na lnów z lazuru nieba oderwane płaty;
Na długich miedz zbożowych szmaragdowe kraty;
Gdzie nucą piosnkę gwarną świerszcze i koniki,
Idzie mój duch — jak błędne moczarów ogniska,
Obłąkany, choć jasny, zimny, choć skrzydlaty
Na te łąki, owiane zapachami mięty;
Na te pola, stojące we wczesnej jutrzence;
Na lazurowej strugi wężowate skręty;
Na wielkie szumy borów, na pieśni ptaszęce —
Idzie mój duch, oddechem ziemi owionięty,
Z ukochaniem do świata wyciągając ręce.

Br. Ostrowska.

ooooooooooo

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Kudrynskij. *„Wilna w 1812 godu“.*

Stuletnia rocznica „Wielkiej wojny“ wywołała w rosyjskiej literaturze historycznej całą powódź okolicznościowych dzieł, mniejszych lub większych broszur i artykułów. Śród tych wydawnictw są rzeczy pierwszorzędnej doniosłości, które pozostaną cennym i trwałym dorobkiem naukowym, niebrak wszakże tandety pseudo-naukowej, zaśmiecającej rynek księgarski. Do tej ostatniej kategorji należy praca p. Kudrynskiego „Wilno w 1812 roku“, wydana nakładem Wileńskiego Okręgu Naukowego.

Dziwnem się wydaje, ża tak poważna instytucja udziela swojej firmy pracom, nie mającym nic wspólnego z nauką. Pan Kudrinskij oparł swą pracę na materjale już ogłoszonym w wydawnictwach Komisji Wileńskiej lub Cesarskiego Towarzystwa Historycznego, nie wyczerpał go jednak w całej pełni, to też po za drobnemi informacjami, zaczerpniętemi z archiwum Generał-gubernatorstwa Wileńskiego, nie dał nic nowego, pominął prawie zupełnie lub w małym tylko stopniu uwzględnił przebogatą francuską literaturę pamiętnikarską; z polskich źródeł zacytował autor jednego tylko Henryka Szmita, nie korzystał zaś wcale z cennych wspomnień lub rozpraw Balińskiego, Sołtyka, Załuskiego, Karczewskiego i innych, zdaje się nawet, iż „Kurjer Litewski“ jest cytowany podług przekładu, nawiasem mówiąc, pełnego błędów, umieszczonego w wydawnictwie Wojenskiego.

Jako źródło wymienia autor pamiętniki Ławrynowicza p t. „Wilno w roku 1812“, w rzeczywistości jest to przekład kilku rozdziałów chodźkowskich „Pamiętników Kwestarza“, umieszczony przed kilkunastu laty w miesięczniku „Istoriczeskij Wiestnik“. Tłumacz, znalazłszy przypadkowo zniszczony, pozbawiony początku egzemplarz „Pamiętników Kwestarza“, ogłosił je w przekładzie, jako mało znane, a nader cenne wspomnienia ks. Ławrynowicza. Ofiarą tej mistyfikacji padło kilku autorów rosyjskich, nie wyłączając p. Wojeńskiego, znawcy dziejów roku 1812. Nie przypuszczał

prawdopodobnie Chodźko, że na świadectwa jego „poczciwego kwestarza“ będą powoływać się uczeni rosyjscy, pisząc swe studja nad „rokiem wojny“. Posługiwanie się podobnemi źródłami, a niekiedy własna nader bogata fantazja autora zmuszały go do częstego mijania się z prawdą i pozbawiały pracę jego jakiegokolwiek znaczenia.

Niepodobna tutaj przytaczać wszystkich licznych błędów i nieścisłości, popełnionych przez autora, roi się od nich na każdej nieomal stronicy. Wystarczy zwrócić uwagę na niektóre, ażeby zapoznać się z przygotowaniem autora do badań historycznych i metodą, którą się posługuje: tak np. na str. 62 pisze, że o stosunku Napoleona do Polski najlepiej świadczy nota, otrzymana w Petersburgu 8/20 października z Szampanji w odpowiedzi na reklamacje hr. Rumiancewa. Zachodzi tu zabawne nieporozumienie, polegające na utożsamieniu przez autora prowincji francuskiej z osobą ministra spraw zagranicznych Champagnego, o którego istnieniu zdaje się autor nie wiedział. Chętnie przypisalibyśmy ten fatalny lapsus pomyłce drukarskiej, w tym jednak wypadku jest to rzeczą niemożliwą.

Bignon nie był przed wojną posłem, lecz tylko rezydentem francuskim w Warszawie i nie dla tego został przeniesiony do Wilna, że, jak twierdzi autor, zbywało mu na głębkości i nie był zdolnym do przeprowadzania zamiarów Napoleona. Wojna z Austrją toczyła się nie w r. 1808, lecz w 1809 r.; podług pokoju w Schoenbrunnie Księstwo Warszawskie otrzymało nie tylko obwód krakowski, lecz całą Galicję Zachodnią, wynoszącą 961 mil kwadratowych. Wszystko, co autor mówi o walkach partyjnych w Księstwie Warszawskim w okresie lat 1809 — 1812, jest zaczerpniętem z własnej bogatej fantazji, takąż podstawę mają wywody autora o politycznym daltonizmie polaków.

W swojej pracy p. Kudrinskij kilkakrotnie powołuje się na relacje pamiętnikarskie łgarza tej miary, co Marbot, obfitemi z nich cytatami szpikując swoją książkę. Stamtąd wziął też asumpt do rzucenia potwarzy na wojska polskie z powodu jakoby rabunków, popełnionych przez nie podczas odwrotu Wielkiej Armji. Przeczą temu liczne świadectwa pamiętnikarzy francuskich, oddających należny hołd cnotom i męstwu wojska polskiego. Niepodobna nie przytoczyć na tem miejscu opinji o polakach, sekretarza cesarskiego barona Faina, którego notatki są jednem z najcenniejszych źródeł dla poznania kampanji rosyjskiej: „Pomiędzy cudzoziemcami, którzy z równem wciąż poświęceniem idą za krokami i za szczęściem Napoleona, w pierwszym rzędzie polaków trzeba wymienić... Sprawa ich jest stracona, a szlachetni ci sprzymierzeńcy zdaje się mniej wiedzą o tem od nas samych. O jednem tylko myślą, aby uczynić dokoła nas mur ze swoich szabel, swoich bagnetów, a gdy potrzeba to i ze swoich piersi, choćby wyzionąć im przyszło tchnienie ostatnie“.

Wszystko, co autor mówi o rozporządzeniach i rozkazach, wydawanych jakoby przez Napoleona w Moskwie, a dotyczących utworzenia Księstwa Smoleńskiego, lub ogłoszenia się królem polskim i t. p. jest wierutnym fałszem, ani korespondencja Napoleona, ani ogłoszone rozkazy dzienne, nie zawierają podobnych dokumentów. Centnar zawiera około 125 funtów, nie zaś 40 funtów, jak to podano na str. 83. Posłem na sejm konfederacji obrano w Wilnie nie Chodziewicza, jak pisze p. Kudrinskij, lecz Poslewicza, pisarza rady miejskiej. Translokacja Jominiego do Orszy była wywołana nie oziębieniem dla polaków, lecz ostrym zatargiem tegoż z generał-gubernatorem Litwy Hogendorfem. Nie generał Lachnicki, ale były marszałek wileński Antoni Lachnicki stał na czele deputacji wileńskiej, witającej Napoleona na Pohulance. Autorem „Teorji jestestw organicznych“ był nie Jan, lecz Jędrzej Śniadecki. Na str. 47 mówi o audjencji danej przez Napoleona ks. Kossakowowi, takiego ambasadora nigdy nie było, prawdopodobnie mowa tu o ks. Kurakinie pośle rosyjskim w Paryżu; słynna scena, jaką mu wyprawił Napoleon, miała miejsce 15 sierpnia 1811 r.

Pan Kudrinskij nie potrafi nawet cytować ściśle prac lub źródeł, na które się powołuje, zamiast „Istoricz. Wiestnik“ cytuje na stronicy 32 „Istoriko-litieraturnyj Żurnał“, na str. 82 mówi, że notatka Łęskiego o wojsku litewskiem ukazała się w X t. wydawnictwa „Trudy Impierat. russkaho istoriczeskago obszczestwa“, tymczasem niema podobnego wydawnictwa, jest tylko „Sbornik russkago istoricz. obszczestwa“ i tam właśnie w t. CXXVIII dokument powyższy został wydrukowany. Jakkolwiek przytoczone błędy i nieścisłości nie wyczerpują wszystkich braków omawianej książki, to jednak powyższych uwag wystarczy chyba, ażeby odsądzić tę pracę od wszelkiej naukowej wartości.

Janusz Iwaszkiewicz.

Karol Irzykowski. *Czyn i słowo* (Glossy sceptyka) str. 404. Lwów 1913. Księgarnia polska Bernarda Połonieckiego. Warszawa E. Wende i S ka.

Księgarnia polska Połonieckiego wydała zbiór „bluźnierczych“ artykułów p. Irzykowskiego, które w przeciągu kilka lat zjawiały się na szpaltach pism postępowych. Artykuły te nie straciły nic na aktualności, choć nie jeden już ma za sobą dziesięciolecie „jubileuszowe“, p. Irzykowski chciał zrobić doświadczenie, o ile rozwinął swoje światopoglądowe założenia.

Dla bacznego oka nie ujdzie jednak uwagi charakterystyczna strona metodologji myślowej, autora „Pałuby“. Pozostała ona zupełnie niezmienną od czasów pierwszych wystąpień jego, jako nowelisty oraz krytyka.

Pan Irzykowski nazywa tę swoją cechę sceptycyzmem. Co do mnie zaś, to nazwałbym ją *przekorą* intellektualną. Sceptycy bowiem posiadają wyraźną linję negacyjnych ukochań. W pismach zaś Irzykowskiego zawsze i wszędzie odzwierciadla się djalektyczna zdolność przekory. Nie chodzi w niej zasadniczo o niewiarę w jakąś prawdę, lecz przedewszystkiem o zakwestjonowanie samej wiary. Wiara bowiem jest zbyt prostolinijna dla wyrafinowanej djalektyki Irzykowskiego. Nie spiera się on więc o ostateczną prawdę, o przedmiot lecz o ujęcie, o rozumienie. Pogłębia on lub różnicuje poglądy już istniejące, odnajduje luki lub niekonsekwencje w planach, programach czy zamierzeniach pracy społecznej czy literackiej.

Jako rodzaj literacki twórczość Irzykowskiego jest przez to bardzo interesującą. Najwięcej jednak zaciekawia gdy obrabia autorów czy też ideje stojące na poziomie kulturalnych zagadnień chwili obecnej. Wtedy wypowiada Irzykowski całą swą spostrzegawczość dla „Pałub“ idejologicznych oraz psychologiczno-społecznych.

Najciekawsze stronice „Czynu i Słowa“ należą do... Brzozowskiego. Na tle jego manifestów o czynie i pracy szukał misternie i nieraz z dużem poczuciem słuszności załamań i niedomó-

wień filozoficznych, wytykał tautologję, biadał nad intellektualizmem Brzozowskiego. Aforyzmy o „bohaterszczyźnie“ zalecają się też spotrzegawczością Irzykowskiego, choć... nie zawsze są słuszne i ujmują tylko negacyjnie problemy twórczości Struga, Żeromskiego, Daniłowskiego.

Wogóle cała książka Irzykowskiego zasługuje na sumienne przeczytanie. Budzi ona wiele płodnych refleksji, budzi myśl. Nie można jej jednak brać za program, ani za stanowisko wobec życia. Jest ona bowiem tylko dziełem *przekory* i jako taka powinna być czytana i rozważana.

Tadeusz Kończyński. *Ostatnia godzina* (Powieść fantastyczna). Str. 348 Warszawa (bez daty). Nakład i druk tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Kończyński próbował szczęścia na wszystkich polach twórczości piśmienniczej. Dał nam już kilka powieści, kilka komedji, dramat, tragiedję, a nawet i w rymowanych szrankach szukał dla siebie chwały i wawrzynów. Obecnie zdecydował się zdobyć Olimp humoru i napisał dla sceny lekką farsę „Panią Bellę“, oraz poszedł po zdobycze i łupy w dziedzinie marzeń naukowych, by je uplastycznić w tworze fantastyczno-wizjonerskim, który zyskał tytuł „Ostatniej godziny“.

Powieści tej z punktu widzenia fantastyczności, nic zarzucić nie można. Jest ona od początku do końca imaginacją intellektualną p. Kończyńskiego. Imaginacja ta zakrawa chwilami na symbolikę rozmyślań nad przyszłością ludzkości, ale w ogólnem tonie brak jej nut o napięciu dramatycznem. Raczej słyszymy ciągle poszepty tragiczne, czyny zaś wszystkie dane nam przez Kończyńskiego obracają się w kole bachanalji Kara-Kallo — Neronowych, w biesiadnym zgiełku wyuzdań sadystycznych, w zwierzęcym szale głupiego a okrutnego Gviduna.

W przeciwstawieniu do tego szalonego niszczyciela ludzkości, dał Kończyński typ uczonego astronoma Radona. Jest to jakgdyby anioł w stosunku do kusiciela, czarta Gviduna. Konflikt miłosny o śliczną Noemi służy za tło do symbolicznej walki władcy „Wielkiego miasta“ z pokoleniami zamieszkałemi w nizinach. Plemię pracowników chce zgładzić oszalały Gvidun, chce w ręce swojej zawrzeć przyszłe i przeszłe losy ludzkości. Bada astronom więc kiedy słońce wygaśnie i przestanie utrzymywać w równowadze system planetowy, bowiem jeszcze przed tem może on zniweczyć rodzaj ludzki. Przedsięwzięcie to nie udaje się mistrzowi nad mistrze...

Aeroplany kursują, jak dorożki lub omnibusy. Podziemne korytarze, fantastyczne baterje elektrycznych zbiorników, przedziwnych nagromadzeń siły, ogrodów pełnych róż i nagich ciał uzupełniają „fantastyczną powieść“ p. Kończyńskiego. Romans Radona z Noemi kończy się przysporzeniem ludzkości Ślicznego potomka, co należy zapisać na plus romansu, który choć miał być fantastyczny skończył się bardzo realnie i po ludzku.

Konstrukcja powieści p. Kończyńskiego jest rozwlekła. Można było znacznie króciej opowiedzieć losy zwarjowanego Gviduna, co runął ze swoim „aeroplanem z wysokości 8000 metrów“. Miłe stronice książki należą do Radona i jego słodkiej kochanki Noemi.

Wacław Gąsiorowski. *Czarny Gienerał.* (romans historyczny) str. 272 i 347 tom 2. Warszawa 1912. Nakład i druk tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

Romans historyczny Gąsiorowskiego należy do rzędu tych utworów, które można śmiało polecić szerokim niewybrednym warstwom. Artystycznie nie posiada on żadnej wartości. Ale za to, jako historyczna lektura obznajmia ze staremi dziejami Polski z czasów pruskich oraz z legionami włoskiemi.

Fabuła oparta jest na biografji generała Jabłonowskiego, który podobno był synem Księżnej Radziwiłłowej. Miała go ona z morganatycznego związku z murzynem—lokajem. Faktem jest, że bardzo się ona opiekowała losami Jabłonowskiego, łożyła na jego wychowanie, zabiegała o bezpieczeństwo i promocje wojskowe. Życie swoje po wielu trudach kończy Jabłonowski w Stanach Zjednoczonych. Umiera na rękach swojego ojca murzyna, który się właśnie tam znalazł.

Całość robi wrażenie fantastycznej bajki, ale czyta się przyjemnie i bez wysiłku. Ludzie w powieści Gąsiorowskiego są prości, nieskomplizowani. Jabłonowskiego otacza glorja bohaterstwa i patryjotyzmu. Język bez sztucznych ornamentacji, czysty i nieskazitelny. Gdyby wyrzucono ze dwie niepotrzebne sceny bachanalji, możnaby powieść tę polecić nawet młodzieży.

Eustachy Czekalski.

PRASA POLSKA.

— Korespondent warszawski „Ziemi Lubelskiej“, kreśląc obraz obecnej akcji bojkotowej w Warszawie i wykazując dodatnie jej strony, ostro krytykuje najgorętszą rzeczniczkę tego ruchu „Gazetę Poranną 2 grosze“, która przelicytowawszy inne pisma co do taniości, stała się dziś najpopularniejszym dziennikiem śród szerokich uboższych mas.

„W tem właśnie kryje się pewne niebezpieczeństwo, „Gazeta Poranna“ bowiem nie jest pismem, któreby pod każdym względem dodatnio na masy działało. Przedewszystkiem dla panów redaktorów organu owego — nie istnieją dziś inne zagadnienia społecznego życia prócz kwestji żydowskiej. Całą sprawę narodową, wszystkie jej przejawy albo ignoruje się wogóle, lub też sprowadza do tej pierwszej kwestji. Uważny czytelnik „Gazety“ nie znajdzie dziś w niej — poza oczywiście wiadomościami czysto kronikarskiej natury—nic prawie, coby nie było więcej lub mniej związane z kwestją żydowską. Jak nieodpowiednią i politycznie szkodliwą jest jednostronność taka, dodawać chyba nie trzeba.

Pozatem skrajnie ugodowe tendencje kierowników „Gazety“ przejawiają się nawet w terminologji przez nią używanej. Łamy tego pisma starannie unikają wyrazu: polski, zastępując go, gdy mowa o sprawie miast słowem: chrześcijański. Trzeba by przypomnieć owym panom, iż nam właściwie i przedewszystkiem chodzi o spolszczenie miast naszych, a nie tylko o ich schrześcijanienie. Trzebaby przypomnieć, iż i niemcy są chrześcijanami. A czyż ich nie winniśmy omijać narówni z żydami? Trzebaby wreszcie przypomnieć iż w Królestwie mamy zastęp cały innych jeszcze chrześcijan, z którymi również walczyć wypada. No — ale tego ostatniego tematu nie lubią politycy warszawscy z pod znaku pana Dmowskiego.

Warszawie potrzebne jest tanie popularne pismo, o szczerze narodowych przekonaniach dla przeciwdziałania wypaczaniu politycznych pojęć najszerszych jej mas, które energicznie i bez przeszkody uprawia dzisiaj narodowo-demokratyczna „Gazeta Poranna“.

Należy dodać, że w ocenianiu pewnej kategorji zjawisk politycznych „Gazecie Porannej“ dzielnie sekunduje postępowy „Kurjer Poranny“, również mający szerokie rozpowszechnienie śród ludności warszawskiej. Tembardziej więc końcowa uwaga korespondenta „Ziemi Lubelskiej“ nie powinna minąć bez echa.

— „Kurjer Krajowy“ nawiązując swe uwagi do niedawnego uczczenia w Paryżu pamięci polaków, poległych za Francję w latach 1796—1813—1871 — 1872, stwierdza z żalem, że gdy dawniej polacy walczyli w imię haseł: wolność, równość braterstwo, dziś natomiast ulegają wpływom zgubnym zasady egoizmu narodowego.

„Dziś społeczeństwo polskie nietylko od nawały rusyfikacyjnej się broni, nie tylko tamę giermanizacji kładnie, lecz i walkę zaczepną prowadzi. Taż walka się toczy na całej linji z ukraińcami w Galicji, z litwinami, białorusinami. Sfery wrogie chłopskim ruchom odrodzeniowym, ze względu na rozbieżność interesów klasowych, czy stanowych, sfery te akcję swoją w imię dobra Narodu prowadzą. Lecz jest to walka ze słabszymi—jeśli nie liczebnie, to kulturalnie, lub ekonomicznie. I w zestawieniu z przeszłością, nie tak odległą, jakże przykre wrażenie małością swoją wywiera!

Z pewnością, w waśniach i sporach z ludami, z którymi Naród Polski od wieków wspólną dolą żyje, niema tych cech wiecznych, cech, które kazały francuzom hołd należny bohaterom przeszłości, obecnie złożyć. Nie przysporzy to nam laurów, nie uwieńczy imienia polskiego żadną aureolą; za to w sferze spraw tak bardzo przyziemnych, pokolenia młode będą urastały, pozbawione ideałów szerszych—wiecznych—ludzkich“.

Niewątpliwie inne nastroje panują w społeczeństwie polskiem dziś, niż w epoce romantyzmu. Potępianie jednak narodu polskiego w czambuł jest zupełnie nieuzasadnione. Przedewszystkiem walka z białorusinami istnieje tylko w wyobraźni „Kurjera Krajowego“. Walka z litwinami i ukraińcami istotnie jest faktem, ale wielkie pytanie, kto jest tu stroną zaczepną, a w każdym razie postawę wrogą przybierają tylko pewne grupy polskie, bynajmniej zaś nie te, które uważają siebie za spadkobierców tradycji przekazanych przez bojowników „o naszą i waszą wolność“. I dawniej wszakże nie cały naród polski składał ofiary na ołtarzu szczytnych ideałów. Jeżeli zaś mniejsza lub większa garstka polaków walczyła o wolność po całej kuli ziemskiej, czynić to mogła z lekkiem sercem, bo wiedziała, że u siebie w domu nie ma wrogów, tylko sprzymierzeńców.

Dziś inne czasy. Nacjonalizm istotnie czyni spustoszenia, lecz nie tylko w społeczeństwie polskiem. Przedewszystkiem dominuje on śród litwinów i ukraińców, a i młody ruch białoruski trąci nim coraz bardziej.

Tradycje wolnościowe, niestety, nie znajdują przystępu również do ludów, z któremi naród polski dzielił dotychczas dobrą i złą dolę...

ooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Oddawna dzienniki rosyjskie—i te, które krytykują obecny kurs polityki zagranicznej i te, które go aprobują—domagały się od Sazonowa wygłoszenia odpowiedniego exposé w Dumie i wyjaśnienia postawy, jaką gabinet petersburski zajmuje wobec kryzysu wschodniego wogóle i wobec sporu o Albanję i Skutari w szczególności.

Zamiast mowy ministerjalnej mieli przedstawiciele różnych frakcji parę „herbatek“, obecnie zaś dla poinformowania szerszej opinji ukazał się komunikat urzędowy o rosyjskiej polityce zagranicznej.

Jest to dokument znamienny i z kilku względów godny uwagi. Nosi on widoczne cechy polemiki z temi panslawistycznemi kołami, które urządzają bankiety słowiańskie oraz manifestacje uliczne, z głośnemi hasłami antyaustrjackiemi.

Polityka rosyjska, według komunikatu, postawiła sobie za zadanie zlokalizowanie wojny oraz „utrzymanie przy zwycięzcach, o ile to możliwe, owoców ich zwycięstw“.

Należało tedy zapobiec interwencji z którejkolwiek obcej strony. Cel ten osiągnęła Rosja przez udział w koncercie europejskim, który powstrzymał wszelkie odosobnione wystąpienia i zachował dla siebie rolę najwyższej instancji dopiero przy likwidacji wojny. Dzięki temu państwa bałkańskie odniosły tryumfy, o jakich nawet nie marzyły. Ale udział Rosji w koncercie nakłada i na nią zobowiązania, od których nie chce się ona uchylać. Dlatego też stoi ona przy uchwałach konferencji londyńskiej i nie może odmówić swej aprobaty dla środków przymusowych, które koncert względem Czarnogórza stosuje.

W kwestji obecnego sporu w komunikacie znajdujemy następujące twierdzenia:

1) Pretensje Czarnogórza do Skutari nie są uzasadnione, gdyż ludność tamtejszą stanowią katolicy albańscy, w mieście zaś jest rezydencja arcybiskupa katolickiego.

2) Nabytek ten byłby pod względem politycznym dla Czarnogórza szkodliwy, gdyż dla zasymilowania obcej ludności nie ma ono dość sił. Ujarzmieni katolicy albańscy stworzyliby podłoże dla obcych wpływów.

3) Król czarnogórski staje pod oskarżeniem, że dąży do celów osobistych, dla których naraża swój narod na bezowocny przelew krwi.

4) Czarnogórze spekuluje na wciągnięcie Rosji i innych mocarstw w wojnę europejską.

W ostatnich dniach w prasie francuskiej i rosyjskiej ukazywały się różne wywiady z dyplomatami rosyjskimi. Po przeczytaniu omawianego komunikatu niema już wątpliwości co do autentyczności tych wynurzeń, gdyż w powyższych czterech punktach zgadzają się one zupełnie z urzędowym dokumentem.

Prócz tego komunikat przynosi sensacyjną rewelację o królu Mikołaju czarnogórskim. Obiecał on nie rozpoczynać wojny z Turcją bez zawiadomienia i aprobaty gabinetu petersburskiego. Obietnicy nie dotrzymał.

Rewelacja ta, zwłaszcza w połączeniu z wyjaśnieniami, udzielonemi przez sekretarza stanu Jagowa komisji parlamentu niemieckiego, obala rozpowszechnioną wersję, jakoby państwa bałkańskie działały na komendę z niektórych stolic europejskich i jakoby tam został ułożony zarówno sojusz jak i plan całej akcji wojennej. Rzecz się miała zgoła inaczej. Już Izwolskij podczas kryzysu aneksyjnego oświadczył w Dumie, że polityka rosyjska dąży do utworzenia związku Bałkańskiego z Turcją włącznie. Zdecydowanym turkofilem był poseł rosyjski nad Bosforem Czaryków, który przed rokiem opuścił swój posterunek. Z wyjaśnień Jagowa dowiadujemy się, że państwa bałkańskie zwracały się początkowo do Turcji z odnośną propozycją, ale nie otrzymały dość stanowczej odpowiedzi. Utworzyły więc koalicję bez niej i przeciw niej. Koalicja ta przyszła do skutku w czerwcu r. z. Atoli do ostaniej chwili panowało w stolicach

bałkańskich wahanie. Sygnał dał król Mikołaj, wypowiadając Turcji na własną rękę wojnę. W swoim czasie uważano to za dowód, że akcją sojuszu bałkańskiego kieruje aljans francusko-rosyjski, gdyż—rozumowano—król czarnogórski nie odważyłby się na ten krok bez zachęty lub przynajmniej przyzwolenia Rosji. Tymczasem, jak się okazuje z komunikatu, zarówno wniosek jak i jego podstawa były błędne. Państwa bałkańskie okazały większą inicjatywę i rozwinęły większą samodzielność niż powszechnie mniemano.

To też pod adresem „młodszych braci“ oraz bałamucącej ich nieraz prasy rosyjskiej komunikat poucza, iż obowiązkiem tych braci jest „zachowywać się z szacunkiem do rad, których Rosja nie nadużywa“. Jest to potrzebne zwłaszcza teraz, gdy chodzi o wzajemne pogodzenie się tych narodów. Mowa tu zapewne o zgodnym podziale pokaźnej zdobyczy wojennej i o istniejących rozterkach z tego powodu.

Cały komunikat od początku do końca nacechowany jest wybitną tendencją pokojową. Ostatni jego ustęp oblewa zimną wodą zapały panslawistyczne i odzywa się ujemnie o „przeciwstawianiu jednej rasy drugiej“. Może być, że jest to pewna aluzja do przemówienia kanclerza niemieckiego, który przeciwieństwo to zaznaczył. niewątpliwie jednak ustęp ten zwraca się przeciw agitacji panslawistycznej i w tym sensie może być uważany za komentarz do ostatnich rozporządzeń, zabraniających tego rodzaju manifestacji.

KRONIKA.

= Zmiana redaktora.

„Gazeta Codzienna“, która w ciągu swego niedługiego istnienia zmieniła już kilkakrotnie kierowników, obecnie otrzymała znów nowego w osobie p. Jana Obsta.

Nazwisko to, znane w kołach naszych starożytników, nic nie mówi pod względem politycznym. Kierunek więc pisma prawdopodobnie pozostanie ten sam, co dotąd, t. j. w najwyższym stopniu chaotyczny z wyraźną tendencją ugodową.

= Działalność Banku Włościańskiego w gub. wileńskiej.

W zeszłym roku w gub. wileńskiej Bank włościański rozparcelował 12,000 desiatyn ziemi, na którym to obszarze istniało 300 folwarków. Obecnie na te działki bank poszukuje nabywców prawosławnych.

W sezonie letnim roku bieżącego parcelacja ma się odbywać na przestrzeni 20,000 des. Najwięcej pracy bank będzie miał w pow. oszmiańskim, a to wskutek dokonanego niedawno kupna dóbr „Berezyna“ hr. Korwin-Milewskiego. Dobra mają 9,600 des., w tem 5,600 des. najlepszego lasu. Jak zapewniają kierownicy wileńskiej filji banku, las będzie wyrąbany tylko na przestrzni 1,600 des., a więc na obszarze pozostałym ma być prowadzona racjonalna gospodarka leśna. Oprócz tego w pow. oszmiańskim bank ma 4,700 des., nabytych od pp. Kreczyńskiego i Beklemiszewa. Parcelacja zatem w pow. oszmiańskim w roku bieżącym ma się odbyć na przestrzeni 10,300 desiatyn.

W pow. dziśnieńskim na parcelację przeznaczono 3,400 desiatyn z dóbr książąt Lubomirskich, kupionych przez bank w zeszłym roku. W powiatach wileńskim, święciańskim i trockim bank ma względnie obszary niewielkie.

= Nad Świsłoczą.

Pod tym tytułem wyszła jednodniówka, poświęcona życiu i sprawom Mińszczyzny.

Wydawcą jednodniówki jest p. W. Dworzaczek.

= Zakaz odczytów w języku polskim.

Gubernator kijowski zawiadomił zarząd Związku równouprawnienia kobiet polskich, że starania zarządu o zezwolenie na wygłoszenie w języku polskim odczytu „O Słowackim“ przez p. Uziembłę, pozostawiono bez skutku i że na przyszłość wogóle urządzanie przez Związek odczytów w języku polskim dopuszczane nie będzie.

= Nowe pismo.

W Lublinie począł wychodzić nowy tygodnik p. t. „Głos Lubelski“. Kierownikiem pisma jest p. Wł. Rogowski, który czas jakiś przebywał w Wilnie.

Nowe pismo pozostaje pod protektoratem p. R. Dmowskiego.

= Odrzucona interpelacja.

Burzliwe obrady wywołała w komisji interpelacja Koła Polskiego o szkolnictwie prywatnem w Królestwie Polskiem.

Referował ją Karaułow. Wskazywał on, iż interpelacja jest uzasadniona i wzywał Dumę, aby szczególniej w obecnym momencie politycznym była względem polaków sprawiedliwa.

Oponował głośno Puriszkiewicz: uważał on, iż wogóle nie można pozwalać na wykład w języku polskim jakiegokolwiek przedmiotu—oprócz religji. Wszyscy inoródcy dzielą się na dwie grupy: lojalnych i nielojalnych. Do pierwszych należą niemcy, do drugich polacy. Niemcy choć nie kochają Rosji, są jednak wierni Dynastji. Polakom żadnych praw dawać nie można.

Odpowiadał na to Jaroński, wskazując, iż interpelacja jest ściśle uzasadniona pod względem prawnym i że w danym razie chodzi o prawa, które już zostały nadane.

Większością prawicy, nacjonalistów i części październikowców interpelację odrzucono, i p. Karaułow zrzekł się referowania jej in pleno.

= Zjazd kooperatystów w Kijowie.

W połowie sierpnia r. b., w Kijowie odbędzie się zjazd delegatów towarzystw spółdzielczych z państwa rosyjskiego. Będzie to drugi z rzędu ogólno-rosyjski zjazd kooperatystów. Pierwszy odbył się w Moskwie przed pięciu laty.

Przez ten czas, ruch spółdzielczy uczynił w państwie olbrzymie postępy. Na widownię życia wysunęły się nowe, bardzo aktualne zagadnienia, które mają być tematem rozpraw zjazdu.

Komitet organizacyjny wypracował już program zjazdu. Na posiedzeniach plenarnych rozstrząsane będą kwestje następujące: 1) projekt nowego prawa o kooperatywach, 2) ogólne zasady organizacji stowarzyszeń i okręgowych banków spółdzielczych, 3) opodatkowanie kooperatyw, 4) położenie pracowników w kooperatywach, 5) działalność kulturalno-oświatowa stowarzyszeń spółdzielczych etc.

Na zjeździe zorganizowane będą sekcje, w których omawiane będą sprawy tyczące się oddzielnych typów kooperatyw. Sekcji takich będzie 4 — spożywcza, kredytowa, rolnicza i rzemieślniczo — wytwórcza.

= Niezadowolenie panslawistów.

Grupa „słowiańskich działaczów postępowych“ w Petersburgu, mająca na czele p. Brianczaninowa, powzięła uchwałę, ostro krytykującą ostatni komunikat rządowy o sytuacji na Bałkanach. Końcowy ustęp tej uchwały głosi, że „pomimo uczynionych ustępstw Austrji niebezpieczeństwo wojny ogólno-europejskiej nie zostało usunięte, a nawet zwiększyło się, gdyż komunikat rządowy rosyjski w razie wewnętrznego przesilenia w Czarnogórzu, daje prawo Austro-Węgrom czynnego wmieszania się do spraw bałkańskich“.

= Strejk powszechny w Belgji.

W Belgji rozpoczął się zapowiedziany oddawna strejk gieneralny. Potężny ten ruch robotniczy przewyższa co do liczby swych uczestników wszystkie dotychczasowe strejki, które w przemysłowo-fabrycznej Belgji tak często już się powtarzały. Strejk wybuchnął od razu we wszystkich dziewięciu prowincjach królestwa.

Treść numeru.

Stanowisko krajowe a ideja narodowa.—L. Abramowicz.
Żywotny ruch.—St. Poraj.
Nad Sekwaną.—W. Kiślańska.
Wywiad z dyrektorem teatru poznańskiego.—bh.
Wielkanoc na Sachalinie.—B. Piłsudzki.
Mój sen.—B. Ostrowska.
Przegląd piśmienniczy.—J. Iwaszkiewicz i E. Czekalski.
Prasa polska.
Na Widnokręgu.
Kronika.
Odcinek: „Romans Wacława Błockiego“. — M. Pawlikowski.

KSIĄŻE JÓZEF PONIATOWSKI.

Dr. SZYMON ASKENAZY. (WYDANIE JUBILEUSZOWE.)

Życiorys księcia Józefa Poniatowskiego pióra Szymona dr. Askenazego, profesora dziejów nowożytnych polskich na Uniwersytecie Lwowskim, członka Krakowskiej Akademji Umiejętności, ofiarujemy obecnie ogółowi polskiemu w **nowem wydaniu Jubileuszowem.**

Rzecz ta już w poprzednich dwóch wydaniach, od pierwszej chwili swego ukazania się, odrazu zarówno trafiła do serca narodu, jak i zdobyła entuzyastyczne uznanie krytyki fachowej. Świetlana postać jednego z najdroższych nam wodzów, prowadzących naród w trudnej dobie wielkich przełomów dziejowych, w jeden z najciemniejszych i najmniej zbadanych okresów jego bytu porozbiorowego, wymagała zarówno rozległych badań, jak i serdecznej intuicji, któraby oświeciła postać pro miennego rycerza wolności i honoru, uwydatniła to, co w niej jest syntezą ducha polskiego, to co w niej streszcza dzieje naszej martyrologji, naszych odkupicielskich porywów i całopałeń. Książka prof. Askenazego odpowiedziała obu tym kierunkom i dlatego dziś jest jednym z najcenniejszych klejnotów w skarbnicy umysłowości polskiej, wzmacniając naszego ducha w dobie ciężkich przejść i nawiązując nić dawnych tradycyj w sercach młodych pokoleń.

Jako wzór opinii i sądów wyszłych o tej książce, przytaczamy tu z jednej strony poważny głos zasłużonego **dziejopisy erudyty,** z drugiej zaś krwią serdeczną i nerwami pisane refleksje **najgienialniejszego z poetów** Młodej Polski:

Aleksander Rembowski. „Pisma“, tom III, Warszawa 1906, str. 817—828 pisze:

„Prof. Askenazy... przetrząsnął... archiwa państwowe czy rodzinne w Petersburgu, Warszawie, Jabłonnie, Krakowie, Krzeszowicach, Wiedniu, Berlinie i Paryżu i wszędzie szukał historycznego światła, nie gardząc najdrobniejszym szczegółem, zastanawiającym nasz umysł, czy oko. Plon też pracy prof. Askenazego, plon, naturalnie, źródłowy, okazał się niezmiernie bogatym, cennym i prawie, rzec można bez przesady, pełnym. Jakkolwiek bowiem w przyszłości może być wydobyte z ukrycia niejedno źródło i w ten sposób zdobyty niejeden szczegół z życia księcia Józefa, niemniej jednak na podstawie zdobytego przez prof. Askenazego materjału, sąd historjozoficzny jego o księciu Józefie będzie epokowej solidności, stanie się trwalszym od spiżu — „aere perennius.“ Dzięki skarbom archiwalnym, publicznym i prywatnym, autor nie potrzebował się uciekać do przypuszczeń, domniemań, a co najważniejsza, do indywidualnych opinji i poglądów, jak to uczynili zbyt często jego poprzednicy, ale przemawiał fak tami, które mówiły za siebie, a raczej za księcia Józefa, wymowniej i wierniej, aniżeli najgorętsze uwielbienia, spowite w kwiaty najpiękniejsze retorycznego frazesu.

Do wszystkich epok życia ks. Józefa prof. Askenazy dorzucił wiele cennych i ciekawych szczegółów, a we wszystkich stadjach życiowych swego bohatera umiał się doszukać owych cech znamiennych, stwarzających prawy i niczem niezachwiany charakter wodza i obywatela...

Z przepysznego portretu księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy, widać jego przymioty niepospolite, czy to jako ministra wojny, czy to naczelnego wodza... Praca prof. Askenazego uwydatniła w równie mistrzowski sposób niezwykłą prawość charakteru księcia Józefa... Portret historyczny księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy w swojej pracy, pomimo bogactwa wielu nowych i wielu sprawdzonych szczegółów, nie przeistoczył się w misterną mozaikę, lecz pozostał portretem historycznym w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Nie szczegóły zachwycają czytelnika, lecz całą postać, którą autor przedstawił promiennie i prawdziwie, unikając po mistrzowsku jaskrawości chwalczej i sztucznego, efektownego nastroju. Jeżeli z Thorwaldsenowskiego posągu księcia przemawia do widza zimna postać rzemiosłowego wodza, to z postaci, którą nam Askenazy odtworzył, występuje wódz-obywatel, złączony temi samemi nadziejami i pragnieniami z każdym szeregowcem. Jego postać podnosi w żołnierzach serca, krzepi wiarę i budzi świadomość konieczności poświęcenia się. W końcu wojsko ślepo wierzy, że jest on uosobioną prawością i że nigdy nie pozwoli utonąć honorowi rycerskiemu w targowickiej otchłani. W przyszłości będzie prawdopodobnie odkryte niejedno źródło archiwialne i skutkiem tego monografja księcia Józefa będzie wzbogacona niejednym szczegółem. Wierzę jednak w to mocno, że główne rysy psychiczne księcia Józefa w portrecie historycznym Askenazego utrzymają się na zawsze. Takim, jakim go przedstawił Askenazy, pozostanie w dziejach naszych i nie utonie nigdy w niepamięci, czy niewdzięczności narodowej,“

Stanisław Wyśpiański: Wiersze, fragmenty dramatyczne, uwagi, Kraków 1910, str. 220 do 222, pisze:

„Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna dola rozwija się w tej księdze o wielkim rycerzu. Bez słowa krzywdy dla nikogo—w zamkniętej piersi tłumiąc ból ducha—dla Polski tylko i na tej tylko Polski służbie, wszędzie i zawsze dla Polski honoru i sumienia.

Można się było domyślać, można było zgadywać z portretów jego, z miłości narodu do jego imienia, z legendy jego rycerskiej, i śpiewać o nim, że tajemnice w nim są i skarby w tej duszy wielkie i żar, co ze śmiercią nie stygnie.

Ale dopiero po przeczytaniu tej książki wie się o tem, że domysł i przeczucie, to nowa dla niego krzywda i wielkiej jego rzeczywistej tragedji przyćmienie. Tę tedy należy poznawać i czytać i znać i dlatego czytać należy dzieło Askenazego.

Potocznie dzieje te księcia są opowiedziane. Szybko i mimo wielu szczegółów zwięzle i jasno. Że rys niepominięty żaden, a całość ująć łatwo i do końca tchem jednym czytając, nie przyjdzie zaznać znużenia i jest się wszystkich księcia trosk i skąpych radości, tryumfów i rozpaczy i wyczekiwań nękających i błysków geniuszu świadkiem i patrzy się w tę postać wielką z drżeniem i umiłowaniem, zapałem i trwogą przez czas czytania kart ostatnich o dniach kilku pod Lipskiem — by—ostatnie czytając wiersze,—ujrzeć ją olbrzymią, zapadającą w mętną topiel wód wezbranych.

Mówiono i powiedziano już zapewne wiele, pięknie i czule o Poniatowskim księciu i pięknym jego zgonie, ale może nie dosyć powiedziano i nie wyraźnie zadość. zadość, za co ginął i czem żył.

Jaką to w sobie świętą miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której ginął.

Mówiéby chyba kto nie umiał, gdyby nie znalazł słów dla księcia Józefa, a duszyby chyba nie miał, gdyby ku niemu ze wzruszeniem nie poglądał, gdy rycinę jego przedstawiającą lub portret gdzie dojrzy, — ale niechże książkę tę Askenazego czyta, to dowie się, jak i jak bardzo człowiek ten kochania godzien i godzien uwielbienia i jak dalece stał straszno samotny. To, co było jego tajemnicą, to sumienie i honor, a jedynie ku temu cenzus znajdywał jedynie w sobie... Na rzecz jedną, znamienną zwróciłbym w tej książce uwagę i wdzięczność należy się Askenazemu za to, że tak tę książkę ujął i objął. Od młodości aż po zgon żywot jest cały, a nareszcie raz nie spotykamy się z galerją kochanek i miłostek katalogiem. A nareszcie raz nie dowiadujemy się nigdy, w kim się książe „Pepi“ kocha dziś, w kim kochał się wczoraj, miesiąc temu i t. d. Widocznie interesują te sprawy autora niniejszej książki tyle co interesowały i samego księcia Józefa. Tu i owdzie jest wzmianka, ale właśnie dosyć, by ważność jej zrozumieć. Za to pominięto wszystko, co zgoła żadnej nie miało mieć wartości. Jest to zatem książe Józef odkryty i zrozumiany i poezja o księciu rycerzu prawdziwa.“

„Książe Józef“ prof· Askenazego, dzieło które spotkało się również z gorącem uznaniem największych powag w dziedzinie dziejoznawstwa nowoczesnego zagranicą, wyszło niedawno w edycji niemieckiej u Perthesa w Gothcie, a w r. b. przygotowuje się jego edycja francuska w Paryżu. **Obecnie ukazuje się ono w III edycji polskiej,** w postaci przejrzanej **przez autora, poprawionej i znacznie rozszerzonej zarówno w tekście.** jak i w **przypisach,** znakomicie wzbogaconej w części ilustracyjnej.

Cena za gotówkę Rs. 7—franko. Nakładcą jest p. Karol Rzepecki w Poznaniu, wspólnik księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski tamże.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ“, Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 20 Kwietnia (3 Maj) 1913 r. № 15—16.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1 75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadeslane)	1 rb.
Po tekście	20 k

Numer pojedyńczy 15 kop.

Znikczemnienie.

Jednym z najstraszniejszych skutków niewoli jest, przeciwstawiające się duchowi rycerskiemu, upodlenie. Niema widoku wstrętniejszego nad raba, łaszącego się do harapa; niema okropniejszego upadku moralnego nad obłudne płaszczenie się u stóp, do kopania skorych.

Gdy z godności ludzkiej rezygnują jednostki — jest to zjawisko smutne, brzydkie; gdy znikczemnienie takie ogarnia gromady, staje się chorobą społeczną; lecz kiedy naród cały poczucie godności swej traci — mamy wówczas do czynienia z kataklizmem na gruncie cywilizacji powszechnej.

A widownią takiego właśnie kataklizmu jest obecnie Polska—zwłaszcza zaś jej, wpływom wschodnim poddana, dzielnica. Kto przybywa z szerokiego świata; kto nie zdążył jeszcze wpleść się w łańcuch życia miejscowego i zająć stanowiska wobec drobnych lub względnie drobnych postulatów chwili, tego—jak maczugą w łeb—bije straszliwy upadek ambicji narodowej.

Jak wszędzie, i u uas spotykało się zawsze grupy, które w padaniu na twarz przed siłą widziały jedynie możliwą taktykę polityki realnej. Sfery te wszakże trafiały stale na odpór żywiołów mniej „wytrawnych", które — choć usta miały zakneblowane— starały się bronić godności swej bodaj dumnem, a wymownem milczeniem. Aż oto przyszły czasy, gdy okoliczności pozwoliły na niejakie rozluźnienie więzów i głośniejsze nieco wypowiadanie się opinji publicznej. Lecz co się okazało? Oto — że wyrobiliśmy w sobie tylko zdolność dostojnego... milczenia.

Głosy posłów polskich w Dumie i Radzie Państwa, jeżeli nawet zdobywały się czasem na akcenty mocne, były to wypadki sporadyczne, popadające w rozdźwięk z nastrojem ogólnym, którego ton zasadniczy stanowiło nieszczere pochlebstwo i odpieranie zarzutów, zgoła nie przynoszących ujmy ciemiężonym. Przedstawiciele Polski zdawali się zapominać, że prawie wszystko, co jest grzechem z punktu widzenia rosyjskich kół reakcyjnych, stanowi warunek nieodzowny honoru narodowego; że *odpieranie* takich zarzutów jest niemal równorzędne z *wypieraniem* się dążeń, bez których Polska Polską być przestaje i zmienia się już tylko w kilka gubernji wielkiego słowiańskiego imperjum.

By uśpić sumienie narodowe, dążenia te uznano za nieaktualne; wtłoczono je do lamusa przeżytego już niby romantyzmu, który za szkodliwy uznano. Zapomina się wszakże, iż tego rzekomego romantyzmu nie pozbywa się żaden żywy naród; że nawet ludy najpraktyczniejsze nie pozwalają nikomu zapominać o ich ideałach i godności, której gotowe są bronić narówni z interesem materjalnym.

U nas posiada rycerzy ten ostatni tylko.

Dlaczego? Dlatego jedynie, że polska godność i polskie ideały są solą w oku mocy nam przeciwnych. Tu więc czyni się ustępstwo: broni się tego, co bronić—wolno, co bronić pozwalają.

Szukając najdogodniejszych dróg dla upadlającej polityki przystosowania, natrafił w swoim czasie p. Dmowski na neoslawizm. Pod jego to skrzydła wpędził bez zastrzeżeń swą trzodę, wmawiając narodowi, że jego ideały w szerszych, ogólno-słowiańskich łacno pomieścić się dadzą. Dziś już wiemy, jak to się sprawdziło. Pod hasłem neoslawizmu dojrzał soczyście nacjonalizmu Bobrinskich i Eulogjuszów, a wróciwszy na tory dawnego, niemaskowanego panslawizmu, „braci" polaków od wzajemności odsądził.

Mimo to, orjentacja słowiańska prawie nie do

znała uszczerbku. Dotąd jej hołduje duża większość prasy „narodowej“, taniością hasła tego pociągnięta. Boć wciąż jeszcze *wolno* więcej żądać w imię interesów słowiańskich, niż—polskich. I owe „wolno“ decyduje bez względu na upokorzenia, płynące z posługiwania się tą bronią. Świeży tego przykład mieliśmy podczas obrad w Radzie Państwa nad projektem samorządu miejskiego w Król. Polskiem.

Główny obrońca interesów polskich, p. Szebeko, nie wahał się zapewnić możnych swych słuchaczów, że za dopuszczeniem języka polskiego do rad municypalnych przemawia „*głównie* interes ogólno-rosyjski i słowiański“; że ze względu właśnie na ten interes, uwzględnienie polszczyzny sprawiłoby obrońcę interesów polskich—radość, bo jedność imperjum stanowi jedną z jego trosk naczelnych. Pan Szebeko uznał też za stosowne przypomnieć Radzie Państwa, że „dzięki wspaniałomyślnym i szlachetnym zapoczątkowaniom Rosji, która podała pomocną dłoń ginącym braciom“, w r. 1878 krew polska na Bałkanach „lała się narówni z rosyjską w szeregach armji rosyjskiej“.

„Odczytując *dziś* tę mowę — powiada p. J. H. w „Kurjerze Litewskim“—doznaje się bolesnego, niemal upakarzającego wrażenia i na usta ciśnie się zapytanie: czy nie lepiej było poprostu milczeć?“...

Tak więc już nawet „Kurjer Litewski“ doznał *niemal* upakarzającego wrażenia — dziś, t. j. gdy się okazało, że całe to wstrętne płaszczenie się żadnego nie osiągnęło celu. My wszakże sądzimy, że gdyby nawet mowa p. Szebeki poskutkowała, nie zyskałaby ona nic na szlachetności.

Znikczemnienie, którego przykładem był występ powyższy, czyni przerażające postępy. Dowodem wrażenie, jakie wywarła na prasie polskiej mowa p. Szebeki. Naogół przyjęto ją do wiadomości, jako zjawisko powszednie, zupełnie naturalne. I rzeczywiście: w długim szeregu mów, któremi zdążyli popisać się przedstawiciele Polski w rosyjskim pseudo-parlamencie, głos ten wyjątku nie stanowi.

Nie jest on też w obecnej chwili jedynym przejawem upadku ducha. Wśród artykułów prasy warszawskiej, reagujących na wygnanie języka polskiego z rad miejskich, znalazł się też charakterystyczny komentarz najpoczytniejszej dziś nad Wisłą, dwugroszowej „Gazety Porannej“. Pismo to, wytrwale schlebiające „braciom słowianom“, zapewnia, że w Radzie Państwa przemogły wpływy... żydowskie. Im to, w słowiańskiej naiwności, uległa prawica Rady Państwa, koszlawiąc samorząd miejski „dziewięciu gubernji“. Tym sposobem popularny organ Demokracji Narodowej znalazł wyjście z kłopotliwego położenia. Będzie mógł dalej łasić się potężnej obecnie reakcji, zużywając swój animusz bojowy przeciw „wspólnym wrogom Słowiańszczyzny“: w polityce zewnętrznej — austrjakom, wewnętrznej—żydom.

W upodleniu dalej już chyba iść nie można.

* * *

⊳oooooooooo⊲

Wrażenia poznańskie.

I.

Zeszlej wiosny czytelnikom „Przeglądu“ zdałem sprawę na tem miejscu (№ 11 r. 1912) z wrażeń, odebranych wciągu półrocznego pobytu w Galicji. Obecnie podzielić się pragnę z kolei wynikami półrocznej obserwacji Poznańskiego.

Między realacjami temi wszakże zachodzi pewna różnica. Galicję znam bliżej. Nietylko mieszkałem tam rozmaitemi czasy, ale pracowałem, jako szeregowiec dziennikarski, żywo przejmując się sprawami miejscowemi. Do Księstwa natomiast przybyłem, jak człowiek niemal obcy. Prócz języka, niczem prawie ze społeczeństwem miejscowem nie czułem się związany. Ludzie inni, stosunki inne. Inne, niż w Królestwie, niż w Galicji — nie mówiąc już o Litwie. Praktyczność, wyrachowanie, oszczędność, wielka w każdej robocie solidność, pracowitość, pogarda dla pozorów — oto cechy zasadnicze, które nas uderzają w poznańczykach. Podobnie, jak w czechach, znać w nich pojętnych pupilów niemczyzny. Ani śladu szerokiej „słowiańskiej“ natury, która w swych przejawach piękniejszych „mierzy siły na zamiary“, w brzydszych zaś—przejada dziś to, co ma zarobić jutro.

M. PAWLIKOWSKI. 3)

Romans Wacława Błockiego.

— Słuchamy!

— Jeżeli, naprzykład, kochałem kogoś przed laty, a było to pierwsze uczucie tego gatunku, lub tej siły, to, choćby setki innych miłości przeszły przez moje życie, będę wciąż ciążył ku wspomnieniom pierwszego. Choćbym wiedział, że wówczas kochałem ślepo, że objekt pierwszej miłości był i jest zwykłym, przeciętnym, szarym typem w szarym tłumie ludzkiego mrowiska, jednak do grobu będę żywił ku niemu nikłe lecz niezłomne dziękczynne uczucie.

Umilkł i pobiegł wzrokiem przed siebie.

— Jeżeli zaś,—dodał po chwili — objekt będzie godzien „powrotnej fali“, a los pozwoli mi się z nim spotkać na ścieżce życia, to...

— Proszę na herbatę—przerwał mu uprzejmy głos pani Brzeskiej.

Korzystając z ruchu, który powstał w salonie, i widząc, że Bojański rozmawia o czemś z Liwskim, Błocki zbliżył się do Iry.

A ona spytała półgłosem.

— Czy przykład, który pan przytoczył, był przypadkowy?

Spojrzał jej ostro w oczy.

— Nie. Bo co?

— Nic! Dziękuję panu! Tylko to chciałam wiedzieć.

Rzuciła mu królewskie spojrzenie i podeszła do Bojańskiego.

Przy stole, siedząc pochylony nad szklanką herbaty i łowiąc nozdrzami gorący opar, Błocki tryumfował.

Tryumfował, jak spiskowiec, co widzi wkoło spokojne i rozpromienione twarze ludzi, którzy lada chwila mogą pokryć się śmiertelną bladością na widok nieoczekiwanej mary.

Stary Brzeski głośno rozprawiał o jakiejś bardzo aktualnej kwestji. Mama Brzeska słuchała jego słów z namaszczeniem. Liwski robił wrażenie liberalnego oponenta, który w milczeniu gotuje ciężki odwet słowom starego konserwatysty. Ira z Bojań-

Przybyszowi ze wschodu żyć się z Poznańskiem trudno. Trudno tembardziej, że do pracy na miejscu nie dopuszcza go—policja.

Naogół tak powierzchownie interesujemy się zaborem pruskim i stosunkowo tak mało ludzi go odwiedza, że rzadko kto wie, iż w Poznaniu nie ma prawa mieszkać żaden polak z Galicji, Królestwa lub Litwy. To jest faktycznie prawo ma; ale policja korzysta z przepisu, pozwalającego jej wydalać z prowincji pogranicznej obcych poddanych i usuwa stąd każdego polaka, probującego się osiedlić. Po 2 tygodniach pobytu imigrant z Warszawy, Krakowa lub Wilna staje się *lästiger Ausländer* i zostaje wezwany do opuszczenia kraju.

Wyjątek czyni policja jedynie dla personelu teatralnego. Teatr bowiem stał się żywiołową potrzebą ludności, a władze pruskie nie życzą sobie, by przyciągał on na scenę i wyrabiał siły miejscowe. Nie chcą takiego poufalenia się sztuki polskiej z tutejszem społeczeństwem polskiem. Lękają się, by teatr, mocno w grunt wkorzeniony, nie stał się zalążkiem odrodzenia kultury artystycznej, a zwłaszcza literackiej. Obecny jej upadek w Poznańskiem cieszy hakatystyczne serca.

Że tak, a nie inaczej motywowane jest ustępstwo, czynione aktorom, ostatnio stwierdzonem zostało. Oto dwa lata temu, sukając nowych szykan, policja zażądała, by chóry teatralne kompletowano z poddanych pruskich. Ograniczenie to jednak rychło puszczono w niepamięć, skoro zauważono, iż niektórzy chórzyści zwolna zaczynają dostawać mniejsze rólki dramatyczne. Przyznano wówczas poufnie, iż wcale to nie leży w intencjach nowego przepisu.

Zupełnie wyraźnem dążeniem polityki hakatystycznej jest schłopienie kultury polskiej, doprowadzenie do tego, by warstwy górne i całą ich rolę wypełniała inteligiencja niemiecka. Już dziś prasa pangermańska przy każdej sposobności zapewnia, że Księstwo jest krajem o ludności mieszanej, gdzie pośród mas przeważa żywioł polski, a w sferach wyższych—niemczyzna. Zasadniczą tendencję stanowi więc stworzenie takiego układu, jaki przed wiekami powstał na Śląsku, w Czechach, w Kraju Nadbaltyckim i t. p. Kolonizacja drobnych rolników niemieckich, jakkolwiek odbywa się z wielkim humbugiem i sumy olbrzymie pochłania, w rzeczywistości jest robotą drugorzędną, beznadziejną, a przedsiębraną w znacznej mierze dla celów demagogicznych. Nikt bowiem nie wierzy, by kolonista mógł kiedykolwiek wyprzeć chłopa polskiego z jego siedzib odwiecznych i by potrafił uczynić to przybysz o znaczenie wyższej skali potrzeb, a dużo niższej płodności. Każdy pojmuje, że zadanie byłoby do wykonania wręcz niemożliwe.

Ale zdawałoby się, że i cel, który wyżej wskazałem, też do łatwych nie należy — zwłaszcza w czasach obecnych, wykazujących żywiołowe, wręcz przeciwne dążenia. Dziś, gdy emancypują się narodowości odwiecznie chłopskie; gdy z chałup czeskich, bretońskich, rusińskich, litewskich wychodzą działacze, nobilitujący niekultywowane do niedawna odrębności plemienne—chęć schłopienia narodu o starej, oryginalnej cywilizacji, posiadającego wspaniałą literaturę, poważną kartę w dziejach nauki, duży dorobek na polu sztuki, wreszcie tradycje państwowości własnej, uchodzić może za wybryk dziwaczny, pozbawiony wszelkich szans powodzenia.

Niestety, rzeczywistość przeczy temu.

O ile kolonizacja daje wyniki względnie słabe, o ile chłop wielkopolski dzielnie *Drang nach Osten* odpiera, o tyle warstwy, których zadaniem jest pielęgnowanie i mnożenie dorobku duchowego, w dotychczasowej walce z germanizmem okazały się stroną bezwzględnie pobitą.

Postęp kulturalny w Poznańskiem przestał być zupełnie dziełem inteligiencji polskiej. Niemal odrazu poczuła się ona zdystansowaną przez „kulturträgerów“ pruskich, działających zarówno w imieniu rządu, jako też społeczeństwa niemieckiego i jego cywilizacji.

Pamiętać trzeba, że walka z polszczyzną ma w Prusach zgoła inny charakter, niż w Rosji. W tej ostatniej uprawiana jest wyłącznie w interesie systemu biurokratycznego, *resp.* samej biurokracji, będącej głównym produktem eksportowym. Społeczeństwo rosyjskie, w masie swej, walkę tę traktuje obojętnie. W Niemczech inaczej. Tutaj naród,

---

skim zamieniali ze sobą spojrzenia i uśmiechy oraz (jak przypuszczał Błocki) tajemne uściski dłoni.

. . . .

Błocki zaczął bywać u Brzeskich coraz częściej. Zręcznie nadał tym wizytom pozór przyjaznej poufałości. Żartował i dyskutował z panem domu, opowiadał plotki mamie, wciąż trzymał się zdala od córki, czekając na sposobną chwilę.

Aż dnia pewnego zastał tylko Irę. Przyjęła go bardzo uprzejmie, doskonale udając roztargnienie, mające być skutkiem przedślubnej gorączki.

— Ślub za dwa tygodnie. Wie pan o tem?

— Wiem.

Zaczęła mu szeroko opowiadać o przygotowaniach, strojach, wyprawie, póki nie dostrzegła ziewnięcia, niezręcznie zamaskowanego dłonią.

— Boże! Zamiast bawić, nudzę pana tem wszystkiem.

— Oh, proszę... Nie potrzebuję „bawienia“. Wystarczy mi słuchanie miłego szczebiotania.

— Panie Wacławie!—zgromiła go groźnem spojrzeniem.

— Panno Ireno!—podchwycił—chcę panią spytać o jednę... rzecz, pod warunkiem, że otrzymam szczerą odpowiedź.

— Słucham. Ma pan prawo.

— Prawo?

— No tak! Prawo „przeszłości“! — roześmiała się. — Słucham...

— Czy pani kocha narzeczonego?

— Dziwne pytanie. Naturalnie, kocham.

Skrzywił się i machnął ręką.

— To źle!

— Czemu źle!?

Obrócił się żywo.

— Widzi pani, zawsze uważałem panią za jednostkę nieprzeciętną, tymczasem ostatnie oświadczenie wprawiło mię w niemały kłopot.

Wzruszyła ramionami i zachmurzyła się.

— Dziwny pan jest, panie Wacławie.

— Bynajmniej. Z miłości wyjść zamąż potrafi byle kobieta—nie mówię tu o zamążpójściu z jakimś materjalnym widokiem — ale nieprzeciętna kobieta musi iść w związek małżeński z wyrachowania.

— ?!

— Tak! Gdy się wychodzi za mąż z miłości, zwykle nie myśli się o tem, co potem nastąpi. Nie

któremu coraz ciasniej jest we własnych granicach etnograficznych, i który, wskutek polityki angielskiej, zbyt mało posiada kolonji zamorskich, samorzutnie prze na wschód europejski, gdzie czuje olbrzymie, niewyzyskane tereny, odłogiem leżące bogactwa natury i masy ludowe z poddaństwa niewyrosłe. Ale pomiędzy tą „ziemią obiecaną“, a ciasną ojczyzną germańską bieży droga przez kraj polski — nadspodziewanie trudny puklerz słowiańszczyzny. Moc tarczy tej z tąd pochodzi, że lud polski kulturalnie stoi za blizko ludu niemieckiego; łatwo więc zdobywa umiejętność władania bronią zachodniego najeźdźcy.

Trudność przeforsowania tej zapory wywołuje złość, zniecierpliwienie, któremu daje wyraz hakata—ruch społeczny, przodujący rządowi w jego polityce wewnętrznej.

W zaborze pruskim toczy się więc walka dwu narodów, dwu kultur — walka, która ustać może dopiero wówczas, gdy niemczyzna w jakiemś innem miejscu zdoła przerwać zamykający ją pierścień. Ponieważ widoków dotychczas na to niema, więc bój trwa zażarty, w którym strona napastnicza usiłuje, o ile możności, napadaną wchłonąć, zasymilować, by następnie, łącznie z nią, runąć dalej na wschód.

Otoż—jak się rzekło — asymilacja ta istotnie czyni postępy. Choć wielkopolskie rzesze ludowe zgermanizować się nie dały i najprawdopobniej nie dadzą, ale uległy one ewolucji kulturalnej o charakterze wyraźnie niemieckim. Znamienny i wybitny indywidualizm polski znikł tu prawie doszczętnie; natomiast wyrobił się w najszerszych masach zmysł społeczny, skłonność i umiejętność stowarzyszania się. Wprawdzie i w Królestwie, a przedewszystkiem w Galicji zwrot ten również dostrzegamy; ale w Poznańskiem ruch jest bez porównania silniejszy, starszy, a nadto—pamiętajmy — tamte dzielnice wzorowały się na nim; był więc niejako pośrednikiem wpywów niemieckich*).

*) Może kto zarzucić mi nieścisłość, gdy ruch stowarzyszeniowy uważam za niemiecki, gdy właściwie jest on związany z ogólną tendencją kultury spółczesnej. Niemniej wszakże do nas przeszedł on z Niemiec i ujawnia te same, co tam, cechy zasadnicze.

Pod ich to naporem i w walce z niemi kultura włościańska uczyniła krok naprzód olbrzymi: udoskonaliły się nietylko metody pracy, znakomicie podniosła zaradność gospodarcza, ale też—wbrew tendencjom hakaty — zbudziła się pełnia świadomości narodowej. W rezultacie chłop poznański mało już dziś ustępuje gminowi krajów najkulturalniejszych i przedstawia silny, zdrowy fundament dla rozwoju cywilizacji narodowej.

Na nieszczęście, rolę nowoczesnego przodownika dała sobie wydrzeć z rąk inteligencja polska, która coraz wyraźniej ulega zwyrodnieniu, stając się zwolna społecznym organem szczątkowym. Pokazuje się, że tam, gdzie inteligencja traci z oczu zadanie poprawy stosunków socjalnych, oświaty i dobrobytu ludu; gdzie poprzestawać może na trosce o egzystencję własną — degeneruje się ona i bezpłodnieje duchowo.

Z chwilą przejścia Poznańskiego pod berło pruskie, same prawa i przepisy rządowe jęły wdrażać chłopa polskiego do porządków, wielce dla niego korzystnych. Nietylko rozszerzyły się przywileje obywatelskie włościaństwa do granic, wywalczonych w wojnach domowych przez lud niemiecki, ale nawet tendencje germanizatorskie, posługujące się przymusem szkolnym, wpłynęły dodatnio na gospodarcze wzmocnienie mas polskich.

W kierunku więc prowadzenia ludu ku poprawie jego bytu inteligencja polska została — że tak powiem—wyprzęgnięta i pozostawiona na boku, jak nadprogramowa, wybrakowana lokomotywa. Wkrótce też poczęła rdzawieć, obrastając dokoła chwastem. Czując swe upośledzenie i szukając roli dla siebie, inteligencja ta ujrzała jeden cel tylko: stawiać opór wynaradawianiu ludności. Tu jednak trudno było uniknąć fatalnego błędu, wynikającego z faktu, iż zakusy germanizacyjne zbiegały się, a czasem nawet utożsamiały z postępem kulturalnym. Skutkiem tego do postępu, jako idei, zrodziła się nieufność, a natomiast idea polskości wtłoczona została do lamusa pamiątek muzealnych, pozbawionych aktualnej żywotności. Zapanował więc bezwzględny konserwatyzm ideologji polskiej, który w krótkim czasie wyjałowił wszelką twórczość duchową.

---

przewiduje się, że uczucie zniknie prędko, a pozostanie rozczarowanie, często—niechęć. Ten brak zimnego wyrachowania objaśnia zwiększoną liczbę nieszczęśliwych małżeństw. Gdyby kobieta wychodziła za mąż z wyrachowania, to jest—by mieć towarzysza i powiernika w życiu, byłoby o wiele lepiej. Dlatego jestem stronnikiem małżeństwa z... sympatji.

Słuchała uważnie.

— Dziwna teorja...

Błocki nieznacznie uśmiechał się, puszczając kłęby papierosowego dymu. Ira zdawała się coś głęboko rozważać.

— Ma pan rację—rzekła po chwili milczenia — swoją drogą proszę mię nadal uważać za nieprzeciętną jednostkę.

Osłupiał, ale chciał słyszeć prawdę w określonej formie.

— Jakto?—spytał szeptem.

— Wychodzę za mąż z sympatji—również szeptem odparła Ira, poczem wybuchnęła kaskadą srebrzystego śmiechu.

. . , ...

Karnawał dobiegał końca.

Za tydzień miał się odbyć ślub Bojańskiego z Irą.

Ira była w dziwnym stanie. Czasem opadała w głęboką zadumę, to znów porywała ją pusta wesołość.

Starzy Brzescy z pobłażaniem patrzyli na te „wybryki młodości“, które poczytywali za objawy przedślubnej gorączki. Bojański rósł w dumę i pewność.

Błocki od czasu rozmowy z Irą nie pokazywał się u nich. Nie widziano go również na ulicy i zebraniach. Powszechnie sądzono, że wyjechał. Tegoż zdania była Zocha Bielecka.

Dnia pewnego, gdy w perspektywie był świetny bal, mający być finiszem karnawałowej kołowacizny, Ira dostała przez posłańca lakoniczną kartę bez adresu, tej treści.

„Proszę być koniecznie na balu. Kontredans“.

Poznała pismo Błockiego.

Z początku rozgniewała się, aż policzki zapłonęły szkarłatem, ale potem ogarnęło ją dziwne uczucie.

Niby w dalekiej wizji mignęło wspomnienie minionych chwil. Chwil narzeczeństwa z Błockim. Przy-

Jedyną sferą żywotną, umiejącą wyzyskać sytuację, okazał się kler katolicki. Złożony w dużej części z synów chłopskich, a nadto mając oparcie w instytucji międzynarodowej, jaką jest kościół — z jednej strony oceniał trzeźwo realną wartość zdobyczy postępu, z drugiej — na razie przynajmniej—nie lękał się zbytnio jego niemieckości. Kler, jak to widzimy w poszczególnych prowincjach zaboru, gotów był nawet nie opierać się germanizacji, byle nie wystawiać na szwank stanowiska kościoła. Że tak się nie stało, że kler w większości pozostał polskim, uznać można w znacznej mierze za jedyny wartościowy czyn inteligencji, *status quo* broniącej. W znacznej mierze—powtarzam, ale nie wyłącznie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że księża poznańscy, z chłopstwa wychodzący, w szeregach swych liczą wielu bezwiednych, żywiołowych ludowców, gotowych (podobnie, jak np. księża litewscy) walczyć o szacunek dla odrębności i właściwości swego środowiska.

Rozumiejąc dobrze potrzeby mas i ciesząc się wpływem, kler wskazał włościaństwu polskiemu plenne ziarna kultury niemieckiej i jął dopomagać w ich wyłuskiwaniu. To też bez przesady księży poznańskich uważać można za urodzonych, najbliższych przodowników ludu i jego postępu.

Nic nie ujmując doniosłości wykonanej przez duchowieństwo roboty, stwierdzić jednak trzeba iż sam ten fakt świadczy, że w kulturze *narodowej* (którą pozwolę sobie przeciwstawić kulturze krajowej, gospodarczej) Poznańskie cofnęło się na stanowisko ludów budzących się dopiero: na stopień, który widzimy u litwinów, ukraińców i t. p.

Jest to zjawisko niewątpliwie ujemne, lecz nie powinno przejmować pesymizmem.

W straszliwie trudnej walce, jaką stoczyć tu musi żywioł polski z germańskim, strona słabsza — polska — obronić by się nie zdołała, gdyby nie zdemokratyzowała się raptownie, a raczej--wobec rolniczego charakteru kraju — nie uludowiła kosztem nawet prostolinijności postępu.

Najlepsze władanie rycerską bronią białą nie pomoże nic przeciw karabinom gminnej piechoty. Miecze i blachy stalowe pochować trzeba do muzeów i rozpocząć od ćwiczenia tłumu. Podobnie też w starciu z mieszczańską kulturą niemiecką polska kultura szlachecka pójść musiała do lamusa. Na stopniowe przeradzanie się jej i unowożytnianie — czasu tu zbrakło. Społeczeństwu wypadło przejść na obce mu drogi i zawrócić ku wcześniejszym stadjom rozwoju.

Ale zerwanie z oryginalną, własną kulturą szlachecką nie powinno, a w czasach dzisiejszych zgoła nawet już nie może oznaczać—jak mniemają niektórzy zachowawcy—zerwania z odrębnością narodową. Ta pod zaborem pruskim z chłopstwa iść i rozgałęziać się będzie. Choć „Beocja" poznańska musi razić każdego przybysza z Królestwa lub Galicji, choć tamtejszy zastój życia umysłowego sprawia ogólnej kulturze polskiej olbrzymi (większy, niż się przypuszcza) uszczerbek — nie należy rąk opuszczać i tracić wiary w przyszłość.

Jakkolwiek głośno się tego nie mówi (a tembardziej nie pisze), kto jednak uważnie śledzi nastroje opinji, zauważyć może w stosunku Warszawy i Krakowa do Poznania chłód, a nawet obojętność. Wprawdzie pisma nie przestają rozwodzić się nad barbarzyństwem hakaty, ale więcej w tem sensacji, niż zainteresowania i spółczucia. Zobór pruski jakby na ubocze został zepchnięty; powiem nawet więcej: daje się wyczuć wsród ogółu polskiego w Królestwie i Galicji jakby rezygnację z praw do niego, jakby to była prowincja bez ratunku na germanizację skazana i dla Polski na zawsze stracona. Głosy takie nawet w samym Poznaniu się słyszy; prawie otwarcie zdanie to wypowiadają działacze konserwatywni, utożsamiający szlachetczyznę z polskością.

Z tym nastrojem opinji trzeba koniecznie walczyć nie tylko ze względów ideowych, ale poprostu dlatego, że jest absolutnie bezpodstawny. Poznańskie odrodzić się musi. Odrodzi je chłop polski, obierający samorzutnie te same drogi, jakiemi kroczył lud czeski.

Chłop ten — jak rzekłem — zdobył już nowoczesne metody walki o byt i posiadł względnie wysokie uspołecznienie. Teraz chodzi o wytworzenie kultury intelektualnej.

Zdawałoby się, że czesi na tym punkcie byli w położeniu trudniejszem, jako zupełnie po-

---

pomniała ciche, niby poszum liści, słowa, gdy jej szeptał miłosne zapewnienia. Przypomniała wyrafinowaną słodycz pocałunków, kradzionych w chwilach zapamiętania. Przypomniała jego twarz bladą, zmęczoną, z płomieniami czarnych, marzączch oczu. Przypomniała tajemniczy, zagadkowy wyraz bladych warg.

— Bojański...

Jakiś żal bezkresny i gwałtowny, niby rozpacz tonącego, który dobrowolnie skoczył w odmęty, targnął nią—ale potem rozlało się w niej morze biernej, przygnębiającej błogości.

Przypomniała ironiczny głos Błockiego, i zdało się jej, że w tym głosie dzwięczy ból tajony. Kocha ją jeszcze! Napewno kocha! Nie wyznaje jej tego, lub może sam się wstydzi przyznać do wznowionego uczucia. A ona? Od chwili rozmowy, gdy jej wykładał teorję o małżeństwie, czuje stały pociąg do wspomnień przeszłości. Teraz przypomniała dyskusję na ten temat z Bojańskim. Wacław miał w tem cel wyraźny — więc ją kocha.

Położyła się na szezlongu i wlepiła oczy w sufit.

Nie skłamała wtedy, gdy mu mówiła, że wychodzi za Bojańskiego „z sympatji". Nigdy nie czuła pożaru żądz, lub głębokiej miłości. Czuła tylko tkliwy, przeidealizowany pociąg. Więc tylko lubi Bojańskiego. A jeżeli tylko lubi...

I po całem ciele przeszedł ciepły dreszcz. Zdało się w słodkiej wizji, że ją objęły ramiona Błockiego, a blade usta dotknęły spragnionych warg.

Wstała i ujęła głowę w dłonie.

A potem desperacka myśl błyskawicą przeszyła mózg.

Czego waha się?

Czy skłamie przeciw sumieniu, gdy zdradzi narzeczonego, nie kochając go?

Czy zdradza narzeczoną mężczyzna, spoczywający w objęciach sprzedajnej kobiety?

Czy nie można na dzień jeden przestać hołdować kajdanom, które skuwają etykę kobiety, a zmieniają się w wątłe wstążeczki „gentlmeństwa", gdy chodzi o etykę mężczyzny?

Zwolna burza myśli ucichła. Zrodziło się postanowienie. Spokojny uśmiech przemknął po karminowych ustach.

. . . .

c. d. n.

zbawieni inteligencji własnej i kapitału twórczości narodowej. Kto wie jednak, czy nie jest przeciwnie. Istnienie literatury i sztuki polskiej, jej ciągły dalszy w innych zaborach rozwój na podłożu stopniowo przeradzającej się kultury szlacheckiej, wykoleja i hamuje ewolucję w Księstwie. Nieraz z trybuny parlamentarnej w Berlinie słyszy się powoływania na polską produkcję intelektualną, mającą dowodzić, że „kulturtäger“ niemiecki niepotrzebnie się fatyguje. Mówcy ci jednak przemilczają, iż owa polska produkcja intelektualna jest w Poznańskiem zgoła niepopularna, a więc nieprzydatna. Wysoki jej poziom artystyczny i daleki odskok ideologji czyni ją dostępną tylko jednostkom. Jednostki takie w Czechach tworzyły na miejscu szeregi pionierów kultury umysłowej. W Poznańskiem —nie. Stąd w większości emigrują one do Galicji i Królestwa, gdzie znajdują łatwo, bez walki dogodne warunki pracy i odpowiednie środowisko. Wskutek tego polskie życie umysłowe w zaborze pruskim z martwoty wciąż jeszcze wyjść nie może. Przodownictwo postępu dalej pozostaje wyłącznie w rękach kleru, który spełnił już niemal całkowicie swą rolę cywilizacyjną.

Brak inteligencji świeckiej, brak życia umysłowego i związanych z niem walk jest dla polskości zaboru pruskiego może wieksza dziś klęską, niż polityka hakatystyczna. Brak ten utrudnia powstanie polskiej kultury burżuazyjnej, obniża aspiracje narodowe mieszczaństwa i całym jego odłamom grozi germanizacją. Wcale nie zdajemy sobie np. sprawy z tego, jak wielkie spustoszenie czynią w szeregach polskich niemieckie pisma liberalne, którym skutecznie przeciwstawićby można jedynie własną prasę wolnomyślną.

To też sądzę, że hasłem nadzwyczaj ważnem dla obrony i ewolucji kultury polskiej pod zaborem pruskim byłoby wezwanie poznańczyków, którzy na gruncie Galicji, Królestwa i Litwy pracują w szeregach inteligencji postępowej—do powrotu i do pracy w ich prowincji ojczystej.

B. H.

Młoda Polska.

Mamy obecnie już trzeci tom literackich studjów Jana Lorentowicza. Dwa pierwsze zawierały prace o Miriamie, Langem, Kasprowiczu, Przybyszewskim i Reymoncie. Tom trzeci *) mieści w sobie rzeczowe i wyczerpujące omówienie twórczości Tetmajera, Lemańskiego i Nowaczyńskiego.

Trzy te tomiki studjów literackich o pisarzach polskich, jak zresztą i tom „portretów i wrażeń“ z literatury współczesnej francuskiej, dają należyte wyobrażenie o metodzie krytycznej Lorentowicza. Obecnie można już dokładnie w przybliżeniu scharakteryzować stosunek Lorentowicza do pism i autorów, można nakreślić gamę jego wzruszeń estetycznych, można wyczuć, co stanowi przedmiot jego zainteresowań intelektualnych.

By jednak jaśniej zrozumieć, co stanowi istotę mojego krytycznego kontaktu z pismami Lorentowicza, muszę wyznać, że należę do rzędu tych młodych pisarzy, których nie ujarzmia słowo. Nie umiem się roztkliwiać nad „kwiatkami“ stylu, ani nad „poetyczną mglistością“ metafor. Zresztą cenię je u poetów, ale nie przeceniam w pismach krytycznych. Najważniejszą bowiem rzeczą w każdej krytyce jest samowiedza krytyka. I jest mi obojętne czy samowiedza ta trącić będzie wolnomyślicielstwem czy katolicyzmem, czy ujmować zechce zjawiska literackie w kategorję estetyki formalistycznej lub też przeniesie punkt ciężkości na użyteczność. Jeżeli tylko linja samowiedzy w stosowaniu tych kategorji da się wyśledzić; da rezultaty świadczące o konsekwencji, to choć nie będę się zgadzał ideowo, zawsze uszanuję pisarza takiego, jako krytyka. Bo przecież konsekwencja metodyczna stwierdzi zawsze rzecz najgłębszą, stwierdzi czy mamy do czynienia z człowiekiem przekonań, z człowiekiem żywym.

Każda metoda, każdy stosunek człowieka do przyrody, czy sztuki wyrasta z jego najgłębszego poczucia prawości w stosunku do siebie, obnaża duszę i zdradza serce. I choć nieraz zechce się maskować krytyk jakimś pozorem, zechce czujność otoczenia zagłuszyć—to w porównaniu widzi się zawsze, czy linja była prawowita, czy też wyrastała z chwiejności charakteru, a i wogóle czy może była tylko odruchem... niedorozwinięcia w pewnym kierunku.

Gdy więc się patrzy na działalność człowieka w pewnym promieniu lat, lub dzieł—można zawsze dokładnie nakreślić linję jego duchowego oblicza, można pokazać, jak przystępuje on do zadań, za które czyni siebie odpowiedzialnym.

Jeżeli obecnie zechcemy zdać sobie sprawę z działalności Lorentowicza, musimy wyznać, że na plan pierwszy wysuwa się to poczucie odpowiedzialności. Rozrasta się ono w nim do rozmiarów dominujących i kieruje jego sądami. Nadaje każdej jego pracy urok powagi i prawości. Czuje się, że właśnie tak on myślał, że tak czuł, gdy dane zjawisko przeżywał. Już skonstatowanie samego faktu odpowiedzialności daje wskazówki, czemu w ten, a nie inny sposób Lorentowicz przystępuje do różnych autorów. Czemu bliższy jest mu Żeromski, niż Reymont, czemu Mirjama opracowuje tak sumiennie, drobiazgowo; czemu w Nowaczyńskim odnajduje rdzawizny i chwiejności.

Ale to nie wszystko.

Najważniejszą jest rzeczą, jak Lorentowicz ujmuje autorów.

Dotychczas daje się zauważyć w pismach jego dwojaki sposób: albo kreśli psychologiczną sylwetę za pomocą charakterystyki dzieł autora, albo też charakteryzuje autora na tle całej ewolucji rodzaju artystycznego, który dany autor uprawia. Jako przykład, proszę wziąć studja o Reymoncie i o Lemańskim.

W pierwszym, charakteryzując powieści — świetnie rysuje rozwój talentu Reymonta. W drugim na tle historji bajki maluje nam działalność autora „Trójrytmu“. Czasami też Lorentowicz te swoje metodologiczne właściwości umie w bardzo ciekawy sposób syntetyzować i wtedy daje bajeczne studjum o Nowaczyńskim.

Pozatem ma Lorentowicz zupełnie rzadki sposób opowiadania czytanych dzieł. W opowieści swojej daje on tak dokładne pojęcie o książce, o której chodzi, że słuchacz posiada zupełnie dobre wyobrażenie tak o fabule, jak o idei i perepetjach psychologiczno-dramatycznych lub komicznych. Z tego względu każda jego książka nadaje się doskonale do nauczania i to tembardziej, że informacyj-

*) Jan Lorentowicz: Młoda Polska. III. str. 268. Warszawa (bez daty). Nakład i druk tow. akc. S. Orgelbranda i S-ów.

nie zawsze jest bez zarzutu, że podaje tylko z pierwszej ręki fakty.

Trzeci tom „Młodej Polski“ obok studjum o Tetmajerze, o którym już pisano stosunkowo wiele, daje dwie większe prace o pisarzach tak mało jeszcze omawianych, jak Lemański i Nowaczyński. Szczególnie praca o Nowaczyńskim wyróżnia się swietnością. Zachował w niej Lorentowicz miarę i spokój. Nie dał się zahypnotyzować fascynującym piruetom Nowaczyńskiego. Nakreślił podobiznę „Sowizdrzała“ w jej najwewnętrzniejszym wyrazie. Dał bowiem całą ewolucję jego talentu, unaocznił wszystkie jego metamorfozy.

Z trzech tomików studjów wyrasta poza autorami i przez autorów indywidualność Lorentowicza. Estetycznie umie ona wzruszyć się erotykiem Tetmajera, jak utalentowanem gadulstwem Nowaczyńskiego; umie w Miriamie odkopać żywe i życiodajne zasługi, jak zresztą i w Langem odczuje jego „poetycką nienasyconość“.

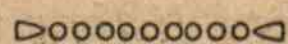
Intelektualnie zaś Lorentowicz ma skalę bardzo szeroką. Do każdej idei zbliża się bez żadnych zastrzeżeń, ale zna jej rodowód, wykaże natychmiast jej historję.

Co jednak jest też bardzo ważne, to powściągliwość Lorentowicza. Wypowiada się ona przez spokojny rzeczowy jego język. Gardzi on łatwą, pustą metaforą, gardzi „florydyzmami“ stylu. I gdybym nie godził się z niektóremi sądami Lorentowicza, to już sam jego powściągliwy język, zmusiłby mnie uczcić w nim pisarza. Bo u nas przecież gładki frazes jest bardzo popłatny. Bo u nas każdy „kwiatuszek“ językowy uważa się za „stylistyczność“!

Przez język Lorentowicza zacząłem się interesować jego pismami. Język ten wskazał mi jego samowiedzę krytyczną i kazał odszukać sposobów metodycznych, któremi posługuje się on w swoich literackich poszukiwaniach.

Trzy tomiki prac Lorentowicza to trzy szczeble odpowiedzialnej pracy nad piśmiennictwem polskiem. Kto więc chce poważnie poznać piśmiennictwo współczesne, niech je przeczyta.

Eustachy Czekalski.



Na rzymskiej wystawie nowoczesnego malarstwa.

(Esposizione internazionale, Esposizione degli acquarelisti).

Rzym w kwietniu 1913 roku.

Niesłychanie ciekawem jest malarstwo nowoczesne, w takiem środowisku sztuki, jak Rzym. Samo miasto, gdziekolwiek przystaniemy, daje bogactwo kolorytu z tych, jakby malowniczo ugrupowanych domów, obok ruin, obelisków, wieżyć, kopuł; to znów w powodzi palmowych ogrodów, kołyszących się melancholijnie pinji, lub niezrównanem „pendant“ do cmentarzyska przeszłości w ruinach, cyprysów, którym nigdzie nie użyczyło istotne piękno tyle wdzięku, ile w „wiecznem mieście“...

Malarz posiada zatem miljony koncepcji, które może sobie dowolnie przetwarzać, o ile go fantazja nie opuszcza... Gdyby bowiem „kopiował“ malownicze miasto, nie dałby, jak poeta w powtórzonej strofce ze starej dantejskiej. „canzony“, ni jednego obrazka prawdziwej sztuki. Tutaj wymaga się głębokiego wniknięcia barwą w to, co przeszłość pozostawiła w martwocie kolorytu; by go orzeźwić, nowością przetworzyć, trzeba conajmniej Boecklina, który i krajobraz rzymski i ruiny romantycznie w nowe obrazy przemieniał.

By być Boecklinem, trzeba mieć i tę ironię słonecznej barwy, aby nią oblać ruiny; zamiast głuchych jęków, katakumbowych cieniów, niech śmieją się w słońcu. Artysta pozostawił im jeszcze coś do powiedzenia, nim zejdą z powierzchni; śmieją się ruiny na obrazie Boecklina... A ten śmiech jest równocześnie nowem ujęciem w formie czy to pięknego krajobrazu włoskiego, czy też martwych ruin, gdzie w noc bladego księżyca srebrzą się listki, by wieńców na grobie, a w dzień jasnego słońca tulą je smętku cienie.

Wystawa w rzymskiej „świątnicy nowej sztuki“ objęła przeszło pięćset obrazów, rzeźb, oraz rysunków. Szukajmy dzieł wielkiej sztuki, zanim ogólnie powiemy o tem malarstwie, o tej rzeźbie nowożytnego Rzymu, tu i owdzie zabłąkanego cudzoziemca.

W sali obrazów olejnych oraz „tempera“— wisi wielki tryptyk zatytułowany: „*L'Eroica*“ malarza *Previati Gaclano*, nadto trzy, usymbolizowanej przeszłości! Malarz daje siłę symbolicznej postaci heroicznego rycerza, który, mimo, że poległ, jednak „poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu“—jakbyśmy słowy naszego poety, interpretowali wielki obraz! Nasuwa się uwaga, że z symbolu prawdziwego, szczerego artysty, zawsze przemawia siła wielkiego twórcy: nie będzie biedną wizją niemocy „mocnego człowieka“, ale dziełem, które samo za siebie mówi! Prewiati przypomina swą symboliką wielkich włoskich symbolistów z czasów „prerafaelickich“ — tylko jego symbol więcej z realizmem kojarzy wyobraźnię, podczas gdy u chorego fantasty snuły się często wizje w formie wyczutej, lecz nie przeżytej życiem nowoczesnego człowieka — w formie, któraby jednoczyła, u malarza, w jego wyrazie sztuki, fantazyę z rzeczywistością! Obrazy innych: Morbelli Angela, Viviani Raoul'a, Longoni'ego Emilia, dają wielką technikę, większą, aniżeli np. współczesnych niemców, ale, trochę powtarzane w koncepcjach, nie wydobyły żadnej silnej strony życia, któraby z obrazu drgnęła wielkim momentem „sztuki“!

Szczęśliwsi na wystawie są portreciści: taki portret (po włosku: ritratto!) *De Blaas da Lezze Giulio*, daje wyraz całej szkole spółczesnych włoskich portrecistów do których Juljusz de Blaas należy. Czemkolwiek portret w barwie mówić potrafi, tem wszystkiem dowolnie wypowiada się: czy silna „plama“ twarzy, czy linje ust, lub czoła, gdzie się tak wytwornie harmonizują z ruchami postaci kobiecej, (księżna Potenziani!) jaką artysta widział, kiedy mu szczera fantazja nasunęła bogactwo barw, linji a które malarz w arcydziele „uwiecznił“. Gdzieżby atoli, jak nie w Rzymie, święcił portret w barwach takie tryumfy nowoczesnego artysty!

Spokojniejszy w pogodnej barwie twarzy, natomiast w niewielkiem bogactwie linji, to portret *Ferro Cesare'go*, inny, przypominający francuzów, dał *Trussardi Volpi* (Ritratto dello scultore E. Gallori) — tu i owdzie wdzięczna twarzyczka, lub rodzajowa scena, (*Cecconi Lorenzo*: „Ritorno dal laboro“ w powrocie z pracy!) przypomni czasem polskich malarzy rodzajowych; kto wie, czy nasi

nie przewyższyliby współczesnego włocha?... Górując nad nim oryginalniejszą sceną, bo te z włoskich pól, mnóstwo razy widziane, zaczynają powoli nudzić, schodząc często do obrazków na tysiącznych okładkach, reklamach etc...

Wśród włoskich akwarelistów, tchnie nowością tej— jak Norwid mawiał „lekko przemyślanej formy sztuki"—obrazek *Aureli'ego Józefa* (Giuseppe): „*Orientale*", („wschód") obok kilku krajobrazów (po włosku: „paesaggio") *Nardi'ego* Henryka, *Simoni'ego* Scipiona i innych. W akwarelowej czystości barw, w dyskretnej umiejętności ich łączenia, włosi są mistrzami, a zdaje się, że obok spółecznych francuskich akwarelistów, (dobrych niewielu!) zajęli w malarstwie nowoczesnem pierwszorzędne miejsce! Widać na tych obrazkach lekkość obok tej wytworności kojarzenia linji barwnych, cieniowań. to znów wywoływania delikatnych refleksów, czasami do złudzenia, jakby to było na jakimś gobelinie lub zdobnej makacie perskiej, gdzie niteczka dzierzga, jak barwa akwarelisty włoskiego!

W salach znajduje się wielu niemców, wśród nich rzeźby *Klingera* („portrety") oraz naszego polskiego artysty, plakiety *Antoniego Madejskiego*, (dwie: Fryderyka Chopina, Batorego, profesora A. Sokołowskiego). „Fantastyczny krajobraz" („paesaggio fantastico") *Żagoskina* Artura — z nazwiska sądząc słowiańskiego malarza, w barwach, a nadewszystko w koncepcji wyróżnia się od „klasycznych" obrazów włoskich.

Trudno dawać katalogowe sprawozdanie z „pałacu sztuki" w Rzymie. Byłoby badalnem.

Czy jednak współcześni włosi są nowoczesnymi malarzami, czy też dalszym ciągiem wielkiej epoki lub wieków Rafaëla, Leonarda da Vinci, Michała Anioła? to znów wcześniejszych prerafaelitów lub tych arcywczesnych, którzy dzisiaj w mozaice się zachowali?

Dzisiejsze malarstwo spoczęło na wielkiem podłożu kultury, stworzyło dobry portret, w znaczeniu nowoczesnem; tu i owdzie ośmieszy je „futuryzm" — (ojczyzną tego kierunku „o du immortales"... jest boska Anzonia...) zawsze jednak artysta będzie tkwił w wielkiej sztuce przeszłości; wyzwoliłby go gieniusz, aliści dotychczas nie spotkaliśmy takiego.—

Sztuka jednak musi tworzyć, musi się ujawniać wiecznie nową wyobraźnią duszy. Dlatego ani barwa, ani linja nie będą drogami dla twórcy, lecz tylko fantazja!

Więcej zainteresowania budzi np. współczesne malarstwo polskie od włoskiego, a tem więcej niemieckiego, gdyż pierwsze w pełnem słowa znaczeniu tworzy, drugie *ujawnia w dalszym ciągu wielkiego ducha*, czy to spadkobiercę prerafaelitów, czy też romantyka Boecklina i t. d.

W każdy razie w duszy włoskiego artysty żyje ten królewski uśmiech i dostojny wyraz, jakiego do dziś dnia użycza swym obrazom choćby na tej ostatniej wystawie w Rzymie.

Michał Japołł.

oooooooooooo

Przyjaciół naszego pisma prosimy o jego rozpowszechnianie.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Otchłań.

Tam... poszarpane zbocza skał tych w szczerby
Nad przepaściami jeżą się i kłębią;
Są to wieczności niezmazane herby,
Które odciska czas,—ów Pan—nad głębią.

Nad brzegiem wisi, jakby gniazdo sępie,
Zamczyska stęgły mur, jak głazu kawał;
Zda się, mrok wieczny; czając się w ostępie,
Poczernił mur ten, gdy z przepaści wstawał.

I pochylony nad oazą mroku,
Na wrębie, co się wiecznie zródłem rani,
Słyszę w tych szumach, wrzących z dna potoku,
Rozkazujący, twardy głos otchłani. —

I widzę blizny skał—ów ślad stuleci,
Jak lwich pazurów znaki w głazie ryte;
A słońce patrząc w dół, im górniej świeci,
Tem niżej spada, w falach dna odbite. —

Oczy Dziecka.

Gdzie się kwiatami wiła w sadzie stecka,
W mroku, co nagle padł błyskawicowy,
Ujrzałem oczy przerażone dziecka
I złotą przędzę złoto-włosej głowy.

Wieczór gasnącą dogorywał zorzą;
Obłoczki biegły pośród gwiazd w żałobie,
Jako rozpierzchłe stada, co się trwożą,
I błyskawice podawały sobie,

Jak gdyby blaski otrząsając runem
Na sinej, pełnej gwiazd rozkwitłych łące...
I trwogą siną pod mroku całunem
Patrzały oczy dziecka w mrok—gasnące. —

Sad wszczął przed burzą listkami rozmowę;
Nad zorzą lśniła mlecznej drogi stecka
I gwiazdy gasły w chmurkach—szafirowe,
Jak przerażone burzą oczy dziecka. —

ᐅooooooooᐊ

Z RUCHU MUZYCZNEGO.

Sezon się kończy...

— Ustała już wędrówka zagranicznych wirtuozów, odwiedzających w przelocie Wilno.

Wypoczywa już Wileńska Orkiestra Symfoniczna, obmyślając plan kampanji letniej. Niestrudzona „Lutnia" ostatni swój koncert urządza dzisiaj. Potem już tylko koncert Dygasa i H. Skwareckiej — i koniec sezonu.

Już początek wielkiego postu spowodował pewną stagnację w ruchu muzycznym ze względu na tak zwane „martwe tygodnie"; jednak mamy kilka koncertów do zanotowania.

Słynny skrzypek *Marteau* dał drugi koncert

w tym sezonie, pogłębiając wrażenie wywołane już poprzednio mistrzowstwem i szlachetnością interpretacji. Dziwić się należy wielu słynnym wirtuozom, iż tak niewielkie wymagania stawiają swoim akompaniatoram. Naprzykład takiemu Marteau towarzyszy pianista Tabbernal, którego gra solowa, sucha i bez wyrazu jest zupełnie daleką od artyzmu.

Rosyjskie Towarzystwo Muzyczne sprowadziło słynnego dyrygenta Safonowa „rosyjskiego Nikischa“, jak o nim z dumą wyrażają się rodacy. Specjalnie na to porównanie nie mogę się zgodzić. Nikisch ma w sobie jakąś dziwną żywiołowość; pod jego pałeczką każdy utwór symfoniczny wprost pulsuje odrębnem życiem (nawet przysłowiowo nudna symfonija Volkmanna zdaje się coś wyrażać). Safonow ma może równą Nikischowi umiejętność stosunkowania barwy instrumentów, wydobywania na światło głosów lub cofania ich cień—stąd wielka harmonja brzmienia—ogromnie celowe i ładne opracowanie szczegółów, ale w całości nie ma porywu, nie ma tej siły przekonywającej, jaką posiada Nikisch.

Bardzo ładnie wyszła symfonja b-dur Beethovena, której pogodny charakter najlepiej odpowiadał temperamentowi słynnego dyrygenta. — Wil. Orkiestra Symfoniczna, wynajęta na ten koncert przez Tow. Muz., dowiodła jeszcze raz, że jest materjałem podatnym, który wymaga tylko odpowiedniej ilości starannych prób, aby mógł odpowiedzieć swemu zadaniu.

Ciekawym był koncert „Lutni“ z udziałem K. Pietraszewskiej i Z. Gwanowskiej-Płoszko. P. Pietraszewska, śpiewaczka o głosie fenomenalnym pod względem *timbre'u*, siły oraz idealnie postawionym, wywarła głębokie wrażenie „Opowiadaniem Elzy“ z Lohengrina oraz szeregiem pieśni polskich i obcych kompozytorów. P. Gwanowska wykazała duży, pełny ton o doskonałej wibracji, czystą i jasną technikę oraz dojrzałość interpretacji przy pewnej, zbytniej może, powściągliwości w tempach („Moto perpetuo“ z suity Ries'a). Gra jej nosi pewną cechę „męskości“ w najdodatniejszem znaczeniu tego słowa.

Pozostaje do zanotowania inauguacyjny koncert nowo otworzonego klubu przemysłowego z udziałem W. Orkiestry Symf. pod dyrekcją Adama Wyleżyńskiego i mistrza Barcewicza, który odegrał z towarzyszeniem orkiestry koncert Mendelsohna i „Rondo Capricioso“ Saint Saënsa oraz cały szereg drobniejszych utworów z akompaniamentem fortepianowym p. Lachowskiego.

Doniosłe znaczenie dla kultury Wilna mieć będzie sezon letni Wil. Orkiestry Symfonicznej. Częstsze i systematyczniej prowadzone koncerty letnie powinny urobić publiczność.

Możliwie najniższe ceny wejścia przyczynią się do wykształcenia smaku w najszerszych masach publiczności i dadzą im możność gruntownego poznania najszlachetniejszego odłamu sztuki muzycznej — muzyki symfonicznej.

H. Łopuska.

oooooooooooo

Listy ze Wschodu.

III.

Tatarzy, karaimi i żydzi-„krymczaki“ wyczerpują właściwą tubylczą ludność Krymu.

W życiu Krymu coraz większą rolę gra ludność napływowa, ruchliwa, czynna, przedsiębiorcza, zajmująca coraz bardziej kraj ten w swe posiadanie i przekształcająca jego stary układ kulturalny.

Ludność napływowa zdobywa nietylko miasta, nietylko handlowe wybrzeża morskie, ale i głąb półwyspu.

Wspomniałem już w poprzednim liście o licznej imigracji do miast żydów rosyjskich. Mają oni w swoim ręku przeważnie pośrednictwo handlowe, zwłaszcza handel detaliczny.

Dalej nader liczny jest dopływ do miast nadmorskich przedstawicieli ludów kaukazkich oraz greków. Przybysze ci, osiadając w Krymie, nie zlewają się z ludnością miejscową i przeważnie się nie ukrajawiają. To znaczy, że traktują oni kraj ten, nie jako swą nową ojczyznę, lecz jako czasowy teren eksploatacji, czasowe siedlisko interesu. Są nietyle kolonistami, zaludniającymi kraj nowy i wiążącymi go ze swą metropolją, ile spekulantami, przyjeżdżającymi dla okolicznościowego wyzyskania warunków zarobkowych z myślą o powrocie do swej ojczyzny właściwej.

Dalej ze szczególną uwagą uwzględnić należy imigrację rosyjską i jej rolę w układzie ludnościowym. Formalnie są rosjanie gospodarzami kraju, jego panami w znaczeniu politycznem. Do nich należy władza, ich prawodawstwem rządzi się kraj cały. Zakres ich wpływu jest tu oczywiście ogromny, poparty całą siłą państwowości. Atoli same tylko formy wpływów nie przesądzają o ich treści i sile żywotnej. Wyzyskać formy i narzędzia wpływów, wypełnić je treścią,—to sprawa, która wymaga szczególnej umiejętności i szczególnej energji społeczeństwa. Czasem jest to niemożliwe, gdy społeczność miejscowa jest sama przez się tak zwarta, tak kulturalnie i ekenomicznie, a przez to i politycznie, odporna, że się do wyzysku kolonizacyjnego nie nadaje i wszelkie zalewy zewnętrzne, skierowane do jej pochłonięcia i zasymilowania, odeprzeć i przezwyciężyć mocą własną, wewnętrzną potrafi. O Krymie tego powiedzieć nie można.

Kulturalnie słabi i bierni, a ekonomicznie ubodzy, tatarzy nie stanowią przeszkody skutecznej ani dla kolonizacji rolnej, ani dla opanowania przez elementy obce handlu i przemyslu, ani też dla wpływów kulturalnych i narodowych zzewnątrz. Conajwyżej zdołają oni utrzymać swe tradycje i zwyczaje w ścisłem środowisku własnem, ale ani narzucić swej kultury innym, ani przeciwstawić organizację własną zalewowi kraju przez elementy napływowe nie są w stanie. Krym stoi otworem dla przedsiębiorczej imigracji i kolonizacji.

Wszakże rosjanie, pomimo przewagi politycznej, siły państwowości i licznego dopływu ludności, nie umieją widocznie wyzyskać warunków kolonizacyjnych i stworzyć w kraju tym poważnej placówki dla swych wpływów kulturalnych. Rosyjskim jest tu przedewszystkiem element urzędniczy. Ten wszakże nie jest z krajem bezpośrednio związany, pomimo że formalnie nim rządzi. Są to przybysze czasowi, rzuceni tu na drodze po szczeblach karjery. Formalizm biurokratyczny, który cechuje ogólnie klasę urzędniczą w Rosji, sprawia, że funkcje rządzenia nie zbliżają bynajmniej rządzących do społeczeństwa rządzonego. Urzędnicy się zmieniają, przyjeżdżają i wyjeżdżają z kraju, pozostając obcymi i nie oddziaływając prawie wcale na kulturę krajową.

Oprócz urzędników napływa stale do Krymu uboższa zarobkująca ludność rosyjska. Poziom

jednak kulturalny tej ludności jest bardzo nie wysoki. Jest śród niej trochę rzemieślników, większość wszakże stanowi masę robotniczą najniższej kategorji, konkurującą z miejscowym robotnikiem tatarskim. Imigracja ta jest nędzną, ubogą, obliczaną na groszowe zarobki w pocie czoła.

Śród tej imigracji rosyjskiej jest też liczny element ukraiński, który wszakże nie wyodrębnia się od niej i jest naogół zupełnie nieuświadomiony. W rolnictwie i osadnictwie rolnem jest też pewien dopływ ludności ukraińskiej z pobliskiej Małorosji, ale w stosunkach krajowych takowy poważniejszej roli nie gra ze względu na bardzo niski poziom kultury i wartości produkcyjnej tego elementu.

Pozatem rosjanie przyjeżdżają do Krymu tłumnie na wywczasy letnie, na kurację, kąpiele, wycieczki i t. d... Krym dla Rosji jest rodzajem Riviery, południem słonecznem, roskosznem miejscem wypoczynku. Zwłaszcza południowe wybrzeża Krymu są w sezonie letnim zalane powodzią tej ludności napływowej. Nie można tego nazwać imigracją a tem mniej kolonizacją.

Fale tej kategorji ludności przepływają przez Krym, osiadają w nim chwilowo i znów odpływają. O jakimś procesie asymilacyjnym niema tu mowy. Ci goście wędrowni są znakomitym materjałem do eksploatacji przez ludność miejscową.

Oprócz powyższych istnieje także w kraju większa własność rosyjska. Bogaci rosjanie posiadają dobra ziemskie, winnice i sady w Krymie. Wszakże właściciele zazwyczaj sami w nich nie mieszkają, jeno przyjeżdżają na pobyt czasowy, eksploatację zaś gospodarczą zlecają swej administracji. I oni więc nie stanowią tu rdzennego elementu krajowego, nie są stałym czynnikiem oddziaływania na ogólny układ kulturalny kraju.

Jeżeli chodzi o wpływy trwałe, o spojenie żywotne zewnętrznych elementów imigracji z całokształtem stosunków krajowych, to już znacznie większą rolę od rosjan grają w tym kraju żydzi rosyjscy, zwłaszcza w stosunku do miast. Jeszcze zaś większą rolę gra imigracja i kolonizacja zachodnio-europejska.

Ta w organizacji życia gospodarczego staje się coraz bardziej czynnikiem pierwszorzędnej wagi. W przemyśle a zwłaszcza w wielkim handlu eksportowym kapitały cudzoziemskie i przedsiębiorcy europejscy są najczynniejsi. Górują szczególnie francuzi i niemcy. W stosunki gospodarcze kraju wnoszą oni organizację wyższą i doskonalszą, stają się przeto czynnikiem niezbędnym, twórczym w kraju. Na tem się opiera ich moc żywotna i trwałość ich wpływów. Europeizują kraj ten, szczepią w nim stopniowo wzory cywilizącji i kultury zachodniej.

Ze wszystkich zaś zjawisk imigracji i przekształcania starego układu krajowego na wzory nowe—najbardziej zdumiewającą i doniosłą w skutkach jest niemiecka kolonizacja rolna. Koloniści niemieccy, zaludniający gniazdami całemi północną część obecnej gubernji taurydzkiej, rozszerzają się stamtąd na półwysep krymski i poprostu zdobywają go w swe posiadanie wyłączne. Kolonizacja ta ma wszelkie cechy prawidłowego podboju, raczej okupacji. Systematycznie, piędź za piędzią, zdobywają niemcy ziemię. Stanowią oni znakomity materjał kolonizacyjny. Są wytrwali, niezmiernie pracowici i gospodarni, skrzętni, przywiązani do ziemi, trzeźwi. Ich przywiązanie do ziemi nie ma zresztą cechy jakiegoś sentymentu platonicznego. Cenią ją, nie jako przedmiot czci szczególnej, jak się ceni czasem dziedzictwo rodowe, ale jako warsztat pracy i źródło eksploatacji gospodarczej. Rozumieją znakomicie wartość pracy, systematyczności, gospodarki planowej. Pozatem mają wybitnie rozwinięte niektóre cechy psychiczne, takie jak przywiązanie do swych zwyczajów, stateczność, poczucie swej odrębności od otoczenia obcego, i t. d.

To sprawia, że się nie asymilują przez cały szereg pokoleń, nie zatracają swych właściwości dodatnich, przeciwnie—utrwalają je w sobie i rozwijają.

Ludność miejscowa uznaje zalety niemców, ale ich nie lubi. Rzeczywiście bowiem dla obcych nie są oni przyjemni. Są bardzo skąpi, dbają li tylko o własny interes i zawsze mają zysk na względzie. Gościnności, życzliwości i usłużności sąsiedzkiej dla obcych—nie mają wcale, o ile to im materjalnie zysku nie daje. Koloniści przeciętnie są zamożni, zawsze oszczędni i pracowici. Nawet bogaci, którzy mają uzbierane pieniądze, nie porzucają swego pracowitego trybu życia, nie wychodzą ze szranków swego środowiska społecznego. Tworzą oni element kulturalny, który coraz bardziej się wzmaga i zyskuje siłę w kraju.

Rolnicza ludność tatarska ustępuje stopniowo przed kolonizacją niemiecką. Północna zwłaszcza, stepowa część półwyspu, jest coraz bardziej niemiecką.

Poza właściwymi osadnikami rolnymi, koloniści niemieccy dostarczają rzemieślników i zdolniejszych wyrobników do miast i wsi. Nie brak zresztą śród nich i elementu uboższego, który, o ile nie jest w stanie zarobkować na miejscu lub posiąść ziemię na własność i zagospodarzyć się w kraju, emigruje chętnie i szuka pola do pracy i zarobku gdzieindziej. Wychodźtwo kolonistów niemieckich skierowane jest stąd przeważnie na północny wschód do Syberji, gdzie im się wcale nieźle powodzi i do kraju Nadbałtyckiego.

Inne jeszcze, bardzo charakterystyczne, a zwłaszcza dla nas ciekawe, aspiracje wychodźcze na Zachód, kiełkują śród uboższych elementów kolonistów niemieckich w Krymie. Zdarzyło mi się kilkakrotnie usłyszeć od nich o wychodźtwie do „Posen“ (księstwa Poznańskiego). Nie wiedzą nawet, że „Posen“—to kraj polski, nie słyszeli o politycznym charakterze tej kolonizacji. Słyszeli jeno, że to jakiś kraj poza granicami Rosji, w ojczyźnie niemieckiej i że koloniści, którzy w nim osiadają, doznają szczególnych względów i opieki rządu. O „Posen“ mówią, jak o ziemi obiecanej, gdzie wszystko jest cudownie urządzone na przyjęcie przybyszów niemieckich. Wspominali mi, że były wypadki wychodźtwa z Krymu kolonistów do „Posen“, i że się im tam dobrze wiedzie.

Niemiecka kolonizacja rolna w Krymie — to bodaj że fakt najdonioślejszy w tworzącym się gospodarczym, społecznym i politycznym układzie kraju.

Powoli „Krym staje się krajem niemieckim“, —jak się przechwalają, nie bez pewnej słuszności, sami koloniści niemieccy.

T. Nowicki.

Nowa odmiana panslawizmu.

Nic nowego pod słońcem—mówił Ben Akiba. I w stosunku do panslawizmu sentencja ta jest—niewzruszona.

Zmieniają się warunki, okoliczności, akcesorja, dekoracje i nazwy, lecz istota, rdzeń, treść — pozostają wiecznie te same. Znaliśmy dotąd stary, drapieżny „panslawizm“ lat 70-tych ubiegłego stulecia, widzieliśmy narodziny petersburskie, rozkwit praski i śmierć sofijską—niefortunnego neoslawizmu, dziś wstąpiliśmy w okres „demokratycznego“ prądu słowiańskiego.

Tak ochrzciła „nowy“ kierunek wychodząca obecnie w Petersburgu gazeta „Słowianin“, organ bezpartyjnie-postępowy, popierany przez dziennik postępowy „Russkaja Mołwa“.

W numerze 4-ym tego pisma umieszczony był na czele artykuł A. Aristowa „Idea słowiańska w wieku XX-ym“, a więc artykuł zasadniczy, poniekąd programowy.

Zobaczmy, jak w warunkach współczesnych ideę tę ujmują rosjanie demokratyczni i postępowi.

Rzuciwszy krótki rys historyczny starego panslawizmu, p. Aristow przychodzi do wniosku, że ruch ten nie mógł się rozwinąć należycie ze względu na brak opinji w społeczeństwie ówczesnem Rosji i na rozbieżność prądów słowiańskich. Jedyną dodatnią jego stroną było to, że zwócił uwagę społeczeństwa rosyjskiego na słowian bałkańskich. Znacznie wyżej pod względem celowości i orjentacji stał zrodzony za bytności Kramarza w Petersburgu w 1908-ym roku—neoslawizm.

Niestety, i ten ruch miał liczne wady, a główną która go zgubiła, była—zdaniem pana A.— niejasność, mglistość.

Niejasność ta, między innemi, polegała na tem, że neoslawizm twierdził, jakoby słowianie nie dążyli do politycznego zjednoczenia się, i podkreślał jedynie solidarność kulturalną.

P. Aristow oburza się na takie stanowisko i zapytuje: „czyż działacze neoslawizmu przypuszczają na serjo, że słowniki i kalendarze rozstrzygną kwestję słowiańską i stworzą teren dla rozwoju wszechstronnego kultury słowiańskiej?“

A dalej pisze: „Pod tym względem starzy sławianofile byli bliżej prawdy, żądając przedewszystkiem scalenia politycznego narodów słowiańskich—z Rosją na czele“.

A więc—„da ist der Hund begraben“. Nowy prąd demokratyczny—to stary znajomy w nowym rynsztunku bojowym, zastosowanym do okoliczności. Stare słowianofilstwo opierało się na rządzie, jako jedynym wyrazie siły i opinji ówczesnej Rosji; dzisiejszy „demokratyczny“ prąd wszechsłowiański—próbuje oprzeć się na społeczeństwie.

Na drodze do zjednoczenia politycznego słowian—stoi mocarstwo konkurencyjne, Austrja.

To też wszystkie numery „Słowianina“ wymierzone są przeciw Austrji.

„Caeterum censeo Austriam delendam esse“— to stały i główny motyw polityczny nowego prądu.

Chcąc zjednać dla swoich planów niemców a zarazem uspokoić ich obawy co do istoty i kierunku obecnego prądu słowiańskiego, „Słowianin“ pisze: „Wzrostu poczucia słowiańskiego Niemcy obawiać się nie powinny. Gdy nastąpi nieuniknioną likwidacja Austro-Węgier, przejdą do Niemiec naturalnie ziemie austrjacko - niemieckie i rozszerzą się ich posiadłości od Hamburga niemal do Trjestu. Jeżeli jednak Niemcy będą się opierały i podtrzymywały skazaną na zagładę Austrję — w jej podbojowych projektach na Bałkanach, to niechaj — do samych siebie mają pretensję“.

W poszukiwaniu sprzymierzeńców przeciwko Austrji „Słowianin“ nie ustaje ani na chwilę i w ostatnim, 15-ym numerze poświęca cały artykuł—Włochom, które w kwestji słowiańskiej uważa za naturalnego Rosji sprzymierzeńca.

O ile polityka zewnętrzna, nienawiść do Austrji i sympatje do słowian południowych absorbują szczerze i pochłaniają poważnie „nowych“ wszechsłowian, o tyle sprawy wewnętrzne nie zajmują ich prawie zupełnie.

Dopiero w numerze 15-ym „Słowianina“ ukazał się artykuł członka rady państwa, Stachowicza, „Lepiej późno, niż nigdy“. w którym stosunek do polaków został poruszony.

P. Stachowicz tłumaczy polaków, dowodzi, że na ogół nie są tak czarni, jak ich przedstawia prasa nacjonalistyczna, wreszcie wyjaśnia, że, za wyjątkiem polaków galicyjskich, którzy notabene gnębią rosjan (sic!) w Galicji tak samo (sic!), jak rząd rosyjski polaków w Rosji, są oni pokojowego usposobienia.

Wychodząc z tych założeń, p. Stachowicz—ze względu na położenie polityczne i możliwość wojny—radzi stosunki polsko-rosyjskie... poddać gruntownej rozwadze.

I tyle. Takie jest stanowisko p. A. Stachowicza, stanowisko, mówiąc nawiasem, na łamach „Słowianina“—zupełnie odosobnione.

Bo wprawdzie „Słowianin“ w sprawie stosunków polsko-rosyjskich dotąd dyplomatycznie milczał, lecz za to nie ominął żadnej sposobności, by podkreślić swój wrogi stosunek do polaków w Galicji, jako ciemiężycieli „narodu rosyjskiego“.

Najciekawszym i najwięcej charakterystycznym dla nowego prądu wszechsłowiańskiego jest właśnie stosunek do tego „narodu rosyjskiego“ w Galicji, do ukraińców. Otóż „ukraińców“—dla „Słowianina“—niema zupełnie. Są tylko zdrajcy— „mazepińcy“, których wszechsłowianie jeszcze więcej nienawidzą, niż polaków galicyjskich, i—prześladowany lud halicko-rosyjski.

Nic to, że ukraincy uważają się za naród 30-miljonowy, mający swój język, tradycję, obyczaje i młodą kulturę; nic to, że ukraińcy pragną własnego rozwoju, dążą do swobód, wolności.

Miłośnicy wszechsłowiańscy uważają ich za niecnych zdrajców, w najlepszym zaś razie za owce zbłąkane, które nawrócić z błędnej drogi i wcielić do wielkiej macierzy jest świętym obowiązkiem.

Działacze i uczeni ukraińscy uważani są za takich samych wrogów Rosji, jak namiestnik Bobrzyński.

To też w warunkach demobilizacji, które przedłożył Austrji ze swej strony — naprózno — „Słowianin“, był—między innemi—punkt 3-i treści następującej:

„Powinien być usunięty profesor uniwersytetu lwowskiego, Michajło Grumiewskij, zaangażowany z Kijowa przez rząd austrjacki dla stworzenia i wzmocnienia ruchu mazepińskiego, skierowanego przeciwko jedności kulturalno - narodowej narodu rosyjskiego i politycznej całości Rosji“.

Przyłączenie Galicji do Rosji jest przeto potrzebne, a nawet niezbędne dlatego, by zdradę wyplenić do szczętu i stworzyć warunki i teren odrodzenia dla uciskanych haliczan.

Jak mniej więcej proces ten ideowy będzie się odbywał, mamy aż nadto wyrobione przekonanie.

Mają je, zdaje się, i ukraińcy, bo do pieszczonej przez „Słowianina“ Arkadji politycznej nie tęsknią i nie spieszą się.

Wi-ski.

PRASA POLSKA.

Ostateczne skoszlawienie przez Radę Państwa projektowanego dla Król. Polskiego samorządu miejskiego stanowi jeszcze jeden dowód, że od sfer reakcyjny, obecnie głos w polityce mających, niczego spodziewać się nie możemy.

Mimo to, zawsze poczciwy organ realistów, „Słowo“, wystosował pod adresem Hurków i Stiszinskich kazanie, widocznie w nadziei, że prysznicem słów zdoła im oczy przemyć. Gdyby prawica Rady Państwa czytywała „Słowo“ warszawskie, dowiedziałaby się z pomieszczonego tam artykułu pana W. B. szeregu ogromnie nowych prawd, j. np.: że

„Kto mieczem wojuje—ten od miecza ginie“

„Kto sieje wicher—burzę zbiera“

„Kto w swym narodzie instynkt sprawiedliwości zabić pragnie—zły los gotuje swemu narodowi“

„Złe nie tuczy ani jednostek, ani państw“

I t. d., i t. p. — oklepane frazesy, które pan Hurko równie dobrze umie na pamięć, jak p. W. B.

Poco więc to pisać? Ano, poprostu dlatego, że politycy z obozu „Słowa“ właściwie nic do powiedzenia nie mają wobec zdecydowanej klęski taktyki, której wytrwale hołdują.

Bankructwo tej taktyki omawia szczegółowo „Tygodnik Polski“—organ części demokratów narodowych, których zraziły sojusze p. Dmowskiego.

„Polityka ta opiera się na twierdzeniu, iż za cenę umiarkowania taktycznego, za cenę nieporuszania spraw „drażliwych“, za cenę manifestowania stanowiska państwowego, wcielania się całkowitego w organizm ciał parlamentarnych,—uzyskamy w dziedzinie gospodarczej i społecznej szereg realnych korzyści narodowych, których uwieńczeniem będzie na razie instytucja tak niezbędnego w kraju samorządu miejskiego; unikniemy zaś ciosów nowych, a w ich liczbie przedewszystkiem wyodrębnienia Chełmszczyzny. W całem rozumowaniu rzeczników tej taktyki, na planie pierwszym stała zawsze sprawa samorządu miejskiego, słusznie uważana za niesłychanie doniosłą i palącą potrzebę życia naszego w tej dzielnicy. Całe stosy artykułów dowodziły obszernie, iż wobec możliwości otrzymania instytucji samorządowych, które popchną społeczeństwo na drogę wielkiego postępu wewnętrznego i wzmocnią pod każdym względem jego siły, nie czas oglądać się na ustępstwa w innych dziedzinach, te bowiem okupi z nadwyżką pożytek, płynący z możności zarządzania miastami przez samo społeczeństwo. Nie wnoszono więc interpelacji wówczas, gdy można było liczyć jeżeli nie na sukces rzeczowy, to na jasne uwydatnienie położenia, w jakiem się znajdujemy; głosowano za budżetami, zawierającemi pozycje, bezpośrednio w społeczeństwo godzące lub takie np., jak budowa floty; kokietowano październikowców i nawet prawicowców, brano udział w manifestacjach neosłowiańskich wbrew widocznym z góry ich tendencjom; unikano jakiegokolwiek wyodrębniania narodu naszego i jego interesów, owszem, zaznaczano przy wielu okazjach dążności wręcz przeciwne,— wreszcie, nawet w samej sprawie projektu samorządowego, wstrzymano się od wniesienia całego szeregu poprawek rzeczowych, nic nie mających wspólnego z zagadnieniami polityczno-narodowościowemi, w zakresie zaś tych ostatnich aprobowano milcząco różne ograniczenia w projekcie zawarte. Dopiero całkowite wyrzucenie języka polskiego z obrad rad miejskich skłoniło przedstawicieli naszych, — i to nie bez oporu ze strony pewnej ich części,—do przeciwstawienia się projektowi“.

„Tygodnik Polski“ mniema, że „losy, które spotkały projekt samorządowy w Dumie, a następnie w Radzie Państwa, winny się stać początkiem radykalnego zwrotu taktyki dotychczas uprawianej“.

My jednak sądzimy, że nadzieja to na niczem nie oparta. Dzisiejsza ordynacja wyborcza zarówno w Rosji, jak w Polsce głos daje impotentom politycznym, z tą tylko różnicą, że za bezpłciowcami rosyjskimi inercyjnie wlecze się jeszcze siła; polskim zaś nie pozostało nic, prócz możności gadania.

Możność tę wyzyskują oni sumiennie, nadużywają jej nawet. Oto np. „Kurjer Litewski“ ostro natarł na „Krytykę“ krakowską w sprawie „Komisji Tymczasowej“, wiedząc, że tu u nas nikt zarzutów jego odeprzeć nie może. Jest to śmiałość dla rycerzy tego rodzaju wielce charakterystyczna.

Głosy rosyjskie.

Zlekceważenie ciał prawodawczych.

„Now. Wr.“ pisze: „Bardzo ciekawa z zasadniczego punktu widzenia sprawa powstała niedawno w radzie wojskowej: ministerjum wojny uznało za rzecz słuszną rozciągnąć moc nowej ustawy o emeryturach i zapomogach dla urzędników ministerjum wojny również na rodziny wojskowych, którzy zmarli na służbie pomiędzy d. 14 stycznia r. 1909 a 14 stycznia r. 1912.

„Gdy podniesione zostało pytanie, jak ta sprawa ma być urzeczywistniona, rada wojskowa — powołując się na art. 86 praw zasadniczych — uznała się za miarodajną do roztrzygnięcia kwestji bez uciekania się o sankcję do ciał prawodawczych, jakkolwiek wniosek ten — związany z nowemi wydatkami i uzupełniający prawo z d. 6 lipca r. 1912 — w sposób niewątpliwy wymaga aprobaty ciał prawodawczych.

„Ta próba rady wojskowej pominięcia w danym wypadku instytucji prawodawczych, napotkała energiczny opór ze strony zainteresowanych ministerjów: skarbu i kontroli państwa, które stanowczo odmówiły radzie wojskowej zgody na urzeczywistnienie projektowanych zarządzeń bez zgody ciał prawodawczych“.

Epizod walki z „chuligaństwem“.

W jednym z ostatnich numerów „Rieczy“ znajdujemy interesującą historyjkę, o tym jak oryginalnie usiłował zastosować rozporządzenia administracyjne o chuligaństwie — urzędnik do szczególnych zleceń przy gubernatorze samarskim, p. Kamienkow.

Gdy do mieszkania jego przybył komornik Bużkow, w celu wyegzekwowania 94 rubli z wyroku sądowego, p. Kamienkow, jak podaje „Wołżskoje Słowo“, zwrócił się doń z przemową następującą:

— Niech pan się nie waży, mówić do mnie. Jestem urzędnikiem do szczególnych zleceń przy gubernatorze i żadnych interesów do mnie pan mieć nie może. Jakie pan ma prawo nachodzić mieszkanie? Jestto chuligaństwo. Na mocy prze-

pisów obowiązujących o walce z chuligaństwem aresztuję pana!

Jednakowoż, wezwany przez p. Kamienkowa, urzędnik policji nie odważył się aresztować komornika, który włożył łańcuch urzędowy i rozpoczął opis mebli...

Najciekawsze w tej całej sprawie jest to, iż gubernator samarski przywołał do siebie następnego dnia komornika, Bużkowa i zagroził mu, iż w przeciągu 24 godzin skaże go w porządku administracyjnym na deportację z Samary.

NA WIDNOKRĘGU.

Zatrząsł losami Europy władca państwa, liczącego mieszkańców tyle, co całe Wilno bez przyległości. Król Nikita czarnogórski, który, naprzemian, tworząc komplikacje polityczne i spekulując papierami publicznemi, uciułał ostatniemi czasy 50 mil. franków na giełdzie wiedeńskiej, nie lekceważy też roli bohatera narodowego. Więc, wzorując się na legendarnych mocarzach, co trwogi ni przeszkód nie znali—uparł się zdobyć Skutari, wbrew woli całej Europy.

Wnet oblegli nieszczęsne miasto czarnogórscy wojownicy i jęli obrzucać je pociskami. A dyplomaci wielkich mocarstw poczęli namyślać się, co czynić. Imieniem trójprzymierza, przedstawiciele Austrji wołali, że niema czasu do stracenia; w imieniu zaś trójporozumienia reprezentanci Rosji zapewniali, że—nic pilnego.

Grzmią działa pod Szkodarem, a radzący w Londynie ambasadorowie zastanawiają się, jak podzielić łupy tureckie między zwycięskich bałkańczyków, zdradzających żywą ochotę do wzięcia się za czuby. Pogromcy otomanów: Grecja, Serbja i Bułgarja już się przeciw sobie frontami zwracają, miast kroczyć, jak dotąd, ramię przy ramieniu.

Na odczepne Austrji, ciągle — jak wrona w gnat—w Skutari wpatrzonej, urządzono blokadę portów czarnogórskich. Blokada pilnuje, by flota króla Nikity, złożona z jego prywatnego jachtu i trzech kajaków, nie sforsowała przypadkiem Dardaneli.

Austrja wciąż woła, że niema czasu. Rosja dalej powtarza: nic pilnego.

Nie dziw: Habsburgom chodzi o wyprotegowanie Albanji na państwo, „samodzielnie“ od Wiednia zależne, i danie jej bodaj jednego miasta do czegoś podobnego; Rosji natomiast zależy, by bracia słowianie przypadkiem nie zależli do Konstantynopola, bo... co nadto to niezdrowo.

A gdy tak w myśl petersburskich intencji, Europa kreśliła granice bułgarsko-tureckie i godziła swarzących się wspólników—jak grom z jasnego nieba, nadchodzi wiadomość o upadku Skutari.

— Co się stało? — mruczą dyplomaci koncertu.

— To gwałt! To rozbój! — krzyczą politycy austrjaccy. — Szkodar musi należeć do Albanji.

— Po moim trupie—odpowiada król Nikita. — Miasto, krwią czarnogórskich rycerzy zdobyte, aż do końca świata czarnogórskiem pozostać musi.

Lecz prasa wiedeńska, nie w ciemię bita, demaskuje starego wygę.

— Już niech nam Wasza Królewska Mość krwią czarnogórską głowy nie zawraca; dobrze wiemy, jak było.

I rzeczywiście: rychło pokazało się, że sprytny i wielce praktyczny bohater z Cetynji wcale Skodaru nie zdobył, ale go poprostu wyhandlował, płatając równocześnie złośliwego figla Europie, a przedewszystkiem dyplomacji wiedeńskiej.

Do tureckiego dowódcy załogi skutaryjskiej wystosował on propozycję, następującego mniej więcej brzmienia:

„Kochany Essad-baszo! Poco właściwie mamy się bić ze sobą, kiedy miasto, którego pan bronisz, a które ja zdobywam, należeć ma, z woli Europy, nie do Turcji i nie do Czarnogórza, lecz do Albanji? Pan wiesz, jakie ja obecnie posiadam wpływy. Otóż zrobię cię, kochany Essad-baszo, królem Albanji, a ty mi za to w jej imieniu podaruj Skutari.“

Tak się też stało. Nikita zaprezentował władcom związku bałkańskiego Essada-baszę, jako nowego kolegę, a wojownikami swymi obsadził Skodar.

— To kpiny z Europy, obraza wszystkich wielkich mocarstw!—krzyknęła chórem prasa wiedeńska.

Słucha... lecz w innych stolicach cisza.

— Jakto? nie obrażacie się? gdzież powaga koncertu europejskiego?

Znów cisza.

— Skoro wy się nie obrażacie, to ja się sama w waszem imieniu obrażę.

— Przepraszam—bąka dyplomacja petersburska—tylko nie w mojem. Wprawdzie wydaliśmy komunikat, mitygujący króla Nikitę, lecz są na świecie ważniejsze rzeczy, niż Skutari.

Austrja dalej odgraża się, że przedsięweźmie wyprawę czarnogórską. Ale wszystko, co czyni w tym kierunku, dzieje się... „podobno“. Więc podobno miała wystosować notę do mocarstw, podobno wyprawiła ultimatum do Cetynji, podobno koncentruje armję na granicy południowej, podobno przekonała starego cesarza swego, że wojny uniknąć się nie da, a wreszcie—również podobno— arcyksiąże Franciszek Ferdynand, głowa partji wojennej—żąda... wyczerpania środków pokojowych.

W całej tej tragifarsie, w której nie wykluczone jest zakończenie dramatyczne, najdziwaczniejsze niespodzianki są rzeczą tak normalną, że przewidywanie dalszego biegu zatargu jest zgoła niemożliwe.

h.

KRONIKA.

= Niemiła przyjaźń.

Publicyście francuskiemu, p. Gabrjelowi Dauchot zabroniono wygłoszenia w Warszawie odczytu na temat przyjaźni polsko-francuskiej.

= Tajemnicze morderstwo.

W Teresinie pod Warszawą zamordowano Władysława ks. Druckiego-Lubeckiego. W związku z tem aresztowany został Jan bar. Bisping, ordynat massalański.

= Handel wpływami.

„Riecz“ ogłosiła sensacyjne rewalacje w sprawie handlu wpływami, prowadzonym przez „Nowoje Wremia“. Współpracownik tego pisma, niejaki Sniessarew, w porozumieniu z wydawcami gazety, prowadził systematycznie układy z przedsiębiorstwami finansowemi, które, drogą łapówek, zyskiwały protekcję wpływowego pisma.

= **Zdemaskowanie Kruppa.**

W parlamencie niemieckim socjal-demokrata Liebknecht zdemaskował manipulacje głośnej fabryki armat Kruppa. Jak się okazuje, Krupp dopomagał szpiegom obcych państw do wykrywania tajemnic armji niemieckiej, by tym sposobem otrzymywać coraz to nowe zamówienia.

= **Reforma sejmu galicyjskiego**

na razie udaremniona została przez protest episkopatu polskiego. W związku z tem podał się do dymisji namiestnik dr. Bobrzyński.

= **Pierwszy zjazd hygjenistów polskich,**

który miał odbyć się we Lwowie między 7 (20) a 11 (24) lipca r. b., odłożony został do roku przyszłego, skutkiem panującego w Galicji kryzysu ekonomicznego.

= **Samorząd miejski w Król. Polskiem**

Rada państwa ostatecznie skarykaturowała, nie dopuszczając do obrad języka polskiego i niwecząc wszystkie dobre strony projektu rządowego. Koło Polskie ujrzało się zmuszonem głosować przeciw projektowi.

= **Rada Narodowa w zaborze pruskim**

została ostatecznie ukonstytuowana. Zadanie jej polegać będzie na nadawaniu ogólnego kierunku polityce polskiej w państwie niemieckiem.

= **Chłosta w katordze zerentujskiej.**

Posłowie soc.-demokratyczni w Dumie Państwowej otrzymali wiadomość, że naczelnik katorgi zerentujskiej, Kowalew, skazał na chłostę socjalistę-rewolucjonistę Wiktora Reznera za to, że Rezner odmówił odpowiadania na „ty", żądając ze strony administracji łagodnego obejścia się. Po wykonaniu kary Reznera osadzono w ciemnicy, gdzie więzień poprzecinał sobie arterje. Ze słabemi oznakami życia przewieziono go do szpitala więziennego. Jaki jest stan zdrowia Reznera, nie wiadomo.

= **Stypendjum im prof. J. Ptaszyckiego.**

Rodzina ś. p. prof. Jana Ptaszyckiego złożyła 7 tys. rb. na stypendjum przy uniwersytecie petersburskim na następujących warunkach: Z odsetek tego kapitału, złożonego w „Związku polskim przyrodników i lekarzy w Petersburgu", ma być wydawane jedno stypendjum wyłącznie osobie, zadośćczyniącej wszystkim następującym warunkom, a mianowicie: niezamożnemu polakowi - katolikowi, uświadomionemu narodowo-polsko, władającemu językiem polskim, studentowi uniwersytetu petersburskiego, matymatykowi lub przyrodnikowi, z pierwszeństwa dla pierwszego.

= **Strejk powszechny w Belgji**

ustał, zmusiwszy klerykałów do przeprowadzenia rewizji istniejącej ordynacji wyborczej. Strejk przeszedł bez zaburzeń; sprzyjali mu najznakomitsi pisarze belgijscy.

= **Z ruchu kobiecego.**

Siódmy międzynarodowy kongres federacji Związków równouprawnienia kobiet obradować będzie w Budapeszcie w dniach od 15-go do 20 go czerwca r. b. W kongresie tym wezmą przedewszystkiem udział kobiety tych krajów, które już federację tworzą. Poza tem oczekiwane są też deputowane z parlamentu chińskiego, przedstawicielki ruchu kobiecego z Indji i Persji. Poprzednie kongresy obradowały w Waszyngtonie, Berlinie, Kopenhadze, Amsterdamie i Sztokholmie, a liczba uczestników płci obojej stale rosła. Zaznaczyć bowiem należy uczestnictwo międzynarodowej Ligi mężczyzn dla popierania praw wyborczych kobiecych pod przewodnictwem Johna Cockburne.

= **Strejk górników**

wybuchł na Górnym Śląsku. Bierze w nim udział przeszło 90,000 robotników, przeważnie polaków.

= **Biuro Informacyjne związku równouprawnienia kobiet polskich**

(Nowy Świat 4) zmienia dzień dyżuru na czwartki od g. 7 do 9 wieczorem. Biuro informuje o warunkach zapisu i pobytu w zagranicznych szkołach wyższych i fachowych, o warunkach nauki i pracy zawodowej w kraju, oraz udziela członkom porad prawnych.

Na odpowiedź piśmienną należy załączyć markę.

= **Dodatki kresowe.**

Parlament niemiecki odrzucił w 3-m czytaniu wznowiony wniosek rządowy, dotyczący dodatków kresowych dla urzędników na wschodzie państwa (Ostmarkenzulagen), głosami polaków, socjalistów i centrum przeciw głosom prawicy, narodowo-liberałów i postępowców.

Niemal równocześnie sejm pruski uchwalił nowe kredyty na kolonizację kresów wschodnich.

Książki nadesłane do redakcji.

Fra Silvio. *„Kroniki proroctw"*. Druk i nakład Mikołajtysa. Łódź 1913.

Fra Silvio. *„Boski poemat"*. Druk i nakład Mikołajtysa. Łódź.

Fra Silvio. *„Msza Genesis"*. Druk i nakład Mikołajtysa. Łódź.

Blay Julja. dr. med. *„O czem kobiety nie mówią"*. (Przestrogi dla rodziców i młodych). Warszawa. 1913. Nakładem „Związku równouprawnienia kobiet polskich".

A. Tupalski. *„K woprosu o błagoustrojstwie goroda Wilno"*. Wilno. 1913.

Aureli Drogoszewski. *„Eliza Orzeszkowa"*. Nakład Gebethner i Wolffa. Warszawa. Kraków. 1912.

Mieczysław Romanowski. *„Wybór poezji"*. Układ i słowo wstępne Julji Dicksteinówny. Wydawnictwo Bibljoteki literacko-artystycznej pod redakcją Jana Lorentowicza „Muzy". Warszawa, nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. H. Altenberg — Lwów. (bez daty). Tomów 2.

Makowski Wacław. *„Wrażenia i studja"*. (Rok 1905 w literaturze polskiej). Stefan Żeromski: I Dzieje Grzechu. II Duma o Hetmanie. Stanisław Wyspiański (szukanie drogoskazu) Tragedja Krasińskiego. Dwójbóżcy (Piotr z Goniądza. Stanisław Tarnowski) 3 części, str. 256. Wilno, r. 1913. Nakład W. Makowskiego. Druk J. Zawadzkiego. Cena 1 r. 60 k.

Treść numeru.

Znikczemnienie — * * *.
Wrażenia poznańskie — B. H.
Młoda Polska — E. Czekalski.
Na rzymskiej wystawie nowoczesnego malarstwa— M. Japołł.
Z księgi ciszy:
Otchłań, Oczy dziecka — J. S. Wierzbicki.
Z ruchu muzycznego—H. Łopuska.
Listy ze wschodu III — T. Nowicki.
Nowa odmiana panslawizmu — Wi-ski.
Prasa polska.
Głosy rosyjskie.
Na widnokręgu.
Kronika.



KSIĄŻE JÓZEF PONIATOWSKI.

Dr. SZYMON ASKENAZY. (WYDANIE JUBILEUSZOWE.)

Życiorys księcia Józefa Poniatowskiego pióra Szymona dr. Askenazego, profesora dziejów nowożytnych polskich na Uniwersytecie Lwowskim, członka Krakowskiej Akademji Umiejętności, ofiarujemy obecnie ogółowi polskiemu w **nowem wydaniu Jubileuszowem.**

Rzecz ta już w poprzednich dwóch wydaniach, od pierwszej chwili swego ukazania się, odrazu zarówno trafiła do serca narodu, jak i zdobyła entuzyastyczne uznanie krytyki fachowej. Świetlana postać jednego z najdroższych nam wodzów, prowadzących naród w trudnej dobie wielkich przełomów dziejowych, w jeden z najciemniejszych i najmniej zbadanych okresów jego bytu porozbiorowego, wymagała zarówno rozległych badań, jak i serdecznej intuicji, któraby oświeciła postać promiennego rycerza wolności i honoru, uwydatniła to, co w niej jest syntezą ducha polskiego, to co w niej streszcza dzieje naszej martyrologji, naszych odkupicielskich porywów i całopałeń. Książka prof. Askenazego odpowiedziała obu tym kierunkom i dlatego dziś jest jednym z najcenniejszych klejnotów w skarbnicy umysłowości polskiej, wzmacniając naszego ducha w dobie ciężkich przejść i nawiązując nić dawnych tradycji w sercach młodych pokoleń.

Jako wzór opinii i sądów wyszłych o tej książce, przytaczamy tu z jednej strony poważny głos zasłużonego **dziejopisy erudyty,** z drugiej zaś krwią serdeczną i nerwami pisane refleksje **najgienialniejszego z poetów** Młodej Polski:

Aleksander Rembowski. „Pisma", tom III, Warszawa 1906, str. 817—828 pisze:

„Prof. Askenazy... przetrząsnął... archiwa państwowe czy rodzinne w Petersburgu, Warszawie, Jabłonnie, Krakowie, Krzeszowicach, Wiedniu, Berlinie i Paryżu i wszędzie szukał historycznego światła, nie gardząc najdrobniejszym szczegółem, zastanawiającym nasz umysł, czy oko. Plon też pracy prof. Askenazego, plon, naturalnie, źródłowy, okazał się niezmiernie bogatym, cennym i prawie, rzec można bez przesady, pełnym. Jakkolwiek bowiem w przyszłości może być wydobyte z ukrycia niejedno źródło i w ten sposób zdobyty niejeden szczegół z życia księcia Józefa, niemniej jednak na podstawie zdobytego przez prof. Askenazego materjału, sąd historjozoficzny jego o księciu Józefie będzie epokowej solidności, stanie się trwalszym od spiżu — „aere perennius." Dzięki skarbom archiwalnym, publicznym i prywatnym, autor nie potrzebował się uciekać do przypuszczeń, domniemań, a co najważniejsza, do indywidualnych opinji i poglądów, jak to uczynili zbyt często jego poprzednicy, ale przemawiał faktami, które mówiły za siebie, a raczej za księcia Józefa, wymowniej i wierniej, aniżeli najgorętsze uwielbienia, spowite w kwiaty najpiękniejsze retorycznego frazesu.

Do wszystkich epok życia ks. Józefa prof. Askenazy dorzucił wiele cennych i ciekawych szczegółów, a we wszystkich stadjach życiowych swego bohatera umiał się doszukać owych cech znamiennych, stwarzających prawy i niczem niezachwiany charakter wodza i obywatela...

Z przepysznego portretu księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy, widać jego przymioty niepospolite, czy to jako ministra wojny, czy to naczelnego wodza... Praca prof. Askenazego uwydatniła w równie mistrzowski sposób niezwykłą prawość charakteru księcia Józefa... Portret historyczny księcia Józefa, jaki nam dał prof. Askenazy w swojej pracy, pomimo bogactwa wielu nowych i wielu sprawdzonych szczegółów, nie przeistoczył się w misterną mozaikę, lecz pozostał portretem historycznym w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Nie szczegóły zachwycają czytelnika, lecz całą postać, którą autor przedstawił promiennie i prawdziwie, unikając po mistrzowsku jaskrawości chwalczej i sztucznego, efektownego nastroju. Jeżeli z Thorwaldsenowskiego posągu księcia przemawia do widza zimna postać rzemiosłowego wodza, to z postaci, którą nam Askenazy odtworzył, występuje wódz-obywatel, złączony temi samemi nadziejami i pragnieniami z każdym szeregowcem. Jego postać podnosi w żołnierzach serca, krzepi wiarę i budzi świadomość konieczności poświęcenia się. W końcu wojsko ślepo wierzy, że jest on uosobioną prawością i że nigdy nie pozwoli utonąć honorowi rycerskiemu w targowickiej otchłani. W przyszłości będzie prawdopodobnie odkryte niejedno źródło archiwialne i skutkiem tego monografja księcia Józefa będzie wzbogacona niejednym szczegółem. Wierzę jednak w to mocno, że główne rysy psychiczne księcia Józefa w portrecie historycznym Askenazego utrzymają się na zawsze. Takim, jakim go przedstawił Askenazy, pozostanie w dziejach naszych i nie utonie nigdy w niepamięci, czy niewdzięczności narodowej."

Stanisław Wyśpiański: Wiersze, fragmenty dramatyczne, uwagi, Kraków 1910, str. 220 do 222, pisze:

„Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna dola rozwija się w tej książce o wielkim rycerzu. Bez słowa krzywdy dla niego—w zamknionej piersi tłumiąc ból ducha—dla Polski tylko i na tej tylko Polski służbie, wszędzie i zawsze dla Polski honoru i sumienia.

Można się było domyślać, można było zgadywać z portretów jego, z miłości narodu do jego imienia, z legendy jego rycerskiej, i śpiewać o nim, że tajemnice w nim są i skarby w tej duszy wielkie i żar, co ze śmiercią nie stygnie.

Ale dopiero po przeczytaniu tej książki wie się o tem, że domysł i przeczucie, to nowa dla niego krzywda i wielkiej jego rzeczywistej tragedji przyćmienie. Tę tedy należy poznawać i czytać i znać i dlatego czytać należy dzieło Askenazego.

Potoczne dzieje te księcia są opowiedziane. Szybko i mimo wielu szczegółów zwięzle i jasno. Że rys niepominięty żaden, a całość ująć łatwo i do końca tchem jednym czytając, nie przyjdzie zaznać znużenia i jest się wszystkich księcia trosk i skąpych radości, tryumfów i rozpaczy i wyczekiwań nękających i błysków geniuszu świadkiem i patrzy się w tę postać wielką z drżeniem i umiłowaniem, zapałem i trwogą przez czas czytania kart ostatnich o dniach kilku pod Lipskiem — by—ostatnie czytając wiersze,—ujrzeć ją olbrzymią, zapadającą w mętną topiel wód wezbranych.

Mówiono i powiedziano już zapewne wiele, pięknie i czule o Poniatowskim księciu i pięknym jego zgonie, ale może nie dosyć powiedziano i nie wyraźnie zadość, zadość, za co ginął i czem żył.

Jaką to w sobie świętą miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której ginął.

Mówićby chyba kto nie umiał, gdyby nie znalazł słów dla księcia Józefa, a duszyby chyba nie miał, gdyby ku niemu ze wzruszeniem nie poglądał, gdy rycinę jego przedstawiającą lub portret gdzie dojrzy, — ale niechże książkę tę Askenazego czyta, to dowie się, jak i jak bardzo człowiek ten kochania godzien i godzien uwielbienia i jak dalece stał straszno samotny. To, co było jego tajemnicą, to sumienie i honor, a jedynie ku temu cenzus znajdywał jedynie w sobie... Na rzecz jedną, znamienną zwróciłbym w tej książce uwagę i wdzięczność należy się Askenazemu za to, że tak tę książkę ujął i objął. Od młodości aż po zgon żywot jest cały, a nareszcie raz nie spotykamy się z galerją kochanek i milostek katalogiem. A nareszcie raz nie dowiadujemy się nigdy, w kim się książę „Pepi" kocha dziś, w kim kochał się wczoraj, miesiąc temu i t. d. Widocznie interesują te sprawy autora niniejszej książki tyle co interesowały i samego księcia Józefa. Tu i owdzie jest wzmianka, ale właśnie dosyć, by ważność jej zrozumieć. Za to pominięto wszystko, co zgoła żadnej nie miało mieć wartości. Jest to zatem książę Józef odkryty i zrozumiany i poezja o księciu rycerzu prawdziwa."

„Książę Józef" prof. Askenazego, dzieło które spotkało się również z gorącem uznaniem największych powag w dziedzinie dziejoznawstwa nowoczesnego zagranicą, wyszło niedawno w edycji niemieckiej u Perthesa w Gothcie, a w r. b. przygotowuje się jego edycja francuska w Paryżu. **Obecnie ukazuje się ono w III edycji polskiej,** w postaci przejrzanej **przez autora, poprawionej i znacznie rozszerzonej zarówno w tekście.** jak i w **przypisach,** znakomicie wzbogaconej w części ilustracyjnej.

Cena za gotówkę Rs. 7—franko. Nakładcą jest p. Karol Rzepecki w Poznaniu, wspólnik księgarni Zdzisława Rzepeckiego i Ski tamże.

Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny ...

Rok II. Wilno, 26 Kwietnia (9 Maj) 1913 r. № 17.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Prawo i siła.

Obłuda dyplomacji, maskująca wszelkie porachunki międzypaństwowe względami etycznemi, dawno już nie uderzała takim, jak obecnie, cynizmem. Notoryczni rabusie i gnębiciele, rządzący się u siebie w domu wyłącznie prawem pięści, stają w obronie „sprawiedliwości"... na Bałkanach. Naród albański, który ludzkości dawał dotąd znać o sobie tem tylko, że do świty sułtańskiej najdzikszych dostarczał drabantów—Europa nagle czuje się w obowiązku samodzielną państwowością obdarzyć.

Nie można przecie dopuścić, by grecy i serbowie wynaradawiali górali albańskich; by stawiali zapory rozwojowi ich własnej kultury. Byłaby to niesprawiedliwość, krzywda, o pomstę do nieba wołająca!

Zgodzili się na to wszyscy, konferujący w Londynie, ambasadorowie.

A potem przyszła kwestja Skodaru. Podniesiono i tu również względy „sprawiedliwości". Stwierdzono, mianowicie, że wśród mieszkańców Skutari większość mają albańczy. Do kogóż więc należeć powinno miasto? Oczywiście, do Albanji. Po tej stronie — słuszność.

Ten nowy tryumf motywów humanitarnych cieszy poczciwych liberałów europejskich, nie wyłączając naturalnie berlińskich, którzy dopiero co głosowali za nowym kredytem—230 miljonów marek — na „obronę" kresów wschodnich.

Słuszności praw narodowych... na Bałkanach, z niemniejszym entuzjazmem bronią i panslawiści petersburscy. Echa ich przemówień w obronie „sprawiedliwości" dolatują aż do Paryża, do Londynu, budząc tam rozrzewnienie powszechne.

Słowem, gdzie się obrócić—górą, od Boga dane—prawa narodów.

Gdy się o tem wszystkiem czyta, mimowoli ciśnie się do głowy pytanie: jaki cel właściwie mieć może cała ta mizerna komedja? Czyż są jeszcze naiwni, którzy frazesy dyplomatów i ich dziennikarskich popleczników braliby na serjo?

Otóż są. Lecz—co najszczególniejsze — nawet u nas, t. j. wśród narodu, będącego żywem świadectwem fałszu i hypokryzji deklamatorów dyplomatycznych, trafiają się ludzie, którzy poważnie zastanawiać się potrafią, czy „po sprawiedliwości" ten a nie inny obrót wziąć powinien którykolwiek z czynów politycznych. Stąd wnosić można, że błazeństwa dyplomacji nie są bezcelowe; że mogą one wciąż jeszcze sugestjonować i bałamucić masy, wpajając im przeświadczenie, iż kompas dziejów świata zwraca się stale w kierunku sprawiedliwości.

Naiwnej tej wiary nie rozpraszają ani monstrualne zbrojenia, ani wyprawy marokańskie, ani nawet położenie narodu, zajmującego środek Europy. Na Bałkanach ślepota tłumu chce dziś widzieć i widzi zwycięstwo słuszności. Nie dostrzega zaś, że jest to tryumf przedewszystkiem siły, która jedna tylko decyduje tak w walkach o wyzwolenie, jak o grabież.

Gdyby nie ten upór w łudzeniu się, głupota i hypokryzja nie wystąpiłyby swego czasu zgodnie przeciw najznakomitszemu z powiedzeń Bismarka: że „siła idzie przed prawem". Z brutalnym cynizmem genjusz pięści stwierdził tu niewątpliwą pawdę.

Niema słuszności, niema sprawiedliwości. Jest tylko moc.

Przez odkrycie to świadomość ludzka przejść musiała. I stać się ono powinno głośnem, popularnem, wszystkim znanem. Winno otworzyć oczy na rzeczywistość, wciąż strojoną w bezwartościowe, choć barwne, szmaty frazesów.

Lecz równocześnie z popularyzowaniem tej prawdy, zauważyć należy, iż genjalny prusak odkrył jej część tylko. Stawiając słusznie siłę przed prawem, zapomniał, że jedno i drugie — są to pojęcia względne. Co dziś jest siłą, jutro słabością okazać się może. Co dziś jest prawem — jutro za bezprawie uznane zostanie.

Słowa Bismarka, wierzącego w siłę, uzupełnia naiwna wiara tłumu—w sprawiedliwość. Bo w tem wszystkiem, co sumienie i ślepy instynkt za słuszność poczytuje, tkwi zarodek rzeczywistej siły, która w odpowiednim momencie ujście dla siebie znajduje i prawo zdobywa.

Przejawem takiego właśnie wyzwolenia się siły ze słuszności był pogrom Turcji przez odwiecznych jej niewolników.

Ale fakt ten niema nic wspólnego z deklamowaną sprawiedliwością dyplomatów europejskich, liberałów wiedeńsko-berlińskich, panslawistów petersburskich, ani żadnych innych szalbierzy politycznych, umiejących—w imię rzekomej sprawiedliwości—gnębić lub wyzwalać ludy dla własnych swoich widoków.

Na poczucie sprawiedliwości tych żywiołów nigdy rachować nie należy; odwoływanie się do nich w imię słuszności jest najzwyklejszem głupstwem, na które jedyną odpowiedzią—drwiny.

Wszelkie żądania opierać wolno tylko na sile. Jednocześnie wszakże śmiało wierzyć można, że żądanie słuszne, w sprawiedliwości mające oparcie, siłę tę bodaj w zarodku posiada. Trzeba tylko wiedzieć, jak ją rozwijać, oraz jak i kiedy jej użyć.

J. S.

⊳ooooooooo⊲

Z serca Polski.

Kraków, d. 4 maja.

Tyle się nasłuchało o nędzy galicyjskiej, wywołanej tegorocznem przesileniem, że z pewną obawą wjeżdżałem do Krakowa.

Nie jest przyjemny widok czyjegoś cierpienia, gdy niema możności ulżyć mu. Trzeba jednak być bacznym obserwatorem i wejrzeć głębiej w życie ekonomiczne, by stwierdzić, że istotnie Galicja przeżywa ciężki kryzys. Na pozór nic się nie zmieniło. Kawiarnie przepełnione, na ulicach strojne tłumy, teatr, mimo iż jest nieszczególny, ma zawsze niemal pełno widzów.

Przyjezdny z zaboru rosyjskiego rozkoszuje się miłą, swojską atmosferą i z pewnem zniecierpliwieniem wysłuchuje narzekań i utyskiwań miejscowych malkontentów, którzy krytykują z reguły Kraków, Galicję, Austrję, bo nie zaznali stosunków innych.

Zapewne, nie wszystko tu stoi na poziomie doskonałości, lecz gdzie niema braków? Zbyt jednak widoczna jest najważniejsza cecha warunków miejscowych, która w naszych czasach może wynagrodzić wiele innych stron ujemnych. Galicjanin tak się jednak zżył ze swobodą polityczną, że jej należycie ocenić nie umie.

Na przybysza z północy Kraków pod względem psychicznym wywiera to samo wrażenie, co niedalekie Zakopane pod względem fizycznym. Pierś oddycha szeroko, prostują się zgarbione plecy, cały organizm się odmładza. I świat staje się milszy, i ludzie bliżsi. W pewnych momentach szczególniej największy sceptyk nie może się oprzeć wzruszeniu, którego zresztą nie potrzebuje się wstydzić.

Budzi ono bowiem w duszy uśpione głęboko na dnie porywy i marzenia, które rzeczywistość zasypuje wciąż grubemi pokładami kurzu, a które stanowią jednak najlepszą cząstkę człowieka, których zanik zupełny wykreśliłby go z szeregu istot żyjących i tworzących życie.

Chwil takich wzruszeń podniosłych bynajmniej się nie przeżywa podczas obchodów uroczystych, gdzie strona obrzędowa, zewnętrzna przytłumia treść istotną. Nie w dniu 1 maja, gdy kilkutysięczny tłum wędruje ospale przez miasto z olbrzymim czerwonym sztandarem na czele, na którym widnieje napis „Precz z wojną!“ i nie w dniu 3 maja, gdy przez Rynek przeciągają na Wawel niezliczone szeregi uczącej się młodzieży ze swemi godłami i orkiestrami, pochód zaś zamyka grupa opasłych sokołów na rasowych wierz-

---

M. PAWLIKOWSKI. 4)

Romans Wacława Błockiego.

Wieczorem przed balem zaszedł Bojański. Niósł ze sobą świeżość, zdrowie i nieświadomość.

Ira uczuła w sercu dziwne ukłucie.

Jednak na powitanie mocno pocałowała narzeczonego w usta.

A on z nieskrywanym podziwem patrzał na smukłą postać, obleczoną w balową szatę seledynowej barwy. Obnażone ramiona oślepiały i onieśmielały przedziwną, „złocistą“ bielą.

Pogawędzili chwilę, poczem Bojański rzekł:

— Idę się przebrać. Do zobaczenia na balu. Mogę cię prosić o kontredansa?

Drgnęła.

— Już tańczę.

— Tak?—zdziwił się z rozczarowaniem. — Dowidzenia.

Gdy wyszedł, Ira pobiegła do buduaru, padła na szezlong i wybuchnęła gwałtownem łkaniem. Długo nie mogła się uspokoić. Dopiero kroki matki otrzeźwiły ją, Przemyła oczy i zatarła pudrem ślady łez.

. . . .

Szary zimowy zmrok zwolna osnuwał ziemię.

Sinawe kontury kamienic tonęły w pomroce. W powietrzu krążyły pyłki suchego śniegu.

Błocki oparł czoło o chłodną szybę i martwo patrzał w szarawy bezkształt miasta za oknami.

Od chwili gdy wysłał list do Iry czuł, że go znów opanowuje wszechwładna a nieokreślona jeszcze, prawie niedostrzegalna a silna zmora znudzenia. Przeczucie mówiło mu, że wszystko dalej pójdzie, jak z płatka, że już skończył się prolog dramatu.

Dramatu?!

Smętny uśmiech przemknął po bladych wargach.

Próżno silił się, by przed oczami duszy stanęła olśniewająca, promienna, nęcąca postać Iry. Miast tej wizji, szła ka niemu z sinawych cieni mroku jakaś niejasna, mętna mara. Już go tykały jej chłodne, obojętne a mocne ramiona.

Wzdrygnął się.

chowcach. Na to się patrzy, jak na teatr, jak na zajmujące barwne widowisko.

Lecz kto chce doznać wrażeń istotnie wyjątkowych, gdzie sentyment narodowy łączy się harmonijnie z poczuciem budzącej się siły realnej, ten niech wczesnym rankiem pośpieszy którejś niedzieli lub w święto na pobliskie Błonie, ciągnące się aż pod kopiec Kościuszki. A gdy na tle szmaragdowej łąki i przebijających ranne opary swą czerwienią murów Zamku Królewskiego, ujrzy setki młodzieńców, przyodzianych w skromne popielato-granatowe kurtki, wykonywających swe ćwiczenia z zapałem i karnością — ogarnąć go musi wzruszenie na kształt tych, których doznają wierni wobec odbywających się tajemniczych misterjów eleuzyjskich.

Nie zdaje sobie dokładnie sprawy widz z oglądanego obrazu. Nie zna konkretnych celów i planów tej podzielonej na czwórki gromady. Czuje tylko, że w ustępujących pod działaniem wiosennego słońca mgłach powstaje jakaś nowa siła, tworzy się jakieś nowe dzieło, przy narodzinach którego danem mu było być obecnym.

Na Błoniach krakowskich zachodzi obecnie proces, którego skutki dadzą się odczuć niezadługo wszędzie, gdzie się rozlega mowa polska. Na arenę życiową wstępuje nowe pokolenie z odmienną psychiką, z inną idejologją, niż to, które budowało dotychczasowe programy walki klasowej, pracy organicznej, polityki ugodowej. Z rozmitych pierwiastków, z których się składa zbiorowa dusza polska, a które, sztucznie posegregowane, wytwarzały dotychczas nieprzejednane, biegunowo przeciwne ugrupowania, obecnie żywiołowo niemal powstaje synteza, rozwiązująca najważniejsze zagadnienia czynu narodowego.

Nie przesądzając doniosłości jej konkretnych form, w których się ona realizuje dzisiaj, podnieść należy olbrzymią wartość strony zasadniczej, idejowej, jako dążenia do skupienia rozbieżnych sił w imię powszechnego hasła, któremu na imię odrodzenie.

Dziwić się można, że największymi przeciwnikami nowego ruchu, najzajadlejszymi jego krytykami są te żywioły właśnie, które niedyś tak gorąco propagowały ideję zjednoczenia, a nie umiały znaleźć dla niej odpowiedniej formy. Czyżby pobudką do zwalczania była tu pospolita *jalousie du metier*? Tak wygląda.

Uporczywe przeciwdziałanie i ośmieszanie nie przeszkadza jednak, że młody ruch się rozwija i zyskuje coraz liczniejszych zwolenników. Dwa momenty zasługują w nim na szczególniejszą uwagę: wytworzenie nowego typu obywatela zpośród młodzieży oraz budzenie określonych dążeń idejowych w masach. Zarówno włościanie jak robotnicy garną się nader chętnie do powstających organizacji, przejmując się duchem najpiękniejszych tradycji polskich, dla których urzędowi a jednostronni czciciele przeszłości narodowej mają tylko pobłażliwy jeżeli nie ironiczny uśmiech.

Ruch ten, wywołany po części nastrojem chwili, krzepnie dziś i zakreśla sobie perspektywy odległe. Niepewna sytuacja perspektywy te to zbliża, to oddala.

Wytwarza się przez to zrozumiałe zdenerwowanie, które utrudnia pracę spokojną, twórczą u podstaw. Zagadnienia natury kulturalnej odchodzą na plan dalszy, co nie przeszkadza jednak, że nauka, sztuka, oświata kwitną i pod tym względem Galicja przoduje, jak dawniej, innym dzielnicom.

Prócz przesilenia, związanego z polityką międzynarodową, Galicja przeżywa obecnie zamęt wewnętrzny na tle walki o reformę wyborczą do Sejmu. Kwestja ta wymaga nieco obszerniejszego omówienia, niż by się to dało uczynić w luźnej wiązance wrażeń. W Krakowie zresztą nie budzi ona zbyt wielkiego roznamiętnienia. Właściwym terenem walki jest Galicja wschodnia, Lwów, gdzie Demokracja Narodowa posiada rozgałęzione wpływy. W Krakowie endencja, rzecz charakterystyczna—niemal nie istnieje. Drobna grupa daje znać o sobie od czasu do czasu, zwołując wiece, na które zbiera się znikomo szczupła ilość uczestników. Przytem żadnej roli w życiu publicznem nie odegrywa.

Zjawisko zupełnie naturalne, gdy się zważy, że ludność tu jest jednolita i nie daje pola do popisywania się płytkim patryjotyzmem, polegają-

---

Przypomniał czasy młodości, czasy pierwszych schadzek. Przypomniał, jak mu serce waliło w zdławionej piersi, a głowa kręciła się od zawrotnej, upojnej radości.

Teraz wszystko zmartwiało w nim i skostniało. I tylko jakaś moc, co była nie w nim, a po za nim, pchała go dalej po wybranej drodze.

Ira...

Drgnął i uczuł ożywcze ciepło.

Mara znudzenia znikła, i w całem jestestwie zadrgał ferment pożądania.

Widział białe, cudnie białe, aż złociste ciało Iry, drżące pod ciężarem jego głodnych spojrzeń. Uczuł na ustach dotyk czerwonych, soczystych, uświadomionych warg. Posłyszał szept uduchowionej zmysłowości.

. . . .

Wije się barwny korowód postaci, haftowany czarnemi plamami fraków.

W powietrzu zmieszany zapach perfum i więdniejących kwiatów.

Od lśniącej posadzki bije blask kinkietów.

Błocki, pod rękę z Irą, idzie w korowodzie barwnych par.

— Odebrała pani moją kartę?

— Tak.

Rozłączono ich. Martwo, prawie odruchowo stąpa po posadzce, wpatrzony w jakiś niewidzialny punkt.

Znów spotkali się. Znów ujął jej rękę w swą dłoń.

— ...i nic mi pani nie mówi?

Powłóczyste, wymowne spojrzenie.

— Iro...

Ręka, którą trzymał w swej dłoni, lekko drgnęła. Na policzki wystąpiły słabe rumieńce. Przymknął oczy.

— Iro... Zbliża się chwila, gdy na wieki będziemy rozłączeni... gdy legnie między nami mur, którego żadne z nas przekroczyć nie ośmieli się... odejdziemy każde w swą stronę... Wszystko wtedy będzie stracone...

Znów rozłączyli się.

— Iro... Między nami nic nie było, tak, nic nie było... Ale musi, musi być *coś*...

Po chwili kroczą pod rękę.

cym na ustawicznem jątrzeniu antagonizmów narodowościowych.

Nieprzejednane stanowisko względem projektowanej reformy wyborczej, jakie zajęła Demokracja Narodowa, pochodzi zresztą, jak mnie tu objaśniono, bynajmniej nie z pobudek egoizmu narodowego, lecz egoizmu partyjnego. Ustępstwa, poczynione rusinom przez projekt reformy, są w istocie dość umiarkowane i wywoływać oburzenia nie mogą nawet w najzagorzalszym obrońcy polskiego stanu posiadania w Galicji wschodniej. Reforma stanowi tylko pretekst do kampanji przeciwko znienawidzonemu namiestnikowi Bobrzyńskiemu, którego obalenie jest najgłówniejszym obecnie celem miejscowej endecji.

To też gdy, dzięki wystąpieniu episkopatu polskiego, stańczycy zmuszeni zostali do cofnięcia się i projekt reformy nie mógł liczyć na uchwalenie przez Sejm—ze strony Demokracji Narodowej rozległy się tryumfujące głosy: obaliliśmy Bobrzyńskiego!

Zdaje się jednak, że radość jest przedwczesna. Prawdopodobnie namiestnik ustąpi na razie, bo Sejm zostanie rozwiązany i wyborami będzie kierował inny urzędnik; po wyborach jednak Bobrzyński znów obejmie swe stanowisko, gdyż jest uważany w Wiedniu, jako jedyny mąż stanu, który może piastować odpowiedzialny ten urząd.

Bezstronność każe wyznać, że pogląd władz wiedeńskich nie jest pozbawiony słuszności: Bobrzyński bowiem jest politykiem pierwszorzędnym i nie widać na horyzoncie nigo, kto by mógł się z nim mierzyć. Można się nie zgodzić z jego koncepcją, polegającą na ścisłem utożsamianiu interesów narodowych polskich z interesami państwowemi austryjackiemi, ale w obozie konserwatywnym panuje wyłącznie idejologja sceptycyzmu względem własnych sił. W każdym razie wyższą jest idejologja Bobrzyńskiego od metod, uprawianych przez Dmowskiego i Głąbińskiego, spoglądających z rozczuleniem na neoslawistów.

Okoliczność ta jest powodem, że żywioły demokratyczne polskie popierają do pewnego stopnia Bobrzyńskiego, chociaż ten jest zaciętym wstecznikiem pod względem społecznym. **Wester.**

Wrażenia poznańskie.

II.

Przy panujących obecnie stosunkach polskie życie umysłowe w zaborze pruskim ledwo, ledwo tleje. Niema tu ani literatury, ani sztuki, ani nauki; nawet publicystyka — mimo olbrzymiej poczytności dzienników — stoi na poziomie rażąco niskim. Prócz paru wydawnictw Demokracji Narodowej i jednego polskich junkrów—reszta pism (nawet wielce rozpowszechnionych) grzeszy prostactwem myśli i formy. Słynne ongi Tow. Przyjaciół Nauk z trudem dziś wegietuje, okazując niejaką ruchliwość tylko w dziedzinie archeologji. Próżnoby szukać sprawozdań z działalności tej instytucji. Śród inteligiencji, po domach prywatnych, odbywają się wieczory t. zw. „literackie“, których uczestnicy odczytują referaty z zakresu historji, traktowanej po dyletancku i z sentymentalizmem pamiętnikarskim. Ruch wydawniczy, książkowy, o ile nie sięga po pióra zakordonowe, bezwartościowym balastem obciąża literaturę. Drukowane obficie, kosztem zamożnych autorów i autorek, poezje, dramaty i powieści -- są w olbrzymiej większości płodami poronionemi. Jeśli nawet tu i owdzie widnieją ślady talentu, to cierpi on prawie zawsze na niedorozwój, nie mówiąc już o anachronizmach idejowych. Nie lepiej dzieje się i w innych odłamach sztuki. Bardzo nieliczni malarze poprzestają na kopjowaniu widoczków z natury w stylu oleodrukowym. Dodać trzeba, że powszechna pruderja nie toleruje aktów ludzkich. Ta sama pruderja wykreśla z repertuaru teatralnego często najlepsze dzieła literatury scenicznej. Dość powiedzieć, że cenzura Spółki Teatralnej potępiła „Pannę Maliczewską“ Zapolskiej. Skazano również na banicję „Złotą czaszkę“ Słowackiego, „bowiem nie godzi się, by przez scenę przechodziła procesja“.

A pamiętajmy, że całe to bagienko polskiego życia umysłowego kwasi się w bezpośredniem sąsiedztwie rwących naprzód potoków kultury niemieckiej, pulsującej aktualnością i nie stawiającej żadnych granic ciekawości ludzkiej. Silne dopły-

---

Głos jego z szeptu przechodzi w lekki szelest, niby poszum liści.

— Iro... Musi być *coś*.

Patrzy mu w oczy jakoś dziwnie jasno. W tem spojrzeniu niema refleksów sugestji, niema zapamiętania, niema pożaru żądz. Jest tylko jasna, otwarta prawda: Wyraźnie słyszy szept, już nie szept—głos:

— Musi.

W tem potwierdzeniu niema niewolniczego poddania się, niema desperackiego „niech raz będzie!“, niema zapamiętania. Jest tylko niezłomne, mocne przekonanie.

— Musi być *coś*.

Potem więc, prowadząc pod rękę na miejsce, szepnął prawie rozkazująco.

— Jutro o szóstej, u mnie.

Lekko skinęła głową i poszła ku miejscu, gdzie widniała wysoka postać Bojańskiego. Na jego widok Wacław uczuł dreszcz.

. . . .

Mroki zimowego wieczoru pełzały po ścianach salonu. Fjoletowe kwadraty okien, pokryte wzorzystemi hieroglifami szronu, martwo zaglądały do wnętrza.

Błocki nie zapalał światła i prędko chodził po pokoju.

Chwyciło go nerwowe drżenie. Dotąd, gdy z premedytacją i zabiegliwością brał się do imprezy, miał w sobie niezmąconą pogodę i spokój — spokój, chwilami graniczący ze znudzeniem. Teraz, gdy za chwilę tu, do jego mieszkania, miała wkroczyć Ira—kobieta z jej finezyjnym czarem zmysłowości, z jej zagadkowym uśmiechem ponętnych warg, z wężową a smukłą postacią,—chwytał go niepokój. „Tremy“ takiej dawno nie doznawał. Dawno, — bo od czasów swych pierwszych schadzek. Tam było uczucie, czasem zapamiętanie—namiętność, tu uczucia nie było, lecz było „niebezpieczeństwo“, a przedewszystkiem „oryginalność“.

Mrok zupełnie otulił salon mgłą pomroki, a on chodził szybkiemi krokami, to przystając i słuchając szmeru ulicy, to wysiłkiem woli tłumiąc dławienie w piersi i drżenie nóg.

d. c. n.

wy tej kultury przynoszą do Poznania cały spółczesny europejski dorobek ducha: w wystawach księgarni niemieckich pojawiają się coraz to nowe dzieła literatury światowej i wydawnictwa, popularyzujące rozmaite krańcowo wyspecjalizowane gałęzie wiedzy; w oknach „kunsthändlerów“ podziwia się płody najśmielszej techniki i fantazji, reprodukcje arcydzieł pendzla i dłóta; organizowane przez „Vereiny“, koncerty dają pole popisu najznakomitszym wirtuozom, rozpowszechniając równorzędnie zamiłowanie przedewszystkiem do muzyki niemieckiej; wreszcie teatr niemiecki olśniewa bogactwem, świeżością i odwagą nowoczesnej literatury scenicznej.

Wszystko to nie może pozostać bez wpływu na środowisko polskie. Fale kultury giermańskiej wciąż z niego wyrywają jednostki śmielsze, ciekawsze, oszołomione duchową żywotnością najeźdźców wobec leniwej wegietacji społeczeństwa własnego.

O tem, że w Krakowie, Warszawie, Lwowie polskie życie umysłowe płynie szerzej i mocniej, niż w Poznaniu, bardzo wielu poznańczyków zgoła nie wie. Bo i skąd ma wiedzieć? Szkoła niemiecka wtłacza w umysły przeświadczenie, że z kulturą giermańską żadna inna mierzyć się nie może; bezwzględny zaś konserwatyzm inteligiencji polskiej hamuje dopływ nowoczesnej produkcji intelektualnej innych dzielnic. To samo, co z „Panną Maliczewską“ i „Złotą czaszką“ w teatrze, powtarza się we wszystkich innych dziedzinach twórczości. O Żeromskim, Sieroszewskim i t. p. mówi się tu, jak o potępionych gorszycielach, wywrotowcach. Najwspanialsze gwiazdy spółczesnej literatury naszej spotykają się w prasie poznańskiej z niezdarnemi szyderstwami.

To wcale nie przypadek, lecz zjawisko najzupełniej naturalne, że Przybyszewski pierwsze swe prace ogłaszał po niemiecku. Przeciwnie—za traf wyjątkowy poczytywać można, iż nawrócił się on ku piśmiennictwu polskiemu. Przejrzyjmy katalogi nakładców berlińskich i lipskich, a przekonamy się, ile tam nazwisk polskich—autorów niewracających. To samo w malarstwie, to samo w muzyce, to samo—nawet jeszcze w większej mierze — w nauce. Wszystko są to ludzie, szukający dróg nowych, którzy nie znajdują na nie wyjścia z zaduchu kultury rodzimej.

Pomiędzy jednostkami temi, a tłumem istnieje warstewka pośrednia — hermafrodytów kulturalnych. Są to ludzie bardzo przywiązani do polszczyzny, ale zaspakajający swe potrzeby duchowe—szersze, niż ma ogół — wyłącznie u źródeł niemieckich. Osobniki te przedstawiają nadzwyczaj oryginalną komplikację umysłową. Gdy się mówi z niemi po polsku, wypowiadają poglądy wsteczne, używają języka prostackiego i okazują krańcową nietolerancję względem wszelkich „nowinek“; skoro jednak tylko odezwą się po niemiecku, zmieniają się do niepoznania: stają się postępowe, wolnomyślne i elokwentne.

Dziwaczne to zjawiko uderza prawie wszystkich przybyszów z Królestwa i Galicji, którzy mają sposobność nieco dłużej przemieszkać w Poznaniu.

Wskazuje ono, że Wielkopolska posiada już materjał dla przełamania zastoju życia umysłowego, że niecierpliwie czeka na człowieka, któremu wypadnie tu odegrać rolę, jaką swego czasu odegrał Świętochowski w Warszawie.

Żywioły, na których wodzowi takiemu oprzeć się wypadnie, częściowo są dziś rozproszone i bezradne, częściowo znajdują się na drodze do germanizacji, częściowo zaś wytwarzają lekki ferment w szeregach Demokracji Narodowej. Z rozmów, które z ludźmi tymi prowadziłem, wnoszę, że uświadamiają sobie coraz wyraźniej potrzebę złączenia się pod jakiemś wspólnem hasłem i pod jedną komendą.

Coś się tu budzi.

Do przebudzenia tego przyczynia się Wyspiański, który jeden z całej Młodej Polski trafić umiał do uśpionych dusz wielkopolan. On jeden, nie drażniąc, podrażnić zdołał i z kultu świętej przeszłości wysnuć zapładniające przeczucia odrodzenia.

Gdy siedząc ukryty w loży teatralnej, przyglądałem się wrażeniu, jakie sprawiał Wyspiański na tłumie — tym samym tłumie, który nie chce „Złotej czaszki“ z procesją — gdy dostrzegałem, jak ludzie ci, często nic nie rozumiejąc, zawsze wszystko doskonale czują, pojąłem nietylko ogrom genjalności poety, ale i to, że przyszły wódz odrodzenia Poznańskiego coś z Wyspiańskiego w sobie mieć musi.

Czy prędko się taki człowiek znajdzie?...

Mówił mi pewien poznańczyk, jeden z tych, co ferment czynią w obozie nar.-demokratycznym, że gdyby dziś zjawił się tam Świętochowski, miałby zadanie trudniejsze, niż ongi w Warszawie, skutkiem braku żydów spolszczonych.

I prawda.

Ale kto wie, czy właśnie robota jego nie byłaby przez to solidniejsza i nie tak bardzo narażona na czcze walki z duchem narodowym. Winna się ona oprzeć na mieszczaństwie polskiem, które stopniowo wyłania z siebie burżuazję. Burżuazja ta jest wprawdzie jeszcze słaba, nieliczna, ale spotykane w niektórych organach naszej prasy twierdzenie, jakoby żywioł polski wypełniał w Poznańskiem tylko szeregi małomieszczaństwa — nie zgadza się z prawdą.

Obok drobnych kupców i rzemieślników, mnoży się liczba zarówno przedsiębiorców na wielką skalę, jako też pracowników w zawodach wyzwolonych. Już dziś w Poznaniu mamy kilka poważnych banków, opartych na kapitałach polskich, pojawiają się domy handlowe, prowadzące interesy w poważnym stylu, centrale kooperatyw rozwijają coraz żywszą działalność, zapoczątkowuje się też ruch ku uprzemysłowieniu miast, a równocześnie przybywa coraz więcej adwokatów, lekarzy, inżynierów i t. p. -- Słowem, stale rozszerza się środowisko, którego idejologja w hasłach postępowych wyraz znajduje.

A gdy pojawi się tu polski liberalizm (przez który ewolucja kulturalna nieodzownie przejść musi), zastanie w Poznańskiem grunt przygotowany w sposób zgoła wyjątkowy. Wyjątkowość ta polega na niezwykłem skojarzeniu konserwatyzmu idejowego z postępowością praktyczną.

Nietylko bowiem gospodarka rolna jest w Poznańskiem bardziej postępowa, niż gdziekolwiek w Polsce, lecz wogóle wszystko, co walki o byt dotyczy, doszczętnie zerwało z przesądami. Za przykład niech posłuży choćby takie zjawisko, jak ogłoszenia matrymonjalne w prasie klerykalnej; lub choćby fakt, że Poznańskie—ta dzielnica najreligijniejsza, najmocniej katolicka—pierwsza i dotąd jedyna—pospieszyła skorzystać z inicjatywy kurji rzymskiej, by zmniejszyć liczbę świąt. Mimo panowania księży nad wszystkiem, co się tu robi, nie widzimy zbytniej bigoterji; w każdym razie jest ona bez porównania słabsza, niż choćby na

na Litwie, gdzie ideje wolnomyślne są wśród inteligiencji znacznie bardziej, niż w Poznańskiem, rozpowszechnione. Religijność jest tam rozsądniejsza, mniej zabobonna. Zasada, iż człowiek najpiękniej służy Bogu, gdy uczciwie pracuje, cieszy się szeroką popularnością. Długotrwałe pielgrzymki, odrywające ludzi od zajęć, prawie są nieznane.

Bardzo również charakterystycznym objawem jest godzenie idejowego konserwatyzmu (jako też i pobożności) z poddawaniem się nowoczesnym ruchom społecznym. Duże np. postępy czyni w Poznańskiem praktyczna emancypacja kobiet. Pod wpływem warunków ekonomicznych, garną się one tłumnie do samodzielnej pracy i zdobywają coraz więcej stanowisk; ale odbywa to się żywiołowo, bez haseł, bez sztandarów, programów i — krzyku. Wpływ ma tu nietylko wprowadzona przez niemców intesywność walki o byt, ale też i polityka hakatystyczna. Skutkiem niej, brak wśród polaków żywiołu urzędniczego, a stąd i brak kandydatów na mężów dla panien z średnich warstw inteligiencji. Dziewczęta więc, skazane w dużej liczbie na staropanieństwo, muszą imać się pracy zarobkowej, traktowanej fachowo (nie — póki co) na całe życie.

Przez wypieranie polaków z biur rządowych, a nawet municypalnych, polityka hakatystyczna mocno wpływa na opóźnienie zbudzenia się polskiej kultury mieszczańskiej. Przeciwdziałaćby temu mogło przyspieszenie zabiegów w kierunku uprzemysłowienia kraju kapitałami polskiemi. Sprawa ta postępuje zbyt wolno.

Rozwinięta ostatniemi czasy akcja bojkotowa, jako pozornie łatwa, odwraca uwagę od właściwej drogi. Choć niewątpliwie dopomogła ona szeregowi firm polskich—zwłaszcza silniejszych — do rychlejszego wydźwignięcia się na stanowisko przedsiębiorstw poważnych, naogół jednak dała wyniki wątpliwe. Wywołała kontrbojkot ze strony niemców i żydów, który nietylko odbił się ujemnie na wielu zakładach polskich, ale spowodował zjawisko wysoce przykre: wypieranie się polskości przez handlarzy, mających klijentelę niemiecką. Nic więc dziwnego, że zapał w tym kierunku słabnie. Nie wpływa też bojkot, dotąd przynajmniej, na przyspieszenie emigracji żydów. Liczba ich ubywa, ale jest to zjawisko stałe, wynikające z ciągłego podnoszenia się kultury chłopskiej, ze zrzeszania się rolników dla wspólnego nabywania i zbywania produktów i t. p. Ruch ten rozwinął się dotychczas w pełni tylko na wsi. Należałoby ideję kooperatyw silniej szczepić w miastach. Zrzeszanie się drobnych kupców polskich, a przedewszystkiem rzemieślników i robotników wpłynęłoby niewątpliwie bardzo dodatnio na wzmocnienie się mieszczaństwa polskiego.

A jest to sprawa ważna, sprawa dziś pierwszorzędna.

Włościanin wielkopolski stanął już mocno na nogach i jest siłą. Trzeba tam posiąść i silne polskie mieszczaństwo. Hakata dopomaga w tem o tyle, że gna wieśniaków do miast w tempie przyspieszonem. Należy do tempa tego przystosować się w rozwijaniu polskiej kultury mieszczańskiej, żywej, nowoczesnej, a własnej, oryginalnej.

B. H.

⊳ooooooooo⊲

Pod skrzydłem tak zwanej... kultury pruskiej.

Oficjalne Niemcy, które nie boją się nikogo jak tylko swego Boga, prześladują nie tylko polskie dzieci we Wrześni. Prześladują nietylko polaków. Prześladują również alzatczyków. Prześladują także duńczyków w Szlezwiku. Nie wiele się o tych wie i pisze. Danja, kraj mały, nie śmie podejmować walki z wszechmożnym sąsiadem, zwycięzcą i zaborcą. Szlezwik, kraj biedny, nie umie krzywd swoich przed światem obnażać, opinię świata pouczać, zapalać. Niekiedy słychać w Europie o Szlezwiku. Przygodnie wspomni duński korespondent francuskiego dziennika; opowie o smutkach duńskich w Niemczech—pisarz alzacki. Niedawno interpelowano w tych kwestjach w parlamencie niemieckim. I dzięki temu świat dowiedział się bliższych szczegółów o troskach duńskich pod opieką konstytucyjnych Niemiec. Może dobrze będzie i pożytecznie, abyśmy i my o nich wiedzieli —dla nauki i dla pociechy.

Szlezwik, jak wiadomo, został w r. 1864 zajęty przez wojska austrjacko-pruskie. Traktatem londyńskim z 8 maja 1852 r., coprawda, zarówno Austrja jak Prusy uznały prawa i niepodzielność królestwa duńskiego i sukcesję Krystjana. Jednak opinia niemiecka nie przestawała domagać się „wyzwolenia braci, jęczących w jarzmie duńskiem“ i Bismarck skorzystał z pierwszej sposobności, aby księstwa północne zagarnąć. Nie będziemy tu opowiadali szczegółowo, w jaki sposób dokonał tego zaboru. Znaleść tytuł prawny do interwencji, zdobyć siłą oręża przy pomocy Austrji, następnie współuczestnika zwycięstwa usunąć—to był jeden z najzręczniejszych jego czynów. Wszystkie talenty późniejszego kanclerza znalazły tu ujście dla siebie. Kiedy umarł Fryderyk VII, książe Fryderyk augustenburski zażądał przyznania mu z sukcesji duńskiej księstw Szlezwiku i Holsztynu. Opinia niemiecka była za nim. Za nim też większość książąt Rzeszy niemieckiej, pomimo, że w większości wypadków uznali byli traktat londyński. Bismarck na pozór przeciwstawił się opinji, nie uznał pretnsji Augustenburga, skarżył się tylko, że Danja nie wykonała postanowień traktatu londyńskiego i żądał, aby uznała wreszcie gwarancje księstw i zapewniła im autonomię. Sejm pruski oskarżył go o zdradę stanu; według liberałów pruskich miał karygodnie zdradzać kresy północne ojczyzny pruskiej. Jak często później, aż do samego r. 1870, opinia nie rozumiała dobrze Bismarcka. Po cichu stanęła umowa z Austrją. Minister austrjacki Rechberg zgodził się łatwo na okupację, liczył w przysłowiowej naiwności austrjackiego ministra spraw zagranicznych, że po wygnaniu duńczyków uda mu się i prusaków z kolei usunąć z księstw północnych. Nie znał dewizy Hohenzollernów: *j'y suis, j'y reste.* Zbyt była nęcąca zatoka Kilońska, zbyt ważną pozycja Szlezwiku pomiędzy dwoma morzami--Baltyckiem i Niemieckiem—aby Bismarck mógł dać ruszyć siebie z księstw północnych z chwilą, gdy terytorjum ich raz był zajął.

W styczniu 1864 r. wojska pruskie i austrjackie zajęły księstwa. Terytorjum zostało zdobyte. Pretensje Fryderyka Augustenburskiego (ojca obecnej cesarzowej niemieckiej) oddalone. 30 października Prusy i Austrja traktatem wiedeńskim wzięły w posiadanie Lauenburg, Holsztyn i Szlezwik. Austrja pragnęła za kompensatą godziwą wycofać się z dalekiej północnej strony. Nie otrzymała żadnej i w dalszym rozwoju wypadków, drogą na Gastein

(konwencja 14 sierpnia 1865), gdzie Prusom przyznane zostało księstwo Lauenburgu, drogą dywersji w stronę Francji i Włoch, drogą na Langensalze, gdzie rozbite zostały wojska Hanoweru, drogą na Sadowę, Nikolsburg i Pragę — Bismarck został panem księstw północnych. Holsztyn został wzięty w posiadanie przez wojska pruskie 11 czerwca 1866. Pomimo artykułu 5 traktatu praskiego—północnych okręgów Szlezwiku Prusy nie wydały [1]).

Nie pytano ludności tych księstw o zdanie, z kim chcą losy swoje związać. Ludność nie chciała Prus. Zaraz w pierwszych wyborach posłała do sejmu posłów postępowych, opozycyjnych. Odtąd nie przestawała protestować przeciwko zaborcom.

Pacyfikacja dotyczy prowincji i liczy już lat blizko pięćdziesiąt. Przechodziła kilka okresów. Była bądź gwałtowna, bądź znowu więcej pokojowa. Kilkakrotnie rząd pruski postanawiał skończyć raz na zawsze z „kwestją duńską w Niemczech" i wtedy gorze szlezwickim chłopom i pasterzom! To znowu — Wilhelm żenił się z córką księcia na Augustenburgu, zamykał się rozdział dziejów wojennych dwu dworów i dynastji; chciano pozyskać serca ludności—prześladowania na krótką chwilę ustały. Ale te przerwy były krótkotrwałe. Męka Szlezwiku trwa już lat blizko pięćdziesiąt. (Konstytucja pruska obowiązuje w księstwach od roku 1867).

Ludność mogła „optować", t. j. wybrać jedną albo drugą ojczyznę, Danję albo Prusy. Wybierano Danję, ale pozostawano w kraju, na roli, przy warsztacie. Emigrować mogą tylko rodziny, zaopatrzone w środki. Chłop musiał zostać, acz siebie za duńczyka uważał i duński posiadał paszport. Przychodzi okres prześladowania. Nastaje nowy satrapa, na polskich albo alzackich wzorach wychowany. Ludność, mieszkająca w kraju za duńskim paszportem, ludność odwiecznie szlezwicka, otrzymuje rozkaz wyjazdu; natychmiast, wciągu jednej doby. Starcy ośmdziesięcioletni od tyluż dziesięcioleci na tej ziemi osiadli, kobiety ciężarne, dzieci chore—wszystko w drogę natychmiast! Wygania się służących, robotników, pracujących u osób, znanych z sympatji duńskich. W okresie 1898 — 1900 wypędzono w ten sposób około tysiąca biedaków. Grożono wygnaniem ludziom, którzy dzieci swoje w Danji kształcą. Jednak groźby czynem nie poparto, ile że nie było ustawy, na którejby czyn taki mógł być oparty.

Ażeby powiększyć liczbę tych, których prawo usuwać z kraju pozwala, zaczęto tworzyć poddanych duńskich. Kto „optował" za Danią, miał zawiadomić o tem urząd pruski w pewnym terminie i wynieść się do Danii. Krystjan Finneman głosował za Danią 27 grudnia 1866 r., jednak już 17 stycznia r. n. unieważnił swój wybór. Pozostał w Szlezwiku, był wójtem, radcą prowincjanalnym, słowem korzystał ze wszystkich praw, przysługujących obywatelowi pruskiemu. Jednak w pewnej chwili *trzeba było* go wygnać z Szlezwiku. Znajduje się żandarm, który zeznaje, że Finneman był w styczniu 1867 r. przez kilka tygodni w Danji, znalazła się i dunka, która zeznała, że pozostawał w Danji pół roku (na sądzie te sześć miesięcy w toku rozprawy zmalały do trzech tygodni). Żandarm zeznał następnie, że się mylił, że nie był wcale w kraju, w styczniu 1867 r. Dunka zeznała, że uczyli ją przed rozprawą sądową landrat (Becherer), jego pomocnik (Valentiner) i żandarm; otrzymała dwadzieścia marek i przyrzeczono jej dwa tysiące na wypadek, jeżeli Finneman będzie ukarany na podstawie jej zeznań. Jednak mimo to wszystko Finneman został wypędzony. Deputowany H. P. Hansen za to tylko, że stwierdził w druku fałszywe świadectwo kilku osób urzędowych, powędrował do więzienia na trzy miesiące (1905).

Katarzyna Nielsen, wdowa po wyrobniku, poddana pruska, z trudem odchowała dziesięcioro dzieci. Z trudem udało się jej chłopca umieścić w drukarni dziennika duńskiego we Flensburgu. Sędzia pokoju Hahn, dowiedziawszy się o tem, oświadczył, że jest niegodna chować inne dzieci swoje; dzieci te odebrał i powierzył do chowania niemcom...

Kary prasowe w tym samym czasie niszczyły dzienniki duńskie, wychodzące w Szlezwiku. Zamykano stowarzyszenia duńskie i kościoły—pod pozorem pękniętej belki, grożącej pobożnym; rozpędzano mityngi pod pozorem złego oswietlenia sali, albo pod pozorem zarzutu, że uczestnicy przybyli uzbrojeni... w laski. W czasie bankietu duńskiego przyszedł rozkaz zamknięcia sali; wypędzono gości, a salę przybraną opieczętowano: stoły pozostały nakryte na paręset osób, obiad przygotowany zastygł i pokrył się pleśnią—sąd najwyższy po roku dopiero nakazał zdjąć pieczęcie...

11 stycznia 1907 r. stanęła umowa pomiędzy Danją a Niemcami, która miała stan rzeczy polepszyć. Według ustaw duńskich, jest obywatelem, kto się urodził na ziemi duńskiej; prawo duńskie uznaje jus sanguinis, t. j. przynależność państwową dzieci, pochodzących od ojców duńczyków bez względu na miejsce zamieszkania tychże dopiero od 17 kwietnia 1898 r. (według ustawy z dnia 19 marca r. b.). Kto tedy urodził się w Szlezwiku pomiędzy rokiem 1857 a 1898 z ojców albo z matek (gdy chodzi o dzieci naturalne), którzy wybrali za ojczyznę Danję, nie posiadał prawa obywatelstwa ani w Niemczech, ani w Danji. Rząd duński chętnie by im przyznał naturalizację, jednak było to dla nich bez korzyści, bo jako „duńczycy" mogli być w każdej chwili wydaleni ze Szlezwiku, w którym na świat przyszli i którego od urodzenia nie opuszczali. W myśl konwencji z r. 1907 rząd pruski wyrażał gotowość naturalizowania tych wszystkich bezojczyźniaków (vaterlandslose), którzy urodzili się w Szlezwiku pomiędzy rokiem 1867 a 1898 i którzy wyrażają gotowość pozostania w poddaństwie pruskiem. Przyrzekł *ustnie*, że rozciągnie przywilej naturalizacji na ich braci i siostry, urodzone przed „opcją" z roku 1867, albo po roku 1898 pod warunkiem, aby ci ostatni z niemi razem mieszkali. Konwencja ta miała zamknąć martyrologję ludności Szlezwiku. Zamknęła jeden tylko jej rozdział.

Artykuł V traktatu praskiego (1866 r.) orzekał, że ludność północnego Szlezwiku będzie mogła drogą plebiscytu być przyłączona do Danji. Artykuł ten nie został wykonany. W ciągu lat dwunastu trwał na papierze, jako zobowiązanie do wykonania; w r. 1878 został przekreślony i cofnięty za zgodą Austrji, która za cenę tego zrzeczenia otrzymała poparcie Bismarcka na kongresie berlińskim w kwestji Bośni i Hercegowiny. Otóż, w ciągu tych lat dwunastu tysiące młodzieży szlezwickiej wynosiło się do Danii, aby nie służyć w wojsku pruskiem, później niemieckim w szczególności w r. 1870. Obliczono, że wyszło w ten sposób ze Szlezwiku około sześćdziesięciu tysięcy

[1]) Artykuł ten, przeforsowany przez Napoleona, orzekał, że w północnych okręgach drogą plebiscytu ustalona będzie opinia mieszkańców, czy chcą być przy Prusach, czy przy Danji. Nigdy artykuł ten nie był wykonany.

ludzi, trzecia niemal część ludności, mówiącej wyłącznie po duńsku. W kraju odczuwać się dawał z roku na rok większy brak ludzi do pracy. Sprowadzano tedy robotników z Danji. Ci osiadali w kraju, żenili się tutaj, zakładali rodziny. Ich dzieci atoli, w szczególności te, które na świat przyszły przed rokiem 1898, nie są ani poddanymi niemieckimi, ani duńskimi—są „bez ojczyzny"; mogą być w każdej chwili wygnani z kraju. Wypędzano ich też w okresie rządów osławionych prezydentów von Köllera (1898—1903) i von Wilmowski'ego, Pozostało ich po rok ostatni dwa do trzech tysięcy. Około r. 1909 zaczęto ich ścigać bez litości. W kwietniu i w lipcu 1909 dwaj tacy robotnicy otrzymują rozkaz wyjazdu albo *porzucenia żon*. To jest nowy moment martyrologji Szlezwiku. Żon ślubnych, oczywiście. Bo dzieci zrodzone z małżonek nieślubnych, poddanek pruskich—będą poddanymi pruskimi, których rząd ścigać nie może. Dzieci zaś ślubne, a więc noszące nazwisko ojca, będą dźwigały jarzmo jego stanu, jego przynależności państwowej, będą duńskiej przynależności. A że tę chciałby rząd pruski w Szlezwiku unicestwić, wypruć, z korzeniem wytępić, tedy *zwalcza ślubne małżeństwa. Difficile est satyram non scribere! Rząd pruski, dobrych obyczajów, jak wiadomo, piastun—obrońcą wolnej miłości i dzieci nieślubnych!*

Jest parobek wiejski Lars Lind. Był poddanym pruskim, wolnym, nietykalnym. Nagle został wywołańcem, banitą. Lars Lind był synem naturalnym poddanego duńskiego i poddanej pruskiej panny Lind. Zapisany był, jako syn nieślubny matki, bez ojca, poddany pruski. Jednak na jego nieszczęście, rodzice w późniejszym wieku postanowili uprawnić związek małżeński w urzędzie i kościele. Natychmiast urząd postanowił uprawnić i Larsa Linda, zmienił mu nazwisko na ojcowskie, pozbawił go poddaństwa pruskiego, a ponieważ był żonaty, kazano mu wynosić się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Gdy mimo nakazów nie ruszał się z miejsca, skazywano go na grzywny, a gdy tych grzywien nie płacił, zamykano go w więzieniu. (Dwukrotnie w r. 1911, trzykrotnie 1912, raz jeden dotychczas w 1913 r.). Nakazy adresowano według nazwiska ojca: Jensen. Lars Lind nakazów nie przyjmował, twierdząc, że nie są do niego adresowane. Ostatnio tedy pisano do niego z urzędu: „Do robotnika Larsa Jensena, który od niedawna nazywa siebie Lind..."

Niedawno prasę europejską obiegła tragiczna historja Madsa Egholma z Bröns. Ojciec jego był poddanym duńskim, więc choć urodzony i wychowany w Szlezwiku — pozostał wywołańcem, „bez ojczyzny". Ożenił się w r. 1911 i otrzymał natychmiastowo nakaz opuszczenia powiatu. Prezydent regencji skasował nakaz eksmisji, jako bezprawny. Jednak Mads Egholm zostaje mimo to wydalony natychmiastowo z terytorjum pruskiego. Wynosi się do Danii, ale wnet powraca. Stawiony przed sądem z tytułu bezprawnego powrotu, skazany zostaje na grzywnę 300 marek, które mu, jako niezamożnemu, zamieniają na czterotygodniowe więzienie w Szlezwiku. Żona jego, chora, miała rodzić; teściowa, mieszkająca u niego, umierała na raka. Mads wędruje do więzienia, kobietami musi się zająć dobroczynność publiczna. Zaledwie powrócił, doręczają mu dzień po dniu dwa nakazy wyjazdu: znowu grozi mu kara 300 marek albo miesiąc więzienia. Mads zostaje. Sąsiedzi, oburzeni bezwzględnością i prowokacją władz pruskich, występują z petycją, którą zgłaszają do parlamentu. W petycji Mads nazwany jest „robotnikiem spokojnym, zdolnym i uczciwym, który pracą rąk żywił żonę, dziecko, matkę i teściową i który nigdy nie zajmował się polityką". 24 stycznia 1912 r. Mads jest znowu pod kluczem, tym razem na przeciąg ośmiu tygodni. 16 kwietnia wraca znowu do celi, tym razem na przeciąg dwunastu tygodni. 9 lipca, zmęczony, jedzie do Danji wypocząć u krewnych. Po krótkim tam pobycie wraca do chorej żony. Codziennie odwiedza go odtąd woźny w celu osobistego doręczenia nakazu wyjazdu. Dobrzy ludzie, przewidując, że nieszczęśliwego banitę znowu zamknąć gotowi, zarządzają składkę i wysyłają całą rodzinę do Danji, aby tam spokojnie mogła wypocząć. Podczas ich nieobecności władze przybijają na drzwiach mieszkania nakaz natychmiastowego i osobistego stawienia się w urzędzie.

Mads wrócił dopiero 20 listopada. Nazajutrz otrzymał nakaz zapłacenia 300 marek i opuszczenia terytorjum pruskiego wciągu 24 godzin pod groźbą dalszej grzywny 300-markowej. Wciągu pięciu dni kolejnych z wyłączeniem niedzieli—22, 23, 25, 26 i 27 listopada nakaz ten był ponawiany. Ilość tygodni więzienia, które groziło, podnosiła się z 4, 8, 12 do 20 tygodni. Odwołał się do prezydenta, do ministra. Nadaremnie. Powiedziano mu, że mógłby uniknąć kary, gdyby chciał opuścić północne okręgi Szlezwiku. Jednocześnie nakazano, aby Mads stawił się w więzieniu 16 grudnia. Tegoż dnia nie było już Madsa w domu. Z rodziną wywędrował do Danji,—odległej o dwie godziny od Bröns,—aby spokojnie spędzić święta Bożego Narodzenia.

1 lutego 1913 r. na skutek interpelacji Hansena i kolegów, w poparciu petycji, — z których jedna nosiła trzydzieści trzy tysiące podpisów — podsekretarz stanu Stolz taką złożył odpowiedź w Sejmie pruskim: „Co dotyczy banitów, *vaterlandslose, to polityka nasza nie może kierować się innemi względami, jak tylko stanowiskiem narodowem, niemieckiem*. Jeżeli są prześladowania, rząd żałuje ich. Ale Mads Egholm może w istocie rzeczy mieć pretensje tylko do siebie. Spieszę dodać, że banici nie są prześladowani dlatego, że zawiązują związki małżeńskie, ale dlatego, że *stwarzają sobie stanowiska niezależne pod względem ekonomicznym (!!)*.

Trudno o cynizm bardziej rozbrajający.

Jednocześnie dowiaduje się świat, że nacjonaliści pruscy w Szlezwiku [1]) (ich główny publicysta nazywa się Streckerjan) prowadzą z ludnością duńską wojnę ekonomiczną. Na statkach wojennych niemieckich przybito ostrzeżenie, aby marynarze nie kupowali nic u pewnych wymienianych z nazwiska kupców w Aabenraa (Apenrade), jako niepewnych pod względem patrjotyzmu *niemieckiego*. Żołnierz w czynnej służbie, u którego znaleziono numer dziennika duńskiego „Flensborg Avis", zostaje ukarany aresztem i pozbawiony urlopów na czas trzech miesięcy.

Pomimo ustawy ogólnej z r. 1908 rząd rozwiązuje zgromadzenia duńskie, nawet kościelne. Zaczyna też prowadzić politykę kolonizacyjną na podobieństwo tej, którą od ćwierćwiecza z takim skutkiem prowadzi na kresach polskich Rzeszy niemieckiej.

Cóż dodać do tych dokumentów? Poco je w dalszy ubierać komentarz? Cokolwiekbądź powiedzieć, osłabimy tylko wrażenie prawdy życia. Czy w Polsce, czy w Alzacji, czy w Szlezwiku, na wszystkich kresach jednaka jest zaborcza, bez-

[1]) Ich dziennik nazywa się „Schleswigsche Grenzpost", subwencjonowany przez rząd.

względna polityka eksterminacyjna pruska. Ta polityka nazywa się kulturą. Zupełnie, jak niegdyś, przed pięciu wiekami, przed Grunwaldem. Ta i owa polityka nazywała się w pojęciu krzyżackiem — *kulturą*. Dziś rycerz krzyżowy nazywa się Streckerjanem na północy, alzatczycy nazywają go Knatschke albo Monsieur Schweinkopf. Istota rzeczy pozostała ta sama.

A ci, co byli, będą i pozostaną.

Stanisław Posner.

W sprawie teatru zimowego.

Przed kilku dniami w „Kurjerze Litewskim" pojawił się artykuł, wskazujący p. Lelewicza, jako poważnego kandydata na dyrektora sceny wileńskiej po przeniesieniu jej do nowego gmachu.

O kandydaturze tej pragnę kilka słów powiedzieć.

Zastrzedz się jednak muszę zgóry, że nie występuję tu w obronie żadnego innego reflektanta. Nie wiem bowiem, jakie oferty otrzymał dotąd zarząd Tow. Popierania Sceny. Te zaś, o których się mówi, na szczególną obronę nie zasługują.

P. Lelewicz jest to aktor świetny. Jako reżyser i komik operetkowy, postawił on swojego czasu ten dział sztuki na wysokim poziomie w teatrze lwowskim i był przez długie lata ulubieńcem tamtejszej publiczności. Po opuszczeniu sceny lwowskiej przez p. Lelewicza, operetka tu podupadła i dotąd jeszcze ściąga ona mniej publiczności, niż dramat i komedja.

Są ludzie, których to cieszy. Przyznaję, że do nich należę, choć wcale nie zapoznaję wybitnego talentu p. Lelewicza. Zdaje mi się wszelako, iż p. Lelewicz, jako dyrektor, dla każdego teatru przedstawiać musi poważne niebezpieczeństwo. Artysta kocha najmocniej ten dział sztuki, w którym celuje. Choćby całą siłą woli przeciwdziałał temu, będzie zawsze faworyzował to, co mu jest najbliższe, najlepiej odpowiada jego zdolnościom i temperamentowi.

Niema w tem nic dziwnego. Zjawisko całkiem zrozumiałe. Dlatego też zgóry można przewidywać, że znakomity aktor operetkowy najlepiej operetkę prowadzić będzie.

I tak też było z p. Lelewiczem w Poznaniu.

Postawił on doskonale operetkę, nieźle operę, a dramat — miernie. Sprawiedliwość przyznać każe, iż—mimo to—p. Lewelicz okazywał chęci jaknajlepsze, dużo nawet idealizmu (o którym wspomina cytata z artykułu p. Seydy, przytoczona w liście p. L. do „Kur. Lit."); od czasu do czasu wystawiał z nadzwyczajnym pietyzmem arcydzieła literatury dramatycznej. Były to jednak tylko odosobnione porywy sumienia artystycznego i dobrych chęci. Wszelako naogół dramat w Poznaniu stał za czasów p. Lelewicza na ostatnim planie. Co do tego niema tam dwu zdań.

Wracając do owego wspomnianego „idealizmu", to nadmienić tu trzeba, że słowa p. Seydy najwyraźniej stanowią apostrofę w kierunku poprzednika p. Lelewicza, który, pod koniec swej gospodarki, prowadził ją w sposób rabunkowy. W porównaniu z nim p. Lelewicz tembardziej zyskiwał, że w kierunku sztuki poważnej mniej zapowiadał. A wreszcie jeszcze jedno. W „Kurjerze Poznańskim" jest dwu krytyków: red. Marjan Seyda zdaje sprawę z utworów muzycznych (tak lekkich, jak poważnych), a p. Bolesław Marchlewski—z komedji i dramatu. Otóż powoływanie się p. Lelewicza jedynie na świadectwa krytyka muzycznego potwierdza tylko fakt, że za dyrekcji p. Lelewicza w teatrze poznańskim na pierwszy plan wysunęła się opera i operetka.

Teraz kwestja druga.

Czy istotnie Zarząd Tow. Popierania Sceny, zamierza dać nam zimą dramat, komedję, operę i operetkę?

Jeżeli tak, to godzi się zapytać, czy ci panowie wiedzą, jakiego wymaga zasiłku uprawianie w sposób znośny tych wszystkich działów?

Zdobył się na to Poznań. Ale subsydjum wynosi tam 30,000 marek, pozatem dyrekcja otrzymuje bezpłatnie gmach, rekwizyty, dekoracji, część garderoby, bibliotekę i wiele rzeczy innych. Trzeba przytem dodać, że subsydjum to jest jeszcze bardzo skromne, o ile chce się mieć operę względnie bodaj dobrą. Jeśli Wilno nie zdobędzie się na podobny zasiłek, to jakie tego będą konsekwencje?

Oto przedsiębiorca ujrzy się w konieczności zaniedbywać operę na rzecz znacznie popłatniejszej operetki, co w danym wypadku (t. j. jeśli p. Lelewicz będzie owym przedsiębiorcą) wypadnie w duchu jego bezwiednej, żywiołowej skłonności. Jeszcze raz podkreślam, że tylko dzięki przyzwoitej subwencji mógł mieć Poznań za rządów p. Lelewicza, obok doskonałej operetki, niezłą operę. Jeżeli Wilno na podobną subwencję się nie zdobędzie, może mieć operę marną przy operetce (dzięki talentowi p. Lelewicza) również doskonałej.

W najlepszym więc razie możemy mieć to, co było w Poznaniu: operetkę (na pierwszem miejscu), operę i dramat—na ostatniem.

Czy istotnie taki teatr właśnie Wilnu jest potrzebny?

Zdaje mi się, że nie. Byłoby to zejście z dotychczasowej drogi, w zasadzie dobrej; byłoby to zmarnowaniem w dużej części tego, co zdołano już zrobić przez wciągnięcie mas szerokich do teatru polskiego *słowa*.

Dla Wilna w danym wypadku wzór najwłaściwszy stanowi Kraków: powinno ono utrzymywać przez zimę dramat, a na lato sprowadzać możliwie dobrą operę i operetkę.

Dziś w całym świecie istnieje tendencja, by teatry, mające spełniać zadania kulturalne, powierzane były kierownictwu nie aktorów, lecz literatów. Przekonano się bowiem, że najlepiej wywiązują się z obowiązków dyrektorskich ludzie, którzy osobiście nie ukazują się na scenie; nie zaprzątają sobie głowy poszczególnemi rolami, lecz poświęcają wyłącznie czas i siły repertuarowi tudzież całości wykonania. Z tego względu w teatrach niemieckich np. istnieje obecnie zwyczaj, że jeżeli nawet kierownik jest aktorem, to mu występować nie wolno. Większość scen francuskich prowadzą wytrawni, zasłużeni krytycy, znawcy literatury scenicznej.

W takich czasach oddawać scenę wileńską— scenę, mającą w naszych stosunkach cel główny: kultywowanie *słowa*, specjaliście operetkowemu — nie, to chyba jakieś nieporozumienie.

rc.

Smutki młodości.

Boję się smutków, boję snów,
po których przejdzie życie nowe...
Boję się ciszy ważkich słów,
która niepokój w łzy rozmienia,
boję się żalu i zwątpienia,
co spływa w zmierzchy wieczorowe.

Boję się myśli, których treść
chociaż przelotnie w sercu gości,
niesie jesieni bliskiej wieść.
Boję się wiedzieć co mnie czeka,
co ku mnie idzie tam, zdaleka...
. . . .
Boję się wiedzieć o miłości.

A jestem młody przecież tak,
niepochylony lat rachubą...
zali mi nie iść w wiosny szlak,
w tęczami barwną bajkę złudzeń...
żali mi nie iść w noc rozmarzeń
za srebrnych gwiazd daleką zgubą...?

Ach, wiem!
To młodość, której ród
budzi się z snu, co słodko boli...
Nad jasnym gdzieś rozkolem wód
odnajdę pierwszy hymn mej mocy,
wyczarowany pewnej nocy,
z łez kryształowej melancholji.

Zdzisław Kleszczyński.

Udział polaków w procesie Hussa.

(Przyczynek do dziejów hussytyzmu w Polsce).

Od XIV w. znaną była w Europie zachodniej nauka Wiklefa, w Polsce jednak, dopiero na początku XV w. poznano ją.

Czeski uczeń Wiklefa, Huss, powziął zamiar rozprzestrzenić ją i w Polsce, kraju sąsiednim, bliskim Czechom ówczesnym duchem, mową i obyczajem.

W tej myśli apostołowania po Polsce, napisał list do świeżego chrześcijanina, Władysława Jagiełły, z prośbą o pozwolenie zwiedzenia Krakowa.

Otrzymawszy łaskawe zaprosiny, przybył do podwawelskiego grodu w r. 1412, gdzie król zgotował mu wspaniałe przyjęcie, witając go jak monarchę w otoczeniu świetnego dworu, senatorów, i w obecności królowej.

Reformator religijny bawił na ziemi Piasta krótko, ale ideję swą, że cały świat jest chramem Boga, łatwo zaszczepił na dziewiczych płonkach dusz polskich.

Tych kilka dni, które spędził wtedy w otoczeniu kwiatu inteligiencji polskiej wystarczyło, by serca i umysły wszystkich zniewolił ku sobie. Wrażenie jakie uczynił, było potężne, coś jakby przejście wysłannika bożego po ziemi polan.

O napięciu tego wrażenia wymownie świadczy list, pisany przez biskupa krakowskiego, Wojciecha Jastrzębczyka, a pomieszczony przez Palackiego w części I (na str. 144) „Dziejów czeskich".

Paru dni starczyło gienjalnemu propagatorowi, by sobie zjednać ściślejsze grono zwolenników; to też, wracając do ojczyzny, zostawił w Krakowie jednemu ze swych uczniów polskich skarb najdroższy, jakim rozporządzał, bo własnoręczny rękopis swej nauki.

Nie przewidywał szlachetny apostoł, że ten żarliwy uczeń polski będzie jego Judaszem, bo niezadługo ten opis, zostawiony przez Hussa w Krakowie, posłuży za najważniejszy dowód jego winy. Z Długosza wiadomo nam, że rękopis, widziany w Krakowie znalazł się na soborze konstancjenskim w czasie sądu na Hussa, służąc za dowód jego winy, ale dyskretny kanonik krakowski, Długosz, przemilczał nazwisko zdrajcy, wydającego na łup katolickiej jurysdykcji ideję mistrza, której wierność sam ślubował przed laty, w porywie gorącego ducha.

Wiadomo, że w r. 1415 Huss został wezwany przed najwyższy sąd biskupów całego katolickiego świata, a to dla usprawiedliwienia się z zarzutów o herezję, jakie mu czyniono.

Huss, wiedziony przeczuciem, nie miał ochoty jechać przed ten sąd; wreszcie zawierzywszy monarszemu słowu cesarza niemieckiego Zygmunta, który mu wydał list żelazny, przybył do Kostnitz.

Tam przekonał się, że monarchowie po to dają swe uroczyste słowo, aby je łamać: został przytrzymany, a choć protestował w imię sprawiedliwości, cesarz odmówił mu nietykalności, poprzednio solennie zagwarantowanej, ale doradzał zebranym na soborze dostojnikom, aby słowom Hussa żadnej wiary nie dawali.

Oburzeni takiem bezprawiem w stosunku do Hussa, obecni na soborze konstancjeńskim świeccy posłowie polscy w osobach: rycerza Zawiszy Czarnego z Garbowa, Jana Zaręby kasztelana kaliskiego, Balickiego, Dunina, Boroty, śmiało zaprotestowali przeciw takiemu pogwałceniu prawa; napisali podanie do Concilium i osobiście je doręczyli, żądając: „aby Huss miał wolność obrony zupełną i jawnie był sądzon".

Wiadomo, że głos humanistów polskich zatonął w fali roznamiętnienia fanatycznego. Podczas rozpraw skarżono Hussa z zajadłością, a ten ze wspaniałą odwagą i przytomnością umysłu, kajdanami skuty, bronił swych poglądów.

Czując głęboko swe opuszczenie na tym soborze, tak licznie obesłanym przez rzekomych apostołów łagodnego Chrystusa, tem wdzięczniejszem sercem uznawał dowody ludzkości sobie okazanej, a te spotkał tylko ze strony polaków.

W całem zgromadzeniu tak licznem nie znalazłem, mówi on, księdza sobie życzliwego, oprócz jednego patra, i znajomego doktora polskiego. Tym odważnym rodakiem był Jakób Kurdwanowski, biskup płocki, doktor obojga praw w uniwersytecie bonońskim.

Ten jeden miał odwagę okazywać czeskiemu „kacerzowi", na stos skazanemu sympatję.

Ku temu polskiemu infulatowi, co miał odwagę być innego zdania, niż biskupi całego katolickiego świata, pobiegła w przedostatnią godzinę skonu myśl Hussa. Nie zapomniał też i o szlachetnej interwencji pięciu posłów świeckich i w liście

przedzgonnym do przyjaciela dziękował im serdecznie za mężne wstawiennictwo.

Tak więc w procesie Hussa polacy, jakby dla zadokumentowania wobec świata swego bujnego indywidualizmu, stanęli na dwuch przeciwnych biegunach; sześciu prawych synów Polski z Zawiszą Czarnym i biskupem Kurdwanowskim na czele staje w tej pamiętnej dziejowej tragedji pod jasnym sztandarem ducha światłości Ormuzda; jeden, nieznago nam nazwiska nikczemnik, dostarcza potajemnie soborowi rękopisu, w zaufaniu najwyższem przez Hussa mu powierzonego, stając się narzędziem Arymana, ducha ciemnoty i zła.

St. Poraj.

Pierwszy maja.

Bardzo ciekawy artykuł na temat 1 maja zamieścił „Przegląd Codzienny“. Pozwalamy sobie przedrukować go, niejako w odpowiedzi na zgoła niekompetentne kazanie naszej „dwugroszówki“, która przy każdej podobnej sposobności wypowiada walkę wiatrakom.

W roku obecnym prawie wszędzie dzień pierwszego maja przeszedł bez zaburzeń. Zarówno w krajach gdzie swoboda manifestowania jest większa, jak i tam, gdzie władza wykonawcza żywi neufność do wystąpień masowych—„porządek nie został zakłócony“. Stracił wprawdzie dzień 1-go maja swój charakter szermierki społecznej, ale zatrzymał charakter manifestacyjny, swą ideję protestu. Jest to tembardziej znaczące, że właśnie tegoroczny pierwszy maj nikogo nie niepokoił. Nie myślano o nim zbytnio; nie robiono wysiłków i przygotowań, by mu zapobiec, lub, by się zabezpeczyć przeciw niemu. Uwaga państw i ludów jest obecnie zaabsorbowana sprawą bałkańską, możliwością wojny, zbrojeniami i podatkiem krwi, który ciąży zarówno na wszystkich warstwach ludności. Co wobec tych wszystkich ewentualności i trosk może znaczyć strajk jednodniowy, jakim ma być, według przepisów bojowych walki klasowej, dzień pierwszy maja.

I właśnie dlatego, że tegoroczny pierwszy maj był mniej rzuceniem rękawicy do walki, jak manifestacją pewnej idei, czas jest zająć się kwestją, czem istotnie może i powinien być dzień pierwszego maja.

Piszący te słowa był obecny na posiedzeniu kongresu robotniczego, który w 1889 roku powziął był w Paryżu uchwałę święcenia pierwszego maja. Było to w sali dosyć nędznej, bo Paryż nie posiada wielu pięknych sal na zgromadzenia publiczne. Na ulicy słońce zachodziło, ale w sali zmrok już był zupełny. Na scenie, na której zasiadało biuro oraz honoratiores (szanowane powagi) kongresu i kilka kobiet, które lgną do „popularnych“, jeśli nie lubią epoletów, słowem na „biurze“ zapalono kilka świec. Leniwym, powłóczystym krokiem wszedł na tę scenę delegat z Ameryki, rzując kawał tytoniu, który wyjmował z ust, gdy przechodził w patos, jak gdyby obawiał się zgubić swą „czekoladkę“, i wkładał napowrót do ust, gdy przechodził do argumentacji i do „faktów“, t. j. do cyfr.

Wreszcie mówca spokojnym głosem poprosił przewodniczącego, panie i dżentelmenów obecnych o pozwolenie przedstawienia rezolucli, nadesłanej za jego pośrednictwem przez „braci z za Atlantyku“... Tu mówca wyjął na dobre swą „czekoladkę“ i zaproponował uchwałę wszechświatowego święcenia pierwszego maja.

Uderzyła piszącego już wtedy olbrzymia różnica nastroju wnioskodawcy w porownaniu z nastrojem obecnych na sali delegatów europejskich. Amerykanin mówił spokojnie, metafizycznie — że się tak wyrazimy; z oczami w dal utkwionemi myślan on, jak można było się domyśleć, o spokojnym symbolu pokoju i święceniu wszechświatowego Sabatu. Inaczej wniosek ten przyjmowali delegaci, obecni na sali. Z zaiskrzonym wzrokiem podnosili ręce do góry, myśląc o walce, jak gdyby niebiosa na świadków brać chcieli, iż rzucają wyzwanie...

Tak przeszła uchwała o dniu pierwszego maja. Wnioskodawca mówił o „święcie pracy“, o święcie pogańskiem, liczącem się nie z wierzeniami, ale ze stosunkiem człowieka do przyrody. Ci zaś, którzy ręce do góry podnosili, myśleli o walce, o „strajku“ — jednodniowym wprawdzie, ale wszechświatowym.

Piszący różnicę tę w nastrojach konstatował, ale jej znaczenia wewnętrznego nie rozumiał. Dopiero po wielu latach, gdy po dłuższym pobycie w Anglji znów znalazł się na bruku paryskim, to w pewną niedzielę—a było to przed wprowadzeniem prawa o odpoczynku niedzielnym we Francji — przypomniał sobie ów dzień pamiętny z 1889 r., kiedy przyjęto uchwałę o dniu pierwszego maja.

Gdy w gwarnem mieście, obok bawiącej się i używającej klasy średniej widać było na każdym kroku masy ludowe, jak roje niewolników, pracujące przy budowie domów, przy kopaniu tuneli i t. d., mimowoli rodziło się zapytanie, dlaczego niema wspólnego dla wszystkich dnia odpoczynku?

I w pamięci odżywały piękne bardzo słowa Proudhona, który „święcenie niedzieli“ rozpatruje nie jako chęć korzenia się przed Stwórcą, ale jako przyrównanie się do Stwórcy, który po pracy zastanawia się nad dziełem własnem i w refleksji wraca na łono przyrody—odpoczywając.

Można rozpatrywać święcenie Sabatu, jako nakaz religijny. Można także, jak w Anglji, tworzyć drogą ustawy tak zwane „święta bankowe“ *) jako nakaz hygjeny publicznej, dbałej o należyty dla organizmu ludzkiego odpoczynek fizyczny, ale można i trzeba także konieczność odpoczynku po pracy rozpatrywać, jako nakaz moralno-społeczny, który narody i społeczności zróżniczkowane według zajęć, który ludzi, i ludy, zwalczające się w konkurencji i w pościgu za kawałkiem chleba, zniewala, pamiętać także o tem, że są jednością ludzką, która solidarnie stoi wobec natury.

Amerykanin, któregośmy wyżej przedstawili jako delegata „braci z za Atlantyku“, stawiając wniosek święcenia pierwszego maja, musiał myśleć podobnie, jak Proudhon. Być może, że jako członek anglo-saksońskiej rodziny doszedł do swego wniosku, pobudzony trochę purytanizmem protestanckim, ale na tyle szerokim i tolerancyjnym, że daje możność zbliżenia się i tym, którzy tylko świecką moralnością żyją. Jemu mniej szło o walkę, o rzucenie rękawicy, o święto „klasowe“, jako dzień wielki dla całej ludzkości. I w jego wniosku

*) W Anglji na wniosek prof. Lubbocka, wielkiego uczonego i z zawodu bankiera (mianowanego później lordem Aveburym) uchwalono kilka „poniedziałków“ uważać, jako „święta bankowe“. Cel ustawy był ten, by dając z rzędu 2 dni świąt zadosyćuczynić wymogom hygjeny publicznej.

dzień 1 maja miał zostać świętem pracy, która odpoczywa, która siedząc na tronie tworzenia, chce wniknąć w samą siebie i uczuć się zespoloną w myśli ludzkością.

Nie stało się tak, jak tego amerykanin chciał. Do dziś dnia dzień pierwszy maja został dniem walki, dniem wyzwania, dniem zbrojenia się obozów.

Kto temu najwięcej winien? Ci którzy stawiają swe veto, którzy nie znoszą myśli o ogólnoludzkim dniu odpoczynku, o symbolu jedności i braterstawa.

A właśnie dziś wobec zbrojeń, wobec histerycznych zachcianek aneksji, wobec tak łatwo rzucanej groźby wojny, co za ukojenie przyniósłby dzień pierwszego maja, jako dzień święta wszechludzkiego!...

Czy nie dobrze byłoby pomyśleć o tym, że dzień 1 maja powinien zostać prawnem świętem pracy? Czy nie czas, by rządy i parlamenty, które uznają kongresy międzynarodowe, zgodziły się na to, by dzień 1 maja został świętem wszechludzkiem?

Być może, że takiemu pojmowaniu dnia 1 maja najwięcej będą przeciwni ci, którzy, właśnie na gruncie „klasowości“ stojąc, w myśli o święcie pracy widzą nie symbol jedności, a przystrojenie w kwiaty gladjatora walczącego.

Naszem zdaniem, jest to pogląd mylny. Czupurne, ale odosobnione stanowisko mas pracujących na wzgórzu awentyńskiem jeszcze nie dowodzi siły. Trzeba zejść ze wzgórza do Rzymu, by tu znaleźć silny grunt i to bez potrzeby sypania okopów około stanowiska zajętego. W ramach państwa spółczesnego, ale w ramach rozszerzonych, masy ludowe muszą żyć, a ich zwycięstwo na tem właśnie polega, że te ramy ustępują, rozszerzają się, by zrobić im miejsce.

Więc jesteśmy za świętem pierwszego maja, za prawem o święcie pracy w dzień pierwszego maja.

PRASA POLSKA.

W „Kurjerze“ lubelskim p. L. Chrzanowski zadaje pytanie, gdzie właściwie są polacy — i oto, co pisze:

„Dość często pisma obrazkowe podają swoim czytelnikom do rozwiązania zagadki, polegające na tem, iż główna figura, przedstawiona na rysunku, nie posiada głowy, nogi, lub innej części ciała; zagadka polega na tem, aby staranuie ukrytą głowę odnaleźć wśród różnych innych przedmiotów, przedstawionych na rysunku.

Za podobną zagadkę może służyć zapytanie: „gdzie są polacy“, w rozpatrywaniu tego zapytania na tle polemik prasy polskiej.

Wziąwszy bowiem do ręki pisma, należące do kierunku narodowo-demokratycznego, przeczytamy w nich, że: „warcholące żywioły radykalne zohydzają sztandar narodowy polski, że za pieniądze niemieckie i żydowskie propagują ideję walki klasowej, szerzą strajki i wysługując się niemcom i żydom, nie są godne imienia polskiego“.

Przeglądając w dalszym ciągu pisma klerykalne w rodzaju „Polaka-Katolika“ itp., dowiemy się, że „zwolennicy kierunku n. d. zbyt mało się liczą z wolą prawdziwych polaków katolików, by można ich polityce ufać w zupełności i że dopóki nie nastąpi zupełne podporządkowanie się tego stronnictwa woli kościoła, dopóty nie może ono zasługiwać na uznanie i zupełne poparcie“.

Badając głębiej wspomnianą zagadkę, dowiemy się z „Myśli Niepodległej“, że: „nasz obóz klerykalny nie poraz pierwszy stanął w poprzek naszych dążeń narodowych“, że „antyspołeczne, niepolskie stanowisko kleru doprowadziło do tego, iż sutannę musimy uważać jako synonim ciemnoty i ucisku“.

A dalej pisma „polityki realnej“ zarzucą stronnictwom postępowym, że są zapatrzone na rosyjskich kadetów, niezdolne do stworzenia własnego narodowego programu. Wzamian za to usłyszą, że stronnictwo polityki realnej, trzymając się klamki ministerjalnej, zatraciło i zatraca dumę i godność narodową tak samo, jak stronnictwa lewicy, „wlokące się w ogonie rewolucjonistów rosyjskich, a przesiąknięte doktrynerswem zachodniego socjalizmu, nie umiały się dostostować do warunków naszego życia i nic z naszemi narodowemi żądaniami wspólnego nie posiadają“.

A wówczas ze strony lewicy rozlegnie się głos, wyliczający wszystkie błędy, nielogiczności programowe partji postępowych, wołający słowami Młodej z „Klątwy„ Wyspiańskiego: „precz niemrawce“!

I tak wyklinamy się bez końca, a zagadka pozostaje nierozstrzygnięta; nie odnaleźliśmy „głowy“ — polaków nigdzie niema, wszyscy się wzajem od tego miana odsądzili i zakwestjonowali prawo używania go przez swoich przeciwników przekonaniowych.

Jest to smutny rezultat prowadzenia polemik za pomocą pomiarów antropometrycznych autorów, miast badania treści ich artykułów; jest to rezultat badania, ile „polskości“ mieści się w umyśle i krwi autora, jest to rezultat dzielenia narodu na prawdziwych polaków, na pół i ćwierć polaków, miast słusznego i uczciwego nazywania rzeczy po imieniu i rozpatrywania wszystkich publicystów dobrej woli, jako dobrych synów ojczyzny, hołdujących tylko różnym ideałom społecznym.

Trzeba nareszcie odrzucić do rupieciarni demagogicznych przeżytków to odsądzanie od „polskości“ oponentów i przeciwników politycznych: najskrajniejszy prawicowiec i najskrajniejszy lewicowiec w uczuciu i poczuciu swojem mogą być równie dobrymi polakami— czyje zaś metody rozwiązywania zagadnień społecznych, czyje metody walki będą słuszniejsze i lepsze dla „polskości“, to życie samo pokaże. Spierajmy się o te metody, a nie o polskość osobistości, nazywając rzeczy po imieniu: konserwatyzm—konserwatyzmem, nacjonalizm—nacjonalizmem, nie kwestjonując niczyjej polskości.

Jeśli różnorodność wyznań nie przeszkadzała naszej szlachcie kresowej walczyć ramię przy ramieniu z hordami tatarów; jeśli wówczas szlachta ruska, litewska i sandomierska lub mazurska mogły wspólnie walczyć, nie badając, czy różnica wyznania wpływa na większą lub mniejszą polskość, to i dzisiaj, sądzę, nie jest zadaniem publicystów polskich „wybadywanie“ tej polskości—lecz zwalczanie lub bronienie pewnych haseł i przekonań.

Walka demokracji z konserwatyzmem jest odwieczna — należy tylko do niej stosować coraz kulturalniejsze metody.“

Uwagi całkiem słuszne i wielce na czasie.

— Skoszlawienie przez Radę Państwa projektowanego samorządu miejskiego w Królestwie winno—zdaniem „Humanisty Polskiego“—wpłynąć na zanik legendy, jakoby społeczeństwo rosyjskie było dla nas usposobione przyjaźniej, niż biurokracja.

„Wytwarzając pewne sofizmaty polityczne w ocenie wierności przedstawicielstwa parlamentarnego, za wiele się odlicza na rachunek, wpływów i przymusu władzy. Żadne ciało prawodawcze nie odzwierciadla ściśle swego społeczeństwa, ale też żadne nie jest jego przeciwieństwem. Cokolwiek pisano o sztuczności wyborów do obu Izb w Rosji, wyrażają one jej umysłowość, jej nastrój, jej dążności, stanowią jej minjaturę. Przez nie więc wypowiedział się naród rosyjski. Naród ten uznał, że należało odciąć od Królestwa Polskiego kawał ziemi i wcielić go do Cesarstwa. On również — i to daleko wyraźniej, bo wbrew woli naczelnej, oświadczył się przeciwko nadaniu nam samorządu miejskiego w formie, zachowującej najdrobniejsze ślady instytucji samoistnej i krajowej. Niepodobna posądzić Stołypina i innych twórców projektu rządowego o jakiekolwiek sympatje dla polaków, przeciwnie raczej należy stwierdzić ich wyraźną niechęć i usiłowanie zawarowania dla urządzeń w Królestwie stałej przewagi biurokratyzmu centralistycznego nad działalnością żywiołów miejscowych. Mimo to, nawet ci wierni stróże „silnej ręki“ i „rękawic jeżowych“ nie dokręcili jeszcze szruby uciskowej do tego punktu, którego wymagała większość Rady państwa. Jej mowy i głosowania były tak bezwzględne i bezceremonialne, tak nie liczyły się z dal-

szemi następstwami, z wrażliwością skrzywdzonego społeczeństwa i sądem kulturalnych świadków tego widowiska, że chyba w Europie jeden tylko sejm pruski odważyłby się na podobne urąganie najelementarniejszym zasadom sprawiedliwości. I jak gdyby dla lepszego uwydatnienia jaskrawizny tego dekretu znalazł się on w szczególnych ramach czasu, kiedy ci sami „słowianie“, którzy nie pozwolili polakom nawet przemawiać w radach miejskich własnym językiem, urządzali jednocześnie krzykliwe manifestacje na rzecz pobratymców bałkańskich i domagali się samodzielności dla narodów, niedorównywających nam kulturą z przed 200 lat, a liczbą - - przedmieściu Warszawy. Zapał tych apostołów „braterstwa“ plemiennego był tak gorący i wybuchliwy, że aż policja musiała go gasić.

Gazety twierdzą, że szalę obrad przeciwko nam przeważyli pp. Stiszinskij i Hurko. Nie wierzymy temu: nawet bez ich wystąpień opadłaby ona w tym samym kierunku. Ale nie przestaje być bardzo znamiennym wypadek, że opinja Izby wyższej rosyjskiej znalazła się w obrębie idejologji politycznej najtępszego z biurokratów i najryzykowniejszego z karjerowiczów. Jest to zarazem może najsmutniejszy objaw uwiądu w organizmie Rosji. Nie dość powiedzieć, że tam rej wodzą prawicowcy lub nacjonaliści, bo i w tym rodzaju mogą się znaleźć jednostki dużej miary; trzeba dodać, że są ludzie niechcący, czy niemogący przekroczyć myślą dnia dzisiejszego, krótkowzroczni, ślepi lub tak omroczeni samolubstwem, że nie widzą ogromnych szkód, jakie wyrządzają własnej ojczyźnie, powstrzymując jej rozwój i utrwalając jej rozstrój. Ci ludzie mniemają, że najlepszą polityką jest sianie zamętu i mnożenie wrogów. Zdaje im się, że im wyższy rekord ucisku i nieprzyjaźni ustanowi ich naród, tem będzie bezpieczniejszy, a im więcej okaże i dozna nienawiści tem będzie szczęśliwszy.

Uchwała Rady państwa wycisnęła obok Chełmszczyzny drugie trwałe piętno na stosunkach polsko-rosyjskich. „Sądzę—rzekł poseł I. Szebeko—że nie leży w interesie Rosji, zwłaszcza w obecnej dobie, stwarzanie takich warunków życia etnograficznie polskiej narodowości, które zmusiłyby ją do rozstania się z myślą, że lepsza jej przyszłość winna być zawsze związana z Cesarstwem rosyjskiem“. Nie wiemy, jaki procent śród naszego narodu jest ludzi, który wyznawali tę wiarę: w każdym razie należał do nich p. Szebeko. Jeżeli więc ona została podważona w nim i innych wytrwałych duszach, to przekonywa o sile ciosu, zadanego polskości przez Radę państwa i o zupełnem zgaśnięciu ogników złudnej nadziei, tak starannie pielęgnowanych przez realno-ugodowych utopistów“.

Mimo wszystko, sądzimy, że ani obecna Duma, ani Rada Państwa nie są przedstawicielkami opinji społeczeństwa rosyjskiego. Wiemy, że niemniej wrogo, niż do „inorodców“, odnoszą się one do pewnych klas własnego narodu. Możemy tylko stwierdzić, że naród ten w obecnem stadjum swej kultury nie umie zdobyć się na reprezentację rzeczywistą. Ta więc, która istnieje, reprezentuje stopień jego świadomości. A świadomość ta właśnie w stosunku do kwestji polskiej mętna jest, chaotyczna i skłonna podlegać idejologji biurokratów, z których wszakże składa się prawica Rady Państwa.

⊳oooooooooo⊲

Głosy rosyjskie.

Wobec wzrastania emigracji.

P. Mienszikow, zamieścił w „Nowem Wremi“ szereg artykułów, poświęconych kwestji ciągłego wzrastania emigracji z Rosji. Z powodu tych artykułów „Riecz“ zamieściła kilka ciekawych uwag w tej samej kwestji.

„Według ostatniego sprawozdania generalnego komisarza emigracji Stanów Zjednoczonych, w ciągu roku ubiegłego przybyło do Ameryki z państwa rosyjskiego około 65,000 żydów, przeszło 40,000 polaków, przeszło 16,000 litwinów, około 9,000 niemców.

Z państwowego punktu widzenia fakty te są dość znamienne. Jeżeli setki tysięcy ludzi urodzonych w Rosji, związanych z nią tysiącami interesów i węzłów, rzucają ziemię rodzinną i podążają w obce strony po wolność i szczęście, świadczy to o zupełnie nienormalnym stanie organizmu państwowego, nie posiadającego dostatecznej żywotności i zdolności do ogarnięcia wszystkich różnorodnych żywiołów, w skład jego wchodzących. Emigracja obcoplemieńców jednak jest oryginalnie traktowana i wobec tryumfu w polityce praktycznej tego nacjonalizmu, którego cała treść sprowadza się do walki z „zalewem obcoplemiennym“, do ograniczeń i represji przeciwko obcoplemieńcom, ucieczka z Rosji setek i dziesiątków tysięcy potrzebnych i pożytecznych dla kraju obywateli przyjmowana jest nietylko obojętnie, lecz nawet z aprobatą. Jakkolwiek przez „radykałów“ współczesnego nacjonalizmu masowe wygnanie niedogodnych plemion i narodów uznawane jest nieomal za ideał mądrości państwowej, to jednak samo się przez się rozumie, że wysiedlenie polaków, żydów i finnów nie może być uważane za fakt pocieszający, za dowód tego, że kurs nacjonalistyczny daje pożądane rezultaty.

Jest tylko logicznem i, oczywiście, nie przypadkowem następstwem obecnej polityki ta okoliczność, że pierwsze miejsce pod względem liczebności emigrantów zajmują te narodowości, nad któremi są dokonywane najśmielsze eksperymenty współczesnego nacjonalizmu. Im więcej wyjeżdża z Rosji żydów, polaków i finlandczyków, tem lepiej dla wielkiej Rosji, dla jej rdzennej ludności—takie jest usprawiedliwienie tej obcoplemiennej emigracji...“

Polemika w sprawie „mordu rytualnego“.

W tych dniach w Berlinie wydane zostało dzieło, zawierające opinje profesorów angielskich, niemieckich i francuskich, znawców medycyny sądowej, w sprawie zabójstwa Juszczyńskiego. Profesorowie ci krytykują bardzo ostro orzeczenie eksperta, prof. Sikorskija, dowodząc, na podstawie materjałów śledczych i protokułów ekspertyzy, niesłuszności zdania prof. Sikorskija co do nadzwyczajnej ilości krwi, która upłynęła z zabitego oraz niezwykłego jakoby charakteru samego zabójstwa. Uczeni europejscy, nie wchodząc wcale w rozpatrzenie sprawy *in merito*, wypowiedzieli jedynie sąd swój o samej ekspertyzie, zdaniem ich, stronnej a nie objektywnej.

Urzędową „Rossiję“ wytrąciło wystąpienie to najpoważniejszych uczonych europejskich z równowagi. Pisze też ona:

„Jeszcze niewiele, a doczekamy się od profesorów angielskich, francuskich i niemieckich oświadczenia iż sam Juszczyński nigdy nie istniał, co z pewnością jest im wiadome. Czy wiadomo im jednak, że autorytet ich przyciągnięto do sprawy jedynie w celu wywarcia możliwej presji na sąd, który jest kompetentny i potrafi orjentować się w sprawach bez porównania bardziej zawiłych niż zabójstwo kijowskie? Należy przypuszczać, iż profesorowie zagraniczni nie zdają sobie sprawy z tego, bo wszak z zasady muszą uszanować i poważać niezależność zdania sądu i chyba rozumieją iż agitacja dokoła rozpraw sądowych nie wykrywa prawdy a zaciemnia ją“.

W odpowiedzi na te uwagi „Rossiji“ kadecka „Riecz“ zapytuje, czy urzędówka rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z jasnych zupełnie rzeczy. Czy „Rossija“ nie pojmuje tego:

„iż orzeczenia sądowo-lekarskie oparte są na faktach, wniesionych do protokułów sekcji; iż o ile istnieje materjał faktyczny, t. j. odpowiednie protokuły i akta procedury śledczej, to wnioski naukowe z niego mogą być wyciągnięte z jednakową pewnością wszędzie, gdzie znajdują się przedstawiciele nauki, posiadający metody, środki i sumę nagromadzonego doświadczenia. Czyż „Rossija“ nie rozumie, że uczeni europejscy, gdziekolwiek mieszkają—czy w Londynie, czy w Berlinie, czy w Paryżu, o ile idzie o opinję na podstawie aktów i protokułów sekcji, znajdują się w tem samem położeniu, co i ekperci kijowscy?“.

To wszystko wiedzą doskonale publicyści z Rosiji“. Niemniej p. Gurland z kolegami potrafją czasem nie pojmować najprostszych rzeczy.

Potrafją oni udawać szlachetne oburzenie nawet wtedy, gdy przeciw nim występują największe powagi Europy.

ooooooooooo

NA WIDNOKRĘGU.

Upór Mikołaja Czarnogórskiego, który nietylko ze Skutari ustąpić nie chciał, ale postanowił nawet następcy swemu urządzić w niem rezydencję; z drugiej zaś strony kunktatorstwo biesiadujących w Londynie ambasadorów — skłoniło wreszcie Austro-Węgry do uczynienia stanowczego kroku.

– Dość tych żartów—rzekła dyplomacja wiedeńska i obwieściła światu, że do spółki z Włochami (na które niedawno jeszcze tak bardzo liczyli nacjonaliści i panslawiści petersburscy) zapowiada okupację... Albanji.

Czarnogórze zgrzeszyło, a zajęta ma być Albanja. Jest to zwykła logika dyplomacji, która rozumie, że w polityce miema ani grzechów, ani cnót, lecz tylko interes i siła. O winach i zasługach mówi się gawiedzi, maluczkim, których nigdy nie należy gorszyć. Więc wymyśla się grzechy, by je karać; rzadziej—zasługi, kwalifikujące się do nagród.

Wiedeń póty bolał nad losem Albanji, póty bronił jej samodzielności, dopóki krajowi temu mógł grozić najazd sprzymierzonych bałkańczyków. Gdy niebezpieczeństwo minęło, a natomiast zjawiła się okazja sięgnięcia samemu po tę resztkę tureckiej sukcesji, dyplomacja austrjacka wnet wyciągnęła rękę.

Na razie mówi się, że chodzi tylko o uporządkowanie stosunków albańskich, o przeciwdziałanie anarchji. Włosi mają porządkować południe, austrjacy północ.. Przy okazji wyproszą ze Skutari czarnogórców, ale to sprawa podrzędna. Za sprzymierzeńcami tymi stoi cicho przyjaciel berliński i baczy, by im kto na pięty nie nadeptał.

A chętnych po temu jest dosyć i jeszcze nie wiadomo, czy któremu z nich nie zbraknie cierpliwości.

Jeżeli cała ta historja ze zdobyciem Skodaru przez króla Nikitę nie była zgóry uplanowana w gabinetach trójporozumienia; jeżeli dalsze konsekwencje obecnej sytuacji nie są już przewidziane, to władca czarnogórski niechcący spłatał figla własnym swoim protektorom.

Teraz wszakże gotów on jest Skutari opuścić, zrzeka się nawet wszelkich kompensat.

Na wszelki wypadek wyreżyserowano protest gabinetu, który podał się do dymisji. Ma to pozorować patrjotyczną i nieprzejednaną „wolę ludu, nie godzącego się na porzucenie zdobyczy.

To trochę krzyżuje plan sprzymierzeńców.

Austrja i Włochy występują zatem nie tyle przeciw Nikicie (Włochy nawet głośno to reklamują), ile przeciw Essadowi-paszy, którego pieczy nie chcą powierzyć samodzielności Albanji. Widać obawiają się, że samodzielność ta nie przez trójprzymierze trzymana będzie w cuglach.

W każdym razie występ austrjacko-włoski zdaje się być początkiem gry międzymocarstwowej o pozostałości sukcesji tureckiej i o zawarowanie korzyści poszczególnym członkom „koncertu“ wobec zmienionych warunków.

Dlatego też sytuacja stała się znowu poważniejszą, a widmo wojny łeb wychyla. Austrja sposobi się już; chce być gotowa na wszelki wypadek. Na południu zarządzono stany wyjątkowe, a w Galicji—stan oblężenia.

Jedno jest pewne, że wypadki w Albanji, o ile Austrja i Włochy wkroczą na jej ziemie, muszą mieć skutki poważne nietylko w Europie, ale i w Azji, gdzie byt Turcji bynajmniej zapewnionym nie jest. A i wieczna kwestja Konstantynopola musi stanąć na porządku dziennym.

Do porachunków zgóry otwarto sobie drogę czwartkową uchwałą konferencji ambasadorów. Na posiedzeniu tem odrzucono propozycję Ligi Bałkańskiej, by kwestję granic Albanji rozpatrzeć raz jeszcze, przy rokowaniach pokojowych, wspólnie z przedstawicielami państw bałkańskich.

Nie tylko sprawa granic Albanji, ale także sprawa wysp Egejskich i sprawa odszkodowania wojennego pozostawiona została wyłącznie do uznania sześciu wielkich mocarstw.

Mogą stąd wyniknąć nowe komplikacje, a nawet nieporozumienia pomiędzy sprzymierzeńcami bałkańskimi, bo przewidywana jest krzywda Serbji i Grecji na rzecz Bułgarji i Czarnogórza.

ooooooooooo

Nowa organizacja rewolucyjna.

Petersburska Agencja Telegraficzna rozesłała komunikat urzędowy departamentu policji, który brzmi, jak następuje:

„W ostatnich dniach w szeregu dzienników zjawiły się wiadomości o dokonanych w Petersburgu aresztowaniach wśród wychowańców różnych szkół; z większości notatek widać dążenie postawienia tych aresztów w związku z aresztowaniem uczestników zebrania organizacji ogólno-uczniowskiej, które odbywało się dnia 22-go grudnia 1912 roku w Petersburgu w gimnazjum prywatnem Witmerowej. W rzeczywistości jednak rewizje i aresztowania, dokonane w pierwszych dniach kwietnia r. b., oparte były na danych następujących: W kwietniu 1912 r. w Petersburgu, wykryto proklamacje nieznanej dotychczas organizacji rewolucyjnej, która nadała sobie nazwę „Organizacyjnej grupy Związku rewolucyjnego“, i postawiła sobie za zadanie zburzenie istniejącego ustroju politycznego. Dnia 28-go maja r. z. niektórzy z jej uczestników byli

aresztowani i pociągnięci do śledztwa przez gubernjalny rzarząd żandarmerji w Petersburgu. Jednakże i po tym fakcie wspomniany Związek rewolucyjny istniał w dalszym ciągu i w lutym r. b. wydał odezwy występne, które oprócz bezpośredniej obrazy pod adresem Świętej Osoby Najjaśniejszego Pana i zuchwałego nieposzanowania Władzy Zwierzchniczej, zawierały wezwanie do zburzenia rządu Cesarskiego i utworzenia republiki demokratycznej. Wkrótce potem do wiadomości policji doszło, że grupa petersburska Związku rewolucyjnego podjęła się przeprowadzienia w Petersburgu strejku robotników w fabrykach, zakładach przemysłowych, oraz urządzenia demonstracji ulicznej d. 16 kwietnia r. b., przyczem w tym celu, wraz z innemi organizacjami politycznemi, zredagowała i wydała odezwę występną. Dane te zmusiły wydział „ochrany" do dokonania aresztowań, ustalonych już do tego czasu członków Związku rewolucyjnego, wśród których okazało się tylko dwu uczestników zebrania, odbytego d. 22-go grudnia 1912 roku, w gimnazjum prywatnem Witmerowej.

Wszystkich, po odkryciu pomienionem, aresztowano 31 osób i zrewidowano 40. U wielu z aresztowanych, po wykryciu Związku rewolucyjnego, znaleziono odezwy występne i inne dokumenty, dowodzące ich działalności rewolucyjnej. Całą korespondencję w sprawie ostatnich aresztowań członków Związku rewolucyjnego odesłał już petersburski oddział „ochrany" do gubernjalnego urzędu żandarmerji, w którym wszczęto dochodzenie formalne z art. 1.035 kodeksu karnego według kwalifikacji przestępstwa, przewidzianego w artykule 102 kodeksu karnego".

KRONIKA.

= Nagrody Akademji Umiejętności.

Akademja umiejętności na posiedzeniu administracyjnem przyznała następujące nagrody:

Nagrodę z fundacji Probusa Barczewskiego za dzieło historyczne w kwocie 2160 kor. przyznano dr. Juljuszowi Kleinerowi we Lwowie za dwutomowe dzieło p. t.: „Zygmunt Krasiński Dzieje Myśli".

Taką samą nagrodę w kwocie 2160 kor. za dzieło malarskie przyznano profesorowi Wojciechowi Weissowi w Krakowie za obraz p. t. „Owoce".

Nagrody z funduszu Włodzimierza Spasowicza przyznano: 1) prof. Kazimierzowi Morawskiemu w Krakowie w kwocie 2000 kor. za dzieło p. t. „Historja literatury rzymskiej za Rzeczypospolitej" tomów trzy, i 2) P. Władysławowi Biegańskiemu w Częstochowie w kwocie 1000 kor. za dzieło p. t. „Teorja logiki".

Nagrodę z fundacji ks. Jerzego Romana z Rozwadowa i Adama z Miżyńca Lubomirskich przyznano: 1) prof. Napoleonowi Cybulskiemu w Krakowie w kwocie 3000 kor. za rozprawy p. t. „Prądy elektryczne w mięśniach nieuszkodzonych i uszkodzonych oraz ich źródło" tudzież „Prądy elektryczne w mięśniach czynnych, ich charakter, i źródło" i 2) prof. Karolowi Olszewskiemu w Krakowie, także w kwocie 3 tys. kor. za rozprawę p. t. „Skraplanie wodoru przy uchyleniu strat zimna".

Nagrodę konkursową im. Lindego w kwocie 675 rb. w kuponach nom. wart. (po odciągnięciu 5 proc. na podatek) przyznano prof. Józefowi Rostafińskiemu w Krakowie za pracę p. t. „Polskie nazwy roślin, ich części, zbiorowisk oraz bezpośrednich wytworów".

Nagrodę im. Juljana Ursyna Niemcewicza w kwocie 1200 kor. przyznano drowi Ludwikowi Kolankowskiemu za pracę p. t. „Zygmunt August, Wielki Książe Litwy do roku 1548".

Nagrodę z funduszu Adama Szajkiewicza, wynoszącą 1200 rb. przyznano po połowie, to jest po 600 rb., zmarłemu prof. Augustowi Witkowskiemu za trzeci tom dzieła p. t. „Zasady fizyki" i prof. Stanisławowi Zarembie za dzieło p t. „Arytmetyka" teoretyczna".

Nagrodę z fundacji Konstantego Simona za prace, napisane w języku polskim z dziedziny fizyki i matymatyki, a wynoszącą 900 kor., przyznano prof. Wacławowi Sierpińskiemu we Lwowie za dzieło p. t. „Zarys teorji mnogości".

= 100-na rocznica śmierci ks. Józefa.

Na posiedzeniu komitetu krakowskiego obchodu majowego prezes „Straży polskiej", prof. M. Straszewski, poruszył sprawę urządzenia w Krakowie uroczystego obchodu setnej rocznicy śmierci ks. Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem w d. 19 października r. b. Komitet gorąco przyklasnął tej myśli i uchwalił jednomyślnie, łącznie ze „Strażą", rozpocząć przygotowania.

= Kontrola nad ruchem ukraińskim.

Ministerjum spraw wewnętrznych poleciło gubernatorom południowych i południowo-zachodnich gubernji zebrać materjały o istniejących w gubernjach bibljotekach ukraińskich, wydawnictwach, pismach, instytucjach społecznych, oświatowych i kredytowych, w których językiem porozumiewawczym jest język ukraiński.

= Kobiety a reforma Sejmu galicyjskiego.

Do marszałka krajowego, Gołuchowskiego, zgłosiła się deputacja kobiet z żądaniem nadania kobietom praw wyborczych. Marszałek wyraził powątpiewanie co do skuteczności tych starań.

= Oryginalny słownik.

Zarząd główny więzień otrzymał od niektórych naczelników zakładów więziennych propozycję utworzenia kursów „języka złodziejskiego" dla dozorców więziennych. Propozycja ta doznała podobno przychylnego przyjęcia. Dla dozorców więzień utworzone być mają obowiązkowe kursy tego języka. Nadto zarząd główny więzień przystępuje do opracowania „Słownika języka złodziejskiego".

Książki nadesłane do redakcji.

Bibljoteka pamiętników. Pamiętniki D-ra Józefa Franka, profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył dr. Władysław Zahorski. Tom III. Wilno. Nakł. Tow. Udz. „Kurjer Litewski". Marzec, r. 1913.

Bibljoteka pamiętników. W przededniu wiosny ludów. Wspomnienia Aleksandra Guttrego z r. 1846 — 48. Wydał i przedmową opatrzył Maciej R. Wierzbicki. Wilno. Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski". Kwiecień, r. 1913.

Tadeusz Miciński. „Xiądz Faust". Powieść. Kraków. Spółka nakładowa „Książka" (bez daty).

Treść numeru.

Prawo i siła — J. S.
Z serca Polski — Wester.
Wrażenia poznańskie — B. H.
Pod skrzydłami tak zwanej... kultury pruskiej — St. Posner.
W sprawie teatru zimowego — rc.
Smutki młodości (wiersz) — Z. Kleszczyński.
Udział polaków w procesie Hussa — St. Poraj.
Pierwszy maja.
Prasa polska.
Głosy rosyjskie.
Na widnokręgu.
Nowa organizacja rewolucyjna.
Kronika.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ“. Wilno. Redaktor odpowiedzialny [illegible]

Rok II. Wilno, 11 (24) Maja 1913 r. № 18—19.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie
Rocznie - 7.00
Półrocznie - 3.50
Kwartalnie - 1.75
Miesięcznie - 60
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu
Rocznie - 8.—
Półrocznie - 4.00
Kwartalnie - 2.00
Miesięcznie - 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26
Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.
Skrzynka pocztowa № 52

Numer pojedyńczy 15 kop.

Kto winien?

Zajścia w kościele św. Jana w Wilnie, gdzie tłum polski przeszkodził wprowadzeniu nabożeństwa majowego w języku litewskim, nabrały rozgłosu i urosły do rozmiarów poważnego zatargu narodowościowego. Prasa antypolska poczęła rozdzierać szaty nad krzywdami, jakie wyrządza litwinom szowinizm polaków, zachowawcze zaś dzienniki polskie nie omieszkały przy tej sposobności wystąpić z oburzeniem przeciw zachłanności litewskiej.

Stare ograne melodje, które słyszeliśmy już w zeszłym roku podczas spraw janiskiej i raduńskiej.

I jak wówczas, tak i obecnie główny winowajca pozostaje na stronie, korzystając dzięki swemu stanowisku z zupełnej bezkarności.

Nie można się dziwić polakom, że ci reagowali na inowację wprowadzenia nabożeństwa litewskiego w akademickim kościele św. Jana, uważanym za świątynię narodową, jak nie można się również dziwić litwinom, że nie chcą poprzestać na skromnym kościołku św. Mikołaja i pragną bardziej wystawnych nabożeństw.

Rzeczą władzy kościelnej było znaleźć wyjście z tych sprzecznych dążeń i nie wywoływać gorszących zajść, tak łatwych do przewidzenia.

Nie zastanowiono się nad ewentualnym wynikiem wprowadzonej inowacji i z całą lekkomyślnością otworzono drzwi kościoła św. Jana przed litwinami, a gdy dotknięty w swych uczuciach tradycyjnych lud wileński gorąco przeciwko temu zaprotestował i przybrał postawę stanowczą, cofnięto wówczas zarządzenie, rozdrażniając najniepotrzebniej społeczeństwo litewskie.

A chyba nie trudno było uniknąć tego wszystkiego i nie wywoływać jątrzących niesnasek, mając w swem ręku tak rozległą władzę w zakresie spraw kościelnych, jaką posiada zwierzchnik djecezji.

Nieudolna i chwiejna polityka wyższego kleru, której dowody złożył w ostatnich latach kilkakrotnie, jest wymownem świadectwem, że kościół przestał być tym czynnikiem twórczym i regulującym układ naszych stosunków, za jaki powszechnie w mniemaniu ogółu uchodzi i jakim istotnie był do niedawna.

Coraz częściej się ujawnia rozbieżność między nastrojami szerokich warstw ludności a dążeniami jej kierowników w sutanach. Wpływ tych ostatnich o tyle tylko jest skuteczny, o ile się rozwija w kierunku żywiołowych uczuć mas. Ustaje zaś z chwilą, gdy staje wpoprzek lub w pewnem odchyleniu. Świadczy to o pewnym poziomie uświadomienia naszego ludu.

Niezrozumiałem jest wobec tego stanowisko „Kurjera Krajowego“, który piętnuje „ślepą tłuszczę“ i ubolewa nad upadkiem kultury, uczuć obywatelskich, najelementarniejszych zmysłów humanitarnych etc. Pismo demokratyczne powinno było dostrzec inny pierwiastek w wystąpieniu tłumów wileńskich: świadomość narodową i gotowość do bronienia swych praw nawet wbrew wyraźnej presji kleru. Że w danym wypadku zamach na polskość tkwił raczej w rozbudzonej wyobraźni ludności, niż w istocie rzeczy, że roznamiętnienie omal nie przybrało formy brutalnych ekscesów—jest to zjawiskiem zrozumiałem, zważywszy na środowisko, złożone z elementów, najbardziej ekspansywnych. Wstyd, hańba, upokorzenie, epitety, któremi tak obficie szafuje „Kurjer Krajowy“ są tu najzupełniej nie na miejscu.

W roku zeszłym, z powodu zatargów polsko-litewskich w parafjach mieszanych, p. Michał Römer, którego o nacjonalizm w żadnym razie posądzać nie można, pisał w artykule p. t. „Dobre w złem“ (№ 39—40 „Przegl. Wil.), co następuje:

„Z rozwojem i utrwaleniem czynnika świadomości w masie ludowej, ujawnia się dążność samorządna do ujęcia sprawy tej we własne ręce i ukształtowania stosunków nie podług woli pojedyńczej księdza proboszcza lub nawet władzy djecezjalnej, lecz podług woli samego ludu. Niewątpliwie, że to ujmowanie przez lud spraw tych we własne ręce ma w obecnem stadjum stosunków polsko-litewskich pewne cechy ujemne... Ale jest w tem zjawisku niewątpliwie zasada dodatnia, która w dalszej konsekwencji wydać musi plon społecznie pożyteczny. Jest to przenikanie do ludu demokratycznych pierwiastków samorządności, skierowanie świadomości do dziedziny własnych potrzeb zbiorowych, wreszcie ukształtowanie się narodowe ludu, stanowiące podstawę dla jego rozwoju kulturalnego. Na razie to się ogranicza do dziedziny stosunków językowo-koś-

cielnych, ale niewątpliwie świadomość raz obudzona oraz wola skierowana do samodzielnego stanowienia o własnych potrzebach rozszerzy się stopniowo i na inne dziedziny życia zbiorowego i potrzeb".

Bardzo słusznie p. M. Römer podkreślił w zatargach o język w kościele pierwiastek uświadamiania się narodowego,na co nie zwrócił wcale uwagi „Kurjer Krajowy".

Formy dzisiejszych zatargów razić muszą istotnie swą pierwotnością, lecz formy to rzecz przejściowa. Jako trwała zdobycz pozostaje usamodzielnienie ludu i stopniowa jego emancypacja z pod wpływów niepodzielnych kleru,któremu doniedawna ulegał bezkrytycznie.

Oczywiście Wilno nie jest tym terenem klasycznym o ludności mieszanej, gdzie walka o język w kościele jest nieunikniona. Ludność polska ma tu poddostatkiem innych środków do uświadamiania się narodowego. Zatargi polsko-litewskie w Wilnie, są zjawiskiem sztucznem, do którego warunki naturalne nie dają najmniejszego powodu. Jeżeli od pewnego czasu wypływają na powierzchnię życia, winne jest temu wyłącznie duchowieństwo, które nie umie dać sobie rady z komplikacjami nawet w zakresie spraw kościelnych, co nie przeszkadza mu rościć pretensji do roli przodującej w społeczeństwie i kierownictwa polityką świecką. Kler tylko i jego zwierzchników uważać należy za sprawców zamętu, jaki się wytwarza tam, gdzie dlań miejsca niema, gdzie jest tyle sposobów do uregulowania i załagodzenia antagonizmów narodowościowych.

Ludność wileńska za swoje zachowanie się w kościele św. Jana na potępienie nie zasługuje. Występowała ona w obronie swych odwiecznych praw uważając kościół za swoją własność, protestując przeciwko narzucaniu jej obcych nowinek. Prawdopodobnie zachowała by się o wiele bardziej pojednawczo, gdyby miała pewność, że nabożeństwo litewskie, wprowadzone na maj w godzinach rannych, nie będzie pierwszym wyłomem, po którym nastąpią inne, w dotychczasowym charakterze kościoła o tradycjach narodowo-polskich.

Bezwątpienia objawy nienawiści względem litwinów, jakie dały się zauważyć podczas tych zajść, stanowią ciemną plamę, nad której usunięciem powinny pracować polskie sfery inteligientne. Ale powodów jej znów trzeba szukać w postępowaniu kleru, który potrafił rozbudzić waśń narodowościową nawet na gruncie wileńskim, gdzie zdawałoby się nie może być dla niej miejsca wobec ustosunkowania żywiołów polskiego i litewskiego, wykluczającego wszelką rywalizację. Można mieć nadzieję, że ze wzrostem uświadomienia i rozwojem społecznym—niechęć względem litwinów rozwieje się, a stosunki wzajemne ułożą się ku zabopólnemu zadowoleniu. Natomiast odporna postawa ludności wileńskiej, zajęta przez nią wobec wprowadzenia języka litewskiego, pozwala przypuszczać, że z równą a może jeszcze wiekszą stanowczością ludność ta będzie reagowała na wszelkiego rodzaju próby zmiany istniejącego stanu rzeczy, gdyby się o nie w przyszłości ktokolwiek inny pokusił.

I to jest najbardziej pocieszające. Dziś masy obojętne są jeszcze na sprawy społeczne, leżące poza obrębem życia kościelnego. Jutro wyjdą na szerszą arenę. W przyszłych zapasach nabyte uświadomienie narodowe i ujawniona wola zbiorowa będą czynnikiem pierwszorzędnej wagi, w wielu razach rozstrzygającym o zwycięstwie.

Ze stanowiska demokratycznego na tę właśnie stronę należy kłaść największy nacisk.

L. A.

⊳oooooooooo⊲

Formuła siły „realnej".

Mądrość naszych polityków „realnych", których metodom nie udało się dotychczas zdobyć dla narodu nic więcej poza jednem tylko prawem —t. j. prawem pokornego nadstawiania pleców, nowy obecnie czyni wysiłek. W warszawskiem „Słowie", mianowicie, przypomniano sobie zeszłoroczne „myśli o naszem pańtwowo-politycznem położeniu na Litwie i Rusi", które—ogłoszone przez p. P. K. na łamach „Kurjera Litewskiego" — minęły bez echa.

Obecnie więc jakiś wileński „Realista" podjął się odgrzania owych myśli, w których widzi zaro-

M. PAWLIKOWSKI. 5)

Romans Wacława Błockiego.

Zegar zaskrzypiał i dźwięcznie wybił szóstą.

Chwiejnie podszedł do fotelu i siadł ciężko.

Ira nadejdzie zaraz.—Jak ją powita? Czy padnie na kolana i pokryje pocałunkami drżące ręce? Czy ogarnie ją ciepłym uściskiem i złoży na ustach gorący pocałunek? Czy weźmie ją pod ramię i giestem władcy wprowadzi do salonu? — I co powie przytem?

— Witaj, wyśniona, w mych progach! Nie! Zanadto patetycznie! Może lepiej powiedzieć krótkie, „nowożytne":

— Przyszłaś?

„Przyszłaś?"—w którem skrystalizuje się i radość niezmierna, i odrobina dumy, i poryw uczucia i wdzięczność bez granic—?

Krótko zadźwięczała elektryczna grzechotka.

Wstał, zakręcił światło i wyszedł do przedpokoju.

Ręka mu drżała i długo nie mógł odkręcić zatrzasku. Otworzył wreszcie.

Wionął nań pęd chłodnego powietrza i zapach konwalji. A potem powoli, jakby nieśmiało, weszła Ira. Drzwi, pchnięte przez Błockiego, zatrzasnęły się głośno za nią, a oni stali naprzeciwko siebie w milczeniu.

Ira miała na głowie futrzaną czapeczkę, z pod której lśniła się przędza złotych włosów i błyszczały turkusowe oczy z rozszerzonemi źrenicami.

Była tak „nad wyraz" piękna, że Błocki stał chwilę, jak skamieniały z podziwu. Potem prędko pomógł jej rozebrać się i otworzył drzwi od salonu.

Powolnym, ale pewnym krokiem poszła w stronę kanapki, nie rozglądając się wkoło, jakby dobrze znała ten pokój. Siadła i wtedy dopiero spojrzała na Błockiego. Był blady, jak kreda, usta mu drgały, a szeroko otwarte ciemne oczy pokrywały się mętną powłoką.

— Wacku...

Podszedł zwolna, usiadł obok, objął kibić łagodnym ruchem, przygarnął do siebie i zbliżył usta do jej twarzy. Od różowych policzków bił czar zdrowia i przedziwnej świeżości, powiększonej jeszcze przez

dek nowego „programu dla kresów“, ściśle zaś mówiąc — dla społeczności polskiej, Litwę i Ruś zamieszkującej. Że jednak — jak twierdzi p. P. K. i p. Realista—„jeszcześmy prawie wyłącznie szlachtą ziemiańską“, więc program obraca się właściwie około interesów tej właśnie sfery. Ona to — zgodnie ze słusznem założeniem, iż w polityce siła tylko decyduje — stać się ma wszechstronnie silna.

Lecz jak to uczynić?

Nawet najbezwzględniejszy krytyk i preciwnik doktryn demokratycznych, ale człowiek, trzeźwo na rzeczy patrzący, nie może w żaden sposób nie zauważyć, iż „szlachta ziemiańska“ (rodowa wielka własność ziemska) wszędzie na świecie resztkami sił goni. Ruch w kierunku rozdrabniania majątków i osadzania na roli kolonistów, posiłkujących się metodami przemysłowemi, jako też specjalizujących się w poszczególnych gałęziach gospodarki — nietylko w Europie zachodniej czyni szybkie postępy, ale przeniósł się już i na ziemie rdzennie polskie. Można uczuciowo boleć nad tym faktem, ale nie wolno go przeoczać — zwłaszcza politykowi „realnemu“. Można również cieszyć się, iż ruch powyższy słabo się jeszcze objawia na naszych t. zw. „kresach“, lecz nie należy się łudzić, jakoby na stałe miał on się zatrzymać u granic Litwy i Rusi.

Skoro zaś taką jest samorzutna ewolucja stosunków, szlachta ziemiańska, będąca w stanie dekadencji lub też na nią skazana, podstawą siły narodowej być nie może. Fundamentu jej szukać należy nie w elementach, których przyszłość nie dorówna już nigdy przeszłości, lecz przeciwnie: w żywiołach, mających jeszcze wszystko przed sobą i których interes pozostaje w zgodzie z duchem ogólnego postępu.

Gdyby tę bijącą w oczy rzeczywisteść należycie oceniali panowie, przezywający się (dla ironji chyba) realistami; gdyby efemeryd dnia dzisiejszego nie brali krótkowzrocznie za wartości bezwzględnie trwałe; gdyby wreszcie chodziło im istotnie o ideję wzmocnienia żywiołu polskiego na Litwie, a nie utożsamiali jej błędnie z interesem własnym — narzucić by się im musiała niewątpliwie konieczność wejścia na jedną tylko drogę. Drogą tą byłaby tendencja do parcelowania latyfundjów polskich między najkulturalniejszych włościan z Królestwa i Poznańskiego, do patronowania tworzonym w ten sposób kolonjom i popierania wszechstronnego rozwoju ich kultury i samodzielności.

Czy akcja taka jest możliwa, czy nie? — to inna sprawa. Nie wchodzę tu również w to, co kraj nasz by na tem zyskał. Twierdzę tylko, że element polski tym sposobem jedynie mógłby w warunkach obecnych podnieść swą *siłę* na „kresach“.

Nic podobnego wszakże panom realistom do głowy nie przychodzi. Z całej ich krętaniny, w poszukiwaniu galileuszowej dźwigni, jedno tylko wynika—świadomość niemocy. Nie przeczę, iż każde zrozumienie rzeczywistości, każde odkrycie prawdy, choćby tą prawdą była słabość własna, jest funkcją siły.

Trzeba tylko tę realną okoliczność należycie w działaniu uwzględniać i logiczne z niej wyprowadzać wnioski.

Daremnie jednak szukamy tego w wywodach p.p. realistów próżno nawet wypatrujemy jakiegokolwiek wysiłku w kierunku wzmocnienia ich stanowiska, identyfikowanego z mocą wpływów polskich.

Zrozumiawszy, że „nigdy nie będą mieli (ziemianie polscy) na kresach *decydującego* wpływu“, dochodzą oni do wniosku, iż właściwie pozostaje tylko jedno: mianowicie zrezygnowana wegietacja.

Cały bowiem dalszy program, wysnuty z powyższego uświadomienia sobie niemocy, nietylko nie daje ani jednego punktu, pomyślanego oryginalnie, nietylko zapożyczony jest we wszystkich szczegółach od „doktrynerów demokratycznych“, ale—co najważniejsze—poprzestaje na ogólnikach postulatów, unikając wszelkich konkretnych wskazań, jak walczyć i zdobywać cośkolwiek.

Umieszczone na jednem z naczelnych miejsc programu ostrzeżenie, iż „wszelka rewolucja społeczna, w zamęt obracająca się niezwłocznie, sytuację naszą gorszą tylko może uczynić“—z punktu widzenia interesów ziemiańskich jest całkiem naturalne i zrozumiałe; ale do zwalczania rewolucji

---

chłód mroźnego powietrza, który ze sobą przyniosła z ulicy.

I pierwsze pocałunki były ostrożne, tkliwe, dziewicze.

Suchemi wargami ślizgał się po jędrnym, miękkim naskórku, obrysowywał czyste linje twarzy, całował powieki, ciążące złotą frendzlą rzęs, całował czoło białe, wypukłe, pokryte siecią sinawych, ledwie dostrzegalnych żyłek.

Potem wpił się w usta.

Odchyliła się w tył — i zamarli tak.

Widział tuż przy swych oczach jej oczy, przymrużone zlekka, otchłanne, ze źrenicami tak rozszerzonemi, że aż czarne... Czuł pod piersią opór jej prężącego się łona, na rękach ciężar krągłych, ciepłych ramion.

Kaskada złotych włosów, rozluźniwszy, się spadła na uszy i czoło i musnęła go po twarzy. Zadrgał w upojeniu.

A potem począł prędko obdzierać ją z ubrania... Nie broniła się, tylko wstrząsał nią dreszcz i z ust dobywał się śmiech nerwowy... Wreszcie była przed nim naga...

W pełnym blasku ujrzał jej białe ciało, nad którem wznosiła się twarz z przymkniętemi oczami i szkarłatnemi plamami rumieńców.

Ciało, — którego piękno przeczuł w chorobliwych wizjach swych śmiałych marzeń.

Ciało, — które już znał pierwiej, do najdrobniejszych szczegółów, odbite w mirażu lubieżnych snów, a teraz zaś ujrzał prawdziwe, realne, żywe.

Ciało, które, jak tego pragnął, drgało i prężyło się pod ciężarem jego głodnych spojrzeń.

Ciało Iry — jej ciało!

I rozpoczęła się słodycz rozkoszy.

Rozkoszy obmyślanej, wyrafinowanej, subtelnej.

Rozkoszy, która, miast buchnąć ognistym płomieniem, przepalała ich istoty ciągłym, przewlekłym, żarzącym się ogniem rozumnej namiętności.

W przymrużone oczy bił mu blask od złocistego ciała; nozdrzami łowił jego zapach ledwie uchwytny. Zapach ten mięszał się z przedziwnym aromatem konwalji, który zdawał się drgać niewidzialną a tęczową falą w gorącem, nasyconem pomgłą lubieżności, powietrzu.

Drgania coraz częstsze przebiegały po niej, — wreszcie wyprężyła się, zbladła i bezsilnie zwiesiła głowę na poręcz kanapki,

socjalnej rząd nie potrzebuje wcale pomocy szlachty ziemiańskiej. Jeśli szuka sprzymierzeńców, to raczej po miastach, śród wielkich przemysłowców. Tam ferment społeczny jest znacznie intensywniejszy i groźniejszy, niż na wsi. Reklamowanie więc ewentualnego braterstwa broni z rządem, na wzmocnienie pozycji naszej „szlachty ziemiańskiej“ wywiera wpływ wątpliwy, a nawet i *prestige* jej niebardzo podnosi.

Nadto pamiętać nie zawadzi, że rewolucja społeczna nie każda i nie zawsze musi się w „zamęt“ obracać. Odbywać się ona może zgoła pokojowo, drogą parlamentarną, a nawet wskutek uznawania przez rządy t. zw. dojrzałych potrzeb. Czyż nie był *sui generis* rewolucją zamach gabinetu Asquitha na odwieczne przywileje lordów angielskich? A wprowadzane tu i owdzie podatki od spadków, podatki postępowe, austrjacka reforma wyborcza etc?.. Wszystko to są przewroty mało mniej radykalne, niż przejście od absolutyzmu do konstytucji, któremu z konieczności stale towarzyszy „zamęt“ rewolucyjny, powodowany brakiem instytucji, normujących i legalizujących walkę.

Otóż realiści nasi winni sobie uświadomić, że nietylko „rewolucja, obracająca się w zamęt“, lecz wogóle wszelkie reformy, które Rosja prędzej lub później wprowadzać u siebie zacznie, pogarszać będą sytuację szlachty ziemiańskiej. Jej nadzieje na „rozwinięcie się zasad konstytucyjnych i rozszerzenie praw obywatelskich w całem państwie“— muszą z czasem okazać się zawodnemi.

Sytuacja szlachty ziemiańskiej, jako wytworu minionych stosunków, jest bezwarunkowo najdogodniejszą przy ustroju oligarchicznym.

Nic jednak na to poradzić nie można, że postęp żywiołowo zmierza w kierunku wręcz przeciwnym, coraz bardziej oddalając się od tych form państwowych.

Inna rzecz, iż dla elementu polskiego, branego w całości, rozwój zasad konstytucyjnych w państwie rosyjskiem jest korzystny. I oto w tym punkcie właśnie uwidocznia się rozbrat między interesem polszczyzny, a obszarnictwa.

Szlachta ziemiańska, mówiąc o „rozszerzeniu praw obywatelskich“, poprzestałaby chętnie na równouprawnieniu narodowości; polski demokrata musi jednak iść dalej: musi domagać się równouprawnienia stanów i klas społecznych; winien żądać uwzględniania interesów mas, włościaństwa, a interesy te w licznych momentach kolidują niewątpliwie z interesem szlachty ziemiańskiej.

Po której stronie siła?

Życie daje nam samo na to odpowiedź.

Prądy demokratyczne tak poważną już moc posiadają, że schlebiać im muszą nawet czynniki, w zasadzie kierunkowi temu wrogie.

Chcąc daremnie wlać siły w element notorycznie słaby i dekadencki, nasi biedni realiści swój brak fundamentalnego programu maskują ostatecznie pustym frazesem, iż polacy na kresach „nic nie mogą zrobić dla Polski, mogą natomiast niemało uczynić dla polskości“.

Sztuczne separowanie interesów Polski i polskości wymyśleć mogła jeno ugoda, która z jednej strony boi się przyznać narodowi własnemu, że w interesie „szlachty ziemiańskiej“ widzi możność dłuższej wegietacji w warunkach, właściwych Rosji, t. j. przy wolniejszym tempie postępu; z drugiej zaś—lęka się tejże Rosji narazić przez zbyt bliski kontakt z metropolją.

I właśnie ta formuła, tchórzem podszyta, ma być formułą siły „realistów“.

Że na inną zdobyć się oni nie mogą, zgoda. Ale niech nie utożsamiają interesów własnych z interesami polskości. Ta bez nich ma na Litwie zapewnioną żywotność, dzięki elementarnej sile wyższej kultury—kultury nie dworskiej, nie szlachecko-ziemiańskiej, ale właśnie demokratycznej. Ta kultura, mimo wszelkie przeszkody, promieniuje i promieniować będzie na Litwę wskutek zarówno tradycji historycznej, jak i prawa wyższego nad wszelkie ustawy Dumy, Rady Państwa i innych doczesnych instancji.

J. S.

Porwał ją na ręce i czas pewien stał nieruchomo, dysząc chrapliwie i pospiesznie. A ona ciążyła mu na rękach bez mocy, z rozchylonemi usty, ścieląc do podłogi kaskadę złotych włosów.

Potem słaniając się pod brzemieniem lekkiego, lecz tak pozbawiającego sił ciężaru, zaniósł ją do sypialni, okrył nagie ciało futrem i zaczął cucić...

Zegar wydzwaniał ósmą, gdy wychodziła od niego chwiejnym i niepewnym krokiem.

. . . .

Błocki nie spał zupełnie tej nocy.

. . . .

Dzień wstawał jasny, mroźny.

Z kominów kamienic wiły się ku blademu niebu słupy czerwonego dymu; ośnieżone dachy gorzały brylantową, skrzącą się łuną zorzy.

Błocki począł powoli ubierać się.

Bezsenna noc, strawiona na przeżuwaniu promiennych widziadeł, noc, która mu dała długie chwile męczarni w poskramianiu niezaspokojonych żądz, noc ubiegła,—była jakby mrocznym i wysokim murem, które dzielił smutne „dziś“ od cudnego „wczoraj“. I owo „wczoraj“ zdawało się tonąć w pomgle niepamięci, jakgdyby od pięknych chwil dzieliły go długie, bezbarwne lata.

Pojąć nie mógł, że to wszystko było *wczoraj*. Że wczoraj tu, na tem łóżku leżała Ira, nie Ira!... Leżało jej białe ciało, omdlałe z lubieżnej niemocy, nieruchome, puszystem futrem pokryte.

Namiętność przepaliła się w nim, zgorzała na węgiel i — zgasła. Pozostało poczucie tego, co było, i bezkresny, cichy żal.

Lecz gdy uprzytomnił sobie, że dziś, jak i wczoraj, kiedy słońce, krwawiąc śnieg rubinowemi odblaskami zachodu, zapadnie za widnokrąg, kiedy mrok rozpełznie się po zakątkach świata, kiedy kurantowy zegar z kolumienkami wybije szóstą,—znów krótko zadźwięczy dzwonek i znów, jak i wczoraj, wejdzie do jego pustelni Ira — kobieta.

To go uspokoiło.

Znów rozebrał się, buchnął na zmiętą, ciepłą jeszcze pościel i zasnął martwym snem.

. . . .

Wieczorem powtórzyła się wczorajsza scena.

Etyczne dążenia wsi w Królestwie.

Od lat paru daje się zauważyć na wsi polskiej żywy, nader sympatyczny w swych przejawach ruch, w kierunku moralnego odrodzenia, przez życie trzeźwe i godniejsze, bardziej ludzkie postępowanie.

Rozmaite są przejawy tego ruchu a więc: uchwały gminne, znoszące karczmy, wesela, pogrzeby, chrzciny odbywane bez wódki, obrady urzędników wiejskich takich jak: wójci i sołtysi, odbywane prawie na trzeźwo, zjazdy delegatów, kółek im. Staszica, obywające się bez kropli wódki i piwa, a natomiast mające w programach swych obrad referaty o alkoholizmie i długie, nader ciekawe dyskusje członków w tej sprawie, odczyty urządzane przez wieśniaków o szkodliwości alkoholizmu, artykuły nieraz przejęte pięknym duchem i głębszą etyczną myślą w tej sprawie, tak często i stale pojawiające się w pismach ludowych, oto najogólniejsze przejawy tego ruchu, mogącego przynieść błogosławione następstwa, w razie rozlania się szerokiego po obszarach naszych wsi, tak na ogół etycznie zaniedbanych.

W ostatnich czasach znać pewne pogłębienie i coraz piękniejszy entuzjazm w tym ruchu.

Wieści nadchodzące ze wsi, odnośnie do tej sprawy, są w ostatnich czasach coraz lepsze—jaśniejsze, świadczące o silniejszem napięciu ruchu etycznego po wsiach.

A oto fakty świadczące, że tak nie jest.

Na kursy im. Promyka w tym roku przybyła młodzież zaznacza się na wstępie piękną uchwałą słuchaczów: nie pić, nie palić, zaoszczędzony grosz wydać na książki i gazety.

W piśmie młodych ze wsi p. t. „Młodzi idą", bardzo się podobała młodzieży wioskowej umieszczona tam propozycja wiejskiego poety Pieślaka, aby wesela wiejskie, te orgje pijaństwa i grubej zmysłowości, zreformować, z tłumnych zbiegowisk uczynić je aktem rodzinnego życia, pełnym powagi i skupionego, cichego wesela, a pieniądze zaoszczędzone oddać na stypendja dla szkół gospodarczych.

Ponieważ ta piękna myśl uczyniła na młodych silne wrażenie, nie wątpię, że mimo przeszkód ze strony zwolenników starej tradycji pijackiej, będzie ona przez młodych wprowadzana w życie, na coraz większą skalę.

Można się spodziewać, że tego roku na jesieni, która zwykle bywa porą najliczniejszych wesel wiejskich, odbędzie się choć kilka,—może kilkanaście wesel, według wzoru przez Pieślaka nakreślonego, a gromadce żądnej światła młodzieży, w grosz ubogiej przybędzie z tego źródła fundusz, na kształcenie się w szkole gospodarczej.

Dość często przy okazji jakiegoś niepowszedniego zdarzenia np. otwarcia nowej placówki ludowi służącej, wycieczki krajoznawczej, ideowego zebrania, zabawy nowym duchem ożywionej, ludzie w porywie piękniejszego tchnienia duchowego, ogarnięci pragnieniem upamiętnienia w trwały, a dostojny sposób tego wspomnienia, wyrzekają się częściowo lub zupełnie picia wódki lub palenia papierosów.

Na własne oczy widziałem takie samorzutne porywy dostojniejszego człowieczeństwa w środowiskach ludowych.

Raz na wycieczce grupki młodzieży wiejskiej, wracającej z Nałęczowa, po dniu pięknie i pożytecznie spędzonym, zapada w drodze powrotnej postanowienie: nie pić wódki, nie palić papierosów.

Wszyscy ślubujący mają skupioną powagę w twarzach—oczy im płoną wewnętrznym ogniem zawziętego, chłopskiego zapału,—można być pewnym, że zdzierżą to, co sobie jako zakon nowego życia stanowią w tej chwili.

Innym razem, schodzi się do mnie kilku sąsiadów, między nimi jest jeden namiętny palacz.

Rozmowa z towarzyskiej, zmienia się szybko w poważną obywatelską troską tchnącą dyskusję, na temat: co jest do zrobienia na naszej wsi, z miłem zdziwieniem spostrzegam, że nikt nie pali, robię odnośną uwagę głośno.

Odpowiadają mi:

Na ostatniem posiedzeniu zarządu naszego kółka rolniczego uchwaliliśmy sobie, że na zebraniu żadnem, nikt z nas palić nie będzie, a prze-

---

Znów minęły dwie godziny natężonej, poskramianej, aż do bólu rozkosznej, namiętności.

Tylko pod koniec—nie Ira zdrętwiała w spazmie rozkoszy i zwisła bezwładnie na poręczy, ścieląc po posadzce przędzę złotych włosów, lecz on omdlał.

Z wysiłkiem podniosła go na kochających ramionach, odchyliła mu z czoła kosmyk włosów i całowała zamknięte powieki, całowała czoło—czoło wysokie, białe, chłodne, perlące się drobnemi kropelkami zimnego potu.

Ułożyła go wygodnie na kanapie, a sama ubrała się.

Potem siadła u nóg i czekała, aż ocknie się.

Zwolna wracała mu świadomość. Słabo rozwarł powieki i jak we mgle ujrzał smukłą postać Iry—już odzianą. Zrozumiał, że odchodzi i poczuł bolesne ukłucie w piersi. Potem wyciągnął ręce.

Padli w objęcia i długo trwali tak, słuchając własnego oddechu i trwożnego bicia serc.

— Odchodzisz?—wyjęczał.

— Muszę...

Wstał słaniając się, podszedł do kredensu i wypił szklankę wina.

Ira wstała, ujęła go za ręce i powiedziała cicho.

— Idę już... Musiało być *coś* między nami i stało się owe „coś"... Teraz każde nas pójdzie swoją drogą... Była chwila, i chwili tej nigdy nie zapomnę... Los dał nam mało, ale dał cud... Cudów takich nadużywać nie można... Był cud, który inni mogą poczytać za ohydną hipokryzję, sprzedajność, brudny romans, wyrafinowaną rozpustę... Myśmy z tobą, Wacku, poznali prawdę i tajemnicę tego cudu, i niech to będzie naszą tajemnicą... Dobrze?

— Dobrze... — wykrztusił ze zdławionej krtani.

Ira odsunęła powolnym ruchem promień włosów, opadły na czoło, mówiła dalej.

— Wiem, że ciebie boli to, iż pojutrze — mój ślub z Bojańskim... Że za dwa dni on...—zacięła się, a potem domówiła cicho — Jam ci wszystko przebaczyła, ty mię znasz i przebaczysz to?... Dobrze?

Podała mu rękę, którą on przycisnął do ust. Potem poszła ku drzwiom, a Błocki kroczył za nią ze spuszczoną głową.

Pojutrze jej ślub z Bojańskiml... Ha, ha, ha — zapomniał o tem! A wszak w tym szczególe miała polegać cała słodycz i „oryginalność" stosunku! Przecie po to tylko, by mieć to przeświadczenie ciężkiej i karkołomnej imprezy... Po to tylko...

cież tu więcej jak zebranie, bo tu sobie zbieramy materjał dla przyszłych zebrań i pracy na całe lata.

Analogicznych faktów do powyżej przytoczonych, mógłbym zacytować więcej.

Niedawno zdarzyło mi się rozmawiać z młodzieżą z pewnej wsi lubelskiej.

Rozmowa zeszła na te czasy, kiedy to po wsiach kursowało hasło bojkotowania monopolów, parobczaki z tej wsi, nawiasem mówiąc, słynni z determinacji i chłodnej odwagi, której dowody składali w wielu razach, opowiadają mi, że pięć razy urządzali napady na monopol w swej wsi. Rzecz prosta, nie uszło im to na sucho, dostali się na parę miesięcy do kozy.

— Aleśmy na swojem postawili, a nie mogliśwa już ścierpieć, żeby nam to obmierzłe wódczysko dookoła śmierdziało, a no, tośmy go siłą przegnali precz! Odtąd na naszej wsi dużo lepiej się dzieje, a że ta paru naszych choć i gospodarskich synów, posiedziało po parę miesięcy w kozie, toć hańby nijakiej w tem nie było.

Tak żywo—radykalnie, reaguje nieraz na sprawę alkoholizmu młódź wioskowa z rezolutów dobrych do tańca i do bitki skorych złożona.

A starsi?

Hm! i ci potrafią zdobywać się na zajęcie stanowiska, nie mniej zdecydowanego.

Na jednym z dorocznych zjazdów C. T. Rolniczego w Warszawie, w którego kadrach skupia się kilkanaście tysięcy ludu, zaszedł fakt taki.

Ktoś rzucił projekt, aby na wzór czeskich chłopów, włościanie urządzali u siebie spółkowe gorzelnie chłopskie, motywując to potrzebą podniesienia kultury rolnej i wykazując z rachunku gorzelni dworskich, jakim to jest świetnym interesem.

Chłopi rzekomo tak chciwi na zysk, odpowiedzieli na te propozycje protestami oburzenia i odmową:

„Rozpajani od tylu wieków, ponoszący do dziś następstwa tego rozpojenia, nie chcemy brać na nasze sumienie odpowiedzialności za rozpajanie naszych spółbraci. Gorzelni chłopskich spółkowych choć one zyskowne—przyznajemy budować *nie będziemy*, z zatrutego źródła ludową hańbą zmazanego, dorobku swego wyprowadzać *nie chcemy*. Na innych drogach podnosić *będziemy* dochody z morgi w naszych gospodarstwach. Niech się na gorzelniach dorabiają inni, nam wstyd by było takiego zarobku".

Takim policzkiem odpowiedzieli swym przewodnikom starsi poważni wiekiem gospodarze.

Oto fakty świadczące, że ideał lepszego życia, narodzony w trzeźwości myśli i w siły niepodnieconego uczucia, żyje w masach ludowych. Pogłębiać ten ideał, propagować go, oto zadanie tych, którzy wierzą wraz z poetką: że

„Nigdy rab, w żądzy łańcuchach
Cudotwórczych nie miał sił.
Polska wstanie na tych duchach,
Co odnowią krew jej żył".

St. Poraj.

Adam Mahrburg.*)

Pijetyzm ucznia dźwignął pomnik mistrzowi za życia jeszcze. Pan Władysław Spasowski poświęcił całą książkę swemu „pierwszemu nauczycielowi filozofji". Uczucie wdzięczności, jedno z najrzadziej w życiu napotykanych, wyznanie zależności od przewodnika, wyznanie zależności i zobowiązania zasługuję na podkreślenie i na wyróżnienie. Tem więcej, że praca, przez p. Spasowskiego podjęta, nie była łatwa. Prace filozoficzne Mahrburga. rozrzucone po kilkunastu czasopismach na przestrzeni lat dwudziestu, należało zebrać, poklasyfikować, skolacjonować i rozpatrzeć. Z tych rozpierzchłych fragmentów silnej i wyraźnej myśli należało, niby z mozajkowych kamyczków, ułożyć kontury umysłowości, która w życiu umysłowem ostatnich kilku pokoleń młodzieży kształ-

*) Wł. Spasowski, *Adam Mahrburg i jego poglądy na naukę i filozofję. Analiza porównawcza.* Warszawa 1913 roku str. 184.

Więc czemu tak smutno i ciężko, czemu coś napływa do krtani i dusi, dławi, dławi...?

Tępo patrzał, gdy w przedpokoju wpinała wolno kapelusz w swój złoty zwój bujnych, ciężkich włosów.

Potem podał jej futro, a potem, gdy dała mu na pożegnanie rękę, złożył głowę na jej piersi dziecinnym, bezradnym odruchem.

— To przejdzie—szepnęła przejmująco, to przejdzie... Ty! Dzieciaku!

Błocki zawył nieludzkiem łkaniem i gruchnął do jej stóp. Całował małe, lakierowane pantofelki, całował kostki w jedwabnych pończochach... a z oczu padały wielkie, palące, gorzkie łzy,

Podjęła go z wysiłkiem; jedną ręką odgarnęła włosy, spadające na czoło, spojrzała w oczy, zaszklone łzami, mocno pocałowała w usta — i wybiegła prędko.

Posłyszał szelest jedwabiu—wionął zapach konwalji—głucho trzasnęły drzwi — potem słyszał jeszcze prędki tupot nóg po schodach.

. . . .

Błocki zrozumiał wreszczcie, że albo umarł w nim ten dawny „on", który z uśmiechem smakosza-cynika zabierał się do imprezy, albo dziś, po przeżyciu czterogodzinnego snu, narodził się w nim nowy Błocki.

Nowy Błocki, który czuł, że pokrywając ciało Iry falą subtelnie wyrachowanych pocałunków, podpisuje cyrograf na własną duszę...

Że te pocałunki wypaliły w nim ogniste ślady, które wiecznie krwawić będą, nim śmierć nie otuli go chłodnem ramieniem, lub nim dusza w nim nie stępieje do reszty...

Że nie należy już do siebie. Że cztery godziny życia przykuły mu do nóg kajdany cudzej woli i cudzego szczęścia.

. . . .

Wieczorem przyszła Zocha Bielska.

Jej filigranowa, okrągła figurka zdawała się być dzisiaj jeszcze mniejszą i niepozorniejszą.

Od progu zaczęła:

— Nie chciała góra do Mahom...

Lecz ujrzawszy bladość Wacława i jego przekrwione, błędne oczy, zmieniła ton mowy z instyktem wiernej, zapędzonej niewolnicy.

(D. c. n.).

cącej się w Warszawie, w wyższych zakładach naukowych Warszawy, a na szerokim łuku, zakreślonym nad Polską przez *Poradnik dla samouków* — i po za granicami Warszawy i Królestwa — odegrała rolę wybitną i trwałą. Rzecz trudna sama w sobie, tem trudniejsza, że fragmenty te pisane były w ciągu lat wielu w różnych okolicznościach i warunkach życia, w okresie „petersburskim“, „lipskim“ i „warszawskim“, w zależności od tych i innych wpływów naukowych, literackich, politycznych, które mimo cały objektywizm Mahrburga, jego wczesne skrystalizowanie się umysłowe—musiały wyraz swój w tem czy innem zabarwieniu artykułu znaleźć. Zasługą autora jest, że wyłuskał z tej różnobarwnej treści to, co w niej było najtrwalszego, co było istotnym wyrazem wybitnego umysłu. Dzięki panu Spasowskiemu cały ten dorobek jest dzisiaj do dyspozycji czytelnika. Pozostaje... wydać same prace. Przy pomocy przewodnika, który ofiarował nam pan Spasowski, a który to przewodnik jest nietylko komentarzem do filozofji Mahrburga, ale i zachętą do czytania samych prac — czytelnik z łatwością do czytania orginału przystąpi. Życzyć należy, aby znalazł się wydawca tych „dzieł zbiorowych“. Przed laty kilku wydawnictwo było na najlepszej drodze. Pisano do podpisanego, aby zbiór tych rozsianych szkiców poprzedził przedmową. Dalszego ciągu inicjatywa ta nie miała. Dlaczego, nie wiemy. Smutno by było, gdyby wydawca cofnął się z drogi zapoczątkowanej, zrażony ciężkiemi warunkami wydawczemi u nas, gdzie czytelnik, jak zapewniają wydawcy, odzwyczaja się zupełnie od czytania poważnych książek i gdzie poważna działalność edytorska istnieje tylko dzięki pomocy kasy im. Mianowskiego. Wierzymy, że „Pisma Zbiorowe“ Adama Mahrburga, w paru tomach wydane, staną się pozycją bibljograficzną. Znajdą napewno czytelników śród gromady ogromnej uczniów i słuchaczów Mahrburga, którzy zechcą odnowić znajomość z dawnym przewodnikiem i przeżyć znowu *pełne czaru chwile*, spędzone na słuchaniu wykładów Mahrburga w Warszawie pomiędzy rokiem 1890 a 1906; przybędą też nowe pokolenia, do których nie przemówi już z tych kartek żywy człowiek, ale żywa wiecznie myśl filozoficzna, wolna od serwitutów dogmatycznych, myśl wiecznie krytyczna, wiecznie kłócąca się na prawo i na lewo w obronie czystej, niezależnej, wolnej *nauki*.

Adam Mahrburg pochodził z rodziny niemieckiej, której jeden przestawiciel, lekarz wojskowy, przywędrował z wojskiem napoleońskiem w roku 1812 na Litwę, tu osiadł i spolszczył się. Mahrburg Adam kończył gimnazjum w Mińsku Litewskim, gdzie kolegował z Józefem Potockim (Marjanem Bohuszem). Na uniwersytet powędrował do Petersburga, gdzie ukończył wydział historyczno-filologiczny. Utrzymywał się skąpo z lekcji prywatnych. Spasowicz blisko zaprzyjaźniony przez rodziców swoich z rodziną Mahrburga wprowadził go do redakcji „Kraju“, gdzie Mahrburg w ciągu lat kilku (1881—1885) pracował, jako stały członek redakcji, pisując wiele we wszystkich działach z wyjątkiem działu politycznego. Wiele artykułów niepodpisanych drukowano w „Kraju“, jako wstępne. Podpisane artykuły szły do dodatku literackiego, który prowadzony był z wyjątkową starannością, drukował prace wybitnych pisarzy, redagował go Mahrburg. W tym czasie przeżywał młody redaktor swój okres wyłącznego i ścisłego pozytywizmu. Jako student filologji uczęszczał do laboratorjów fizjologicznego i anatomicznego i zdobywał tam podstawy do nauki psychologji, której się poświęcić zamierzał. Czytał wiele. Był pod wpływem Sieczenowa, Meńszutkina, Wagnera, Mendelejewa. Był, jak wszyscy podówczas w Peterburgu, materjalistą i pozytywistą. Z wielkiem przygotowaniem powędrował następnie do Lipska, gdzie zwrócił na siebie uwagę Wundta i zyskał przyjaźń pierwszego asystenta laboratorjum psychologji doświadczalnej, później zasłużonego profesora niemieckiego Külpe'go. Nie posiadając nigdy zbywających środków, nie doktoryzował się. Liczył, że uda mu się zdobyć katedrę w Krakowie i że wtedy czas będzie na pozyskanie stopni uniwersyteckich, w takich wypadkach wymaganych. Rozprawa jezuity o. Morawskiego zniewoliła Mahrburga do napisania obszernej krytyki, którą wydrukowała Akademja Krakowska. Nikt z bliskich Mahrburgowi osób nie wątpił atoli, że ta właśnie rozprawa zamknie przed nim audytorjum Jagiellońskie, które go nęciło, a które jego wielki talent mówcy i pedagoga, jego wielkie przygotowanie, jego wielka przetrawiona wiedza w różnych dziedzinach nauk duchowych i przyrodniczych zdobyte—rozsławiłyby. Opowiadał nam Adam Mahrburg, że radzono mu aby tę rozprawę wycofał. Olśniony jego djalektyką, ścisłością myślenia, bezwzględnością, szczerością w wyprowadzaniu konsekwencji czcigodny recenzent Akademji pytał go, ażali nie jest pochodzenia żydowskiego. A gdy Mahrburg zaprzeczył, dodał; nie dziwiłoby mnie, gdyby było tak, jak przypuszczałem, czytając pracę pańską, myślałem wciąż o Spinozie, umysły wasze są podobne a mniemałem, że podobieństwo takie może mieć źródło we wspólnem pochodzeniu rasowem. O katedrę starań Mahrburg nie czynił. Przypuszczał, że mu dyplom właściwy, jako dowód, że się czynniki miarodajne poznały na jego kwalifikacjach, spadnie w ręce, jak niegdyś, w bajce arabskiej, do turbanu szlachetnego a biednego Selima spadły złote jaja. Ale rządy dobroczynnego i sprawiedliwego Allaha nie wychodzą po za granice cudownych Nocy arabskich. Gdy następnie, — nie w złej wierze zapewne, wspomniano przygodnie, że się o katedrę starał, domagał się satysfakcji honorowej. Kilku przyjaciół krakowskich, w tej liczbie słynny fizjolog profesor Cybulski próbowali kilkakrotnie zdobyć Mahrburga dla wszechnicy krakowskiej. Tajemnica „Sezamu“ pozostała dla Mahrburga, niestety, niewiadomą. Trzeba było pożegnać marzenie o działalności pedagogicznej w szerokim, uniwersyteckim stylu i zamknąć się w bardziej skromnych warunkach.

Adam Mahrburg osiada w Warszawie i rozpoczyna uczyć młodzież psychologji. Były to czasy romantycznego pragnienia wiedzy, czasy heroiczne odczytów zakazanych, ukrytych, tajemniczych. W mieszkaniu prywatnem, na ulicy Kruczej na trzeciem piętrze, w studenckich oraz pokoikach „na czwartaku“, ludzie dobrej woli, przedewszystkiem grupa bardzo uspołecznionych kobiet kładli podwaliny uniwersytetu, który miał przedewszystkiem służyć tym, dla których wrota urzędowej nauki były zamknięte, następnie i wszystkim, którzy pragnęli i szukali wiedzy niezależnej, wolnej od opieki policji i „Warszawskiego Dniewnika“. Wykładali tu starsi także literaci, ludzie tej miary, co Piotr Chmielowski, wykładali przedewszystkiem młodsi, którzy świeżo wracali z Zachodu przywożąc „dobre nowiny“—społeczne, polityczne, przywozili wielkie słowo Nauki, błogosławieństwo Prawdy, wolnej od godności państwowych i orderów. Mahrburg wykładał tu psycholo-

gję. Piękny, skończony, obszerny, wyczerpujący kurs tej nauki, godny większego audytorjum. Wykładał historję filozofji, później etykę, później jeszcze logikę; dla nauczycieli i nauczycielek wykładał pedagogikę. Objął tedy, za przykładem nauczycieli swoich w Lipsku cały cykl dyscyplin filozoficznych; kto przesłuchał uważnie, z ołówkiem w ręku tego kursu, jasnego, przejrzystego, w którym nie było zbytecznych wyrazów, w którym niejasnych myśli niezamazywano przy pomocy płynnych, kauczukowych wyrazów, w którym jasnej treści, odpowiadała jasna i jakże piękna, wielkie tradycje polskiej myśli filozoficznej przypominająca forma wykładu, — ten pozyskany był dla filozofji, ten pamiętał, ten nie może zapomnieć co i ile winien jest Mahrburgowi.

Powoli rozrastał się uniwersytet. Audytorja przenosiły się na dolne, bogatsze piętra kamienic. Wykłady stawały się modne. Każda panna na wydaniu słuchała psychologji. Każdy jako tako inteligientny student przejść musiał szkołę Mahrburga i szkołę Krzywickiego. Nie tylko młodzież uniwersytecka zapełniała te audytorja. Bywali słuchacze ze starszego pokolenia, uczniowie gimnazjalni, robotnicy, wykłady odbywały się nawet w żydowskiej dzielnicy śród ludzi, którzy nie zawsze rozumieli dobrze po polsku. Przez lat kilkanaście obfita i dobroczynna fontanna **nauki** i **prawdy** spłynęła na spragnioną, wyschłą, popękaną od wiekowej niewoli glebę Warszawy. W stu miejscach rozpalano Ogniska czystej wiedzy, latarnie, co przyświecały tęskniącym biednym, głodnym rybakom w ich tajemnych, nocnych wędrówkach na wyspy hyperborejskie poznania. W liczbie tych drogich historykowi przyszłemu kultury narodowej w ostatniem ćwierćwieczu walki narodu o Prawdę, o byt wogóle, także na polu Myśli—**latarnikiem** był Adam Mahrburg, prelegient najpopularniejszy, pracowity, zabiegliwy.

Z radością nieraz wspominają u nas o młodem pokoleniu filozofów, którzy narodzili się w Królestwie w ostatnich latach dziesięciu. Wiele z nich w szkole Mahrberga pierwsze nauki otrzymało; iluż zdobyło zachętę do dalszej pracy, iluż pasowanych zostało na rycerzy. A niejeden w atmosferze, którą Mahrburg rozniecił, poczuło powołanie, aby pójść drogą mistrza.

W Lipsku przejął się Mahrburg metodami nauki niemieckiej. Poddał się wpływowi atmosfery naukowej, która była obcą pozytywistycznemu, materjalistycznemu Petersburgowi filozofów. Poznał źródła, filozofję idealistyczną, został *nowo-kantystą*. Tylko, że do tej filozofji, którą w myśl tradycji niemieckiej *krytyczną* nazywał, wprowadzał poprawkę, ostrzeżenie, krytycyzm, wyostrzony na metodach nauk doświadczalnych. Nowo-kantystą pozostał już Mahrburg do końca· Pan Spasowski w szeregu rozdziałów rozpatrzył pracowicie poglądy Mahrburga jakie w biegu lat wypowiadał na poznanie i naukę, na zadania psychologij, na filozofję, na metafizykę. Do tej książki odsyłam czytelnika, któregoby uwagi powyższe zachęciły do wejścia w bliższy stosunek duchowego obcowania z Mahrburgiem.

Mahrburg — to człowiek walki, polemista utalentowany, djalektyk pierwszorzędny, temperament publicystyczny ogromny. Jego polemiki z powodu „Teorji celowości“, drukowane w „Ateneum“ (z księdzem Krupińskim), w „Prawdzie“, jego polemika ze Struvem z powodu „Zadań Psychologji“ (w „Bibljotece Warszawskiej“ — tej p. Spasowski nie wymienia) — wywoływały zawsze większe wrażenie. Temperament unosił go niekiedy za daleko; popełniał błędy, bywał niesprawiedliwy w ocenie książek i artykułów, także rękopisów, które do oceny mu dawano. Pracownik— to pierwszorzędny, wytrwały, pilny. Warto przejrzeć tomy „Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej“, które artykułami filozoficznemi zapełniał; trudno pomyśleć dalej idącą pieczołowitość; tam niema luk, każdy wyraz jest wytłómaczony, a niektóre rozprawy godne są odczytania i po latach.

Warto przejrzeć trzy roczniki „Ogniwa“, do którego redakcji Mahrburg należał. Ileż tam cennych wydrukowano jego artykułów: o zadaniach filozofji, o znaczeniu metafizyki, o Kancie i Spencerze—pełną garścią dawał czytelnikowi, co miał najlepszego, pożywną strawę naukową w szacie zalotnej, uwodzicielsko pięknej podaną. Wdzięczną tej siejby pamięć zachował Mu czytelnik „Ogniwa“.

Pragniemy, aby wydawnictwo „Pism“ Adama Mahrburga przyszło do skutku. Niedawno, po latach wielu ogłoszono we Lwowie drukiem zbiór artykułów zasłużonego niegdyś pracownika filozoficznego Władysława Kozłowskiego (ze Lwowa). Późno—aż zbyt późno.

Niewiadomo dlaczego, nie zebrano pism rozrzuconych ostatniego Pijara księdza Krupińskiego, tego przedziwnego księdza prefekta, który pierwszy Polskę zapoznawał z filozofją pozytywistyczną i systemem Comte'a. Pisano o potrzebie takiego wydawnictwa, mówiono o tem, myśl poszła w niepamięć i dziś—zaledwie po latach kilkunastu, kto sięgnie do roczników „Ateneum“, albo „Bibljoteki Warszawskiej“, aby tam odszukać przyczynki, jakże często ciekawe, bystre, oryginalne tego dziwnego i dziwnie uczonego człowieka?

Uczniowie, słuchacze Adama Mahrburga nie dopuszczą, aby ten sam los spotkał rozpierzchłe fragmenty Jego Myśli, cenne przyczynki myślenia filozoficznego w Polsce w ostatnich latach dwudziestu i pięciu, liście, niekiedy, niewiędnące w wieńcu jego za-sługi jako *Nauczyciela* i jako *Obywatela*.

Stanisław Posner.

⊳○○○○○○○○⊲

Xiądz Faust.

Daj nam Boże Polskę w samych polakach słonecznych, o których modlił się i Słowacki, kiedy to zasię dzie lud przy złotych stołach. (Str. 352).

Ale ludzkość przeciętna ma tylko dwie drogi: od ołtarza do szynku lub naodwrót. (Str. 250).

Najpierw świątynia, potem dom. (Str. 208).

Nie idźcie w mistykę, chyba jeden na miljon. (Str. 356).

Trosko moja!

Trosko mych dziadów i ojców! Kołaczesz się na miedzach ornych pól i na ostępach lasów! Przykucnęła twa szara dola w piwnicznych izbach dużych miast i szczerzy straszne zęby w charkocie i stuku maszyn! I nic nie pomoże twa łza, ani opętańczy krzyk. I nic nie pomoże „Krwawa Róża“, ani złotych snów miraże. Nie zbawią cię magowie, ani proporce Opatrzności. Jeno przyjdzie dzień, przyjdzie upragniona chwila.

Czekać na nią trzeba w zupełnem pogotowiu. Niech natęża słuch młody i stary! Niech buduje moc, niech błogosławi pracę!

O trosko moja!

Włóczysz się po sercach i mózgach. Przechodzisz przez tantalowe męki. Ale czy rzucasz ziarna? Czy wypleniasz chwast? Czy wszystkie twe siły wytężone, by obudzić wolę!

O, trosko moja!

Bo przecież w powieściowym toku fantastycznych wydarzeń nie znaleźć hartu i spiżu! Bo przecież twarda i nieubłagana szkoła życia powinna się rozpocząć przedewszystkiem od duszy własnej?

Żelazna konieczność, przejrzysta jasność, słoneczna pogoda — wszystkie te proste a logiczne prawdy, czemu nie rządzą duszą twoją o, Fauście—mistrzu. Idziesz, jak ślepiec, ocierasz się o miljony prawd i wołasz, nawołujesz, ale niemasz dróg, choć świątynię chcesz budować najpierw.

I dla tego nie ujmiesz troski dziadów moich, nie koisz tęsnot, a budzisz wzamian wizje ohydy i zbrodni. Tańczy niezdrowy Erotyzm z rozpustnym Mózgiem. Podkasał się szał uczucia i roztrąca niedbale pracę maluczkich „materjalistów".

A... „na drutach telegraficznych kołysała się głowa zakonnicy, zaczepiona włosami — korpus z cudowną (?) sprośnością nieuszkodzony, wisiał na kępie rododendronów kwitnących" (str. 135). I po co te „cudowności"? po co te nieciekawe... nekrofilstwa? I nie dla tego, by koniecznie obstawać przy twierdzeniu, że „Bóg któryby się objawił, musiałby dzisiaj jak dawniej w Helladzie, i w Indjach już być nagim" (str. 143).

Trzeba wiele intellektualnej perwersji, trzeba wiele psychicznego anarchizmu i braku woli, by propagując właśnie ową wolę, kreślić obrazy tak nieskontrolowane żadną pracą konstrukcyjną.

Ale dajmy temu pokój!

Sięgnijmy do tych pokładów, z których wyrasta kwiat troski upiornej, kwiat sumienia wiecznie wytężonego.

Bo przecież wiecznie na miedzach naszych siedzi krwawa troska-budzicielka. Bo przecież po falach zboża, czy ściernisku, lub gołoledzi błądzą jej stopy. Przychodzi ona do chat wieśniaczych i nor robotniczych. Zakrada się do cichej pracowni uczonego, straszy krwawą pręgą na szyi w pałacach magnackich.

Widział Katerla jej wędrówki tułacze, śpiewał Zych jej pieśni okropne. Miciński spojrzał jej w twarz i poszedł na rumowiska Messyny, zajrzał do podziemi katorgi, wrócił z księgą upiornych, bezładnych snów.

Tańczą błędne ogniki nad torfowiskiem. Zwidują się mary i straszą przywidzenia. Idzie ksiądz Faust po niepewnym kożuchu błotniczych łąk, uśianych czerniem i kwiatem. Idzie — chce ratować topielca.

Nie uratuje.

Jest on przecież też zwidzeniem. Jest też jeszcze jedną złudą. I „choć żyjących zwie, umarłych opłakuje, gromy przełamuje" — pozostaje po nim szara troska moja, krwawy głód i piekący żal...

Komu bowiem „mówić trudno", a chciałby „mieć harfę", kto czuje w płucach swych ozony gór Prometeizmu—ten lepiej niech chodzi po górach, niech nie mówi, a gra na harfie.

Słuchać będziemy jego pieśni.

Będziemy podziwiać jego męczarnie.

Cucić będziemy jego „zawrotny dech obłąkany przez bezmiar".

Ale nam niech zostanie stara troska nasza. Nam niech nie góry, lecz padoły wyspowiadają się ze swoich bólów i nędz!

Nam nie świątynie najpierw budować, ale dom, bo przez budownictwo domu, zbudujemy zarazem świątynię!

Pójdź więc trosko nasza i mów. Spowiadaj dusze nasze!

O trosko nasza!

O trosko moja!

. . . .

Żandarmi wiozą skazańca. Połamany most i zbliżająca się noc wigilijna zmuszają ich do zatrzymania się na plebanji księżowskiej. Tu w noc wigilijną odbyć się mają narodziny ducha polskiego, tu wyzwolić się ma Piotr—rewolucjonista z wszystkich swoich zwątpień i trwóg, tu powstać powinien hart i jastrzębie w przyszłość patrzenie. Tu ma się odbyć walka szczytnej myśli narodowej z wszystkiemi formami dzisiejszej niewystarczającej walki. Tu wreszcie odbędzie się „okupienie istnienia narodu własną wewnętrzną zasługą". Bo „sumienie polak powinien mieć głębokie i czyste, jak eter nieba".

Na plebanji Piotr poznaje księdza Fausta. Według określenia Micińskiego, ksiądz ten jest „panem, panem, który na pustyni dziś nawraca na Religję Życia powszechnego, na zgromadzenie ludzi, tworzących ze swej wiedzy — uszlachetniony czyn na ziemi" (str. 241).

By doprowadzić Piotra do konieczności takiego ujęcia rzeczywistości, ksiądz Faust wiedzie go przez morza i dziewicze lasy fantastycznych zbrodni, dziwacznych przewidzeń. Robi to zapewne dla tego, by przekonać Piotra, że do tej prostej prawdy przychodzi się przez otchłań doświadczenia wewnętrznego. Chce więc wskazać mozół narodzin swego przeświadczenia, chce namaścić świętością i apodyktycznością, każde swoje uogólnienie. Dziwaczna droga zbrodni i koncepcji, długie lata przeżyć i męki mają świadczyć o prawdzie słów księdza Fausta. Prawdą tą jest nienaruszalny postulat, że „Polskę stworzy Religja".

Cała powieść Micińskiego była pisana tylko dla wypowiedzenia tego zdania. Czy było to celowe, a to inna sprawa. Każdy na swój sposób chciałby ją „dźwignąć i cały świat chciałby nią zadziwić".

Ale i to jest pewne, że Miciński ma jak najmniej szans, by świat nią zadziwić. Czemże bowiem może zadziwić. Czy swoją bezładną fantazją? Czy swojem nawoływaniem o sumienie i hart —wtedy, kiedy sam napada na Czopa lub na pana organistę? Wyrzucając całej Polsce niski poziom moralny, należy się samemu dzwignąć na szczyty. Miciński wprawdzie opowiada zawsze, że przychodzi z gór, ale tych „gór" nie kultywuje w sobie. Osobistą niechęć do jakiegoś nic nieznanego zera, jak osławiony Józef Albin, krakowski litwin, ubiera w pontyfikalne szaty „śmierdziakowskiego" ducha.

Można gromić w Polsce przeciw lokajstwu, ale nie należy posługiwać się przejrzystemi aluzjami do osób. Rzeczy takie zawsze obniżają wartość słuszności.

Krytykować metody artystycznej twórczości Micińskiego nie można. Wyłamuje się on bowiem poza wszelkie reguły i przyjęte zwyczajami formy. Należy go brać artystycznie takim, jakim jest.

Ale też należy i światopoglądowo ujmować go pod kątem jego własnych przeżyć. Bo w gruncie rzeczy tylko tu kryje się pięta Achillesowa dociekań Micińskiego.

Forma jego tworzenia zdradza odrazu chaotyczność umysłowości i wskazuje, że należy z zastrzeżeniem brać każde oporne zdanie. Nie znaczą bowiem one u Micińskiego nic więcej ponad prawdę psychologiczną chwili. Stale powraca tylko jeden refren — to walka z materjalistycznym poglądem na świat.

Miciński nieraz już atakował i... bezskutecznie pracę krwawych wysiłków nowego pokolenia. W wizji czy przewidzeniu stworzył sobie Piotra. Atakuje jego poglądy—ale niezaatakował jego duszy. Po przez kilkaset stronic bowiem opowieści nie przeżywa Piotr żadnej metamorfozy moralnej, nie czujemy sumieniowego łopotu skrzydeł, nie mamy wcale wskazówek, że ten człowiek wiedzie w sobie zapasy o duszę własną.

Prawdę duszy zdobył sobie prosty robotnik Kopiś, gdy mówił o swoim obowiązku. Atakować zaś jego analfabetyzm—to znaczy pomijać zagadnienie. Bo nie ulega wątpliwości, że ksiądz Faust zacytuje mu wersety, ze wszystkich koranów świata, ale czyż to rozwiąże przeświadczenie Kopisiowe o słuszności lub też obowiązku?

„Bitwa pojęć“—pozostała bitwą na tle najfantastyczniejszych i najrealniejszych przygód. Od Messyny, Tytanica, aż po owe opowieści kazirodczego stosunku ojca do córki, po owe bachanalje „mistycznego czoła“ na tle erotomanji klasztornej, ksiądz Faust wszystkie te „cuda“ przeżył, ale to jest pewne, że duszy rewolucjonisty nie zna on wcale.

Nie wsłuchiwał się on godzinami, miesiącami w ciszę więziennych ścian. Nie patrzył w oczy skazańców. Nie słuchał nocnego warkotu śmiertelnych bębnów.

Przyszedł do Piotra i chciał go olśnić czarami swojego fantastycznego bogactwa. Chciał mu pokazać, że wszystko poznał i wie, że nic go już zdziwić nie może. Zna podłość ludzką i ludzkie bohaterstwo. Zna świętość i zbrodnie. Zna słońce i noc.

Piotr słucha tych opowieści i dzieją się w nim jakieś zmiany, jakieś przemienienia.

Podobno buduje on duszę swoją, by zbawić w niej sprawę, za którą oddać ma głowę. Upiorne dantejskie piekło mar otoczyło go zewsząd, a ksiądz Faust dyryguje tym fantastycznym spektaklem. Duszy Piotra jednak nie widać.

I tańczą wokół niego sprawy, jak śmierć, wielkie i wieczne. I tańczą wokół niego płoche drobnostki i starcze lubieżności. Korowód mar splata się w girlandę kwiatów i chwastów. I choć nieraz zajaśnieje błyskawica ludzkiego bólu i troski, przewala się chmura za chmurą, pędzi gdzieś w dal, pędzi w niewiadome, jak niewiadomo po co i dla czego się sunie.

Wogóle cały ksiądz Faust nosi wrażenie fantastycznych chmur przewalających na przedburzowym firmamencie.

Poboczne postaci Imogiena, Beglenicza nie wyjaśniają nic... w prostem religijnem nawoływaniu Micińskiego. Spiętrzają tylko falę na płytkiej morskiej plaży nawiedzanej przez przypływ, ale gdy fala opada widać drobny, miałki piasek nadbrzeżny. Fala też przyniesie skorupy slimacze, wyrzuci kamienie, o które łatwo można się potknąć, gdy odpływ nastąpi. I wtedy Miciński o żydach wypowie dyspertację, zgromi jakiegoś „impresarjo“, lub też miasto podłe „Makarelowil“.

Czuje się, że miałby on „świat zdziwić“, że chciałby wszystkie nasze troski ukoić, lecz... wszystko rozbija się o fantastyczność.

Pozostaje szara troska nasza, pozostaje jasna piastunka naszej młodości, pozostaje dobra siostra wieku męskiego — i wędruje znów na pola i w miasta.

Miciński wzdycha do ludzi słonecznych, ale sam jest... jako dziad skamieniały. Miciński nawołuje „nie idźcie w mistykę“, ale sam uprawia najiracjonalniejszy z możliwych sposobów ujmowania rzeczywistości. Miciński widzi tylko jedną drogę dla „przeciętności“— od ołtarza do szynku, a przecież między szynkiem i ołtarzem kultura zbudowała już tysiące scieżek wyzwolenia.

Miciński pragnie bardzo wiele, ale nie może swoich pragnień przetransponować na język syzyfowej pracy. Las słów przysłania u niego najniklejsze pojęcia, słowo go uwodzi, jak najdostojniejsza kochanka. Dla brzmiącego słowa wreszcie gotów jest poniechać nawet swoje góry. Nie przeczę, że czasem brzmią one szlachetnie.

„Miecz wyorałem na dawnym Grunwałdzie; wyostrzyłem w niej piersi—i teraz upiorem wejdę do waszych kamienic — zmroczę was wieczorem, i uczynię stygmat Wam na każdej fałdzie, aż z Warszawy wskrześnie Troja wraz z złotym Hektorem. (str. 204).

. . . .

O, trosko moja!
O, trosko nasza!
Do ciebie wyciągam me ramiona pracy głodne...
Pójdę ku tobie po scierniskach i gołoledzi!
Stanę sród huku młotów i przy pługu w krwawym znoju iść będę.
Pragnę tylko, by z imienia twego nie czyniono fantastycznych upiorów.
Bo przecież rzeczywistą jesteś i nie zamarłaś jeszcze u Kaszubskiego brzegu. Tędy popłyną dobre wieści, tędy przybędą orły Wernyhory.
O, trosko moja!

Eustachy Czekalski.

⊳ooooooooo⊲

Pomiędzy nami.

Pomiędzy nami pozostało,
Niedomówionych słów bez liku,
Jak zeschłych kwiatów w pamiętniku,
Co smętek wonią tchną zwietrzałą.

Niedokonanych urok rzeczy,
Jak cedr w marzeniu trwa wieczyście,
Nigdy nie zżółkną jego liście,
Zieleń ich wiecznie zimie przeczy.

Im większe szczęście, tem-ci większy
Smutek w wspomnieniach się rozplenia,
Lecz melancholja, bezwątpienia,
Tylko wspomnienia twe upiększy.

Aleksander Naworski.

⊳ooooooooo⊲

TEATR LETNI.

(Otwarcie sezonu)

Rozpoczęto sezon.

Zwyczajem, wprowadzonym jeszcze przez p. Młodziejowską, takie inauguracyjne przedstawienia nosiły charakter pewnej uroczystości; dawano sztuki, niejako dla sezonu programowe, wskazujące aspiracje artystyczne dyrekcji.

Dziś zaniechano tego. Na otwarcie teatru letniego wystawiono poprostu „Słodką dziewczynę“, jedną z licznych operetek wiedeńskich. Jak wnosić można z dokumentu, ogłoszonego przez redakcję „Gazety Codziennej“—przedsiębiorca teatralny zastosował się tu do woli „społeczeństwa“, reprezentowanego przez zarząd Popierania Polskiej Sztuki Scenicznej.

Głupstwo jakieś tam dążenia artystyczne, porywy ku wyżynom sztuki... Operetki chcemy i kwita! Chcemy słuchać melodyjnych, łatwych do spamiętania walców; zająć oko barwnemi kostjumami, krętaniną, tańcem i śmiać się—śmiać jaknajbezmyślniej.

— Dość mamy dramatów w życiu. (Nieprawda panie Fafuło?...) Niech się człek przynajmniej w teatrze ubawi i o troskach zapomni.

Więc operetka—przedewszystkiem.

Wzeszła więc sztuka polska pod znakiem „Słodkiej dziewczyny“ A. Landesbergera.

Operetka miła, melodyjna, w miarę wesoła, w miarę sentymentalna ot. jedna z tych, co to powodzenie mieć muszą. Produkt talentu, pomysłowości i techniki, świadomych środków i celów. A celem tym—łatwość. Osiągnął go autor w zupełności. Motywy „Słodkiej dziewczyny“ należą dziś do najpopularniejszych. Nucimy je nieraz, nawet nie wiedząc, kto jest ich twórcą i nie pamiętając gdzieśmy je słyszeli.

Wykonawcy zaprezentowali się dobrze.

P. Rogińska (główną rolę grająca) rozporządza ładnym, dźwięcznym, dobrze wyszkolonym głosem. Artystka to rutynowana, umiejąca zdobywać sobie sympatję publiczności. Z sił męskich odpowiada jej p. Szczawiński-Sawicki, który zarówno śpiewem, jak i grą sprawił wrażenie korzystne. Trzecią siłą wokalną jest p. Zakrzewski, aktor doświadczony, umiejący zwalczać trudności, nawet gdy partje niezupełnie leżą w jego głosie. Pozatem na szczególną uwagę zasługują komicy zespołu z p. Dowmuntem na czele. Artysta ten posiada nietylko doskonałe warunki oraz wrodzony dar komiczny, ale — co podkreślenia warte—bardzo wiele taktu i umiaru, rzadko spotykanego u aktorów operetkowych. Pod tym względem i p. Brusikiewicz przedstawia się dodatnio. Rolę Prospera zagrał niemal jak aktor komedjowy, unikając płaskich i łatwych błazeństw ku uciesze galerji.

O wykonawcach innych ról na razie nic jeszcze powiedzieć nie można. Naogół jednak całość wypadła dobrze, co stanowi zasługę reżyserji p. Sawickiego, jako też dyrekcji p. Kagana. Chóry, ensemble i orkiestra były całkiem poprawne.

rc.

Obłudna kapitulacja.

Po szeregu stosownych operacji, ustawa samorządu przybrała taką postać, że polscy członkowie Rady Państwa uznali za konieczne głosować przeciw całemu projektowi. Do takiego kroku siłą rzeczy zostali popchnięci ci, którzy do niedawna słynęli za krańcowych propagatorów zgody z losem, za nieprześcignionych wyznawców lojalności kosztem uczuć i aspiracji narodowych. Dzisiaj starych ugodowców prześcignęli ich uczniowie endecy, a Koło dumskie umiało krętą ścieżką wystąpić w obronie elaboratu Rady Państwa, który uznali za niemożliwy polscy członkowie tego zgromadzenia.

Projekt Rady wpłynął do Dumy. Oczywiście dla Koła istniał niewątpliwy obowiązek zwalczania szkodliwej ustawy, obowiązek tem łatwiejszy, że i większość dumska z różnych względów zapatruje się na nią bardzo krytycznie. W obecnym wyjątkowym momencie, można było z łatwością projekt Rady obalić. „Kurjer Warszawski“, otrzymujący z Koła dostateczne informacje, donosił pod datą niedzielną:

„Dzisiejsze głosowanie przedstawicieli Koła Polskiego w komisji Dumy do spraw samorządu miejskiego posłów, Świerzyńskiego i Harusewicza, za rozważaniem projektu samorządu miejskiego dla Królestwa, przyjętego przez Radę Państwa, *miało na celu obronę projektu, który w przeciwnym razie upadłby zupełnie*“.

Czytelnik zapyta ze zdumieniem, dlaczego wymienieni posłowie bronili tego, co zmuszeni byli odrzucić *en bloc* polscy posłowie z izby wyższej. Wszak główny dziennik endecki aprobował swego czasu ich głosowanie. Jakże pogodzić jedno z drugiem?

Oczywiście pogodzić niepodobna, ale dość łatwo zrozumieć ten ostatni objaw „trzeźwości“ endeckiej, wobec której p. Szebeko z kolegami mogą uchodzić za nieprzejednanych radykałów narodowych, za romantyków i marzycieli. Nie było tajemnicą, że od niejakiego czasu endecja miejscowa wywiera nacisk na Koło w tym właśnie kierunku, że na tem tle zachodzą w stronnictwie nowe waśnie i spory. Koniec końców, jak się okazuje, zwyciężył kierunek ultraugodowy i narzucił Kołu obecne stanowisko w kwestji samorządu. Poseł Harusewicz złożył deklarację, z której partje rosyjskie zrozumiały tylko to, że opozycji Koła przeciw projektowi Rady nie powinny brać na serjo. Zresztą, partje te prawdziwe stanowisko Koła mogły poznać z poufnych rokowań, o których opinja polska nic nie wiedziała i o ktorych dowiaduje się pięknych rzeczy z „Now. Wrem.“. Oto: co pisze dziennik: „Przedstawiciele Koła Polskiego—Dymsza i Harusewicz—próbowali z przedstawicielami różnych frakcji dumskich prowadzić układy, co do projektu ustawy miejskiej w Królestwie Polskiem. Wyrażali oni gotowość przyjęcia tego projektu prawodawczego, lecz z tym warunkiem, ażeby został przyjęty bez nich. Będą oni mówili i głosowali przeciw niemu, a większość dumska niech go przyjmie.

Oświadczenie polaków sprawiło bardzo niekorzystne wrażenie i wywołało takie usposobienie, że jeżeli polacy traktują projekt nieprzychylnie, tylko dla zachowania pozorów, a w istocie gotowi są go przyjąć, to niech dostaną to, co uważają dla siebie za nadające się do przyjęcia“.

W odpowiedzi na kompromitujące rewelacje dzienników rosyjskich ukazał się w depeszy „Kurjera Warszawskiego“ rodzaj komunikatu od Koła, mającego sprostować błędne wiadomości. Nosi on jednak wszelkie cechy „sprostowań“ endeckich, t. j. zamiast wyjaśnienia sprawy, umyślnie ją gmatwa, zasłaniając rzecz główną wykrętnemi frazesami.

Chodzi o to, że w obecnym momencie Koło miało rzeczywistą możność doprowadzenia do tego, iżby Duma odrzuciła elaborat Rady, jako podstawę projektowanej reformy. Wyższa polityka Koła elaborat ten uratowała. Moment ten już się nie powtórzy i w dalszym przebiegu sprawy losy samorządu zależeć będą tylko od stanowiska większości dumskiej, która poprawki Koła będzie bez ceremonji odrzucała.

„Przystanie na zmiany przez Radę Państwa— czytamy w oświadczeniu Koła — uczyniłoby cały projekt bezwarunkowo niemożliwy do przyjęcia. W razie przychylenia się innych stronnictw do owych zmian, polacy dołożą starań, ażeby cały projekt obalić“.

Ten humorystyczny ustęp jest całkowicie obliczony na naiwność i łatwowierność opinji polskiej. Więc Koło zamierza „obalać“ projekt wtedy, kiedy ten już pozyska zdeklarowaną większość dumską? Czyż do tego wystarczy mu kilkanaście głosów polskich, któremi może rozporządzać? Że Koło w danym razie będzie mówiło i głosowało przeciw usunięciu języka polskiego, tudzież innym ujemnym stronom ustawy, o tem nikt nie wątpi. Zaznacza to właśnie „Nowoje Wremia“, dodając, że na tem będzie polegała fikcyjna opozycja Koła przeciw ustawie.

Koło w obecnym momencie świadomie zrzekło się realnej i skutecznej opozycji przeciw projektowi Rady, ażeby dla zachowania pozorów prowadzić w Dumie opozycję fikcyjną. Takie wrażenie, według nacjonalistycznego dziennika, odniosły partje rosyjskie, a niefortunny komunikat Koła stanowi potwierdzenie smutnych wiadomości, jakie znajdujemy w pismach rosyjskich.

T. G.

„Goniec Wieczorny“.

ᐅooooooooᐊ

PRASA POLSKA.

— Prasa warszawska poświęca od czasu do czasu nieco miejsca i uwagi sprawom „kresowym“, z reguły powtarzając oklepane komunały, z których treść dawno się już ulotniła. Zrzadka zadźwięczy głos na inną nutę, jeszcze rzadziej bez rażącego dysonansu.

Na czele № 19 pisma „Tydzień“ znajdujemy artykuł p. t. „Zadania polityki krajowej na Litwie“, ujmujący na ogół dość trafnie istotę zasady obywatelstwa krajowego. Niestety zdradza on jednocześnie ignorancję autora co do stosunków narodowościowych, panujących w naszym kraju.

„Inteligiencja polska na Litwie i Białejrusi, jako stan bardziej kulturalny i świadomy, nie powinna poprzestawać na bezczynnej i biernej obronie swoich praw, zagrożonych wręcz z innej strony, wszystek sens swojego istnienia wkładając w kwijetestyczne hasło: „przetrwajmy“, lecz cały zapał, całą energję owego trwania, całą dobrą wolę włożyć w pracę wychowania budzącej się wielomiljonowej demokracji“.

Bardzo słusznie. Bezpośrednio po tem następuje jednak nieoczekiwany wniosek:

„Niedość ograniczyć sobie zakres działania do owych kilkunastu wiosek, mówiących po polsku, do drobno-mieszczaństwa i hufca ekonomów“.

Do tego stopnia wątłemi wydają się z Warszawy podstawy polskości na Litwie i Białejrusi! My tu na miejscu nie żywimy jednak takiego pesymizmu. Wiemy wprawdzie, że żywioł polski stanowi znaczną mniejszość w stosunku do litewskiego i białoruskiego, o ile będziemy brali pod uwagę cały obszar sześciu gubernji t. zw. „zachodnich“. Wiemy natomiast równie dobrze, że w sporej części kraju ludność polska nie tylko nie jest znikomym ułamkiem, lecz stanowi zwartą masę i trwałe podłoże dla kultury polskiej. Zadaniem więc inteligiencji polskiej jest przedewszystkiem praca nad uświadomieniem i podniesieniem *ludu*, zamieszkującego nasze wsie i miasta, a ciążącego ku kulturze polskiej. Jest to robota nie mała i wymagająca o wiele więcej rąk, niż ich posiada szczupły zastęp inteligiencji polskiej. Lekceważenie interesów narodowych polskich na Litwie czyni wywody „Tygodnia“ bałamutnemi i odbiera im wartość skutkiem tego również pod względem zasadniczym.

— W „Dzienniku Petersburskim“ p. Al. B—ski z wielkiem uznaniem cytuje ustępy z artykułu zamieszczonego w „Słowie“ p. t. „Program dla kresów“, (omawianego przez nas obszernie na innem miejscu).

Jeden z tych ustępów brzmi:

Względem państwa winniśmy zachować absolutną lojalność, pracując szczerze nad wszystkiem co może polepszyć w najszerszem znaczeniu tego słowa warunki bytu ludności, oddając Bogu, co jest Boskie, a Cesarzowi, co jest cesarskiego, co wcale nie przeszkadza prowadzeniu najostrzejszej choćby walki z rządem, ilekroć czynności jego nie będą zgodne z prawem, z interesem ludności, a zatem i państwa. Pomnąc, że niema takiej grupy między uczciwymi patryjotami rosyjskimi (a z takimi tylko wspólną pracę podjąć możemy), któraby poparła uznanie potrzeb naszej narodowości, nie będąc przekonaną, że to nie będzie użytem na szkodę ich ojczyzny“.

Tak zakreślony program polityczny znajduje całkowitą aprobatę, zdaniem autora, „wielkiej części rozważnie myślących rodaków naszych na kresach osiadłych“. P. Al. B—ski zaś dodaje od siebie:

„Nie ulega wątpliwości, że wyłuszczony program odpowiada realnym potrzebom kraju i nie może być kwestjonowany przez ludzi dobrej woli i milujących kraj od wieków przez nich zamieszkały“.

Doczekaliśmy się wreszcie, że realistyczne „Słowo“ i kadecko-postępowy „Dziennik Petersburski“ pozostają z sobą w najlepszej harmonji. Konsolidacja żywiołów ugodowych raźno postępuje naprzód...

— Niejednokrotnie mieliśmy sposobność podkreślenia nikczemnych metod publicystycznych, uprawianych przez warszawską „dwugroszówkę“. A oto jeszcze jeden listek do wawrzyna, który niewątpliwie z czasem uwieńczy skroń redaktora tego plugawego swistka. By wykazać dowodnie słuszność ukutej przez Nowaczyńskiego tezy, jakoby żydzi byli „największymi apostołami polskiego idealizmu, romantyzmu, wogóle wszelkiej polskiej niepraktyczności“, „Gazeta Poranna 2 grosze“ w numerze z d. 13 maja b. r. drukuje:

„Rozumiemy teraz, dlaczego galicyjska „Komisja tymczasowa“, składająca się z ludzi, którzy nigdy spra-

wami kraju naszego się nie interesowali i nie zajmowali, dlaczego ta „Komisja“ gwałtem dążyła do wywołania jakiejś ruchawki zbrojnej w Królestwie.

W galicyjskiej „Komisji tymczasowej“ rej wodzili żydzi, którym bardzo chodziło o to, by uwagę społeczeństwa naszego oderwać od spraw ekonomicznych, by nam głowę zawrócić zupełnie innemi kwestjami. Że przy tej sposobności, nastąpiłby nowy i daremny przelew krwi, a sytuacja narodu polskiego pogorszyłaby się tylko, na tem żydzi zyskaliby jedynie.

Są to wyrachowania równie proste, jak jasne“.

Natomiast prawokatorskie zachowanie się „dwugroszówki“ nie jest ani proste, ani jasne, chociaż aż nadto bezczelne!

Głosy rosyjskie.

Pięćdziesięciolecie reformy włościańskiej w Królestwie Polskiem.

„Now. Wr.“ pisze: „W r. p. upłynie 50 lat od chwili wydania Ukazów Najwyższych z d. 19 lutego 1864 r. o urządzeniu ziemskiem włościan gub. Królestwa Polskiego i o utworzeniu samorządu gminnego i wiejskiego. Reforma włościańska w Polsce, jak wiadomo (pisze „Now. Wr.“), stanowi jedną z najjaśniejszych stronic administracji rosyjskiej. Dość przypomnieć, że znaczenie reformy wypróbowane zostało nawet bardzo niedawno; w latach zamętu 1905—1906 włościanie polscy, bez względu na agitację z za kordonu austrjackiego i ze strony partji skrajnych w samej Polsce, w masie zachowali spokój i nie weszli na drogę rewolucyjną“.

Wypadków „iluminacji“ w kraju zupełnie nie było. „Inteligiencja polska (pisze dalej „Now. Wr.“) nie lubi reformy z r. 1864, która wyrwała jej z rąk czynnik polityczny tak wielkiej wagi jak sprawa rolna. Wydział ziemski pośpiesznie przygotowuje się do tego znamiennego jubileuszu“.

„Zbierane są fotografje i obrazy z epoki pobytu cesarza Aleksandra II w Warszawie, odbitki pomników, postawionych przez polskich włościan w Polsce Cesarzowi - Oswobodzicielowi, portrety pierwszych działaczów: Milutina, ks. Czerkaskiego, Samaryna i innych.

Oprócz tego przygotowany jest zarys historyczny położenia włościan w Polsce, przyczem ta ostatnia robota powierzona została znawcy Polski i autorowi wielu prac w sprawach administracji lokalnej, członkowi stałemu lubelskiego zarządu guberjalnego do spraw włościańskich, M. Korniłowiczowi.

W Petersburgu śród dostojników biurokratycznych jest kilka osób, które stały w szeregach komisarzy do spraw włościańskich i pracowały w byłym komitecie urządzającym: A. W. Krywoszein, I. L. Goremykin, W. I. Hurko, senatorowie; Subotkin, ks. Golicyn, Ostroumow itd“.

O projekcie prasowym.

Znany już z obszernego streszczenia telegraficznego w dziennikach nowy projekt ustawy prasowej, opracowany przez ministra spraw wewnętrznych, Makłakowa, wywołał zdumienie nawet w przyzwyczajonej już do rozmaitych osobliwości prasie rosyjskiej. Nawet „Nowoje Wriemia“, zwykle z zasady popierające wszelkie przedłożenia rządowe, tym razem otwarcie wyraża niezadowolenie.

„Jako pierwsza próba pióra ministerjum spraw wewnętrznych w sprawie urzeczywistnienia cywilnych praw ludności na gruncie manifestu październikowego — projekt wywiera wrażenie wysoce niepocieszające, przeniknięty jest bowiem jaskrawą tendencją nie tyle rozszerzenia i ustalenia granic słowa drukowanego, ile ograniczenia ich jeszcze w porównaniu z tem niewesołem położeniem, w jakiem znajduje się prasa obecnie“.

Tak pisze łagodne zazwyczaj, jak baranek, wobec projektów rządowych „Now. Wr.“. Ostrzej daleko wyrażają się rzeczywiście inne organy prasy:

„Cóż mamy powiedzieć o projekcie? — pisze np. „Russkaja Mołwa“. — Do jakiej epoki mamy go odnieść? Przecież już ukaz z d. 12 grudnia 1904 r. polecał usuwać „zbyteczne ograniczenia słowa drukowanego“. Później zaś były przecież ustawione inne zupełnie kryterja! Gdzież tu wogóle widać jakąkolwiek wolność prasy? Kto dziś jeszcze jest tak naiwny, aby uwierzyć, że projekt ten ma wprowadzić jedną z dyrektyw manifestu z d. 17 października? I kto może mieć wątpliwości co do losów tej nowej próby? Czyżby znowu miał być zastosowany art. 87? Nie, nawet nie art. 87, gdyż projekt iść winien do kosza!“

NA WIDNOKRĘGU.

Układy pokojowe pomiędzy państwami bałkańskiemi i Turcją, postępują nadzwyczaj powoli. Trudności wynikają na każdym kroku, pochodzą zaś głównie od samych sprzymierzeńców, których wewnętrzne spory były już przed czasem tendencyjnie rozdmuchiwane i powiększane. Faktem jest, że materji do zatargu pomiędzy nimi znajduje się sporo, jeśli weźmiemy pod uwagę mozaikowe rozsiedlenie różnorodnej ludności na półwyspie bałkańskim i oparte na historycznych wspomnieniach pretensje, jakiemi wyobraźnia południowców zajmować się lubi.—Rokowania wszakże są w biegu, lecz na stanowczy pokój prawdopodobnie długo jeszcze zaczekać wypadnie. O ile przyszły traktakt między stronami wojującemi będzie mieć znaczenie dla ogólnego pokoju europejskiego, o tem obecnie wiedzieć trudno. Sytuacja międzynarodowa przedstawia się dlatego niejasno, że obok objawów pacyfistycznych występują jednocześnie inne, dające powód do pesymistycznych wniosków.

Najznamienniejszym wypadkiem na korzyść postępu idei pokojowej była konferencja berneńska, pomimo tego, że ze strony niemców przystępowano do niej niechętnie i nielicznie. Gorliwszym zwolennikiem jej okazali się francuzi, zresztą niepodobieństwem byłoby spodziewać się rezultatów konkretnych.—Przedewszystkiem, niepomyślne były warunki, śród których konferencja została zapoczątkowana. Wielkie projekty wojskowe Niemiec przesunęły przed oczami polityków francuskich tajemniczą groźbę, na którą reakcja nastąpiła natychmiast. Izba deputowanych przyjęła znakomitą większością projekt p. Barthou, dotyczący zatrzymania w służbie czynnej żołnierzy powołanych w ostatnim roku. Tym sposobem z góry już może być pewnem, że prawo o trzyletniej służbie wojskowej i o półmiljardowym kredycie będzie niechybnie zatwierdzone. Dwa wiel-

kie ludy na kontynencie, Francja i Niemcy, będą wkrótce stać naprzeciw siebie uzbrojone od stóp do głów.

Od tego obrazu niedalekiej przyszłości usiłowania konferencji pokojowej odbijają, tak, jak sentymentalna idejologja odbija od powszedniości i fałszu życia rzeczywistego. Uzbrojenia dochodzą już w świecie do takiego stopnia, że głosom pokoju i pojednania coraz trudniej będzie przenikać do opancerzonych społeczeństw. Obok deputowanych francuskich, którzy tak licznie pośpieszyli do Bernu, koledzy ich nie czuli się związani rezulucjami konferencji pokojowej i głosowali w parlamencie za przedłużeniem służby wojskowej. Wobec uzbrojeń niemieckich prosta przezorność dyktowała im uchwałę. Inaczej być nie mogło.—Prasa niemiecka, gdy z powodu tej uchwały mówi o szowinizmie nacjonalistów francuskich, odgrywa po prostu rolę śmieszną i obłudną. Zachęceni postępami zbliżenia z Anglją, Niemcy pragnęłyby przywieść całą Europę do pogodzenia się z ich polityką, lecz sprawa nie jest zupełnie łatwa.

W stosunkach niemieckich z Anglją zwrot w każdym razie jest widoczny. Z informacji dochodzących o najnowszym układzie w kwestji kolei Koweit-Basra wnosić należy, że na teraz porozumienie jest tylko częściowe i odnosi się jedynie do interesów ściśle określonych, jak to wogóle wynika z tradycji i polityki angielskiej. Interesy realne wywierają na tę politykę presję, której siła w każdym razie może być zmienna, ponieważ nie rozciąga na ogół stosunków.

Obecnie przemaga usposobienie pokojowe i prasa niemiecka, dążąca do usunięcia konfliktów, stara się wykazać zgodność, a nawet wspólność interesów niemieckich i angielskich przy likwidacji spraw półwyspu Bałkańskiego. Zdaje się, że zbyt daleko posuwać w tym kierunku nadziei Niemcy nie mają zasady, i rozumiejąc to sami, z wyrazami zadowolenia łączą jednakże pewne zastrzeżenia, a nawet zdradzają niekiedy nieukontentowanie. Mianowicie, gdy mówią o najświeższej uchwale parlamentu kanadyjskiego, wyznaczającej 35 miljonów funtów sterlingów na budowę pancerników dla metropolji. Imperjalizm angielski budzi zawsze w Niemczech nieukrywaną niechęć i obawę, więc gładkie wyjście z trudności w sprawie kolei bagdadzkiej nie zasłania przed nimi niebezpieczeństw, jakie przeczuwają w ustawicznem, choć cichem zbrojeniu się Anglji.

Szanse przechylenia się niewątpliwego sytuacji ogólnej na stronę pokoju przedstawiają się zatem w tej chwili bardzo zagadkowo, jeżeli nie wręcz nieprzyjaźnie.

ᐅooooooooᐊ

Październikowcy w Dumie.

Stronnictwo październikowców—pisze „Przegląd Codzienny“—jest w Dumie czwartego powołania słabsze i ilościowo i jakościowo, niż w Dumie poprzedniej. Jest ono za słabe, by dokoła siebie grupować żywioły umiarkowane, — liberalne i zachowawcze, w celu utworzenia kierowniczego centrum. Październikowcom pozostało jedno—przyłączyć się albo do opozycji, albo też do siedzących na prawo grup nacjonalistycznych.

Już w trzeciej Dumie stronnicy pana Guczkowa w kilku kwestjach zasadniczych, jako to projektach finlandzkich, ustawie ziemstw litewsko-ruskich wystąpili jako rezerwa zwartej armji prawicy nacjonalistycznej. Starali się oni jednak utrzymać pewne pozory przyzwoitości. Jak przystało na stronnictwo „państwowe“, strofowali czasem zakapturzonych szowinistów. Jako „narodowi—liberałowie“ rosyjscy wypowiadali od święta opozycyjne frazesy, które w ustach posłów z lewicy brzmiałyby coprawda jak banalny komunał, wychodząc jednak od październikowców, nabierały specjalnej pikanterji. Byli już wtedy tacy, co ani za grosz nie wierzyli w jakąkolwiek niezależność sądów zwolenników p. Guczkowa. Mówiono, iż opozycyjne wystąpienia inspirowane są ze sfer wyższych i są tylko jedną z metod walki z jakimś dygnitarzem, usunięcia którego życzy sobie minister, korzystający z usług październikowców. A więc nawet „liberalizm“ panów tych uważano za odmianę nieco odmienną od zwykłego ich „liberalizmu“. Mimo to, zdawać się przecież mogło, że październikowcy, jeśli nie byli, to być pragnęli stronnictwem realnej pracy państwowej, i że dążyli oni do stopiowego przekształcenia Rosji na państwo istotnie konstytucyjne. Mieli oni w gronie swym tak pewnych pod względem niezależności i przyzwoitości politycznej ludzi, jak b. wiceprezes izby, baron Meyendorf i hrabia Uwarow, (który coprawda w końcu kadencji trzeciej Dumy z frakcji wystąpił). Wszak z grona partyjnego zmuszeni byli ustąpić, wskutek rzekomo zbytniego radykalizmu politycznego stronnictwa w Dumie, październikowcy prawicowi — Polowcow i Gołołobow.

Najbardziej zaś szczytną kartą dziejów owego bohaterskiego okresu partji p. Guczkowa stanowiło postępowanie jej w sprawie szkół cerkiewnych.

Mimo wyraźnego Wink vom Oben, październikowcy powstali przeciw zamierzonemu włączeniu szkół tych do ogólnej sieci szkolnej i wytrwali przy swem „non possumus“, aż do końca istnienia tej Dumy.

Słowem zdawać się mogło, że chcą oni, odgradzając się od lewicy, nakreślić też pewną granicę pomiędzy sobą a prawicą, w stosunku zaś do rządu postawić mu pewne minimalne żądania legalności choćby formalnej.

Od podobnych iluzji stajemy się obecnie wolni. Mocno uszczuplone, jak mówiliśmy, stronnictwo jawnie przystąpiło do koalicji prawicowo-nacjonalistycznej, wykazując przytem nadmierną służalczość względem rządu. Sprawia ona niemal takie wrażenie, jakby uniżoność ta była ostatnią bronią październikowców w konkurencji z bardziej wpływowemi obecnie grupami nacjonalistycznemi.

Interpelacje obalane są lub też odsyłane do komisji „pogrzebowych“ głosami październikowców. W sprawie rewizji u posła Pietrowskija październikowiec Lutz uznał za możliwe zaakceptować twierdzenie ministra Szczegłowitowa, iż obecność podczas rewizji jest obowiązkiem, a nie prawem gospodarza. Interpelacja co do wydarzeń leńskich była tak gruntownie uzasadniona, iż nawet „Nowoje Wremja“, zrzucając naturalnie całą winę za tragiczne wydarzenia na udziałowca firmy leńskiej, żyda barona Ginzburga, uznało jednak wiarogodność faktów, podanych przez posła Kierenskija. Październikowcy okazali się bardziej niedowierzający i odrzucili nagłość interpelacji. Taksamo postępują oni względem najrozmaitszych projektów prawodawczych.

Gdy dano im tylko do zrozumienia, że rząd życzy sobie najszybszego uchwalenia przez izby prawa o zaprowadzenie nowych sądów miejscowych w 10 gubernjach Cesarstwa, to październikowcy z komisji sądowej z p. Szubinskim na czele, forsują projekt z błyskawiczną niemal szybkością. Gotowi są głosować, nie czytając artykułów uchwalanego prawa.

Prawo o rozstrzygnięciu ustaw Cesarstwa na przestępstwa polityczne, dokonywane w Finlandji, ma już też gotową aprobatę stronnictwa „ostatniego komunikatu rządowego“ (jak w Rosji nazywają Szubinskiego et consortes). Nie wzruszyło ich wcale opozycja w łonie własnej grupy (barona Meyendorfa, Szydłowskija i kilku innych). „Nie przekonały“ ich wywody posła Makłakowa, twierdzącego, iż projekt winien być odrzucony bez rozpatrzenia, bo nie był wniesiony w odpowiednim porządku. Pan Szubinskij wytoczył w komisji Dumy na pomoc rządowi całą artylerję zasobów prawnych, odpowiadając na argumenty posła Makłakowa sztuczką adwokacką. Na twierdzenie bowiem Makłakowa, że projekty dotyczące Finlandji mogą być wnoszone wyłącznie z wyraźnej inicjatywy Monarchy, czego w danym wypadku, zdaniem jego nie było. p. Szubinskij odpowiedział, iż minister posiada jakby ogólną prokurę od Monarchy, więc projekt może być wniesiony i przez niego samego.

Nie będziemy się wobec tego wcale dziwili, jeśli październikowcy dadzą głosy swe za żyrowanym przez rząd projektem ustawy prasowej, przeciw któremu powstaje cała poważna publicystyka w Rosji. Prawda, że na razie wypowiadają się posłowie październikowcy przeciw projektowi. Nie należy tego jednak brać bardzo poważnie. Przeciwko projektowi ministra spraw wewnętrznych na razie wypowiadają się i niektórzy z nacjonalistów, własny ich projekt jednak mało czem się różni zasadniczo od rządowego.

Są nawet już poważniejsze symptomaty ewentualnego postępowania frakcji październikowców w sprawie ustawy prasowej. Naprzykład, poseł Szubinskij w rozmowie w kuluarach oświadczył, że odpowiedzialność za czasopismo wydawcy (zamiast redaktora) może „z pewnego punktu widzenia“ być usprawiedliwiona. To samo jest z żądaniem od wydawcy cenzusu wykształceniowego—ukończenia szkoły średniej. Z pewnego punktu widzenia wszystko to, cały projekt zresztą, jest słuszny. a że październikowcy mają przedziwną właściwość bardzo prawdziwego zapożyczania w razie potrzeby, z punktu widzenia „naczalstwa“, to możemy żywić nadzieję, iż ci sami posłowie, co teraz jeszcze privatim występują przeciw projektowi rządowemu, oficjalnie z mównicy i przy głosowaniu poprą go.

Co do tego nie należy mieć wątpliwości. Charakterystyczną dla frakcji miarą są fakty, że występują z niej nawet ludzie w rodzaju br. Meyendorfa, który wiele znosił, ale nie mógł już spokojnie dłużej przyglądać się służalczości swych towarzyszów.

Jakościowo frakcja jest obecnie bardzo słaba. To też nadają w niej ton działacze, o których pismo kadeckie kiedyś trafnie napisało, że są to ludzie o poglądach „chadatajów“ gorszej kategorji.

⊳oooooooo⊲

KRONIKA.

= Jubileusz.

W dniu 8 maja nowego stylu obchodził w Warszawie jubileusz 45-lecia pracy literackiej i 35-lecia scenicznej Józef Kotarbiński. Jubilat rozpoczął działalność literacką od spółpracownictwa w „Przeglądzie Tygodniowym“, w którym stale prowadził od r. 1870 dział krytyki teatralnej i literackiej, następnie drukował swe prace w innych pismach, głównie w „Kurjerze Warszawskim“.

Na scenie wystąpił Józef Kotarbiński po raz pierwszy w r. 1877 w teatrze Letnim w Warszawie. W r. 1891 został reżyserem teatrów rządowych warszawskich.

= Zgodne poglądy.

Półurzędowa „Rossija“ przedrukowuje artykuły z lwowskiego „Słowa Polskiego“ (organ narodowej demokracji) w sprawach ukraińskich i oświadcza, ze najzupełniej podziela zdanie „Słowa Polskiego“, iż ukraincy, ściśle mówiąc, nie stanowią odrębnego narodu...

= Amnestja w cyfrach.

Główny zarząd więzień nadesłał Dumie informacje dotyczące ilości osób uwolnionych z więzień z powodu jubileuszu dynastji.

Ogólna ilość uwolnionych wynosi 44,500, w tej liczbie katorżników 7 tys.; „rotników“ 18 tys., więźniów zwykłych 16 tys., znajdujących się pod śledztwem 3 tys., odsiadujących twierdzę 300 i t. d.

= D. 1 maja w Petersburgu.

Bezrobocie z powodu 1 maja st. st. przybrało większe rozmiary, aniżeli się spodziewano. W Petersburgu strejkowało około 145 tys. robotników. Odbywały się demonstracje uliczne, oraz miały miejsce starcia z policją na krańcach, a nawet w centrum miasta. Z pośród demonstrantów aresztowano przeszło sto osób. Dzienniki postępowe nie wyszły, strejk objął wszystkie większe. W niektórych wielkich przedsiębiorstwach praca trwała do 10 rano, poczem robotników zwolniono do domów. Tak było w zakładach Obuchowskich i Putiłowskich.

= Wpływ wojny na przemysł polski.

Królestwo Polskie najsilniej ze wszystkich dzielnic państwa Rosyjskiego odczuło następstwa wojny bałkańskiej. Jedną z gałęzi przemysłu, której najmocniej wpływ wojny dał się odczuć, jest przemysł metalowy. Zamówienia z Królestwa Polskiego na żelazo (które wpłynęły od początku roku do chwili obecnej do syndykatu żelaznego „Prodameta“) wynoszą 1,116 tys. pud. (podczas gdy w tym samym okresie z' r. wynosiły 1,633 tys. pud.), zamówienia na blachy w r. b. 295 tys. pud. (w r. z. 412 tys. pud.), zamówienia na belki w r. b. 348 tys. pud. (w r. z. 1,237 tys. pud.).

= Przeciwko językowi ukraińskiemu.

Klubowi „Rodina“ nie pozwolono na wygłoszenie referatu w języku ukraińskim na temat „Twierdzenie Pitagorasa“. Gdy zażądano motywów tego niezwykłego zakazu, władze oświadczyły, że na przyszłość wszelkie referaty w języku ukraińskim na mocy specjalnego rozporządzenia ministerjum będą surowo zabraniane.

Treść numeru.

Kto winien. — L. A.
Formuła siły realnej. — J. S.
Etyczne dążenia wsi w Królestwie — St. Poraj.
Adam Mahrburg. — Stanisław Posner.
Xiądz Faust. — Eustachy Czekalski.
Pomiędzy nami. — Al. Naworski.
Teatr letni — rc.
Obłudna kapitulacja. — T. G.
Prasa polska. Głosy rosyjskie. Na widnokręgu.
Październikowcy w Dumie.
Kronika.
Odcinek: Romans Wacława Błockiego — M. Pawlikowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk. „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa**

Rok II. Wilno, 25 Maja (7 Czerwca) 1913 r. №№ 20—21.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

Pro i contra.

Znów stanęła na porządku dziennym kwestja otwarcia wyższego zakładu naukowego w naszym kraju. Właściwie, nigdy ona z niego nie zchodziła, lecz miała dotychczas charakter wyłącznie akademicki. Obecnie nabiera cech aktualności.

Dwie okoliczności sprowadzają ją z dziedziny utopji na grunt realny: pozwolenie wyprawienia deputacji z Wilna do Petersburga, oraz przychylne stanowisko względem projektu otworzenia uniwersytetu, zajęte przez „Zachodnie Towarzystwo rosyjskie".

W zasadzie więc kwestję można uważać za rozstrzygniętą pomyślnie, Pozostaje otwartą tylko kwestja, gdzie ma powstać ów wyższy zakład naukowy i jakiego będzie on typu.

Wyższą uczelnię bowiem chciałyby posiadać zarówno Wilno, jak Mińsk, a nawet Witebsk. Uniwersytet czy politechnika—oto drugie pytanie.

Do niedawna koła miarodajne stanowczo odrzucały myśl założenia uniwersytetu w Wilnie, obawiając się wskrzeszenia tradycji dawnej wszechnicy i utworzenia polskiego ogniska kulturalnego. Z większą sympatją traktowały aspiracje Mińska i Witebska. Dziś już i tamte miasta wpadły w podejrzenie, czy aby nie staną się terenem separatyzmu białoruskiego. Wobec jednakowych szans pod względem prawomyślności politycznej, Wilno niewątpliwie otrzyma pierwszeństwo ze względu na bardziej dogodne warunki, jakich będzie mogło udzielić przyszłej uczelni.

To też śród naszych ojców miasta panuje ogromna radość. Czy entuzjazm ten jest usprawiedliwiony? Warto się nad tem zastanowić.

Oczywiście pod względem ekonomicznym uniwersytet lub politechnika będą miały dla miasta olbrzymie znaczenie. Co do tego — nie może być dwuch zdań. Municypalność wileńska musi dbać przedewszystkiem o rozwój miasta i nie może zejść ani na moment z tego stanowiska, Społeczeństwo polskie jednak może i powinno zachować inny punkt widzenia. Dla niego kryterjum ekonomiczne nie może być czynnikiem decydującym. Na pierwszym planie musi ono zastanowić się, czy korzyściom materjalnym odpowiadają w równym słopniu duchowe i czy powstanie podobnej instytucji w Wilnie nie wyrządzi mu strat moralnych.

Gdyby rząd z własnej inicjatywy i z własnych funduszów przystępował do zakładania wyższej uczelni w Wilnie, nie mielibyśmy nic do powiedzenia w tej materji. To lub owe stanowisko społeczeństwa nie miałoby żadnego wpływu na decyzję rządu. W danym wypadku jednak inicjatywa pochodzi od miasta, któremu z pomocą finansową ma przyjść społeczeństwo. Bierze więc ono odpowiedzialność za konsekwencje swego kroku. Ma również prawo stawiać swe warunki.

Niema co się łudzić, aby przyszły uniwersytet wileński nie był przdsiąknięty duchem rusyfikatorskiego szowinizmu. Przykład uniwersytetu warszawskiego chyba powinien rozwiać wszelkie złudzenia. Już to jedno powinno usposobić społeczeństwo polskie, raczej niechętnie względem zamierzonego projektu. Kuć dobrowolnie własnemi rękami oręż przeciwko sobie—szczyt niedorzeczności.

Na usprawiedliwienie swe zwolennicy otwarcia uniwersytetu nawet takiego przytaczają motyw, że kurs polityczny jest rzeczą przemijającą, instytucja zaś pozostanie trwałym nabytkiem. Wzgląd powyższy nie wytrzymuje krytyki. Skoro bowiem polityka rządu ulegnie zmianie na lepsze, uzyskanie pozwolenia na założenie uniwersytetu nie będzie wtedy przedstawiało trudności, funkcjonowanie natomiast przez ten czas rozsadnika wrogich nam tendencji wyrządzi niepowetowaną szkodę.

O wiele bardziej racjonalnym i zasługującym na uwagę jest wzgląd inny, mianowicie na naszą młodzież, która dziś udaje się na studja do Rosji, gdzie ulega nieraz wynarodowieniu, a w każdym razie traci stały kontakt z krajem i społeczeństwem. Pozostawienie jej na miejscu miało by dobroczynny wpływ zarówno na nią, jak na pokolenie starsze, które dziś pozbawione czynnika fermentującego, gnuśnieje i grzęźnie w bagnie zastoju.

Jedyna to dodatnia strona, na którą też trzeba położyć największy nacisk. Przed udzieleniem subsydjum projektowanej uczelni należy się upewnić i uzyskać gwarancje, że nie będą wprowadzone żadne ograniczenia pod względem narodowościowym i

wyznaniowym, o ile nie są przewidziane przez istniejące przepisy ogólno-państwowe. Z drugiej strony zaś powinno być zawarowane, że żadne specjalne przywileje młodzieży, przybywającej z gubernji centralnych, przysługiwać nie będą.

Są to wymagania minimalne, których zaniedbanie odebrałoby projektowanemu uniwersytetowi wszelką wartość i uczyniły by zeń bezwzględnie szkodliwą rusyfikacyjną placówkę.

Czy istnieje sposób, by od warunków powyższych uczynić zależnem otwarcie uniwersytetu—przesądzać trudno. Ale to też nie mamy najmniejszego powodu do zbytniego entuzjazmu z powodu zmiany stanowiska sfer rządowych względem sprawy otwarcia uniwersytetu w Wilnie.

Słyszeć się dawały głosy optymistów, oczekujących, iż w przyszłym uniwersytecie zostaną utworzone katedry miejscowych języków i literatur. Nadzieje bardziej niż wątpliwe, a zresztą gdyby i miało tak się stać, to czy nie wypada raczej życzyć, aby tych przedmiotów nie tykały niepowołane ręce? Bo wszakże o bezstronnem i naukowem istotnie traktowaniu kwestji, dotyczących „inorodców" — niema co marzyć.

Ta właśnie obawa, by polityka zbyt się nie rozgościła w murach przyszłej wyższej uczelni i nie nadała jej ostatecznie skarykaturowanej postaci, powinna skłonić społeczeństwo do zaniechania starań o uniwersytet w tem pojęciu, jakie o zadaniach tej instytucji ma cały świat kulturalny. A więc powiedzieć sobie trzeba wyraźnie i stanowczo, że w warunkach obecnych nie może być mowy o krzewieniu u nas *czystej* nauki za pośrednictwem organów urzędowych. Zresztą w tym stanie zacofania, w jakim kraj nasz się znajduje, nie może on odczuwać palącej potrzeby ogniska czystej, wolnej od względów utylitarnych wiedzy.

Natomiast daje się mocno we znaki wielki brak pracowników wykształconych w rozmaitych dziedzinach życia praktycznego. Tych przedewszystkiem powinna dać projektowana uczelnia: agronomów, techników, lekarzy. Na tem też należy na razie poprzestać.

Uniwersytet z wydziałami lekarskiem i agronomicznym, czy politechnika w zupełności wystarczą i zaspokoją najbardziej naglące potrzeby kraju. Charakter utylitarny przyszłej uczelni zredukował by jej polityczne znaczenie do minimum, bo ani medycyna ani nauki techniczne nie dają pola do szerzenia tendencji wynaradawiających. Natomiast katedry historji, filologji, a nawet prawa, wobec dzisiejszego kierunku rządowego, szczególniej wobec coraz bardziej ograniczanej autonomji uniwersytetów, zamieniły by się niewątpliwie w trybuny agitacyjne, z których by przemawiali działacze „kresowi", z nauką nic albo bardzo mało mający wspólnego.

Zbyt mało prasa nasza poświęca uwagi doniosłej sprawie utworzenia wyższej uczelni w Wilnie. Municypalność wileńska krząta się już, jak słychać, koło zorganizowania deputacji do Petersburga. Projekt przybiera więc konkretne formy. Specjalna komisja miejska opracowała podobno dezyderaty, które zostaną przedstawione władzom. Należy się obawiać, aby zapał, ogarniający naszych ojców miasta na myśl o uniwersytecie w Wilnie, nie uczynił ich zbyt nieoględnymi. Obowiązkiem prasy jest rozwinąć szczegółową dyskusję nad projektem i rozważyć starannie wszystkie pro i contra, których się nagromadziło sporo, czyniąc sprawę nader skomplikowaną.

Jedno tylko nie ulega wątpliwości. Uniwersytet *za wszelką cenę* nie jest bynajmniej pożądany. Lepiej jest całkiem zeń zrezygnować, niż stworzyć jeszcze jeden rozsadnik wpływów, deprawujących nasze życie polityczno-społeczne.

L. A.

Rozkład skorupy.

Żadne zjawisko w przyrodzie nie przemija bez śladu; każde — jest ogniwem w łańcuchu innych; każde ma po za sobą szereg przyczyn, a przed sobą szereg skutków.

Woda, kroplami padająca na kamień, żłobi w nim w ciągu lat rysy i doły; wiatr, dmący na danej przestrzeni, nadaje z czasem kierunek rozwojowi drzew; niewola i ucisk, panujące w ciągu

---

M. PAWLIKOWSKI. 6)

Romans Wacława Błockiego.

— Chory jesteś?—spytała nieśmiało.

Spojrzał tępo, potem roześmiał się i powtórzył zgryźliwie:

— A tak! Chory, chory, chory...

Usiadła strwożona na brzeżku krzesła, z trudem łykając łzy. Wolno zdejmowała rękawiczki, starając się nie patrzeć na jego bladą, prawie straszną twarz. Ale twarz ta pociągała ją siłą magnesu.

A jemu nerwy drgały od hamowanej wściekłości. Bowiem, jak nędzną, niepozorną, trywialną wydawała mu się dziś ta dziecinna, zalękniona i pokorna postać kochanki.

Nie wytrzymał wreszcie.

— Właściwie... pocoś przyszła?!

Drgnęła, szeroko otworzyła oczy, a potem rozpłakała się. Te łzy rozwścieczyły go do reszty.

Począł chodzić, niemal biegać po pokoju, mówiąc słowa bez związku i sensu, przepojone zgryźliwym. krwawym bólem.

Potem padł w fotel i znieruchomiał.

Podeszła ostrożnie i pocałowała go w czoło.

On zaś porwał ją w objęcia i począł pokrywać szalonemi pocałunkami twarz, jeszcze mokrą od łez.

Całował ze wściekłą namiętnością, niemal nieprzytomnie.

Potem ujął ją za rękę i gwałtownie pociągnął za sobą do sypialni.

. . . .

Wybuch minął, gdy zaspokoił hydrę zwierzęcego pożądania.

Czuł tylko słabość i tępy niesmak.

Zocha była jakby odurzona. Czarował ją, lecz i trwożył zarazem ten niespodziewany, szaleńczy dowód—miłości.

— Wacku... Ty—naprawdę—chory jesteś...

Spojrzał sennie.

Chory jest...

Jutro—jutro ślub Iry, jutro „legnie między nim mur, którego żadne z nich przejść się nie odważy", jutro skradną mu największy skarb, a on biernie

wieków, wyciskają na duszy zbiorowej społeczeństwa swe piętno.

Im opoka narodu jak więcej spoista i jednolita, im kultura jego więcej demokratyczna, tem silniejszy opór stawia fali zaborczej, tem dłużej i skuteczniej może przetrwać natarcie sił wrogich; im jest słabsza i więcej zróżniczkowana, tem łatwiej i prędzej ulega siłom niszczącym.

Opoka narodu polskiego nie jest ani spoista, ani jednolita — nawet na terenie etnograficznym. Naród rozczłonkowany jest na trzy części, pozostając w różnych warunkach; nie ma możności wszechstronnego rozwoju, nie ma możności wydobycia na powierzchnię życia sił ludowych, uobywatelenia ich, postawienia na reducie.

Względnie najlepsze warunki bytu są w Galicji. Tam jedynie lud korzysta ze szkolnictwa narodowego, tam stosunkowo najliczniej bierze udział w życiu społecznem i politycznem, tam po trochu zaczyna zamieniać skutecznie na strażnicy zużyte już i niezdolne do walki żywioły szlacheckie. Tam skorupa się odnawia i pogłębia, tam naród, pomimo oporu reakcji klerykalno-szlacheckiej, staje się nazewnątrz coraz więcej jednolity i świadomy swych zadań. Inny zgoła obraz mamy w Królestwie. Żywioły ludowe, dzięki brakowi oświaty i szerszego życia publicznego, pozostają wciąż w mroku ciemnoty i bezwładzie martwym. Budzą się dopiero do życia społecznego, przecierają senne, bo wiekowym mrokiem pokryte powieki, stąpają po omacku. Na strażnicy narodu stoi wciąż jeszcze niezluzowana skorupa cienka i słaba, składająca się z inteligiencji szlachecko-mieszczańskiej.

Cały napór fali zaborczej godzi głównie w tę właśnie skorupę. W tych warunkach, choćby siły ducha i zasoby kultury narodu były olbrzymie, nie jest w stanie warstwa ta stanowić przeciwwagi skutecznej naciskowi zzewnątrz na czas nieograniczony. Musi ona rysować się, ścierać, rozkładać i roztapiać w otaczającej toni.

Proces ten odbywa się w formie dla przeciętnego obywatela, może niedostrzegalnej, lecz ciągłej —z dnia na dzień. Jedyny ratunek przeciwko rozpadnięciu się narodu — to odnawianie sił i straży na reducie narodowej.

Wobec braku możności, a częściowo i umiejętności—czerpania sił wewnątrz—z pokładów jądra płynnego narodu — ludu, czerpano dotąd moc ożywczą zzewnątrz, z Galicji.

Stamtąd płynęła literatura narodowa, stamtąd płynął nektar pokrzepienia dla uginającego się pod ciężarem krzywd i prześladowań narodu.

I dotąd, póki powierzchnia życia Galicji nie różniła się zbytnio od tejże w Królestwie; póki tam nadawały kierunek życiu politycznemu i społecznemu te same żywioły, co i w Królestwie; póki powierzchnia, skorupa Królestwa nie uległa rozkładowi fali zaborczej; póki pierwiastki i bakterje znużenia walką, oportunizmu i ugody nie zapanowały śród sfer kierowniczych, inteligienckich; —dotąd Galicja była potrzebna i droga.

Niestety, warunki w ciągu lat ostatnich, a zwłaszcza wstrząśnień po roku 1905-ym—zmieniły się ogromnie. Nastąpiło załamanie się skorupy i szybki jej rozkład. Podminowały ją wybuchy wewnętrzne, nadwątliły natarcia zewnętrzne. Bezwładne i dotąd i płynne jądro zakołysało się. Lud a właściwie jego powołani i niepowołani przedstawiciele— wyrazili votum nieufności powierzchni—skorupie; oświadczyli wręcz, że nie tyle jest ona tarczą od zamachów zzewnątrz, ile więzami, krępującemi lud i jego rozwój wewnątrz.

I straciła skorupa orjentację, godność i pewność siebie.

Wpływy niewoli, upodlenie i znikczemnienie ducha uzewnętrzniły się w całej krasie.

A wpływy te przeciskały się lat dziesiątki, przeciskały sie wszędzie—wszystkiemi porami powierzchni, przeciskały się przez szkoły, które znieprawiały charaktery, zabijały indywidualności, zniechęcały do życia i walki; przeciskały się przez całą sieć administracji, która przytępiała poszanowanie prawa i obowiązków społecznych, krzewiła przekupstwo, płaszczenie się, upodlenie; przeciskały się przez liczne zastępy karjerowiczów, szukających w Cesarstwie łatwego zarobku; przeciskały przez prasę, która z początku z musu, a później z przyzwyczajenia i w imię interesów kiesze-

---

i obojętnie zezwoli na tą kradzież. A *ta* tutaj powtarza wciąż w kółko:

— Chory jesteś...

Była sekunda, gdy ją chciał wypędzić, lecz... Właśnie jutro Ira poślubi „z sympatji" Bojańskiego i właśnie od jutra będzie on samotny... Samotny, jeżeli nie będzie tej Zochy Bielskiej, która mu wszystko daruje i zawsze poniesie w ofierze jego egoistycznej tyranji swe krągłe ciało i szczerą duszę.

Powiedział więc tylko.

— Źle czuję się. Pragnę samotności i ciszy. Przyjdź jutro o tej porze, ale dziś — dziś zostaw mię samego.

Odprowadził ją do wyjścia, nawet pocałował na pożegnanie. Potem, gdy wyszła, wrócił do salonu, zgasił światło i siadł w fotelu, pragnąc zasnąć lub zapomnieć.

. . . .

Zabrzęczał dzwonek.

Posłaniec przyniósł list. Było to przyjazne i lakoniczne zaproszenie mamy Brzeskiej na ślub córki.

W stereotypowym stylu tego listu była nieświadoma a tak bezczelna ironja, ironja tak nie licująca z czarem dwuch poprzednich wieczorów, czarem, który, niby haszysz, upoił i uniósł go w świat marzeń,—że postanowił wyjechać, wyjechać zaraz...

By nie widzieć ostatniego aktu tragifarsy...

By go nie wzięła pokusa raz jeszcze spojrzeć na swe krótkotrwałe szczęście...

Spojrzeć i uczuć żal i bezsilny gniew.

Przywołał lokaja i kazał pakować rzeczy.

Znów zabrzęczał dzwonek.

— Kogo znów djabli niosą?!

Niechętnie patrzał na pluszową portjerę drzwi.

Wszedł—Bojański.

Błocki poczuł, jak po grzbiecie przebiega chłodny wężyk dreszczu, jak w nim dusza zaczaja się, kurczy, kurczy do rozmiarów „dawnego" Błockiego.

— Ach, to pan! Czemu mam przypisać...

Nie kończył, bo Bojański szedł wprost ku niemu z blaskiem w ciemnych oczach. Podszedł tak blisko, że Wacław posłyszał świst powietrza, wciąganego gwałtownie w nozdrza, i nerwowe szczękanie zębów.

— Warjat!—przemknęło mu przez głowę i znów poczuł dreszcz.

ni warstw posiadających—kierowała myśl narodu w stronę najmniejszego wysiłku i szukała ideowych haczyków dla zamaskowania własnego oportunizmu i kołtuństwa.

Nic też dziwnego, że inteligiencja nasza, nasze warstwy uprzywilejowane, niespojone z rdzeniem narodu, ludem, poruszone falą ze wschodu, potraciły głowy, wytworzyły chaos, zamieszanie, a zarazem poczuły swe odosobnienie, swą niemoc, że w skutek tego przeświadczenia, nastąpił szereg załamań, dezercja gromadna z poprzednich stanowisk, oportunizm i reakcja polityczna.

I dziś — w tragicznym splocie więzów, pod grozą coraz nowych pocisków—inteligiencja polska coraz wyraźniej kieruje ster w stronę najmniejszego wysiłku, staje się coraz więcej lojalna i „realna".

Trzaskanie biczem z za kordonu pruskiego działa na nią w sposób iście magiczny, a celowy. Odwraca się tyłem politycznym nie tylko do 3 miljonów narodu polskiego, siedzącego na pralechickiej ziemi, w gnieździe narodu, lecz poczyna kopać wyciągniętą dłoń bratnią z południa i tulić się coraz czulej do ćwiczącej ją po macoszemu słowiańskiej macierzy.

Galicja spółczesna już jest jej obca, już zanadto demokratyczna, za ludowa, za śmiała, zanadto awanturnicza, zamało solidna, trzeźwa.

Niewolnik przestaje rozumieć brata, oddychającego świeższem powietrzem i poczyna chwalić sobie własne kajdany; poczyna doszukiwać się duchowego podobieństwa z władcą; „trudno (mu) ustalić, w jakim stopniu w kulturze naszej narodowej znalazły wyraz zmagające się prądy" kultury Wschodu i Zachodu; z emfazą trefnisia woła: „jeśli mowa o aspiracjach narodu polskiego do odegrania szerszej roli w świecie, to myśl nasza musi biegnąć dalej na wschód azjatycki".

Tak dziś piszą w Warszawie, sercu Polski. Wysunięci zaś dalej na wschód politycy realni Wilna i Petersburga z tupetem gorących prozelitów słowiańskich wydrwiwają istnienie jakichkolwiek różnic pomiędzy kulturą naszą i rosyjską (kulturą, której „podobieństwo" tak pięknie i dobitnie wykazał w swem studjum „Król a Car" Wacław Sobieski), oraz ścielą drogi dla porozumień—bez zastrzeżeń.

„Ojciec" Piltz tryumfuje na całej linji.

Lecz tryumf to—Pyrrusowy.

Rozkładająca się haniebnie skorupa ustąpi i ustąpić musi. A miejsce jej na reducie zajmą siły nowe spośród coraz liczniejszych elementów świadomych ludu polskiego i wychowanej w innej szkole i w innych warunkach — młodzieży.

Wl—ski.

⊳oooooooooo⊲

Wrażenia poznańskie.

III.

Jako słabo uprzemysłowione, Poznańskie ma nieliczny proletarjat miejski. Jest go wszelako więcej, niż np. na Litwie, a nadto posiada on w większym stopniu specyficzne cechy robotnicze. Pochodzi to stąd, że nawet rzemiosło i wogóle przedsiębiorstwa drobne korzystają w Poznańskiem z metod i zdobyczy wielkoprzemysłowych. Podczas gdy w takiem Wilnie spotyka się warsztaty, prowadzone jeszcze w sposób zupełnie prymitywny, posługujące się nieudoskonalonemi, ręcznemi narzędziami i pozbawione kontaktu z szerokim rynkiem handlowym—w Poznaniu nawet zupełnie skromny rzemieślnik posiada ulepszone maszyny, poruszane często elektrycznością, dostarczaną ze stacji centralnej; posługuje się najrozmaitszemi formami kredytu, wyzyskuje umiejętnie doskonałe środki komunikacji, orjentuje się w wymaganiach dalszych nawet rynków zbytu, zna wartość reklamy (przy czytelnictwie powszechnem) etc. To wszystko upodabnia go do małego fabrykanta, a jego najmitę—czeladnika—do robotnika wielkoprzemysłowego.

Owe podobieństwo nie jest wszakże o tyle blizkie, by towarzyszyła mu świadomość odrębności klasowej czwartego stanu. Większość proletarjatu zachowuje psychologję czeladzi rękodziel-

---

A Bojański przysunął mu pięść do piersi i rzekł dobitnie:

— Ustąp z mojej drogi!

Błocki opamiętał się i odrazu wszedł w rolę.

— Panie Bojański! Pan upiłeś się!

Teraz ten zaśmiał się nerwowo.

— Upiłem się?. Że też pan, panie Błocki, mając tak estetyczną, subtelną i... już nie wiem jaką duszę, nie mógł obmyślić lepszego frazesu! Wie pan dobrze, o czem mówię! Nie bawię się w puste gadanie i mówię wprost: ustąp z mojej drogi!

Błocki podsunął mu fotel, a sam usiadł opodal.

— Pomówimy spokojnie.

— Tylko — bez wstępów! Kocham Irę, jestem jej narzeczonym. Jutro...

— A tak, jutro wasz ślub—rzekł niedbale Błocki, zapalając papierosa.

Bojański spiorunował go miażdzącem spojrzeniem i mówił dalej.

— Pan jej nie kocha. Pan jest kabotyn, zgryziony przez życie, lub raczej użycie. Pan się nudzi. Tak! Pan się nudzi! I z nudów zapragnął się pan zabawić w romans z cudzą narzeczoną. Pan jest podły.

— Przedewszystkiem jestem cierpliwy, gdy pan, panie Bojański, jesteś bardzo dowcipny.

— Bez frazesów!—prawie krzyknął Bojański. — Jest pan potworem, któremu trzeba łeb roztrzaskać bez gadania... Ale ona kocha pana... Nie! Co mówię! Nie kocha, lecz ulega sugiestji, która, jak zgasły opar, unosi się nad rozkładającem się pańskiem jestestwem. Jeżeli nie usuniesz się...

— Nie usunę się...

Zaległa chwilowa cisza.

W Błockim działy się dziwne rzeczy. Pierwiej był przekonany, że jego romans z Irą jest li-tylko płodem znudzenia i ekscentrycznego kaprysu. Teraz, gdy minął dzień na przeżuwaniu bolesnych skutków tego kaprysu, gdy pierwotne przekonanie zostało potwierdzone słowami Bojańskiego,—zrodził się protest. Przypomniał rozkosz stosunku z Irą i chwyciła go straszna tęsknota tej rozkoszy.

Tęsknota, żal, zazdrość.

A Bojański wstał.

niczej, którą znamionuje dążność (niebeznadziejna) do samodzielności, do przechodzenia z szeregów robotniczych do obozu pracobiorców.

Dodać jeszcze należy, że robotnik *resp.* czeladnik poznański ma się względnie dobrze. Cena pracy zależna jest od rynku niemieckiego, stosującego się do wysokich potrzeb tamtejszej ludności. Norm tych bronią skutecznie potężne organizacje robotnicze, silnie reprezentowane w parlamencie; po części zaś i polityka wewnętrzna rządu, który—zgodnie z zasadą Bismarka—wciąż stara się uprzedzać wybuchy niezadowolenia i czyni zadość „dojrzałym potrzebom“. Stąd prawodawstwo gwarantuje robotnikowi bardzo wiele wygód, broni go przed wyzyskiem, zapewnia bezpieczeństwo pracy, pomoc w razie choroby, spokojną starość etc.

Wszystko to otrzymuje robotnik polski—że tak powiem—darmo, bez walk, które we własnem i jego imieniu prowadzi robotnik niemiecki.

Z jednej strony względny dobrobyt, z drugiej zaś warsztatowy charakter broni socjalizmowi dostępu do proletarjusza poznańskiego. Nadto odwraca odeń uwagę i hakata, boleśnie drażniąca uczucia narodowe wszystkich warstw ludności.

Gdy się weźmie pod uwagę powyższe czynniki, śmiesznemi wydać się muszą przechwałki konserwatyzmu polskiego, który własnym tylko wpływom przypisuje niepowodzenia agitacji socjalistycznej na gruncie poznańskim.

Zresztą rzekomy ten sukces wkrótce już okazać się może wielce problematycznym. Idejologja soc.-demokratyczna—choć bardzo wolno—czyni i tu postępy, wdrążając się w umysły coraz liczniejszych jednostek. Dla miejscowych stosunków charakterystycznym wysoce był fakt, towarzyszący niedawno budowie zamku królewskiego w Poznaniu.

Na żądanie hakatystów, sprowadzono do tej roboty murarzy niemieckich. Rychło jednak pokazało się, że przywiezieni pracownicy, miast służyć celom nacjonalistycznym, rozwinęli żywą agitację społeczną, „wywrotową“. Tym sposobem budowa rezydencji monarszej dała sposobność socjalizmowi do zapuszczenia korzonków w glebę poznańską. Skojarzenie dziwne, komiczne, a jednak najzupełniej prawdziwe.

Obecnie wzmaga się też krytycyzm robotników poznańskich w stosunku do polityki Koła Polskiego.

Rozmawiając z przedstawicielami tej sfery, nieraz słyszałem pochwały dla deputowanych socjalistycznych.

„Gdyby nie oni—mówił mi pewien ślusarz—niktby nie zwracał uwagi na lamenty posłów naszych“.

— Na kogóż więc będzie pan głosował przy następnych wyborach?—spytałem zaciekawiony.

— Ha, to inna sprawa—odpowiedział—głosować muszę na polaka; nie można inaczej.

Czy długo obowiązywać jeszcze będzie owe „nie można inaczej“ — zależy to od wielu najrozmaitszych czynników. Bądź co bądź jednak, zgoła nieuzasadniona jest pewność, jakoby stan obecny—stan, pozwalający niektórym publicystom wnioskować, że polski robotnik w Poznańskiem nie da się *nigdy* skusić hasłom socjalistycznym — miał trwać wiecznie.

Można przypuszczać nawet, iż brak polskiej prasy socjalistycznej niezadługo okazać się może szkodliwym ze względów narodowych. Robotnik bowiem, znajdujący obronę swych interesów tylko w „Vorwärts'ach“ i innych pismach tego kierunku, stanie się materjałem podatnym dla giermanizacji.

Poważnem na to antidotum jest do czasu—jak już wspomniałem — hakata.

Podniosłem tu przedtem jej żywiołowość i powszechność. I rzeczywiście, *Drang nach Osten* jest potrzebą narodową, silnie odczuwaną koniecznością. Powstająca stąd nienawiść do polaków zakorzeniła się tak głęboko, że ślady jej dostrzegamy nawet w prasie szwajcarskiej (niemieckiej). Naturalnie. jak wszystkie ruchy tego rodzaju, hakatyzm popularny stroić się musi w szmaty ideałów. To też pośród szerokich mas niemieckich utarło się przeświadczenie, iż *Drang nach Osten* ma na oku cele altruistyczne, mianowicie szczepienie śród barbarzyńców kultury. Stąd wynika bezgraniczna pogarda dla wszystkiego, co polskie.

— Rozbiłbym ci łeb, jak wściekłemu psu, ale ponieważ *teraz* ona cię kocha i śmierć twoja otoczyłaby twą podłą głową aureolą bohaterstwa — czynię inaczej!

Wyjął z kieszeni rewolwer i położył na stole.

Błocki zbladł.

— Amerykański pojedynek?—spytał, niby sennie.

Bojański zaś porwał z konsoli talję kart i rzucił na stół.

— Wybieraj—rzekł—jeżeli czarne... jeżeli czarne, strzelę sobie w łeb. Jeżeli czerwone—ty!

A w Błockim namiętność do Iry, nieprzeparta, prawie odruchowa chęć dopełnienia czary swej donkiszoterji, wreszcie zwierzęcy, rozpaczliwy instynkt samozachowawczy zakotłowały w burzliwym chaosie.

— Wybieraj!—powtórzył Bojański.

— Już wybrałem—rzekł cicho Błocki i podniósł rewolwer.

— Aaa!

Bojański skoczył ku drzwiom.

Już miał się skryć za pluszową portjerą, gdy huknął strzał.

Zachwiał się, uczepił się rękami za rąbek zasłony, że runęła z trzaskiem, pokrywając czerwonym całunem drgające w konwulsjach ciało.

Błocki stał przez chwilę nieruchomo.

Potem wolnym krokiem zbliżył się do trupa, przeskoczył przezeń ostrożnie, wpadł do przedpokoju i ubrawszy się prędko wybiegł na ulicę.

. . . .

Błocki uciekł z miasta.

Niedługo wyśledzą go pewnie argusowe oczy śledczej policji, lub może sam odda się w ręce sprawiedliwości.

W mrocznej celi więziennej będzie pokutował za zbrodnię, lub może wszechwybaczający werdykt sędziów przysięgłych zwolni go od winy i kary.

Strzał do Bojańskiego był nieodwołalnym kresem jego romansu.



Wprawdzie jeszcze większą pogardę czuje niemiec dla słowiańszczyzny wschodniej i południowej, ale po części z tem się kryje, po części nie ma okazji do jej ujawniania. Całą natomiast pasję nienawiści wyładowuje wobec tych, z którymi ma ciągłą styczność i których udało mu się bezbronnymi uczynić.

By dać przykład tej wściekłej nienawiści, przytoczę fakt następujący. Oto bawiąc niedawno w Berlinie, przy wysiadaniu z automobilu, skaleczyłem się w rękę. Rana była głęboka, do kości, i krwawiła obficie. Udałem się do apteki, z prośbą o opatrunek. Aptekarz jednak, skoro tylko usłyszał mój akcent, groźnym obrzucił mnie wzrokiem i wskazując kilka kropel krwi na posadzce, zawołał: „Mój panie, tak świnić można tylko w Polsce".

Pogarda!—oto zasadniczy element uczuć hakatystycznych. Umożliwia ją w znacznej mierze obecny zastój życia umysłowego w Poznańskiem. On to do ostateczności rozzuchwala najeźdźców, pozwalając im uważać się za istotnych pionierów kultury. Gdyby tu się coś działo, gdyby działo się choćby tyle, co w Królestwie, buta prusacka musiałaby znacznie osłabnąć, stracić pewność siebie. Bo niemiec, mimo wszystko, respekt dla cywilizacji, dla pracy umysłowej czuje; w zetknięciu z nią chamstwo jego pokornieje.

W zasadzie więc możliwą jest zmiana pierwiastków uczuciowych popularnego hakatyzmu. A jakkolwiek sam *Drang nach Osten* na razie nie ma widoków ustania—przecież obecna taktyka polityki antypolskiej może również uledz poważnej modyfikacji.

Dziś ogólno-narodowy pęd na wschód eksploatuje środkami barbarzyńskiemi podpora Hohenzollernów — junkier pruski. Drogą wątpliwych eksperymentów kolonizatorskich, za które naród miljonami płaci, podnosi on ceny ziemi do niebywałej wysokości, zarabia na parcelacjach, pośrednictwach etc. W akcji tej masy ludowe zainteresowane są minimalnie. Im nie o takie chodzi tereny, jakie znajdują w Poznańskiem. Jeśli śród mas tych ujawnia się głód ziemi—to obszarów rozległych, śród ludności naprawdę półdzikiej, dokąd emigrowanie dawałoby istotne szanse wielkich zysków. Po warunki, jakie kolonista niemiecki znajduje w Poznańskiem, nie potrzebuje on aż tutaj wędrować. Na łokcie kupować ziemię może i w stronach ojczystych. Zresztą lud niemiecki pociągają dziś przedewszystkiem miasta; więc kolonizacja rolna mija się z ruchem żywiołowym.

Dlatego też przypuszczać wolno, że reforma sejmu pruskiego wpłynąć musi na umitygowanie polityki antypolskiej w tej formie, w jakiej dotąd jest ona prowadzona. A reforma ta—to już tylko kwestja czasu. Istniejąca ordynacja wyborcza jest tak nikczemna i przestarzała, że protest przeciw niej coraz bardziej się upowszechnia.

Z protestem tym łączyć się musi wiele naszych nadziei. Bardzo też interesującem jest pytanie, jaki będzie ostateczny wynik obecnie dokonywanych wyborów. Nowe tryumfy opozycji niemieckiej (zwłaszcza socjalistów) większe dla sprawy polskiej mogą mieć znaczenie, niż przegrana w tym lub owym okręgu kandydata polskiego. Każdy nowy socjalista, dostający się do sejmu pruskiego, mimo stawianych mu trudności—to nowa wyrwa w tej fortecy reakcji, to nowa szansa ostatecznego jej upadku.

Publicyści polscy, porównywając warunki życia pod zaborem rosyjskim i pruskim, często jeden błąd czynią. Licząc, mianowicie, na konieczność reform w Rosji, zdają się sądzić, jakoby Prusy znajdowały się już u kresu swego rozwoju i jakoby na wieki miały pozostać takiemi, jakiemi są obecnie. Tymczasem w rzeczywistości Prusy znacznie bliższe są niż Rosja radykalnych przewrotów, które do niepoznania zmienić mogą stanowisko polaków tamtejszych. Gdy zaś to nastąpi, okaże się w pełni ogromna wartość sił narodowych, które wyrobiła uporczywa walka z wrogiem, mającym—jako wróg właśnie—bardzo wiele zalet. W walce tej uległa wprawdzie zaniedbaniu kultura inteligiencji, ale znakomicie pogłębiła się kultura ludu, wykorzenione zostały wszelkie narowy anarchistyczne, zastąpione przez zmysł społeczny; podniosła się bardzo wysoko moralność (nigdzie w Polsce zbrodnie i przestępstwa nie są tak rzadkie), a wreszcie świadomość narodowa przeniknęła do każdej chaty, czyniąc w tym względzie ze społeczeństwa skałę granitową.

B. H.

Władysław Mickiewicz.

Paryż, 23 maja 1913 roku.

Dziś obchodzi kolonja polska w Paryżu uroczystość złotych godów małżonków Mickiewiczów. W założeniu swojem jest to uroczystość prywatna. Ale z natury rzeczy, w atmosferze polskiej diaspory z jednej strony, ze względu na stanowisko jubilata z drugiej strony—ta prywatna uroczystość przybrała charakter publiczny. Uroczystość rodzinna stała się uroczystością polską. Towarzystwo literacko-artystyczne (prawobrzeżne) zaprosiło nas do kościoła Saint-Germain des Près, gdzie u grobowca Jana Kazimierza zebrała się polska gromada, aby wysłuchać przemowy księdza filozofa Jakubisiaka i zwyczajem francuskim przedefilować przed jubilatami. Nie francuskiemi były nietylko słowa uroczyste celebranta, ale i uczucia obecnych.

Któż nie zna z liczby polaków, bywających w Paryżu, pana Władysława Mickiewicza? Któż nie zna tej pięknej głowy, wyjętej ze starego portretu? Któż go nie spotykał, odbywającego codzienną parokrotną przechadzkę wzdłuż Sekwany od Mennicy, koło straganów z książkami, mimo placu Saint-Michel, mimo Notre Dame aż do progów Bibljoteki Polskiej na Quai d'Orléans? Zna go tam każdy antykwarjusz. Znają go dzieci. Zadziwiająco zdrowy i młody p. Mickiewicz chodzi bez względu na porę roku bez okrycia i bez kapelusza. Pięknej linji długich, siwych włosów nie szpeci kapelusz. Zdaleka też widać siwowłosego, przedziwnie zachowanego w zdrowiu i urodzie starca. Ciemny strój odbija artystycznie siwą brodę, siwą trochę naprzód pochyloną głowę. Niema artysty polskiego, którego by nie nęciła ta postać *), godna najlepszego pędzla i dłuta, tak bardzo charakterystyczna, tak bardzo odbiegająca od przeciętnego typu, napotykanego nad Sekwaną w kolonji polskiej, czy w szerszem francuskiem otoczeniu.

*) Najpiękniejszy portret W. Mickiewicza pędzla Wyspiańskiego znajduje się w zbiorach Krakowskiej Akademji Umiejętności.

Zawsze równy, zawsze uprzejmy, uśmiechnięty, czyni p. Mickiewicz honory domu w Muzeum Adama. Oprowadza sam polaków i polki, znajdujących czas między wizytą w Luwrze pamiątek, a pielgrzymką do magazynów Luwru, aby złożyć hołd cieniom największego gienjusza polskiego. Pan Mickiewicz jest nietylko kustoszem tego muzeum. Ma w sobie coś z kapłana, strzeże nietylko pamiątek, strzeże oraz przeczystego źródła odnowy polskiej. Gdy tak, w godzinie zadumy, chodzimy za nim po pokoikach muzealnych, nie tylko patrząc, ale i myśląc ale i czując, przeżywając fragmenty żywota jednego z najgłębszych, najdobitniejszych, najświętszych, jakie posiada Panteon Polski—wychodzimy lepsi, wychodzimy więksi. Owionął nas duch wielkich rzeczy, wielkiej sprawy, jednej śród wszystkich, jedynej, odrodzenia w lepszym, sprawiedliwym bycie. Błogosławi Adam polskiemu chłopu, polskiemu robotnikowi, bez różnicy pochodzenia—wszystkim, których on przeczuwał tylko, a którzy po nim w wielkich gromadach wysunęli się z cieniów nocy na widownię życia historycznego. Nie tylko muzeum, ale i też i Znicza strzeże Władysław Mickiewicz.

Jest to człowiek przedziwnie skromny. Bronił się, jak mógł, przed publicznem nabożeństwem w kościele. Nie lubi zajmować osobą swoją szerokich kół polskich. Nie mówi o sobie. Mówi tylko o Ojcu. Spisał jego żywot, wydał pisma, ogłosił przekład francuski, ogłosił niedawno jeszcze trzytomową opowieść bohaterską o Legjonie Adama we Włoszech 1848 roku. Czemu nie znalazł się tłumacz dosyć gorliwy, wydawca dosyć zabiegliwy, aby to dzieło i polską zdobyło szatę? Obdarzony pamięcią nadzwyczajną spisał p. Mickiewicz historję Emigracji do roku 1890 i przed laty kilku ogłosił. Pracowity to człowiek. Lata przyprószyły czoło siwizną, a on wciąż zbiera, zabiega, pracuje. Zawstydza nas młodszych. Należy do pokolenia żołnierzy polskich, którzy przedziwną trwałość zachowują do lat najpóźniejszych. W roku 1861 był p. Władysław w Polsce. Organizował też wyprawę Łapińskiego. Był, gdzie obowiązek wzywał. Wołał go głos Ojca. **)

Dom państwa Mickiewiczów znany jest z gościnności. Zbiera się tu młodzież studjująca w Paryżu, starsi też polacy zjeżdżający do Paryża na dłuższy czy krótszy tylko pobyt. Bywają też przejezdni luminarze. W poniedziałki wieczorem, od dziewiątej do północy głośno jest na rue de Guénegaud. Państwo Mickiewiczowie oboje przy pomocy panny Mickiewiczówny czynią tu honory domu: dla każdego mają dobre słowo, o każdym zachowują dokładną pamięć. Jakże nie mieliby polacy paryscy i z tego tytułu zachować dla Nich wdzięczności, głębokiego uznania? Czy śród dawnych domów polskich w Paryżu jest choćby jeden, któryby tradycję gościnności takiej zachował?

Pan Władysław Mickiewicz jest skromny, więc o jego dobroczynnej działalności nie lubi, by mówiono. Może za złe mi weźmie, że ten list wysyłam? Gdyby tak być miało, zgłaszam zgóry okoliczności, które powinny złagodzić winę pisarza. List ten będzie wydrukowany w „Przeglądzie... Wileńskim“, zabłądzi może w Nowogródzkie strony; zwiąże z echem wiecznie żywem Adama w Wilnie, w Kowieńskiej dolinie—imię syna, piastuna najwierniejszego nieśmiertelnej ojcowskiej tradycji.

Stanisław Posner.

**) Biografję Wł. Mickiewicza z zarysem działalności naukowej i publicystycznej podałem w Wielkiej Encyklopedji Ilustrowanej, tom 45, str. 1001—2 (z portretem).

▷○○○○○○○○○◁

Prusactwo duchowe.

(O Adolfie Nowaczyńskim).

Badając literaturę naszych czasów, oko krytyka przyszłości ze zdumieniem zatrzyma się na barokowej postaci Adolfa Nowaczyńskiego. Zawód swój rozpoczął Nowaczyński od snobistycznego dandyzmu i ultra-modernizmu. Później w „Krytyce“ p. Feldmana obwieścił narodowi potrzebę „prościnkowego“ dramatu historycznego i zaczął dramaty podług swojej recepty produkować na metry. Skończył zaś p. Nowaczyński na businessomanji, schlebianiu warstwom posiadającym, propagowaniu wszelkiego karjerowiczostwa, wreszcie na otwartej walce z duchem, duchowością, pięknem, bezinteresownością, wszelakiemi lotami, summa summarum z romantyzmem.

Smutnej sławy laury zdobyte w tej kampanji zawdzięcza p. Nowaczyński, niestety, nieporozumieniu, bo w tej walce don-kichotycznej z wiatrakami nie zdołał zrozumieć, rozpoznać, określić swego wroga. To, z czem walczy, jest utworem jego własnej wyobraźni. Tam, gdzie mu się przywidują rozpięte ramiona Mesjasza polskiego, są tylko—śmigi wiatraka. Bezskutecznie więc farys zgodził się na fornala do narodowej fabryki tutek. Przemysłowcy i kupcy polscy raz już dali nieproszonemu rycerzowi-obrońcy odprawę. Teraz cały naród, patrząc na dziwaczne koziołki umysłowe amerykańskiego pajaca, starającego się wrzaskiem „business, business, business“ zagłuszyć Chopina, Słowackiego, Krasińskiego i wszystko, co z ducha ich jest, powinien energicznie powiedzieć ulubioną angielszczyzną p. Nowaczyńskiego: „hands off!“

P. Nowaczyński musiał fatalnie skończyć na takim światopoglądzie żydowsko-pruskim, jaki propaguje obecnie (tak go określamy, pomimo wielkiego wstrętu p. Nowaczyńskiego do prusaków i żydów). Interes i siła—któż te dwie cne zasady propaguje? Od początku miał p. Nowaczyński w sobie takie ciążenie ku wszelkim realjom życia, że mogło ono tylko zwiększyć się z wiekiem.

Objawiał więc p. Nowaczyński zamiłowanie do „tężyzny renesansowej“. Już w swoich pierwszych szkicach, potem w swych dramatach smakował, rozsmakowywał się we wszelkiej tężyźnie a la Rabelais, Aretino, Boccacio. W swych facecjach, które mogłyby bawić, gdyby wiele z nich nie zawierało, oprócz kalumnji, otwartej potwarzy i oschłej złości względem ludzi, także i rzeczy drastycznych, niesmacznych, trywjalnych, objawił rodzaj swego dowcipu. Jest to dowcip hippopotama, strząsającego na innych pijawki, nie imające się jego grubej skóry.

Dowcip p. Nowaczyńskiego nie jest z tego czystego Reyowskiego źródła prawdziwej polszczyzny. Prawdziwy dowcip „Fraszek“, pisarzy złotego wieku, Krasickiego, Fredry miał zawsze podkład dobrodusznego humoru, przepojony był sympatją dla świata. Dowcip Nowaczyńskiego ma podkład mściwie-nienawistny, satyra jego nie ma

w sobie najmniejszej serdeczności dla świata. Nie pochodzi z serca, które wiele kocha, lecz z serca, które się szarpie w podrygach złości. Dlatego przy całym dowcipie i talencie satyrycznym Nowaczyńskiego nie wywiera on najmniejszego wpływu na społeczeństwo, które przedstawiane mu „Małpie zwierciadło“ odwraca ku jego własnej twarzy z zadowoleniem niemałem. Satyra Nowaczyńskiego pozbawiona jest dostojeństwa i potęgi moralnej, która daje poczucie, że słowo chłoszczące wypowiada ktoś wysoki, ktoś sam nie nurzający się w błocie.

„Renesansowa tężyzna“, czyli raczej lubowanie się w życiu materjalnem, zmysłowem, w sytuacyjkach drastycznych, lubieżne skrzywienie się fauna zawsze kazało Nowaczyńskiemu przekładać konkret nad abstrakt, materję nad ducha, Steinkellera nad Chopina, wreszcie pięść nad pięknie-brzmiące rymy. Ciążenie ku materji we wszelkich objawach! Zaś trywjalne i zuchwałe igranie z wszelkiemi wartościami, satyryczność, wreszcie falstafowska subtelność nie pozwoliły mu kiedykolwiek wczuć się, wcielić w najwyższe objawy duchowe narodu. Pozostał sobie Falstafek na dole, puszczając powykręcane jak grajcarki, witze wiedeńskiego sznytu, a to, co było najwyższym wykwitem ducha narodowego, trwało niezamącenie na wyżynach. Juści, że dla Marchołtów nie był pisany Król-Duch!

Kiedy starzy pozytywiści napadali na twierdze romantyzmu, czynili to z większym umiarem i dystynkcją. Nowaczyński wniósł do literatury kabaretowe wyuzdanie stylu i „wszędoplujstwo“. Pluł po kolei na wszystko z jakimś, pomimo swego wysokiego anglo - amerykanizmu, iście wschodnim nihilizmem, jakby chcąc dowieść: jeszcze i tu mogę plunąć!

Tak uzbrojony w „tężyznę“, witzowanie i wszędoplujstwo napadł p. Nowaczyński na romantyzm. Ale że żaden z wielkich naszych romantyków w grobie się nie przewrócił, za to można ręczyć.

Przeszkadza mu poezja, muzyka, wszelkie piękno bezinteresowne, wszystko, co nie jest gotówką i premjówką. Apoteozuje sympatycznego dorobkiewicza Szeląga, który zdobył miljony w Ameryce, by potem rozdawać je na prawo i na lewo w kraju i wykupywać za nie tereny kopalniane z rąk żydowsko-pruskich.

Wszystko to jest bardzo piękne: Nie należy zaniedbywać sfery realnej dla abstrakcyjnych marzeń pięknoduchów. Połączenie idealności z realnością było zasadą Trentowskiego, Krasińskiego, a i wszystkich romantyków naszych. Realizacja pięknych słów, które są tylko miedzią brząkającą, o ile pozostają słowami, ponoś przez nich została wynaleziona. Lecz p. Nowaczyński wykreśla idealność całkowicie z obiegu. Tępi ją zapalczywie wszędzie, gdzie znajdzie, w przywiązaniu do przeszłości, w „hypertrofji estetycznej“, w muzyce, w idejowości innych odcieni, niż on sam uznaje, w klasycyzmie, w nieszkodliwym i niewpływowym neo-klasycyzmie wreszcie, który się skupia w krakowskim „Museionie“ (ciekawa rzecz, co ten „Museion“ przekręcony w „Nowych Atenach“ na „Panteion“ mógł p. Nowaczyńskiemu zaszkodzić? Wszakże obrał tam siedlisko inny Herod romantyzmu, p. Grzymała-Siedlecki. Czyżby tu się nie sprawdziło przysłowie: „les beaux esprits se rencontrent“?)

Zapatrzenie się w przeszłość, klasycyzm należą do grzechów zasadniczych przeciwko ewolucji ducha ludzkiego. Stwarzając formy coraz to nowsze, coraz to wyższe, wyzwalamy maximum naszej energji. Odtwarzanie kanonu zamiast stwarzania kształtu oryginalnego jest lenistwem ducha, użyciem, a nie życiem, pasożytnictwem na pniach pokoleń poprzednich. Więc wszelkie grzęźnięcie w starożytnictwie, wszelki historyzm tamujący życie, wszelki klasycyzm w myśleniu, w wychowaniu zasługuje na potępienie najenergiczniejsze.

Lecz ogromna różnica jest pomiędzy idealizmem statycznym, czyli zacofaniem a idealizmem dynamicznym, czyli ewolucją. Tego p. Nowaczyński nie odróżnia. Chodzi mu o najpierwsze, zoologiczne podstawy życia. W Krakowie grają symfonję „Prometeusza skowanego“, gdy tereny kopalniane w okolicach Krakowa są w rękach niemców i żydów! Precz z muzyką, poezją, idealizmem, wszelkim romantyzmem! Silna pięść i gieszeft!

Prusactwo duchowe ma wyratować od prusaków. Estetyzując, intellektualizując, idealizując zapominamy o realnych zadaniach życia, twierdzi p. Nowaczyński.

Tymczasem któż to oddaje ziemię polską w obce ręce? Majerscy, którzy są dalecy nie tylko od klasycznej lub romantycznej, lecz wogóle od wszelkiej kultury. I dlatego oddają, że to większy zysk im przynosi. Więc nie poczucie „realności“ pozwoli nam wyprzeć z naszej ziemi obce żywioły. Pozwoli to nam podniesienie poziomu kultury całego człowieka, a więc i etycznej. Wtedy człowiek potrafi robić coś nie dla zysku, lecz dla narodu, dla idei. Nie demagogja materjalistyczna, lecz głębokie rozbudzenie idealizmu pozwoli narodowi skupiać się dla przeprowadzenia akcji zbiorowych, które dźwigną jego zagrożony byt materjalny. Ktokolwiek miał do czynienia z ludźmi, nieubudzonymi duchowo (p. Nowaczyński widocznie często miał z nimi do czynienia) ten wie, że można do nich przemówić tylko za pomocą osobistego ich interesu. Tymczasem akcja społeczna wymaga często ofiary z tego interesu.

Co może zmusić człowieka do ofiary materjalnej, z której skorzysta nie on sam, lecz przyszłe pokolenia? Te właśnie wartości niematerjalne, poezja, muzyka, tradycja przeszłości, na które, podług Nowaczyńskiego, naród ubogi nie może sobie pozwolić. Wszelkie uspołecznienie idzie tylko przez kulturę. Często zamiast kultury bywa bawienie się w kulturę. Krytykując takie objawy, nie wolno odrzucać potrzeby największego uduchowienia, które pozwoli nam akcję wyzwolenia ekonomicznego przeprowadzić pod przewodem idejowym Szczepanowskiego, nie zaś „Małpiego zwierciadła“.

Ciekawe bardzo, gdzie to p. Nowaczyński zobaczył tyle objawów i skutków romantyzmu? Musiał aż dwa utwory pisać ku ośmieszeniu tej szkodliwej zarazy—„Cyganerję warszawską“ i „Nowe Ateny“. Małpie zwierciadło znów spłatało jakiegoś figla—pewnie zbyt mocno jest zaplute i nieprzetarte oddawna. Widzimy nie przeraźliwy romantyzm, lecz bardzo trzeźwe karjerowiczostwo wszędzie. Fabrykant nie zapomina o wyzysku robotników, kupiec pomimo ogłoszonych bojkotów sprowadza po cichu towary pruskie, a żydowskie wywozi w zakrytej karetce o zmierzchu od hurtowników z Nalewek. W Galicji zapały idealne nie przeszkadzają groszorobstwu, co stwierdza sam Nowaczyński, sprowadzając wszystkie uczucia zbiorowe, wszelkie objawy patryjotyzmu do gie-

szeftu hotelarsko-restauracyjnego. I ci, co zaprzedają polski stan posiadania, naprawdę z romantyzmem nic wspólnego nie mają. Nie mają z nim nic wspólnego i ci literaci, którzy powoli czynią swe utwory coraz bardziej demagogiczno-prościnkowemi, coraz to bardziej schlebiają groszorobom i wyzyskiwaczom, wszelkim warstwom posiadającym, biorąc w stan posiadania sceny rządowe, marząc na skutek wielkiej nienawiści do wschodu o wschodnio - barbarzyńskiej scenie Stanisławskiego.

Karjerowiczostwo rozpiera się wszędzie, nie ducha business'u nam trzeba, lecz ducha ofiarności obywatelskiej, zbiorowego entuzjazmu, który rozpromienia czyn zbiorowy. Ludożerstwo pruskie, najazd litwacki można odeprzeć solidarnością warstw ludowych, o których tak mało mówi Nowaczyński, olśniony widzeniem miljonera, zachłystujący się na ten widok ze słodyczy i szczęścia. Tymczasem lud dla niego reprezentuje poseł Warcholik lub żyd Kleinfeld. Ruch robotniczy jest dla niego żydostwem, nie raczy pamiętać o patryjotycznej postaci Daszyńskiego. Muzyka prometeiczna, dążenia idealistyczne są intrygą żydowską, dążącą do usypienia narodu, by Rohnowie etc. mogli robić sobie niepostrzeżenie interesa.

Szukanie wszędzie intrygi jakiegoś obcego żywiołu jest manją importowaną również... nie z Anglji, z Petersburga raczej rodem, i nosi nazwę chuliganerji. „Orjentacja austrjacka" również jest dziełem jezuitów wiedeńskich i Bóg wie kogo.

Co do innych orjentacji, przypomnijmy sobie czasy Sejmu Czteroletniego, kiedy orjentacja pruska, zalecana przez patryjotów, była tak gorąco kwestjonowana przez wielbicieli „bóstwa północy". Już wtedy umiano straszyć prusakiem. Prusakiem straszyć jest warto, austrjakowi nie należy się najmniejsze zaufanie, chociaż można i warto wykorzystać wspólny interes, który mógłby go z galicjanami połączyć. Lecz u nas jest tak: wiele się gada na tego, czyj żandarm jest daleko, a tu bliziutko—wszystko ujdzie.

Czy tylko litwackie i pruskie towary są do bojkotowania w Warszawie? Minęły złote czasy przewagi przemysłowej Królestwa Polskiego... Akcja, którą propagował pierwszy Prus w „Lalce", znalazła odgłos w społeczeństwie. I ci, co trochę dalej szukają ludożerców i straszaków, rozmyślnie zamykają oczy na zjawiska najbliższe. To już taka „orjentacja". Targowica jeszcze nie zginęła! Prusaków trzeba zwalczać na wszelkie sposoby—lecz kto na nich zbyt wiele gada, zawsze jest odrobinę podejrzany. Mydli nimi oczy—nieśmiertelna nasza Targowica.

Tak bardzo swojski p. Nowaczyński makaronizuje bez żadnej potrzeby, chcąc nam dowieść, że galicjanie mówią na dwa zdania jedno niemieckie i że socjaliści używają koniecznie żargonu. Wspaniałej zaś, chociaż, co prawda, nie nowojorskiej, ani też londyńskiej angielszczyzny używa w ustach przykładnego miljonera Szeląga w takiej obfitości, że książka prawie przez pół jest napisana w obcym języku (przez nadmiar patryjotyzmu). Nie tylko te makaronizmy, lecz ciężki styl i ciężki, a często rażąco - trywjalny dowcip oraz kpinkowanie z rzeczy, z których kpinkują wszędoplujcy, lecz nie ludzie z sercem, czyni czytanie tej książki przykrem, nużącem.

Niechby już lepiej p. Nowaczyński stwarzał znów wszechsłowiański djalekt polsko-rosyjski, który mu się tak udał w Carze Dymitrze, na użytek sceny Stanisławskiego, bo do Londynu i Nowego Yorku zadaleko! Jeżeli bowiem w walce z bohaterskiem, ofiarnem pięknem narodu, z poezją jego prometeicznego czynu, czyli z romantyzmem osiągnął autor „Cyganerji warszawskiej" i „Nowych Aten" laury, to zaiste, laury to smutnej pamięci. Trudniej narodowi dać skrzydła, niż je łamać.

Savitri.

⊳oooooooooo⊲

Wojna domowa.

Londyn 30 maja 1913.

Rzadką emocję przeżywa Londyn.

Atmosfera pełna oczekiwania, niepokoju, niespodzianek, w kraju przecież wre na dobre rewolucja i to tem sroższa, tem drapieżniejsza, bo nie wszyscy chcą brać ją poważnie.

Potrosze wszyscy jesteśmy błędnymi rycerzami marzącymi o anielstwie Dulcynei, ten poetyczny przeżytek rycerstwa wytrąca mężczyznom broń z ręki.

Ruch sufrażystek zaś zasługuje i wymaga traktowania go serjo.

Anglja śród krajów europejskich zajmuje wyjątkowe położenie. Wzmożenie się ruchu sufrażystek nie jest tu przypadkowe; ten fakt, że kobiet rodzi się niemal w dwójnasób więcej niż mężczyzn jest decydującym w tej mierze.

Nowożytne warunki życia w Anglji wymagają, by kobieta żyła z własnej pracy, bo ten olbrzymi odsetek kobiet niezamężnych staje się ciężarem rodzin.

Kto dotknął się stosunków angielskich, kto zrozumiał tę beznadziejną sytuację, jaką wytwarza uprzywilejowana klasa lordów i zabójcze trusty, ten ani na chwilę nie zawaha się w twierdzeniu, że Anglja stoi w przededniu zasadniczych zmian socjalnych, które zniweczą obecny porządek.

I nie ulega wątpliwości, że zmiany te wyjdą na korzyść proletarjatu.

Nie robotnik fabryczny, lub rolny, gdyż ten cieszy się pieczołowitością prawa, ale te wielotysięczne zastępy pracowników biurowych i handlowych — ci mali kupcy walczący z konkurencją miljardowych towarzystw wprowadzą pewną równowagę w stosunkach angielskich.

Ze sfery inteligientnego proletarjatu rekrutują się sufrażystki i jeśli idea równouprawnienia kobiecego przyjmuje się tak spiesznie na gruncie londyńskim i zyskuje tyle zwolenniczek, to nie ulega wątpliwości, że najważniejszą rolę gra tutaj powód ekonomiczny. Gdyby nie istniały tak ciężkie warunki życia, gdyby tak nieuczciwie nie była wyzyskiwana praca kobieca, sufrażystki nie zdołałyby zgromadzić koło swych sztandarów tyle zdecydowanych na wszystko wyznawczyń. Dziennikarstwo angielskie, a za nim opinja Europy z pewnym, ironicznym uśmiechem przygląda się tej wojnie kokoszej.

Czasem, niekiedy wybuchnie okrzykiem zgrozy na potępienie terroru i anarchji.

Takim uczuciom dał się unieść i obecny rząd liberalny, gdzieindziej zresztą rozważny i przezorny i zamiast wprowadzić konieczny „modus vivendi", na terror odpowiedział różnemi represaljami.

Rząd zamknął „Unję Kobiecą“ centralę ruchu sufrażystek, zawiesił ich organ oficjalny, przewodniczki uwięził, zabronił zgromadzeń i wieców.

Lecz postępek ten był dolaniem oliwy do ognia.

Co znaczą zakazy choćby najbardziej samowładnych oficjalistów wobec siły tłumu?

A siłę dzisiaj stanowią sufrażystki, siłę potężną, która z dnia na dzień rośnie, bo działa szalona agitacja i ogromne zasoby pieniężne. Na jednem z posiedzeń parlamentu prezydent ministrów mr. Asquith, przedstawił statystykę działalności sufrażystek. W jednym roku urządziły one więcej metingów i wieców, niż wszystkie partje polityczne razem.

Według najświeższych obliczeń na tydzień zwołują sufrażystki 300 wieców w różnych stronach Anglji. Byłem niedawno świadkiem takiego zgromadzenia, bardzo entuzjastycznego, na którem przemawiała pani Pankhurst, niezwykle utalentowana i przedziwnie rozumiejąca psychikę swych rodaczek. Nie przypominam sobie na żadnym wiecu równego zapału i podobnej psychozy. Rozpalone mową słuchaczki wpadły w tego rodzaju entuzjazm, że gdyby wyszedł z ust przemawiającej rozkaz—na barykady! ani na chwilę i ani jedna nie zawahałaby się spełnić zadania.

Entuzjazm ten objawił się najlepiej przy zbieraniu pieniędzy na cele partyjne.

W mig wypróżniły się wszystkie sakiewki do ostatniego grosza, a ofiarność posunęła się tak daleko, że składano na tacę pierścionki, bransolety, zegarki, jakie tylko kosztowności posiadały słuchaczki, wszystkie spoczęły we wspólnej skarbonie.

Rezultat tej kwesty był imponujący.

W ciągu pół godziny zebrano 15 tysięcy funtów (150 tysięcy rubli).

Cóż wobec takiego zapału znaczą choćby najdalej idące represalje?

Zdaje mi się, że gienjalny mąż stanu sir Edward Grey, opatrznościowy człowiek w polityce międzyeuropejskiej, ma wiele racji opowiadając się stanowczo za przyznaniem kobietom równouprawnienia. Armja sufrażystek rozporządza dwoma koniecznemi warunkami wiodącemi do zwycięstwa. Posiada pieniężne zapasy i niezmożony zapał.

„Białe czarownice“, jak je nazywa ulica, zadziwiają swem zuchwalstwem i sprytem.

Posłuszne bezgranicznie gieneralnemu sztabowi, który obrał sobie Paryż jako stolicę, spełniają z kobiecą drobiazgliwością wszelkie zarządzenia. Głównym dowodzącym tej armji jest panna Christabel Pankhurst, 26-cio letnia dziewczyna, niezwykłej urody i energji. „Złotą pszczółką“ nazywają ją rzesze spółwyznawczyń z powodu jej jasnych blond włosów.

W ręku tej pszczółki spoczywa naczelna komenda, wszelkie zamachy dzieją się na jej rozkaz i wedle jej planów.

Rząd angielski zwrócił się do swego francuzkiego sprzymierzeńca z propozycją wydania panny Christabel.

Oczywista propozycję zaliczyć można do niespełnionych życzeń.

Tymczasem zamachy trwają dalej i niema widoków, by wojna domowa ustała.

Dr. Kazimierz Wrzos.

⊳oooooooooo⊲

O tajemnico życia...

O tajemnico życia dziwna i głęboka:
Pieścisz mnie żarem słońca, jak matczyną dłonią,
Tęczami barw uderzasz w przeźrocz mego oka,
W ucho szumem rzeźwiącym, w nozdrza słodką wonią...

O wielka, żywa prawdo bezkreśnego nieba,
Pojąć ciebie to znaczy ślepo w cud twój wierzyć...
Dziwna otchłani życia, którą zgłębić trzeba,
A zgłębić cię to znaczy bez pamięci przeżyć...

Józef Jedlicz.

⊳oooooooooo⊲

Teatr i muzyka.

Jakkolwiek dalecy jesteśmy od opinji naszych popieraczów teatru, którzy latem uważają za najważniejszą dla Wilna muzę o zgrabnych łydkach—przyznać trzeba, że jak wszędzie, i tu specjalizacja daje wyniki pomyślne. Teatr wyłącznie operetkowy dział ten uprawia naogół z większem powodzeniem, niż teatr mieszany.

Dotąd zaś miewaliśmy zawsze takie właśnie trupy. W roku zeszłym ambicje dyrekcji zwracały się przedewszystkiem w kierunku opery. Filarami imprezy byli artyści, szukający popisu w śpiewie tylko. Przy ich udziale operetki, które nietyle wymagają wyszkolonych głosów, ile żywej, ruchliwej gry—traktowane były często wadliwie. Brakło im farsowego tempa, które utrzymywać potrafił jeden tylko Myszkowski.

Trupa obecna aktorów tego co on rodzaju posiada znacznie więcej. Niema tu wprawdzie artystów tej miary, co nieboszczyk, ale zespół jest dość dobrze sharmonizowany. Jako siła wokalna wysunęła się na plan pierwszy (jakeśmy to już zaznaczyli) p. Rogińska. Głos to z natury piękny‘ umiejętność posługiwania się nim zupełna. Choć aktorką jest p. Rogińska słabszą, niż śpiewaczką, jednakże i pod tym względem ze swoich ról operetkowych wywiązuje się conajmniej poprawnie. Zarówno grając „Romantyczną żonę“, jak „Wesołą wdówkę“, „Rozwódkę“, czy tworząc inną tego rodzaju postać, artystka potrafi zawsze uczynić ją bardzo wdzięczną i sympatyczną.

Drugą wybitną siłą zespołu jest p. Dowmunt, komik bardzo uzdolniony. Wrażenie to, odebrane na pierwszem przedstawieniu obecnego sezonu, utrwaliły dalsze spektakle. Z pośród innych sił zdołał też wysunąć się naprzód p. Grodnicki, który szereg ról komicznych potraktował nader pomysłowo.

O wykonanych sztukach rozpisywać się rzecz zbyteczna. Wszystko to operetki znane. Wspomnieć natomiast winienem o reżyserji p. Szczawińskiego-Sawickiego. Wobec braku czasu na dostateczną liczbę prób i wobec tego, że trupa składa się z artystów, częściowo po raz pierwszy grających tu ze sobą, tworzenie możliwego zespołu jest sztuką nielada. Wielce pomocnem reżyserji było w tym wypadku sprawne funkcjonowanie chórów i orkiestry pod zręcznem kierownictwem p. Kagana.

* * *

Gdy mowa o teatrze, wspomnieć winniśmy, że pewne przesilenie czeka „Lutnię“ wileńską. Po dwuletniej pracy reżyserskiej opuszcza ją p. Antoni Kliszewski, który na stanowisku kierownika sekcji dramatycznej odznaczył się działalnością bardzo pożyteczną. Zespół amatorski uczynił przy nim znaczny postęp—tak, że wykonanie niektórych sztuk wcale nie ustępowało grze specjalistów. Na szczególne podkreślenie zasługuje dbałość p. Kliszewskiego o piękną, czystą polszczyznę miłośników.

W roku ostatnim wystawił p. Kliszewski szereg utworów wartościowych. Z okazji jubileuszu Krasińskiego dano fragment „Irydjona“, z którym trupa „Lutni“ czyniła nawet wycieczki na prowincję. Dla upamiętnienia zaś jubileuszu Kraszewskiego wystawiono „Radziwiłła Panie Kochanku“. Pozatem widzieliśmy takie dzieła, jak: „Gwałtu co się dzieje“, „Pan Geldhab“ Fredry, „Wyrok Jana Kazimierza“ Syrokomli, „Krewniaki“ Bałuckiego, „Małaszka“ Zapolskiej, „Reduta“ Kozłowskiego i inne.

Za poważne traktowanie zadania swego należy się p. Kliszewskiemu szczere uznanie ze strony kulturalnego Wilna.

* * *

W ogrodzie Bernardyńskim rozpoczął się pierwszy sezon koncertowy orkiestry symfonicznej pod kierunkiem pp. Wyleżyńskiego i Woutha. Popisy te zdobyły nadspodziewane powodzenie i mogą bardzo dodatnio wpłynąć na umuzykalnienie naszego miasta.

Inicjatorom koncertów: pp. Wyleżyńskiemu i Markowowi, pospieszył z pomocą Zarząd Miejski, przez wyznaczenie subwencji pieniężnej i zbudowanie stosownej estrady. Na razie organizacja posiada pewne wady. Zdaje się np. zbytecznem pobieranie (skromnej zresztą, 10-kopiejkowej opłaty) za wstęp do całego ogrodu w czasie koncertu. Sądzimy, że byłoby lepiej oddzielić część jego w pobliżu estrady; cały natomiast przed nią placyk zapełnić płatnemi miejscami siedzącemi, których brak obecnie stale daje się odczuwać. Wreszcie ceny miejsc siedzących na koncerty symfoniczne (nie popularne) możnaby bez szkody dla nikogo podnieść, by uniknąć deficytów, zawsze u nas możliwych i zawsze zrażających na długo wszelką dobrą inicjatywę.

rc.

⊳oooooooo⊲

ODEZWA.

Istnienie stałego teatru polskiego w Wilnie zależne jest przedewszystkiem od poparcia ze strony społeczeństwa. Nie tylko w Wilnie, lecz i w miastach o wiele większych i bogatszych, teatr, o wyższem poziomie artystycznym, ostać się nie może bez stałej zapomogi. Gdzieindziej zapomogę taką udzielają teatrowi już to rząd, już to zarządy miejskie, lub też zasobne towarzystwa teatralne, operujące znacznemi funduszami. W Wilnie zadania utrwalenia bytu stałej sceny polskiej podjęło się, istniejące od lat czterech, Wileńskie Towarzystwo popierania Polskiej Sztuki Scenicznej. Środki tego towarzystwa składają się głownie z opłat członkowskich, tymczasem ilość członków Towarzystwa jest stosunkowo nieznaczna, w roku bieżącym nie przewyższa 250 osób, a co po za tem idzie i środki Towarzystwa są zbyt szczupłe, aby sprostać swemu zadaniu. Pomimo usilnych starań ze strony zarządu Towarzystwa i osób współczujących jego celom, liczba członków Towarzystwa, stanowiąca znikomo małą cząstkę uświadomionego ogółu społeczeństwa polskiego na Litwie i Białej Rusi, wzrasta nader powoli. Tymczasem w sezonie jesiennym roku bieżącego oczekują Towarzystwo wzmożone wydatki. Teatr Polski Wileński przenosi się na stałe do własnej okazałej siedziby przy ulicy Pohulance. W nowym gmachu nie mogą być użyte stare dekoracje, zniszczone z biegiem czasu i nie przystosowane do rozmiarów wielkiej sceny; konieczne jest odnowienie i odpowiednie przerobienie starych oraz sprawienie choćby kilku nowych podstawowych dekoracji. Za lokal w nowym gmachu teatralnym Towarzystwo będzie opłacało znaczną sumę dzierżawną, przedsiębiorcy teatralnemu trzeba płacić zapomogę. Wszystkie te wydatki obciążają nader poważnie budżet Towarzystwa, a dotychczasowe wpływy roczne na zaspokojenie potrzeb powyższych wystarczyć nie mogą. Deficyt jeśli by się okazał. byłby początkiem upadku sceny polskiej w Wilnie, każdy przeto kogo obchodzą losy sztuki polskiej u nas, komu zależy na utrwaleniu bytu teatru polskiego w Wilnie, winien pośpieszyć z pomocą Towarzystwu popierania polskiej sztuki scenicznej, a to **przez najliczniejsze zapisywanie się w poczet członków Towarzystwa.**

Składka roczna dla rzeczywistych członków (zwyczajnych) Towarzystwa wynosi 26 rubli. Członkowie protektorowie (dożywotni) płacą jednorazowo niemniej 500 rb. (§§ 9 i 10 statutu Tow.). **Pieniądze z podaniem swego dokładnego adresu należy wysyłać na imię skarbnika Towarzystwa p. Stanisława Żelichowskiego (Wilno, Bank Ziemski Wileński) lub zgłaszać się osobiście tamże w godzinach biurowych.**

Skarbnik Towarzystwa, oraz redakcje pism polskich Wileńskich przyjmują również wszelkie, choćby drobne ofiary na rzecz Towarzystwa.

Potrzeba jest nagląca, bo nakłady robić wypadnie jeszcze w przeciągu letnich miesięcy roku bieżącego, a tenutę dzierżawną płacić już od jesieni, przeto i ze strony społeczeństwa polskiego oczekujemy jaknajrychlejszego poparcia. Dwa razy daje, kto prędko daje.

Zarząd Wileńskiego Towarzystwa popierania Polskiej Sztuki Scenicznej.

⊳oooooooo⊲

Litewska wystawa sztuk pięknych.

Po raz już siódmy Litewskie Tow. Sztuk Pięknych przedstawia publiczności wileńskiej swój roczny dorobek.

Przyznać trzeba, że za każdym razem umie wzbudzić zainteresowanie i prawie zupełne zadowolenie artystyczne; szczęśliwa myśl łączenia wystawy z działem przemysłu ludowego podnosi jeszcze znaczenie tych pokazów dla rozwoju sztuki litewskiej i jej zastosowania w przemyśle domowym.

Ten ostatni umiejętnie pokierowany zdaje się mieć przed sobą przyszłość, mogącą dać dodatnie rezultaty praktyczne. Dział pasów o motywach ludowych użytych w przeróżnych warjantach, o doborze barw trzymających się tradycji wiejskich, pojęć kolorystycznych, czerpanych bezpośrednio z przyrody a więc mimo częstą jaskrawość harmonijnych, jest bardzo bogaty; pasy te tkane z wełny, bawełny i jedwabiu znajdą wszelkie zastosowanie w strojach naszych pań, którym właśnie moda tegoroczna nakazuje ubieranie sukien jaskrawemi galonami tego rodzaju.

Toż samo da się powiedzieć o ozdobach z drobnych paciórek, które są istotnie śliczne i nie ustępują rozmaitością kompozycji i doborem barw sprowadzanym za drogie pieniądze zza granicy dodatkom do tualet damskich. Ładne są kapy i tkaniny na serwety.

Wielki czas okazać, że ten rodzaj przemysłu mogący dać zajęcie i dochód nieletnim pracownicom powinien się u nas rozwinąć i usunąć choć w części zagraniczne fabrykaty. To już należy do naszych pań i do ich chęci popierania tego rodzaju przedsiębiorstwa.

Po tej wycieczce w stronę handlowo-przemysłową wracam w dziedzinę sztuki. Obrazów mamy nie wiele, ale umiejętnie zebrane.

Mamy znane już z reprodukcji „Wiatr halny" i „Brzozy jesienią". Pierwszy z tych obrazów przypomina technikę pejzaży Stanisławskiego: świetnie jest w nim pochwycony ruch powietrza i chmur. Małe widoki Zakopanego i snieżyste cmentarze są subtelne w kolorycie i nastroju; część ich znalazła chętnych nabywców.

Szczerze powinszować trzeba p. Szyłejce jego studjum kobiecego: utrzymane w szarawym kolorycie, dobre w wyrazie i rysunku jest ozdobą wystawy.

P. Kałpokas dał parę dziwacznych w oświetleniu krajobrazów; jego Noc księżycowa nie ma ani poetyczności, ani tajemnicy nocy, natomiast Zima i Szary dzień są bardzo dobre.

P. Żmujdzinowicz ma za sobą poważny dorobek artystyczny i ustaloną reputację, więc obrazy jego są zawsze oglądane z zainteresowaniem. Śnieżne wzgórza w obrazie „Ku świątlej (jasnej?) przeszłości" są doskonałem studjum pejzażowem, cały zaś obraz tchnie szczerze poetycznym sentymentem. Tegoż artysty „Zamyślona", „Przy pracy" i „Świronek" zasługują na uwagę—mniej zrozumiałym jest pomysł „Dziwnego wieczoru" i symbolicznych kół gwiezdnych w koło idących postaci, przypominają one trochę iluminację lampjonami.

P. Mackiewicza widoki z Capri i Brindisi są malowane z rozmachem i poczuciem kolorytu południa.

Dobre są pocztówki i ornamenty p. Jaroszewicza—rysunki do Bajek mniej mu się udały, artysta ten ma wybitne zdolności ornamentacyjne, figur natomiast rysować nie umie.

Nie uważam, by rysunki i wycinanki dzieci, jakkolwiek same przez się zajmujące, były stosowne na wystawie rzeczy skończonych, a nie prób i eksperymentów pedagogicznych; wrażenia estetycznego nie robią.

Miron.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Aureli Drogoszewski. *Eliza Orzeszkowa* (z portretem). str. 95 Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

W osobnej odbitce zjawił się syntetyczny wstęp do wydawnictwa pism Orzeszkowej, skreślony przez Aurelego Drogoszewskiego. I stało się dobrze, gdyż w ten sposób wielu ludzi będzie mogło się zapoznać z tą gruntowną pracą. Wiele w nią włożono pijetyzmu, by wyjaśnić twórcze drogi życia Elizy Orzeszkowej. Praca ta stawia Drogoszewskiego w rzędzie najlepszych znawców twórczości Orzeszkowej.

Wstęp Drogoszewskiego może być śmiało polecony, jak wyczerpujący przyczynek do zrozumienia i zżycia się z idejami autorki „Nad Niemnem". Drogoszewski bowiem z wielką sumiennością wyłuskał wszystkie idejowe ziarna, wyszukał wpływy i źródła, w środowisku których żyła i działała Orzeszkowa. W ten sposób „wstęp" jest doskonałym przewodnikiem po bogatych obszarach uczuciowych formacji duszy naszej wielkiej powieściopisarki.

Jobsiada. *Epos komiczne doktora Karola Arnolda Kortuma.* Przekład Marji Konopnickiej. Str. 152. Warszawa 1913. Snmptem Gebethnera i Wolffa.

W papierach pozostałych po ś. p. Marji Konopnickiej znaleziono przekład eposu Kortuma. Manuskrypt nie był w zupełności przygotowany do druku, pozostały w nim drobne luki, które z całym pijetyzmem uzupełnił Artur Oppman. Wydawcom należy się uznanie za wydanie tego przekładu. Swietny jest i doskonale zachował charakterystyczne cechy oryginału.

Autor tego eposu był lekarzem w Bochum. Pisał wiele w dziedzinie swojej specjalności. Humorystyczno-satyryczny zaś poemat „Die Jobsiade oder Leben, Meinungen und Thoten von Hieronymus Jobs den Candidaten" wsławił szeroko jego imię w Niemczech. Po raz pierwszy poemat ten wydrukowany został w Münsterze, w roku 1784.

Satyrycznem zacięciem przypomina obyczajowe malowidła Dickensa, choć jest o wiele słabszy. Pogodny ton Jobsiady sięga jednak głęboko w pokłady zła społecznego. Wyśmiewa niemieckie cnoty i porubstwa, roztacza studencki przepych akademickiej nauki kandydata Świętej Teologji, co to przez lat trzy zdążył raz być na wykładzie, ale za to pił i jadł, burszował, aż się trzęsło w maleńkiej mieścinie.

Zaczął, jako academicus teologiae, prawił nawet kazanie z ambony, był pisarczyną, nauczycielem, aktorem, utrzymankiem i skończył swój żywot poczciwy na stróżowstwie nocnem w rodzinnej mieścinie.

Wiecznie był zdrów, miał dobry apetyt i jeszcze lepszy humor. Przygody nie wyprowadzają go z równowagi. Zawsze z najcięższej opresji umie się wydostać na wierzch. Konopnicka strofy jego wynurzeń przełożyła wybornie. Archaizowany druk doskonale odpowiada duchowi poematu. Poemat ten napewno spotka się z dużem zainteresowaniem, bo przecież przełożyła go Konopnicka, a napisał Kortum!

Eustachy Czekalski.

Teresa Lubińska. *Jarzmo miłosne.* Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolfa. Warszawa 1913 r.

Coraz częściej psychologiczno-społeczne zagadnienia, na tle posłannictwa kobiety jako żony i matki, oraz szerszych jej aspiracji i wzlotów w niedostępną dla niej doniedawna dziedzinę intelektu, stają się osnową spółczesnych powieści pióra kobiecego. Temat ów, z siłą i tendencyjną jaskrawością omawiała p. Lubińska w swojej poprzedniej powieści „Nie wiedziała"—dalszy przyczynek do poruszonej kwestji podaje dziś w swem „Jarzmie miłosnem".

W utworze tym uwypukla autorka liczną rzeszę kobiet „dzisiejszych", w których duszy drzemie jeszcze nie przebudzony, a zaś jeśli już kiełkujący, to nieświadomie, odruchowy protest przeciw ustanowionemu „jarzmu". Protest ów jednak wewnętrzny, niby głos sponiewieranej jaźni człowieczej, słabszym jest od wiekowego nawyku a przedewszystkiem słabszy od instynktu...

Z sylwetek nakreślonych, jedne, atawistyczne erotomanki, żyją przeważnie w pospolitej zmysłowej wegietacji zoologicznej i tracą równowagę wewnętrzną oraz cel istnienia, z chwilą wytrącenia ich z owego błogiego letargu, ponad który wznieść się wyżej nie zdołały—inne, niezaspokojone w tęsknocie miłosnej, z wiecznem wyczekiwaniem w oczach a pustką bezdenną w duszy, błąkają się

po świecie jako nieuzupełnione, połowiczne istoty, pozbawione treści żywota, bo nauczone jedynie *kochać*, a nie *myśleć i działać*.

Więc milutka i wdzięczna, świeża jak poranek wiosenny ale jak „gąska“ głupiutka pani Anusia, topi się rezolutnie w stawie w przystępie naiwnej rozpaczy, odkrywszy dość prozaiczną idyllę ukochanego Tadka. Odkrycie to miażdży nieuodpornione na zawody życiowe serduszko biednej kobietki, rozmiłowanej w mężu bez pamięci—topi się, spłakana i drżąca, wzywając miłosierdzia Bożego nad swą zbolałą duszyczką!... Natomiast piękna i cudna pani Helena, otoczona hołdami i uwielbieniem ogólnem a mimo to nieszczęśliwa, poświęca się ideałom wszechludzkim wtedy, gdy po strasznym wypadku *szpecącym ją na zawsze*, poznaje ułudę powabów życia...

Była znów przełożona jakiejś auti-dyluwialnej pensyjki na prowincji, w której przez lat dwadzieścia wychowywała dziewczątka spowijajac je, niby mumijki, w obsłony formułek i przeżytków, w pogoni za marą młodości i szczęścia niedocenionego niegdyś, natrafia, zbiegiem okoliczności na grupę rozumnych społecznie i w ich gronie, mimo siwizny na skroniach, uczy się istotnego celu życia nie na szablonie tylko opartego. Wreszcie, z nudy i rozpaczy, bo nie ukochała nic w życiu, umiera egzotyczna żydówka, Farrug, córka Rabbi z Płocka i berberyjskiej tancerki — gaśnie wycieńczona męką wewnętrzną mimo bogactw otaczających ją, które szczęście przynieść jej nie zdołały, tęskni bowiem tęsknotą bezbrzeżną, za dzieckiem, nie zaznawszy rozkoszy macierzyństwa...

Żadna więc z tej galerji typów kobiecych szczęścia prawdziwego nie zaznała, każda łaknęła bezwiednie czegoś wyższego, każda połowicznie żyła, bo brakło jej treści istotnej życia — ideału, którego ukochanie dałoby znieść mężniej nieodłączne od ziemskiego bytowania gorycze i rozczarowania.

Czytelnik dośpiewa sobie ideję przewodnią „Jarzma miłosnego“ i zawartych w niem sprzeczności, wyglądających częstokroć na paradoks, nie pozbawionych jednak trafności w odtwarzaniu i odczuciu pojedyńczych stanów psychicznych, na podłożu niedokształconych i niedorozwiniętych mózgów i serc kobiecych...

E. Wielowieyska.

⊳oooooooo⊲

PRASA POLSKA.

— W odpowiedzi na naszą ironiczną uwagę o aprobacie przez „Dziennik Petersburski“ ultra konserwatywnego i ugodowego „programu dla kresów“, podanego przez „Kurjer Litewski“ i „Słowo“, „organ kolonji polskich w Cesarstwie Rosyjskiem“ zamieścił artykulik p. t. „Ironja nie na miejscu“.

„Ironja co do konsolidacji żywiołów konserwatywnych z demokratycznemi wcale nie przeraża nas. Właśnie o tę konsolidację na Litwie nam chodzi.

Niechaj redakcja „Przeglądu Wileńskiego“ rzuci okiem na historję ostatnich lat w Galicji, a przekona się, że nietylko taka konsolidacja jest możliwa, ale, co więcej, skutki jej nie są ze szkodą dla demokracji.

Przeciw takiemu sojuszowi występują rozumie się „wszechpolacy“, ale dotychczas, zdaje się, ich hasłom „Przegląd Wileński“ nie hołdował. O to, aby przykład Galicji znalazł naśladowców na Litwie, w istocie nam chodziło i każdy głębiej myślący demokrata przyzna, że to jedyny punkt wyjścia dla polaków na Litwie“.

Widocznie na Litwie niema „głębiej myślących“ demokratów, bo tu nikomu do głowy jeszcze nie przyszła taka kombinacja. Przeciwnie demokracja polska na Litwie uważa za największego, chociaż często nieświadomego wroga polskości, miejscowy żywioł konserwatywno-ziemiański, który wszystkiemi siłami opiera się emancypacji mas ludowych. Przykład Galicji również nie jest zachęcający. Sojusz ludowców i demokratów ze stańczykami wytwarza atmosferę niezdrową, w której się krzewi bujnie karjerowiczostwo i lekceważenie zasad. Zresztą blok galicyjski jest manewrem taktycznym, mającym cel konkretny, doraźny; w życiu parlamentarnem nieraz skrajna prawica i lewica zawierają przymierze, by obalić środek.

Sojusz konserwatystów z demokratami na Litwie miałby znaczenie idejowe i w tym charakterze jest nie do pomyślenia.

— „Kurjer Litewski“ doszukuje się analogji między rozłamem śród postępowców warszawskich i wileńskich.

„Na bruku wileńskim mamy też obydwa odłamy, jakkolwiek nieco różniące się od wzorów warszawskich.

Nie mamy przedewszystkiem żydów, którzyby, czując się żydami w głębi duszy, pisali jednak po polsku i jako polacy przemawiali.

Zauważyć się u nas daje natomiast inny, zupełnie już swoisty objaw. Mamy garstkę ludzi, którzy w miarę potrzeby przyznają się do tej lub owej narodowości i oto po kolei występować mogą jako przedstawiciele trzech społeczeństw, rachując się w swych wystąpieniach publicznych ze społeczeństwem czwartem, które stanowi nieraz główny zrąb ich czytelników.

Istnienie dwóch tych odłamów na naszym gruncie zaznaczyło się wybitnie w różnicy sądów, jakie wywołały niedawne zajścia w kościele św. Jana“...

Otóż przedewszystkiem doszukiwanie się analogji między stosunkami, panującemi w obozie demokratycznym wileńskim, a rozłamem śród postępowców warszawskich, nie odpowiada rzeczywistości, ponieważ idejologja demokratów wileńskich jest wytworem samodzielnym, niezależnym od wpływów pedecji warszawskiej. Rozłam śród postępowców warszawskich nie wpłynął w najmniejszym stopniu na ustosunkowanie sił demokratycznych w Wilnie.

Jeżeli istotnie „Kurjer Krajowy“ nie zawsze może być uważany za wyraziciela dążeń i przekonań demokracji polskiej na Litwie i Białejrusi, to dlatego, że ulega często wpływom postronnym i pojmuje zasadę „krajowości“ zbyt ciasno, po doktrynersku.

Pozatem „Kurjer Krajowy“ nie reprezentuje wyraźnego kierunku polityczno-społecznego i nie może być żadną miarą przeciwstawiany „Przeglądowi Wileńskiemu“.

⊳oooooooooo⊲

PRZED WYBORAMI W GALICJI.

Były minister kolei żelaznych w ostatnim gabinecie austrjackim Bienertha, p. Stanisław Głąbiński, jest, jak wiadomo, przywódcą partji narodowo demokratycznej w Galicji. Historja partji narodowo-demokratycznej w Galicji datuje się od roku 1895, w którym L. J. Popławski, po przy-

musowym wyjeździe z Warszawy, zaczął wydawać „Przegląd Wszechpolski“ we Lwowie. Dopóki jednak żył i działał Tadeusz Romanowicz, który przeprowadził koncentrację stronnictw demokratycznych dla złamania wszechwładzy obozu zachowawczego, nie mogło być mowy o czynnem wystąpieniu małej grupy osób, stojących dokoła Popławskiego, a opartych tylko o wpływy na emigracji i o organizacje oświatowe w Królestwie Polskiem. Dopiero od r. 1902, w którym grupa ta objęła w dzierżawę stworzone przez Stanisława Szczepanowskiego „Słowo Polskie“, zaczyna się w Galicji praktyczna polityczna działalność endecji. Jako mąż zaufania tej grupy w wiedeńskiem Kole Polskiem zaznaczył się już wówczas profesor lwowskiego uniwersytetu p. Głąbiński, o którym mówiono wówczas w Wiedniu, że czeka go świetna przyszłość na drabinie austrjackich dygnitarstw.

Popularność swoją gruntowała galicyjska narodowa demokracja we Wschodniej Galicji nieprzejednanemi hasłami w kwestji ruskiej. Zjednała tem sobie część mieszczaństwa lwowskiego i szlachtę podolską, która w rozwoju rusinów widziała przedewszystkiem społeczne niebezpieczeństwo dla swego stanu posiadania. Przy wyborach 1907 roku stronnictwa demokratyczne uzyskały przewagę: aureola narodowej demokracji po zapanowaniu nad umysłami w Królestwie Polskiem była tak wielka, że prezesurę w nowem Kole Polskiem posłowie demokratyczni powierzyli p. Głąbińskiemu. Nowy prezes nie odstąpił jednak w niczem od linji, po której politykę Koła prowadzili przywódcy konserwatywni: była to po dawnemu polityka rządowo-ministerjalna, która zakończyła się powołaniem p. Głąbińskiego na stanowisko ministra kolei żelaznych.

Warunki śród których nastąpiła ta nominacja są dość ciekawe. Kiedy z początkiem 1908 r. w kilka miesięcy po utworzeniu Potrójnego Porozumienia Aehrenthal wbrew umowie z Rosją co do wspólnego postępowania w sprawach bałkańskich uzyskał od Turcji zezwolenie na budowę kolei żelaznej przez Sandżak Nowobazarski i kiedy fakt ten naruszał całe status quo w kwestji wschodniej, p. Głąbiński w delegacjach wspólnych wystąpił z silnem poparciem tego projektu kolejowego, mimo, iż najwidoczniej pozostawał on w związku przedewszystkiem z polityką niemiecką wytworzenia drogi handlowej na Bagdad. Rząd rosyjski odpowiedział na projekt kolei sandżackiej poparciem żądań Serbji co do budowy kolei adrjatyckiej. Doprowadziło to w konsekwencjach do zrzeczenia się przez Austro-Węgry sandżaku w zamian za formalną aneksję Bośni i Hercegowiny. Głąbiński poparł aneksję imieniem polaków, wyświadczając tem polityce dworskiej pierwszorzędnej wagi przysługę; niebawem Galicja ciężko miała za to zapłacić. W kwietniu 1910 minister skarbu Biliński, wystąpił z projektem pożyczki 182 miljonów koron dla pokrycia zasobów wyczerpanych przez przesilenie aneksyjne i zawiadomił, że ponieważ ogólne wydatki militarne doszły do sumy 271 miljonów, trzeba będzie zaprowadzić rozległe oszczędności budżetowe. Wkrótce potem władze wojskowe zażądały nowych kredytów dochodzących do 400 miljonów koron, a Biliński oświadczył, że rząd nie jest w stanie przystąpić do budowy kanałów uchwalonej jeszcze w 1901 r. Skorzystał z tego p. Głąbiński, aby obalić dawnego swego protektora Bilińskiego; skarb objął p. Zaleski, koleje dostały się p. Głąbińskiemu. Ministerjalność p. Głąbińskiego była krótkotrwała i smutna. W kilka miesięcy potem parlament został rozwiązany; Leon Biliński pomścił się srodze na swoim dawnym uczniu, przeprowadzając wspólnie z namiestnikiem Bobrzyńskim porozumienie pomiędzy konserwatystami a ludowcami. Wybory w 1911 roku były straszliwą klęską dla narodowej demokracji; Biliński wrócił do Wiednia tryumfalnie jako prezes Koła, a wkrótce potem objął wygodny urząd wspólnego ministra skarbu i wielkorządcy Bośni.

Łatwo zrozumieć co się przez te dwa lata działo w duszy i sercu p. Głąbińskiego na ruinie wszystkich świetnych marzeń i wobec widoku zbierania plonów z jego zasług wobec państwa przez jego śmiertelnego wroga. Stosunki w kraju układały się dla haseł narodowo-demokratycznych także w wysokim stopniu niepomyślnie. Zaciętą walkę z ukraińcami namiestnik Potocki, który szedł po linji polityki Głąbińskiego, przypłacił życiem w r. 1908. Bobrzyński wytężył siły, aby doprowadzić do porozumienia narodowego: sprawa uniwersytetu ukraińskiego i nowej reformy wyborczej bardzo niepomyślnej dla widoków narodowej demokracji zbliżała się do rozwiązania.

Pchnięciem tem był list pasterski episkopatu. któremu politycy podolscy i narodowo-demokratyczni przedstawili straszne skutki „dla religji“ w razie, gdyby „radykalizm“ opanował sejm galicyjski. Bobrzyński runął. Galicja staje wobec nowych wyborów, przy których narodowa demokracja wytęży rozpaczliwie siły, aby powetować i pomścić klęskę 1911 roku. Leon Biliński interesuje się już więcej tem, co się dzieje w Serajewie, niż we Lwowie, Bobrzyński jest powalony i zużyty, konserwatyści krakowscy są skrępowani naganą i groźbą biskupią, wszystkie dewotki w całym kraju gotowe są pracować dla zbawienia wiecznego przez agitowanie za narodowymi demokratami. Jeżeli teraz narodowa demokracja nie zwycięży—nie zwycięży już nigdy—trafną tą uwagą kończy swe wywody „Kurjer Poranny“.

Złośliwa insynuacja.

Dwa „demokratyczne“ dzienniki wileńskie: „Siew. Zap. Gołos“ i „Wieczerniaja Gazieta“ ostro się z sobą pokłóciły. W toku polemiki „Siew.-Zap. Gołos“ zaznaczył, że redaktorem „Wieczerniej Gaziety“ jest polak, na co „Wiecz. Gaz.“ oświadczyła, że jest to złośliwa insynuacja. „Siew.-Zap. Gołos“ zamieścił wówczas sprostowanie, że redaktorem jest „białorusin-katolik, w kołach polskich uchodzący zą polaka“.

Musimy kategorycznie zaprzeczyć przeciwko podobnemu posądzeniu. W żadnym razie kierownik gazety, które w tytule swego pisma drukuje „*Wilna*“, za polaka poczytywany być nie może, chociażby nawet z tych lub owych względów, w tym lub owym wypadku, za takiego siebie podawał.

Dla uniknięcia nieporozumień na przyszłość warto zanotować i zapamiętać dobrze powyższe oświadczenie redakcji „Wieczerniej Gaziety“.

KRONIKA.

= O język polski.

Jak się „Kur. Lit.“ dowiaduje, kilka mińskich firm handlowych, którym nie pozwolono wywiesić szyldów polskich, podaje skargę do senatu przeciw: 1) przywłaszczenia sobie przez władze policyjne prawa prewencyjnej cenzury szyldów zwyczajnych, które na zasadzie § 39 kod. kar. oraz wyroku senatu za № 16 z r. 1878, mogą być zawieszane bez uprzedniego pozwolenia, oraz 2) wzbranianiu używania języka polskiego, pomimo że wszelkie ograniczenia pod tym względem zostały uchylone prawem z d. 1 maja 1905 r.

Słynne „podpiski“, które policja w zimie ściągała od właścicieli restauracji i cukierni, że usuną zawsząd język polski, przestały widocznie straszyć tzchże właścicieli. Oprócz cukierni p. f. „F. Węgrzecki“, polskie jadłopisy i inne napisy ukazały się obecnie w cukierni „Eugene“. Szyldów polskich żadna z tych cukierni nie usunęła.

= Projekt bisk. Eulogjusza.

Ep. Eulogjusz oraz chełmskie bractwo prawosławne zwraca się z wnioskiem do specjalnie utworzonej w Petersburgu komisji chełmskiej, aby w Chełmszczyźnie zastosowano, uchwaloną obecnie, ustawę samorządową miejską dla Królestwa Polskiego, z tą różnicą, iżby cenzus mieszkaniowy wyborczy. w stosunku do rosjan, został obniżony. tak, aby każdy urzędnik rosjanin korzystał z prawa wyborczego. Episkop domaga się również, aby w celu wytworzenia rosyjskich wyborców założono dla Chełmszczyzny specjalny bank, udzielający pożyczek rosjanom na kupno w miastach nieruchomości. Jednocześnie wnioskodawcy żądają aby w nowym etacie dla gub. Chełmskiej podwyższono pensje administracji powiatowej i gminnej.

= Nad Świsłoczą.

Wyszła z druku jednodniówka „Nad Świsłoczą“ pod kierunkiem p. W. Dworzaczka, poświęcona sprawom Mińska i Mińszczyzny. Cena 15 kop.

= Opozycyjna formuła.

Formuła październikowców uchwalona w Dumie państwowej większością 164 głosów przeciwko 117 i przy 24 wstrzymujących się (skrajna lewica i 5 „październikowców“ z p. Tancowem), brzmi dosłownie następująco:

„Zważywszy iż

1) Min. spraw wewnętrznych utrzymując i po uspokojeniu kraju stany wyjątkowe, wywołuje u ludności głębokie niezadowolenie i zrozumiałe oburzenie z powodu niczem nieusprawiedliwionych ograniczeń;

2) że konieczna dla wszelkiego państwa władza wykonawcza może byc silną, tylko opierając się na prawie i że podtrzymując swemi nielegalnemi czynami panowanie samowoli i uporczywie uchylając się od wniesienia na rozpatrzenie izb prawodawczych oddawna dojrzałych reform, wskazanych w manifeście Najwyższym z d. 17 pazdziernika 1905 r. i w szeregu innych Ukazów Najwyższych, ministerjum przeszkadza wprowadzeniu w Rosji porządku legalnego i tłumi w ludzie szacunek dla prawa i władzy — i w ten sposób sieje w kraju zamęt, grożący bezpieczeństwu państwa;

3) że wstrzymując reformę samorządu miejscowego, uznawaną przez sam rząd za nieodzowną, stoi na przeszkodzie rozwojowi kulturalnemu ludności i podniesieniu jej dobrobytu ekonomicznego, i

4) dzięki swej zaślepionej polityce w stosunku do kresów i poszczególnych narodowości, zaludniających Rosję, władza administracyjna rozżarza uczucia waśni narodowościowej, dzieli obywateli państwa i osłabia potęgę Rosji

— Duma, wskazując na taką nadzwyczaj szkodliwą dla państwa działalność ministerjum spraw wewnętrznych, nalega na jaknajszybsze urzeczywistnienie szerokich reform i przechodzi do porządku dziennego“.

= Gubernja łódzka.

Ostatecznie ministerjum spraw wewnętrznych po długim namyśle. co zrobić z Łodzią, przyszło do wniosku, że najlepiej będzie utworzyć z niej miasto guberjalne, nie „gradonaczalstwo“ jak pierwotnie zamierzano.

Według ostatniej decyzji ministerjum, gubernja łódzka ma się składać z powiatów łódzkiego i łaskiego oraz z obecnej gubernji kaliskiej, z wyjątkiem pow. wieluńskiego.

Tym sposobem Kalisz przestałby być miastem gubernjalnem, a pow. wieluński włączonyby został do gubernji piotrkowskiej.

Projekt ministerjum wniesiony ma być do Dumy podczas sesji jesiennej.

= Nowy sejm pruski.

We wtorek odbyły się wybory do sejmu pruskiego.

Wybory nie przyniosły prawie żadnych niespodzianek, rezultaty były z góry wiadome na podstawie wyborów pierwszego stopnia.

Polityczny wygląd sejmu uległ bardzo niewielkim zmianom, ale w każdym razie jest to posunięcie na lewo. Polacy utracili dwa mandaty, oba śląskie, wskutek zerwania z niemieckiem stronnictwem centrum.

Oto jaki będzie skład nowej izby:

Konserwatystów	148	mniej o 7
Wolnokonserwatystów	53	„ 7
Narodowych liberałów	73	więcej o 8
Postępowców	34	„ 2
Centrum	103	bez zmiany
Socjalistów	10	więcej o 4
Polaków	12	mniej o 2
Duńczyków	2	bez zmiany
Antysemitów	2	więcej o 2
Ściślejsze wybory	1	
Razem posłów	443	

Najokazalszem zwycięstwem mogą się poszczycić narodowi liberali, ale najważniejszem idejowo jest powodzenie socjalistów, którzy dopiero przed 5 laty po raz pierwszy zdobyli mandat do sejmu pruskiego.

Niemniej przetó blok konserwatywno-centrowy zachowuje ciągle jeszcze olbrzymią większość, licząc 304 głosy.

= Przykra przygoda p. Milukowa.

W Baku wygłosił odczyt o kwestji bałkańskiej przywódca kadetów, poseł Milukow. Na odczycie była urządzona przez mahometan miejscowych demonstracja przeciwko p. Milukowowi, który, jak wiadomo, w artykułach swych bronił interesów słowian. Prelegienta przyjęto bardzo nieżyczliwie. Przedstawiciele inteligiencji mahometańskiej przybyli umyślnie na salę, gdy zaś ukazał się p. Milukow, przywitali go gwizdaniem i demonstracyjnie opuścili salę. Odczyt odbył się pod ochroną znacznego oddziału policji.

Książki nadesłane do redakcji.

D-r Marjan Stępowski. *Pożegnanie księcia Józefa z Krakowem* (8 maja 1813). Szkic historyczny. Nakładem Tow. Szkoły ludowej. Kraków, 1913.

Stanisław Kardaszewicz. *Dzieje dawniejsze miasta Ostroga.* Materjały do historji Wołynia. Z przedmową Aleksandra Jabłonowskiego oraz życiorysem autora przez Henryka Mościckiego. Składy główne: Warszawa—Gebethner i Wolf. Kraków—G. Gebethner i S-ka. 1913.

Bolesław Zygmunt Gnoiński. *Przygody polskiego ułana.* Opowiadanie z roku 1813. Warszawa. Nakładem Warszawskiej Spółki wydawniczej. 1913.

Sprawozdanie Rady stowarzyszenia „Dom Polski w Odesie“ z roku 1912. Odesa, 1913.

Treść numeru.

Pro i contra—L. A.
Rozkład skorupy — Wi—ski.
Wrażenia poznańskie. — B. H.
Władysław Mickiewicz. — St. Posner.
Prusactwo duchowe. — Savitri.
Wojna domowa. — D-r K. Wrzos.
O tajemnico życia... — J. Jedlicz.
Teatr i muzyka. — rc.
Odezwa.
Litewska wystawa sztuk pięknych. — Miron.
Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski i E. Wielowieyska.
Prasa polska.
Przed wyborami w Galicji.
Kronika.
Odcinek: Romans Wacława Błockiego — M. Pawlikowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

ok II. Wilno, 8 (21) Czerwca 1913 r. № 22—23.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie . . . 7.00
Półrocznie . . . 3.50
Kwartalnie . . . 1.75
Miesięcznie . . . 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie . . . 8.—
Półrocznie . . . 4.00
Kwartalnie . . . 2.00
Miesięcznie . . . 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ;
Przed tekstem za wiersz petitu . . . 50 k.
W tekście (nadesłane) . . . 1 rb.
Po tekście . . . 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Wpływy postronne.

Byliśmy zawsze i jesteśmy niezmiennie gorącymi zwolennikami wspólnej i solidarnej akcji wszystkich żywiołów demokratycznych w naszym kraju. Trwały sojusz pomiędzy demokracją polską, litewską i białoruską, oparty na głębokiem zrozumieniu wspólnych celów i interesów był zawsze i pozostał naszym ideałem.

Nie sprzeniewierzyliśmy się ani na moment zasadom podstawowym, zawartym w pierwszych artykułach programowych „Przeglądu Wileńskiego“. Jeżeli rzeczywistość zawiodła nasze oczekiwania — nie my zawiniliśmy. Szczere i otwarte nasze stanowisko w kwestjach narodowościowych nie trafiło do przekonania demokratycznych działaczów litewskich i białoruskich, którzy od samego początku zarzucali nam ukryty nacjonalizm.

Sądziliśmy na razie, że konsekwentna i stała praca publicystyczna w kierunku obranym przez nas rozwieje uprzedzenia i doprowadzi w końcu do gruntownego porozumienia.

Omyliliśmy się, niestety.

Po dwóch niemal latach istnienia „Przeglądu Wil.“ doszliśmy do przeświadczenia, że niechęć mniej lub więcej wyraźna działających na gruncie wileńskim litwinów i białorusinów nie płynie bynajmniej z nieufności i niezrozumienia naszych dążeń, lecz że przyczyny jej tkwią głębiej, mianowicie w obawie wzrostu i wzmocnienia demokracji polskiej na Litwie i Białejrusi.

Da ist der Hund begraben!

Myśmy sądzili, że demokratyzacja społeczeństwa polskiego zostanie powitana radośnie przez pokrewne nam duchem obozy litewski i białoruski, jako etap pożądany na drodze ku wspólnemu porozumieniu i wyzwoleniu. Rzeczywistość zaś przekonała nas, że jest wprost przeciwnie, że robota demokratyczna, jako wzmacniająca siły polskie, nie jest na rękę litwinom i białorusinom, że woleliby oni raczej, by społeczeństwo polskie trwało w zacofaniu, na swych konserwatywnych placówkach, skazując siebie przez to na powolne wymarcie i zagładę.

Wszystkie nasze usiłowania do nawiązania bliższych stosunków z grupami demokratycznemi litewską i białoruską spełzły na niczem, napotykając stale na zupełną obojętność, jeżeli nie otwartą niechęć.

Dawano nam do zrozumienia, że nie jesteśmy istotnymi demokratami, bo prawdziwy demokratyzm wymaga jakoby wyrzeczenia się wszelkiej samodzielności ze strony polskiej i ułatwiania jedynie pracy działaczom litewskim i białoruskim.

Utrwaleniu tego dziwacznego poglądu w umysłach ludzi skądinąd rozsądnych i nie dotkniętych obłędem szowinistycznym sprzyjało w wysokim stopniu istnienie śród społeczeństwa polskiego grupki ludzi, o doktrynerskim sposobie myślenia a bardzo słabo ugruntowanem poczuciu narodowem, głęboko przekonanych, że najgłówniejszem zadaniem polaków na Litwie i Białejrusi jest praca nad uświadamianiem ludu litewskiego i białoruskiego, nie wierzących w rozwój sił polskich w kraju, wystrzegających się jak ognia wszelkiego posądzenia o nacjonalizm, chociażby zarzut taki był najzupełniej bezpodstawny.

Ci ludzie swem postępowaniem upoważniają demokrację litewską i białoruską do twierdzenia, że oni są wyłącznymi przedstawicielami demokracji polskiej, że wszyscy inaczej myślący są „endekami“, nacjonalistami, sojusznikami reakcji.

Na tem tle powstała specyficzna doktryna „krajowa“, stosująca dwie miary do ruchów litewskiego i białoruskiego z jednej strony i do polskiego z drugiej.

Co jest objawem demokratycznym dla jednej, to dla drugiej uważa się za tendencje zaborcze, co jest pożądanem dla ludu litewskiego i białoruskiego, to zasługującem na potępienie u polskiego.

Oczywiście, z wyznawcami tej doktryny działa-

cze litewscy i białoruscy bardzo chętnie utrzymują bliskie stosunki, uważając ich słusznie za materjał miękki i podatny do asymilacji duchowej.

To właśnie mieliśmy na widoku zarzucając „Kurjerowi Krajowemu" „wpływy postronne", czem się redakcja jego uczuła dotknięta i zażądała od nas dowodów.

Przebieg pertraktacji, poprzedzających powstanie „Kurjera Krajowego" i główny powód, o który układy się rozbiły—dostatecznie uzasadniają nasz zarzut. Dotychczas na czele tego pisma stoją ludzie, obracający się przeważnie w środowiskach litewskiem i białoruskiem, co, rzecz prosta, nie może pozostać bez wpływu na ich psychikę.

Powtarzamy, że bynajmniej nie potępiamy ścisłego kontaktu z demokratami litewskimi i białoruskimi. Dążyliśmy i dążymy doń sami. Uważamy jednak, że zbliżenie wówczas tylko będzie owocne, gdy będą brały w niem udział obie strony na równych prawach.

Patryjoci litewscy i białoruscy muszą uznać również prawo demokracji polskiej do samodzielnego rozwoju i własnej pracy narodowej. Rzecz charakterystyczna jednak, że unikają oni starannie wszelkiego spółdziałania z polakami o wyraźnem obliczu narodowem, wyróżniając natomiast jednostki bezbarwne, chwiejne lub obojętne względem spraw narodowych polskich.

Trudno się temu dziwić. Z demokracją polską świadomą swych celów i dążeń, nie rezygnującą ze swych placówek, muszą się młode ruchy litewski i białoruski liczyć jako z siłą spółrzędną, demokracji polskiej przesiąkniętej idejologją „Kurjera Krajowego" nie potrzebują brać pod uwagę, wiedząc z góry, że pójdzie posłusznie. gdzieś tam w ogonie...

Wobec tego dziwnem jest pytanie, wystosowane pod naszym adresem przez „Kurjer Krajowy": czyim interesom służymy, na czyj młyn wodę lejemy?

Nigdy nie ukrywaliśmy, że służymy interesom demokracji polskiej, w której wzmocnieniu widzimy gwarancję normalnego rozwoju kraju. Gdy z nikłego strumyka polski ruch demokratyczny zamieni się w wartki potok, młyn krajowy będzie działał sprawniej i energiczniej, bo woda doń będzie dopływała trzema łożyskami. A nie uśmiecha się nam wcale perspektywa, by strumyk ten wsiąkał w grunt, zasilając jeno inne źródła...

Powyższe wyjaśnienie powinno wystarczyć chyba dla zrozumienia różnic, zachodzących między „Przeglądem Wileńskim" a „Kurjerem Krajowym". Myśmy wytrwali na stanowisku, zajętem od początku i o żadnym zwrocie z dotychczasowego kierunku mowy być nie może. Ten fakt, że „Kurjer Litewski" w ostatnich czasach parokrotnie wystąpił z pewnem uznaniem dla „Przeglądu Wileńskiego" nie dowodzi bynajmniej zmiany naszych poglądów, świadczy tylko o zmianie taktyki organu konserwatystów polskich.

Przypomnijmy tu, co pisał p. J. Hł. w „Kurjerze Lit." z powodu artykułu wstępnego p. t. „Być, czy nie być", zamieszczonego w Nr. 1 „Przeglądu Wileńskiego".

„Cały artykuł p. L. Abramowicza jest właściwie wzywaniem postępowej inteligiencji do pracy dla kultury polskiej, pracy, oczywiście, zabarwionej postępowo. Życzymy powodzenia w tym względzie, choćbyśmy nawet zmuszeni byli niekiedy potępić i zwalczać to zabarwienie, jako w oczach naszych szkodliwe".

Niekonsekwencja więc „Kurjera Lit." polega na tem, że zapomniał o swych słowach, wyrzeczonych przed półtora rokiem i stwierdza dziś nasze intencje polskie, jako nowe zjawisko, wówczas gdy nigdy nie powinien był żywić co do tego wątpliwości.

Nie mamy żadnego wpływu na „Kurjer Litewski" i nie możemy wobec tego ponosić odpowiedzialności za to lub owo jego zachowanie się. Idziemy od początku swoją drogą, nie szukając aprobaty ani naszych nacjonalistów ani też obawiając się nagany doktrynerów *sui generis* „krajowości". Zajmując w dziedzinie zagadnień narodowościowych stanowisko poniekąd pośrednie i umiarkowane mamy punkty styczne jak z jednymi, tak i z drugimi. Nie mamy więc czego się wstydzić, gdy jedna lub druga strona przyzna nam rację *). Pomawianie jednak na

*) Zdarzyło się nie tak dawno, że ten sam artykuł „Przeglądu Wil." („Sapienti sat" z № 10—11) przedrukowany został jednocześnie przez „Kurjer Krajowy" i „Kurjer Litewski".

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Rasa.

(Studjum folklorystyczne)

Miała prześliczne, szafirowe oczy,
w których się paliły czasem złote centki;
miała uśmiech przedziwnie miękki i uroczy,
biust stromy, dumny, pieściwy i giętki;
miała przepych złociście omdlałych warkoczy,
krok swawolnie taneczny, stanowczy i prędki.
Była bardzo przyjemna!
— Tak?
— Ogromnie miła:
płynęła, gdy tańczyła; biegła, gdy chodziła.
Nosiła pajęczyny jedwabne i szkliste
śliskie —
niskie —
pantofelki o wyrafinowanym rysunku;
nogi miała w pomyśle tak bajecznie czyste,
że hrabia Żorż, wczytany w jej kolanek Wedy
znajdował podobieństwo z słynną Irisch Lady...
Była bajeczna.

Baronowa Tillhausen—siedząc kiedyś w kjosku
(wiecie chyba, co znaczy Tillhausen-Suleja!?)
mówiła o niej malarzom po włosku
że „jest w tej małej Tycjan tuż obok Beardsley'a".
(Baronowa Tillhausen, z domu Goldfederka,
ma smak i wie, co znaczy miłosna szermierka).
Panowie z klubu zresztą dodawali serjo,
że ma rasę; (choć dziwne, skąd jest w
[mieszczce rasa?)
mówili też, że kochać musi z meskinerją,
a nienawidzieć — cudnie. Kto wie? Taka trasa
w panience z miasta...
— Chyba to faux-pas jej mamy?
— Mama? Possible... nie znamy.

tej podstawie nas o flirt z reakcją jest również logicznem, jak, dajmy na to, posądzanie „Kurjera Krajowego“ o tendencje rusyfikacyjne, ponieważ „Wieczerniaja Gazieta“ cytuje go nieraz z uznaniem.

My żadnym wpływom postronnym nie uległiśmy—to pewna. Byliśmy i jesteśmy sobą.

ᐅooooooooooᐊ

Rosjanie—a sprawa polsko-żydowska.

Liberalne „Russkoje Słowo“ wyraziło niedawno zdanie, iż zatarg polsko-żydowski w Królestwie jest sprawą wewnętrzną tego kraju i rosjanie mieszać się do niej nie powinni.

Pamiętając niefortunne i wprost nietaktowne napomnienia, z jakiemi dotąd zwracali się humaniści rosyjscy do społeczeństwa polskiego—oświadczenie powyższe uczynić może w pierwszej chwili wrażenie sympatyczne. Wystarczy jednak zastanowić się nieco głębiej nad faktycznym stanem rzeczy, by uznać, iż deklaracja „Russ. Słowa“ wcale jeszcze za wystarczającą uważana być nie może.

Niewątpliwie, walka polsko-żydowska w Królestwie jest sprawą domową; jej szczegóły i metody nie znoszą interwencji obcej. Wskazówki bowiem, udzielane bez znajomości terenu oraz motywów starcia, a tembardziej traktowanie antysemityzmu postępowców polskich wedle orjentacji kiszyniowskiej—wywoływać musi tylko rozdrażnienie, zgoła nie przyczyniające się do załagodzenia waśni.

To jednak wcale nie znaczy, by wolno było w stosunku do sprawy tej przodownikom inteligencji rosyjskiej umyć ręce. Ani na chwilę nie powinni oni zapominać, że obecne zaognienie kwestji żydowskiej w Królestwie jest bezpośrednią konsekwencją państwowej przynależności kraju, który rosyjska polityka wewnętrzna sztucznie „przeżydziła“.

Ogromnie łatwo inteligencji rosyjskiej zdobywać się na bezwzględny, zasadniczy filosemityzm, gdy żyd jest dla niej właściwie abstrakcją. Podobnie w krajach nieuprzemysłowionych, nie znających żywej walki proletarjatu z kapitałem, widzimy często śród bogaczów gorących zwolenników Marksa. Niech tam jednak zaczną powstawać fabryki, a wnet ci sami marksiści i zdecydowani liberałowie poczynają oglądać się za sposobami ujarzmienia pracy. Śmiało też można przypuszczać, że gdyby w Rosji rdzennej żydzi nie stanowili jakiejś ułamkowej odsetki, ale kilkanaście do kilkudziesięciu proc. mieszkańców, absolutna, *„pryncypialna“* tolerancja względem nich tamtejszej prasy liberalnej uległaby w wielu punktach poważnym zastrzeżeniom.

Przewidywać to wolno już choćby z tego powodu, że nawet dziś przy skrupulatnem oczyszczaniu rdzennej Rosji z żydostwa, przy minimalnej jego liczbie, wreszcie przy stosunkowo wysokiej kulturze tych sfer izraelickich, którym mieszkać wolno — filosemityzm jest śród mas niepopularny. Dowodem fakt, że nawet w gubernjach, doszczętnie „odżydzonych“, bardzo skutecznie wojuje demagogja terminem *żid*, tchnącym bezgraniczną nienawiścią i pogardą. Świadczy dalej i to, że pogromy możliwe były nawet poza „strefą osiadłości“, że wreszcie do Siedlec i Białegostoku trzeba było sprowadzać antysemitów czynnych aż z głębokiego wschodu.

Nie znam duszy ludu rosyjskiego, ale wiem jedno: mianowicie, że niemal wszystkie, wciąż pojawiające się projekty reakcji, co do dalszego ograniczania praw żydów, w żadnym innym kraju nie mogłyby być traktowane serjo. Weźmy choćby jeden z ostatnich pomysłów—zabronienia żydom ogłaszania swych przedsiębiorstw w gazetach. Albo te długie dyskusje nad kwestją, czy wolno im nosić imiona chrześcijańskie... I t. d. i t. p.—bez końca, w tym samym rodzaju.

Gdyby z podobnemi idejami wystąpił ktoś

Czegoż to dowodzi? Tylko tego, że są kwestje, co do krtóych mogą mieć identyczne zapatrywania nawet pisma biegunowo sobie przeciwne.

Te... z naszej inteligiencji... mieszczaneczki
[nawet
po zawodach zimowych próbują wet za wet,
tego dawniej nie było—to się wszędzie pcha—
lubię naszych polaków...
— Spotykałem je wszędzie: Beaulieu,
Trouville, Spaa...
— Ha, ha, ha!
— Etap pierwszy: Kraków.
— Jedna z drugą doktora żona, albo kupca
na zagraniczne łatwo poleci karesy.
— Cóż chcesz? Znajdzie głupca...
— I sama w to wierzy.
— Zaś największe sukcesy
(nadzwyczajne!) węgierscy mają... berejterzy.

Była bardzo, ale tak bardzo ładna, że
aż dziwne,
skąd się takie jeszcze u nas biorą.
W Warszawie —
prawie
wyjść nie można na miasto.
— Ech, nie. Ładnych sporo...
— Hèlas! Poginęły te różne Felki, Mańki
i Łucje
od czasu, gdyśmy mieli sacré—Rewolucję.
— No no! Jeszcze Polska nie zginęła przecie.
— Gdzie bywa?
— Możesz spotkać ją na Nowym Świecie.
— Chodzi?
— Jacyście—moi mili—młodzi!
elle s'arrête—donc, elle marche.
— Czy prawda, że ją miał Karsz?
— Ha—trudno coś napewno wiedzieć,
ale można chyba powiedzieć,
że miał.
— Dużo dał?
— Phy... była dość niedroga.
— Nieboga...
Porównajcie dziewczyny węgierskie,
francuski, kreolki —

już choćby w Galicji, wziętoby go poprostu—za warjata. W Rosji tymczasem nawet liberałowie, wprawdzie zwalczają takie pomysły (najczęściej zresztą bezskutecznie), ale nie ogarnia ich zdumienie i są w stanie nad podobnemi kwestjami dyskutować poważnie.

Obserwując z ubocza stosunek owych postępowców do tego wszystkiego, co się w Rosji z żydami wyprawia, ogarnia nas wątpliwość, czy zdają sobie oni należycie sprawę z całej potworności praktykowanych szykan.

Rosyjska prasa liberalna nazbyt już przywykła do oddzielania narodu od rządu. Pozwala jej to idealizować pierwszy, zwalać wszystkie grzechy wyłącznie na drugi i na skrzydłach abstrakcyjnych „pryncypjów“ bujać pod obłokami, czyniąc porządek na całym świecie, tylko nie u siebie w domu. Podobnie, jak graf Bobrinskij, umie być obrońcą ludów uciskanych... na Bałkanach, również i postępowa inteligiencja petersburska widzi antysemityzm polski, a nie widzi rosyjskiego.

Wprawdzie Duma i Rada Państwa nie reprezentują dokładnie społeczeństwa, ale zupełnie ignorować jego opinji nie mogą. Toć nawet absolutyzm zna pewne granice samowoli i winien się rachować z zasadniczym światoglądem mas. W zapatrywaniach tłumu rosyjskiego musi też istnieć coś, dającego podstawę dla takiego np. prawa, jak *„czerta osiedłosti“*. Podstawą tą jest zapewne nieznajomość fundamentalnych zasad wolności obywatelskiej i zupełne nieodczuwanie potrzeb równości. Pozatem bardzo ważną rolę odgrywa niewątpliwie i to, że lud rosyjski, z inteligiencją swą na czele, wciąż jeszcze nie poczuwa się do odpowiedzialności za czyny państwa rosyjskiego.

W każdym razie jednak antysemityzm ustawowy nie może być tak obcy duchowi narodu, jak to usiłują nam wmawiać organy liberalizmu rosyjskiego. Natomiast pozwolimy sobie twierdzić, że ich tak mało rozpowszechniony, choć bardzo daleko idący—w zasadach—filosemityzm wątłe swe kwiatki hoduje niemal wyłącznie kosztem Polski, której interesów nikt nie bierze w rachubę przy zapędzaniu tam wszystkich żydów Rosji.

— Parbleu. Te nasze polki —
— Wstyd.
— Zut!

Miała naprawdę odpowiednie warunki,
więc zrobiła karjerę.
Dziś ma willę, automobil i najpiękniejszą
w Warszawie riwjerę.
— Doprawdy, ci polscy bławatnicy,
ci od kilimów, zakopiańszczyzny
i łowickiej spódnicy...
— Ci od Mickiewicza i Monsalwatu!
— Hein? Dosyć już tej rozmowy.
Gramy? No więc, grajmy. Daj go katu.
— Whiste.
— Passe.
— Bez atu.
— — — — — — — — — — — —
Miała prześliczne szafirowe oczy...



Nie uwzględnia się tego, że konieczność elementarna wygania coraz więcej polaków ze wsi do miast, iż muszą oni szukać zarobku w przemyśle i handlu (tembardziej, że posady rządowe otworem stoją tylko dla utemperowanych ex-liberałów rosyjskich), że postęp ekonomiczny stwarza ruch kooperatywny i że w rezultacie najazd tłumu drobnych pośredników, dla których poprostu miejsca tu brakuje, wywołać musi sam przez się odruchowy odpór.

Gdyby Królestwo mogło żyć i rozwijać się normalnie, liczba żydów zmniejszyłaby się w niem bez wszelkich walk, nawet bez niczyjej wiedzy. Proces ten odbywał się przez kilkanaście lat i nikt nań uwagi nie zwracał. Wszędzie (zwłaszcza w powiatach zachodnich), gdzie wzrastała gospodarcza kultura ludu, gdzie rolnicy zwolna tworzyli zrzeszenia, drobny pośrednik handlowy przekonywał się, że jest zbyteczny i częściowo emigrował. Nie towarzyszyły temu żadne antysemickie szczucia; jedynym czynnikiem była siła wyższa, ewolucja ekonomiczna. Aż naraz wmieszał się surogat siły wyższej, prawo ludzkie, które jęło przeciwdziałać konieczności żywiołowej. Liczba żydów, zmniejszająca się normalnie, poczęła się sztucznie powiększać skutkiem imigracji ze wschodu.

Tylko ignorancja, tudzież ślepa, naiwna polonofobja mogła rozognioną w tych warunkach walkę przypisywać jedynie „nietolerancji“ polskiej.

Dlaczego jednak tej nietolerancji nie widzimy w Galicji? Dlaczego w Poznańskiem społeczeństwo polskie walczy z żydostwem tylko jako ze zdeklarowanym, niewątpliwym i zgiermanizowanym sojusznikiem najazdu?

Jeśli nawet widzimy obecnie w Królestwie roznamiętnienie antyżydowskie, rasowe, posuwające się aż do niekulturalnych wybryków, to pamiętać trzeba, iż nie są tu bez znaczenia wpływy wschodnie. Należy mieć na uwadze, że tylko w Królestwie, oswojonem z ustawami, traktującemi żydów, jako obywateli najostatniejszego rzędu, możliwe są pewne objawy, nie dające się pomyśleć na innych ziemiach polskich. Ani w Krakowie, ani w Poznaniu, ani we Lwowie — podobnie, jak w Paryżu, Londynie czy Rzymie, nikomu do głowy nie przychodzi, by można było np. ograniczać czyjąś swobodę ruchu ze względu na jego wierzenia religijne, procentować uczniów szkół publicznych, nie dopuszczać do pewnych zawodów etc. W Galicji nie razi nikogo, żyd profesor uniwersytetu, żyd—burmistrz, żyd poseł, prokurator, urzędnik, oficer. A w Królestwie? W Królestwie owszem: tu zapewne niejedno z tego dziś by raziło, choć jeszcze w latach sześćdziesiątych nikogo nie dziwił Hirschfeld na katedrze Szkoły Głównej, ani Kronenberg w rzędzie przewodników narodu. Królestwo wogóle na punkcie odczuwania praw człowieka cofnęło się, że tak powiem—zewschodniało. Nietylko na punkcie tolerancji religijnej jest ono mniej europejskie od pozostałych zaborów, którym obecnie masami dostarcza bandytów; ujawnia też znacznie mniejsze wyrobienie polityczne, słabsze uświadomienie społeczne i t. d.

Ale pomimo to, mimo piętna wschodniego, które zdążyły już odbić na niem stosunki polityczne, nawet przepełnienie kraju żydami, przepełnienie utrudniające życie, hamujące normalny rozwój kultury—ostatecznie cóż takiego wywołuje?...

Hasło: „swój do swego“.

Prasa żydowska, za nią zaś rosyjska liberalna (a nawet i niekoniecznie liberalna) alarmuje świat możliwością w Królestwie pogromów. Lecz,

chwała Bogu, dotąd ani jednego pogromu nie było. Możnaby natomiast przysiąc, że w tych warunkach Rosja rdzenna miałaby już dziesiątki a nawet setki Kiszyniewów.

Gdyby liberałowie rosyjscy o tem pamiętali, możeby się zawahali, czy im wypada dawać polakom lekcje filosemityzmu? Zapewne zrozumieliby, że na innym terenie pracę swą rozpocząć powinni Owszem, niech uczą tolerancji, niech popularyzują świadomość praw obywatelskich, zasady wolności, równości i... filosemityzmu, ale u siebie w domu.

Dopóki istnieje coś takiego, jak *„czerta osiedłosti“*, Rosja nie ma liberalizmu na eksport; ma go widać bowiem za mało dla siebie samej. I to właśnie jest, niestety, główną przyczyną zaognienia kwestji żydowskiej w Królestwie.

Walka polsko-żydowska jest sprawą domową, o ile rozpatrujemy akcję społeczeństwa polskiego. Do tej wtrącać się nie wolno. Ale fakt, iż walka ta wogóle wybuchła i że przybrała takie, jak obecnie rozmiary—to już sprawa rosyjska, to konsekwencja polityki antysemickiej, która — mimo wszelkie protesty—w oczach świata obciążać musi sumienie społeczeństwa rosyjskiego.

Niech więc „Russ. Słowo“ nie poucza swych zwolenników, że im nic do kwestji żydowskiej w Polsce. Przeciwnie, winno wytłumaczyć, że jest to bezpośredni skutek ograniczeń prawnych, jakim podlegają żydzi w Rosji, gdzie wciąż jeszcze możliwe są pomysły j. np. zakazania żydom reklamowania się, używania dowolnych imion etc., a gdzie tysiące dziwacznych, średniowiecznych szykan, w szaty ustaw stroją izby prawodawcze; gdzie wreszcie istnieje coś tak niesłychanego w XX wieku, jak *„czerta osiedłosti“*.

Skoro ta ostatnia będzie zniesiona, wówczas dopiero zobaczymy, które społeczeństwo: polskie czy rosyjskie, okaże się bardziej tolerancyjnem.

B. H.

⊳oooooooooo⊲

Spełnili powinność.

W „Tygodniku Polskim“ p. J. Bróg pod tytułem powyższym daje doskonałą odprawę prasie warszawskiej, która w części przez złą wolę, w części przez bezmyślność usiłuje ruch galicyjski przedstawić jako wytwór machinacji rządu austrjackiego. Pozwalamy sobie przedrukować artykuł ów w całości, gdyż i na naszym gruncie nie brak zwolenników tego poglądu, gorliwie szerzonego przez koła ugodowe.

„Murzyn spełnił swoją powinność — murzyn może już odejść“—oto słowa w których większość prasy stołecznej zawarła naukę polityczną, wypływającą z ostatnich wydarzeń galicyjskich.

Miało się na wojnę austrjacko-rosyjską. Społeczeństwo polskie okazało gotowość spółdziałania z państwem do którego należy Galicja—władze tego państwa popierały odpowiednie przygotowania.

Obecnie wojna nie grozi w najbliższej przyszłości—władze austrjackie zarządziły przywrócenie towarzystwom strzeleckim ckarakteru sportowego—społeczeństwo zaś przez usta prasy warszawskiej wypowiada poczucie głębokiego zawodu.

Czyż spodziewano się innego epilogu?

Z głosów prasy warszawskiej wynika, że tak: Członkowie drużyn strzeleckich żywili nadzieje złudne, przez owo rozporządzenie rozwiane okrutnie, zaś statyści warszawscy przewidywali te wypadki niemal co do joty i między innemi dlatego właśnie odradzali młodzieży uczestnictwo w drużynach, gromili starszych za patronowanie im.

Przewidzieli zaś dlatego, że znają naturę polityków wogóle, a austrjackich w szczególności: w przededniu wojny łudzą łatwowiernych, szukają sprzymierzeńców, a potem się ich wyprą—gdyby nie to...

Ale przedewszystkiem zapytajmy, jak ci „chytrzy“ politycy, którzy tak paskudnie oszukali łatwowierną polską młodzież, powinni byli postąpić, gdyby mieli choć szczyptę sumienia?

Odpowiedź może być tylko dwojaka: albo, że powinni byli wypowiedzieć wojnę, którą obiecywali, bez względu na okoliczności, albo że powinni byli na czas pokoju utrzymać organizacje ochotnicze.

To są postulaty, które prasa warszawska wmawia zwolennikom ruchu i w których sama pozwala się domyślać przyczyny abstynencji ludzi z nią zgodnych do podobnych awantur.

Nie chodzi mi oczywiście o to, czy byli w Galicji ludzie, którzy żywili taką czy jakąkolwiek „wiarę“ do władz austrjackich, nie chodzi mi o to, czy nadzieje ich były uzasadnione czy naiwne.

Niewątpliwie tam byli politycy zdolni stawiać kwestję tak, jak ją stawia prasa warszawska, a w dodatku niezdolni rozwiązać jej tak przewidująco: skłonny jestem przypuszczać, że propagatorzy ruchu rozsiewali podobne nadzieje, bo wiadomo, że miara obietnic stanowi o sumie zapału.

Chodzi mi jednak o co innego—o to, że z ciężkich doświadczeń doby ostatniej, społeczeństwo nie wyniesie żadnej nauki—i że winien temu będzie skandaliczny poziom umysłowy naszych nauczycieli narodu.

Bo proszę zwrócić uwagę na zagadnienie wyżej sformułowane i proszę spróbować dać na nie odpowiedź wedle wymagań prasy warszawskiej.

Czasy, w których żądaliśmy od „ludów“ wojny o naszą sprawę minęły już dawno—nie sądzę, aby najbardziej niedowarzoną młodzież posądzano u nas o podobne rachuby polityczne. Więc pozostaje odpowiedź druga—żądanie, aby władze państwowe, zarządzając demobilizacje wojsk regularnych, pozostawiły na stopie przedwojennej oddziały ochotnicze. Prasa warszawska przewidywała, że nie pozostawią—i przewidywała słusznie—gdyby była się powstrzymała od komentowania tych faktów i odsłaniania bezmiaru swojej.., mądrości politycznej.

W chwili, kiedy się ma na wojnę, każde państwo zarządza mobilizację armji regularnej i patronuje oddziałom ochotniczym. W chwili, kiedy niebezpieczeństwo mija, armji regularnej pozwala iść do domu, a ochotnikom nakazuje to samo. Pierwszym, aby państwo za nich nie płaciło, a społeczeństwo nie ponosiło szkody przez ich próżnowanie, drugim, aby również wrócili do zwykłych zajęć, oraz nie tworzyli bez koniecznej potrzeby

siły zbrojnej, nie odpowiadającej wymaganiom ścisłej karności.

Jeżeli w epoce plucia na romantyzm, który jest ozdobą dusz ludzkich i dźwignią postępu, nie chcemy hodować romantycznego wyrodka—oderwanej od realnej rzeczywistości afektacji humanistycznej—to tępić musimy złudzenia, oczekujące innych metod od jakiegokolwiek państwa spółczesnego.

Ale autorom opowieści o murzynie o co innego może chodziło—o to, że patronat austrjacki dla drużyn polskich robił wrażenie czegoś stałego—łudził osiągnięciem jednego z atrybutów państwa własnego.

Oczywiście, że złudzenia podobne byłyby naiwne, a złudzenia naiwne bywają szkodliwe. Ale czy krytyka, z którą się spotkały, wykorzeni je na przyszłość? Nie, ona je utrwali, bo wzbudza przekonanie, że w zasadzie to jest możliwe tylko w danym wypadku, z danym rządem należało spodziewać się zdrady.

Doprawdy aż wstyd tłómaczyć w organie nie dwugroszowym, że kwestji polskiej nie podniesie żadne państwo w Europie w czasie pokoju, że natomiast wszystkie tego rodzaju kwestje są podnoszone w czasie zadrażnienia stosunków pomiędzy mocarstwami, o ile jedna ze stron walczących oceni ludność en question jako sprzymierzeńca pożądanego.

Ów słabszy sprzymierzeniec, korzystający z okazji wystąpienia z hamowanemi żądaniami, musi wtedy obliczyć szanse stron i ryzyko walki —nic więcej, a pamiętać winien, że cała ta przyjaźń powstała dla widoków walki i będzie trwała tylko do końca walki—chyba że podczas jej przebiegu kaleka ozdrowieje i takich sił nabierze, że nie jego dla innych, ale innych przyjaźń dla niego warto będzie poświęcić.

Polityka nie zna przymierzy z miłości — tylko przymierze z interesu. Koniec wspólności interesu jest końcem przymierza. Dlatego małżeństwo polityczne nie zna wiarołomstwa, tylko rozwód.

Natomiast zna śluby wiarołomne, podstępstwa. Zdarza się mianowicie, że się tutaj zabawia podżeganiem cudzego przyjaciela, obiecując mu pomoc, a mając zamiar wyprzeć się go ewentualnie lub napewno nawet. Bywa to wtedy, kiedy chodzi o osłabienie wrogiej siły, bez zamiaru stoczenia z nim wojny. Zbyteczna dowodzić, że w sprawie, o której mowa, sytuacja ta nie zachodziła.

Natomiast ilekroć będziemy mieli groźbę wojny któregokolwiek z mocarstw rozbiorowych z jakiemkolwiek innem mocarstwem, poszukiwanie spółudziału może się powtórzyć, ale skutek nastąpić może tylko w razie istotnego wybuchu wojny i bardzo radykalnych jej rezultatów!

Prasa warszawska zrobiła wszystko, aby te tak jasne rzeczy w umysłach ogółu zaciemnić. Pewna jej część robiła to w dążeniu do swego celu politycznego, ale bezpartyjna reszta, powtarzając bezmyślnie. co jej podsunięto, spełniła powinność—niezaszczytną.

J. Bróg.

⊳ooooooooo⊲

Lord Avebury

(Sir John Lubbock).

Zmarł w Londynie popularny niegdyś i u nas Sir John Lubbock, od r. 1899 lord Avebury. Ciekawy to był człowiek. Pochodził z rodziny bankierów londyńskich, rządzących Lombardstreet'em, rządzących W. Brytanją, rządzących światem za pomocą czeku i kuponu. John Lubbock miał inne jeszcze ambicje. Liczył lat czternaście, gdy ojciec prosto ze szkoły zabrał go do banku, kazał rachować, pisać, wnet posadził go przy księdze głównej i kazał chodzić na giełdę, co nie przeszkadzało Johnowi uczyć się dużo, masę czytać i myśleć. Gdy po śmierci ojca (1865 r.) stanął na czele domu bankowego, był już tak dalece posunięty w czytaniu, w rozmyślaniu, w pisaniu, że ogłosił książkę o Czasach przedhistorycznych („Prehistoric Times“),*) a w kilka lat później i o początkach Cywilizacji („Origin of Civilisation and the Primitvie condition of Man“). Książki te nazwisko właściciela starożytnego domu bankowego Robarts, Lubbock et Co, czwartego w rodzie baroneta — uczyniły slawnem daleko poza granicami Lombardstreetu — co już znaczy nie mało — co więcej na kontynencie Europy.

W r. 1870 Lubbock wstępuje do Izby Gmin, jako liberalny przedstawiciel Maidstonu, i pozostaje w Izbie Gmin aż do chwili, kiedy łaska królewska mianuje go parem Anglji: otdąd nazywa się lord Avebury. Zajmuje też wybitne stanowisko w samorządzie Londynu, w organizacji bankierów angielskich, którzy w liczbie dwu tysięcy mianują go swoim prezesem. Jako taki wprowadza t. zw. święta bankowe (Bank Holidays—dwa razy do roku w świecie bankowym jako dni odpoczynkowe uważana jest niedziela i następujący po niej poniedziałek, odpoczynek liczy się od południa w sobotę do wtorku rano 68 godzin bez przerwy). Jest też głównym inicjatorem Uniwersytetu Londyńskiego, którego przedstawicielem jest też w Izbie Gmin od r. 1878. Mianują go Członkiem Rady Muzeum Brytańskiego.

Nie tylko człowiek i kultura zajmowały umysł Lubbocka w tych jeszcze młodych latach, ale całą żywę naturę za przykładem Darwina zaczyna obserwować: pszczoły, mrówki, osy—obserwuje je długo, w ciągu miesięcy i lat i obserwacje swoje spisuje. Powstaje z nich cały szereg książek czytywanych w Anglji namiętnie w ciągu lat wielu (Książka o Mrówkach i Pszczołach rozeszła się w siedmnastu wydaniach). Tłomaczą je na różne języki świata. Po polsku drukowało je „Ateneum“ w pierwszych rocznikach. Pragnął Lubbock odszukać towarzyskie, społeczne instynkty człowieka na niższych szczeblach kultury, pragnął historję tego instynktu odtworzyć w całym jego rozwoju w naturze żywej; chciał prócz tego odszukać, czy społeczeństwo mrówek nie da wskazówek, które przydać się będą mogły społeczeństwu ludzkiemu. Przyglądając się uważnie—podziwiały jego cierpliwość i przywiązanie do świata ulów i mrowisk akademje świata—życiu owadów, spostrzega symbjozę ciekawą owadów i roślin: powstaje stąd nowy szereg prac o spółżyciu i stosunkach wzajemnych później

*) 1865, 6-e wyd. 1902; „Początki cywilizacji“ ogłoszone 1870 miały również 6 wydań. Obie książki przełożone na przeróżne języki świata, nawet na azjatyckie. Pod koniec życia Lubbock wrócił do socjologji i ogłosił „Marriage, Totemism and Religion“ (1911).

dalszy szereg o roślinach samych, o drzewach i owocach, o krajoobrazie szwajcarskim i angielskim, o piękności natury. *). A w sumie tych obserwacji, przez lat dwadzieścia pięć prowadzonych, powstaje *Filozofja życia* (która zresztą była w założeniu życia, nie tylko w koronie), objęta kilku tomami *Rozkoszy życia*. „The Use of Life," „Pleasures of Life" wnet przełożone na kilkadziesiąt języków świata uczyniły z Lubbocka najbardziej w ciągu kilku sezonów czytanego pisarza angielskiego. Dość powiedzieć, że te trzy tomy do roku 1912 rozeszły się w 171, 259, 213 tysiącach egzemplarzy oryginału, nie licząc tłomaczeń na języki francuski, niemiecki, także polski. Są to książki bardzo angielskie, urodzone z ducha Smiles'a, utylitarystów, nie znanej jeszcze podówczas, jako taka, ale stosowanej odwiecznie filozofji pragmatycznej.

Polskiego czytelnika nie wzruszały nigdy „Samopomoce" Smiles'a, ogłaszane drukiem staraniem „Przeglądu Tygodniowego". Nie wzruszała go „Etyka" Spencera. Wzruszała więcej „Autobiografja" Stuarta Milla, wzruszał Ruskin, Carlyle. Ma to swoje głębokie przyczyny. „Rozkosze życia" Lubbocka wyrosły z rozkoszy... życia angielskiego, a może i z rozkoszy osobistego życia Lubbocka. Wyrosły może najpewniej z osobistego zdrowia autora—w najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu, przedewszystkiem ze zdrowia fizycznego, które pozwoliło życie na tak długiej przestrzeni czasu—w ciągu lat blizko pięćdziesięciu — wypełnić olbrzymią i różnorodną pracą: od początku dojrzałości aż po dzień ostatni 79-go roku żywota.

Pisał Lubbock w przeróżnych materjach jeszcze: o sprawach samorządu miejskiego, o wolnym handlu, o pokoju powszechnym, o monecie. Był prezesem kilkudziesięciu towarzystw naukowych angielskich, był jednym z najbardziej znanych w świecie przedstawicieli swojej rasy i narodu. Był zawsze jeden i ten sam, w roku 1865 i 1913: optymista, liberał, człowiek poczciwego na świat poglądu, uczciwego obyczaju. *Clark'om* swoim w biurze bankowem które, jako syn jedyny odziedziczył, płacił, ale pewnie dużo pracy wymagał, a że to było w w Anglji tedy nikogo nie dziwiła ani praca, ani stosunek pracodawcy. Jeżeli pracy żądał dużo — tłomaczył się, że sam nie zmarnował ani jednej godziny w życiu śpiąc, pisząc, jedząc, przyglądając się mrówkom i lodowcom szwajcarskim, także jeziorom szkockim z zegarkiem w ręku. I na zegarku tym drobnemi djamencikami wyłożone były wyrazy: cnotą a pracą. Bezsprzecznie Lubbock był najcnotliwszym bankierem Lombardstreetu w Londynie i najpracowitszym clark'iem bankierskim W. Brytanji wraz z kolonjami. Żart na stronę: był to przecież jeden z najpracowitszych i najciekawszych anglików swego czasu.

Polski czytelnik znał Lubbocka z jego prac etnologicznych i socjologicznych. Zabiegliwy „Przegląd Tygodniowy", korzystając z pomocy młodych studentów szkoły głównej i powstającego z niej Uniwersytetu Warszawskiego, tłomaczył „Czasy Przedhistoryczne" i „Początki Cywilizacji". Dokonywały te książeczki przewrotu w głowach kształconych do tej pory na złych podręcznikach szkolnych i na rozmowach z prefektem szkolnym. Dziś są to książki przestarzałe, dawno o nich nauka mówić przestała. Niema ich też w obiegu księgarskim. Dawno edycje Adama Wislickiego wyczerpane zostały. Znajdą się gdzieniegdzie po bibljotekach prywatnych dawnych entuzjastycznych czytelników „Przeglądu" i pierwszych polskich pozytywistów.

I z tego jeszcze tytułu złożyliśmy dziś na mogile lorda Avebury wianuszek polskich nieśmiertelników.

Stanisław Posner.

*) „The Beauties of Nature" rozeszło się w oryginale w 85 tys. egzemplarzy.

O „zwyrodnienie" młodzieży.

(*List otwarty*).

Nic łatwiejszego, jak mając poza sobą szereg dłuższy lat przeżytych, wydawać sądy o przeszłości i teraźniejszości, sądy oparte najczęściej na obserwacji rzeczy i ludzi bliżej owego obserwatora stojących, nie sięgającej wszerz, a tembardziej w głąb areny życia społecznego. Takie sądy słyszymy codziennie, a streszczają się one w wiecznem biadaniu starców nad upadkiem młodzieży, w wychwalaniu czasów przeszłych a potępianiu obecnych i t. p. „Znamy—powiecie czytelnicy—znamy tę piosenkę dobrze!" Znacie? A więc posłuchajcie.

Oto w № 106 „Kurjera Litewskiego", p. Stanisław Montwiłł występując w imieniu wszystkich członków zjazdu koleżeńskiego, odbytego w Wilnie w grudniu r. z., rzuca młodzieży naszej w twarz wprost ciężką obelgę, w następujących słowach: „Rozpamiętywując czasy minione, wszyscyśmy wynieśli przeświadczenie, że dziś pod wielu względami jest gorzej, niż było wówczas (za czasów młodości p. J. M.) i że to zwyrodnienie zwiększa się crescendo, *u młodzieży zwłaszcza* brak ideałów zastępują karty, wszelkiego rodzaju hulanki i orgje wyprawiane publicznie i prywatnie, a doprowadzające nieraz do sprzedaży ciężko i uczciwie zapracowanej przez przodków ojcowizny..."

Prawdopodobnie każdy to zrozumie, że napaści tej podległa *cała* młodzież polska na Litwie, to jest, zarówno ta, która rzeczywiście nie mając i nie rozumiejąc innych celów w życiu nad użycie, rzuca swój honor i fortunę w bagno rozpasania bydlęcego, jak ta, która śród ciężkich warunków życia, przebojem idzie do światła wiedzy, gromadząc jej zapasy dla szczęścia przyszłych pokoleń, i inna też, która ginie w walce o ideały dobra i sprawiedliwości.

Czy rzeczywiście Sz. Panie taką młodzież oskarżyłeś o zwyrodnienie? A może, zapominając o tem, że tam, w warstwach społecznych niżej rzekomo stojących od złotych i pozłacanych sfer, jest cały świat inaczej myślący i czujący, wszystkich pod jedną postawiłeś miarę? To byłoby niesprawiedliwie, a takiego sądu, obserwator, mający po za sobą dziesiątki lat przeżytych w społeczeństwie tutejszem—wygłaszać nie powinien. Nie chcę być rzecznikiem młodzieży, która zapewne sama za siebie odpowie za tę obelgę, ale, jako obserwujący bieg życia narodowego niemal już od pół wieku, protestuję gorąco przeciw takiemu uogólnianiu. Kilkudziesięciu, ba, kilkuset nawet głupców, trwoniących bezmyślnie pieniądze, nie stanowią jeszcze ogółu młodzieży polskiej!

„Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi?—jak mówi nasz Wieszcz. Tam znajdziemy

i ten ogień, którego „i sto lat nie wyzięb“ i dusze czyste jak kryształ, i serca miłujące dobro, i ofiarność gotową do poświęceń życia, nawet i wszystkie te cechy piękna, dobra i prawdziwego szlachectwa, jakie tylko młodość wyrzeźbia na charakterze człowieka. Tu szukajmy zaczątków wszystkiego, co przyszłości będzie wskazywać drogi prawdy, co wykwitnie w bujny kwiat najwyższej kultury. Niema obawy, ażeby ta młodzież poszła kiedyś za przewodem tamtej, która siejąc zgniliznę, sama w sobie zarodek śmierci nosi. Ona pójdzie innemi szlakami, ku górze, do coraz to wznioślejszych ideałów.

Należy więc, Szanowny Panie, uczynić rozdział i mówić: taka, a taka część młodzieży, a nie: młodzież, bo to godzi w najdroższy skarb narodu, w to, co stanowi jego kwiat, jego przyszłość. Dużo dałoby się w tej kwestji powiedzieć. Ale nie o to mi na razie idzie. Chcę tylko zaznaczyć swoje zapatrywanie na młodzież dzisiejszą, z tego tytułu, że znałem i dawniejszą, więc mogę robić porównania. A z porównań tych, dochodzę do wniosków wręcz przeciwnych, niż sz. projektodawca sądów honorowych.

Skąpana w krwawych niedolach narodu, wzrosła śród syzyfowej pracy budowania swojej przyszłości, młodzież nasza, ta lepsza—rozumie się—jej część, nie wyda takich mężów, jakich widzieliśmy niedawno, a którzy dla błyskotek „honorowych“ gotowi byli wyrzec się honoru narodowego i czołobitnością swoją potwierdzali naszą hańbę. Nie, mężowie wzrośli z naszej teraźniejszej, tej lepszej młodzieży, tego nie uczynią, to pewna! Nie należy więc tak bardzo zachwalać dawnych czasów. Nie ku gorszemu idziemy, lecz ku lepszemu, trzeba tylko chcieć spojrzeć w głąb narodu, tam gdzie jego serce uderza tętnem prawdziwego umiłowania dobra, nie gorączką zdziczałych bachanalji. To różnica ogromna!

Wandalin Szukiewicz.

⊳oooooooooo⊲

Biedne miasto.

(Trochę cyfr ze statystyki Wilna).

Wilno nie posiada jeszcze statystycznego biura miejskiego, ma jednak jego zaczątki w biurze szacunkowem, które opracowuje materjały, zebrane przez komisję szacunkową. Komisja ta, przeszacowując nieruchomości dla równomiernego opodatkowania ich na rzecz miasta, pracowała według jednego szczegółowo obmyślonego planu i każdą nieruchomość, własność miejską opisywała szczegółowo, robiąc pomiary pojedyńczych domów i mieszkań. Zebrany w taki sposób materjał statystyczny wszechstronnie oświetla własność miejską wileńską i daje możność szczegółowej charakterystyki jej stanu, podziału i rozmiarów.

Dane te obejmują 5,653 pojedyńczych własności miejskich, składających się z 10,680 budynków (domów) mieszkalnych i 6,955 niemieszkalnych, stanowiących razem miasto Wilno w granicach oficjalnego (konfirmowanego) planu. Pozatem istnieją jeszcze przedmieścia dalsze, do miasta nie włączone, tworzące szeroki pas, okalający Wilno stłoczoną masą małych, drewnianych, w nieporządku rozrzuconych na szerokiej przestrzeni ziemi podmiejskiej, domków.

Domy te do naszych obliczeń nie weszły.

Z pomiędzy tych 5,653 nieruchomości,

należy do polaków	2,745	czyli	48,6%	og. ilości
„ żydów	1,547	„	21,4%	„
„ rosjan	751	„	13,3%	„
„ litwinów	55	„	1,0%	„
„ innnych narodow.	162	„	2,9%	„
„ rządu, duch. i instyt. społ.	393	„	6,8%	„

Własność polska więc, znacznie przeważa w ogólnej liczbie własności miejskiej i razem z własnością żydowską obejmuje 76,0% ogólnej liczby tych posiadłości.

Stosunek ten, jednak, nie utrzymuje się równomiernie na całej przestrzeni miasta; w rozmaitych jego częściach zmienia się znacznie, dając przewagę temu lub innemu żywiołowi. Tak, własność polska przeważa w cyrkułach III im (55,6%), V-tym (54,5%), IV-tym (51,3%), VII-ym (50,8%) i VIII ym (50,8%), t. j. w miejscowościach od śródmieścia oddalonych,—własność żydowska zaś ma przewagę w śródmieściu, gdzie panuje handel, mianowicie w cyrkule I-ym, gdzie żydzi posiadają 57% ogólnej własności. Największy procent własności rosyjskiej przypada na cyrkuł II-gi (25,5%).

Własność miejska innych narodowości i grup dzieli się mniej więcej równomiernie pomiędzy wszystkiemi cyrkułami miasta.

Cała nieruchomość miejska przynosi jej właścicielom 7,420,698 rub. dochodu brutto, z których na własność polską przypada 2,943,869 rub. czyli 39,4%, na własność żydowską 2,889,556, czyli 38,6%, na własność rosyjską 715,265 rub., czyli 9,6%, na litewską 44,809 rub. albo 0,6% i na własność innych narodowości i grup reszta (11,8%).

Porównując podział dochodu pomiędzy własnością polską i żydowską zauważymy, że względnie własność żydowska jest zyskowniejszą.

Zauważyliśmy już, że 5,653 posesje miejskie obejmują 10,680 domów mieszkalnych i 6,955 budynków niemieszkalnych, stanowiących składy i t. p. potrzeby domowe. Z liczby domów, zamieszkałych przez ludność miejską, posiadamy budynków

murowanych	3,382	czyli	32,0%
drewnianych	7,053	„	66,0%
murowano-drewnian.	243	„	2,0%

Widzimy więc, że Wilno musi być zaliczone do rzędu miast drewnianych. Musi być ono także zaliczone do rzędu miast o domach przeważnie niskich, parterowych, o jednem piętrze według miejscowej nomenklatury.

Tak, z pomiędzy 10,680 domów liczymy parterowych drewnianych 6,928, murowanych 1,326 i mięszanych 194. co stanowi 80,0% ogólnej liczby domów w mieście. Domy piętrowe, według miejscowej nomenklatury 2 piętr., obejmują z pośród domów murowanych 1,264, drewnianych 125 i mięszanych 49. Dwupiętrowych kamienic posiadamy 688, wreszcie wyższych po nad dwa piętra—104.

Miasto posiada w swoich 10,680 domach 35,742 mieszkania, z pośród których mieszkań 1—2 pokojowych liczymy 25,529, albo 71,4%; od 3—5 pokojów 8,897 albo 24,9% mieszkań; mieszkań dużych o 6-ciu i wyżej pokojach mamy tylko 1,316, czyli 3,7% ogólnej liczby.

Wilno więc jest miastem także mieszkań małych, zajmowanych przez ludność niezamożną, a zatem i samo musi być zaliczone do miast nie bogatych.

Obok ilości pokojów w mieszkaniach ciekawem jest także przestrzeń zamieszkania. Przestrzeń ta była obliczana dla wszystkich mieszkań w oszacowanych domach i wynosi 651,715.7 sążni kwadratowych.

Z tej liczby na mieszkania przypada 591,042.7 sąż. kw., na magazyny i sklepy 30,659.8 sąż. kw. i na zakłady przemysłowe 30,013.2 sąż. kwadr. Mieszkania, więc, zajmują 90.7% przestrzeni domów, magazyny i sklepy 4.7%, a zakłady przemysłowe 4.6%.

Jeżeli więc zestawić przestrzeń zamieszkałą z ilością ludności, to znajdziemy, że przy ludności 225 do 230 tysięcy, jaką niewątpliwie Wilno posiada, na każdego przeciętnego mieszkańca miasta przypada około 2.5 sążni kwadratowych przestrzeni, na której on mieszka.

Streszczając ten krótki szkic statystyczny, możemy stwierdzić, że Wilno, dążąc, jak wiemy to skądinąd, szybko do rozwoju i uporządkowania zewnętrznego, jest jednak jeszcze miastem drewnianem, miastem o domach parterowych z drobnemi mieszkaniami, ze słabym rozwojem przemysłu, miastem biednem.

K. Niedziałkowski.

NAD SEKWANĄ.

(Korespondencja własna „Przegl Wil.").

Paryż, w czerwcu 1913.

Wystawa obu salonów oficjalnych—Marsowego i Elizejskiego dobiega końca—ze skruchą przyznaję się, iż dotąd o nich nie pisałam. Czyż jedynie moja w tem wina? Sądzę, iż w dużej mierze owych wielkich o europejskiej sławie i rozgłosie salonów. Monotonja i nuda rozsiadły się tu od lat wielu. Sprawozdanie z nich wobec tego—jest swego rodzaju piłą.

Już Karol Baudelaire w swych „Curiosités esthétiques" wypowiada takie zdanie: „Myśli, które poddaje salon ten, są w zasadzie tak stare, znane, tak klasyczne, iż właściwie nie wiele stronic będzie mi potrzeba, by je rozwinąć. Nie dziwcie się, że banalność artysty zapładnia podobnie pisarza".

To przytoczywszy — jako „excuse" należne odemnie czytelnikom—zabieram się do roli sprawozdawcy.

Dziwne zaiste, jak niektórzy doszedłszy do pewnych wyników pracy—mrą w zastoju.

Widzimy tu rok rocznie artystów, powtarzających się do tego stopnia, zajmujących prawie jedne i też same miejsca sali — iż otrzymujemy wrażenie, jakbyśmy prace ich już widzieli, jak gdyby były one już nie takie same, lecz wprost też same. Stąd właśnie to odczucie monotonji i nudy.

Dlatego też z czystem sumieniem pozwolę sobie pominąć cały szereg rozgłośnych nazwisk, choćby to był ex-dyrektor Willi Medici—przewielebny Carolus Duran, lub wirtuozi pędzla w rodzaju Boldiniego, Boutet de Monvel, Le Sidaner, Aman-Jean, Roll, Levy Dhurmer, Lucien Simon, Frieseke, Francis Auburtin, a nawet pełen talentu Jules Flandrin lub Hanicotte.

Są oni tu wszyscy—jako że byli lat poprzednich—kto ciekawy ich koncepcji artystycznych, tego odsyłam do szeregu mych sprawozdań lat ubiegłych, drukowanych w „Przeglądzie Wileńskim", bądź też „Kurjerze Warszawskim", „Świecie" etc.

Do „arrivés", artystów już zdecydowanych należy również *Karol Cottet.* Niemniej w roku bieżącym dał tak świeżą wizję, tyle szlachetności w oddaniu jej, iż prace jego w ogólnym szablonie stanowią wytchnienie dla oczu. Rysunek tu pełny i silny, barwy sharmonizowane pięknie. Naturalnie musimy uwzględnić to, iż artysta ten należy jeszcze do epoki, wysuwającej na plan pierwszy literaturę przedmiotu — niemniej ten miłośnik „smutnej, szarej Bretanji"—potrafi dać nietylko fragment ciekawy, lecz i kompozycję zwartą, szlachetną w rysunku. Tym razem dał on „Kobiety z Camaret, lamentujące nad spalonym kościołem", gdzie zwęglone szczątki kościoła, niebo ciężkie, ołowiane, spełzła, zżółkła zieloność trawy—bajecznie się harmonizują z czarnemi, zakapturzonemi postaciami bretonek.

Mamy tu jeszcze trzy fragmenty z procesji, sławnych „pardons" (odpustów) bretońskich — trzy dekoracyjnie oddane gamy tonów: czarne, czerwone i białe; są silne w rysunku i w kolorze wieśniaczki z Plougastel (Bretanja), — wreszcie ciekawie ujęty port maleńkiej osady rybaczej.

Adolf Willette subtelny oddawca sercowych dramatów pierrotek i pierrotów—wystąpił w tym roku z dużą kompozycją, odtwarzającą scenę—un peu perverse, un peu vicieuse—*„La valse chaloupée"* w Tabarin. Naturalnie, przyciąga on tłumy—w każdym razie musimy przyznać, iż rysunek tu piękny i subtelny, a całość skomponowana wybornie.

La Gandara — sprzykrzywszy sobie snać portrety dam wielkiego świata, sięgnął do nowego źródła twórczości. Dał kompozycję p. t.: „Don Kiszot". Popularna postać „romanesque et romantique"—wyszła w tej koncepcji dość słabo. W każdym razie artysta ciekawszym jest tutaj niż lat poprzednich.

A rzeźba? Rzeźba ma przedewszystkiem Rodin'a. Wielki tytan Michał Anioł naszej epoki figuruje pośrodku rotondy pałacu. Poszarpany to nerwowo, porwany fantastycznie akt męski. A jednak te fragmenty, te kawałki — to — bajecznie rysujące się masy, traktowane z jedynem, właściwem temu artyście poczuciem bryły, rzucone w przestrzeni, wnikliwie chwytające światła i cienie. Mimo wszystko — w tych fragmentach jest wielka ręka mistrza, zniewalająca swą mocą.

Obok—z bryły marmuru wyłania się głowa—to portret. Ten jest już skończonem, zamkniętem w sobie dziełem. Jest piękny, silny – a jednak tamten akt nerwowo porwany przemawia do widza stokroć potężniej.

Rzeźba salonu marsowego—to właściwie najlepsza rzeźba Paryża. Prócz Rodina i nieobecnego w tym roku Bourdell'a, salon ten posiada takie siły pierwszej wagi jak: Despiau, Jane Poupelet, Cavaillon, Wlerick, Marcel Jacques, Halou, dekoracyjny P. Roche, Dejean, Zenoir.

Wprost przepiękną, traktowaną niesłychanie spokojnie głowę kobiety w bronzie dał Despiau. Niemniej pięknie zbudowana jest jego figura dekoracyjna przeznaczona do ogrodu.

Tak zwaną dawniej „bandę" Schnegg'a (Lucjana)"—łączą też same „recherches", poważne tra-

dycje rzeźby wielkich epok przenikają—są to najpoważniejsi dziś pionierzy w sztuce. Jane Poupelet, Wlerick, Cavaillon — stoją tu na czele. Poupelet figury kobiece, Wlericka i Cavaillon'a portrety i figury—są piękne w robocie, silnie skomponowane, ujęte w planach szerokich, a jednocześnie zwarte w sobie i skończone.

Toż samo możemy powiedzieć o rzeźbach *Ł. Wittiga*—należących do najpoważniejszych rzeźb salonu. Artysta ten pracami swymi wybija się na czoło rzeźby polskiej. Jego „Pax" oraz „portret pani J."—to dzieła świadome siebie, poważne w kompozycji.

Z polaków wystawił tutaj *Biegas* „Tytanik" (bronz)—alegorja głośnej katastrofy, oraz *Ostrowski* portret Boznańskiej oraz głowę żony w płaskorzeźbie. Ostatnia ta praca traktowana ciekawie i pełna charakteru.

W rzeźbie polskiej Salonu Marsowego — występuje tego roku kilka niewiast, a prace te mówią o poważnych studjach. Przyznaje im to krytyka nasza i francuska. To już nie „dyletanckie próby kobiece". To rzeczy przemyślane, serjo opracowane, wskazujące prócz większych lub mniejszych talentów opanowanie techniki duże. Bohdanowicz--Koncewska—daje piękne studjum „głowy" oraz akt „młodej dziewczyny"; Broniewska—portrety Bourdelle'a i p. M. D.; Urszula Buchholz—b. ciekawą „głowę"; W. Kislańska—„Młodego Słowianina" (statuę naturalnej wielkości); Romanowska—„Kobietę w draperji".

W dziale malarstwa widzimy niemniej poważny zastęp niewiast. Przoduje tutaj Boznańska, dając kilka portretów, skomponowanych pięknie, oddanych we właściwym jej charakterze. Niejako przeciwstawieniem jej są silne, w technice zupełnie odrębne portrety Mutermilchowej; Stanisławska daje „Komuniantkę" na tle efektownego światła witrażu; wreszcie—Kwiatkowska rzecz dekoracyjną; Opolska—studjum, Plewińska—„Madonnę" polską, zaś rzeźbiarka Aleksandrowicz-Homolacs—rysunki.

Zastęp męski jest tu mniej liczny. Przedewszystkiem zaznaczyć musimy piękne i silne rysunki Zaka, z maestrją wykonany portret Titta Ruffa, Carusa i Szalapina—przez Tadeusza Stykę, rysunek znanej balleriny Karsawiny przez *Kamir-Kaufmana*, oraz *Tkaczewskiego*—portret.

A Salon Elizejski? zwany również Salonem Artystów francuskich? Ten, pełen samozadowolenia staruszek obchodzi obecnie 131 rocznicę istnienia. Wystawcy tu—to przeważnie przedstawiciele Instytutu lub też kandydaci doń, wychowańcy miejscowej szkoły Sztuk Pięknych (École des Beaux Arts)—kontyngens stały i niezmienny. Rzadko, raczej przypadkiem zabłądzi tu jakiś talent bardziej oryginalny mocą przyzwyczajenia lub też zwabiony bajecznem miejscem dla rozmieszczenia eksponatów.

Dzięki temu właśnie bogactwu miejsca są tu zgrupowane olbrzymie płótna i wielkie bloki. J. P. Laurens, Rochegrosse, potrety Bonnat Flamenga, gitany Azemy, historyczne epizody Girardet, katastrofy morza Tattegrain—wszystko widzimy i w tym roku równie jak lat poprzednich.

A na tem tle ginie wprost niewielka garstka naszych. Jest tu Kowalski Wierusz i Kowalski Leopold, jest Adam Styka—najmłodszy z plejady Styków, daje on wspomnienia z Marokka pełne poczucia barwy, Stanisław Lenz nadesłał portret zbiorowy z okazji 50-lecia byłej szkoły Głównej. Swięcka—portret; zaś w rzeźbie: Budrewicz—biust w gipsie, Firstenberg „Nimfę" — figury w gipsie, Stabowska—medaljowy portretowe, Głowiński pełen charakteru autoportret, hr. Kwilecki — portrety w bronzie, Małaczyńska — biusty w bronzie, Miedwiecki—grupę w gipsie, zatytułowaną: „Ostatnie pożegnanie", Sokolnicki Mikołaj—statuę naturalnej wielkości „Prometeusz" oraz biust męski dobry w charakterze i w ruchu.

W. Kiślańska.

⊳ooooooooo⊲

Mewa.

Nad morzem leci białe stado mew...
Ocean siny srebrem fal się pieni...
W promiennej, drżącej, złotej zórz czerwieni
Gasnące słońce świeci niby krew!

Tęsknota woła lotne ptaki w dal!
Tęczowa śni się kędyś, hen, kraina...
A tam, na dole, gdzie się wir zaczyna,
Ostatnia—sama nad bezkresem fal!!..

I jak złamany cudny, biały kwiat,
Bezsilna, cicha, drży na modrej toni...
Hen! za siostrami w dal! hen, w dal pogoni!
Nad siną wodą błędny znaczy ślad...

I coraz bliżej, bliżej morska toń
Pieszczotą śnieżnych mewich piór dotyka...
I szumi, szumi cicha fal muzyka:
„Ptaszyno biała! za siostrami goń!"

O, raz ostatni błysnąć w słońcu, hen!
Na rozhulany wiatr roztoczyć pióra,
I widzieć zblizka, jak gradowa chmura
Przed słońcem ginie, by ułudny sen!

Na chwilę jeno, z za szumiących wód,
Nim ramionami ciemna głąb otoczy,
Nim pocałunki fal zaleją oczy,
Raz jeszcze wejrzeć na słoneczny cud!

Ostatni słońcu pożegnalny zew!
Jak gwiazda świeci ptak na fal powodzi...
Cichym się brzękiem woda fal rozchodzi...

. . . .

Nad morzem leci białe stado mew.

Wanda Niedziałkowska.

⊳ooooooooo⊲

Wątpliwe wyzwolenie.

„WYZWOLENIE" („Mocnego człowieka" część II-ga), powieść **Stanisława Przybyszewskiego.** Warszawa, 1913. Nakład Gebethnera i Wolffa.

W całej niemal dotychczasowej twórczości Przybyszewskiego miłość stanowiła motyw domi-

nujący. Kochał bezpamiętnie sztukę i na cześć jej ogłaszał wspaniałe manifesty; walczył o swobodę twórczą artysty i w przerażenie wprawiał wszelkich zjadaczów chleba śmiałością swoich tez. Ile razy jednak tworzył sam, — zapominał, nie chciał wiedzieć, że istnieją na świecie jakieś walki, ideały, bohaterstwa, zagadnienia; opisywał tylko dzieje miłości. Dzieje to były napozór różne, w gruncie rzeczy jednak powtarzały się w nich z przedziwną monotonją te same kombinacje: jedni zabijali przez miłość, inni zabijali samych siebie z miłości, a wszyscy cierpieli, cierpieli bez końca. Autor „Nad morzem" pozostał wciąż wierny formule, którą wygłosił w samym początku swej pracy twórczej: „Dla artysty - wybrańca miłość — to bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanej, strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je zlać w jedno; to — intensywne cierpienie, w którem dusza się łamie, bo czynu Nowego Testamentu, czynu tego stopienia się w jedno, czynu absolutnego androginizmu dokonać nie może. Dla takiego artysty miłość, to niesłychana świadomość strasznej jakiejś głębi, przeczucie jakiegoś otchłannego dna w duszy, na którem życie tysiąca gieneracji się przelewa, tysiące wieków ich męk i udręczeń, ich szał rozrodczy i żądza bytu". Zarówno w swych powieściach, jak w swych dramatach opiewał Przybyszewski tylko jedną miłośći tę złowrogą, miażdżącą, wolną od wszelkich kompromisów i układów, fatalną, siejącą obficie zbrodnię i śmierć, nie znoszącą żadnego oporu wolludzkiej.

Dotychczas główni jego bohaterowie, którzy ulegli przemożnej władzy miłości ze wszystkiemi jej następstwami, widzieli dla siebie jedną tylko drogę wyzwolenia, a mianowicie: śmierć. W ostatnim swym romansie stawia Przybyszewski nową tezę: miłość może być nie tylko władzą niszczącą, ale może się stać także *wyzwoleniem* dla jednostki, skazanej, zda się, beznadziejnie na zatracenie duszy. Tezę tę autor raczej *stawia* tylko, niż uzasadnia w dostatecznej analizie psychologicznej, która stanowić zapewne będzie część dalszą „Mocnego człowieka". Tymczasem, w części drugiej stanął Przybyszewski wobec zadania bardzo trudnego: wziął sobie „człowieka mocnego", Bieleckiego, którego poznaliśmy w pierwszej części opowiadania, jako koncepcyę raczej teoretyczną, literacką. Człowiek ten, pierwszy lepszy dziennikarz bez talentu, chce wejść na „bitą drogę" życia po przez zbrodnie. Wystawił oto, jako swoje, dwa dramaty zmarłego przyjaciela i zyskał olbrzymią sławę. Aby tej sławy nic nie zamąciło, *usunął* (t. j. utopił w morzu) kobietę, która wie, że nie on, Bielecki, ale jego zmarły przyjaciel, Górski był autorem tych głośnych dramatów. Dla tej sławy również każe Bielecki swej kochance Karskiej podpalić pracownię malarza Borsuka, w której niby to znajdował się jeszcze jeden jego niewydany dramat.

Na tych zbrodniach skończyła się pierwsza część opowiadania. Teraz staje Przybyszewski wobec konsekwencji popełnionych czynów. Twórcą Bielecki stać się nie może, bo—nie ma talentu. Nie pomogą żadne wysiłki. Nie chcąc zboczyć z „bitej drogi" użycia, Bielecki brnie w coraz potworniejsze zbrodnie: fałszuje weksle z nazwiskiem swej babki, morduje w sposób wyrafinowany tę babkę, „usuwa" przez pośrednictwo Karskiej niebezpiecznego przyjaciela Kotowicza, który *wiedząc* o Górskim, urządza w teatrze kompromitującą dla rzekomego „mistrza" manifestację; sprzedaje bogatemu księciu swą najwierniejszą kochankę. We wszystkich tych zbrodniach Bielecki nie jest demonicznym „mocnym człowiekiem", jakiego chce zbudować autor; to łotr pospolity, nie mający w sobie żadnej głębszej konsystencji duchowej. Zwyczajne straszydło dla ludzi cnotliwych,—figura artystycznie bezcelowa, nie wyrażająca niczego, poza swobodną grą wyobraźni autorskiej. Kradzież twórczości literackiej zmarłego kolegi „mści się" na nim dość naiwnie: Bielecki dla podtrzymania splendoru swego „stanowiska" znakomitego autora, staje się podpalaczem, fałszerzem, skrytobójcą. Istnienie—bezsensowne, na poły patologiczne, a w każdym razie dalekie od wszelkiego „demonizmu". Ten „mocny człowiek", zaplątany w sieci następstw własnych czynów, dzielący czas na kawiarnię, kochankę i rozmyślania, jak uniknąć katorgi—nie ma w sobie ani źdźbła tej pożerającej siły wewnętrznej, której ulegali niegdyś poczciwe, ale napół obłąkane „Dzieci szatana".

Przybyszewski powziął dość szczególny zamiar: postanowił oczyścić Bieleckiego, przerobić, przekształcić do gruntu przez miłość. Bielecki zakochał się śmiertelnie w cudnej żonie swego kolegi szkolnego, Ligęzy. Dawniej z takiego wypadku wynikłoby chociaż jedno samobójstwo, a może morderstwo. Teraz bohater znajdzie w tej miłości *wyzwolenie*. Piękna i anielska pani mówi Bieleckiemu: „Spełniałam wobec tego człowieka (męża) do czasu pewne obowiązki, z których się teraz zwolniłam, i o czem on pierwszy wiedzieć będzie: z miłości ku tobie". I oto Bielecki „był jak oślepiony, przymknął oczy—nie mógł zrozumieć, co się stało—wiedział tylko, że jest pokonany—wsłuchiwał się z natężeniem w siebie: nie czuł upokorzenia. *Z nieprzeczuwalnych źródeł w jego duszy poczęła sączyć się wielka powaga, świętość i przerażenie chwili, w której się nowa siła zrodziła".* Bielecki powie tej kobiecie wszystko, wyspowiada się z całego swego życia i ma za to otrzymać „nową siłę"—przez miłość. A te trupy kolegów, przyjaciół, kochanki?—te stosy zbrodni pospolitych, to wszystko pójdzie w zapomnienie? Nic się nie „zemści?"

Trudno wiedzieć. Przybyszewski jest zbyt wielkim artystą, aby mu wystarczył tak lekko rzucony paradoks. Musimy wierzyć, że ta apoteoza „nowej siły", rzucona tak pobieżnie, zostanie rozwinięta w następnym tomie powieści. Bez tego owo „wyzwolenie" musi pozostać bardzo wątpliwe.

Miłość, przetwarzająca do gruntu zbrodniarza (nawet tak przypadkowego i... dziwacznego, jak Bielecki)—to pomysł, z którego talent Przybyszewskiego wysnuć może świetne pasmo psychologiczne.

Tymczasem, poza Bieleckim, naogół szkicowanym bez wielkiej troski o duchowną prawdę figury, pełno w „Wyzwoleniu" świetnie malowanych postaci. Karska, cokolwiek zmącona w pierwszej części, teraz ma wyrazistą, znakomicie uwypukloną fizjonomję zbrodniczej kochanki. Ona to właściwie, nie Bielecki, stanowi główną, najlepiej rysowaną postać opowiadania. Z wielkim talentem i niemałą oryginalnością zbudowany też został książę Poraj. Atmosferę kawiarniano artystyczną maluje zawsze Przybyszewski znakomicie. I w „Wyzwoleniu" większość akcji toczy się w kawiarniach, z tą samą, co dawniej, siłą wizji. Cały, ten świat zresztą nie może się wyrwać z „tańca miłości i śmierci", ale nie traci nic na swej odrębności, sile swego wyrazu, smutku swego przeznaczenia.

„Wyzwolenie“ nie przynosi może nowych kształtów twórczości Przybyszewskiego, ale jest jakby ogniwem, łączącem jego dotychczasowe na miłość poglądy z wiarą—w miłość, jako moc odradzającą.

Jan Lorentowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Włodzimierz Perzyński. *Łut szczęścia.* (Powieść) str. 166. Warszawa, 1913. Nakład Tow. akc. wydawniczego „Świat“. Skład główny E. Wende.

Pamiętamy ironiczną „Aszantkę“ Perzyńskiego. Pamiętamy jego „Lekkomyślną siostrę“. Pamiętamy „Panią Czajkowską“. We wszystkich tych utworach Perzyński dyskretnie tępił wady ludzkie, nie znęcał się nigdy nad swoim delikwentem. Z tkliwością odsłaniał robaczywe nawarstwienia dusz i serc. Nie zawsze może stać go było na szeroki dech, na wyraźny głos. Ale wciąż podkreślał swoją wybitną indywidualność artystyczną.

Ta indywidualność też sprawia, że „Łut szczęścia“ czyta się z niewładnącem zainteresowaniem, choć właściwie znamy już tego rodzaju tematy. Perzyński umiał nową krew zastrzyknąć w stary organizm i eksperyment udał mu się wspaniale. Ciągle czekamy, że Wroński przegra w kasynie swój mająteczek, a tu na złość czytelnikom sprowadza on swoją żonę do Nicei, by i ta wygrała pokaźną sumkę.

Perzyński świetnie zna międzynarodową atmosferę z nad „Riviery“. Maluje bowiem całe towarzystwo wyraźnie i charakterystycznie. Szczególnie typ pewnego pana, co to zna tajemnicę rulety i posiada swój własny system gry—jest wspaniały. Kompozycja powieści zwarta, tęga. Prześliczne pejzaże tchną aromatami południa.

Kazimierz Wroczyński. *Bengalskie ognie* (noweletty. fraszki) str. 217. Warszawa (bez daty). Nakład i druk Tow akc. S. Orgelbranda S-ów.

Kazimierz Wroczyński uczył się w „Chimerze“ pijetyzmu dla gładkiego słowa. Od tego jednak czasu, gdy śpiewał swoje „Circenses“, odbył ewolucję w kierunku prozy i dramatu. Wierszy jego zjawia się coraz mniej, ale za to artykułów, fraszek, noweletek coraz więcej. Próbował też szczęścia na scenie, które choć niezupełnie oddało mu się na łaskę i niełaskę, tym nie mniej nęciło publiczność i budziło zaciekawienie.

Tomik, który obecnie mamy przed sobą składa się z noweletek, które były już drukowane po różnych czasopismach. Panuje w nich niewymuszony wesoły humor, praży zawadjacka żółć, trzęsie się rozpięta kamizela śmiechu na opasłym brzuchu w „pomieszkaniu“ Franciszka Salezego Bobaczkiewicza. Wogóle Salezy Bobaczkiewicz należy do najświetniejszych obrazków zbioru Wroczyńskiego. Te imieniny mogą każdego zamęczyć śmiechem i rodzajowością kolorytu.

Dobry też jest „Świetny interes“. Satyrka na stosuneczki literackie, satyrka—która wprawdzie mówi o nieistniejącem jeszcze przedsiębiorstwie zakupna pomysłów powieściowych, dramatycznych, elegijnych, erotycznych, ale zdaje się może, że inwencja Wroczyńskiego może się kiedyś zrealizować, a wtedy „Świetny interes“ stanie się proroczym koszmarem.

Noweletty Wroczyńskiego czyta się łatwo i pozostawiają po sobie dobry humor. Ta ostatnia zaleta sprawi pewno, że prędko doczekają się drugiej edycji, czego im życzyć z całego serca należy.

Zbiór poezji i bajek zmarłej w 15-ej wiośnie życia Zosi Konówny. Wstęp pióra N. Jastrzębskiej, str. 92. Warszawa, 1913 Druk Piotra Laskauera.

Młode to dziewczę, przedwcześnie zmarłe, a przez lata całe trapione nieuleczalną chorobą, zostawiło po sobie miłe i serdeczne wspomnienie. Dziecinne jej marzenia tchnęły bowiem taką miłością i przywiązaniem do ziemi rodzinnej, że powinny być postawione za wzór dla młodego pokolenia. Któż nie powtórzy za serdeczną nieudolnością młodego łopotu słów:

O, polecę ja za morza, polecę za góry,
Tylko pożycz mi swych skrzydeł ptaku srebrnopióry,
I popłynę nad tym światem w lazury bez końca,
By smutnym ludziom przynieść trochę słońca,
I uświetlę czarne pola promieńmi jasnemi,
Żeby więcej już nie było łez na polskiej ziemi.

Nieudolne to, lecz jakże miłe! Nie zapominajmy, że pisała to 15-letnia chora dziewczynka, której pracowitość powinna być czczona.

Eustachy Czekalski.

PRASA POLSKA.

— Nie mamy szczęścia do humoru wileńskiego „z urzędu“. Ukazujące się od czasu do czasu jednodniówki przerażają swem ubóstwem myślowem i brakiem absolutnym talentu, wydawnictwa perjodyczne upadają wciąż z tegoż samego powodu. Nic dziwnego, skoro urodzeni humoryści są zajęci pisaniem artykułów wstępnych w „Gazecie Codziennej“! Elukubracje te tem komiczniejsze czynią wrażenie, że są utrzymane w tonie poważnym. Oto próbki z artykułu: „Czarne kruki... postępu“, którym redakcja „Gazety Codziennej“ raczyła swych czytelników w ciągu czterech dni.

„Tak zwany „postęp“, którego głównym i jedynym celem podkopać odwieczne fundamenty, na których opierało się życie nasze duchowe, społeczne i rodzinne, cała nasza kultura; wiarę, która nam wypełniała serca i świeciła nakształt gwiazdy przewodniej zastąpić próżnią i ciemnością, moralność—rozpustą, karność—samowolą, poczucie obowiązku — rozkiełznaniem, uświęcony wiekami porządek—bezładem... postęp ten poczyna swe zatrute rodzić owoce, a przed jego pochodem potępieńczym nakształt złowieszczych kruków czarnych unoszą się: rozpusta i zbrodnia“.

Brr..., cóż za ponury obraz! A wszystko to z powodu „indywidualnego traktowania dzieci“ oraz rozpanoszenia się nowoczesnej „przemądrej“ pedagogji, która odrzuca starą wypróbowaną metodę ślepego posłuszeństwa i ulegania bezwarunkowego woli rodziców i wychowawców.

„...dziecko winno słuchać nie dlatego, że dany rozkaz przypada do jego przekonania lub nie przypada, podoba się lub nie—lecz dlatego, że rozkaz ten pochodzi od rodziców, którzy władzę swą posiadają od Boga.

Takie i jedynie takie posłuszeństwo wybawi dzieci od wszelkich czyhających na nie niebezpieczeństw. To też zmusić dzieci do takiego ślepego posłuszeństwa jest obowiązkiem wszystkich rodziców, a winni są ro-

dzice przed Bogiem i przed społeczeństwem skłonić dzieci swe do takiego posłuszeństwa wszelkiemi środkami, począwszy od słowa napomnienia... kończąc — w razie potrzeby—na owym niezawodnym eliksirze, o którym czytaliśmy w starych elementarzach:

„Różczką duch Święty dziateczki bić radzi,
Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi“.

Na tem jednak nie koniec. Pozostaje jeszcze szkoła, której przełożeni władzę swą posiadają również od Boga. Oczywiście, o ile szkoła nie jest bezwyznaniową. W państwie Rosyjskiem szkół bezwyznaniowych wprawdzie niema, bowiem wykład religji wszędzie jest obowiązujący, ale reszta przedmiotów wykładana jest przez osoby świeckie, a taka zaś nauka—nic nie jest warta.

„Wychodząc z zasady, że Bóg jest początkiem wszystkiego i jest wszędzie i we wszystkiem, widzimy, że religja nie jest nauką niejako od innych odciętą, że przeciwnie matematyka, gieografja, przyroda i t. p. niemniej powinny głosić wszechmądrość i potęgę Stwórcy i tylko w ten sposób wykładane, wywrą wpływ pożądany na serce i umysł dziecka. Atoli tak ująć przedmiot i tak go przedstawić młodocianym słuchaczom może tylko albo kapłan, albo też nauczyciel świecki, posiadający gruntowne wykształcenie religijne i sam głęboko religijny, i oczywiście tego samego co uczniowie wyznania“.

Słowem wszystko byłoby dobrze, gdyby przywrócono szkoły klasztorne z XVII wieku! O język wykładowy mniejsza; może pozostać urzędowy, byle się nim posługiwała osoba w sutanie...

O, „Gazeto Codzienna“!

— Czytamy w ostatnim numerze „Prawdy“:

„Dawno już arystokracja nasza nie występowała czynnie na widowni życia politycznego; zasklepiona w *spendid isolation* od reszty społeczeństwa, niekiedy tylko zwracała na siebie uwagę wystąpieniami, które poszczególnym świetnym nazwiskom wątpliwych przysparzały laurów. Poniński, Potocki, Radziwiłł, Korwin Milewski, Przeździecki. Kwilecki, Ronikier i Bisping — oto kilka nazwisk, wplątanych ostatniemi czasy do spraw kryminalnych lub skandalicznych. Na szerszej widowni życia zdobyli się nasi magnaci bodaj po raz ostatni na czyn zbiorowy w r. 1902-im, kiedy bawiąc w Cannes grono arystokracji warszawskiej wystosowało protest przeciw gotującemu się właśnie we Francji rozdziałowi Kościoła od Państwa.

Od tej wiekopomnej chwili nie zaszło nic takiego w kraju naszym i poza krajem, coby mogło wytrącić z błogiego kwietyzmu nasze *upper ten*. Dopiero zatarg bułgarsko-serbski przełamał ich obojętność i natchnął rozszczebiotane salony inicjatywą dyplomatyczną w formie odezwy do kół kierowniczych Serbji i Bułgarji, oraz do prasy tamtejszej. Odezwa ta, ogłoszona w niektórych pismach francuskich, wzywa ludy bałkańskie do zgody, przestrzega przed zacietrzewieniem waśni bratobójczej i kończy tymi słowy:

„Jedność wasza tworzy siłę waszą i naszą. (?) Europa na was patrzy. Zmuście ją, aby tak was podziwiała w czasie pokoju, jak podziwiała w czasie wojny“.

Tu następuje szereg podpisów osób, należących do kół arystokratycznych warszawskich i gorąco, jak widać, biorących sobie do serca sprawę jedności i zgody... na Bałkanach.

Niema zresztą nic w tym akcie zdrożnego, owszem, świadczy on, że nawet w pomienionych kołach są ludzie, żywo reagujący na spółczesne wypadki i zagadnienia; osobliwością jednak, rzecz można: potwornością tego kroku jest to właśnie, że pomija tu, w Polsce, szereg spraw, stokroć nas bliżej obchodzących, by nieść aż na Bałkany światłe wskazówki i rady zbawienne.

— Europa na was patrzy!—wołają hrabiowie warszawscy do koniuchów bułgarskich i świnopasów serbskich; rozrzewniająca iście komitywa! Skoro jednak tuż pod bokiem, bo w Galicji, wre walka zajadła, ku radości naszych wrogów, między kliką magnatów podolskich, spokrewnionych z warszawską „elitą“ towarzyską—a mrowiem demokracji rusińskiej, haniebnie krzywdzonej w obecnej ordynacji wyborczej—wówczas zapominają umitrowani krzewiciele zgody na Bałkanach, że i na spór polsko-rusiński Europa nietylko patrzy, ale go „głośno już komentuje, na naszą niekorzyść“...

Inne pisma nie szczędzą słów jeszcze bardziej ostrych. „Goniec“ bez ogródek nazywa enuncjację słowianofilów arystokratycznych „wybrykiem Filipów z konopi“.

⊳oooooooooo⊲

NA WIDNOKRĘGU.

Od ośmu przeszło miesięcy w burzliwych dziejach półwyspu Bałkańskiego nie było może chwili tak krytycznej, tak przełomowej, jak chwila obecna. Sprzymierzeni pogromcy Turcji stanęli w pozycji bojowej i lada dzień mógł przynieść postanowienia nieodwołalne i fakty rozstrzygające.

O naprężeniu sytuacji świadczy najlepiej zarówno treść jak i ton telegramu Cesarza Rosyjskiego do królów Serbji i Bułgarji. Ten akt wielkiej wagi, który, zdaniem najpoważniejszych organów prasy europejskiej, wywrze na nastrój obu krajów wpływ rozstrzygający, stwierdza ostatecznie pewne fakty, co do których istniały tylko domysły i sprzeczne pogłoski.

Okazuje się, że układ, zawarty pomiędzy Bułgarją a Serbją przyjmuje rolę zwierzchniczą Rosji w zakresie znacznie szerszym, niż mniemano dotąd. Nie jakaś specjalnie określona sprawa, lecz „wszelkiego rodzaju spór, dotyczący stosowania ustaw tego traktatu i związanych z nią umów“ ma podlegać wyrokowi rozjemczemu Rosji. Znika również wszelka wątpliwość co do charakteru zobowiązań Serbji i Bułgarji. Okazuje się, że oba kraje zaciągnęły te zobowiązania, nietylko nawzajem do siebie, lecz także w stosunku do Rosji, która nie zostaje w danym razie zaproszona na superarbitra, lecz z mocy traktatu otrzymuje prawo wydawania wyroków rozjemczych.

Polityka Sazonowa nie cieszyła się uznaniem w opinji rosyjskiej, szczególniej zaś w kołach nacjonalistycznych. Zarzucano jej bierność. brak aktywności i energji, jak również zbyt pojednawczy ton w różnych sprawach europejskich i azjatyckich. Zarzucano jej jeszcze odgrodzenie się od opinji publicznej i zbyteczne uprawianie tajemnic kancelaryjnych, po za któremi, zdaniem krytyków, nie ukrywały się bynajmniej żadne dodatnie niespodzianki.

W świetle ostatnich doświadczeń polityka ta okazuje się o wiele czynniejsza i sprawniejsza, niż się mogło wydawać w ostatnich latach. Polityka ta doprowadziła do utworzenia koalicji na Bałkanach, a Serbję i Bułgarję związała traktatem, który ma pewne cechy protektoratu rosyjskiego. Wprawdzie nie wszystko w owym związku Bałkańskim poszło tak, jak układali sobie jego inspiratorzy, niemniej wszakże związek w roli koalicji antytureckiej doszedł do skutku, a dyplomacja i opinja rosyjska otwarcie głosi konieczność utrzymania nadal tej kombinacji i skierowania jej ku znanym celom panslawistycznym.

Podpisanie traktatu serbsko-bułgarskiego nastąpiło w lutym r. z. W tym czasie zmarł zwycięzca w zatargu aneksyjnym hr. Aehrenthal i następca jego został obecny kierownik polityki zagranicznej monarchji Habsburskiej hr. Berchtold. Zaraz po nominacji otrzymał on od ministrów Sazonowa i Kokowcewa uprzejmy telegram, wyraża-

jący nadzieję dobrych stosunków pomiędzy obu państwami. Prasa nacjonalistyczna z „Nowoje Wremia“ na czele zarzucała z tego powodu ministrom, że uchybili godności swej, witając w ten sposób następcę i spółpracownika notorycznego przeciwnika Rosji.

Wszakże w tym samym czasie, kiedy hr. Berchtold odbierał optymistyczne wrażenia z telegramu ministrów petersburskich, z materjałów wybuchowych nagromadzonych w podziemiach półwyspu Bałkańskiego, sprawne ręce tworzyły groźną minę, która miała w niwecz obrócić troskliwie strzeżony gmach status quo. A z po za gruzów państwa otomańskiego ukazały się nagle traktaty, ułożone w duchu zasady panslawistycznej, które obecnie interwencji rosyjskiej nadają wielką doniosłość i szczególne znaczenie uznanego zwierzchnictwa moralno-politycznego. Polityka Aerenthala i Berchtolda przeoczyła całą tę ukrytą robotę, której skutki ukazały sie nagle na jesieni r. z. I wtedy jeszcze Wiedeń nie zrozumiał prawdziwego sensu magicznej formuły o status quo, która po pierwszych tryumfach związkowców zmieniła się w formułę nieinterwencji po to, ażeby dzisiaj przybrać zgoła odmienną postać.

Obecnie związek bałkański przechodzi chwilę krytyczną. Nie zapobiegła jego utworzeniu i działalności polityka wiedeńska i nie ona zapewne zdoła go rozbić lub skierować na inne tory. Może to wszakże nastąpić w skutek wewnętrznych czynników, które związek rozsadzają, wskutek zasadniczych antagonizmów, ożywionych jeszcze przez wzmożenie uczucia narodowego po zwycięskiej wojnie. Należy przypuszczać że Serbja i Bułgarja zgodzą się na rozjemczy sąd Rosji. Usuwa to wprawdzie obawę natychmiastowej wojny, ale nie rozstrzyga jeszcze kwestji dalszego stosunku pomiędzy obu państwami, od tego zaś, jak on się ułoży, zależy możliwość wznowienia koalicji bałkańskiej i związanych z nią kombinacji. Zawikłania bałkańskie pozostały nawet po upadku Turcji.

⊳ooooooooo⊲

Pragnienia słowian południowych.

Korespondent wiedeński „Dnia“ podaje nader ciekawe informacje o zapatrywaniach słowian austrjackich na zatarg serbsko-bułgarski. Jak się okazuje, politycy chorwaccy nie mają nic przeciwko temu, by Serbja weszła w skład monarchji austro-węgierskiej. Oto, co pisze ów korespondent p. A., znany zresztą jako przeciwnik orjentacji austrjackiej.

„Przyznaję się otwarcie do błędu. Do tej pory przypuszczałem, że słowieńcy i chorwaci w Austro-Węgrzech sympatyzują nie z bulgarami, lecz z serbami w sprawie przyszłego rozgraniczenia między Serbją a Bułgarją. Przypuszczałem, że słowieńcy i chorwaci są oburzeni na bułgarów i niczego innego więcej nie pragną, aniżeli przyznania królestwu serbskiemu jak największego obszaru terytorjalnego.

Tymczasem wczoraj, na podstawie rozmowy, którą miałem z jednym z najznakomitszych posłów południowo-słowiańskich w parlamencie austrjackim, przekonałem się, że jestem w błędzie

Gdy zapytałem się owego posła o jego pogląd na spór serbsko-bułgarski, zapytał mię w ten sposób:

— Czy pan chce słyszeć moje zdanie prywatne, czy też pan chce ogłosić wywiad dziennikarski?

— Chodzi mi o wywiad dziennikarski z pańskiem nazwiskiem.

— W takim razie muszę panu powiedzieć nasze zapatrywanie oficjalne. Pragniemy, ażeby pomiędzy Serbją a Bułgarją do wojny nie przyszło i spodziewamy się, że do owej wojny nie przyjdzie. Na kompromisie między Serbją a Bułgarją cała Słowiańszczyzna południowa wyjdzie jak najlepiej. Serbja będzie dosyć silną, ażeby rozrastać się kulturalnie. Jej rozrost kulturalny oddziała dodatnio na całą Słowiańszczyznę południową, a więc także i na nasze stanowisko w Austro-Węgrzech.

— Czy to wszystko?—spytałem.

— Jeżeli pan chce wywiadu z mojem nazwiskiem, to wszystko, co mogłem powiedzieć. Jeżeli jednak pan się chce dowiedzieć o naszym prawdziwym poglądzie na spór serbsko-bułgarski, w takim razie powiem panu prawdę, to jest poinformuję pana o prawdziwych zapatrywaniach całego świata słowiańskiego i chorwackiego na spór serbsko-bułgarski, ale proszę pana nie ogłaszać mojego nazwiska z powodów, które pan bardzo dobrze rozumie.

— Zastosuję się w takim razie—odpowiedziałem—do woli szanownego posła i nazwisko jego przemilczę.

— Dobrze. W takim razie służę panu szczerą prawdą. Jesteśmy wprost oburzeni na serbów, że chcą zabrać terytorjum macedońskie, będące pod względem etnograficznym wyłącznie ziemiami bułgarskiemi, a wzamian za to dopuszczają się istnej zbrodni na Słowiańszczyźnie, ponieważ za pomoc, którą niesie Serbji Grecja, są gotowi oddać w ręce największego wroga Słowiańszczyzny południowej, a więc w ręce greków tak prastare miasto słowiańskie, jakiem jest Soluń, czyli Saloniki.

— Pierwszy raz słyszę—zauważyłem—że Saloniki są miastem słowiańskiem. Do tej pory sądziłem, że jest to miasto greckie.

— Ma pan zupełnie mylne wyobrażenie o Salonikach, wszakże z Solunia pochodzą ci dwaj apostołowie bułgarscy, którzy całej Słowiańszczyźnie zachodniej przynieśli wiarę chrześcijańską. Są to święty Cyryl i Metody. Byli to przecież bułgarzy z Solunia. Wyszli też oni z Solunia na zachód, by krzewić chrześcijaństwo między słowianami. Soluń był i jest miastem bulgarskiem, a raczej słowiańskiem. Każde dziecko siedmioletnie u słoweńców i chorwatów uważa Soluń jako świętość narodową, której niepodobna wydać w ręce greków. To też układ rządu serbskiego z Grecją, układ, wydający Soluń w ręce greków, wzamian za pomoc Grecji przeciwko bułgarom, wystarczy już, by śród wszystkich słowian południowych wywołać niesłychane oburzenie na Serbję.

— W takim razie życzycie panowie zwycięstwa bułgarom?—spytałem.

—Nie ulega wątpliwości—odparł mój informator—że odebranie przez bułgarów Solunia napełniłoby nas wielką radością. Nie należy jednak zapominać, że uśmiecha się nam jeszcze inna ewentualność, Jeżeli mówię „nam“, w takim razie mam na myśli owych słowian południowych austrjackich, którzy pragnęliby zjednoczenia wszyskich słowian południowych pod egidą monarchji Habsburskiej, ażeby w ten sposób raz na zawsze złamać prze-

wagę madzjaryzmu. Nie jest wykluczonem, że na wypadek wojny pomiędzy Serbją i Bułgarją, może przyjść do dalszych zawikłań, skutkiem których Austro-Węgry zajęłyby sandżak nowobazarski oraz część znaczną Serbji. Skutkiem takiego zaboru wszyscy serbowie znaleźliby się pod berłem Habsburgów. A wtedy urzeczywistniłby się nasz ideał, to jest federalizacja całej monarchji Habsburskiej.

— Niech pan nie używa—proszę pana o to i proszę całej prasy polskiej—wyrazu „tryalizmu". My żadnego „tryalizmu" nie chcemy. Ten termin polityczny wynaleźli niemcy, ażeby odstraszyć od popierania sprawy bałkańskiej słowian, czechów i was, polaków. My, słowianie, dążymy do federalizmu, to jest do oparcia budowy prawnopaństwowej Austro-Węgier na zasadzie grup narodowych. Zdaje mi się, że jest to zasada słuszna. I gdyby monarchja Habsburska obsadziła ziemie serbskie, które teraz tworzą królestwo serbskie, wówczas musiałoby odrazu przyjść do federalizmu. A więc nie tylko z powodu Solunia, jako miejsca wręcz świętego pod względem narodowym, lecz także i gwoli przyszpieszenia federalizacji monarchji Habsburskiej życzymy, gdyby miało przyjść do wojny, zwycięstwa orężowi bułgarskiemu".

Na tem skończyła się interesująca rozmowa.

KRONIKA.

= **Duma i ministrowie.**

Wszystkie pisma rosyjskie zajmują się gorąco ostatnim zatargiem Dumy z ministrami; powstał on w związku z zakończeniem mowy prawicowca Markowa II-go i frazesem „Nie wolno kraść", zwróconym do loży ministrów. Ministrowie demonstracyjnie opuścili swe miejsca, przewodniczący ks. Wołkonskij, przywołał mówcę do porządku. Ministrowie nie zadowolili się tym, uważając, że reagować powinna była cała Duma państwowa, a nie jeden tylko przewodniczący.

Na odbytem posiedzeniu rady ministrów uznano, że słowa Markowa odnoszą się w jednakowym stopniu do wszystkich ministrów. Ponieważ Duma nie reagowała na odezwanie się Markowa, przeto—rada ministrów uchwaliła, aby ministrowie i naczelnicy poszczególnych zarządów nie przychodzili wcale do Dumy.

„Riecz"—wbew zaprzeczeniom innych pism — dowiaduje się, że na posiedzeniu rady ministrów, d. 31 maja minister Makłakow wystąpił z mową o konieczności rozwiązania Dumy państwowej, ponieważ Duma, wskutek braku większości z którą mógłby pracować rząd, nie daje możności przeprowadzenia pewnych reform. Makłakow zapewniał przytem, że piąta Duma państwowa będziej bardziej prawicowa.

Większośc ministrów uznała, że rozwiązanie Dumy w chwili obecnej, kiedy powstał zatarg na tle osobistem — nie jest wskazane.

Zarówno partje parlamentarne, jak i pisma potępiają odezwanie się Markowa, przypominając, że właśnie ministerjum skarbu cieszy się najlepszą opinją.

= **Sprawa Akademji wojskowo-lekarskiej w Senacie.**

Dn. 5 b. m. „Riecz" donosiła, iż Senat wypowiedział się się przeciw opublikowaniu nowej ustawy Akademji wojskowo-lekarskiej, jako przeprowadzonej w nieodpowiednim porządku. Zdaniem Senatu ustawa winna była być przeprowadzona w ogólnej drodze prawodawczej.

Za nielegalne uważa również Senat wprowadzenie w życie ustawy przed opublikowaniem jej.

Rada Ministrów, wbrew opinji ministra wojny, Suchomlinowa, podzieliła opinję Senatu.

Wskutek tego p. Suchomlinow wycofał nową ustawę z Senatu i podobno proponuje przeprowadzenie jej w drodze art. 87 — w nadziei, iż Duma nie zechce odrzucać już działającej ustawy.

= **Prasa wileńska.** Według oficjalnych wiadomości komitetu do spraw prasowych, w r. 1912 w gub. wileńskiej wychodziło: pism polskich—25, rosyjskich—26, litewskich—10, żydowskich—5 i białoruskich—2. Razem—67.

= **Zamknięcie Tow. Kultury polskiej.**

Warsz. komisja gubernjalna do spraw stowarzyszeń i związków rozważała sprawę. Towarzystwa „Kultury polskiej", którego działalność, jak wiadomo, przed kilku miesiącami uległa zawieszeniu.

Komisja uchwaliła Towarzystwo Kultury polskiej zamknąć.

= **Zawieszenie miesięcznika litewskiego.**

Wydawany od r. 1911 miesięcznik litewski „Pasinutinys", przeznaczony dla litwinów wyznania ewang.-reformowanego, przestał wychodzić, ponieważ gubernator kowieński zabronił wydawać i redagować go w Radziwiliszkach.

= **Uwięzienie wybitnego rewolucjonisty.** Na statku „Mikołaj II" przywieziony został z Aleksandrji do Odesy głośny wśród marynarzy działacz rewolucyjny Adamowicz, znany w kołach partyjnych pod przezwiskiem „Karol". Przed kilku laty uciekł Adamowicz z Odesy zagranicę W ostatnich czasach zamieszkał w Aleksandrji, gdzie zaczął wydawać w języku rosyjskim czasopismo p. t. „Moriak", bardzo rozpowszechnione na statkach rosyjskich. Adamowicz prowadził również propagandę rewolucyjną śród załóg przybywających do Aleksandrji okrętów rosyjskich. Po długich pertraktacjach rząd egipski zgodził się wydać Adamowicza władzom rosyjskim. Przy uwięzieniu Adamowicza część mieszkańców Aleksandrji stawiła zacięty opór. a marynarze statków zagranicznych chcieli siłą udaremnić wsadzenie Adamowicza na okręt „Mikołaj II". Z Odesy do Aleksandrji rząd rosyjski dla ujęcia Adamowicza wysłał bardzo silny kordon policji i agientów „ochrany" pod dowództwem naczelnika policji odeskiej, W czasie podróży zarządzono wyjątkowe środki ostrożności.

Adamowicz oskarżony jest o przestępstwa polityczne i organizację zamachów terrorystycznych na niektóre wojenne statki rosyjskie.

= **Pocztówki z widokami Połągi.**

Polskie Tow. krajoznawcze w Warszawie wydało nową serję pocztówek z widokami Połągi. Serja składa się z 12-tu kartek następujących: 1) Sosny nadbrzeżne. 2) Zatoka pod Holenderską Czapką. 3) Sosny na Czapce Holenderskiej. 4) Fala przy brzegu. 5) Nadciągająca burza. 6) Wieczór na pomoście. 7) Wydmy nadbrzeżne, opanowywane przez roślinność. 8) Grota Matki Boskiej z Lourdes w Górze Biruty. 9) Kaplica na Górze Biruty. 10) Łazienki. 11) Dom zakładowy. 12) Pałac F. hr. Tyszkiewicza.

Pocztówki odbite zostały bardzo starannie w zakładzie Wierzbickiego i mają napisy w językach polskim i litewskim.

Treść numeru.

Wpływy postronne.
Rosjanie—a sprawa polsko-żydowska.—B. H.
Spełnili powinność — J. Bróg.
Lord Avebury. — St. Posner.
O „zwyrodnienie młodzieży".—W. Szukiewicz.
Biedne miasto. — K. Niedziałkowski.
Nad Sekwaną. — W. Kiślańska.
Mewa. — W. Niedziałkowska.
Wątpliwe wyzwolenie. — J. Lorentowicz.
Przegląd piśmienniczy. — E. Czekalski.
Prasa polska.
Na Widnokręgu.
Kronika.
Odcinek: „Rasa". — Z. Kleszczyński.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ„. Wilno Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 28 czerwca (11 lipca) 1913 r. № 24—26.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie 7.00
Półrocznie 3.50
Kwartalnie 1.75
Miesięcznie 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie . . . . . 8.—
Półrocznie 4.00
Kwartalnie 2.00
Miesięcznie 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . 50 k.
W tekście (nadesłane) . . . . . 1 rb.
Po tekście . . . . . 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Baczność!

Od szeregu lat weszły dzieje cywilizowanego świata w okres walk, wstrząśnień i przewrotów. Porażka Rosji na dalekim Wschodzie; ruch wolnościowy w państwie; rewolucja perska; rewolucja turecka; przesilenie bośniacko-hercegowińskie i groźny zatarg między Rosją a monarchją austrjacko - węgierską; początki rozbioru Turcji; rewolucja portugalska; zatarg marokański i zażegnane w ostatniej chwili widmo wojny między Francją i Anglją a Niemcami; rewolucja chińska; napad włochów na Trypolis; zbrojna akcja Związku bałkańskiego przeciwko Turcji i upadek państwa Otomańskiego w Europie; nowy, groźniejszy od poprzedniego zatarg między Rosją a Austrją i Węgrami, widmo pożogi wojennej nad całą niemal Europą — oto suche wyliczenie faktów, które wypełniły ostatnie dziesięciolecie.

Rezultatem ich szereg niezliczony nierozwiązanych kwestji spornych, rozbudzonych pożądań, rozdrażnionych ambicji, pokrzyżowanych planów; rezultatem istny chaos w świecie dyplomacji, upadek starych i nowych dogmatów politycznych, kombinacji, sojuszów; a śród ogólnej niepewności i zamętu jako jedyna rzecz pewna, żadnej nie podlegająca wątpliwości—wzmożenie się dążeń wojowniczych, szalony wyścig zbrojeń na morzu i na lądzie, grożący państwom i społeczeństwom ruiną, wiodący w sposób nieuchronny ku katastrofom socjalnym, albo ku wielkiej wojnie. Przed rydwanem boga wojny, rwącym się do lotu, rozwiewają się w pył zasady równowagi finansowej, wzgląd na dobrobyt i siłę podatkową ludności, wzgląd na postępy kultury. Pod kołami tego rydwanu padają zdeptane sentymentalne hasła wiecznego pokoju, głoszone przez zdobywców, pragnących w spokoju spożywać swe łupy. Napróżno masy ludu, przywodzone do ruiny, próbują tu i ówdzie powstrzymać fatalny ów pęd.

Militaryzm zwycięsko pędzi w przyszłość krwawą, w przyszłość morderczych walk pomiędzy państwami i narodami.

Mogło się zdawać niedawno jeszcze, że wyścig zbrojeń wynikiem jest tylko dążności imperjalistycznych, spekulacji giełdziarzy i magnatów przemysłowych, że do wojen prą tylko aferzyści, albo ciemne potęgi reakcji.

Dzisiaj rzeczywistość złudzeniom tym przeczy; rozbudzone namiętności wojenne porywają masy; w wielu wypadkach ogromna część ludności żąda ofiar wojennych, żąda walki. Nawskroś narodowemi w tem znaczeniu były wojny ostatnie, szczególniej prowadzone przez włochów i Związek bałkański.

Mogło się zdawać, że jeden przynajmniej z narodów, przodujących dzisiejszej kulturze, wielki naród francuski wyzbywa się stopniowo instynktów wojennych, zaprzątnięty pracą ekonomiczną i kulturalną; dzisiaj jesteśmy świadkami wielkiego, narodowego porywu francuzów ku stworzeniu lotnictwa wojskowego, a wreszcie zdumiewającego aktu ofiary, którą naród ten (znakomitą większością) sam na się nakłada, ofiary cięższej, niż ofiary z mienia: Francja powraca do trzechletniej służby wojskowej, bez ulg i przywilejów!

Zdawać się mogło także, że dzielny, życiowej mocy pełen naród angielski, pozostawiając służbę żołnierską rzemiosłem, uchylił się już na zawsze od powszechnego i obowiązkowego podatku krwi na rzecz państwa. A dzisiaj wre w Anglji agitacja za armją narodową, a najlepsza młodzież angielska staje w szeregach skautów — młodych bojowników ojczyzny.

Europa gotuje się stanąć pod bronią. Nie tak stanąć, jak dawniej, gdy armje jej najemnicze, albo też złożone z rekrutów, przemocą wcielanych na całe życie do wojska, bywały czemś obcem własnemu narodowi, postrachem dla własnego społeczeństwa. Do wojny szykują się dzisiaj ludy całe. Powszechna służba wojskowa porywa rokrocznie większość młodzieńców w oznaczonym wieku, zdatnych do noszenia broni; a liczba brańców podnosi się dzisiaj wszędzie i rychło wyjątkiem będzie w całej Europie mężczyzna, który w wojsku nie służył. Brańców tych przetwarza armja w tempie coraz żwawszem, w coraz to krótszym przeciągu czasu, w wyćwiczonych żołnierzy, ażeby jak najrychlej nowemi zastępami wzmóc wielką masę siły zbrojnej państwa. Masa ta, to przedewszystkiem rezerwa, to cały ogół obywateli kraju, do broni zdatnych i wyszkolonych przez odbycie powinności wojskowej. Wojsko stałe, a raczej każdo-

razowo stając pod bronią, jest ułamkiem tylko siły zbrojnej państwa, wielką szkołą wojskową, pogotowiem do powstrzymania nagłego napadu. Mimo wahań takich, jak dzisiejsze cofnięcie się Francji do służby trzechletniej, wywołanych właśnie troską o pogotowie stałe, punkt ciężkości dzisiejszego militaryzmu z logiką nieubłaganą przenosi się z koszar wojskowych na masy pracującego ludu. Od ich sprawności, tężyzny i zapału zawisły losy wojen. Stąd też szukać musi dzisiejsza wojskowość dopełnienia w wychowaniu wojskowem młodzieży, w samorzutnem ćwiczeniu się wojskowem mężczyzn, w popularyzowaniu najszerszem sztuki wojskowej i wiedzy. Lud cały służyć ma bogu wojny, więc bóg wojny wdziera się w ducha i krew ludzi.

Zda się, że koło dzisiejszego rozwoju ma się zamknąć: że wojskowość znowu niebawem, będzie prostą gotowością człowieka do zbiorowej obrony zbiorowego istnienia, że żołnierz stanie się zwykłym obywatelem, każdy obywatel żołnierzem, a wyraz cnota, stanie się znowu równoznaczny z męstwem.

* * *

Nowa wojna bałkańska jest już faktem dokonanym. Bułgarja walczy na dwa fronty z Serbją i Grecją. Kryzys bałkański, zdawało się zażegnany przed paru miesiącami, wybuchł z jeszcze większą siłą, grożąc nowemi powikłaniami, bo oto na widownię występuje nowy czynnik, zachowujący się dotychczas biernie: Rumunja pośpiesznie mobilizuje swe siły zbrojne, by odegrać rolę decydującą na półwyspie Bałkańskim. Teren wojny się rozszerza.

W Bukareszcie zmagają się w tej chwili ze sobą wpływy dwuch zasadniczych ugrupowań mocarstw europejskich: trójprzymierza i trójporozumienia.

Które z nich zwyciężą? Trudno dziś odgadnąć. Nie ulega wątpliwości wszakże, że porażka tych lub owych pociągnie za sobą konsekwencje szukania odwetu na zwycięzcy. Niebezpieczeństwo wojny środkowo-europejskiej jest takie same, a może więcej nawet groźne, niż na jesieni roku bieżącego.

Więc, baczność!

***

Polityka realna, czy realna siła?

Śród ciemnej i ponurej nocy, jaka pokrywa gęstym całunem nasze życie spółczesne, ostatnie wydarzenia dumskie i stanowisko—zarówno posłów z Królestwa, jak mówców opozycji rosyjskiej, zwłaszcza kadeckiej—są temi błyskawicami, które grożą piorunem, lecz rozjaśniają widnokrąg. Dają one możność zorjentowania się najbardziej krótkowzrocznym i najbardziej nieczułym na zjawy życia. Zwłaszcza w obozie ugodowym, obozie, który obecnie tak bardzo rozrosnął się i rozpanoszył w prasie warszawskiej, wypadki ostatnie powinny dać temat do poważnych rozmyślań.

Trudno się łudzić, żeby ci, którzy nie chcą patrzeć i widzieć, przejrzeli, żeby ci, którym pod każdym względem i dzisiaj jest dobrze, zmienili zdanie, ale trzeba wierzyć, że te jednostki mało krytyczne, które w lojalności i oportunizmie widziały i widzą puklerz przeciwko coraz nowym ciosom ze wschodu, które wloką się bezradnie w ogonie reakcji politycznej, spostrzegą, jak bardzo błądziły.

Nasi ugodowcy starej i nowej daty, nie tylko z prawicy, lecz i z lewicy, trzymali się i trzymają w sprawie narodowej tej zasady, że w naszych opłakanych warunkach politycznych winniśmy jedynie trwać przy tem, co jest, baczyć, by nie było gorzej i, w miarę możności, zdobywać drobne ustępstwa.

Jedni radzą kroczyć drogą legalną i lojalną, drudzy każą czekać, aż proletarjat powie ostatnie słowo, zmieni ustrój.

I jedni i drudzy mają na względzie przedewszystkiem ciasny interes klasowy, kwestję zaś narodową traktują, jako podrzędną. Pierwsi—dlatego, by im nie przeszkodziła w spożywaniu darów bożych dzisiaj, drudzy, by im nie przeszkadzała w ich zdobywaniu.

To też, choć w zasadzie ich postulatom narodowym na dziś trudno odmówić dobrej woli, w praktyce, w życiu—ze względu na założenie i drogi, jakiemi kroczą,—polityka „realna“ daje rezultaty opłakane, haniebne.

Ugodowcy sądzą, że najpewniejszym środkiem ochronnym dla narodu jest przemilczanie wszelkich potrzeb i dążeń szerszych, jest przystosowanie się całkowite do warunków niewoli, jest lojalność, granicząca z zaprzaństwem, jest skłonność do kompromisów, najdalej idących, słowem, obłuda polityczna.

Nie chcą i nie umieją zrozumieć, że, jak słusznie podkreślił w №25-ym „Prawdy“ W. Rzymowski, każde drobne nasze realne żądanie — sfery konserwatywne (mojem zdaniem i niekonserwatywne) uważają za zrzeczenie się wyższych aspiracji.

Nie chcą zrozumieć, że ugodowość i ustępczość tłumaczone są w Rosji, jako objaw słabości, a więc dowód—według rządu i sfer reakcyjnych—skuteczności represji dotychczasowych, a—według prasy postępowej—zbliżenia kulturalnego, że przemilczanie naszych dążeń i potrzeb jest uznawane za brak ich istotny, że wreszcie rezultatem całej tej polityki jest tylko dezorjentacja społeczeństwa, stopniowe upodlenie.

Trudno, ma się rozumieć, od ugodowców — obszarników i ugodowców — kamieniczników wymagać polityki męskiej i mężnej, bo wypływającej z przekonania o poparciu całego społeczeństwa. Taką politykę może prowadzić jedynie świadoma interesów społecznych i narodowych—demokracja, przedstawiciele ludu. Lecz nawet od przedstawicieli klas uprzywilejowanych należałoby się spodziewać więcej godności narodowej i ludzkiej.

Niestety, oportunizm tak przeżarł tych panów, a atmosfera petersburska tak zdeprawowała, że biorą policzki coraz boleśniejsze, a—co najgorsze—powodują pośrednio naigrawanie się ze strony wykształconych przez Iłowajskich rosjan—nad całym narodem polskim.

W ciągu lat 7-iu od żadnego ciosu narodu nie uchronili, bo to nie było w ich mocy, niczego dla niego nie zdobyli. A w Rosji dziś mniej się z nami liczą i mniej nas szanują, niż dawniej.

W czasach ostatnich ugodowcy nasi powiedzieli sobie: znośmy upokorzenia, kroczmy „prawem i lewem“, byle dostać samorząd miejski.

Samorząd jest rzeczywiście dla Królestwa konieczny. Miasta polskie skazane są na zastój, rozwój ich jest wstrzymany.

Lecz czyż to znaczy, że każda karykatura samorządu, przerobiona na narzędzie wynarodowienia, jest dla nas dobra, że o nią ubiegać się, starać mamy?

Naiwni ugodowcy na serjo sądzą, że przepro-

wadzenie samorządu w Królestwie od ich lojalności zależy, że na losy jego wpłynąć mogą. Nie widzą tego, że, im bardziej i chciwiej wyciągają poń dłoń żebraczą, tem więcej utwierdzają rząd w przekonaniu, że z prezentem spieszyć się nie należy, że snać jest jeszcze za dobry.

A co będzie, jeżeli język polski ostatecznie będzie przez komisję porozumiewawczą Dumy i Rady państwa—odrzucony zupełnie?

Czy i wtedy samorząd dla kamieniczników będzie dobry? Czem opłacą się wówczas zachody i upokorzenie wobec opozycji dumskiej?

Wszak dziś stanowisko Koła—wobec stosunków, jakie się wytworzyły, jest takie, że jedynym krokiem, który im pozostaje, to — złożenie mandatów. Lecz na to zdobyć się nie potrafią.

Oprócz jaskrawego światła, jakie zajścia ostatnie rzuciły na upokarzające stanowisko posłów polskich, nie mniej ciekawie zarysowało się w nich i opozycji rosyjskiej, zwłaszcza kadetów z Rodiczewym na czele. Opozycja dumska widziała i widzi, a jest to niezmiernie charakterystyczne, w projekcie samorządu miejskiego dla Królestwa jeden główny brak: ograniczenie żydów.

Krasomówca kadetów Rodiczew w swych przemówieniach rozwodził się nie o pozostawieniu całkowitem za nawiasem samorządu szerokich mas ludności, „przyjaciel polaków“ bolał nie nad upośledzeniem języka polskiego, a nad ograniczeniem kupców i sklepikarzy żydowskich.

I nie w myśl haseł demokratycznych, potrzeb ludu, ale w myśl ograniczeń żydów żądał od przedstawicieli obszarników i kamieniczników Królestwa, by się tego samorządu zrzekli.

Okazuje się, że nie napróżno rozwodził się na łamach kadeckiej „Ruskiej Myśli“ p. Bukszpan o znaczeniu państwowem żydów w Polsce.

Dziś kadeci coraz wyraźniej zajmują stanowisko obrońców interesów państwowych w Królestwie, a więc interesów żydów, a reakcyjne i oportunistyczne przedstawicielstwo polskie jest im w tem na rękę, bo daje im atut „pryncypjów“, atut obrony uciśnionych krzewicieli kultury „demokratycznej“, cementu czerwonego, żydów.

Nie widząc innych przedstawicieli, prócz tak oportunistycznych, jak p. Jaroński, lub tak ciemnych, jak p. Jagieło, a czerpiąc wszelkie informacje o Polsce ze źródeł żydowskich, kadeci i reszta opozycji rosyjskiej, nie traktują nas już, jak odrębnego narodu, mającego pewną siłę zwartą, mającego pewne wyraźne i określone aspiracje i przestają się z nami liczyć.

I nic w tem dziwnego. Pryncypja — pryncypjami, a życie—życiem. Nie tylko rząd, nie tylko reakcja rosyjska, lecz i opozycja liczy się przedewszystkiem z siłą realną, materjalną i duchową. Nie polityka realna, a siła realna stanowi o stosunku wzajemnym narodów. Gdyby rosjanie widzieli w nas społeczeństwo zwarte, demokratyczne, nazewnątrz jednolite, jak finlandczycy, inne zgoła względem nas zajęliby stanowisko.

A stąd wywód jeden: naród, pozostając w tych warunkach, co nasz, winien tworzyć siłę realną wewnątrz, o ile zaś ją posiędzie, nazewnątrz polityka jego wyleje się w inne, więcej odpowiednie dla jego potrzeb i godności—formy.

Wi-ski.

⊳ooooooooo⊲

Oskarżenie przed forum Europy.

W № 5 i 6 wychodzącego w Paryżu miesięcznika pod redakcją pp. J. Gabrysa i J. Pelissier'a— „Les annales des nationalités“ znajdujemy szereg artykułów, poświęconych sprawie litewskiej. Śród nich szczególną naszą uwagę zwraca rozprawa p. A. Jakstasa p. t. „Lituaniens et polonais“, reasumująca wszystkie popularne oskarżenia, jakiemi obarczają sumienie polskie nacjonaliści litewscy.

By się w nich rozejrzeć i aby zgłębić istotę owych zarzutów, przedewszystkiem streśćmy rzeczony artykuł.

Na wstępie p. Jakstas ubolewa, iż sprawa litewska mało jest dotąd znana w Europie, skutkiem tego, iż przez długi czas nie odróżniano jej od kwestji polskiej. Autor więc podnosi z naciskiem plemienną obcość polaków i litwinów, zaznaczając przytem, że jeżeli ongi Litwa zawarła z Polską unję dynastyczną, to jeszcze nie racja, by polacy uprawnieni byli do uważania jej za część integralną Polski. Tymczasem, opierając się na tem, iż przodkowie ich Litwę nawrócili na chrześcijaństwo, czują się oni — zdaniem p. Jakstasa — w prawie narzucania swego języka, zwyczajów, oraz ideałów politycznych i narodowych. Litwinów, nie poddających się tym przesadnym uroszczeniom i pragnącym tworzyć kulturę własną, polacy traktują pogardliwie i przezywają „litwomanami“. Nadto dyskredytują pracę działaczów litewskich nietylko w prasie polskiej, ale również francuskiej i włoskiej.

W krótkich słowach streszcza następnie p. Jakstas względy, dla których zawarto w XIV w. unję, dając przytem do zrozumienia, iż leżała ona przedewszystkiem w interesie Polski, która łączyła się z niebyle jakiem mocarstwem, bo z państwem 3-krotnie od niej większem.

Mimo to, polacy dotychczas bronią swej hegiemonji i przewagi, gdyż zdaje im się, iż związek polityczny, przed wiekami zawarty, jest tak święty, jak małżeństwo. Za wrogów swych i zdrajców tradycji poczytują litwinów, kochających swą mowę ojczystą, rozwijających literaturę własną i broniących sprawy narodowej.

Według polaków, unja polsko-litewska jest rzadkim w dziejach przykładem idealnego zbratania się dwu narodów. Jeżeli wszakże bezstronnie historję jej traktować, stwierdzić wypadnie stałą dążność Litwy do wyrwania się z objęć Polski. Właściwie pierwszym separatystą był już Witold, który proklamował się królem litewskim i byłby nim niewątpliwie został, gdyby nie to, że polacy przejęli koronę, wiezioną mu przez posłów cesarza Zygmunta. Związek polsko-litewski zrywany był następnie w latach 1490, 1492, 1506, 1526 — kiedy to litwini obrali sobie panującego, nie oglądając się na Polskę. W wieku XVII, gdy Litwę najechali szwedzi i rosjanie, magnaci tacy, jak Radziwiłł np., odwrócili się od Polski, by zawrzeć sojusz ze Szwecją. P. Jakstas odmawia Sienkiewiczowi prawa do uważania Janusza Radziwiłła za zdrajcę, ile że ród Radziwiłłów należał zawsze do najwierniejszych obrońców sprawy litewskiej i nawet ostatnio Radziwiłł, zasiadający w rosyjsk. Radzie Państwa (?) podaje się za litwina, a nie za polaka. W w. XVIII (24 listopada r. 1700) gdy magnat litewski Sapieha zabity został przez polaków, tacy litwini, jak ks. Michał Korybut Wiśniowiecki, ks. Ogiński, Jan Pac, ks. Karol Radziwiłł

i in. — by się pozbyć ingerencji polskiej—podpisali akt, w którym zrzekli się prerogatyw, przyznanych im przez Polskę i zamierzali przywrócić rząd narodowy z przed czasów jagiellońskich. Ruch separatystyczny zamanifestował się następnie za insurekcji Kościuszkowskiej, gdy Litwa zdobyła się na rząd, od polskiego odrębny. W roku 1863 „dyktator litewski“ Kalinowski oświadczył, iż Litwa chce walczyć jedynie o własną swą niepodległość; losów jej bowiem nie można składać w ręce macochy — Warszawy. Sam nawet Kościuszko traktował polaków, jako „gaskończyków“, do których nie żywił zaufania.

Wyliczywszy fakty powyższe, oświetlone — jak widzimy—w sposób trochę dziecinny, a nader tendencyjny, p. Jakstas zapewnia swych czytelników, iż stosunki polsko-litewskie wcale nie były przyjazne. To też musieli polacy wciąż unję odnawiać. Umowę, zawartą w Krewie r. 1385, zastąpiła w r. 1401 — wileńska; potem r. 1413 przekształcono ją w Horodle; w 1432—w Wilnie; 1512 —w Grodnie; 1659—w Lublinie; 1792—w Brześciu; 1812—w Wilnie. Wszystkie te akty jasno wykazują, jak baczyli polacy, by nie wypuścić Litwy z pod swej opieki.

Ostatnie więzy — powiada dalej p. Jakstas — rozerwane były przez Rosję, która zaanektowała prawie całą Litwę i wielki szmat Polski. Wobec tego, unja została zniesiona siłą wypadków i odtąd litwini uznawać ją przestali; pożegnali się z nią bez żalu, gdyż przyczyniła im dużo szkody.

Polska nie była nigdy spólnicą szczerą: nie tylko źle spełniała obowiązki, nakładane na nią przez przymierze odporne, lecz osłabiała Litwę, siejąc w niej niezgodę i odbierając najbogatsze prowincje.

Jakkolwiek Litwa, nawet w czasach unji, prowincją Polski nie była, dziś polacy upierają się przy traktowaniu jej w taki właśnie sposób. Z tej racji, szerzą tu propagandę polonizatorską za pomocą prasy, szkoły (!?!) i kleru.

Co się tyczy litwinów, to o b. unję zgoła się już nie troszczą, mając na widoku ważne i aktualne zadania narodowe.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu zdążyli bardzo zbogacić swą literaturę (zapoczątkowaną w XVI w.); rozwinęli tak publicystykę, że posiadają już do 70 wydawnictw; popularne przedstawienia dramatyczne odbywają się w każdej wiosce; towarzystwa rolnicze, literackie, artystyczne, dobroczynne i pomocy wzajemnej mnożą się ustawicznie.

Litwa daje tem dowód, że obejść się może bez polskiej opieki i za żadną cenę nie chce podlegać dalszym obcym wpływom.

Polacy zrozumieli ostatecznie, że jest to proces poważny; przestali też traktować pogardliwie prace „litwomanów“, a języka litewskiego nie nazywają już ordynarną, pogańską mową. Zaczynają wreszcie uznawać „rację bytu“ odrodzenia narodowego Litwy.

Ale przekonawszy się, że nie zdołają spolonizować litwinów, uświadomionych narodowo, zdecydowali się ograniczyć przeciwdziałaniem odpolszczaniu tych, co już polonizacji ulegli. Jest w ich szeregach większa część duchowieństwa i szlachty, pewna ilość mieszczaństwa oraz włościan. Polacy postanowili nie wypuszczać ich z pod swego wpływu i używać jako narzędzia do polszczenia Litwy. W tym celu starają się wmawiać ziemianom, że ci ostatni są „prawdziwymi polakami“, że nie powinni uważać się za litwinów, a nawet za litwino-polaków, że obowiązkiem ich jest propaganda idei polskich, że należy opierać się odpolszczeniu, gdyż byłoby to wyparciem się świetnych tradycji i zdradą „wysokiej kultury polskiej“.

Podczas więc gdy odrodzeniu np. czechów lub węgrów sprzyjał powrót zgiermanizowanej szlachty na łono ojczystych tradycji narodowych tudzież do mowy przodków, — na Litwie rzecz się ma inaczej: szlachta odpolszcza się bardzo powoli. Możemy wyliczyć nazwiska zaledwie kilku przedstawicieli tej sfery, którzy za litwinów się podają: książe Radziwiłł, Montgird, Otton Zawisza, Dowojna-Sylwestrowicz...

Dalej rozpatruje autor stosunek do sprawy litewskiej poszczególnych stronnictw polskich. Wywody te—choć nader fantastyczne—są mniej ciekawe. By dać przykład jego słabej orjentacji i tendencyjności, wystarczy wspomnieć, że — zdaniem p. Jakstasa—„Związek krajowy“ ma „wiele podobieństwa do partji rosyjskiej *Okrainnyj Sojuz*“.

Coś podobnego twierdzić... w Paryżu można.

Czy jednak cała część pierwsza elaboratu (którą tylko co streściliśmy) nie okaże się — jak dla Paryża—w swych rozumowaniach zbyt naiwną — wielkie pytanie.

Chyba każdy krytyczny czytelnik, nie orjentujący się nawet w fałszach informacyjnych, z łatwością zauważyć musi w wywodach powyższych luki dziwaczne, a dające bardzo wiele do myślenia.

Bo jakże to? Przez cały czas trwania unji polsko-litewskiej litwini nie przestawali czynić wysiłków, by ją zerwać. Tak?... I któż czynił owe wysiłki? Naturalnie, szlachta litewska, która jedynie odgrywała w polityce rolę. Nakoniec tak upragnione zerwanie nastąpiło i co się pokazuje? Oto, ta sama szlachta nie chce się odpolszczyć...

P. Jakstas najwidoczniej zaplątał się w sieciach własnych kalkulacji, przykrawając historję do swych tendencji.

W tem niedopowiedzeniu kryje się pięta achillesowa jego oskarżeń. Gdyby p. Jakstas chciał światu przedstawić prawdę, a nie bajkę, spreparowaną wedle recepty nacjonalistycznej, poniechaćby musiał tonu prokuratora, nie szukałby win polskich, ale by poprostu oświetlić się postarał dziejowe przyczyny tych lub owych zjawisk.

Zgoła bowiem nie jest winą polaków (ani wogóle niczyją winą), że szlachta litewska, a za nią duża część mieszczaństwa i mniejsza włościan uległa spolszczeniu. Był to rezultat zetknięcia się kultury starszej z młodszą. Przy długich a blizkich stosunkach dwu narodów—stosunkach, które leżały w interesie stron obu, a nie jednej z nich—jak fałszywie twierdzi p. Jakstas—wpływy polskie musiały zapuścić bardzo głębokie korzenie. Inaczej być nie mogło.

Jeżeli panu Jakstasowowi koniecznie potrzeba czyjejś za to odpowiedzialności, czyjejś winy— to należy jej szukać zgoła nie tam, gdzie on ją widzieć pragnie, t. j. w zachłanności polskiej, ale w wyjątkowym konserwatyzmie litewskim. Mianowicie w zbyt długiem izolowaniu się Litwy od reszty świata, w zbyt długiem trwaniu w bałwochwalstwie. Ono to uczyniło z niej kraj tak zacofany, że gdy konieczność dziejowa zmusiła książąt do otwarcia granic wpływom obcym, musiało nastąpić wynarodowienie warstw przodujących — przedewszystkiem szlachty, bo inaczej nie mogłaby ona spółzawodniczyć ze szlachtą narodu sąsiedniego. Gdyby Jagiełło nie połączył się z Polską i gdyby wskutek tego nie nastąpiła unja, Litwa

najprawdopodobniej uległaby Krzyżakom. Szlachta jej nie spolszczyłaby się, ale by się za to zgiermanizowała.

Dla litewskiej idei narodowej byłby to fakt nie mniej smutny. Prawdopodobnie nawet smutniejszy. Wynarodowienie było w każdym razie nieuniknione.

Jeśli p. Jakstas tego nie rozumie, to jest trochę za naiwny, jak na informatora Europy. Nie dorósł do tej roli tembardziej, że nie potrafi mistyfikować o tyle zręcznie, by szwy tendencji nie wyłaziły wierzchem. W swym ferworze prokuratorskim ponastawiał sam na siebie pułapki, w które co moment wpada. Oto np. czytelnik ostatecznie z artykułu jego nie wie: co to za polacy na Litwie przeciwdziałają odpolszczeniu szlachty? Czy to jacyś emisarjusze z Królestwa? Czy część ludności rdzennej?...

Ze słów p. Jakstasa możnaby wnosić, że ani jedno, ani drugie. Polacy na Litwie — to, podług niego, tylko spolszczeni litwini. Oni właśnie odpolszczyć się nie chcą, a nawet innym tego bronią. Jeśli tak — to cóż temu winni polacy?. Zali na Litwie mają władzę w swem ręku? Wprawdzie p. Jakstas opowiada coś o wynaradawianiu przez szkołę; no ale z takiemi gawędami... do Paryża! Pozostaje więc tylko prasa.

Mój Boże! gdyby na całym świecie tą bronią jedynie wynaradawiano ludy...

W rezultacie więc—trzymając się ściśle wywodów p. Jakstasa—przychodzimy do wniosku, że winni są nie „prawdziwi polacy", ale spolszczeni „prawdziwi litwini", którzy odpolszczyć się nie chcą.

A dlaczego nie chcą?

Tego pytania p. Jakstas woli nie stawiać. Woli je omijać—zresztą niezbyt zgrabnie.

Otóż pozwolimy sobie powiedzieć mu, dlaczego.

Nie chcą dlatego, że wśród splotu przyczyn jest motyw ogromnie potężny — urok męczeństwa. W Galicji ruch ukraiński dopóty nie mógł nabrać rozmachu, dopóki prześladowana była w Austrji polska ideja narodowa. Dopiero „rządy polskie" rozgrzeszyły w całej pełni sumienie narodowe rusinów.

Im większym ograniczeniom ulega polskość na Litwie, tem mniej widzimy skorych do sprzeniewierzania się jej. Decydują się na to osobniki rozmaite (są śród nich niewątpliwie jednostki szlachetne), ale dużo też ludzkiego śmiecia. Wypiera się ono Polski wprost tylko dlatego, że sympatyzowanie z nią nie popłaca. Popłaca natomiast— i to bardzo—szkalowanie jej i zawieranie przeciw niej sojuszów z nacjonalizmem urzędowym.

Naszem zdaniem, sama ideja odrodzenia narodowego Litwy tak czysta jest i szlachetna, że może się doskonale obejść bez rycerzy w rodzaju p. Jakstasa. Do pięknego ruchu demokratycznego wnoszą oni pierwiastek nacjonalistyczny, szukając tryumfów w kierunku najmniejszego oporu. Zamiast walczyć o szkołę litewską i o szerokie swobody narodowe, węszą po parafjach białoruskich i polskich, czy gdzie nie znajdzie się dwu lub trzech zabłąkanych litwinów i podnoszą gwałt o kazania litewskie...

Dlaczego?

Dlatego, że to walka najłatwiejsza, najmniej ryzykowna: — że się toczy z zahukanym, źle widzianym księdzem, a powtóre, że idzie o wypieranie znienawidzonej polszczyzny.

Lecz robocie tej opierają się nietylko polacy, nietylko białorusini, ale nawet bardzo często sami litwini — ów prosty lud litewski, który w swem sumieniu czuje, że tu się coś nieszlachetnego odbywa. I stąd również wychodzą ci spolszczeni, co się odpolszczyć nie dają.

B. H.

⊳oooooooooo⊲

Plon knowań endeckich.

W Galicji stało się to, co przepowiadali zwolennicy reformy Sejmu i ugody z rusinami.

Zarządzone głosowanie przyniosło tryumf niebywały ukraińcom. Zdobyli oni w kurji włościańskiej 31 mandatów, podczas gdy w Sejmie poprzednim mieli ich zaledwie 14. Zyskali więc 17 nowych miejsc, z których 9 odebrali polakom, a 8 moskalofilom.

Sukces jest dla nich tem cenniejszy, że nie zawdzięczają go niczyjemu poparciu. Sądząc z pism galicyjskich, była to może pierwsza kampanja wyborcza bez gwałtów, bez nadużyć, bez presji władzy wykonawczej. W każdym razie nie słychać znikąd skarg na to.

O ile więc Sejm kurjalny może odźwierciadlać wiernie nastrój społeczeństwa, to obecnie wybrany celowi temu w przybliżeniu odpowie. Wykaże on dobitnie przedewszystkiem całą sztuczność popieranego przez Andrzeja Potockiego, a następnie przez Demokrację Narodową „moskalofilstwa"; nadto zaś ujawni znaczne osłabienie wpływów polskich w Galicji wschodniej.

Osłabienie to jest zjawiskiem naturalnem. Z jednej strony odrodzenie narodowe rusinów, z drugiej zaś powszechna demokratyzacja kraju wzmocnić musiała stanowisko rusinów, których słabość pochodziła dotąd z braku świadomości narodowej, tudzież przygnębienia stanowego włościaństwa. Wzrost sił nie mógł się odbyć inaczej, jak kosztem polaków, reprezentowanych tu głównie przez obszarników.

I pamiętać trzeba, że proces ten jeszcze się nie skończył. Faktyczne siły elementu rusińskiego znacznie są większe, niż sądzić można z ich obecnego tryumfu. W pełni odzwierciadlić mógłby je tylko Sejm oparty na powszechnem i równem prawie wyborczem.

Taki dopiero Sejm — Sejm, reprezentujący prawdziwy stosunek sił — mógłby zapewnić pokojowe obu narodów spółżycie. Dopóki istnieje tylko Sejm kurjalny, przedstawiający nietylko rzeczywistość, ile jej pozory, zawsze pozostawać musi pewna suma sił odradzającego się narodu, która, nie znajdując legalnego dla siebie wyrazu, musi wypowiadać się w sposób nielegalny.

Niestety, do ideału tego (zresztą, bardzo jeszcze względnego ideału) Galicji wciąż dotąd daleko. A wina to nietylko uprzywilejowanych sfer polskich, lecz niemniej rządu centralnego, który zazdrośnie pilnuje, by sejmy krajowe nie stały dla mas ludowych równie atrakcyjnemi, jak parlament wiedeński. Ten ostatni poto przecież zdemokratyzowano, by specjalnie jego urok podnieść i zainteresować nim tłumy.

Jakkolwiek demokratyzacja Sejmu leży niewątpliwie w interesie tak ludu polskiego, jak rusińskiego — zbyt nie jej przyspieszanie zgoła nie odpowiada widokom szlachty. Jest więc rzeczą

naturalną, iż stronnictwa, broniące jej stanowiska, usiłują reformę możliwie opóźnić.

Rzeczą jest wszelako mądrości politycznej orjentowanie się, gdzie leży kres owej możliwości.

Stańczycy (t. j. konserwatyści krakowcy) dawali już niejednokrotnie dowody, że się w tem orjentują doskonale. Choć opierają się długo każdej reformie, niwelującej ich prerogatywy, nigdy jednak nie przeciągają struny, a uwzględniając we właściwym czasie minimum t. zw. „potrzeb dojrzałych“, nietylko ograniczają swe straty konieczne, ale—co niemniej dla nic ważne — nie dają się odepchnąć od steru spraw politycznych.

To też nawet socjaliści zaprzeczyć im nie mogą, że są politykami bardzo mądrymi.

Inaczej rzecz się ma z taktyką zachowawców w Galicji wschodniej. Odkąd przyplątali się do nich endecy, polityka konserwatywna utraciła tu cały swój takt i spokój, a natamiast przybrała charakter demagogicznego, zacietrzewionego wstecznictwa.

Wobec tego, że element polski reprezentuje tutaj przedewszystkim szlachta, magnaterja nawet — działacze nar. - demokratyczni pomieszali interesy bogatego ziemiaństwa z narodowym interesem polskim. Zapoznając kulturalną walkę emancypującego się ludu i broniącego swych stanowisk obszarnictwa, w zapasach tych widzieli jedynie zamachy rusinów na „polski stan posiadania“. Tak sprawę oświetlając, zmobilizowali bezkrytyczne rzesze, budząc w w nich fanatyczną do rusinów nienawiść.

Wobec tego, mowy już być nie mogło o jakiejkolwiek taktyce, o misternej robocie politycznej, zdającej sobie sprawę z możliwości i niemożliwości. Zastąpiło ją niewymyślne hasło: „żadnych ustępstw!“ — i kwita.

A ustępstwa tymczasem były i są koniecznością, przeciw której niema siły ludzkiej. Można je conajwyżej normować, rozkładać i czynić dla strony tracącej jaknajmniej bolesnemi; można wreszcie starać się, by—ustępując przed koniecznością — zachowywać pozory ustępstw dobrowolnych, rezerwując sobie w każdym razie wpływy moralne i nie dając odepchnąć się od steru.

O tem Nar.-Demokracja, pędząca na oślep ze swym sztandarem: „żadnych ustępstw“, oczywiście myśleć nie mogła, no i nie umiała. Pchał ją zresztą naprzód rój sfanatyzowanych podkomendnych. Biegła bez drogi, bez zastanowienia, a jednym realnym skutkiem tej „polityki“ było rozognienie nacjonalizmu po stronie przeciwnej, no i coraz częstsze ekscesy „hajdamackie“. Tym sposobem— zamiast opóźniać uświadomienie narodowe rusinów, co było celem konserwatystów—pomoc wszechpolaków nietylko je przyspieszyła, ale dodałą mu szowinistycznego żaru. Żar ten poczęli wyzyskiwać wreszcie nawet zagraniczni działacze, co w końcu na robotę naszych wytrawnych polityków musiało zwrócić uwagę Wiednia. Równocześnie, a poniekąd i wskutek tego, zaniepokoili się politycy polscy zachodnio-galicyjscy i chcąc się dobitnie przeciwstawić niefortunnej akcji endeków uciekli się aż do tak wyjątkowego środka, jak blok konserwatystów z postępowcami.

Zamiarem bloku tego było wziąć w ręce swe uregulowanie stosunków z rusinami.

Lecz Nar. Demokracja znalazła sposób, by temu przeszkodzić. Nastąpila głośna interwencja episkopatu, a po niej—z konieczności — rozwiązanie Sejmu.

Teraz co będzie?

Nowe wybory, prowadzone pod hasłem reformy wyborczej, tak wzmocniły siłę rusinów, że podstawy, na których poprzednio zawarto ugodę, okażą się dla nich niewystarczającemi. Ustępstwa ze strony polskiej będą musiały dalej iść, niż zamierzano przedtem.

Oto plon mądrej polityki endeków.

J. S.

Przemiany angielskie.

Mówiono w ciągu lat długich, napisano książki całe, dowodząc wyższości ruchu robotniczego angielskiego, najstarszego w świecie pod względem organizacji i powagi: „Bierzcie sobie przykład z Anglji. Tam robotnik jest mądry i przezorny. Dużo zarabia. Dobrze żyje. Dzieci do szkoły posyła. Mieszka w trzech pokojach. Jeździ latem nad morze. Czyta wielki dziennik polityczny. Chodzi do klubu. Zajmuje się czynną polityką. A związek do którego należy, służy mu pomocą lekarską, ubezpiecza go na wypadek choroby, wypadku, starości, braku pracy i posiada parę miljonów kapitału rezerwowego. W Anglji niema waszych głupich, krwawych strajków, z których robotnik wychodzi pokrwawiony i złamany, wygłodzony i znękany i później lata całe trzyma się na uboczu od polityki albo gnije w więzieniu. Nie ma robotnik obłędu francuskiego i nie stosuje metod syndykalistycznych. Kocha swoją pracę i ma poczucie obowiązku. Obcemi i wstrętnemi są mu praktyki sabotażu, prześladowania i znęcania się nad łamistrejkami. Robotnik angielski jest przedewszystkiem *obywatel*. Jest członkiem narodu, pomimo że jest członkiem jednej klasy tylko. Przywiązany jest do wielkiej Ojczyzny wielkobrytańskiej, której cząstkę świadomą i kochającą stanowi“...

W r. 1905, z chwilą gdy do władzy dochodzi ministerjum liberalne Campbell-Bannerman'a, John Burns, dawny przywódca robotniczy, ubóstwiany organizator strajku robotników portowych Londynu wchodzi do gabinetu jako dyrektor departamentu lokalnego. (Odtąd będzie zawsze piętnowany jako zdrajca klasy robotniczej). Organizuje się partja robotnicza (*Labour Party*). Staje zgoda między tą partją a związkami zawodowemi. W Izbie gmin przechodzą ustawy robotnicze: ośmiogodzinny dzień pracy dla górników, emerytury państwowe, urzędy płacy minimalnej dla czterech najważniejszych gałęzi przemysłu domowego, ulepszenie ustawy o ubezpieczeniach od wypadku, ubezpieczenia na wypadek choroby i kalectwa dla dwunastu miljonów osób, ubezpieczenia na wypadek braku pracy, dla 2,4 milj. osób, djety dla posłów (400 funtów rocznie) Anglja weszła na drogę reform, które nie prędko będą wyczerpane. Frakcja parlamentarna Partji Pracy liczy 33 członków. Należy do partji robotniczej (*Labour Party*) półtora miljona członków (1,539,092 w r. 1911). Skończyła się sto lat trwająca różnica pomiędzy partją a syndykatem. *Trade union'y* nabrały charakteru politycznego. Partja Pracy z roku na rok (od r. 1905) staje się panią sytuacji wobec rządu liberalnego. Ona zagrzewa, podpala, napędza liberałów do akcji czynniejszej na polu twórczej pracy parlamentarnej. W ten sposób Lloyd George w r. 1909 sformułował żądania budżetowe, które doprowadziły

do walki otwartej z Izbą Lordów; wiadomo, że walki te zakończone zostały tryumfem Izby Gmin (1911). Insurekcyjne mowy lordów skierowane przeciwko zamierzonemu zawieszeniu prawa *veto* ze strony Izby Lordów i przeciwko zapowiedzianemu *Home Rule* dla Irlandji, propaganda rewolucyjna sufrażetek, — oto było *lever du rideau* nowej ery. Wzrastające ceny utrzymania wywołały niezadowolenie śród robotników tak wielkie, ze znalazło sobie ujście w olbrzymich strajkach robotników portowych i transportowych r. 1911 (czrwiec i lipiec), robotników kolejowych (sierpień 1911), górników (marzec i kwiecień 1912), londyńskich robotników portowych (czerwiec i lipiec 1912). Te ostatnie strajki miały charakter syndykalistyczny, nawiany z Francji. Jednak anglicy w olbrzymiej swej większości nie godzą się na syndykalizm francuski. Na kongresie związków zawodowych w New Port (wrzesień 1912) na pięciuset delegatów było kilku syndykalistów.

Przemawiali bez powodzenia. Tom Mann jest odosobniony. W roku 1912 należało robotników do *Trade Union'ów*—1,954,594, w roku 1912 — powyżej trzech miljonów; do kooperatyw w roku 1902 — 1,985,671, a w roku 1910—2,676,226. Obrót kooperatyw z 94,8 milj. funt. szterl. wzrósł w tym samym czasie do 136,3 milj. funt. szterl.

Jakie znaczenie podanych tutaj faktów niedawnej przeszłości?

Anglja przeżywa obecnie wielki proces historycznego przeobrażenia, Anglja demokratyzuje się. Izba Lordów doprowadzona do milczenia prawem (*Parlamentary Act*) z roku 1911. Izba gmin — panią Anglji. Prawo wyborcze demokratyzuje się, ostatnie ograniczenia odpadają, jutro rozszerzone zostanie—pomimo metod stosowanych przez sufrażetki—na kobiety. Budżet państwowy *uspołecznia się*. Emerytury robotnicze, emerytury starcze, ubezpieczenia społeczne—przełamane ostatnie przeszkody: ingerencja państwa, przed którą drżały pokolenia manchesterskich liberałów — zniesiona. Wszystkie te zjawiska, napozór obce jedne drugim, wiążą się ze sobą wewnętrznie. Mają wspólne źródło, wspólne przyczyny. Masy robotnicze zaczynają odgrywać coraz większą rolę w życiu kraju. A masy te uległy znakomitemu przeobrażeniu wewnętrznemu. Olbrzymi strajk górników i kolejarzy 1909 r. otworzył oczy W. Brytanji. Coś się zmieniło zasadniczo. *Zasada kompromisu* i ugody ustąpiła miejsca *zasadzie walki*. I dawniejsze lata znały walkę kapitału i pracy. Ale u założenia związku zawodowego, u podstawy polityki robotniczej —spoczywał kompromis. To było domniemanie, spółczynnik całego życia robotniczego. Dziś tem domniemaniem, punktem wyjścia jest walka, która nie jest epizodem, momentem, jednym ze stu środków—ale jednym i zasadniczym środkiem, ile że robotnik jest członkiem klasy, prowadzi walkę klasową bez przerwy i wytchnienia, walkę, która skończyć się ma zwycięstwem ostatecznem robotników. Daleka to chwila, ale konieczna. I od tej chwili zacznie świat żyć nowem życiem.

Jaka jest *psychologja* robotnicza spółczesnej Anglji? Dawniejszy robotnik (to znaczy robotnik przed laty dwudziestu) był *reformistą*, dzisiejszy jest—*rewolucjonistą*. Zmienia się pogląd na świat, nastroje, metody. Robotnik jest sam odosobniony w wirze spraw ludzkich, polega tylko na własnych siłach, odrzuca wszelką kooperację z klasami posiadającemi. Wyzywa na rękę światy. Nie zna strachu. Jego bowiem jest przyszłość, a jeżeli on sam tej przyszłości nie doczeka, przybliży ją o stację dla korzyści, dla dobra przyszłych pokoleń, które za jego przykładem na wyłomie staną. Z utylitarysty i drobnomieszczanina robotnik staje się romantykiem i światoburcą. Savonarola, Michał Anioł, Carlyle, Marx—siedzieli u kolebki tego nowego robotnika. Byłoby błędem twierdzić, że cała klasa robotnicza angielska takie wyznaje zasady. Wyznaje je mniejszość, wyznaje młodzież, wyznają młodsi przewódcy. Nie wyznaje ich ani Hyndman, socjalny demokrata angielski, uczeń i admirator Marxa, nie wyznaje Ramsay Macdonald, przewódca stronnictwa w Izbie Gmin, co to śniadał z Wilhelmem II—przezeń za wzór socjalistom niemieckim stawiany. Ale Ken Hardie jest po stronie tych nowych socjalistów, których starzy za anarchistów piętnują.

Możemy łatwo i z dużym pożytkiem wystudjować tę przemianę w usposobieniu, w psychologji robotnika angielskiego na przykładzie *Ruskin College* w Oxfordzie.

W roku 1899 dwaj amerykanie Walter Vrooman i Ch. Beard założyli w Oxfordzie *College* imienia Ruskina. Pragnęli kształcić w niem robotników angielskich—najwybitniejszych. W prospekcie pisali, że „chcą kształcić w *College* tych, którzy poprostu potępiają instytucje spółczesne na takich, którzy je chcą reformować, którzy zamiast deklamować przeciwko ustrojowi świata, zabiorą się do opanowania tego świata, do odbudowania go na innych zasadach, uczynią go radosnym, jeżeli nie doskonałym, to przynajmniej zdolnym do doskonalenia"...

Ruskin College było początkowo instytucją filantropijną. Pan Vrooman płacił, przyjmował uczniów i ich prowadził.

Ale amerykanów odwołano do ojczyzny. Trzeba było szukać funduszów. Rada administracyjna, złożona z profesorów Oxfordzkich i przewódców robotniczych, odwołała się do *trade-union-s'ów*. Związki zawodowe dały się przekonać, zaofiarowały stypendja i wysyłały uczniów do Oxfordu. *College* było niezależne. Prowadzono tam wykształcenie młodych robotników, przyzwyczajając ich do rozmyślania nad zagadnieniami metafizyki, wiary i życia. Konserwatyści wszystkich krajów z lubością przyglądali się tym spokojnym, zapatrzonym w niebo perypatetykom. Słyszałem przed kilku laty jak neokonserwatysta francuski, bardzo utalentowany spółpracownik *Journal des Débats*, Jacques Bardoux, zachwycał się uczniami *Ruskin College*, przeciwstawiając ich niespokojnym światoburcom paryskim.

Uniwersytet Oxfordzki uznał wtedy za możliwe wejść w bliższe porozumienie z *Ruskin College*. Robotnicy niechętnie słuchali tych propozycji. I tak już ciążyły im wykłady młodych uczonych oxfordzkich, które piętnowali jako naukę burżuazyjną. Rada administracyjna zaprowadziła wtedy egzamina (*revisions papers*) i proponowała aby uczniowie *Ruskin College* uczęszczali na wykłady ekonomji politycznej do zakładów uniwersyteckich. Uczniowie zaprotestowali. Założyli przy pomocy byłych uczniów *College* ligę ludową (*Plebs league*) w celu związania bliższego College z *ruchem robotniczym* Założono też *Plebs Magazine*, pod redakcją Hird'a, który niegdyś był pastorem anglikańskim, ale dla zbyt radykalnych poglądów wypędzony przez biskupa londyńskiego, został administratorem *Ruskin College*. On też był przewódcą i głównym promotorem walki. Rada administracyjna zażądała aby Hird zrzekł się redakcji i porzucił ligę. Hird odmówił, a gdy go zawieszono w obowiąz-

kach, uczniowie zarządzili strajk. Rada ustąpiła, ale przystąpiła do oczyszczenia College z żywiołów, które ją naleciały. Wypędzeni zorganizowali się i utworzyli oddzielne *College*. Przy *Ruskin College* pozostały związki reformistyczne. związek mechaników, *Amalgamated Society of Ingeneers*, związek górników Northumberlandu. Ci pragną, aby College nie miało wyraźnej barwy politycznej albo społecznej. Każda powinna być uwzględniona i szanowana. College powinno być neutralne.

Ruskin College zostało ostatecznie przyłączone do uniwersytetu. Profesorowie uniwersytetu wykładają w College. Patronat College'u stanowią: książę Fife, lordowie Crewe, Ripon, Rotschild, unjonista Balfour...

Secesjoniści utworzyli swoje własne *College* i nazwali je *Central Labour College*. „Zadaniem *College* jest propaganda idei pożytecznych dla ruchu robotniczego. Należy zamiast wykształcenia ogólnego dawać synom i córkom robotniczym wskazówki, co czynić powinni, aby przyspieszyć spełnienie emancypacji ekonomicznej".

Od końca roku 1911 College przeniesione zostało do Londynu. Komitet zarządzający składa się z przedstawicieli związków zawodowych bezpośrednio wybieranych i przedstawicieli stowarzyszeń socjalistycznych i kooperatyw, które wysyłają swoich stypendystów, z dyrektora (Hird), z ucznia i byłego ucznia, jako przedstawiceli uczących się. Wykładają tu dawni uczniowie *Ruskin College*, opozycjoniści, buntownicze żywioły oxfordzkie. Uczniów jest dwudziestu. Najwięcej łoży na College stowarzyszenie robotników kolejowych (*Society of Railway servants*) i sześć związków górniczych, najbardziej radykalnych.

Są pensjonarze, którzy płacą 52 funty rocznie. Kurs trwa do dwu lat. Wykładają socjologję, teorję ewolucji, logikę, jako umiejętność jasnego wyrażania myśli, retorykę, historję przemysłu, historję polityczną i ekonomję polityczną. W programie czytać można: „Przedmiot wykładany jest z punktu widzenia marksizmu..." Wykłady prowadzone są i przez korespondencję w zakresie gramatyki, logiki, historji przeszłości i t. d.

College wysyła wszędzie wykładających. W ten sposób potworzyły się w kilkunastu miejscowościach szkoły lokalne, odwiedzane przez wędrownych prelegientów, utrzymywane przez miejscowe związki robotnicze.

Nauka *College* oparta jest na zasadzie *walki klas*. College nie zakrywa oczu na tę walkę, nie zakrywa jej samej figowym listkiem ugody, kompromisu pomiędzy kapitałem a pracą. Przygotowuje *świadomych* robotników, świadomych tej walki i do niej się gotujących. Dla College uczeń nie jest człowiekiem, jeno robotnikiem. Jest bowiem wyzyskiwany, jako robotnik i cierpi; jako robotnik należy do związku albo prowadzi strajk; jako robotnik głosuje na kandydata robotniczego; tu uczy się też, *jako robotnik*... Nie ma tedy na celu ogólnej oświaty, kształcenia robotników w kierunku tworzenia elity śród mas robotniczych. Tu kształcą się ludzie praktyczni, dzielni i przekonani, którzy budzić będą masy z drzemki wiekowej, którzy natchną ją przekonaniem, że jest niczem, a może być wszystkiem... *College* pragnie utworzyć *agitatorów i niezadowolonych*.

Niedawno toczyła się w związku robotników kolejowych walka o stanowisko przewódcy: kandydat radykalny pobił reformistę. Kandydatem radykalnym był dawny uczeń *Ruskin College*, wypędzony z Oxfordu. To samo zjawisko daje się zauważyć w związkach górniczych: młodzi sekretarze, przygotowani w *Central Labour College* pobijają wszędzie starych zasłużonych reformistów.

Stanisław Posner.

⊳oooooooooo⊲

Nad Sekwaną.

Teatr polski.

1 lipca 1913 r.

Na zakończenie niejako sezonu—jednocześnie z rozgłośną operą i baletem rosyjskim, jednocześnie z premjerą włoskiej „Pisanelli" d'Annunzia zjechał teatr polski do Paryża.

Czternaście przedstawień, 14 wieczorów żywego słowa polskiego, brzmiącego ze sceny teatru Gymnase— wieczorów, które przenosiły myśl naszą hen, gdzieś nad Wisłę i podczas których żyliśmy—według słów Gasztowta, wygłoszonych w pożegnalnej mowie ostatniego wieczoru teatralnego—żyliśmy jak „w zaczarowanem kole".

Wieczór to był pamiętny i długo zapewne w duszach uczestników pozostanie niezatartym. Zamienił się w jedną wielką owację, nie przybierając mimo to żadnych cech manifestacyjnych.

Artyści, wywoływani wielokrotnie, scena i widownia zasypana kwiatami, a co główne — to owa nić serdeczna, łącząca wszystkich zebranych myślą zbiorową. I nie chciało się murów tych opuszczać, chciało utrwalić w pamięci widok owych swoich, bliskich nam i serdecznych, którzy przynieśli nam tu słowo polskie, rzucili przed oczy spragnione jakby kawał ziemi naszej, więcej bodaj—bowiem duszę najistotniejszą narodu.

Szczęśliwym pomysłem było danie w ów wieczór „Sędziów" Wyspiańskiego. Było to trzecie przedstawienie tej sztuki a zainteresowanie się nią—nietylko nie znikło—lecz naodwrót—wzrosło.

I to bodaj jest cechą najbardziej zaznaczenia godną. Teatr polski nie podbił Paryża momentalnie drogą sztucznej reklamy, ani też z pomocą błyskotliwych efektów zewnętrznych. Nie dał ni tańców i muzyki, działających bezpośrednio na wrażenia słuchowe i wzrokowe, ni kostjumów bogatych bajecznie, orjentalnie kolorowych. Środki, któremi rozporządzał, były skromne: słowo, rzucone w obcej, nieznanej mowie (rzecz prosta w stosunku do publiczności francuskiej), a jako uzupełnienie gra, mimika, sposób wypowiedzenia go, wyczucia przez artystów. W tych warunkach o podbiciu „całego Paryża" mowy być nie mogło.

Nie łudził się pod tym względem zapewne dyrektor trupy lwowskiej p. Heller, gdy przedsięwziął ową imprezę. Kolonja polska nie jest zbyt liczna ani też bogata—publiczność paryska—nieskończenie zblazowana wszelkiego rodzaju „truc'ami"—podbić ją niełatwo.

A przecież ta publiczność, początkowo złożona jedynie z garstki stałych sympatyków „sprawy polskiej" — z dniem każdym wzrastała, a głosy prasy najpierw dość zimne, urzędowe — w miarę przedstawień przybierały coraz bardziej entuzjastyczne formy.

Obszerne artykuły dały „Figaro", „Temps", „Gil Blas", „Comoedia" (Z. Schneider) wreszcie Paris-Journal,—dziennik ostatniemi czasy wyraźnie

nam niechętny — drukuje mimo to obszerny artykuł wstępny p. Berton p. t. „Inni aktorzy“, gdzie w gorących słowach wyraża uznanie dla gry naszych artystów.

„Na przedstawieniach polskich — pisze on — niema tłumów. A jednak przedstawienia te są niezrównane, a gra artystów daje wysokie wrażenie artystyczne: jest głęboka, zmienna, a prosta.

Żałujemy, że najlepsi nasi artyści nie przyszli, by znaleść tu wskazówki tej mistrzowskiej interpretacji. Bez krzykliwej reklamy, bez poparcia snobów—trupa polska odniosła wobec nielicznych artystów i wielbicieli sztuki najpiękniejszy z tryumfów — tryumf niespodzianki. Chwaląc jednych, niepodobna nie ganić innych. Gdy patrzymy na tych aktorów o grze tak jasnej, tak wystudjowanej, tak prostej, a tak potężnej, gdy widzimy jak przechodzą od poetyckiej fantazji do dramatu, od dramatu do wodewilu i komedji filozoficznej bez wahania, bez błędu, nie obniżając poziomu gry — z konieczności muszą nam przyjść na myśl nasze trupy paryskie. Artyści polscy dają nam przykład wielki, zasadniczy: zdolność przetwarzania się.

Gra i wyraz fizjonomji przeistaczają ich oblicza.

Artyści polscy przetwarzają się i — żyją. Grają wzrokiem i fizjonomją — ponieważ zaś wzrok ich i fizjonomja wyrażają coraz to nowe uczucie ewolujące — więc też mimo, iż tempo gry ich powolne—nie dają wrażenia chłodu.

...W ciągu kilku dni przedstawień—dali nam wizję w najwyższym stopniu pociągającą i różnorodną...

...Poza realnością, odtworzoną w sposób specjalny i głęboki, aktor działa tu na publiczność mocą sugiestji. Dar ten rzadki tłumaczy moc pociągającą tych artystów, wlewających w swe wykonanie życie, są to znakomici interpretatorzy sztuki w najszerszem tego słowa znaczeniu“.

. . . .

Sprawiedliwość w ocenie gry naszych artystów— Żelazowskiego, Siemaszko, Trapszo, Adwentowicza, Chmielińskiego, Nowackiego, Michnowskiej i innych — wykazali niemniej artyści miejscowi. Le Bargy podnosił wysoko grę w mowie, wypowiedzianej na bankiecie urządzonym przez komitet francusko-polski, zaś Rejanne poświęciła kilka wieczorów, by móc się przypatrzeć grze ich i wyrażała słowa szczerego zachwytu.

A publiczność francuska? W odpowiedzi przytoczę słów kilka wypowiedzianych przez rodowitego francuza, nie znającego absolutnie naszej mowy—po wysłuchaniu „Upiorów“ Ibsena:—

— „Niedawno byłem na „Dzikiej kaczce“ Ibsena w Odeonie. Rozumiałem każde słowo, mogłem wszak wniknąć w tajną niejako myśl artysty — a przecież nie byłem nawet w części tak wzruszony jak tutaj, śledząc rozwój akcji, obserwując ruchy, sposób interpretacji, grę twarzy aktorów polskich. Jakaż szlachetność przejawia się w oddaniu roli matki (Siemaszkowa)—nic tu krzykliwego, żadnego efekciarstwa mimo silnego napięcia dramatycznego. A syn... jest niezrównany (Adwentowicz). Ostatnia scena mówi o niesłychanem wystudjowaniu i przejmuje zgrozą. Artyści, znać to, iż żyją na scenie, żadnego patosu, ni deklamacji—to samo życie“.

Istotnie artyści teatru lwowskiego stanowią zwarty i ciekawy dla studjów pierwiastek. Może w sztukach symbolicznych — realizm ich nie opanowałby dość jasno sytuacji — dość subtelnie nie oddał pewnych momentów—lecz w realistycznych są wprost niezrównani. „Tamten“ Zapolskiej święcił swój tryumf—całkowity.

Powtarzany trzykrotnie miał powodzenie tak wyborem tematu jako też swą techniką sceniczną, którą celuje Zapolska.

„Sędziowie“ — dali wrażenie tak głębokie, iż sprawozdawcy „Temps“ i „Figaro“ nie wahali się przyrównywać ich do antycznej tragiedji greckiej. Repertuar uzupełniły następujące sztuki: „Zaczarowane koło“ Rydla, „Grube ryby“ Bałuckiego, „Topiel“ Przybyszewskiego, „Upiory“ Ibsena, „Warszawianka“ Wyspiańskiego, „Pietro Caruso,“ „Śluby panieńskie“, „Zemsta za mur graniczny“, wreszcie wesoła, lekka komedja Nikorowicza: „W gołębniku“.

Na zakończenie dodajmy, iż przedstawienia te obudziły zainteresowanie świata literackiego do naszego repertuaru, p. Maury poświęcił obszerny artykuł twórczości Wyspiańskiego, tłumaczy obecnie „Wesele“, a w przyszłości ma zamiar dokonać przekładu „Sędziów“. Niemniej ma być tłumaczoną i wejść na repertuar teatrów francuskich sztuka Zapolskiej: „Tamten“.

W. Kiślańska.

ᐅooooooooᐊ

Kto z nieba gwiaździstego...

Kto z nieba gwiaździstego wykuł sobie zbroję,
Temu obce są klęski, obce niepokoje.

Tego złych krzywdzicieli ręka nie dosięgnie,
Ni pokala go błoto, co się z ziemi lęgnie.

Ziemski kurz ni obłoki nie skradną mu słońca,
W wiecznej ciszy zamieszka, w jasności bez końca.

Któż bowiem kiedy gwiazdę skalał ziemskiem błotem,
Kto wzniosłego błękitu dosięgnął brzeszczotem?

Kto obejmie bezkresy swą żądzą szaloną,
Kto zdmuchnie owe światła, co tam wiecznie płoną?

Józef Jedlicz.

ᐅooooooooᐊ

Teatr i muzyka.

Stała się rzecz wielce nieprzyjemna.

Ze szczupłego grona idealistów wileńskich podniósł się głos protestu przeciw hegiemonji operetki w letnim repertuarze naszej sceny. Protest—bezwątpienia słuszny, lecz—jak się okazało — bezsilny, a nadto wymierzony pod niewłaściwym adresem, mianowicie dyrekcji. Należało bowiem zwrócić się z nim do samego społeczeństwa, którego wymagania reprezentuje Tow. Popierania Sceny.

Ponieważ zarząd Towarzystwa tego postawił przedsiębiorcy teatralnemu warunek, by przedewszystkiem dbał o operetkę, więc brać mu za złe nie można, gdy warunku tego przestrzega. Nie należy ani spodziewać się, ani — tem bardziej —

żądać, by każdy antreprener był (wzorem p. Młodziejowskiej) filantropijnym pedagogiem publiczności.

Dla nikogo dziś nie jest tajemnicą, że operetka „psuje" publiczność. Tam, gdzie funkcjonuje tylko jeden teatr, wolno używać jej jako przyprawy do repertuaru i baczyć, by nią go nie przepieprzyć. Skoro się raz to uczyni: skoro się raz da, zamiast pożywnej strawy, korzennych przypraw, już owa strawa posilna smakować przestaje.

Do popełnienia tego błędu zmusiło obecną dyrekcję T-wo Pop. Sceny. Jakże więc można teraz żądać, by składała ofiary na naprawianie narzuconego jej grzechu?

A że ofiar potrzeba—mieliśmy dowód jasny. Na premierę wcale niezłej krotochwili „Bonuś Mociumdziu" ze sprowadzonym p. Popławskim w roli tytułowej — przybyła minimalna ilość osób.

Nie będę tu twierdził, jakoby wystawienie sztuki tej było zachwycające; łatanina siłami operetkowemi dała się jej mocno we znaki. Nie mogę również pochwalić wyboru dyrekcji, która jako następną „komedję" pokazała nam ogromnie słabą, wszelkiej akcji pozbawioną przeróbkę jakiejś francuskiej noweli: „Niech się kochają". W każdym razie premiery dowiodły, iż liczba publiczności, żądnej sztuki poważnej, ogromnie się zmniejszyła.

Jest to prosty wynik danej przedsiębiorcy, a wielce niefortunnej dyrektywy zarządu Tow. Pop. Sceny.

Stosując się do niej, antreprener wytężył siły przedewszystkiem w kierunku skompletowania operetki. Ustawy z tego zakresu wystawia poprawnie, zdradzając nawet aspiracje szlachetne, gdy mu się trafi operetka, bardziej zbliżona do istotnej sztuki. Taka np. „Piękna Rizeta" Falla, zakrawająca na lekką operę, wykonana była ze szczególną starannością.

Jest to rzecz wdzięczna, miła, nadająca się również na popołudniówki.

Pozatem... Cóż pozatem?

Operetki, jak operetki.

* * *

Niedawno ogłosił „Kurjer Litewski" wywiad w sprawie dzierżawy teatru zimowego. Uważając, iż w chwili obecnej byłaby nie na czasie publiczna krytyka stawianych przedsiębiorcy warunków, powstrzymujemy się od wszelkich uwag na ten temat.

Lecz w wynurzeniach wiceprezesa Tow. Popierania Sceny znalazło się jedno zdanie, które może być komentowane przez zainteresowanych fałszywie, a więc wymagające sprostowania. Powiedziano tu, mianowicie, że w Wilnie nie opłaca się wystawianie sztuk wartościowych.

Tandeta wszędzie na świecie jest popłatna — do czasu. Otóż zadaniem instytucji społecznych, rozciągających dozór nad przedsiębiorczością prywatną, jest przedewszystkiem usuwanie pokus do hołdowania owej popłatnej tandecie. Takim też winien być naczelny cel wileńskiego Tow. Popierania Sceny. Wprawdzie dana instytucja może nie mieć sił na zupełne usunięcie zła, może godzić się z faktem, iż zwalczać je potrafi tylko częściowo; ale zapowiadanie zgóry, iż jest gotowa tandetę tolerować—to, naszem zdaniem, conajmniej nieostrożność: to z jednej strony kapitulacja z istotnych obowiązków instytucji społecznej, a z drugiej—dawanie zgóry sankcji interesowi aferzystów.

Trzeba pamiętać, iż kandydat na dzierżawcę teatru, wyczytawszy powyższe słowa wywiadu, pojmie je w sposób jaknajkorzystniejszy dla siebie, rozumiejąc, że jeśli coś podobnego przyznał publicznie przedstawiciel Towarzystwa, mającego dbać o możliwie wysoki poziom artystyczny teatru wileńskiego — to w rzeczywistości położenie musi być jeszcze znacznie gorsze.

A tymczasem w rzeczywistości nietylko nie jest gorzej, lecz przeciwnie—znacznie lepiej.

Kandydaci na objęcie dyrekcji teatru zimowego wiedzieć powinni, że *w Wilnie sztuki wartościowe mają powodzenie.* Tak, mają i to większe, niż gdzieindziej. Mają powodzenie nawet kasowe.

Największą liczbę spektakli dały takie utwory, jak: „Dziady", „Wesele", „Warszawianka", „Lilla Weneda", „Balladyna", „Eros i Psyche", „Moralność pani Dulskiej", „Starościc ukarany", „Dzwon zatopiony", „Bolesław Śmiały", „Orlątko", „Cyganerja warszawska" i t. p.

Są to rzeczy bardzo różnego poetyckiego napięcia i bardzo różnej wartości, ale wszystkie dalekie od popłatnej tandety. Niemniej dalekiemi od niej były i sztuki, cieszące się takiem powodzeniem śród mas szerokich, j. np. „Obrona Częstochowy" — rzecz pod względem artystycznym mierna, ale czyniąca zadość innym szlachetnym potrzebom ducha.

Jedno tylko należy uczynić zastrzeżenie: mianowicie, że utwory tego rodzaju — utwory wartościowe—mogą, jak to się mówi, „robić", o ile starannie są wystawione.

Jeśli Tow. Popierania Sceny nie będzie kładło odpowiedniego nacisku, by przyszły dzierżawca jaknajwięcej takich właśnie sztuk starannie wystawiał, jeżeli zgóry dawać mu będzie rozgrzeszenie za uprawianie łatwej do grania, a dla tłumu atrakcyjnej tandety — to wypadnie spytać: poco właściwie Towarzystwo to istnieje?

* * *

Koncerty orkiestry symfonicznej ściągają wciąż do ogrodu Bernardyńskiego tłumy publiczności. Okazuje się, że pomysł był doskonały.

Repertuar tych koncertów nie pozostawia nic do życzenia. Zaznajamiają one publiczność naszą— szeroką publiczność—z dziełami najświetniejszych kompozytorów świata, przyczem twórcy polscy zajmują miejsce poczesne.

P. Wyleżyński, pod którego dyrekcją wykonywane są utwory najtrudniejsze, daje dowody, że jest artystą, głęboko wnikającym w nastrój każdego dzieła. Rzecz naturalna, iż wobec słabego wyrobienia naszej publiczności, ma p. Wyleżyński zadanie bardzo trudne. Publiczność ta woli muzykę lżejszą, a dyrygienta, bawiącego ją ruchliwym temperamentem. Ma też u tłumu tego powodzenie duże p. Wouth—co wszelako nie dowodzi jeszcze, by nie zasługiwał na oklask i rzeczywistych znawców.

rc.

Szablony.

Wobec zapowiedzianych na jesień wyborów do Rady Miejskiej, hukać już poczynają rakiety agitacyjne. Zauważyć się przytem daje pewna ewolucja stosunków.

Podczas gdy dotąd spółzawodniczyły ze sobą jedynie grupy narodowościowe, urozmaicając kampanję starciami klik i koterji towarzyskich, — obecnie zjawia się na widowni czynnik nowy: mianowicie opozycja o charakterze społecznym. Jest to fakt niewątpliwie w życiu miasta doniosły. Świadczy on, że poczynamy budzić się z długiej, przymusowej drzemki, że bierną wegietację nurtować zaczynają życionośne fermenty.

Czas na to, czas najwyższy.

Ale stwierdzając dodatnią stronę istoty tego zjawiska, niepodobna wyrzec się krytyki konkretnego występu naszych doktrynerów demokratyzmu. Debiut ich na łamach „Kurjera Krajowego“ przekonywa nas niezbicie, że wileńscy obrońcy haseł demokratycznych operować umieją tylko szablonowemi formułami, nie bacząc na ich częstą w naszych szczególnych stosunkach bezprzedmiotowość.

„Kurjer Krajowy“, krytykując Radę Miejską, powtarza niemal dosłownie zarzuty, jakie czyni się w Europie burżuazji. Więc zarzuca jej egoizm klasowy, lekceważenie dobra szerokich mas ludności, wstecznictwo wreszcie, od którego rządów radzi wyzwolić miaso.

Czy twierdzenia te jednak nie są w znacznej mierze frazesami?

Gdzie np. „Kurjer Krajowy“ dostrzega przejawy wstecznictwa? Wiemy doskonale, że nasza Rada Miejska gotowa dla postępu czynić daleko więcej, niż może. Jeśli nie czyni, to dlatego, że kompetencję ma bardzo ograniczoną i uzależnioną od sił, przed nami nie odpowiedzialnych. Ogromna część uchwał jej, bardzo korzystnych dla szerokich mas ludności, napotyka przeszkody, które stawiają moce, poza społeczeństwem stojące. Jak z jednej strony nie pozwalają one wyładować się w pełni klasowemu egoizmowi „ojców miasta“, tak z drugiej—nie dają też wypowiedzieć się całkowicie ich demokratyzmowi i postępowości.

Słowem — z obecnych *czynów* naszej Rady Miejskiej żadnych wniosków nie możemy wyprowadzać co do jej zapatrywań społecznych. Wolno tylko czynić przypuszczenia.

Ale przypuszczenia te nie wypadają bynajmniej po myśli „Kurjera Krajowego“. Bo w rzeczywistości przeciętny rajca miejski daleko jest bardziej postępowy, aniżeli nasz *demos*. O ile w miastach nowoczesnych, przemysłowych zwłaszcza, interes mas ludowych przeciwstawia je wstecznictwu, o tyle w Wilnie są one elementem właśnie najwsteczniejszym. I to nietylko dlatego, że interesu swego nie rozumieją, ale że nie nastąpiło jeszcze wogóle zróżnicowanie interesów klasowych, jakkolwiek proces ten zwolna się odbywa.

Odwoływanie się więc do opinji szerokich mas nie może wpłynąć na zmodernizowanie gospodarki miejskiej i stosownie do tego — rola demokracji musi być u nas inna. Przedewszystkiem winna ona walczyć o rozszerzenie kompetencji i samodzielności rad miejskich. Obecną parodję samorządu, wiszącą na łasce administracji, należy oświetlić we właściwy sposób. Trzeba, żeby ogół zdawał sobie sprawę, że jeżeli gospodarka miejska w wielu kierunkach szwankuje — to w znacznej mierze dlatego, że organy samorządu mają zbyt często skrępowane ręce, że ciąży nad nimi ustawicznie widzimisię biurokracji, kierującej się najrozmaitszemi, często niezrozumiałemi względami.

Nadto od tejże biurokracji, a ściśle mówiąc, od władzy centralnej, nie zaś od obecnych rad miejskich zależy dawno już dojrzała potrzeba dopuszczenia do głosu nietylko właścicieli nieruchomości, lecz również ogółu mieszkańców, co ma znaczenie przedewszystkiem pedagogiczne.

Reforma zasadnicza ustawy wyborczej, szeroka jej demokratyzacja—oto hasło, o które należałoby dziś walczyć z całym zapałem.

Nie trzeba wszelako zapominać, że żyjemy w warunkach wypadkowych, karykaturalnych. Żądanie reformy demokratycznej dziś może się u nas łacno przeobrazić w wartki strumień, obracający młyn najohydniejszej reakcji — reakcji biurokratycznej.

Toć wszystkie „reformy“ reakcja ta wykonywa pod fałszowanym sztandarem demokratyzmu i wcale nie czeka na inicjatywę społeczeństwa, by łzy krokodyle wylewać nad losem szerokich mas. Lecz jeśli zacznie niby to ich interes uwzględniać — cóż nam dać zechce? Kurje narodowościowe i zamiast rajców kamieniczników — rajców czynowników.

Z dwojga złego najgorszy demokrata chyba nie ma wątpliwości, które wybrać.

Ostrożny.

⊳ooooooooo⊲

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Edward Słoński. *Nieżęty kłos.* (Poezje) str. 59. Okładkę rysował P. Zarzycki. Potret pędzla Konrada Krzyżanowskiego. Warszawa 1913 r. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.

Na spółczesnym polskim Parnasie Słoński zdobył sobie miejsce zaszczytne. Jego ciche dośrodkowe pieśni łkają głośnem echem. Jego delikatne płowe barwy drgają niezapomnianemi harmonjami kolorów. I nic w nich niema z modnej dziś stylizacyjności. Wiersz Słońskiego sam przez swoją subtelną treść wytwarza specjalny, samoistny styl, swoją specyficzną artystyczną fizjonomję. Prostota jego jest zadziwiająca. Wiersz o wiośnie zaczyna w ten sposób:

Ludzie mówią o wiośnie:
— Przyjdzie tu lada dzień...

W ten sposób mógłby śmiało każdy prozaik rozpocząć opis wiosny, ale u Słońskiego te proste, prozaiczne słowa mają w sobie czar poetycki. Całość tchnie świeżością odczucia, tworzy obraz tak pełny a w rytmikę wewnętrzną bogaty, że prostotę Słońskiego musimy zaliczyć na karb jego duchowego dorobku. Do takich jednak rzeczy nie przychodzi się łatwo. Wiem, że o wiele łatwiej jest nagromadzić różnych „Pelionów na Ossę“, różnych „druidów“, „mastodontów“, „lucyferów“, niż mówić prosto a serdecznie, a wzruszająco. Zapewne dla niektórych poszukiwaczów głębin poezja Słońskiego jest zbyt szczera, mówi tylko to, co czuje, co myśli i to właśnie dla nich jest wadą. Ugrzęźli oni w mule frazesów i nie czują, nie są w stanie zrozumieć ludzkiej szczerości, ludzkiej bezpośredniości odczucia. Dla tych więc

poezja Słońskiego niech pozostanie sprawą przyszłości. Może kiedyś, gdy rozwiną się dotyla, że zatęsknią za prostotą, za szczerością, „Nieżżęty kłos“ Słońskiego przeczytają z lepszym skutkiem. Niedawno bowiem czytałem sprawozdanie w pewnym warszawskim organie o Słońskim i zdziwiłem się, jak mogą pisać o poezji ludzie nie czujący zupełnie wiersza. A co najważniejsza nie odczuwający zupełnie polskości.

Przez wiersz Słońskiego przecież śpiewa polska wierzbina przydrożna. Przecież łkają w niej ligawki podlaskich moczarów, przecież słania się w niej smutek mazowieckiej równiny. Nie odczuć tego, nie odnaleźć w duszy swojej tonów rodzinnych, to znaczy błąkać się po szlakach... infernalnych...

Maleńka, estetyczna książeczka Słońskiego dla miłośników poezji jest cennym podarunkiem. Bo któż z przyjemnością nie odczyta sobie:

Lampa, abażur z obwódką —
czerwonej serwety brzeg.
Za oknem cicho, cichutko
na dachach ściele się śnieg.
Po fałdach białej firanki
cień długi na dywan zbiegł...
Daleko gdzieś dzwonią sanki
i skrzypi pod nogą śnieg.

Lecz... muszę się zatrzymać, choć chciałbym cały ten zacytować wiersz, jak chciałbym wam wypisać „Grzech“ lub o „Pajacu“ dumę smutną. Duma ta jest bardzo aktualna i myślę, że zawsze będzie aktualna, bo zawsze polacy będą pytali:

— Rycerzu, gdzie twój koń bojowy,
— gdzie towarzyszów twoich huf?

I zawsze będą, jak ów bohater wierszowy, te same przeżywać refleksje:

I odtąd pajac przez rok cały
śmiał się do swoich złudnych snów...
dzieci mu konia połamały,
znikł gdzieś żołnierzy jego huf.
Nie było nigdzie żadnej walki,
ktoś go w ten ciemny rzucił kąt,
a on wciąż tęsknił do swej lalki,
a on wciąż nowych czekał świąt.

Czyż niema śród nas takich, co wciąż nowych czekają świąt? Czy niedawne wypadki nie mogą nic o tem powiedzieć?

Wiersze Słońskiego łatwo zapamiętuje się, a więc napewno ów wiersz o pajacu będzie powtarzany, przejdzie z ust do ust, z serc do serc.

Tomik ten poeta poświęcił żonie. Dedykacja ta zasługuje też na uwagę:

„W każdym wierszu moim odnajdziesz siebie. Jak w lustrze, odbiłaś się we mnie—i patrzą z moich smutków smutne Twoje oczy i śmieją się w moich krótkich radościach Twoje słodkie uśmiechy—przeto Twoje są te wiersze“.

Człowiek szczery, poeta prosty a serdeczny wyspowiadał swoją duszę. Czytajcie więc poezje Słońskiego z pijetyzmem...

Eustachy Czekalski.

PRASA POLSKA.

— Artykuł nasz: „Wpływy postronne“ wywołał ze strony „Kurjera Krajowego“ replikę, mającą na celu odparcie uczynionych mu zarzutów. Tłómaczy się „Kurjer Krajowy“ dość mętnie i zawile, nie przytacza też na poparcie swych twierdzeń rzeczowych argumentów. Główny atut pomawiania nas o metodę reakcyjną nie wytrzymuje krytyki. Nie oskarżaliśmy wszakże „Kurjera Krajowego“ o sprzedajność, przeciwnie podkreślaliśmy bezinteresowność pobudek, zniewalających jego kierowników do wysługiwania się interesom litewskim i białoruskim. Pobudką bowiem tu jest specyficzna doktryna „krajowa“, spychająca żywioł polski w naszym kraju na szary koniec. Dowodem takiego zapatrywania jest chociażby końcowy ustęp repliki:

„I jeszcze jedno. „Przegląd“ powiada, że mu dawano do zrozumienia (rzekomo z demokratycznych kół litewskich i białoruskich), że „prawdziwy demokratyzm“ wymaga „ułatwiania jedynie pracy działaczom litewskim i białoruskim“.

Nie sądzimy, aby tak było, i przypuszczamy raczej, że „Przegląd“ się myli. Sądzimy, że takie żądanie mogłoby pochodzić li tylko z kół nacjonalistycznych, nie zaś demokratycznych.

Wszakże, jeżeli z tego żądania usuniemy słowo „jedynie“ a zamiast słowo „działaczy“ postawimy słowo „demokracji“, to frazes ten brzmieć będzie tak: „ułatwienie pracy demokracji litewskiej i białoruskiej“.

Otóż tak sformułowany postulat jest niewątpliwie słuszny i musi być jednym z rzeczywistych artykułów programu demokracji polskiej w tym kraju, jak odwrotnie „ułatwianie pracy demokracji polskiej“, w miarę oczywiście możności, powinno być nakazem dla demokracji litewskiej czy innej.

I sam „Przegląd“, jeżeli powiada, że ideałem jego jest trwały sojusz między demokracją polską, litewską i białoruską, oparty na głębokiem zrozumieniu wspólnych celów i dążeń, stwierdza przeto, że są takie „wspólne cele i dążenia“ i że jest potrzeba „trwałego sojuszu“, a więc nie może nie uznawać nakazów, płynących z tej solidarności, i przedewszystkiem wzajemnego ułatwiania sobie pracy, a wzajemnej pomocy.

A skoro tak, skoro uznaje to w teorji, to powinien stosować to w praktyce czynu. Niepotrzebnie tylko powiada „jedynie“ i niepotrzebnie używa słowa „działaczy“ zamiast „demokracji“.

A więc „Kurjer Krajowy“ sądzi, że demokracja polska powinna ułatwiać pracę demokracji litewskiej i białoruskiej *bezwzględnie*, natomiast tamte mogą przychodzić z pomocą demokracji polskiej jedynie *w miarę możności*... Już ten drobiazg jest wysoce charakterystyczny. Ale nie w tem rzecz. Najlepiej, gdy każdy będzie pracował samodzielnie w zakresie własnych spraw i nie wtrącał swych trzech groszy do cudzych. Nie wyklucza to, rzecz prosta, zrozumienia wspólnego celu, do którego można zdążać różnemi, chociaż wytkniętemi w jednym kierunku, drogami.

Owóż twierdzimy, że demokracja polska widzi ten cel wyraźnie i kroczy ku niemu twardo, dotychczas jednak nie może się pochlubić, by jej dążenia zostały uznane i poparte przez demokracje litewską i białoruską. Stąd postulat „trwałego sujuszu“ pozostaje tylko pustym dźwiękiem.

Kierownicy „Kurjera Krajowego“, jeżeli nie są ostatecznie zaślepieni, powinni to zrozumieć i swe wymagania solidarności skierować w inną stronę...

— „Prawda“ gorąco protestuje przeciwko nadużywaniu imienia Aleksandra Świętochowskiego przez naszych reakcjonistów, szukających sankcji moralnej dla swego oportunizmu.

„Wiceprezes Koła Polskiego w Petersburgu, szu-

kając sankcji moralnej dla rozbratu swej grupy z lewicą rosyjską, przypomniał sobie zdanie Aleksandra Świętochowskiego o doktryneryzmie kadetów.

Przytoczył je, dwakroć podkreślił i — zatryumfował: „Kadeci nas nie rozumieją! Postępowcy rosyjscy chcą sprawy polskie rozstrzygać mieczem z frazesów ukutym! — to powiedział przecież Świętochowski, postępowiec polski".

I nikt z towarzyszów p. Harusewicza (on to bowiem był tym tryumfatorem) nie spostrzegł, jak fałszywie, jak dziko te słowa zabrzmiały w dusznej atmosferze pełzania przed władzą, te słowa, z ukochania bezwzględnej wolności poczęte, a wymówione tam—ustami oportunizmu.

Bo zdaniem tem Świętochowski obwarować chciał niezależność polityki polskiej nawet w stosunku do prądów przyszłości. Nie mówi nic o warunkach sojuszu z reakcją, ponieważ sojusz ten znajduje się poza polem jego widzenia. Mieć może dlań tylko wzgardę, a orężem wzgardy jest milczenie. Zastanawia się atoli nad możliwością współdziałania z lewicą i współdziałanie to dopuszcza, wszelako pod warunkiem uszanowania w nim i zabezpieczenia praw naszej indywidualności narodowej.

W istocie: wobec żywiołów lewicowych możemy mieć swe zastrzeżenia, możemy swe formułować warunki; przeciwko prawicy mamy tylko wzgardę i nienawiść: oto hasło Świętochowskiego w kilku słowach zawarte, i również hasło — nasze.

Przedstawiciel „Koła" w przemowie swej połknąwszy tę wzgardę i tę nienawiść,—bez zająknienia, — dał wyraz, natomiast, zastrzeżeniom Świętochowskiego przeciw kadetom i ich nazbyt kozackiemu radykalizmowi.

Ale czyż to nie znaczy, że, w swej cytacie, podał on ze słów Świętochowskiego tylko łupinę, a odrzucił ziarno?

Bowiem krytykę kadetów snadź podjął Świętochowski, nie w tym celu, aby z niej uczynić pomost dla ułatwienia „Kołu" przejścia na prawicę, i rzucenia się w objęcia czarnej setni... jak zdaje się mniemać p. Harusewicz wespół z p. Zamysłowskim, który go z zapałem oklaskiwał.

Jeśli zaś ugoda i oportunizm polski pragnie za wszelką cenę rękami posłów naszych w Petersburgu wić wieńce dla reakcji, niechaj wystrzega się rwania w tym celu kwiatów na łamach „Humanisty Polskiego", skąd uszczknął tak dyskretnie uwagę jedną pan Harusewicz: niebezpieczny to grunt, albowiem to, co się kwiatem na nim wydaje, może być, istotnie, dla świata całego kwiatem, ale na czole Puryszkiewiczów i Zamysłowskich snadnie stać się może—wianem żmij".

Słuszna odprawa powyższa z wielkiem zadowoleniem będzie niewątpliwie powitana przez tych wszystkich, którzy ze smutkiem spoglądali na coraz częstsze wypadki powoływania się wstecznictwa rodzimego na zdanie długoletniego wodza postępu polskiego.

— Fatalna polityka Koła Polskiego w Petersburgu znalazła surową, lecz sprawiedliwą ocenę w „Dzienniku Petersburskim". „Najgorsze nasze przewidywania sprawdziły się" — pisze p. St. Gr.

„Projekt prawa o samorządzie miejskim wcale nie będzie rozpatrzony przez Radę Państwa w obecnej sesji, a więc o wprowadzeniu samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem w roku bieżącym nawet mowy być nie może. (Projekt przewiduje wprowadzenie ustawy po upływie 6 miesięcy od chwili opublikowania jej). Natomiast projekty praw, dotyczące urzeczywistnienia ustawy chełmskiej, zostaną w ostatniej chwili przeprowadzone przez obie Izby.

Oto jak wyglądają realne, namacalne wyniki sesji parlamentarnej 1912 — 1913 roku.

W świetle tych faktów cała ostatnia historja projektu samorządowego nabiera jaskrawie tragicznych cech...

Kiedy po dyskusji samorządowej w Dumie zadawaliśmy sobie pytanie, jakież są gwarancje, czy opłacą się te porażki moralne, które przypadły w udziale Kołu Polskiemu, a obecności których nie zaprzeczają tylko dwa pisma polskie — „Gazeta Warszawska" i „Gazeta 2 grosze", nie przypuszczaliśmy nawet, że życie tak szybko odpowie kategorycznie na nasze zapytanie przeczące: nie, nie opłacą się.

Zdawało się nawet przez chwilę, że „gra warta była świeczki", poruszone zostały czy też same poruszyły się tak wpływowe sprężyny, iż widmo samorządowe nieomal poczęło przyoblekać się w kształty realne.

Wpływowy ks. Mieszczerskij i generał-gubernator, gen. Skałon gwarantowali niejako, że dalsze uszczuplenie praw języka polskiego w samorządzie nie będzie dopuszczone.

Głos ich zyskał poparcie, ze sfer wyższych idące. Wobec tego upór p. Kobylinskiego wydał się okolicznością mało znaczącą — wprost quantité négligeable...

Okazało się, że tak nie jest: p. Kobylinskij i jego przyjaciele znaleźli wyjście — i to wyjście bardzo proste — odroczenie projektu jeszcze na szereg miesięcy...

Co będzie na jesieni, znów trudno przewidzieć, a wątpić należy, czy mająca w tej chwili poważne znaczenie dla projektu opinja ks. Mieszczerskiego i gien. Skałona, będzie je miała również po wakacjach... Przejdzie poprostu w niepamięć...

Wszystkie rachuby Koła Polskiego zawiodły: mamy przed sobą w dalszym ciągu rozbite koryto, a w niem prócz tego — zerwanie Koła Polskiego z demokracją rosyjską i ustawy chełmskie".

Tak smutnie się skończyła pogoń za owym wróblem, którego miano już niby w garści. A gołębie pofrunęły i już nie wrócą!

⊳ooooooooo⊲

Wyjaśnienie.

Artykuł nasz: „Rosjanie — a sprawa polsko-żydowska", wymierzony pod adresem liberalnej prasy rosyjskiej, nie zadowolił „Przeglądu Codziennego" — wychodzącego w Warszawie organu separatystów żydowskich.

Pismo to wystąpiło z obszerną polemiką, której argumentacja wskazuje, że albo źle zostaliśmy zrozumiani, albo też autor, nie mogąc znaleść słabych stron rozumowania, stwarza je, pacząc myśli artykułu.

Nasze np. *przypuszczenie*, iż liberalizm rosyjski byłby może mniej teoretycznie filosemicki, gdyby w Rosji rdzennej mieszkały masy żydowskie, jako też postawienie *kwestji*: które społeczeństwo — polskie, czy rosyjskie — okazałoby się bardziej tolerancyjnem po zniesieniu strefy osiadłości, „Przegląd Codzienny" nazywa *proroctwami*, na których budować nie można żadnych konstrukcji politycznych.

Tym sposobem wywodom naszym „Przegląd" wmawia punkt wyjścia, któregośmy zgoła nie obierali.

Nam szło o to, że cała „sprawa polsko-żydowska (a w niej i obecny stosunek polsko-żydowski) jest konsekwencją polityki antysemickiej państwa. Ta zaś polityka nie może nie mieć związku ze światopoglądem mas rosyjskich. W społeczeństwie o spopularyzowanem poczuciu wolności i równości obywatelskiej, w społeczeństwie o zwalczonych już uprzedzeniach kastowych nie dałaby się wcale pomyśleć większość dziwacznych szykan antyżydowskich, które dotąd wciąż jeszcze w Rosji podsuwa ustawodawcom inicjatywa prywatna.

Otóż liberałowie rosyjscy, wkładający lwią część swego ferworu filosemickiego w interwenjowanie na gruncie polskim, chcą usunąć skutek, niedość sił poświęcając zwalczaniu jego przyczyny. Do obowiązków ich należy przedewszystkiem zdobywanie dla żydów „praw ludzkich" w Rosji rdzennej przez wpajanie ciemnym masom tamtejszym zasad równości obywatelskiej.

W „Przeglądzie Codziennym" czytamy zdanie takie: „Ludność żydowska w Królestwie skarży się

nietylko, na t. zw. antysemityzm polski, *ale i na* ograniczenia prawno polityczne"... etc.

Owe, podkreślone przez nas, „nietylko" oraz „ale i"—to mianowicie to, o co nam chodzi. Gdyby szyk tego zdania był zmieniony, gdyby brzmiało ono: „Ludność żydowska w Królestwie skarży się nietylko na ograniczenia prawno-polityczne, ale i na t. zw. antysemityzm polski"—wszystko byłoby w porządku. Lecz właśnie o to idzie, że zarówno sami żydzi, jak i rosyjscy ich poplecznicy gromią przedewszystkiem „t. zw. antysemityzm polski", atakując znacznie słabiej „ograniczenia prawno-polityczne", wcale zaś już nie tykając podłoża, z którego owe ograniczenia wyrastają — t. j. antysemityzmu mas rosyjskiich.

Jest to symptomat powszechnej dziś reakcji, której towarzyszy podłe korzenie się przed siłą (tem podlejsze, że najczęściej maskowane, nieśmiałe) i szukanie przeciwników możliwie najmniej niebezpiecznych oraz walk najmniej ryzykownych.

Podobnie jak dzisiejszy szał antysemicki wielu organów prasy warszawskiej, schlebiających „braciom słowianom", tak też często inspirująca wystąpienia „kadeckie" polonofobja „istinno ruskich jewrejew" z p.p. Żabotinskimi na czele, jest zjawiskiem wstrętnem. Jego całej obrzydliwości nie widzą ci, których warunki zmuszają do brania bezpośredniego udziału w walce. Ale my, w Wilnie, stojąc na uboczu, obserwujemy sprawę z należytego oddalenia i mamy obowiązek oświetlania jej we właściwy sposób.

Widzimy jasno, że równie jak za antysemityzmem, tak i za polonofobją kryje się tchórz, unikający walki ze złem istotnem, a pragnący tanim kosztem zdobyć ostrogi rycerskie śród swoich, a nieraz i łaskawy uśmiech dozorcy niewolników.

Żądanie przez liberałów rosyjskich, by „prawa człowieka" respektowane były przedewszystkiem w Polsce i przedewszystkiem w stosunku do żydów, a nadto wynoszenie tego postulatu wkrótce po przyłożeniu ręki do upaństwowienia kolei Wiedeńskiej i pozbawienia chleba masy pracowników polskich—jest, według nas, ze strony „kadetów", obieraniem najłatwiejszej, najbezpieczniejszej drogi; jest umywaniem rąk od ich zadań bezpośrednich, jest wreszcie daremnem marnowaniem energji, której nie mają wcale za dużo na spełnienie swego głównego obowiązku — europeizowania Rosji od podstaw.

⊳ooooooooo⊲

Lojalizm poznański.

Czytamy w „Kurjerze Warszawskim":

„Stała się rzecz dziwna i skandaliczna.

Oto, gdy w parlamencie niemieckim marszałek izby, Kaempf, wygłaszał mowę, poświęconą jubileuszowi cesarza, kilku posłów polskich uznało za właściwe, wbrew niemal jednomyślnej opinji całego społeczeństwa, pozostać na sali, a tem samem uczestniczyć w hołdzie, składanym temu królowi pruskiemu, który najcięższe ciosy w polaków wymierzył.

Między tymi posłami znalazł się sędziwy parlamentarzysta, Czarliński, który obecnie tłumaczy się tem, że „chciał kontrolować," co się w izbie dzieje".

Kontrola naprawdę zbyteczna!

Inny poseł, ks. Danejski, oświadcza, że poszedł za przykładem posła Czarlińskiego. Trzeci, p. Nowicki, który jest przestawicielem robotników polskich, pozostał podobno w izbie „z ciekawości". Czwarty zaś, ks. Brandys, przyznaje otwarcie, że wziął udział w uroczystości pruskiej „z zasady, jako monarchista". A najbezczelniejszy był poseł hr. Mielżyński, który nietylko zgóry zapowiedział, że weźmie udział w posiedzeniu jubileuszowem parlamentu, ale zaznaczył swój lojalizm okrzykiem „Hoch!" na cześć cesarza.

Zaiste, całe to zdarzenie rzuca dziwne światło na stosunki, panujące w dwóch „Kołach" polskich w Berlinie. „Koło" sejmowe powzięło uchwałę, że stać będzie zdala od uroczystości jubileuszowych i ściśle zastosowało się do tej rezolucji. W „Kole parlamentarnem" zaś, gdzie przewagę mają również żywioły demokratyczne, stojące zdala od wszelkiej polityki ugodowej, nie powzięto żadnej uchwały. Dlaczego? Pono dlatego, że większość demokratyczna Koła nie chciała wskutek przesadnej delikatności „nadużywać swej przewagi" i zniewalać mniejszość bardziej ugodową do sprzeniewierzenia się własnym przekonaniom (!).

Zaiste, wygląda to tak, jakby posłowanie polskie było nie poważną pracą polityczną, lecz zabawką salonową, w której obowiązują względy uprzejmości towarzyskiej. Nie polityka, lecz flirt!

I to wszystko dzieje się w chwili, gdy prusacy wywłaszczają ziemię polską, w chwili, gdy z wolą monarchy-jubilata w kancelarjach ministerjalnych przygotowują nowe przeciwpolskie ustawy, a policja poznańska pastwi się wprost nieludzko nad każdym objawem życia polskiego.

A gdzież jednolitość polityki polskiej? Więc Koło sejmowe poszło na lewo, a Koło parlamentarne na prawo?! Więc posłowie sejmowi wychodzą z sali, aby nie słyszeć mów bałwochwalczych na cześć Wilhelma II, a w parlamencie poseł Mielżyński krzyczy na całe gardło: *Hoch!*

To są wprost niesłychane w życiu politycznem anomalje. Społeczeństwo poznańskie powinno energicznie zażądać od swych posłów rachunku".

Nikczemność czy głupota?

Z chwilą, gdy ruch wolnościowy w państwie Rosyjskiem wytworzył fikcję swobody, w prasie polskiej poczęły się dziać rzeczy, niesłychane przedtem, wykraczające przeciwko surowo „za czasów cenzury przestrzeganej etyce dziennikarskiej.

Skutkiem rozprzężenia się zupełnego jednolitej dawniej w zakresie *pewnych kwestji* opinji publicznej, rozmaite dwugroszówki, nie czując hamulca, rozzuchwaliły się i zatraciły wszelką miarę w swych wybrykach. Do szeregu ich niestety należy zaliczyć również wileńską „Gazetę Codzienną".

W № 163 niepodpisany autor artykułu wstępnego, stając w obronie szkoły polskiej wobec kalumnji „Now. Wriemia", charakteryzuje studentów z powodów politycznych relegowanych z uniwersytetów rosyjskich, iż „uniknęli oni szubienicy tylko dzięki niedbalstwu władz policyjnych, które pozwoliły im umknąć zagranicę, gdzie zaśmiecają obecnie wszystkie uniwersytety zachodnie"...

Nikczemność czy głupota podyktowały ohydne to zdanie?

Sądząc z dotychczasowej działalności publicystycznej kierownika „Gazety Codziennej", ostatnie przypuszczenie wydaje się nam bliższem prawdy.

KRONIKA.

= **Emigracja litewska.**

Pismo litewskie „Rygos Garsas" podaje następujące liczby, ilustrujące ogrom wychodźtwa litewskiego za ocean:

Od r. 1900 do 1905 włącznie wyemigrowało do Ameryki 76,571 litwinów. W r. 1906 liczba wychodźców nieco się zmniejszyła, lecz już w r. 1907 znowu wzrosła w dwójnasób. Od roku 1907 do 1912 włącznie, emigrancja pozbawiła Litwę 108,657 osób, czyli przeciętnie po 18,109 osób rocznie. Ogółem przeto, według obliczeń „Rygos Garsas", w ciągu lat 12 bieżącego stulecia wyjechało do Ameryki najmniej 250,000 litwinów. A ileż wraca z obczyzny do kraju? Pismo wspomniane podaje na r. 1911 — 1912 liczbę takich na 4,141 osób. Większość ogromna nietylko nie wraca do ojczyzny, lecz całkowicie się wynaradawia.

= **Zawieszenie pisma.**

Sąd okręgowy lubelski skonfiskował № 123 „Kurjera" lubelskiego i jednocześnie zawiesił to pismo do czasu wydania wyroku sądowego: Konfiskata i zawieszenie wydawnictwa nastąpiły za umieszczenie artykułu p. A. Hempla p. t. „Pielgrzymka".

= **Autobjografja „Łucza".**

„Łucz" zamieszcza następującą ciekawą autobjografję statystyczną:

„Przez czas istnienia „Łucza" wydano 218 numerów. Z nich z rozmaitych §§ kodeksu—pociągnięto redaktorów do odpowiedzialności 59 razy, skazano na kary administracyjne 17 razy. Ogółem podległo represjom 76 numerów, to jest z 3 №№ — jeden. Czwarta część №№ nie doszła do czytelników!

Suma grzywien wynosi 8500 rubli, to jest 4 i pół roku więzienia.

= **Z braku poparcia.**

Pismo „Tydzień", wydawane w Warszawie przez p. Jerzego Jankowskiego, przestało wychodzić z braku poparcia.

= **Sprawy finlandzkie.**

Gienerał-gubernator finlandzki zwrócił się do senatu finlandzkiego z wnioskiem, w którym wskazał na konieczność wprowadzenia nauki języka rosyjskiego w szkołach tych miejscowości, których mieszkańcy stykają się z ludnością rosyjską. Kwestja ta była już poruszana i rozpatrywana w senacie, który uznał za niemożliwe przedsięwziąć cokolwiek w tym kierunku, wskutek silnego oporu finlandzkich urzędów gminnych. Obecnie gienerał-gubernator polecił senatowi rozpatrzeć jego wniosek ponownie i przedstawić w sprawie tej projekt odnośnego prawa.

= **Henryk Rochefort.**

W Aix-les-Bains zmarł znany publicysta francuski Henryk Rochefort.

Całe nazwisko zmarłego brzmi: Wiktor Henryk hr. de Rochefort-Luçay. Pochodząc z rodziny arystokratycznej, lecz zubożałej, zarabiał pierwiastkowo na chleb, jako pisarz magistratu paryskiego, wnet jednak rzucił ten zawód i dał się poznać ciętością pióra i dowcipu w ówczesnych pismach, jak „Charivari", „Noir jeune", „Figaro". Później założył słynną „Lanterne", w której ośmieszał zjadliwie rząd i bonapartyzm. Po klęsce sedańskiej był przez chwilę w rządzie tymczasowym ministrem bez teki, oświadczywszy się jednak za komuną, a później (1873) z powodu podburzania do rewolucji, skazany został na wygnanie i deportowany do Nowej Kaledonji, skąd uciekł i wydał w Szwajcarji słynną książkę: „De Nouméa en Europa", będącą zarazem paszkwilem na rząd.

Skutkiem amnestji (1880) powrócił do kraju gdzie założył głośne pismo „L'Intransigeant", redagowane aż do końca życia.

Wydał głośne dzieło: „Awantury mego życia", tłómaczone na wszystkie języki.

Do końca życia, jako redaktor i publicysta należał zawsze do opozycji „quand même", zwalczając, ośmieszając, uciekając się do paszkwilu na każdy gabinet i na każdy rząd. Na jego charakter pisarski składały się przeważnie dwa pierwiastki: zjadliwy i gryzący dowcip oraz nieprzebieranie w środkach.

= **Poetka kandydatką do parlamentu.**

Nowe wybory do parlamentu włoskiego przyniosą nowość we Włoszech: kandydaturę kobiety, usilnie popieraną przez młodsze pokolenie wyborcze. Kandydatką tą jest poetka, Grazia Delleda, a okręg wyborczy, w którym występuje, to jej ojczysty zakątek sardyński. Nuoro. Przed jednym ze współpracowników „Giornale d'Italia" znakomita poetka wynurzała się, iż nigdy nie była wielką zwolenniczką nowoczesnych środków do zdobywania praw kobiety, uważa jednak, iż wiele bardzo jest kwestji społecznych, o których kobiecie o wiele łatwiej jest sądzić, niż mężczyźnie, a mianowicie, całe prawodawstwo o pracy kobiet i dzieci. Prawodawstwo to jednocześnie powinno być polityczne i wychowawcze; mężczyznom brak przedewszystkiem odczucia, wrodzonego kobiecie dla potrzeby ochrony uwiedzionej dziewczyny czy porzuconego, dziecka, współczucia dla tych słabych istot, które pomimo wszystko, przedstawiają taką siłę w społeczeństwie. Kandydatura Grazii Delledy prawdopodobnie zyska powodzenie.

ᐅooooooooᐊ

Sprostowanie.

W № 20 — 21 w artykule „Władysław Mickiewicz". str. 7, szpalta I, wiersz 14-ty od góry, zamiast najdobitniejszych należy czytać n a j d o s t o j n i e j s z y c h.

W № 22—23 do artykułu „Biedne miasto" wkradł się błąd cyfrowy. Własność żydowska wynosi 27,4% ogólnej ilości nieruchomości w Wilnie.

ᐅooooooooᐊ

Książki nadesłane do redakcji.

Edward Słoński. *Nieżęty kłos.* Warszawa, 1913.

Praca oświatowa Jej zadania, metody, organizacja. Kraków, 1913. Nakładem M. Arcta w Warszawie.

Ks. A. Józefowicz. *Vivos voco!* I. Sprawozdanie wyborcy do IV-ej Dumy. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1913.

Katalog wydawnictw księgarni nakładowej Feliksa Westa w Brodach, wydany w 50 rocznicę pracy zawodowej F. Westa. Brody, 1913.

Treść numeru.

Baczność! — ***.
Polityka realna, czy siła ruchu? — W i - s k i.
Oskarżenie przed forum Europy — B. H.
Plon knowań endeckich. — J. S.
Przemiany angielskie. — S t. P o s n e r.
Nad Sekwaną. — W. K i ś l a ń s k a.
Kto z nieba gwiaździstego... — J. J e d l i c z.
Teatr i muzyka. — r c.
Szablony. — O s t r o ż n y.
Przegląd piśmienniczy. — E. C z e k a l s k i.
Prasa polska.
Wyjaśnienie.
Kronika.
Lojalizm poznański.
Nikczemność czy głupota?

ᐅooooooooᐊ

Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ„. Wilno Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa.

Rok II. Wilno, 19 lipca (1 sierpnia) 1913 r. № 27—29.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

UNJA W HORODLE

Wspomnienie historyczne.

(1413—1913).

Poważny okres czasu, bo pół tysiąca lat, mija od chwili, gdy zgromadzeni na zamku w Horodle panowie i dygnitarze polscy i litewscy ułożyli i przyjęli warunki wspólnego pożycia dla dwu sąsiednich, dawniej wrogich, a odtąd sprzymierzonych i zbratanych ze sobą narodów. Pamiętny akt ten zaopatrzony został w pieczęcie nie tylko króla Władysława i w. księcia Witolda, ale i wszystkich obecnych panów i dygnitarzy polskich i litewskich i oznaczony datą 2 października 1413 r. Umowy podobne zawierane były i w krajach innych (dość przypomnieć unję państw skandynawskich w Kalmarze 1397 r.), ale żadna chyba nie wywarła tak głębokiego wpływu na dalsze losy obu sprzymierzonych narodów, jak unja polsko-litewska, zawarta w Horodle. Bez względu na to, czy uznamy fakt ten za zjawisko dodatnie i chlubne, czy też, jak to czynią niektórzy, będziemy dopatrywać się w nim źródeł przyszłej niedoli obu narodów w każdym razie musimy uznać nadzwyczajną, epokową doniosłość Unji Horodelskiej.

Tak jak każdy równie doniosły fakt dziejowy, musiała Unja Horodelska być przygotowaną przez poprzedni rozwój Polski i Litwy. Nie byłaby ona nigdy tak trwałą i nie pozostawiłaby tak głębokich śladów w obu krajach, gdyby sam rozwój dziejowy nie pchał obu narodów do ściślejszego sojuszu i związku. Na sto lat prawie przed zjazdem w Horodle nawiązane już były pierwsze układy pomiędzy Polską i Litwą, które uwieńczone zostały małżeństwem królewicza Kazimierza z córką Giedymina i sojuszem polsko-litewskim przeciw krzyżakom (1325). Po śmierci Giedymina sojusz ten został zerwany, Polska i Litwa walczą ze sobą o spadek po kniaziach halicko-włodzimierskich. Lecz niebawem konieczność dziejowa zmusza obie strony do zaprzestania tej walki i do obmyślenia nowego, trwalszego już związku. Dla obu krajów przymierze to jest pożądane. Polska, odcięta przez Zakon Niemiecki od morza, szuka sprzymierzeńców dla odzyskania tak ważnego dla niej ujścia Wisły. W tym celu, po śmierci wielkiego króla Kazimierza (1370) łączy się unją dynastyczną z Węgrami. Unja ta przynosi Polsce korzyści. Politycy węgierscy mają wzrok zwrócony zupełnie w inną stronę i nie dbają wcale o ujście Wisły. Polska za Ludwika Węgierskiego nie tylko nie odzyskuje dostępu do morza, lecz traci na rzecz Węgier zdobytą przez Kazimierza W. Ruś Czerwoną. Trzeba więc było pomyśleć o innym sprzymierzeńcu. A któż mógł łatwiej dopomóc polakom zarówno do zwalczenia krzyżaków jak i do odzyskania Rusi Czerwonej, jak nie Litwa, granicząca i z państwem krzyżackiem i z Rusią Czerwoną, mająca przytem poważniejsze jeszcze niż Polska porachunki z Zakonem.

Ale i Litwa ma poważne powody do szukania sojuszu z Polską. Zakon Niemiecki nie tylko ją odgrodził od morza, ale zagroził wprost jej bytowi politycznemu. Przez sto lat systematycznie pustoszył i niszczył jej ziemie, aby zniewolić i podbić je sobie tak, jak to już uczynił z Prusami i Inflantami. Gdy z północnego zachodu groziła Litwie potęga niemiecka, na południowym wschodzie położenie było również dość trudnem. Korzystając z osłabienia panującej nad rozdrobioną i wyludnioną Rusią hordy mongolskiej, zagarnęli książęta litewscy znaczne obszary ziem ruskich. Powiększyli wprawdzie przez to swe siły materjalne, ale wprowadzili jednocześnie w skład państwa liczny żywioł obcy, którego zasymilować nie mogli, przeciwnie, sami zaczeli podlegać wpływowi kultury ruskiej. Rusini tymczasem nie mogli odrazu pogodzić się z nowemi panami, bo Litwa była dla nich nie tylko obcym, ale i pogańskim krajem. Ztąd chwiejne stanowisko rusinów

litewskich w wojnach Litwy z kniaziami ruskimi, ztąd niepewne stanowisko Litwy na Rusi.

W obu wypadkach wielką pomocą mogłaby być dla Litwy Polska. Połączone siły polsko-litewskie dałyby sobie niewątpliwie radę z Niemcami i uchyliłyby grożące Litwie z tej strony niebezpieczeństwo. Z drugiej strony Polska, po odzyskaniu Rusi Czerwonej, byłaby zainteresowaną w utrzymaniu panowania litewskiego na dalszej Rusi i w tłumieniu wszelkich ruchów niepodległościowych śród rusinów.

Tak więc obu państwom niewątpliwie chodziło o zawarcie sojuszu, ale Litwie chyba więcej, niż Polsce. Polsce sojusz ten był potrzebny dla dopięcia planów politycznych, Litwie był wprost niezbędny dla utrzymania bytu politycznego. Nie Litwa więc, a Polska miała dyktować warunki przymierza.

Gdy w r. 1382 umarł król Ludwik, otwarła się Polsce możność zawarcia ściślejszego związku z Litwą. Ponieważ Ludwik pozostawił tylko córki, można więc było wydać jedną z nich za wielkiego księcia Litwy i w ten sposób połączyć oba kraje pod jednem berłem [1]). Zachodziły jednak poważne trudności. Mniejsza już o to, że obie córki były już przyrzeczone komu innemu, i że nawet obrzęd ślubny był nad niemi dokonany; ówcześni ludzie nie byli pod tym względem zbyt skrupulatni i zrywanie umówionych, a nawet już zawartych małżeństw nie należało do rzadkości. O wiele większą trudnością było to, że władca Litwy Jagal czyli Jagajło [2]), jakkolwiek rodził się z matki rusinki, był urzędowo poganinem, tak jak zresztą cała rdzenna Litwa ówczesna; przy panujących zaś wówczas poglądach polityczno-religijnych, nie tylko nie można było poganina osadzić na tronie królewskim, ale wogóle wchodzić w jakiekolwiek z nim układy. Wieczna wojna powinna była trwać pomiędzy chrześcijanami a poganami, aż do ostatecznego nawrócenia lub wytępienia tych ostatnich. Chrzest więc Jagiełły, i przytem chrzest rzymski, był warunkiem koniecznym do osadzenia go na tronie polskim. Ale nie tylko sam władca, lecz i całe jego otoczenie, cały naród litewski musiał chrzest przyjąć; inaczej zarzuconoby polakom, że łączą się przymierzem z poganami przeciw chrześcijanom.

Lecz na tem nie koniec trudnościom. Gdyby nawet udało się nakłonić władcę Litwy i cały naród litewski do przyjęcia chrztu, to pozostawał jeszcze inny szkopuł — czy naród polski zechce tolerować na tronie barbarzyńcę neofitę, wczorajszego poganina, czy zechce bratać się z narodem, który ostatni w Europie pozostał jeszcze obcy wpływom kultury chrześcijańskiej. Że szkopuł ten był bardzo poważny, widać chociażby ze stanowiska Długosza, który pisząc już za syna Jagiełłowego Kazimierza, nie może jeszcze bez wstrętu wspomnieć o barbarzyństwie litwinów i przeboleć, że polacy zamiast jakiegoś księcia chrześcijańskiego obrali sobie dzikiego Jagajłę. A przecież Długosz był wysoce wykształconym i mądrym politykiem; cóż więc mówić o innych, którzy przecie nie mogli zdać sobie odrazu sprawy z całej doniosłości tego wielkiego przedsięwzięcia.

Mimo jednak tych wszystkich trudności jasne dla obu stron zobopólne korzyści doprowadziły wreszcie do skutku zamierzone małżeństwo i pierwszy układ unjowy pomiędzy Polską i Litwą stanął w r. 1385 w Krewie na Litwie, dokąd udali się pełnomocnicy Polski. Polska, jako strona silniejsza podyktowała swoje warunki. Wzamian za osadzenie na tronie polskim Jagiełły i pomoc polaków przeciwko wszystkim wrogom, musiała Litwa zgodzić się na przyjęcie chrztu rzymskiego i przyłączenie wszystkich ziem litewskich do Korony Polskiej. Odtąd niezależne państwo litewskie przestawało istnieć i poszczególne ziemie litewskie i ruskie miały wejść w skład państwa polskiego. Ciekawem jest, że układ w Krewie nic nie mówi o tem, w jaki sposób i na jakich warunkach Litwa ma być wcielona do Polski. Samo życie miało dopiero rozstrzygnąć tę kwestję.

Warunki traktatu zostały święcie dochowane. Jagiełło, po dokonaniu dn. 15 lutego 1386 r. w Krakowie chrztu, poślubił królowę polską Jadwigę, a potem sam koronowany został na króla. Litwini przyjęli chrzest z rąk księży polskich i otrzymali skuteczną pomoc przeciw Zakonowi i jego sprzymierzeńcom. Co się tyczy inkorporacji Litwy, to wyraziła się ona w tem, że wszyscy książęta dzielnicowi litewscy musieli złożyć przysięgę na wierność Koronie Polskiej. Chodziło teraz o to, na jakich zasadach ma być oparty dalszy stosunek inkorporowanych ziem litewskich do Korony. Dwa pytania nastręczały się pod tym względem: przez kogo ma być rządzona Litwa, oraz jakie stanowisko prawne mają otrzymać w państwie polskiem wcieleni doń litwini. Co do punktu pierwszego, to zawierucha wojenna, jaka wynikła w pierwszych latach po chrzcie Litwy, przekonała króla i polaków, że Jagiełło nie będzie w stanie rządzić jednocześnie dwoma tak różnemi od siebie krajami, i że ustanowienie dla Litwy odrębnej, podległej jednak królowi polskiemu władzy książęcej jest koniecznem. Ułożono się więc z dotychczasowym malkontentem, zdolnym i sprężystym bratem stryjecznym Jagiełły Witoldem, aby on objął władzę namiestniczą na Litwie i sprawował ją w duchu, podyktowanym przez polaków i króla.

Co do punktu drugiego, to odrazu ustalono zasadę, że litwini, wchodząc w skład państwa polskiego, mają korzystać ze wszystkich tych praw i przywilejów, z jakich korzystają polacy „aby się nie wydawali nierównymi co do praw, gdy są połączeni przez podległość jednej koronie". (Przywilej 1387 r.). Wprawdzie ustrój Litwy zbyt się różnił od ustroju Polski, aby to całkowite zrównanie odrazu mogło być przeprowadzone, ważnem jednak było ustalenie samej zasady. Z pewnością można twierdzić, że unja z Polską dlatego odrazu zapuściła trwałe korzenie w świadomości litwinów i mimo wszelkie przeszkody utrzymała się przez szereg pokoleń, że oparta była na zasadzie równouprawnienia obu narodów. Ponieważ zaś Litwa pod względem uspołecznienia swego stała znacznie niżej od Polski, więc równouprawnienie to oznaczało podniesienie litwinów do poziomu społeczno-politycznego Polski.

To stanowisko liberalne polaków szczególnie odbija od spółczesnego traktowania podbitych i wogóle podległych narodów przez Zakon Niemiecki i innych władców giermańskich. Gdy giermanin traktuje podległe sobie ludy jako rasę niższą, nie dopuszczając ich do społeczności swojej, a przeciwnie dążąc do zupełnego ich zgnębienia i wytępienia, polak, przeciwnie, uważa za najlep-

---

[1]) W ten sposób cokolwiek później (1461) przez małżeństwo królewicza aragońskiego Ferdynanda z królewną kastylską Izabellą położono podwaliny przyszłej monarchji hiszpańskiej.

[2]) Właściwie po litewsku Jagajła.

szy środek przywiązania do siebie podległego narodu nadanie mu wszystkich tych praw z jakich sam korzysta i przez to zbratanie go ze sobą i zasymilowanie. I rzeczą jest charakterystyczną, że metoda ta z równie dobrym skutkiem stosowana była do krajów o wyższej kulturze niemieckiej, do ziem ruskich, mających cokolwiek tylko niższą kulturę od Polski, jak i do ziem litewskich i żmudzkich, stojących na znacznie niższym szczeblu rozwoju.

Dobrodziejstw uzpołecznienia ówczesnej chrześcijańskiej Europy miała doznać przedewszystkiem wyższa warstwa społeczeństwa litewskiego, która przyjęła ruską nazwę bojarów. Zaraz po chrzcie Litwy, dn. 20 lutego 1387 r. wydany został przywilej, na mocy którego bojarowie litewscy, którzy przyjęli chrzest rzymski, otrzymali zupełną wolność rozporządzania majątkami swymi, jaką posiadała szlachta polska. Pozwolono im też swobodnie wydawać córki swe zamąż, bez zasięgania zgody w. księcia. Uwolniono ich od wszelkich służb i ciężarów na rzecz państwa, za wyjątkiem służby wojennej oraz naprawy zamków. Wreszcie zapowiedziano wprowadzenie sędziów obieralnych na wzór Korony.

Położone więc były w ten sposób podwaliny przyszłego rozwoju społeczno-politycznego Litwy w duchu cywilizacji zachodnio-europejskiej i zadzierzgnięty jednocześnie węzeł, który miał odtąd łączyć młodocianą cywilizacyjnie Litwę ze starszą od niej Koroną. Stosunek ten można określić jako stosunek wychowawcy do pupila. Polska wzięła pod swoją opiekę Litwę, aby ją wychować na obraz i podobieństwo swoje i uczynić z litwinów obywateli wpólnego państwa, które oczywiście musiaby być polskiem. Chodziło więc tu nie tylko o ucywilizowanie, ale i o zasymilowanie litwinów. Zadanie to znacznie ułatwione było przez tę okoliczność, że Litwa, nim się dostała pod wpływ kulturalny polski, podlegała już wpływowi kultury ruskiej. Znajomość języka ruskiego (białoruskiego), rozpowszechniona już znacznie na Litwie, ułatwiła znakomicie szerzenie się języka i kultury polskiej. Rzecz jasna, że mimo wszystkie te sprzyjające okoliczności, trzeba było jednak sporo czasu, aby Litwę z europejska ucywilizować oraz zbratać i zasymilować z polakami.

Chociaż barbarzyńcy, niedawni poganie, posiadali jednak litwini mocne przywiązanie do swej odrębności politycznej i narodowej, i z tem oczywiście trzeba było się liczyć. Zaznaczyło się to przedewszystkiem w stanowisku prawno-państwowem, jakie niebawem zajął na Litwie ambitny i przedsiębiorczy książę Witold. Potrafił on tak wzmocnić tam swoje wpływy, że król Władysław był zmuszony uznać go za wielkiego księcia Litwy. Zastrzegał wprawdzie swoje nad nim zwierzchnictwo, lecz bądź co bądź czynił go przez to monarchą, do pewnego stopnia równorzędnym sobie.

W ten sposób Litwa, dzięki przedsiębiorczości Witoldą, potrafiła nie zrywając unji z Polską, zachować poniekąd swoją udzielność państwową.

Rzecz jasna, że stan taki nie zupełnie się zgadzał z zamierzoną całkowitą inkorporacją Litwy i musiał skłonić polaków do nowych kroków, zmierzających ku zaciśnieniu węzłów, łączących oba narody..

W tym celu w r. 1401, jednocześnie z przyznaniem Witoldowi tytułu wielkoksiążęcego, zażądano od panów i dygnitarzy litewskich zapewnienia na piśmie, że nigdy nie zerwą przymierza z Polską i że Litwa po śmierci Witolda wróci znowu pod bezpośrednią władzę Korony Polskiej. Wzamian panowie polscy również złożyli zapewnienie, że nigdy nie opuszczą litwinów i że po śmierci Jagiełły nie obiorą sobie nowego króla bez porozumienia się z Litwą.

Odtąd nastają szczęśliwe lata dla obu sprzymierzonych krajów. Witold silną ręką szczepi kulturę zachodnią na Litwie, czerpiąc obficie z zasobów kulturalnych Polski. Nie przeszkadza mu to jednak zajmować stanowiska niezależnego wobec króla i nawet wywierać pewien wpływ na wewnętrzne sprawy Polski. Wobec zagranicy obaj monarchowie występują wspólnie i solidarnie, reprezentując bardzo poważną siłę zjednoczonych narodów. Siła ta dała się odczuć szczególnie zwycięskiemu dotąd Zakonowi Niemieckiemu. Wielkie zwycięstwo na polach Grunwaldu dnia 15 lipca 1410 r. przypieczętowało krwią, wspólnie przelaną sojusz narodów i dało przykład naoczny, czego mogą dokonać zjednoczone siły Polski i Litwy.

Zapewne pod wrażeniem odniesionych nad Zakonem tryumfów powstał projekt wielkiej manifestacji braterskiej, która miała na zawsze utrwalić unję polsko-litewską, zabezpieczając ją od wszelkich zakusów na przyszłość. Zdecydowano, że panowie polscy i litewscy mają zjechać się na pograniczu obu krajów i tam zawrzeć uroczysty sojusz przymierza i braterstwa. Symbolem braterstwa miało być przyjęcie znaczniejszych litwinów przez panów polskich do swoich rodów i herbkw. Takie zbratanie zdawało się najbardziej mocnem i trwałem i dawało zupełną gwarancję, że przymierze polsko-litewskie nie rozpadnie się pod wpływem wrogich czynników. Długosz, niezbyt jeszcze odległy od opisywanych wypadków, opowiada, że zjazd powyższy został postanowiony przez króla Władysława i w. księcia Witolda za radą króla rzymskiego i węgierskiego—Zygmunta. Czem się powodował niedoszły król polski i nieżyczliwy naogół Polsce Zygmunt, doradzając polakom i litwinom zjazd wspólny i wzajemne zbratanie — nie wiemy. Późniejsza kronika litewska (t. z. latopis Bychowca) powiada, że Zygmunt przekonywał litwinów, iż powinni zgodzić się na przyjęcie herbów polskich, aby uzyskać zgodę polaków na koronację królewską Witolda. Wiemy jednak, że sprawa koronacji Witolda wypłynęła na widownię polityczną znacznie później.

Bez względu na to, z czyjej rady i z czyjego pomysłu przeprowadzone zostało zbratanie rodów polskich i litewskich, należy uznać myśl samą za wysoce mądrą i szlachetną zarazem. Panowie polscy czynem tym dowiedli, że żywią ku litwinom uczucia szczerego braterstwa, że gotowi podzielić się z nim tem, co mają najdroższego: klejnotem szlacheckim. Każdy z panów polskich wyraził gotowość uważać odtąd za krewnego, za brata herbowego jednego z panów litewskich wraz z całym jego rodem. Należy pamiętać, że polacy musieli przytem zwalczyć w sobie nie tylko naturalną nieufność do obcego dotąd narodu, ale i wstręt pewien, który niewątpliwie odczuwali względem ludzi, stojących na niższym od nich szczeblu kultury. Litwini również z nieufnością przyjąć musieli na razie projekt tak niesłychany, tak dotąd nigdzie nie praktykowany—zobopólnego zbratania rodów szlacheckich.

Mimo jednak wszystkie trudności, oddawna przygotowywany i zapowiedziany zjazd odbył się wreszcie na zamku w Horodle nad Bugiem, na pograniczu Polski i Litwy, dn. 2 października

1413 r. Trzy dokumenty wystawione zostały dnia tego: jeden przez króla Władysława i wielkiego księcia Witolda, drugi przez panów polskich, trzeci przez panów litewskich.*) W piewszym obaj monarchowie oświadczają na wstępie uroczyście, że obowiązani są dbać nie tylko o dobro doczesne swoich poddanych, ale i o zbawienie wieczne. Dla tego, przez wzgląd na dobro ziemi litewskich i ich mieszkańców „zdejmują z ich karków jarzmo niewoli, którem dotychczas byli uciskani" i nadają im prawa wolności i przywileje „jakich prawowierni chrześcijanie używać zwykli". Następuje wyliczenie tych praw i przywilejów. A więc naprzód, chcąc ubezpieczyć Litwę „od zdradziectw i napaści Krzyżaków, jako też ich stronników i sprzymierzeńców i wszelkich zgoła nieprzyjaciół", jakkolwiek już raz zjednoczoną i zespoloną z Polską powtórnie do Królestwa Polskiego przyłączają „i z koroną tegoż królestwa na wieczne czasy trwale i niezmiennie jednoczą". Dalej potwierdzają się prawa i przywileje dawniej już nadane duchowieństwu i szlachcie, szczególnie co do swobodnego rozporządzania majątkami i wydawania córek zamąż. Panowie i szlachta litewscy mają dotrzymać wierności królowi i w. księciu, stosownie do zobowiązań wzajemnych, wymienionych z panami polskimi. Na Litwie mają być ustanowione godności polskie wojewodów i kasztelanów: w Wilnie, w Trokach i po innych miejscach. Na godności te jako też i inne urzędy wyższe mają być mianowani „tylko wyznawcy wiary katolickiej, świętemu Kościołowi Rzymskiemu podlegli". Do rady monarszej też mają być dopuszczani tylko katolicy. Po śmierci Witolda nowy w. książę litewski ma być mianowany przez króla polskiego, za radą panów polskich i litewskich. Wrazie śmierci króla polskiego, polacy nie obiorą sobie nowego monarchy bez wiedzy i rady Witolda i panów litewskich. Z przywilejów ma korzystać tylko szlachta katolicka, która otrzymała klejnoty szlachectwa polskiego. Panowie polscy i litewscy mają odbywać za zgodą monarchów wspólne zjazdy w Lublinie, w Parczowie lub w innych miejscach sposobnych. W końcu Witold, za zgodą króla Władysława, wybiera „do uczestnictwa herbów i klejnotów szlacheckich Królestwa Polskiego" 47 panów litewskich, których szlachta polska „wraz z wszystkiemi ich rodzinami do braterstwa i rodu swego przyjęła". Tak szlachta herbu *Leliwa* przyjmuje *Moniwida,* wojewodę wileńskiego; szlachta herbu *Zadora — Jawna,* wojewodę trockiego; dom *Rawitów — Minigała,* kasztelana wileńskiego; *Lisy — Sunigała,* kasztelana trockiego; *Jastrzębce* czyli *Bolesty — Niemira; Trąby — Ościka, Topór — Butryma* i t. d. „Herbów tych, klejnotów i godeł rzeczeni szlachta, panowie i bojarowie ziemi litewskiej na teraz i na przyszłość w potomne czasy i na każdem miejscu swobodnie używać mają, tak jako ich szlachta Królestwa Polskiego sama zwykle używa". Jako świadkowie aktu wymienieni są: 11 biskupów polskich i litewskich oraz 43 panów polskich [stanu świeckiego.

W drugim tegoż dnia wydanym dokumencie panowie polscy poświadczają, iż w imię miłości chrześcijańskiej „zespolili i zjednoczyli swe domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe ze szlachtą i bojarstwem ziem litewskich, którym król Władysław i w ks. Witold nadali wolności i przywileje „aby na wieczne odtąd czasy mogli używać naszych herbów, klejnotów i godeł naszych, któreśmy odziedziczyli po ojcach i przodkach, a któremi oni cieszyć się mają w znak prawdziwej miłości, jak gdyby takowe po swoich własnych przodkach otrzymali dziedzictwem". Dalej przyrzekają panowie polscy, iż nigdy nie opuszczą litwinów w przeciwnościach, lecz zawsze wspomagać ich będą przeciw nieprzyjaciołom. W końcu wymieniają kolejno rody polskie wraz z imionami litwinów, którzy do rodów tych przyjęci zostali.

W odpowiedzi na to, wydali panowie litewscy trzeci dokument pod tąż datą dn. 2 października 1413 r., w którym wzamian za udzielone im herby „których użytek nie był nam dotąd znany" oraz za przyrzeczenie pomocy ze strony polaków przyrzekają również nie opuszczać Królestwa Polskiego w przeciwnościach i zobowiązują się nadto, że nie będą rozpoczynali żadnej wojny bez rady i zgody polaków. W końcu powtarzają znane już z pierwszego dokumentu zobowiązania dotrzymania wierności królowi i Witoldowi oraz postanowienia, tyczące się obsadzenia tronu w razie śmierci Witolda i Jagiełły.

Taka była treść tych wiekopomnych aktów. Rzecz jasna, że unja tak głęboko i podniośle pojęta, oraz tak mądrze przeprowadzona, musiała wywrzeć wielki wpływ na cały dalszy przebieg dziejów polsko - litewskich. Nie zawsze stosunki między obu narodami układały się potem tak sielankowo, jak tego życzyliby twórcy Unji Horodelskiej; zdarzały się czasem ostre zatargi, dochodziło nawet do wojny domowej (po śmierci Witolda, z w. ks. Świdrygiełłą). W późniejszej kronice litewskiej (t. zw. latopisie Bychowca) znajdujemy nawet opowieść, że za Kazimierza Jagiellończyka panowie litewscy, zagniewani na polaków, odesłali im otrzymane w Horodle herby. Zaprzeczeniem jednak tej opowieści jest fakt, że dotąd znaczna większość szlachty litewskiej pieczętuje się temi samemi herbami, jakie przodkowie ich otrzymali od polaków w Horodle. Braterstwo to szlachty polskiej i litewskiej utrzymało się mimo wszelkie przeszkody i z biegiem czasu wzmacniało się jeszcze bardziej przez zobopólne związki małżeńskie. Wraz z brataniem się szlachty szło zbliżenie się polityczne i kulturalne Litwy do Polski, aż doprowadziło wreszcie do ostatecznej, o wiele ściślejszej niż horodelska, unji w Lublinie 1569 r.

Wyniki unji polsko - litewskiej są wiadome: Litwa wciągnięta została całkowicie w zakres wpływów kulturalno-społecznych polskich i weszła w skład Rzeczypospolitej polskiej jako jej integralna część składowa, z zachowaniem jednak pewnej odrębności prawno-politycznej.

Odradzający się obecnie ruch narodowy litewski potępia unję z Polską jako fakt, który przyczynił się do wynarodowienia wyższych warstw społeczeństwa litewskiego. Przeoczają jednak litwini, że unja uratowała ich od całkowitego wynarodowienia, jakie spotkało pobratymców ich prusaków, lub też od pochłonięcia przez szczep ruski, jak to się stało z wielu ludami fińskimi. Unja ta wreszcie dała im kulturę zachodnią, której przedtem nie znali i wpoiła w nich szczytną zasadę równości i braterstwa ludów, której przecież wyższi nawet kulturalnie niemcy nie uznawali. Zarzucano nieraz polakom, że cała ich kultura jest arystokratyczną, szlachecką. Wiele w zarzutach tych jest

*) Dokumenty te ukażą się wkrótce w tekście oryginalnym łacińskim wraz z reprodukcjami fotograficznemi w zbiorze aktów unjowych, mającym wyjść staraniem Tow. Nauk. Warsz. Zbiór ten będzie obejmował wszystkie dochowane akty unji polsko-litewskiej od 1385 — 1569 r. Akty te były znane i dawniej, ale rozproszone po różnych wydawnictwach mało były dostępne dla szerszego ogółu.

słusznego; ale arystokratyzm obyczajowy polski ma to do siebie, że nie ogranicza się bynajmniej do sfer najwyższych; przeciwnie, sięga on do warstw coraz niższych, aż wreszcie ogarnia całe społeczeństwo. W takiej zdemokratyzowanej swej formie nie może już on uchodzić za czynnik szkodliwy, przeciwnie, działa uszlachetniająco, podnosząc godność człowieka i czyniąc go bardziej wrażliwym na piękno myśli i czynu.

Postawmy obok siebie wychowanego w twardej szkole niemieckiej szczerego demokratę łotysza, a podległego wpływom arystokratycznej kultury polskiej litwina, a przekonamy się, że łotysz nie pod każdym względem stoi wyżej od litwina. Wprawdzie przewyższa on znacznie litwina swoją pracowitością, zdolnością organizacyjną, wreszcie działalnością oświatową i kulturalną. Ubogi jednak skądinąd litwin ma lotniejszą wyobraźnię, oryginalniejszy i samodzielniejszy umysł, oraz większą wrażliwość na piękno. Tam, gdzie jest wymagana głębsza kultura duchowa, jak np. w sztukach pięknych, litwini znacznie przewyższają łotyszów.

Gdy więc polacy słusznie się chlubią Unją Horodelską, jako najznakomitszym czynem swych dziejów, dla litwinów fakt ten ma większe jeszcze znaczenie. Był on bowiem momentem, gdy za pośrednictwem polaków weszli oni do grona narodów cywilizowanych Zachodu.

Jan Jakubowski.

Samozwańcy.

Może przypominają sobie czytelnicy wydaną w zeszłym roku broszurę: „W chwili ciężkiej i trudnej“ (streściliśmy ją w № 24 z r. 1912), gdzie „realista“ *Tensam* między innemi przyznawał, iż organy rządowe „daleko więcej i lepiej wiedzą, co się u nas dzieje, niż my, publicyści polscy“. Oczywiście, owe „my“ stosować należy wyłącznie do publicystów obozu ugodowego, którzy zgoła nie orjentują się w obecnych, zdemokratyzowanych stosunkach.

Znając lud jedynie w postaci parobków i kelnerów, wyobrazić sobie nie mogą, by „coś podobnego“ mogło w polityce odgrywać jakąkolwiek rolę. Politykę rozumieją oni, jako działalność, dostępną jeno dla ustosunkowanych wybrańców, wiedzących, gdzie, kiedy, przez kogo i jakim sposobem trafić; umiejących w razie czego znaleść się na salonach lub w gabinecie wpływowej figury; znających rozmaite prywatne tajemnice i sprężyny intryg dworskich. Słowem—politykowanie traktują jako specjalność pewnej sfery towarzyskiej, zdolnej do prowadzenia misternej gry za kulisami instytucji, sprawujących władzę.

Zdają się natomiast nie rozumieć, że cała owa dziedzina intryg i spekulacji — to tylko mus, pianka istotnej akcji politycznej; że treść jej w czasach obecnych—w czasach, gdy państwa *nolens volens* uwzględniać muszą nietylko interesy, lecz i wolę ludności — w nastroju mas szukać musi oparcia.

Znajomość owych nastrojów, a jeszcze bardziej znajomość fermentów, nurtujących tłum; orjentowanie się w stosunku wzajemnym sił poszczególnych klas społeczeństwa; umiejętność operowania niemi na korzyść ogółu—oto kardynalne warunki, bez których dziś politykować już nie można.

Czasy państw-folwarków, państw-posagów, państw, dla pewnych rodzin istniejących — minęły bezpowrotnie. Kto z tego należycie sprawy sobie nie zdaje, popełnia takie błędy, jak nasi ugodowcy, których polityka jest jednym szeregiem klęsk i upokorzeń.

I to nietylko pod zaborem rosyjskim.

Oto np. stańczycy krakowscy...

Skuteczność taktyki ich zwykliśmy przeceniać. Hasłu: „przy tobie, Panie, stoimy“, powszechnie przypisuje się wszystkie swobody narodowe galicjan. W rzeczywistości jednak wolności te miały przedewszystkiem inne źródło. Odkąd ludy austrjackie zrzuciły z siebie więzy absolutyzmu, autonomja Galicji stała się koniecznością. Pozatem Austrja za mało posiada niemców, by w nowych warunkach prowadzić mogła politykę giermanizacyjną. Wprawdzie politycy polscy (zachowawcy) okoliczności te wyzyskali dość zręcznie, ale *primo* nie należy taktyce ich przypisywać więcej, niż ona osiągnęła; a *secundo* pamiętać trzeba, iż była to polityka wysoce egoistyczna, dająca znacznie więcej szlachcie polskiej, niż narodowi polskiemu.

Gdy nadszedł czas uwzględniania interesu mas ludowych, ci sami mężowie okazali się słabymi, nie orjentującymi się w sytuacji, politykami. Pamiętamy doskonale, jak to „Czas“ drwił z występów „samozwańcy“ Daszyńskiego; jak stale ignorował jego wzrastającą popularność. Aż oto zjawiła się konieczność zreformowania parlamentu wiedeńskiego — i co się pokazało?... Stronnictwo “Czasu“ przekonało się, że jest bezsilne wobec zastępów, otaczających Stapińskiego i Daszyńskiego.

Ci dwaj „samozwańcy“, ci „niepowołani“ przywódcy—jak wciąż nazywała ich prasa konserwatywna—wyrośli raptem na hetmanów olbrzymiej armji, przed którą ukorzyć się musiała garstka oligarchów, wierna „powołanym“ i niesamozwańczym wodzom narodu.

Obecnie w prasie polskiej znów głośno o samozwańcach. Czy jednak zastanawiają się ci, co epitetem tym wojują, że w istniejących dziś warunkach nie mamy wogóle żadnych innych, prócz samozwańczych, przedstawicieli? Za prawych reprezentantów narodu nie mogą być uważani nawet posłowie do Dumy i Rady Państwa, obrani wedle narzuconych zzewnątrz przepisów. W ten sam sposób w czasach przedkonstytucyjnych reprezentowali Polskę—gubernatorowie.

Zresztą, dajmy pokój tym biednym „figurantom“ (jak nazwał posłów naszych sam p. Ludwik Straszewicz); nie ich rzeczą są czyny głośne, podniecające umysły. Jeśli się ma do nich pretensje, to prędzej za bezczynność, a raczej za czynności, zbyt przystosowane do warunków.

Cokolwiek dzieje się zakrojonego, tak czy owak, na szerszą skalę, jest to zawsze czyn „samozwańców“. Przedewszystkiem zaś do kategorji tej zaliczyć by należało wszystkie dotychczasowe eksperymenty ugodowców: ich adresy, delegacje, memorjały, etc., z któremi występowali zawsze w imieniu narodu, nie mając do tego żadnego upoważnienia.

Lecz nietylko upoważnienia! Jak się stale okazywało, brakło im wprost gruntu pod nogami, brakło elementarnej znajomości wszystkiego tego, co się w łonie narodu działo.

Gdy w ostatnim lat dziesiątku ubiegłego stulecia w Królestwie z dna społeczeństwa podnosił się coraz mocniejszy ferment; gdy zupełnie nowa potężna siła w postaci proletarjatu miejskiego gro-

madziła w sobie zapasy energji wybuchowej; gdy coraz silniej odczuwane niezadowolenie mas obok społecznych i narodowe postulaty mocniejszą zabarwiało czerwienią; gdy dziesiątki organizacji konspiracyjnych niemal całe bujne życie umysłowe do podziemi sprowadzały—nasi ugodowi „urodzeni“ politycy zapewniali Petersburg, że wszystko w porządku, że oni, a tem samem i naród, pogodzili się ze swą dolą... I załatwiali tam jakieś mizerne sprawunki, na które nikt literalnie uwagi nie zwracał. Czasem tylko prasa niezależna wyrażała im pogardę za zbyt pokorną postawę. Rząd natomiast wystąpienia te traktował z pobłażliwą obojętnością i memorjały wrzucał do kosza, bo — jak już stwierdził p. Tensam—„wiedział lepiej, co się dzieje“, niż oni — przedstawiciele Polski.

Ale, oczywiście — zdaniem naszej prasy kurjerkowej—to nie byli „samozwańcy“.

Zdawało się, że r. 1905 otworzy im oczy; że niespodzianki, które on im przyniósł, ludzi tych przekona, jak daleko odbiegło ich życie, jak obcymi stali się istotnym siłom narodu. Wszak „przywódcy“ ci nietylko nie rozumieli potężnego w Królestwie ruchu robotniczego; zaskoczyły ich również strejki szkolne i wszystko to, co po manifeście z podziemi na wierzch się wydobyło: dziesiątki gotowych do czynu, sprawnych organizacji kulturalnych, doskonałe przygotowanie mas do sfornego działania etc. Cała ta praca odbyła się nietylko bez nich, ale wbrew ich woli i wiedzy— pod komendą „samozwańców“.

Lecz pokazuje się, że epizod ów niczego nie nauczył „urodzonych przywódców“. Dalej poczytują się oni za uprawnionych do wyrażania uczuć narodu, zapewniania, kogo trzeba i nie trzeba o jego uległości i oczyszczania z podejrzeń, jakoby był niezadowolony z obecnych roskosznych stosunków.

A gdy się niespodzianie odezwie mocny, nieoczekiwany głos protestu, podniesiony przez „jakieś osobistości“, śpieszą czemprędzej z oświadczynami, że z tem „odpowiedzialna i poważna opinja polityczna polska nie ma nic wspólnego“; że o istnieniu takich organizacji teraz dopiero się dowiadują — tem samem więc organizacje te nie mają wpływów.

Ale przecież już raz pokazało się, że „odpowiedzialna i poważna opinja polska“ o pewnych organizacjach nic nie wiedziała, a mimo to organizacje te dowiodły szerokich wpływów i zdobyły się na czyny potężne.

Więc ostatecznie powstaje pytanie, która strona właściwie występuje tu samozwańczo?

Nam się zdaje, że zarówno jedna, jak i druga, bo w naszych stosunkach inaczej być nie może. Ale też nie o to wcale chodzi. Można być samozwańcem, a jednak mieć za sobą tłumy, rozumieć je, odczuwać i być pewnym posłuchu.

Otóż kwestja polega na tem tylko, po której stronie jest instynkt mas, ich sympatje — słowem rzeczywistość...

B. H.

ᐅooooooooooᐊ

Składniki siły.

Niema u nas grupy politycznej ani klasy społecznej, któraby nie rozumiała, że podwaliną istnienia, rozwoju i przyszłości narodu może być w warunkach obecnych jedynie siła ekonomiczna i kulturalna. Zgadzają się na to zarówno ugodowcy wszelkiej barwy, jak i t. zw. romantycy polityczni, zarówno przedstawiciele klas posiadających, jak i przedstawiciele ludu. Dopiero, gdy chodzi o bliższe określenie pojęcia siły, przystąpienie do czynu, tworzenia jej, — rozchodzą się opinje i drogi—nieraz biegunowo. A wpływają na to nie tylko bezpośrednie interesy danej klasy, nie tylko jej stosunek do teraźniejszości i przyszłości, lech i właściwości psychologiczne środowiska oraz stan kultury.

Pojęcie siły ekonomicznej społeczeństwa—dla obszarnika, kamienicznika, fabrykanta, kupca — to przedewszystkiem pojęcie ustroju, w którym kapitał posiadany dawałby możliwie najwyższe zyski, a więc mnożył się, nie był narażony na wstrząśnienia i straty, to zabezpieczenie się od wszelkich zakusów konkurencji wewnętrznej i zewnętrznej, to utrzymanie na wodzy „uroszczeń“ pracy. Nie znaczy to, ma się rozumieć, że dla posiadaczów dóbr ziemskich dobrobyt ogólny kraju jest obojętny. Bynajmniej, oni bardzo by chcieli widzieć kraj bogatym i kwitnącym, pozbawionym nędzarzy i głodomorów, byle dojść do tego... nie kosztem własnym. A, że podniesienie dobrobytu mas ludowych, pracujących, a więc podział więcej równomierny dóbr musi się odbywać w społeczeństwie do pewnego stopnia kosztem zniwelowania zbyt wygórowanych szczytów, kosztem uszczuplenia normy procentowej, nic więc dziwnego, że posiadacze nasi w sprawie tworzenia siły ekonomicznej kraju zajmują stanowisko niewyraźne, obłudne, oportunistyczne. Narzekają na wychodźtwo z kraju, a nie chcą pomóc ludowi w tworzeniu możliwych warunków egzystencji w domu, każą bojkotować żydów, lecz nie przyczyniają się do tworzenia wyższych typów produkcji i sprzedaży.

To samo ma miejsce w stosunku do tworzenia siły kulturalnej, a więc podnoszeniu poziomu oświaty, uobywatelenia szerokich mas narodu.

Nasze klasy posiadające pragnęłyby bez wątpienia, by nie było w kraju analfabetów i ciemnoty, nie było bandytyzmu, zwyrodnienia, nie było ludzi, dla których losy kraju są obojętne. Ale równocześnie pragnęłyby utrzymać w kraju stanowisko przodujące, pragnęłyby, by lud czytał to, co mu dadzą i wybiorą do czytania, by szedł tam, dokąd go zaprowadzą. Bo przewaga kapitału uwarunkowana jest między innemi przewagą kulturalną.

Te względy interesów klasowych nie pozwalają na ogół naszym obszarnikom, kamienicznikom, kupcom patrzeć jasno w przyszłość narodu i dla tworzenia jego siły wewnętrznej owocnie pracować.

Egoizm klasowy posiadaczów, ich zachłanność ekonomiczna nie mogą nie odbijać się w społeczeństwie echem odpowiednika na drugim biegunie, w obozie „wolnych najmitów“, proletarjuszów. Wówczas, gdy dla pierwszych ideałem siły ekonomicznej społeczeństwa jest, jeżeli nie wzmożenie wyzysku gromady przez jednostki, to przynajmniej utrzymanie „status quo ante“, dla drugich ideałem—całkowita zmiana ustroju.

Z tego zrozumiałego założenia, z przeciwieństwa istotnego interesów ekonomicznych—powstał dogmat walki nieustannej, niedopuszczającej żadnych stycznych z resztą narodu, żadnych wspólnych interesów. Ani dziś, ani jutro w ustroju obecnym—głoszą nasi socjaldemokraci—przed proletarjatem niema nic, prócz wyzysku burżuazyjnego, burżuazyjnych mamideł.

Co nie tyczy się bezpośrednio ciała i jego potrzeb dziś, a ustroju socjalistycznego w przyszłości, to nie warte zachodu, to obce, to burżuazyjne.

I trudno wymagać, by w warunkach obecnych, gdy nawet związki zawodowe normalnie istnieć i rozwijać się nie mogą, gdy o instytucjach kulturalnych robotniczych marzyć nie można, samowiedza społeczna i obywatelska pozbawionego wszelkich praw i zostawionego sobie robotnika była inna. Wystarczy, gdy zgodnie z swemi interesami klasowemi, robotnicy będą tworzyć kooperatywy spożywcze, te rozsadniki i szkoły racjonalnej gospodarki społecznej.

Pod względem kulturalnym rola proletarjatu obecnie może być tylko rolą odbiorców, więcej lub mniej świadomych i krytycznych. Niestety, wodzowie obecni proletarjatu, miast kłaść nacisk wielki na zdobywanie przez robotnika kultury narodowej i przetwarzanie jej w kierunku potrzeb ludu, nieopatrznie każą mu ją lekceważyć, jako burżuazyjną, niezwiązaną z potrzebami mas, każą wierzyć mu, że on samodzielnie stworzy kulturę nową. Zapominają, że z niczego nic nie powstaje, że budować kulturę demokratyczną można tylko na podłożu kultury pokoleń ubiegłych i że lekceważenie kultury narodu prowadzi albo do zdziczenia mas, albo do przyjęcia kultury obcej, innej, często nam wrogiej.

Próbkę tego lekkomyślnego postępowania mieliśmy w latach 1905 — 1906, gdy wodzowie proletarjatu szukali wzorów na wschodzie, gdy niecili w społeczeństwie zachwyt naiwny dla wszystkiego, co rosyjskie, a nienawiść bezmyślną do wszystkiego, co polskie.

Z powyższego widzimy, że, gdyby społeczeństwo nasze składało się tylko z dwuch odłamów: burżuazji, t. j. egoistów klasowych (nie narodowych, za jakich się podają) i proletarjatu, gdyby istotnie było tak prostolinijnie niezłożone, jak głoszą socjaldemokraci, — dla tworzenia w obecnych warunkach jakiejkolwiek siły ekonomicznej i kulturalnej—trudności byłyby nie do zwalczenia.

Tak przecież nie jest. Społeczeństwo polskie — poza kilkoma dziesiątkami tysięcy obszarników, kamieniczników, kupców, fabrykantów i poza miljonem z górą proletarjatu składa się jeszcze z wielomiljonowej ludności włościańskiej, rzemieślników i inteligiencji.

Żywioły te — ani do burżuazji sytej, ani do zadowolonych z istniejących warunków nie należą, a stanowią olbrzymią większość społeczeństwa. Stanowiąc rdzeń ludności przeważnie rolniczego jeszcze Królestwa Polskiego winny być cementem, skupiającym społeczeństwo w całość, niepozwalającym — ani klasom posiadającym zbyt ugrzęznąć w oportunizmie, ani—proletarjatowi pozostać poza nawiasem narodu.

Najwięcej niezależne pod względem ekonomicznym jest włościaństwo. Ono też — przy pomocy inteligiencji—winno głównie wytworzyć siłę ekonomiczną kraju. A kooperatywy kredytowe, spółdzielcze i spożywcze—oto jego oręż. Aby jednak oręż ten był użyty właściwie i celowo, konieczna jest szeroka oświata, udostępnienie masom szerokim kultury narodowej, uobywatelenie w duchu.

I oto ten najważniejszy, olbrzymi dział pracy przypada w udziale inteligiencji polskiej, jej najmłodszemu, wstępującem w szranki społeczne odłamowi.

Dotychczas praca oświatowa, prowadzona od szeregu lat dziesiątków, dawała słabe rezultaty.

A wpływało na to — poza warunkami zewnętrznemi — słabe niezmiernie rozwinięcie śród inteligiencji polskiej istotnej demokratyzacji, tej nie z książki, lecz z ducha płynącej (inteligiencja nasza wychodziła dotąd prawie wyłącznie ze szlachty i z mieszczaństwa), bezkrytyczny kult dla szlachetczyzny, utożsamianej z polskością, lub książkowe doktrynerstwo.

Jedni traktowali lud dotąd, jako bufor ochronny dla szczątków przeszłości, drudzy—z lekceważeniem, jako drobną burżuazję wiejską. Ani jedni zaś, ani drudzy nie traktowali włościan, jako obywateli równoprawnych, obywateli, od których przyszłość narodu zależy.

W latach ostatnich widoczny jest pewien zwrot ku lepszemu. Czuć zrozumienie siły i znaczenie ludu wiejskiego. Powstało pismo szczerze ludowe „Zaranie", założone zostały kółka rolnicze staszycowskie, kilka specjalnych szkół dla młodzieży wiejskiej: w Kruszynku, Gołotczyźnie, Sokołówku, Bratnem. Coraz liczniejszy zastęp inteligienji skupia się koło pracy ludowej, a śród samego ludu pojawiają się postacie tej miary, co Tomasz Nocznicki, Mateusz Manterys, Teofil Kurczak, Kajetan Sawczuk i wielu, wielu innych.

Nawet sfery uprzywilejowane, posiadające zmuszone zostały iść w tym kierunku. Towarzystwo Centralne Rolnicze, organizacja obszarników, tworzy kółka dla włościan. Powstają szkoły rolnicze, zawodowe, zakładane dla ludu przez tychże obszarników. I, jakkolwiek działalność ta nie jest bezinteresowna, jakkolwiek samodzielne organizacje ludu wciąż są jeszcze zwalczane, oczerniane, to jednak lud bądź co bądź w pewnej mierze z instytucji, tworzonych dlań, korzysta, podnosi się pod względem ekonomicznym, społecznym, kulturalnym, a wyzwolenie jego z powijaków opieki jest tylko kwestją czasu.

By jednak rozwój sił ludu postępował krokiem szybszym, niż dotąd, by kultura narodowa zapuszczała głębiej śród niego korzenie, niezbędne jest—poza staraniami około pomnożenia szkolnictwa, bibljotek, wykładów, organizacji — wytworzenie jaknajliczniejsze inteligiencji spośród samego ludu wiejskiego, t. j. udostępnienie młodzieży dostępu nie tylko do szkół początkowych, zawodowych, lecz i średnich, wyższych.

Dotąd w Królestwie inteligiencji spośród ludu niema prawie zupełnie, a przez to związek ze wsią jest luźny i trudny. Lukę tę zapełnić trzeba koniecznie w najkrótszym czasie. Młode kadry inteligiencji ludowej wpłyną dodatnio nie tylko na lud wiejski, lecz na samą inteligiencję przez zdemokratyzowanie jej radykalne i pośrednio na robotnika, który wszak po większej części ze wsi wychodzi i ma z nią kontakt bliski.

Powstała stąd łączność kulturalna i wymiana sił oraz krwi wytworzy węzeł nierozerwalny pomiędzy pozostającemi w różnych warunkach ekonomicznych częściami społeczeństwa, wytworzy siłę realną, ustrzeże naród od rażących przeciwieństw wewnątrz, a nazewnątrz nada mu fizjonomję jednolitą i wyraźną.

Wi—ski.

⊳oooooooooo⊲

Dezorjentacja inteligiencji polskiej.

Głos poniższy, pochodzący z kół młodzieży naszej, jest wymownem świadectwem tego przełomu, który się odbywa, niepostrzeżenie dla mniej badawczego oka, w psychice spółczesnej inteligiencji polskiej. Stare hasła zbankrutowały lub przeżyły się. Zasady materjalizmu dziejowego, determinizmu nie przemawiają już do przekonania człowieka wolnego, pragnącego tworzyć nowe życie. Poddanie się konieczności wywołuje bunt i niezadowolenie. Brak natomiast wielkiego słowa, któreby rozjaśniło zamęt, skrystalizowało kiełkujące pragnienia w płodną ideję. Chaos ten wyczuwa najdotkliwiej młodzież nasza, potrzebująca jasnych wskazań i prawd niezłomnych.

W bilansie zachowania się ogółu polskiego w trakcie grożących do niedawna zawikłań międzynarodowych znajduje się jedna pozycja charakterystyczna, podkreślona przez całą bodaj prasę: brak określonej opinji społecznej.

Wypadkową niezliczonych „orjentacji“ stała się w rezultacie dezorjentacja, dotycząca w pierwszym rzędzie naszej inteligiencji, która się nie zdobyła nie tylko na próbę czynu, ale nawet na jasne, wyraźne stanowisko.

Oczywiście, nie chodzi tu o jakąś absolutną jednomyślność; inteligiencja, jako grupa społeczna, stojąca jakby poza klasami, naturalnie się różniczkuje i pod względem poglądów społecznych i narodowo-politycznych; różniczkowanie się to wszakże nie wyklucza istnienia w jej sferze wartko płynących prądów, dzięki którym staje się ona bądź co bądź siłą społeczną, zdolną do odegrania historycznej roli.

Takiemi prądami były ongi „romantyzm“ i „pozytywizm“,—te dwa pojęcia, które odtwarzają w sobie cały dorobek kulturalny Polski XIX w. Obejmowały one wszelkie dziedziny życia zbiorowego: stwarzały odpowiednie kierunki polityczne i społeczne, estetyczne, okazywały nawet wybitny wpływ na naukę, zwracając uwagę myślicieli i uczonych na dane zagadnienie, usuwając z przed ich oczu inne.

Kultura Polski romantycznej a kultura pozytywistycznej—to pod wieloma względami odrębne, nierzadko wręcz sprzeczne kategorje pojęć i uczuć, co ważniejsza, to — różne pojmowanie metod polskiej pracy społecznej. Przesłanki teoretyczne naszego radykalizmu z epoki „wiosny ludów“ a zasady „postępu“ według katechizmu „Prawdy“ warszawskiej z doby przedrewolucyjnej niewiele się różnią, a jednak, jako typ kulturalny, Mierosławski, naprzykład, stał bliżej ks. Czartoryskiego, niż Świętochowskiego; odwrotnie w tem samem znaczeniu „pozytywiści“ warszawscy stali bliżej stańczyków, niż ci ostatni dyplomatów z Hôtel Lambert.

Obecne zróżniczkowanie naszej inteligiencji tem właśnie się odznacza, że poszczególne jej grupy, pragnące znaleźć jakieś stanowisko, należą jakby do różnych epok kulturalnych. W łonie tego samego teoretycznie obozu istnieją kierunki propagujące zupełnie odmienne metody wcielania swych teorji w życie, przyczem nie chodzi tu o jakiś mniejszy lub większy radykalizm czy umiarkowanie, ale o metody, które się wzajemnie wykluczają. Porównajmy dwie organizacje naszego radykalnego mieszczaństwa: „postęp“ warszawski i postępową demokrację galicyjską ze Śliwińskim na czele, zestawmy „Krytykę“ z p. Niemojewskim. I tu, i tam mamy nie prawe lub lewe skrzydło tego samego kierunku, ale ludzi, którzy się wzajemnie zrozumieć absolutnie nie mogą, jakgdyby myśleli zupełnie innemi kategorjami pojęć, leżącemi w różnych płaszczyznach.

I w tem właśnie tkwi oryginalność naszej ostatniej „dezorjentacji politycznej“, że to, co się pewnej części „inteligientnego“ społeczeństwa wydawało jasnem i zrozumiałem samo przez się, — część druga traktowała, jak nieodpowiedzialne majaczenie ludzi umysłowo chorych.

Brak nam. słowem, zbiorowego ruchu kulturalnego, na podłożu którego inteligiencja polska byłaby w stanie uświadomić sobie swój zasadniczy stosunek do życia i wyciągnąć z tego uświadomienia wnioski praktyczne.

Istotnie, z chwilą wyjścia myśli polskiej poza „pozytywizm“ — a „wyjście“ to dokonało się stanowczo, jak w nauce i sztuce, tak i polityce bieżącej — nie zdobyliśmy się dotąd na zastąpienie go przez nowe wartości kulturalne.

Przedewszystkiem, o ile się mówi o „przezwyciężeniu pozytywizmu“, rozumieć owe przezwyciężenie należy w znaczeniu końca absolutnej hegiemonji tego sposobu myślenia i działania nad umysłowością polskiej inteligiencji; niemniej pewna część społeczeństwa nadal pozostaje w sferze jego wpływu w charakterze epigonów. Z jednej strony zauważyć się bezwarunkowo daje wpływ „nowych“ myślicieli zachodnio-europejskich na naszą filozofję i nauki społeczne, z drugiej—działają wciąż zwolennicy kierunków przeciwnych.

To samo się tyczy metod pracy społecznej: równolegle do Komisji Tymczasowej widzieliśmy mobilizację stronników „pracy u podstaw“, pozbawionej „romantyzmu politycznego“.

Co ważniejsza, obóz świadomie anti-pozytywistyczny nie jest wcale jednolity; w skład jego wchodzą jednostki i grupy protestujące przeciwko supremacji „organiczników“ z najrozmaitszych względów i w najrozmaitszych płaszczyznach. Zupełnie co innego zwalczał w nich Miriam, aniżeli Daniłowski lub uczeń Bergsona.

Z tego chaosu coś się musi jeszcze wytworzyć, ukształtować, a tyczasem ogół, przywykły do chodzenia śladem za jasno postawionemi drogowskazami nie wie, czego się ma trzymać.

Okres obecny naszego życia kulturalnego nie wydaje mi się okresem boju pomiędzy pozytywizmem a neoromantyzmem. Nasi określeni neoromantycy, jak i nasi pozytywiści o równie wyraźnem zabarwieniu są zbyt nieliczni, by ich walki wzajemne mogły być uogólniane do znaczenia przeżyć całej Polski myślącej. Jesteśmy w stadjum krytycznego przewartościowania kultury pozytywistycznej,ale w każdym razie ogół naszej inteligiencji pracuje tylko negatywnie i to bardzo powoli.

Niewątpliwie, pokolenie, które idzie, nie będzie hołdowało ideałom „pracy organicznej“, ale z tego nie wynika, by miało być „neoromantycznem“. Jeżeli już przyjmiemy za Sorelem zasadniczy podział epok kulturalnych Europy na „klasyczne“ vel pozytywistyczne i romantyczne, to bądź co bądź nie możemy przesądzać, czy na gruzach polskiego pozytywizmu wykwitnie właśnie „neoromantyzm“ czy inna forma pośrednia—przejściowa.

Na podstawie powyższego rozumowania moż-

na, przypuszczam, wytłómaczyć jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszego życia społeczno-politycznego. Oddawna zwrócono uwagę, że znaczna większość polskich zrzeszeń politycznych albo się składa wyłącznie, albo w znacznej części z inteligiencji; to zaś ugrupowania, które z konieczności opierać się muszą na masach ludowych—inaczej bowiem tracą rację istnienia—tylko w nieznacznym stopniu spełniają swoje zadania. Lud polski w gruncie rzeczy zorganizowany dotychczas od przełomu 1905 r. nie jest; za wyjątkiem takich stronnictw, jak Polska partja socjalno-demokratyczna Galicji i Śląska, Polskie stronnictwo ludowe,—niezliczona moc innych partji, partyjek i frakcji, szczególnie po tej stronie kordonu—to organizacje inteligienckie, wybierające sobie różne objekta dla pracy. Rozwiązanie więc zagadnienia, w jakim kierunku w najbliższym czasie odbywać się będzie organizowanie się mas ludowych, zależy w pewnym stopniu od tego, jaki kierunek społeczny i ogólno-kulturalny ogarnie inteligiencję.

Tymczasem obecnie takie kierunki, jakby nie istniały, ponieważ utożsamiają się z organizacjami partyjnemi.

Partja polityczna, aby mogła rosnąć w siły i wpływać na społeczeństwo, musi mieć dokoła siebie atmosferę przyjazną, szerokie rzesze sympatyzujące nie tylko z jej programem, ale przedewszystkiem z taktyką. Nie ulega, naprzykład, wątpliwości, że olbrzymia ilość głosów, podawanych przy wyborach na socjalną demokrację niemiecką zależy nie od tego, że w Niemczech jest tyle to a tyle marksistów, ale od tego, że bezwzględnie opozycyjna jej taktyka odpowiada nastrojowi mas.

Partja więc wtedy posiada sympatje szerokie, kiedy metoda pracy społecznej, propagowana przez nią, wyraża stan uczuciowy i myślowy pewnych grup w społeczeństwie, w przeciwnym razie działa w próżni nawet niezależnie od popularności swoich haseł programowych.

Zapatrywania zaś szerszego ogółu na daną metodę działania bywają wnioskiem z charakteru prądów kulturalnych, którym ten ogół hołduje.

W Polsce, takie prądy po upadku wszechwładzy pozytywizmu dopiero się tworzą, i dlatego już a priori możnaby przypuścić, że położenie naszych grup politycznych jest nie do pozazdroszczenia, gdyż są one oderwane od nastroju mas niezorganizowanych.

Fakty to potwierdzają w zupełności.

W zasadzie mamy następujące główne kierunki społeczno-polityczne: socjalizm, radykalizm mieszczański, nacjonalizm i różne rodzaje konserwatyzmu ugodowego.

Każdy z tych kierunków przedstawia odrębną sumę doktryn polityczno - społecznych, a równocześnie ani jeden z nich nie odpowiada pojęciu „prądu kulturalnego“, bo żaden nie jest metodą pracy społecznej. Socjalizm polski w Królestwie, aczkolwiek słusznie czy niesłusznie oficjalnie opiera się cały na kautsky'źmie, dzieli się na dwa jasno zaznaczone typy kulturalne, wyrażone z jednej strony przez P. P. S., z drugiej przez t. zw. lewicę i S. D. K. P. i L. Niestety, wyrazistość takiego typu niknie natychmiast, skoro wyjdziemy poza ramki organizacyjne: pozapartyjna inteligiencja socjalistyczna, pomimo określonych poglądów teoretycznych, o ile chodzi o praktykę działalności socjalistycznej jest zdezorjentowaną. Podstawowe różnice w pojmowaniu stosunku do rzeczywistości polskiej, jakie istnieją pomiędzy redakcją warszawskiej „Prawdy“ a galicyjską Postępową Demokracją ze Śliwińskim na czele nic nie obchodzą przeciętnego radykalizującego inteligienta, któremu wystarczają ogólnie przyjęte postulaty w rodzaju... potrzeby szkoły świeckiej. Nacjonalizm polski, jako metoda działania, sprowadza się do wysiłków sztabu Narodowej Demokracji, posiadającego punkt oparcia w doktrynach swoich teoretyków; te zaś masy, które podczas wyborów dawały głosy na Dmowskiego, które dzisiaj rozchwytują „Gazetę 2 grosze“, idą za każdorazowym impulsem uczuciowym; o uświadomieniu sobie przez nich ich roli i celów, do jakich dążą, oczywiście niema mowy.

To samo mutatis mutandis stosuje się i do konserwatyzmu, a w rezultacie stwierdzić można jedno: kierunki polityczne w Polsce poza sztabami partji politycznych nie istnieją. Ilość świadomie pracującej politycznie inteligiencji w przybliżeniu redukuje się do ilości menerów partyjnych.

Chodzi więc o dokładne uświadomienie sobie punktów następujących: 1-o kultura Polski pozytywistycznej przeżyła się, 2-o należy postąpić o krok dalej naprzód; na miejsce tego, co było, zatknąć nowe sztandary, stworzyć nowy typ kulturalny polaka zgodnie z ogólnym postępem europejskiej myśli w ciągu ostatnich lat.

Jest to praca, którą podjąć powina cała inteligiencja polska, niezależnie od poszczególnych teorji społeczno-ekonomicznych i programów politycznych. Ogarnąć zaś trzeba wszelkie dziedziny kulturalnego życia.

Wówczas, gdy się ona dokona, nasze partje polityczne staną się stronnictwami, t. j. ruchami, obejmującymi znacznie szersze koła społeczne, niż się ich z konieczności pomieścić może w ramkach organizacji ścisłych. Wówczas również zdobędziemy się, być może, na potężną akcję nad uświadomieniem polskich mas ludowych i nad zespoleniem się z niemi w jedną całość.

Zasadniczem zadaniem demokracji polskiej jest baczyć, by proces podnoszenia się kultury polskiej na wyższy szczebel szedł po linji potrzeb klas pracujących i zgodnie z wymogami myśli postępowej.

Dlatego to tak ważnem wydaje mi się przyzwyczajanie naszej inteligiencji do ustawicznego krytycznego rewidowania własnych wierzeń i przyzwyczajeń myślowych, oraz utrzymywanie stałego kontaktu z młodzieżą.

Byle mieć odwagę iść w przyszłość bez obawy naruszenia status quo...

„Każda epoka ma swe własne cele,
i zapomina o wczorajszych snach“...

Mieczysław Niedziałkowski.

⊳ooooooooo⊲

Nad Sekwaną.

(Korespondencja własna „Przegl. Wil.“).

Paryż, w lipcu.

Właściwie tegoroczne malarstwo i rzeźba Salonu Marsowego i Elizejskiego nie wyczerpują licznego zastępu artystów naszych, stanowiących t. zw. kolonję artystyczną Paryża. Zastęp to duży,

rok każdy zwiększa go, bowiem z dawna już Paryż stał się tem centrum — przyciągającem nasze siły artystyczne i intelektualne.

Powstanie nowego Towarzystwa artystyczno-literackiego (32, me Denfert Rochereau)—łączy od jakiegoś czasu rozrzucone dotąd siły, grupuje jednostki żyjące w odosobnieniu.

Daje to jednocześnie możność omówienia w ogólnym, choć niewyczerpującym całkowicie zarysie charakteru tej naszej cyganerji oraz stosunku jej do kraju.

Czytając nieliczne sprawozdania, poświęcone sztuce naszych artystów, przebywających w Paryżu — uderza przedewszystkiem stawiany im zarzut zerwania z tradycjami sztuki polskiej, braku łączności duchowej z kulturą artystyczną naszego kraju.

Czemże zarzut ten jest umotywowany? Głównie i zasadniczo, sądzę, niezrozumieniem samego zjawiska.

Po co przyjeżdżamy tutaj? Dla studjów, dla wchłonięcia i przetrawienia w sobie tego, co daje kultura spółczesna Francji, lecz nietylko w znaczeniu osiągnięcia maximum mistrzostwa techniki, z jakiej słyną francuzi, lecz jednocześnie dla wniknięcia w ducha nowoczesnych kierunków.

Czym są owe prądy w danej chwili? jaka ich różnica z ideałami ubiegłej epoki?

Różnica jest zasadnicza, a polega na absolutnem zerwaniu z tradycjami sztuki dnia ubiegłego.

Odbywa się przewrót, przewartościowanie wartości, rewizja starych prawd. Sztuka wogóle, nie tylko bowiem francuska lub nasza—przechodzi okres bardzo znamienny i zdawna niezaznany. To już nie wywalczanie sobie stanowiska dla poszczególnych indywidualności, dla Manetów, Monetów, nawet dla poszczególnych kierunków, jak było z impresjonizmem—tu walka się toczy o znalezienie racji bytu dla całej sztuki wogóle, tutaj jest sięgnięcie do podstaw, obalenie tego, co długie lata było jedynym ideałem piękna—wskazanie i nauczenie się patrzeć, że piękno—to nie literatura przedmiotów, nie zręcznie udekorowana fabuła, nie kopja oderwanego fragmentu życiowego — lecz dziedzina niesłychanie rozległa, a dla której natura jest kanwą jedynie. Zmiana idzie od podstaw, od zasadniczego pojęcia rysunku, perspektywy nawet.

Tworzą się kierunki, które jutro może obalić, dając życie nowym, lecz jednocześnie *tworzy się podstawa dla sztuki przyszłości.*

Powstają *futuryzmy, neoklasycyzmy, kubizmy naukowe, kubizmy fizyczne, kubizmy orficzne, kubizmy instynktowe.* Przeciw nim wytaczane są zarzuty, oskarżające, że są to „triuki“, bluffy, mistyfikacje publiczności, rzucanie piaskiem w oczy za pomocą zręcznych kunsthändlerów, którzy na tem prowadzą swego rodzaju grę giełdową.

Historja sztuki nie zna jednak podobnie zbiorowych mistyfikacji. To już nie jednostka, której możnaby zarzucić złą wolę — tu zachodzi fakt, z którym się trzeba liczyć, fakt widoczny od sztuki Cezanne'a. Pomijając wszelkie „izmy“, powstaje nowe pojęcie rysunku, kompozycji jako umotywowanej koncepcji artystycznej która musi być taką właśnie, a nie inną, jeśli ma być wynikiem konieczności powstania.

Wszelkie kubizmy—to rzeczy przejściowe—lecz samo pojęcie powstałe—pozostanie, gdyż rdzeń jego tkwi głębiej i sięga najpoważniejszych epok sztuki po przez wieki całe.

Tutaj dotknęliśmy się mimochodem zarzutu, stawionego obecnym kierunkom. Powszechnem jest mniemanie, iż epoka obecna jest mało twórczą — stąd owo poszukiwanie, inspirowanie się sztuką gotycką, egipską, hinduską etc.

Na to odpowiem słowami Andrzeja Gide'a, iż *obcy wpływ nie tworzy sam przez się nic, ale budzi władze twórcze. Wszystkie wielkie, istotnie płodne epoki twórczości artystycznej najmocniej ulegały wpływom:* tak było z literaturą rzymską za czasów Augusta, tak było w renesansie włoskim, francuskim, angielskim. Wielkie umysły szukają pożądliwie wpływów, albowiem pewne własnych bogactw, pełne uczucia intuicyjnego żyją w radosnem wciąż oczekiwaniu nowych rozkwitów.

Zarzut ten zresztą wobec sztuki dzisiaj — a sztuki jutra upada tem samem, iż owe poszukiwania, studja nad zamierzchłemi, wielkiemi epokami nauczyły odnaleść rzeczywiste walory, to — co jest wiecznego — i istotnego w sztuce.

Jak daleko zaprowadzi to artystów? jaką się wyłoni owa sztuka jutra?—dziś trudno przesądzać. Dziś tylko widzieć możemy, iż ów negatyzm rewolucyjny — spotkać się musiał z silną opozycją, bowiem według słów Monelli (M. Schwob) „ten, który posiada stare skóry węże, stara się przeszkodzić młodym wężom w ich przemianie“. Zaś „pragnienia nowego jest żądzą duszy, pragnącej nowej formacji“ „i odrzucają dusze stare swe formy równie jak węże stare swe skóry“.

Drugim, wytoczonym zarzutem wobec nowych „chercheur'ów“ to zarzut *negowania intuicji artysty, przewaga intellektu nad wrażeniami zmysłów.* Zarzut ten wynika jednocześnie z pierwszego t. j. z braku twórczości.

Biorąc jednakże rzecz daną przez intellekt (jeśli się jest artystą wrażenie odbierane przez zmysły niemniej istnieć musi)—artysta tu właściwie poszukuje proporcji zasadniczej mas, proporcji idealnych, a tym samym dochodzi do odnajdywania form wprost metafizycznych. Owa pogarda dla złudzeń optycznych łączy się w nim z pogardą dla banalności sztuki dzisiejszej i o tyle bliższa jest czuciowej idealizacji — o ile filozofja Bergsona bliższa jej niżli ubiegła epoka pozytywizmu.

Jeśli artysta muzyk oddaje w sztuce swej głosy natury, szmer strumyka — to bądź co bądź nie stara się on rywalizować z fonografem, odtwarzając dźwięki te dosłownie. Byłoby to bezcelowe. On jedynie dzięki zaczerpniętej stąd inspiracji snuje motyw swej melodji, motyw, choć różniący się w dźwiękach z motywem natury, niemniej sugerujący duszy słuchacza melodje, które budzą w nim wrażenie owej natury.

Podobne temu stanowisko pragną zająć dzisiejsi plastycy, stąd ich rozbrat z tematem literackim, z fabułą, z wierną, dosłowną kopją świata widzialnego. Przez barwę i formę do duszy słuchacza.

Sądzę, iż wobec tego upada zarzut braku polskości, zerwania z tradycją narodowej sztuki. Zarzut w równej mierze musiałby niemniej spotkać francuzów, niemców — ze strony ich własnej krytyki.

Gdy pewne wartości się ustalą—wówczas odrębności indywidualistyczne muszą wykazać swe cechy, niemniej w takiej lub innej formie formacje ducha danego narodu się ujawnią, bowiem to już nie skóry wężowe, które się dowolnie zrzuca—lecz treść ducha która żyje, o ile żyje duch sam i—żyć musi!!

Wacława Kiślańska.

Z V-ej SERJI.

Rzewnie, sieroco załkała ma dusza...

Animie poświęcam.

Rzewnie, sieroco załkała ma dusza,
Na czaru gwiezdnej, włoskiej nocy fali,
Bo jej się zdało, że w mroku się żali
Nasza ligawka pastusza...

Bo przez łez jej się zwidziały przesłonę
Tych naszych nocnych, polnych mgieł tumany,
Kraj utęskniony, daleki, kochany,
Te jego krzyże schylone...

Bo jej, w marzeniu roniącej łez rosy,
Z tej mgły wilgotnej, chłodnej, rzeźwej, białej,
Nagle upojną wonią zapachniały
Naszego siana pokosy...

Bo ją, jak czary pieszczące, syrenie,
W tę świętą chwilę tęsknoty tułaczej,
Którą jej cichy szloch serca tłomaczy,
Owiało Ojczyzny tchnienie...

Wacław Wolski.

Omegna, 19 lipca 1913 r.

⊳ooooooooo⊲

Na marginesie.

Myśliciel z „Gazety Codziennej“.

Jak to człowiek nigdy pewnym być nie może swojej erudycji!

Zdawało mi się dotąd, iż znam choćby ze słyszenia wszystkich (conajmniej spółczesnych) potentatów myśli polskiej, że niema w literaturze naszej wybitnej umysłowości, której bym bodaj jakiejś jednej pracy nie przeczytał...

Aliści dowiaduję się któregoś dnia, że jest to z mojej strony pospolita zarozumiałość.

Tak, zarozumiałość.

Bo muszę się przyznać głośno i otwarcie — ku wstydowi memu—żem dotychczas nic, ale to absolutnie nic, o panu Macieju Brzytwie nie słyszał.

Kto to taki? — pytacie.

Ho-ho! nie byle figura, moi państwo.

Sam pan Maciej Brzytwa czarno na białem w „Gazecie Codziennej“ napisał, że jednego z jego aforyzmów długo nie mogli darować mu nasi „postępowcy“.

A ja, należąc właśnie do owych „postępowców“ (w cudzysłowie, jeśli tak sobie życzy pan Brzytwa—bo ja do zgody jak ryba do wody) nie tylko darowywałem mu wszystkie jego aforyzmy, lecz wogóle i cały dorobek tego znakomitego publicysty, jako że o istnieniu jego nie słyszałem.

Znałem aforyzmy Prusa, Świętochowskiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Popławskiego i wielu, wielu innych; ba! nawet biskupa Niedziałkowskiego, którego rozmaitych zdań rzeczywiście nie mogłem mu darować. Lecz o złotych myślach Macieja Brzytwy, jako żywo, nie zdarzyło mi się słyszeć.

Chodziłem przez kilka dni szczerze zgryziony.

Kogo spotkam, pytam; pytam na prawo i na lewo (oczywiście wstydząc się własnego nieuctwa): „Nie słyszałeś pan o Macieju Brzytwie?“

Zagadnięty—jeden po drugim—wzrusza ramiona i odpowiada pytaniem:

— A to co za jeden?

— Jesteś pan postępowcem?

— Naturalnie.

— Pan-eś podobno nie mógł mu kiedyś darować jakiegoś aforyzmu.

— Broń Boże! Nie miałem do tego pana nigdy żadnych pretensji.

Gdym kilkanaście takich odpowiedzi usłyszał, trochę-m się uspokoił.

Spostrzegłem, że w mojem nieuctwie nie jestem znów tak bardzo odosobniony.

A uspokoiwszy się, odczytałem sobie jeszcze raz ów słynny aforyzm pana Macieja Brzytwy. Brzmi on tak:

„Nie jestem zasadniczo wrogiem wykształcenia kobiet, zawsze jednak wolę niewiastę, która — nie nauczywszy się czytać — na pamięć zmawia swój paciorek, od tej która na to użyła swej „wiedzy“, by jaknajprędzej zapomnieć pacierza“.

I teraz dopiero spostrzegłem, że ta perełka myśli polskiej nie jest mi zupełnie obca. Wszak słowa te słyszałem nieraz. Jest to przecie jedno z tych zdań, które wygłaszają rozmaite stare ciocie w przeróżnych okazjach.

Tylko z kolei powstaje kwestja: kto komu ową złotą myśl zeskamotował? To jest: czy filozofujące kumoszki powtarzają aforyzm p. Macieja Brzytwy, czy też p. Maciej Brzytwa podał za płód własnego intelektu zadanie swojej poczciwej piastunki?

Otóż — po krótkiem zastanowieniu się — sądzę (nie bez współczucia dla publicysty z „Gaz. Codz.) — że prawdopodobniejsza jest ta ostatnia ewentualność. A opieram to przypuszczenie na nowej deklaracji p. Macieja Brzytwy, która zapowiada reformę powyższego „swojego“ aforyzmu.

Ma on odtąd mieć brzmienie takie:

„Wolę zawsze kobietę, która wcale pisać nie umie, od tej, która nauczyła się pisać poto, by zamęt szerzyć w naszem biednem, systematycznie obałamucanem społeczeństwie...“

Ostrzegam pana Macieja Brzytwę, że tym razem popełni również mimowolny plagjat i nie powie nic oryginalnego. I tę myśl bowiem słyszeliśmy wszyscy po tysiąc razy. Pod względem starożytności nie ustępuje ona—sądzę—znanemu przysłowiu: „Jednemu szydła golą, a innemu brzytwy nie chcą“.

Naszej dwugroszówce przydałaby się także nieco ostrzejsza brzytwa. Tę maciejową śmiało można jej darować.

Behra.

⊳ooooooooo⊲

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Posyłam odpowiedź moją na list otwarty P. Szukiewicza, którą upraszam o zamieszczenie w swem piśmie.

Przezierając Nr. 22—23 „Przeglądu Wileńskiego“ z dnia 8 (21) czerwca natrafiłem na artykuł o „Zwyrodnieniu“ mło-

dzieży, kamień rzucony do mojego ogrodu. Chcąc kwestję poddać dyskusji powinienby p. Szukiewicz zaczepić mnie w tymże samym „Kurjerze Litewskim“ lub przynajmniej przysłać mnie Nr. 22—23 „Przeglądu“, a to artykuł Jego mógłby bardzo łatwo pozostać zupełnie mnie nieznanym, ale mniejsza o to, skoro wiem, więc dla wyjaśnienia sprawy i uspokojenia mojego interlokutora odpowiadam.

Prawdopodobieństwo o którem p. Szukiewicz mówi, to jeszcze nie absolutny pewnik, że jak się autor wyraża, wrzekomej napaści mojej podlega „Cała młodzież polska na Litwie“—pisałem o zwyrodnieniu społeczeństwa (a nie młodzieży), przyczem zaznaczyłem wyraźnie jaką młodzież do kategorji zwyrodniałych zaliczam—nie wspominając nigdzie *o całej młodzieży*. P. Szukiewicz zapowiada protest ze strony młodzieży; wątpię, bo ci z pomiędzy nich co się do winy nie poczuwają, nie wezmą z pewnością mojej odezwy za obelgę osobistą i nie będą marnować energji i czasu na niepotrzebne bezcelowe protesty, winni zaś nie odważą się pisać protestów zaopatrzonych wyraźnemi podpisami i miejscem zamieszkania, a ja tylko takie uznaję i na takie odpowiadam.

Na drugi zarzut p. Szukiewicza „zbytecznego zachwalania dawnych czasów“ też zgodzić się nie mogę:

Przez powiedzenie bowiem, że dziś ze społeczeństwem naszem jest gorzej, niż było wówczas, tem samem uznaję, że i wówczas dobrze nie było, ale to zło było jakoś pokorniejsze, ludzie z tem się kryli, nie było tyle cynizmu i śmiałości występowania publicznie, co uważam za symptomata o wiele groźniejsze.

I w myśl właśnie potrzeby uznawanej przez wielu po dalem projekt sądów honorowych, aby te społeczne jednostki w których poczucie honoru i obowiązku jeszcze niezupełnie zamarło powstrzymać od ostatecznego moralnego upadku, bo tylko o ratunek tych mnie chodzi—jednostki bowiem, nawskroś przejęte zgnilizną uważam za stracone, a przytoczoną przez p. Szukiewicza cytatę za bezskuteczną.

Z szacunkiem

Traszkuny. *Stanisław Montwiłł.*

⊳oooooooooo⊲

Ku światłu.

„Praca oświatowa, jej zadania, metody, organizacja“. Kraków 1913.

Kiedy się spogląda na wydawnictwo uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza zawierające 500 str. druku i pomyśli, że w tej treściwej książce zawarte są dzieje najbardziej żywotnej sprawy narodu, ogarniają przy odczytywaniu tych dziejów dwa silne uczucia: żalu i dumy.

Mimo wszystko, mimo tak fantastycznie trudne warunki, jakich niema żaden naród na całej kuli ziemskiej, mimo braku poparcia państwowego, po przez najdziwniejsze i najbardziej surowe zakazy, fala światła, idąca jakby odśrodkowo, z głębin duszy narodu, z jej najkonieczniejszych potrzeb zalewa powoli, ale bezustannie masy, ogarniając coraz szersze kręgi i doskonaląc się w walce potrójnej: z ciemnotą tłumu, z obojętnością sfer uprzywilejowanych, z uciskiem administracji.

Byłoby rzeczą nader ciekawą, gdyby można było dołączyć do tej książki i ten dział — krótki skorowidz kar, zakazów, zamykań Tow. oświatowych, represji cenzuralnych etc. Była by to karta w historji cywilizacji mie mająca drugiej podobnej. Zajęła by niestety za wiele miejsca...

Na historję naszej oświaty należy więc wskutek okoliczności politycznych zapatrywać się cokolwiek inaczej niż na inne. Musimy inną miarą mierzyć usiłowania i zasługi. I jedne i drugie mają podwójną wartość a ludzie, którzy by w innych szczęśliwszych społeczeństwach nosili we wdzięcznej pamięci rodaków miano zwykłych pjonjerów oświaty, u nas wyrastają na dobroczyńców i bohaterów...bez pomników.

Nie może też być mowy w niektórych dzielnicach o systematyczności oświaty, ani o ujawnianiu w druku wszystkich mrówczo-krecich usiłowań i prac filtrowania światła nauki tam, gdzie każda działalność tego rodzaju jest traktowana jako zamach stanu na całość państwa.

Ta zresztą strona naszej działalności oświatowej jest wyraźnie zaznaczona.

Książka posiada 6 działów:

1) Zadania pracy oświatowej z historycznym wstępem a w zastosowaniu do zadań wychowania narodowego.

2) Wydawnictwa popularne w przeszłości i w chwili obecnej.

3) Organizacja czytelnictwa.

4) Nauczanie dorosłych.

5) Instytucje kulturalne.

6) Kształcenie estetyczne.

Jak widzimy działy te obejmują całokształt pracy oświatowo-kulturalnej, każdy zaś artykuł został opracowany doskonale przez specjalistę danego przedmiotu.

Lwią część pracy spełniła p. H. Orsza (z Rejchmanów Radlińska) znana autorka i działaczka na polu oświaty.

Jej artykuł a ściślej mówiąc studjum historyczne o pracy oświatowej w Polsce, ma zakrój na poważne dzieło i jest doskonale, barwnie i zajmująco napisany.

Świetne są charakterystyki tych działaczów z XVIII w., pierwszych, którzy się do ludu zwrócili widząc ich „stan mizerny i opresję srogą“. Są to typy wielkich panów kształconych na dziełach Rousseau lub przez loże masońskie i związki „przyjaciół ludzkości“ nagradzających „cnoty użyteczne“. Postacie Zamojskich, Lubomirskich, Czartoryskich, Brzostowskich, przesuwają się przed nami wielkopańskie, patryarchalne w swych stosunkach z ludem.

Wojny napoleońskie przynoszą kulturę obozową, kędy przy biwaku uczyli oficerowie wąsatą wiarę abecadła i dziejów ojczystych, oraz „nowych prawideł moralnych“, że każdy kto krew swą za ojczyznę przelewa lub jej ziemię uprawia, jest dobrym jej obywatelem w purpurze czy siermiędze.

Księstwo Warszawskie przynosi nam nagły rozkwit szkolnictwa ludowego. Imiona Staszica, Kołłątaja, Czackiego, Tow. Przyjaciół Nauk, Filomatów i Filaretów zaznaczają rozwój coraz głębiej w ciemne masy ludowego idącego ruchu.

Dużo w nim często deklamacji, poezji i romantycznego uniesienia, zwłaszcza u entuzjastów z czterdziestego lat dziesiątka, dużo naiwności w pisaniu dla ludu w tonie dziecinnym a sentymentalnym, na tej zasadzie, że się pisze dla umysłów nie wykształconych, mimo że są to jednak umysły *dojrzałe*. (Pogląd ten dotąd pokutuje w niektórych klerykalnych wydawnictwach).

W pierwszej połowie XX w. mamy już dwa pisma „Kmiotek“ i „Nauczyciel ludu“, a w Poznańskiem Marcinkowski niezapomniane pokłada zasługi koło oświaty ludowej, przodując mniej szczęśliwym dzielnicom. Około roku 60-go, po okresie apatji wzmaga się praca oświatowa na większą skalę, mnożą się wydawnictwa i stowarzyszenia.

Po upadku powstania nastają czasy reakcji w zaborze rosyjskim; ster oświaty bierze w ręce Galicja.

W Królestwie po latach milczenia powstaje z nieopisanym trudem „Gazeta świąteczna“, i jej gienjalny redaktor Kazimierz Pruszyński, niezapomniany „Promyk“, wydaje swój elementarz,

premjowany potem na międzynarodowym kongresie oświatowym w Londynie.

Na tej gazecie i na tym elementarzu wychowuje się całe pokolenie.

Ostatnie lata ubiegłego wieku przynoszą Galicji kursy popularne Tow. Szkoły ludowej, obejmujące ogromny zakres czynności, podobne organizacje powstają w Poznańskiem przy kółkach rolniczych, a wreszcie lata t. zw. „wolnościowe“ przynoszą Królestwu, właściwie Warszawie, kursy rozmaitego typu o programie uniwersytetów popularnych, oraz Macierz Szkolną równie szybko zamkniętą, jak podobne instytucje na Litwie i Białej Rusi.

Piśmiennictwo ludowe ogromnie wzrasta—zadługo by było wyliczać rozmaite jego odcienie i kierunki: można by je podzielić z grubsza na klerykalne i radykalne, te ostatnie bardziej zbliżone do sfer dla których jest przeznaczone, stroną praktyczną i spółdziałaniem.

P. H. Orsza mówi nam jeszcze o piśmiennictwie popularnem w Polsce, o bibljotekach powszechnych, o pracy oświatowej wobec zadań wychowania narodowego, i o uniwersytetach ludowych; wszędzie widnieje doskonała znajomość przedmiotu psychologji ludu polskiego oraz praktyczny pogląd na metody oświecenia. Poleca zamiast tworzenia literatury sztucznej „z góry“ idącej do ludu, pisanie rzeczy w stylu poważniejszym, udowadniając, że człek nie oświecony chętniej będzie się starał dźwigać umysł swój do pojęć trudniejszych, niż pojmował to, co w formie sielankowo-naiwnej (t. zw. popularnej) dawano mu przez szereg lat. Z rozwojem ludowego piśmiennictwa, z zapoznaniem się coraz ściślejszem z potrzebami kraju, z braniem udziału w jego rozwoju ekonomiczno-kulturalnym, włościanin przestaje potrzebować typu książeczek ludowych, domaga się natomiast dzieł specjalnych pisanych językiem przystępnym, ale poważnym. I dlatego o ile wiecznie pożądane pozostaną wydawnictwa Brzezińskiego, książki Wysłouchowej, o tyle sentymentalne, o charakterze obcym opowieści np. wydawnictw Miarki nie mogą być chwalone.

Obszernie traktowany dział organizacji bibljotek zapoznaje nas z działalnością dotychczasową tychże, ze wszystkiemi typami czytelni i wypożyczalni, oraz dzieli się z czytelnikiem doświadczeniem autora, z którego niejeden skorzystać powinien przy urządzaniu bibljotek na wsi czy w mieście.

Czytelnie wkraczają już w zakres oświaty dla dorosłych. Jak się do niej zabierać i jakie daje rezultaty—poucza nas p. Weychert-Szymanowska i J. Dziubińska w rozdziałach o kursach dla analfabetów i rolniczych, zaś p. Stępowski zaznajamia z metodą pogadanek przy pomocy latarni projekcyjnej.

P. Daszyńska-Golińska mówi nam o walce o alkoholizmem, przyczem podnosi słusznie zasługi Eleuterji, oraz o Domach ludowych jakich sporo mamy w Galicji, zaś w Królestwie kilka zaledwie, na czele których należy umieścić Dom w Liskowie z inicjatywy ks. Blizińskiego postawiony, a mogący służyć za typ wzorowy. Zawiera on: salę na odczyty i przedstawienia, jadłodajnię (bez alkoholu), warsztaty spółki tkackiej i mieszkania dla dzieci uczęszczających zimą do szkółki.

St. Posner daje nam treściwą historję klubów robotniczych i ich zadania, analogiczne do działalności domów ludowych wiejskich, ogarniające czytelnię, przedstawienia amatorskie członków, odczyty, kursy i będące ośrodkiem zbierającym w solidarną całość rozproszone żywioły, znajdujące w tego rodzaju własnem ognisku sposobność porozumienia się i zrzeszenia.

O kształceniu estetycznem w oświacie piszą: Dr. I. Szydłowski — (muzea), dr. Gargas — (teatr), Z. Kruszewska—(muzyka).

Pierwszy podnosi ogromne znaczenie wycieczek ze wsi do miast i oprowadzania po galerjach, muzeach, zabytkach przeszłości. Wskazówki dla przewodników tego rodzaju wycieczek są oparte na doskonałej znajomości zwiedzających — mamy przytem krótkie *apperçu* sposobów urządzania muzeów.

Przy tej sposobności zarzucić by można redakcji książki, że nie umieściła działu wystaw i pokazów rolniczych, połączonych z odczytami, które to środki oświatowe w kraju przeważnie rolniczym, mają ogromne znaczenie, a o czem w całej książce ani słowa.

Śpiew i teatr natomiast są szczegółowo omawiane i zresztą nikt nie zaprzeczy, iż jest to jeden z najlepszych a zwłaszcza najłatwiejszych sposobów szerzenia oświaty, najbardziej przyciąga tłumy i przemawia do mas bezpośrednio, działając na kilka zmysłów na raz i skupiając uwagę w sposób nie męczący, a korzystny.

Cała książka posiada podwójne znaczenie: przynosi nam wieść o naszym najcenniejszym dorobku duchowym, o pracy nad ludem i z nim, jest jakby rehablitacją dawnych naszych błędów i zaniedbań, krwawą syzyfową pracą odrabianych, i ta idejowa strona powinna krzepić ducha każdego jej czytelnika; — z drugiej strony jest świetnym, praktycznym podręcznikiem, encyklopedją wskazówek na polu oświaty i w tym charakterze powinna się znaleźć w rękach każdego, kto myśli o dźwignięciu ludu z jego duchowego upośledzenia.

Hel. Rom.

⊳ooooooooo⊲

PRASA POLSKA.

— „Prawda“ zjadliwie charakteryzuje endecję jako „spółkę polityczną, w której kilku firmowych dobiera sobie zawsze pewną liczbę akcjonarjuszów dla zwiększenia kapitału obrotowego“, przyczem akcje przechodzą wciąż z rąk do rąk. Zmienność programów endecji jest rzeczywiście zadziwiająca:

> „Gdy wzrastała na akcji szkolnej, bojkot był jej głównym tytułem do chwały. Gdy powodzenie nowych konceptów na dumskiej widowni wymagało nastawienia żagla pod wiatr ugody, a rozbita organizacja Macierzy już jej celom agitacyjnym służyć nie mogła, nie wahała się w tych samych pismach, które drukowały jej przechwałki, obwieścić światu, że bojkot zrobili żydzi na swoją korzyść a na szkodę narodu polskiego, a to powinno nas skłonić do odwołania owego nieszczęsnego postanowienia.
>
> Kiedy w 1905 roku chodziło o pozyskanie narodowych robotników i przeciwstawienie ich socjalistom, piętnowało się rewolucję rosyjską jako ugodę lewicową, jako robotę żydowską, a obiecywało się rzeszom robotniczym ruch czysto narodowy, którego dźwignią miała być ideja niepodległości. Dziś, gdy śród stronnictw ludowych i robotniczych ideja ta rozkwitła, gdy nawet hasła solidarności narodowej — tak gorliwie niegdyś przez endecję kolportowane, wcielają się w czyn i wywołują koalicję stronnictw, z niesłychanym, osłupiającym tupetem obwieszcza się światu, że te ideje solidarności i samodzielności są antynarodowym, poprostu nawet, żydowskim wytworem. W obecnym sezonie towarem, który się pod marką narodową wynosi na ryn-

ki, jest patryjotyzm słowiański — ale nie łudźmy się, aby ta moda przetrwała do sezonu następnego. Przecież już w Petersburgu kostjum słowiański zaczyna się zaliczać do towarów wysortowanych. Niewątpliwie jesteśmy w przededniu pojawienia się jakiegoś nowego fasonu patryjotyzmu, który będzie równie tani, ale też równie nietrwały jak wszystkie poprzednie.

Stosunkowo najdłużej znajduje się w handlu patryjotyzm antysemicki — z czego jednak wcale nie wynika, aby i on nie mógł być wycofany z obiegu.

Zdawałoby się, że na razie pora dla niego jest bardzo odpowiednia. Bojkot żydów jest dziś nieomal tak popularny, jak niegdyś bojkot szkolny. I tu jednak zaznaczają się specyficzne metody działania narodowej demokracji. Jak w czasie ostatnich wyborów galicyjskich szła ona głównie zwalczać rusinów w tych okręgach gdzie ich nie było, tak robi z żydami: tropi głównie polaków o żydowstwo podejrzanych, węszy żydów, gdzie ich niema, lub tam, gdzie jaknajmniej swoją żydowską odrębność zaznaczają.

Nieomal wszystko to, co się w obrębie endeckiego obozu nie mieści, zostaje bez apelacji przysądzane synagogom i kahałom. Tym sposobem wszelkie Jackany znajdują się w tak dobranem towarzystwie, że sami muszą się dziwić, skąd na nich ten zaszczyt spada.

Bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że kiedyś endecja zechce się wyprzeć wszelkiego udziału w bojkocie żydowskim, czyli w akcji unarodowienia przemysłu i handlu, tak jak wyparła się innego bojkotu, czyli akcji unarodowienia szkół..."

Dzięki jednak tej zdolności do przystosowywania się, endecja nie prędko jeszcze zniknie z widowni publicznej, na podobieństwo najniższych organizmów żyjących, które są w stanie z każdego odciętego kawałka rozrastać się na nowo.

— Głośny memorjał, złożony przez Komisję Tymczasową konferencji ambasadorów w Londynie wywołał zgodne potępienie obozu endo-ugody. Było to do przewidzenia. Dziwniejszem mogło się natomiast wydawać wystąpienie „Tygodnika Polskiego", organu secesji, który w № 29 zamieścił krótkie oświadczenie, zawierające surową krytykę podjętej przez Komisję Tymczasową akcji.

W № 30 znajdujemy obszerne wyjaśnienie motywów, któremi redakcja „Tygodnika Polskiego" kierowała się wydając swój ostry sąd.

Zdaniem „Tygodnika Polskiego" zarówno okoliczności, towarzyszące złożeniu i powstaniu memorjału jako sama jego treść muszą budzić niezadowolenie. Szczególniej treść memorjału nie stoi na wysokości podjętego zadania.

„Zamiast głęboko ujętego przedstawienia wagi sprawy polskiej i jej związku z wszystkiemi zagadnieniami polityki europejskiej, zamiast ujawnienia realnych sił fizycznych, kulturalnych, ekonomicznych narodu polskiego i konieczności ich rozwoju, widzimy chaotyczne informacje, związane z niemniej chaotycznie uszeregowanemi postulatami politycznemi. Sprawa cenzusu reprezentacyjnego, kwestja zniesienia linji osiadłości żydów w Rosji, conajmniej dziwna obawa przed „kataklizmami wewnętrznemi" i t. p.,—wszystko to nie wiąże się ze sprawą polską, jako sprawą polityki międzynarodowej, w memorjale zaś zajmuje miejsce właściwego rozumowania ściśle politycznego i o ścisłą rachubę sił opartego. Z tego też powodu uważamy straszenie Europy zdarzeniami, których urzeczywistnienie nie leży dzisiaj w naszej mocy za jałowe, a w skutkach swych za szkodliwe. Cóż wreszcie ma oznaczać postawienie sprawy polskiej na równi ze sprawą „ludności wielu innych prowincji" państwa?

Różne względy nie pozwalają nam na szczegółowe oświetlenie i wyjaśnienie wszystkich, zdaniem naszem, wad memorjału i wskazanie naiwnych i najważniejszych luk, jakie on zawiera. Sądzimy jednak, iż przytoczone przykłady wystarczają, by wykazać, iż nie znalazłszy w Memorjale prawdziwie przekonywającego, językiem polityki konkretnej przemawiającego dokumentu, nie mogliśmy treści jego zaaprobować.

Dając temu obowiązkowi swego sumienia politycznego wyraz, musimy jednocześnie wyrazić głębokie ubolewanie, iż do takich wniosków zmusili nas autorzy memorjału. Ubolewamy, jako obywatele kraju, gotowi w każdej chwili zsolidaryzować się z każdym *poważnym* czynem i każdym *poważnym* aktem, zmierzającym do ujawnienia położenia narodu i do zdobycia poprawy warunków jego bytu; ubolewamy, jako zwolennicy kierunku, który nie zrzekł się żadnej drogi działania i który nie potępia, jak się to dzieje w obozach oportunizmu i ugody, *zasady* wystąpienia, ale jego nieudatne w danym wypadku urzeczywistnienie."

Niewątpliwie niektóre zarzuty przytoczone są najzupełniej słusznie, z innemi znów można dyskutować, ponieważ jednak wszechstronna ocena memorjału jest niemożliwą, poprzestać wypada na suchem stwierdzeniu, że stanowisko secesji różni się jednak w tej kwestji zasadniczo z poglądami rozmaitych grup ugodowych.

⊳oooooooooo⊲

KRONIKA.

= Adam Wiślicki.

D. 15 (28) b. m. zmarł w Warszawie wybitny przedstawiciel epoki popowstaniowej, jeden z promotorów ruchu pozytywistycznego w społeczeństwie polskiem, ś. p. Adam Wiślicki.

Urodzony w r. 1836 w Warszawie, Wiślicki po ukończeniu gimnazjum pisywać zaczął artykuły treści najrozmaitszej w „Gazecie Codziennej" i „Księdze Świata", od początku zaś 1866 wydawać zaczął pod własną redakcją czasopismo p. n. „Przegląd Tygodniowy", które miało odegrać doniosłą rolę w dziejach naszej umysłowości.

Pismo to w bardzo szybkim czasie zjednać sobie potrafiło liczny zastęp młodych i zdolnych spółpracowników. Wywiesili oni śmiało sztandar pozytywizmu, mającego uzdrowić wyczerpane i znękane świeżemi przejściami społeczeństwo. W ciągu lat kilkunastu organ Wiślickiego był główną placówką młodych sił i świeżych prądów. Wpływ jego na kształtowanie się poglądów i opinji w tych sferach był ogromny i zmniejszać się zaczął dopiero po założeniu przez Al. Świętochowskiego organu własnego p. n. „Prawda".

Sam Wiślicki pisywał w „Przeglądzie" stosunkowo niewiele, poprzestając na kreśleniu feljetonowych „ech", oraz ogólnym nadzorze nad wydawnictwem. Kiedy zaś „Przegląd Tyg." przestał przyciągać ku sobie uwagę ogółu i zwycięzony został na rynku wydawniczym przez inne młodsze i żywiej odczuwające prądy chwili wydawnictwa, Wiślicki zamknął swój tygodnik i przeniósł się na wieś, gdzie w ciszy i spokoju spędził ostatnie lata swego życia. Nazwisko jego jednak nie uległo i nie ulegnie zapomnieniu, jako związane nierozerwalnie z ciekawym okresem dziejów umysłowości polskiej.

= Stanisław Mendelson.

W Warszawie zmarł na anewryzm serca Stanisław Mendelson, redaktor „Przeglądu Codziennego". Była to niepospolita postać.

Syn bogatego bankiera warszawskiego, już w latach uniwersyteckich brał żywy udział w ruchu radykalnym, na skutek czego zmuszony został wyemigrować zagranicę. Tam niebawem wysunął się na czoło w szeregach P. P. S. Założył w Londynie „Przedświt" i „Walkę klas", przez długi czas reprezentował partję na kongresach międzynarodowych.

W r. 1893 zaszedł w jego duszy przełom. Zerwał z socjalizmem, przeniósł się do Galicji i zaczął szukać w rozmaitych obozach politycznych zaspokojenia trawiącej go gorączki czynu. Od radykalno-ludowego „Kurjera Lwowskiego" przez „Dziennik Polski" przerzucił się do konserwatywnego „Czasu". Człowiek wyjątkowej wiedzy, na zachodniej kulturze wykształcony, świetny stylista, wybił się Mendelson w dziennikarstwie galicyjskiem na pierwszy plan. Jego „Listy sejmowe" w „Czasie" były bardzo czytane.

Przed trzema laty, zraziwszy się do Galicji przeniósł się do Warszawy i pisywał w „Słowie".

Ostatnią wreszcie fazę jego działalności publicystycznej było objęcie kierownictwa „Przeglądu Codziennego", organu nacjonalizmu żydowskiego, gdzie wytwornem piórem polskiego pisarza walczył przeciwko polskości.

Od socjalizmu polskiego poprzez konserwatyzm szlachecki do nacjonalizmu żydowskiego, zaiste droga to niezwykła i zgoła wyjątkowa. Nie był jednak Mendelson zwykłym karjerowiczem politycznym. Jego ewolucja przekonaniowa miała podkład głębszy. Zapewne też zostanie z czasem bezstronnie oświetlona.

= **Nowy dziennik.**

Z d. 1 lipca zaczęło wychodzić w Wilnie nowe pismo codzienne p. t. „Promień“. Jako redaktor-wydawca podpisuje p. Al. Łapiński. Gazetka wychodzi po południu i kosztuje w sprzedaży ulicznej 2 grosze. Jest to więc trzeci polski dziennik dwugroszowy w Wilnie. Kierunek pisma jest ściśle bezpartyjny, bowiem składają się na treść jego przedruki ze wszystkich rannych gazet bez różnicy...

= **Kursy włościańskie.**

W roku bieżącym, wzorem lat ubiegłych wileńskie Towarzystwo rolnicze zamierza zorganizować w majątku Wielkie Soleczniki kursy dla kontrolerów asystentów obór. Kursy będą trwały od 2 listopada r. b. do 2 lutego 1914 r. Poza tem zamierzone jest zorganizowanie kursów miesięcznych dla dozorców obór w majątku „Sielce“ (w pow. dzisieńskim) p. Kołłątaja. Kursy te będą trwały od 2 września do 3 października.

= **Obowiązki nauczycieli ludowych.**

Według „Kurjera Litewskiego“ inspektor szkół ludowych w powiecie nowogródzkim rozesłał do podwładnych sobie nauczycieli okólnik następujący:

„P. Gubernator miński w liście do p. dyrektora szkół ludowych gub. mińskiej z dnia 6 marca, Nr. 1688, zawiadomił, że jednym ze środków polonizacji miejscowej ludności białoruskiej są tajne szkoły polskie, otwierane w wielkiej liczbie w różnych miejscowościach gub. mińskiej. Głównymi inicjatorami otwierania szkół tajnych są księża, którym w tym względzie udzielają znacznej pomocy w pieniądzach i innych środkach miejscowi obywatele polacy. W szkołach tych dzieci katolików i i prawosławnych uczą abecadła polskiego, modlitw, pieśni i dogmatów wiary rzymsko - katolickiej. Ponieważ zakładanie szkół i nauka w nich są otoczone wielką tajemniczością i urzędnicy policyjni nie zawsze w czasie należytym bywają zawiadamiani o szkołach tego rodzaju, przeto p. gubernator prosi, ażeby pp. nauczyciele ludowi zawiadamiali miejscowe władze policyjne o takich szkołach nielegalnych“.

= **Zamknięcie pism radykalnych.**

Z rozporządzenia izby sądowej zamknięte zostało w Petersburgu wydawnictwo dzienników radykalnych: „Prawda“, „Łucz“ i „Trudowoj Gołos.“ Zamknięcie pism izba motywuje ujawnieniem przez nie systematycznem pogwałceniem przepisów prawa, wyraźnie partyjnym charakterem ich kierunku oraz wyraźnie szkodliwym wpływem ich na masy ludowe.

= **Samobójstwa młodzieży szkolnej.**

Ministerjum oświaty ogłosiło broszurę, traktującą o „samobójstwach, zamachach samobójczych i wypadkach nieszczęśliwych w zakładach naukowych w 1911 roku“. Według zebranych przez ministerjum danych w r. 1911 było 155 samobójstw i 91 zamachów samobójczych (w r. 1910 samobójstw było 154, zamachów 102). Najwięcej samobójstw i zamachów samobójczych przypada na szkoły średnie (178), najmniej na wyższe (16). Na młodzież płci męskiej przypada 107 samobójstw i 59 zamachów, na młodzież płci żeńskiej 48 samobójstw i 33 zamachy.

Przyczyną największej ilości wypadków targnięcia się na życie był rozstrój norwowy (58 wypadków). sprawy szkolne (54), zawiedziona miłość (17) i t. d. Ilość samobójstw, spowodowanych przez stosunki szkolno-domowe wciąż wzrasta.

= **Uchwały stronnictw galicyjskich.**

Po wyborze sejmu, wszystkie prawie stronnictwa odbyły narady i wydały stosowne uchwały. Wszystkie partje oświadczają, że reformę wyborczą uważają za sprawę najpilniejszą.

Kwestja wniesienia projektu rządowego jest również omawiana w prasie. „Gazeta Narodowa“ pisze w tym względzie: „Uważaliśmy ten krok rządu dzisiaj, zanim jeszcze można było osiągnąć jakieś porozumienie pomiędzy stronnictwami sejmowemi, za tak fałszywy, że nie chcemy tej wiadomości dać wiary“.

Należy też stwierdzić, że wiadomość o zamiarze rządu wniesienia projektu, nie jest oficjalna i polega tylko na domysłach kilku dzienników.

Pod względem politycznym należy z uchwał podnieść, że tak stronnictwo ludowe, jak i demokracja polska, uchwaliły samodzielność polityki, a to ostatnie stronnictwo uczyniło zależnym swój stosunek do rządu centralnego, jak krajowego, od stanowiska, jakie te rządy zajmują w sprawie reformy wyborczej.

Wreszcie należy podnieść z uchwał demokracji polskiej silny nacisk, który to stronnictwo kładzie na związek między reformą wyborczą a utrzymaniem autonomji.

= **Zawieszenie wydawnictwa „Haliczanina“.**

Organ umiarkowanego stronnictwa staroruskiego „Hałyczanin“. który w ostatnim miesiącu z powodu trudności finansowych ograniczył wydawnictwo,—obecnie został zawieszony. W sobotę wyszedł ostatni numer pisma, w którym komitet wydawniczy ogłasza czasowe zawieszenie wydawnictwa.

= **Wychodźtwo do Kanady.**

Według wiadomości, świeżo otrzymanych z Kanady polskie Tow. emigracyjne, w stanach Manitoba, Saskatschewan, Alberta i British Columbia wskutek olbrzymiej imigracji w ostatnich czasach całe zapotrzebowanie na robotników kwalifikowanych, a zwłaszcza robotników budowlanych zostało w zupełności pokryte i nowi przybysze narażać się będą na przykry zawód. Obecnie więc na znalezienie pracy w Kanadzie liczyć mogą jeszcze tylko robotnicy rolni oraz domowa służba żeńska, ale i dla robotników rolnych widoki z nastaniem jesieni znacznie się pogorszą. Każdy z imigrantów musi obecnie wykazać się przy lądowaniu posiadaniem przy sobie 25 dolarów i przepis ten jest przez kanadyjski urząd imigracyjny bardzo surowo przestrzegany.

Sprostowanie.

W Nr. 24—26 w artykule „Teatr i muzyka“ (str. 10, szpalta I-a, wiersz 36-y od góry) należy czytać: „u t w o r y“ zamiast „ustawy“.

W artykule „Szablony“ (str. 11, szpalta II wiersz przedostatni) należy czytać: „n a j g o r ę t s z y“ zamiast „najgorszy“.

Książki nadesłane do redakcji.

Pamiętniki Jakóba Gieysztora z lat 1857—1865 poprzedzone wspomnieniami osobistemi prof. Tadeusza Korzona oraz opatrzone przedmową i przypisami. „Bibljoteka Pamiętników“ Nr. 5—6. Wilno. 1913.

Dr. Aleksander Majkowski. *Zdroje Raduni.* Przewodnik po Szwajcarji Kaszubskiej z mapą i 22 ilustracjami. Warszawa. Nakładem Polskiego T-wa Krajoznawczego. 1913.

B. Feller. *Irydjon Z. Krasińskiego.* Dramat w 9 odsłonach. Prolog i Eksodos. W duchu reformy teatralnej, oryginalnie pojętej. Kraków. Gebethner i Sp.

Treść numeru.

Unja w Horodle, — J a n J a k u b o w s k i.

Samozwańcy — B. H.

Składniki siły. — W i - s k i.

Dezorjentacja inteligiencji polskiej. — M i e c z y s ł a w N i e d z i a ł k o w s k i.

Nad Sekwaną. — W. K i ś l a ń s k a.

Rzewnie, sieroco załkała ma dusza (wiersz). — W a c ł a w W o l s k i.

Na marginesie. — B e h r a.

List do Redakcji.

Ku światłu. — H e l. R o m.

Prasa polska.

Kronika.

Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ„ Wilno. Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa.

Rok II. Wilno, 3 (16) sierpnia 1913 r. № 30—31.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie
Rocznie . . . 7.00
Półrocznie . . . 3.50
Kwartalnie . . . 1.75
Miesięcznie . . . 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu
Rocznie . . . 8.—
Półrocznie . . . 4.00
Kwartalnie . . . 2.00
Miesięcznie . . . 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:
Przed tekstem za wiersz petitu . . . 50 k.
W tekście (nadesłane) . . . 1 rb.
Po tekście . . . 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

W poszukiwaniu syntezy.

Prądy polityczne w Polsce porozbiorowej — to przypływy i odpływy energji narodowej, a skala ich — to skala wstrząśnień, jakim naród nasz od czasu utracenia wolności podlega.

Od czasu rozbiorów aż do szóstego lat dziesiątka ubiegłego stulecia energja narodu, t. j. tych warstw, które czuły i myślały za naród, była w ciągłem naprężeniu, bo skala wstrząśnień, nieszczęść — była ogromna. Inteligiencja szlachecka przeżyła w tym okresie najwyższy stopień klęsk a zarazem największy stopień bohaterstwa. Ciosy, uderzające w naród, były dla pokoleń ówczesnych tak niewytłumaczalne, tak potworne, wiara w siłę i przyszłość narodu tak niewzruszona i powszechna, że utrata wolności wydawała im się tylko jakimś chwilowem doświadczeniem Opatrzności, próbą jego hartu i cnoty, czyścem, z którego miał wyjść czysty, odrodzony.

Wyrazem tego przeświadczenia głębokiego, tych przeżyć cieżkich i tych uczuć gorących — był romantyzm polski.

Prąd ten uczuciowy przedewszystkiem—w całym ogromie możemy zrozumieć i odczuć dopiero dziś w perspektywie czasu. Był on u nas tym czynnikiem, który nie pozwalał poddawać się biernie niedoli, który zagrzewał do czynu, który karmił w narodzie najlepsze jego pierwiastki i na nich kazał opierać i budować przyszłość. Rzucił on w naród ziarna zdrowe i płodne miłości dla ojczyzny, ludzkości, ziarna, któremi żyjemy po dzień dzisiejszy, które dotychczas nie straciły nic na świeżości. A potęga jego tkwiła nie tyle w gienjuszach, w których znalazł najdoskonalszy wyraz, ile w jego powszechności i głębi. Promienie, które rzucał, ciepło, którem grzał, sięgały wszędzie, gdzie czuły serca polskie, i wszędzie znajdowały zrozumienie, oddźwięk. Cała ówczesna inteligientna Polska przeżywała okres romantyzmu.

Ostatnim jego porywem a zarazem załamaniem był rok 1863.

Po okropnych klęskach, po szalonem wyczerpaniu energji narodowej—nastąpił okres jej odpływu, gojenia ran, bezwładu. Nie należy przypuszczać jednak, że linja załamania była gwałtowna. Romantyzm miał doby swego rozkwitu, dojrzałości i upadku. Powstanie ostatnie było już czynem, a raczej odruchem—przeciw nadziei.

I oto powalony na łoże niemocy naród—począł rozmyślać. A że myśli chorego, wyczerpanego walką śmiertelną organizmu są smutne, szare, beznadziejne, doszukują się źródła choroby we wszystkiem i we wszystkich, więc poczęła myśl polska odszukiwać sprawców nieszczęść narodu. I tak, idąc po nitce do kłębka, od aktu powstania do jego sprawców, do ducha, który ich ożywiał, przeszła myśl zbolała, więc nielitościwa, do przeszłości narodu, jego dziejów — i wszędzie znalazła skazy i rysy, wady i grzechy, niemal tylko wady i niemal tylko grzechy.

— Nie zdolniśmy być narodem wolnym — powiedziała sobie chora myśl polska po roku 1863.

Chory, wycieńczony i niezdolny do walki organizm — był w stanie myśleć jedynie o tem, jak życie zachować. I wszechwładny instynkt samozachowawczy mówił mu tylko jedno: chociażby w więzach, chociażby na łożu niemocy, byle żyć.

Na tle tego instynktu życia i poczucia własnej niemocy—powstał prąd ugody, prąd, który w pozytywizmie, znalazł swe usprawiedliwienie, filozofję. Prąd ten, prąd par excellence umysłowy, refleksyjny —nie był twórczy, w dziedzinie politycznej był lojalny, lub bierny, lecz w szeregu djagnoz i leków dał bezsprzecznie narodowi wiele cennych nauk, wskazówek. Pozytywizm historyczny stańczyków krakowskich dał nam poznać nasze dzieje nie tylko z jasnej strony, wykazał błędy państwowe i społeczne. Pozytywizm zaś społeczny i naukowy warszawski prześwietlił społeczeństwo aż do głębi, dał poznać wszelkie jego strony ujemne, jego ciemnotę, zacofanie, klerykalizm, nędzę ekonomiczną, pobudził chęć do pracy i nauki.

I oto jest jego strona dodatnia, którą stale przeoczają przeciwnicy.

Znaczenie pozytywizmu w Polsce, jego rozgłos — polegały nie na tem, że szermierzami jego byli ludzie tej miary, co Świętochowski, Chmielowski, Prus. Opierały się one tak samo, jak i romantyzm, nie na wybitnych jednostkach, a na tem, że głoszone przezeń zasady znajdowały odgłos szeroki w ówczesnem

społeczeństwie, które przeżyło bezpośrednio wypadki 1863 roku, nie miało zaś dawnej odporności i siły.

Z biegiem czasu, gdy organizm narodowy zaczął przychodzić do zdrowia, gdy poczęło wstępować w szranki życia pokolenie nowe, pełne sił młodzieńczych i energji, pozytywizm polityczny nie mógł go zadowolić. Młodzież poczyna szukać dróg nowych. Jedni wysuwają na czoło pracę dla ludu wiejskiego i jego oświaty, pragną Polskę zbawić przez lud („Głos"), drudzy—pod wpływem idei socjalistycznej—poczynają organizować robotników, pragną zbawić Polskę przez socjalizm. I rozpoczyna się praca młodzieży, praca programowa, oświatowa, agitacyjna, kółkowa, konspiracyjna. Tworzą się partje i organizacje z takim, lub innym programem młodzieży. Wywiązują się tarcia, polemiki. A wszystko w myśl ducha czasu — odbywa się w imieniu ludu i dla ludu — bez ludu — na poddaszach, w pokoikach studenckich, lub za granicą: w Londynie, w Paryżu, w Genewie. Pozytywizm zostaje potępiony i wyśmiany, a na jego miejscu tryumfuje racjonalizm idealistyczny o podkładzie tradycji narodowej, lub materjalizmu dziejowego.

Lecz oto młodzież dojrzewa, wstępuje w szranki życia codziennego. Nadchodzi rok 1905 i lata następne. Z racjonalizmu idealistycznego śród inteligencji nie pozostaje w Królestwie ani śladu. I swojski nacjonalizm, i kosmopolityczny materjalizm dziejowy znów mają oblicze najpozytywniej ugodowe.

Nasi marksiści tłumaczą tę zmianę raptowną u siebie tem, że lud przemówił, że masy i wypadki pchały w tym, a nie innym kierunku, u przeciwników zaś—strachem przed ludem i jego społecznemi, ekonomicznemi żądaniami.

I tłumaczą to fałszywie, jednostronnie.

Zmiana warunków ekonomicznych i układu sił społecznych miała, niestety, u nas na prądy, nurtujące śród inteligiencji, wpływ zaledwie pośredni, negatywny.

Zmiana ta, znacznie mniejsza, w Galicji—dzięki zupełnie innym warunkom życia—oddziaływa na inteligiencję galicyjską naogół pomyślnie i dodatnio, stapia ją z masami ludowemi i zbliża, a w momentach takich, jak ostatnie wypadki międzynarodowe, nadaje jej wystąpieniom wyrazistość i jasność. Dezorjentacji tam niema. Są tam tylko różne interesy różnych grup społecznych.

W Królestwie inteligiencja wciąż jest jeszcze zawieszona w próżni. Nie stanowi już całości jednolitej z klasami posiadającemi, z których przeważnie wychodzi, i nie tkwi korzeniami jeszcze w ludzie. Stąd jej chwiejność, stąd jej słabość. Stąd prądy, które ją nurtują, nie mają życiotwórczej siły wewnątrz, a odporności na zewnątrz. Skala przypływu i odpływu energji narodowej zamyka się w życiu jednego pokolenia. Młodzież wnosi pewien zapał do czynu, pewwną wiarę, lecz w zapasach z życiem skrzydła jej szybko opadają, i wiek dojrzałości męskiej wita już zwątpieniem, niewiarą, taką lub inną ugodą.

I kręgosłupa jej nie wzmocnią żadne prądy myśli Zachodu: ani Bergsonizm, ani Jamesizm, ani Sorelizm, tak samo, jak nie wzmocniły go dotąd: ani egoizm narodowy, ani egoizm klasowy, ani egoizm indywidualny.

Jedyne źródło ożywcze dla inteligiencji polskiej —stanąć w szeregach ludowych, pojętych nie, jako masa gipsowa, którą urabiać należy w te lub inne aprjorystycznie określone formy, lecz, jak społeczeństwo równouprawionych obywateli, mających prawo do wolności i szczęścia.

Tylko w tych szeregach inteligiencja polska nauczy się wytrwałości; tylko tam uświadomi sobie, że zdobyta przez nią wiedza—to nie mieczyk do zawrotnych eksperymentów intellektu, nie środek do zdobycia karjery i wpływów, lecz narzędzie do pogłębienia i rozszerzenia na cały naród dobrobytu i szczęścia oraz dług społeczny względem stwarzającego warunki dla kształcenia się wybranych — ludu pracującego, tylko z tych szeregów, wreszcie, czerpiąc soki, będzie zdolny do pracy twórczej, pracy, opartej nie na tej czy innej doktrynie, lecz na doświadczeniu życia.

Rozwój ludów Zachodu oraz budzący się ruch ludowy w Królestwie drogi te nam coraz wyraźniej wykreślają—mniej więcej—w ten sposób, jak to trafnie ujmuje uczony niemiecki, dr. Edward Dawid, który pisze:

„Rozwój spółek wytwórców włościańskich — to pierwszy warunek bezpośredniego związku ekonomicznego między drobnym posiadaczem roli i robotnikiem przemysłowym. Drugi warunek — to organiza-

---

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT.

Bajki jesienne.

Pannie Jadwidze Kiew.

Jesienią wczesną, gdy konające ciepło dnia rozmarzy ziemię, gdy pozłociste liście drzew smutnych kobiercem smętnym pokryją cieniste niegdyś aleje,—gdy cichy płacz krzewów i bladych zgon traw owije świat pajęczyną wspomnień chwil żarnych, — w błękitnym dymie papierosa spływa ku mnie duch Jesieni, duch chwil przeżytych i kwietnych nadziei...

I w takt spadających liści wydzwania mi piosnki cudne i bajki przedziwne...

O chwilach mi śpiewa minionych i żądzach palnych, o wiarach hardych...

I przekuwam blade widma jego pieśni w słowa ludzkie, choć czuję, że są jeno złudą...

I przekuwam blade widma jego pieśni—bo samych pieśni nikt odtworzyć nie zdoła...

I choć mamią mnie słowa i z pod pióra giną w tańcu lubieżnym, odtwarzam pieśni ducha Jesieni, bo czaru ich wyzbyć się nie mogę...

BÓJ z SZIWĄ.

...A w czasie onym żył królewicz Sławo. I było szczęście jego bez granic.

Przeżyte sny i rozkosze rodziły tęsknotę, a dzięki niej nowe światy poznawał, nowe pragnienia zgłębiał, o nowych marzył chwilach, nowe radości przeżywał...

A postać miał hardą, ciało jak śnieg, jako chabry oczy...

Gdy zaśmiał się Sławo, dzwonki polne odrzucały śmiech jego srebrzysty lasom i górom, a w rytm ich szmerów radosnych ptaki cudne rozsiewały fanfary...

Gdy do całunku usta kraśne złożył, dreszcz rozkoszy ziemię wstrząsał... I rodziła ona wtedy kwiaty przedziwne a wonne, ptaszyny barwne a śpiewne...

Gdy do uścisku wyciągnął ramiona, tęczą barw mieniło się niebo, pieśń cudną śpiewało morze...

cja spółkowa tego ostatniego jako spożywcy. I organizacja ta jest już w trakcie potężnego, wiele obiecującego rozwoju. Dwie te organizacje zbudują most, łączący lud pracujący miasta i wsi, i wytworzą trwały sojusz wyzwolenia".

Mowa tu tylko o wyzwoleniu pracy.

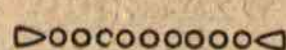
Lecz kwestji nie ulega, że świadomie kroczący, solidarny lud pracujący wszelkie inne zagadnienia twardą swą dłonią rozwiązać potrafi.

Dla nas wytworzenie trwałej łączności między wsią i miastem, robotnikiem i włościaninem—to zarazem kwestja narodowa, polityczna, bo — to niedopuszczenie ani do wyeliminowania z narodu robotnika, ani—do zagwożdżenia wsi polskiej. Największą gwarancję żywotności narodu—da stała wymiana sił między poszczególnemi warstwami społecznemi, da namacalna i bezpośrednia wspólność interesów. Wiązanie nici między wsią i miastem, pomoc oświatowa organizacyjna tu i tam — oto zadanie inteligiencji polskiej, które wypełnić jest w stanie po brzegi wszelkie jej aspiracje społeczne i umysłowe.

Aż dopiero gdy zespolenie jej z ludem nie tylko w duchu, lecz i we krwi—nastąpi, może powstać w społeczeństwie prąd potężny, w którym romantyzm uczucia i pozytywizm rozumu zespolą się w harmonijną i pełną całość.

Na dezorjentację polityczną nie będzie wówczas miejsca.

Wi—ski.



Niebankrutujący bankrut.

Wojna serbsko-bułgarska wywołała—jak wiadomo—popłoch w szeregach słowianofilów. Wegietujące tu i owdzie towarzystwa „wzajemności" jęły rozwiązywać się „na znak żałoby", co dało sposobność prasie niezależnej do zarejestrowania bankructwa idei, która od czasu aneksji Bośni i Hercegowiny, pod maską neoslawizmu, bałamuciła niektóre umysły.

Nie trzeba być nawet obserwatorem głębokim, by we wszystkich dotychczasowych praktykach panslawizmu (bez względu na szyldy, chwilowo wywieszane) dostrzec z gruntu fałszywe jego stanowisko.

Ludy słowiańskie nie są wcale wzajemnie sobie bliższe, niż ludy dwu innych grup plemiennych: romańskiej lub giermańskiej. Nigdy jednak nie powstawała myśl jakiejś szczególnej więzi niemiecko-brytańsko-skandynawskiej lub francusko-włosko-hiszpańskiej. W obu tych grupach narodowości poprzestawano na stwierdzaniu pewnych podobieństw lingwistycznych, a poniekąd i obyczajowych; na tem tle powstawały i nawet chwilami manifestowały się pewne sympatje, do niczego zresztą nie obowiązujące, pozostające bez wpływu na bieg życia politycznego.

I nie dziw. Narodowe różnicowanie się pierwotnych plemion posunęła cywilizacja nowoczesna tak daleko, że cechy wspólne, z pra-pnia dochowane, stanowią jeno drobną cząstkę charakterystycznych cech narodowych.

Pod tym względem Słowiańszczyzna nietylko nie ustępuje innym grupom plemiennym, ale przeciwnie: przewyższa je. Samo już to, że jedna jej część podległa wpływom łacińskim, a druga bizantyjskim, stwarza rozdział bardzo znamienny. Jest on tak nawet mocny i istotny, iż jeden i ten sam naród — mianowicie serbski — nie może całkowicie zespolić swej części katolickiej (chorwackiej) z prawosławną.

Lecz nie tu jeszcze kres różnic zasadniczych.

Rozmaitość kolei, jakie w ciągu wieków przeszły poszczególne ludy słowiańskie, uczyniła z nich narody, stojące na najróżniejszych szczeblach kultury, a raczej dwu kultur. Oszczędny, systematyczny, pracowity czech i dziki awanturnik czarnogórski, choć mowy ich podobne, są to ludzie, mogący ze sobą sympatyzować tylko na odległość, abstrakcyjnie. Całym bowiem sposobem życia ów czech jest daleko bliższy swego wroga niemca, niż tego bałkańskiego brata.

Mimo olbrzymich — a można powiedzieć: wyjątkowo olbrzymich — różnic, spotykanych śród Słowiańszczyzny, zrodziła się przecież ideja czegoś w rodzaju „rzeszy słowiańskiej". Prasa, myśl tę popierająca, nie waha się nawet od czasu do czasu

---

I było szczęście jego bez granic...

Bo dał mu Wisznu potężne dwa dary najwyższe:

Poczucie Piękna i Moc Kochania.

I rzekł raz królewicz Sławo:

— Otom jest równy bogom — bo jak oni Piękno odczuwam i jak oni ukochać potrafię...

I zatrząsł się w gniewie swoim przepotężny Sziwa Burzący, groźne ku ziemi cisnąwszy spojrzenie.

Aż rzekł znowu królewicz Sławo:

— Otom jest równy Bogom—bo niema rozkoszy, której bym nie zaznał, i niema smutku, któryby mną nie wstrząsnął...

I zatrząsł się po raz drugi w gniewie swoim przemożny Sziwa Burzący i cichą powiódł z Mocą swą rozmowę.

Aż wreszcie po raz trzeci rzekł królewicz Sławo, a słowa jego zwycięską fanfarą po ziemi przeszły:

— Otom Bogów przewyższył—bom strachu się wyzbył, a niema krzywdy, którąby wyrządzić mi mogli...

I zatrząsł się na tronie swym złotym przegroźny Sziwa Burzący i zesłał na ziemię swoją Moc władną...

I rzekła Moc Sziwy do królewicza:

— Coś zacz, iż sądzisz, że niema rozkoszy Bogów, której byś nie zaznał?

I odparł Sławo:

— A cóż Oni mają? Czegoż zazdrościć mi każesz?... Zarówno oczy moje Pięknem się poją; zarówno drżę z zachwytu przed cudem Tworzenia i Burzenia; zarówno ślą kwiaty zapachy przedziwne, słońce strzały złociste, a ptaki śpiewy zachwytne. I czegóż zazdrościć mi każesz? Toć dano mi Piękna Poczucie! A gdy pieszczę piersi śnieżne, zdobne kroplami krwi, w chwili Odwiecznego Szału zastygłemi, gdy węże białe na skroni mi drgają, gdy włosy miękkie, a wonne okrywają naszą nagość wspólną, a usta kraśne me oczy piją, to rozkosz ma równych nie zna — bo dana mi Moc Kochania... A oba te dary w wielkim hymnie Władzy u stóp mi się ścielą! Więc czegóż zazdrościć mi każesz?

I spytała Moc Sziwy:

— Kochasz kobietę?

A Sławo podniósł w górę swe oczy — dwa chabry — i nucić począł hymn uwielbienia, — a drzew poszumy, wiatru poświsty, morza poszmery arfą mu były...

wskazywać Słowiańszczyźnie za wzór Rzeszę Niemiecką. Pomija ona przytem — nie bez ukrywanej tendencji—fakt, iż Niemiecka Rzesza zespala jeden tylko z narodów giermańskich; że nie kusi się bynajmniej o połączenie z niemcami szwedów, norwegów, ani anglików. Jeśli zaś objawia intencję zbyt czułych braterskich uścisków, to wyłącznie względem duńczyków i holendrów, którzy jednak wolą tych czułości uniknąć.

Z tych samych właśnie pobudek, pod których wpływem Niemcy wyciągają pangiermańskie ramiona do Danji i Holandji, powstał równie panslawizm rosyjski.

Apetytom bałkańskim, pielęgnowanym od niepamiętnych czasów, przysłużyć się miała ideja słowiańskiego braterstwa. Jak braterstwo to wygląda w praktyce—świadectwem Polska.

Przykład ten jednak—tak mało, zdawałby się, zachęcający dla innych ewentualnych pupilów Rosji — z pozoru małe sprawiał na nich wrażenie. Przyczyna leżała w tem, że właściwie ani jeden z drobnych narodów słowiańskich nie hołdował szczerze idei, w Rosji zrodzonej; ale pragnął ją tylko odpowiednio do swoich widoków politycznych wyzyskać.

Najzręczniej, najgłośniej i z najgłębszą świadomością właściwego celu, wzięli się do tego czesi. Tem śmielej podnieśli oni sztandar panslawizmu, że Rosja nie zdradzała ochoty do anektowania ich kraju. Sami się więc jej przypomnieli, sami poczęli manifestować swe braterskie sympatje, narzucać się niejako Słowiańszczyźnie, a raczej jej „opiekunce“ — Rosji.

Mając na karku niemców austrjackich i prowadząc z nimi walkę emancypacyjną, usiłowali czesi wyzyskać powstały na Bałkanach antagonizm rosyjsko-austrjacki, by móc prześladowcom swoim zagrozić potężnym sojusznikiem.

Flirt czesko-rosyjski stał się więc niejako drugim filarem panslawizmu.

Wszelako oba te filary: 1) parcie Rosji ku Carogrodowi; 2) czeski ruch emancypacyjny — jedynie zwierzchu lakierowane były uczuciami braterstwa słowiańskiego. W istocie składał je materjał rachub politycznych, obcy absolutnie jakimkolwiek sentymentom.

Podobnie też odnieśli się do panslawizmu serbowie i bułgarzy. — Bardzo jest charakterystycznym fakt, że oba te narody, żyjące w stałym odwiecznym antagonizmie swe sympatje słowiańskie zwracały jedynie ku Rosji, a i to tylko sporadycznie. Ani serba, ani bułgara nie obchodzili nigdy czesi, polacy, względnie serbowie, lub bułgarzy, lecz wyłącznie „opiekunka“ Rosja. Albowiem chodziło im nie o żadne uczucia familijne, lecz jedynie o przeciwstawienie wrogom swoim (podobno jak w Czechach) potężnego sojusznika. Więc podczas gdy Serbja i Czarnogórze starały się eksploatować na swoją korzyść antagonizm austrjacko-rosyjski, Bułgarja usiłowała wyzyskać przeciwieństwa turecko-rosyjskie.

Zarówno jednak Serbja, jak i Bułgarja, choć wystrzegały się okazywać, iż trochę się boją północnego „brata“, grę prowadziły oględnie. Ich sentymenty panslawistyczne były znacznie mniej wybuchowe i zdecydowane niż w Czechach. Tu już liczono się z możliwością zbyt aneksyjnych czułości „opiekunki“ i od czasu do czasu pozwalano sobie na niedwuznaczne flirty z jej przeciwnikami, które mitygowały nieco zachłanne porywy słowianofilstwa. Nieraz też słychać było o „niewdzięczności“ bułgarów i dwulicowości serbów, co wszakże jednym i drugim w Petersburgu po niejakim czasie wybaczano ze względów na motywy polityczne dalszego pielęgnowania fikcji braterstwa.

Ściśle polityczny charakter i pobudki panslawizmu aż do roku 1908 nie podlegały u nas żadnej wątpliwości. Znosząc bratnie uściski od stu lat z okładem, polacy nie mogli w żaden sposób szukać ich źródła w miłości plemiennej. Rzeczywistość tak mocno biła ich w oczy, że nie pozostawiała miejsca na żadne złudzenia.

Aż oto raptem pojawił się „neoslawizm“ i część naszych polityków oraz publicystów doznała nagłego zawrotu głowy. Dała się ona zbałamucić z dwojakich przyczyn.

Pierwszą z nich było przemęczenie walką na dwa fronty, z których w danym momencie zachodni, przez hakatę napierany, wydał się bardziej

---

— Kobieto! Bądź błogosławiona za to, że jesteś, bądź podziwiana za to, że jesteś... Boś jako pieczara chłodna w dniu upalnym i jako słońca pobłyski w dniu mroźnym... Boś jako ljan miękich posłanie po męce pracy, i jako wieża z kości słoniowej, gdy się ku szczytom porywam... Bo serce Twe jest jako smok groźny i jako morza przypływ powolny, co nogi me pieści... Bo serce Twoje jako Mrok ciemne i jak blask dnia żarnego uchwytne. Bo dusza Twa ma głębie niepojęte, a dobroć Twoja granic nie posiada... Bądź błogosławiona, kobieto! Boś jest ty pniem wielkim, na burne fale potoku ciśniętym, jako tonących zbawienie... Bo jesteś arfą przecudną, na której najszczytniejsze melodje wygrać mogę... Bo niemasz lepszych tworów na Ziemi i Niebie, jako Ty jesteś...—bądź pochwalona...

. . . .

A wtedy Moc Sziwy zrobiła tak, że Sławo stracił kobietę.

. . . .

I znowuż rozbrzmiał świat śmiechem Sława — i szerzej jeszcze ramiona do uścisku rozwierał — części do całunku kraśne składał usta.

Więc znowu wysłał Sziwa Burzący Moc swoją, a ta spytała:

— Czyś wciąż Bogom równy?... Czy niema krzywdy, co w proch by powalić cię mogła?

I odparł królewicz:

— Ukochałem Ludzkość. Czy znasz ty te rzesze głodnych i sytych, pięknych i brzydkich; czy wiesz, że są one jako morze odwieczne a wciąż nowe. Ukochałem Ludzkość.

Ukochałem Podziwem Młodość, co więzy zrywa stalowe,—Dobroć, co życie oddaje w darze, — Wielkość, co szczęście swe śle na ofiarę, — Starość, co życie przeżyła...

Ukochałem Żałością Gienjusz, co się wypowiedzieć nie może, — Bezbronność, co w męce kona,— Słabość, co w strachu się wije...

Ukochałem Bólem Występek, co myśli swe kala,—Zbrodnię, co życie swe bruka.—Zawiść, co sama siebie zamęcza...

Ukochałem Ludzkość.

. . . .

A wtedy Moc Sziwy zrobiła tak, że Sławo stracił Ludzkość.

. . . .

zagrożonym. Druga—pewne odgłosy humanitarne, które zadźwięczały w hasłach wskrzeszonego panslawizmu. Pochodziły one z stąd, że polityka zagraniczna—okazała się skłonna do szukania oparcia w opinji mas ludowych, które pociągać można tylko jasnemi, niedwuznacznemi hasłami. Chcąc tłumy zgromadzić pod sztandarem bratniej miłości słowiańskiej, trzeba znaleźć zwięzłą, krótką formułę, nie znoszącą żadnych krętackich zastrzeżeń.

I rzeczywiście, na lapidarność ogłoszonej wówczas formuły wziąć się dała niemal cała wolnomyślna Rosja, stęskniona za sprawiedliwością bodaj eksportowaną poza granice ojczyzny.

Na lep tej fortuny poszli i niektórzy działacze polscy—ci zwłaszcza, którzy za wszelką cenę znaleźć pragnęli jakikolwiek punkt oparcia dla kompromisów z miarodajnemi czynnikami państwa. Poczęli więc składać deklaracje swej „słowiańskości“ bez zastrzeżeń, jeździć do Petersburga, do Pragi i z całą naiwnością piaskiem frazesów zasypywać oczy wszelkiej krytyce, wszelkim odruchom sceptycyzmu.

A do sceptycyzmu było odrazu powodów nie mało.

Przedewszystkiem każdy trzeźwy umysł zastanowić musiała zapowiedziana z góry apolityczność całego tego ruchu. Apolityczność ta w rzeczywistości polegała jedynie i wyłącznie na tem, że wszelkie konferencje słowiańskie nie powinny były tykać kwestji polskiej. Poza tą tylko szczególną kwestją neoslawizm nie znał żadnych granic w podnoszeniu zagadnień politycznych. Ale to jeszcze nie wszystko. Faktem najznamienniejszym, najbardziej bijącym w oczy było to, że cały ów ruch powstał—mimo swej rzekomej apolityczności — z pobudek ściśle politycznych i w ściśle politycznych celach. Szło mianowicie o zmobilizowanie przeciw Austrji opinji zarówno w Rosji, jak też na Bałkanach, a nawet śród samych obywateli monarchji Habsburskiej. Szło o przeciwdziałanie nowemu rozszerzeniu się jej wpływów przez aneksję Bośni i Hercogowiny.

W pobudkach swych zatem oraz w źródłach inspiracji neoslawizm nie różnił się niczem od poprzednich porywów najzwyklejszego, osławionego panslawizmu.

Był on więc zupełnie podobnym do tamtego szwindlem politycznym, częściowo tylko zmodernizowanym wedle wymagań czasu.

Niektórzy sądzą, że obecna wojna serbsko-bułgarska szwindel ten na przyszłość udaremni.

Złudzenie!

Przedewszystkiem wzięcie się za czuby serbów i bułgarów—to bynajmniej nie jedyna kompromitacja reklamowanej „wzajemności“. Jest to tylko epizod, najbardziej rażący i zdolny poderwać wiarę nawet w najlepszych wyznawcach panslawizmu. Dla umysłów krytyczniejszych niemniej rażącym powinien być fakt, że w całej tej niby słowiańskiej robocie biorą udział ludy, nie mające nic wspólnego ze słowiańszczyzną: Grecja i Rumunja. Panslawizm wszelako bierze je pod swe skrzydła — z racji ich prawosławia. Niemniej uderzającem zjawiskiem była gotowość bułgarów do porozumienia się z turkami; a wreszcie niedwuznaczna niechęć działaczów peterburskich do możliwości zawładnięcia Konstantynopolem przez armję związkową.

Mimo to wszystko, znajdą się zawsze naiwni, którzy gotowi będą wierzyć w jakąś szczególniejszą braterskość słowian. Przysłowie, że: „świat chce być obełgiwany“ ma w danym wypadku pewne podstawy realne. Słowiańszczyzna, jako *Hinterland* Europy, jako — w dużej większości — masa pół-cywilizowana, z niejaką solidarnością przeciwstawiać się musi napierającemu ją Zachodowi. W tej samorzutnej, bezplanowej walce chętnie posługuje się ona środkami, których zwykle używa strona kulturalnie słabsza—t. j. strachami. Takim strachem jest właśnie panslawizm (czy neoslawizm—wszystko jedno); siła to nieistniejąca, co jednak wcale nie dowodzi, by nie miała być w dalszym ciągu używana i wyzyskiwana dla doraźnych rachub politycznych.

Józef Sorokowicz.

I znowuż rozbrzmiał świat śmiechem Sława, wciąż usta jego w całunek się składały, a śnieżne ramiona w uścisku się plotły.

Więc znów wysłał Sziwa Burzący Moc Swoją władną, a ta spytała:

— Czyś wciąż Bogom równy? Czyż niema krzywdy, co w proch powalićby cię mogła?

I odparł Sławo:

— Ukochałem samego siebie. Odnalazłem w duszy mej głębie przez żadnego nurka niezgłębione... Odnalazłem Piękna pokłady, co życie zapełnić zdołają. I wszystko, co jest w kobiecie, i wszystko, co jest. w Ludzkości—jest we mnie.

Ukochałem samego siebie. A zabrać mi Mnie nikt nie zdoła...

Ukochałem samego siebie...

I rzekła Moc Sziwy zgnębiona:

— Tyś Bogom równy!

A góry echem odparły:

— Poeta...

Sto lat temu a dzisiaj.

„Odważyłem się zebrać gruzy budowy i postawić przytułek sławy imieniu polskiemu“.
Czacki do Śniadeckiego w lipcu 1801 r.

Krzemieniec... Czacki,—Juljusz Słowacki,— Salomea z Januszewskich Becu—wdowa po Euzebjuszu Słowackim a matka Juljusza,—oto imiona związane z nazwą miasta—dziś zapomnianego—a przed stu laty tak rozgłośnego w dziejach historji kultury naszej.

Czem był ów Krzemieniec niegdyś — czem dziś jest? Czem się zapisał na kartach dziejów, oświaty, poezji,—czem jest dla wspomnień z przeszłości, czy ma przed sobą świty wschodów przyszłych?.. Wyrzeczenie się nadziei świtów — toć już mroki wieczne, a póki życia — póty i nadziei o lepszem jutrze...

Krzemieniec już się wspomina w kronikach IX-go wieku, różne następnie przebywa koleje.

W wieku XIV-ym przechodzi z rąk do rąk w rodzinie Jagiellonów — jako braci Jagiełły, — z kolei staje się „królewszczyzną“ — i należąc do tej kategorji dóbr—zostaje w 1539 r. nadany królowej Bonie — w której władaniu pozostaje przez lat 20. — Bona dopełniła wszelkich z tą donacją włożonych na nią zobowiązań—co do dokończenia

fortyfikacji twierdzy i grodu, uczyniła nawet więcej nad zobowiązania — wznosząc kościół farny, szpital i nadając miastu liczne przywileje. Wdzięczni mieszkańcy i lud okoliczny jej imieniem ochrzcili z tego powodu jedną z gór okalających miasto.

W 1569 r. na sejmie lubelskim — księstwo Wołyńskie przekształca się w województwo a stolicę jego stanowi *Krzemieniec.*

Miasto piękne, w parów jakby rzucone, twierdza silna, — zostaje w 1648-ym roku doszczętnie niemal zniszczona w czasie wojen kozackich—przez część bandy Krzywonosa, grasującej pod wodzą Dziewałowa, Wasyliewa i Kostenki.

Odtąd już się Krzemieniecka twierdza z ruin nie podnosi, pozostają z niej tylko smutne zwaliska na strażniczej górze—„gdzie po dolinach rzeka Ikwa płynie“. Dziś—Krzemieniec liczy 10 cerkwi — po większej części z zabranych kościołów katolickich przerobionych, jeden kościół katolicki; z 15,000 ludności (spis z 1893 r.) przeważnie żydowskiej, zaledwie 20% ludności polskiej naliczyć można.

Z niedalekiego Poczajewa — podmuchem dzisiejszych prądów niesione — zlatują tu raz w raz sławne „listki“ poczajowskie, mniej sprawiając jednak wrażenia niż sądzićby należało.

Z przeszłości różne dochodzą odgłosy, nad osamotnioną mogiłą matki Juljusza unosi się wieszczy duch poety:

„a w każdy wieczór—do cichego grobu
„przychodzi duchów łańcuch żórawiany“

i wiedzie nieustający rozhowor o tem, co się tu działo dawno—dawno — przed stu laty...

* * *

W dziełach autorów obcych, traktujących o ogólnej pedagogice, bądź o filozofji, o szkolnictwie i systemach naukowych — spotkać się nam zdarza rzadko, niezmiernie rzadko ze wzmianką poświęconą Polsce.

Ani historja pedagogji Compeyre'a, ani ten sam temat omawiające dzieło profesora Guex, ani Quick'a „Reformatorzy wychowania“, również dzieło Roerick'a traktujące o filozofji wychowania, jednem nawet słowem nie wspominają o dorobku umysłowym polaków na tem polu.

Jak gdyby kraj nasz nie istniał nigdy, niczem się nie zaznaczył w przeszłości, nic nie dorzucił do skarbnicy wszechludzkich zdobyczy na tej niwie!

Profesor Guex—kilka kart swego dzieła poświęcając stosunkom kulturalno-oświatowym, Rumunji, Serbji, Bułgarji, szkolnictwu Rosji, — nie dotyka krótką nawet wzmianką ustanowienia u nas w Polsce Komisji Edukacji narodowej — owemu *pierwszemu* w Europie Ministerjum Oświaty.

Gdy w drugiej połowie XVIII wieku, inne narody niezależne i potężne, nie zdołały w szkolnictwie swym elementarnem owocnych zmian przeprowadzić, cierpiąc na chroniczny brak odpowiednich sił nauczycielskich, — zarządzenia Komisji Edukacyjnej w Polsce, kwestję tę dość pomyślnie rozwiązać zdołały, ujmując ją zasadniczo przez założenie przy obydwu akademjach w Krakowie i Wilnie seminarjów z kursem trzyletnim—dla kształcenia wzorowych nauczycieli. Jednocześnie na zachodzie Europy, w końcu tegoż XVIII-go stulecia, w nowoustanowionych narodowych szkoach we Francji, okazał się tak wielki brak nauczycieli, że obowiązek ten poruczono osobnikom nie umiejącym nawet czytać dobrze i piszącym fatalnie.

A sto lat temu, w organizacyjnem postanowieniu szkół początkowych—Księstwa Warszawskiego—czytamy ustęp zapowiadający, iż żadne miasto, ani miasteczko, ani wieś—bez szkoły pozostawać nie może, żadne dziecko — jakakolwiek by była religja jego rodziców, nie ma być ze szkoły wyłączone, (art. 5).—Rodzicom się nie dozwala na uchylanie od posyłania dzieci do szkół, i to właśnie postanowienie *wprowadzało pierwsze w Europie zasady nauki obowiązkowej.*

Postanowienie tejże Izby Edukacyjnej Ks. Warszawskiego—powoływało do życia cały szereg szkół elementarnych, w których—w klasach wyższych—a nawet i niższych — wykładano higjenę, pierwsze zasady weterynarji, rolnictwo, gieometrję praktyczną, znajomość miar i wag, system monetarny, pierwsze zasady prawa, praktyczne ogrodnictwo (szczepienie, warzywnictwo, siewy i t. p.). Uczono również początkowych zasad handlowości i rzemiosł, zaś dziewczęta: mleczarstwa, prania, przędzenia i szycia — obok nauk w zakresie elementarnym.

Uczono stykać się z życiem i radzić w niem sobie. System ten — bogaty wydał też plon we wzmocnieniu sił i sprawności młodzieży. Równocześnie z uwagą owróconą na średnie wychowanie, szło zakładanie szkółek elementarnych.

Jeszcze w 1795 r. — w Warszawie, wyszedł z druku elementarz—ułożony zbiorowo przez członków egzystującego wówczas Towarzystwa do ksiąg Elementarnych, w którym zalecono prowadzenie, nauki czytania i pisania równocześnie. — Stosowano też tę metodę u nas z korzyścią w przeciągu lat kilkunastu. Nadciągnęła burza, zawierucha dziejowa zmiotła ślady tych zapoczątkowań tak,—że zupełnie uległy zapomnieniu.

...I w lat 60 później, właśnie u nas, z powoływaniem się na „przodujących w nauce niemców“ zaczęto (przez nas samych zaniedbaną i zatraconą metodę) szerzyć na nowo,—jako „owoc przyniesiony z Niemiec“.—Skutek to jest braku zainteresowania się naszego kwestją pedagogji. Słusznie też pisze Chmielowski: „gdyby istniała wówczas historja pedagogiki, lub historja szkół polskich, nie popadnięto by w błąd tak grzeszny, a przynajmniej nie mianoby wymówki, że o tem nikt nie pisał“.

Wprawdzie nie wydaliśmy na polu wiedzy Komenjusza lub Pestalozzi'ego, lecz głębsza naszej przeszłości znajomość prześwietliła by ją znacznie. Pozbylibyśmy się wówczas szkodliwego w wielu razach pesymizmu, a młodsze pokolenie nabyło by również przeświadczenia, że nie tylko: „od ich narodzin rozpoczął się świat“...

Więcej już ogółowi znaną i we wdzięczniejszej pamięci przechowywaną jest u nas postać Tadeusza Czackiego i jego wiekopomne na polu oświaty narodowej położone zasługi. Bo też to postać niezwykła, działalność olbrzymia, zwykłą miarę o wiele przenosząca...

„Gdy zważymy—pisze Kraszewski—że okres cały działania Czackiego dla szkół wołyńskich w 10 leciech (od 1803 — 1813 r.) się zamyka, gdy porównamy co uczynił, z czasem jaki mu był dany, z krajem w którym pracował, z przeszkodami z jakiemi walczył, a potem spojrzym na owoce pracy, zdumieć się potrzeba i głowę skłonić przed wielkim mężem“.

W 1803-im r. Adam ks. Czartoryski wymógł

na Cesarzu Aleksandrze I-ym przyznanie autonomji szkolnej—ludności Litwy i Białej Rusi, urzędowe uznanie języka polskiego jako wykładowego dla tej części kraju. To dało popęd do nowej organizacji szkół, których kuratorem został ks. Adam Czartoryski—wzywając na wizytatora szkół w gubernjach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej Tadeusza Czackiego.

Czacki zastaje do objęcia wizytatorstwa tylko dwie elementarne szkółki na Wołyniu,—w przeciągu dziesięciu lat swego urzędowania — liczbę ich podnosi do stu. Jednocześnie myśl jego skierowaną jest ku podniesieniu zakładów średnich w powierzonych pieczy Jego ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Umie wybrać doradców godnych sprawy.

Napróżno usiłuje się dziś przekonać, że szedł ślepo za wskazówkami Hugona Kołłątaja, Czacki zwracał się istotnie do wielkiego męża o rady, o wskazówki; Kołłątaj ułożył mu nawet ustawę gimnazjum (później Liceum) krzemienieckiego, lecz Czacki nie był ślepym wykonawcą pomysłów cudzych, miał własne zdanie i własne poglądy, a to że się zwracał również do Staszica, Ignacego Potockiego, Jana Śniadeckiego—jest tylko dowodem, że im dorównywał rozumem i wiedzą.

W 1805 roku staje sławne gimnazjum krzemienieckie, dopiero w 1819-ym — więc w 5 lat po zgonie założyciela — w Liceum przekształcone, a 1832 r. po 27-miu latach istnienia—zamknięte...

Kosztem zabiegów Czackiego—powstały również gimnazja w Kijowie i Winnicy. Ofiarność na cele oświatowe — uważał Czacki za jeden z najpierwszych obowiązków obywatelskich — w kraju w tak wyjątkowych pozostającym warunkach i do ofiarności tej kołatał nie napróżno. Gimnazjum krzemienieckie powstało z 8700 rs. zapomogi rządowej, a 200,000 rs. zebranych składek w kraju. Z bibljoteki po królu St. Auguście—nabył Czacki 16,000 dzieł—za 7500 dukatów, zostawił zaś bibljotekę — blisko 50,000 tomów liczącą. Urządził gabinet fizyczny, zoologiczny, mineralogiczny, zakupił wielką ilość medali od Albertrandy'ego—i zostawił ich 20,000 sztuk, założył piękny ogród botaniczny (12,000—odmian rzadkich roślin), a także obserwatorjum astronomiczne, w 1811-ym roku powstała własna drukarnia przy gimnazjum krzemienieckim—a przedtem szkoła gieometrów i mechaników. Nosił się też Czacki z potężnemi pomysłami założenia: szkoły anatomji, fizjologji, chirurgji i seminarjum dla wychowawczyń.

Zamierzał spisać florę polską od morza do morza, od Dniepru do Odry.

W działalności swej oświatowej—do polityki się nie mieszający wcale, nie uniknął jednakże Czacki prześladowań. Internowany w Charkowie 1807 r., pod strażą dostawiony do Petersburga, — zwrócił się listownie do Cesarza Aleksandra, przypominając Mu: że sława, wolność i majątki obywateli—zostają przecież pod opieką władzy Najwyższej". Odniosło to pożądany skutek, uwolniony został d. 20 lipca 1807-go r.

Wrócił Czacki do umiłowanej pracy, zabiegał wciąż o udoskonalenie, rozwój szkoły krzemienieckiej, która też promieniuje na całą okolicę, lud nawet korzysta wiele pod względem rozpowszechniania wiadomości z zakresu: budownictwa, mechaniki rolniczej i rzemiosł.

Szerzy się demokratyzacja, dążenie do równouprawnienia płci wyprzedza swój czas, bowiem w Krzemieńcu słuchały wykładów i kobiety.

„Podwoje szkoły krzemienieckiej, (pisze Limanowski — w dziele swem p. t. Stanisław Worcell) stały otworem dla wszystkich co pragnęli się kształcić bez względu na pochodzenie i środki materjalne. Na kurs historji powszechnej Uldyńskiego, na literaturę polską ks. Osińskiego, Felińskiego i Korzeniowskiego, na wykłady fizyki Karola Jenca, uczęszczała licznie publiczność obojga płci, a wszyscy, którzy mieli szczęście do tej szkoły należeć, w dalszych wypadkach życia znajdowali się zawsze—gdzie ich święta powinność zawołała".

Jak z uniwersytetu wileńskiego, tak i ze szkoły krzemienieckiej—wychodził cały zastęp mężów dzielnych niepowszednich.

Krzemieńczaninami byli: Maurycy Gosławski, Tymon Zaborowski, Tomasz Olizarowski, Stefan Witwicki, Karol Sienkiewicz autor Warszawianki, Malczewski, Słowacki, Tomasz Padułła, Zorjan Chodakowski zbieracz pieśni ludowych, Bernatowicz autor Pojaty, Józef Korzeniowski, Karol Kaczkowski pisarz i słynny lekarz, Wróblewski (Koronowicz) historyk, Michał Wiszniewski, Szczeniowski, rzeźbiarz Sosnowski, wielu profesorów uniwersytetów: Wileńskiego, Kazańskiego, Charkowskiego, Krakowskiego, Kijowskiego, wielu malarzy, wielu dzielnych obywateli kraju... Krzemieńczaninem też był i Stanisław Worcell i Józef Wysocki — wódz polskich legjonów na Węgrzech, i Konstanty Malczewski adjutant Boliwara, jednego z bohaterów w walce o wolność w Ameryce południowej...

A umierając w 1813 r. wyrzekł Czacki: „Zostawiam szkołę opiece pokoleń—ja umrę; ale szkoła żyć powinna"...

. . . .

Płyną lata—a z niemi zmiany, przełomy, zastoje w pochodzie cywilizacyjnym i nowe wzloty ku wyżynom niebosiężnym...

Nie stało Komisji Edukacyjnej w kraju, zniknęła z widowni Izba Edukacyjna z czasów Księstwa Warszawskiego, Liceum Krzemienieckie uległo rozproszeniu; śćmiły się blaski, nastały mroki, lecz życie w swym cudownym mechanizmie nie ustawało w pracy twórczej.

Dziś ideja przekształcenia wychowania, zreformowania nauczania szkolnego — wchodzi na nowe drogi. Ma się przedewszystkiem na względzie indywidualność dziecka i praktyczniejsze niż dotąd wychowanie młodzieży do życia w jakie ma ona wstąpić. Nie obcą jest ta myśl wcale pedagogji naszej rodzimej. Już Trentowski w połowie ubiegłego stulecia wypowiada walkę wszelkiemu wstecznictwu i woła w swej *Chowannie*: „nowe myśli, nowe uczucia i nowe czyny, a zupełnie nowi z nas ludzie!" W tymże prawie czasie (rok 1896-y) w Poitiers, emigrant polak Aleksander-Napoleon Dyakowski wydaje broszurę i w niej kreśli zupełnie spółczesne dzisiejszym—ideje „o nowej szkole", o zarzuceniu przestarzałych metod, o przeniesieniu szkoły na wieś, o kształceniu *całego człowieka* do czekających nań w życiu zadań i t. p.

Są to myśli całkiem nowoczesne, w których wprawdzie miesza się nieraz paradoks z myślą przedziwnie jasną; ale w których przebija też ideja wiek swój wyprzedzająca — ideja dni dzisiejszych...

W myśl tych idei powstają tak zwane „szkoły nowego typu" w Ameryce—na Zachodzie Europy i u nas...

Dziś też po latach apatji, ogólnego upadku energji—objawów zdenerwowania przeradzających się w ogólną prawie nagminną chorobę neuraste-

nji, przy kompletnym zaniku pędu ku życiu—następuje zwrot na całej linji skierowany ku zwalczaniu wyników spowodowanych przesubtelizowaniem, przeczuleniem, zbytniem przeciążeniem umysłowem, co się tak ujemnie odbiło na fizycznej sprawności młodzieży i niezdolności starszych do walki życiowej...

I zwrot ów nie jest przejściowym, objawił się on w czynie twórczym, owocem zaś jego jest cały szereg owych wyżej wspomnianych „szkół nowego typu“ mających odrodzić ludzkość przez wychowanie człowieka do życia.

Szkoła się przekształca, demokratyzuje, doskonali. — W nowe jutro zapatrzeni idą młodzi z pod sztandaru postępowców, z pod strzechy wiejskiej Zaraniarzy i Staszycowców. W przeobrażenie kraju pod wpływem nowych haseł demokratycznych, w jego rdzenną przebudowę—wierzą ci maturzyści ze szkoły handlowej z Kielc, którzy w 1909 r. zbudowali sobie długotrwały pomnik, wydając pamiątkową księgę swych prac i przemyślań p. t. *„Dla siebie i dla szkoły“*.

Mamy już wiele objawów żywotności nowych uczelni w Polsce t. j. w Królestwie, i w Galicji. Jedne tylko Poznańskie nic prawie nie daje narodowi z duchowego dorobku swego. Jest to najtrzeźwiejsza może, najbardziej pod względem życiowym wyszkolona dzielnica z ziem dawnej Rzeczpospolitej polskiej, chociaż obecnie i w niej budzić się poczynają chęci i objawy bardziej dla sprawy ogólno narodowej pożądane, a tymczasem jedynie „lotne ptaki poezji, literatury i sztuki przefruwają po nad tą przepaścią graniczną“... nad tą naszą ojczyzną wspólną „bez miedz i granic“...

Po drodze pracy organicznej łącznej jednak z idejową idzie się wciąż przebojem, lecz siły w każdem mocowaniu wzmagają się, rosną, potężnieją.

Idąc za przykładem usiłowań stworzenia szkół „Nowego typu“na zachodzie Europy i w Ameryce, od lat kilku czynią się i u nas liczne próby w tym kierunku.

Nie tu jest miejsce do ich wyliczania, wymagają te szkoły osobnego omówienia, gdyż są coraz liczniejsze, powstają przeważnie na wsi—lecz i po miastach również, przedstawiają bądź typ szkół realnych jak Rygiera w Grodzisku pod Warszawą, bądź koedukacyjnych—jak szkoła Marji Ramułttowej w Krakowie, zakładają się też szkoły średnie dla dziewcząt na wsi z internatami, których w samem Królestwie jest już kilka.

Na nowych też podstawach pedagogicznych powstała w Warszawie wzorowa, bezpłatna szkoła koedukacyjna dla dzieci pracowników tramwajowych. Jest to szkoła Przemysłowo-Rzemieślnicza, której ustawa głosi — iż „Osnową projektu oświatowego Dyrekcji był zamiar zaopiekowania się trzyletniem dzieckiem pracownika tramwajowego, aby zwrócić je rodzicom i społeczeństwu—w wieku lat 16-u, zasobne w trwałe zasady religijne, moralne, obywatelskie z wykształconem poczuciem godności osobistej, uodpornione na wady przeciwspołeczne i przygotowane do pracy samodzielnej, uposażone w wiedzę fachową z dziedziny rękodzielnictwa i rzemiosł. Są to cele, jak widać z powyższego, obszerne, zamierzenia o wielkiej doniosłości społecznej, do których droga prowadzi z ochrony przez szkołę początkową, warsztaty rzemieślnicze-szkolne, do warsztatów życia“.

Do życia samodzielnego—idejowo podniosłego pragnie również przygotować młodzież świeżo powstały *projekt założenia ośmioklasowej szkoły realnej w Galicji* w duchu postępowym. Powiew idei z przed lat stu owych twórców i założycieli sławnej krzemienieckiej szkoły—dochodzi do nas z tych przesłanek myśli prawdziwie obywatelskich — jakie ożywiało galicyjskie Stowarzyszenie Nauczycieli szkół wyższych—układających plan naukowy projektowanej szkoły realnej. Ów plan szkoły zreformowanej—dąży do tego by wychować i w świat wypuścić ludzi: „teraźniejszości i przyszłości, ludzi praktycznej działalności i czynu, gorących i rozumnych obywateli narodu, którzyby znali i odczuwali jego potrzeby i umieli znaleść i otworzyć mu drogi wiodące do ich zaspokojenia“.

Ułożenie planu owej zreformowanej Szkoły Realnej w Galicji, zajęło trzy lata czasu. Powołano do tej pracy stu kilkudziesięciu najwybitniejszych pedagogów w kraju, długoletnich, wykwalifikowanych nauczycieli, a także profesorów uniwersytetu.

Rezultat prac owych—został ogłoszony i przyjęty przez całe galicyjskie społeczeństwo, na dwuch walnych zgromadzeniach Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych i następnie, w 1913 r. przedłożone zostało C. K. Radzie szkolnej Krajowej.

Projektem, podstawowego zreformowania Szkoły Realnej w Galicji, zainteresowała się również Sejmowa Komisja Szkolna — i wypracowała odnośny wniosek—tyczący się zmiany ustawy sejmowej co do szkół realnych, by w ten sposób ułatwić i zapewnić tak doniosłej reformie — jej wejście w życie.

Projekt uzyskał w Galicji sankcję najwyższą, i nic już nie stoi na przeszkodzie, by rozumne i obywatelskie plany Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych—stały się rzeczywistością.

Wszyscy zgadzają się dziś bowiem z orzeczeniem wielkiego męża, iż: *„Szkoła żyć powinna“*.

Przez nią i tylko przez nią—odrodzi się naród, a w następstwie tego stanie się zdolnym — przez myśl — do czynu.

Kazimiera Ostachiewiczowa.

ᐅooooooooooᐊ

Emigracja polityczna w Galicji.

Emigracja lat 1905 — 1906 nie ma szczęścia do prasy. Pisze się o niej zwykle z przekąsem i lekceważeniem. a często z nietajoną nienawiścią, jeśli krytyka wychodzi z obozu jej bezwzględnych przeciwników politycznych. Aby tem bardziej uwydatnić nicość i bezpłodność dzisiejszego pokolenia emigrantów, które po walkach i burzach lat minionych poszło szukać dla siebie schronienia za granicą we właściwem tego słowa znaczeniu, lub choćby tylko za kordonem granicznym, zwykle stosuje się metodę porównawczą i sławi się emigrację lat trzydziestych. Tam—wysoki duch patryjotyczny i bogactwo nowych myśli; tu — zaciekły duch partyjny i przeżuwanie starych formułek; tam—bujny rozkwit naszej literatury; tu—niemoc twórcza. I tak w dalszym ciągu snuje się paralelę.

Paralela ta ma za sobą jednak tylko pozory słuszności; chybia i przy ocenie starej emigracji, i dzisiejszego pokolenia. Przy zachowaniu bowiem jaknajwiększego pijetyzmu dla prac i myśli wielkiej emigracji, które przez długie lata były ożyw-

czym chlebem dla wyjałowionej naszej gleby, pozbawionej sił twórczych, niewolno nam zamykać oczu na prawdę i łudzić się mirażem przeszłości. Wielka emigracja daleką była od ideału. Wiele wysiłków ludzkich szło w niej na marne, wiele energji nie znajdowało dla siebie ujścia. Wielkie myśli i wzloty ducha bardzo szybko zamieniały się na drobną monetę intryg i kłótni, a ambicje osobiste rychło królować zaczęły w tej atmosferze „zapóźnych żalów, potępieńczych swarów". I z paryskiego bruku poczęły szybko uciekać wrażliwsze jednostki, dość już mające plotek i kalumnji, małostkowości słów i czynów, wielkości, szybko na pjedestał wznoszonych i jeszcze szybciej zeń zrzucanych, wreszcie dozoru ajentów Ludwika-Filipa, tego „największego episjera na tronie". Niema się co łudzić: w atmosferze wielkiej emigracji zanikały charaktery, rozwijały się niskie żądze polityczne.

Nie była więc dawna emigracja tak białą, jak się dziś na nią patrzy, w perspektywie lat osiemdziesięciu, okiem nie historyka i badacza, lecz przywiązanego do swej przeszłości człowieka, pragnącego uwielbiać wszystko, co związane z okresem najbujniejszego rozkwitu naszej poezji. Tak samo i dzisiejszej emigracji nie trzeba malować zbyt czarnemi farbami, opierając się na powierzchownych spostrzeżeniach.

Do ujemnej oceny emigracji przyczynia się nietylko prasa wszystkich trzech dzielnic, która niegdyś, osłoniona przywilejem cenzury, lżyła aktorów rewolucji, a dziś lży jej epigonów, lecz i przeciętna opinja galicyjska, bardzo powoli wyzbywająca się uprzedzeń względem nienawistnych „królewiaków". Różne są przyczyny tych uprzedzeń: często wchodzi tu w grę świadoma obawa przed konkurencją zdolniejszych zazwyczaj sąsiadów, którzy zajmują wybitne placówki, prócz tych, które prawo austrjackie zabezpiecza przed inwazją „obcokrajowców"; czasem obawa przed nowemi prądami, jakie rozsadzić mogą stanową budowę społeczeństwa galicyjskiego i przestarzały ustrój biurokratyczny tej dzielnicy; czasem znów naiwne przekonanie, że niema wielkiej różnicy między emigrantem z za kordonu, a bandytą, który, wypłoszony z okolic Częstochowy i Sosnowca, przybywa niekiedy na gościnne występy gdzieś do Białej lub Oświęcima, albo nawet probuje szczęścia na Rynku krakowskim.

Od właściwej emigracji, zmuszonej do opuszczenia kraju z pobudek politycznych, nie lepszemi cieszy się względami ze strony rdzennego społeczeństwa galicyjskiego młodzież z Królestwa i Litwy, przybyła na studja do Krakowa i Lwowa. Młodzież ta w przeciwstawieniu do miejscowej bardzo często goniącej za karjerą urzędniczą i przywykłej widzieć w osobie księdza rozdawcę posad i innych doczesnych dobrodziejstw, nieraz otwarcie i skutecznie występuje przeciw panoszącemu się klerykalizmowi (sprawy Wahrmunda, Zimmermanna), propagując zasadę wolnej wiedzy. Stąd płynie nietajona względem niej niechęć ze strony galicyjskiego kołtuństwa.

Lecz, czy niezależnie od tych niechęci i uprzedzeń, emigracja sama nie zasługuje na ostrą krytykę swej działalności, na ujemną ocenę swej roli w społeczeństwie? Aby odpowiedzieć na to pytanie, przedewszystkiem ustrzec się musimy błędu uogólniania i podciągania emigracji pod jedną kategorję. Nie chodzi mi tu w tej chwili o różnicę programów politycznych, o przynależność do różnych obozów, których liczba zresztą od 1906 roku znacznie się zwiększyła; chodzi raczej o ustalenie pewnych typów emigranckich i o wykazanie, choćby tylko pobieżne, bo nie czas dziś jeszcze na obszerne studja o emigracji, jakie drogi otwierają się przed emigrantem, rzuconym na bruk galicyjski po przekroczeniu kordonu, i co go czeka. A materjału doświadczalnego nie brak w Galicji: tu się koncentruje największa liczba emigrantów, potem dopiero idą Paryż i inne zachodnie ogniska życia politycznego emigracji.

Przedewszystkiem wyłączyć należy emigrantów, przestających być emigrantami. Nie mam bynajmniej na myśli tych, którzy wracają do swych siedzib — ci mają zawsze szanse zostania znowu emigrantami-recydywistami — chodzi mi raczej o tych, którzy, czy to otrzymawszy dobre posady w zawodzie technicznym, w biurach i t. d., czy to, wybiwszy się na polu naukowem i habilitując się na uniwersytetach, przystosowują się do miejscowych warunków i zatracają wszelką łączność ze światem emigrantów. Nic ich te sprawy nie obchodzą: mówią o nich z uśmiechem politowania. Czasem i im miło będzie wspomnieć w starości, że nie zawsze byli zjadaczami chleba.

Spotykamy i inny rodzaj przystosowania się do miejscowych warunków, w postaci oddania się na gruncie galicyjskim temu samemu rodzajowi pracy społecznej, jakiemu się służyło poprzednio. Takie przekształcenie się na społecznika-galicjanina jest faktem, dziś rzadko spotykanym, gdyż uprzedzenia istnieją nietylko z tamtej, lecz i z tej strony. Emigrant patrzy zgóry na pracę galicjan, na ich drobne sprawy, na ich próby wytworzenia przemysłu, którego prawie że niema; wreszcie na „legalność" warunków ich pracy. Gdy jednak kto odda się tej pracy, znajduje zadowolenie wewnętrzne i często nie tęskni do tamtych prac zarzuconych. Z inteligiencją dzieje się to bardzo rzadko; częściej z robotnikami, którzy do galicyjskich związków zawodowych wnoszą uprzednio nabyte doświadczenie i energję i których ta praca pochłania całkowicie i na długie lata.

Lecz nie każdy przystosować się umie i może. I oto obok tych objawów energji, która wszędzie, gdzie się da, szuka dla siebie ujścia, widzimy inne objawy, tragiczne, a ciekawe. Mało kto umie wyczytać tę tragiedję emigranckiej duszy, często starannie ukrywaną i dopiero odgłos kuli, przecinającej bieg życia człowieka, który nie chciał ani na chwilę przeżyć swych ideałów, uświadamia liczne grono znajomych, jak czuł i jak cierpiał ten czy ów człowiek, spotykany codziennie i zwykle zachowujący pozory pogody i spokoju w rozgwarze wielkiej kawiarni, tego przytułku wszystkich bez wyjątku emigranckich typów. Samobójstwa emigrantów—to zjawisko chroniczne, często związane z pewną porą roku, np. z wiosną, kiedy rozpoczyna się istna epidemja. Odchodzą wtedy jeden po drugim ludzie, którzy oddawali wszystko ukochanej sprawie i nie mogli pogodzić się z myślą, że to, co najlepsze i najpiękniejsze w ich życiu, już znajduje się po za nimi, w odległej przeszłości, nie chcieli patrzeć na obniżenie ideału. Temu powszechnemu pędowi do śmierci, który przerażał masowością ofiar (w niektórych latach, jak w r. 1909, w ciągu 3 miesięcy notowano dwadzieścia kilka samobójstw, przeważnie z pośród emigracji), ulegali w mniejszym stopniu teoretycy, ludzie, których uczucie zawsze było podporządkowane rozsądkowi i przezeń na wodzy trzymane. Ludzie, w których przeważała strona uczuciowa, wiążąca ich silniej z ruchem, niż wszelkie kon-

cepcje myślowe, kończyli ze sobą, jeśli nie wszyscy, to przeważnie najlepsi i ideałom swym najbardziej oddani. Nie o wszystkich to samo da się powiedzieć. Byli i tacy śród samobójców-emigrantów, którym niepowodzenia życiowe, to materjalnej natury, to erotycznej, osłabiały wolę, wywoływały chroniczny stan przeczulenia i czyniły życie nieznośnem. I tym wszakże przyznać trzeba, że nie przybierali pozy, nie wzorowali się na młodzieńcach z początku XIX wieku i prostą była ich śmierć, jak prostem ich życie.

Innymi byli ludzie o sharmonizowanych władzach duchowych, ludzie, pełni energji twórczej. Przezwyciężyli oni stan upadku ducha, który począł ogarniać wszystkich, gdy dookoła walił się w gruzy gmach urojeń, gdy klęska stała się powszechną. Próbowali poddać krytyce przebieg ostatnich wypadków, a z ich niepowodzeń chcieli się uczyć, jak na przyszłość rozczarowań uniknąć. Usuwano to, co mieściło w sobie zarodek zguby, co groziło najgorszem ze wszystkich przystosowań, przystosowaniem do okropnych warunków politycznych; budowano na gruzach nową ideologję. Powstają nowe warsztaty pracy, nowa orjentacja, przeciwstawiająca się dawnej. W związku z tem spostrzegać się daje nowy ruch umysłowy i ożywiona działalność wydawnicza, skoncentrowana dookoła emigracji. Spółka wydawnicza „Książka“, której działalność cenią nawet przeciwnicy polityczni, wydaje wiele cennych dzieł. Powstają nowe organy prasy. Rozwija się samokrytyka, nawet w stosunku do najnowszych politycznych orjentacji. Z roku na rok emigracja zyskuje coraz więcej znaczenia: milknie niechęć, milkną uprzedzenia. Przyszły historyk naszych dziejów będzie musiał uznać jej zasługi.

I znów nasuwa się porównanie z dawną emigracją paryską. Tamta, przy wszystkich swoich zaletach, miała jedną słabą stronę. Brak jej było kontaktu z Polską. Cóż z tego, że mieniło się tam wszystkiemi kolorami tęczy życie polityczne, że błyszczały nazwiska trzech wieszczów i Norwida, skoro w kraju, oddanym na łup rządów wojskowych, było zimno i pusto? To samo zagraża dzisiejszej emigracji, jeśli nie będzie się o to starała, aby każda nowa myśl, każdy pomysł zwiększał dorobek duchowy dzielnic kraju, postawionych w gorszych warunkach politycznych. Jeśli w dzielnicach naszych nie będzie poczucia wspólnej pracy, jeśli każda z nich iść będzie swoją drogą, jeśli między niemi panować będzie rozdźwięk i niezrozumienie się wzajemne, to w przyszłości bogatych plonów oczekiwać trudno. A będzie to w znacznej mierze winą emigracji. Powinna ona kłaść rękę na pulsie Królestwa i Litwy, odczuwać potrzeby tych dzielnic i koordynować się z niemi. To jest niezbędny warunek owocnej pracy na przyszłość.

J. Krzesławski.

ᐅooooooooᐊ

Godna kompanja.

Ruch t. zw. niepodległościowy, który w ostatnich czasach w Galicji zwłaszcza przybrał tak imponujące rozmiary, znalazł, jak było do przewidzenia, zaciętych przeciwników przedewszystkiem w łonie społeczeństwa polskiego. Targowica jest nieśmiertelna...

Śród przeciwników są wprawdzie ludzie, którzy zapatrując się na ruch ten, jako na robotę żywiołów gorących i zapalnych i zwalczając ją z głębokiego przekonania, jako niebezpieczną mrzonkę, potrafili jednak utrzymać się na stanowisku bezstronnem i nie przekroczyli granic, które nakazuje szacunek dla ideałów przyświecających sprawie.

O wiele liczniejszy wszakże jest obóz, reprezentowany głównie przez endecję z pod znaku p. Dmowskiego, zwalczający ruch galicyjski za pomocą nieprzebierania w środkach. Wydawnictwa endeckie od pewnego czasu zdobią artykuły, pozbawione wszelkich podstaw uczciwości publicystycznej, złożone z najnikczemniejszych oszczerstw i najniedorzeczniejszych potwarzy. Autorzy ich spekulują na niemożliwości omawiania pewnych kwestji szczerze i jawnie i na bezbronności napastowanych działaczów galicyjskich wobec opinji głoszonych o nich po tej stronie kordonu.

Głośna afera szpiegowska pułkownika Redla dała możność przeciwnikom orjentacji austrjackiej wylania całych kubłów pomyj na głowy organizatorów ruchu.

Szczególniejszą gorliwość wykazali w tym wypadku p. Zygmunt Balicki na szpaltach „Przeglądu Narodowego“ oraz hr. Ignacy Korwin-Milewskij na łamach „Wilenskiego Wiestnika“.

Les beaux esprits se rencontrent.

P. Balickiemu dali należytą odprawę w „Naprzodzie“ J. Piłsudski i I. Daszyński. Pierwszy wykazał dobitnie złą wolę p. Balickiego, ujawnioną w jego artykule „Dezorjentacja austrjacka“, drugi wprost zarzucił mu kłamstwo, przecząc kategorycznie, aby polscy posłowie parlamentarni i zarazem członkowie Komisji Tymczasowej pozostawali w jakichkolwiek stosunkach z pułkownikiem Redlem.

Niemniej oszczerstwa miotane z dziwną namiętnością na organizatorów ruchu galicyjskiego osiągnęły swój skutek. Mniej uświadomiona część społeczeństwa polskiego, czytająca jedynie rozmaite dwugroszówki, uwierzyła w brednie endeckie i powtarza je z dobrą wiarą. Pozwala to hr. Ignacemu Korwin-Milewskiemu twierdzić nie bez pewnej słuszności, że cała prasa polska jednogłośnie odżegnywa się od „Komisji Tymczasowej“, którą charakteryzuje w sposób następujący:

„Doniedawna „Komisja Tymczasowa“ w sposób oszukańczy zbierała guldeny rzekomo dla organizacji nieistniejących drużyn bojowych przeciwko Rosji, niedawno zaś wzięła w Rosji ruble dla zaświadczenia w memorjale londyńskim, że tego rodzaju drużyny bojowe istnieją jakoby w Królestwie Polskiem. Wszakże w imieniu tej „Komisji Tymczasowej“ i z jej upoważnienia prowokatorzy polscy jeździli do Londynu ze swym memorjałem...

„Niema w niej ani jednego, nie już porządnego, lecz chociażby czystego człowieka. Wszystko to rycerze przemysłu, aferzyści ostatniego gatunku, hołota, oszuści, sprzedajna kanalja“...

I t. d., i t. d.

Nie wiemy, czy p. Balickiego ucieszy ten sukurs ze strony hr. Ignacego Korwin-Milewskiego. Być może, że się wzdrygnie przed tak mocną dawką. Jest to jednak konsekwencja naturalna staczania się po pochyłości. W końcu spada się na dno, w objęcia godnej kompanji.

Od łyczka do rzemyczka...

a.

ᐅooooooooᐊ

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Ona.

Gra źródło, niby szklana harmonika,
Po drodze srebrne zabierając echa:
Tam Ją czekałem w ciszy u ponika,
Gdzie noc gwiazdami z wody się uśmiecha.

Tam wyszła ku mnie z gęstwi kalin biała,
Z pod ciemnych koron olchowego liścia
I w bzach szepcących baśń wieczorną, drżała
Wstydliwie, jakby kryjąc wdzięk u wnijścia.

Tam lekką stopą wbiegła w szemry fali,
Igrając w strudze senną blasku chwilką
I znikła. Źródło popłynęło dalej...
To... była... pierwsza jaśń księżyca tylko.

Teatr wileński.

Obecne przesilenie teatralne (niewiadomo już które z rzędu), połączone ze skandalicznemi polemikami dyrektora i zbuntowanych artystów, może stanie się nareszcie punktem zwrotnym w traktowaniu gospodarki teatralnej przez tutejszą społeczność polską. Może w końcu zorjentuje się ona, iż teatr — to instytucja naprawdę kulturalna, którą siłami zbiorowemi zorganizować trzeba i zadanie to podjąć z całą powagą.

Brak tej właśnie powagi był główną cechą stosunku ogółu naszego do sceny wileńskiej. Wprawdzie mówiło się nieraz i pisało, że teatr ma znaczenie cywilizacyjne; ale były to tylko słowa, raczej powtarzane, niż odczuwane.

I nie dziw. Wilno polskie od teatru odwykło. Odwykło również od gromadnego myślenia o swych potrzebach kulturalnych, które zresztą dalej—z nielicznemi wyjątkami -- zostają pod wyłączną opieką obcej społeczeństwu biurokracji.

Patrzeć na teatr w sposób właściwy: dbać racjonalnie o jego rozwój mogłoby tylko społeczeństwo, nie tak jak nasze zdezorganizowane, a natomiast wdrożone do zaspakajania siłami własnemi całokształtu swych potrzeb kulturalnych, których teatr jest tylko jedną cząstką.

Fakt, że okoliczności pozwalają nam zajmować się ową właśnie jedną cząstką zaledwie — sprowadza cały splot dziwacznych następstw: raz np. wydawać się może, iż teatr jest osią życia społecznego — to znów lekceważonem cackiem. Bo raz uświadamiamy sobie, że jest to owa jedyna instytucja kulturalna, polska, w której —o tyle o ile — rządzić się możemy samodzielnie; kiedyindziej zaś (i to najczęściej) zapominamy o tym uroczystym tytule, dajemy folgę narzuconej nam dezorganizacji i chcemy, by teatr ten jakoś sobie tam istniał, przystosowując się do potrzeb aktualnych.

W innem mieście podobne traktowanie sprawy pociągnąćby mogło za sobą najwyżej zwulgaryzowanie sceny. W Krakowie, Poznaniu, Lwowie, a nawet w takiej Łodzi teatr, pozostawiony samemu sobie, jako przedsiębiorstwo handlowe, mógłby zawsze jeszcze istnieć kosztem wyrzeczenia się misji kulturalnej—t. j. gdyby zaniechał wystawiania sztuk, kształcących gusty, a poprzestawał jedynie na repertuarze, dogadzającym aktualnym wymaganiom tłumu.

W Wilnie inaczej. Tu w podobnym wypadku grozi nietylko obniżenie poziomu artystycznego, ale wręcz upadek sceny. Przez lat czterdzieści miasto nasze dziczało, wyzbywając się najrozmaitszych potrzeb kulturalnych, a między niemi i widowisk teatralnych. Te potrzeby należy dopiero odrodzić. W Wilnie cyrk tylko liczyć może na poparcie tłumu, dla którego teatr, nawet mocno zwulgaryzowany, nie posiada dość atrakcyjności.

Entuzjazm gromadny, który towarzyszył przybyciu do nas p. Młodziejowskiej, braliśmy błędnie za wyraz tłumnej i świadomej potrzeby teatru. W rzeczywistości był to tylko zapał, wywołany przywróceniem instytucji *zakazanej*. Odtąd z teatrem odbywa się absolutnie to samo, co np. z pątnictwem, Instytucja. już nie zabroniona, stopniowo traci na uroku. Jest to jedna z konsekwencji naszych karykaturalnych stosunków. Co pozwolone—to pewnie nie wiele warte i można się tem nie interesować.

Lecz w stosunku do teatru wchodzi w grę jeszcze okoliczność specjalna — mianowicie nieprzystosowanie spółczesnego repertuaru polskiego do cofniętych o lat czterdzieści gustów mas (w większości—jak się rzekło—nie odczuwających nawet potrzeby sceny). A podczas gdy z jednej strony ma się taki właśnie materjal na publiczność—z drugiej teatr liczyć się musi z garstką ludzi zamożnych, podróżujących, bywalców scen pierwszorzędnych, którym nawet ideał teatru prowincjonalnego dogodzić nie może. Powiem więcej: im już by żadna scena nie dogodziła. Przyzwyczajeni do przerzucania się z miasta do miasta i goszczenia to w tym, to w innym pierwszorzędnym teatrze, żądają wrażeń, jakie dać może scena, tylko połączona z nowością. Znawcom takim nawet „Komedja Francuska" rychło by się *opatrzyła*. Stawiają też oni wymagania, w ogromnej części niewykonalne, kapryśne, nie ustając w krytyce, która — choć laikom imponuje — absolutną zdradza ignorancję.

Publiczność, złożona z takich dwu elementów (t. j. ludzi obojętnych i przerafinowanych), czyni prowadzenie teatru wileńskiego niezmiernie trudnem. Koniecznością zatem jest ciągłe spółdziałanie przedstawicieli inteligientnego ogółu z kierownikami sceny.

Wprawdzie spółdziałanie to istnieje pod postacią akcji Tow. Pop. Sceny, ale pozbawione jest ono konsenkwentnego, głęboko w zadanie swe sięgającego, programu. Pozbawione stanowczości i siły.

Nie jest to zresztą winą rzeczonego Towarzystwa, ale jego słabości, za którą odpowiedzialność ponosi cały inteligientny ogół. Mała liczba członków, a co za tem idzie — skromność rozporządzalnych funduszów—nie pozwala na rozwinięcie szerokiej, racjonalnej działalności. Bardzo skromne subsydjum, jakie Tow. Pop. Sceny udzielać może dyrekcji, każe mu liczyć zbyt wiele na przedsiębiorczość każdorazowego antreprenera i brać w rachubę jego ryzyko. Towarzystwo zaś mogłoby zyskać pożądany aurorytet jedynie wówczas, gdyby wykluczało straty dzierżawy teatru i zape-

wniało mu pewne minimum wynagrodzenia za trudy.

Dopóki tego uczynić nie jest w stanie, godzić się musi przedewszystkiem na wielce niewybredne dobieranie dyrektorów i obojętne przyglądanie się, jak jednego po drugim Wilno rujnuje, psując coraz bardziej markę scenie naszej w sferach teatralnych.

Gdyby nie ten upadek powagi teatru wileńskiego, zajście ostatnie byłoby zgoła niemożliwe. Nikt nie chciałby tracić dobrej opinji w mieście, gdyby nie lekceważył sobie możliwości powrotu do niego. Tymczasem w środowisku aktorskiem wyrobiło się już przekonanie, że do Wilna warto przyjechać raz jeden, „złapać“, ile się da i umknąć, póki czas.

Otóż konieczną jest dziś rzeczą odrestaurować godność sceny wileńskiej. Trzeba, by cały inteligientny ogół polski zainteresował się ważnością tej instytucji, by cel jej zrozumiał i czynem poparł żądanie pewnej reformy jej programu i charakteru. Ogół ten nie może oglądać się za filantropem w rodzaju p. Młodziejowskiej, ani też za ryzykantami, szukającymi szczęścia w niepewnem przedsiębiorstwie. Byt teatru—teatru, jako placówki kulturalnej i pedagogicznej — opierać się musi na świadomej woli sfer przodowniczych społeczeństwa.

Z tego względu bardzo byłoby pożądanem uprzystępnienia członkowstwa w Tow. Pop. Sceny. Składka dwudziestorublowa zbyt jest wysoka dla bardzo wielu osób, które więcej mają w głowie, niż w kieszeni. Spotykane w Wilnie przekonanie, iż monopol na rozum posiadają przedewszystkiem ludzie zamożni, to przeżytek, pochodzący także z naszego wyjątkowego zacofania.

Wogóle pierwszym obowiązkiem Tow. Pop. Sceny jest popularyzowanie w tutejszem społeczeństwie samej idei teatru. Z zadaniem tem licować nie może urzędowe traktowanie sprawy, przystrajanie sie w togi augurów i poprzestawanie na żądaniu ofiar. Trzeba publiczność zbliżać do teatru, informować ją, zainteresowywać jego znaczeniem i warunkami bytu. Z drugiej strony — należy też i teatr ów do wymagań i warunków miejscowych przystosowywać, przychodzić mu z pomocą, radą, nieraz i wolę mu swoją narzucać. Byle tylko wola ta oparta była na kompetencji i rozwadze, a nie na intrygach zakulisowych, które tak bardzo zdążyły już zachwaścić wileńskie stosunki teatralne.

Wybór p. Wojciecha Baranowskiego na przyszłego kierownika sceny naszej zdaje się wskazywać, iż konieczność zmiany kierunku dotychczasowego należycie już jest odczuwana, choć może jeszcze rozumiana niezupełnie. W każdym razie jest to — inny człowiek.

Czy odpowie nadziejom, trudno dziś przewidywać. Bądź co bądź jednak nie wątpimy, iż zamanifestuje on pewne wyższe aspiracje, podniesie ambicje społeczne instytucji, no i otoczy się zapewne ludźmi, którzy jej kompromitować nie będą.

Wszelako nie należy zapominać, że dotąd jest to tylko zmiana osoby. Potrzeba zaś reformy, sięgającej głębiej—mianowicie zmiany całego stosunku polskiego Wilna do jego teatru.

rc.

Przed wyborami miejskiemi.

Zbliża się termin wyborów do wileńskiej Rady miejskiej. Ukonstytuował się już bezpartyjny komitet wyborczy, którego zadaniem jest ułożenie listy kandydatów i następnie jej przeforsowanie. Należy z uznaniem powitać fakt powołania do życia jednego bezpartyjnego komitetu, do którego weszli ludzie o najrozmaitszem zabarwieniu przekonaniowem. W obecnych bowiem warunkach w zastosowaniu do gospodarki miejskiej niema miejsca na różnice programowe. Najważniejszą rzeczą jest zorganizowanie Rady miejskiej z ludzi światłych i dbających o interesy ludności. Droga zaś, po której ma przyszła municypalność wileńska kroczyć, jest już wytknięta. Nie zbaczać z niej, lecz rozszerzać w miarę możności — oto hasło jedyne na dziś i na bliskie jutro.

Wilno jest miastem biednem a jednocześnie wysoce zaniedbanem. Braków i koniecznych reform wymienić można na poczekaniu — mnóstwo. O wiele większa sztuka wskazać środki na ich zaspokojenie. To też poprzestać wypada na najważniejszych, na które zresztą już została zwrócona uwaga obecnych gospodarzy miasta.

Kanalizacja, wodociągi i tramwaje elektryczne są pierwszą nieodzowną potrzebą spółczesnych wielkich miast, do których Wilno może być śmiało zaliczone ze względu na pokaźną ilość mieszkańców oraz rozległy teren.

Potrzebom tym niebawem ma się stać zadość. Przyszła municypalność ma przed sobą ułatwione zadanie, gdyż roboty zostały już rozpoczęte. Na tramwaje dotychczas jeszcze nie otrzymano pozwolenia władz. Przyśpieszenie tej sprawy i usunięcie potwornej „konki“, która dziś szarpie niemiłosiernie nerwy nie tylko biednym pasażerom, zmuszonym do korzystania z tego sposobu lokomocji, lecz nawet przechodniom, ogłuszanym przez ustawiczny klekot i szczęk—postawić sobie winni przyszli ojcowie miasta za punkt honoru.

Zbytecznem jest zaznaczać, że wszelkie przedsiębiorswa miejskie muszą być wykonywane systemem gospodarczym, jak to już zostało zapoczątkowane z kanalizacją i wodociągami. System koncesyjny wyrządził tyle już szkody Wilnu — dość wspomnieć tramwaje konne i gazownię — że o podobnych eksperymentach na przyszłość nie może być mowy. Jest to zresztą kwestja przesądzona, i udawadnianie wyższości systemu gospodarczego nad koncesyjnym było by wyłamywaniem drzwi otwartych.

Jeżeli nowa Rada miejska doprowadzi do końca zaczęte dzieło i nada naszemu miastu wygląd cywilizowany, to już tem samem tylko stanie na wysokości zadania i spełni obowiązek obywatelski. Obok tego jednak nie powina zaniedbywać działalności na innych polach, nie wymagających wielkich nakładów, gdzie energja i pracowitość mogą wiele zdziałać.

Pod tym względem zwrócić należy uwagę przedewszystkiem na stan sanitarny miasta, mocno zaniedbany. Istnieje wprawdzie miejska komisja sanitarna, lecz działalność jej jest o wiele bardziej owocną w dziedzinie teorji niż w praktyce. Badania statystyczne nie zastąpią energicznej egzekutywy. Ta zaś wysoce szwankuje.

Dość wspomnieć kwestję t. zw. mieszkań dla stróżów. W roku zeszłym w „Przeglądzie Wileńskim“ dr. J. Boguszewski przedstawił wymownie niemożliwe warunki, w których zmuszone są przebywać setki rodzin stróżów wileńskich. Praktycznego skutku wszakże stwierdzenie tej bolączki nie odniosło. Obowiązkiem jest komitetu wyborczego, na liście którego figurują nazwiska osób, znanych ze swych przekonań demokratycznych, punkt ten wcielić do swego programu.

Również w roku zeszłym „Przegląd Wileński“ zwrócił uwagę na opłakany stan miejskich przytułków noclegowych, urągających najelementarniejszym wymogom higjeny. Głos ten pozostał dotychczas bez echa. Może usłyszy go nowa municypalność...

Cokolwiek dałoby się zarzucić obecnej gospodarce miejskiej, stwierdzić należy, że braki i wady nie pochodzą z zasadniczej niechęci municypalności względem koniecznych reform, raczej częściowo z niemożności z tych lub owych względów zadośćuczynienia uznanym nawet potrzebom, częściowo zaś z pewnego indyferentyzmu, cechującego wogóle wszelką u nas robotę społeczną.

Przy nowych więc wyborach nacisk główny kłaść należy nie tyle na programy papierowe, co do których panuje mniej więcej jednomyślność, ile na dobór odpowiednich jednostek. dających gwarancję, że będą energicznie wcielać w życie wyznawane zasady. Potrzeba nam ludzi inteligientnych, będących w stanie oddać swój czas i pracę na usługi miasta, zapatrujących się na interesy miasta, jako całości, nie związanych w żadne katerje ani kliki.

Bezpartyjność komitetu gwarantuje poniekąd, że lista radnych będzie ułożona istotnie bezstronnie, że przy układaniu jej będą grały rolę jedynie względy na zalety osobiste kandydatów. Pozostaje tylko życzyć, aby komitet nie zawiódł pokładanych w nim nadziei.

Urbanus.

⊳oooooooooo⊲

PRASA POLSKA.

— Do nader rozpowszechnionych metod publicystycznych należy stawianie dowolnej przesłanki w formie kategorycznego twierdzenia, następnie zaś snucie logicznych wniosków, które oczywiście wypadają wszystkie po myśli piszącego. W ten sposób z wielką łatwością wznosi się wspaniały gmach, imponujący rozmiarami i bogactwem architektury, który jednak ma tę dotkliwą wadę, że fundamenty jego są nic nie warte. Niby domek z kart: dmuchnąć tylko i cała kunsztowna budowa rozsypuje się w gruzy.

P. W. B-ski z „Kurjera Litewskiego“ ze szczególniejszem upodobaniem uprawia tego rodzaju sport. W artykule „Legenda polityczna“ gromi lekkomyślne społeczeństwo polskie, że wierzy jakoby pewne grupy ujawniały politykę „ugodową“, bowiem jak twierdzi, żadnych ugodowców dziś już niema i samo pojęcie ugody jest fikcją, usilnie podtrzymywaną przez tych, co „na wyklinaniu jej dzień i noc robią karjerę“.

...„Niemasz stronnictwa, niemasz grupy ludzi dorzecznych w Polsce, którzyby dziś myśleli o „ugodzie“, o ugodzie w tym sensie, jak pojmuje ją tłum zwykle, lub jego mentorzy. Dwa w równej dzisiaj mierze nieraz o ugodę oskarżane polityczne zespoły, w równej mierze od chęci handlowania godnością narodową są dalekie... czy to w Dumie rosyjskiej, czy to w berlińskim parlamencie, czy wreszcie na jakimkolwiek dworze. Polityki słania się pod cudze nogi nie uprawia nikt i obecnie, jak nie uprawiał zresztą programowo nikt nigdy. W tym kierunku mogły wydarzać się najwyżej jakieś nieszczęśliwe, nieobmyślone próby jednostek, jakieś nieobrachowane ich zapędy... Ale odpowiedzialność za „ugodę“ nie obciąża żadnego z programów polskich w rozwadze poczętych. Nawet tego, nawet tembardziej tego, który rozwagi chłodnej przedewszystkiem jest płodem. Nie chce ów program z nikim bezcelowej wojny i nie chce wyrzucania sił narodowych na walki bezpłodne, bowiem siły te pragnie zachować dla twórczości i dla wewnętrznej mocy. Ale tenże sam program — jak pisze „Czas“ a propos nowych lęków o powrót tendencji ugodowych w Poznańskiem — rozumie, „iż w naszych warunkach nie może być mowy o ugodzie, lecz tylko o poddaniu się bezwarunkowem— chcąc więc być, bronić musimy w dalszym ciągu zagrożonych praw naszych najświętszych i najżywotniejszych interesów i w obronie tej skupić wszystkie nasze siły, nie oddając się ani na chwilę złudzeniom, po których następuje zwykle smutne i co gorsza, szkodliwe rozczarowania...“ Oto co myślą ci, którym, najczęściej zła wola i zaciekłość chęć „ugody“ jakiejś przypisywać ma zwyczaj. Ugoda w sfer zachowawczych i realistycznych pojęciu to dziś nic więcej jak iluzja dziecinna, bowiem któż z nami chce „ugodę“ ową zawierać. Gdy tak zaś jest, kiedy czarno na białem dowieść można, iż w Polsce wierzących w skuteczność wyrzeczeń jakichś jednostronnych dziś niema — czas by pochować było złą legendę o rwących się niby to wciąż do „ugody“ i tem echem bez treści dawnych poswarów lub jakichś prób nieudanych zakończyć“...

Że termin „ugoda“ nie odpowiada ściśle tej koncepcji politycznej, do której stosować go przyjęto — na to się chętnie zgodzić można. Wyraz „ugoda“ bowiem oznacza wynik lub dążenie do porozumienia na podstawie zabopólnych ustępstw. W tem znaczeniu oczywiście „ugoda“ w społeczeństwie polskiem nie ma zastosowania. Dlatego też pragnąć by należało dla uniknięcia nieporozumień, aby termin „ugoda“ został wyrugowany z użycia i zastąpiony przez inny, bliżej określający treść istotną dążeń i tendencji tych kierunków politycznych, które się przeciwstawiają „różnym irredentystom polskim“.

Lecz nie o subtelności lingwistyczne wszakże chodzi. Nazwę można skorygować, lecz treści to nie zmieni. A treścią tą jest r e z y g n a c j a. P. W. B-ski kategorycznie utrzymuje, że niema dziś grup polskich, w których działalności dominował by pierwiastek rezygnacji i przystosowanie się do narzuconych warunków bytu. Niestety, rzeczywistość przeczy temu zbyt jaskrawo. Przykładów nie będziemy przytaczali, zbyt dobrze się wraziły one w pamięć ogółu... A nie trudno by również zacytować szereg ustępów z wynurzeń naszych polityków „urzędowych“, które cechują poddanie się losowi oraz brak wiary we własne siły...

Cała więc filipika p. W. B-skiego jest walką z wiatrakami. Szyld można zmienić, lecz towar przez to nie będzie w lepszym gatunku.

⊳oooooooooo⊲

Wbrew konstytucji.

W Austrji wydarzył się akt polityczny pierwszorzędnej wagi. Jest nim zawieszenie autonomji Czech.

Fakt ten nastąpił na podstawie patentu cesarskiego, w którym zaznaczono dobitnie, że rozporządzenie to nie znajduje swego źródła i uzasadnienia w ustawach zasadniczych i konstytucji Królestwa Czeskiego. Wymieniono bowiem w tym historycznym patencie jako źródło wydanego prawa „obowiązki panującego“, a tem samem przyznano, że patent ten jest rozporządzeniem zupełnie wyjątkowem, nie opartem na żadnej konkretnej ustawie.

Statuty sejmowe przewidują rozwiązanie sejmu przed upływem jego kadencji, na ten wypadek jednak postanawiają zarazem, że wydział krajowy pozostaje dalej w urzędowaniu i to tak długo, do-

póki nowy sejm nie wybierze nowego wydziału krajowego.

To postanowienie zawiera także statut Królestwa Czeskiego. W ten sposób nawet na wypadek rozwiązania sejmu zapewnioną jest trwała i nieprzerwana czynność autonomicznych władz krajowych.

Wbrew wyraźnemu postanowieniu statutu krajowego, po rozwiązaniu sejmu, nie rozpisano natychmiast nowego wyboru, a w miejsce wydziału krajowego, jedynie uprawnionego do sprawowania rządów autonomicznych aż do ukonstytuowania nowego sejmu, powołano nieprzewidzianą w żadnej ustawie urzędniczą komisję cesarską. Tej komisji a nie legalnemu wydziałowi krajowemu nadano prawo wybierania zwiększonych dodatków krajowych do podatków, a nawet wprowadzono nowy podatek od piwa.

Ustawa zasadnicza z 21 grudnia r. 1867 normuje prawa zwierzchnicze panującego. W parag. 3 tej ustawy zastrzeżono panującemu prawo obsadzenia wszystkich urzędów we wszystkich gałęziach służby państwowej z ograniczeniem „o ile ustawa nie postanawia inaczej". Ani ta zasadnicza ustawa o władzę panującego, ani żadna inna nie zawiera uprawnienia do zastąpienia wydziału krajowego wybranego przez sejm, a więc zasadniczo nie pochodzącego z żadnej nominacji, przez jakąkolwiek mianowaną władzę.

A więc rząd austrjacki względem Czech postąpił wbrew ustawom konstytucyjnym, wbrew ustawom zasadniczym, zaprzysiężonym przez ministrów.

A zrobiono to gwoli niemcom. Sejm czeski, jak wiadomo, od szeregu lat jest niezdolnym do pracy, wskutek obstrukcji niemieckiej. Całe gospodarstwo krajowe utknęło, sejm nie uchwalał budżetów, nie uchwalał dodatków do podatków, wszelkie daniny były pobierane właściwie bezprawnie z łaski centralnego rządu. Fundusz krajowy nie był w stanie podołać zwiększonym podatkom. Rząd centralny, biurokracja centralna, widząc stały opór czechów przeciw obstrukcji niemieckiej, widząc, że szkody wyrządzone przez tę obstrukcję najżywotniejszym interesom kraju nie jest wstanie nakłonić czechów do rezygnacji kosztem praw narodowych, postanowiły same podjąć sanację stosunków gospodarczych. Ale zamiast wybrać drogę wskazaną przez ustawy krajowe i państwowe, t. j. na czas nie istnienia sejmu pozostawić władzę w rękach wydziału krajowego, wybrał rząd drogę wręcz inną, sprzeczną z ustawami zasadniczemi, ażeby przez to okazać przecież jakiś sukces niemieckiej obstrukcji. Krok ten rządu, nie uzasadniony w ustawie, czerpie początek swój w idei absolutyzmu zniesionego i uchylonego ustawą zasadniczą reprezentacji państwa.

Nic przeto dziwnego, że wszystkie stronnictwa czeskie wypowiedziały się przeciw nowo mianowanej komisji rządowej, że nawet rozważaną jest kwestja, czy władze państwowe, a w szczególności władze sądowe mają udzielać swej sankcji zarządzeniom tej komisji, a w szczególności, czy opłaty i daniny zarządzone przez tę komisję, mają być składane.

Jednocześnie akt niekonstytucyjny w państwie na wskroś konstytucyjnem budzi słuszne wrzenie i w innych krajach autonomicznych Austrji. Wszak może to być precedensem i w każdym z owych krajów może nastąpić zawieszenie autonomji.

To też nietylko czesi, ale wszystkie ludy, z wyjątkiem oczywiście niemców, gotują się do gremjalnego protestu przeciwko uzurpacjom i zamachom na wolność obywatelską i prawa obywatelskie, zdobyte w Austrji przez olbrzymi wysiłek i trudy, ofiary i poświęcenia najlepszych patryjotów.

Jednocześnie można się spodziewać wielkiej burzy w parlamencie, która niewątpliwie wywoła zmiany w gabinecie, a wogóle nie przyczyni się do jednolitości nastrojów politycznych, o które zwłaszcza teraz, wobec wypadków bałkańskich, Austro-Węgrom chodzi.

Z powodu listu p. Stanisława Montwiłła, zamieszczonego w № 27—29 „Przeglądu Wileńskiego", p. Wandalin Szukiewicz uprasza nas o zaznaczenie, że artykuł jego „O zwyrodnienie młodzieży" pierwotnie był przesłany do redakcji „Kurjera Litewskiego", która jednak odmówiła jego wydrukowania.

KRONIKA.

= Ferdynand August Bebel.

W Graubünden w Szwajcarji zmarł w wieku lat 73 przywódca partji socjalno-demokratycznej w Niemczech, słynny publicysta i działacz polityczny, Ferdynand August Bebel.

Był to bodaj najgłośniejszy i najbardziej znany działacz w świecie socjalistycznym. Jako młody człowiek, z zawodu tokarz, wziął udział w ruchu robotniczym. Świetny mówca, z zapałem oddający się swojej idei, odrazu wysunął się do pierwszych szeregów. Młodego, 27-let. działacza wybrano w r. 1867 posłem do północno - niemieckiego sejmu, a od r. 1871 zasiadał bez przerwy, aż do końca życia, w parlamencie Rzeszy niemieckiej. Od śmierci Lassalla ster partji w jego spoczywał rękach. Zresztą nie do samych godności wiodła go praca w szeregach partji socjalistycznej. W marcu r. 1872 wraz z Liebknechtem skazuje go sąd na 2 lata twierdzy za zdradę stanu, a w lipcu tego samego roku na 9 miesięcy więzienia za obrazę majestatu. Drobniejsze kary sądowe spotykały go potem niejednokrotnie.

Działalność piśmiennicza Bebla była nader rozległa. Większą część prac jego stanowią broszury wyraźnie agitacyjne, obejmujące niemal całokształt doktryny socjalistycznej. Z prac większych, najznaczniejszą popularnością cieszyły się: życiorys Fouriera („Charles Fourier, sein Leben und seine Theorien") i słynna książka „Kobieta w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości", tłomaczona też na język polski, obok przekładów na wszystkie języki europejskie.

W parlamencie niemieckim Bebel odegrywał rolę olbrzymią i żadna dyskusja nie odbyła się tam bez jego najżywszego udziału.

Śmierć Bebla jest dla niemieckiej socjalnej demokracji i dla socjalizmu wogóle ciosem niezmiernie dotkliwym, stratą niepowetowaną.

= Zgon nacjonalisty rosyjskiego.

W Kijowie zmarł członek Rady Państwa z mianowania, wydawca „Kijewlanina", prof. Dymitr Pichno.

Całą jego działalność społeczną wypełniło szczucie narodowościowe przeciwko polakom, ukraińcom i żydom.

Biurokracja uważnie czytała i liczyła się z organem p. Pichny, którego łączyły z nią węzły stosunków towarzyskich, a po części przyjaźni.

Śmierć prof. Pichny jest też ciosem dla nacjonalizmu wojującego, który tak rozwielmożnił się w ostatnich czasach w Rosji.

= Wybory do Rady państwa.

Na liście wyborców do rady państwa z gub. wileńskiej figuruje: w pow. wileńskim 53 polaków i 16 rosjan, w oszmiańskim—59 pol. i 8 ros., w dziśnieńskim — 53 i 8, wilejskim—49 i 6, lidzkim — 44 i 8, trockim — 30 i 11, święciańskim — 28 i 8.

Z tego, posiadających prawo czynne i bierne, czyli takich, którzy mają prawo być wybranymi na posła do Rady państwa, jest 65 polaków i 22 rosjan.

= **Zjazd w Rapperswilu.**

Odbył się w Rapperswilu zjazd rady muzealnej. Ze sprawozdania świeżo wydanego okazuje się, że ofiarność na cele muzeum zmniejszyła się nieco. Muzeum zwiedziło w roku sprawozdawczym 8,103 osób, w tem polaków 1,736. Członków liczyło muzeum 313: fundatorów 21, honorowych 66, wieczystych 50, korespondentów 176.

Na dyrektora muzeum z pośród trzydziestu kilku spółubiegających się, powołany został p. Konstanty Żmigrodzki. Był on poprzednio kustoszem muzeum w Witebsku, jest archeologiem, specjalistą w numizmatyce.

Wybór ten rada muzeum zatwierdziła. Wedle dotychczasowego statutu dyrektorem muzeum mógł być przezes rady, którym był też prezes Gałęzowski.

Na prezesa muzeum rada muzealna wybrała ponownie p. Gałęzowskiego, na wice-prezesów pp. Korytkę i Laskowskiego, oraz mianowała członkiem rady posła Rutowskiego.

= **Medal ks. Józefa Poniatowskiego.**

Komitet ku uczczeniu setnej rocznicy zgonu ks. Józefa Poniatowskiego uchwalił wybić pamiątkowy medal. Projekt przygotowuje profesor Konstanty Laszczka. Z powodu ograniczonej liczby egzemplarzy tego medalu zamierzający go nabyć zechcą już teraz zgłaszać zamówienia pod adresem p. Eugienjusza Kalinowskiego. skarbnika komitetu (Kraków, ul. Krzywa 1, 3). Ceny medalu następujące: złoty 500 kor., srebrny 30 k., bronzowy 10 k. Na koszty przesyłki i opakowania należy dołączyć 1 k. Rozsyłanie medalu nastąpi po wykonaniu w październiku r. b.

= **Nowy sejm finlandzki.**

Dokonane świeżo wybory do nowego sejmu finlandzkiego przyniosły zwycięstwo żywiołów radykalnych. Wykazuje to poniższe zestawienie składu nowego sejmu ze składem poprzedniego, wybranego w r. 1911.

	w r. 1911	w r. 1913
socjalistów	86	90
starofinnów	43	38
młodofinnów	28	29
szwedomanów	26	25
agrarjuszów	16	18
robotnik. chrześc.	1	—

Zwiększyło się więc przedstawicielstwo socjalistów, młodofinnów i agrarjuszów, którymi w Finlandji są nie obszarnicy jak w Prusach, lecz demokracja chłopska.

Przeciwnie stracili starofinnowie i szwedomani.

Wybory ostatnie są tylko logicznem i konsekwentnem następstwem całego poprzednio wytworzonego stanu rzeczy, który polega na tem, że w miarę tego, jak staje się coraz ostrzejszą polityka rządu centralnego zmierzająca ku zniesieniu odrębności Finlandji, w kraju tym wzrasta nastrój opozycyjny wyrażający się w obdarzaniu coraz większem zaufaniem najbardziej nieprzejednanej z partji opozycyjnych partji socjaldemokratycznej.

= **Jubileusz Włodzimierza Korolenki.**

W połowie zeszłego miesiąca świat artystyczny i literacki w Rosji, a zwłaszcza na Ukrainie, obchodził 60—tą rocznicę urodzin znakomitego pisarza i publicysty Włodzimierza Korolenki. Korolenko urodził się 15 lipca 1853 r. w Żytomierzu, jako syn sędziego powiatowego. Pierwsze wychowanie odebrał w pensjonacie polskim Rychlińskiego w Żytomierzu, w którym uczył się jego brat. Wspomnienia z pensjonatu tego opisał w książce p. t. „Istorja mojego sowremiennika“. Gimnazjum Korolenko ukończył w Równem. Po stracie ojca, jako student instytutu technologicznego, Korolenko przeszedł straszną nędzę. Dopiero otrzymanie stypendjum i przeniesienie się do Moskwy dało mu jakie takie środki do życia. Wkrótce w Akademji Pietrowskiej rozpoczęły się aresztowania i represje administracyjne. Korolenko, wybrany na delegata do dyrektora, został aresztowany i wysłany do Wołogdy, a potem do miejscowości „Wielikij Ustiug“. Po długich staraniach Korolenko powrócił i osiadł w Kronsztadzie, gdzie zamieszkała jego rodzina. Niedługo trwał okres spokojnego życia. Korolenko zostaje ponownie aresztowany i zesłany do gub. wiackiej. Odtąd trwa wędrówka pisarza po Syberji aż do r. 1884. W 1881 r. była chwila możności wydostania się na wolność. Od Korolenki zażądano złożenia przysięgi na na wierność przy wstępowaniu na tron Aleksandra III. Korolenko odmówił. W 1884 uzyskał możność powrotu i osiadł w Niższym Nowogrodzie, a od 1900 r. stale mieszka w Połtawie. Pierwsze próby literackiej działalności sięgają 1869 r. Popularność w literaturze Korolenko zdobył dopiero w 1885 r., gdy po powrocie z obwodu jakuckiego napisał „Son Makarego“. W ślad za tem ukazały się utwory: „W złem towarzystwie“, „Las szumi“ i inne. Równocześnie rozpoczęła się jego praca publicystyczna. Pisma rosyjskie zestawiają Korolenkę z Tołstojem. Korolenko w literaturze rosyjskiej jest symbolem sumienia.

= **Kobiety na uniwersytetach niemieckich.**

Od r. 1908 otwarty został kobietom przystęp na uniwersytety niemieckie. Liczba studjujących kobiet wynosiła w tym sezonie 3,436. gdy w r. u. wynosiła zaledwie 2,058, a 5 lat temu 1,108. Wzrost liczby słuchaczek waha się rok rocznie pomiędzy 138 a 383. a w roku bieżącym wynosi 478. Co do gałęzi nauki, którą sobie kobiety obierają, to idzie ona w następującym porządku: filozofji, filologji i historji słucha obecnie 1,791 kobiet, a 5 lat temu 505, matematyki i przyrody 659, dawniej 175, medycyny 790, dawniej 322, ekonomji i gospodarstwa 100, dawniej 40, prawa 49, dawniej 40, teologji ewangielickiej 12, dawniej 3, aptekarstwa 9, dawniej 3.

Treść numeru.

W poszukiwaniu syntezy. — Wi—ski.
Niebankrutujący bankrut. — J. Sorokowicz.
Sto lat temu a dzisiaj. — K. Ostachiewiczowa.
Emigracja polityczna w Galicji. — J. Krzesławski.
Godna kampanja. — a.
Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbicki.
Teatr wileński. — rc.
Przed wyborami miejskiemi. — Urbanus.
Prasa polska.
Wbrew konstytucji.
Kronika.
Odcinek: „Bajki jesienne“. — Wł. L. Ewert.

Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa.

Rok II. Wilno, 24 sierpnia (6 września) 1913 r. № 32—34.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Tragifarsa poznańska.

Jakby w odpowiedzi na niedawne zapewnienia herolda polityki realnej p. W. B-skiego, że niema dziś w Polsce grupy „ludzi dorzecznych", których by można było pomawiać o chęć handlowania godnością narodową,—kilkudziesięciu arystokratów polskich z zaboru pruskiego stawiło się posłusznie na obiad w zamku cesarskim w Poznaniu, by obecnością swą zaświadczyć czystość swych uczuć wiernopoddańczych.

A może ci Czartoryscy, Radziwiłłowie, Mielżyńscy, Chłapowscy nie są „ludźmi dorzecznymi"?

Dlaczegóż w takim razie „Słowo" staje w ich obronie i usiłuje krok ich usprawiedliwić, wmawiając w społeczeństwo, że kierowały nimi pobudki obywatelskie, troska gorąca o dobro kraju, nadzieje ułagodzenia tym sposobem zawziętości Wilhelma II?

Korespondent poznański „Słowa" szeroko się rozwodzi właśnie nad *politycznem* znaczeniem przyjęcia przez panów wielkopolskich zaproszenia cesarskiego.

„Pod pewnym względem niespodziewanym jest fakt, iż cesarz zaprosił niezwykle liczne grono obywateli polskich na obiad, a cesarzowa kilka pań na popołudniową herbatę. Z punktu widzenia cesarza zaproszenie znaczniejszej liczby polaków na obiad jest dowodem łaski monarszej. Przytem należy zrozumieć, iż kwestja zaproszeń nie była prostą formalnością dworskiej etykiety, ale, jak wiadomo, przedmiotem poważnych narad z czynnikami politycznemi. Naczelny prezes Księstwa, który jest zwolennikiem pokojowej polityki, starał się podobno o to, aby zaproszenia przesłano i przyjęto, a tem samem uwidocznia się chęć poważnych czynników doprowadzenia do jakiegoś porozumienia. Jeżeli w obecnej chwili monarcha zaprasza liczne grono polaków, to stanowi to pod pewnym względem podanie ręki do zgody. Dlatego opinja kół poważnych postanowiła przyjąć te zaproszenia.

„Obywatele, którzy stawią się w zamku, spełniają ciężki obywatelski obowiązek, zasługują tem samem na uznanie. Że w chwili obecnej nie jest rzeczą przyjemną i sympatyczną stanąć wobec monarchy, który pozwolił na wywłaszczenie, każdy zrozumie i pojmie. Niewiadomo, w jakim duchu wypadnie przemówienie cesarskie obiadowe, czy nie zadraśnie w czem świętych uczuć naszych. Ale mimo panującego nastroju, nie można było się usunąć, bo zajęlibyśmy stanowisko wobec korony zasadniczo negatywne, z którego na długie lata zejść nie byłoby można. Walka nasza, jak to zaznaczono z poważnej strony w Berlinie, prowadzi się przeciw rządowi, przeciw jego polityce, nie przeciw państwu i koronie. To nasze zasadnicze stanowisko, z którego nie możemy ustąpić, bez narażenia się na dalsze prześladowania; stalibyśmy się bowiem wrogami nietylko rządu i jego polityki,—ale państwa i korony. Obywatelstwo wielkopolskie zrozumiało swój obowiązek, idzie na zamek bez względu na osobiste sympatje, w przeświadczeniu, iż łatwo zrobić giest, popularny na razie, ale nie wolno dla osobistej wygody palić wszelkich mostów za sobą".

Oh, te oklepane argumenty, aż do znudzenia powtarzane za każdym razem, gdy się nadarza sposobność zamanifestowania swego lojalizmu! Po co i dla kogo to mydlenie oczu? Po co te napuszone frazesy, w które nikt nie wierzy, a najmniej ci, co je z emfazą wygłaszają?

Człowiek *dorzeczny* bowiem, chociażby był szambelanem dworu J. C. M., nie może nie rozumieć, że wystąpienie garstki szlachty nie jest w stanie zmienić stosunku rządu pruskiego do narodu polskiego, nawet w tym wypadku, gdyby istotnie intencje pojednawcze korony miały cechę prawdopodobieństwa. Bo jakże? Całe społeczeństwo polskie zajmuje postawę nieprzejednaną i potępia ostro wszelką myśl o kompromisie z wywłaszczycielami. Czynniki miarodajne pruskie dobrze o tem wiedzą.

Czy p. p. Mielżyńscy i Chłapowscy zachowają się tak lub inaczej—nie zmieni to w niczem nastroju ogółu polskiego, który bynajmniej, nie myśli zrzygnować z praw słusznie mu przynależnych. Jakąż wartość więc z punktu widzenia polityki ogólno-narodowej może mieć manifestacja lojalna kilkudziesięciu szlachciców, odosobnionych w swej akcji i otoczonych powszechną wzgardą? Oczywiście—żadnej.

Tego nie mogli nie wiedzieć i nie rozumieć p. Chłapowski i jego przyjaciele. A jednak poszli. Część

się udała na uroczystości dworskie z próżności, pociągnięta nieprzepartą żądzą ocierania się o gronostaje cesarskie, część z zasady, z wrodzonego poczucia lojalizmu względem „panującego z Bożej łaski", część wreszcie poszła niewątpliwie ze strachu przed wywłaszczeniem, mając nadzieję tą drogą zabezpieczyć się przed wciągnięciem swych dóbr na listę proskrypcyjną. Pisma podnoszą ze szczególnem oburzeniem fakt, że zaproszenie przyjął między innemi brat wywłaszczonej p. Liskowskiej. Zupełnie zrozumiałe, że jego właśnie—przykład tak bliski musiał natchnąć obawą o los podobny i kazał mu szukać ratunku chociażby kosztem poniżenia własnego.

Więc względy osobiste, strach, służalstwo, karjera przyświecały karocom, wyruszającym z Bazaru na zamek, nie żadne racje polityczne, któremi zasłaniają je przed szyderstwem społeczeństwa usłużni pismacy. Są między nimi bardziej i mniej zręczni.

Ci ostatni w „Przeglądzie Wielkopolskim", organie Kasyna obywatelskiego wystąpili na powitanie Wilhelma z artykułem p. t. „Ave Caesar", w którym znajdujemy takie zakończenie:

„Gladjatorów w rzymskiem Colosseum ocalała rzadko ręka cezara w górę wzniesiona, zwykle palec śmiercionośny w dół się opuszczał — dla nas dotąd ręce kierujące systemem zawsze w dół opuszczone i jężeli ręce kierujące się nie wzniosą na znak zmiany i my, jak owi gladjatorzy z rzymskiego Colosseum możemy tylko wydać okrzyk: „Ave Caesar. Morituri te salutant!"

Dalej w niewolniczem upodleniu iść trudno. Głos ten jakże wiernie jednak odźwierciadla nastrój, panujący śród większości szlachty ziemiańskiej, zwłaszcza w kierowniczych jej sferach. Lokajstwo posunięte aż do pogańskiego rabstwa, tchórzostwo graniczące z zaprzaństwem narodowem, samolubstwo i wyłączność kastowa prowadzące do zupełnego zwyrodnienia i wyeliminowania ze społeczeństwa!

Napróżno więc przysięgły obrońca uciśnionych p. Ludwik Straszewicz woła w „Słowie" patetycznym głosem: „Nie męczczcie umęczonych" i roni gorzkie łzy nad wielką „tragiedją narodową", nad zmaganiem się dwuch sumień: lękliwego i zuchwałego.

Publicysta ugodowy znieważa pamięć Wielopolskiego, stawiając wyniosłą postać margrabiego w jednym szeregu ze zgiętymi w dworackich ukłonach kamerjunkrami poznańskimi. Tam była powściągliwość i umiarkowanie, lecz nie było ani bojaźni ani łaszenia się. Tam był dumny mąż stanu, który chciał nagiąć społeczeństwo do swej woli, pertraktujący wprost z Monarchą, tu garść dworaków, słuchających nakazu landrata. Wielopolski reprezentował kierunek polityczny, p.p. Bnińscy i Osowiccy—swoje własne interesy, identyfikowane niewiedzieć czemu z narodowemi.

Wielopolskiego nienawidzono, tymi można tylko pogardzać.

Sam fakt zjedzenia przez kilkudziesięciu szlachciców polskich obiadu na zamku, zbudowanym przez wroga na znak tryumfu nad pokonaną dzielnicą polską—jest w historji narodu drobiazgiem.

Słusznie zauważył ktoś, że ucztujący panowie wielkopolscy obowiązani są zdawać z tego sprawę tylko strawności swego żołądka. Ale niechże nie robią z siebie ofiar obowiązku patryjotycznego i nie roszczą pretensji do roli przedstawicieli społeczeństwa, które się od nich odżegnywa i nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Wciąż się powtarza ta sama historja. To tu, to tam serwilizm szuka ujścia dla zaskarbienia łaski zwycięscy. Za każdym zazem głos opinji kategorycznie się wypowiada przeciwko takiemu sposobowi ratowania ojczyzny. I za każdym razem niepowołani *patres patriae* depcą cynicznie głoszoną stale przez siebie zasadę solidarności narodowej, domagając się przytem, by ich otaczano aureolą męczenników.

I zawsze ten sam niezawodny skutek. Znajdą się czułe serca, co się roztkliwią nad losem biednych patryjotów, a ogół, gdy pierwsze wzburzenie ulegnie, przebaczy im i otworzy szeroko ramiona do uścisku.

O, bo pod tym względem nikt nas o brak tolerancji posądzić nie może.

Zwłaszcza, gdy chodzi o osoby utytułowane...

L. A.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT.

Bajki jesienne.

SMOK.

...A w czasach onych władał ziemią trzynastogłowy smok stułapny, co tchem paszcz swych trzynastu świat zatruwał, krwawą hekatombę ciał i dusz ludzkich biorąc.

A smok ten nie miał miana.

I zwali go jedni postrachem, drudzy trwogą, inni niewolą...

Lecz on złorzeczenia ciche przenosił spokojnie, groźby bezsilne wyśmiewał, jadowitą pianą na prośby bryzgał...

I składał mu świat hekatombę ciał i dusz ludzkich.

. . . .

Chciano z nim walczyć...

Więc szli woje hardzi, w złote zakuci pancerze, piórami orlemi u ramion—poszli kmiecie, palice kamieniami ciężarne w dłoni dzierżąc, szły dziewy piękne, by w chwili szału, włosami swemi giętkie szyje smoka zdusić.

Lecz ginęły dziewy bez wieści — a palice, kamieniami ciężarne, i miecze błyszczące, pękami piór zdobne, leżały u smoka pieczary...

A wzrastała ich liczba z dniem każdym.

I rzekł w on czas królewicz Sławo:

— Porzućcie miecze stalowe i zdradne palice. Zwyciężyć niemi smoka nie sposób. On kocha władzę swą i moc swą okrutną... Ja was ukochałem... I zmierzą się serca nasze w biciu szalonem, w krwi obłędnem tętnie. A czyja miłość słabszą się okaże, ten padnie, by więcej nie powstać. Bo jeno uczuciem można zgnieść uczucie... Więc pójdę...

I padli ziemianie u stóp Sława, prosząc by nie szedł...

— A gdy ty zginiesz, cóż nam pozostanie? Tyś wiarą naszą jedyną i pychą chwalną i szczęściem warnem... Pozostań, poślemy huf wojów przedny, by w walce życie strawił i legł — lub zwyciężył... Pozostań...

I odparł Sławo:

Czarna lista.

Ostatniemi czasy prasa warszawska zwróciła uwagę na zastraszający objaw kurczenia się własności polskiej na Litwie i Rusi. Rzecz charakterystyczna, że prasa wileńska traktuje kwestję tą półgębkiem, wyręczając się pismami warszawskiemi. Te jednak, jako mniej u nas rozpowszechchnione, nie posiadają dostatecznego wpływu i głos ich rozlega się poniekąd w próżni. Wyzbywanie się zaś masowe ziemi przez polaków wymagałoby jakiejś akcji energicznej przeciwdziałającej, przedewszystkiem zorganizowania opinji publicznej, która dziś reaguje na fakty sprzedawczykowstwa zbyt miękko i pobłażliwie.

Proces rozdrabniania się większej własności ziemskiej jest zjawiskiem ekonomicznem nieuniknionem, którego nie usuną żadne represje moralne. Proces ten zresztą ma swoje dodatnie strony zarówno pod względem społecznym jak narodowym, wpływając na powstawanie klasy drobnych posiadaczów rolnych, przyśpieszając przez to demokratyzację kraju i w miejscowościach, ciążących ku kulturze polskiej, wzmacniając jej podstawy.

Umiejętna i celowa parcelacja wielkich obszarów mogła by stanowić potężny środek obrony bytu narodowego, którego by zachwiać nie mogły, tak jak dziś, lekkomyślność lub zła wola jednostek.

Niestety parcelacja z myślą obywatelską jest dotąd zjawiskiem rzadkiem. O wiele częściej się spotyka fakt sprzedaży majątków w ręce obce, przeważnie Bankowi Włościańskiemu, który, jak wiadomo jest instytucją polityczną, na wzór pruskiej komisji kolonizacyjnej. Przeciwko tego rodzaju frymarkom społeczeństwo powinno występować ostro, osoby zaś sprzedawczyków tych zwłaszcza, którzy nie mogą się powołać na żadne okoliczności łagodzące, winna spotykać powszechna pogarda.

Przed paru tygodniami „Gazeta Rolnicza“ podała w artykule p. t. „Smutna kronika naszych czasów“ wykaz majątków, które od r. 1905 do 1911 przeszły z rąk polskich na Litwie i Rusi w obce ręce. Dane te nie są całkowite — nie obejmują Ukrainy i gub. mohylowskiej, ale i te liczby są aż nadto wymowne, wykazują bowiem, że własność polska w okresie wskazanym skurczyła się ogółem o 160 tysięcy dziesiatyn.

Z tej olbrzymiej zaprzepaszczonej przestrzeni, największy szmat ziemi przypada na gub. mińską, gdzie stracono blisko 53 tys. dziesiatyn. O palmę pierwszeństwa walczy z gub. mińską — gub. wileńska, w której około 40 tys. dzies. przeszło w obce ręce.

Bardzo pokaźne miejsce na tej czarnej liście zajmują także, lubo nie mogą dorównać tamtym gubernje: podolska i witebska. W pierwszej z nich sprzedano blisko 25 tys. dzies., w drugiej nieomal 23 tys. dzies. Znacznie mniej ziemi ubyło z rąk polskich w tym samym czasie w gub. kowieńskiej, mianowicie 15,600 dzies.

Na szarym końcu się znalazły gubernje: grodzieńska i wołyńska. W gub. wołyńskiej w ciągu lat sześciu uległo sprzedaży 15,150 dzies., w grodzieńskiej zaś tylko około 4 tys. dzies.

W gub. mińskiej hr. Stanisław Czapski sprzedał Hańcewicze, w pow. słuckim, p. Horwatt Narowlę na Polesiu, p. Moniuszko — Pacyniany. Duże dobra p. Szczytta Teresin, tudzież Kowniatyn, p. Staszewicza zostały również sprzedane w obce ręce. P. Anna Wołłowiczowa sprzedała Zadołże w pow. pińskim obszaru 2,300 dzies., p. Kieniewicz sprzedał dobra Wielki Maleszów w pow. mozyrskim 1300 dzies., Czesław Kowalewski — dobra Buraś, mające 18,000 dzies. obszaru. Wreszcie ostatnio p. Wiesław Orda sprzedał swój majątek Paulinowo w pow. pińskim.

Gubernja wileńska, nie posiadając, z małemi wyjątkami, tak dużych latyfundjów, prześcignęła tamtą pod względem liczby dóbr zaprzepaszczonych.

W porządku abecadłowym podajemy nazwiska odnośnych osób w gub. wileńskiej. Władysław Jasieński (dobra Giedrojcie), Kwinto (Birsztany), księżna Marja Lubomirska (duże dobra Franopolskie, w pow. dzisieńskim), Ignacy hr. Korwin-Milewski sprzedał bankowi włościańskiemu olbrzymie swe dobra, Berezynę, w pow. oszmiań-

---

— Polegną woje. Bo z synem Nocy, jeno dziecko Słońca zmierzyć się może... Więc pójdę...

A wtedy ta, którą ukochał, u nóg mu legła, splotami włosów nogi splątała i prosić poczęła:

— Pozostań... Całunki twe, jako miód słodkie, a wonne jako lip kwiecie... Pozostań... Wśród chwil zawrotnego szału, będę ci szeptać słowa przedziwne... Pozostań... A jeżeli krasa moja ci zbrzydła, sama znajdę dziewę nadcudną, byś rozkosz z nią poznał... Pozostań...

I odparł królewicz:

— Powstań! Niema ciała, którebym nad twoje pożądał i duszy, z której byłbym dumniejszy... Lecz pójdę... Bo walka z złem miernem wstrętem mnie przejmuje. Lecz walka z Złem wielkiem, to cel mój najwyższy... Więc pójdę. Wiarą waszą zbrojny, a sercem mem mocny—zwyciężę...

I poszedł Sławo...

A gdy ujrzał smoka, to rzekł mu:

— Przychodzę bez miecza. Zmierzmy się serc naszych biciem, wiar naszych mocą — dusz ukochaniem.

I legł koło smoka. Swą pierś śnieżną do jego łuskami pokrytej zbroicy przytulił.

I poczęły bić się ich serca w tonie obłędnym, aż krew z lic Sława uciekła, aż usta kraśne zsiniały...

— Nienawidzę—zawarczał smok.

— Kocham — wyszeptał Sławo.

Aż nie strzymała pierś potwora i z hukiem strasznym serce mu pękło... Jak echo odparło hukowi westchnienie ulgi, co się z łona ziemi wyrwało...

I porwał się z prochu królewicz, na łbie potwora nogę wsparł hardą, a wzrok szczęściem obłędny ku niebu posłał...

Wtem zbladł...

Rozciął pierś swą białą i krwią swoją purpurową smoka kropić począł. I tchem ust swych kraśnych ożywić próbował... Napróżno...

Więc łza smutku wzrok mu zamgliła i szepnął:

— Oswobodziłem ludzkość... Zabiłem smoka... O czem teraz marzyć będę... Z kim walczyć...

I padłszy na cielsko gada płakać począł...

. . . .

skim, mające obszaru bez mała 10 tys. dzies., Julja z Ostroróg-Sadowskich, z pierwszego męża hr. Umiastowska, z drugiego — hr. Ignacowa Korwin-Milewska, żona poprzedniego, (część dóbr Lewków, w pow. wilejskim), p.p. Ogińska i Oskierczyna (dobra Uźmiany, stanowiące wspólną ich własność), Władysław Oskierko (Ostrówek), Piłsudzki (Czabiszki) ,Rudolf Ratyński (Mańkowszczyzna), Szyryn (Sporuny), Antoni hr. Tyszkiewicz (duże dobra Kojrany, w pobliżu Wilna, które nabył gien. Buturlin dla swego zięcia, osławionego O'Brien de Lassy'ego). Oprócz Kojran, hr. Antoni T. sprzedał także Kościuszyszki. Listę zamyka p. Wołosowski (Azurkowszczyzna).

Ostatnio przybył na czarną listę p. Jan Kamieński, szambelan papieski, który sprzedał majątek swój Przyjaźń w pow. święciańskim rosjaninowi Pimienowowi.

W gub. kowieńskiej p. Ign. Dowiatt sprzedał swe dobra Batkuny, ks. Wł. Drucki - Lubecki swe Kopiany, J. Eymontt — dobra Dubiany, Erdman—Wojniuny, Grużewska — Szczęsnów, Mączyńska—Sidory, należące częściowo do Syrjatowicza, Piłsudzki—majątek Derwiany, Pluszkiewicz — Kłopotowszczyznę, hr. O'Rourke—Kiejtuny, Rybski—Dubiany-Ubessy, Staniewicz — Szynaławki, wreszcie G. Zaleski—Wielonę, nad Niemnem—dobra słynne na Litwie z tego. że, podług podania, w ich obrębie leży mogiła Giedymina.

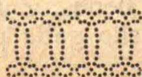
W gub. grodzieńskiej spotykamy tylko jedno nazwisko, mianowicie hr. Grabowskich, którzy sprzedali tam niedawno dwa swe majątki ziemskie—Czarnowczycę i Turnę.

Przechodząc z kolei do gub. witebskiej, znajdujemy tu na tej samej czarnej liście nazwiska następujące: Michał Benisławski sprzedał dobra Warków i Uzułmużę, Ogiński—Hanutowo, wreszcie Władysław hr. Wielhorski—dobra Zasiecino.

Na Wołyniu znalazło się w latach ostatnich tylko trzech handlarzy ojcowizną: są nimi Michał hr. Poniński, który oddał w obce ręce swe dobra Majków, Edw. hr. Tyszkiewicz — dobra Hulsk, w pow. zwiahelskim, 14,000 des., dobra leśne, młyny, fabr. porcelany, wrzeszcie Michał Prószyński—dobra Nowa Czartorja.

SŁAWO.

I pytano w czas ów królewicza Sławo...
— Otoś piękny jest ponad ludzką miarę. Otoś szczęście posiadł i smoka zabił — a śmiech Twój srebrzysty zwycięską i chwalną nutą po ziemi rozbrzmiewa. Skąd moc twą czerpiesz?
I odparł Sławo:
— Z wiary waszej we mnie położonej...
I znowu spytano królewicza:
— A szczęście twe z czego wypływa?
A Sławo wzniósł oczy płonące i odparł:
— Bo kocham—i jestem kochany...
Aż po raz trzeci spytano królewicza:
— Więc jesteś szczęśliwy i wierzysz w szczęście?
I odparł Sławo:
— Szczęście jest mytem odwiecznym, w które należy... uwierzyć...



Na Podolu dobra swe w obce ręce sprzedali ostatnio: Antoni Iżycki (Niszowce) kupił na licytacji p. S. Czichaczew, Feliks Jurjewicz (Kulna i Nestoida), nakoniec Bolesław Starzyński (Zahnitków), a zapewne ci wielu innych, których nazwisk nie znamy.

Nie wszystkie powyższe wypadki sprzedaży ziemi w obce ręce są równoznaczne z punktu widzenia interesów narodowych. Jak już mieliśmy kiedyś sposobność zaznaczyć, wielką różnicę widzimy między cofaniem się szlachty polskiej z kresów białuruskich i wyzbywaniem się dobrowolnem ziemi w okolicach, na które ze specjalnem łakomstwem spogląda Bank Włościański. A właśnie w gub. wileńskiej, niestety, działalność tej instytucji, w skutek indyferentyzmu społecznego szlachty polskiej, znajduje dla siebie szerokie pole.

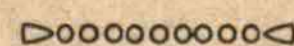
Największe rozmiary przyjmie parcelacja w pow. oszmiańskim, w którego obrębie leży, jak już wiadomo, Berezyna hr. Ignacego Korwin - Milewskiego. Oprócz części Berezyny Bank ma w r. b. rozparcelować w pow. oszmiańskim i niektóre inne, mniejsze dobra. Ogólna przestrzeń dóbr parcelowanych wyniesie w tym roku 11,300 dzies.

Drugie miejsce pod względem pośpiechu w rozdrabnianiu dóbr i tworzeniu osadnictwa obcokrajowego, przywożonego ze wschodu, zajmie w roku bieżącym pow. dzisieński, w którym na parcelację przeznaczono około 4 tys. dzies., t. j. część Franopola ks. Lubomirskich.

Gorącą też działalność Bank ujawnia w pow. wilejskim, gdzie leży, między innemi, Lewków hr. Ignacowej Korwin - Milewskiej. Najmniej ziemi Bank włościański ma do rozparcelowania w obrębie gub. wileńskiej, w powiatach: święciańskim, wileńskim i trockim.

Naogół bank rzeczony dokonywa obecnie na Litwie mniejszych obrotów, niż przed kilku laty, a to skutkiem tego, że skupił tyle ziemi, że nie może znaleźć na nią takich nabywców, jacy mu przypadają do gustu, pomimo usilnego werbowania włościan bezrolnych w gubernjach rosyjskich i namawiania ich do wychodźtwa na zachód.

Dużo bardzo ma Bank włościański kłopotu np. z Łachwą, olbrzymiemi dobrami w gub. mińskiej, w pow. mozyrskim, które niebacznie przed kilku laty na parcelację kupił i obecnie nie może na nie znaleźć dla działek tamtejszych dość godnych kandydatów.



Gospodarka szkolna w Galicji.

Nad tem, jakie znaczenie ma szkolnictwo dla życia narodu, dziś już nie trzeba szeroko się rozwodzić; i są to rzeczy zbyt znane, które przeniknęły świadomość każdego myślącego człowieka.

Już 43 lata temu mówiono, że zwyciężył Francję bakałarz niemiecki, a dziś myśl, zawarta w tem zdaniu, prawdą być nie przestała. Wobec warunków politycznych w jakich się znajdujemy, nie wszędzie za rozwój naszego szkolnictwa jesteśmy odpowiedzialni: jedna tylko Galicja daje nam odpowiednie pole działania. Galicję nazywają Piemontem polskim i często idealizują, gdy jej zbliska nie znają. Na to jednak, aby za Piemont uchodzić mogła, nie wystarczą korzystne polityczne warunki; potrzeba umiejętności korzystania z tych warunków i uświadamiania sobie do czego

i jakiemi drogami dążyć należy. Że to w Galicji szwankuje—dowodem gospodarka szkolna.

O ciemnocie Galicji, o braku szkół ludowych o analfabetyzmie pisano już wiele, wystarczy powołać się na znaną książkę Światłomira „Ciemnota w Galicji". Bezwątpienia dziś, jeśli chodzi o ilość szkół, statystyka wykazuje wiele zmian na lepsze: zwiększyła się liczba szkół ludowych, jak również średnich. Co do tych ostatnich, pomiędzy któremi przeważają szkoły klasycznego typu, przyczyniają się one nawet do wytworzenia smutnego zjawiska, „hiperprodukcji" inteligiencji, znanego w Zachodniej Europie, a w Galicji występującego w jaknajbardziej jaskrawej formie. Młodzież wszelkich stanów ciśnie się do posad rządowych, w których widzi cały swój ideał, które otrzymać pragnie, choćby kosztem jaknajwiększych poniżeń, jakich im często nie szczędzą przedstawiciele autonomicznych władz.

Zamiast więc brać się do rolnych fachów, które w tym zacofanym kraju uchodzą za coś niższego od c. k. urzędów, a w każdym razie wymagają większej przedsiębiorczości i większego nakładu energji, wszyscy idą utartą drogą do urzędów po przez maturę gimnazjalną, wytwarzając w ten sposób swą nadprodukcję inteligiencji. Jest to oczywiście nadprodukcja jedynie pod względem ekonomicznym, o nadmiarze ludzi inteligientnych bowiem, mogących uchodzić za pionierów kultury, w Galicji niema i nie może być mowy.

Jeśli więc galicyjską gospodarkę szkolną nazywają nie bez słuszności haniebną, to ma się na względzie nietyle niedostateczną liczbę szkół, ile jakość oświaty, ile ideję przewodnią szkolnictwa, przedewszystkiem duch, jakim jest przejęta instytucja kierownicza, smutnej pamięci Rada szkolna krajowa.

Rada szkolna, która w myśl ustaw obowiązujących posiada bardzo rozległą autonomję, choć z niej nie korzysta w całej pełni, zwracając się w każdej niemal sprawie do Wiednia i przysparzając tylko nadmiernej pracy urzędnikom centralnych instytucji, jest ciałem zbiorowem. W skład jej wchodzą mianowani przez rząd inspektorowie szkolni, oraz w mniejszej liczbie przedstawiciele niektórych społecznych instytucji. Na czele Rady szkolnej stoi nominalnie jako prezydent każdorazowy namiestnik kraju, a faktycznie jego zastępca, wiceprezydent. Przez długi czas godność wiceprezydenta pełnił Bobrzyński, zanim został namiestnikiem, a cała jego działałalność była ożywiona duchem centralistyczno-biurokratycznym. Legalista, fanatyczny wielbiciel ładu i porządku, zwolennik silnej władzy. Bobrzyński wychowywał młodzież po austrjacku, widząc w każdym żywiołowym odruchu młodzieży przejaw polskiej irredenty. Na jego to polecenie swego czasu usuwano z wydań szkolnych „Pana Tadeusza" ustęp: „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, znowu będzie nasze!", bo to przecież sprzeciwiało się polityce trójprzymierza. Następcą Bobrzyńskiego na stanowisku wiceprezydenta jest p. Ignacy Dembowski, kontynujący politykę swego poprzednika z dodaniem jedynie silnej dawki klerykalizmu, któremu nowy dygnitarz jest ciałem i sercem oddany. Pozatem jest to ta sama szkolna polityka Bobrzyńskiego, z tą tylko różnicą, że p. Dembowski nie posiada rozumu ani taktu swego poprzednika i jest to człowiek zupełnie ograniczony, który dzięki koligacjom rodowym (w Galicji nie pytają się człowieka o zdolności, tylko czy jest „familjantem"), w stosunkowo młodym wieku doszedł do tak wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska. Dembowski otoczył się zausznikami i pochlebcami, i niemi poobsadzał wszystkie wyższe stanowiska, bez względu na kwalifikacje moralne. Aresztowanie paru inspektorów szkolnych, kreatur Dembowskiego, którym zarzucono przestępstwa kryminalne, jakiego świadkiem byliśmy w bieżącym roku, —oto rezultat takiej osobistej polityki.

Niezależność stanu nauczycielskiego pod rządami obecnej Rady szkolnej stała się zupełną fikcją. Nie mówię już o tem, że na awans rachować może nauczyciel, odpowiadający pod względem przekonań religijnych i politycznych widokom władz, bo to dzieje się, choć w mniejszym stopniu, w wielu zachodnich krajach. Ale tu ma się do czynienia ze specjalnem prześladowaniem nauczycieli niezależnych, połączonem z usuwaniem ich ze stanowisk, jako karę za „przestępstwa" niedowiedzione, lecz insynuowane drogą plotek i pokątnych denuncjacji. W ten sposób usiłowano przed 3 laty usunąć zę stanowiska wybitnego nauczyciela Janika, autora dzieła o Kołłątaju, za rzekomo bluźniercze odezwanie się o Chrystusie, co w istocie wcale nie miało miejsca. Sprawa ta powstała dzięki temu, że ojciec jednego z uczniów, człowiek mało inteligientny i nie rozumiejący, o co nauczycielowi chodziło, poleciał ze skargą do księdza, w następstwie czego Rada szkolna przeniosła prof. Janika do Dembicy, jednej z najlichszych dziur prowincjonalnych. Trafiła jednak kosa na kamień, gdyż prof. Janik, opierając się na nieformalności dekretu Rady szkolnej, przed wydaniem którego nawet go nie przesłuchano ani tłómaczyć mu się nie dano, zaapelował do ministerjum, a tymczasem zbudziła się raz wreszcie w Galicji opinja publiczna i poparła prof. Janika, zwołując cały szereg demonstracyjnych wieców, na których uchwalono rezolucje, protestujące przeciw postępowaniu Rady szkolnej. Ministerjum uznało postępek Rady szkolnej za nieformalny, i Janik nie pojechał na rekolekcje do Dembicy, ale Rada szkolna nie chce go wpuścić z powrotem do Lwowa i aż do definitywnego załatwienia sprawy poszkodowany nauczyciel liczy się za pozostającego na urlopie, pobierając pensję.

Daleko większą krzywdę wyrządzono prof. L. ze Lwowa, którego nawet przy najlepszych chęciach nie udało się schwytać na gorącym uczynku propagowania zasad wolnomyślnych, i którego całą winą było, że wziął ślub cywilny, obywając się bez błogosławieństwa kościelnego, na co prawodawstwo austrjackie pozwala. Profesora L. przez cały rok wzywano do Rady szkolnej i proponowano mu, aby dla uniknięcia skandalu podał się do dymisji, grożąc, że w przeciwnym wypadku mu jej udzielą. Pan L. jednak ze względów zasadniczych sprzeciwił się temu i doczekał się wreszcie udzielenia mu oficjalnej dymisji. Jako człowiek cichy i skromny, niechętnie wstępujący w szranki, pan L. nie uciekł się do pomocy prasy ani wogóle opinji publicznej i krzywda, wyrządzona mu, przeszła niepostrzeżenie.

Zresztą tym razem Radzie szkolnej poszło łatwiej, niż z Janikiem, gdyż p. L. był tylko suplentem, a więc nauczycielem w każdej chwili usuwalnym. Ten system „suplentur" jest znakomitym atutem w ręku Rady szkolnej w jej walce z nauczycielstwem. Instytucja suplentów pochodzi z tych czasów, gdy nie było w Galicji nadprodukcji inteligiencji, więc trzeba było często posiłkować się w gimnazjach siłami nauczycielskiemi jeszcze nieegzaminowanemi, aby chwilowo za-

pełnić luki. Suplent pobierał $^2/_3$ pensji nauczycielskiej i mógł być usunięty w każdej chwili bez odwoływania się do ministerjum. Obecnie jednak tego prawa powoływania suplentów do wykładów w szkołach nadużyto w ten sposób, że nauczyciela, nawet po zdaniu egzaminu nauczycielskiego, zostawia się na stanowisku suplenta przez rok, dwa i dłużej, aż dopóki się Radzie szkolnej zamianować go nauczycielem etatowym nie spodoba, bo tak jest i oszczędniej i wygodniej: z suplentem można sobie robić mniej ceremonji.

Doszło wreszcie do tego, że w Galicji jest tylko połowa nauczycieli etatowych: reszta — to wszystko suplenci, choć są między nimi i ludzie osiwiali. Dziwić się wobec tego trudno, że nauczyciel galicyjski zrezygnował z ideałów młodości, jeśli je kiedyś posiadał: woli siedzieć spokojnie za piecem i wykładać ściśle i dosłownie według anachronicznych podręczników, bo cały los jego i rodziny zależy od humoru dumnych panków, trzęsących sprawami szkolnictwa.

Nauczyciele gimnazjalni są jednak ludźmi, z którymi czasem nawet i Rada szkolna musi się liczyć, bo dotkliwie pokrzywdzeni mogą narobić wrzawy, która ich zwierzchności nie jest na rękę, a łatwo mogą trafić do prasy i innych organów opinji publicznej.

Najgorszym jest los nauczycieli ludowych, tych istnych parjasów społeczeństwa galicyjskiego, którzy stanowią jedyną może zrewolucjonizowaną grupę galicyjską, w większym bodaj stopniu niż zorganizowani robotnicy, gdyż warunki ich życia są wprost straszne.

Napróżno ta armja prawdziwych proletarjuszów woła oddawna o poprawę bytu i znośne warunki. Sejm galicyjski ma do rozdania jedynie bonifikacje dla właścicieli ziemskich, trudniących się wyrobem wódki, nauczycieli zaś ludowych stale odprawia z kwitkiem.

Jeśli do nizkiej płacy, z której wyżyć nie sposób, dodamy okropne warunki mieszkalne, szczególniej kobietom dające się we znaki, oraz szykany polityczne, których Rada szkolna i tym biedakom również nie szczędzi, łatwo sobie przedstawić możemy opłakany stan nauczyciela ludowego. Coraz częściej dowiadujemy się z gazet, że ten czy ów nauczyciel lub nauczycielka po audjencji u wiceprezydenta odebrali sobie życie w przedsionku Rady szkolnej.

Fakty takie się mnożą; są one jak gdyby groźnem „memento" dla sfer, które tak bezdusznie i biurokratycznie odnoszą się do oświaty.

I uczniowie znajdują się w nienajlepszem położeniu. W nauczycielach nie widzą przyjaciół, gdyż ci po za godzinami szkolnemi unikają kontaktu z młodzieżą, obawiając się, czy to nie będzie czasem uznane za szczyt nieprawomyślności. W szkole spotykają przeważnie atmosferę bezduszną, a z manifestacji patryjotycznych, urządzanych przez władze szkolne podczas rocznic narodowych, drwią sobie otwarcie, gdyż widzą w tych obchodach obłudę i nieszczerość. Pamiętają przecież galicjanie dobrze te niedawne jeszcze czasy, gdy karano ucznia, który w dniu 3 maja, zamiast pójść do szkoły, wolał udać się na manifestację. Teraz biorą w niej udział wszyscy z wielką paradą, z dyrektorem i profesorami na czele, bo chodzi władzom o to, aby zagasić świetnością inny obchód, o dwa dni wcześniejszy. Zresztą duch tych narodowych manifestacji, przemowy i cała atmosfera nie może zadowolić młodzieży, w której umyśle każda taka rocznica wiąże się ze sprawą przyszłości narodu, ze sprawą wyzwolenia.

Od zeszłego roku począwszy, Rada szkolna daje znak życia na innem jeszcze polu, a mianowicie na polu tamowania drogi do wiedzy. Nie mogąc bez złamania ustawy ograniczyć ilości uczniów w każdej klasie, zabiera się do szykanowania eksternów. Na podanie eksternów o dopuszczenie ich do matury Rada odpowiada odmownie, dowodząc, że nie przedstawili dowodów dostatecznego przygotowania, tak jakby egzamin nie miał być właśnie tym sprawdzianem. Jeśli zaś ekstern przedstawi dowody piśmienne, wykazując, kto i w ciągu jakiego czasu go przygotowywał, Rada szkolna w $^9/_{10}$ wypadkach uznaje i te dowody za niewystarczające, motywując to gołosłownie. Rząd, który w ostatnich latach miał z uniwersytetami wiele kłopotów, radby chętnie powstrzymać napływ młodzieży do wszechnic, lecz nie we wszystkich Radach znajduje dla tej myśli posłuszne narzędzie, z wyjątkiem jednej galicyjskiej, która zawsze była i jest przeniknięta duchem państwowo-austrjackim.

Rada szkolna zamiast iść śladami komisji edukacyjnej i tworzyć na polskiej ziemi wolne i demokratyczne szkolnictwo polskie, stała się jedynie filją wiedeńskiego c. k. ministerjum, którego wskazówek słucha, ze społeczeństwem własnem pozostając w niezgodzie. Dziś, kiedy w Galicji widać wszędzie pewne podniesienie się ducha, tem większą odrazę i niechęć musi budzić ta polityka, obliczona na krótką metę. Społeczeństwu trzeba nietylko oficjalnej wiedzy podręczników, lecz idei przewodniej, któraby królowała w dziedzinie oświaty, a tej mu dostarczyć nie mogą biurokratyczni przewodnicy, nawiedzeni od urodzenia daltonizmem w świecie idei. Niezadowolenie tymczasem rośnie i rozsadzić z czasem musi gmach starego szkolnictwa, dostosowanego do ery Metternicha czy Bacha, lecz obcego najzupełniej tak ideałom narodowym, jak duchowi demokratyzmu i wolności.

J. Krz.

Stulecie pracy kobiet holenderskich.

Amsterdam w sierpniu.

Rok 1913-y jest dla Holandji rokiem bardzo znamiennym. Nie tylko w stolicy kraju — Hadze, nastąpiło otwarcie ofiarowanego przez miljonera Carnegie, Pałacu Pokoju i urządzonego bezpośrednio po rzeziach bałkańskich europejskiego Kongresu Pokoju, ale cały kraj święci 100-lecie odzyskania swej niepodległości przez liczne historyczne obchody i święta, oraz przez 30 różnorodnych wystaw, dających świadectwo o handlu, przemyśle, rolnictwie, sztuce i nauce Holandji.

Holenderska kobieta nie pozostała w tyle przy uświetnieniu tej ważnej daty narodowego życia, i wystąpiła ze specjalną wystawą pracy kobiet za okres 100 lat w Holandji.

Na urządzenie wystawy wybrano najruchliwsze i najpiękniejsze miasto — Amsterdam, gdzie już w maju otwarto podwoje charakterystycznej *Tentoonstelling de Vrouw 1813—1913.*

Po raz pierwszy bodaj w historji ruchu kobiecego zorganizowano pokaz podobny, mający za zadanie dać pojęcie o postępach intellektualnej i społecznej pracy kobiet za okres stu lat.

Postęp ów plastycznie illustruje karton malarski w dziale: „Prawo wyborcze do parlamentu“. Kiedy w roku 1813-ym holenderka zajęta była jedynie ogniskiem domowem, pielęgniarstwem i... haftem, dziś na obszernej drodze życia widzimy całe pułki kobiet, dążące do fabryk, urzędów, szpitalów.

Dorywcza statystyka wykazuje, że od roku 1872-go wydano w Holandji 93 kobietom lekarskie patenty, 66 kobiet otrzymało doktoraty prawa, 66 aptekarskie pozwolenia, 25—doktoraty nauk przyrodniczych, 29 — doktoraty nauk filologicznych. W r. bieżącym 53 kobiety studjuje nauki techniczne na politechnice w Delft.

Uprzytomnijmy sobie te cyfry! Czy nasz naród, liczący 7 razy tyle ludności, co Holandja—poszczyci się bodaj połową tych zdobyczy w ruchu kobiecym!

Jest rzeczą charakterystyczną, że Holandja, naród Rembrandta i tylu artystów, wydał zaledwie 2 kobiety, artystki-malarki. Znane są one bardzo niewiele. Obrazy Teresy Szwarce i Zuzanny Robertson znane są nielicznej garstce wielbicieli. Zaś salon artystyczny na wystawie pracy kobiecej w Amsterdamie zaledwie $^1/_{1000}$ część pawiljonu głównego zajmuje. Zato w szkołach gospodarczych, w szkołach, mających program uniwersytecki, kształciło się w r. b. 7,724 studentek. Nie dziwno nam tedy, że dom holenderski wygląda, jak kościół, że brud, niechlujstwo, związane z „polską czcią“ dla kobiety i z przywiązaniem tej ostatniej do przeróżnych Macochów i innych różańcowych przewodników duchowych, znikło tu oddawna.

Holenderka zdawien dawna pracuje społecznie. Działalność oświatowa kobiety holenderskiej, że zaznaczymy urządzenie w całym kraju ruchomych bibljoteczek, pracę w tysiącznych ochronach i szkółkach robotniczych, pracę herkulesową w walce z suchotami i chałupnictwem śród rzesz robotniczych—stawia Holandję na wyżynach ruchu emancypacyjnego.

To nie są czcze przechwałki, a widoma, w grafiki i wykazy ujęta praca, przed którą ze smutkiem schyli głowę polka, o ile „znajdzie czas“ na zwiedzenie wystawy w Amsterdamie.

Dziś honorem dla większości gospodyń naszych jest... dobry, wykwintny obiad. Spółzawodnictwo istnieje li tylko na punkcie strojenia się w coraz droższe suknie.

Przypatrzmy się ubiorom kobiecym w Holandji. Są one proste, czyste i tradycyjnie przekazywane. Nie masz bowiem na świecie kraju, w którym by częściej i jaskrawiej manifestowano ubiór narodowy, jak w Holandji.

Kwestja obiadów zostaje już tu zupełnie prawie rozwiązana przez instytucję kooperatywnej kuchni, która w 8 miastach holenderskich dostarcza do domu obiady.

I o dziwo! kuchnie te prowadzone są wyłącznie przez... mężczyzn.

Jest jeszcze ciekawy punkt działalności holenderek — praca w kolonjach, na wyspach Indji Holenderskich. Specjalny pawilon, żywcem przeniesiony z Jawy, wykazuje, co kobieta zdziałać może przy szerzeniu cywilizacji śród dzikich.

A nasze dwory? Eh!...

M. Dąbrowski.

August Bebel.

W Graubünden w Szwajcarji, gdzie ciężko chorego pielęgnowała ulubiona córka, zmarł wódz socjalizmu niemieckiego, August Bebel. Życie jego osobiste, a poniekąd i partyjne było od lat kilku już skończone. Był ciężko chory, miesiącami całemi skazywany na bezczynność. Nie przemawiał więcej, albo w nadzwyczajnie rzadkich tylko wypadkach, w parlamencie i na zjazdach partyjnych. Młode pokolenie robotnicze nie znało już jego mocnej, prostej, zawsze wielogodzinnej wymowy. Przedstawiciele tego pokolenia spotykali Bebla na zjazdach partyjnych. Dla tego pokolenia przechodził on za życia jeszcze do mitologji ludowej, stawał się częścią integralną nowoczesnej robotniczej Walhalli giermańskiej. Powaliły bohatera lata, długie lata pracy wyczerpującej, nędza wczesnej młodości, lata więzienne wieku dojrzałego, nieszczęścia osobiste. Dobiła go śmierć żony, wreszcie śmierć zięcia, dr. Simon, bakterjologa zuryskiego, który zginął tragiczną niemal śmiercią przy pracy w laboratorjum.

Wiedział, że dni jego są policzone i oddawna przygotowywał się do ostatecznego pożegnania ze światem. Złożył urzędy partyjne, pragnąc, aby się młode pokolenie przystosowało do stanu rzeczy, który zapanuje, kiedy starych wodzów nie stanie więcej. Chciał za życia jeszcze widzieć, jak funkcjonować będzie olbrzymia machina socjalizmu niemieckiego, bez tych, którzy jego podwaliny kładli. Widział, jak funkcjonowała bez Liebknechta, później bez Singera, wreszcie zobaczył ją funkcjonującą bez Augusta Bebla. Spisał *pamiętniki* swoje, posiadające znaczenie nietylko historyczne, ale i wysoce moralne i pedagogiczne, będące nietylko historją żywota indywidualnego, historją oraz rozwoju niemieckiej zbiorowości socjalistycznej za przeciąg lat blisko pięćdziesięciu, ale i testamentem woli i testamentem charakteru. Doczekał się *pięćdziesiątego* wydania swojej ciekawej książki: „*Kobieta i Socjalizm*“, doczekał się on, najstarszy członek parlamentu niemieckiego, że obradom tego ciała prawodawczego, przez krótką coprawda chwilę, przewodził ku przerażeniu rządu, junkrów, mieszczaństwa, tronu i kleru,—socjalista. Mógł odejść.

August Bebel należał do heroicznego pokolenia socjalizmu niemieckiego. Ludzie tego typu przypominali nam zawsze starych powstańców naszych. Było w nich coś z żywiołowości — wodospadu, który z przedziwną siłą spada z wyżyn po kamieniach, rozpryskuje się o głazy, o wały przeszkód, krzywdy mu te kamienne, zimne, niemiłosierne zwały nie czynią, odbija się od nich i ze zwiększoną jak gdyby energją, płynie dalej w majestatycznym swoim ku wieczności pochodzie.

Niezmordowany żywioł tkwił w nich wszystkich w Liebknechcie i Beblu, w Blanqui'm i w Vaillant'cie, w Stanisławie Krzemińskim i w Bolesławie Limanowskim.

Szły lata, siły dziesięciolecia pracy i znoju, pełne częstych porażek, rzadkich chwil radości Głowy przyprószył szron srebrnej starości, zgarbiły się plecy, ale duch pozostał młody, uskrzydlony wiarą i niczem nieuleczalną nadzieją. Tylko dzięki takim ludziom ruch mógł przetrwać pierwsze dziesięciolecia prześladowań i męki. Mógł skonsolidować się wewnętrznie, opanować niebezpieczeństwa rozłamów i różnic, zespolić się, zcałkować

i w olbrzymiem rozokoleniu spółczesnych ruchów robotniczych wytworzyć jądro stałe, gotowe przetrwać wszystkie przemiany atmosfer politycznych. lata suszy i głodu, a także przemijających nastrojów mas ludowych. Na nich, jak na Atlasach mitycznych spoczywał młody świat proletarjackiego dążenia przewrotowego, w którym więcej było marzenia i ułudy, niż siły i wytrwania. *Oni* być musieli, ażeby pracując za stu, wykonywając roboty Tytanów, roboty w mitologji helleńskiej herkulesowemi zwane, umożliwić młodocianemu organizmowi proletarjatu zmężnieć, urosnąć pod względem rozmiaru, ale oraz i pod względem wartości, spoistości i siły wewnętrznej. Tacy ludzie są zawsze błogosławieństwem historji, w pewnych jednak momentach są *konieczni*, są bowiem *wszystkiem*.

August Bebel urodził się w roku 1840, w koszarach wojskowych pod Kolonją. W pierwszym tomie *Pamiętników* swoich opowiedział nam bezsłoneczne dzieje młodości. Młodziutkim chłopcem odumarł go ojciec, w parę lat później odumarł go i ojczym, a stryj zarazem, dozorca więzienny. Chowała go matka, mężna, jak widać, kobieta, chowała Kuma Troska, — chowało Życie! Matka zajmowała się szyciem rękawiczek wojskowych, zarabiała 20 fenigów na dzień. August służył za chłopca w kręgielniach. Po powrocie ze szkoły chodził do zajęcia, z którego późnym dopiero wieczorem wracał do domu. Zbierał i ustawiał obalone kręgle; zajęcie było ponad siły; ciągłe schylanie się wywoływało bóle chroniczne krzyża i musiało być zarzucone. Kopał też co roku w ciągu kilku tygodni kartofle. W trzynastym roku życia odumiera go i matka. Z łaski bierze go do domu ciotka, młynarka pod Wetzlerem, gdzie August pomaga przy oprzęcie inwentarza, wymiata kurniki i stajnie. Ze świadectwem szkoły ludowej wstępuje do warsztatu najlepszego tokarza w Wetzler, którego żona była w przyjaźni z matką Augusta. Tokarz przyjął go na terminatora, mówiąc, że słyszał, jakoby miał dobry stopień z religji, a więc dobry z niego będzie robotnik. Praca trwała bez przerwy od 5 rano do 7 wieczór. Rano ponadto musiał przynosić majstrowej za dodatkową opłatą po ośm wiader wody codziennie. Za tę pracę dodatkową otrzymywał 2 fenigi dziennie. Po czterech latach został Bebel czeladnikiem i udał się na obowiązkową podówczas dla czeladników wędrówkę. Obszedł całe południowe Niemcy, bywał i w Austrji, przeszedł cały Tyrol, pracował w Salzburgu, zachodził i do Szwajcarji. Po miastach wstępował wszędzie do potężnych podówczas stowarzyszeń czeladniczych (Gesellenverein). Przewodnikami byli tam wszędzie księża katoliccy. We wspomnieniach swoich, Bebel protestant mówi o nich z rozrzewnieniem. Wspomina dobrych wikarych, którzy nie żałowali trudu, aby powiększać rozrywki czeladników. Bebel uczestniczył we wszystkich, i w kościelnych uroczystościach. Zachował wspomnienie pielgrzymki, odbytej ze stowarzyszeniem czeladników salzburskich do cudownego miejsca pod Salzburgiem, pod osłoną chorągwi cechowej ze świętym Józefem i Przenajświętszem Dzieciątkiem. Po odbytem nabożeństwie prezes, później wysoki dostojnik kościelny, uraczył pobożnych czeladników dwiema beczkami piwa, których skutek był taki, że Bebel nie mógł sobie przypomnieć jakiemi drogami święta chorągiew powróciła do Salzburga. Aliści ten sztandar cechowy nie miał zostać sztandarem jego życia.

W maju 1860 roku szukając pracy, przybywa Bebel do Lipska, gdzie osiada na długie lata, zakłada dom, rodzinę, wchodzi do życia publicznego i prędko wybija się na stanowisko przodownicze. Była to chwila w życiu publicznem Niemiec ważna i ciekawa. Po jedenaście lat trwającej reakcji politycznej zaczynało się budzić nowe życie. Amnestja, związana z objęciem rządów przez regienta (później króla, wreszcie i cesarza Wilhelma I), umożliwiła powrót do kraju setkom ruchliwych, a często i wybitnych ludzi, którzy spędzali gorzkie lata wygnania na londyńskim bruku. Wojny włoskie, bohaterskie walki rozbitego i ciemiężonego narodu pod hasłem niepodległości i zjednoczenia, zwycięstwa nad rządami zaborczemi, odnoszone wbrew przewidywaniom wszystkich ostrożnych i przezornych polityków nad „niezwalczoną“ armją austrjacką, tchnęły nowego ducha w tych, co robili rewolucję 48 roku i sromotnie ją przegrali, t. j. w mieszczaństwo niemieckie. Mieszczaństwo, pobite politycznie w 49 roku, zużytkowało jedenaście lat zupełnej ciszy politycznej na walkę ekonomiczną, zorganizowało się ekonomicznie, położyło podwaliny pod rozwój przemysłu fabrycznego i zdobyło znaczne środki materjalne. W posiadaniu wielkich środków, płacąc wielkie podatki, poczuło się mieszczaństwo uprawnionem do wyciągnięcia ręki po władzę w państwie. A wypadki włoskie ożywiły na nowo tradycje polityczne 48 roku w kierunku zjednoczenia Niemiec i oparcia ich rządów na zasadach wolnościowych. Mieszczaństwo całe, jako takie, było liberalne, musiało być w opozycji, gdyż żadnej władzy, odpowiadającej sile materjalnej, jaką przedstawiało, nie posiadało. Mieszczaństwo chcąc oprzeć swoje żądania polityczne na silnej podstawie, oglądało się za sojusznikami, i tych sojuszników z natury rzeczy widziało w miejskiej ludności pracującej, w rzemieślnikach i robotnikach.

Klasy robotniczej nie było jeszcze podówczas w Niemczech. Robotnik był ciemny, nieoświecony. Na Zachodzie, za Renem, w Paryżu, w Lugdunie robotnik staczał krwawe walki o wolność pod hasłami szkół socjalistycznych; tutaj robotnik nie słyszał o socjalizmie i o komunizmie. Bebel opowiada, że nie spotykał podówczas w Lipsku robotników, którzyby słyszeli kiedykolwiek o manifeście komunistycznym, albo o działalności Marxa i Engelsa nad Renem w roku rewolucji.

Mieszczaństwo zakładało stowarzyszenia oświatowe, do których tłumnie zapisywali się robotnicy na członków. Życie polityczne w Lipsku było bardzo żywe. Założono tu stowarzyszenie oświatowe w roku 1861. Bebel znalazł o niem wiadomość w dziennikach i zapisał się na członka. Prowadzili wykłady w stowarzyszeniu profesorowie lipskiego uniwersytetu, uczono tam stenografji, języków i rachunków. W stowarzyszeniu była opozycja, której nie wystarczały już ogólne hasła liberalne. Domagali się wyraźnego stanowiska robotniczego. Nie należał do niej Bebel. Opozycja wystąpiła i założyła stowarzyszenie „Naprzód“. Tutaj prowadzono dyskusje polityczne, domagano się ubezpieczeń na wypadek niezdolności do pracy, prawa wyborczego do sejmu, ogólno-niemieckiego parlamentu, który by się zajął kwestją robotniczą. Domagano się też ogólno niemieckiego zjazdu robotniczego, który miał „rozwiązać kwestję robotniczą“. Myśl takiego zjazdu nurtowała wszędzie, hasło rzucone w Lipsku obudziło przyjazne echo w całych Niemczech. W Lipsku wybrano komitet, który miał porozumiewać się z delegatami innych miast niemieckich. Do komitetu powołany też został i Bebel. Na wiosnę 1863 roku delegaci lipscy

udali się do Berlina. Tutaj rozmowy z liberałami rozczarowały ich. Robotnicy berlińscy zaprowadzili ich wtedy do Lassale'a, który przyjął ich najprzyjaźniej, przekonywał o nieszczerości liberałów, przyrzekał napisać broszurę, w której rozpatrzy stosunek robotnika do państwa, a komitet lipski rozpowszechni tę broszurę i zwoła kongres robotniczy. Lassale był już wówczas autorem słynnych pamfletów o „Konstytucji“ i „Programie robotniczym“, jednak Bebel nie znał nawet jego nazwiska. Rozmowy z Lassal'em przewrotu w jego poglądach nie wywołały, nie wywołała go i broszura, Bebel w mowie publicznej wypowiedział się podówczas przeciwko powszechnemu prawu wyborczemu, motywując swoją niechęć niedojrzałością polityczną robotników...

W maju 1863 roku założony został w Lipsku Powszechny Niemiecki Związek Robotniczy. Stowarzyszenia oświatowe zlały się w jedną organizację: Robotnicze Stowarzyszenie Oświatowe, którego drugim przewodniczącym obrano Augusta Bebla. Na tem dopiero stanowisku uległ Bebel radykalnej przemianie wewnętrznej: został socjalistą. Wraz z nim stowarzyszenie posuwając się coraz bardziej w lewo, oświadczyło się wreszcie jako takie, za stronnictwem socjalno-demokratycznem. Socjalistą został Bebel pod wpływem własnych rozmyślań nad życiem społecznem i jego organizacją, a największy wpływ w tym kierunku, poza imperatywną siłą życia, wywarli w tym względzie na nim Fryderyk Albert Lange, znakomity historyk filozofji materjalistycznej, a także pięknej „Kwestji robotniczej“, wielki uczony, większy jeszcze charakter i Wilhelm Liebknecht.

Liebknecht dopiero co był wrócił, po trzynastoletniej nieobecności w kraju do Berlina, skąd wydalony w roku 1865, za chlebem przybył do Lipska. I tu w sierpniu tego roku nastąpiło spotkanie dwu ludzi, którzy największy wpływ wywarli w każdym kierunku na zorganizowanie ruchu i stronnictwa robotniczego w Niemczech. Prędko też pomiędzy nimi stanęła przyjaźń, która trwała lat 35, aż do śmierci Liebknechta (7 sierpnia 1900 roku). Liebknecht był starszy o lat dwadzieścia, posiadał uniwersyteckie wykształcenie, pogłębione podczas kilkunastuletniego pobytu na emigracji, obcowaniem z Karolem Marx'em i Engels'em, a także doświadczeniem o wiele więcej rozwiniętego życia angielskiego. Bebel był młody, bez porządnego wykształcenia, samouk, doświadczenia politycznego nie posiadał. Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach Liebknecht musiał wywrzeć głęboki wpływ na utalentowanego robotnika, zupełnie już przygotowanego, społecznie i emocjonalnie, do przyjęcia socjalizmu.

Ten okres nie nastąpił zaraz. Bebel był demokratą, jako demokrata był członkiem stronnictwa ludowego i w tym charakterze został po raz pierwszy w roku 1866 wybrany do tak zwanego Północnego Parlamentu, rozszerzonego po kilku latach w ogólno-niemiecki Sejm Rzeszy. Jako demokrata, namiętnie zwalczał Prusy i Bismarka. W roku 1866, po wybuchu wojny austrjacko-pruskiej, na wiecu publicznym w Lipsku wystąpił z wnioskiem, zamienionym w uchwałę, protestującym przeciwko polityce zaborczej Prus. We Frankfurcie nad Menem, w parę tygodni później głosował znowu przeciwko „rozbójniczej, podważającej pokój świata polityce Prus“.

W parlamencie przemawiał raz jeden, w kwietniu 1867 roku, również przeciwko pruskiej hegemonji. Jednak nie w parlamencie Rzeszy północnej, gdzie oburzały go tylko i zniechęcały pycha i zaborczość junkrów krzyżackich, ale w żywem obcowaniu ze światem robotniczym, dojrzewał Bebel—polityk. Stowarzyszenia oświatowe wyzwalały się powoli, ale wszędzie z pod opieki liberalnego mieszczaństwa. Wyodrębnione, centralizowały się. W r. 1867 Bebel jest już prezesem zarządu zcentralizowanych związków robotniczych. Wybrany został przeciwko dr. Maxowi Hirsch'owi, demokracie liberalnemu; wybrano go raz dlatego, że reprezentował politykę anti-pruską, a Hirsch, berlińczyk, wydawał się delegatom robotniczym podejrzanym pod względem prusofilstwa, powtóre dlatego, że robotnicy woleli wybrać robotnika, niż liberalnego i demokratycznego inteligienta, ile że coraz większą poczynali mieć nieufność wobec demokratyzmu liberalnej inteligiencji.

Niebawem w Norymberdze związki uchwalą większością 61 związku przeciwko 32 jako obowiązujący dla siebie program międzynarodowej asocjacji robotników w Londynie. Stosunek liczbowy wskazuje, że w związkach nie było jeszcze jednolitego poglądu politycznego. Liberali, założyciele związków, czynili co mogli, aby niedopuścić do uniezależnienia się robotników od ich przeważających wpływów. Obawiali się słusznie, że ten separatyzm zaprowadzi do założenia odrębnego *robotniczego* stronnictwa politycznego, co stanowić może o ich przegranej w walce o władzę z konserwatystami. Wprowadzali zamieszanie do szeregów robotniczych, łącząc się to z katolikami, to z konserwatystami, a że ponadto, pomimo, że Lassale już nie żył, trwała dalej walka pomiędzy prusofilskimi wyznawcami *socjalizmu państwowego*, a ich przeciwnikami z Liebknechtem na czele, więc spory i scysje prowadziły w związkach robotniczych do namiętnej, często wprost fizycznej walki. Trzeba było znaleść wyjście z tej ciężkiej i beznadziejnej sytuacji i znaleziono je na drodze, prowadzącej do Marx'a i Międzynarodówki. To było dzieło Liebknechta.

Pod jego wpływem też Bebel, podówczas wcale jeszcze nie socjalista, zwrócił się do Rady Gieneralnej Międzynarodówki w Londynie z prośbą o przysłanie delegatów na zjazd do Norymbergi, na którym zapewniona większość ma przyjąć jej program „ułożony według stałych zasad i o wyraźnym kierunku“. Związek stowarzyszeń robotniczych liczył podówczas 13.000 członków. Że Bebel, nie socjalista jeszcze, szukał wyjścia z pogmatwanych stosunków robotniczych na tej drodze, to świadczy nietylko o wielkiem jego zaufaniu do Liebknechta i o talencie agitatorskim ostatniego, świadczy też o nadzwyczajnym zmyśle politycznym 28-letniego majsterka tokarskiego. Ten zmysł był najcharakterystyczniejszą jego właściwością. Przyniósł go ze sobą na świat i on przedewszystkiem zdecydował o roli, jaką ten rzemieślnik odegrał w dziejach własnej klasy, socjalizmu niemieckiego i międzynarodowego. Ten zmysł towarzyszył mu w walkach ze zwolennikami Lassale'a, ten zmysł przedewszystkiem pozwolił orjentować się w kierunkach myśli robotniczej, popierać jedne, zwalczać drugie. Ten zmysł i wielki talent praktyczny, zdolność do konkretnego myślenia, nieprzyćmionego djalektyką abstrakcyjnego rozumowania sprawiły, że potrafił w szeregach robotniczych, nietylko w drobnych związkach, zakładanych przez liberałów, ale w olbrzymich stowarzyszeniach, w stronnictwie, liczącem sto tysięcy a później i wiele set tysięcy członków, nietylko zająć, ale co ważniejsza i trudniejsza, *zacho-*

wać przodujące stanowisko. Nie zawsze świeciło słońce. Bywały lata ciężkiej próby. Pod rządem kilkanaście lat trwającym ustaw wyjątkowych, udało się Bismarkowi stronnictwo polityczne zdeptać i niemal na proch zetrzeć, wybory do parlamentu kończyły się nieraz porażką (tak, ostatnio jeszcze w 1907 roku), walki wewnętrzne osłabiały stronnictwo bądź w postaci usuwania z partji anarchizujących inteligientów, bądź walki z rewizjonizmem — Bebel z każdej takiej sytuacji, w której wodzowie zdają ciężki, a nieraz i śmiertelny egzamin, wychodził obronną ręką.

Przedewszystkiem polityk i praktyk życiowy, rozwiązywał wszystkie te teoretyczne zagadnienia ze stanowiska praktycznego interesu robotników jako klasy i jako stronnictwa. Rozumowania filozoficzne i głębokie uzasadnienia socjologiczne pozostawiał młodym doktorom i starym talmudystom. Sam nie zajmował się teorją i natura umysłu jego trzymała go zdaleka od zwodniczych, ku niebiosom poznania prowadzących ścieżek. *Szarą jest wszelka teorja*, powtarzał ten mądry rozum robotnika, *zieleni się natomiast wiecznie młode drzewo życia*. Pod wpływem Liebknechta i później na emigracji w Zurichu, wyrobił sobie Bebel filozoficzny pogląd na świat w duchu tak zwanego ortodoksyjnego marksizmu i temu poglądowi pozostał wierny do śmierci. Dlatego we wszystkich walkach z rewizjonistami stał zawsze po stronie Kautsky'ego i jego szkoły, nieprzejednanych integralnych marksistów. Ale ten pogląd nie przeszkadzał mu, gdy chodziło o konkretne interesy polityczne. Nie brzydził się sojuszami w walce politycznej (nawet „z djabłem", *selbst mit dem Teufel*, zwykł był mawiać), nie wahał się czynić w tym kierunku wszystko, co było możliwem, aby socjalistę Scheidemanna posadzić na fotelu prezydjalnym parlamentu niemieckiego. Przypominał pod tym względem innego wielkiego praktyka socjalistycznego, Wiktora Adlera w Wiedniu—wielkiego prócz tego djalektyka, który nietylko pozwala delegować towarzysza Pernerstorfera do prezydjum parlamentu wiedeńskiego, nietylko pozwala mu chodzić w delegacji na audjencje u Franciszka Józefa, ale nawet podważa zasadniczy postulat parlamentarnej taktyki socjalistycznej: każe głosować za podjęciem dyskusji budżetowej.

Popularność Bebla w szeregach robotniczych, tak łatwo poddających się nastrojom chwili, (co prawda, są to *robotnicy niemieccy*), pozostawała zawsze taką samą. Rywalizował pod tym względem jedynie tylko z rówieśnikiem swoim, Ignacym Auerem († 1907 r.). Niepozbawionym interesu będzie szczegół, że Auer — był rewizjonistą. Robotnicy kochali i wielbili jednaką miłością obu, bez względu na ich przekonania filozoficzne i polityczne. Instynkt pouczał ich, dlaczego obu kochać należy. Nie mylili się.

Stanisław Posner.

(D. n.)

Nasza produkcja wydawnicza.

Mieczysław Rulikowski. Materjały statystyczno-bibljograficzne. I. Produkcja wydawnicza polska w latach 1909—1911. Warszawa, 1913. Skład główny w księg. E. Wendego i Sp.

P. Mieczysław Rulikowski, sumienny bibljograf i historyk teatru polskiego, zbiera od kilku lat dane, dotyczące naszej produkcji wydawniczej. Ważnym elementem są tu obliczenia statystyczne, chociaż bowiem w warunkach naszych trudno w tej dziedzinie o zestawienia matematycznie dokładne, to jednak materjał dowodowy nie traci na swej wartości nawet przy pewnych, drobnych lukach. A przyznać należy, że p. Rulikowski zabrał się do pracy z całą świadomością szkopułów. Książka jego zawiera szczegółowe tablice i wnioski syntetyczne, uwzględniające polską produkcję wydawniczą w latach 1909, 1910 i 1911.

Przeciąg czasu, rozważanego przez p. Rulikowskiego zbyt jest krótki, aby słusznem było podkreślanie fluktuacji liczbowych z roku na rok. Zakwestjonować również można potrzebę wciągania do ratunku wydawnictw polaków w językach obcych. Wykaz tych wydawnictw sporządzany jest zarówno w „Przewodniku Bibliograficznym" jak w „Książce" na zasadzie polskiego jedynie brzmienia nazwiska autora. Wiemy dobrze, jak bardzo taka metoda jest zawodna: zarówno w bibljografji niemieckiej, jak francuskiej pełno jest nazwisk polaków, którzy nic wspólnego nigdy nie mieli ani z nauką, ani z literaturą polską. Dla czegoż prace ich mają być zaliczone do dorobku polskiej kultury? Natomiast przekłady z polskiego (o ile nie ukazały się na obszarze etnograficznym polskim) nie weszły do obliczeń p. Rulikowskiego. Dla czego? Bo taki jest już zwyczaj u wszystkich bibljografów w Europie. To są jedyne zastrzeżenia, jakiebym uczynił omawianej pracy. Po za tem wykonana została niezmiernie starannie.

Ile książek wydajemy rocznie? Około $3^1/_2$ tysiąca (3333 w roku 1909; 3723 w r. 1910; 3391 w roku 1911). Znaczenie tych cyfr wykazaćby mogło dopiero procentowe zestawienie z innemi krajami cywilizowanemi. Niestety, p. Rulikowski materjałów odpowiednich nie znalazł. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż taką ilość książek wydaje naród dwudziestomiljonowy, to cyfra nie okaże się zbyt imponującą. Co innego jednak powiedzą te cyfry, gdy się zastanowimy nad tem, że aż tyle książek wydaje rocznie naród, pozbawiony niepodległości, podzielony na trzy zabory, rozbity na kilka emigracji, posiadający tylko w jednej dzielnicy uniwersytety polskie, skrępowany najcięższemi warunkami bytu. Był czas (przed rewolucją), gdy Galicja wydawała znacznie więcej książek, niż Królestwo; obecnie te stosunki zmieniły się znacznie, jak wskazuje następujący wykaz procentowy za trzy omawiane lata

Królestwo, Litwa, Ruś . . .	56,25%
Galicja i Śląsk austr. . . .	37,89 „
Poznańskie	2,8 „
Zagranica	2,36 „
Ameryka	0,13 „
Bez miejsca wydania . . .	0,57 „

W wykazie tym uderzają smutnie dwie wymowne cyfry: niezmiernie drobna produkcja wydawnicza w Poznańskiem (zaledwie 2,8% całości) i zupełnie nieznaczna w Ameryce (0,13%), gdzie przecież mieszka aż kilka miljonów polaków. Niski poziom umysłowy emigrantów naszych w Ameryce czyni zrozumiałym poniekąd ten słaby procent ich wydawnictw własnych. Ale zatrważające wprost są nasze stosunki wydawnicze w Poznańskiem, gdzie mieszka przecież około 18% wszystkich polaków.

Bardzo ciekawe są również tablice p. Rulikowskiego, wykazujące naszą produkcję wydawni-

czą według miast. Stwierdzają one, że mieliśmy w latach sprawozdawczych zaledwie 23 miasta, które wydały więcej niż 9 dzieł rocznie, a zaledwie dziesięć miast, które wydały ponad trzydzieści druków. Te ostatnie cyfry warte są przytoczenia. W r. 1911 wydały:

Warszawa	1501	druków
Kraków	675	„
Lwów	480	„
Łódź	119	„
Wilno	104	„
Poznań	75	„
Częstochowa	47	„
Złoczów	34	„
Kijów	32	„
Tarnów	30	„

Stolica Wielkopolski wydaje więc o trzydzieści blisko druków mniej, niż Wilno, w którem do niedawna jeszcze wydawnictwa polskie były rzadkością...

To są rezultaty prześladowań pruskich, znacznie może więcej niepokojące, niż ich robota kolonizacyjna.

Najważniejsze w wykazach p. Rulikowskiego są cyfry, które pouczają co wydajemy, to jest co czytamy? Oczywiście należałoby przytoczyć całe tablice, aby dać wierny tych stosunków obraz. Poprzestać musimy na kilku uogólnieniach, które przez swą jaskrawość mówią więcej, niż suche wykazy. Otóż zarówno dziś, jak dawniej, na pierwszem miejscu co do ilości druków stoją wydawnictwa teologiczne (219 w r. 1909; 370 w r. 1910; 264 w r. 1911). Książki dla ludu zajmują trzecie miejsce według liczby dzieł (około 200 rocznie); powieści -- czwarte lub piąte miejsce (około 200 druków rocznie); poezja — mniej więcej dziesiąte (około 100 druków rocznie); książki dla młodzieży i dzieci — mniej więcej szóste miejsce (około 170 rocznie); kalendarze—dziewiąte miejsce (około 140 rocznie); medycyna — siedemnaste miejsce (około 100 dzieł) i t. d.

P. Rulikowski usiłował także poinformować i o ilości egzemplarzy wydawanych dzieł. Za podstawę obliczeń wziął wykazy urzędowe, zanotowane w wydawnictwie rosyjskiem „Kniżnaja letopis" na zasadzie obowiązujących deklaracji drukarskich. Nie jest to źródło absolutnie pewne, ale bądź co bądź daje jakie takie dane co do zaboru rosyjskiego. Wynika z tych zestawień, że np. w r. 1910 wyszło w samem Królestwie Polskiem 1 mil. 189,150 egzemplarzy książek teologicznych; kalendarzy w tym samym roku wydano w Królestwie 938,585; książek dla ludu — 665,808; powieści — 135,213; podręczników — 354.600 egz.; literatury sensacyjnej — 233,000 (!); książek dla młodzieży— 221,500; publicystyki—105,670 i t. d. Razem wydano w Królestwie w r. 1910—4,665,701 egzemplarzy książek. Odpowiednich cyfr, dotyczących innych zaborów nie posiadamy. P. Rulikowski spróbował obliczeń przypuszczalnych, które mogą mieć, naturalnie, znaczenie niewielkie. Wziąwszy pod uwagę, iż każda książka wydana została w Królestwie Polskiem przeciętnie w 2,777 egz. i przypuściwszy, że taką samą przeciętną można stosować do innych zaborów, otrzymał autor książki następujące liczby egzemplarzy wydanych we wszystkich trzech zaborach, zagranicą i w Ameryce:

W r. 1909	8,582,022
„ 1910	9,999,956
„ 1911	9,340,530

Wypadłoby z tych cyfr, że dla dwóch polaków przeznacza się u nas rocznie mniej więcej jedna książka, a śród tych książek każda piąta będzie albo książką teologiczną albo też... kalendarzem. Taki wniosek nasuwałby zestawienia p. Rulikowskiego, gdybyśmy mogli stwierdzić, że wszystkie wydane książki rozchodzą się śród czytelników. Niestety, wiemy, że ilość makulatury gnijącej po składach księgarskich jest przerażająca i gdybyśmy mogli mieć z tamtej strony dane, okazałoby się może, że jedna książka czytana wypada zaledwie na dwudziestu polaków, a śród tych książek piątą część stanowić będą zawsze książki teologiczne i—kalendarze...

Jan Lorentowicz.

Cienie.

Znowu dusza do dawnej zatęskniła chwili
I znowu żal powraca z obczyzny dalekiej...
Drżą w płaczu złotorzęse zimnych gwiazd powieki,
W wądoły dróg tajemnych toń morza się chyli.

Mewy, szalone lękiem, serce niepokoją
Biciem osłabłych skrzydeł nad mroczną głębiną,
Strwożone stado ptaków—dumy moje płyną
W wiecznem szlochaniu fali na pamiątkę twoją...

I myśl się łamie ciężko w walce z zapomnieniem,
Fala płacze najcichszem pośród burzy łkaniem...
— My, falo, nie dogonim—my już tu zostaniem,
Stłumieni w nicość żalu za rozwianym cieniem...

Mgła pękająca w żarach ostudzi kamienie,
A, jako mgła, czar rzeczy niebywałych pryska,
Popioły wicher wywiał z krwawego ogniska
I pójdą pustką świata—cienie, cienie, cienie...

W trupiej bladości mroku widzę je, przytomnie
Męce dalekich tułactw od brzegu do brzegu,
Duchy fal nieujętych, niewstrzymanych w biegu,
Bezmogilne po zgonie, jak były bezdomne.

U stóp mych dzika woda w odsepów stawidła
Wkłębia się głuchym jękiem, jadem piany chlusta...
Jeszcze krok—dal przedemną i za mną dal pusta —
Nic—jeno zgasłe zorze i złamane skrzydła!

Jutro zwodnicze szlaki świt w topieli wytka,
Jak nad otchłanią mogił złotych ziół kobierce,
Jak wczoraj urodzony ptak, poleci serce
Śladem zmarłego wczoraj tam ptaka—rozbitka.

O ptaku burzy mówią tajemnicze baśnie,
Co z bieli pian go rodzi rozszalała woda,
Że kiedy w pierwszym locie piersi wichrom poda,
To już nie może spocząć, nim—na wieki zaśnie.

Jest bezsenny, jak fala—jak wichr, niepochwytny,
Nikt go śmiertelnym wzrokiem nie oglądał zblizka,

Niema na żadnym brzegu gniazd ni żerowiska —
Nic — oprócz białych skrzydeł i dali błękitnej.

Tleje w sobie, jak krwawe meteoru ciało,
Gasnące z sykiem męki w bezdennej topieli,
I, wracając, żeglarze: „otośmy widzieli“...
Szepcą białemi wargi: „a słowo się stało!“

A kiedy fala z szumem pęka na głębinie,
To jakby Bóg odwalił ciężkie wieko trumny,
Serce drży... słychać łoskot jakby skrzydeł—szumny
I w wiecznej skardze morza krzyk—wołanie płynie!...

Na wolnym kędyś stepie tak jęczą kurhany —
W głuchem nocy milczeniu, poznają je ślepce
Po głosie, którym ziemia nad grobami szepce,
O doli przeminionej i dumie przewianej.

Mówią o ptaku baśnie, że, gdziekolwiek padnie,
Otwarta czeluść wiru nazawsze zostaje,
Odwieczne szlaki tęsknot, odlotów wyraje,
Ptakom wędrownym w dale znacząca dokładnie.

Czemu nie moim żalom, gdy je męka żenie
W gwiazd spadłych, w ptaków zmarłych głuche uroczyska?
Czar niebywałych rzeczy, jak ty, falo, pryska
I pustką świata idą—cienie, cienie, cienie.

Michał C. Bielecki.

⊳○○○○○○○○⊲

Na marginesie.

Gospodarz i lokator.

„Prosię drze wór i kwiczy“—mówi stare polskie przysłowie. Komu nie przychodzi ono na myśl, gdy rozmawia z kamienicznikiem wileńskim?

Człek ten w przekonaniu własnem jest srodze przez los krzywdzony. Gnębią go podatki, prześladują instytucje publiczne, eksploatują mieszkańcy. Słowem wszystko dokoła spiknęło się na nieszczęśliwego kamienicznika, który jest wprost ofiarą naszych wadliwych stosunków.

Nic też dziwnego, że biedak broni się, jak może.

— Mieszkanko wynajmę — powiada—ale kontrakcik będzie pan łaskaw podpisać.

Czytam ów „kontrakcik“ i resztki włosów stają mi dęba. Zda się, że nieboszczyk Twardowski mógł z lżejszem sercem podpisywać cyrograf, niż czyniłby to lokator wileński, gdyby miał czas odczytać cały sążnisty formularz, uprzejmie mu podsuwany przez kamienicznika-ofiarę.

Przedewszystkiem uderzają tu terminy opłaty czynszu. Półroczne: 15 września i 15 kwietnia. Gospodarza nic nie obchodzi, że zwykły śmiertelnik, zwykły człowiek pracy, wynagrodzenie otrzymuje miesięcznie; że do tego stosują się już właściciele domów we wszystkich miastach europejskich. Mieszkaniec Wilna, chcąc zapewnić sobie dach nad głową, czyli zaspokoić jedną z najpierwszych potrzeb—musi odrazu popaść w długi.

Lecz to nie dosyć; bo jeżeli na termin pożyczki nie uzyska i na czas haraczu nie wniesie, gospodarz—zgodnie z brzmieniem kontraktu — ma prawo wyrzucić go każdej chwili (bodaj w nocy) i zlikwidować sobie komorne aż do końca roku.

Wszystkie sprzęty lokatora umowa poczytuje za zastaw. Z mieszkania, które za pół roku zgóry opłacił, nie wolno mu nic wynieść, nic sprzedać, nic podarować. Jeśli zdejmę ze ściany obraz i zrobię z niego prezent memu przyjacielowi, gospodarz—w myśl kontraktu—ma prawo zatrzymać onego obdarowanego przyjaciela i kazać mu odnieść upominek z powrotem. Dalej zobowiązuje się lokator, że w danem mieszkaniu przebywać będzie liczba osób, ściśle zgóry określona. Daje to gospodarzowi władzę interwenjować, jeśli np. Pan Bóg komuś błogosławi i rodzinę jego powiększa. Chcąc postępować lojalnie, winien lokator prosić gospodarza o pisemne zezwolenie na przybycie każdej nowej pociechy, a w razie dubeltowego przychówku, jedno z bliźniąt oddawać do przytułku.

Gdy się zważy, iż 95% lokalów wileńskich są to stare, smrodliwe, zapuszczone rudery, że brak w nich światła, wentylacji i jakichkolwiek urządzeń, służących higjenie i estetyce — kapitalnym wydać się musi piąty, najobszerniejszy punkt szablonowego kontraktu. Stawia on lokatorowi cały szereg wymagań w kierunku właśnie higjeny i estetyki. Paragraf ten żąda, by mieszkanie—po rocznej używalności—nie nosiło żadnego jej śladu, by—rzec można — odświeżyło się, odnowiło. Staranie o to ma być naczelną troską lokatora. Jeśli opala mieszkanie, to nie po to, by mu było ciepło, jeśli wentyluje, to nie dlatego, iż pragnie oddychać świeżem powietrzem, lecz że zabiegów tych wymaga dobro lokalu... etc.

Wreszcie dodać trzeba, że lokator, podpisując umowę, czyni to nie tylko w imieniu własnem, ale też swoich sukcesorów.

Jednostronność kontraktu tego jest rażąca, karykaturalna. To też poczciwe życie najczęściej z tych papierowych strachów nic sobie nie robi, co wychodzi na złe tak jednej, jak i drugiej stronie. Unormowanie wzajemnego stosunku, wzajemnych zobowiązań lokatora i gospodarza należy do ogólnego prawodawstwa. Atoli ustawy rosyjskie posiadają na tym punkcie luki olbrzymie. Stosunkowo mało w Rosji rozwinięte życie miejskie i rozrzucenie nielicznych miast na olbrzymich przestrzeniach o rozlicznych stadjach kultury—wielce utrudnia stworzenie zasadniczych norm dla sprawy „mieszkaniowej“. Dużo też zapewne czasu upłynie, zanim będą mogły wejść w życie jakieś jednolite przepisy—bodaj tylko podstawowe.

Z tego względu kwestję mieszkaniową, a w szczególności prawidła najmu, wziąć w ręce swe powinny samorządy miejskie. Jeśli nie okazują one w tym kierunku inicjatywy, to z pewnością dlatego, że — wedle praw istniejących — miastami rządzą wyłącznie kamienicznicy, którym wszelka reforma grozi ograniczeniem dotychczasowej samowoli.

Skoro się jednak zważy, iż samowola ta wnosi tylko anarchję, a doprowadzona do absurdu (jak wskazują kontrakty wileńskie) obustronny interes oddaje na łaskę i niełaskę przypadku — powstaje pytanie, czy zarządy miejskie nawet w swym obecnym składzie nie potrafiłyby wymyślić pewnych norm, o tyle o ile rozumnych i uwzględniających interesy nietylko kamieniczników.

Możeby o tem pomyśleć zechciał i nowy zarząd naszego miasta?

Behra.

PRASA POLSKA.

— Nowaczyński swem słynnem gwizdaniem na romantyczną trójcę zachęcił rozmaitych neopozytywistów do naśladowania go i szkalowania najpiękniejszych kart przeszłości narodu. Szczególniejszą gorliwość wykazują w tym względzie jak to zwykle neofici—świeżo nawróceni ugodowcy z obozu p. Dmowskiego. P. Marylski w № 219 „Gazety Warszawskiej“ czyni następujące odkrycie historyczne:

„Roku 5814 żydowskiego i masońskiego, a naszego 1810 żydzi przez organizację wolnomularskie wkradli się do naszego życia narodowego, roku 5824, a naszego 1830 r. wszechludzkie organizacje pchnęły nasz naród do niepolitycznej walki, roku 5844, a naszego 1830 wszechludzkie organizacje pchnęły nasz naród do niepolitycznej walki, roku 5864, a naszego 1860 międzynarodówka wywołała nieszczęsne zbratanie się z żydami i rok 186:, roku 5909 a naszego 1905 taż międzynarodówka wylała morze krwi“...

Przytaczając ustęp powyższy, umiarkowany i bardzo pobłażliwie się zapatrujący na karkołomne harce endecji „Tygodnik Polski“ nie posiada się z oburzenia i zapytuje:

„Po co się to pisze? Do czego to zmierza? Z jakich motywów wynika?

Nie dla czczej polemiki, nie dla chęci usłyszenia mniej lub bardziej „ciętej“ odpowiedzi — pytanie to zadajemy.

Tu chodzi z znacznie ważniejsze sprawy.

Jeżeli się świadomie (bo o nieświadomości nie może być naturalnie mowy) szerzy informacje rzędu powyższego, to nie można nie mieć w tem celu głębszego, a przedewszystkiem nie można nie wiedzieć, komu się przysługi czyni. Chyba, że się zupełnie utraciło równowagę myśli. I tak jest.

Cel walki z żydami nie może tutaj służyć ani za wytłumaczenie, ani za wyjaśnienie. Bo dosyć jest chyba pól do zwalczania ich wpływów, aby jeszcze wynajdywać urojone tereny ich działania.

Całe sto lat dziejów narodowych podaje się w poniewierkę, uczy się pogardzać faktami historycznemi, do których najkrytyczniejsi badacze odnosili się przynajmniej z szacunkiem, piętnuje się, jako służbą wpływom obcym bohaterskie walki najgorętszych patryjotów i najrozumniejszych obywateli, zrywa się nić rozwoju narodowego dla dogodzenia niepojętej wprost chęci obniżenia każdego wysiłku w kierunku odrębności politycznej.

Obojętność społeczeństwa naszego, odurzanego systematycznie w kierunku tłumienia wszelkich żywszych reakcji, przechodzi szybko do porządku dziennego nad rewelacjami, jakich podana wyżej cytata odsłania rąbek.

Czas jednak z tą obojętnością zakończyć. Zamilczanie wystąpień i oświadczeń, świadczących o zupełnym zaniku szacunku względem bohaterstwa własnego narodu i jego przeszłości, usiłujących zohydzić każdą próbę zdobycia lepszego bytu, pragnących wychować młode pokolenie w zupełnem oderwaniu od jakichkolwiek aspiracji dalej idących, — nareszcie zakończyć się musi. Zdrowym wiedziona instyktem odsunęła się już dawno, i jaknajdalej, młodzież polska od ognisk, skąd takie ku niej nauki spłynąć miały. I temu zawdzięcza, iż po szeregu lat pełnych szamotania się wewnętrznego, lat odosobnienia i rozterki, zdołała stanąć nanowo na twardym gruncie zdrowo pojętych obowiązków narodowych i że w oczach naszych zespala się i całkuje około ideałów niezmiennych narodu polskiego. W tymże kierunku idą i pozostałe, najliczniejsze grupy społeczeństwa. Lud zorganizowany — oddawna zerwał wszelkie nici z ośrodkami oportunizmu i wstecznictwa, wyparł się jawnie i otwarcie wszelkiego z nimi związku. A choć jednostronna demagogja, na tle sprawy żydowskiej wyrosła, usiłuje go na nowo pozyskać, poczynania te, zaiste, nie na długą zdadzą się metę; już dzisiaj mnożą się oznaki, dowodzące, iż prócz konieczności oparcia się nawale żydowskiej lud jeszcze inne konieczności życia swojego narodowego pojmuje i realizować pragnie. A tych nie wskażą mu ludzie, stający wpoprzek wszelkim idejom i poczynaniom emancypacyjnym.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, iż mamy dzisiaj w kraju obóz, którego kierownicy uważają za swój obowiązek tłumienie wszelkich pierwiastków istotnego uświadomienia narodowego, którzy nie gardzą żadnym środkiem zniweczenia wszelkich prób wzmocnienia odrębności naszej, którzy za wroga narodu, wysługującego się interesom obcym, uważają każdego, kto o ową odrębność dba i politycznemu unicestwieniu naszemu tamy stawiać pragnie.

W chorej atmosferze ostatnich lat doszedł ten obóz do zupełnej aberacji i robi dzisiaj wrażenie zastępu manjaków, rzucających się na wszystko i na wszystkich, którzy znienawidzoną ideję przypominają“.

Słuszne uwagi powyższe wypada o tyle skorygować, że określenie rzeczonej formy obłędu jako manjactwa nie odpowiada ogólnie przyjętej terminologji psychopatycznej. Daleko właściwszą jest djagnoza, zawarta w tytule artykułu: furioso.

⊳oooooooooo⊲

Protest litwinów.

Jak było do przewidzenia, memorjał Komisji Tymczasowej z powodu ustępu, poruszającego kwestję Litwy, wywołał protest ze strony nacjonalistów litewskich.

Litewskie biuro informacyjne w Paryżu, którego kierownikiem jest p. J. Gabrys, przesłało na ręce sira Edwarda Greya następującą deklarację.

„Polska Komisja Tymczasowa w memorandum, przedstawionem naradzie ambasadorów w Londynie wyraziła życzenia, aby do Polski, oswobodzonej przez wielkie mocarstwa, została przyłączona i Litwa.

Wobec tego mamy zaszczyt oświadczyć:

1) iż żadna grupa ani partja polityczna litewska nie upełnomocniła komisji do występowania w jej imieniu przed naradą ambasadorów.

2) w razie, gdyby prośba Polskiej Komisji Tymczasowej była uwzględniona przez naradę londyńską, litwini proszą:

a) wobec różnic etnograficznych pomiędzy nimi a polakami,

b) wobec precedensu unji historycznej Litwy z Polską, w czasie której Polska postępowała, jako nieuczciwa sojuszniczka, zdradzając Litwę i pozbawiając ją paru prowincji,

c) wobec teraźniejszych tendencji polskich do spolonizowania Litwy, wszelkiemi środkami, nawet przemocą,

d) wobec tego, iż Litwa nie sprzyja Polsce w jej przygotowaniach do buntu przeciw Rosji z zamiarem wywołania komplikacji międzynarodowych i

e) wobec tego, iż Litwa dąży tylko do szerokiej autonomji administracyjnej (szkoły, sądy, uniwersytet w Wilnie, sejm narodowy i t. p.), osiągniętej w drodze legalnej a nie siłą zbrojną

o uznanie prośby Polskiej Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy za nieważną.

Prosimy W. Ekscelencję o zakomunikowanie tej deklaracji naradzie posłów“.

Właściwie deklaracja powyższa nie zawiera niczego nowego. Intencje i argumentacja nacjonalistów litewskich znane są nam aż nadto dobrze. Po raz pierwszy tylko zostały one sformułowane dobitnie i wyłożone przed forum Europy. Znaczenia realnego deklaracja nie posiada, jak nie posiada go również memorjał Komisji Tymczasowej.

„Kurjer Krajowy“ zapałał jednak oburzeniem i wystosował płomienne wezwanie pod adresem postępowców litewskich, by ci zaznaczyli publicz-

nie, iż się nie solidaryzują z wystąpieniem Biura prasowego. Jakoż na łamach tegoż „Kurjera Krajowego“ niepodpisany litwin złożył oświadczenie w tym duchu, chociaż w formie nie zbyt kategorycznej. Natomiast odezwało się w obszernym artykule „Viltis“ z gorącą aprobatą deklaracji, wyraźnie podkreślając lojalne stanowisko większości społeczeństwa litewskiego wobec państwowości rosyjskiej, co do tego stopnia wzruszyło redakcję „Wilenskij Wiestnik“, iż złożyła w przystępie rozczulenia charakterystyczne wyznanie:

„Przeżyty okres zamieszek, gdyśmy ujrzeli i poczuli niechęć do nas inoplemieńców, wzburzył i uczynił nas podejrzliwymi. Drżąc o swą własność historyczną, myśmy nawet własny swój rząd zaczęli oskarżać o brak uczuć narodowych. Lecz wszyscy my czujemy, jak ciężko jest żyć na stanowisku warty bez zmiany. Pragniemy pokoju, zgody i pracy kulturalnej. I dlatego z takiem uczuciem radości stwierdzamy wszelki objaw ze strony inoplemieńców, dający nam przebłysk wiary i nadziei, iż wreszcie jakgdyby znaleziony został ten zasadniczy punkt ugody, wobec uznania którego reszta—to drobiazg“...

Deklaracja więc litewska, przeznaczona dla konferencji ambasadorów w Londynie znalazła oddźwięk w redakcji półurzędowca wileńskiego. Zapewne też osiągnięcie tego właśnie skutku miała na celu.

⊳ooooooooo⊲

KRONIKA.

= Aleksander Jabłonowski.

W pobliżu Odesy zmarł Aleksander Jabłonowski, znakomity historyk, prezes Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, członek krakowskiej Akademji Umiejętności, autor całego szeregu cennych dzieł naukowych.

Aleksander Jabłonowski ur. w 1829 roku we wsi Gozlinie, w dawnej ziemi Czerskiej z ojca Piotra i matki Marjanny z Piotrowskich. W latach 1837 — 1842 uczęszczał do szkoły powiatowej w Drohiczynie nad Bugiem, a w latach 1843—1847 do gimnazjum w Białymstoku. W 1847 r. wstąpił 18-letni wówczas młodzieniec na wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu w Kijowie. Studjował tam slawistykę oraz dzieje i język Ukrainy. W 1849 r. przeniósł się na uniwersytet w Dorpacie, gdzie przez trzy lata studjował historję powszechną oraz filologję i lingwistykę klasyczną i giermańską.

Po ukończeniu studjów uniwersyteckich w 1852 roku Jabłonowski przedsięwiął cały szereg podróży. Rozpoczął je od podróży po Słowiańszczyźnie. W tym czasie powstały jego prace: „O prowincjonalizmach (etnograficzno-historycznych) w dawnej Polsce“ i „Rodzina w Polsce i jej rozwój historyczny“.

W 1859 r. udał się do Berlina, gdzie wznowił studja nad historją powszechną oraz począł badać dzieje Bizancjum. Potem studja prowadził w londyńskiem British Museum.

W paryskim „Przeglądzie rzeczy polskich“ drukował uwagi krytyczne nad budzącym ongi wielkie zainteresowanie poglądem etniczno - historycznym Franciszka Duchińskiego. Z Londynu udał się do Brukseli, a potem do Paryża, gdzie uczęszczał do Sorbony.

Później bawił w Pradze, uczęszczał w Wiedniu na wykłady słynnego slawisty, Miklosicza, wreszcie przebywał w Zagrzebiu, Rjece i Djakowarze, zapoznając się z działalnością biskupa chorwackiego Strossmajera.

Po zwiedzeniu Słowiańszczyzny południowej, Turcji, Grecji i Włoch, powrócił do kraju. Warszawę opuścił wkrótce z rozkazu władz i zamieszkał na Ukrainie, gdzie zajmował się nauczycielstwem, nie zaniedbując i pracy naukowej. W tym okresie opracował „Koleje dziejowego zrzeszania się słowian“.

Zesłany w r. 1867 do głębi Rosji, po roku powrócił i zamieszkał w Warszawie już na stałe. Tu rozpoczął systematyczną, wytrwałą pracę naukową, przerywaną tylko dalekiemi i ciekawemi podróżami naukowemi. Pisał do wielu czasopism. Z tego czasu pochodzą różne prace historyczne, etnograficzne i opisy podróży.

W r. 1875 podjął z Adolfem Pawińskim myśl wydawnictwa opracowanych archiwaljów p. t. „Źródła dziejowe“. To pomnikowe wydawnictwo przekroczyło liczbę kilkudziesięciu tomów. W wydawnictwie p. t. „Teki Pawińskiego“ brał też Jabłonowski wybitny udział.

Niezależnie od godności prezesa Warsz. Tow. Nauk. i członka krakowskiej Akademji, Jabłonowski spotykał się z uznaniem i śród obcych.

= Braki piśmiennictwa polskiego.

Warszawski miesięcznik bibljograficzny „Książka“ wystąpił z projektem ankiety której myśl poddał znany poeta, Antoni Lange, i zwraca się do wszystkich interesujących się losami piśmiennictwa ojczystego, wszystkich specjalistów czy to naukowych, czy praktycznym zajęciom oddanych, wszystkich techników, handlowców, rzemieślników, artystów i t. d. upraszając, aby zechcieli „Książkę“ zawiadomić o brakach dzieł w języku polskim w ich gałęzi pracy. Idzie tu przedewszystkiem o stworzenie fundamentalnej literatury podręcznikowej z zakresu robót praktycznych, tak, aby wszystkie możliwe dziedziny wiedzy i zajęć praktycznych były w należyty sposób obsłużone i zaspokojone. Pożądany materjał może być rozmaity i da się podzielić na trzy główne kategorje:

1) Humanistyka: filozofja, lingwistyka, literatura, historja, geografja i etnografja, prawo, ekonomja i socjologja, estetyka i t. d.

2) Nauki ścisłe: matematyka, mechanika, astronomja, chemja, fizyka, gieologja i mineralogja, biologja, antropologja, higjena i t. d.

3) Zajęcia praktyczne: technologja, budownictwo, rolnictwo i ogrodnictwo, przemysł fabryczny, rzemiosła i rękodzieła, handel, banki i finanse, górnictwo, historja wynalazków i techniki i t. d.

Należy zawsze uwzględnić trzy stopnie każdego wykładu: elementarny, średni, wyższy (uniwersytecki). Przedewszystkiem zaspokojone być muszą wymagania stopnia pierwszego i drugiego; stopień najwyższy tymczasowo obsłużony jest wykładami profesorów we Lwowie i Krakowie. Nadto byłoby do życzenia określić, jakie w danej gałęzi potrzebne są dykcjonarjusze, atlasy, albumy, zbiory modeli i in. rysunków i t. d.

Formularza szczegółowego ankieta nie podaje. Chodzi o zapełnienie rubryk następujących: imię, nazwisko oraz adres (nieobowiązkowo); zawód-specjalność; desiderata; jaka książka (jakie książki) w danej dziedzinie jest potrzebna? jakiego stopnia prace są pożądane? jakie dzieła pomocnicze (słowniki, atlasy, albumy i t. d.).

„Książka“ rozpisuje tę ankietę na przeciąg 6 miesięcy, t. j. do 15 grudnia b. r. Odpowiedzi należy przesyłać pod adresem: „Redakcja Książki, księgarnia E. Wende, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 9“.

= Kto tworzy opinję publiczną w Rosji?

Ks. Meszczerskij w „Grażdaninie“ zwraca uwagę, że choć nawet nietykalność poselska jest w Rosji kwestjonowana, jednak istnieje w państwie pewien organ opinji, który jest dla władz policyjnych nietykalnym. Organem tym jest „Nowoje Wremia“. Redaktor „Grażdanina“ miał w tej sprawie, jak pisze, taką rozmowę niedawno z jednym z urzędników:

— „Kiedy „Grażdanin“ ośmielił się zażartować z żandarmów, oddano go pod sąd, kiedy zażartował z p. Bieleckiego — dostał się pod sąd, a „Nowoje Wremia“ ośmielało się obrażać ministra Sazonowa i politykę Monarchy — i wasi Jowisze nie odważyli go się ruszyć“.

— „Nowoje Wremia“ to organ opinji publicznej; nie można go ruszać—odpowiada urzędniczyna“.

— „Nigdy „Nowoje Wremia“ nie było organem opinji publicznej, to organ nieboszczyków, kokot, kucharek i tępych urzędników—odparł książę“.

— „To właśnie jest opinja publiczna — odpowiedział urzędnik“.

= Aresztowanie redaktora.

W Lublinie aresztowano redaktora „Ziemi Lubelskiej“, p. Daniela Śliwickiego. Aresztowanie nastąpiło na skutek rozkazu gienerał-gubernatora warszawskiego, skazującego redaktora „Ziemi Lubelskiej“ na trzymiesięczne bezwzględne więzienie za szereg artykułów: „O oświatę polską“, zawierającego krytykę szkoły nienarodowej; „Dokąd“ nawołującego maturzystów, aby nie jeździli do uniwersytetów na Zachodzie i w Rosji, lecz do Galicji i „Nie sobie“ podkreślającego wartość wychowawczą szkolnictwa polskiego.

Aresztowanemu dano 10 minut na uregulowanie swoich interesów.

— Oświadczenie „centrum obywatelskiego".

W „Dzienniku Kujawskim" zamieszczone zostało poniższe oświadczenie t. zw. „centrum obywatelskiego":

„Za stanowisko Bazaru, za dobrowolny udział panów i pań w uroczystościach zamkowych czyni się odpowiedzialnem całe ziemiaństwo.

„Zarzuty te krzywdzą w wysokim stopniu szerokie koła ziemian, przeciwstawiających się polityce i taktyce ziemian, przeciwstawiających się polityce i taktyce ziemian, złączonych w tak zwanem kasynie.

„Uchwałą swą i działaniem kasyno wprowadziło społeczeństwo w błąd, odbijający się na reszcie ziemiaństwa.

„Wobec tego oświadcza centrum obywatelskie, w którego skład wchodzi znaczny odłam ziemiaństwa, w związku z odezwą z zeszłego roku w sprawie wywłaszczenia i z rezolucją wiecu generalnego w Inowrocławiu co następuje:

„Solidaryzując się z całem patrjotycznie czującem społeczeństwem naszem potępiamy ubliżające godności narodowej manifestacje niczem nieuzasadnionej lojalności, złączone z przyozdobieniem Bazaru i dobrowolnym udziałem w uroczystościach dworskich.

„Stwierdzamy, że w umiłowaniu ideałów ojczystych i w sposobach ich obrony niema rozłamu pomiędzy olbrzymią częścią ziemiaństwa naszego a społeczeństwem polskiem".

Za zarząd i wydział ściślejszy centrum obywatelskiego: *Władysław Grabski, Bolesław Brodnicki, Leon Pluciński*".

— Powody zamknięcia.

Z powodu zamknięcia niedawno „Klubu ukraińskiego" w Kijowie, złożona została skarga do senatu z równoczesnem podaniem senatowi przez administrację przyczyn zamknięcia klubu. Dowiadujemy się z aktu urzędowego, że powodem zamknięcia było: 1) śród członków zebrano 12 rub. 69 kop. na pomoc stowarzyszeniu studentów wyższych zakładów naukowych, 2) w lokalu wywieszone było ogłoszenie, wzywające członków do mówienia po małorusku, 3) w protokułach są wzmianki o konieczności idejowego wychowywania dzieci, 4) klub wysłał telegram do tow. „Proświta" we Lwowie z powodu 40-letniego jubileuszu, 5) klub przesłał akad. Szachmatowowi w Petersburgu i Korszowi w Moskwie telegramy za poświęcenie uwagi pamięci Szewczenki.

— Nowy środek przeciwko prasie.

Przed paru tygodniami w Narwi sąd śledczy aresztował redaktora gazety „Kiżr", p. Arma, pociągniętego do odpowiedzialności z art. 1039 i 1040 kod. karn. (Zniesławienie i obelgi).

P. Arm odzyskał wolność po złożeniu 1,000 rub. kaucji. Archaiczny art. 1039, nadzwyczaj dogodny dla wytaczania procesu redaktorom przez osoby, obawiające się ujawnienia publicznego swych czynów (artykuł powyższy niedopuszcza dowodu prawdy, o ile idzie o honor osoby prywatnej)—jak się okazuje obecnie—może być z powodzeniem stosowany dla wywierania nacisku na redaktorów pism opozycyjnych.

Ponieważ nigdy, żaden sędzia śledczy nie wymagał w takich sprawach złożenia kaucji przez oskarżonego, „Riecz", otrzymawszy o tem wiadomość, zwątpiła o jej prawdziwości. Jednakże wiadomość niebawem została potwierdzona.

— Zmiana ambasadorów.

W Wiedniu dokonywa się obecnie ważna zmiana w składzie tamtejszego ciała dyplomatycznego. Ustępuje p. Giers, ambasador rosyjski, a jego miejsce zająć ma p. Szebeko z Bukaresztu. Opinja wiedeńska—niewiadomo czy trafnie — łączy z tą nominacją oraz zamierzonym wysłaniem do Petersburga hr. Szaparego nadzieję gładszego ukształtowania wzajemnych stosunków.

Większe zainteresowanie w prasie europejskiej wzbudza druga zmiana. Mianowicie ustępuje ambasador angielski w Wiedniu, sir Fairfax Cartwright. Następcą jego mianowano sira Mauryca Bunsena, który dotąd reprezentował imperjum brytyjskie jako ambasador w Madrycie.

Z urzędowej strony angielskiej donoszą, że sir Cartwright opuszcza Wiedeń ze względów czysto prywatnej natury. Niema powodu niewierzyć tym zapewnieniom. Dotychczasowy ambasador angielski w stolicy monarchji habsburskiej cieszył się bowiem aż do ostatniej chwili wielkiem zaufaniem swego rządu. Mimo to przecież ogólne zaciekawienie budzi ta zmiana.

P. Cartwright do Wiednia przybył w czasach aneksyjnych gdy długoletnia śpiączka dyplomatyczna Europy znikła od jednego razu i ustąpiła miejsca po dziś dzień trwającemu rozdrażnieniu, które nierychło się uśmierzy. Sytuację miał więc nowy dyplomata na terenie wiedeńskim niełatwą, tem bardziej, że reprezentował państwo, którego opinja publiczna zwracała się gwałtownie przeciw Austro-Węgrom — państwo należące do trójporozumienia, będące jego ostoją i osią, a reprezentował je w chwili, gdy kontrast między trójporozumieniem a trójprzymierzem doczekał się pierwszego wyrazu w polityce czynnej. Kampanja bałkańska razem z następczą konferencją ambasadorów w Londynie przyniosły ambasadorowi angielskiemu również nie łatwe zadanie. Sir Cartwright wywiązał się z niego w sposób taktowny i zręczny i teraz, ustępując, zostawia swemu następcy pole o wiele swobodniejsze, niż z początkiem swej pracy wiedeńskiej.

Być może, iż ta okoliczność tłumaczy zwolnienie Cartwrighta. Utrzymują jednak niektórzy, iż jest to objaw polepszenia stosunków między Anglją a Niemcami.

Cartwright był swego czasu wysłany do Wiednia przedewszystkiem w tym celu, aby pracować dla polityki odosobnienia Niemiec, zainicjowanej i systematycznie przeprowadzanej przez króla Edwarda. Cartwright był też w samej rzeczy wrogo dla Rzeszy niemieckiej usposobiony. Nigdy z tem się nie taił i podobno główną jego jest zasługą, że Wiedeń zachował się obojętnie podczas ciężkiego i groźnego konfliktu marokańskiego, który przed dwoma laty wybuchł pomiędzy Francją a Niemcami i który przybrał takie rozmiary, że wojna europejska zawisła faktycznie tylko na włosku. Rządowi swemu, niemniej republice francuskiej oddał naówczas Cartwright ogromne usługi, a prasa niemiecka gwałtownie domagała się jego odwołania z Wiednia, zarzucając mu, że jest jednym z najzacieklejszych wrogów Niemiec.

Dziś stosunki między Niemcami a Anglją znacznie się poprawiły, ale mimo to „Berl. Tageblat" zauważa, że Niemcy rade widzieć ustąpienie takiego nieprzejednanego przeciwnika, jakim zawsze i na każdym kroku był sir Fairfax Cartwright.

Nowy ambasador angielski w Wiedniu, sir Maurycy Bunsen, ma opinję wytrawnego, rutynowanego dyplomaty. W Madrycie wszystkich sił dokładał, aby doprowadzić do porozumienia pomiędzy Francją a Hiszpanją w sprawie marokańskiej i jeżeli ugoda przyszła ostatecznie do skutku, podobno jego głównie jest zasługą.

⊳oooooooo⊲

Sprostowanie.

Do artykułu „Sto lat temu a dzisiaj" (№ 30—31) wkradło się parę błędów drukarskich, które na tem miejscu prostujemy.

Na str. 7, szpalta II, wiersz 17 od góry czytać należy „Tomasz Padurra".

W wierszu 16-ym od dołu czytać należy „Aleksander Napoleon Dybowski". Broszurę swą wydał w r. 1846.

Treść numeru.

Tragifarsa poznańska — L. A.
Czarna lista.
Gospodarka szkolna w Galicji — J. Krz.
Stulecie pracy kobiet holenderskich — M. Dąbrowski.
August Bebel — St. Posner.
Nasza produkcja wydawnicza—J. Lorentowicz.
Cienie — M. C. Bielecki.
Na marginesie — Behra.
Prasa polska.
Protest litwinów.
Kronika.
Odcinek: „Bajki jesienne". — Wł. L. Ewert.

⊳oooooooo⊲

Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny Zofia Ostrokiewicz

Rok II. Wilno, 13 (26) września 1913 r. № 35—37.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Pierwszy krok.

Nasze życie społeczne tak jest ubogie i jałowe, że najmniejsza fala, ukazująca się na jego spokojnej powierzchni, stanowi już zajmujący przedmiot obserwacji dla oka, znużonego jednostajną martwotą gładkiej toni. Zawszeć to ruch, życie!

Wybory do Rady Państwa, które się świeżo odbyły w Wilnie, wniosły nieco ożywienia i urozmaicenia w bezbarwną atmosferę naszego bytowania społeczno-politycznego.

Wybory do Rady Państwa, mające charakter wyłączności klasowej, a nawet kastowej — z natury rzeczy nie mogą budzić większego zaciekawienia z punktu widzenia ogólnych interesów społeczeństwa czy też kraju. Działalność tej „starczej“ instytucji, polegająca jedynie na hamowaniu nawet tych nieśmiałych odruchów reformatorskich, na jakie się zdobywa od czasu do czasu Duma Państwowa — ma zbyt ustaloną reputację, by można było przywiązywać jakąkolwiek wagę do roli przedstawicieli polskich, zasiadających z namaszczeniem w wygodnych fotelach pałacu Maryjskiego.

Gdyby nawet posłowie do Rady Państwa — polacy, chcieli uprawiać politykę opozycyjną—nie zmieniłoby to w niczem faktycznego stanu rzeczy. Nie mówiąc już bowiem o wpływie realnym na wynik ustawodawstwa państwowego, to lub owe stanowisko reprezentacji polskiej w Radzie Państwa, pozbawione jest nawet znaczenia moralnego, zasadniczego, ze względu na ciasny klasowy charakter instytucji. O przejściu jednak do szeregów wyraźnej opozycji posłów polskich nie może być mowy, zważywszy na środowisko, które ich wyłania. Wielka własność ziemska o wybitnie zachowawczych tendencjach pod względem społecznym i przesiąknięta oportunizmem politycznym wymaga od swych przedstawicieli przedewszystkiem i niemal jedynie obrony interesów obszarnictwa. Wszelka idejowość w tej sferze uważana jest za niedojrzałość.

Z tego względu poruszona w prasie przez ustępującego posła wileńskiego p. Al. Chomińskiego kwestja przynależności reprezentacji polskiej do t. zw. centrum w Radzie Państwa dotyczy raczej zmiany taktyki parlamentarnej i nie może stanowić zagadnienia zasadniczego. Zarówno zwolennicy pozostania nadal w łonie centrum, jak jego przeciwnicy, przemawiający za utworzeniem odrębnej grupy polskiej przekonaniowo nie różnią się między sobą zbytnio i wyznają ten sam katechizm polityczny.

Jeżeli więc wybory wileńskie obudziły większe zaciekawienie i wywołały pewne poruszenie w opinji publicznej — to nie z powodu ich treści programowej, lecz wyłącznie ze względu na osoby kandydatów, należących do jednego obozu konserwatywnego.

Wprawdzie wybrany znaczną większością głosów p. Stanisław Łopaciński, właściciel wielkich obszarów w gub. witebskiej i wileńskiej zaliczył siebie w rozmowie z dziennikarzem rosyjskim do „umiarkowanych postępowców“, lecz określenie to, dzięki niewyrobionej u nas terminologji politycznej, jest bardzo rozciągłe i trudno określić gdzie się kończy *umiarkowany* postęp, a zaczyna *łagodna* reakcyjność.

P. Łopaciński piastował już mandat do Rady Państwa z gub. witebskiej i na tem stanowisku żadnych tendencji postępowych nie zaznaczył. Był w zgodzie z resztą przedstawicielstwa polskiego, któremu przewodniczył p. Hipolit Korwin - Milewski, którego wszakże o aspiracje wolnościowe posądzać nie sposób. Na zebraniu przedwyborczem nie żądano od kandydatów ściślejszego wyznania wiary i nikomu zresztą nie przychodziło do głowy wdawać się w subtelności programowe.

Przypuszczać wolno, że p. Łopaciński uczynił ten giest, jak na nasze stosunki nie pozbawiony pewnej wolnomyślności, w tym celu głównie, aby podkreślić różnicę, dzielącą go od jego kontrkandydata p. Stanisława Wańkowicza, popieranego usilnie przez wpływową klikę, dzierżącą w swem ręku Bank Ziemski.

Trudno znaleść bardziej odpowiednią nazwę dla tej grupy ludzi, która wszakże nie stanowi stronnictwa politycznego, a która jednak występuje wszędzie solidarnie i której wpływ jest widoczny w rozmaitych dziedzinach życia społecznego.

Walka, a raczej rywalizacja pomiędzy obu kandydatami do Rady Państwa, nie była bynajmniej przejawem zmagania się dwuch prądów idejowych,

nurtujących w łonie naszego ziemiaństwa, lecz wyrazem starcia się kliki „bankowej“, narzucającej od dawien dawna swą wolę biernemu ogółowi szlachty, z opozycją, buntującą się przeciwko tej nieuzasadnionej hegiemonji.

Zwycięstwo, odniesione przez opozycję niezależną ułatwiło wystawienie przez klikę kandydatury p. St. Wańkowicza, ex-posła do II i III ej Dumy, mającego ustaloną opinję wstecznika i skrajnego ugodowca. Parę niefortunnych momentów w działalności poselskiej uczyniły w oczach ogółu osobę p. Wańkowicza mocno niepopularną. Natomiast p. Łopaciński cieszy się powszechną sympatją. Niewątpliwie miał też nowy poseł znaczną przewagę nad swym przeciwnikiem, jako wykształcony prawnik i znany działacz społeczny na polu ekonomicznem. Oczywiście, to wszystko zapewniło p. Łopacińskiemu ogromna większość głosów.

Że jednak nie chodziło w tych wyborach o kwestję zasadniczą różnic programowych, świadczy o tem fakt charakterystyczny, iż p. Wańkowicz został wybrany jako zastępca czy następca p. Łopacińskiego, co rzecz prosta, jak to słusznie zresztą zauważył sam poseł, wyklucza przeciwstawianie jednego drugiemu.

Nie można więc na świeżo dokonane wybory wileńskie żadną miarą się zapatrywać jako na porażkę dotychczasowego kierunku polityki naszych agrarjuszów. W głównych swych linjach pozostanie ona bez zmiany. Nawet jeżeli dojdzie do skutku *exodus* grupy polskiej z centrum, nie nabierze ona cech bardziej opozycyjnych. Trudno nawet wymagać, aby posłowie w Radzie Państwa się radykalizowali, gdy posłowie w Dumie wkraczają coraz bardziej na tory oportunizmu politycznego.

Jedynie z punktu widzenia sanacji naszych stosunków wewnętrznych, wybory wileńskie zasługują na uwagę. Protest przeciwko komendzie z góry i niezależność opinji publicznej są bezwątpienia zjawiskiem dodatniem i świadczą o budzeniu się krytycyzmu w kołach ziemiańskich. Jest to pierwszy krok na drodze uświadomienia społeczno-politycznego, które czas już wielki, aby zastąpiło dotychczas panujący światopogląd oparty na bezpartyjnym indyferentyzmie, a kompromisowość podnoszący do rzędu cnót ewangielicznych.

L. A.

Wzgląd nieznany.

Zdarzył się fakt, napozór bardzo niezwykły, oryginalny. Oto wszechniemcy wystąpili z żądaniem zamknięcia granicy dla imigracji żydów ze wschodu, a postulat ów poparli miejscowi izraelici „sfer wyższych“. Dzienniki zanotowały ten fakt, nie zaopatrując go w żadne komentarze; poprostu jako curiosum. Tymczasem jest to zjawisko niemal typowe i wymagające omówienia ze względu już choćby na to, że może ono rzucić nieco światła na żywotną dziś kwestję żydowską.

Solidaryzowanie się pewnych sfer izraelickich z poszczególnemi ofiarami antysemityzmu jest zjawiskiem dość pospolitem. Zwłaszcza w naszych stosunkach można je było kilkakrotnie już zaobserwować w całej wyrazistości. Wiadomo np., że w Warszawie pierwsi wrogo odnieśli się do „litwackiego najazdu“ żydzi miejscowi. Powodowała nimi w pierwszym rzędzie obawa wzmożonej konkurencji na polu handlowem. Pozatem jednostki bardziej przewidujące lękały się wzrostu antysemityzmu. Z tych dwu pierwszych pobudek zrodziły się następnie rozliczne kolizje idejowe, a niejedną z nich żywcem obecnie przejęła t. zw. „akcja bojkotowa“.

Bliższy i charakterystyczniejszy przykład mieliśmy tu na Litwie. Gdy przed kilku laty odbywał się zjazd rabinów, wypowiedział się on stanowczo przeciw otwarciu granicy osiedlenia. W uldze tej widziała sfera zainteresowana, t. j. kasta kapłańska niebezpieczeństwo dla swoich wpływów. Żydzi rozproszeni po niezmierzonych obszarach państwa rosyjskiego, gnieżdżący się pojedynczo lub małemi grupkami, przestaliby tworzyć zwartą owczarnię, jedynie podatną do strzyżenia i trzymania w zależności.

Trzecim wreszcie przykładem, na który specjalnie chcę tu zwrócić uwagę, jest dzisiejszy stosunek do tej samej sprawy (*czerty osiedłości*) żydów rosyjskich i kokietującej z nimi rosyjskiej prasy liberalnej.

Ilekroć pisma polskie podnoszą kwestję istniejącego *ghetta* i wskazują, że jego zniesienie sta-

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT.

Bajki jesienne.

KOBIETA.

...A wtedy Przewładny Sziwa Burzący zbudował zamek potężny ze złomów granitowych zwalonych, o ścianach trzystu, o rowach trzystu... A w mury wtłoczył parangony tak wielkie, iż słońca promienie stokrotnie przez nie odbite, osnuły go wieńcem płomiennym, iż w blasku ich zginął zupełnie.

A wokół zamku tego rozsadził lasy potężne, rozrzucił złomy skaliste, urwiska strome, przepaście czarne. I cisnął wstęgi rzek wartkich, głębie jezior błękitnych, płachty moczarów zdradnych...

Poczem posłał swą Chytrość układną i Moc swą potężną, by te na czatach stanęły.

A kiedy zesłane przez Wisznu Twórczego Szczęście człowiecze zstąpiło na ziemię, podeszła doń Chytrość układna i rzekła, oczy łzą zamglone podnosząc:

— Wysłuchaj mnie. Składam u stóp twoich moją prośbę korną. Wejrzyj na mnie. Otom wtłoczona w proch ziemski, i smutkiem władnym, jak żelazo, przeżarta. Spójrz na mnie. Jam Bogom równa być mogła, a jako trawa u stóp twoich się chwieję. A kwiat każdy trucizną mi zionie, a kamyk w górę urasta...

I pochyliło się Szczęście człowiecze, ramiona białe wyciągając, i mówi:

— Jam dla ciebie zesłane. Chłoń mnie oczyma, bom twoje jest. Tul mnie ramiony, bo do ciebie należę. Od dziś łzy zamrą w kącikach oczu twoich, a śmiech srebrzysty...

Lecz w tej chwili skoczyła nań Moc Sziwy Potężna, ramiony zgniotła i w zamek uniosła.

I ucieszył się w sercu swoim Sziwa Burzący, bo wiedział, że dwóch Szczęść niema.

. . . .

I było życie...

I było życie, jak wężów splot zaplątany, co kły jadowite, trucizny pełne wyszczerza.

I było życie, jako róża kraśna, z której listki opadły, a kolce w szpony urosły.

nowi pierwszy warunek przywrócenia stosunków normalnych, broniące żydów dzienniki rosyjskie widzą w tem jasno przejaw antysemityzmu polskiego, chęć rugowania „spółobywateli“ i tym sposobem wykręcają się zręcznie od omawiania zagadnienia, tak doniosłego—zdawałoby się— dla każdego liberała.

Zwracaliśmy już w „Przeglądzie“ uwagę na dziwną pobłażliwość wolnomyślicieli rosyjskich względem tamtejszego rodzinnego antysemityzmu, znajdującego wyraz w stosowanych do żydów represjach państwowych. Otóż kluczem, pozwalającym rozwiązać tę zagadkę, może być wspomniane wyżej stanowisko „wyższych sfer“ żydowskich w Niemczech.

Trzeba sobie nareszcie uświadomić, że zniesienie granicy osiadłości byłoby bardzo nie na rękę tym nielicznym, ale zamożnym i wykształconym żydom, którzy obecnie korzystają z wyjątkowego prawa mieszkania w Cesarstwie. Zjawienie się w Rosji olbrzymiej rzeszy biedaków pociągnęłoby za sobą cały szereg skutków, zgoła niepożądanych dla benjaminków dzisiejszego systemu.

Przedewszystkiem wcale nie uśmiecha się nielicznym potentatom finansowym, kupcom pierwszej gildji, użeranie się z falangą drobnych, groszowych spółzawodników, lecz co najważniejsze może — to obawa całego ogółu żydów rosyjskich, że wraz ze zjawieniem się w Cesarstwie pospólstwa izraelickiego, czyli ze zniesieniem obecnego przywileju jednostek, nie tylko wzrośnie antysemityzm, ale też obniży się stanowisko żydostwa w oczach jego dzisiejszych przyjaciół.

Bo pamiętać trzeba, że choć owi przyjaciele stanowią grupę nieliczną, ale są to druhowie, jakich żydzi nie posiadają nigdzie na świecie.

Wolnomyślny, humanitarny rosjanin, znający tylko śmietankę wybranego narodu — ludzi postępowych, wykształconych, słowem europejczyków —w prześladowaniu Izraela widzi walkę ciemnoty ze światłem, przyziemnej nikczemności z szlachetnemi porywami ducha ludzkiego. W środowisku tem żyd stał się niejako symbolem sponiewieranego człowieczeństwa; uważany jest i sam się uważa za pjoniera lepszej przyszłości.

A że w dodatku ci izraelici, co prawo mieszkania w Rosji posiadają, ulegają faktycznie drobnym już tylko szykanom ze strony władzy—więc nagół stanowisko ich jest bardzo wygodne. Szanuje ich lewica, daje pokój prawica; czegóż więcej żądać!

Uległoby to wszakże radykalnej zmianie, gdyby obok wybrańców pojawił się nagle w Rosji motłoch żydowski — ciemny, fanatyczny, konserwatywny, będący nie reprezentacją Europy, ale jej zaprzeczeniem. Rozwiałyby się nagle rozmaite legiendy i nastąpiłby radykalny upadek obecnego stanowiska.

Dlatego też napewno twierdzić można, że żydzi uprzywilejowani, osiedli w Cesarstwie, zmiany ograniczeń dzisiejszych bynajmniej sobie nie życzą. Nie pragnie tego również i rosyjska prasa liberalna. Przedewszystkiem obawia się ona także wzrostu antysemityzmu społecznego; a pozatem niewątpliwie zdaje sobie sprawę, że otoczenie dotychczasowych wybrańców izraelickich przez tłum parjasów może ją tylko osłabić. Dotąd wybrańcy owi ją tylko popierają zarówno pracą, jak kieszenią. W przyszłości zaś musieliby poparcie to dzielić.

Stanowisko „wyższych sfer“ żydowskich w Niemczech odsłoniło nam kruche fundamenty solidarności narodowej. Przykład jest tem cenniejszy, że powszechnie uważa się izraelitów za zespolonych wyjątkowo mocno i gotowych do ofiar dla utrzymania jedności. Nadto fakt ten pozwala odszukać nieznane jeszcze sprężyny rosyjskiej polityki antysemickiej.

Warto zwrócić na nie uwagę zwłaszcza w chwili obecnej, gdy „trudowicy“ podejmują akcję dla obrony praw „obcoplemieńców“ — i gdy na ostatnim kongresie sjonistycznym tak dużo mówiono o bojkocie warszawskim, a tak mało (jeśli nic wcale) o granicy osiadłości i innych podobnych kwiatkach ustawodawstwa rosyjskiego.

Józef Sorokowicz.

I było życie, jako słońca promienie, co w czas południa na pustyni płoną.

I było życie, jako las czarny w noc mroźną.

Aż pojął starzec pewien, który w górach mieszkał, młodość w walkach, a życie w myślach strawił, iż tak dalej być nie może.

I zeszedł z gór swych, by Szczęścia szukać, a kiedy ujrzał zamek Sziwy Groźnego, gdzie Szczęście człowiecze, zdławione, śmiercią powolną konało, to łzę uronił...

Poczem siadł pod drzewem hardem, które sploty konarów mocnych ku niebu słało i dumać zaczął...

. . . .

Przez rojne tłumy, obłędne żądzą złota, pijane zawiścią marną, szedł Starzec z Gór, szukając Sława. A wszędzie, gdzie stąpił—z pod nóg jego wysuwały się gady oślizgłe, czerwie ohydne, strumyki krwi dla złota wylanej, ruczaje łez, w niechęci spłakane...

Widmem Cnoty obłudnej wygnano Rozkosz, Chytrością chłodną Szał zdławiono...

I szedł Starzec z gór, pytając o Sława, a odpowiedzią mu było:

— Nie wiemy.

Jeno błysk oczu, jeno westchnienie, a blady rumieniec, co twarze smęcił, były mu znakiem, iż żyje jeszcze Tęsknota.

I szedł Starzec z Gór nizinami żyć ludzkich, brukanych błotem, kraszonych kupną słodyczą.

Aż doszedł do górskiej doliny, co w łonie swem modre taiła jezioro, gdzie Sławo przebywał.

. . . .

I wyszła na spotkanie Starca z Gór ta, którą Sławo nad inne ukochał, na łonie której głowę kładł do spoczynku, której usta pieścił, a dłonie tulił.

I rzekł Starzec z Gór, co młodość w walkach, a życie w myślach strawił:

— Gdzie Sławo?

— W góry poszedł, by lutnię swą złotą w śniegach oczyścić. ...Lecz czego chcesz, Starcze?

I odparł Starzec:

— Przychodzę z Gór. Przeszedłem przez życie. Nadeszła walki godzina. Szukamy Sława. On jeden świat może ocalić.

I błysnęły dumą oczy tej, którą Sławo nad inne ukochał, na łonie jej głowę do spoczynku kładł, a usta pieścił, i rzekła z mocą:

WOLNOŚĆ WEWNĘTRZNA.

„Wolność polityczna nie gwarantuje jeszcze wolności wewnętrznej, której jest, może, więcej... w Rosji“ (niż w Austrji).

B. Lebiediew.

„Ruskaja Mołwa“ № 232.

Ideałem wolności zarówno, jak i ideałem szczęścia, jest harmonja świata zewnętrznego z wewnętrznem „ja“ jednostki, bo wolność człowieka, jednostki społecznej, nie jest i nie może być czemś bezwzględnem, oderwanem, całkowitem.

Miljardy odcieni zachodzi w stosunku świata zewnętrznego do poszczególnych jednostek i tych ostatnich — do otaczających je zjawisk i ludzi. Można przeto mówić o różnych odcieniach wolności, jak i różnych stopniach szczęścia osobistego, lecz oddzielać „ja“ wewnętrzne jednostki od świata zewnętrznego, w którym żyje i mówić o specjalnej „wolności wewnętrznej“ — to absurd.

„Człowiek — pisze A. Labriola w swych „Przyczynkach do ujęcia meterjalizmu dziejowego“ — rozwija się i tworzy siebie samego nie jako istota, obdarzona rozwojowo pewnemi atrybutami, które powtarzają się lub rozwijają w pewnym, racjonalnym rytmie, lecz tworzy siebie i rozwija się równocześnie, jako przyczyna i skutek, jako twórca i wynik określonych warunków, wytwarzających określone prądy idei, poglądów, wierzeń, wyobrażeń, oczekiwań, zasad.“

To też wolność wewnętrzna może być tylko odpowiednikiem, odbiciem wolności zewnętrznej. Gdzie wolności zewnętrznej, politycznej, społecznej niema, tam nie może być mowy o żadnej innej wolności, tam może być tylko miraż, ułuda niewolnika, lub chaos i anarchja. Nie może też być wolności politycznej i społecznej — tam, gdzie niema poczucia prawa i obowiązku społecznego. Bo wolność — to nie swawola, nie anarchja, nie możność robienia, jak kto chce, a koordynowanie osobistych chceń, dążeń z chceniami, dążeniami innych członków społeczeństwa, narodów z narodami.

O wolności wewnętrznej, jako kategorji odrębnej i niezależnej, mogą mówić i pisać tylko ci, co co o wolności istotnej nie mają pojęcia, lub jej nie pragną. Wolność ta jest dla nich rodzajem narkotyku, haszyszu, który pomaga im zapominać o warunkach istotnych, w jakich żyją, lub wybiegiem gruboskórnego samolubstwa.

Krajem, w którym najwięcej, może, mówi się o wolności wewnętrznej jest — Rosja. I jest to ogromnie charakterystyczne. Tam, gdzie wszelkie urządzenia społeczne płynęły zzewnątrz, gdzie naród jako taki, był tylko objektem, ciastem, urabianem w te lub inne formy, gdzie wolność i inicjatywa społeczna — nie istniały, gdzie jednostka ludzka była zawsze niczem — zjawia się pojęcie „wolności wewnętrznej“.

I to jedno już świadczy o jej istocie i treści. Nie wolność to, z czynu płynąca, lecz anarchja myśli i słowa.

„Myśl — pisał Carlyle — prowadzi nie do aktu, lecz do bezgranicznego chaosu, pożerającego siebie samego“. Jest to paradoks tylko, lecz w stosunku do warunków życia rosyjskiego, skazanego na jałową bezczynność, ma wszelkie cechy prawdy.

Jedynemi normami społecznemi życia rosyjskiego były: „byt po siemu“, „słuszat' i ispołniat'“, „rady starat'sia“, jedyną dozwoloną formą protestu „plewat' na wsio“, nasze: „kiwanie palcem w bucie“.

Normy te skuwały społeczeństwo nazewnątrz, jak obręcze żelazne, lecz nie spajały. Nie wyrabiały one instynktu społecznego, nie mogły one wyrobić opinji publicznej, tego prawa niepisanego, a żywego, które ma taką moc twórczą i kształcącą w Anglji.

Przeciwnie, dbały one, by naród pozostawał rozproszkowany, luźny.

I rzeczywiście — poza promieniem bata i zdala od cyrkułu, jednostki ludzkie w Rosji, mogły żyć i żyły bezwolnem bezprawiem, a społeczeństwo stanowiło miljony jednostek, związanych niewewnątrz, a zewnątrz — przez machinę państwową.

Na tle tego odosobnienia, tej obcości spo-

— Więc zbawi!

I pobiegła ku skalnej drożynie, skąd lutni dźwięki spływać poczęły właśnie, a gdy Sławo się ukazał w ramiona go wzięła i szeptać poczęła:

— Nadeszła walki godzina, o Sławo! Przyszedł po ciebie Starzec z Gór i mówi, iż ty jeden świat zbawić potrafisz. Wszak pójdziesz? A gdy zwycięski powrócisz, twe rany biedne ramiony koić będę, zmęczone czoło usty upieszczę, a piersi me białe, żądzą brzemienne, na piersiach twych zatrzepoczą miłośnie, jak nigdy. O zbawco mój cudny, o wodzu chwalny, wszak pójdziesz?

A Sławo wziął w dłonie jej głowę śliczną i odparł:

— O droga! Czyż źle nam we dwoje? Pocóż mieszać się w walk życiowych smętek i wchodzić w ży ie?

— A oni? Czyż nędza ich nie wzywa ku twemu bogactwu?

— Jeżeli padnę zwyciężony w boju?

— Ty paść nie możesz! Zabiłeś smoka i zwalczyłeś Sziwę. Ty paść w boju warnym nie możesz... Zwyciężysz.

. . . .

A kiedy schodzili po skalnej drożynie ku życiu, tak mówił Starzec do Sława:

— Zamku, który szczęście człowiecze zamyka, moc twa nie zburzy. Tu krwi ofiarnej potrzeba. Więc zadmij w róg twój srebrzysty, a gdy się zbierze huf zbrojnej młodzieży, którą włada przemożna Tęsknota, to rzućcie miecze. I idźcie ku zamkowi, dłońmi własnemi burząc zapory. A gdy ujrzycie krąg błyskotliwy, wspomnijcie krzywdy nasze i bóle, męki ofiarne, złudy bolesne — i płaczcie. A z łez waszych opar powstanie, co słońce kryje, a stracą blask parangony i zamek ujrzycie. Bo mało jest mocy, co łzie woja hardego dorówna. Baczcie jeno, by w łkaniu mocy nie stracić... A kiedy już zamek ujrzycie, to niechaj każdy, — ty pierwszy to winieneś uczynić,—wbije sztylet ostry w swe piersi, gdzie serce się mieści, a strumyki krwi waszej ku murom spłyną, i w proch je rozmyją. Bo nie masz mocy ponad krwi potęgę...

A Sławo spojrzał ku górze, gdzie jeszcze widniała sylwetka blada tej, którą nad wszystko ukochał, której usta pieścił, westchnął, prośbę jej wspomniał i rzekł:

— Niechaj się stanie!

łecznej — powstała śród inteligiencji rosyjskiej iluzja „wolności wewnętrznej“, a właściwie chaos, anarchja myśli.

Choroba i kalectwo społeczne, zostały ogłoszone za ideał zdrowia.

Brak instynktu społecznego i poczucia prawa oraz obowiązku za „wolność“.

Znakomitą ilustracją kryterjów społecznych, a właściwie aspołecznych — Rosji — jest „bosiaczestwo“ i stosunek doń intieligiencji.

Faworytem inteligiencji rosyjskiej, stała się nie jednostka, która nawiązuje nici społeczne, lecz która je rwie, niszczy.

„Niech wszystko przepada do djabła! — woła jeden z bosiaków Gorkija. — Niech cała ziemia spłonie, lub rozpadnie się na kawałki. Jest mi to zupełnie obojętne, byle bym ja zginął ostatni i mógł patrzeć wprzód na śmierć innych“.

„Chciałbym się czemś odznaczyć — mówi drugi. — Rozbić chyba ziemię całą na miazgę, lub zebrać szajkę towarzyszy! Lub też wogóle — coś takiego, żeby stanąć ponad ludźmi i plunąć na nich z wysokości... i powiedzieć im: Ach, wy, oszuści obłudni, i nic więcej! A potem... na dół... z góry i... w puch“!

Oto jak uzewnętrznia się w myśli i słowie wyzwolona... tylko z nakazów bata, lecz pierwotna i dzika jeszcze dusza rosyjska.

Jest to śmiałe. Tak. Jest to egzotyczne. Racja. Syci burżuje Zachodu doznają przy czytaniu takich rzeczy uczuć tak miłych, jak łechtanie po podeszwach. I to prawda. Lecz to nie wolność, nie kwiat życia społecznego.

Buntująca się przeciw uciskowi i bezprawiu rządu — myśl rosyjska, nie posiadająca żadnych norm społecznych, sama popada w chaos, lub bezprawie, błąka się po manowcach. Przewartościowywanie zza kraty więziennej cudzych wartości i jałowa krytyka rządu — stały się błędnem kołem, w których od lat całych krąży — zrozpaczona lub znudzona. Słowo stało się jedynem jej dziecięciem i bożyszczem.

W dziedzinie zaś czynu inteligiencja rosyjska jest — jak pisał St. Brzozowski (Przełom w literaturze rosyjskiej — „Głosy wśród nocy“) — „doskonałym wzorem zamaskowanego na abstrakcyjny prometeizm dziejowo twórczego paraliżu“.

Szybować przecież pokoleniami w krainie abstrakcji, żyć tylko ową „wolnością wewnętrzną“— nie sposób. Życie wymaga czynu, gdyż inaczej grozi mu rozkład.

I inteligiencja rosyjska coraz więcej poczyna odczuwać t. j. szukać dróg do życia. A że dróg tych oraz koniecznych norm społecznych — wewnątrz, w samych pokładach społecznych niema, boć „obszczyna“ nie zadawala dziś najmniej wybrednych, że jednym kręgosłupem Rosji jest państwo, więc dokoła państwa poczyna się myśl rosyjska skupiać.

Dziś działalność pp. Milukowów jest jeszcze dwulicowa. Chce i z frazesem nie zrywać i o czyn się kusi, bo jest słaba, bo się dopiero formuje. Lecz przyszła kulturalna i państwowa inteligiencja rosyjska będzie miała oblicze wyrazistsze, a dla nas groźne.

My, którzy lubimy ładne i gładkie frazesy i którzy chętnie ich używamy, gdy chodzi o to, by wykpić się od trudu, wysiłku, mozołu — uprzytomnić sobie tę zmianę winniśmy.

Wi-ski.

Harcerstwo polskie.

W życiu młodzieży polskiej harcerstwo odegrywać zaczęło w ciągu ostatnich paru lat znaczną rolę. Od chwili zapoczątkowania ruchu postępy jego, przynajmniej ilościowe, są wręcz zadziwiające. „Nowe“ hasła, w danym wypadku będące zaprzeczeniem tego, co ogół zwykł potępiać, jakto słabości, braku woli i t. p., oddziałały i óddziaływują przyciągająco na szerokie koła; oprócz tego zaś usilna reklama pewnej części prasy ułatwia skautingowi dalszy pochód tryumfalny, usposabiając doń przychylnie starsze społeczeństwo.

Trudno się dziwić, że w tych warunkach młodzież, zwłaszcza szkolna, nieco bezkrytycznie rzuca się w objęcia tak gorąco popieranego zew-

---

Poczem róg srebrzysty ku ustom wzniósł i zadął. Aż dreszcz przejął ziemię. Ohyda, co nią władała, na tronie chwiać się zaczęła, a hardym poszmerem po świecie przeszło:

— Sławo nas woła!

. . . .

I zadrżał w gniewie bezsilnym przewładny Sziwa Burzący, gdy ujrzał, jak Moc jego potężna do nóg mu się słabo przywlokła i posłał swą Chytrość układną, by tej ostatniej spróbowała walki...

Lecz huf młodzieży pod wodzą Sława szedł ciągle, zapory krusząc.

Więc ta—zgonu chwilę czując, ostatniej zapragnęła walki, i poszła hen, ku górskiej dolinie, gdzie Sławo dawniej przebywał.

. . . .

I wyszła na jej spotkanie ta, którą Sławo nad wszystko ukochał, której usta pieścił, a dłonie tulił.

I spytała Chytrość układna:

— Gdzie Sławo?

— Walczy za ludzkość. Sławo świat ocala. On wszystko może... Mój, mój Sławo.

I siadła Chytrość układna i płakać poczęła.

Aż zmiękło serce tej, którą Sławo nad inne ukochał, bo nie wiedziała z kim mówi—i pyta:

— Czego płaczesz? Gdy Sławo powróci, z nim razem Szczęście w świat zejdzie. Więc nie płacz. On wróci zwycięski. On—Sławo!

I odparła Chytrość układna:

— Nie wróci Sławo! Gdy do zamku dojdzie, a słońce oparem z łez, z wspomnienia mąk i bólów wylanych przysłoni, sztyletem ostrym pierś swą przebije, by krwią swą zamek skruszyć. Nie wróci Sławo. Zejście Szczęścia przypadnie na ostatnie serca jego uderzenie.

A wtedy ta, którą Sławo nad wszystko ukochał, do nóg jej upadła—i prosić poczęła:

— O ty, imienia, której nie znam, daj możność ocalić Sława. Weź życie moje i krasę, i Sława miłość, lecz jego ocal. Bo gdybym męką życia odkupić dlań mogła jedną szczęścia chwilę, ofiara ma byłaby drobną. O ty obca, co z dalekich krain przybywasz, jeżeliś kiedy kochała — to pomóż ocalić mi Sława...

I rzekła Chytrość układna:

— Biegnij gdzie Sławo zbrojne hufy wiedzie:

szą̨d prądu; pośród początkujących harcerzy rozwija się często zbytnie przywiązanie do jego form zewnętrznych, jakaś szczególna wiara w moc cudotwórczą skautingu, który ma wyleczyć życie polskie ze wszelkich dolegliwości.

Bezwątpienia przynosi on dzisiejszemu młodemu pokoleniu szereg pojęć i haseł bardzo dodatnich: przyczynia się w poważnym stopniu do zaniknięcia porewolucyjnego typu młodego quasisceptyka, nie zdolnego do żadnego czynu, rozwija karność, wolę, przypomina o potrzebie kształcenia się fizycznego.

Jego wielki wpływ w dziedzinie wychowania fizyczno-moralnego młodzieży przyznają wszyscy.

Ale obecni wodzowie polskich harcerzy nie poprzestają na tem; pragną oni stworzyć całkowity system wychowawczy, mogący z powodzeniem zastąpić wszelkie inne formy zbiorowej pracy młodych.

Ta podwójna tendencja, oficjalnie potwierdzona, wydaje mi się poważnym błędem.

Istnieją bowiem pewne strony umysłowego i uczuciowego życia młodzieży, które całkowity system wychowawczy objąć musi, harcerstwo zaś uczynić tego nie potrafi bez zatracenia swego dzisiejszego charakteru.

Chodzi tu przedewszystkiem o dziedzinę t. zw. samokształceniową i o cały świat zagadnień, związanych z teraźniejszością i przyszłością Polski, jej kultury ogólno-europejskiej i t. d., to jest świat zagadnień „idejowych".

Samokształcenie skauci uwzględniają w postaci luźnych „pogadanek", których kierunek i treść pozostawia się do uznania poszczególnych kierowników z tem jedynie zastrzeżeniem, by były prowadzone „bezstronnie". „Pogadanki" takie są niejako traktowane, jako uzupełnienie innych stron działalności harcerzy, w pierwszym rzędzie wycieczek krajoznawczych. Rzeczą jest jednak jasną, że coś podobnego wystarczyć nie może.

Pomijając już zupełnie możliwy brak odpowiednich kwalifikacji w szeregach owych kierowników, nie należy zapominać o potrzebie określonego systemu, związania ze sobą pojedyńczych dziedzin nauki w pracy samokształceniowej.

„Dowolne pogadanki" zawsze pozostawiają carte-blanche upodobaniom i zainteresowaniom jednostek z uszczerbkiem dla całości. Naogół nie mogę się oprzeć wrażeniu, że rozwój umysłowy traktują nasi harcerze trochę, jak kopciuszka, co się bodaj tłómaczy wspomnieniami z pierwszego okresu ich istnienia w Polsce, kiedy pozostawali prawie wyłącznie pod wpływem „elsów".

Pozostaje „strona idejowa" pracy wychowawczej.

Skauting w osobie swych przedstawicieli ustawicznie podkreśla konieczność walki z „upartyjnieniem" młodzieży, odnosi się z pewną niechęcią do istniejących pośród niej prądów idejowych, pragnie dać w swych ramach przytułek wszelkim „ideologjom", wypisując na własnym sztandarze tylko niektóre hasła idejowe, uznane za „ogólne".

Przedewszystkiem, co się tyczy stanowiska w sprawie „upartyjnienia", należałoby znacznie ściślej sformułować znaczenie samego terminu, którego odpowiednik ma być zwalczany w praktyce.

Jeżeli tu chodzi o przeciwstawienie się wpajaniu kilkunastoletnim chłopcom i dziewczętom programów stronnictw politycznych, poddawanie ich pod rozkazy władz partyjnych i t. p.,—wszyscy przyklasną poglądowi harcerzy.

Ale takie, istotne upartyjnienie należy już dzisiaj szczęściem do przeszłości w życiu młodzieży polskiej, walczą z nim oddawna wszelkie jej odłamy: i postępowy, i narodowy, i katolicko-społeczny.

Kierownicy harcerstwa mają, jednak, sądzę, co innego na myśli, gdy mówią o „upartyjnieniu": utożsamiają oni kierunki polityczno-partyjne z kierunkami idejowemi młodych, co, między innemi, wyjaśnia źródło ich niechęci do tych ostatnich, o której wspomniałem wyżej. Owe bardzo często spotykane, utożsamienie opiera się na błędnem pojmowaniu samego procesu powstawania koncepcji idejowych w świadomości młodzieży.

T. zw. zagadnienia idejowe, t. j. odnoszące się do życia społecznego, narodowego, kulturalnego, stają przed nią, gdy tylko, chociażby za pośrednictwem wyłącznie literatury, wejdzie ona w kontakt z polską rzeczywistością dziejową, że użyję terminologji St. Brzozowskiego. Ideały społeczne, narodowe i t. d. wydają mi się nie mniej lub więcej utopijnemi sposobami rozwiązania odpowiednich „kwestji", naprzykład robotniczej,—ale wyrazem stosunku, przeważnie uczuciowego, danej jednostki do tej rzeczywistości.

I to właśnie ma ogromne znaczenie wychowawcze.

Wytwarza się bowiem w ten sposób poczucie odpowiedzialności za swoje myśli i czyny, zrozumienie przedmiotowej wartości faktu swego istnienia,—powstają w duszy *wielkie* marzenia i plany.

Kierunki polityczno-partyjne pozostają tu na uboczu; prądy zaś idejowe rozwijają się drogą naturalnego ześrodkowania i spełniają swoje zadanie niejako promieniowania na zewnątrz.

Harcerstwo polskie w imię tendencji ku opracowaniu całkowitego systemu wychowawczego nie może negować dodatniego wpływu owej „strony idejowej" i dlatego, pomimo podkreślania swojej „pozakierunkowości", popełnia niekonsekwencję, wypisując na sztandarze własne hasła idejowe.

Ratować sytuację ma zaznaczana ciągle „ogólność", bezwzględna pozapartyjność owych haseł.

Płaszczyk „ogólności", rzecz jasna, nie na wiele się przyda.

---

a kiedy dościgniesz jego hardych wojów, to zrzuć twe szaty i w śnieżnej białości ciała twego, w krasie twych piersi i przepychu włosów ofiaruj im siebie. A wtedy zacznie się walka bratobójcza, a ci co zwyciężą, w rozkoszy Twego ciała o celu swoim zapomną...

— A Sławo?

— Gdy huf go porzuci — sam nic nie zdoła, wróci na Góry; lecz ty go stracisz...

— Tamci pomrą w walce bratobójczej... Ja stracę Sława... lecz on żyć będzie?

— Będzie.

— Więc o czemże mówić i myśleć? Ja kocham, słyszysz?... Ja i Sławo. Świat i Sławo! Och, wiedź mnie prędzej ku miejscu temu, gdzie stracę wszystko, by ocalić Sława.

. . . .

Aż ujrzał Starzec z Gór, co młodość w walkach, a życie w myślach strawił, jak Sławo wracał... samotny.

Więc rzekł:

— Posłuchaj...

W Galicji wchodniej, naprzykład, gdzie na czele skautów stoją żywioły, zgrupowane wokół akademickiego „Zarzewia“, ideały uznane za „ogólne“ tyczą się wyłącznie naszego położenia narodowo-politycznego z zupełnem zaniedbaniem zagadnień społecznych, przyszłości i dróg rozwojowych naszej kultury.

Gdzieindziej znowu ster może się dostać w ręce grupy, myślącej i czującej inaczej, i kategorja „ogólnych“ ideałów ulegnie zmianie.

Rozchodzi się o to, że samo podstawowe pojęcie jest rozciągłe, a więc łatwo je dowolnie i podmiotowo interpretować.

W ten sposób skauting, zależnie od przypadkowej większości w danej miejscowości, staje się sam tym czy owym kierunkiem idejowym, uzupełnionym przez szerokie uwzględnienie dziedziny fizyczno-moralnej wychowania i bez określonego, jak na dzisiaj, systemu pracy samokształceniowej.

Często powtarzane zastrzeżenie, jakoby harcerze byli przeciwni „wpajaniu“ swych ideałów otaczającym i tym się różnili od innych „idejowców“, wydaje mi się złudzeniem.

Ideałów nikt nikomu gwałtem „wpoić“ nie potrafi: one same zyskują adeptów, dzięki atmosferze uczuciowej, jaka je otacza. Żaden kierunek nie stanowi tu wyjątku.

Można przyzwyczajać do pewnych pojęć — i to istotnie robią wszyscy w rozmowach, przez pisma i książki,—aleź tak samo—całkiem słusznie—działają i skauci.

Przed harcerstwem polskiem stoi zatem dylemat następujący: albo zrezygnuje ono ze stawiania zagadnień idejowych, pozostawiając je odpowiednim prądom, a sam poprzestanie na działalności w dziedzinie wychowania fizyczno-moralnego naszej młodzieży; albo wystawi pewne ideały, właśnie owe „ogólne“, co zeń zrobi zwykły, tylko odpowiednio uzupełniony i z odpowiedniemi brakami, kierunek idejowy.

W razie zwycięstwa drugiej ewentualności cały charakter ruchu zostanie zwichnięty.

Odłamy, będące w mniejszości, musiałyby prawdopodobnie ustąpić, albo rozpoczęłyby się walki wewnętrzne.

Już dzisiaj w zachodniej Galicji młodzież postępowa i znaczna część narodowej patrzy z nieufnością na tameczne harcerstwo, zbyt jaskrawo pozostające pod wodzą określonej grupy idejowej. Dlatego to, sądzę, należy energicznie nastawać, by skauting zaniechał owej tendencji stworzenia całkowitego systemu wychowawczego i „zastąpienia“ wszystkiego innego, co pozwoli mu jeszcze intensywniej pracować w dziedzinie również nieskończenie ważnej, będącej, jeżeli się tak można wyrazić, jego specjalnością. Z drugiej zaś strony istniejące kierunki idejowe powinny uzupełnić swoją pracę przez zwrócenie uwagi na stronę przedewszystkiem moralną, w miarę możności i fizyczną, przyszłych pracowników w Polsce.

Oczywiście, nie chodzi o różne formy niekiedy zbyteczne, niekiedy nawet trochę śmieszne, które stanowią część składową harcerstwa; ważną jest treść, a mianowicie hasło „tężyzny moralnej“ i zdrowia fizycznego, a o tem bardzo, bardzo często wszyscy zapominamy.

Ta część młodzieży, co chce przyszłą kulturę polską oprzeć na świadomym swych dążeń ludzie, w pierwszym rzędzie dbać musi o wartość moralną „nowego człowieka“ w Polsce.

Mieczysław Niedziałkowski.

August Bebel.

(Dokończenie).

Jakżeby nie miał być praktycznym ten umysł, który od najmłodszych lat życia brał się za bary z niezliczonemi tego życia przeciwnościami, tak wcześnie musiał myśleć o zarobku na chleb powszedni, imał się tylu w dzieciństwie zawodów, szukając zawsze *kompromisu* z głodem, z chorobą, z nieszczęściem. Jakżeby nie miał być praktycznym człowiek, który od lat niemowlęcych niemal już był *politykiem*, politykował z majstrową, z kolegami w warsztacie, z kolegami na wędrówce, z liberałami w stowarzyszeniach oświatowych, z Liebknechtem, sam będąc jeszcze liberałem, obok Liebknechta, będąc już socjalistą, z robotnikami, znajdującymi się pod imperatywnym wpływem Lassale'a? Człowiekiem „praktycznym“ t. j. żyjącym życiem praktycznem, pozostawał Bebel zawsze do śmierci. Żył długo jeszcze życiem *majstra tokarskiego*. Był już dawno działaczem politycznym, odsiadywał wielokrotnie więzienie pod zarzutem zdrady stanu, wybił się w parlamencie na jednego z pierwszorzędnych *mówców i działaczów parlamentarnych*, a wciąż jeszcze w życiu prywatnem był właścicielem warsztatu tokarskiego w Lipsku. Pracował w nim początkowo przy pomocy terminatora, później przybył czeladnik. Gdy ten, częstym w życiu zbiegiem okoliczności, zdradził podstępnie majstra Bebla, odebrał mu klijentelę i sam warsztat założył, trzeba było szukać wspólnika. Warsztat przeniesiono do fabryczki, poruszanej parą. Rozszerzono wyroby rogowe w kierunku wyrobów z bronzu. Gdy przyszły czasy praw wyjątkowych i Bebla wydalono z Lipska i Saksonji, wystąpił ze współki i pozostał komiwojażerem własnej do niedawna fabryki. W zajęciu ajenta podróżnego, mieszkającego przeważnie w wagonie kolejowym i odpoczywającego tylko po miastach, spotykał się harmonijnie tokarz z politykiem, kupiec z agitatorem politycznym, ile że, jak łatwo czytelnik zrozumie, podróże komiwojażera były przeważnie i jednocześnie podróżami agitatora i przywódcy partyjnego. Dopiero w roku 1889, u progu nowej fazy w rozwoju ruchu, w przededniu zniesienia praw wyjątkowych, znany już szeroko autor najpopularniejszej chyba niemieckiej książki socjalistycznej *Die Frau und der Socialismus*, książki, która rozsławiła imię autora, stronnictwo, którego był wodzem, spopularyzowała socjalizm w świecie całym, dopiero w roku 1889 Bebel traci ostatecznie związek z tokarstwem, z handlem wyrobami rogowemi, z kilkunastu robotnikami własnej fabryczki. Całe Niemcy są odtąd fabryką, z którą jest związany organicznie. Jest wodzem stronnictwa robotniczego, które z roku na rok staje się potężniejsze i setki tysięcy pracowników ze wszystkich dziedzin pracy ludzkiej obejmuje mocną obręczą wpływów swoich. Parlament, partja, działalność publicystyczna będą odtąd areną, na której wygrywać będzie wielkie zwycięstwa ten wielki człowiek w nędzy urodzony, wychowywany po koszarach żołnierskich i w izbie dozorcy więziennego. Lata, spędzone na wygnaniu, wywarły głęboki i dobroczynny wpływ na bohaterze naszym w każdym kierunku. Lata tułacze, jak wiadomo, dobroczynnie wpływają na charaktery wartościowe, podkopują i niszczą charaktery słabe. Dusza silna, zanurzona w smutku, w roz-

paczy, w beznadziei i bezczynności, w kłótniach życia emigracyjnego, mężnieje. Instynkt samozachowawczy, broniąc jej, wydobywa ze siebie zdwojoną, strojoną ilość energji. Smutna, przechodząca okresy depresji, ostoi się jednak fali trującej Lety i wypłynie. Charakter silny, treść swoją mający, wyjdzie nietylko zwycięską ręką z tych, dla wielu śmiertelnych zapasów, ale oraz wyjdzie pogłębiony, większy o olbrzymią sumę doświadczenia życiowego i myśli, własną pracą wytężonego mózgu, urobionej. Na wygnaniu, w Zurychu, Bebel stał się tym, jaki do historji przejdzie, zarówno jako pisarz, jak i jako działacz polityczny. Tu, obcując w najbliższych stosunkach z towarzyszami niemieckimi, z emigrantami cudzoziemskimi, przysłuchując się ich dyskusjom, jeżdżąc do patrjarchów socjalizmu niemieckiego do Londynu, do Marx'a († 1883), a później, przez lat tyle, do Engels'a, uczył się Bebel, stawał się publicystą. Ucząc siebie, uczył jednocześnie innych, zbierając materjały naukowe dla oświecenia samego siebie, układał je w książki, którym dane było miljony umysłów poruszyć. Napisał książkę o Fourier'rze i Fourieryzmie i wyleczył siebie ze wszelkiego *utopizmu*, którego zresztą nigdy w jego umyśle wiele nie było. Spory partyjne, obecność śród emigrantów elementów anarchistycznych, domagających się terroru, zamachów na Bismarka w odpowiedzi za jego bezprzykładne prześladowanie socjalistów pod osłoną ustaw wyjątkowych, pogłębiły doświadczenie faktyczne, zdobyte w ciągu lat piętnastu w parlamencie niemieckim. Tylko, że pogłębienie to było trwalsze, ile że w bólu było zdobywane.

Taktykiem pierwszorzędnym pozostał Bebel do końca życia na szerszej już odtąd arenie *międzynarodowych stosunków socjalistycznych*, gdzie porozumienie staje się coraz trudniejsze, gdzie interesy ruchu robotniczego cały świat ogarniającego i coraz bardziej skomplikowanego nie zawsze są jednakowe i wywołują tarcia, spory, scysje. Socjalizm wszystkich krajów jest podzielony. Wszędzie żeruje robak rozłamów, nigdzie niemal ruch nie posuwa się naprzód po linji harmonji wewnętrznej, jeno zygzakami oscylacji wewnętrznej. Nawet w Niemczech, gdzie spory z rewizjonistami, spory północy i południa, inteligientów i robotników nie ustają ani na chwilę, gdzie wciąż zajmują się temi sporami zjazdy partyjne, gdzie działają prokuratorzy partyjni i ostracyzm partyjny i gdzie wciąż słyszymy o tym i owym pisarzu partyjnym, że zostali ogłoszeni, jako „znajdujący się poza nawiasem partji".

Na zjeździe amsterdamskim (1904 roku), pokonał Bebel Jaures'a, co prowadziło do zerwania bloku radykalnego francuskiego: Jaures wyszedł z prezydjum Izby deputowanych. „Radykali-socjaliści" francuscy pozostali odosobnieni, zaczęły się rządy Briand'a i Poincaré, a dokonano konsolidacji, zewnętrznej przynajmniej, różnych socjalizmów francuskich, która doprowadzi kiedybądź do rzeczywiście jednolitej partji robotniczej francuskiej. Na zjeździe amsterdamskim walka z Jaures'em, przedziwna w argumentacji, w djalektyce i w polocie Jaures'a, toczyła się koło republiki. Kanon republikanizmu był i pozostał obowiązującym dla socjalizmu. Socjaliści francuscy w imię tego hasła prowadzili zaciekłą walkę o rewizję procesu Dreyfusa i przystąpili do bloku z radykałami, ile że w tej walce chodziło (im przynajmniej) nietyle o Dreyfusa, ile o sztab generalny francuski, twierdzę monarchizmu i o żywioły reakcyjne, monarchiczne i katolickie, grupujące się koło ówczesnego sztabu generalnego francuskiego i czyniące ze sprawy Dreyfusa pozór, który miał umożliwić wykonanie zamachu stanu w duchu monarchji. I Bebel, oczywiście, był republikaninem, co jednak nie przeszkodziło mu w roku 1904 przeciwstawić trzeciej republice francuskiej... monarchji pruskiej. Rzeczpospolita, mówił wtedy, nie jest tak dobra, jak wy ją przedstawiacie, a monarchja nie jest tak zła, jak wy ją czynicie. Cóż dała trzecia republika proletarjatowi Francji?*) Zaś monarchja pruska dała proletarjatowi niemieckiemu ubezpieczenie społeczne, zabezpieczenie starości i niedołęstwa. Gdybym miał wybór między rzeczypospolitą francuską a monarchją—tu dodał dla eufonji—angielską, to nie wiem, co bym wybrał, nie będziemy więc sobie rozbijali łbów o republikę mieszczańską... Mylił by się jednak, ktoby przypuszczał, że przekonania republikańskie nie były Beblowi drogie. Przeciwnie, był on napewno szczerym republikaninem i wierzył głęboko, że dla zwycięstwa socjalizmu potrzebne są republikańskie formy istnienia państwowego. Ale... na zjeździe amsterdamskim chodziło o rozbicie bloku radykalnego francuskiego, który, wedle terminologji Guesde'a, „zaciemniał" świadomość klasową robotników francuskich i Bebel taktyk dla tego celu zawiesił na chwilę na kołku swoje przekonania republikańskie.

Bebel miał poza granicami swojej ojczyzny opinję „wielkiego patryjoty". Weszło to już potrochu w obyczaj, że rządy i żywioły reakcyjne każdego kraju chwalą socjalistów cudzoziemskich, i stawiają ich za wzór swoim własnym, których jako szkodników piętnują. Liberali niemieccy stawiali zawsze za wzór „międzynarodowym" socjalistom własnym francuskich, którzy bronili republiki, postępu, Dreyfusa, oczywiście w okresie... kooperacji socjalistów francuskich z demokratami francuskimi. Wilhelm II jest pełen zachwytu zawsze nad socjalizmem angielskim i szukał nawet spotkania, śniadał nawet z przywódcą socjalistów angielskich Ramsay Macdonaldem.

Tak samo w parlamencie francuskim i w prasie burżuazyjnej francuskiej w przesadnych zawsze słowach mówi się o patryjotyzmie socjalistów niemieckich i z lubością cytuje oddzielne zdanie, wyrwane z przemówień Bebla, świadczyć mające o jego „szowinizmie i nacjonalizmie pruskim". Któż wątpi, że Bebel kochał ojczyznę swoją? Nie należał on wprawdzie do owego starego pokolenia patryjotów niemieckich, jak Engels i Liebknecht, którzy w 1848 i 49 roku walczyli o wolne i zjednoczone Niemcy, i którzy całe życie później nie schodzili z tego, krwią własną zbroczonego, stanowiska wielkiej niemieckiej ojczyzny. Bebel za lat młodych, liberał i demokrata południowy, obawiał się hegiemonji Prus, był partykularystą saskim. Ale zjednoczenie stało się faktem dokonanym, już nie prowadzono więcej wojen wewnętrz-

*) Trzy lata później na międzynarodowym zjeździe *sztutgardskim* wydalony został z Niemiec delegat angielski Quelch, który w przemówieniu swoim nazwał konferencje delegatów w Hadze „biesiadą rzezimieszków". Oczywiście, zjazd, poruszony do żywego tym objawem gościnności niemieckiej domagał się satysfakcji. Tej satysfakcji, pomimo, że domagano się jej nie od junkrów pruskich, ale od bardziej demokratycznej monarchji południowo-niemieckiej, towarzysze niemieccy dać nie mogli. „A więc—pytali socjaliści cudzoziemscy — a więc Niemcy nie są krajem wolności obywatelskich? „Tak jest, — odparł między innymi z uroczystym smutkiem... Bebel: „nasze wolności obywatelskie są tylko na papierze"... Tyle „Bebel z roku 1907" o „Beblu z 1904".

nych. „Wielka niemiecka ojczyzna" była zdobyta. Bebel miał już tylko jedno zadanie na celu: obronę interesów proletarjatu. Ale ilekroć na porządku dziennym parlamentu niemieckiego stawała kwestja anti-patryjotyzmu socjalistów, którzy, jako źli patryjoci nie chcą głosować za budżetem, zwalczają kredyty na militaryzm i marynizm, wtedy zawsze Bebel, przeciwko tym nieszczerym djatrybom, przeznaczonym dla mas zzewnątrz parlamentu znajdujących się, jako ferment agitacyjny, mający na celu odpędzanie od zrębu głównego „uświadomionych towarzyszów", wielkich zastępów sympatyków i głosujących z socjalistami członków klas innych, wytaczał „argument patryjotyczny". Wtedy „brał na ramię karabin", on, „stary i zgarbiony", aby „stawać w obronie zagrożonej ojczyzny". Wtedy, zapewniał o patryjotyzmie robotników, który to jednak patrjotyzm nie sprowadza się do popierania interesów Krupp'ów i innych dostawców armji niemieckiej. Były to zręczne posunięcia taktyczne, które powtarzane raz po raz w parlamencie, męczyły przeciwników politycznych i zniewalały do szukania argumentów poza dziedziną „patryjotyzmu" i „anti patryjotyzmu".

Ale i poza względami taktyki parlamentarnej Bebel żywił istotne uczucia patryjotyczne. Człowiek praktyczny, myślący konkretnie, *polutropos*, jak Homer mówi o Odyseju, „co krajów zwiedził i ludzi poznał wielu", zanadto dobrze zdawał sobie sprawę z *konkretności* poczucia narodowego, świadomości narodowej i uczuć patryjotycznych żywych w szerokich masach europejskich, ażeby dał się unieść djalektyce i filozofji, ażeby pozwolić abstrakcyjnej logice pokonać we własnym, na naturę otoczenia społecznego, poglądzie konkretną i żywą psychologję.

Któż zapomni, jak na następującym zaraz po amsterdamskim, sztutgardskim kongresie międzynarodowym (1907 r.) Bebel pokonywał anti-patryjotyzm Hervé'go i anarchizujących syndykalistów francuskich. „Hervé jest zdania, że ojczyzna jest tylko ojczyzną klas posiadających, że więc nic proletarjat ona nie obchodzi. Wszakże i parlamenty są urządzeniem klas panujących, cała nasza działalność prowadzi przecie do ulepszeń urządzeń gospodarczych, politycznych i społecznych burżuazji. Sama tedy negacja nie może być dla nas drogowskazem. Wogóle jest rzeczą sporną do kogo należy ojczyzna. *Życie kulturalne może się rozwijać tylko na podstawie języka ojczystego i w granicach narodowości.* Patrzcie na Austrję, patrzcie na Polskę. I w Rosji obudzi się z czasem sprawa narodowościowa. (Bebel mówił w r. 1907). Każdy naród, który cierpi pod ciężarem najazdu cudzoziemskiego, jeżeli nawet otrzymuje od tego najazdu dobrodziejstwo, powstaje do walki o wolność i porzuca chwilowo dla tego jednego celu wszystkie inne. Przypomnijmy tylko, jak Alzacja i Lotaryngja były przeciwne oderwaniu od Francji, z którą pomimo języka były tak blisko połączone od czasów Wielkiej Rewolucji. Pomysł Hervé'go, jakoby proletarjatowi było wszystko jedno, czy Niemcy należą do Francji, albo Francja do Niemców, jest absurdem (dziś podziela taką opinję i sam Hervé). Gdyby Hervé chciał ten pomysł urzeczywistnić w praktyce życia, zostałby zadeptany przez proletarjat francuski. Liebknecht i ja doświadczyliśmy w roku 1870 na własnych osobach, co to znaczy powstrzymać się tylko od głosowania w kwestji pożyczki na prowadzenie wojny. A wiedzieliśmy przecie, że Bismark sprowokował tę wojnę i dopuścił się sfałszowania depeszy Emskiej. Podział wojen na zaczepne i obronne nie istnieje dla polityków. Spójrzmy jeszcze na kwestję ze stanowiska praktycznego. Jako człowiek rozsądny, muszę oświadczyć, że gdybyśmy pragnęli tego, czego nie potrafimy, a czego żąda od nas Hervé, ściągnęlibyśmy na siebie przedewszystkiem połowę paragrafów kodeksu karnego. A cóżby was czekało we Francji, gdyby Hervé na wypadek wojny zastosował swoje środki strejku powszechnego i powstania ludowego? Nasze sfery wojskowe z nadzwyczajnem zaciekawieniem przyglądają się agitacji anti-militarystycznej we Francji i dezorganizacja wojska francuskiego oddziaływa na nie magnetycznie. Zawsześmy zwalczali wojny w miarę sił i środków. Ostatnio, w zatargu z powodu Maroka uczyniliśmy wszystko, co było w możności naszej, aby osłabić zatarg pomiędzy Francją a Niemcami. O ile jednak uzbrojenie jest potrzebne i my go żądać będziemy, w granicach wskazanych przez przykłady wolnych demokracji. Pozatem, będziemy zwalczali militaryzm, ale nie damy się sprowadzić na drogi, które tylko poważnie zaszkodzić mogą partji, które mogą na kartę postawić samo jej istnienie..." Cały Bebel jest w tem przemówieniu i pragnęlibyśmy, aby to właśnie przemówienie pozostawało jego testamentem politycznym. Jest w nim taktyk, polityk, jest człowiek, jest nawet filozof. Wiadomo, że na zjeździe sztutgardskim Hervé został wyśmiany, wygwizdany i zakrzyczany. Mało jest widać „anti - patryjotów" pomiędzy socjalistami świata.

. . . .

Trudno jest w artykule przygodnym objąć wszechstronnie we wszystkich szczegółach życie tak pełne i tak złożone, jakiem było życie Augusta Bebla. Wskazaliśmy tutaj na wytyczne rysy jego charakteru, w szczególności na rozwój tego charakteru od wczesnej młodości, albowiem młodość jest życia rzeźbiarką i ona kształtowała w Auguście Beblu te cechy, które uczyniły z niego później wielką figurę na arenie politycznej Niemiec i świata. W partji swojej zajmował Bebel już oddawna dominujące stanowisko zupełnie wyjątkowe i niedościgłe dla żadnego z żyjących obecnie socjalistów niemieckich.

Autorytet jego był uznany jako dogmat i nie podlegał żadnej dyskusji.

Nie darmo Hervé nazywał w Sztutgardzie Bebla: *le Kaiser*.

Bywał rozjemcą w zatargach partyjnych w Niemczech, rozjemcą, do którego odwoływali się nawet cudzoziemscy socjaliści. Nieraz wyśmiewano uległość socjalistów niemieckich dla słowa dyktatora, pisano nawet powieści pod tytułem: *Und Bebel sprach...* Nie ulega wątpliwości, że był on największym i najpopularniejszym socjalistą niemieckim od śmierci Liebknechta i że przejdzie do historji jako upostaciowanie socjalizmu niemieckiego w pewnym okresie jego dziejów. Jak bohater starożytny streszcza w sobie wszystkie cechy tego wielkiego ruchu politycznego i społecznego, wszystkie jego cechy stałe, wszystkie też przemijające, te które budzą podziw świata i te oraz, które budzą w nim wątpliwość. Są bowiem i takie. Taktyka socjalizmu niemieckiego nie jest taktyką powszechnie uznaną przez socjalizm międzynarodowy. Jaurès wyśmiewał niegdyś, w r. 1903 tę taktykę. „Kautsky—mówił — pojmuje rewolucję społeczną jako glinianą skarbonkę, którą należy szczelnie zapełnić, zanim ją otworzyć bę-

dzie wolno. Składamy w niej miljon głosów socjalistycznych, dwa miljony, trzy miljony. Kautsky każe czekać. Serce tłucze się w piersiach naszych, tęskni, bije głośno w oczekiwaniu chwili, która ma nadejść... Jeszcze za mało... Proletarjat niemiecki czeka i gromadzi: cztery miljony. Jeszcze za mało... Kautsky wciąż czeka..." W Amsterdamie ten sam Jaures mówił w polemice z Beblem: „Wasza potęga jest tylko pozorną. Pomiędzy tą pozorną siłą, która znajduje sobie wyraz w coraz większej ilości głosów wyborczych i coraz większej ilosci mandatów, a rzeczywistą siłą, któraby znalazła swój wyraz we władzy i w czynie, znajduje się sprzeczność, która rośnie z dnia na dzień. Nazajutrz po każdem waszem wielkiem zwycięstwie wyborczem, wszyscy rozumiemy, że jesteście wielcy w organizowaniu, w propagandzie, w agitacji, ale że ani tradycja waszego proletarjatu, ani mechanizm waszej konstytucji nie pozwolą wam zamienić tej pozornej potęgi wielu miljonów w potęgę czynu politycznego. Dlaczego? Dlatego, że brak wam dotychczas dwu zasadniczych warunków akcji proletarjackiej: nie posiadacie rewolucyjności, nie posiadacie parlamentu. A że tych dwu warunków, tradycji rewolucyjnej proletarjatu nie posiadacie, tedy z lekceważeniem i z niezadowoleniem spostrzegacie te warunki i tę tradycję u innych narodów. I oto dlatego wasi wielcy nauczyciele Marx i Lassale, czując, że *metoda francuska* polityki rewolucyjnej nie może mieć żadnego zastosowania w Niemczech, opracowali dla Niemiec inną zgoła taktykę: wykluczającą wszelką rewolucyjność. Z ich strony było to aktem gienjuszu, ale i *aktem rozpaczy*".

. . . .

Bebel nie uchodził nigdy za przyjaciela polskiej sprawy. Nie należał do pokolenia owych socjalistów niemieckich, którzy z nabożeństwem o tej sprawie *jako takiej* mówili i o niej pisali, którzy z czcią odwiedzali samotną izdebkę Lelewela w Brukseli, a później, po latach, ze wzruszeniem o tych odwiedzinach wspominali. Dla Marx'a i Engels'a sprawa ta była oczywistą i jej rozwiązanie polityczne, w duchu najdalej idących pożądań narodowych, aksjomatem politycznym. Takim był jeszcze Liebknecht. Konkretny umysł Bebla, który nie przeżył roku 1848 i 49, który z daleka tylko, jako dojrzewający liberał przysłuchiwał się odgłosom powstania 1863 roku, ujmował sprawę polską w postaci konkretnych spraw proletarjatu polskiego na Śląsku, w Księstwie Poznańskiem, w Królestwie Polskiem. Wszystkie interesy, nietylko klasowe, tego proletarjatu, mogły liczyć na jego sympatje i jego poparcie, a więc i interesy narodowe, co znalazło sobie oddźwięk uogólniający i teoretyczny w przemówieniu na zjeździe sztutgardskim 1907 roku.

„Sprawa polska" była dla niego zawieszonem na obłoku marzeniem, nie była objektem politycznego rozmyślania. Ale wystarczyło wrażeń i doświadczeń 1905 roku na terenie Królestwa Polskiego, aby przed tym konkretnym umysłu stanęła jako *fakt konkretny* kwestja rozwiązania „sprawy polskiej".

„Wiecie — mówił w listopadzie 1906 roku na posiedzeniu biura międzynarodowego w Brukseli, —„nie wierzyłem nigdy w możliwość odbudowania Polski. Ale teraz uwierzyłem".

. . . .

Heros socjalizmu niemieckiego umiera w Szwajcarji, w obliczu przedwiecznych tytanów Graubündenu. Umiera pod łoskot spadającej z wyżyn lawiny, wicher, co echo niesie od olbrzyma, śpiewa mu ostatnią pieśń na drogę w zaświaty. Spokojnie może umierać. W zaraniu dojrzałego życia, gdy pod wodzą Wilhelma Liebknechta wychodził w pole, proletarjat niemiecki był ławicą piasku, rozsypującego się w dłoniach oracza. Dziś jest potężny, jak lawina, jak ona *konieczny*, jak ona niezwalczony. Nosi w sobie oraz zarodki przyszłego życia społecznego, które przeobrażą kraj i państwo, które się dziś Niemcami nazywają. Był już parę lat w parlamencie, kiedy socjalizm, nieśmiałym tylko odzywał się tam głosem. Dzisiaj stu dziesięciu liczy tam przedstawicieli (z wyborów 1912 roku), więcej, niż centrowców (93), tyleż, co narodowo-liberali (45), konserwatyści (43) i postępowcy (31) razem wzięci. Temu parlamentowi przewodniczył już przez czas jakiś, „na próbę", socjalista. Są socjaliści w Sejmie pruskim, pomimo ustawy wyborczej, której gęste sieci kolczaste zdawały się chronić twierdzę junkrów pruskich przed najazdem ludu pracującego. Berlin cały z wyjątkiem jednego tylko okręgu jest już czerwony. W radach miejskich socjaliści grają rolę wybitną, a często i przeważającą i rady miejskie zmuszone są wszędzie prowadzić wyraźną politykę społeczną w duchu interesu zbiorowego, nietylko w interesie klas posiadających. Zorganiwały się znakomicie robotnice niemieckie, setki, tysiące „uświadomionych" liczące przedstawicielek, co stanowić będzie o wychowaniu i przyszłości dalszych pokoleń proletarjatu. Dzienniki partyjne wychodzą w setkach tysięcy egzemplarzy. Kasy partyjne są pełne, posiadają fundusze większe, niż kasy partyjne proletarjatu całego świata. Budżet partyjny niemiecki jest większy, niż niejednego niepodległego księstewka niemieckiego. Życie Augusta Bebla, jak IX symfonja Bethowena kończyło się tedy tytanicznemi akordami nieśmiertelnej pieśni Szyllera: *O Radości!*

Stanisław Posner.

⊳○○○○○○○○○⊲

Muzeum Rapperswilskie.

Kampanja publicystyczna, prowadzona od kilku lat we wszystkich trzech zaborach, a mająca na celu uzdrowienie stosunków w Muzeum Rapperswilskiem — wydała nareszcie owoce. Memorjał, wystosowany w roku zeszłym do Rady muzealnej z podpisami wybitnych obywateli warszawskich, stawiał trzy zasadnicze żądania: 1) całkowite zreformowanie, t. j. naukowe urządzenie Muzeum; 2) usunięcie dotychczasowego kustosza muzealnego, jako człowieka, nieposiadającego dostatecznej kompetencji; 3) postawienie na czele Muzeum fachowego dyrektora, zamiast dotychczasowego powierzania tej funkcji prezesowi Rady, który nawet nie mieszka w Rapperswilu. Po ożywionych, gorących dyskusjach zjazdu przeszłorocznego, zgodzono się na wprowadzenie w czyn pierwszego i trzeciego punktu; drugi — pozostał narazie zawieszony i dopiero teraz znaleziono sposób „przyzwoitego" uregulowania tej drażliwej sprawy: były kustosz otrzymał za swe zasługi emeryturę, to jest, rządy jego w Muzeum skończyły się ostatecznie. Pozostał podobno jeszcze „pokój Różyckiego", w którym zgromadzono jego osobliwości antykwarskie dla podziwu zwiedzających; jest nadzieja,

że w roku przyszłym Rapperswill utraci te... i osobliwości...

Zjazd tegoroczny stanowi już niezawodną gwarancję normalnego rozwoju tej pięknej instytucji. Uczyniono przedewszystkiem rzecz niezmiernie doniosłą: odjęto Rapperswillowi charakter wyłącznego należenia do pewnej grupy ludzi; usankcjonowano *narodową* cechę Muzeum. Wprawdzie naród złożył na rzecz Muzeum w roku zeszłym zaledwie 12.000 franków, ale i ten skromny dar, dobrą wolą kilku jednostek zebrany, ma swe zasadnicze znaczenie, jako początek dalszej akcji.

Tymczasem mamy już możność dokładnego poznania zarówno wartości, jak braków muzealnych: Komisja rzeczoznawców, wybrana w roku zeszłym, rozejrzała się już w materjale muzealnym i wyraziła swe desiderata. Z dwunastu jej członków, przybyło do Rapperswillu sześciu i ci zabrali się do pracy. Prof. J. Mycielski zbadał galerję obrazów, zgromadzonych w Rapperswillu. Galerja ta była dotychczas wartością zagadkową: wiedziano, że są tam rzeczy wybitne, ale te pomieszane były w sposób dziwaczny z takiemi bohomazami, że nikt tej „galerji" nie brał na serjo. Rada muzealna przyjmując wszelkie dary, czuła się (niewiadomo dlaczego) w obowiązku wystawiania ich na widok publiczny. Byle obraz był patrjotyczny, kazano go podziwiać cudzoziemcowi, zapominając zgoła o tem, że dla tego cudzoziemca tylko właśnie cechy artystyczne dzieła były interesujące. Prof. Mycielski z działu sztuki holenderskiej, flamandzkiej i włoskiej (80 obrazów), wysortował zaledwie cztery obrazy; śród innych znalazł podobno wiele rzeczy wybitnych. Jest to, naturalnie, wrażenie doryweze, które nie może wystarczyć za krytyczne skatalogowanie galerji. Skatalogowanie takie może się odbyć dopiero po dokładnem zbadaniu każdego obrazu. Na razie p. Mycielski zaproponował, aby dział obcy oddzielić od polskiego, a w tym ostatnim pozostawić tylko obrazy o znaczeniu artystycznem. Tu właśnie powstanie poważny szkopuł do usunięcia, ile że śród tych dzieł darowanych (a niestety nawet zakupionych) bardzo niewiele jest takich, któreby się kwalifikowały do muzeum publicznego. Reforma Muzeum musi się zacząć przedewszystkiem od usuwania do lamusów wszelkich obrazów, które mają na celu jedynie jałowe roztkliwianie się widza, bez wnikania w istotę artystyczną dzieła. Komisja rzeczoznawców musi mieć dość odwagi, aby zadecydować, że przy reformie Muzeum Rapperswilskiego chodzi nie tyle o inny rozkład okazów, ile o nadanie temu Muzeum należytej powagi artystycznej, to jest o całkowite usunięcie przedmiotów bez wartości. Tylko taka reforma wyprowadzi Muzeum z dzisiejszego *bric-à-brac'u*. Dział pamiątek powinien być ściśle oddzielony od działu artystycznego.

Bibljotekę i archiwum badali: dr. Korzeniowski (kustosz Bibljoteki Jagiellońskiej) i dr. Mańkowski. W bibljotece znaleźli chaos, gdyż następujący po sobie bibljotekarze zmieniali systemy katalogowania. Niestety, o samym charakterze bibljoteki rapperswilskiej nic rzeczoznawcy nie mówią, a przecież i tu musi panować jakaś uogólniająca zasada. Byłoby całkiem bezcelowe gromadzenie polskiego księgozbioru ogólnego w Rapperswillu, gdzie dostęp dla ludzi z kraju jest tak kosztowny. Natomiast, celowe zgromadzenie tam np. działu emigracyjnego, w najszerszem słowa znaczeniu, dałoby tej bibljotece wartość specjalną. Wprawdzie bibljoteka rapperswilska zawiera już sama przez się z natury swych zapisów i darów przebogaty zbiór emigracyjny. Ale braków w tej dziedzinie sporo. Trzebaby je celowo uzupełniać, chociażby kosztem pozbywania się wielu rzeczy, niepotrzebnie zapełniających półki bibljoteczne. Gdyby do tego działu dodano również wszelkie dzieła o Polsce i polakach, w obcych językach wydane, moglibyśmy z czasem posiadać tam w Rapperswillu zbiór jedyny w swoim rodzaju, a niezmiernie ważny. Tymczasem rzeczoznawcy stwierdzili, iż bibljoteka muzealna posiada nadzwyczaj cenne archiwum, które winno być jaknajprędzej skatalogowane. Właśnie, Akademja Umiejętności gotowa jest zająć się uporządkowaniem tego archiwum. Propozycja—podwójnie doniosła: raz dla tego, iż społeczeństwo otrzymuje w niej gwarancję naukowego wykonania sprawy; następnie, iż w pracy około dobra Muzeum grupują się nareszcie najwybitniejsi ludzie nauki polskiej... W dziale pamiątek i zabytków historycznych, p. B. Gembarzewski, jeden z najczujniejszych rzeczoznawców muzealnych, uporządkował zbiór mundurów i uzupełnił go akwarelami poglądowemi.

To są prace już dokonane. Właściwej reformy dokona dopiero nowy dyrektor, p. Konstanty Żmigrodzki, który ma przed sobą wdzięczne, chociaż niełatwe zadanie. Winien on otrzymać jaknajwiększą swobodę działania, aby mógł przeprowadzić plany indywidualne. Komisja rzeczoznawców tylko wtedy stanie się organem pożytecznym, o ile działać będzie w całkowitem porozumieniu z dyrektorem. Jedność systemu zapewni Muzeum naukowość i powagę. Dyrektor musi podlegać kontroli, ale nie powinien być krępowany zbytnio.

Muzeum Rapperswilskie rozpoczyna nowy, oby jak najowocniejszy żywot. Stać się może pierwszorzędną placówką polską na Zachodzie, a stanie się nią niewątpliwie, o ile społeczeństwo zrozumie własny wobec tej placówki obowiązek...

Jan Lorentowicz.

⊳oooooooooo⊲

Z V-ej SERJI.

Białość słowiańska, cicha, anielska...

Białość słowiańska, cicha, anielska,
Na zbóż wiosennych mgławej zieleni,
Śniegiem szat lnianych Piasta się pieni,
Jak gędźba duszy łagodna, sielska...

Bezdennie dobrych oczu modrota,
W której śni święte, pogańskie niebo,
Jest srebrnych, zwiewnych marzeń kolebą,
Co duszę czarem nieznanym mota...

Kwitnące, pylne pędy wierzbiny,
Co w ten wiosenny śmieją się ranek,
Jak różdżki białych, polnych kapłanek,
Mają coś z klechdy słowiańskiej, sinej...

Coś z promienności Światowidowej
Mają wiosenne, modre niebiosa...
Coś z łez słowiańskich ma srebrna rosa,
Co pień sperliła biały, brzozowy...

Coś z bronzu, co, jak razowiec, dymi,
Ma w sobie rola, świeżo zorana...
A czarna boru cichego ściana
Jest, jak płaszcz Matki—Żywi olbrzymi...

Tchnie łaska dawnych bogów życzliwa
W upojnej, wonnej roli wilgoci...
I szczęsny uśmiech Lela się złoci
Na bajce stawu leśnego szkliwa...

Omegna, 16/VI 1913 r.

Wacław Wolski.

Drobny przemysł i sztuka ludowa.

Czy przemysł ludowy może się stać przedmiotem handlu i w jakiej formie? Oraz czy może być źródłem z którego czerpać należy, by wytworzyć oparty na motywach ludowych styl odrębny, mający prawo obywatelstwa w sztuce stosowanej przedewszystkiem?

Obydwa te pytania zostały rozwiązane w Galicji i Królestwie w sposób dodatni. Po różnych próbach widzimy tam dzisiaj następujący obraz rzeczy: motywy przez lud użyte w tkactwie i zdobnictwie drzewnem oraz w gancarstwie motywy nowe, samorodnie niejako rozkwitające z otaczającej lud ten przyrody swojskiej, pojętej prymitywnie, ale oryginalnie, zostały przez zawodowych artystów ujęte w formy odpowiednie do potrzeb życia bardziej skomplikowanego i zastosowane do warunków mogących wytwory tego nowego stylu umieścić równie stosownie we dworze wiejskim jak w miejskim apartamencie. Wiemy, że nie zawsze próby owe były szczęśliwe pod względem artystycznego gustu lub praktyczności. Zawiodły np. zupełnie próby zastosowania ślicznej ornamentyki drzewnej górali zakopiańskich do porcelany lub murowanych budynków. Popełniano szereg omyłek, zapełniając poczekalnie lub salony jaskrawemi meblami o niemiłosiernie niewygodnych kształtach, lub probując rywalizować wełnianemi materjałami ręcznej roboty z olbrzymią i dokładniejszą a tańszą produkcją fabryczną.

Przy owych poszukiwaniach wybrano z przemysłu ludowego to, co w warunkach danej okolicy mogło obiecywać rozwój na większą skalę i zapewnić wytwórcom handlowe korzyści. Tak powstały warsztaty tkackie (płótna) w Liskowie, kilka fabryk kilimów; podejmowane próby ceramiki, mimo artystycznego kierunku, upadły.

W każdym razie możemy stwierdzić, że motywy, styl, ornamentyka ludowego natchnienia, sposób harmonizowania ze sobą barw oparty na wrażeniach wzrokowych, odebranych bezpośrednio z natury, wpłynęły na sztukę, przez artystów krakowskich do zdobnictwa stosowaną. Wytworzył się więc pewnego rodzaju styl swojski, oparty na tematach ludowych—podobnie jak muzyka Chopina na temacie prostej piosenki pastuszej tworzyła arcydzieła dźwięków harmonijnych.

Ten nowy prąd w sztuce naszej był zresztą równomierny z podobnemi objawami w całej Europie.

Oczy znudzone mdłą banalnością powtarzających się, kopjowanych miljony razy modeli różnych *„quinze-seize"*, japońszczyzn i empirów, zwróciły się ku tematom rodzimym, mniej sztucznym, obrazom bardziej żywym, z upodobaniem spoczęły na barwach szczerszych i jaskrawszych.

Z przyciemnionych kotarami salonów i z pod sentymentalnych abażurów gust, moda, ciekawość, wywiodły ludzi na jasnem słońcem ozłocone pola i łąki, tęczo-barwnem kwieciem jarzące, na przyźby chat zdobnych prymitywną rzeźbą, surową w linji, soczystą w kolorycie przydymionego, żywicznego drzewa. Belgja zapoczątkowała ten ruch nowej estetyki. Francja i Niemcy zastosowały go u siebie. Węgrzy szowinistycznie wprost traktują swą sztukę o bogatych motywach, Rosja narzuca nawet paryskiej modzie wschodnią grę barw swych dekoratorów, w Anglji Ruskin traktatami o estetyce wyrobów ręcznych, o prostocie „home'ow" uczył czerpać ze skarbnicy wyrobów ludowych.

Widzimy więc, że sztuka, zarówno muzyka i poezja, jak zdobnictwo lub architektura czerpie swe natchnienie u ludu. Odnawia i odradza je wtedy, gdy sztuczność rojnych miast zbyt je spaczyła.

Ludowe poczucie natury, wypowiedziane w formach prostych, jest jakby wytłumaczeniem jej tajników tym, co od niej zbyt daleko odbiegli, by ją trafnie pojmować; sztuka ludowa jest tą pierwszą przeróbką szlachetnych kruszców wydobytych z ziemi, z których dopiero ręka mistrza może uczynić arcydzieło.

. . . .

Myśli wyrażone powyżej nasunąć musiała pierwsza w Wilnie ogólno-krajowa wystawa przemysłu ludowego, wystawa ciekawa pod każdym względem, bo dała nam po raz pierwszy całokształt dorobku ludowego przemysłu i pozwoliła wywnioskować z niego, jaką może on mieć u nas przyszłość artystyczną i praktyczną.

Niestrudzonej energji i pracowitości p. Pauliny Kończanki, inicjatorki wystawy zawdzięczamy zebranie w sali miejskiej tak pokaźnej liczby eksponatów, co zważywszy niechęć, z jaką się na ogół lud nasz odnosi do wystaw, pięknie świadczy o staraniach komitetu. Artystyczną stronę dekorowania sali i układania przedmiotów wzięli na siebie pp. Ruszczyc i Żmudzinowicz i wywiązali się znakomicie z arcytrudnego zadania pomieszczania w ciemnawej sali tkanin i sprzętów niezbyt jasnych, a jaskrawych,

Trzeba było zachować pewien ład i zadowolić estetykę, ugrupować tkaniny planowo i harmonijnie, aby uwidocznić wybitne różnice między kolorystycznemi pojęciami gub. grodzieńskiej sąsiadującej z Królestwem, a wschodniemi kresami Białej Rusi.

Warunki miejscowe jako to: klimat, wpływy postronne, flora—sprawiają pewne w sztuce i przemyśle ludowym odcienie charakterystyczne i ciekawe do stwierdzenia.

Widzimy więc na wystawie typowy litewski ornament powtarzający się na tkaninach o barwach surowych, ale harmonijnych, na ślicznych, znanych już z innych wystaw pasach. Okolice Słucka nadesłały najpiękniej barwione spodnice. Czy nie wpływ to dawnych fabryk pasów słuckich, których złotawo-zielonawo-fjoletowe kolory znajdują odblask w pasiastych wełniakach?

Rzeczy wystawione można podzielić na trzy działy dla łatwiejszego orjentowania się w produkcji ludowego przemysłu.

A więc: *przemysł należący do przeszłości*, jako to śliczne, bogate w ornamentyce „lentele" do ką-

dzieli, zebrane licznie przez p. Brensztejna na Żmudi—czepce kolorowe często złotolite z szerokiemi wstęgami, pasiaste spodnice zanikające we wszystkich prawie okolicach Litwy i Białejrusi.

Przemysł rozwijający się: do tego należą przeróżne tkaniny wełniane, wełniano-bawełniane, lniano-bawełniane; czysto lniane na domowy użytek. Tych ostatnich jest najwięcej, Litwa szaro-białem płótnem odziana w tysiącznych odmianach deseniowych daje obrusy i ręczniki, tkane na warsztatach najbardziej prymitywnych domowego wyrobu.

Po za tem *przemysł domowy mający znaczenie handlowe*: tu mają miejsce nieliczne zakłady tkackie w rodzaju znanych szeroko tkanin p. A. Mohlówny, p. Z. J. Kunatta, wyrobów niektórych kółek rolniczych zwłaszcza litewskich. Dziwnie uderza brak wyrobów z drzewa w kraju jeszcze tak lesistym; może trudności transportu stanęły na przeszkodzie? Może po wsiach zastąpiono nietrwały materjał tańszym? Z nowego zastosowania drzewa widzimy jeno na modłę francuską saboty zupełnie niestosowne na nasz klimat i warunki, które już wytworzyły analogiczne obuwie, wielekroć razy praktyczniejsze i wygodniejsze, — t. j. „łapcie“ z łyka, chodaki ze skóry i „owczyny“. Bardzo też szczupły jest dział ceramiczny: najładniejsze okazy wystawiła gub. kowieńska; na ogół w miejscowościach czysto litewskich wszystkie gałęzie przemysłu ludowego przedstawiają się jednolicie i odrębnie od innych okolic o mniej bogatej produkcji.

Zachodzi pytanie, w jakim kierunku ma iść rozwój przemysłu ludowego u nas? Który jego dział popierać, by nie wytworzyć sztucznych fabrykatów skazanych prędzej czy później na zagładę?

Mogą się więc wytworzyć dwa kierunki, nie przeszkadzające sobie bynajmniej: *artystyczny*, służący dekoracji mieszkań, zostający pod czujnem okiem artystów, a takich przecie mamy u siebie oddanych sprawie sztuki ludowej stosowanej; zadaniem ich musi być dawanie wzorów tkackich, ceramicznych i drzewnych, opartych na motywach swojskich, używanych przez lud a mogących się przerabiać w tysiącznych formach. Widzimy bowiem produkcje doskonałe pod względem technicznym a tak szkaradnie brzydkie, że żal porywa nad zmarnowanym czasem i... wełną na takie pseudo secesje dywanikowo-kilimowe.

Druga strona rozwoju przemysłu ludowego ma znaczenie *handlowe* i tu należy pilnie zbadać warunki praktycznego zastosowania materjałow i rynków zbytu.

Zdaje mi się, że przerabiane wełny ręcznych warsztatów nie są w stanie pod żadnym względem wytrzymać konkurencji z fabryczną produkcją i to jest zupełnie naturalne. Za wyrobami fabrycznemi w każdej sferze przemawia: taniość, rozmaitość i dokładność roboty. Niepodobna w niektórych rzeczach zawracać z drogi postępu technicznego wstecz. Ubierano się przez całe wieki tkaninami i przędziwem domowem, dziś może to być tylko fantazją.

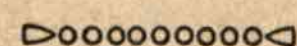
Inna rzecz z wyrobami tego rodzaju, co kilimy, kołdry, pledy: chodzi tu bowiem o przedmioty, których trwałość ma być główną zaletą i zmieniać ich kilka razy na rok nikt nie ma potrzeby. Produkcja tkanin lnianych powinna też znaleźć poparcie i rozwój, bo oryginalny i estetyczny ich wygląd może im pozwolić konkurować z fabrycznemi produkcjami.

Ale nadewszystko wydaje mi się wskazane zajęcie się przemysłem drzewnym. W kraju obfitującym w śliczne gatunki drzew, gdzie dąb czarny i tak poszukiwana dziś „czeczotka“ nie są rzadkością, gdzie miękka lipa i sosna są doskonałym materjałem do drobnych wyrobów, a łozy jest aż za wiele — wskazanem mi się wydaje pchnąć wytwórczość rękodzielniczą w kierunku przeróbki naturalnego tego materjału na niezliczone przedmioty handlu, zaczynając od zabawkarstwa, a kończąc na meblach, które by może swojską nutą zapełniły nasze mieszkania jęczące w jarzmie obrażającej oczy tandety żydowsko-secesjo-empirowej.

Rok rocznie się powtarzająca wystawa-jarmark—nie wątpię że powodzenie obecnej zachęci inicjatorów do dalszych prób, — dawał by obraz postępu na tem polu.

Pożądanym by był w Wilnie np. przy Tow. Rolniczem sklep wyrobów ludowych, a w nim pokaz urządzenia mieszkań przy pomocy tych leżących pod ręką środków estetycznych, zapoznanych lub źle pojmowanych i których wdzięku swojskiego trzeba u nas jeszcze wielu nauczyć rozumieć.

Hel. Rom.



PRASA POLSKA.

— Na kilka dni przed przyjazdem cesarza Wilhelma do Poznania niemiecka prasa katolicka ogłosiła tekst błogosławieństwa, przesłanego przez papieża protestanckiemu władcy Niemiec. W prasie polskiej fakt ten dyskretnie przemilczano. W ostatnim dopiero numerze „Humanisty Polskiego“ sprawę tę poruszył Aleksander Świętochowski w artykule „Stary nałóg“, jak zwykle dosadnie i bez niedomawiań.

„Wiele już zdziałano i niewątpliwie praca nad oddzieleniem polskości od katolicyzmu dalej trwać będzie, dopóki te pierwiastki, od tylu wieków ściśle z sobą zrosłe, a dziś już coraz wyraźniej sobie przeciwne, nie zostaną wreszcie rozłączone, ich związek ma u nas dwojakiego rodzaju obrońców: szczerych katolików lub fanatycznych bigotów, nie mogących pojąć, ażeby po za ich wyznaniem była jakakolwiek wiara, mająca prawo do miana religji, oraz polityków krótkowzrocznych, którzy często będąc zupełnymi ateuszami i lekceważąc duchowieństwo, uważają katolicyzm za główną a nawet za jedyną tarczę naszego narodu. Tę spekulację można było usprawiedliwiać pozorami słuszności, gdy istniała potęga zewnętrzna, osłaniająca go z tej strony od niebezpiecznych ciosów. Taką potęgą było niegdyś papiestwo. Grzegorz XVI i Pius IX rzeczywiście ujmowali się kilkakrotnie za „polskimi synami kościoła“. Ale od wstąpienia na tron apostolski Leona XIII ta wątła opieka zupełnie ustała. Papież nie miał odwagi i ostrości swych poprzedników: chciał być i był ostrożnym, zręcznym, gładkim, prawie śliskim, ażeby mógł się przesuwać między trudnościami...

„Leon XIII pomimo wszystkich zawodów, jakie sprawił polakom, umiał do końca życia zachować ich ufność, która szeptała po cichu: „Ojciec św. ciągle o nas pamięta“. Jego następca wyszedł z przeciwległego końca skali kardynalskiej. Bez wysoko mierzących ambicji, bez uzdolnień i wykształcenia, prosty a na taką godność za prosty, nieznający żadnego języka, którym świat szeroki się porozumiewa, byłby może poczciwym proboszczem olbrzymiej parafji, gdyby obok jego boku nie stanął jako sekretarz Mefisto jezuicki Mery del Val. hiszpan, będący wcieleniem najgorszych, najniższych, najbardziej ślepych i nietolerancyjnych dążeń papizmu, On jest duszą i piszącą ręką Piusa X, on jest ojcem wszystkich encyklik i listów pasterskich, cofających kler do średniowiecza, on również udzielił świeżo błogosławieństwa papieskiego Wilhelmowi II, wybierającemu się do Poznania, ażeby położyć stopę na piersiach

powolnej polskości katolickiej i okrzyknąć zwycięstwo protestanckiego giermanizmu...

„Tkwi w społeczeństwie naszem jeden stary, zmechanizowany nałóg, tłomaczący kierunki zarówno naszej opinji, jak naszych działań zbiorowych — służalstwo. Nasza masa społeczna truchleje, gdy na nią krzyknie jakikolwiek rozkazodawca religijny, pieniężny, tytułowy lub urzędniczy. To służalstwo objawia się u ludu pokorą względem władców małych — proboszczów, panów dworskich lub naczelników, a u inteligiencji—uniżonością względem wielkich. Jak chłop polski dotąd nie pojmuje, ażeby mógł istnieć wobec zagniewanego księdza, tak obywatel poznański nie pojmuje, ażeby mógł istnieć wobec zagniewanego króla. Nic to nie znaczy, że ten król go nęka, prześladuje, wywłaszcza—zawsze on jest dla niego źródłem dobra i siły. Szlachta polska lub mówiąc dzisiejszym językiem, inteligiencja tworzyła dzieje—to znaczy zarówno moc i kulturę, jak hańbę i zgubę narodu—sama, bez udziału klas niższych i dotąd zachowała to przekonanie, że ona sama będzie dalej snuła te dzieje i że ich bieg zależy od jej stosunku do monarchy. Dlatego w Poznańskiem pozwoliła, ażeby wyschły prawie wszystkie źródła duchowego życia narodu i mniema, że gdyby tylko rząd pruski „zmienił kurs", odrazu martwa dzielnica ożyłaby wszechstronnie. Dlatego bądź przywitała, bądź rada była przywitać, głębokim pokłonem Wilhelma II, ażeby go służalstwem przebłagać i dobrze usposobić. Jest to jedyna mądrość polityczna, na którą ci niewolnicy mogą się zdobyć. Żadnej innej od nich nie oczekujmy, a nawet nie żądajmy".

NA WIDNOKRĘGU.

Pewne objawy wskazują, że antagonizm rosyjsko-austrjacki, który od zeszłorocznej jesieni był głównym czynnikiem naprężonej sytuacj międzynarodowej znacznie osłabł. Według wiedeńskiego wywiadowcy premjer Kokowcow, miał stwierdzić polepszenie stosunków rosyjsko - austrjackich i wyrazić optymistyczne zdanie, co do ich przyszłego rozwoju. Niedawno na audjencji pożegnalnej ustępujący ambasador rosyjski otrzymał od cesarza Franciszka - Józefa wysoki order. Możnaby wymienić jeszcze inne symptomaty, jak również zacytować głosy dzienników inspirowanych, które fakt poprawy obustronnych stosunków zaznaczają i komentują.

Korespondent wiedeński dziennika „Nowoje Wremia" utrzymuje, że poprawę tę sprowadziły niepowodzenia, jakich w ciągu ubiegłego roku doznały na Bałkanach oba spółzawodniczące mocarstwa. Pogląd ten wydaje się w znacznej mierze słuszny. W istocie wypadki bałkańskie podniosły samodzielność tamtejszych państw chrześcijańskich i usuwając wpływ obu mocarstw na sprawy półwyspu, tem samem zmniejszyły grunt do wzajemnej rywalizacji.

Pierwsza wojna bałkańska przynosiła jako rezultat cieżką klęskę polityczną monarchji habsburskiej i tryumf Rosji, która przez utworzenie związku bałkańskiego i zburzenie Turcji europejskiej zyskiwała widoki rozwiązania po swej myśli starej kwestji wschodniej, jak również zyskiwała silnego sojusznika do szachowania Austrji. Tak przynajmniej pojmowano w świecie politycznym znaczenie rozwijających się wypadków i należy przyznać, że wówczas wszelkie pozory przemawiały za taką wykładnią. Na tle przewrotu bałkańskiego, mającego dla Austrji niemal znaczenie katastrofy mizernie wyglądały jej zwycięstwa dyplomatyczne w sprawie Albanji lub Skutari. Wyniki tych problematycznych zwycięstw w żadnym razie nie mogły dla monarchji habsburskiej stanowić dostatecznej tarczy od niebezpieczeństwa domniemanej ewolucji związku bałkańskiego, który swym frontem bojowym miał się zwracać przeciw niej.

Atoli pod pozorami ścisłej spójni ukrywały się w łonie zwycięskich koalicji sprzeczności, podsycane widokami bogatej zdobyczy, która podległa podziałowi. Nastąpiła zupełna zmiana sytuacji. Zamiast skonsolidowania związku przyszło pomiędzy wczorajszymi sprzymierzeńcami do krwawej wojny, która rozbiła w gruzy projektowany związek z jego rozległemi perspektywami.

Jeżeli pierwsza wojna bałkańska była klęską dla polityki austrjackiej, to druga stała się nią dla polityki rosyjskiej. Usiłowaniom gabinetu petersburskiego nie powiodło się doprowadzić powaśnionych sprzymierzeńców do konferencji w Petersburgu, ani zapobiec wybuchowi wojny. I po wojnie w ciągu układów pokojowych dyplomacja rosyjska nie zdołała wywrzeć na ich rezultat donioślejszego wpływu. Rolę przewodnią w układach pokojowych objęła Rumunja, która, rzecz prosta, nie mogła wystąpić w charakterze przewodniczki i protektorki państw bałkańskich, lecz wystąpiła jako *primus inter pares*, usuwając w sposób widoczny przewodnictwo któregokolwiek z wielkich mocarstw.

Traktat pokojowy w Bukareszcie był wyrazem samodzielności państw bałkańskich. Przed niecałym rokiem dzienniki rosyjskie istotę zatargu z Austrją określiły tak, iż chodzi o to, pod czyją egidą mają pozostawać na przyszłość państwa bałkańskie. Na tle wypadków z ostatnich kilku miesięcy spór ten traci poniekąd swój dawniejszy ostry charakter, gdyż sama kwestja czyjejkolwiek „egidy" staje się w znacznej mierze bezprzedmiotową. Narody bałkańskie dość wyraźnie pokazały, że „nie chcą ani tej, ani tamtej „egidy", że pójdą odtąd o własnych siłach i nadal same będą strzegły swych interesów.

Oczywiście i teraz pozostał na Bałkanach teren do gry politycznej dla wielkich państw, ale gra ta musi mieć inny, niż dawniej charakter i za postawę musi przyjmować rzeczywiste interesy tamtejszych państw.

Ewolucja tych państw wpłynęła na złagodzenie rywalizacji pomiędzy Rosją i Austrją, z drugiej wszakże strony usunęła grunt do trwalszego porozumienia, mającego za przedmiot uregulowanie spornych kwestji. Dawniej, kiedy Bałkany uchodziły za możliwą zdobycz, za bierne podłoże wpływów tych lub innych mocarstw, rywalizacja mogła w pewnych okresach ustępować miejsca przyjaznemu porozumieniu, gdyż zgoda pomiędzy spółzawodniczącemi stronami rozstrzygała o wszystkiem. Aspiracje samych ludów bałkańskich prawie nie wchodziły w rachubę. To też w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu pomiędzy Rosją a Austrją nieraz przychodziło w sprawach bałkańskich do porozumienia, opartego albo na uznaniu *status quo*, albo na zasadzie kompensat i rozgraniczenia wpływów. Trudno sobie wyobrazić tego rodzaju porozumienie przy nowym układzie półwyspu Bałkańskiego.

Należy też pamiętać, że sprawy tego półwyspu nie były jedynem źródłem antagonizmu rosyjsko-austrjackiego. Prasa rosyjska nieraz zaznaczała inne czynniki możliwego zatargu, a w ich

liczbie jako bardzo ważny — ruch ukraiński we wschodniej Galicji.

Złagodzenie przeciwieństw bałkańskich nie pociąga bynajmniej ogólnego porozumienia, do którego w obecnej chwili jest jeszcze dość daleko.

Zatrważające symptomata.

Ukazał się świeżo dodatkowy numer „Walki z kłamstwem", zatytułowany: „Słowo prawdy o tak zwanem „Memorandum", wysłanem przez prowokatorów polskich za pieniądze nacjonalistów rosyjskich". Numer cały składa się z przedruków artykułów hr. Ignacego Korwin-Milewskiego, zamieszczanych w „Wilenskim Wiestniku" oraz ich przekładów na język polski wraz z uzupełnieniami.

Gdy się czyta ten jedyny w swoim rodzaju zbiór nonsensów, insynuacji, oszczerstw i wymysłów, odnosi się wrażenie, że pisał je człowiek niepoczytalny, dotknięty atakiem furji.

Dziwić się można, że najbliższe otoczenie autora nie zwróciło dotychczas uwagi na coraz częściej powtarzające się zatrważające symptomata i nie przedsiębierze żadnych środków zapobiegawczych, stosowanych w wypadkach podobnych.

Nie wiadomo nigdy, do czego może się posunąć człowiek, który utracił panowanie nad sobą i nie uznaje odpowiedzialności za swe czyny.

W interesie bezpieczeństwa ogólnego powinny być niezwłocznie przedsięwzięte środki ostrożności.

KRONIKA.

= **Zgon biskupa.**

W Berlinie po operacji zmarł biskup żmudzki ks. Kacper Cyrtowt. Zmarły na swem trudnem stanowisku odznaczył się tolerancją i cieszył się powszechnym szacunkiem.

= **Nowe pisma polskie w Wilnie.**

Świeżo ukazały się w Wilnie pierwsze numery dwu nowych pism; tygodnika popularnego p. t. „Wiadomości Ilustrowane", redagowanego przez p. K. Próchnika oraz dwutygodnika p. t. „Nasze Ognisko", poświęconego sprawom kobiecym pod redakcją p. Ludwiki Życkiej. Z pierwszych numerów trudno wydać sąd o kierunku i wartości nowych czasopism.

= **Nowa fundacja im. Kierbedzia.**

Znana ze swych hojnych i rozumnych ofiar na cele publiczne, p. Eugienja Kierbedziowa, złożyła za pośrednictwem d-ra Benni'ego na ręce d-ra Józefa Polaka, jako prezesa warsz. Tow. Higjenicznego ćwierć miljona rubli, z przeznaczeniem tej sumy na budowę domu noclegowego wraz z kąpielami ludowemi w Częstochowie dla pątników.

Dzięki tej hojności, krocie pątników, obozujących dotychczas pod otwartem niebem w ohydnych warunkach higjenicznych, znajdą tanie schronienie podczas pobytu w Częstochowie.

Władze klasztorne, ciągnące miljonowe dochody z pielgrzymek, pomimo niejednokrotnych przytyków prasy, nie zdobyły się na powyższą ofiarę.

= **Kara prasowa.**

Na mocy postanowienia warszawskiego gienerał-gubernatora wydawnictwo „Tygodnika Polskiego" zostało skazane na zapłacenie kary w kwocie rub. 300 po wydrukowaniu w № 32 artykułu p. t. „Nie sobie".

= **19 przestępstw w jednym numerze.**

Na mocy postanowienia moskiewskiego komitetu do spraw prasowych skonfiskowany został ostatni 4-ty numer pisma robotniczego „Nasz Put'". Jak się okazuje, redakcja tego organu popełniła w jednym numerze aż 19 przestępstw, zamieszczając następujące szkodliwe i niebezpieczne dla państwa artykuły: „Wolność prasy", „Nowe środki reformy ziemstw", „Rola stanów i klas w ruchu wolnościowym", „Moskiewskie pismo robotnicze i proletarjat moskiewski", „Sąd petersburski i naczelnik m. Baku", „Karaluchy", „Dzień trzeźwości", dalej notatki w dziale „Pozdrowienia" dla pisma „Nasz Put'": „Uchwała od grupy świadomych metalowców okręgu zamorsko-rzecznego". Od robotników z fabryki Duks, Od żołnierza, Od grupy robotników z warsztatu Dillowa, wiersz „Nasza droga", korespondencja z Rygi i z gub. Kostromskiej i t. p.

Redaktorowi pisma, p. Sokołowowi, wytoczono sprawę sądową z punktu 2-go i 6-go art. 229 kod. kar. Komitet do spraw prasowych wystąpił do sądu z wnioskiem zawieszenia wydawnictwa tego pisma do czasu rozpatrzenia spraw tych w sądzie.

= **Inauguracja gubernji chełmskiej.**

Agiencja telegraficzna petersburska rozesłała telegram o urzędowej uroczystości otwarcia gubernji chełmskiej, która się odbyła w mieście Chełmie dnia 1 (14) b. m. zgodnie z zapadłem w swoim czasie postanowieniem.

Sama uroczystość, jak ją przedstawia telegram Agiencji, odbyła się według typowego programu uroczystości urzędowych, przy udziale, jak zwykle, tak i tu, odpowiednich reprezentantów miasta Chełma i gubernji chełmskiej. Z prasy lubelskiej wszakże dowiadujemy się, że miała ona silną barwę polityczną, że w przemówieniach brzmiała nuta bojowa, co było zresztą do przewidzenia. Momentem też zasługującym na uwagę jest, że obok reprezentacji rosyjskiej brała w niej udział i żydowska.

= **Jubileusz Franciszka Hovorki.**

W Kole artystyczno-literackiem w Krakowie odbyło się zebranie towarzyskie na cześć przyjaciela polaków, p. Franciszka Hovorki, obchodzącego w tym roku 35-letni jubileusz pełnej zasług pracy publicystycznej, literackiej i na niwie porozumienia czesko-polskiego.

W zebraniu wzięli udział liczni przyjaciele jubilata, najliczniej reprezentowany był świat literacki, artystyczny i dziennikarski.

Sprostowanie.

W № 32—34, w artykule „Gospodarka szkolna w Galicji", str. 5 w wierszu 20-tym od góry czytać należy: „różnych fachów".

Treść numeru.

Pierwszy krok — L. A.
Wzgląd nieznany — J. Sorokowicz.
Wolność wewnętrzna — Wi—ski.
Harcerstwo polskie — M. Niedziałkowski.
August Bebel — St. Posner.
Muzeum Rąpperswilskie — J. Lorentowicz.
Białość słowiańska, cicha, anielska...—W. Wolski.
Drobny przemysł i sztuka ludowa — Hel. Rom.
Prasa polska.
Na widnokręgu.
Zatrważające symptomata.
Kronika.
Odcinek: „Bajki jesienne" — Wł. L. Ewert.



Wydawca Witold Abramowicz. Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny Zofja Ostachiewiczowa.

Rok II. Wilno, 5 (18) października 1913 r. № 38—40.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Godzina próby.

Na prastary Kijów zwrócone są obecnie oczy całego świata cywilizowanego. Proces o mord rytualny czyli tak zwana sprawa Bejlisa ma znaczenie wyjątkowe ze względu na tezę oskarżenia, która, mimo, iż przesądzona została przez wszystkie powagi naukowe i uznana za haniebny zabobon, dotychczas porusza umysły ludzkie, wywołując krańcowe roznamiętnienie.

Jako zagadnienie kulturalne, jako przeżytek niegodny spółczesnego rozwoju umysłowości ludzkiej, proces kijowski przykuć musiał do siebie uwagę tych wszystkich, komu postęp ludzkości nie jest obojętny i komu chodzi o tryumf myśli krytycznej nad barbarzyńskim instynktem. Stąd płynie to ogólne zainteresowanie, jakie towarzyszy zwykle doniosłym zjawiskom społecznym.

Ze swej strony żydzi uczynili wszystko, by nadać sprawie tej jaknajwiększy rozgłos. Trudno się im dziwić. Wszakże na ławie podsądnych w Kijowie, w osobie Bejlisa, zasiada całe społeczeństwo żydowskie.

Nie należy zapominać, że akt oskarżenia wyraźnie formułuje zarzut popełnienia przez Bejlisa morderstwa dla celów obrzędowych, religijnych. Skazanie więc podsądnego byłoby wyrokiem potępiającym — w oczach ciemnego tłumu — całego plemienia izraelskiego, wydaniem go na łup pogardy, wstrętu i nienawiści sfanatyzowanym masom chrześcijańskim. Uznanie winy Bejlisa stwierdzało by jednocześnie tak ohydne pierwiastki w religji mojżeszowej, że nie mogłaby ona nadal być tolerowaną i musiałaby ulec takiemuż prześladowaniu, jak rozmaite sekty zwyrodniałe lub nawet ludożerstwo.

Oczywiście są to konsekwencje logiczne, które nie zostaną zastosowane w praktyce. Blisko dwa tysiące lat pokutuje legienda o używaniu przez żydów krwi chrześcijańskiej do celów rytualnych. Setki spraw sądowych wynikły na tem tle, ani jeden proces jednak nie skończył się udowodnieniem istnienia mordów rytualnych.

Cały szereg papieży, głów koronowanych, instytucji państwowych i naukowych w różnych czasach stwierdzał kategorycznie bezpodstawność legiendy i stanowczo potępiał jej niedorzeczność. Orzeczenie dwunastu włościan i mieszczan kijowskich, jakiekolwiek będzie, nie może mieć znaczenia zasadniczego. Będzie to głos przekonania wewnętrznego mało wykształconych obywateli w kwestji, która wymaga niezwykłej erudycji i specjalnych badań.

Rządy i instytucje prawodawcze nie mogą polegać, oczywiście, na kompetencji przypadkowego grona sędziów przysięgłych.

Nie potrzebują się też żydzi obawiać, w razie zasądzenia Bejlisa, daleko idących konsekwencji w postaci nowych ograniczeń i prześladowań. Obawiają się natomiast — i słusznie — innego skutku w którego przewidywaniu rozwinęli tak gorączkową akcję, nie cofając się przed żadnemi środkami, mogącemi wpłynąć na przebieg pomyślny procesu. Uznanie winy Bejlisa byłoby niewątpliwie iskrą, rzuconą na gromadzone oddawna palne materjały. Nastąpiłby wybuch straszliwy.

Gdy się zważy wszystkie okoliczności, towarzyszące w ciągu paru lat głośnej tej sprawie, widzi się wyraźnie, że od samego początku rosyjskie organizacje reakcyjne pracowały usilnie nad rozpowszechnieniem wersji o mordzie rytualnym. Aby nadać agitacji większe znaczenie została ona przeniesioną na trybunę Dumy Państwowej. Z inicjatywy Zamysłowskiego, występującego obecnie w procesie w charakterze powoda cywilnego, prawica wniosła interpelację w kwestji zabójstwa rytualnego Juszczyńskiego. Dała ona sposobność Puriszkiewiczowi i Markowowi do wygłoszenia mów, będących jawnem nawoływaniem do pogromów. Interpelacja została odrzucona, niemniej reakcjoniści mieli możność rozwinięcia na szpaltach swych pism usilnej agitacji pogromowej. Związek Archanioła Michała i inne tego rodzaju organizacje wydały i rozpowszechniły w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy szereg pogromowych świstków.

W tej naelektryzowanej fanatyzmem atmosferze ma zapaść wyrok, który może stać się hasłem rozpętania najniższych instynktów w ciemnych masach, kształconych na literaturze poczajewskiej. A któż może przewidzieć, jak szerokie kręgi zatoczy fala kijowska? Zrozumiały więc jest niepokój żydów, po-

wszechne ich modły po synagogach i nerwowe zabiegi, które niejednokrotnie więcej im szkody przynoszą niż pożytku.

Ale nietylko dzienniki żydowskie przywiązują wielką wagę do sprawy Bejlisa. Cała prasa rosyjska zajmuje się nią gorliwie, przyczem występują przeciwko sobie z wielką zaciętością dwa obozy: reakcyjny i opozycyjny. Świadczy to o doniosłem znaczeniu politycznem procesu. Postępowe koła rosyjskie rozumieją dobrze, że sprawa jest rozdmuchiwana nie tylko z pobudek antysemityzmu rasowego. Bejlisowi przeznaczyła reżyserja prawdziwie rosyjska odegrać rolę piorunochronu, mającego ściągnąć na siebie całą elektryczność, jaką są przepojone masy ludowe.

Niezadowoleniu z istniejącego stanu rzeczy, nurtującemu coraz silniej w społeczeństwie rosyjskiem i docierającemu coraz głębiej trzeba dać jakieś ujście. Skierować je na żydów — sposób najłatwiejszy i jak doświadczenie uczy, skuteczny i niezawodny. Nie dopuścić do takiego tryumfu reakcji stało się najważniejszem na dziś zadaniem opozycji. Walka nierówna, lecz nieraz już prawda i sprawiedliwość zwyciężały złe i ciemne moce, mimo pozorną ich potęgę.

W chwili tak krytycznej, wobec zaostrzenia stosunków polsko-żydowskich, można się było obawiać, aby społeczeństwo polskie nie poszło za głosem nienawiści i nie utraciło równowagi, która je dotychczas w wypadkach podobnych cechowała. Na szczęście obawy okazały się płonnemi.

Zbyt wysokim jest poziom kulturalny społeczeństwa polskiego, zbyt silne są w nim tradycje humanitarne, by mogli śród niego operować jawnie naśladowcy i duchowi sprzymierzeńcy Puriszkiewicza. Cała prasa polska zajęła wobec oskarżeń o mord rytualny stanowisko odporne i nieprzychylne. Nawet najmniej kulturalny jej odłam z osławioną dwugroszówką warszawską na czele oparł się pokusie wyzyskania sposobności, by uderzyć mocniej w struny antysemityzmu.

Europa i postępowa Rosja mogą się przekonać, co warte są skargi żydów na rzekomy ucisk i gwałty, jakich względem nich mają się dopuszczać polacy. Naród polski wszakże w ostatnich czasach został odmalowany przez oszczerców żydowskich jako zgraja barbarzyńców, znęcająca się z okrucieństwem nad bezbronnym ludem żydowskim, urządzająca pogromy i średniowieczne auto-da-fe. Najniedorzeczniejsze potwarze rozsiano na szpaltach liberalnych pism europejskich i rosyjskich w celu zohydzenia imienia polskiego w opinji świata cywilizowanego, a oto, gdy nadeszła godzina próby, gdy czynniki wpływowe w Rosji otwarcie pracują nad wytworzeniem nastroju pogromowego—tuż obok w Polsce rozlega się jedynie hasło unarodowienia handlu i przemysłu i protest przeciwko budowaniu Syonu nad Wisłą.

Zdarzają się wprawdzie wybryki karygodne na łamach pism polskich, po części usprawiedliwione tonem aroganckim rozmaitych żargonowców, akcja bojkotowa przybiera nieraz formy zbyt brutalne, walka z zalewem żydowskim w dziedzinie ekonomicznej najniepotrzebniej i bezmyślnie się przenosi w sferę życia kulturalnego—wszystkie te ekscesy jednak bledną i nikną wobec pierwszego lepszego artykułu „Ziemszczyny“ a nawet „Nowoje Wriemia“. I mimo to ogół żydowski ciąży do Rosji, a zieje nienawiścią ku Polsce. Czem można wytłómaczyć to niepojęte zaślepienie? Chyba doznanym zawodem, pogrzebaniem nadziei utworzenia państwa żargonowego na ziemiach Rzeczypospolitej?

Mniejsza o to. Nie ubiega się naród polski o względy żydowskie. Jeżeli dziś jednomyślnie potępia aranżerów procesu kijowskiego, to czyni to bynajmniej nie w celu przypodobania się p. p. Żabotinskim, lecz wyłącznie dlatego, że widzi jasno potworne zakulisowe machinacje i że obce mu są przeżytki średniowiecza.

Bo tak każe mu sumienie.

L. A.

Na mylnej drodze.

Dla nikogo nie jest dziś tajemnicą, że stosunki ekonomiczne Litwy i Białejrusi w opłakanym znajdują się stanie. Kraj nasz, uchodzący za rolniczy, posiada gospodarkę rolną nie tylko nad wyraz prymitywną, ale—co znamienniejsze —brak

---

TADEUSZ DĄBROWSKI.

Józef Korzeniowski.

(W pięćdziesiątą rocznicę zgonu).

Cicho i bez rozgłosu przechodzi pięćdziesiąta rocznica śmierci Józefa Korzeniowskiego. Mało kto stara się odnaleźć go, przypomnieć czytającej publiczności, zbliżyć do naszego widzenia. Nikomu nie przyszło na myśl, by odnowić stare, Lewentalowskie jeszcze wydanie pism zbiorowych tak poczytnego niegdyś pisarza i wetknąć je w ręce dzisiejszych.

Albowiem Korzeniowski nie był pisarzem, któryby porywał społeczeństwo całe, któryby wskazywać mu pragnął zasadnicze cele, wynajdywać drogowskazy, ustalać biegi jego przeznaczeń. Ambicja jego nie podążała temi górnemi szlaki. A przecież żył w czasie, w którym zrozumiałe było samo przez się, powszechnie było przyjęte, iż pisarz, poeta, to wieszcz, skupiający w sobie odczuwania i dążności jeśli nie ludzkości całej, to przynajmniej swego narodu i swego pokolenia.

Był Korzeniowski rówieśnikiem niemal Mickiewicza. Urodził się wcześniej nawet, w 1797 r. Był prawie rówieśnikiem młodszych odeń Słowackiego Juljusza i Zygmunta Krasińskiego. Za towarzyszów szkolnych w krzemienieckiej szkole miał zapalonych romantyków: Stefana Witwickiego, Tymona Zaborowskiego, Karola Sienkiewicza. Przeszli oni wcześnie stadjum ząbkowania poetyckiego i hasali od młodego wieku na romantycznym koniku. Czytywali twory romantyków francuskich czy angielskich, zachwycali się niemi i przyswajali je ojczystej mowie. Chateaubrianda „René“, melancholji pełen pessymista, zasadniczo nie zdolny do życia, mający dla wszelkich objawów życiowych tylko niechętny giest znużenia; płomienny buntownik i szyderca Byron, drwiący ze społeczeństwa, z jego konwenansów moralnych i banalnych wierzeń: to były ideały, na które zapatrywano się z podziwem i na których układano czułą młodzieńczą duszę. Korzeniowski jednak do pokolenia tego już nie należał.

Rzecz dziwna: pisarz ten ominął w rozwoju swym duchowym cały jeden okres naszej literackiej

mu już własnych ziemiopłodów na wyżywienie ludności miejscowej. Zamiast eksportować zboże—musimy je sprowadzać.

Dowodzi to całkowitego zastoju kultury, zastoju chorobliwego, grożącego nie dającemi się przewidzieć klęskami. Minimum postępu wymaga pewnej stałej równorzędności między wzrostem produkcji i wzrostem zaludnienia kraju. Jeżeli dany kraj nie posiada warunków dla podnoszenia swej wytwórczości rolnej—t. j. dostarczania w potrzebnej ilości chleba swym mieszkańcom—winien produkować cośkolwiek innego (np. rozwinąć przemysł fabryczny lub rękodzielniczy) i towar swój wymieniać na środki spożywcze.

My jednak nie mamy nic do wymiany. W każdym razie—prawie nic. Jedyny eksport—to drzewo, którego przy obecnej gospodarce rabunkowej z każdym rokiem ubywa. Przepisy o ochronie lasów w małym stopniu tylko mogą na to poradzić.

W tem rozpaczliwem położeniu znalazł się wszakże jeden „towar na wywóz“. Towarem tym są—ręce robocze. Emigracja ludu wzrasta z roku na rok, wywołując małoduszne wyrzekania niedołęgów ziemiańskich, którzy w zjawisku tem nie widzą żywiołowej konieczności, ale jakiś dziwaczny kaprys rozzuchwalonego wolnością chłopstwa. Przy pomocy mdłych kazań, bezsilnych strachów, wreszcie próśb o represje policyjne, pragną obywatele nasi wstrzymać falę wychodźtwa, nie rozumiejąc, że gdyby zabiegi ich osiągnęły skutek, zapanowałaby w kraju nędza ostateczna.

Emigracja jest przeciw niej środkiem, który lud instynktownie wynalazł. Jest to klapa bezpieczeństwa, usuwająca lub przynajmniej odsuwająca kataklizmy ekonomiczne.

Ale kraj, który za otrzymany od obcych chleb płacić może tylko takim towarem wymiennym, jak surowa siła robocza, znajduje się już właściwie u kresu ubóstwa. Znaczy to bowiem, że wyjść on nie może z pewnego przeżytego stadjum gospodarki i niezdolny jest do dalszego życia samodzielnego na stopie kulturalnej.

Jedyna pociecha, że zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę i szukać ratunku.

Ogół wprawdzie orjentuje się w sytuacji mglisto, dróg szuka omackiem, ale — bądź co bądź — otrząsa się stopniowo z bezwładu. To już coś znaczy.

Zwłaszcza pocieszający jest fakt uznania konieczności dopomożenia masom włościańskim, by dźwignęły się z obecnego bezradnego zastoju. Doniosłości przejawu tego nie zmniejszają bynajmniej bezpośrednie, właściwe pobudki dążeń ziemiaństwa. Pobudki te są, wiadomo, przedewszystkiem egoistyczne, chociaż w wielu razach nieświadome. Chodzi o zatrzymanie na miejscu robotnika i pouczenie go, że mimo niskich płac żyć może, byle zechciał nie marnować wolnego czasu.

Szukając po omacku dróg polepszenia obecnego stanu ekonomicznego, społeczeństwo zwróciło uwagę na drobny przemysł włościański. Urządzona wystawa powiększyła jeszcze bardziej ogólne zainteresowanie i dała sposobność do budowania rozmaitych planów ekonomicznego odrodzenia kraju. Słyszy się dziś głosy, a nawet czytuje się artykuły, doradzające kultywowanie rękodzielnictwa ludowego.

Nawoływanie w zasadzie słuszne. Należy jednak pamiętać, że nasze stosunki nie pozwalają przeceniać skuteczności rozwoju tego rodzaju pracy.

A do takiego przeceniania jesteśmy skłonni z tego powodu, że nam się nasuwa bliski przykład Rosji rdzennej, gdzie wyroby włościańskie (czyli t. zw. *kustarnyj promysieł*) ogromnie są rozpowszechnione.

Pytanie tylko, czy Rosja rdzenna w danym wypadku może być dla kraju naszego właściwym wzorem?

Wystarczy trochę zastanowienia, by nabrać co do tego poważnych wątpliwości.

Rosja posiada 10 mil. „kustarej“ przy 1 miljonie rzemieślników. Stosunek to w Europie wyjątkowy. Świadczy on, że życie ekonomiczne Rosji znajduje się na wczesnym, wcześniejszym niż nasze, stopniu rozwoju. Tenże stosunek odpowiada zresztą w zupełności małej liczbie miast, a co zatem idzie—prymitywnej specjalizacji pracy. Możnaby powiedzieć, że Rosja nie dosięgła jeszcze stadjum, w którem Europa posiadła rzemiosło

---

twórczości. Gdy jako dziewiętnastoletni młodzieniec rozpoczynał pisarski zawód , pisał w stylu tak patetycznym, tak wzniosłym, jak najprzedniejsi dygnitarze cywilni czy wojskowi, a zarazem koryfeusze literatury polskiej, jak pisał Ludwik Osiński, Franciszek Wężyk czy Kajetan Koźmian. „Oda na rok 1815“, „Oda do pióra“ i t. p. nazywały się napuszyste owe utwory, budowane z zastosowaniem wszelkich prawideł retorycznych i niejednokrotnie we wzniosłości swoich wyrażeń budzące lekki uśmiech czytelnika. „O górności“, „o patetyczności“ brzmiały też imponująco pseudoklasyczne estetyczne rozprawy młodego autora, szpikowane obficie przytoczeniami z Horacego, Longina, Homera i Wergilego, czy z Corneille'a, Racine'a i Voltaire'a. Było to zgoła jak u młodego Mickiewicza.

I jak u młodego Mickiewicza zdarzają się w onych czasach u Korzeniowskiego wiersze czułe, sentymentalne, zakrawające na romansy, napojone zbyt obficie łzami. „Światełko“, „Ernestyna“, „Drzewko Złamane“, „Ostatnia praca“, „Tren Omnii na dolinie Beder“, taki sam mają koloryt, budowę, rytm wiersza, tak samo skargi pełnemi monologami są przeładowane, jak Mickiewiczowski „Kurhanek Maryli“ czy „Rybka“. Były wszelkie dane, wskazujące na to, iż Korzeniowski, równie jak rówieśnicy, pójdzie do klasycyzmu drogami „czułości“, że cierpieć będzie za siebie, za drugich, za nieszczęśliwych kochanków, za katowany naród, za znużoną szarzyzną codziennego istnienia ludzkość, że będzie głosił prawa serca, uczucia wobec społeczeństwa i praw jego, wobec porządku wyższego, przedustanowionego w wszechświecie, że będzie gromił więzy, uciskające jednostkę, a miotał buńczucznie prawa indywidualizmu, że nawet może, jak Mickiewicz w chwili najwyższego uniesienia nie cofnie się przed bluźnierstwem, ciśniętem śmiało Bogu — w imię serca. Lecz w tym właśnie czasie, gdy najwyższy ferment dokonywał się pośród romantyków naszych, gdy wychowywali się i na widownię publicznych wypływali młodzi entuzjaści, Korzeniowski pisał jeszcze bardzo mało, wystąpił zaś już wtedy, gdy i zagranicą kierunek upodobań literackich zmieniać się począł i gdy pojawiać się poczęły nowe przedmioty zajęcia. Z tym nowym prądem literackim żeglował śród grupy innych, którzy później powyrastali, także Józef Korzeniowski.

Przeszła po nim bez śladu cała fala, która wydała namiętne „Dziady“ Mickiewicza, która wyniosła

i ujęła je w ramy organizacji. To opóźnienie rozwoju ekonomicznego przechowało tu wyjątkowo niezwykłą masę włościan, produkujących najrozmaitsze przedmioty pospolitego użytku.

Dawnemi bardzo czasy wytwórczość taka istniała wszędzie. W miarę jednak, jak rolnictwo oddzielało się od rękodzielnictwa, ustępowała ona wobec wykwalifikowanej pracy rzemieślniczej.

Ponieważ życie się nie cofa i my nie możemy ani spodziewać się, ani też pragnąć zredukowania osiągniętej już specjalizacji, więc oglądanie się na *„kustarnyj promysieł“* rosyjski jest czczem marzeniem.

Uszlachetniać produkcję włościańsko - rękodzielniczą, która się u nas dotąd zachowała; dopomagać, by dawała jaknajlepszy dochód, by stanowiła żywe źródło rodzimego stylu — a! to i owszem. Lecz nie należy spodziewać się ani nadzwyczajnych w tym kierunku sukcesów, ani szczególnego podniesienia dobrobytu mas ludowych przez nauczenie ich lepienia garnków i strugania cacek.

Zresztą, nawet owa Rosja rdzenna, klasyczny kraj przemysłu chłopskiego, nadziejom takim nie daje zbyt silnych podstaw. Nigdzie w Europie włościanin tak często nie głoduje, jak w Rosji. Jego zaś przemysł domowy stał się od dawien dawna przedmiotem nielitościwej eksploatacji ze strony t. zw. „kułaków“.

Gdy się liczy rosyjskich *kustarej*, bierze się pod uwagę właśnie owych „kułaków“, t. j. lichwiarzy wioskowych, u których pracują inni miejscowi gospodarze najczęściej za bezcen. Kułak dopiero umie z wyrobów włościańskich uczynić towar, dla którego znajduje odpowiednie rynki zbytu.

Tak samo zresztą dzieje się i gdzieindziej— t. j. w krajach, które zachowały u siebie (oczywiście, w mniejszym stopniu, niż Rosja) drobny przemysł włościański. W Szwajcarji np. wyroby ludowe produkowane są już wprost na sposób fabryczny, systemem t. zw. chałupnictwa. Wprowadzono tu nawet daleko idący podział pracy, a ułatwiające ją narzędzia, maszyny i motory są własnością przedsiębiorcy. W ten sposób wyrabia się tam nawet zegarki.

Gawędy o możliwych sukcesach przemysłu ludowego nie powinny nam zasłaniać faktu, że linja ekonomicznego rozwoju kraju w innym zgoła biegnie kierunku. Kierunkiem tym jest dalsza specjalizacja pracy. Taki jest przynajmniej kierunek na dziś jeszcze.

Tymczasem myśmy nie potrafili dotąd wyspecjalizować głównego zawodu ludności, t. j. rolnictwa. W porównaniu z Europą zachodnią rolnictwo nasze jest w pieluchach. I to jest powód główny nędzy; powód główny, że nam brak ziemiopłodów na własne nawet potrzeby; że sprowadzać je musimy, nie mając za nie czem płacić.

Energiczne, śpieszne dążenie do zaprowadzenia gospodarki intensywnej, do zastąpienia chłopa przez rolnika zawodowego—jest wprost koniecznością chwili. Wszystko inne—to mniej lub więcej —zabawa. Drobny właściciel ziemski musi nauczyć się uprawiać swą rolę tak, by dawała ona wszystko, co dać może przy obecnym stanie wiedzy.

Pierwszą więc potrzebą są szkoły i szkółki rolnicze, instruktorowie, pola doświadczalne, instytucje meljoracyjne! A wszystko to tak urządzone, by się samo włościaninowi narzucało, by kosztowało go jaknajmniej i oczywistą dawało korzyść.

Robi się wprawdzie coś w tym kierunku, ale brak tej robocie zapału, rozmachu, brak zda się wiary i pewności, że tędy jedyna, główna wiedzie droga do istotnej, głębokiej kultury i do wybrnięcia z nędzy, która krajowi grozi.

J. S.

O inteligiencji polskiej.

W sferze panowania kapitału wszelkie wartości, nie tylko materjalne lecz i umysłowe — są patentowane, pilnie strzeżone przez przywilej. Nic też dziwnego, że pod słowem „inteligiencja“ rozumiana jest przeważnie ta część społeczeństwa, która posiada dyplomy z ukończenia wyższych zakładów naukowych, czyli t. zw. inteligiencja zawodo-

---

„Konrada Wallenroda“ lub „Improwizację Konrada“. Inny typ też przedstawia, jako pisarz Korzeniowski. Korzeniowski był już pisarzem zawodowym, był literatem, wykształconym gruntownie, panującym nad literackiem rzemiosłem, który dokładnie był świadom, jakiego rodzaju motywy i chwyty, zastosowane w dziele, mogą liczyć na przyjęcie pomyślne u publiczności. Był to pisarz, żyjący w urojonym, ponad rzeczywistością codziennego narodowego życia bytującym świecie książek. Stamtąd dowiadywał się, jakie są nowe wymagania w dziedzinie sztuki. Stamtąd wiedział, że pisarz spółczesny w takim a nie innym kierunku pójść powinien. Jeśli czerpał tworzywo do swego działania ze stosunków rzeczywistych, w których się obracał, jeśli spostrzegawczość ćwiczył i spostrzeżenia w utworach swych notował, jeśli satyrycznie, w wypukłem zwierciadle malował to, co widział, szedł zawsze torami, utartemi przez obcych. Zasługi jego nie są „narodowe“, jak zasługi Mickiewicza, Słowackiego, czy Krasińskiego. Nie można na pisma jego patrzeć jako na ewangielję narodowego życia, w których zawarto nieomylne wskazania. Korzeniowski sam w jednym z literackich swych fejletonów niższe sobie przypisywał miejsce. Dzielił on pisarzy spółczesnych na trzy grupy: w pierwszej umieszczał Mickiewicza i Krasińskiego, oraz z kobiet Hofmanową, w drugiej Fredrę, Słowackiego, Goszczyńskiego, Witwickiego i siebie, do trzeciej należeli wiekiem młodsi. Sam Korzeniowski więc odróżniał poziom, na którem stanęły utwory Mickiewicza n. p., oraz poziom dzieł swoich własnych. Zasługi jego są natury czysto literackiej. Odświeżył dziedzinę twórczości dramatycznej, idąc za nowemi wzorami. Wzbogacił naszą twórczość komedjową, wprowadzając obok komicznych typów i sytuacji, znanych z pisarzy dawniejszych, rozmaite figury i charaktery komiczne, brane ze spółczesnych stosunków. Walnie przyczynił się do wzrostu powieści polskiej, mając przeobfite pole do obserwacji i podając interesujące obrazy ówczesnego życia. Nie trzeba zaś zapominać, że posiadał także i szlachetne tendencje, że tu i ówdzie budujący wypowiadał morał, że chciał na społeczeństwo działać, nie w sprawach zasadniczych, wieczystych, jak działał Mickiewicz, lecz w sprawach codziennych, aktualnych, bieżących. Tendencja ta niech mu policzona będzie za trochę zasługi.

Temperament pisarza tego zgoła nie odpowiadał romantycznemu typowi. Zimny był, refleksyjny,

wa. „Inteligencja—pisze Sorel—nie są to, jak się zazwyczaj mówi, ludzie, którzy myślą. Są to ludzie, uprawiający zawód myślenia i pobierający arystokratyczną płacę z tytułu szczytności tej profesji". I istotnie inteligencja, tak ciasno pojęta,—to warstwa uprzywilejowana i z przywileju czerpiąca soki do życia. Nie tylko poszczególne zawody, jak medycyna, prawo, technika, nie tylko kapłaństwo, lecz i nauka czysta, sztuka i filozofja—są po dzień dzisiejszy udziałem przywileju, „Filozofja—powiada Paulsen—oddawna uchodzi w Niemczech za wiedzę, przeznaczoną dla szczupłego grona wtajemniczonych". A przecież myśl, jak to słusznie zaznacza J. Grote, profesor uniwersytetu w Cambridge, „to nie jest rzeczą zawodu, to nie jest coś tylko dla tak zwanych filozofów, albo dla myślicieli zawodowych. Najlepszy filozof—to człowiek, który potrafi myśleć najbardziej po prostu (nie po prostacku! *Wi—ski*)... filozofja to nic więcej, tylko myśl zdrowa i metodyczna". *)

To samo można dziś powiedzieć o inteligencji. W dobie pracy, demokratyzacji społeczeństw ludzkich, pędu do oświaty szerszych mas ludu pracującego, a więc najbezpośredniej związanego z życiem społecznem,—inteligencja, to jest zdolność zdawania sobie sprawy ze stosunku jednostki do otaczających ją zjawisk we wszechświecie i do społeczeństwa oraz—na zasadzie tego stosunku—budowanie życia, przestaje być już własnością wyłączną ludzi, posiadających dyplomy naukowe. Nie dość tego, zdolność ta w naszych czasach przesuwa się stopniowo w dół do świadomych swych zadań i mających wolę ich przeprowadzania ludzi pracy wytwórczej. Tam, a nie w zacisznych i wygodnych gabinetach inteligienckich tworzą się nowe normy życia. Potężne trade-uniony angielskie, ogromne związki zawodowe robotników niemieckich. niezliczone spółki włościańskie Danji, Belgji, Finlandji — większe mają znaczenie dla wszechstronnej ewolucji życia, niż najlepiej pomyślane systematy uczonych. W warunkach życia społecznego proces specjalizacji zawodowej robi tak wielkie postępy, że wykształcenie szkół wyższych urabia tylko zawodowców, dobrych techników, handlowców, lekarzy, prawników, chemików, lecz nic więcej. Nie wyrabia ono światopoglądu, nie przygotowuje do obowiązków obywatelskich, a więc—nie stwarza inteligiencji. Zaliczanie się gremjalne zawodowców wszelkich do inteligiencji opiera się przeto na normach przestarzałych, na przywileju i nie odpowiada rzeczywistości.

Pozatem piętę Achillesową inteligiencji zawodowej stanowi jej zależność od kapitału nie tylko materjalna, lecz i duchowa, psychologiczna. Odcina ją ona od mas wytwórczych, rodzi bezwład, rozdwojenie wewnętrzne, brak odległych perspektyw.

Wszystkie te cechy—w skali powiększonej—obserwujemy w dobie obecnej, która jest przełomowa dla nowego społeczeństwa, śród t. zw. inteligiencji polskiej w zaborze rosyjskim.

Wówczas, gdy na Zachodzie proces rozwoju przywołał już dawno do życia liczne siły ludowe i stworzył kadry inteligiencji spośród ludzi pracy wytwórczej, u nas—z powodu warunków zewnętrznych, hamujących naturalną ewolucję społeczeństwa, szeregi t. zw. inteligiencji są nadal zamknięte w ramach patentów i przywilejów, a inteligiencja ludowa rekrutuje się z jednostek. Snadniej robimy wyjątek i zaliczamy do inteligiencji człowieka, którego jedyną wartością jest nienagannie skrojone ubranie, lub „dobre" maniery, niż—nauczyciela ludowego, światłego robotnika, włościanina.

Pod względem społecznym — w ciągu ostatnich lat 60-ciu skład inteligiencji zawodowej niewielkiej uległ zmianie. Więcej, niż połowa (licząc skromnie) zawodowców naszych rekrutuje się z ludzi szlacheckiego pochodzenia. Mniejszość zaś nieszlachecka należy w znacznej większości do ludzi pochodzenia niemieckiego, lub żydowskiego. Odsetek mieszczan i włościan śród inteligiencji Królestwa jest znikomy. Pod tym względem znacznie dalej posunięta jest Galicja (ta osławiona, szlachecka Galicja). I jest to zrozumiałe. Wobec braku szkół ludowych, wobec niskiego poziomu oświaty i ograniczonej od roku 1905 ilości szkół średnich — wrota do wyższego wykształcenia dla dzieci biednych mieszczan i włościan były szczelnie zam-

*) „Filozofja Wszechświata" W. Jamesa.

---

powściągliwy w swoich uczuciach, oraz w sposobie ich wyrażania. Zapewne nie mało zaważyła na tem niemiecka krew matki, która flegmatyczne usposobienie poety wytworzyła. Żoną jego również niemka była, z rodziny w Warszawie osiadłej. Nie miał żadnych przejść nadzwyczajnych, awanturniczych w swem życiu. Nie dał się wciągnąć w wir politycznej agitacji, jak większość naszych twórców ówczesnych. Nie musiał dzielić z nimi wychodźtwa, nie czuł się oddartym od ziemi, nie potrzebował tęsknić za ojczyzną nadaremnie. Nie był skazanym na nerwowe poczucie, że jest ptakiem przelotnym, rzucanym burzą i nawałnicami w różne świata strony. Ten nerwowy niepokój przecież znamionował całą emigracyjną literaturę polską.

Życie Korzeniowskiego, z wyjątkiem drobnych trosk przygodnych, upływało tokiem spokojnym. Syn szlacheckiej rodziny z okolicy Brodów w Galicji, oddany na wychowanie do podolskiego Krzemieńca, zrósłszy się serdecznymi węzły z atmosferą tej wzorowej uczelni, po kilku latach spędzonych w roli wychowawcy młodego Krasińskiego Zygmunta, (którą przerwał wkrótce ze względu na nerwowość pani Krasińskiej), oraz w roli bibljotekarza u Zamojskich, wraca znowu do Krzemieńca, już jako profesor. W dalszym ciągu profesor filologji klasycznej czy polskiej literatury na uniwersytecie Kijowskim (póki katedry tej nie zniesiono), dyrektor gimnazjum w Charkowie i Warszawie, wizytator szkół Królestwa, wreszcie za zakrojonej na szeroką skalę działalności margrabiego Wielopolskiego pomocnik jego w organizowaniu polskiego szkolnictwa, jako dyrektor wydziału oświecenia, nigdy wydany nie był na burzliwe powiewy losu. Zaznajomiony dokładnie z zagranicznym ruchem literackim spółczesnym, mając w rozlicznych swych wyjazdach ustawiczną sposobność obserwacji, wysubtelniał swoją wrażliwość i zwolna od historycznych dramatów najczęściej, pisanych z odcieniem patosu w rodzaju Wiktora Hugo, czy Aleksandra Dumasa, przechodził coraz stanowczej do powieści realistycznej lub obyczajowej komedji. Wszystko czynił na chłodno, panując nad swojemi wzruszeniami wyćwiczoną rozwagą. Refleksja też a nie uczuciowość w przeciwstawieniu do spółczesnych mu romantyków, stanowią zasadniczą cechę pisarskiej jego twórczości.

Nie miał nawet możności, jak ogół romantyków, skarżyć się na szary tłum czytelników pospoli-

knięte. Do gimnazjów rządowych mogli dostać się tylko synowie urzędników, ziemian zamożnych i inteligencji zawodowej. Demokratyzacja społeczeństwa w Królestwie posuwała się krokiem żółwim. I niewiele mogły pomóc gromy, rzucane na szlachetczyznę z łamów „Przeglądu Tygodniowego“, „Prawdy“, „Głosu“ — tam, gdzie sama struktura społeczna nie uległa głębszej zmianie, gdzie elementy ludowe pozostawały nadal w mroku ciemnoty, a szeregi inteligencji rekrutowały się z warstwy, która przechodziła wprawdzie silne wstrząśnienia polityczne i ekonomiczne, lecz nie zmieniła się społecznie. Wstrząśnienia te mogłyby oddziałać na inteligencję tylko wówczas, gdyby w miastach, do których los rozbitków szlacheckich wyrzucał, napotykały mającą już własną fizjognomię duchową—liczną i silną warstwę mieszczańską. U nas nic podobnego nie miało miejsca. Mieszczaństwo polskie było nieliczne i słabe. Poważniejszy żywioł w miastach stanowili niemcy i żydzi. Wprawdzie pierwsi polonizowali się szybko, lecz był to dopiero proces polonizacji, nie mieli więc ani wyraźnego oblicza, ani kultury mieszczańskiej polskiej. Żydzi zaś stanowili naogół masę odrębną i izolowaną. Rozbitki szlacheckie siłą rzeczy, mimo swej słabości ekonomicznej i niezaradności, nadawały miastom wyraz, urabiały ich psychikę. I młoda inteligencja polska, wychodząca przeważnie ze wsi, lub spośród tych rozbitków, wnosiła w życie, pomimo pewnego pokostu demokratycznego, całą gotową psychologję szlachecką, opartą na przywilejach i wyłączności. Nieliczna zaś inteligencja mieszczańska ulegała jej wpływom i szła za nią.

W tych warunkach hasła pracy organicznej i demokratycznego pozytywizmu niewielkiej mogły dokonać w ciągu lat kilkudziesięciu w szeregach naszej inteligencji—przemiany.

Do pracy w handlu i przemyśle nie wielu się kwapiło, pomimo zachęty powieściopisarzy i powieściopisarek, idealizujących kupców, chemików, inżynierów. Młodzież jeśli nawet wstępowała na drogę przemysłu, to przyświecała jej zawsze nadzieja porzucenia z czasem nieodpowiedniego zawodu i powrotu na rolę. Stosunkowo największe względy znalazł zawód inżyniera, który, zwłaszcza w czasach dawniejszych, zapewniał władzę i dostatek, Do łokcia zaś i miarki wstręt dawny pozostał. Nic też dziwnego, że placówki te zostały zajęte prawie wyłącznie przez żydów. Wokulscy nie mieli licznych naśladowców.

Najpełniejszym wyrazem psychologji społecznej starszego pokolenia naszej inteligencji — jest Sienkiewicz. Gdy przemówił bajecznie kolorowo, gdy rzucił szereg pięknych obrazów przeszłości bezpowrotnej, lecz tak barwnej, tak beztroskiej, tak swojskiej, prysnął wpływ pajęczy pozytywizmu społecznego. Przemówiła krew, tradycja. A Połanieccy porzucili strzępy szat demokratycznych, odświętnych. Po dawnemu, po staremu poczuła się t. sw. inteligencja jedną wielką rodziną, naród obejmującą. I poczęła się śmieszna, bo spóźniona maskarada szlachecka. Unarodowieni Bigiele, by nie stracić łączności z „narodem“, poszukiwali paranteli, oblegali „Kurjerki“, by im dostarczyły dowodów szlachectwa, a, gdy to się nie udawało, nobilitowali się sami. Dziś jest ciężkie i twarde, jutro mrok całunem okrywa, a więc, jak straceńcy, oblekali się inteligienci w szaty barwne przeszłości i w tych dziecinnych, obłąkańczych dekoracjach szukali zapomnienia.

Nie dopisywała im tylko towarzystwa inteligiencja żydowska, wierna i nadal pozytywizmowi, bo w żaden sposób paranteli śród bohaterów „Trylogji“ znaleść nie mogła.

Życie jednak płynęło. Na arenę życia wstępowało nowe pokolenie. Budził się duch protestu przeciwko szarzyźnie życia i taniej maskaradzie narodowej. Przemówiła Młoda Polska. A. Potocki w swej „Polskiej Literaturze Współczesnej“—okres ten nazywa „Kultem jednostki“. I słusznie. Bo jakkolwiek twórczość Młodej Polski szła w różnych kierunkach, z różnych płynęła założeń i obejmowała te prądy od skrajnego indywidualizmu kultu „sztuki dla sztuki“—aż do społeczeństwa, apostolstwa społecznego, to jednak nie była ona wyrazem zbiorowości, lecz indywidualnych wysiłków. Wywołała ona ferment w inteligencji, skłóciła ją, skotłowała, pobudziła do więcej intensywnego ducha, nie wzmocniła woli. A przyczyny tego tkwiły

---

tych, niezdolnych odczuć głębin duszy wieszcza. Było to w jego czasach zwyczajne. Entuzjaści w rodzaju Zmorskiego, Żmichowskiej Narcyzy, czy Ryszarda Berwińskiego ostro odcinali się od przeciętnej masy społeczeństwa. Poeta niezrozumiany błąkał się po świecie, zapatrzony w górne gwiazdy. Natrętna zgraja „fabrykantów“ starała się go sprowadzić na ten ziemski padół, uczynić zeń stworzenie pożyteczne, zamiast pozwalać mu bezkarnie bujać w nadobłocznych sferach. Odróżniali się strojem ekscentrycznym, zwracali na siebie uwagę dziwacznym sposobem swego zachowania się, głosili odrębne prawa dusz wybranych, wszystko na to, by dowieść swej wyższości nad przeciętnych śmiertelników. Cyganerja artystyczna, giest szeroki przy hiszpańskim płaszczu, jak w Calderona dramatach, przy szerokiem rondzie u kapelusza, włożonego na bujne sploty włosów, na pierwszy rzut oka przeciętnemu okazowi homo sapiens dawały poznać wrącego uczuciem artystę. Jakże stanowczy kontrast do typu tego stanowi spokojna, sarkastyczna nieco w układzie fałdów twarzy, krótko ostrzyżona i wygolona dokładnie z wyjątkiem bocznych przystrzyżonych faworytów zimno patrząca z poza okularów na świat głowa Korzeniowskiego Józefa.

Miał Korzeniowski powodzenie znaczne u czytelników. Wystawiano utwory jego dramatyczne w teatrach warszawskim i lwowskim, przekładano go na niemiecki język i grano w teatrze niemieckim we Lwowie, nawet krytycy niemieccy szacunku pełne miejsce przyznawali mu w literackiej dziedzinie. Jeśli więc na co skarżyć mu się przychodziło, to tylko niekiedy na polską krytykę, zjadliwie kąsającą jego dzieła, chociaż z niezupełną słusznością. Były te ataki wywołane odrębnem stanowiskiem Korzeniowskiego w stosunku do owej entuzjazmującej się literatury. Gdy taka znaczna osobistość jak Józef Ignacy Kraszewski nawet dawała się porwać ogólnemu prądowi, gdy w „Powieści bez tytułu“, czy w „Poeta i świat“ przepaść między artystą a nierozumnym motłochem potwierdzał, Korzeniowski trzeźwo rozprawiał o powołaniu, o zadaniach i trudnościach artystycznego zawodu. Daleki był od idealistycznych w estetyce uniesień, daleki od przyznawania artystom w społeczeństwie wyjątkowych jakichś uprzywilejowań. Wiedział dobrze, iż trud to jest niemały, potrzebujący takich samych przygotowań, jak wszelki inny zawód.

D. n.

w samym charakterze twórczości „Młodej Polski“, w jej istocie i treści.

Wyspiański i Żeromski, pomimo gienjuszu, pomimo całego krytycyzmu względem społeczeństwa szlacheckiego, byli bądź co bądź z urodzenia, wychowania i najtajniejszego wnętrza psychiki—szlachtą i tylko szlachtą. Kochali lud, lecz nie znali, chcieli widzieć w nim przyszłość narodu, lecz nie znajdowali doń drogi. Stąd—sceptycyzm, stąd zwątpienie, stąd gorycz, stąd brak wiary głębokiej i płynącej z niej woli. Kasprowicz i Przybyszewski — wyszli z ludu. Zdawałoby się więc, że ci pisarze winni byli wnieść nie tylko do literatury, lecz i do życia żywioł nowy, twórczy. Niestety, rzeczywistość polska, i nie tylko polska, jest tego rodzaju, że gienjusze ludowi, by przemówić, muszą wyjść z ludu. Gdy zaś raz zeń wyjdą, związek wszelki, bezpośredni zostaje zerwany na zawsze. (Wyjątek stanowi Orkan). To też Kasprowicz szukał ujścia dla swego gienjuszu w głębokiej i pełnej ludowych cech—metafizyce, Przybyszewski—w odwiecznym problemacie stosunku płci.

Pomimo wpływu Młodej Polski, stosunek t. zw. inteligiencji dojrzałego pokolenia do ludu jest i nadal naogół „romantyczny“, t. j. uczuciowy. Inteligiencja pragnęłaby bardzo, by lud szedł za nią, by przejmował się podawany przez nią dorobek kultury narodowej, by jej ufał. Łatwo się entuzjazmuje do poszczególnych objawów psychiki ludowej, lecz jeszcze łatwiej wpada w zwątpienie, gdy życie twarde przekonywuje ją, że lud ten nie jest takim, jakim w każdym oddzielnym wypadku widzieć by go chciała. A wypływa to stąd, że nie rozumie ona do głębi życia mas, ich potrzeb, że pragnie wtłaczać je w takie lub inne gotowe formułki.

(C. d. n.).

Wi-ski.

Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji.

I.

Uniwersytety polskie w Galicji zwracają na siebie większą uwagę polskiego społeczeństwa, niż kiedykolwiek przedtem, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, już choćby ze względu, że tam po roku 1905 skierowała się fala szukającej wiedzy młodzieży polskiej, dotąd duszącej się w okropnej atmosferze uniwersytetu warszawskiego. Młodzieniec wybierając się na studja do Krakowa lub Lwowa, obiecuje sobie na przyszłość bardzo wiele przeżyć podniosłych i niezwykłych w tych przybytkach wiedzy, podawanej w języku ojczystym. Już sama Galicja sprawia wrażenie na człowieku, zupełnie nieprzywykłym do form życia konstytucyjnego, i choć ta konstytucyjność mocno kuleje w tym kraju starostów i kiełbasy wyborczej, zawsze jednak poczucie bezpieczeństwa osobistego musi każdego dodatnio usposabiać. Cóż dopiero mówić o uniwersytetach?

W państwie austrjackiem uniwersytety nie są tak, jak w Rosji, barometrem opinji publicznej. Życie polityczne koncentruje się gdzieindziej; studenci w walkę polityczną mniej są wciągnięci i jeśli od czasu do czasu słyszymy o zajściach na którym z uniwersytetów austrjackich, to prawie zawsze stwierdzić można, że powstało ono na tle lokalnem, uniwersyteckiem, a nie ogólno-politycznem. Jeśli nawet często dochodzi do starcia na tle antagonizmów narodowościowych, to rzadko kiedy zajście podobne bywa ściśle związane z jakimś problematem narodowym, domagającym się rozwiązania w państwie; częściej mamy tu do czynienia z żywiołowym objawem nienawiści rasowej czy plemiennej.

Jeśli mowa o uniwersytetach polskich w Galicji, to oczywiście antagonizm narodowościowy i to w bardzo ostrej formie przejawiać się może jedynie we Lwowie, gdzie studenci endecy z ukraińcami rozbijają sobie systematycznie głowy nawzajem, wytwarzając atmosferę, pracy naukowej niekoniecznie sprzyjającą. W jednojęzycznym Krakowie o czemś podobnem mowy być nie może. I tu jednak spokój od czasu do czasu bywa zakłócany, lecz z zupełnie innych względów. Uniwersytet krakowski stał się widownią nie walki o wolność polityczną, jest wiele uniwersytetów rosyjskich, nie walki o hegiemonję narodową, jak w różnojęzycznych krajach państwa Habsburgów, lecz innej walki, uzasadnionej w całej Austrji, a w Krakowie bardziej może, niż gdzieindziej: walki z klerykalizmem.

Rządzące w Austrji i bardzo wpływowe stronnictwo chrześcjańsko-społeczne już 6 lat temu rzuciło przez usta zmarłego Luegera hasło opanowania uniwersytetów i podboju ich przez katolicyzm wojujący. Skutki tej uchwały dały się niedługo zauważyć. Już w roku 1908 w Innsbrucku rozpoczęto walkę z prof. Wahrmundem, usuwając go z katedry za szerzenie wolnomyślnych poglądów, od tej pory zaś począwszy, wszystkie uniwersytety w państwie austrjackiem są co pewien czas widownią zatargów na tle dążeń klerykalnych do supremacji.

Dążenia te najbardziej są widoczne w Krakowie, który i dotąd jeszcze, choć wiele się zmieniło od tego czasu, gdy Stanisław hr. Tarnowski kierował niepodzielnie opinją publiczną, uchodzi słusznie za twierdzę klerykalizmu. Kraków — to przecież najwierniejsza na całym świecie parafja Rzymu, jak się wyrażał następca kardynała Puzyny na Krakowskim biskupim tronie. Księża nie chcą wypuszczać z rąk rządów nad duszami, i gdy po 1905 roku napłynęła do uniwersytetu Jagiellonskiego fala młodzieży z za kordonu, wrogo usposobiona względem zakusów teokratycznych, wzięli się energicznie do akcji przeciwdziałającej. Z tej to pory datuje niefortunny projekt utworzenia katedry nauk chrześcjańsko-społecznych i powołanie na nią znanego politycznego działacza z Wielkopolski, ks. Zimmermana. Dziś walka przycichła nieco, ale zmaganie się dwóch prądów prądów jest widoczne. Wiele epizodów tej walki notuje kronika uniwersytecka. Nawet prof. Piekosiński, wybitny konserwatysta, miał niegdyś z powodu swych wykładów zatarg z biskupem. O wygryzieniu Baudouina de Courtenay, o nagance na Bujwida również przechowała się tradycja w murach uniwersyteckich.

Dziś byłoby nie tak łatwo usunąć nieprawomyślnego profesora, już chociażby ze względu na opinję młodzieży, która mimo przestarzałej ustawy uniwersyteckiej z czasów ery Bacha, zabiera głos coraz dobitniej na wiecach i zgromadzeniach. Zato widzimy stosowanie innej metody, mającej, doprowadzić do tych samych rezultatów. Metoda ta polega na ostrożności w obsadzaniu katedr i uzależnianiu habilitacji młodych sił naukowych od ich politycznych i religijnych przekonań. I na Za-

chodzie istnieje pewna cenzura, choć tam, bądź co bądź, większą zwracają uwagę na wartość naukową kandydata. I tam rzadko się zdarza, aby np. zwolennika teorji Marksa dopuszczono do wykładania ekonomji politycznej; w Galicji jednak byłoby to wręcz niemożliwem. O krakowskim uniwersytecie ukuto kiedyś dowcip, że katedry tam są dziedziczne. I rzeczywiście wiele tam jest nepotyzmu; zbyt często przechodzi katedra z ojca na syna, nie dorównującego talentem ojcu. Największą zaś jest plagą trzymanie wielu katedr przez starych rutynistów, którzy w żaden sposób nie chcą się godzić na habilitowanie młodych sił naukowych w dziedzinie swego przedmiotu, snać w przewidywaniu, że wtedy młodzież, zamiast nich, będzie wolała słuchać młodych docentów.

O ile w uniwersytecie krakowskim zwraca się pilną uwagę na stosunek profesora do katolicyzmu, to we lwowskim istnieje jeden tylko sprawdzian: zgodność z poglądami narodowej demokracji. Tam już dzieje się wszystko bez obsłonek, czego dowodem chociażby niedopuszczenie dr. Rudzkiego do habilitacji z powodu jego radykalnych poglądów politycznych, z czem się nawet nie tajono (dowodem sprawa honorowa, której bohaterami byli trzej lublinianie: Rudzki —Biernacki —Malewski). Narodowa demokracja uważa uniwersytet lwowski za swój folwark i zazdrośnie pilnuje tam swojej przewagi, nawet wyłączności. Rozpolitykowanie profesorów lwowskich doprowadza do tego, że wiele katedr, nominalnie obsadzonych stoi faktycznie pustkami, bo panowie profesorowie dają się wybierać do parlamentu i sejmu, i w Wiedniu cały czas spędzają, a jeśli do Lwowa zjeżdżają na gościnne występy, to tylko jako aranżerowie burd ulicznych. Profesor, kroczący na czele pochodu z grubą pałką i wydający ulicznej gawiedzi hasło tłuczenia szyb, to zwykłe zjawisko na ulicach Lwowa. I w takiej atmosferze ma się rozwijać czysta nauka!

Wszystkie te braki obu uniwersytetów galicyjskich są bardzo poważne, na pierwszem jednak miejscu postawić należy jeden, wspólny im obu— obawa przed ideją w nauce. Oba uniwersytety — krakowski zwłaszcza — posiadają niewątpliwie bogate pomocnicze instytucje naukowe, laboratorja, pracownie, umiejętnie prowadzone seminarja i t. d. Wartość tego wszystkiego tembardziej nauczy się cenić ten, ktoby chciał czynić porównanie z osławionym uniwersytetem warszawskim pozbawionym niemal zupełnie tego wszystkiego, co stanowi istotną cechę wyższego nauczania. To jednak nie wszystko—to wystarczyć nie może. A wystarczyć na razie musi, skoro ci, którym dano z katedry przemawiać do młodzieży, nie chcą wprowadzenia do nauki pierwiastku idejowego, któryby pozwalał spojrzeć na daną dziedzinę nauki z punktu widzenia ogólnego światopoglądu. Mamy historyków. historyków literatury, ekonomistów, który są nieraz wirtuozami swego fachu, i znawstwo ich podziw wzbudzać może. Jeśli są w dodatku dobrymi pedagogami, to ich słuchacze nabędą również wirtuozowskiej sztuki ustalenia faktów, w której przejdą może z czasem swych mistrzów, ale nie nauczą się nigdy wydobywać w powodzi faktów ogólnych prawd, a myśl ich nie zatoczy nigdy szerokich widnokręgów, które jedynie uprawniają do nazwy uczonego. Jakże wielu mamy specjalistów, którzy po za swą gałęzią wiedzy, w której celują, są zupełnymi ignorantami we wszystkich innych polach wiedzy, i w zdumienie nieraz wprawiają swe otoczenie, które wszystkiego raczej oczekiwało po oficjalnych przedstawicielach nauki, niż naiwności w wypowiadaniu poglądów. Tego wszystkiego nie byłoby, gdyby nauczaniu przyświecała ideja przywodnia, gdyby znajomość rzeczy łączono z szerokim poglądem.

Byłoby może niesprawiedliwością wobec uniwersytetów galicyjskich ryczałtowe stwierdzenie, że są one siedzibą rutyny. Niewątpliwie, mają one poważne zasługi, a i temu zaprzeczyć nie podobna, że dokonywa się w nich, choć bardzo powoli, zmiana na lepsze. Potrzeby czasu idą jednak prędzej, a uniwersytet zaspokoić ich nie może. Pozostaje wobec tego jedyne wyjście: próbować ich zaspokojenia poza murami uniwersytetu.

Do tego wniosku przyszły społeczeństwa na Zachodzie już dość dawno. I u nas więc, gdzie stosunki bardziej, niż na Zachodzie, wołają o pomstę do nieba, musiano z kolei o tem pomyśleć. Hasło: „obok przybytków wiedzy oficjalnej stwarzajmy naukę wolną“ niedługo kazało czekać na swe urzeczywistnienie.

J. Krz.

Muzy Weimaru.

Pociąg pośpieszny, łączący Lipsk z Frankfurtem nad Menem zatrzymuje się w *Weimarze* jedną zaledwie minutę. Ten *jednominutowy* przystanek jest symboliczny. Któż nie naczytał się w dawnych książkach niemieckich o „ukochanym od Muz“ Weimarze? Największe nazwiska literatury niemieckiej z Weimarem są związane. Tu mieszkał Goethe lat pięćdziesiąt, tu Szyller spędził ostatnie lata, tu żyli Herder i Wieland. Tu mieszkał też później Liszt i Nietzsche. Nazywano dawniej Weimar *die Musenstadt.* Dziś pociąg zatrzymuje się tutaj minutę i spółtowarzysze podróży dziwią się, gdy turysta chce ich w... Weimarze opuścić. In Weimar? W jakim celu?.. Jaki związek pomiędzy Niemcami dzisiaj a ich klasyczną literaturą? Byłem niegdyś studentem niemieckim i z tych czasów zachowałem dwa charakterystyczne wspomnienia. Na cokule pomnika Goethego w Tiergartenie berlińskim można było czytać jednego poranku:

Einst warst du der Mann
Heute ist's Suder—mann.

(Niegdyś byłeś ty wielkim, dziś jest nim Sudermann!)

Sudermann był podówczas głośnym autorem sztuki teatralnej „Koniec Sodomy“, która obeszła w krótkim czasie wiele scen świata, także sceny polskie i dawno już spoczęła na wieki wieków w panteonie zapomnienia!

Drugie wspomnienie jest poważniejsze. W seminarjum ekonomicznem Augusta Meitzena, (który z polskich badaczów ekonomicznych nie zna tego wielkiego nazwiska?), ktoś z pracujących tam cudzoziemców zacytował z pamięci ustęp II z części *Fausta* i wywołał tem podziw nadzwyczajny. Pan zna *Fausta*? U was czytują *Fausta*? Po wykładzie Meitzen, jowialny staruszek, zaczął sobie przypominać ustępy z Goethego, z Szyllera. Nikt z pośród młodszych, pracujących tam niemców, nie umiał powiedzieć skąd pochodzi cytata. I jeden uczciwszy, przyznał, że nigdy *Fausta* nawet nie czytał, że nie widział go na scenie; że takich jak on jest większość; że w szkole czytają streszczenie w historji literatury i że streszczenie to wystarcza do egzaminu... Goethego czytają ci, którzy zamierzają poświęcić się studjom w zakresie hi-

storji literatury niemieckiej, przyszli profesorowie gimnazjalni i uniwersyteccy. Ale naród niemiecki? Naród niemiecki kupuje na spłaty u komiwojażera księgarskiego zbiorowe wydanie klasyków, tomów kilkadziesiąt wraz z szafką, pięknie „na mahoń“ pomalowaną...

Słowem: niemcowi spółczesnemu wystarcza przystanek minutowy w Weimarze. Miasto liczy trzydzieści tysięcy mieszkańców, fabryk posiada mało, wielkiego przemysłu wcale, ruch słaby cząsteczek materjalnych organizmu społecznego nie wymaga większej uwagi zarządów kolejowych.

Miasteczko jest czyste, ponoć zdrowe, rzucone między łąki Turyngji w dolinie, zewsząd otoczonej wieńcem pięknych lasów. Rano świeciło słońce i miasteczko uśmiechało się zalotnie. Wesoło dzwonił tramwaj, obywający się bez kontroli konduktora (pieniądze wrzuca się do puszki — to również szczegół charakterystyczny!); przejeżdżamy obok teatru, obok szkół publicznych. Jest wczesna godzina wrześniowego poranku: pełno dzieci i młodzieży na ulicach. Kilka drużyn skautowych gotuje się w drogę. Dalej sunie szkoła ludowa pod wodzą nauczycieli (w okularach, zielone puszki przewieszone przez ramię), na dłuższą wycieczkę do lasu. W gimnazjum odbywa się lekcja gimnastyki, turniej raczej, w obecności rodziców, którzy pomimo wczesnej godziny przybyli tłumnie — jesteśmy w Niemczech! — i podziwiają sprawność trochę ciężką, wyuczoną, mało indywidualną gimnastów. To jest Weimar dzisiejszy, żywy, poruszający się ulicami. Ale myśmy opuścili pociąg nie dla tego nowego Weimaru, który nowoczesną swoją architekturą nie przypomina *onego*, który przecież nas, cudzoziemców, zajmuje, a który *skamieniały*, w domach, co gościły niegdyś Szyllera i Goethego, przetrwa ten drugi żywy, nad którym unoszą się sztandary wielkoksiążęce ku czci Sedanu (3 września).

Hier wohnte Schiller, czytamy nad prostemi wrotami, prowadzącemi z ulicy do sieni. Wchodzimy. Na dole dzisiejszy Weimar: sprzedają pocztówki, ornamenty, biusty. Na samej górze parę pokoików poety. Skromności nieopisanej. Najemnik dzisiejszy, parjas kapitalizmu nie mieszkałby w takich warunkach. Ale ileż nastroju. W pracowni stół zwyczajny, na nim arkusz rozpoczętego *Demetrius'a*, w tyle stary szpinet, nad fortepjanem gitara. To małżonka Szyllera uprzyjemniała mu chwile tworzenia. Pod wieczór, o szarej godzinie, poeta sadowił się w fotelu. Pani tego domu pobrzękując na gitarze, albo na lutni tęsknie świergocąc nuciła piosenki, które bohaterki poety nuciły ze sceny. A nad szpinetem unosiły się proste melodje Palestriny, francuskich klawicynistów, głębokie chorały Bacha. I wnet zaludniał się pokój; przybywały Muzy a pod ich opiekuńczem skrzydłem przybywał Poza, Don Carlos, Wilhelm Tell, Karol Moor, bohaterowie walki o niepodległość Niderlandów, przybywał Duch Wieku, Duch nieśmiertelny Wolności. Każdy wieńce przynosił, Muzy składały pocałunki na wiecznie tęskniącem czole poety. Głęboko w noc przeciągały się te wigilje. Niekiedy, latem, pierwsze promienie wschodzącego słońca zastawały jeszcze uczestników przy wiekuistej zabawie. I radością zamglone oko poety witało jutrzenkę, przybywającą do jego okien—od strony... Francji. Dziś polski turysta tu, w tych szarych ścianach własną przeżywa raz jeszcze młodość. Wraz z Tellem „walczył“ o wolność Szwajcarji, z de Pozą—o wolność sumienia, buntował się z Karolem Moorem przeciwko przesądom i nadużyciom klasowym, przeciwko tryumfującej zbrodni, nikczemności, głupocie—płakał na grobach tylu złudzeń, radował się zwycięstwem bohaterów niderladzkich nad przemocą zaborców. Sam nie umiałby określić, jak te wielkie twory romantyka niemieckiego zaważyły na własnym jego umysłowym i moralnym rozwoju, jak głęboko zorały jego duszę. Przyjmij, Duchu wielki i nieśmiertelny, kochanku Muz i Wolności dank wdzięcznego polskiego serca...

...Nieco dalej jest Muzeum Goethego. Goethe był nietylko poetą, filozofem. mocarzem w świecie Ducha. Był oraz ministrem wielkoksiążęcym. Dom Goethego, to nietylko pracownia, to zamożny dom staro-mieszczański. Są mundury wielkoksiążęce, szpady i ordery, salony, wypełnione sztuką grecką w odlewach spółczesnych, jest zbiór majolik i historja Psyche na ścianie; jest kilka pięter, a na tych piętrach kilkanaście pokojów. Jest piękny widoczek z okna na zieloną łąkę ogrodu. Porzućmy prędko tę przemijającą chwilę w życiu Goethego. Od tyłu są jego osobiste pokoje. Jest zbiór minerałów, gromadzony osobiście w czasie długich podróży po świecie ówczesnym, jest nad wyraz skromna pracownia, jest alkowa, a w tej alkowie: łoże i starodawny fotel. Tu w tej pracowni gościł lat pięćdziesiąt (1782—1832) największy duch swego czasu, olbrzym olimpijczyk! Tu, w tej ciemnej, niskiej kuźni, o dwu małych okienkach wykuwano w ciągu półwiecza pracą niespożytego gienjusza wielkie a często nieśmiertelne wartości. Tu doktór Faust uprawiał alchemję, wywoływał Szatana, pił eliksir wiecznej młodości, sny śnił o sławie, o pięknie, o miłości. Tu pracował kołowrotek Małgorzaty, tu tęskniące spotykały się usta, tu wyklinali Kościół i Walenty, tu odbywało się święto czarownic i święto Heleny greckiej, tu Duch Ludzki tęsknił i szukał, w znoju i niepokoju, kochał i żałował, podnosił się i upadał, nienawidził i przebaczał. Tu gościły największe problematy człowieka: Bóg i natura, jednostka, gromada. Tu, o bogowie, nad stolikiem tego niemca wisiały i pozostały dwa tylko medaljony: Jowisza i *Napoleona*, tego korsykanina, co jak huragan zwalił się na ówczesne Niemcy Goethego, niemcy policji i absolutyzmu, co zniszczył potęgę Fryderyków pod Jeną i jak meteor przeniósł się ponad światem, burzył i budził, niszczył i podnosił, przekreślał dziewięć razy wszystkie granice, wciąż nanowo rysował mieczem i rozumem mapę świata i wolę królewską mocarza przeciwstawiał hordom królików, niewolników, liliputów, wybrańców przywilejów i praw odziedziczonych. Tu gościł też chwilę duch młodego Adama Mickiewicza. Tu gościli w niekończącym się korowodzie wszyscy „europejczycy“ ówcześni: poezja, sztuka, polityka. Tu rozumiano wszystko i wszystkich.

Z łatwością przedziwną operowano wszystkiemi pojęciami, kochano wszystkie wartości. Miłowano także siebie: swój spokój, stanowisko, próżność. Tu w ciźbie mundurów, śród kapeluszy stosowanych i szpad, w całym przepychu liberji arcyksiążęcej nie było często miejsca dla Szyllera. Ale mędrzec umiał pod pozorami liberji i zależności dworzanina ukryć głęboko cudowny świat własnej wolności wewnętrznej. I w tym świecie wolności tylko mógł się urodzić Faust nieśmiertelny, jak Ludzkość wielki i stary, marzenia człowieczego symbol tajemniczy, w urodzaju czterdziestu tomów —jeden, który zostanie nazawsze, klejnot szlachecki ducha niemieckiego.

Są jeszcze dwa domy, dwie siedziby w Wei-

marze, które turysta odwiedzi. *Dom Liszta—Archiwum Nietzschego.* Drugie zamknięte z powodu kłótni spadkobierców i wydawców. Piękny gmach nowoczesny, wyrzucony na krańce miasta, już poza granicami doliny Weimaru, w górze Luisenstrasse, śród ogrodów, przy drodze wysadzonej śliwkami. Nietzsche tu nie mieszkał w wieku dojrzałym, nie umarł tutaj. Mauzoleum dźwignęła siostra p. Elżbieta Förster jego książkom, nie osobie.

Cóż powiem o Liszta siedzibie? Jego stara gospodyni pokazuje jego fajki, których nie palił, jego laski, których nie nosił, jego niezliczone tabakierki, których nie używał. Mnóstwo portretów artysty, w tej liczbie piękny portret Ary Scheffera z czasów paryskiej przyjaźni z Chopinem. Pełno pamiątek po pięknych księżniczkach i niemitrowych pięknych paniach, na których spoczęło kiedykolwiek na szerokim łuku świata nienasycone oko węgierskiego cygana. Nie lubię jego muzyki, jego pijanych czardaszów, przybieranych w festony symfonji; jego głośnych, krzykliwych, trudnych w wykonaniu pustych i niepotrzebnych utworów, godnych muzykalności dworów i uszu sułtańskich (ileż tu i jak pięknych podarków od sułtana!) To też nie znalazłem w tej siedzibie nic, coby mnie wzruszyło i z uczuciem ulgi doręczyłem pół marki, której żądano odemnie.

Jest też w Weimarze cmentarz, stary, w pewnej części nieco Powązki nasze przypominający cmentarz protestancki. Tu spoczywa rodzina Goethego aż do ostatniego jej przedstawiciela *Walther von Goethe 1818—1885* (*„mit ihm erlosch Goethes Geschlecht, dessen Namen alle Zeiten überdanert“*), rodzina Herdera, poeta Wildenbruch. Tutaj—kaplica prawosławna kryje szczątki Marji Pawłówny († 1859), córki cesarza Pawła I, małżonki Karola Fryderyka weimarskiego. Tutaj też znajduje się mauzoleum książęce (od r. 1824), a w niem obok kości Augustów i Fryderyków dziką wolą doczesnych władców złożone zostały szczątki śmiertelne Szyllera i Goethego. Szyllera wykopano na cmentarzu kościoła św. Jakóba. Po śmierci musiały za karę, za grzechy Tellów, de Witt'ów, Pozów, Karolów Moorów przyjść tu między kolumny tych podziemi i uszlachcić, unieśmiertelnić prochem swoim siedlisko tych, co „byli chwilą i minęli“. Tu też spoczął minister Goethe.

Wychodzimy—i wnet odleciało wspomnienie tego mauzoleum próżności i Cherubów ducha strzegących jego kamieni. Obcowaliśmy przed chwilą z wiekuiście buntowniczym Szyllerem, z olimpijczykiem Goethe'm tam w starych domach, w ciemnych ścianach niedzisiejszej komnaty, gdzie jednak słońce wiekuistej Tęsknoty paliło niegdyś niegasnące Znicze swego panowania.

Pod wieczór wędrujemy do parku. Jest bowiem w Weimarze park olbrzymi, rzeką, Ilm zwaną, przecięty na dwoje. Sadził go ponoć sam Goethe i książęcy jego protektor. Jest tam „domek Goethego“, jest „ławka Szyllera“, jest pomnik Szekspira. Są stare aleje drzew odwiecznych, które znały wielkich poetów, które słuchały ich zwierzeń. Tu w tym parku w czarującem świetle księżyca rodziły się dramaty, tu kochała Małgorzata, cierpiał Don Carlos, tu dokoła „ławki Szyllera“ zbiegały się cienie wszystkich Amelji, Karolów Moorów, romantycznych Pozów i nieszczęśliwych Don Carlosów, tu Wallenstein na tej wielkiej łące zakładał swój obóz, śpiewała Tekla... Zapada wieczór, jeszcze księżyca niema a zdaje nam się, jak gdyby korowodem wielkim, nieskończonym sunęły przed nami cienie od wielkich ich ojców ukochane. *Ihr naht euch wieder, ihr wankenden Gestalten...* powtarzamy za prologiem „Fausta“. Ile razy spływały na poetów widzenia, od nich ukochane, w tych alejach cienistych! W nadrzecznej leszczynie, jak dziś i wówczas słowik śpiewał...

Dziś słychać tu nietylko słowika głos i trele. Budzi nas z zadumy o rzeczach stuletnich i wiekuistych—syrena... lokomotywy. Nie znali jej ani Szyller ani Goethe i Edison gotów jest myśleć, że o tę syrenę jesteśmy od nich wyżsi.

Czas wracać. Żegnajcie drzewa, szmery, szepty miłosne, romantyczne giesty, niedzisiejszego dnia żegnaj pieśni niemiecka.

...Przeżyliśmy piękną chwilę. Jej wspomnienie oskrzydli pamięć sztandarów sedańskich i pamięć mauzoleum na cmentarzu. I nieraz od niemców — prusaków, od pychy krzyżackiej i pustoty i próżności kapitalizmu niemieckiego wracać będziemy ku tym siedliskom Myśli, która w słońcu początek swój brała i nietylko dla niemców, przedewszystkiem dla Ludzkości żyła.

Stanisław Posner.

⊳oooooooooo⊲

Litwa z przed stu lat.

I.

„Litwa w roku 1812“, napisał Janusz Iwaszkiewicz. Monografje w zakresie Dziejów Nowożytnych. Kraków-Warszawa 1912.

Utworzenie Księstwa Warszawskiego, a w dwa lata później, mocą pokoju w Schönbrunie z d. 14 października 1809 r. powiększenie jego terytorjum przez część zaboru austrjackiego, wzbudziło obawy Rosji o całość jej własnego zaboru. W roku więc następnym zażądał natychmiast od Napoleona cesarz Aleksander gwarancji, że nie myśli o odbudowaniu Polski, a w roku 1811 postanowił sam wkroczyć do Warszawy i ogłosić się królem polskim, uprzedzając w ten sposób rzekome zamiary Napoleona. Chodziło tylko o pozyskanie sobie rządu i wojsk Księstwa Warszawskiego. Wysłany przez cesarza do Warszawy w początkach r. 1811 ks. Adam Czartoryski spotkał się jednak ze stanowczą odmową ministra wojny i wodza wojsk Księstwa, ks. Józefa, co z gruntu uniemożliwiło plany cesarza Aleksandra. Do końca jednak roku 1811 zamiast przyjacielskiej groziła Księstwu Warszawskiemu mniej już przyjacielska inwazja ze strony Rosji. Lecz z początkiem r. 1812 warunki zmieniły się krańcowo—nieuniknione już było starcie Napoleona z cesarzem Aleksandrem; nic już nie mogło powstrzymać pochodu Wielkiej Armji ku granicom Litwy. Napoleon nie chciał wojny z Rosją, nie zdołał jej jednak pozyskać sobie ustępstwami w Tylży i Schönbrunie, a nieprzejednane jej stanowisko było mu nie na rękę. „Powierzenie obu skrzydeł Wielkiej Armji korpusom posiłkowym, austrjackiemu i pruskiemu, jest faktem, charakteryzującym całą kampanję r. 1812, stwierdza bowiem charakter czysto manifestacyjny tej kampanji, którą dotychczas przedstawiano jako walkę „*à outrance*“. (Wacław Tokarz, Pamiętniki Białkowskiego, str. 283). I nie była, ściśle biorąc, kampanja 12-go roku „kampanją polską“, choć nazwał ją tak Napoleon w proklamacji, wydanej do armji, jak nietylko sama sprawa polska była węzłem niezgody Napoleona i Aleksandra; przeci-

wnie—w całej akcji Napoleona w kampanji 12-go roku sprawa polska usuwała się w głąb poza motywy ogólnej polityki Cesarza.

W jaki sposób ułożyły się stosunki narodowe na Litwie w roku 1812, jak odbił się na niej przypływ, pędzącej na oślep w kierunku Moskwy, fali napoleońskiej i ruch jej wsteczny,—sprawy te, tak interesujące dla nas. omawia praca p. Janusza Iwaszkiewicza p. t. „Litwa w roku 1812“, pomnażająca naszą literaturę historyczno-naukową o jedno cenne, zwłaszcza ze względu na wyzyskanie nader obfitego materjału, sumienne i gruntowne dziełko.

Widzimy, że Litwa w roku 1812 zawiodła nadzieje Napoleona, tak ze względu na jej gotowość bojową, jak i na pomoc w zakresie zaspakajania potrzeb półmiljonowej armji. I rzeczywiście, wbrew przesadnym doniesieniom gubernatorów rosyjskich, wbrew obawom liberalnego męża stanu, Sperańskiego i cesarza Aleksandra, „usiłowania litewskie w r. 1812 cechuje naogół opłakany brak ofiarności obywatelskiej większej miary“ — stwierdza p. Iwaszkiewicz (str. 58). Wpłynęło na to wiele okoliczności, a w znacznej mierze rozdwojenie opinji publicznej na Litwie. Już akcja z roku 1806 za łącznością z Rosją i skrajnie antynapoleońska, podjęta przez ks. Adama Czartoryskiego, Stanisława Ursyna Niemcewicza, Chomińskiego i innych w pewnej mierze wpłynęła na osłabienie entuzjazmu dla Napoleona. Obecnie mniejsza wprawdzie, niemniej jednak wpływowa część magnaterji litewskiej głosiła te same ideje polityczne antynapoleońskie, a była wśród nich tak niecodzienna jednostka, jak Adam Czartoryski, kurator wileńskiego okręgu naukowego. Wielu zaś z tych, co przeciwnego byli zdania, niebacznie opuszczali kraj w nadziei rychłego powrotu z Wielką Armją. Szlachta była naogół biernie i apolitycznie usposobiona, zresztą do zawodu, jaki przyniosła Tylża, przyłączyła się w jej duszy pewna niechęć do „zbyt“ postępowych urządzeń Księstwa (konskrypcji wojskowej, kodeksu Napoleona), a zwłaszcza uwolnienia włościan. To też na uroczystem posiedzeniu Rady Konfederacji Gieneralnej w Warszawie w dniu 20 sierpnia 1812 r.. na którem Komisja Rządowa Litwy składała akces jej mieszkańców do konfederacji, konsyljarz tejże, Linowski, jak notuje autor monografji, „starał się rozproszyć obawy Litwinów przed niemiłemi dla nich urządzeniami Księstwa Warszawskiego“ (str. 107). Dla tejże niechęci „podczas całego trwania wojny duchowieństwo litewskie, z nielicznemi wyjątkami, nie okazało większej gorliwości dla sprawy narodowej i przychylności dla rządu krajowego“ (str. 267), a jezuici na Białej Rusi duszą całą stali przy Aleksandrze i usposobieni byli wręcz wrogo względem usiłowań wolnościowych Litwy.

Lecz nie brak bynajmniej patryjotyzmu wpłynął na to, że ofiarność Litwy w roku 1812 nie odpowiedziała doniosłości chwili. Prócz wymienionych powyżej przyczyn natury ogólnej, oddziałały tu najbardziej warunki, w jakich kraj się znajdował przed i po wkroczeniu Wielkiej Armji. W przypisach do swej monografji ogłosił p. Janusz Iwaszkiewicz niezmiernie interesującą „Wiadomość o stanie departamentów litewskich, uważanych pod względem finansów, i o czynnościach komitetu skarbowego, sporządzoną w listopadzie 1312 r.“, która w oznaczonym stopniu tłómaczy ówczesną Litwę. Rok 12-ty poprzedziło lato nieurodzaju, co tem większą było klęską dla biednego, wyłącznie rolniczego kraju, który pustoszyły najpierw stale konsystujące wojsko rosyjskie, potem głodne korpusy Wielkiej Armji. Podatki, kilkakrotnie większe niż w innych gubernjach Cesarstwa, zostały zawczasu wybrane przez rząd rosyjski za cały prawie rok 1812. Rekruta w wielkiej liczbie i co najtęższego chłopa gwałtem wcielano do armji rosyjskiej, w której walczyć musiał przeciw spółobywatelom. Przy braku spoistej i uzdolnionej do swego zadania administracji, przy zupełnym prawie braku władzy wykonawczej — ustawiczne rabunki ogłodzonych lub żądnych łupu maruderów —wszystko to fatalnie musiało wpłynąć na zapał i energję litwinów. A samorzutny i niekierowany przez nikogo ruch agrarny, jaki się począł na wieść o wkroczeniu Napoleona w niektórych powiatach litewsko-ruskich, utrudniał położenie. Zresztą sam Napoleon tamował zapał, czy to rozpraszając pułki polskie Księstwa po oddzielnych korpusach Wielkiej Armji, czy niedopuszczając do zwołania pospolitego ruszenia, które powołał, kiedy już było zapóźno, czy ustawiając wszędzie swoich urzędników i przedstawicieli, ludzi obcych i najzupełniej obojętnych dla sprawy Polski i Litwy, która w proklamacji Napoleona z Wyłkowyszek nazwaną została ziemią „nieprzyjacielską“. Fakty te dobitnie charakteryzują, jak dwuznacznie prowadził Napoleon tę „drugą kampanję polską“. To też prócz większości licznego zastępu organizatorów uwolnionej Litwy prawie wyłącznie tylko młodzież litewska, a w pierwszym rzędzie młodzież uniwersytecka wykazała zapał odpowiedni powadze chwili. „W końcu listopada liczono naogół nowego wojska litewskiego pod bronią około 19 tys., włączając w to i żandarmerję i gwardje narodowe“ (str. 181), czyli siłę pięć razy mniejszą od żołnierzy Księstwa, znacznie mniejszego obszarem. Nie trzeba jednak zapominać, że w pułkach polskich, przybyłych już na Litwę z Wielką Armją, lała się krew litewska obok polskiej, mieszając się z nią na wieczną, nierozerwalną przyjaźń. Zapamiętać należy o uczuciu obywatelskiem tatarów litewskich, którzy na pierwsze hasło przywrócenia Polski, za przewodem Achmatowicza wzięli się z zapałem do formacji własnego pułku.

W pracy p. Iwaszkiewicza znajdujemy nadzwyczaj interesujące przyczynki do sprawy włościańskiej na Litwie w pierwszem 10-leciu XIX w. i w połowie drugiego. W r. 1812 lud szedł do wojska niechętnie i pod przymusem. Czyż lud mógł działać po obywatelsku, nie będąc do praw obywatelskich dopuszczonym? Przerwała się wątła, lecz złota nić roboty w tym kierunku Konstytucji 3-go maja i usiłowań Kościuszki. „Piękna uchwała Tadeusza, uwalniająca włościan soplicowskich, jest, niestety, tylko pięknym epilogiem poetyckim ostatniego na Litwie zajazdu; w życiu bowiem nie znalazła w owej właśnie chwili historycznej potwierdzenia i nie odpowiadała też zgoła ówczesnemu nastrojowi szlachty litewskiej“ — stwierdza autor monografji (169 str.). „Rząd tymczasowy litewski nie zrobił dla ludu nic, ograniczając się do mglistych obietnic na przyszłość“. Jedynie w kwestji mieszczańskiej powzięła Komisja Rządowa pewne uchwały, które łączyły się z tradycją 3-go maja (udział mieszczan w sejmie skonfederowanym). Bardzo interesujący rozdział pracy p. Iwaszkiewicza stanowi zarys działalności Komitetu oświecenia i wyznań, a w pierwszym rzędzie działalność rektora Śniadeckiego, przewodniczącego Komitetu.

Z braków książki należy zaznaczyć pewne powtarzanie się autora; prócz powtórzeń niezbęd-

nych, wynikających z samego podziału pracy, zdarzają się w niej dość często zgoła zbyteczne (zwłaszcza w charakterystyce ogólnego nastroju Litwy w r. 1812), wprowadzone dla większej wyrazistości sprowadzające pewien chaos. Autor „Litwy" dał nam jednak, jak notuje w przedmowie prof. Szymon Askenazy „zdrową, systematyczną, pełną treści konkretnej podwalinę dla poszukiwań dalszych". Niektóre ustępy tej książki drukowane już były w roku 1910 w *Bibliotece Warszawskiej*.

Bolesław Kalinowski.

„Tygodnik Polski".

II.

„Pamiętniki Józefa Franka" profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami zaopatrzył dr. Władysław Zahorski. 3 tomy. Bibljoteka Pamiętników. Wilno 1913.

Wielka to zasługa Wilna, że zostało podjęte piękne wydawnictwo zbioru pamiętników polskich: zbiór taki jest nam wielce potrzebny. Pomimo błędów i niedokładności, właściwych prawie każdemu wspomnieniu czasów minionych, braki te w zupełności okupuje wzgląd, że stawiają one wprost przed oczyma czytelnika przeszłość bez żadnego pośrednictwa: wszyscy pamiętnikarze mówią, jak który potrafi i co chce, wprowadzają nas w tętno spółczesnego mu życia, w jego nastroje, oraz zachowują nam owe drobne, lecz niezmiernie ważne i charakterystyczne rysy, które stanowią prawdziwy koloryt przeszłości.

Pożyteczne to wydawnictwo rozpoczęło się od wspomnień jednego z najzasłużeńszych profesorów niezapomnianego Uniwersytetu wileńskiego. Frank opisuje dość szczegółowo swój pobyt na Litwie od 1804 do 1823 roku. Wspomina on o przeróżnej wagi sprawach, zacząwszy od zdarzeń dziejowego znaczenia aż do anegdot.

Trzeba przyznać, że nie znajdujemy tu rzeczy całkowicie niepotrzebnych, nieraz nawet wolelibyśmy, żeby autor niektóre strony traktował szerzej i nie zbywał ich wzmiankami, zwłaszcza tylu wybitnych ludzi ówczesnych w Wilnie. Dość niebezpieczną właściwością tych pamiętników są kategoryczne opinje o osobach; należy stale mieć na uwadze, że Frank, jak każdy pamiętnikarz, powoduje się w swych opisach wrażeniami życia potocznego, a przeto jego sądy nie są odzwierciedleniem istotnej wartości ludzi, lecz nastroju momentów, nie są wyrazem bezspornej prawdy, lecz odbiciem głosów poszczególnych jednostek, czy to zrażonych, czy też poczytujących siebie za skrzywdzone. Ta stronność ma ogromne znaczenie dla badacza, ponieważ po dziesiątkach lat zmartwychstają w całej bezpośredniości charaktery, ich sympatje i antypatje.

Ogólne opinje o naszym kraju są tem cenniejsze, że pochodzą od światłego cudzoziemca, który nie żywił żadnej niechęci do Polski, owszem pracował nawet gorliwie, chcąc być pożytecznym, i to nie tylko w murach wszechnicy. Pod jednym tylko względem zacny ten profesor bezwiednie grzeszy: nie umiał wniknąć głębiej w psychikę narodu. Duszy polskiej Frank nie poznał. Sam nieraz świadczy, że się do Litwy przywiązał, naczył się tu po polsku i mówił dość biegle w naszym języku; Litwę poznał i polubił, ale poznał prawie tylko zewnętrznie: świetnie znał Wilno, jego domy, ulice, ogrody, okolice i t. d., bratał się z polakami, kochał się w polkach bywał w towarzystwie, ale duszy polskiej nie zgłębił. Bo choć był człowiekiem inteligientnym, bystrym, daru przenikania społeczeństwa zgoła nie posiadał. Tem się często tłumaczą jego powierzchowne i jakby lekkomyślne zdania, najjaskrawiej występujące w opisie wypadków 1812 r., opisu swoją drogą pod względem wartości historycznej niezmiernie cennym. Rzecz charakterystyczna, że z jednakową płytkością odzywa się i o Szubrawcach i o Promienistych.

Pomimo słabych stron, nieodłącznych niemal od każdego pamiętnika, wspomnienia Franka przynoszą szacowne i obfite wiadomości o Wilnie, jego życiu towarzyskiem, rozwoju instytucji naukowych, a zwłaszcza najciekawsze i najważniejsze o Uniwersytecie wileńskim.

Przekład na ogół dobry, choć byłoby lepiej nie tłumaczyć dosłownie francuskich określeń męża i żony przez *monsieur* i *madame*, razi nas bowiem powtarzające się wciąż wyrażenie: „pani Frankowa", które powinnoby brzmieć: „moja żona".

Z błędów językowych można wytknąć: „zeznawać" (I, 131; III, 146) zamiast zdawać sobie sprawę, uświadamiać, odczuwać; „fizyko-lekarski" (II, 57) zamiast fizyczno-lek.; „odmówił się" (II, 112), zam. odmówił; „nie omieszkał wyznaczyć fundusz" (III, 61)—rząd przyp. 4-go zam. 2-go.

Korekta nie nazbyt staranna: „de Schade" (I, 45)—powinno być Schad; „August" (I, 67)—Augustyn; „Pawot" (I, 180) = Parrot; „Wolański" (I, 191, 227)=Wełański; „Bigulski" (II, 15) = Biegulski; „Kilien (III, 138) = Kilian; „komplikacje" (I, 163) = kompilacje; wizerunki i *roztrzygania* naukowe" (I. 201) = roztrząsania i t. d. Indeks ułożony bez należytej ścisłości, opuszczenia są bardzo liczne, jak np. Becu (I, 225), Borsuk (I, 224), Chodani (I, 226), kurator Czartoryski (I, 91, 123; II, 131, III, 223), Golicyn (III, 210), Grodek (I, 224, III, 86), Malewski (II, 23), Józef Mickiewicz (I, 147, III, 78) Razumowski (III, 39, 43, 79), Reszka (II, 69), Jan Śniadecki (I, 206, 225) i t. d.

Usterki te wszelako nikną przed rzetelną zasługą p. Zahorskiego—przetłumaczenia i przygotowania do druku tych niezmiernie interesujących „Pamiętników", które polecić należy szerokim kołom czytelników.

Ludwik Janowski.

„Książka".

ᐅooooooooᐊ

Nad Naroczem.

W noc wietrzną.

Wicher się zrywa... dreszczem przeszedł wody,
Marszcząc je w fale i perląc w biel piany...
Z niebios się mroku księżyc zsunął młody.
Wiew chmurnej nocy grozą rozełkany

W tonie jeziora brutalnie się wdziera...
Szara ciemnica płachty rozpościera
Na wód seledyn, złote brzegów piaski,
Na gwiazd dalekich obumarłe blaski...

I wokół dyszy noc, przestrzeni pani.
Wicher szalejąc coraz bardziej dla niej,
Wody jeziora z głębi toni zrywa...

Z szumem złowieszczym wody swe przewala,
Wyrwana mocą rozszalała fala —
Jeziora dusza, tchnieniem wiecznie żywa.

Jan. Ödy.

Wyspa.

Cicho sen lazurowy jeziora otoczył
Wyspę—marzenie, czarem z łona wód wydartą,
Obronną kwiatów tęczą, zielskiem i drzew wartą,
By ukrytej ruiny jej twierdz nikt nie zoczył.

Argonauto, coś śmiało na jej brzeg dziś skoczył
I przedzierasz się ścieżką deszczami zatartą,
Słuchaj! tu każdy wiatru wiew jest nową kartą,
Którą los z księgi marzeń tobie wyprzezroczył.

Słuchaj, może ci dzisiaj sądzono z wód głębi,
Może z tajemnych gąszczów, kędy mur się kruszy
I wężów splot w bagnisku czai się i kłębi,

Może sądzono wyrzec talizman, co zruszy,
Najgłębszych prawd zawory i lotem gołębi
Odnaleźć najtrudniejszą drogę własnej duszy.

Hero.

Na marginesie.

Wykolejenie opinji publicznej.

Są—jak wiadomo—dwa rodzaje prasy.

Miarodajna i warcholska.

Pierwszą reprezentują duże dzienniki, zasobne w ogłoszenia, prenumeratorów i dające wyraz opinji publicznej. Druga—ledwo dychające wydawnictwa, których nie uznaje ani żaden Metzl, ani „społeczeństwo“.

O pierwszych mówi poważny obywatel, że się szanują i są dobrze informowane. O drugich zaś... O tych drugich najczęściej nic nie mówi, bo o nich nie wie; a jeśli się przypadkiem dowie, to pobłażliwie wzrusza ramionami.

— Phi — mruknie — takie głosy nie idą pod niebiosy.

Gdyby za czasów nieboszczyka Galileusza istniało siódme (dziś już właściwie—dziesiąte) mocarstwo, t. j. prasa, można się założyć, że dzienniki miarodajne, dobrze informowane, stojące na stanowisku religijnem, narodowem, szanujące uczucia społeczeństwa i broniące jego moralnego zdrowia—słowem wszelkie kurjery warszawskie, litewskie, wszelkie „Czasy“, dzienniki poznańskie etc., etc. z godnością broniłyby tezy walcowania słońca dokoła ziemi.

Tak.

Bo to organy opinji publicznej.

Na tych organach wygrywa ona hymny swej wiary i przekonań.

A robi się to tak.

Redaktor musi przedewszystkiem mieć węch, czyli orjentację. Właściwie może już nic innego nie posiadać. Wyczuwać nastrój—oto jest jego główne zadanie,

A gdy taki redaktor wyczuje już ów nastrój, wówczas siada przy biurku i prawi czytelnikom to samo właśnie, co mu się zdaje, że im się zdaje.

Poważny obywatel bierze potem miarodajny organ opinji publicznej do ręki, przerzuca — no i wpada w zachwyt.

Woła żonę.

— Patrz, duszko, słowo w słowo to samo mówiłem. Doskonałe pismo ten nasz kurjer.

W rezultacie żona zachwycona, że ma męża, którego zdanie potwierdza drukowany artykuł, mąż w siódmem niebie, iż stanowisko jego podziela redakcja, redakcja nie posiada się ze szczęścia, że trafiła w sedno i otrzymuje listy dziękczynne. Słowem — zadowoleni wszyscy, nie wyłączając głównego filaru prasy miarodajnej, t. j. agienta ogłoszeniowego i jego klijenteli.

Czasem jednak najlepszy „węch“ zawodzi.

Trafiło się to ostatnio naszemu miarodajnemu „Kurjerowi Litewskiemu“, który—zdaje się — nawet tego nie zauważył. I nic dziwnego. Któż bowiem mógł coś podobnego przypuszczać?

„Kurjer“ nasz mniej, niż inne pisma, narażony bywa na podobne *casusy*. A to z tej prostej przyczyny, że w każdej ważnej sprawie miewa stale dwa zdania. Jedno zachowawcze, drugie — konserwatywne...

Od czasu fuzji.

Ale w kwestji spadkobrania córek miał wyjątkowo jedno tylko zdanie. Zdanie, zgodnie z Kołem Polskiem, wysiadującem centralne fotele Rady Państwa.

Koło było za jedną siódmą.

Więc i „Kurjer“ był za jedną siódmą.

Tego wymagała solidarność narodowa i zdrowy postęp.

I zapewne trwalibyśmy w przekonaniu, iż tak samo myśli „całe społeczeństwo“—gdyby nie... konkurs na nowelę.

Za utwór najlepszy uznali czytelnicy „Kurjera“ rzecz o wyraźnej tendencji społecznej, rzecz, protestującą przeciw nierównościom w spadkobraniu córek. W tej więc kwestji pismo poszło do Sasa, a jego prenumeratorowie do lasa. Miarodajny organ opinji publicznej otrzymał votum nieufności i pozostał we wspaniałem odosobnieniu, jako wyraz nie tyle zapatrywań społeczeństwa, ile taktycznych kalkulacji kilku ojców rodzin z Rady Państwa.

„Kurjer“—jak się rzekło—wcale tego nie zauważył. Może nawet redakcja już zapomniała, że była za utrzymaniem różnic w spadkobraniu?

Zwracamy jej na to uwagę. Nie sądzimy jednak, byśmy naszemu miarodajnemu organowi sprawili tem przykrość.

Katar wszakże nie jest przypadłością hańbiącą...

Behra.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na drugie półrocze i kwartał IV-ty b. r.

Opowieść o „Kryjakach“ *).

„Krytyka, mianująca się artystyczną, sądzi utwory literackie ze stanowiska takiej, lub owakiej polityki,—spiera się i prawuje z pisarzami o ich mniemania polityczne, albo o ich pasje społeczne,—poniża ich, lub wynosi niezasłużenie, — częstokroć poniewiera i znieważa za rewolucyjne, radykalne, albo odwrotnie, za umiarkowane, ostrożne przekonania,—a jak dobrze wiemy z przykładu Cyprjana Norwida — potrafi nawet wielkich artystów ośmieszyć, wdeptać w niepamięć, w nędzę, w rozpacz i w daleki, pospólny grób wygnania“.

Stefan Żeromski.

(Przedmowa do „Kryjaków“).

W istocie krytyka literacka jeśli dotyka poglądów społecznych i politycznych autora, powinna robić z nich zarzut jedynie w tym wypadku, jeśli poglądy te ujawniają się, jako *tendencja*, nie zaś jako *ideja* utworu. Niesłuszny zarzut tendencji nie raz spotkał autora „Ludzi Bezdomnych“. Autor „Dumy o Hetmanie“, „Róży“ „Sułkowskiego“ „Urody życia“ i „Wiernej rzeki“ potrafił swe przekonania i sympatje przekuć na drogocenny kruszec artystycznych walorów. To samo śmiało rzec możemy i o autorce „opowieści“ o podlaskiej partji powstańczej księdza Stanisława Brzózki. „Kryjaki“ należą bez kwestji do tych „subjektywnie“ poczętych i „subjektywnie“ pojętych utworów, przez które jaskrawą nicią przeszła indywidualność autora. Objektywizm nie może, nie powinien być regułą. Jeśli uderza on nas w tak mocno pomyślanych realistycznych utworach, jak nowele Chojnowskiego i Kadena—staje się on nie do pomyślenia we wszelkiego rodzaju utworach impresjonistycznych i we wszystkich tych, które są nacechowane znamieniem liryzmu. Jeśli Zola przy całym swoim naturaliźmie nie potrafił być zawsze objektywnym, to czyż można wymagać objektywizmu od takiego np. Knuta Hamsuna, od Mickiewicza, lub jeszcze bardziej od Słowackiego i Krasińskiego,—od Baudelaire'a, czy Verhaerena, Maeterlincka, czy Przybyszewskiego, lub Kasprowicza?

„Kryjaki“ jest to utwór o potężnem podłożu idejowem, o silnem napięciu tego bólu, który przeorał Polskę, który na obliczu jej duchowego rozwoju zostawił wieczne, niezatarte ślady i który — obecnie— po przez depresję epoki pozytywizmu—nawiązuje mocne nici wielorakiego pokrewieństwa pomiędzy niebotycznemi wizjami autorów „Anhellego“ i „Kordjana“, „Pieśni do młodości“ i „Dziadów“ i wreszcie „Psalmów“ — a epoką późniejszą, w której dźwięczały lutnie Ujejskich i Romanowskich i jeszcze późniejszą, — obecną — w której w zwartym szeregu chociaż odmienni od siebie, stanęli artyści tej miary, co Żeromski, Sieroszewski, Daniłowski, Andrzej Strug, Orkan, Miciński, Savitri i inni. Do ich rzędu, obecnie, zaliczyć musimy i autorkę „Pani El“ i „Fauness“.

Śród literatury o 63-cim roku—kto wie—czy utwór omawiany nie jest najsilniejszym? Walewska daje, co prawda, zaledwo fragment zajść historycznych (na równi zresztą z „Wierną rzeką“ Żeromskiego). Wrażenie jednak z tego fragmentu nadaje znamiona syntezy. Nie brak, co prawda, „Kryjakom“ paru niedokładności, dotyczących faktycznej strony opisanych wypadków, nigdzie jednak—zasadniczo—nie rozmija się z prawdą historyczną w kreśleniu tła powieści, tak jak nie rozmija się z prawdą psychologiczną i artystyczną w kreśleniu charakterów i epizodów fabuły.

„Mojem zdaniem, naród nasz nie posiada warunków do niepodległego bytu politycznego... Jeżeli więc ideałem naszym miałoby być idyotyczne dążenie do politycznej niepodległości, to ideałem państw zaborczych, a szczególniej Rosji i Prus, musi być koniecznie tępienie nas... Ten to fałszywy nasz, z religijną czcią pielęgnowany ideał jest głównym powodem narodowej naszej niemocy—on bowiem oddala nas od jedynej racji naszego bytu narodowego w dziejach ludzkości, a mianowicie od niesienia na wschód prawdy katolickiej“)*.

Na powyższe sentencje *„po 40 latach“*—w 10 lat potem, innemi słowy—w 50 lat po śmierci Traugutta,—znajduje Walewska artystyczny wyraz dla swych, zgoła odmiennych poglądów. I ponieważ poglądy te jej są szczere i wżarły się jej i w krew i w mózg; wzmogło się napięcie liryzmu i skojarzyło się z nerwem dramatycznym i wytwornością artystyczną autorki. Mamy tu momenty zadziwiającej mocy, wyrzeźbione w granicie ostrym i twardym rylcem, zapominającym czasami o ornamencie, lecz nie zapominającym nigdy o poincie.

Do najsilniejszych scen—zaliczyć należy rozmowę biskupa podlaskiego, Szymańskiego, z księdzem Stanisławem Brzózką i jego „partją“ (str. 86—88 i poprzednie: „Hańba ci polski biskupie!“) opowiadanie Platerówny w obozie o zajściach warszawskich, które kończy uwagą: „Wyście dużo zapewno widzieli pól, zasłanych trupami — ale nie widzieliście nigdy i nie zobaczycie takiego pola żywych ciał ludzkich, któreby się zdawało polem umarłych“ (str. 118), oraz opowiadanie o balu w Łomży, podczas którego skuty Majewski przygląda się brutalizowaniu swojej żony (str, 119 — 124), przemowę Brzózki 125—127 i in. Tragizm podnosi się tu do djapazonu. Groza scen poszczególnych i beznadziejność walki powstańców przewyższa grozę i beznadziejność, jakimi przepojona jest „Wierna rzeka“—a jednak, rzecz dziwna „opowieść“ Walewskiej nie sprawia wcale tego wrażenia beznadziejnego pesymizmu, z którym próżno usiłuje walczyć Żeromski. Świadomość opanowanego bólu i wiara w granitową moc ludzkiego ducha, wszystko to stwarza u autorki ten tak znamienny u niej sarkastyczny uśmiech i tę wiarę jej, że „buńczuczny sen“ się nie skończył i że jeśli bohaterzy—„kryjacy“ zasnęli snem innym nie—„buńczucznym“, — to tylko na chwilę i że stali się oni jak „chochoły—w ogrodach—co kryją na sen zimowy krzaki płomiennej róży, aby z wiosną mogła na nowo zakwitnąć“.

Bolesław Zahorski.

*) **Marja Jehanne Walewska** (hr. Wielopolska:) *„Kryjaki“* o sześćdziesiąt trzecim roku opowieść z przedmową Stefana Żeromskiego. S-ka nakładowa „Książka“ Kraków str. 186.

*) Hr. Jerzy Moszyński: „Po 40 latach“. Str. 20. Cytujemy za M. J. Walewską: „Parę wstępnych maksym do rozdziału II“. „Kryjaki“ str. 38—39.

Nec plus ultra.

Znaną jest ignorancja brukowej prasy warszawskiej w zakresie spraw, dotyczących Litwy i Rusi. Rekord pod tym względem pobiła „Gazeta Poranna 2 grosze“, która niedawno nadzwyczaj szumnie obchodziła jubileusz pierwszego roku swego istnienia.

W № 278 znajdujemy artykuł p. t. „Akty nienawiści“, w którym czytamy dosłownie, co następuje:

„Nadesłano nam w przekładzie polskim dwa memorjały, z któremi Litwini wystąpili w czasach ostatnich „wobec świata“ ze skargami na „ucisk polski“.

„Memorjał duchowieństwa litewskiego p. t. „Stosunki litewsko - polskie w djecezji wileńskiej i nadużycia partji wszechpolskiej“ wydany był pierwotnie w języku włoskim i przeznaczeniem jego jest „urobić opinję“ w sferach watykańskich przeciwko polakom“...

. . . .

„Drugi memorjał nosi tytuł: „Uwagi o konflikcie języków polskiego i litewskiego w djecezji wileńskiej“ i przełożony jest z francuskiego.

„Nie będziemy wnikali w treść tych memorjałów. Są one przesiąknięte nienawiścią do polaków“... i t. d., i t. d.

Jak wiadomo, drugi memorjał jest odpowiedzią p. Hipolita Korwin-Milewskiego na pierwszy i staje gorąco w obronie praw języka polskiego. Ale redakcja dwugroszówki nie uważała za potrzebne zapoznać się z treścią nadesłanych broszur i zbudowała swój artykuł wstępny na podstawie tytułów, figurujących na okładkach.

Takich sumiennych informatorów i przewodników duchowych mają szerokie warstwy ludności warszawskiej.

KRONIKA.

= Antoni Małecki.

D. 7 października n. st. zmarł we Lwowie Antoni Małecki, autor znakomitego dzieła, które uczyniło go u nas ogólnie znanym: „Gramatyki polskiej“.

Urodzony w r. 1821 pod Poznaniem, w tym ostatnim ukończył szkoły, poczem został słuchaczem uniwersytetu berlińskiego na wydziale filozofji i historji.

Po opuszczeniu uniwersytetu objął obowiązki nauczyciela w gimnazjum poznańskiem i pełnił je do r. 1850, w którym powołany został na profesora filologji klasycznej w uniwersytecie Jagiellońskim. Na stanowisku tem pozostawał lat trzy, gdy wskutek intryg otrzymał dymisję wraz z Wincentym Polem, Helcłem i Zielonackim. Niesłuszne usunięcie goż katedry wkrótce zostało ujawnione i Małeckiemu ofiarowano katedrę filologji w Innsbrucku, gdzie pozostawał lat dwa, starając się wciąż o przeniesienie na jeden z uniwersytetów polskich. W r. 1856 mianowano Małeckiego profesorem literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, na którem to stanowisku pozostawał lat 17.

W r. 1872 wybrano go na rektora uniwersytetu, a po roku usunął się ze służby publicznej i zaliczony został w poczet członków akademji umiejętności w Krakowie.

„Gramatyka polska“, dzieło, które stanowi pierwsze umiejętne opracowanie wszystkich działów tego przedmiotu, wydane zostało we Lwowie w r. 1863. Szereg innych prac Małeckiego z zakresu historji i literatury stanowi pokaźny dorobek dla piśmiennictwa polskiego, zwłaszcza „Życie i pisma Słowackiego“, studjum wyczerpujące nad gienialnym poetą, którego pisma Małecki wydał poprzednio w 3 tomach (Lwów, 1865—66).

Napisał też Małecki dwa utwory oryginalne na scenę, mianowicie tragiedję „List żelazny“ (Poznań, 1854) i komedję na tle pamiętników Paska „Wieniec grochowy“ (r. 1855). Obie te sztuki cieszyły się w swoim czasie wielkiem powodzeniem, a „List żelazny“ został wzbroniony do grywania na scenie w Królestwie.

Od szeregu lat ostatnich Małecki poświęcał się krytyce literackiej w różnych czasopismach, przeważnie galicyjskich.

= Zjazd działaczów miejskich.

Zjazd działaczów miejskich w Kijowie zamknięto w chwili, gdy odczytany został wniosek przywódcy październikowców A. Guczkowa, zawierający ocenę braków gospodarki miejskiej z ogólno - politycznego punktu widzenia. Władze upatrzyły w tym przekroczenie kompetencji zjazdu, przedmiotem obrad którego miały być jedynie sprawy. związane ze stroną finansową gospodarki miejskiej.

Wniosek zaproponowany przez Guczkowa, a odpowiadający jednomyślnemu nastrojowi zjazdu, składał się z trzech punktów.

Punkt pierwszy wskazuje na to, iż tylko wykonanie programu finansowego, opracowanego przez zjazd, a związanego nierozłącznie z rewizją ustawy miejskiej, może przyczynić się do polepszenia podstaw finansowych zarządów miejskich i sanacji warunków życia miejskiego.

W drugim punkcie jest mowa o tem, iż urzeczywistnienie tego programu przy obecnych warunkach napotyka poważne przeszkody, wskutek zupełnego zastoju twórczości prawodawczej, dezorganizacji władzy i osobliwych stosunków pomiędzy władzą centralną a organami samorządu.

Wreszcie, trzeci punkt przenosi całkowicie sprawę na grunt ogólno-polityczny, opiewając, iż dalsza zwłoka lub też uchylenie się od urzeczywistnienia reform na zasadzie Manifestu 17 października — grozi krajowi ciężkiemi wstrząśnieniami i najfatalniejszemi skutkami.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę charakter polityczny zjazdu, którego skrajną lewicą była umiarkowana grupa kadetów, a kolosalna większość składała się z październikowców, rezolucja powyższa, jako odbicie nastrojów najszerszych kół społeczeństwa rosyjskiego, tem większą posiadać musi doniosłość.

= Kara prasowa.

Wydawnictwo „Tygodnika Polskiego“, na mocy postanowienia warszawskiego gienerał-gubernatora, zostało skazane na zapłacenie kary w kwocie 300 rb. za wydrukowanie w № 35 notatki p. t. „Zwrot w opinji“ w sprawie sieci szkolnej.

Książki nadesłane do redakcji.

Pamiętniki Jakóba Gieysztora z lat 1857—1865, poprzedzone wspomnieniami osobistemi prof. Tadeusza Korzona oraz opatrzone przedmową i przypisami. T. I. i II. Bibljoteka pamiętników. Wilno 1913.

Konstancja Skirmuntt (Futurus). *Kartki krajowe* w dalszym ciągu kartek politycznych. II. Reminiscencje z prasy wileńskiej 1906—13. Wilno 1913.

J. Eizenberg-Zlasnowska. *Juljusz Słowacki.* Sceny z życia poety w pięciu aktach, jedenastu odsłonach z prologiem. Warszawa 1914.

E. T. A. Hoffmann. *Powieści fantastyczne.* Słowo wstępne i układ A. Langego. T. I i II. Muzy. Bibljoteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza. Warszawa.

Miguel de Cervantes. *Nowele przykładne.* Tłómaczył z hiszpańskiego i słowem wstępnem opatrzył Zdzisław Milner. T. I i II. Muzy. Bibljoteka literacko-artystyczna. Warszawa.

Polska w roku 1811 i 1813. Wspomnienia dyplomaty Edwarda Bignona. Bibljoteka pamiętników. Wilno 1913.

Sprostowanie.

W № 35—37 w artykule „Względ nieznany“ w wierszu 12-tym od góry czytać należy; „z poszczególnemi o b j a w a m i antysemityzmu“.

Treść numeru.

Godzina próby — L. A.

Na mylnej drodze — J. S.

O inteligiencji polskiej — Wi — ski

Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji — J. Krz.

Muzy Weimaru — St. Posner.

Litwa z przed stu lat — B. Kalinowski. i L. Janowski.

Nad Naroczem — Jan Ody i Hero.

Na marginesie — Behra.

Opowieść o „Kryjakach“ — B. Zahorski.

Nec plus ultra.

Kronika.

Odcinek: „Józef Korzeniowski“ — T. Dąbrowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ“ Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 19 października (1 listopada) 1913 r. № 41—42.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Maskarada.

Od roku wychodzi w Wilnie w godzinach popołudniowych dwugroszowa gazetka w języku rosyjskim p. t. „Wieczerniaja Gazieta“. Założona dla celów agitacji wyborczej zdołała w krótkim czasie wyrobić sobie poczytność i utrwalić swój byt, dzięki umiejętnemu redagowaniu. Dziś już posiada pewien wpływ i jest czytywaną zarówno przez rosjan, jak żydów, a nawet polaków. Z tego więc powodu oraz ze względu na tendencje polityczne, które wyraźnie zaznacza—zasługuje na baczną uwagę.

Od początku swego istnienia „Wieczerniaja Gazieta“ znalazła zaciętego przeciwnika w „Wilenskim Wiestniku“. W każdym niemal numerze półurzędowca wileńskiego można znaleść jakąś wycieczkę lub artykuł wstępny, wymierzony przeciwko organowi „białoruskich separatystów“, za jakich uchodzą w jego oczach kierownicy „Wieczerniej Gaziety“. Dziennik ten bowiem istotnie występuje ostro przeciwko centralistyczno-rusyfikacyjnym zakusom biurokracji miejscowej i mieni się obrońcą ideałów demokratycznych i interesów ludu białoruskiego. Z jeszcze większą jednak bodaj zaciekłością „Wiecz. Gazieta“ prowadzi kampanję przeciwko pracy kulturalnej polskiej, jako również, jej zdaniem, wynaradawiającej masy białoruskie. Wolno więc na tej podstawie wnioskować, że za jedynie zgodną z zasadami demokratycznemi na terenie Litwy i Białejrusi „Wiecz. Gazieta“ uważa działalność, skierowaną ku uświadamianiu narodowemu ludu białoruskiego lub litewskiego. Wszelka inna musi mieć charakter wyraźnie nacjonalistyczny.

Stanowisku takiemu, mimo cały jego doktryneryzm, nie można by odmówić szacunku, gdyby było ono szczere lub przynajmniej konsekwentne. Tak jednak nie jest.

Sam fakt wydawania taniej gazety popularnej w języku *rosyjskim* świadczy już wymownie, że dbałość o wzrost kultury białoruskiej (kwestja litewska na łamach tego pisma poruszana jest nader rzadko) nie wykracza poza ramy frazesu, pięknie brzmiącego, lecz jakże dalekiego od rzeczywistości! Jeszcze bardziej utrwala w tem przekonaniu treść gazetki, przeważnie uwzględniająca życie społeczeństwa rdzennie rosyjskiego i z wyjątkiem kroniki miejscowej, nie różniąca się niczem od treści przeciętnego postępowego dziennika, wychodzącego gdzieś nad Wołgą lub Oką.

Rzecz znana, że prasa stanowi obok szkoły najpotężniejszy czynnik w szerzeniu wpływów kulturalnych. Czytelnik, posiadający słabe uświadomienie polityczno-społeczne, nasiąka temi poglądami i sympatjami, jakie wchłania ze szpalt dziennika. Cała jego psychika, miękka i wrażliwa, urabia się i krzepnie w tej atmosferze duchowej, którą wytwarza słowo drukowane. Czytelnicy „Wieczerniej Gaziety“, rekrutujący się w wielkiej ilości ze sfery t. zw. pół-inteligiencji, otrzymując doskonale przyrządzony i lekko strawny pokarm, zasmakowują w nim, a pod stałem jego działaniem organizm i h się przystosowuje i ulega przeobrażeniu.

Teoretyczne wywody o kulturze białoruskiej, o odrębności ludu białoruskiego i tego kraju pozostają czczą deklamacją, natomiast kultura wielkorosyjska oczywiście w formie najbardziej ponętnej, bo owianej duchem wolnościowym, sączy się z każdego wiersza i wpływ swój na masy wywiera o wiele skuteczniej, niż to uczynić potrafią dziesiątki pism reakcyjnych, o tendencjach wyraźnie rusyfikatorskich.

Trudno pojąć wrogą postawę „Wil. Wiestnika“, względem „Wiecz. Gaziety“. Wszakże to na jego młyn woda. Stara gwardja Murawjewowska nie może się widocznie pogodzić z nowem umundurowaniem i nowoczesną taktyką. Zaskorupiała w szablonie, z nieufnością i niechęcią spogląda na wszelkie odchylenia od dawnych, wypróbowanych metod i wzorów i drży na sam dźwięk wyrazu „separatyzm białoruski“, chociaż jest przeświadczona, że widmo to jest w gruncie rzeczy teatralnym manekinem, zręcznie wysuwanym na scenę, by sztuka wywierała wrażenie tajemniczości.

Ruch białoruski, koncentrujący się dokoła paru wydawnictw ludowych i skupiający szczupłą garstkę idejowców, nie może budzić zbyt poważnych obaw

w nacjonalistach rosyjskich. Jest to muzyka dalekiej przyszłości. Dziś nie tylko nie przedstawia niebezpieczeństwa dla interesów rosyjskich, lecz przeciwnie raczej jest im na rękę, stanowiąc wyłom w dotychczasowym murze tradycji i wpływów kulturalnych polskich.

Praca kulturalna, prowadzona w imię odrodzenia a właściwie stworzenia narodowości białoruskiej, dotychczas nie może pochlubić się znaczniejszemi wynikami. Rozwojowi jej stoi na zawadzie przedewszystkiem brak rozpędu żywiołowego, jaki cechował np. młody ruch litewski. Pozatem rywalizacja i oddziaływanie dwuch sąsiednich pobratymczych kultur: polskiej i rosyjskiej utrudniają ogromnie proces kształtowania się wyraźnych form narodowych białoruskich. Trudno przesądzać przyszłość ruchu białoruskiego. Obecnie jednak można stwierdzić, że skutkiem swej słabości szuka on oparcia w liberalnej Rosji i stamtąd czerpie dla siebie wskazania i podnietę.

Jesteśmy biało-rusami, nie biało-lachami—historyczne to wyznanie wiary, uczynione w przystępie szczerości przez „Wiecz. Gazetę“ wymownie charakteryzuje tendencje „separatystów białoruskich“. Raczej Rosja niż Polska, oto czego pragną w głębi duszy kierownicy ruchu białoruskiego, gdy ogarnia ich zwątpienie w powodzenie swej akcji, operującej fikcjami. Moglibyśmy przytoczyć szereg ustępów z „Wiecz. Gazety“, z których wieje niedwuznaczna niechęć jeśli nie otwarta nienawiść do wszelkich przejawów na naszym gruncie pracy kulturalnej polskiej, chociażby miały one charakter wyraźnie demokratyczny, a jednocześnie to samo pismo gorąco reklamuje i bodaj nawet jest inicjatorem instytucji oświatowej rosyjskiej p. f. „Wiestnik Znanja“, nie mówiąc już o popieraniu teatru rosyjskiego, odczytów i t. p.

W ten sposób broni „Wiecz. Gazeta“ odrębności naszego kraju...

Ktoś kiedyś zauważył, że woli w Wilnie pomnik Murawjewa niż Muromcewa. Ten pozorny paradoks zawiera głęboka prawdę. Pierwszy bowiem jest symbolem zwycięstwa sily fizycznej, drugi, gdyby stanął, świadczyłby o podboju kulturalnym, o głębokich przemianach w społeczeństwie. To samo da się powiedzieć o miejscowych organach prasy rosyjskiej. Wolimy urzędowy Wil. Wiestnik“ z jego brutalną propagandą antipolską, niż demokratyczną „Wiecz. Gazietę“, w sposób pokojowy, w imię ideałów wolnościowych torującą drogę rusyfikacji ludności miejscowej. Jedno jest narzucone z góry, drugie jest wytworem społecznym, pierwsze jest cynicznie otwarte, drugie podstępne i bałamutne.

Czyż można wątpić, które z nich przynosi większą szkodę, czyni większe spustoszenie?

Do niedawna mieliśmy prócz wydawnictw napwół lub całkiem urzędowych w języku rosyjskim jedynie prasę, obsługującą interesy żydowskie. Otrzaskaliśmy się z szumnemi hasłami postępowemi, przeniesionemi żywcem z nad Newy na nasz grunt, z wyraźnym centralizmem państwowym, z niwelacyjnemi dążnościami liberalizmu rosyjskiego. Poznaliśmy doskonale wartość idejologji demokratycznej w interpretacji zruszczonych żydów. „Wiecz. Gazieta“ wniosła nowy pierwiastek: krajowości. Występując w obronie potrzeb tego kraju i jego ludności, zyskuje prawo obywatelstwa i tytuł reprezentantki ich interesów. I w tem właśnie tkwi największe bałamuctwo.

Ludność miejscowa rdzenna nie potrzebuje rzeczników, posługujących się językiem uprzywilejowanym. Polacy mają własną prasę polską, litwini — litewską, białorusinom wystarczy jeszcze na długo „Nasza Niwa“ i Biełarus“. „Wiecz. Gazieta“, uobywatelniając niejako napływowy element rosyjski, wprowadza nowy czynnik do układu narodowościowego na Litwie i Białejrusi i powoduje jeszcze większą gmatwaninę w stosunkach i pojęciach.

Termin „demokratyzm“ stanowczo zbyt często jest w ostatnich czasach nadużywany. Etykietą demokratyczną chętnie się posługuje każdy, kto chce trafić do szerszych mas. Nie każdy jednak, kto się za demokratę podaje,—jest nim w istocie. Nie jest nim ani endek, broniący uparcie hegiemonji szlachty i kleru, ani działacz z obozu „Wiecz. Gaziety“, nie uznający ludu polskiego, a szerzący w imię fikcyjnych postulatów białoruskich kulturę rosyjską. I jedni i drudzy są samozwańcami. Ale gdy endecja do swego demokratyzmu nie przywiązuje większej

---

TADEUSZ DĄBROWSKI. 2

Józef Korzeniowski

(W pięćdziesiątą rocznicę zgonu).

Nie można znaleźć u Korzeniowskiego takiej apoteozy artysty, jaka praktykowana była powszechnie w ówczesnem piśmiennictwie naszem, a i obcem na równi.

Nie był też bynajmniej skory do przyznawania na sposób „entuzjastów“ bezwzględnych praw sercu. Dobroć znamionowała jego utwory. Gdy entuzjaści kierowali się w postępowaniu twojem własnem „ja“ lub „ideałów“ swych, które w twórczości swej przedstawiali, wymogami uczucia, gdy trzymali się wskazań etyki „nieszczęścia“, jak ją nazwał w „Dziadach“ Mickiewicz, gdy niezdolni byli do opanowania siebie, powściągania instynktownych swych pożądań, dobroć Korzeniowskiego kazała się liczyć z ludzkiem szczęściem. Czy mam prawo wiązać dla mego szczęścia z sobą życie osoby, która szczęśliwą być może tylko z kim innym?—to pytanie górowało stale nad sumieniem jego bohaterów. W takiej „Autorce“, w takim „Spekulancie“ przełamane, przezwyciężone zostają pierwsze zapędy serca. Albowiem serce ślepe jest i nieświadome prawdy. Ponad egoistyczne zadowolenia szczytniejszą wedle Korzeniowskiego jest ofiara, gdy ona do cudzego szczęścia przyczynić się może. Dobre serce, litościwa dusza doprowadzała tu Korzeniowskiego niekiedy nawet zadaleko, gdy n. p. w „Starym mężu“ każe aż imiennika młodego, którego imię przypadkowo bohater zasłyszał, z daleka do domu sprowadzać i z poświęceniem szczęścia własnego starać się o rozwód, oraz skojarzenie młodej pary. To już nie tylko było wyzywanie szyderstw entuzjastów, takiego Józefa Bohdana Dziekońskiego, czy Narcyzy Żmichowskiej, albo wychowanego nieco w ich szkole Klaczki Juljana, to było już karygodne wyzywanie losu, które do szyderstw przeciętnych śmiertelników również snadnie nadawać się może.

Jednakże, gdy bohater Korzeniowskiego, taki „Garbaty“ n. p. staje przed zagadnieniem osobistego szczęścia, nie ciska się obłędnie w przepaść namiętności, nie daje się pochłonąć, złamać życiowo. Góruje nad namiętnością rozwaga. „Garbaty“ n. p. widząc, iż uczucia ukochaną przez niego istotę z kim

wagi, „Wiecz. Gazieta“ uważa siebie za jedyną niemal reprezentankę ideałów demokratycznych i wyzyskuje to stanowisko dla celów obcych duszy ludu miejscowego.

Czas już wielki, by zerwać z niej tę maskę i ukazać właściwe jej oblicze.

L. A.

Rzadka sposobność.

Każde państwo, najbezwzględniej nawet wojujące z poddanymi swymi, ma—zwłaszcza w dobie kapitalizmu—jeden z nimi punkt styczny. To handel zewnętrzny. Bez względu na stosunki społeczeństwa do państwa i państwa do społeczeństwa, interes ich w tym momencie jest identyczny. Wchodzi tu bowiem w grę strona trzecia, jednaki wywierająca wpływ na dobrobyt ludności, jak i—zależne od niego—finanse państwa.

To też w krajach konstytucyjnych terminy, w których zawiera się nowe traktaty handlowe, wciągają do spółpracownictwa z rządem mnogie instytucje społeczne; badają one szczegółowo istniejące warunki stosunków wymiennych, a zasięgając informacji u źródła—t. j. u samej ludności: producentów i konsumentów—koordynują dezyderaty poszczególnych grup społeczeństwa.

Jest to praca trudna, wymagająca sił, czasu i licznych środków pomocniczych, śród których najcenniejszą jest dobrze i oddawna prowadzona statystyka. Nic więc dziwnego, że w układach traktatowych przegrywa zawsze strona, mniej świadoma wymagań życia—czyli państwo, mniej zespolone z narodem.

Ponieważ brak takiego zespolenia stanowi nieuniknioną konsekwencję autokratyzmu, więc też Rosja bywała dotąd stale stroną w zawieranych traktatach wyzyskiwaną. Nawet w chwilach, gdy z tego lub innego względu przeprowadzała ona swoją wolę na szkodę importu zagranicznego, bywało to przeważnie bez korzyści dla niej samej, a nieraz z widocznym dla jej ludności uszczerbkiem. Nakładała np. wysokie cła na towary, u niej nieprodukowane, które skutkiem tego zupełnie przestawały być sprowadzane; finanse państwa traciły dochód, ludność zaś wyzbywała się pewnej potrzeby, cofając tem swą kulturę. Tak było choćby z niektóremi rodzajami machin rolniczych i wielu innemi przedmiotami.

Do układów dla Rosji najniekorzystniejszych należy bez wątpienia obecny traktat z Niemcami. Zawarty w czasie zawieruchy wojennej na Dalekim Wschodzie, posiada on grzechy, których nawet słabo zorjentowany, rząd autokratyczny mógł był i powinien był uniknąć. Niemcy do ostateczności wyzyskały wówczas kłopoty sąsiadki i przeprowadziły niemal wszystkie swoje postulaty, których część wprost rujnuje przemysł rosyjski. Jak wielkie rząd popełnił tu błędy, dość wskazać, że zawarty traktat, między innemi, przyczynił się do tego, iż dziś mąkę z rosyjskiego zboża sprowadza się z Niemiec do Rosji. Wysokie cło na mąkę przy stosunkowo niskiem opodatkowaniu surowego ziarna, wydało ten skutek, że nad całą granicą rosyjską powstały w Niemczech młyny, które eksportują na wschód pod postącią mąki dopiero co otrzymane stamtąd zboże.

Fakt taki pociąga za sobą długi szereg fatalnych następstw: upada przemysł młynarski, tracą zarobek w kraju rzesze robotnicze, spożywca niepotrzebnie płaci za przewóz zboża tam i zpowrotem, a wreszcie szkodę ponosi państwo, które darmo wyzbywa się pewnej kategorji podatków przemysłowych.

Podobnie, jak ze zbożem, dzieje się z drzewem, skórami etc. Garbarstwo np. przeżywa u nas kryzys po kryzysie i należycie się nie rozwija, a tymczasem skóry wywozi się do Niemiec po to, by je wnet sprowadzać napowrót pod zmienioną postacią.

Gdy weźmiemy pod uwagę, że błędów takich popełniono setki, łatwo wyobrazimy sobie, jak

---

innym wiążą, jakkolwiek może są tajone, że mógłby się spotkać może ze współczuciem, z litością, lecz byłby to gwałt zadany ludzkiej naturze, albowiem człowiek z duszy się składa i ciała i obie połowy człowieka zarówno w miłosnym stosunku odgrywają rolę—„Garbaty“ wtedy sam przyczynia się do skojarzenia miłującej się szczęśliwie pary i w wyrzeczeniu ma zadowolenie patrzenia na cudze szczęście, do którego się przyczynił, jakoteż w oddawanu się umiłowanym sztukom pięknym, oraz sprawom ducha.

Oto jest normalny stosunek Korzeniowskiego do haseł praw uczucia. Epoka jego burzliwa była, naładowana elektrycznością. Namiętności wrzały. Występowano w imię jakiegoś czynnika, upośledzonego dotąd w życiu. Postępowcy nasi, tworzący literaturę w kraju, za panią George Sand, brali w obronę nieszszęśliwą w małżeństwie kobietę. Mąż przyziemny, filisterski safanduła, wiecznie tylko o wygodzie i swych drobnych przyjemnościach zmysłowych myślący, lub oddany gonitwie za interesami, i żona czuła, sentymentalna, wrażliwa, rozpoetyzowana, przebywająca duszą w krainach ponadziemskich, stęskniona do duszy bratniej, któraby ją rozumieć, odczuć potrafiła i znajdująca tę bratnią duszę w jakimś młodym, pięknym, nerwowym młodzieńcu, poecie o kruczych włosach, ledwie sypiącym się wąsiku i ognistem oku; bolejąca serdecznie nad tem, że nie może się z nim złączyć nierozerwalnemi węzły i że wiecznie krępować ją będą więzy małżeństwa; melancholja, bladość, tęsknota niewygasła i nieprzelane łzy: to była moda ostatnia, najszczytniejszy ideał, figurujący na kartach poczytnych ówczesnych powieści. I takie miłośnice, wykształcone, wrażliwe, czułe, wyhodowane na gruzach całej kultury umysłowej i artystycznej ludzkości, którą w siebie wchłaniały i żerujące na twórczych duszach, pobudzające cierpieniem, rozterką duchową loty gienjuszów, występowały także w życiu. Wystarczy przypomnieć Musseta, Chopina, Krasińskiego, by mieć wyobrażenie o zaraźliwej tej epidemji.

Korzeniowski nie sympatyzował z tym typem kobiety i nie miał ochoty stawać pod sztandarem „wolnej miłości“. Gdy pisał swoje dramaty czy komedje, niejednokrotnie typ ten, podpatrzony w życiu, do utworów swych wprowadzał. Przedstawiał kobiety zimne, wyrachowane, grające na nerwach i uczuciach mężczyzn, uwodzące ich z całym chłodem przytomnym, ażeby po trupach ich przejść do nowych zdobyczy. Przedstawiał konflikty dramatyczne, które śladem

olbrzymie szkody ponoszą stąd finanse państwa przy równoczesnych stratach ludności, której spora część emigrować musi zagranicę w pogoni za pracą.

Olbrzymie, rażące wady istniejącego traktatu, jako też (mimo obecnej reakcji nie dające się zaprzeczyć) poderwanie wiary we wszechwiedzę i nieomylność biurokracji — skłania dziś rząd do wkroczenia na nową drogę. Wobec tego, że w r. 1915 zawarty być musi nowy układ z Niemcami, ministerja: finansów, rolnictwa, wreszcie przemysłu i handlu, okazują gotowość zerwania z dotychczasową szkodliwą tradycją i powołania do spółpracy społeczeństwa.

Zwrot to niezmiernie znamienny—chwila doniosłości olbrzymiej, jakkolwiek nie towarzyszącej tryumfalne okrzyki pionierów postępu i obrońców dziejowej konieczności.

Na nic więc nie zdadzą się epileptyczne podrygi reakcji, na nic zamachy wstecznictwa, usiłującego wykreślić z historji Rosji rok 1905 i jego zdobycze. Zjawia się życiowy mus, co obrońców dawnego ładu do Kanossy wiedzie. Stróże potęgi państwa zwracają się do opinji publicznej: „Mów narodzie, czego ci trzeba, bo, gdy milczysz, ślepi jesteśmy".

Jak Rosja stara—po raz pierwszy zapowiada się zjazdy działaczów wszelkiego rodzaju, mające zgromadzić materjał, na którym rząd oprze swe targi z zachodnim sąsiadem. Jakkolwiek celem bezpośrednim narad będzie dobro przemysłu i handlu, a w szczególności sprawy, związane z eksportem, dziedzina ta jednak posiada tyle punktów stycznych z ogólnemi warunkami życia, że liczne kwestje—napozór dalekie—ulec tu muszą nowemu oświetleniu, jako pośrednie przyczyny pewnych szkodliwych zjawisk.

Oto np. nie ulega wątpliwości, że eksport rosyjski i handel wogóle ponosi nie byle jakie straty wskutek istniejącego systemu pasportowego. Niemieccy handlarze zbożowi nauczyli się już ciągnąć specjalne zyski z uwięzienia producenta rosyjskiego. Niemniejszą przewagę gwarantuje im też fakt, że do samej granicy rosyjskiej podchodzi mnóstwo niemieckich linji kolejowych, które nagle urywają się w szczerem polu, bo po drugiej stronie granicy brak nietylko drogi żelaznej, ale często nawet szosy. Kupcy zagraniczni, mający łatwy, tani i szybki dojazd do granicy, a pozatem nie znający utrudnień pasportowych, uwijają się żwawo po obu sąsiednich terenach własnemi furmankami przewożąc zboże w odpowiedniej chwili i do najwygodniejszych dla siebie punktów.

Dalej ogromną szansą handlu niemieckiego jest zarówno własna jego świetna organizacja, jako też organizacje, obejmujące wszystkie inne dziedziny pracy. Przyczyniają się one do wyświetlania istniejących warunków życia w najdrobniejszych jego szczegółach, tudzież do orjentowania się w wielu sprawach, mających bliższy lub dalszy wpływ na stosunki handlowo-przemysłowe. Gdy zważymy, jakim utrudnieniom i ograniczeniom podlega ruch stowarzyszeniowy w Rosji, łatwo zrozumiemy (naturalnie, przy pojmowaniu jego olbrzymiej roli w Niemczech), jaką jest to prerogatywą dla handlu niemieckiego.

Jego również atut stanowi — obok wolności stowarzyszeń — swoboda słowa, a przedewszystkiem prasy i zgromadzeń publicznych. Dzięki nim, każda kwestja, ogół obchodząca, rozpatrywana jest z najrozmaitszych punktów widzenia, przyczem ujawniane bywają fakty, niezmiernej często dla handlu i przemysłu doniosłości. Dość przypomnieć tu sobie np. owe niezliczone wiece, które wywołała w Niemczech drożyzna mięsa. Nietylko wyświetliły one wszechstronnie przyczyny tej klęski, ale też pociągnęły za sobą przeróżne środki zaradcze, a śród nich i rozwój pewnych nowych gałęzi przemysłu, tudzież przeniesienie części rzeczonej drożyzny na konsumenta rosyjskiego, absolutnie w danym wypadku bezbronnego. Wobec bowiem warunków istniejącego traktatu, Niemcy mogą dowolnie zabierać Rosji tyle mięsa, ile w danym momencie im potrzeba, a kiedyindziej eksport całkowicie wstrzymywać. Wskutek tego, ceny mięsa na wewnętrznym rynku rosyjskim w

---

owych krwiożerczych kobiet-wampirów się snuły. Pokazywał często młodych artystów-entuzjastów, rzucających się bezpamiętnie na fale uczucia, aby utonąć w nich, wykoleić się w życiu, zmarnować los swój i wrodzone dary natury. Doprowadzał do zrozumienia, opamiętania i ironji bolesnej w stosunku mężczyzny do takiej lodowatej kokietki, w takiej np. „Dziewczynie i damie", w której bohater decyduje się salonową lwicę poślubić, jednakże nie może mieć dla niej szacunku. Nawracał nawet lwicę na przyzwoitą drogę małżeńskiej skromności, gdy w „Młodej wdowie" otaczał ją rojem plotek i intryg, które je omotywały i godziły na cześć jej i wynajdywał rozważnego, stanowczego i energicznego mężczyznę, który potrafił całą sieć tę śmiało rozciąć, ocalić honor hrabiny i w nagrodę zyskać wdzięczność jej, przywiązanie serdeczne i rękę. Co prawda, nigdy nie umiał się zdobyć na tyle złośliwego dowcipu, na tyle zgryźliwości ciętej, na jaką zdobył się Słowacki, przedstawiając sawantkę rozpoetyzowaną w „Fantazym".

Miał więc Korzeniowski zrozumienie dla powikłań, które na tle namiętności mogły wyrastać. W „Tadeuszu Bezimiennym" całe życie samotnie, w zamknięciu, na straży tajemnicy swojej każe pędzić kobiecie, która się zapomniała kiedyś, a nie ma odwagi, by do tego przed mężem się przyznać, by utracić blask majątku jego i wygód życia. Umiał współczuć z tego rodzaju dramatami. Lecz czyni wrażenie zarazem, iż maluje je jako przykład odstraszający, jako jeden z ciemnych zaułków bez wyjścia, do których wiodą obyczaje spółczesne i wyzwolenie z przesądów dawnej staropolskiej cnoty. Staroświecki był nieco w tych poglądach w stosunku do ówczesnych młodych postępowców. Nic dziwnego, że spotykał się z ich strony z objawami niechęci i szyderstw.

I z jednego jeszcze względu Korzeniowski liczyć nie mógł na sympatję swoich spółczesnych: ze względu na przedmiot. który najczęściej w utworach jego się powtarzał. W komedjach jego, w powieściach występuje wyłącznie prawie świat szlachecki, ziemiański lub „inteligientny". Był to świat, z którym jedynie stykał się i który znał poeta. Co prawda niejednokrotnie używał w malowaniu go rysów bardzo ostrych, wyrazistych, karykaturalnych. Gdy przedstawił „Żydów" polskich, arystokratów, wyzyskujących biedny tłum szlachecki, postępujących z nim bez serca, gorzej od zawodowych żydowskich lichwiarzy, którzy w miarę przypominania sobie wyrządzonych nie-

zupełności zależą od spożywców i handlarzy niemieckich.

Dowolne puszczanie lub nie puszczanie bydła i mięsa z Rosji do Niemiec odbywa się, jak wiadomo, pod pozorami kontroli sanitarnej, którą urzędy niemieckie prowadzą same, nie biorąc pod uwagę świadectw weterynarzy rosyjskich. Stosunek ten możliwy jest tylko przy obecnym braku zaufania zarówno do sumienności, jak i kwalifikacji agientów rządu rosyjskiego.

Tak więc znów—kwestja, zdawałoby się, bardzo specjalna, dotycząca jednej zaledwie gałęzi handlu wywozowego, rzuca światło na ogromną dziedzinę spraw ogólnych. Poszanowania bowiem dokumentów rosyjskich zagranicą żądać można tylko wówczas, gdy powaga ich nie będzie mogła ulegać żadnym wątpliwościom. Nastąpi zaś to wówczas dopiero, gdy urzędnik przestanie być komentatorem prawa, a stanie się ścisłym jego wykonawcą.

Już z powyższych kilku przykładów widać, jak rozległe i różnorodne dezyderaty wysunąć musi społeczeństwo, gdy zechce istotnie wpływać na poprawę położenia handlu rosyjskiego w stosunku do jego zachodniego konkurenta.

Okoliczność jest tem cenniejsza, że—jak się rzekło—bezapelacyjna konieczność zmusza fundamentalne czynniki państwowe do wysłuchania owych—nie przez żadne programy polityczne, ale przez życie samo—dyktowanych postulatów. Inaczej państwo dalej brnąć będzie na oślep ku coraz większej ekonomicznej zależności od potężnego i stale potężniejącego sąsiada. Inaczej spadać będzie wcale z tego nie zdając sobie sprawy, do rzędu eksploatowanych terenów, na których przemysłowcy zachodnio-europejscy wykreślają sobie „sfery wpływów“.

Ale jakkolwiek rząd zdradza tym razem wyjątkową gotowość posłuchania głosu opinji publicznej; jakkolwiek—rzec by można—w Petersburgu modą się już stało popieranie konferencji i zjazdów traktatowych: wady dotychczasowego systemu na robocie tej zgóry już wyciskają swe piętno. Brak ściśle solidarnego gabinetu i prowadzenie własnej polityki przez każde poszczególne ministerjum, miast skupiać, rozszczepia akcję społeczeństa, sprowadzając widmo tak zwykłego tu „bezhołowia“.

Pracę przygotowawczą rozpoczęły—każde na własną rękę—wszystkie trzy zainteresowane ministerja: skarbu, rolnictwa, oraz przemysłu i handlu. W związku z tem powstało kilka niezależnych od siebie organizacji. Przy ministerjum skarbu pracuje komisja, w której skład weszło wielu uczonych ekonomistów. Ogłasza ona cenne przyczynki w wydawnictwach rzeczonego ministerjum. Dalej ministerjum rolnictwa popiera zjazdy prowincjonalne (dzielnicowe), organizowane przez ziemstwa i tow. rolnicze. Robota prowadzi się tu dość chaotycznie. W jednych miejscowościach narady te obywają się, w innych nie; brak im pozatem koncentracji i jednolitego programu. Z protekcji ministerjum przemysłu i handlu korzystają stałe zjazdy wielkich przemysłowców, ktore jednak nie wychylają się poza Petersburg i pozostają obce prowincji. Pozatem na uwadze mają one w pierwszym rzędzie potrzeby przemysłu fabrycznego, prawie nie interesując się sprawami rolnictwa. Koordynacji zadań owych zjazdów przemysłowych z celami wspomnianych wyżej zjazdów prowincjonalnych, popieranych przez ministerjum rolnictwa, podjęła się czwarta dopiero instytucja, mianowicie istniejąca od dwu lat Rosyjska Izba Eksportowa.

Jest to organizacja poważna, a zasługuje na tem większą z naszej strony uwagę, że właśnie wszczęła już działalność i na tutejszym terenie. Projektuje ona na początek r. 1914 zjazd dzielnicowy w Wilnie, gdzie wziąć mają udział „przedstawiciele instytucji, organizacji, firm i osób prywatnych, zainteresowanych w kwestji eksportu krajowego Litwy i Białejrusi“. Na zjeździe tym ma być odczytany „szereg referatów w sprawach importu, eksportu i wogóle kwestjach, związek mających z rozwojem handlu wywozowego w kraju naszym i uregulowaniem stosunków handlowych z Niemcami“.

Dla przygotowania owego zjazdu i referatów

---

gdyś dobrodziejstw, wzruszają się, a w miarę stopniowania się siły wzruszenia opuszczają po jednym czy pół procentu — pozyskał poklask młodych literatów. Ten stosunek do arystokracji modny był bardzo w literaturze ówczesnej. Kraszewski w „Komedjantach“ i innych, nie mało sobie na kontrastach wyrazistych używał. Zaliczono tedy Korzeniowskiego odrazu do zwolenników demokracji.

Lecz Korzeniowski nie występował wyraźnie w imię emancypacji ludu w swoich utworach. Gdy w „Karpackich góralach“ uwydatnia, że lud tak samo czuje, jak ludzie wykształceni, że taksamo wrażliwą ma ambicję, dumę, że równie urażony w swej dumie umie się mścić, jak niegdyś rycerze w szekspirowskich dramatach—porusza się ciągle jeszcze w dziedzinie ogólno humanitarnej, nie tykając aktualnych społecznych zagadnień. W „Karpackich góralach“ i w „Cyganach“ sprowadził Korzeniowski „pierwiastki“ ludowe, świeże tworzywo, materjał etnograficzny, nie często spotykany dotąd, a bardzo popularny w owe czasy.

Pod wpływem agitacji Brodzińskiego cały szereg pisarzy młodych wstępuje do ludu, do jego obyczajów i poezji, do wierzeń i zabobonów, zstępuje do zabytków poezji słowiańskiej, serbskiej, staroruskiej, czy czeskiej (uchodzącej jeszcze za autentyczną), która utrzymywała się w ustach ludu. Brodziński Kazimierz, Józef Bohdan Zaleski, August Bielowski, Lucjan Siemieński, a dalej Zmorski, Wolski, Lenartowicz, Wasilewski i mnóstwo innych tłomaczy, przerabia lub osnuwa swą twórczość na motywach ludowych. W muzyce u Moniuszki czy Chopina również tędy wiedzie droga do twórczości rodzimej. Zrozumiałe więc jest, że Józef Ignacy Kraszewski, autor „Ulany“, „Ostapa Bondarczuka“, „Jaryny“, „Budnika“, wytknąć musiał Korzeniowskiemu, iż zasklepia się w swej działalności pisarskiej w jednej tylko warstwie, gdy gdzieindziej znaleźć można również nieprzebrane bogactwo obserwacji, spostrzeżeń ciekawych, oraz przedmiotów dla zajęcia wyobraźni i wzruszenia. Gdy jednak u Kraszewskiego, przybywającego na wsi, „powieści ludowe“ zupełnie były naturalne, Korzeniowski tylko czasem podczas wakacyjnych wczasów, gdzieś w Kosowie, czy Burkucie, z ludem bezpośrednio, mógł się stykać. Nie było to świadome, umyślne uprzedzenie, lecz raczej brak „organiczny“, wynikający z warunków życia. Potem zaś przyszły czasy „reakcji“, uwielbianie staroszlachetczyzny, władztwo Henryka

powstało w Wilnie Biuro Organizacyjne pod przewodnictwem p. Pawła Kończy.

Jak wnosić można z rozesłanych komunikatów, Biuro energicznie wzięło się do pracy i zdążyło dokoła niej zgromadzić poważne grono reprezentantów przemysłu, handlu, rolnictwa, jako też osób, żywiej interesujących się sprawami publicznemi.

Na odbytych konferencjach wstępnych nakreślono już ogólny program pierwszego zjazdu (projektowany jest bowiem jeszcze jeden zjazd w Wilnie), a nadto wyszczególniono tematy, które mają być opracowane w formie referatów. Są to wszystko kwestje żywotne, dotyczące najrealniejszych potrzeb kraju.

Oto ich szereg:

W sprawie wywozu —

1) Zboże w ziarnie, kasza, mąka etc. 2) Nasiona, makuchy, słoma, siano, otręby. (Ciekawą jest rzeczą, iż przy obecnym traktacie cena otrębów jest zaledwie o 10—15 proc. niższa od ceny zboża). 3) Spirytus, krochmal, kartofle surowe i suszone. 4) Drożdże prasowane. 5) Masło. 6) Ser i kazeina. 7) Mięso, bydło etc. 8) Konie. 9) Skóra, szerść, szczecina. 10) Drób, jaja. 11) Warzywa, owoce (surowe i przerobione), chmiel, miód. 12) Drzewo. 13) Wyroby przemysłu włościańskiego.

W sprawie dowozu —

14) Produkty kopalniane i wyroby metalowe. 15) Wytwory chemiczne. 16) Wyroby przemysłu włóknistego etc.

W kwestjach ogólnych—

17) Sprawa elewatorów. 18) Chłodnie, a także poprawa dozoru weterynaryjnego. Podjazdówki w Wilnie i Kownie. 19) Regulacja rzek. Kanał Windawski. Port w Jurborgu. 20) System paszportowy. Brak komór celnych. (Potrzeba komory celnej w Wilnie). 21) Potrzebne instytucje i stowarzyszenia: a) informujące o stanie rynku międzynarodowego; b) popierające przemysł, handel i komunikację; c) ułatwiające kredyt; d) podnoszące samopomoc społeczną; e) walki z nadmiarem pośredników i wyzyskiem syndykatów; f) rola ziemstw i tow. rolniczych; g) zbyteczne koszty eksportu; h) asekuracja. 22) Postulaty miejscowego przemysłu i handlu w stosunku do rozpatrywanego traktatu. 23) Kwestja ustalenia zjazdów i ciągłości spółpracy z Ros. Izbą Eksportową.

Ostatni ten punkt jest ogromnie ważny. Słusznie prezes Biura podkreślił w jednem ze swych przemówień, iż podejmowana obecnie akcja nigdy zakończona być nie może. Społeczeństwo, raz przystąpiwszy do badania warunków swego dobrobytu, wyrzec się już nie potrafi dalszego śledzenia zmian, które w warunkach tych następować będą. Zaspakajanie tej ciekawości stać się musi i stać się powinno konieczną potrzebą ogółu.

I tu właśnie tkwi główna sprężyna dokonywanego obecnie zwrotu. Powszechne zrozumienie ścisłego związku, jaki zachodzi między dobrobytem ludności, stanem finansowym państwa i tegoż państwa polityką tak wewnętrzną, jak i zagraniczną —zjawiskiem przemijającem być nie może. Rozbudzone w tym kierunku zainteresowanie wzrastać będzie coraz bardziej, a świadomość faktycznego stanu rzeczy wzmocni powagę opinji publicznej, tak lekceważonej dotąd przez sfery rządowe.

Lekceważenie to ma źródło nietylko w uporze i interesie biurokracji. Warunkuje je w niemniejszym stopniu ślepota czynników społecznych i doktrynerstwo ich, spowodowane nieznajomością rzeczywistych stosunków, nieorjentowaniem się w trudnościach i potrzebie godzenia społecznych interesów, a wreszcie w tem, jak trudną sztuką jest wypośrodkowywanie istotnych postulatów życia.

Rozprawy nad projektowanym traktatem ogółowi na wiele z tych kwestji otworzą niewątpliwie oczy. Oto np. bardzo charakterystyczna zjawia się różnica zdań, dzieląca rolników (zwłaszcza wielkich właścicieli ziemskich) od przemysłowców. Pierwsi zadowoleni są z tego, że istniejący traktat forytuje eksport surowca. Ułatwia to rolnikowi szybki zbyt ziarna i drzewa w ich stanie pierwotnym. Lecz ułatwienie to, „wzmacniające stan szlachecki“, jest—jak się już rzekło wyżej — poważną stratą dla innych elementów społecznych, jako też

Rzewuskiego, Ignacego Chodźki, Zygmunta Kaczkowskiego, Wincentego Pola, Władysława Syrokomli. Nic dziwnego tedy, że „ludowe“ utwory u Korzeniowskiego były czemś przygodnem tylko, epizodycznem i że normalną sferą jego zainteresowań ciągle jeszcze być musiała—szlachetczyzna.

W dość jaskrawem tedy przeciwieństwie pozostawał Korzeniowski od rówieśnej mu spółki. Stosunek jego do „cyganerji warszawskiej“, mniej namiętny co prawda, mniej zapędllwy w napaści, zbliżony był do stosunku Adolfa Nowaczyńskiego z komedji pod tym tytułem. Jak Nowaczyńki—był wyznawcą, więcej: pomocnikiem w pracy Wielopolskiego, bolał nad wypadkami, które mu w dokonaniu dzieła przeszkodziły i schorzały, zdruzgotany, zmarł na obczyźnie, w Dreźnie 17 września 1863 r.

Był obok Antoniego Sowy wyraźnym przed powstaniem głosicielem pracy organicznej. Gdy w „Fabrykancie“ jeszcze naigrawał się z manji uprzemysławiania kraju, zakładania fabryk przez ludzi nie mających najmniejszego wykształcenia fachowego i tracących daremnie pieniądze, później w „Nowych wędrówkach oryginała“, czy w „Krewnych“ z całym szacunkiem, ba nawet z zapałem propagandystycznym wyraża się o fabrykach różnego rodzaju sukien, kortów, płócien, o działalności Steinkellera, Ewansa, Frageta i innych. W bohaterze Janie Firleju wystawia jakby nowoczesnego „Pana Podstolego“, który dla przysłużenia się społeczeństwu oddał się przemysłowi, pozakładał w dobrach swych i dokupionych z czasem mnóstwo przedsiębiorstw, zajmujących znaczną liczbę rękodzielników, zaprowadził szkoły i ochronki dla dzieci małomieszczańskich i chłopskich, ustanowił w gminach szpitale, felczerów, porządkował drogi i mostki, wznosił przyzwoite gospody, starał się urządzeniem domu swego służyć za wzór sąsiadom. Jak niegdyś Krasicki w dobie dokonywania się przemian gruntownych, zasadniczych, wolał zstąpić do zajęć codziennych, powszednich Pana Podstolego i odbudować życie polskie od postaw, tak teraz Korzeniowski miał wprawdzie zrozumienie dla owych natur, miotanych namiętnościami, nerwowych, gwałtownych, zajętych zasadniczemi zagadnieniami świata, czy ludzkiego bytu, lecz on, realista, wolał ograniczać się do swojej sfery ciaśniejszej i żywemi przykładami pouczać.

W działalność moralizatorską swoją wprzęgał chłód doświadczeń lat całych, przemawiała zeń mądrość nabyta i tem także zrażać sobie musiał antiintelektu-

dla państwa. Dotąd rząd stawał po jednej lub drugiej stronie, zależnie od „wiatru“, wiejącego u góry, a często wprost od widzimisię tego lub innego ministra. Skoro jednak czynniki społeczne same w kwestję tę (jak też w inne, jej podobne) wejrzą, wypadnie postulaty sprzeczne tak koordynować, by krzywda i zysk tej i drugiej strony nie były zbyt rażące i aby uwzględnianie interesów tych czy innych żywiołów nie stawało na przeszkodzie postępowi kultury.

Z trudnościami takiemi, dotąd załatwianemi poza społeczeństwem, będzie ono teraz miało sposobność zapoznać się. A to już samo uczyni je dojrzalszem.

Tak więc zarówno ze względów pedagogicznych, jak i doraźnie praktycznych, należy zachęcać ogół nasz do wzięcia jaknajczynniejszego udziału w rozpoczętej pracy. Każdy zawód powinien tu mieć swe przedstawicielstwo, każda warstwa ludności—rzecznika i obrońcę swych interesów. Udział w zjeździe jest nader przystępny: wpisowe wynosi trzy ruble. Biuro przytem podejmuje się opracowywania referatów własnemi siłami—tak, że wszelkie rzeczowe uwagi w każdej formie przyjmować może.

Jest to sposobność rzadka, z której gromadnie skorzystać trzeba, by dać poznać rządowi, a również samym sobie uświadomić rzeczywiste bolączki stosunków naszych oraz rzeczywiste przyczyny nędzy i zacofania.

Józef Sorokowicz.

O inteligiencji polskiej.

(dokończenie).

Praca wytwórcza, ten główny motor postępu ludzkości jest obca układowi psychicznemu inteligiencji; nie czuje ona w swych żyłach tego życiotwórczego tętna. Póki ożywia ją młodość, porywają ją słowa, hasła, ideje, lecz, gdy nastaje wiek dojrzałości męskiej, równowagi, trzeźwości — jest znów oportunistyczna, tchórzliwa, zachowawcza. Umysł, zdobytą wiedzę—zużywa na wytworzenie buforów ochronnych przeciwko kataklizmom społecznym, a uczucie—skierowuje do ciasnych ram rodziny, klasy. Że jednak rzeczywistość polska i instynkt samozachowawczy narodu każą inteligiencji — w myśl tradycji — stać na straźnicy, więc ucieka się do patosu słów gromkich, choć pustych, i do spraw drobnych, które obleka w szaty wielkości, poświęcenia.

Życie—bez kwestji — nie składa się z aktów bohaterstwa. Jest szare, żmudne, ciężkie. Wymaga czynów, drobnych, niewidocznych. Ale życie wymaga planu, celowości. Życie każe patrzeć jasno w przyszłość, nie chować głowy pod skrzydła komunałów, każe zdawać sobie sprawę z zadań społeczeństwa, grożących mu niebezpieczeństw, przeciwieństw i z linji, kierunku jego rozwoju. Życie nie czeka, aż uporamy się ze sprawami, które w naszej parafji, w naszym kramiku uważamy za najpilniejsze. Wymaga ono czujności wszechstronnej, zbiorowej i działalności na wszelkich polach, wymaga wiary głębokiej w cel ostateczny i woli niezłomnej w przełamywaniu przeszkód.

I oto inteligiencja nasza nie jest zdolna do takiej pracy. Nie ma ani dostatecznych sił, ani energji, ani wiary. Czuje to i depce bezradnie na miejscu. Przeżuwa maksymy pozytywizmu, romantyzmu, egoizmu narodowego, materjalizmu — napróżno. W bezsile własnej obrzuca się wzajemnie zarzutami.

Jedni winią pokutujący romantyzm, drudzy —bezpłodny pozytywizm, trzeci dokrynerski materjalizm. Lecz nic z tego. Ze sporów tych żaden prąd ożywczy nie powstaje. Poza ożywioną dość, bo bezpośrednich potrzeb ciała tyczącą się — działalnością ekonomiczną, martwota idejowa panuje, może, większa, niż przed rokiem 1905-ym, Przynajmniej—na powierzchni.

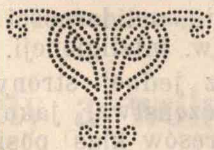
Przyczyny zjawiska tego należy się doszukiwać w załamaniu się psychiki inteligiencji polskiej. Po latach 1905 i 1906 inteligiencja, która uważała się dotąd za sól narodu, za warstwę nie tylko przodującą, lecz i kierującą, przekonała się, że tak nie jest. Przekonała się, że w społeczeństwie powstały siły nowe, które domagają się praw do życia, mają swoją linję rozwoju, które posiadają siłę żywiołową, a faktycznie są jej obce. Poczuła się odosobnioną w społeczeństwie.

I dwie leżały przed nią drogi. Jedna — iść na spotkanie tych budzących się sił ludowych, połączyć się z niemi, służyć im wiedzą; druga — oprzeć się o bliskie krwią, tradycją, potrzebami życia i posiadające siłę materjalną i wpływy — klasy posiadające. Inteligiencji polskiej — nagół—nie starczyło woli, by wybrać szczerze i otwarcie jedną z tych dróg.

Rozum i wiedza mówiły, że w ludzie przyszłość i siła, nawyknienia sybaryckie, układ psychologiczny, związki krwi, zależnosc materjalna— ciągnęły w stronę możnych, a bezradne uczucie, które miało jakoby objąć cały naród, zawisnęło— nad próżnią.

Niektórzy intelektualiści skłonni są przypuszczać, że na dezorjentację naszej inteligiencji wpływa niski stopień wykształcenia społecznego.

alistów, wyrosłych na romantyźmie. Jako typ pisarza-dbałego o publiczne dobro i dobrotliwego humanisty przypomina innego realistę w powieści, a pozytywistę w tendencjach życiowych—Bolesława Prusa. I ten również z wyrozumiałością człowieka dobrego serca przedstawiał młode i niedoświadczone „emancypantki“. I ten również powodował się doświadczoną mądrością. Jeno że zmieniły się czasy i inne już Prus obrazować musiał stosunki.



To pewne, że brak wiedzy—przy rozwiązaniu zagadnień społecznych jest przyczyną wielu błędów, szamotań się. Ale nie on tylko wpływa na bezradność inteligiencji. Mamy dowody, że ludzie, posiadający wysoki stopień wiedzy i wykształcenia społecznego, są jednak wstecznikami społecznymi, że, przeszedłszy za młodu ospę idei wywrotowych, w wieku dojrzałym stają w szeregach reakcji. Nie można tego kłaść tylko na karb zdobytej wiedzy. Ma tu raczej miejsce płytkość gleby społecznej. Płonki idei demokratycznych na glebie psychologji szlacheckiej, przerośniętej gęsto interesami klasy posiadającej, nie mogą zapuścić głęboko korzeni. I powiew życia, potrzeb, interesów, ciasno i egoistycznie, lecz trzeźwo i realnie pojętych—wywraca je i niszczy.

Mglisty socjalizm, lub buńczuczny indywidualizm, o ile nie krystalizują się w suche doktrynerstwo, lub monomanję, rozwiewają się, jak miraż, jak sen, pozostaje zwykły egoizm, ubrany w szaty rozsądku, lub wytwarza się cynizm, czyli tak rozpowszechnione u nas małpie kpiarstwo. Beztroski i lekkomyślny „Sclavus saltans" sam układa na siebie i na naród kuplety i sam je wyśpiewuje. Zda się, pragnie zadziwić świat tem, że w takt dwięku łańcuchów potrafi tańczyć skocznie i wesoło. I trudno się dziwić, że tak jest w społeczeństwie, o którem życie publiczne, miast się rozwijać, jest tłumione, spoistość—miażdżona, w którem masy wytwórcze i włościańskie i robotnicze—w życiu szerszem udziału nie biorą, w którem inteligiencja odgrywa rolę kokoszy, nawołującej pływające samopas po wodzie kaczęta, w którem pierwiastki rodzinne i rodowe są jeszcze silniejsze od narodowych.

Juljan Ochorowicz w swej pracy „Pierwiastki charakteru narodowego" pisze, że właściwością słowian centralnych była wytworzona przez warunki bytowania silna łączność rodzinna i rodowa, a słaba—narodowa.

Dziś, po wiekach istnienia, po tysiącoletnim blisko okresie państwowości własnej, po stuletniej z górą wegietacji—widzimy znów poczucie zbiorowości osłabione. Społeczeństwo, zagrożone w swym istnieniu, zamknęło się w rodzinie. Uderza to zwłaszcza w sferach inteligienckich. Tworzenie rodziny—to przełom społeczny i polityczny w duszy inteligienta. Zjawiskiem aż nazbyt częstem u nas jest, że człowiek, mający, zda się, wyrobiony światopogląd, przekonania społeczne i polityczne, staje się—po utworzeniu rodziny—stopniowo coraz większym oportunistą, egoistą i filistrem. I nie wpływają na tę zmianę tylko obowiązki i kłopoty, związane z utrzymaniem rodziny. Nie. Ma tu miejsce jakieś dziwne przekonanie, że z chwilą założenia ogniska domowego—obowiązki społeczne przelane zostają niejako na rodzinę, jako komórkę.

Żeromski w swych „Ludziach Bezdomnych" przeprowadza myśl, że człowiek idei nie powinien tworzyć rodziny. Tego rodzaju przeciwstawianie społeczeństwa rodzinie, całości—jej części jest stanowczo nienormalne, fałszywe.

Nie całopalenie ofiar indywidualnych na ołtarzu społecznych, lecz uspołecznienie rodziny winno być naszym celem.

Bez kwestji, odosobnienie rodziny wytworzyły u nas warunki zewnętrzne.

Starano się stargać wszelkie więzy społeczne, zatamować życie publiczne. Odruchem przeto zupełnie naturalnym społeczeństwo zamykało się w rodzinie, jak w twierdzy, by przetrwać nawałnicę, zachować odrębność. Pod tym względem rodzina oddała mu wielkie usługi. Czy jednak nie nadużyto tej tarczy? Czy nie uczyniono z niej schroniska dla tchórzów, egoistów, oportunistów? Zdaje się, że tak. To też czas byłby twierdzę tę przewietrzyć, tem bardziej, że i samo życie poczyniło w niej liczne rysy i skazy.

Rozłam między młodem i starszem pokoleniami—to rezultat zamknięcia się szczelnego rodziny inteligienckiej i odgrodzenia od życia. Młodzież, która z niej wyszła, którą owiał podmuch szerszego życia, nie mogła i nie może pogodzić się ze stęchlizną domu rodzinnego, choćby ten przechowywał najdroższe pamiątki, więc stąpa luzem, więc błąka się, więc błądzi.

Rozłam ten idejowy — to przecież rysa najmniejsza. Na tle zmagania się idejowego, na tle przeciwieństw przekonaniowych—może wytworzyć się jakiś typ nowy spółżycia, może lepszy, wyższy. Gorzej, że chaos rodzinny przetwarza się w zepsucie, w zgniliznę, że atmosfera ta zamienia się w bagienko, że paczą się charaktery, ta główna podwalina społeczeństw.

Pod płaszczykiem pruderji fałszywej i obłudnej rozwinął się i wybujał erotyzm płciowy.

Stosunek mężczyzny do kobiety—to kwestja wieczna, do której ludzkość wciąż powraca. Różne tylko bywają te powroty i nawroty.

Spółczesny zwrot do tej kwestji w naszej belletrystyce i w sferach inteligienckich—to zwrot znudzonych i pustych rozpustników, głodnych wciąż nowych wrażeń i lekkomyślnych samców i samic, nic więcej. Głębszego i szerszego ujęcia sprawy. ogólnoludzkiego, a nie płciowego tylko stanowiska, choćby takiego, na jakiem stać pragnął Przybyszewski—dopatrzeć się trudno.

Oprócz tych symptomów rozkładu, rozwinął się na tle odosobnienia rodziny jej zamknięcia—egoizm społeczny, przybierający często krzyczące szaty taniego indywidualizmu.

Renan dał oryginalne, lecz trafne określenie narodowości, twierdząc, że stanowi ją wielka solidarność, oparta na świadomości ofiar świętych, poniesionych w przeszłości, i gotowości do nowych ofiar w przyszłości. Ma się rozumieć, myślał on o narodzie wolnym, który ofiar świętych w teraźniejszości nie ponosi.

Jakżeż wygląda ta wielka solidarność u nas, zwłaszcza u tej części społeczeństwa, która, jak inteligiencja, uważa się za kwiat i sól narodu? Otóż istnieje śród inteligiencji naogół tylko solidarność oparta na świadomości ofiar świętych, poniesionych w przeszłości, a więc—ofiar cudzych.

Na tem pojęciu solidarności budowana jest cała idejologja t. zw. inteligiencji.

Stąd płynie—z jednej strony—żądanie solidarności od społeczeństwa, jako przystosowania się całości do interesów klas posiadających, najbliżej związanych z przeszłością; stąd wysiłek kultywowania wszystkiego, co związane z przeszłością, a—z drugiej strony—zapoznawanie lub spychanie na plan drugi zadań twórczych, związanych bezpośrednio z wymaganiami i potrzebami doby obecnej, doby pracy i ludzi pracy wytwórczej. Praca dla kultury, istnienie narodu — bez udziału

mas tego narodu, mas najliczniejszych. świadomych i obywatelskich—jest niemożliwa.

Wszystkie zagadnienia dnia dzisiejszego mogą i muszą być rozwiązane przy spółpracy żywej i czynnej robotnika i włościanina polskiego.

Inteligiencja polska czuje to, rozumie nawet, spójni tej pragnie, lecz się jej... boi. Boi wprost fizjologicznie. Dla tych ludzi z krwi, tradycji, nawyknień—obcych całkowicie pracy fizycznej, wytwórczej,—jest ona czemś groźnem, złowrogiem, czemś, co tchnie wprawdzie siłą pociągającą, lecz mrozi determinizmem, niezłomną, twardą konsekwencją, która wymaga, by za słowem szedł czyn.

Słowo dla spółczesnej inteligiencji stało się bożyszczem. Jest giętkie, jest lotne, jest posłuszne. Można z niem i za pomocą niego dokonywać najtrudniejszych piruetów i łamańców, zwalczać przeszkody, rozwiązywać zagadni ia. Można ze słów sterty tworzyć szańce i zasieki, twierdze i świątynie. Można ze słowa, wyrazu i spółczynnika życia, uczynić potęgę samą w sobie.

L. Krzywicki w swej książce „W otchłani“ pisze, że „wszechwładza drukowanego słowa jest tylko fazą przejściową, w rozwoju myśli ludzkiej“. I dziś już możemy obserwować pierwiastki kryzysu tego panowania.

Potęga sztuczna słowa stanęła między inteligientem i ludem pracującym. Stała się ona narkotykiem, który jedynie jest w stanie podniecić inteligiencję,—pierzyną, na której może wygodnie spocząć, i—mydłem, które wypiera wszelkie plamy zwątpień, zgrzytów i wyrzutów elastycznego „ja“.

Mogą gromy i pioruny walić w społeczeństwo, może ziemia z pod nóg jego się usuwać, a inteligient, jak Noe w arce,—w chmurce słów unosić się będzie nad—wodami, bo... on nie może obniżyć „lotu“, bo on... nie może zmniejszyć swych potrzeb „kulturalnych“.

Być może, że inaczej — być nie może. Ale w takim razie stwierdzić i uświadomić sobie trzeba, że t. zw. inteligiencja dzisiejsza—to tylko piana na powierzchni społeczeństwa, a nie jego rdzeń, treść najistotniejsza, że w zmaganiach się narodu, jego ciężkiej drodze do przyszłości,—udział tej inteligiencji sprowadza się—co najwyżej—do roli trębaczów i doboszów.

Obowiązki kierowników i szermierzy nawy narodowej muszą przejść i przechodzą powoli w inne ręce.

Światli robotnicy i włościanie, nauczyciele ludowi oraz garść iuteligiencji zawodowej, mającej zrozumienie procesu dziejowego i wolę czynu,—oto zastępy, które są w stanie tchnąć w społeczeństwo niezniszczalny zasob wiary, energji i siły.

Wi—ski.

Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji.

II.

Za pierwszą próbę stworzenia w Galicji serji wykładów o poziomie uniwersyteckim, odpowiadadających naszym pojęciom o „wolnej szkole“, uważać należy wyższe kursa wakacyjne w Zakopanem, założone przez niezapomnianego Luśnię (K. Krauza). Zakopiańskie kursa wakacyjne trwały przez 2 lata: 1904 i 1905, a sławą ich rozeszła się po wszystkich trzech dzielnicach Polski.

Wykładali na nich: Krauz, Krzywicki, Feldman, Stanisław Brzozowski, stojący wtedy u szczytu młodzieży i ubóstwiany przez młodzież, i wielu innych. Atmosfera, w jakiej żyło wtedy społeczeństwo w Królestwie, sprzyjała jaknajbardziej powodzeniu kursów wakacyjnych. Życie szło szybkiem tempem i dawało do rozwiązania coraz to inne problematy. Przestało już wystarczać ogólnikowe pojęcie „postępu“ i różniczkowało się ono z każdym rokiem i miesiącem coraz bardziej i pobudzało młode pokolenie do intensywnej pracy myślowej. Tę pracę ułatwiały kursa, znakomicie ułożone i prowadzone. One to dały grunt teoretyczny niejednemu późniejszemu działaczowi, który w Warszawie (jeśli pominiemy wykłady Mahrburga) i wogóle w zaborze rosyjskim nie miał możności zdobycia teoretycznego wykształcenia, poza smutnej pamięci nauką oficjalną, zwłaszcza zaś w dziedzinie nauk społeczno-politycznych. Uczyli się młodzi ludzie w Zakopanem wielu rzeczy, sobie dotąd nieznanych, a ucząc wyrabiali się, i to w pośpiesznem tempie, gdyż chwila odwoływała jednego po drugim od nauki do prakty znej działalności.

Wykłady z kopiańskie, choć na galicyjskim prowadzone terenie, nie mogą przecież być uważane za „remedjum“ przeciw galicyjskiemu obskurantyzmowi i galicyjskim tendencjom politycznym, głoszonym „ex cathedra“ pod pozorem czystej nauki, już chociażby z tego względu, że obliczone były przeważnie nie na miejscowych słuchaczów, lecz na gości z poza kordonu, głodnych atmosfery wolnej nauki, o której tam, w miejscach swego zamieszkania, marzyć nawet nie mogli. Ta właśnie młodzież przedewszystkiem na wykłady się stawiła.

Rok 1906 był drugim i ostatnim rokiem wykładów zakopiańskich. Zabrakło młodzieży: nie było dla kogo prowadzić kursów. W rewolucji, jak na wojnie: tysiące mlodzieży stracone są na czas długi dla pokojowej pracy kulturalnej i społecznej. Przyszła wreszcie kolej na podmuchy reakcji i „postępowe“ wykłady wyszły z mody.

Ale życie szło dalej swoim torem i rozdźwięk pomiędzy potrzebami duchowemi młodego pokolenia, a oficjalną galicyjską nauką, zmonopolizowaną przez stańczyków w Krakowie, a narodowych demokratów we Lwowie, wzrastał coraz bardziej. Do silniejszego uwydatnienia tego rozdźwięku przyczyniła się niewątpliwie obecność w uniwersytetach galicyjskich licznej falangi młodzieży z Królestwa i z Litwy, bądź to ocalałej z porewolucyjnego pogromu, bądź to świeższej formacji, lecz wychowanej w atmosferze przeżytych ważnych wypadków. Jednak i niezależnie od tego napływu gości z za kordonu poczucie, że wiedza uniwersytecka wszystkich potrzeb nie może zaspokoić, zaczęło coraz bardziej przenikać do świadomości młodzieży galicyjskiej, która przecież nie cała z kandydatów do c.-k. posad się składa. Świadczą o tem etapy walki uniwersyteckiej: sprawa Warhmunda, sprawa Zimmermana. Podczas afery Wahrmunda młodzież domagała się wolności nauczania dla profesorów, i wielu z pośród

tych ostatnich, doznając szykan ze strony stańczyków i kleru, po cichu wyrażało jej za to swą wdzięczność. Podczas zaś burzliwych zajść, związanych z nominacją ks. Zimmermanna, który był politycznym agitatorem, lecz nie człowiekiem nauki, młodzież wyraźnie zaznaczała, o co jej chodzi. Protestowała mianowicie przeciw kreowaniu katedry nieistniejących nauk „chrześcijańsko-społecznych", i podkreślała z naciskiem, że tworzenie podobnych katedr, z powierzaniem ich teologom, tembardziej na napiętnowanie zasłużyć musi, że w uniwersytecie brak zupełnie katedry socjologji. O tę katedrę dotąd młodzież z ujemnym skutkiem się domaga.

W miarę wzrastania fermentu śród młodzieży na tle niezaspokojenia jej potrzeb naukowych musiały znów, po kilkoletniej przerwie, wskrzesnąć dążenia do stworzenia wolnej szkoły. I oto w roku 1911 powstają równocześnie „Szkoła nauk społeczno-politycznych", oraz „Polska szkoła nauk politycznych", czyli t. zw. szkoła Rostworowskiego.

Na nazwę wolnej szkoły we właściwem tego słowa znaczeniu zasługuje tylko pierwsza z tych szkół, gnyż druga, t. j. szkoła Rostworowskiego, nie ma bynajmniej na celu oficjalnej nauce wiedzę niezależną przeciwstawiać. Jej powstanie stało się niezbędnem tylko dzięki biurokratycznej rutynie uniwersytetów austrjackich, przy której stworzenie nowej katedry wymaga niezliczonych i długo trwających zachodów, a często napotyka ze strony wiedeńskiego ministerjum oświaty na nieprzezwyciężone trudności. Często w uniwersytecie Jagiellońskim potrzeba uciekać się do dziwacznych wybiegów, aby pogodzić istotne potrzeby polskiej wszechnicy z wymaganiami c. k. rządu, który, raz sankcjonowawszy pewne katedry, nie jest skłonnym do zezwolenia na reformy. Aby zaspokoić żądania rządu co do wykładów historji Austrji, wykłady o rewolucji francuskiej publikowane są pod następującym tytułem: „Austrja i Francja w latach 1762—1799" i t. d. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach nawet sfery, przejęte duchem państwowości austrjackiej, ale odczuwające potrzebę rozszerzenia ram wykładów, decydują się na otwarcie nowej szkoły, od władz centralnych niezależnej. Jednocześnie osiąga się i przytem i cel drugi, paraliżując zabiegi do założenia szkoły, prowadzonej w duchu szczerże postępowym.

Z tych to powodów powstała szkoła Rostworowskiego. Wykłada w niej wielu profesorów i docentów uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz nieznaczna liczba młodych sił, wyłącznie stańczycy i narodowi demokraci. W szkole wykładane są różne przedmioty z dziedziny nauk społeczno-politycznych, na których wprowadzenie do uniwersytetu nie tak łatwo byłoby wyjednać zezwolenie władz centralnych, nietyle może ze względów zasadniczych, ile przez rutynę biurokratyczną.

Zupełnie odmienny charakter posiada „Szkoła nauk społeczno - politycznych", założona w roku 1911 przez żywioły postępowe. Wszystkie kwestje z dziedziny nauk społecznych i politycznych znajdują w niej oświetlenie, zgodne z poglądem naukowym docenta, który nie jest zmuszony do liczenia się z żadnemi innemi względami, prócz naukowych, co w uniwersytetach rządowych osiągnąć się w żaden sposób nie daje. Program ułożony jest w ten sposób, aby dać możność słuchaczom zapoznać się z całokształtem teorji i metod, panujących w naukach społecznych i politycznych. Zarazem szkoła stara się osiegnąć jeszcze inny cel, a mianowicie daje możność słuchaczom zaznajomienia się ze specjalnie mogącemi ich zainteresować kwestjami i zagadnieniami. Do takich zagadnień należą przedewszyskiem te, które dają możność słuchaczowi zapoznać się z Polską spółczesną, jak również z życiem politycznem i gospodarczem dawnej Polski. Dość przejrzeć program Szkoły nauk społeczno-politycznych, a program uniwersytetów, aby dojść do przekonania, że program Szkoły jest najbogatszy i najbardziej odpowiadający wymaganiom życia.

Szkoła nauk społeczno-politycznych nie wydaje swym słuchaczom dyplomów, jak to czyni szkoła Rostworowskiego, nie pobiera subsydjów od żadnej instytucji, nie rozporządza pomocniczym aparatem naukowym, a jednak spełnia swoje zadanie, w miarę sił i środków, dobrze. Już pierwszy rok jej istnienia, który miał być rokiem próby, przekonał założycieli, że nie na darmo podjęli swą pracę.

Niestety, okoliczności zewnętrzne przeszkodziły normalnemu rozwojowi szkoły. Atmosfera roku szkolnego 1912—1913 nie sprzyjała wykładom. Oczekiwano wybuchu wojny. Kraków, twierdza pograniczna, był widownią przygotowań przedwojennych, które podtrzymywały nastrój nerwowy i utrudniały, jeśli nie uniemożliwiały zupełnie, atmosferę naukową.

Frekwencja w Szkole nauk społeczno-politycznych zaczęła upadać i rok ostatni istnienia Szkoły pod względem materjalnym bynajmniej do świetnych zaliczyć się nie da. Spodziewać się należy, że obecnie, po oddaleniu się grozy wojennej, gdy szkoła Szkoła nauk społeczno - politycznych otworzy swe podwoje, znowu w niej zaroi się od słuchaczów, wyznających zasadę bezwzględnej swobody nauczania.

Że przewidywanie to nie jest oparte na złudzeniach, świadczy o tem przedsięwzięta w ciągu lata ubiegłego próba wznowienia kursów wakacyjnych w Zakopanem, cieszących się ongi zasłużoną sławą. Tym razem kursa otwarto pod egidą Ogniska nauczycielskiego, znanego ze swej ruchliwości. Eksperyment powiódł się: sale wykładowe były przepełnione, i powodzenie kursów wakacyjnych na przyszłe lata uważać można za zapewnione.

Gdyby miało być inaczej. smutne świadectwo musiałby o nas wydać bezstronny sędzia. Krytykować stosunki galicyjskie, w szczególności zaś szkolnictwo galicyjskie, średnie, niższe i wyższe, wszyscy umiemy. Weszło nawet w modę przemawianie pogardliwym tonem, gdy się rozprawia o tej „Golicji i Głodomorji" z powieści Lama. Nie każdy jednak posiada dość dobrej woli i energji, aby starać się złemu zaradzić. Nie ograniczać się do roli prokuratora stosunków galicyjskich, lecz walczyć z brakami, przeciwstawiając rutynie oficjalnego szkolnictwa wolne szkoły i te szkoły wszelkiemi siłami popierać—oto najlepszy sposób zaradzeniu złemu.

J. Krz.

„Militans tactics“.

Duży ruch polemiczny wywołała na Zachodzie książka pani Schirmacher pod tyt. *„Sufrażetki“*, przełożona na język polski przez Melanję Bersonową. Praca ta, oparta na statystycznych danych i niezbitych dowodach z dziedziny obyczajów i prawodawstwa angielskiego, rzuca wymowne światło na zaciemnianą i gmatwaną z umysłu sprawę wyzwoleńczego ruchu w Anglji.

„Fakt, że kobiety, które dotąd w milczeniu znosiły krzywdy, i to kobiety kraju przodującego w kulturze, chwyciły się przemocy, żeby uzyskać należne prawa—czytamy w przedmowie—jest bezprzykładnym w historji świata. Stanowi to taki przełom w dawnej tradycji, że spółcześni zrozumieć go nie mogą, a ogół przeciętny oburza się... Porozumienie jest tu konieczne“.

— Któż to są właściwie te „dzikie kobiety“, te „brutalne histeryczki“, te „wyjące derwisze??...“ —czytamy dalej.

„Sub i *frago*“, znaczy dosłownie *„łamię“*—słowo sufrażetka czy sufrażystka oznacza więc żywioł łamiący. Wynalazca tego wyrażenia wiedziony instynktem, trafił w sedno rzeczy, aczkolwiek nazwa ta w pogardliwem lub humorystycznem znaczeniu jest przeważnie rozumiana:

— Sufrażetki nie zdołają przecież niczego zburzyć—powiadano ogólnie, — inna rzecz gdyby miały za sobą siłę męskich organizacji zawodowych, pięści proletarjatu pozbawionego pracy, moc uzbrojonego powstania, wtedy trzebaby się z niemi liczyć—ale tak? Są to tylko bezsilne kobiety... — W ten sposób powstała wzgardliwa nazwa „sufrażetki“.

— Ale pocóż wogóle używać siły?—argumentowano jeszcze. — Czy nie dałoby się uzyskać w W. Brytanji praw politycznych dla kobiet drogą pokojową?

— Nie, to niemożliwe — odpowiadają świadomi sprawy. — Od r. 1866 pracuje angielski ruch kobiecy za pomocą środków legalnych i to spowodowało zupełny zastój sprawy, stanęła na martwym punkcie. Od r. 1905 *przełamano granice legalności*, nie widząc innej drogi wyjścia—i oto w jednej chwili sufrażetki okryły się sławą wszechświatową, bo to była „sensacja“, zaś prasa jest „sensacji“ żądna!

A teraz kilka cyfr: Anglja liczy $18^1/_2$ miljona kobiet, w tem $4^1/_2$ miljona pracuje zawodowo poza domem, w większej części i po zamążpójściu. Słabsze, mniej odporne wpadają w szpony prostytucji lub giną z głodu... Angielskie prawo *nie nakłada na mężczyznę obowiązku utrzymywania żony. Kobieta nie ma prawa do spadku.* Rozporządzać może też tylko własnym zarobkiem poza domowym, w którym jednak upośledzoną jest i ograniczoną do ostatecznych granic.

Wykluczone ze wszystkich wyższych urzędów państwowych (prócz godności królowej), na średnich i niższych stanowiskach jest ich zaledwie 50.000. Mimo iż jakość pracy jest równorzędna, płace kobiet o wiele są niższe. Państwowe *Board of Education* (ministerjum oświaty) płaci inspektorom szkolnym 800—1000 funtów sterlingów, inspektorkom 300—500. W urzędach pocztowych i telegraficznych, mężczyźni pobierają do 80-ciu szyl. tygodniowo, kobiety do 30-tu. Stali urzędnicy biurowi otrzymują 250 funtów rocznie, urzędniczki 100 funtów...

Jest przeszło sto tysięcy nauczycielek rządowych, które przy zupełnie równych kwalifikacjach, pobierają dwie trzecie płacy mężczyzn. Podobnie rząd wyzyskuje w straszny sposób robotnice pracujące w dziale konfekcji dla wojska i marynarki, podczas gdy mężczyznom płaci wedle taryfy przyjętej przez związki zawodowe.

Pijaństwo jest znacznie więcej rozpowszechnione między mężczyznami (141.000 na 33 000 kobiet rocznie), a każdy pijak jest źródłem niebezpieczeństwa dla kobiet i dzieci. Nieobyczajne zamachy na 10-cioletnie dziewczynki są karane kilkodniowem więzieniem. Drobna kradzież jest znacznie ostrzej karana. Jeśli mąż okaleczy niebezpiecznie żonę, władza nie karze go, lecz wzywa do spokoju. Za dzieciobójstwo pociąganą jest do odpowiedzialności *li tylko* matka, skazywana dawniej na śmierć, teraz na dożywotnie więzienie. Za zaczepianie na ulicy pociągane są do odpowiedzialności jedynie kobiety, nie zaś ludzie trudniący się tym wstrętnym procederem i wciągający dziewczęta w swe sieci. *„Protest“* opatrzony podpisami tysiąca kobiet przeciw handlowi żywym towarem, przedłożony parlamentowi, drzemie od lat kilku w tece ministerjalnej i niezostał dotąd odczytany, dla braku czasu... Jeśli zaś *reglamentacja* została nareszcie w Anglji zniesiona, to jedynie dzięki bohaterskiej całożyciowej walce zasłużonej Józefiny Butler. *)

Wszędzie, w każde zagadnienie życia wnika przedawnione, na wyzysku i niesprawiedliwości oparte prawo ustanowione przez mężczyzn. W małżeństwie, w kwestji wychowania, mieszkania, płacy, obyczajności i nieobyczajności — urodzenia, śmierci, życia, spadku—słowem *doli i niedoli.* Kobieta nie bierze nigdy udziału w stanowieniu o warunkach swego życia. Mężczyzna nie zna, czy znać nie chce jej krzywdy i udręki — *dlatego kobieta potrzebuje prawa wyborczego.* Bez prawa wyborczego są dziś wszystkie żądania kobiety bezowocne. Gdy kobieta otrzyma prawo wyborcze, wywalczy sprawiedliwe prawo małżeńskie, sprawiedliwe ustawy zawodowe i społeczne.

To jest myślą przewodnią ruchu sufrażetek, walczących za miljony sióstr upośledzonych.

Anti-sufrażyści czyli przeciwnicy prawa wyborczego kobiet, rekrutują się przeważnie z warstw bogatych, należą do nich i konserwatywne kobiety. Właściwe jednak *credo* przeciwników pochodzi od mężczyzn, hołdujących dawnemu ideałowi kobiety z połowy XIX-go stulecia: biernej, oddającej się, pędzącej *żywot kwiatowy.* — „Kobiety posiadają uczucie i wdzięk, a to nie prowadzi do zdrowego sądu w polityce... właściwości fizyczne i fizjologiczne przeszkadzałyby im często w obowiązkach publicznych“ — powiadają, zapominają — iż mimo tych właściwości, większość kobiet musi się przez życie ciężko się przebijać, pracując od wczesnego dzieciństwa do późnej starości nie lżej od mężczyzn, a bez żadnych prerogatyw tymże przysługujących. Anti - sufrażystki nie mają pojęcia o warunkach bytu swoich sióstr, losu kobiety pracującej nie znają, lub też wyznają zasadę iż niedola kobiety, jej nieszczęście i nędza

*) Patrz: „Mój pochód krzyżowy“. J. Butler, z przedmową S. Posnera.

jest czemś przyrodzonem — zmienić się nie da. Nie dążą też wcale do uzyskania bezpośredniego wpływu politycznego, lecz powtarzają za mężczyznami, że kobieta może o wiele więcej uzyskać pośrednio za pomocą „kobiecości“. Na to słusznie odpowiadają sufrażystki, iż te bierne poddane kobiety, uznające niewolnictwo swe duchowe i zależność fizyczną za prawo natury, kochające swoje kajdany, dążą jednak ciągle do podstępnego opanowania meżczyzny „żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce (the iron hand in the velvet glove“).

W ten sposób wytworzyła się cicha walka płci na wzajemnem oszukiwaniu się i tajemnej pogardzie oparta. Koleżeństwo i szacunek obu płci istnieje tylko u sufrażystek, podzielone przez ich coraz liczniejszych zwolenników. Bojownicy o prawa dla kobiet i dla ludzi w ogóle, oczekują z utęsknieniem chwili, w której kultura wzniesie się na takie wyżyny, że wyzysk w zawodzie, w małżeństwie, w domu i urzędach stanie się niemożliwością, a reglamentacja prostytucji i handel białemi niewolnicami należeć będą do czarnej karty przeszłości.

Z pośród angielskich mężów z końca ubiegłego wieku, zwolennikami prawa wyborczego kobiet byli: Thackeray, Stuart Mill, Disraeli, Balfours, Jacob Bright. Do przyjaciół ostatniej doby należą między innymi: lord Robert Cecil, konserwatysta; liberalny dziennikarz Brailsford, autor Sidney Low; Mr. Tim Healy irlandzki poseł, obrońca więzionych przewódczyń ruchu. Ten ostatni pyta z naiwną prostotą. — Czego się mogą obawiać mężczyźni, jeśli dadzą kobietom prawo wyborcze?—Na to Mr. Lavrance Housman artysta-krytyk, człowiek wielkiego umysłu, tak się otwarcie wypowiada:

„Prawo wyborcze wybawia kobietę od bezgranicznego wyzysku, kładzie granicę nikczemnej przewadze męskiego elementu, uniemożliwia niewolnictwo płciowe kobiety, rozpowszechnione dziś we wszystkich państwach kulturalnych. Prawo wyborcze wzbudzi w kobiecie większą niezależność, odporność, ułatwi jej uczciwą i po ludzku wynagradzaną pracę. Nie będzie na bruku wielkich miast tyle „słodkich dziewcząt“, które można posiąść za ciepłą wieczerzę lub za bilet teatralny. Obszar myśliwski, na którym polują panowie o podwójnej moralności zacieśni się znacznie. *Temu należy zapobiec, w tem jedno ze źródeł oporu*“.

A oto wyjątek z przemówienia Izraela Zangwill: „Nigdy nie ceniłem tak wysoko prawa ujmowania się za wami, jak dziś kiedy stoicie przed sądami karnemi, pogardzane i unikane przez ludzi. Jestto smutny paradoks, że droga do dobrego musi prowadzić przez zło. Lecz prawo buntu jest tak samo podstawowem prawem ludzkiem — jak prawo ucisku jest podstawowem publicznem prawem. Przeciwnicy są godni siebie: duch przemocy przeciw przemocy ducha...

„Słyszeliśmy dużo o uszkodzeniu własności, lecz istnieje duchowa własność o wiele cenniejsza niż szyby wystawowe, jest nią poszanowanie prawa i porządku... Skończyliśmy z jednostronnym światem męskim rasy „wczorajszych“, podczas gdy my należymy do „jutrzejszych“ i kierujemy nasze kroki w przyszłość, która powoła do współpracy mężczyzn i kobiety, *ażeby się stało jaśniej na świecie*“...

Rząd nie prześladuje mężczyzn domagających się praw przemocą, lecz spełnia ich żądania. Dowodem tego są ostatnie strajki kolejarzy i górników, ktore kosztowały kraj miljony i gdzie postradało wielu ludzi życie. A jednak kary wymierzone strajkującym były znacznie lżejsze od kar stosowanych względem sufrażetek. Mężczyźni nie zdobyli nigdy praw politycznych bez użycia przemocy—dowodem tego: Magna Charta, Cromvell, Rewolucja francuska, oswobodzenie niewolników w Ameryce, Młodo-turecki i Młodo-chiński ruch, itp.

Utarty jest frazes, że przemoc nie jest właściwą bronią kobiety—zapewne, lecz czy właściwem jest stosowanie do niej podwójnej miary od wieków?? Sufrażetki muszą iść tą drogą, bo poznały że nie wystarcza domagać się sprawiedliwości, lecz że *trzeba mieć siłę, choćby przemocą, sprawiedliwość uczynić prawem*. Są sprawy w świecie zewnętrznym i duchowym, w których logika, rozsądek, prośba nie pomaga—tu staje się przemoc konieczna. Walka sufrażetek jest taką konsenkwentną koniecznością, bo bunt jest jedynym zrozumiałym argumentem polityków... Ludzie praw pozbawieni muszą być buntownikami...

Ruch sufrażetek jest ruchem uciśnionych, upośledzonych kobiet angielskich, ze wszystkich warstw narodu. Wiedzą one dobrze czego chcą i posiadają wyrobienie społeczne, którego niema dziś jeszcze w żadnym kraju. Dlatego większość spółczesnych nie rozumie ich. Na zapytanie czego żąda, do czego zmierza, odpowiada każda z dumną godnością; „*bezprawie usunąć, wnieść sprawiedliwość*“ (redress grievances, bring justice). I dlatego weszły na cierniową drogę „militans tactics.. “

Może powyższe myśli podane w streszczeniu z wyczerpującej pracy poważnej autorki niemieckiej, rzucą światło nowe na ową bolesną, dotąd nie nie rozstrzygniętą kwestję społeczną. Może bezstronniejszem okiem spojrzymy teraz na owe szeregi wykluczonych z pod prawa kobiet, walczących bohatersko o „*kulturę etyczną*“ w stosunku do nich prawodawstwa i społeczeństwa...

Sławomir.

Na marginesie jubileuszu.

Dnia 19-go października 1813 — pamiętnego—roku padły na brzegu wrogiej jesiennem wezbraniem Elstery, z ust świeżo mianowanego przez Napoleona „marszałkiem Francji“ — ks. Józefa Poniatowskiego te bohaterskie słowa: „il faut mourir en brave“.

Dnia 18-go października na błoniach Krakowskich, u stóp kopca, usypanego rękami polskiemi, dla uczczenia pamięci życia i zgonu Naczelnika, a przekształconego wolą rządu na fort austrjacki, — odbywały wojska austrjackie rewję w celu... uczczenia... zwycięstwa pod Lipskiem. U stóp tegoż kopca na tych że samych błoniach Krakowskich, nazajutrz zebrały się połączone we wspólnym obchodzie szeregi polskiego sokolstwa, drużyn i organizacji strzeleckich i skautów w celu uczczenia... smutnej rocznicy śmierci wiernego żołnierza Napoleońskiego. Dnia 18-go października odbyła się parada wojskowa i msza polowa, ku uczczeniu zwycięstwa; 19-go—pochód wielotysięcz-

ny ludu na Wawel i — na błoniach — również... msza polowa, smutna, ku uczczeniu bolesnych wspomnień, którym na imię śmierć i porażka. Dnia 16-go rada miasta Krakowa—po dłuższej dyskusji—sankcjonuje zarządzenie prezydjum miasta, oddające błonia miejskie dn. 18-go paźdz. do rozporządzenia władzom wojskowym, bierze tem samem udział w c. k. austrjackiej manifestacji. Taż sama Rada, angażuje się w uroczystości zgoła odmiennej — więcej: bo organizuje dzień 19-go października i wieniec składa poświęcony „bohaterskiej pamięci księcia Józefa Poniatowskiego“, tego który walczył przeciwko Austrji dn. 18 i 19 nad brzegami Pleissy, osłaniając odwrót armji Napoleona.

Któż jest więc ten „książe Józef“, który staje się przyczyną tej dezorjentacji w Krakowie — i czy tylko w Krakowie? Któż jest ten, co się urodził na obczyźnie, ein wiener Kind—jak go nazywa jego biograf—z matki czeszki, krew włoską nawet mający w swych żyłach, mający w swoim rodzie króla Stanisława Augusta i biskupa Michała Poniatowskiego, który o mały włos się nie przyczynił w 100 lat po swej śmierci do tragi-komicznej zmiany ministerjum w rządzie municypalnym miasta Krakowa i który przed polakami „austrjackiego“ i nie — austrjackiego „wyznania“ staje jako wspomnienie laurów, czy klęski? momento bólu, czy wesela?.. Lipska? Elstery? Kim że był wreszcie i czem został człowiek, który staje się przyczyną tej dezorjentacji w Polsce? Czem jest ten „gienerałowicz“ austrjacki, syn Andzeja Poniatowskiego, feldcechmistrza austrjackiego, który w r. 1771 walczy przeciwko Polsce, wychowanek francuza Hennequina, niemca Königsfelda i anglika Plunketta—późniejszy „książe Pepi“, który rozpocząwszy od r. 1789 zadziwia prostolinijnem bohaterstwem swojego życia, poświęconego ojczyźnie i „tragicznem pięknem“ swojego zgonu?

Odpowiedź na to daje—stara się dać — w jubileuszowem wydaniu swego dzieła prof. Szymon Askenazy:

„Książe Józef, jako bohater narodowy—mówi o nim ten najlepszy jego biograf—zajmuje stanowisko odrębne, sobie tylko właściwe. Możnaby je poniekąd tak krótko wyrazić: iż w uczuciu, żywionem dla niego przez Polskę, obok czci, przedewszystkiem góruje miłujące upodobanie, Inna spółczesna mu postać przewodnia, stary Naczelnik Najwyższy Kościuszko, obok głębokiego przywiązania przedewszystkiem na cześć niepodzielną rodaków zasłużył sobie surową cnotą. Wiecznie młody Wódz Naczelny, Poniatowski, innego zgoła zakroju człowiek, kochany jest od swoich i za cnotę i za wady, kochany za to, iż w jednych a nawet w drugich był świetnem wcieleniem charakteru narodowego, kochany za wysileń swych i zgonu piękno tragiczne niby zogniskowanie w jego osobie odbicie tragicznych losów zbiorowości“.

Czem jednak wytłumaczyć rozbieżność pomiędzy postacią „Księcia Józefa“ a otoczeniem — pomiędzy „dziełem“ jego a wpływami wychowawców i krewnych najbliższych. Skąd, prawem jakiego dziedzictwa narodził się ten, który twierdził przed śmiercią, że honor polaków Bóg w jego ręce złożył?

* * *

„Staranie wszelkim sposobem ma być czynione, aby wojna mogła być oddalona. A jeśliby nie mogła być oddalona, co czynić?“ — zapytywał swego czasu przeciwnik wojny Andrzej Frycz Modrzewski. „Zgnoili swoją ziemię krwią pracowicie. Buńczuczny ich sen wydawał im się coraz nieśmiertelniejszy i głębszy i coraz czarowniejszy, a byli, jak ów, który śpi i nie wie, że ktoś z boku coraz krytyczniej i niechętniej na niego patrzy. Tylko gienjuszów karmić można systematycznie: gorczycą, tylko ofiarników: ołowiem, bez ujmy dla dostojności ich żołądków“.

Słowa te, powiedziane z powodu krwawych tragicznych wysiłków garstki zapaleńców powstańców—ostatnich powstańców w r. 1864-ym—możnaby zastosować i do całych pokoleń Polski i do całych dziesięcioleci jej bolesnej historji. Nie wszyscy, oczywiście, są gienjuszami i nie całe społeczeństwo składa się z ofiarników. Czyż znaczy to, że wcale w niem niema genjuszów i ludzi, zdolnych krwią własną przypieczętować swoje ideje?

Całe pokolenie w Polsce truje gorczyca—prawem tragicznego dziedzictwa spadł ołów zarówno na wnuków Kościuszki, jak i Traugutta. A ponieważ, jak twierdzi poetka, gorczyca i ołów szkodzą dostojeństwu średniej i miernej miary żołądków, czyż należy się dziwić, że tyle dostojeństw i godności ludzkich w Polsce było i jest złamanych, że tyle szczytnych ukochań spowszedniało i zeszło do poziomu frazesu, że tyle snów „buńczucznych“ snów polskich,—jako symbolu Miłości i Prawdy, —tętniących, jak sybirski sen Anhellego—wdeptanych zostało bezpowrotnie w szarą, głupią rzeczywistość ludzkiego życia, upadlającego bytowania... mężnego ongi i dumnego narodu?

Sny, sny w Polsce dziś śni wielu jej synów. Czy tylko dziś? Czy już za czasów pierwszego rozbioru Polski dwaj rodzeni bracia Sułkowscy: imć książe Franciszek Sułkowski, b. major wojsk rosyjskich, przeciwstawiający się żądaniom ks. Repnina—i—imć książe Antoni Sułkowski—któremu pierwszy zarzuca zamiar zdrady ojczyzny: — nie wiodą sporu o orjentację polityczną Polski i o orjentację polskiego sumienia? „Będzie to powinnością mojej rzeczypospolitej — pisze książe Franciszek Sułkowski, konfederat barski, — która jest sędzią moim własnym i jedynym, sądzić o tem, swego czasu, jeżeli gorliwość moja przyzwoitą była do obowiązków. Wmć, panie apostole, który mi braterską wspominasz jedność, tak ściśle nam zaleconą, chciej to zważyć, że gdyby ten, który dał wmć Panu życie, mógł był to przewidzieć, że wmć pan masz się stać najemnikiem ojczyzny, udusić by kazał wmć pana zapewne po urodzeniu...

... Ostrzegam zaś wmć pana, że jeżeli moje dziedzictwo najmniejszą poniesie krzywdę z jakiejkolwiek bądź strony, Leszno też miasto nasze, gdzie wmć pana część nie cala należy się, pójdzie natychmiast w popiół. Toż samo będzie się dziać i z fortunami tych ichmć, którzy zawodzą tak, jak i wpan święte obowiązki swoje“. *)

Ten spór dwuch braci Sułkowskich z r. 1768 mógłby być wzięty za prototyp wielu sporów w Polsce. Zachodzi pewna analogja pomiędzy cytowanem zachowaniem się w r. 1768 ks. Franciszka Sułkowskiego, dość lekkomyślnej zresztą i awanturniczej—biorąc ogólnie—konduity, — a zachowaniem się ks. Józefa Poniatowskiego. W r. 1768

*) Rkp. Ossol. fol. № 192 str. 136 „Respons Xięcia Sułkowskiego, do xięcia jmci Antoniego brata“.

pierwszy pisze list do Repnina, w r. 1791 Poniatowski pisze list do „wszechwładnego“ Potemkina, księcia taurydzkiego i jak mówiono, kandydata do naszej korony. Gdy się wyjaśniło ostatecznie, że król Stanisław August zgłosił akces do Targowicy—i nakłaniał do takiego samego kroku i księcia Józefa, ów pisze te pamiętne słowa: „Najjaśniejszy Panie! Odebrałem ekspedycję, rozkaz i list Waszej Królewskiej Mości przez generała Kirkora... Mógłżebyś wahać się Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon, zgon godny Ciebie, zgubę zupełną, ale zaszczytną, niż tę resztkę panowania, niż tę resztę narodu skalaną intrygą, zdradą, nierządem, słabością. Należało poświęcić się, poświęcić nas wszystkich: jak okrutna litość Twoja, kiedy ona kupiła dla nas hańbę i zakałę! Wielhorski i Mokronowski oznajmią Ci uczucia nas wszystkich, są one niewzruszone..“ Ten spór i ta rozbieżność pomiędzy Antonim Sułkowskim, a Franciszkiem i jeszcze bardziej Józefem Sułkowskim, a także pomiędzy Stanisławem, Michałem i nawet Jędrzejem Poniatowskimi z jednej strony, a niewzruszonem bohaterstwem Józefa Poniatowskiego—są znamiennemi dla Polski — i to nietylko ówczesnej. Na tem podłożu powstaną niesnaski wewnętrzne Polski w godzinach wszelakiego czynu. I jeśli zwyciężą—przy pomocy obcej—Antoni Sułkowski i Stanisław August, czyż będzie to równoznaczne istnieniu i zasługom Franciszka Sułkowskiego i księcia Józefa?

Z szarej, tragicznej, zaskorupiałej w bólu ziemi polskiej wyrastają pokolenia Judaszów, odszczepieńców i tchórzów, lecz z tej że samej ziemi, prawem duchowego i fizycznego dziedzictwa powstaje moc charakteru gienerała Dąbrowskiego, twórcy legji polskich, któremu tak niesłusznie zarzucano, iż jest „pensjonatem nieprzyjaciół“, „tajnym sługą suworowskim, pruskim, dyrektorjalnym“ i który z taką zawiłością stylistyczną i gramatyczną i taką prostotą i bohaterstwem ducha odpowiadał: „Żebym ja o siebie sie ino starał, jusz dawnobym był w służbie jednego monarchi, nieprzyjaciela Ojczyzni naszey, okryty rangami, dobrze płatnim i spokojnim, tu zaś jezdem każdemu podległy, nie płetni, pełno długów y praci niezmierny, wszystko to w wydoku dla naszei Oyczyzni, nuszby ta jusz bez nadzieiy powstania upadła, pierwszy jezdem wszystko opuścić y losem naynieszczęśliwszego człowieka sie dzielić“.

Powstaje surowa, nieskazitelna cnota obywatelska i żołnierska Naczelnika, polot dumnych skrzydeł księcia Józefa. I tak dalej! Na życie każdego późniejszego pokolenia kładą refleks zaszłe przed stuleciem wypadki. I by wypadki te nie przeminęły bez śladu i by te czy inne wskazania, przyświecające dawniej, mogły trwać w Polsce, obok miazgi i tandety ludzkiej—naradzają się gienjusze i ofiarnicy, których dostojności, godności ludzkiej i bohaterstwa nie złamie tragiczny los ojczyzny, albo słabość lub znikczemnienie najbliższych krewnych i otoczenia. Do takich ofiarników bezsprzecznie należał Józef Poniatowski.

Bolesław Zahorski.

Kraków.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Strach.

Bór się owinął w płaszcz posępny mroku
I na wierzchołki mgłę zarzucił ciemną.
Spieszyłem z wielką błyskawicą w oku,
By zmierzch przeświecać, co się słał przedemną.

Tam, z tych przepastnych głębin, co się zwarły
Olbrzymim splotem liści i wykrotów.
Jak łoże smierci tych burz, co umarły,
Ktoś ku mnie w ciszy szedł na wszystko gotów.

Ktoś, co miał stopy, które echo liczy,
Gdzie jak gromnica stała sosna blada,
Tam obok brzozy, co skrzyp tajemniczy
Rzuciła w przestrzeń, gdzie sie czai zdrada; —

Ktoś szedł i groza szerzyła się w borze. —
Skroś liście rzadkich gwiazd widziałem błyski,
Moczarów grząskie wiło się bezdroże,
Ktoś szedł, ktoś straszny, dziwny, jak śmierć bliski...

Ktoś szedł i nagle...

W nowym teatrze.

Teatr nasz, tułający się, od chwili wyproszenia go z gmachu miejskiego, po rozmaitych czasowo użyczanych, a najczęściej nieodpowiednich lokalach—pozyskał nareszcie siedzibę, którą poniekąd za własną uważać może. Moment to niewątpliwie w dziejach jego doniosły. Zasługiwał też w zupełności na ten nastrój świąteczny, jakim powitała tutejsza inteligiencja polska otwarcie sezonu.

Przywdziani *en gale*, pospieszyliśmy tłumnie. Jeśli świecił kto nieobecnością, to dlatego jedynie, że nie wszystkich sala pomieścić mogła. Kogo nie powiodły uczucia obywatelskie, tego zagnała ciekawość uroczystości, a przedewszystkiem samego gmachu.

Co zrobiono?..

Boć zza prowizorycznego parkanu, co przez szereg miesięcy otaczał tajemnicze rusztowania, dobiegały nas od czasu do czasu echa nieporozumień, które—*pro publico bono*, oczywiście — waśniły głównych fundatorów świątyni sztuki. Słyszeliśmy o jakichś przesileniach, zamachach stanu, o nagłem popadnięciu w niełaskę autora planu... Czytywaliśmy, tonem dyktatorskim tchnące, odezwy prezesa, który zawsze miał słuszność, bo ją z własnej czerpał kasy... Aż wreszcie dowiedzieliśmy się o jego niespodziewanej abdykacji.

Były to wszystko burze w szklance wody, które wystarczały jednak, by odgłosami swych gromów niepokoić opinję naszego partykularza.

To też i przed rozpoczęciem widowiska, i w czasie antraktów, tłok panował we wszystkich zakamarkach...

Oglądano.

Naogół pierwsze wrażenie dał teatr korzystne. Front skromny, lecz poważny i harmonijny w rysunku; dojazd zamaszystym nakreślony łukiem, zgrabny westibiul, w miarę szerokie, spadziste korytarze, wygodne schody, bardzo gustowne *foyer*, wysoka, jasna, dobrze wentylowana i prostotą swą estetyczną widownia—wszystko to wywoływało na przemian słowa uznania lub miłego zdziwienia. Potem dopiero zaczęto spostrzegać tu i owdzie braki—w większości drobne.

Jeden wszakże jest rzeczywiście wprost nie do darowania.

Galerję potraktowano *en canaille*.

Skutkiem prawdopodobnie zbytniej głębokości, tudzież zbyt wysokich parapetów, cały pierwszy plan sceny ginie tu z oczu. A są nawet miejsca, np· drugie rzędy boczne i na skrętach, skąd dostrzega się tylko rąbki paldamentów, lub też nie widać nic zgoła, prócz.. sufitu. Wstawanie, wspinanie się na palce nie pomaga.

Wogóle z galerji aktor, występujący na plan pierwszy, zdaje się być kaleką, nóg pozbawionym.

Dopóki fatalny ten błąd naprawiony nie będzie (a—jak słychać—jest on do naprawienia) muszą artyści mieć go na uwadze i jaknajczęściej przenosić akcję na plan drugi.

Co się tyczy owej poprawy błędu, to trudno przypuszczać, by dał się on usunąć już w obecnym sezonie. Odbije się to ujemnie na kieszeni dzierżawcy teatru, ale — co ważniejsze — krzywdę wyrządził kulturze. może bowiem zdepopularyzować scenę śród mas, które już poczynały się nią zeszłej zimy interesować.

By zaradzić złemu, jedno tylko na razie da się zrobić: dyrekcja, mianowicie, powinna wynotować wszystkie ślepe miejsca i nie sprzedawać na nie biletów. Będzie to dla niej mniejszą szkodą, niż zniechęcanie do teatru publiczności galerjowej.

Nie największą, ale zato najciekawszą wreszcie wadą widowni jest to, że z owej źle potraktowanej galerji słychać lepiej, niż z pierwszych rzędów krzeseł, gdzie niestaranna dykcja niektórych artystów daje się słuchaczom mocno we znaki.

* * *

Na pierwsze przedstawienie obrano „Lilje“ L. H. Morstina, sztukę, gromko chwaloną przez dzienniki rozmaitych miast polskich, zanim ją jeszcze krytycy poznać zdążyli. Wielce to utrudnia sąd objektywny, jeśli się nie chce, śród banalnych komplimentów, tracić z oczu granice między sprawozdaniem, a reklamą.

A nie czytałem dotąd ani jednej recenzji ze sztuk p. Morstina, w której nie byłoby reklamiarskiego patosu. Jeśli się to nie dzieje za własną jego przyczyną, to doprawdy godzien jest pożałowania. Ludek dziennikarski, któremu imponuje literat-hrabia, oddaje tem poecie iście niedźwiedzią przysługę.

Zwłaszcza gdy się czyta fanfary na cześć „rodu Morstinów“ i „nieodrodnego spadkobiercy świetnego nawiska i t. p.“ — w umyśle czytelnika krytycznego zjawić się musi pytanie; co to ma właściwie wspólnego ze sztuką? Czy chwalcy tak niepewni są talentu pisarza, że osłaniać go muszą herbowemi tarczami?

Czyim prawnukiem jest p. Morstin, jako dziedzic nazwiska, to na jego stanowisko w literaturze żadnego nie wywrze wpływu. Natomiast inna zgoła nastręcza się tu gienealogja. P. Morstin jest niewątpliwie duchowym potomkiem Wyspiańskiego.

Pytanie tylko, czy pokrewieństwo to jest istotne, wynikające z podobieństwa organizacji psychicznej, czy też pozorne, oparte na przejęciu się powierzchownemi cechami pierwowzoru.

Wątpliwość tę nasuwa już sama forma utworu Morstina. Zarówno w stronie malarskiej (odgrywającej tu rolę poważną), jak i w stylu, w języku daje się odczuwać niedociągnięta imitacja — imitacja, zresztą, najprawdopodobniej bezwiedna.

Dekoracyjność dzieł Wyspiańskiego — jakkolwiek organicznie związana z dziełem literackiem —jest sztuką samoistną. Akcesorja, oddziaływające na wzrok,—to nie zwykłe informacje, gdzie się dana scena rozgrywa i w jakim kto chodzi kostjumie; to są wyrazy pewnych uczuć, dla których poecie słów zabrakło, a jeśli nie zabrakło, to w każdym razie łatwiej może mu je przenieść do duszy widza obrazem, niż mową. To też niejeden obraz sceniczny Wyspiańskiego, nawet gdy nie uzupełniają go słowa, może być zawsze źródłem wzruszeń, daleko wybiegających poza sferę wrażeń tylko estetycznych.

Tego nie ma w sobie zupełnie dekoracyjność sztuki Morstina, choć na pozór tak bardzo przypomina szaty zewnętrzne utworów Wyspiańskiego. Widzimy tu zwykłą pomysłowość literacką, pewne konieczne tło dla danej akcji. Tło — nic więcej, choć piętno swe na niem wycisnęła obecna moda, która autorom i dyrekcjom zapominać pozwala, że teatr jest w pierwszym rzędzie terenem sztuki aktorskiej a nie malarskiej.

I język, wiersz Morstina uderza również podobieństwem do wiersza Wyspiańskiego (choć znacznie jest rytmiczniejszy); ale wystarcza kilka jakichkolwiek strof, by widzieć w pierwszym z nich tylko imitację. Czytając czy słuchając Wyspiańskiego, nie wyczuwamy żadnego wysiłku, żadnej sztuczności, „ujędrniania“, lub archaizowania języka. Doznajemy wrażenia, jakby tych myśli wprost nie można było w inne odziać słowa. Treść jest mocna, jak forma, a forma, jak treść. Są one ze sobą ściśle organicznie związane i nikt tu nie odnajdzie żadnych niekonsekwencji.

U Morstina inaczej. Formy stare sąsiadują często w jego wierszu nawet z neologizmami. (W braku pod ręką egzemplarza, grzeszę wprawdzie niepodaniem przykładów, ale każdy uważny czytelnik czy słuchacz odnaleść je potrafi w obfitości).

Wszelako największe (i najmniejsze równocześnie) podobieństwo Morstina do Wyspiańskiego zachodzi w budowie ich utworów, posiadającej wiązania nadzwyczaj słabe.

Wyspiański dramatów — ściśle mówiąc — nie pisał. Dawał on tylko zapomocą mechanizmu teatralnego szereg ruchomych i przemawiających obrazów, które uzmysławiały pewne myśli i odczucia autora. Z wyjątkiem może jedynie „Sędziów“, żadna z tych sztuk niema konsekwentnie rozwijającej się fabuły i pisarz zgoła nie krępuje się wprowadzaniem, gdy mu potrzeba, jakiegokolwiek

Deus ex machina, który w pożądany sposób rozwiązuje sprawę.

Zapatrzenie się w ten właśnie wzór pozwoliło p. Morstinowi sięgnąć po temat do ballady Mickiewiczowskiej, w której grzech otrzymuje karę z rąk siły postronnej. Co dobre jest i piękne w legiendzie, z podania ludowego czerpanej, nie zawsze właściwe będzie w utworze dramatycznym, od którego — dziś zwłaszcza — wymagamy obrazowania przeżyć i walk duchowych, mających pewne konieczne następstwa. Tymczasem w „Liljach" konieczności takiej nie widzimy. Gdyby nie dwukrotne pojawianie się „Wróża", sprawa wziąśćby mogła zgoła inny obrót i zbrodnia nie byłaby ukarana, ale nagrodzona. Cudowi tylko zawdzięczać trzeba, że tak się nie stało.

Dlaczego jednak wolno Wyśpianskiemu posiłkować się takiemi cudami (wędrowanie np. trumny św. Stanisława), a p. Morstinowi nie?

Dlatego, że—jak się rzekło—Wyśpiański dramatów, w ścisłem znaczeniu tego słowa, nie pisał. Dzieła jego to — ośmielmy się powiedzieć — publicystyka, publicystyka, w pełną poezji formę przybrana. Wyśpiański podobnie, jak niemal wszyscy wielcy pisarze-obywatele, w każdym swym utworze jakąś prawdę narodowi głosił, starając się otworzyć mu oczy na pewne zjawiska. Bolesne szyderstwo, które, z bystrej spostrzegawczości i ukochania narodu wysta i wspaniałem dziełem sztuki zakwita—oto nieśmiertelne jądro tych utworów. Jemu to zawdzięczać one będą swą trwałość; formie zewnętrznej—popularność tylko.

Tę może mieć na razie i praca Morstina. Do zdobycia jej bowiem wystarcza efekt, na imitowaniu Wyśpiańskiego oparty, a będący łupiną — nieistniejącego jądra.

Pozwoliłem sobie na zestawienie dzieł dwu tych autorów nie tylko z racji rzucających się w oczy analogji, lecz i dla tego, że upoważnia nas do takich porównań reklama. Gdyby nie ona, gdyby nie jej chwalby przedwczesne i przesadne, sąd o p. Morstinie wypaść mógłby korzystniej,—„Lilje", jako dzieło poety dojrzałego, mierzącego się z olbrzymami literatury naszej—to praca słaba. „Lilje" natomiast, jako występ pisarza młodego—to świadectwo pięknie zapowiadającego się talentu. Wystarczy przyjrzeć się charakterystyce występujących tu postaci, by co do tego nie mieć żadnej wątpliwości.

* * *

Wystawa „Lilji" zadowoliła nietylko publiczność, ale i autora. Była nader staranna pod względem dekoracyjnym i wyreżyserowana przez p. Orlińskiego doskonale. Nic nie zdradzało, że zespół jest świeżo zebrany. Miało się wrażenie, jak gdyby wykonawcy oddawna zgrani byli ze sobą.

W sztuce jest właściwie tylko jedna rola popisowa—to „Pani". Grała ją p. Leśniowska, wykazując zdolność oddawania uczuć nader złożonych, jako też godzenia realizmu z stylizowanym giestem i deklamacyjnym tonem postaci napół fantastycznej. Sądząc z tej roli, p. Leśniowską uważać można za dobry nabytek.

Ujemną stroną wykonania sztuki było, to że artyści nie zdążyli się jeszcze zorjentować w warunkach akustycznych sali i wadliwie głos akomodują. Nadto reżyserja zwrócić musi wogóle uwagę na dykcję artystów.

Rolę „Pani" dublowała następnie dobrze Wilnu znana i ciesząca się tu zasłużoną sympatją p. Żbikowska. Prócz niej przypomnieli się naszej publiczności pp. Skarżyński i Bryliński, którzy bardzo poważne uczynili postępy. (Niech tylko p. Bryliński nieco wolniej mówi).

Z kilku pierwszych przedstawień trudno sądzić o wartości artystycznej nowego zespołu. Wystarczyły one jednak, do zauważenia, iż jego perłą jest p. Janusz Orliński, który, jako Łatka w „Dożywociu" Fredry, okazał się aktorem miary niepowszedniej. Wykonanie tej roli jest arcydziełem swego rodzaju.

W tejże sztuce korzystnie wyróżnił się też p. Neubelt, wykazując dużą pomysłowość w roli Twardosza.

Trupa, zgromadzona przez p. W. Baranowskiego uczyniła na pierwszy rzut oka wrażenie korzystne. To też trudno pojąć, czemu już na drugiem przedstawieniu „Dożywocia" teatr świecił pustkami.

Winić publiczność?... Ha, pewno, że jest to jej wina.

Lecz i dyrekcja pamiętać musi, że dobre są tradycje i pamiątki, ale przedewszystkiem „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe"... Trzeba wystawiać sztuki, poruszające umysły zagadnieniami, dziś ludzkość interesującemi; trzeba do martwych murów teatru dać dostęp odgłosom spółczesnego ruchu umysłowego, spółczesnych walk intelektualnych.

Inaczej w naszym przybytku sztuki panować będzie tylko cisza i powaga świątyni.

B. H.

PRASA POLSKA.

— „Kurjer Krajowy" w chwilach wolnych od wałkowania sensacyjnych rewelacji na temat „tajemnicy pałacu ordynatowej" lub „naszyjnika z pereł" puszcza się odważnie na flukta rozważań polityczno-społecznych. Jako owoc tych rozmyślań ukazał się artykuł p. t. „Ten trzeci", w którym czytamy co następuje:

„Gdy się dwóch kłóci—trzeci korzysta. Tak było zawsze, tak się i dzisiaj dzieje.

A dzieje się to obecnie w Kraju naszym już nie z powodu waśni polsko-litewskiej, lecz na gruncie nowej poważnej kwestji: w jakim języku ma być wykładana białorusinom - katolickim religja oraz w kościele katolickim na Białejrusi odbywać się winno nabożeństwo dodatkowe?

Gdy odrodzeniowy ruch białoruski pierwsze kroki na drodze swej stawiał, w obozie uświadomionych narodowo białorusinów rozległy się głosy, żądające uznania praw języka białoruskiego w szkole, w kościele i w cerkwi, przy nauce religji. Jednak kler katolicki, konserwatywny i wrogi w stosunku do wszelkich inowacji, aczkolwiek waśń polsko litewska winna była służyć mu za naukę, nie uwzględnił bynajmniej postulatów białorusinów, a prośby parafjan (jedna z nich pochodziła z pow. lidzkiego) nie znalazły posłuchu u ks. biskupa Roppa. Ruch białoruski lekceważono — i w tem tkwi gruby błąd, którego skutki obecnie odczuwać się dają.

Kwestja językowa nie została wówczas załatwiona — chociażby zasadniczo — w sposób, nie urażający białorusinów. Gorzej: dano im do zrozumienia, iż nacjonalistyczno-klerykalne sfery polskie zachowują względem nich stanowisko niemal wrogie, zabijając wiarę w sympatje polskie dla ruchu, tak bardzo dla sprawy demokratyzmu dodatniego...

Nie wątpimy, iż kierownicy ruchu białoruskiego—jego leaderzy—rozumieli dokładnie, że nie naród polski, lecz pewne tylko warstwy społeczeństwa miejscowego zapomniały o związku braterskim dwóch narodów. Natomiast stosunek kleru do białoruszczyzny postarał się wyzyskać „ten trzeci“: pod wpływem agitacji nacjonalistów rosyjskich sfery rządowe wystąpiły rzekomo w „obronie białorusów od polonizacji“, lecz zamiast nadania im praw narodowych—czego rządali—rząd narzucił narodowi białoruskiemu obcą dlań mowę rosyjską, nakazując duchowieństwu katolickiemu wprowadzenie rosyjskich wykładów religji oraz dodatkowych nabożeństw w kościele“.

Pogląd powyższy byłby niewątpliwie słuszny, gdyby nie pewna nieścisłość w przesłance. Oto głosy, domagające się języka białoruskiego w kościele pochodziły nie z łona ludu, lecz z pośród szczupłej garstki „leaderów“ ruchu białoruskiego. A to jest wielka różnica. Lud bowiem przywiązany do form uświęconych tradycją wiekową nie był i nie jest bynajmniej skłonny do reformy unarodowienia kościoła. Wzgląd ten głównie powstrzymywał wyższe władze duchowne, tak ugodowo na ogół usposobione pod względem narodowościowym, od wprowadzenia języka białoruskiego do nabożeństwa dodatkowego.

Pozatem jest jeszcze jedna okoliczność, której nie wolno nie brać pod uwagę. Czy „Kurjer Krajowy“ może zaręczyć, że wprowadzenie języka białoruskiego do kościoła nie byłoby tylko okresem przejściowym do zamiany go na język rosyjski? Wszakże rząd dotychczas nie uznaje odrębnej narodowości białoruskiej. Używanie języka białoruskiego w kościele było by precedensem do stopniowej rusyfikacji kościoła i upoważniało by władze administracyjne do wtrącania się ustawicznego w wewnętrzne jego życie.

Czy przyszły na myśl „Kurjerowi Krajowemu“ tego rodzaju konsekwencje? Jeżeli nie, to warto, aby się nad niemi głębiej zastanowił.

— Nader trafne uwagi wypowiada „Kurjer Poranny“ o metodzie, stosowanej stale przez endecję w walce z przciwnikami:

„W jednej z nowych komedji francuskich występuje pewien jegomość robiący w polityce, który zdobywa sobie entuzjazm i zaufanie tłumów bardzo prostym sposobem „Quand je crie: a bas les juifs! je me sens imbattable“—mówi z dumą o przyczynie swoich powodzeń. Redaktor „Przeglądu Narodowego“ p. Zygmunt Balicki wziął sobie za dewizę to samo hasło: „Kiedy krzyknę: precz z żydami! czuję się niezwyciężonym!“ To hasło zresztą wślad za p. Balickim przyjęło oddawna jego stronnictwo naprzód w okresie wyborów, a od chwili obalenia kandydatury p Kucharzewskiego już na stały codzienny użytek. Z którejkolwiek beczki zacznie się dyskusję z panami z narodowej demokracji, choćby się z nimi mówiło o metafizyce czy o astronomji, o poezji czy o gastronomji, przy jakiejkolwiek różnicy poglądów, zamiast wszelkich argumentów, nie usłyszy się nic innego, jak tylko wrzaskliwy krzyk: „Precz z żydami“. I daremnie nawet ci, którzy tak gorliwie wtórują im w haśle walki z żydami, jak pani Moszczeńska, próbują z nimi podjąć jakąkolwiek rozprawę o rzeczach publicznych, nie mającą nic wspólnego z kwestją żydowską. Za całą odpowiedź usłyszą tylko przeciągły krzyk: „A bas les juifs“ i uprzejmą uwagę w dodatku: „Pokazuje się, że można wydawać z talentem pisane broszury przeciwko żydom, a mieć samej umysł żydowski“. Umysł żydowski ma bowiem każdy, kto nie chce przysiądz, że narodowi demokraci se w kwestjach narodowych nieomylni jak sam Papież „dum ex cathaedra loquitur“. Kiedy p. Balicki, hamletyzując nad chmurą, oświadczy, że ta chmura jest podobna do wielbłąda, wtedy kto polak ma obowiązek pochylić kornie czoła i odpowiedzieć jak Polonjusz: „w istocie ona wygląda na wielbłąda“, kiedy znajdzie w niej podobieństwo do łasicy, musi się przyznać, że „jest uformowana na kształt łasicy: kiedy porówna ją do wieloryba, powinnością staje się przywtórzyć: bardzo podobna do wieloryba“. Kto tego nie uczyni, dowie się, że „bezwiednie lub świadomie daje się zaprządz do służenia interesom żydowskim“. W tych replikach jest niewątpliwie obłęd, ale „though this be madness, yet there is method in't“ — chociaż to obłęd, ale przecież jest w nim metoda.

Metody tej wartość jest bardzo cenna. Z jednej strony terroryzuje ona wszystkich, którzy za wszelką cenę nie chcą być posądzonymi o żydofilstwo, z drugiej wszystkich, którzyby mogli mieć wątpliwości, czy słuszność nie jest przypadkiem po stronie tych, którzy z endecją polemizują, oszołamia zapewnieniem, że argumenty przeciwne płyną tylko z maskującej się przewrotności żydowskiej, że zatem nawet nie trzeba się nad niemi zastanawiać. Rzecz zabawna, że narodowa demokracja nauczyła się właśnie tej metody — od żydów. Przez wiele, wiele lat publicyści żydowscy nie dopuszczali do żadnej krytyki żydostwa, ba, do poruszenia nawet kwestji żydowskiej, i na wszelkie próby w tym kierunku odpowiadali działającym na ówczesne humanitarne wrażliwości ogółu okrzykiem. „Precz z antysemityzmem! Precz z czarną sotnią!“ I to działało. Oczywiście tylko do czasu, bo dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho, bardzo długie ucho, metody polemicznej narodowych demokratów wreszcie się urwie, i że liczba tych, którzy się nie dadzą terroryzować i tumanić, powoli będzie wzrastać i że w końcu weźmie górę nad bezkrytycznym owczym pędem“.

Niestety trudno mieć nadzieję, by to pożądane otrzeźwienie nastąpiło w krótkim czasie. Demagogja jest nieśmiertelna, a świat gorąco pragnie być obełgiwanym.

W sprawie samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem.

Śród szerokich sfer obywatelskich, zarówno w ramach ugrupowań politycznych, jak i w kołach bezpartyjnych, ostatnia faza przygotowania prawodawczego projektu samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego wytworzyła konieczność poinformowania odpowiedzialnych czynników polskich o nastroju, jaki projekty te, jeszcze nie zamienione w ustawę, wywołują w polskiej opinji publicznej. Wynikiem przeświadczenia o tej konieczności jest następujący komunikat, który koła te w drodze publicznej postanowiły ogłosić:

„Jesteśmy w przededniu ostatecznej decyzji rosyjskich Izb Prawodawczych w sprawie ustawy o samorządzie miast Królestwa.

Kiedy w Izbach tych decydowano oderwanie Chełmszczyzny — jeden z największych ciosów, jakie zadano naszemu krajowi w czasach porozbiorowych — łudzono opinję zagraniczną, że wzamian, jako rzekome „odszkodowanie“, otrzymamy „polski samorząd“.

Tymczasem ów „polski samorząd“ stać się ma nową klęską narodową.

Już pierwotny projekt zapowiadał samorząd mało demokratyczny, skrępowany więzami administracji, finansowo wadliwy, a ponadto przyznawał językowi polskiemu nader szczupłe prawa.

Natomiast obecny projekt Dumy, tolerujący zaledwie w ośmiu gubernjach przemówienia polskie w obradach rad miejskich i nakazujący przewodniczącemu przemawianie tylko w języku państwowym i tłomaczenie na ten język przemówień polskich, urąga szacunkowi, należnemu naszej mowie ojczystej i wyznacza jej rolę upakarzającą,

projekt zaś Rady państwa z brutalną bezwzględnością ruguje wszelkie słowo polskie.

Bo od dotychczasowej organizacji naszych miast, zależnej wyłącznie od władz rządowych, złej i bezwartościowej, jest jeszcze gorszy samorząd, który przy udziale przedstawicieli społeczeństwa będzie narzędziem znieprawiania oraz dalszego wynaradawiania kraju.

W tych warunkach wzywamy Koła Polskie w obu Izbach, aby nie tylko sam.e oświadczyły się przeciwko takiemu samorządowi, lecz, żeby użyły wszelkich sił i środków do obalenia tego projektu.

Losy emigracji polskiej.

W „Gazecie Zagłębia“ p. A. Horbaszewski zamieszcza następujący obrazek ze stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej:

„Snuję się po ulicach Detroit, a serce ściska się mi z bólu... Marzyłem tak, jak marzą inni w kraju, że cztery niemal miljony polaków w Ameryce, to moc, to zawiązek nowej, lepszej, ludowej Polski.

Łudziłem się...

Hej! Wy, duchowi przywódcy naszej braci na obczyźnie, coście zrobili z naszego narodu? Składnik do tygla hutniczego!

Oj, prędko się przetapia „półdzika tłuszcza Wschodu“ na kulturalny nowoczesny aljaż!

Cieszmy się więc, wszak to postęp...

Na ulicy Foreszt—wrzawa, piłka lata w powietrzu, a skłębiona garstka chłopaków śmieje się—zabawa w całej pełni.

Wsłuchuję się. Wszak jestem w sercu polskiej dzielnicy, wszak to dziatwa polska, — nasza. Łowię dźwięki uchem. Nie... To chyba omyłka... ani słowa po polsku. Podchodzę do grupki.

— Hej, chłopcy, wy polacy?

— Tak, proszę pana.

— Wszyscy?

— Wszyscy!

— To czemuż nie rozmawiacie po polsku?

Jakiś chłopak wysunął się na czoło gromadki i rzekł po angielsku:

— Co nam po polskiej mowie! Chcesz pan polskiej mowy, to idź pan do karczmy, tam starzy cały dzień dziś gawędzą.

A przed domkami rozsiadło się starsze pokolenie i gwarzy o plotkach, o polityce.

A dzieci?! A któżby tam dbał o nie!

Z małego domku schodzą dwie małe dziewczynki, starsza sprowadza po schodach młodszą.

— Take care Mary!

Spojrzałem na domek, widzę godło z napisem: „John K...ski, szewc polski“.

Dziwne!

Tam, we Wrześni, otrzymywały chłostę dzieciny za pacierz polski, a tu. w wolnym kraju, polacy pozwalają swym dzieciom mówić w obcym języku.

Jak długa i szeroka polska dzielnica w Detroit, nigdzie nie słyszałem ani jednego słowa po polsku z ust polskiego dziecka.

A prasa polska?

Ta nietylko że nie piętnuje każenia mowy polskiej amerykanizmami, lecz sama ich używa. W dziennikach polskich spotykamy ogłoszenia: „Property i loty (działki ziemi) do sprzedania“. „Szop (sklep) do wynajęcia“ i t. d.

Na ulicy Canfield szukam polskiego lekarza. Widzę polski napis, polskie nazwisko. Dzwonię, otwiera mi mała dziewczynka. Pytam się po polsku:

— Czy tu mieszka pan K...ski?

— Dont uderstand you! (Nie rozumiem pana).

Powtarzam pytanie po angielsku.

Dziewczynka znika.

Wychodzi młody, może dwunastoletni chłopak.

— Czy tu mieszka pan K...ski?

— O, tak ale ojca wyszła z domu!

Dwa pokolenia.

Prędko topnieją polacy w tyglu amerykańskim.

Śmierć Pawła I-go.

W zeszycie wrześniowym czasopisma „Russkij Archiw“ rozpoczął się druk pamiętników Michała Leontjewa, oficera gwardji, w których znajdujemy kilka nowych szczegółów o zgonie Pawła I-go.

Ciekawy jest szczegół, malujący stosunek cesarza do swego syna. Ostatniego dnia swego żywota Paweł I zwracając się do następcy tronu głośno wyrzekł: „Wasza Wysokość powinna dowodzić nierogacizną, nie ludźmi“.

„Zauważyłem—pisze Leontjew—że wielki książę, zamiast tego, by ukłonić się według zwyczaju cesarzowi, odwrócił się i zaciął wargę; nie wiem, czy zauważył to Paweł, ponieważ działo się w rogu dziedzińca zamkowego; lecz myśmy wszyscy to widzieli“.

Po skończonej paradzie Paweł I udał się do pałacu, następca zaś wszedł na odwach i w oddziale oficerskim nader łaskawie rozmawiał z aresztowanym gienerałem Emme i jego żoną, która przyszła do męża w odwiedziny, syna zaś ich wziął na ręce i ucałował. Scena ta—jak twierdzi Leontjew—wywarła silne wrażenie na asystujących żołnierzy.

W nocy Leontjew został rozbudzony alarmującym sygnałem i na rozkaz gienerała Depreradowicza udał się ze swym bataljonem ku pałacowi Michajłowskiemu. Przebudzeni niezwykłym w nocy ruchem wojsk, mieszkańcy wyglądali przez okna, nie rozumiejąc, co się stało. Nie wiedział również nic o istotnych powodach bataljon Leontjewa, któremu powiedziano tylko, że w pałacu pożar. Pożaru jednak nie było i żołnierze pozostawieni w zupełnej ciemności przy pałacu poczęli się denerwować, mówiąc, iż w pałacu coś niedobrego się dzieje. Wzburzenie żołnierzy wzrosło zwłaszcza, gdy spostrzegli w oknach pałacu cienie biegających ludzi i posłyszeli wystrzał. Lecz w tej chwili ukazał się gienerał Depreradowicz i przemówił: „Chłopcy! Winszuję wam nowego cesarza, naszym cesarzem jest Aleksander. Hurra!“ „Hurra“ podchwyciło całe wojsko, które już otoczyło pałac. Po niejakim czasie rozległ się okrzyk: „karetę cesarza!“ Wyszedł Aleksander. Żołnierze rzucili się ku niemu, całowali jego ręce i mundur, krzycząc: „Tyś ojcem naszym“. Aleksander odrzekł: „Tak, ja jestem waszym ojcem“. Cesarz pojechał do soboru Kazańskiego, gdzie już się zebrali, na skutek zabiegów spiskowców, członkowie senatu i synodu, którym oświadczono, że Paweł zmarł od ataku apoplektycznego.

Od rana stolica przybrała wygląd świąteczny. Ludność z trudem się wstrzymywała, by nie krzyczeć

„hurra“ przy spotkaniu z gwardją i zdejmowała przed nią czapki.

Leontjew opowiada, jak przyjął wiadomość o śmierci ojca Aleksander I. Pod pierwszem wrażeniem podobno miał odmówić wstąpienia na tron, zarzucając spiskowcom, że ci nie spełnili jego warunku pozostawienia przy życiu Pawła. Wówczas spiskowcy oświadczyli, że w takim razie wypadnie mu ujrzeć przelaną krew całej swej rodziny. To powiedzenie zmnsiło go podobno do ujęcia rządów w swe ręce.

Wtargnąć do sypialni Pawła I-go, według słów Leontjewa, udało się dzięki następującej okoliczności. Paweł I-szy lubił być obecnym przy wszystkich pożarach w stolicy. Z wiadomością o pożarze adjutant pułku Preobrażeńskiego miał prawo wchodzić do cesarza bez meldowania się o każdej porze dnia i nocy. Z tego skorzystali spiskowcy, namówiwszy dyżurnego adjutanta Argamakowa, by ten obudził Pawła wiadomością o pożarze. Wślad za nim wtargnęła cała zgraja spiskowców z hr. Pahlenem i Zubowymi na czele.

Opisując radość powszechną z powodu wstąpienia na tron Aleksandra I-go, Leontjew od siebie dodaje: „Nikt wówczas nie przypuszczał, żeby panowanie Aleksandra Prześlicznego mogło być do tego stopnia burzliwem i obfitującem w klęski z powodu krwawych wojen, ciężarów podatkowych oraz niesumienności sądów, jak tośmy następnie widzieli. Tak się mylili ludzie, uważający w swej pysze, że wybrali z własnej woli lepsze, nie chcąc znosić tego, co nie mogło być bez woli Boga! 24-letnie rządy Aleksandra I-go wykazały całą płonność rachub i nadziei ludzkich, opartych, jak wszystkim się zdawało, na zasadach bezstronnej i ścisłej prawdy...“

KRONIKA.

= Nowe czasopismo w Wilnie.

Otrzymaliśmy zeszyt nowego czasopisma, wychodzącego w Wilnie p. t. „Przegląd handlowo-przemysłowy“. Numer pierwszy przedstawia się okazale zarówno pod względem treści jak ogłoszeń. Pismo będzie wychodzilo raz na kwartał pod redakcją p. Bolesława Stadziewicza.

= Nad Świsłoczą.

Pod tym tytułem ukazała się świeża jednodniówka. omawiająca przeważnie sprawy Mińska i Mińszczyzny. Wydawcą jest p. W. Dworzaczek.

= O uniwersytet w Wilnie.

W dniu 7 b. m. w klubie rosyjskim w Wilnie odbyło się zebranie przedstawiciel organizacji rosyjskich Wilna, w celu naradzenia się nad sprawą otwarcia wyższego zakładu naukowego. Przewodniczył obradom p. Cariuk, który w przemówieniu zagajającem podniósł, iż sprawę należy traktować nietylko ze stanowiska interesów krajowych, lecz i ogólnopaństwowych.

Po referatech A. Kudierskiego i M. Michajłowa, wywiązała się dyskusja, w której między innymi pp.: Kudierskij, Kowaluk, Wrucewicz, wyrazili pogląd, iż potrzebny jest uniwersytet, przytem jeden z tych panów był zwolennikiem uniwersytetu z wydziałem teologicznym. Przeciw uniwersytetowi, lecz za utworzeniem prawosławnej Akademji duchownej opowiedział się p. Cariuk. Uważa on, iż uniwersytet, jak uniwersytety całego świata, z wyjątkiem niemieckich. stanie się instytucją kosmopolityczną, podczas, gdy w naszym kraju potrzebni są działacze nacjonalistyczni.

Wobec tak rozbieżnych poglądów — czy potrzebny jest uniwersytet, czy też Akademja prawosławna — wszczęła się dyskusja na temat, czy zgromadzenie jest dość prawomocne do powzięcia jakiejś uchwały. Kilka organizacji rosyjskich podobno nie otrzymało zawiadomienia o zebraniu. Gdy rozprawy na temat prawomocności stały się namiętne, Cariuk zamknął je. W ten sposób nie uchwalono żadnej rezolucji.

= Odpowiedzialność sprawozdawców z Dumy Państwowej.

Wielce ciekawą pod względem zasadniczym sprawę rozpoznawała Petersburska Izba Sądowa. Oskarżonym był p. Stefan Grostern. sprawozdawca i redaktor odpowiedzialny „Dziennika Petersburskiego“. Sprawę wytoczono mu z art. 128 Kod. karn. za wydrukowanie w sprawozdaniu z Dumy w № 898 „Dziennika“ mowy posła Rodiczewa w sprawie interpelacji naglej o demonstracjach słowianofilskich w Petersburgu.

Po 40-minutowej naradzie sąd ogłosił wyrok. którym 1) p. St. Grostern został uznany winnym przestępstwa świadomego nieposzanowania Władzy Zwierzchniczej i zgodnie z art. 128 Kod. karn. skazany na 1 rok twierdzy, przyczem na razie pozostawiony na wolnej stopie, 2) № 898 „Dziennika Petersburskiego“ postanowiono zniszczyć.

Sprawa ta wywołała duże zainteresowanie w prasie rosyjskiej, która poświęca jej obszerne komentarze.

= Jubileusz gazety „Ruskija Wiedomosti“.

D. 6 b. m. odbył się w Moskwie obchód pięćdziesiątej rocznicy istnienia gazety „Russkija Wiedomosti“. Ze względu na udział w nim najwybitniejszych sił naukowych, literackich i publicystycznych z całej Rosji było to prawdziwe święto kulturalne, jako odzwierciadlenie pracy półwiekowej inteligencji rosyjskiej. Jak przy wszelkich zebraniach o charakterze opozycyjnym, nie obeszło się bez interwencji władzy. Policja zamknęła dzienne posiedzenie w trakcie przemówień delegatów, bankiet zaś wieczorowy został przerwany przy odczytywaniu powitalnej depeszy członka Rady Państwa Siemionowa Tiań-Szańskiego, znakomitego gieografa.

Nawet nader umiarkowane koła rosyjskie wyraziły z tego powodu swe zdumienie i oburzenie.

= Agitacja rusinów

Od pewnego czasu urządza organizacja ukraińska we wszystkich większych miejscowościach Galicji wschodniej wiece ludowe dla propagowania hasła podziału Galicji na polską i rusinską. Na wiecach tych bywa uchwalana rezolucja tej treści; wiec żąda niezwłocznego załatwienia sprawy reformy wyborczej i wzywa ukraiński klub sejmowy, aby nie odstępował od zasad, ustalonych w kompromisie; wiec protestuje przeciw polonizacyjnemu systemowi w szkolnictwie i żąda podziału rady szkolnej krajowej na dwie sekcje: ukraińską i polską, wiec żąda podziału kraju na dwa odrębne terytorja narodowościowe: wschodnie ukraińskie i zachodnie polskie.

Sprostowanie.

W № 38—40, w wierszu „Wyspa“ czytać należy „wydrzeć“ zamiast „wyrzec“ (3-ci wiersz od dołu).

W art. „O inteligiencji polskiej“ str. 6-ta II-ga szpalta, 6-ty wiersz od dołu powinno być: „aż do społecznikostwa“.

Treść numeru.

Maskarada — L. A.
Rzadka sposobność — J. Sorokowicz.
O inteligiencji polskiej — Wi—ski.
Uniwersytety a wolne szkoły w Galicji—J. Krz.
„Militans tactics“ — Sławomir.
Na marginesie jubileuszu — B. Zahorski.
Z księgi ciszy — J. St. Wierzbicki.
W nowym teatrze — B. H.
Prasa polska.
W sprawie samorządu miejskiego w Kr. P.
Losy emigracji polskiej.
Śmierć Pawła I-go.
Kronika.
Odcinek: „Józef Korzeniowski“—T. Dąbrowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

43-45

Rok II. Wilno, 8 (21) listopada 1913 r. № 41—43.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Powrotna fala.

Po kilkuletnim okresie martwoty, apatji i rozkładu—w tym olbrzymim kotle, jaki stanowi imperjum Rosyjskie, znów rozpoczął się ferment silniejszy, okres wzmagania się i podnoszenia gazów, powstałych z nagromadzenia zawodów i krzywd, rozczarowań i bólów.

Pokrywa Stołypinowska, która zamieniła starą, porwaną i rozbitą przez rewolucję 1905 roku, zda się, była dopasowana do kotła tak misternie i szczelnie, że jeżeli nie łudzono się w „sferach" co do możności zduszenia wszelkich zalążków życia samodzielnego na zawsze, to w każdym bądź razie liczono na to, że ostudzi ona i obezwładni wszelkie ruchy na długo.

Uspakajano społeczeństwo starannie i wszechstronnie. Przetrzebiono żywioły buntownicze; zmieniono ordynację wyborczą do Dumy, by dać głos przeważny niezawodnemu filarowi „ancien régime'u": szlachcie; politykę rolną poprowadzono w tym kierunku, by rozbić źródło chłopskiego buntu, „obszczinę" i wytworzyć prawomyślnego włościanina—posiadacza; uśmierzono młodzież uczącą się przez odjęcie autonomji szkołom wyższym, wzmocnienie rygoru, usunięcie niepożądanych profesorów, tworzenie klubów „akademistów"; wypleniono ducha opozycji w ziemstwach; maltretowano prasę; umorzono i „wyjaśniono" wszelkie wolności obywatelskie; wreszcie, wzięto w kluby idealne niepewnych i zdradzieckich „inorodców".

Zdawało się że cały ten ogrom „pracy" winien dać owoce i zapewnić spokój, jeżeli nie na wiek, to na lat dziesiątki. Tymczasem... w kotle znów słychać wrzenie.

Znów jesteśmy świadkami coraz wyraźniejszego pomruku niezadowolenia, pomruku, który, idąc z nizin od warsztatów i chat znajduje echo nawet na powierzchni społecznej, śród przemysłowców, kupców, inteligiencji.

Okazuje się, że czujne oko i czynne ręce władz nie były w stanie, pomimo wysiłku, przywrócić poszczerbionemu i popękanemu kotłowi dawnej spoistości, szczelności i formy.

Okazuje się, że, jak pisał Asnyk,

„Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!
Świat Wam nie odda—idąc wstecz,
Znikomych mar szeregu —
Nie zdoła ogień, ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu..."

Pierwszy ocknął się z bezwładu robotnik. I jest to zrozumiałe. Jego, jako głównego winowajcę i sprawcę przewrotu, wzięto w kluby najsilniejsze. Skrępował go i odjął mu swobodę organizacji, ruchu — rząd, wyzyskiwał go, korzystając z osłabienia, kapitalista. Zmniejszono mu zarobki, wyrzucano, w razie najmniejszego oporu, na bruk, oddawano w ręce policji. Sądzono, że im więcej będzie krzywdzony, wiązany, tem będzie uleglejszy, mniej niebezpieczny. Zapomniano przecie o tym fizycznem czysto prawie, że nawet ciało nieorganiczne cisnąć można tylko do pewnych granic i że, gdy granice te zostaną przekroczone, kleszcze mogą pęknąć. Zapomniano o tem zwłaszcza nad Leną, gdzie chciwość wilcza kapitalistów, zasłonięta od świata cywilizowanego mil tysiącami i oparta o samowolę policji, czuła się bezkarna i nie znała granic.

Wypadki Leńskie stanowią punkt zwrotny w ruchu robotniczym. Fala strejkowa odtąd rośnie i z roku na rok się podwaja. W braku organizacji zawodowych i kruchości ich istnienia, robotnik poczyna się skupiać około prasy własnej, legalnej, która w Petersburgu, mimo kar, konfiskat, wytaczania licznych spraw o przestępstwa prasowe, istnieje i rozwija się. Obecnie wychodzą w Petersburgu 3 gazety robotnicze, z których 2 — już drugi rok—o kierunku socjaldemokratycznym i trzecia od niedawna—o kierunku „narodniczeskim". Prasa robotnicza, pomimo to, że liczy dziesiątki tysięcy odbiorców, stoi bardzo nisko. Na możliwym poziomie utrzymana jest tylko gazeta „narodników". Gazety marksistów (jedna

„bolszewikow“, druga — „mieńszewików“) nie tyle dbają o uświadomienie robotnika, co o własne porachunki wodzów.

Kłótnie wstrętne wypełniają szpalty. I trzeba rzeczywiście podziwiać robotników, że, pomimo to, o gazety te dbają i zasilają je pieniężnie. Snać potrzeba organów własnych i potrzeba jakiejkolwiek organizacji, choćby wadliwej i nieodpowiedniej — jest wielka.

O stanie obecnym masy włościańskiej — sądzić najtrudniej. Nurtuje ją głuche, bierne niezadowolenie. Lecz jest to zjawisko w Rosji stałe, z którego żadnych wniosków wyprowadzać nie sposób. Dziś niezadowolenie z rządu jest większe o tyle, że popiera on bezwzględnie wszelkich bogaczów wiejskich („kułaków“), którzy otrzymują z własności ogólnej wsi najlepszą rolę oraz zmuszają do opuszczenia gromady różnych biedaków, by później od nich nabyć ich udział za bezcen. Wobec przecież odosobnienia i rozrzucenia wsi, ciemnoty ludu wiejskiego oraz bardzo troskliwej i bacznej pieczy nad nim władz wiejskich, w osobach: duchownego, starosty, pisarza, strażnika, —jedynego ujścia dla wyrażenia swego protestu szuka on w niezawodnej pocieszycielce—wódce. W czasach ostatnich dużo pisano o „chuligaństwie“ na wsi rosyjskiej. Władze wniosły nawet projekt karania „chuligaństwa“ cieleśnie. Otóż, jak piszą pisma postępowe, „chuligaństwo“ to — poza ekscesami jakie powoduje nadużycie alkoholu — polega głównie na braku poszanowania dla władz wiejskich, okazywanemu przez włościan. Chłop rosyjski ośmiela się nie słuchać starosty, ośmiela się nie zdjąć czapki przed p. „uriadnikiem“. Toż to chuligaństwo niesłychane! Z tym swojskim, a tak skromnym buntem chłopskim przeciwko ustanowionym przez Boga władzom — te ostatnie pragną na sposób swojski się rozprawiać. Wprawdzie i obecnie „rukoprikładstwo“ jest w użyciu powszechnem, lecz... czasy obowiązują, potrzeba zatwierdzenia prawnego, i tego się p. Puriszkiewicze domagają.

Rosnący wciąż pomruk niezadowolenia na nizinach społecznych — z jednej strony, a zwiększająca się wciąż reakcja kół rządowych — z drugiej — nie mogły nie wpłynąć na stanowisko innych sfer społeczeństwa rosyjskiego.

Nie tylko też sfery konstytucyjne i kulturalne Rosji, t. j. kadeci, lecz i gotowi zawsze dotąd do usług rządowych październikowcy poczynają odczuwać brak gruntu pod nogami.

Pierwsi przestali łudzić się, że uda im się za pomocą Dumy przetworzyć Rosję na państwo prawnorządne i konstytucyjne, drudzy przestają wierzyć, że rząd potrafi uchronić klasy posiadające od kataklizmów społecznych, i poczynają wątpić w skuteczność jego polityki wewnętrznej.

Tem objaśnić należy coraz głośniejsze i śmielsze domaganie się ziszczenia reform, obiecanych w manifeście październikowym; tem objaśnić należy — wystąpienia Sałazkina w Niżnim Nowgorodzie, Guczkowa — w Kijowie.

Niezadowolenie październikowców i strach przed rewolucją są tak wielkie, że październikowiec Czistiakow, na bankiecie partyjnym, który się odbył niedawno w Petersburgu, wołał z emfazą: „Rządzić dłużej Rosją za pomocą kłamstwa nie można. Tak żyć nie podobna. Nie można dreptać wciąż na miejscu. Czas kompromisów i ustępstw minął. Niechaj ci, komu nie podoba się akt 17 października, idą precz i niechaj zostaną ci, którzy będą go wprowadzać w życie“.

Zdając sobie całkowicie sprawę z grozy sytuacji, z całkowitej rozbieżności dróg, jakiemi kroczy rząd i społeczeństwo, stronnictwa burżuazyjne i inteligienckie, t. j. październikowcy, postępowcy i kadeci, nie widzą przecież dla się żadnych dróg wyjścia. Obecna sytuacja polityczna dla nich — to zaczarowane koło.

To też, choć twierdzą i wołają, że nie wierzą rządowi, że nań nie liczą, że się co do jego zamierzeń nie łudzą, — starają się przecież nań oddziałać, jeżeli nie innym sposobem, to postrachem, przedstawieniem mu jaskrawem, że atmosfera obecna jest, jak się wyraził kadet, Adżemow, w przemówieniu z powodu interpelacji w sprawie wolności zebrań, — „atmosferą, stale grożącą przewrotem państwowym“.

Licząc na działanie strachu, kadeci i postępow-

Z mego notatnika.

A więc będziemy mieli nowy wspaniały teatr... Nie jakiś poroniony płód miejscowych talentów architektonicznych, lecz dzieło monumentalne, opracowane przez wytrawnego budowniczego, wznoszone kosztem przeszło pół-miljona rubli!

Cieszmy się więc!.. Stanie na pamiętnym placu Łukiskim świątynia sztuki, ozdoba Wilna, przedmiot chluby ojców miasta, którzy na ostatniem posiedzeniu swych czteroletnich rządów, powzięli pośpiesznie decydującą uchwałę, snać obawiając się, by zaszczyt ten nie przypadł w udziale ich następcom... A no radujmy się... Nie jesteśmy egoistami, miasto jest bogate i hojne, może sobie pozwolić na taką bagatelkę, jak pół miljona rubli i kawałek najlepszego placu w śródmieściu, by urzędnicy i oficerowie nie potrzebowali obrażać swego wysoce rozwiniętego poczucia estetycznego widokiem nieco zdezelowanego wnętrza obecnego przybytku muzy rosyjskiej.

Jakże? Społeczeństwo polskie z niemałym wysiłkiem zdobyło się na własny nowy gmach teatralny, publiczność rosyjska zaś miałaby pozostać w starym? Ależ to byłoby w najwyższym stopniu niegrzecznie to byłby dowód złego wychowania! Municypalność wileńska nie mogła wszakże pozwolić na tak niepochlebną opinję o gospodarzach. Znajcie pana! Nie wypada występować z bylejakim prezentem. Nie cofniemy się przed żadnym wydatkiem, byle teatr rosyjski zaćmił i swym stylowym wyglądem zewnętrznym i swem urządzeniem nowoczesnem skromne przedsięwzięcie spółki komandytowej.

Więc się cieszmy i oczekujmy w upojeniu, że przysłowiowa uprzejmość polska spotka się z również przysłowiową wdzięcznością rosyjską. Czem by to istotnie mógł nas rząd obdarzyć wzamian? Może zezwoli na odbywanie zebrań publicznych w języku polskim? Może zniesie zakaz nauczania po polsku? Może skasuje kurje narodowościowe w ziemstwach na Białejrusi? A może przynajmniej zaniecha projektu ograniczenia praw polaków w samorządzie miejskim w naszym kraju? Tak, to ostatnie chyba najprawdopodobniejsze. I najstosowniejsze. A jeżeli tego nie uczyni? Ha, cóż trudno, będziemy wówczas narzekali na niewdzięczność ludzką. Czy to raz się już nam zdarzało? „Przywykszy“, jak mówi mieszka-

cy chcą stworzyć w Dumie blok opozycyjny wespół z październikowcami. Pertraktacje prowadzą postępowcy. Czy jednak przyjdzie porozumienie do skutku? Czy październikowcy nie zdradzą i teraz, jak dotąd? I czy wogóle blok ten da jakiekolwiek rezultaty? Zdaje się, że nawet projektodawcy, kadeci nie łudzą się co do jego owocności,

Wogóle, sesja obecna Dumy IV pod złowróżbnemi została otwarta auspicjami. Ministrowie lekceważą ją i nadal. Pozątem, rząd nie jest, zdaje się, skłonny do jakichkolwiek ustępstw i na drogę konstytucjonalizmu wstąpić nie zamierza. Przestałby być sobą.

Stanowisko jego znakomicie charakteryzuje w № 13513 „Nowoje Wriemia“ Mienszykow. „Na nasze czasy Rosji starczy,—twierdzą biurokraci — a potem niech nawet trawa nie rośnie“*).

Lecz czegóż w takim razie należy się spodziewać? Miast odpowiedzi, najroztropniej—postawić jest kropkę.

Wi-ski.

Zarzuty i wyjaśnienie.

Poniższy artykuł p. M. R. zamieszczamy nie tylko w imię zasady bezstronności. Daje on nam możność rozwinięcia myśli, wyrażonych w № 41—42 naszego pisma oraz umotywowania zawartych w nim twierdzeń, które wywołały zarzuty ze strony p. M. R.

W № 41—42 „Przeglądu Wileńskiego“ w artykule wstępnym p. t. „Maskarada“ p. L. A. zarzuca wileńskiemu organowi postępowców rosyjskich p. t. „Wieczerni aja Gazieta“, szerzenie rusyfikacji w kraju.

„Wolimy, powiada p. L. A., urzędowy „Wil. „Wiestnik“ z jego brutalną propagandą antipolską, „niż demokratyczną „Wiecz. Gazietę“ w sposób „pokojowy, w imię ideałów wolnościowych torują„cą drogę rusyfikacji ludności miejscowej. Jedno „jest narzucone z góry, drugie jest wytworem „społecznym, pierwsze jest cynicznie otwarte, „drugie podstępne i bałamutne“,

Zdaje mi się, że p. L. A. nie ma tu całkowicie racji. Przedewszystkiem jest pewna niescisłośc w zestawieniu powyższego ustępu, w ktorym p. L. A. stwierdza, że „Wiecz. Gazieta“ jest „wytworem społecznym“, z innym ustępem tegoż artykułu, w którym p. L. A., motywując szczególną szkodliwość tego pisma, powiada tak: „Wiecz. Ga„zieta“, uobywatelniając niejako napływowy ele„ment rosyjski, wprowadza nowy czynnik do układu narodowościowego na Litwie i Białejrusi i „powoduje jeszcze większą gmatwaninę w stosun„kach i pojęciach“.

Albo gazeta ta i kierunek, przez nią wyrażany, jest istotnie wytworem społecznym, to znaczy zjawiskiem naturalnem, które wolno oczywiście uważać za ujemny i przeciwdziałać mu, ale w takim razie nie gazeta uobywatelnia element rosyjski, nie ona jest sprawczynią tego faktu, bo sama jest dopiero wyrazem, wytworem odpowiednich stosunków. obecnych w życiu krajowem, albo jest ona rzeczywiście antrepryzą sztuczną, jest sama, że tak powiem, inscenizatorką „uobywatelnienia“ rosjan w kraju, a w takim razie nie jest „wytworem społecznym“, jeno takąż akcją, narzuconą z góry czy przynajmniej z zewnątrz, jak „Wilen. Wiestnik“, chociaż w innej szacie.

Wprawdzie od tego lub innego poglądu na samą istotę społeczną ruchu, reprezentowanego przez „Wieczern. Gazietę“, zależy w dużym stopniu jego ocena i jego żywotność, wszakże nie o to tylko chodzi.

Oczywiście szablonowo zjawisk żywych w społeczeństwie żywem oceniać nie należy. Sam fakt wystawienia hasła demokratycznego nie świadczy jeszcze bezwzględnie o pożyteczności jakiegoś

*) На нашъ вѣкъ Россіи хватитъ. а тамъ хоть трава не расти.

niec tutejszy, który ze swej kieszeni opłaci kosztowne zachcianki „panstwa“.

Coby jednak szkodziło zaczekać z ostateczną uchwałą do nowej kadencji? Po co taki pośpiech? Czy nie grała tu roli również obawa, że w nowem gronie radnych nie pójdzie sprawa tak gładko, że może natrafić na opozycję? Zwyciężyła wprawdzie lista „bezpartyjna“, lecz na niej figurują nazwiska osób, bynajmniej do kompromisu nie skłonnych, nie nawykłych do chowania swego zdania pod korcem. A my tak nie lubimy, gdy się rozlega głos krytyczny, gdy na sali nie panuje powszechny zgodny entuzjazm!

I to nie tylko w Radzie Miejskiej.

We wszystkich instytucjach i organizacjach. Wszelkie protesty i zdania samodzielne są uważane za nieprzyzwoity wybryk, za schocking! A gdy mówca się nie cofnie przed pomrukiem zgromadzenia, może nawet zostać zmuszonym do milczenia przez ogólny hałas. Tak się np. stało na zebraniu T-wa Przyjaciół Nauk, gdzie jeden z mówców musiał przerwać swe przemówienie, gdyż na sali wszczął się tumult. I gdybyż to był przynajmniej jaki postępowiec czy przewrotowiec! Gdzie tam! Przeciwnie—człowiek, który zawsze niemal idzie z większością. Ale tym razem znalazł się w mniejszości i srodze został za to ukarany.

Co prawda na zebraniu tem panowało dziwne zamieszanie. Swój swego nie poznawał. Ks. poseł solidaryzował się z prezesem stowarzyszenia p. f. „Wiestnik Znanja“, żona nie zgadzała się z mężem, lord-major spotkał się z opozycją ze strony swego zastępcy. Słowem pojęciowa wieża Babel. Poszło zaś, jak zwykle, o szczegół, mianowicie, czy może ktoś zostać członkiem honorowym T-wa, (który to tytuł przysługuje ludziom zasłużonym w nauce), jeżeli nie posiada po temu odpowiednich kwalifikacji, a mimo to nie chce poprzestać na tytule członka-protektora?

Większość znajdywała, że zasady powinny ustąpić wobec korzyści realnych (ofiarowania wzamian cennych zbiorów), prezes stowarzyszenia p. f. „Wiestnik Znanja“ wygłosił nawet zdanie, że poglądy przeciwne są głosem demosu, za co spotkały go rzęsiste oklaski, mniejszość natomiast stała uparcie przy swojem, powtarzając jako leitmotiv: *timeo Danaos et dona ferentes*. W rezultacie zakrzyczano zbyt krewkiego wyraziciela opinji mniejszości i... uspokojono

ruchu. Pożyteczność czy szkodliwość jego musi być wywnioskowana nietylko z jego, że tak powiem, sztandaru, lecz też i przedewszystkiem z rozważenia stanowiska jego i oddziaływania w konkretnych warunkach miejsca i czasu, to znaczy w warunkach społecznych i kulturalnych w danej chwili dziejowej. Z tego też punktu postaramy się kwestję rozważyć.

Bardzo słusznie zauważył p. L. A., że ruch czy kierunek, reprezentowany przez wileńską „Wieczernię Gazietę", jest zjawiskiem w kraju naszym nowem. Istotnie mieliśmy i mamy od szeregu lat całe mnóstwo gazet i gazetek rosyjskich czy rosyjsko-żydowskich „postępowych". Rosną one, jak grzyby po deszczu, nietylko w większych miastach jak Wilno, Kowno, Mińsk, Witebsk, Mohylów, Dyneburg, ale też w całym szeregu mieścin powiatowych takich, jak Lepel, Bobrujsk, Homel i t. p. Zważywszy na ilość i płodność tej bibuły dziennikarskiej, stanowiącej prasę „rosyjską postępową", zdawałoby się, że istotnie element rosyjski w Litwie i Białejrusi stanowi siłę poważną, znacznie przerastającą siłę kulturalną polaków, których cała prasa ześrodkowana jest wyłącznie w jednem Wilnie, oraz litwinów ani tembardziej oczywiście białorusinów. Nawet właściwa prasa narodowa żydowska ginie w tej powodzi pisemek rosyjskich.

Cechą wspólną wszystkich tych pisemek jest szablonowość i ogólnikowość wyrażanego w nich „postępu". Sprzyjają one zasadom równouprawnienia, komentują zjawiska polityczne przez pryzmat ogólnopaństwowych tendencji postępowych, nowego dają—mało albo nic zgoła. Nie wyrażają jakichś określonych konkretnie postulatów ludności miejscowej, nie odtwarzają życia i kultury swoistej kraju, nie biorą udziału czynnego w wytwarzaniu form i kierunków rozwoju społeczności krajowej. Co najwyżej, poza ogólnopaństwowym szablonowym postępem, odtwarzają życie i prądy tej mieściny, w której wychodzą, oraz dają kilka korespondencji informacyjnych z najbliższej okolicy. Są one zresztą przeważnie pozbawione wszelkich cech idejowych i albo są przedsięwzięciem spekulacyjnem albo też służą jakiejś koterji lokalnej.

To też cała ta prasa „rosyjska postępowa" jest przeważnie dla kraju obca i do wywarcia wpływów głębszych niezdolna. Co najwyżej działa ona niwelująco na masę półinteligiencką żydowską, bo jeżeli chodzi o właściwą inteligiencję żydowską, to ta nie z tych pisemek, lecz wprost z wielkiej prasy petersburskiej i moskiewskiej wchłania elementy rosyjskiej kultury i określa swoje aspiracje polityczne. To też pisemka te, bez względu na ich ilość i płodność, nie mogą iść w porównanie ani z prasą polską, ani litewską, ani narodową żydowską, ani nawet ubogą białoruską, które w stosunkach krajowych grają rolę czynną i twórczą.

Zgoła inaczej wygląda wileńska „Wieczernaja Gazieta", pismo idejowe i, jak zaznaczył p. L. A.,—krajowe. Jest ona w kraju naszym pierwszym bodaj i jedynym wyrazem prasy postępowej w języku rosyjskim, która zrywa z martwym szablonem ogólnopaństwowym i dąży do zajęcia określonego stanowiska w układzie stosunków krajowych, pojmując ich żywą osobowość.

Owóż nie należy zapominać, że w kraju naszym, zwłaszcza na Białej Rusi, oprócz elementów rosyjskich napływowych, z gruntu społeczeństwu miejscowemu obcych, najczęściej mu wrogich i pełnych dlań pogardy a zapatrzonych we wzory „kultury" z nad Newy lub Moskwy, co się stosuje nietylko do jawnych prawicowców i nacjonalistów, ale i do wielu t. zw. „liberałów", którzy, będąc czerwonymi w ojczyźnie, stają się gorliwymi krzewicielami idei państwowej na przeklętych „kresach",—są też całe masy ludności inteligienckiej i półinteligienckiej pochodzenia miejscowego, białoruskiego, używającego języka rosyjskiego i mniej lub więcej zasymilowanej przez kulturę rosyjską. Takim jest przeważnie mieszczaństwo prawosławne Białej Rusi wschodniej, do takich należy dotąd większość jednostek, które wyszły z ludu, z białorusinów prawosławnych, wreszcie tłum drobnych urzędników, pracowników biur i kancelarji.

Masa ta dotąd była bierna i bezbarwna, nieczuła na troski krajowe, na związki krwi i kultury, które ją w założeniu z tym krajem łączyły. Wchłaniała w siebie elementy napływowe, upodabniała się rosjanom, zachowując wszakże nieświadomie w głębi swojej pokrewieństwo z ludem miejscowym i stare pierwiastki rodzimego ducha w swej umysłowości i charakterze. Ich stanowisko, sposób zarobkowania, otoczenie, szkoła, a nadewszystko religja — pchały ich w kierunku rusyfikacji.

Przy powszechnym prawie letargu społeczeństwa krajowego, pod straszliwym uciskiem praw wyjątkowych, które tamowały wszelki społeczny, ruch krajowy, gdy kultura polska była w kraju tym ograniczona wyłącznie do kościoła katolickiego i domowego użytku w rodzinach polskich, gdy nawet teatru i słowa drukowanego lub głoszonego publicznie polskiego nie było, bo to było za zbrodnię uznane i zakazane, gdy ruch litewski, bardzo zresztą daleki dla tej rzeszy rosyjsko-białoruskiej, publicznie się ujawniać nie mógł i dopiero się przemycał zzagranicy, żłobiąc pierwsze zarysy późniejszego rozkwitu swego, gdy ruchu białoruskiego nie było jeszcze wcale poza jakąś niele-

---

się dopiero na skutek czyjejś uwagi, że kwestja jest akademicka, ponieważ ewentualny ofiarodawca nie zabiega wcale o zaszczyty (posiada już tytuł hrabiowski!), lecz pragnie zostać dożywotnym członkiem Zarządu, czego znów nie przewiduje ustawa. Wybrano więc deputację, która ma wszcząć rokowania z owym danajczykiem i znaleść wyjście z trudnej sytuacji.

Wogóle zebranie się odznaczało niezwykłem podnieceniem. Przy lada okazji sypały się oklaski. Chwilami zdawało się, że nie jest to posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, lecz wiec polityczny, albo przedstawienie teatralne. Być może, że publiczność chciała powetować swe zimne zachowywanie się w teatrze, gdzie stale panuje uroczysty, dystyngowany nastrój, niby właśnie w Akademji. Dopiero „Zdobycie" Berg-op-zoomu" przełamało lody i rozruszało widownię. Jest więc nadzieja, że następne zebrania w rozmaitych stowarzyszeniach, będą mogły się odbywać ze zwykłą apatją. Temperamentu i tu i tam bowiem nie wystarczy. Chyba w usposobieniu ogółu zajdzie zmiana pod wpływem stałej lektury tryskającego werwą „Kurjera Litewskiego"...

Licz.

galną a odosobnioną garstką „Biełaruskiej Socjalistycznej Hromady". nie było żadnych elementów wewnętrznych, krajowych, które mogłyby na tę masę rosyjsko-białoruską oddziałać, wyrwać ją z łożyska postępującej rusyfikacji, obudzić zmysł krajowy i pchnąć na inne tory bytowania kulturalnego.

Dziś, choć ucisk nie ustał, choć system praw wyjątkowych trwa jeszcze i na długo zapewne kraj nasz, we władaniu swem mieć będzie, dużo się jednak w wewnętrznym układzie naszego społeczeństwa zmieniło. Ruch społeczny, kulturalny i narodowy staje się coraz bardziej intensywny, społeczeństwo się organizuje i dojrzewa szybko. Z roku na rok życie krajowe się coraz bardziej komplikuje i staje barwniejszem, twórczem, pełnem wyrazistości i energji.

Pod wpływem tego ruchu, tej powstającej woli, tej energji twórczej, ktora zewsząd bije i uwydatnia życie i kulturę naszego kraju, zaczynają się zwolna budzić nawet te żywioły rosyjsko-białoruskie, których związek z krajem był najsłabszy, najbardziej zatopiony przez napływowe elementy rusyfikacji. Odzyskują one związki z krajem, z podłożem rodzinnem; zaczyna w nich świtać świadomość rzeczy dawno zapomnianej, która jednak przetrwała w pozaświadomych elementach ich psychiki. Rzecz bliska, kraj własny, zaczyna się w nich budzić; spostrzegają dokoła siebie ruch, życie, kulturę, twórczość, której nie znali, zapatrzeni w centrum potęgi państwowej, stamtąd tylko czyn widzący w suchych formułkach urzędowych. Widzieć i rozumieć zaczynają. że formuła urzędowa, mechaniczna, że „kultura" zdaleka idąca i tak bardze różna od kultury krajowej, — jest czemś, co w życiu twórczej roli nie odegra. To też się bliżej życiu krajowemu przyglądać zaczynają i ulegać zaczynają urokowi jego.

Jest to istotnie prąd do ukrajowienia się, prąd, który w rozwoju swym tamę położyć może głębszą rusyfikacji tych elementów. O ile są one postępowe, chcą one zmienić, przekształcić radykalnie swój „postęp" szablonowy, frazesowy, ten właśnie „z nad Newy" czy z obszarów wielkorosyjskich mechanicznie im zaszczepiony i mający wyraz w całej masie pisemek, na postęp taki, który jest zastosowany do stosunków i potrzeb krajowych, a przeto jest żywy i może być istotnie czynny, nie zaś tylko świecić próchnem frazesu.

Wyrazem tego prądu, tego, powiedziałbym, świtania raczej—jest, jak mi się zdaje, „Wieczerniaja Gazieta". Że pismo to powstało w Wilnie. że tu właśnie ten prąd czy kierunek nowy się narodził i ujawnił, tu, gdzie elementu tego, rosyjsko-białoruskiego, jest najmniej w porównaniu do miast wschodniej Białejrusi, to, zdaje mi się, daje się wytłómaczyć tem, że tu elementy tej najżywiej odczuwać muszą ruch życia krajowego, bo tu jest on najsilniejszy, a jednocześnie one same są najmniej skondensowane. Tu zapewne prąd ten, w „Wiecz. Gezecie" wyrażony, znaleźć może największy oddźwięk i poparcie śród tego elementu. Że z prądem tym się zespalają pewne, nieliczne zresztą, elementy rdzennie rosyjskie, które wyczuwają też może jałowość stanowiska „postępu wszechpaństwowego" w tym kraju,—to jeszcze samo przez się świadczyć przeciwke niemu nie może. Pozatem prąd taki może oddziaływać dodatnio i na czytającą po rosyjsku masę żydowską, która, niestety, bardzo daleko jest dziś jeszcze od świadomego związku z krajem, w którym mieszka.

To też, zdaje mi się, że zasadniczo prąd ten czy kierunek nie może być uznany za zły i szkodliwy dla kraju i kultury jego. Zestawiać go należy nie z „Wilenskim Wiestnikiem", który jest wyrazem całkiem obcych dążeń, ale raczej z innym równoległym prądem, który z tychże, co „Wieczernieja Gazieta" sfer i elementów wychodzi, ale jest zwrócony w kierunku wręcz przeciwnym, mianowicie z prądem, reprezentowanym przez pp. Sołoniewiczów i Kowaluków, opierającym się na białorusinach zrusyfikowanych i dążącym do całkowitego zasymilowania Białejrusi prawosławnej a operującym demagogją najlichszego gatunku.

Inną rzeczą jest zasada, istota prądu, reprezentowanego przez „Wieczern. Gazietę", inną zaś jest kwestja wykonanie tej zasady w piśmie. Zdaje mi się, że poddając najsurowszej rzeczowej krytyce wykonania zasady w „Wieczerniej Gazietie", nie należy potępiać samego prądu, który się w niej wyraża. Wykonanie może szwankować, bo sam prąd jest bardzo świeży i jeszcze się może nie ułożył całkowicie, nie znalazł zupełnej należytej formy i dokładnych stanowisk w wielu kwestjach, ale sam przez się nie zasługuje na tę ostrą ocenę, jąką mu dał p. L. A.

M. R.

* * *

Przedewszystkiem wymaga wyjaśnienia kwestja, poruszona na wstępie artykułu p. M. R. Niema żadnej sprzeczności między obu przytoczonemi ustępami. „Wiecz. Gazieta" może być wytworem społecznym, placówką, nie narzuconą z góry, lecz powstającą samorzutnie na skutek wzrostu żywiołu rosyjskiego w naszym kraju, a jednocześnie przedsięwzięciem tendencyjnem, mającem na celu sankcję i utrwalenie zasady rosyjskiego obywatelstwa krajowego — pojęcia dziwacznego, wypływającego z anormalnych stosunków politycznych.

Wszelka myśl społeczno-polityczna nie jest ideją oderwaną, lecz produktem danego środowiska i warunków czasu, mimo to jedaak mówimy o wpływie jej na kształtowanie się życia tak, jakby ona była dźwignią zzewnątrz. Roztrząsania akademickie wszakże na temat powyższy, chociaż niewątpliwie ciekawe i pouczające, zaprowadziły by nas zbyt daleko. Wróćmy do „Wiecz. Gaziety".

Zestawienie jej z „Wil. Wiestnikiem" miało na celu zaznaczenie, że pierwsza jest wydawnictwem nie urzędowem, powołanem do życia z inicjatywy prywatnej, gdy drugi jest organem, funkcjonującym z woli administracji. Wspomniana przez p. M. R. „Siew. Zap. Żiźń", kierunkiem swym nie różniąca się od „Wil. Wiestnika", również jak „Wiecz. Gazieta" jest przedsięwzięciem prywatnem; czyż na tej podstawie można uważać organ p. Sołoniewicza za zjawisko naturalne, za wyraz istotnych czynników rozwojowych kraju? Warunki nienormalne wytwarzają sztuczne narośle, które z pozorów czynią wrażenie niezbędnych składowych części organizmu, w rzeczywistości zaś znikają bez śladu niemal, gdy organizm zaczyna znów funkcjonować prawidłowo.

Zarzuciliśmy „Wiecz. Gaziecie" bałamuctwo i brak konsekwencji. Przytoczone przez p. M. R. motywy bynajmniej nie obalają powyższego poglądu.

du. Istotnie istnieje w naszym kraju spora armja półinteligiencji, rekrutująca się z ludu białoruskiego, a ulegająca wpływom kultury wielkorosyjskiej. Z wszelkiem prawdopodobieństwem należy przypuszczać, że element ten na zawsze jest stracony dla sprawy białoruskiej. Żadne wysiłki nie zdołają zepchnąć mas z wyższego szczebla kulturalnego na niższy. Może to się udać tylko z jednostkami. Mamy wszakże wymowne przykłady daremnej syzyfowej pracy odpolszczania spolonizowanych litwinów.

Przypuśćmy jednak, że ideja narodowa białoruska jest tak potężna, tak żywiołowa, że porwać jest zdolna za sobą tłumy, czyż może być jej wyrazicielką gazeta z ducha i języka rosyjska?

Teoretyczne wywody od czasu do czasu na temat praw ludu białoruskiego do życia samodzielnego lub odrębności tego kraju pozostaną martwą literą, gdy tuż obok cały materjał informacyjny i publicystyczny skierowuje umysł czytelnika w stronę Petersburga lub Moskwy. W najlepszym razie zaszczepi się temu czytelnikowi pewien separatyzm prowincjonalny, którym niekiedy i p. Sołoniewicz się popisuje, lecz nigdy poczucie odrębności narodowej. Wpływ kultury rosyjskiej przez to nie zmaleje.

Żaden ruch żywiołowy nie potrzebuje krętych dróg, szczególniej w swem zaraniu, gdy pierwiastki idejowe w nim przeważają. Jeżeli ruch narodowy białoruski ma przed sobą przyszłość, to musi ją wywalczyć przebojem, rzucając swe hasła w dusze młode, zapalne, zdolne do wielkich uniesień i ukochań. Tak się budziły do życia wszystkie młode narody, pod wpływem gorącej propagandy wierzących w tryumf swej idei patryjotów. Szukanie nowych sposobów, tchnących wallenrodyzmem, świadczy o poczuciu niemocy lub o zaniku pierwiastków idejowych.

Gdy ruch litewski zboczył na manowce nacjonalistyczne, powołał do życia dziwaczny twór, pismo w języku polskim, mające szerzyć uświadomienie narodowe litewskie śród społeczeństwa polskiego. Jakież są rezultaty paroletniej egzystencji „Litwy“?

Zaostrzenie antagonizmu polsko-litewskiego i zdobycie paru grafomanów, którzy nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w piśmiennictwie polskiem. Oto cały plon nowoczesnych Machiawelów z pod znaku ks. Propolanisa. Ale „Litwa“ powstała wówczas, gdy już ruch litewski rozlał się szeroko i utrwalił podstawy swego rozwoju. Żadnemu działaczowi litewskiemu nie przyszło do głowy w początkowem stadjum odrodzenia narodowego szukać podobnych dróg do krzewienia swej idei.

Jeżeli więc intencje założycieli i kierowników „Wiecz. Gazety“ są szczere, to należy stwierdzić, że nie dorośli oni jeszcze do swej roli pjonierów młodego ruchu narodowego, jeżeli zaś stanowisko obrońców ludu białoruskiego jest tylko pretekstem do występowania w charakterze rzeczników interesów demokracji krajowej, to maskarada taka wymaga publicznego ujawnienia. Łatwiej bowiem odpierać zakusy rusyfikacyjne szczere niż podstępne.

A że nie chodzi „Wiecz. Gaziecie“ o tych rusyfikujących się prawosławnych białorusinów, których ma na myśli p. M. R., tego dowodzi fakt wydawania jej w Wilnie, gdzie ludność, poza żywiołem napływowym rosyjskim i żydami jest wyłącznie katolicką i polską. Nie miejsce druku gra tu rolę, lecz teren rozpowszechnienia.

W Wilnie również jest drukowaną większość pism litewskich, rynek zbytu ich jest jednak w granicach Litwy etnograficznej. „Wiecz. Gazieta“ natomiast w nieznacznej ilości rozchodzi się na prowincji. Przystosowana jest celowo do potrzeb mieszkańca Wilna. Tu w Wilnie też, cały niemal nakład jej znajduje konsumentów, których niemały procent stanowią czytelnicy polscy, a zwłaszcza tłum „tutejszy“, o słabem uświadomieniu narodowem. Tłum ten właśnie jest głównym objektem oddziaływania „Wiecz. Gaziety“. I w tem tkwi szkodliwość jej bezpośrednia.

Pośrednią zaś szkodę wyrządza szerząc bałamutną teorję możliwości uobywatelnienia żywiołu rosyjskiego w naszym kraju, co stanowi wysoce niebezpieczną inowację.

L. A.

Projekt hipoteczny.

Myśl wprowadzenia hipoteki w państwie Rosyjskiem nie jest nowa. Od lat 50-iu różne komisje zbierały w tym celu niezbędne materjały i tworzyły mniej lub więcej udatne projekty, dotychczas jednak nie przybrały one kształtów konkretnych.

Są różne zaprojektowania—szczęśliwe i mniej szczęśliwe. Jedne urzeczywistniają się niby za skinieniem laski czarodziejskiej, np. projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny, projekt ziemstw na Rusi; drugie rodzą się niby z kamienia — np. projekt ustawy karnej po ciężkich narodzinach (w r. 1903) do dziś dnia nie wszedł w całości w życie. Projekt ustawy hipotecznej ma już swoją półwiekową historję, lecz wciąż pozostaje projektem. Całe pole stosunków majątkowych—sprzedaż, kupno, odłużenie—powstaje w warunkach nienormalnych i nieprzystosowanych do tętna życia spółczesnego.

Kiedy Królestwo Polskie od lat stu blizko (r. 1818) posiada doskonały ustrój hipoteczny, kraj nasz, dzieląc los gubernji wewnętrznych państwa, pozbawiony jest tego ustroju.

Największemi wadami obecnego prawodawstwa pod tym względem są: 1) brak regiestracji odpowiedniej i 2) brak jawności tranzakcji zawieranych. Ogłoszenia w „wiadomościach senackich“ chybiają celu, jak również chybiają go i regiestry notarjalne, prowadzone w sposób zgoła kancelaryjny. Przy obecnym stanie rzeczy choćby najmniejszy akt kupna lub zastawu przepisywany jest kilka razy, kosztuje drogo, wędruje do kancelarji notarjalnej długo, tam zaś leży całemi miesiącami.

Obecnie *Ministerjum Sprawiedliwości* opracowało projekt ustawy hipotecznej, która obejmie i nasz kraj. Ustawa ta (*Wotczinnyj ustaw*) wkrótce ma być wniesiona na rozpatrzenie Izb prawodawczych. Zadaniem hipoteki jest danie możności wierzycielowi jaknajskuteczniejszego sposobu zabezpieczenia się na majątku dłużnika, oraz kupno i sprzedaż nieruchomości bez obawy unieważnienia aktu i niespodzianek wszelakich. Hipoteka przeto winna być lustrem, w którem z całą dokła-

dnością odbijał by się *stan prawny* majątku—tytuł własności, stan odłużenia i obciążenia. Czynnikami niezbędnemi takiego stanu rzeczy muszą być: 1) jawność i 2) rękojmia wiary publicznej. Jeżeli na majątku mogą być pewne ciężary lub zobowiązania nie ujawnione (t. zw. tajne) wówczas system hipoteczny jest wadliwy.

Projekt ministerjalny w części swej ogólnej zapewnia, iż stoi na gruncie: jawności, rękojmi hipotecznej, szczególności i pierwszeństwa (*prior inscriptione potior jure*).

Treść ksiąg hipotecznych uznana jest za „jawną“ i wszystko co wpisane ma moc obowiązującą i nie podlegającą przedawnieniu.

Tytuł własności na nieruchomość we wszystkich wypadkach dobrowolnej sprzedaży uprawnia się przez wpisanie nowonabywcy do księgi hipotecznej (*wotczinnaja kniga*).

Nabycie atoli majątku drogą bądź spadku, bądź licytacji, zgodnie z projektem, nie wymaga zapisu do księgi hipotecznej, co paczy ogromnie zasadę jawności. Dotyczy to również serwitutów i ciężarów, z prawa wypływających, które obowiązują każdego właściciela i osoby trzecie, pomimo zapisu do ksiąg, oraz korzystają z przywileju pierwszeństwa.

Jeszcze większą gmatwaninę wnoszą przepisy o „*aktach zastawniczych*“, które zezwalają na obciążanie nieruchomości długami z pomocą owych aktów i są zgoła zbytecznemi i szkodliwemi, utrudniając cesję.

Inowacją pożyteczną jest natomiast przepis, wprowadzający zasadę, iż dłużnik odpowiada nietylko majątkiem, hipoteką obciążonym, lecz całem swem mieniem.

Rzecz prosta, iż w artykule niniejszym trudno wskazać wszystkie wady rozpatrywanego projektu.

Nie kusimy się też o to. Pragniemy zwrócić uwagę społeczeństwa naszego na ważność projektowanej reformy. Rozdrabnianie się większej własności ziemskiej w kraju naszym postępuje dość szybkim krokiem; powstaje drobna własność prywatna. Dla tej to własności ustrój hipoteczny jest niezbędnym warunkiem egzystencji, ponieważ nie tylko ułatwi proces nabywania ziemi, lecz ułatwi również kredyt długoterminowy, bez którego w większości wypadków, nie ma ona możności istnienia.

F.

Zgnilizna.

Lwów, w listopadzie.

Określając Demokrację Narodową, ktoś trafnie się kiedyś wyraził, że jest to partja nie tyle zasad, ile posad.

Jeśli w Królestwie, a tem bardziej w Poznańskiem można mieć co do tego jeszcze pewne wątpliwości, to łatwo ich się pozbyć na gruncie galicyjskim. Przeniósłszy się z Warszawy do Lwowa, Dem. Narodowa postradała nie tylko swą dawną rewolucyjność, lecz wogóle wszystkie resztki ideowości. Stała się poprostu kliką, łakomą na stanowiska publiczne i walczącą o nie bez przebierania w środkach.

Początkowo dążenie do owych stanowisk usiłowano osłaniać troską o dobro narodu; szło niby o „wymianę mózgów“, o wysunięcie na czoło społeczeństwa nowych, młodych sił, nietylko rozumiejących nowoczesne wymagania życia, ale umiejących działać solidarnie w ściśle określonym kierunku i nie zrażając się koniecznemi na dziś odstępstwami. Nawet w szeregach partji były (i są może dotąd) jednostki, co uczciwie w niezbędność onej „wymiany“ wierzyły. Obecnie jednak większość tych ludzi od stronnictwa odpadła.

Łudzić się bowiem trudno, że niepostrzeżenie prywata i karjera wzięły w stronnictwie górę nad abstrakcjami i dążeniami idejowemi. Droga realizowania „programu na dziś“ — okazała się zbyt śliska. Po twórcach partji, ludziach przeważnie czystych i mocnych, wyrosłych w ogniu walk podziemnych, warszawskich, przyszła falanga karjerowiczów, wyhodowanych na swobodzie galicyjskiej.

Udzieliwszy sobie raz dyspensy na oportunizm i mając przed oczyma jeden tylko cel: stanowiska dla „swoich“ ludzi — rozpoczęto akcję, nie znającą żadnych granic sumienności. Sprytne przystosowywanie się do warunków chwili i miejsca pozwalało endecji równocześnie walczyć i kokietować ze wszystkiemi niemal żywiołami: tu z klerem, tam ze szlachtą, owdzie z postępowcami, a gdzieniegdzie przyjaźnić się nawet—z kahałem.

Ta plątanina kierunków faktycznych, nie pozwalająca na wysuwanie żadnego ogólnego sztandaru, odebrała wkrótce wszelką możność idejowego walczenia zasadami. Nie pozostało nic, jak tylko godzić w jednostki, w osobistości.

Rozpoczęła się więc kampanja bezprzykładnych oszczerstw i napaści na każdego, kto się stronnictwu niebezpiecznym lub niedogodnym wydaje.

Obrana metoda, polegająca na wytrwałem, bezustannem szczuciu, na rozpowszechnianiu zapomocą prasy najrozmaitszych szkodliwych dla wroga legiend, na urabianiu jaknajpodlejszej opinji, a wreszcie utrudnianiu mu pracy przez rzucanie pod nogi kamieni i kamyków — skuteczność swą okazała już w walce Nar. Demokracji z namiestnikiem Bobrzyńskim.

Dalecy jesteśmy od idealizowania p. Bobrzyńskiego—stańczyka, klerykała—lecz nikt zaprzeczyć nie może, iż jest to człowiek nieskazitelnej uczciwości i dużego rozumu. Ale dla Dem. Narodowej był on niewygodny: 1) dążył do zgody z rusinami, gdy właśnie partja ta niezgodą z nimi żyje; 2) w sferze urzędniczej porozbijał kliki endeckie, które zdążyły się już były potworzyć—zwłaszcza w sądownictwie.

To były dwa główne kamienie obrazy. Skorzystano tedy ze sposobności—z namiestnikowskiego (t. zw. blokowego) projektu reformy wyborczej i postarano się uczynić wszystko, by ją obalić. Gdy nie udało się przeciągnąć na swoją stronę opinji publicznej, postanowiono zdobyć bodaj kilku, ale zato bardzo wpływowych ludzi. Wyjednano protest biskupów.

Tu Bobrzyńskiemu—wiernemu synowi kościoła —ręce opadły.

Ustąpił, choć nikt chyba nie miał wątpliwości, że obaliła go niecna intryga, w której nie było ani źdźbła myśli o dobru publicznem. Wszyscy wiedzieli, że rozbicie układów z rusinami polakom przyniesie szkodę; że każdy następny projekt re-

formy będzie dla nas gorszy, bo siła, znaczenie i pretensje rusinów z każdym rokiem wzrastają. Prasa stronnictw „blokowych“ wykazywała to jasno, ostrzegała.

Dziś okazuje się, jak przewidywania te były słuszne.

Rusini nietylko żądają obecnie większych, niż przedtem ustępstw, ale walkę przenieśli do Wiednia, by wywołać interwencję władz centralnych, gdzie mają licznych sojuszników. Nie wykluczone też jest narzucenie nam przez Wiedeń reformy, która mieć będzie na oku nie drażnienie ukraińców, ile że w danej chwili monarchja Habsburska wielce się z nimi rachuje. Pogłoski o zawieszeniu w Galicji konstytucji to groźba zupełnie realna. A zawieszenie konstytucji nam przedewszystkiem dałoby się we znaki, jako głównym gospodarzom kraju.

A co na to polacy?

Oto dowiadujemy się, że episkopat gotów jest cofnąć swe *veto*, byle tylko reforma nie szła dalej niż ją projektował Bobrzyński.

Taki obrót rzeczy byłby dla każdego stronnictwa politycznego ostateczną kompromitacją. Nie będzie nią jednak zgoła dla endecji. Jej przecież o nic innego nie szło, jak tylko o wygryzienie Bobrzyńskiego. To jej się powiodło; jest zadowolona; *pracuje* dalej.

„Pracę“ tę skierowała oddawna przeciw Stapińskiemu. Wódz stronnictwa ludowego jest jej nie na rękę. Pod jego buławą ludowcy stali się najpotężniejszą w kraju partją. Że zaś ich punkt oparcia jest w zachodniej części kraju, gdzie jednolity skład narodowościowy nie daje sposobności do antagonizmów nacjonalistycznych, więc okazują dużą skłonność do zgodnego z rusinami spółżycia. Nadto ludowcy posiadają konsekwentny program ekonomiczno-społeczny. Program ten o tyle jest umiarkowany, że szlachta - zachodnio - galicyjska, na niewielkich stosunkowo osiadła majątkach, kompromisy uważa za możliwe. Na gruncie jednak wschodnio-galicyjskim, gdzie potomkowie dawnych „królewiąt“ olbrzymie posiadają latifundja, tenże program wydaje się nadzwyczaj radykalnym i godzącym w t. zw. „polski stan posiadania“.

Ten to wzgląd nadaje walce Nar. Demokracji z ludowcami pewną cechę idejowości. Jedyną zresztą — no i nie bardzo licującą ze stanowiskiem demokratycznem.

Ale tego od endecji nikt już nie wymaga. Ta część szyldu przestała ją dawno obowiązywać.

Gorsze jest to, że zawiść, która prowodyrów stronnictwa przedewszystkiem uzbraja przeciw Stapińskiemu, pozwala im używać najniecniejszej broni. W napaściach na wodza ludowców darmo szukamy jakichkolwiek argumentów zasadniczych. Nic — tylko kalumnje i oszczerstwa, coraz nowe, coraz bardziej kompromitujące.

Mamy wrażenie jakby wypuszczono przeciw niemu całą sforę pismaków, którzy nic innego nie mają do roboty, jak tylko myśleć, co za grzechy jeszcze wytknąć Stapińskiemu. Głupstwo, że większość zarzutów okazuje się kłamliwa. Zanim osaczony zdoła to ujawnić, już nań rzucono sto nowych oszczerstw.

Kampanję tę prowadzi się od szeregu miesięcy z wytrwałością i systematycznością, do jakiej zdolna jest tylko zawzięta mściwość natur małych, nikczemnych. Przed tym gradem drobnych kamyków i wielkich głazów, któremi Nar. Demokracja obrzuca nieustannie Stapińskiego, Herkules by się nie obronił.

To też, choć zadanie to trudniejsze, niż było z Bobrzyńskim, szans powodzenia nie jest pozbawione. *)

W nadziei, że ostatecznie uda się Stapińskiego podkopać, endecja szykuje się do wzięcia po nim spadku, a więc, równocześnie z kampanją oszczerstw osobistych, szuka sposobu na rozbicie stronnictwa ludowego i przeciągnięcia jego części pod swoją komendę. Ponieważ zaś szczucie rusinów na nic tu się nie zdało, podniesiono więc hasła antysemickie. I choć jeszcze do niedawna kokietowało się kahały (gniazda najwstrętniejszego wstecznictwa) i w statystykach antyrusińskich pamiętało się o „polakach wyznania mojżeszowego“ —dziś raptem wypowiada się bezwzględną walkę tym jedynym w zachodniej części kraju obcoplemieńcom.

Jakkolwiek ludowcy bynajmniej filosemitami nie są, lecz haseł żydożerczych na plan pierwszy nie wysuwają. W tym więc kierunku łatwo ich zdystansować, no i rozbić przy stosownej okazji.

Taki jest obecnie plan. Jeśli się powiedzie, Nar.-Demokracja, łącznie z byłymi stojałowczykami, znakomicie wzmocni swe siły i będzie mogła znów usadowić jakiegoś nowego Głąbińskiego na fotelu ministerjalnym, a mniejsze figurki po kancelarjach wydziału krajowego.

W robocie tej pomaga jej niemal cała prasa polska. Nie dlatego, by składała się z organów stronnictwa. Kieruje nią w tym wypadku jedynie bezmyślność.

Trafnie dobierany kołtuński ton wszelkich rewelacji endeckich jest dla naszego dziennikarskiego pospólstwa lepem najpewniejszym. To też każda informacja „Słowa Polskiego“ powtarzana bywa tysiąckrotnie, nawet przez pisma, które wcale nie chciałyby oddawać przysługi planom macherów lwowskich.

Prowadzona przez nich kampanja sensacyjnych oszczerstw wymierzona jest zresztą nie tylko przeciw tej lub owej osobistości. Nie! Jest to stała, jedyna metoda.

Niedawno np. „Słowo Polskie“ rozpowszechniło wiadomość o wynajmowaniu bandytów przez P. P. S. do wykonywania ekspropriacji. Informacja miała tak dalece wszelkie pozory prawdy, że powtórzyły ją nawet organy, wrogie endecji, wyrażając równocześnie żal, iż P.P.S. stronnictwo idejowe, takich brzydkich ima się praktyk. Teraz dopiero wychodzi na jaw, że wiadomość była od początku do końca zmyśloną.

Tak wojują rzekomi sukcesorowie sztandaru Popławskich i Potockich.

Zgnilizna...

Wester.

---

*) Telegramy doniosły, że Stapiński zrezygnował ze stanowiska wice-prezesa Koła Polskiego i prezesa Klubu ludowego. Rezygnacja ta pozostaje w związku z naganką endecką. (*Przyp. Red.*)

O kształceniu politycznem „Obywatela".

Wiele mówi się u nas w ostatnich czasach o orjentacji i dezorjentacji politycznej. Na temat ten nie tylko w tej chwili aktualny, dla nas ze wszystkich najwięcej i zawsze aktualny wypisuje się całe kałamarze. Każda orjentacja znajduje zwolenników. Znajduje ich wszędzie, nie tylko u nas. I w krajach szczęśliwszych opinja polityczna nie jest jednolita, nie jest bowiem jednolitym interes polityczny narodu spółczesnego na Zachodzie. Ale *caeteris paribus* w tych krajach dezorjentacja nie jest tak zupełna jak u nas. Większą jest świadomość obywatelska, większem uświadomienie polityczne. Obywatele wiedzą więcej czego chcą, czego chcieć powinni. Zdają sobie sprawę z interesu, który życiem ich rządzi. Mniej na ich postanowienia oddziaływa przypadek, chwilowe powodzenie mówcy, artykuł dziennikarski; ma i tam powodzenie demagog—gdy w duchu tego interesu działa, dziennik gdy temu interesowi służy, temu bowiem interesowi byt swój zawdzięcza. Nasze organizacje polityczne są słabe i słabo wogóle jesteśmy zorganizowani. Jądro organizacji jest niewielkie, otoczone armją t. z. sympatyków, do niczego nie zobowiązanych, wolnych, przechylających się to w jedną, to znowu w drugą stronę linii orjentacyjnej. Tłum „sympatyków" tego czy innego kierunku, wszędzie znaczny, u nas jest olbrzymi, zmienny w układzie swoim jak piasek nadmorski, co nocy pod wpływem wiatru zmieniający kontury, kierunek, grubość nasypu.

Co gorsza, badacz objektywny odbiera wrażenie, jak gdybyśmy nietylko tak politycznie żyli, ale i nie zdawali sobie z tych warunków dostatecznej sprawy. Dawniej składaliśmy winę na warunki zewnętrzne życia, na przeszkody cenzuralne. Zmieniły się trochę warunki, pisać można znacznie więcej. Czy wykorzystaliśmy tę zmienioną wielce sytuację jak na to zasługiwała? czy pracujemy nad *kształceniem obywateli*? Czy wykładamy z mównic publicznych prawo polityczne w szerokim, dostępnym dla szerej publiczności inteligientnej zarysie porównawczym? Czy pisujemy poważnie ze stanowiska interesu *obywatelskiego* w materjach politycznych? Czy ujmujemy dziesiątki zagadnień politycznych, narzucanych nam władną, mało i rzadko pytającą nas ręką Losu, jako takie właśnie zagadnienia obywatelskiego kształcenia, o wielkiej doniosłości pedagogicznej? „Obywatel" nasz nie wychodzi wciąż jeszcze z dziecinnego pokoju albo z kawiarni, tu i tam polityczny jego pogląd na świat spoczywa w atmosferze naiwności albo... dymu. Niema w tem przesady tak wielkiej, jakby się wydawać mogło. Obywatel, zresztą, może tłomaczyć swoją ignorancję, swój brak zainteresowania, swoje lenistwo umysłowe — naszym do niego stosunkiem. *Nasz* to bowiem obowiązek jego uczyć i nasz to bowiem obowiązek, wykładać, pisać, wciąż powtarzać te same nauki, metodycznie, historycznie i porównawczo, z ciągłą pamięcią o najbliższych nam interesach narodowych: politycznych i społecznych.

Niedawno, w ciągu miesięcy kilkunastu puszczono w świat trzy monografje poświęcone Maurycemu Mochnackiemu, osobie działacza i czasom jego. Każdy z autorów (A. Śliwiński, J. Kucharzewski, St. Szpotański) traktował swój przedmiot z odmiennego stanowiska. Poruszono przytem cały szereg pierwszorzędnej wagi problematów politycznych. Czy książki te wywołały żywsze poruszenie umysłów? Czy wywołały polemikę? Czytała i czyta te książki młodzież, głębiej *odczuwająca* powagę problematów naszego życia zbiorowego, reagująca na nie łzawym albo i rycerskim duchem serca, niekiedy i woli. Młodość nie zawsze posiada przygotowanie do prowadzenia dyskusji naukowej i nie posiada tego, doświadczenia życiowego, które do zasadniczej dyskusji wprowadza czynnik miary ludzkiej, miary czasu i przestrzeni. Nie dyskutowaliśmy na temat poruszonych w tych książkach problematów. Taka dyskusja nie była wywołana przez żadną ordynację wyborczą, nie rządziło nią prawo popytu i podaży. Dopiero niebezpieczeństwo u progu chaty naszej — obawa, że wybory wypadną niepomyślnie, albo zewnętrzne wypadki, mające tak lub inaczej ukształtować losy nasze budzą nas na chwilę do żywszego czynu, każą na gwałt pisać, pouczać, oświecać. Robota to *ad usum delphini*; „sobotnim sztychem na niedzielny targ" wykonana posiada znaczenie tylko aktualne i polityczne: chodzi o wnioski, o akt wyborczy. Gdy ten akt został już dokonany, gasną światła koło katedry: pisma polityczne *ad hoc* powołane do życia, zamierają, ustaje akcja odczytowa i „obywatel" może znowu cofnąć się w zacisze analfabetyzmu politycznego.

Życie polityczne jakiegokolwiekbądź narodu poznać — trudna i ciężka to sprawa. A cóż dopiero życie tak bogate, skomplikowane i splątane, z przeciwieństwami i osobliwościami historycznie uzasadnionemi, początkiem swoim sięgającemi w odległej przeszłości, jak wielkie drzewo, korzeniami swoimi sięgające wgłąb i wszerz, poprzez przeróżne warstwy gieologiczne. Trzeba długo żyć w kraju takim, we Francji, w Anglji, w Niemczech, aby poznać i zrozumieć „zjawisko" życia politycznego, ocenić jego znaczenie. Przygodny turysta zjawiska te postrzega, jak postrzegamy obrazy cieniowe w kinematografie: drażnią nasze oko, budzą w niem pewne wrażenia, które ledwie czas mając przeniknąć do naszej świadomości, ustępują miejsca innemu wrażeniu, które pierwsze goni. Turysta odbiera wieloliczne wrażenia polityczne, które postrzega, które jednak przebiegają koło niego z szybkością filmu kinematograficznego. Myśli jego nie zapładniają, nie krystalizują się jako pojęcia w głębi jego świadomości, aby w niej pozostać na zawsze jako zdobycze poznania. Jak w kinematografie „oko polityczne" męczy się. Ale z życia, które nas otacza i bez udziału naszej woli tysiącami porów do świadomości naszej przenika, wyjść nie można jak z budy kinematografu. Myśl cudzoziemca radzi tedy sobie inaczej, odwołuje się do pomocy przewodników, pochłania wielkie szmaty zadrukowanej bibuły, dowierzając jej producentom, ich kompentencji i powadze sądu. Postępowanie takie upraszcza, nie przeczymy, sytuację, w której znajduje się ciekawy cudzoziemiec, ale nie jest to droga bynajmniej, prowadząca do *poznania* życia politycznego.

Gazeta jest organem stronnictwa politycznego, powołanym do życia za środki i gwoli *interesowi* stronnictwa. Spółpracownicy tego organu służą określonemu *interesowi* stronnictwa. O *interes* ten chodzi, nie o poznanie prawdy. Dlatego cudzoziemiec, który się o tej względności intencji

i informacji dziennikarskich przekonał, radzi sobie w ten sposób, że kilka naraz pism czytuje. Ale wtedy dezorjentacja jego staje się jeszcze większą. Komu wierzyć? Omylni są wszyscy, a *interes* wyczuć cudzoziemiec zrzadka tylko potrafi. Koniec tedy tych peregrynacji po zawrotnych drogach publicystyki obcokrajowej jest taki, że cudzoziemiec przypomina sobie dnia pewnego, że sam też jest „politykiem“, że należy organicznie do określonego stronnictwa politycznego, albo jest conajmniej luźnie *nicią sympatji* z niem związany. Odszukuje tedy w zbiorowisku stronnictw politycznych danego kraju ten specymen, który najwięcej własnym jego poglądom odpowiada, albo odpowiadać się wydaje i czyta organ tego stronnictwa. Jest to, nie przeczymy, metoda prosta i skuteczna, alić wiadomo, że te najprostsze niezawsze bywają najwłaściwszemi.

Bywają metody, jak owo cięcie chirurga, — *pewne, odważne i — śmiertelne.* Niema tu, oczywista, niebezpieczeństwa tak wielkiego, jak to które grozi choremu pod nożem lekarza. Ale skutek jest nieco podobny w tym sensie, że ciekawy cudzoziemiec, postępując sposobem wskazanym, przysłania sobie możliwość poznania objektywnego prawdy politycznej, prawdy w odniesieniu do ludzi, do instytucji, do myśli politycznej. Utraca tem skuteczniej, że podobieństwo pod względem stronnictw politycznych jest tylko pozorne, że stronnictwo polityczne jest również dziełem historji, że własną swoją posiada i historję i logikę i psychologję, które poznać i zrozumieć jest równie trudno, jak każde inne zjawisko życia politycznego, tem trudniej, że w danym wypadku cudzoziemiec do poznawania tych czynników życia stronnictwa wprowadza element osobistej sympatji.

Ludzie, długo zamieszkali w obcym kraju, o złożonem życiu politycznem, nieraz z uśmiechem odczytują w dziennikach polskich korespondencje polityczne młodocianych literatów, którzy po miesięcznym pobycie w Londynie czy w Paryżu informują czytelników polskich apodyktycznie i „nieomylnie“ o ludziach i instytucjach politycznych Anglji czy Francji. Oni z własnego doświadczenia wiedzą, ile czasu trzeba im było na zorjentowanie się w pogmatwanych linjach życia Zachodu, ile czasu stracili na wyostrzenie krytyczne umysłu, potrzebne dla zrozumienia stopnia prawdziwości i szczerości tych czy innych enuncjacji publicystycznych. Wiedzą, że poglądy korespondentów są odbiciem a często i kalkomanją artykułów dziennikarskich z pod tego, czy innego znaku politycznego. I uśmiechają się. Informowanie czytelnika polskiego o procesie rozwojowym życia politycznego na Zachodzie nie jest bynajmniej rzeczą lekceważenia godną. Przeciwnie, uważamy je za obowiązek wagi pierwszorzędnej i równie odpowiedzialny, jak stanowisko naczelne w tym, czy innym organie publicystycznym. Związek nasz z myślą Zachodu zawsze był bliski i w interesie kultury naszej pożądać należy, ażeby był najbliższy, organicznie bliski. Dlatego korespondent londyński czy paryski poważnego dziennika polskiego musi być człowiekiem równie poważnym i odpowiedzialnym, jak redaktor czasopisma, do którego pisuje. Nie może i nie powinien to być przygodny turysta, który flanuje po bulwarach, po kawiarniach, po Vichy, Biarritz, czy Ostendzie, zbiera filmy kinematograficzne, zanurzając je w atmosferze osobistych swoich tęsknot i pożądań. Korespondent musi być stały, człowiek dojrzały, doświadczony i od dłuższego czasu w Londynie, czy Paryżu zamieszkały. Tylko orjentując się, dzięki doświadczeniu i wyostrzonej obserwacji w złożonem życiu Zachodu, może istotną oddać nam przysługę i orjentować w sposób odpowiedni myśl czytelnika polskiego, który mu zaufał. I tylko w tym wypadku może być czynnikiem *kształcenia politycznego obywateli.*

(Dok. nastąpi).

St. Posner.

Z V-ej serji.

Świętym mi jesteś jak powiew anioła..

Świętym mi jesteś, jak powiew anioła,
Włoskich gościńców szary, żrący pyle,
Któryś tułaczy polskich znoił czoła,
Co kraj daleki wspominali mile...

Święte jesteście, Campanille szare,
Których płaczące, przedwieczorne dzwony
Kraj przywiewały ich oczom rodzony,
Niby łkającą, szarą, łzawą marę...

Święte jesteście, srebrzyste obłoki,
I polnych ptaszyn radosne świegoty,
Bo z was się zrodził szloch pieśni głęboki
I czysta perła, łza polskiej tęsknoty...

Świętym mi jesteś, każdy szary głazie,
Tej pyłem wieków namaszczonej drogi,
Na którym o n i krwawili swe nogi,
W wielkiej miłości najświętszej ekstazie...

Wacław Wolski.

Omegna.

Na marginesie.

Dokoła elekcji.

Że się nasze wybory do Rady Miejskiej tak pogodnie skończyły — cud prawdziwy. Sądząc z gorącej agitacji, z obfitości prawdziwych i podrabianych list wszelkich możliwych kolorów, można się było Bóg wie czego spodziewać.

A tu nic. Cicho, cichutko, ładnie, grzecznie...

Strasznie zgrzył się tem specjalny korespondent „Daily Mail“, który przybył ekspresem, zaopatrzony w aparat do robienia filmów i koszulkę kulochronną.

— Djabli wiedzą — powiada — naco ja tu przyjeżdżałem. Żeby choć jeden ząb wybity, choć jedna noga przetrącona, choć jeden agitator wyrzucony przez okno. O, ludu, ludu beznamiętny!

Łzy miał w oczach.

— Mówią — ciągnął dalej — że my, anglicy, mamy flegmę. Jeżeli tak — to wy nawet flegmy nie macie, nic nie macie! Trupy jesteście!

Obraziłem się.

— No, no, bardzo proszę — wtrąciłem ostro.

Anglik popatrzył na mnie, jakby trochę zdziwiony i po chwili sięgnął do portfelu.

— Jedyna rzecz oryginalna, którą stąd wywożę to to.,

Rozłożył numer „Gazety Codziennej“ i Kurjera Litewskiego“.

Teraz ja się z kolei zdziwiłem.

— Patrz pan — mówił dalej gość z Londynu — te dwie odezwy, drukowane zgodnie w obu pismach jedna pod drugą: „Wyborcy, głosujcie tylko na listę błękitną“ i „Wyborcy, głosujcie tylko na listę białą“ — to rzecz istotnie ciekawa. Ofiaruję do British Muzeum. Wiozę jednocześnie fotografję obu redaktorów i świadectwo policji, że żadnemu z nich włos z głowy nie spadł. U nas w najlepszym razie trzeba by ich było oddać do zacerowania.

— Czyż tak?

— Pewno!

— Toć to tylko ogłoszenia.

— Tak? Ogłoszenia? To ja dziś idę do Gazety Codziennej“ i daję ogłoszenie: „Szanowna publiczności, nie bierz do ręki nigdy „Gazety Codziennej“. Jeśli każde ogłoszenie przyjmują, to i to umieścić powinni.

Zerwał się, jak oparzony, i pobiegł w kierunku ulicy Dominikańskiej.

Nie wiem, co tam było dalej. P. Obst napisał, że chodzi podwiązany, bo go zęby bolą, gdyż w teatrze wiało... pod fotelem.

*

A wyborca był w nielada kłopocie.

Przywykł postępować zgodnie z radami „Kurjera Litewskiego“, więc medytował:

— Mówią, że na dwie listy nie można głosować.

— Oczywiście, że nie można.

— Patrz pan, w Kurjerze stoi: „głosujcie tylko na listę błękitną“...

— Więc nie marudź pan, bierz listę błękitną i jazda.

— Ba! kiedy zaraz pod tem napisano: „głosujcie tylko na listę komitetu bezpartyjnego, która jedynie jest bezstronna“.

— Prawda.

Zamyślili się, wpatrzeni w płachtę dziennika; wąsiskami ruszają, czoła marszczą...

— Ano, panie Onufry, trzeba coś postanowić.

Wyborca wstał, wdział palto, kapelusz rękawem oczyścił.

— Więc na którą listę?...

— Wszystko „równo“.

*

— Pan mecenas! Ot, dobrze, że ja pana spotkał.

— Cóż takiego?

— Przysłali siedem kart kolorowych, niewiadomo co.

— To nie wiesz pan, że wybory?

— Wybory... Wiem, ale te karty... Podatek jaki, czy co?

— Tam spisani kandydaci.

— Aha. Tak cóż mnie robić z tem?

— Weźmiesz pan jedną z tych list i oddasz w dniu głosowania.

— Jedna? A toż ja siedem dostał.

— Oddać można tylko jedną.

— Która?

— Którą się panu spodoba.

— A z tamtemi co zrobić?

— Rzuć pan do pieca.

— Sztrafa za to nie będzie?

*

— Idziesz pan głosować?

— A tak.

— Jaką pan masz listę?

— Ja? Biała.

— To źle. Bierz pan szarą, daleko lepsza.

— Nie, nie. Ja biała zapieczętował. Mnie ona podoba się.

— Podoba się panu? Dobrze wiedzieć. Ale pamiętaj pan: już ja nigdy do pańskiej bani nie przyjdę. Do Agresta będę chodził.

— Nu, coż tam zaraz... ee...

— Słowo daję, więcej mnie pan nie zobaczysz.

— Tak — daj pan ta szara lista.

*

— Pan na kogo głosujesz?

— Moja rzecz.

— Pewno, że pańska. Ale można powiedzieć.

— Co tam gadać. Moja lista już w kopercie, zaklejona.

— Biała?

— Nie biała. Błękitna.

— Tylko czy nie fałszywa?

— Co ma być fałszywa...

— Bo są prawdziwe i podrabiane. O, widzisz pan? Ta na jednej kartce, a ta na dwu kartkach.

— A u mnie na dwuch kartach.

— Bardzo źle. Fałszywa.

— Ot, widziałeś pan, byłby ja daremnie chodził. Tak coż mnie teraz robić?

— Ja panu dam drugą listę. Różową, bardzo dobrą.

— Ano, proszę dać. — Chwała Bogu, że my spotkawszy się, a to głos przepadłby.

*

— Cóżci pan taki strapiony?

— Okropność, okropność!

— Ależ co się stało?

— Spadłeś pan z księżyca, czy co? To pan nie wiesz, że nasz samorząd miejski, a przedewszystkiem udział w nim polaków czeka obecnie straszliwa klęska?

— No, no, tylko bez przesady. Projekty nacjonalistów...

— Tu nie chodzi o projekty nacjonalistów! Sami! sami, panie, nałożyliśmy sobie stryk na gardło.

— Nic nie rozumiem.

— Jakto, więc pan nie wiesz, że wybrano do Rady Miejskiej zaciętych wrogów polskiego imienia? Że nie będziemy już mieli naszego zacnego p. Michała; że przewodzić tu będzie jakiś gruby mużyk z dziką gębą, rudą brodą...

— Czy pan... hm... tego... przypadkiem gorączki...

— No, proszę, tylko bez...

— Ja, panie, serjo.

— Więc pan nie czytałeś w „Kurjerze Krajowym“, że?...

— Nie.

— Ha, w takim razie nic dziwnego, że nic nie wiesz, co się dzieje. Ostrzegali wyraźnie: „zgodnie nieście do urny listę różową“, która „nie służy niczyim interesom“...

— Jak pan powiada? Niczyim...

— Niczyim ambicjom i niczyim interesom.

— No i...

— Znalazło się wszystkiego... strach pomyśleć... trzech, na całe Wilno trzech uświadomionych obywateli, co ponieśli do urny zgodnie listę różową... Nikt więcej! Co za brak solidarności!

— Jeśli nie służyła niczyim interesom, to właściwie kto ją miał nosić? Oczywiście nikt.

— Ale, panie, tu szło o wyższe dobro, dobro polskości, którą odważył się wziąć w obronę jedynie „Kurjer Krajowy“... no i „Wieczernaja Gazieta“ podobno.

— W takim razie masz pan rację: biedna, biedna polskość...

Behra.

W nowym teatrze.

— A jednak tam było milej...

— Gdzie?

— Tam, w cyrku.

— Jakto. w tej obskurnej budzie?

— Człowiek już się był przyzwyczaił... Czuło się...

— Zapach stajni...

— Nie, nie to, ale... bo ja wiem...

Ot, poprostu konserwatyzm. Tutejszy człowiek, gdy się do czegoś przyzwyczai, zmian nie pragnie.

Powyższego djalogu nie zmyślam. Słyszałem go na własne uszy i to kilkakrotnie. Cała pociecha, że publiczność nasza przyzwyczaja się łatwo i szybko do wszelkich możliwych warunków. Pozwala to przypuszczać, że i z nowym teatrem wreszcie się oswoi.

Powinna.

Okazuje się bowiem, iż korzystne wrażenie, jakie nowy zespół dał swym występem inauguracyjnym, wcale nie było przypadkowe. Za trupą obecną przemawia bardzo wiele. Sztuki wystawiane są starannie tak pod względem dekoracyjnym, jak i reżyserskim — o ile, naturalnie, pozwalają na to dwie premjery w tygodniu. A nadto pozyskano siły nie byle jakie.

O p. Orlińskim już wspominałem. Po Łatce z „Dożywocia“, dał nam wybornego Stańczyka w „Weselu“. Jako Napoleon był słabszy. Rola to (w „Jeńcu“ Kozłowskiego) trudna. Ale nie te trudności zawadzały artyście. Więcej mu szkodziło wpamiętanie się w szablon cech zewnętrznych postaci. Oto wpada Bonaparte na scenę i raptem przypomina sobie, że musi koniecznie wetknąć palec pod kamizelkę. Potem czyta raporty. Napoleon — wiadomo—myślał szybko. Więc p. Orliński ledwo rzuci okiem na papier, już wie, co zawiera dwuarkuszowy referat. W ten sposób czyni się z człowieka marjonetkę.

Mimo wszakże te błędy, i w Napoleonie miał p. Orliński bardzo wiele momentów, świadczących o niepowszednim talencie.

Nie na nim jednak kończą się istotnie wartościowe siły nowego zespołu. P. Neubelt to aktor, godzien niewątpliwie pierwszorzędnej sceny. Jako Twardosz (w „Dożywociu“), Ulm (w „Jeńcu Napoleona“), Mincenmajer (w „Najdostojszym przodku“), stworzył postaci zgoła różne, wykazując nietylko ogromną pomysłowość i dar obserwacyjny, ale też zdolność wcielania się całą swą istotą w dany płód wyobraźni. — To jest to właśnie, co w aktorstwie artyzm stanowi.

Pamiętajmy, że nie każdy aktor (jak nie każdy malarz, nie każdy muzyk, nie każdy pisarz) jest artystą.

Artysta to zjawisko rzadkie nawet w tłumie —t. zw. „artystów“. Nie obfitują też w nich i sceny pierwszorzędne, choć mają *aktorów* doskonałych. Na nich to, na *aktorach*, na tłumie uzdolnionych pracowników opierają się teatry. Sztuka tkwi głównie w reżyserji oraz w odpowiedniem używaniu posiadanego materjału, t. j. w trafnem obsadzaniu ról.

Ta lub inna obsada do niepoznania zmienić może cały utwór dramatyczny.

Oto np. bardzo ciekawym eksperymentem było powierzenie p. Skąpskiemu roli tytułowej w „Szaławile“ Glińskiego.

Krotochwila ta będaca produktem pokumania się jowialności swojskiej z pikantnym bezsensem fars francuskich, literackiej wartości nie posiada żadnej, a teatralna—warunkową, zależną od tego, co z niej gra zrobi.

Z dużem powodzeniem wystawiany w Warszawie, „Szaławiła“ nie tyle był dziełem Glińskiego, ile Fertnera (doskonałego komika tamtejszej farsy). Nie wystarczała też aktorska spółtwórczość; potrzebna była twórczość samodzielna.

Ale p. Skąpski twórcą nie jest. On na scenie daje tylko siebie, siebie samego. Mimo to, eksperyment—mojem zdaniem—wypadł interesująco. P. Skąpski ma warunki na odtworzenie tego właśnie Szaławiły, którego autor napisał. I gdyby ów Szaławila występował na tle komedji, a nie farsy, rola wypadłaby zupełnie dobrze. Komedjowe potraktowanie figury tytułowej, t. j. położenie nacisku na jej indywidualność, fatalnie odbiło się na całości sztuki, uwypuklając jej słabe strony (jeden akt, w którym nic się nie dzieje i dwa akty, w których właściwie dzieje się jedno i to samo).

Daleko lepiej powiodło się w interpretacji wileńskiej „Jeńcowi Napoleona“. Akt pierwszy, najsłabszy, który nadmiernie się dłuży, interesował dekoracyjnością i żywem tempem. Autorowi pospieszyła tu z sukursem dobra reżyserja. Dwa następne akty specjalnego wysiłku z jej strony już nie wymagają; akcja w nich potoczysta, a uwaga widowni mocno samą fabułą ujarzmiona. Wystarczała poprawna gra większości wykonawców.

Nietylko jednak na poprawność umieją się oni zdobyć. Przekonał nas o tem „Mój najdostojniejszy przodek“ Schmiedena. Sztuka ta ma być niby satyrą, satyrą na Wilhelma. Jest to jednak satyra *nadwornego* satyryka: ogromnie uprzejma, ogromnie berlińska, niemal czołobitna. Satyra jaką uprawiają podrzędni kupleciści, którzy niby szydzą z gawiedzi, a w rzeczywistości starają się wkraść w jej łaski.

Niemniej utwór Schmiedena jest majstersztY-

kiem roboty dramatopisarskiej, Nie dziw więc, że ludzi teatru podnieca i do wysiłków zachęca.

To też niemal każdy aktor, co grał w tej sztuce, wykazywał mocne przejęcie się rolą. Główna postać, książę Anno, znalazła w p. Brylińskim wykonawcę bardzo odpowiedniego. Był naturalny, żywy, prosty, a nie pozbawiony majestatu. Znany z opisów i portretów pierwowzór zręcznie i z umiarem skopjował. Tylko czy Wilhelm naprawdę tak niewyraźnie mówi? Jeśli tak, to nic dziwnego, że i jego intendent (p. Dąmbrowski) połyka sylaby; wiadomo, że dworacy lubią naśladować suwerenów. Pozatem wszakże i ów intendent baron v. Luck był postacią zupełnie wyraźną, konsekwentną. Ślicznie zagrał rolę dworskiego fagasa-dyplomaty p. Strycharski. P. Dembowicz (Sauerland, kierownik literacki teatru) odrobinę przeszarżował, choć nie przekroczył granic możliwości typu. Ale wobec subtelnej gry innych — zwłaszcza p. Neubelta—stworzona przezeń karykatura zrobiona była nieco zbyt grubo, Jedną z najlepszych scen dało krótkie wejście p. Bieleckiego. Tercet: Dąbrowski, Dembowicz, Bielecki — wypadł bez zarzutu.

Co się tyczy ról niewieścich...

Nie wiem, czy personel kobiecy nie miał jeszcze sposobności wykazania sił swoich, czy też wogóle od męskiego prezentuje się słabiej?..

Czas to rychło pokaże.

W sztuce Schmiedena np. artystki miały ograniczone pole popisu. P. Mostowska już w „Jeńcu Napoleona“ zwróciła na się uwagę bardzo ładną charakteryzacją. Tam wszakże, jako Korczakównie, brakło jej temperamentu. W roli księżny Meli brak ten nie wadził. P. Bończa zaś temperament ma, i owszem; ale role traktuje lapidarnie i nawet nie widać wysiłku w kierunku delikatniejszego cyzelowania szczegółów. To samo da się powiedzieć o p. Czernekównie, która w „Szaławile“ miała do wykonania równie niedowcipną, jak nieprawdopodobną rolę. Dowcipu jej nie dodała, ale zato podkreśliła tem mocniej nieprawdopodobieństwo.

B. H.

Wystawa dzieł Czurlanisa.

W niedzielę 20 października (2 listopada) Litewskie Towarzystwo Sztuk Pięknych otworzyło w lokalu własnym (róg Zawalnej i Nowej) wystawę obrazów zmarłego w r. 1911 artysty Mikołaja-Konstantego Czurlanisa. Imię Czurlanisa i twórczość jego na polu sztuki plastycznej, która zyskała gorące uznanie w całym świecie artystycznym, gdziekolwiek prace jego były wystawiane lub reprodukowane, znane już są poniekąd wilnianom z dorocznych wystaw litewskich oraz ze specjalnej wystawy pośmiertnej dzieł jego z r. 1911.

Jest to wystawa stała obrazów artysty. Dla Wilna, dla kultury artystycznej miasta, — galerja ta jest nabytkiem wielkiej wagi. Zobrazowana jest w niej cała twórczość artysty niepowszedniej miary, którego przedziwne niepospolite kompozycje malarskie stanowią zjawisko nawskroś oryginalne w świecie sztuki spółczesnej.

Czurlanis nie należał do żadnej znanej szkoły malarskiej, szedł samotnie własną drogą twórczości indywidualnej, nie naśladując nikogo, nie idąc za popularną modą i manjerą, nie schlebiając żadnym prądom lub gustom. Talent jego wyrazisty i głęboki, jak głęboką była dusza artysty, nie umiał naginać twórczego lotu do jakichś gustów zewnętrznych lub do potrzeb tej lub innej tendencji. Tworzył z własnych źródeł ducha swego, wyrażał to, co czuł i o czem myślał artysta, a że człowiekiem był, przeto odtwarzając ducha własnego, odtwarzał tęsknoty i zagadnienia ludzkie, wyrażał w kształtach indywidualnych zjawiska wszechludzkiego świata myśli i czucia. To też sztuka Czurlanisa, nawskroś oryginalna i nie hołdująca manjerze żadnej szkoły, jest niemniej sztuką nietylko jego własną, i nietylko jego narodową, lecz ogólno-ludzką w najszerszem znaczeniu słowa. Powiedziałbym nawet, że jest ona zjawiskiem najczystsze go humanizmu, bowiem są w niej wszystkie pierwiastki ducha ludzkiego bez względu na czas i miejsce, właściwe czy to litwinom, do których należał artysta, czy polakom, czy ludziom wszelkiej innej narodowości.

Dlatego też dzieła Czurlanisa, mimo swej wybitnej indywidualności, która go do żadnej szkoły zaliczyć nie daje, są w równej mierze cenione wszędzie przez artystów i miłośników sztuki, bez względu na środowisko narodowe i kulturalne, gdziekolwiekbądź były przedstawiane.

Sztuka Czurlanisa nie jest popularną w znaczeniu zdawkowem, bo dla szerokiego tłumu łatwiejszą strawą jest obrazek namalowany podług szablonowej manjery, oleodruk jakiś nawet, niż dzieło wybitnego natchnienia, wielka wizja kompozytora-artysty.

Czurlanis—kompozytor-malarz był zarazem kompozytorem-muzykiem. Jego spuścizna artystyczna w tych dwuch sferach sztuki się zamyka. Co do formy i wyrazu są to dwa odrębne światy, których połączyć w jednej ekspozycji niepodobna; atoli co do treści swojej i samej istoty twórczości Czurlanisa oba te wyrazy wzajemnie się uzupełniają i zlewają w całość jednolitą.

Wystawy dzieł poszczególnych artystów, obrazujące całą ich twórczość, są zawsze cenione i służą ozdobą miast, w których są założone. Taka wystawa stała przybyła Wilnu. Jest ona nową i wybitną placówką naszej zaniedbanej dotąd kultury artystycznej.

Na uroczystem otwarciu wystawy Zarząd Litewskiego Towarzystwa Artystycznego witał zgromadzonych gości mowami w językach miejscowych. Zwłaszcza piękną była mowa polska p. Stefana Kairysa; mówca uwydatnił pięknie wszechludzki pierwiastek sztuki, który łączy ludzi bez względu na dzielące ich różnice i zatargi klasowe, stanowe, wyznaniowe i narodowe.

Spektator.

PRASA POLSKA.

— Listopadowy zeszyt „Humanisty Polskiego“ przynosi uwagi Aleksandra Świętochowskiego o dwuch prądach, walczących z sobą w polityce polskiej nie od dzisiaj, lecz nabierających obecnie coraz większego natężenia i przeciwieństwa wobec nieuniknionych bliskich rozstrzygnięć zasadniczych. Istotę tych prądów Świętochowski określa w następujących słowach:

„Jeden z nich, oportunistyczno - ugodowy, reprezentowany przez realistów i utożsamionych z nimi na-

rodowo - demokratów, twierdzi, że należy wszystko bez oporu przyjąć, co raczy dać siła, której złamać nie można i, zapomniawszy o niezniszczalnych pragnieniach, zużytkować cierpliwie i pokornie każdą korzyść; drugi zasadniczo-opozycyjny, reprezentowany przez żywioły postępowe i demokratyczne, wymaga odrzucania mizernych jałmużn i ustępstw, raczej wyrzeczenia się drobnych korzyści, niż słusznej zasady. Oba te kierunki opinji przełamują się obecnie na dwu pierwszorzędnych kwestjach: uchwalaniu i zakładaniu przez gminy wiejskie szkół elementarnych z przewagą wykładów rosyjskich oraz na samorządzie miejskim według poprawki Rady państwa, usuwającej z obrad język polski. Ugodowcy dowodzą, że lepsza jest szkoła rosyjska lub półrosyjska i takiż samorząd, niż żadne, opozycjoniści utrzymują przeciwnie, że mniej szkody wyrządzi zupełny brak tych instytucji, niż działanie wynaturzonych".

Opinję swoją o słuszności w sporze obu tych prądów streszcza Świętochowski, jak następuje:

„Niemożna zaprzeczyć przysłowiowemu „rydzowi", że on przedstawia większą wartość aniżeli „nic", ale w obecnych wypadkach rozstrzygającą może być tylko różnica wagi zysków i strat. Otóż te ostatnie nabierają szczególnego znaczenia doniosłości przez to, że przyjęcie owego „rydza" przesądza na długo, jeśli nie nazawsze, spór nieugiętej siły ze skrzywdzoną słabością. Odtąd znikają „kwestje", jako ostatecznie załatwione, i społeczeństwo godzi się z redukcją swojego życia. Jeżeli zaś po argumenty sięgniemy do praktyki, to łatwo przekonamy się, że oportunizm, wygrywając na razie korzyści drobne, przegrywał w końcu wielkie, natomiast wytrwała obrona zasad dawała zawsze, chociaż później, zwycięstwa doniosłe. Czy irlandczycy otrzymaliby homerule, czy rusini w Galicji zdobyliby tyle praw, czy centrowcy w Prusach złamaliby ustawy majowe, gdyby zeszli ze swego nieprzejednanego stanowiska?"

Skurczanie swych żądań w sprawie samorządu aż do żebraczej skromności i poprzestanie na mniejszym zakresie praw społeczeństwa polskiego, niż mu przyznał w swym projekcie rząd rosyjski, uważa Świętochowski za niemożliwe i pisze:

„Przyzwyczailiśmy się do wielkiej potulności naszego ogółu, ale chyba w tym wypadku odpowiedziałby on zgrozą swym przedstawicielom parlamenternym. Polacy, niedosięgający swemi wymaganiami dla własnego narodu poziomu biurokracji rosyjskiej — byliby zjawiskiem wprost potwornem".

Głos znakomitego publicysty nabiera tem większego znaczenia, gdy się weźmie pod uwagę, że Świętochowski w swych wskazaniach politycznych odznaczał się zawsze umiarkowaniem i nie należał nigdy do obozu nieprzejednanych. Ale i possybilizm ma swoje granice...

— W „Tygodniku Polskim" p. H. C. zwraca uwagę na grunt małomiasteczkowy i jego niepodatność pod kulturalne siewy. Charakterystyka ludności, zamieszkującej miasteczka i osady w Królestwie Polskiem *mutatis mutandis* daje się zastosować i do naszego kraju.

„Dziwny bo jest to rodzaj ludności. Drobni rolnicy, rzemieślnicy i właściciele posesji miejskich zarazem — ludzie ci nie należą właściwie do żadnej klasy społecznej. Są najmarniejszymi w kraju rolnikami, licho wykonywają rzemiosła, handel pozwolili bezwzględnie ogarnąć żydom, a jako t. zw. „obywatele" cierpią przedewszystkiem na zupełny zanik poczucia obywatelskiego.

Mieszkańcy miasteczek naszych i osad (oczywiście wyłączam tu nieliczne garstki rozsianej po prowincji inteligiencji zawodowej) wyróżniają się w kraju, na ogół ciemnym swoją ciemnotą. Wprawdzie każdy z nich prawie umie jako tako czytać i gorzej pisać, bo prawie każdy kończył rządową szkołę początkową, umie więc i po rosyjsku i po polsku, ale tu jeszcze raz na przykładzie tym stwierdzić można, że umieć czytać, a być człowiekiem oświeconym—są to rzeczy bynajmniej nie wynikające jedna z drugiej. Ludzie, ci umieją czytać, ale ponieważ nie czytają nigdy, pogrążeni są w mrokach ciemnoty. Pisma ludowe mają śród tych sfer tylko bardzo nielicznych abonentów. Pisma dla inteligiencji nie prenumerują również. Potrzeby ich umysłowe bowiem są bardzo ograniczone. Czasem, pożyczona u doktora czy aptekarza gazeta, zaspokoi ciekawość podrażnioną jakiemś poszczególnem wydarzeniem. Książka nielicznych ma pośród nich zwolenników.

Jedną z charakterystycznych cech tego elementu, żyjącego po miasteczkach i osadach naszych w pewnem odosobnieniu od reszty społeczeństwa, jest też i zakamieniały konserwatyzm.

Podczas gdy robotnik fabryczny i włościanin stanowią żywioł, szybko posuwający się naprzód, żywioł ruchu i rozwoju—mieszczanin pewny siebie, względem inteligientów nieufny, zaleniwiały w tradycyjnym małomiasteczkowym bycie, jest typowym okazem zastoju, martwoty, śpiączki. Spory i procesy z sąsiadami, licho i bez żadnych dążeń do postępu wykonywana praca codzienna, w święta pijatyka, a zawsze i wszędzie panoszenie się nad rzekomo niższymi, wypełniają mu życie".

„Kładzenie interesu swego przed interesem publicznym, bezprzykładne sobkostwo i zupełne nieistnienie w dziedzinie życia publicznego pobudek etycznych i bodźców wyższego rzędu—oto z czem styka się każdy działacz, próbujący na błotnistym rynku małej mieściny posiać ziarna lepszej przyszłości"—do tak wysoce pesymistycznego wniosku dochodzi p. H. C. A jednak nie należy rąk opuszczać i poddawać się zniechęceniu ostatecznemu. Zwłaszcza na Litwie i Rusi miasteczka muszą być otoczone czujną opieką społeczeństwa.

Wypadki nieszczęśliwe z robotnikami.

W warszawskim Okręgu fabrycznym, obejmującym 10 gub. Królestwa Polskiego oraz gubernje litewskie, w r. 1912 było 8.785 wypadków nieszczęśliwych, pociągających za sobą wynagrodzenie na mocy przepisów z r. 1903.

W liczbie poszkodowanych, według danych inspekcji fabrycznej, było: 34 dzieci, 617 małoletnich, 7111 mężczyzn dorosłych i 1023 kobiety.

W gubernjach poszczególnych, w stosunku do ogólnej liczby robotników fabrycznych, wypadki miały miejsce:

Gub.	Ilość robotników.	Poszkodowanych na 1000
Warszawska	82558	28
Wileńska	12357	7
Grodzieńska	17605	11
Kaliska	13596	5
Kowieńska	6231	41
Kielecka	8118	24
Łomżyńska	3641	25
Lubelska	11001	10
Piotrkowska	172439	31
Płocka	5172	5
Radomska	10140	20
Suwalska	1637	3
Siedlecka	3686	13

Najwięcej wypadków, stosunkowo, jak widzimy, było w gub. kowieńskiej, drugie miejsce zajmuje gub. piotrkowska. To wyróżnienie się gub. kowieńskiej zasługuje na baczniejszą uwagę. Największy odsetek nieszczęśliwych wypadków miał miejsce w metalurgji fabrykach maszyn — na 1000 osób, zatrudnionych

w tej dziedzinie przemysłu poszkodowanych było 75 osób. Ponieważ wzmiankowana gałąź przemysłu w gub. kowieńskiej nie odgrywa roli pierwszorzędnej, należy przeto przypuszczać, iż duża liczba wypadków nieszczęśliwych w gub. kowieńskiej spowodowana została złem urządzeniem fabryk, ponieważ fabryki przeważnie są drobne, jak również doborem robotnika, rekrutowanego wprost ze wsi, niewykwalifikowanego i nieobeznanego z maszynami. *f.*

KRONIKA.

= Ludwik Straszewicz.

Dn. 1 listopada n. st. zmarł w Warszawie nagle, znany publicysta, redaktor „Kurjera Polskiego", Ludwik Straszewicz.

Ludwik Straszewicz urodził się w r. 1857 w Tykocinie. Gimnazjum ukończył w Łomży, a następnie studjował matematykę na uniwersytecie w Gienewie. Od czasów uniwersyteckich Straszewicz stał się gorącym zwolennikiem pozytywizmu, w naukowem znaczeniu tego wyrazu. Doktrynę Comte'a zbadał gruntownie i do końca życia był jednym z niewielu jej wyznawców.

Po dłuższym pobycie za granicą, w Szwajcarji i Francji, Straszewicz, zamieszany w proces polityczny, odsiedział więzienie w Krakowie. Wróciwszy do Warszawy, pisywał najpierw artykuły w „Prawdzie" (podpisywane pseudonimem *Lach*). przez jakiś czas prowadził polityczno-społeczną „Kronikę miesięczną" w „Ateneum", a później przez szereg lat był jednym z ważniejszych spółpracowników idejowych petersburskiego „Kraju". W r. 1898 objął redakcję nowozałożonego w Warszawie taniego dziennika, „Kurjera Polskiego". Straszewicz był jednym z założycieli i głównych przedstawicieli stronnictwa realitsów. Jako reprezentant tego stronnictwa, brał udział we wszystkich ważniejszych naradach międzypartyjnych, jakie się odbywały w Królestwie w dobie wolnościowej i później. W charakterze członka i rzecznika stronnictwa zabierał bardzo często głos w warszawskiem „Słowie", którego do ostatnich czasów był jednym z głównych spółpracowników w dziale polityczno społecznym.

Z prac swych ogłosił Straszewicz drukiem: Nasze czasy", opowieść (Petersburg, 1890) i „Fantazje" (Petersburg, 1895 r).

Zawsze pełen energji i temperamentu, Straszewicz z z wielkim talentem publicystycznym omawiał sprawy na dobie, wywołując żywe polemiki, broniąc gorąco swego stanowiska.

= Alfred Wallace.

Znakomity przyrodnik angielski, który, obok Karola Darwina, jeden z pierwszych powziął myśl epokową o teorji ewolucji, Alfred Russel-Wallace, zmarł dnia 8-go listopada, przeżywszy lat 90.

Urodzony d. 8-go grudnia r. 1823 kształcił się początkowo na geometrę i inżyniera i przez czas pewien pracował w przedsiębiorstwie brata, architekta. Następnie był lat kilka nauczycielem, lecz porzucił i ten zawód i poświęcił się całkowicie naukom przyrodniczym. W celach naukowych podjął między r. 1854 a 1862 podróże po Azji, których owocne wyniki uwiecznił w licznych dziełach. Najszczegółowiej badał gieologję, botanikę i zoologję archipelagu malajskiego, skąd przywiózł bogate zbiory, gdzie zebrał słowniki 75 narzeczy. Obserwacje tam dokonane naprowadziły go na myśl o powstawaniu gatunków i już w r. 1855 napisał na wyspie Borneo pracę, której podstawą była ta teorja. Druga rozprawa (1858), w której ogłosił pojęcia swoje o doborze naturalnym, stała się dla Darwina bodźcem do ogłoszenia swoich teorji. Wallace wszelako zupełnie samodzielnie, od Darwina niezależnie, doszedł, na podstawie teorji o doborze naturalnym do objaśnienia powstawania gatunków. A jakkolwiek niezupełnie zgadzał się z Darwinem, był mniej od niego krańcowy, przeciwny możliwości przejścia od małpy do człowieka bez spółudziału siły wyższej, niemniej przyczynił się znacznie do rozwinięcia teorji doboru naturalnego.

= Sprawa Bejlisa.

Trwający przeszło miesiąc proces kijowski skończył się uniewinnieniem podsądnego Bejlisa. Nie zostało jednak wyjaśnionem, kto zabił chłopca Juszczyńskiego; również nie została rozstrzygnięta kwestja mordu rytualnego. Wywody ekspertów nic nowego w tej mierze nie dorzuciły. Jak przedtem więc, tak i nadal pozostaje wdzięczne pole do snucia najrozmaitszych domysłów i tajemniczych legiend.

Najbardziej dał się we znaki proces kijowski rosyjskiej prasie postępowej. Spadło na nią 66 represji prasowych. Ogólna suma kar pieniężnych wynosi 10.400. Skonfiskowano 30 wydawnictw z pociągnięciem redaktorów ich do odpowiedzialności.

Nie brak i innych przykrych konsekwencji. Zamknięto Towarzystwo lekarskie w Charkowie na skutek protestu tegoż przeciwko ekspertyzie prof, Sikorskiego. Grozi zawieszenie Radzie adwokackiej w Petersburgu. Echa procesu będą jeszcze długo rozbrzmiewały i zapewne nieraz będą wywoływały represje ze strony rządu.

= Nowe stronnictwo polityczne.

We Lwowie powstało nowe stronnictwo polityczne p. n. „Związku Społeczno-Narodowego". Na zebraniu organizacyjnem, po dłuższej dyskusji nad przedstawionym przez specjalnie w tym celu wybrany komitet projektem programu, który został jednogłośnie przyjęty, powzięto uchwały następujące: 1) podać do wiadomości publicznej wejście w życie „Związku Społeczno-Narodowego"; 2) zasady programu ogłosić w „Dzienniku Polskim".

Założycielem nowego stronnictwa jest prof. Stanisław Zakrzewski.

= Zmiana wydawnictwa.

Wychodzący od 48 lat w Warszawie tygodnik „Izraelita", poświęcony sprawie asymilacji żydów, przestał wychodzić. Redakcja nie podaje powodów.

Powstaje natomiast nowy tygodnik p. t. „Widnokrąg" który redagować będzie p. Józef Wasercug, dotychczasowy redaktor „Izraelity".

= Kobiety w parlamencie.

Tegoroczne wybory w Helsingforsie wprowadziły do sejmu 21 kobiet; w roku poprzednim było ich tylko 14. Z pomiędzy 21 wybranych 4 należą do szwedzkiej partji ludowej, tworzą więc 16 proc. ogólnej liczby posłów tej grupy; 14, 4 proc. do partji socjalno-demokratycznej; 2, czyli 7 proc. — do młodofińskiej. Do grupy agrarnej od roku 1909 nie weszła żadna kobieta. Najwięcej kobiet weszło ze szwedzkiej partji ludowej, co dowodzi liberalnego jej stanowiska. Lista kandydatur zawierała wogóle 41 nazwisk kobiecych, z których wybrano 21, zatem ponad 50 proc.

Treść numeru.

Powrotna fala.—W i - s k i.

Zarzuty i wyjaśnienie.—M. R. i L. A.

Projekt hipoteczny.—F.

Zgnilizna.—W e s t e r.

O ksztaceniu politycznem „Obywatela". — S t. P o s n e r.

Świętym mi jesteś jak powiew anioła... — W. W o l s k i.

Na marginesie.—B e h r a.

W nowym teatrze — B. H.

Wystawa dzieł Czurlanisa.—S p e c t a t o r.

Prasa polska.

Wypadki nieszczęśliwe z robotnikami.—f.

Kronika.

Odcinek: „Z mego notatnika". — L i c z.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 23 listopada (6 grudnia) 1913 r. № 46—47.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie 7.00
Półrocznie 3.50
Kwartalnie 1.75
Miesięcznie 60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie . . . . 8.—
Półrocznie 4.00
Kwartalnie 2.00
Miesięcznie 70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . 50 k
W tekście (nadesłane) . . . . 1 rb.
Po tekście . . . . 20 k.

Numer pojedyńczy 15 kop.

Ostatni zeszyt „Przeglądu Wileńskiego“ mylnie został oznaczony numerem 41 — 43. Powinno być **43—45.**

Za wiele i za mało.

Coraz częściej powtarzające się wypadki wyzbywania się majątków przez właścicieli ziemskich zaczęły wywoływać na szpaltach naszych pism zachowawczych głosy trwogi i oburzenia z nieodzowną deklamacją na temat „*noblesse oblige*“. Nieunikniony proces ekonomiczny rozdrabniania się większej a zwłaszcza średniej własności ziemskiej, nie przystosowanej w wielu wypadkach do nowoczesnych warunków produkcji, a przeto nie będącej w stanie zapewnić odpowiedniej do wartości kapitału renty — wciąż jest traktowany jako zjawisko społeczne wypadkowe, jako wynik złej woli lub lekkomyślności jednostek. Stosownie do tego zapatrywania analiza publicystyczna grzeszy zupełnym brakiem podstaw naukowych, natomiast przybiera charakter kazania, utrzymanego w tonie wysokiego patosu.

Racjonalne stawianie kwestji utrudnia w znacznym stopniu rozpowszechniony szczególnie na naszym gruncie pogląd na rolę ziemiaństwa, jako warstwy przodującej w społeczeństwie i powołanej do odegrania misji wybawicielskiej. Jest to oczywiście przeżytek z czasów, gdy szlachta istotnie reprezentowała naród i o jego losach decydowała. Że dziś jest inaczej — zbytecznem było by chyba tego dowodzić. Niemniej publicystyka nasza przeważnie nie bierze pod uwagę zmian dokonanych lub dokonywających się w układzie sił społecznych i po staremu operuje wytartemi ogólnikami, rażącemi swym anachronizmem.

Traktowanie ziemiaństwa jako odrębnej kasty, mającej swe specjalne cele i powołanie prowadzi jedynie do tego, że warstwa ta uważa się za uprzywilejowaną w społeczeństwie i wyjętą z pod kontroli ogółu. Wytwarza skutkiem tego własną idejologję i uprawia własną politykę, nacechowaną wyraźnym egoizmem klasowym.

Nie można mówić o „obowiązku ziemian“, jako o czemś odrębnem, jako o posłannictwie dziejowem i nie można redukować tego obowiązku wyłącznie do utrzymania się przy ziemi, jak to czyni p. J. Hł. w „Kurjerze Litewskim“.

Przedewszystkiem należy ściśle sformułować tezę. Sprzedaż ziemi w obce ręce jest bezwątpienia czynem karygodnym ze stanowiska narodowego, nie dlatego jednak, że ziemianin sprzeniewierza się przez to tradycji rodzinnej, lecz dlatego, że kultura polska bezpowrotnie lub na długo traci jedną ze swych placówek. Ale tak samo godnem potępienia jest wyzbycie się na rzecz obcych wszelkiego przedsiębiorstwa finansowego lub handlowego, zakładu przemysłowdgo, nieruchomości miejskiej. Więc nie o specjalnym obowiązku ziemian powinna być mowa, lecz o obowiązku polaka, niezależnie od jego przynależności do tej lub owej grupy społecznej, utrzymywania w swem ręku siły ekonomicznej.

Błędem natomiast byłoby z punktu widzenia interesów narodowych wymaganie, aby dana jednostka siedziała koniecznie na roli, chociażby nie miała po temu żadnych kwalifikacji lub nie miała do tego rodzaju pracy zamiłowania, jedynie na tej podstawie, że otrzymała kawał ziemi w sukcesji. Upieranie się *coûte que coûte* pry gospodarstwie, gdy się ma, dajmy na to, powołanie do muzyki, wytwarza właśnie ten niepożądany stan rzeczy, jaki obserwujemy obecnie, przy którym cały szereg niedołęgów tamuje rozwój racjonalny rolnictwa w kraju.

Czas już wielki przestać się zapatrywać na stanowisko właściciela ziemskiego jako na jakiś zaszczyt czy odziedziczoną synekurę, na ziemię zaś jako na pamiątkę rodzinną a nie jako na warsztat pracy.

Na ziemi powinien siedzieć rolnik — fachowiec, nie ziemianin z fanaberjami szlacheckiemi, gospodarzący według własnej fantazji i przyzwyczajony zgodnie z tradycją rodzinną, do życia zbytkownego, na które obecne dochody wystarczyć mu nie mogą.

Ewolucja w tym kierunku zwolna, chociaż niepostrzeżenie się odbywa. Nieracjonalna gospodarka, nieumiejętność administrowania—ustawicznie zmuszają właściciela ziemskiego do pozbywania się swego rodowego gniazda. Trudno wymagać odeń, aby w imię tradycji lazł w długi i poprzestawał na mniejszej rencie, gdy kapitał odpowiadajacy wartości posiadanej ziemi, przy innej lokacie zapewnia mu znacznie wyższy procent. Nie tylko trudno, lecz i nie należy, gdyż bezużyteczny w jego ręku warsztat — w innem bardziej, odpowiedniem może funkcjonować racjonalnie i przyczynić się do podniesienia ogólnego dobrobytu kraju.

Sam fakt więc sprzedaży majątku—jak to zdaje się rozumieć p. J. Hł.—bynajmniej na naganę nie zasługuje. Chodzi o to tylko, kto jest nowym nabywcą. Na tę stronę właśnie prasa nasza powinna kłaść nacisk. Sprzedawczykowstwo w obce ręce jest objawem zupełnego zaniku poczucia obywatelskiego i narodowego i musi być piętnowane z całą surowością. Presja moralna w strony opinji publicznej może w tym względzie zdziałać nie mało i położyć tamę rozluźluźnieniu bezwzględnie obowiązującego do niedawna nakazu. Przychodzenie dobrowolne z pomocą Bankowi Włościańskiemu, instytucji o wyraźnie politycznym charakterze — urąga elementarnemu poczuciu obowiązku względem własnego społeczeństwa i może być stawiane w rzędzie najbardziej jaskrawych faktów zaprzaństwa narodowego. Tembardziej, że sprzedawczyk nie może się zasłaniać koniecznością finansową, bowiem popyt na ziemię, mimo cen wysokich, wzrasta i chętnych nabywców — polaków — nie brak.

Pozostaje zaś jeszcze inna droga, dość często w ostatnich czasach używana — parcelacja. Środek ten, stosowany z myślą obywatelską, mógłby się stać skutecznem antidotum przeciwko działalności Banku Włościańskiego i bynajmniej nie zasługuje na tę pogardliwą ocenę, którą rozpowszechniają gorliwie apologieci wielkiej własności ziemskiej. Zarówno pod względem społecznym jak narodowym rozwój drobnej własności w naszym kraju wpłynąć może tylko dodatnio. Zresztą wszelka opozycja przeciwko normalnym procesom ekonomicznym jest wysiłkiem bezcelowym i daremnym, natomiast bardzo mało dotychczas zrobiono, by sprawę tę uregulować, a przynajmniej zbadać gruntownie.

O wiele bardziej przysłużył by się „Kurjer Litewski“ sprawie narodowej, gdyby omówił wyczerpująco kwestję parcelacji, zamiast wmawiać w ogół ziemian, że jedynym jego obowiązkiem jest utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania i poczucie solidarności klasowej.

Tego bowiem stanowczo za mało.

Dbałość o wzrost siły ekonomicznej społeczeństwa wówczas tylko na dobre mu wychodzi, gdy jednocześnie nie zasklepia się ono w ramach dobrobytu materjalnego, lecz rozwija w sobie pierwiastki duchowe, idealne. Zamknięcie widnokręgu myślowego linją kopców granicznych swych dóbr a chociażby nawet bardziej odległą perspektywą dworów sąsiednich—wytwarza tak rozpowszechniony dziś u nas typ ziemianina mało uspołecznionego, obojętnego na sprawy publiczne, nie rozumiejącego zupełnie szerszych aspiracji narodowych, zacofanego i przesiąkniętego parafjalnym obskurantyzmem.

Nawet „Kurjerowi“ nie może wszakże chodzić o utrwalenie tego typu karykaturalnego.

Więc prócz nawoływań do utrzymania ziemi i starannej jej uprawy, należy temu ziemiaństwu przedewszystkiem tłomaczyć, że jest ono jeno składową częścią organizmu społecznego, która powinna być skoordynowaną z pozostałemi i że zbytnia jej wybujałość szkodzi tylko sprawności ogólnej mechanizmu, że obowiązkiem jego, jest dbać o podniesienie poziomu kulturalnego społeczeństwa, brać żywy udział we wszystkich jego troskach, bólach i radościach, że istnieją powinności, które są udziałem każdego obywatela kraju, czy jest on rolnikiem, lekarzem lub rzemieślnikiem...

Specjalne zaś zadania ziemiaństwa wpływają je-

MICHAŁ KRYSPIN PAWLIKOWSKI.

Ostatni idjota.

(*Fantazja*).

Dwudzieste stulecie minęło, a za niem, naturalnym rzeczy porządkiem, przeszło dwudzieste pierwsze i dwudzieste drugie.

Postęp, jak centaur o dwuch głowach, z których jedna była Wiedzą, a druga Głupotą, wciąż pędził przed siebie w zawrotnym biegu.

Wynalazki i odkrycia sypały się jak z worka: to, co było w barbarzyńskim dwudziestym wieku fantastyczną bajką, stawało się ciałem.

Wiedza tworzyła, zmieniała, roniła, przeżywała kryzysy, chorowała, znów zmartwychwstawała i naprawiała.

Można ją było porównać z chorem kapryśnem i żądnem poznania dzieckiem. Wciąż pragnęła więcej, wciąż dążyła przed siebie, wciąż roniła lub pomyślnie płodziła wynalazki, odkrycia, nowe prądy i ideje.

A druga połowa Centaura - Postępu biegła za Wiedzą ręka w rękę, jak siostra rodzona. Odrazu rzucało się tu w oczy niepodobieństwo familijne i filozofowie zastanawiali się, czy czasem Wiedza i Głupota są siostrami nierodzonemi? Wiedza była kapryśną, Głupota—zrównoważoną i poważną; Wiedza irytowała się, płakała, lub śmiała się z radości, Głupota zawsze miała na twarzy tępy, dobroduszny wyraz. Wszystkie wynalazki, zrobione przez siostrę, Głupota krytykowała łagodnie, przyjmowała i przywłaszczała, modyfikowała i, w rezultacie, psuła.

W taki sposób, chociaż postęp pędził przed siebie z zawrotną szybkością, porządek rzeczy w istocie nie zmienił się. Wynalazki Wiedzy chłonęła Głupota i w XXIII-im wieku było tak samo, jak w XX-ym.

Wkońcu jednak gienjusz Wiedzy zwyciężył dobrodusznie-sytego demona Głupoty.

Pewien uczony odkrył i zbadał mikroby idjotyzmu i od tej chwili ciężka ta choroba (z którą w XX-ym wieku walczono bardzo prymitywnie, bo—organizowaniem „Ligi walki z idjotyzmem“ i „Dnia blekotu“), stała się uleczalną.

Nie było więcej idjotów na ziemi.

Wszyscy zmienili się w gienjuszów, wszyscy zrozumieli gienezę zła na tym padole płaczu, pojęli mądrość chrześcijańskich zasad i rozpoczęli nowe, szczęśliwe, wolne i braterskie życie.

Znalazł się jednak człowiek, który nie pozwolił sobie zastrzyknąć preparatu 718, skutecznie zabijają-

dynie z wyjątkowej jego sytuacji—możności stykania się i obcowania z ludem wiejskim. Ale wychowane w atmosferze wyłączności kastowej przeważnie nie jest zdolne do spełnienia istotnego swego obowiązku — oddziaływania na masy włościańskie w imię ideałów demokratycznych i spłacenia w ten sposób długu względem Rzeczypospolitej, która—jak słusznie p. J. Hł. zaznacza — hojnie szlachtę uposażała, kosztem — dodajmy od siebie — ludu pracującego.

Lecz dajmy spokój zakusom kaznodziejskim...

L. A.

Sentymentalizm polityczny.

Sentymentalizm w polityce, należący do metod bałamucenia tłumów, dawno już nie przechodził prób tak ciężkich, jak obecnie. Wszystkie hasła humanitarne, któremi od niepamiętnych czasów maskowała tkliwa Europa swój stosunek do Turcji, zostały doszczętnie zdyskredytowane, przyczem błysk światła padł i na sprawy dalsze, odsłaniając istotne pobudki i sprężyny polityki międzypaństwowej.

Ostatnia wojna bałkańska porwała w strzępy zasłonę, utkaną z blagi dyplomatycznej. I oto, miast dręczonych chrześcijan i dręczących „pogan“, ujrzeliśmy w zdumieniu jednaką po obu stronach dzicz, dla której okrucieństwo jest normalnym spółczynnikiem życia gromadnego. Okazało się, że nie ten lub inny sposób modłów, ale stopień kultury decyduje o poziomie moralności tłumu; że ludy Bałkanu — tak chrześcijańskie, jak muzułmańskie—jednako są obce cywilizacji, a piekło, śród którego żyły pod berłem padyszacha i które tak wzruszało „sumienie Europy“—było środowiskiem, właściwem powszechnemu barbarzyństwu.

Przekonał nas o tem bezprzykładny bestjalizm walczących ze sobą armji.

Wojna jest zawsze straszna, zawsze okrutna; ale istnieją też cnoty wojenne. Ileż np. pięknych momentów miała wojna anglo-burska. Nie mówię już o burach, którzy, broniąc dobrej sprawy, będąc stroną napastowaną a słabszą, z natury rzeczy mieli wiele sposobności do okazania szlachetnych, rycerskich instynktów. Nawet anglicy, słani do Afryki przez giełdę londyńską na rabunek cudzego mienia, anglicy, którym owa żarłoczna, oszczędna, niecierpliwa giełda potajemnie kul „dum-dum“ dostarczała, starali się pamiętać o granicy, dzielącej żołnierza od rozbójnika. Albo tacy japończycy! Któż z nas nie pamięta niezliczonych momentów pięknych w ich walce „napastniczej?“

Nic podobnego nie widzimy na Bałkanach. Po obu stronach szła tłuszcza wrzaskliwa, zawsze gotowa mordować przedewszystkiem bezbronnych, a wobec zwyciężonych posuwająca się do nieludzkich ekscesów. Nawet prasa, z urzędu apoteozująca „braci słowian“, nie potrafiła zanotować bodaj jednego rycerskiego, szlachetnego giestu. Nic, tylko rzeź i rzeź.

Z początku objaśniano to żywiołową nienawiścią odwiecznych gnębicieli i gnębionych. Lecz, niestety, obraz nic nie zyskał i wówczas, gdy się wreszcie owi gnębieni sami za łby wzięli. To samo palenie wsi, wycinanie w pień ich ludności, to samo torturowanie jeńców, kaleczenie trupów, przy równoczesnem stałem oskarżaniu przeciwników o „większe“ bezeceństwa.

Dla Europy był to nietylko wstrętny widok. To było coś więcej: kompromitacja jej politycznego sentymentalizmu, służącego — jak się rzekło— do bałamucenia mięsa dla armat.

Toć wszystkie mocarstwa do koncertu należące, od dawien dawna nie przestawały urabiać opinji publicznej na wypadek podziału

---

cego drobnoustroje idjotyzmu. Żadne perswazje nie pomogły i ludzie. pijani szczęściem, dali mu święty spokój, nazywając go pobłażliwie, bez ironji (która nb. istnieć przestała)—,,ostatnim idjotą“.

Ten ci to ostatni idjota był jedynym człowiekiem, któremu to nowe życie wydawało się idjotycznem. Nie pojmował, jak można żyć prymitywnie, bez pieniędzy, bez nierówności, bez ucisku, bez nierównej walki potężnego Zła ze słabem Dobrem.

Powoli w głowie tego ostatniego idjoty zrodził się plan gienjalny. Postanowił, udając gienjusza, t. j., niczem się rzekomo nie różniąc od swych spółbraci, zawładnąć całym światem.

Udało mu się to całkowicie, bowiem ludzie, pijani Szczęściem i nieznający Zła i Głupoty, bezwiednie wpadali w zastawione na nich sidła, oddając się powoli na łaskę i niełaskę idjoty, który teraz otrzymał tytuł „Pana całego świata“.

Poddani jego byli potulnem i głupiem stadem, z którym mógł robić, co mu się żywnie podobało. Ale stado to było zbyt licznem, a całe państwo — zbyt obszernem pastwiskiem, by mu podołać mógł jedyny ostatni idjota. Tutaj pomógł mu pewien uczony-pochlebca. Zaszczepił on kilkunastu gienjuszom mikroby idjotyzmu i ludzie ci, zmienieni w idjotów, stali się satrapami Pana całego swiata.

Zwolna liczba idjotów rosła i ziemia przybierała dawną swą szatę: znów było Zło i Dobro, Głupota i Wiedza, gienjusze i idjoci.

Starzec „ostatni idjota“ dawno umarł, a tron osierocony zajął syn jego. Syn ten — Idjota II-gi został skrytobójczo zabity przez siepaczów jednego z satrapów i dynastja zmieniła się. Panował potem Głupiec I-y.

Minęło stulecie.

Po dynastji Głupców przyszła kolej na dynastję Półgłówków. Potem znów zajęła tron dynastja Idjotów.

Za panowania Idjoty XIV-go wsławionego swem okrucieństwem, pewien mędrzec miał powiedzieć:

— Nic nowego pod słońcem. Czem się różni nasz XXIV-y wiek od poprzednich, naprzykład od XX-go? Wszak i tam i tu rządzi idjotyzm.

Jak głosi komentarz do tej niewiarogodnej anegdoty historycznej, mądra ta sentencja tak się podobała Idjocie XIV-mu, iż zaprosił mędrca do swego dworu i otaczał go czcią i opieką. Tak przynajmniej objaśnia się fakt, że odtąd opiekowanie się monarchów mędrcami i artystami zwało się nie mecenasostwem, lecz idjotyzmem.

spadku po „chorym człowieku“. Przewidując, że może nastąpić konieczność wysłania wojsk na Bałkany, każde państwo starało się wytworzyć idejologję ewentualnej interwencji. Malowano więc w jaknajciemniejszych barwach rządy tureckie, idealizując równocześnie chrześcijan, przez nie ciemiężonych, którym „może wypadnie pójść na pomoc“.

W ten sposób sugiestjonowany, przeciętny europejczyk wyobrażał sobie siebie samego w położeniu nieszczęsnego macedończyka, systematycznie mordowanego przez dzikie hordy kurdów. Wrzał oburzeniem i łzawił się spółczuciem.

Aż tu raptem orjentuje się, że ów brat chrześcijanin—to taki sam kurd, choć mu nad głową nie świeci półksiężyc bisurmański. I oto pryska złudzenie. A takich pryskań dyplomacja nie lubi.

Choć mocarstwa dziś już — z małemi wyjątkami — utraciły nadzieję dziedziczenia czegokolwiek w Turcji europejskiej, nie na rękę jest im jednakże fakt tak jawnej kompromitacji sentymentalizmu politycznego. Masy mogą łacno przejrzeć na oczy i nie dowierzać w przyszłości żadnym idealnym celom wypraw wojennych.

A wiara naiwna w owe idealne cele to przecież czynnik, nieraz w polityce decydujący. Rządy dokładają też wszelkich starań, by możliwie głęboko zapuszczała ona korzenie. Przychodzi im to tem łatwiej, że zagraniczna polityka państwa koliduje rzadko z interesem mas, a niemal zawsze dogadza widokom warstw posiadających (nie wyłączając inteligiencji, *posiadającej* conajmniej patenty szkolne). Nic więc dziwnego, że sfery te bardzo chętnie poddają się sugiestji i złudzeniom, a wierząc w humanitarne misje państwa—na obczyźnie, mogą już z czystem sumieniem występować w obronie najmaterjalniejszych korzyści.

Wobec tego, dość normalnem zjawiskiem jest np. p. Milukow, który tak mocno wziął do serca wzajemne oskarżenie serbów i bułgarów, że aż jedzie, sprawdzić osobiście: czy to możliwe, by bracia słowianie byli tak okrutnymi dzikusami?

P. Milukow ma za mało dowodów u siebie w domu, więc musi ich szukać na Bałkanach. Na tych Bałkanach, których część ojcowie jego krwią swoją z pod tureckiego jarzma oswobodzili.

Bo p. Milukow wierzy, że tu szło o oswobodzenie, a nie o żadne rachuby na korzyść własną. Nie, nie! broń Boże: to był tylko braterski sentyment; i jeśli Bułgarja chwilami o tem zapomina — niewdzięczna, po trzykroć niewdzięczna!

Skoro może być w polityce sentyment braterski, czemu nie ma istnieć też i wdzięczność? Gdy zaś życie nic sobie z tych nadziei nie robi i w polityce międzypaństwowej kroczy drogą najpospolitszego interesu—można sobie pozwolić nawet na gorszenie się.

Było już dość owego zgroszenia, gdy się bracia słowianie, sojusznicy niedawni, za czuby chwycili. Teraz jednak coraz nowe przybywają powody. Oto bracia serbowie bronią zagarniętym, wraz z częścią Macedonji, braciom bułgarom używać języka ojczystego.

— To niemożliwe! — woła z oburzeniem prasa rosyjska wszelkich odcieni, która dopiero teraz, aż na Bałkanach coś podobnego widzi. — Jakto? Bracia braciom? Okropność! Nie dziwimy się ostatecznie grekom, którzy czynią tak samo. Ale słowianie!...

Niemożliwość jednak okazuje się najzupełniej możliwa. Resztki więc złudzeń pryskają. Na żadne sentymenty nie pozostaje ani odrobiny miejsca. Wojna „oswobodzicielska“, „wyzwoleńcza“, czy jak ją tam jeszcze chrzczono, ujawnia właściwe swe oblicze: zwykłego politycznego przedsięwzięcia, obliczonego na pomnożenie terytorjum państwowego ku większej pełności jego skarbu.

Rozpaczliwe korespondencje, słane do gazet rosyjskich przez bułgarów macedońskich, świadczą, iż ludność tamtejsza dostała się z deszczu pod rynnę, bo nowe granice zakreśliła nie słuszność, ale pięść.

Że ludność łaknie sprawiedliwości —temu się nikt dziwić nie może. Dalecy też jesteśmy od chęci dworowania z tego. Ale że spotyka się nawet ludzi trzeźwych, rozgarniętych, którzy przy obecnym ustroju rachują na jakiekolwiek sentymenty w polityce i wciąż wtykają dyplomatom do rąk busolę słuszności — to doprawdy zdumiewające.

Gdy dyplomata, polityk szuka frazesu, mamiącego rzesze, a wypisawszy go na swym sztandarze, popełnia gwałty i bezprawia dla celów rzekomo idealnych — rzecz naturalna. Człowiek ten gra komedję świadomie. Od tego jest. Że komedja owa ma najczęściej śród tłumu powodzenie; że wierzy on w nadzwyczajne jakieś misje, gdy idzie poprostu mordować dla zysku nietylko własnego, ile zysku swych przywódców—to także zrozumiałe. Że prasa będąc na usługach wielkiego kapitału filuternie złudzenia pielęgnuje i patosem frazesów nieraz sama siebie uwodzi—i to również da się wytłumaczyć.

Pojąć jednak trudno logikę dziennikarstwa takiego, jak np. polskie, gdy i to sentymentami w polityce samo siebie i czytelników swych bałamuci.

A przecież większość pism naszych oświetlała i oświetla wypadki bałkańskie niemal tak samo, jak prasa francuska, angielska, a nawet rosyjska. Nawet rosyjska—powtarzam — która widziała tu naprzemian sojusze krwi i sojusze wiary (słowiańskiej—prawosławnej); która państwo zachęcała do interwencji w roli starszej siostrzycy, która frymarczyła ideałami wolności; która wreszcie darła szaty na widok krzywd przez braci braciom wyrządzonych—na Bałkanach.

To samo mieliśmy i mamy w pismach polskich. Czy i one aż wpobliżu Dardaneli szukać muszą dowodów, że w polityce niema ani brata, ani swata; że jest tylko interes i siła?

B. H.

Kto jest winowajcą?

Od kilku tygodni toczy się na łamach „Kurjera Litewskiego“ wymiana zdań w kwestji pracowników rolnych. Panowie ziemianie, między którymi są też ludzie życzliwi i wyrozumiale dla ludu usposobieni, stwierdzają jednogłośnie, że robotnik tutejszy jest zły. W lichocie jego widzą ważny—a niektórzy nawet główny—powód marnej wydajności zlemi i wogóle niskiego stanu gospodarki rolnej.

Choć—jak się rzeklo — śród głosów tych od-

zywają się też opinje ludzi, ogarniających szersze widnokręgi społeczne, dyskusja jest przecież jednostronna. Przemawiają tylko ziemianie, którzy z dworów spoglądają na chaty i zdania swe o tych ostatnich rozmaicie formułują.

Wiemy jednak, że stan rolnictwa, wartość gospodarki zależy nietylko od chat; czynnikiem daleko ważniejszym są właśnie owe dwory, które w obecnej dyskusji polegać mogą conajwyżej autokrytyce. Skoro wszakże *zzewnątrz* pochodzi krytyka siły roboczej, dla jednolitego oświetlenia sprawy należy dopuścić krytykę strony przeciwnej, również zzewnątrz.

W tej myśli właśnie zwróciłem się do rzeczoznawcy bezstronnego z Królestwa, wykształconego w politechnice Zuryskiej, który, poznawszy gospodarkę zacbodnio-europejską (zwłaszcza na Śląsku), zarządza dziś u nas dobrami pewnego magnata.

Człowiek to więc najzupełniej kompetentny, znający nasze stosunki, a jednak na uboczu stojący.

— Czy pan czytuje — spytałem — artykuły „Kurjera“ w kwestji pracowników rolnych?

— Owszem.

— Jakiego pan jest zdania o robotniku tutejszym?

— Każdy robotnik może być dobry, jeśli się go umie użyć. Czy pana nie zastanawia fakt, iż parobcy, którzy u nas są do niczego, wybornie pracują na emigracji?

— Nieraz czytujemy, że dziwią się temu i ziemianie nasi. Widzą tu jakąś dziwną przewrotność chłopa, który swoim służy źle, a obcym dobrze.

— Opieranie wniosków na tak dowolnych hipotekach, jak jakieś specyficzne cechy duszy danego ludu—to fantazja tylko. Kierować się nią w życiu może tylko człowiek, nie przywykły do ścisłego myślenia. Zamiast szukać przyczyn w niezależnych od nas rzekomych wadach ludu, lepiej uświadomić sobie szereg innych, dających się stwierdzić okoliczności.

— A więc?

— Przedewszystkiem praca w gospodarstwach zagranicznych jest doskonale zorganizowana; niema tam żadnej przypadkowości, żadnego „Walek, rzuć to, biegnij tam“. Od rana każdy wie nietylko, co ma robić, ale też, co powinien do wieczora *zrobić*. Po drugie—nad robotą panuje stały, ściśle fachowy dozór. Dozór ten nie tylko po to istnieje, żeby napędzać do pracy leniwych, ale poto przedewszystkiem, by nieumiejącemu pokazać, jak daną robotę wykonywać. Dozorca —to najlepszy, najzdolniejszy robotnik, który nietyle straszy, ile imponuje i pobudza do emulacji. Po trzecie—ziemianin sam daje wszystkie narzędzia bacząc, by były w doskonałym stanie. U nas najemnik przynosi własną kosę, sierp, łopatę, widły, motykę etc. Narzędzia te są przeważnie marne i robota, niemi wykonana, jest również marna. Nie może być inna. Pamiętać bowiem trzeba, że wydajność pracy w 99% zależy od dobroci narzędzia.

Najważniejszym jednak czynnikiem, obniżającym wartość robotnika, jest licha płaca. Człowiek nie poto robi, żeby robić, ale żeby *zarobić*. Pracownik, który wie, że tak, czy owak zawsze będzie niezupełnie syty (nie mówiąc już o innych perspektywach) wykonywa zadanie swe aby zbyć. Zagranicą ogólnie już zaprowadzono w rolnictwie płacę akordową. Przy systemie tym robotnik zarabia dużo więcej niż u nas, a jednak jednostka pracy kosztuje właściciela mniej.

Niska płaca, a więc złe odżywianie, brak celowego dozoru, organizacji, podłe narzędzia—to są tylko czynniki materjalne. Do nich należy jeszcze dodać warunki higieniczne. Za granicą nie znam folwarku, któregoby przynajmniej raz na tydzień nie odwiedził lekarz. Nie chodzi tu o jakiś sentyment ze strony właściciela majątku. Tego wymaga prawo i — interes właściciela. Często robotnik pracuje źle, bo jest chory, choć wcale o tem nie wie, nie zdaje sobie sprawy. U nas człowieka takiego spotykają połajanki, tam — natychmiastowa pomoc. Toć przecież w naszym kraju nieraz całemi tygodniami grasuje tyfus plamisty i nikt na to uwagi nie zwraca, nikt się nie zatroszczy.

Słowem całokształt stosunków jest zupełnie inny. Zagranicą robotnik nasz spotyka się z traktowaniem surowem. Uważają go napoły jako dziecko, napoły jako dzikusa. Zwymyślają od ostatnich, czasem i namacalniej przemówią. Ale jednocześnie ten człowiek widzi, że jest kółkiem w maszynie, która funkcjonuje, jak tutaj mówią, z *tołkiem*, z sensem, że tempa ruchu owej maszyny nie wolno mu opóźniać i tego tempa w razie potrzeby uczą go. Skoro zaś już się w nie wdroży, zaczyna być traktowany w sposób, do którego nie przywykł. Żadnych śladów niewolnictwa, poddaństwa. Przeciwnie — na każdym kroku podniecanie ambicji. Człowiek ten teraz dopiero orjentuje się, że jest naprawdę wolny. Za szczególniejszą zręczność i pilność otrzymuje premja, które nietylko przynoszą mu korzyść, ale wyróżniają śród towarzyszów pracy, czynią bohaterem, czemś lepszem. Po każdym cyklu robót urządza się bal, na którym królują najdzielniejsi robotnicy.

Wogóle atmosfera jest zupełnie inna, niż u nas. Krótko mówiąc, istnieje tam organiczne połączenie pracy wykonawczej z pracą kierowniczą.

U nas tego niema.

— Dlaczego?

— Dlatego, że niezdarna jest najczęściej owa praca kierownicza. W porównaniu ze stosunkami zagranicznemi, jest ona zupełnie taką samą fuszerką, jaka praca fizyczna robotnika. Rolników wykształconych na palcach można policzyć. Ziemianie bogaci—to w ogromnej większości sportowcy i kiepscy filantropowie, goszczący tylko od czasu do czasu w swych majątkach. Właściciele średniej zamożności — to, że tak powiem, najczęściej śpiochy, nie mający wyobrażenia o systematycznej pracy, a przytem pozbawieni potrzeb kulturalnych. Pleśń obrasta ich walące się płoty, chwasty zagłuszają ogrody i tak też całe życie domowe płynie. Ludzie ci nie znają estetyki; znają tylko szyk na pokaz. Czystość panuje jeno w salonie, gdzie gości przyjmują; pozatem niechlujstwo.

I właśnie to niechlujstwo, ten brak ładu — oto znamienny, typowy rys przeciętnej tutejszej gospodarki. W tych warunkach o pracowniku powiedzieć można starem przysłowiem: jaki pan, taki kram.

— Surowo pan odnosi się do ziemian naszych. A przecież ziemianie — polacy...

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć—przerwał mój interlokutor—lepsi są od przybyszów ze wschodu. O tych nie mówię. Ci—z nader nielicznemi wyjątkami—to wcale nie gospodarze, to poprostu dewastacja. Lecz dlaczego porównywać się mamy z gorszymi? Porównajmy się z tymi, co przodują. Nam trzeba szkoły niemieckiej. Tak, panie. Trzeba się do tego przyznać.

Pracowałem w Niemczech u magnata. Miał miljonową fortunę. Ten człowiek był dzień w dzień w kancelarji zarządu majątków i zupełnie tak pracował, jak fabrykant. Po handlowemu.

U nas przedewszystkiem brak wykształcenia handlowego i handlowych metod pracy. Do gospodarki biorą się ludzie, nie mający nietylko wykształcenia zawodowego, agronomicznego (do tego można mieć najmitę) ale i odpowiedniego kapitału. Brak kapitałów obrotowych to jedna z przyczyn nędznego stanu rolnictwa.

— Czyż na zachodzie wszyscy ziemianie mają wolny kapitał obrotowy?

— Nie, nie wszyscy. Ale tam istnieje tani i łatwy kredyt, którego u nas niema.

— Więc ostatecznie niech mi pan odpowie, kto winien jest naszym opłakanym stosunkom: właściciel, czy pracownik rolny.

— W zestawieniu z Europą, wart Pac pałaca, a pałac Paca. Lecz o winie jakiegokolwiek wcale tu się mówić nie powinno. Winien jest ogólny stan kultury i brak czynnika, gdzieindziej popierającego jej postęp.

— Cóż jest tym czynnikiem?

— No, chyba łatwo się pan tego domyśli!

J. S.

Wytarte hasło.

Świetny artykuł pod powyższym tytułem zamieściła w „Tygodniku Polskim“ utalentowana poetka i publicystka p. Jadwiga Marcinowska. Z upoważnienia autorki przedrukowujemy go w całości, myśl bowiem przewodnia tego artykułu wydaje się nam wysoce słuszną, zwłaszcza w zastosowaniu do społeczeństwa polskiego w naszym kraju.

Czasami drobny fakt uwydatnia jaskrawo głębię długoletniego bałamuctwa i szkodliwości zdawkowych haseł, któremi się pokrywa zastój w życiu. Drobne, powszednie fakty budują się na tem, co jak pewnik, — w tym wypadku, o, jak kłamliwy! — wsączyło się w społeczeńśwo, dostosowało do poziomu jego woli.

Przed paru tygodniami jedno z pism popularnych, wydawanych w Warszawie, przyjmując nową nazwę i z tego powodu rozsyłając swój prospekt programowy, ze szczególnym i pracowitym patosem wygłaszało w kilku odmianach to hasło: „trwać, trwać! wytrwać! wytrwamy!“.

Nie chodzi o to pismo; redaktorzy odezwy sięgnęli po szablon, który się podoba, a którego mieli pełno pod ręką. Chodzi o samą rzecz. Oddawna obałamucamy się pobożnem kłamstwem... o trwaniu. Zapomnieliśmy, iż według praw zarówno przyrody, jak i ludzkich dziejów, zjawiska takiego, jak trwanie w tem samym stadjum—niema. Każda chwila z konieczności musi być zmianą — w kierunku postępu lub upadku. Żaden moment nie daje się utożsamić z poprzednim, każdy przynosi wymagania swe — nowe.

Jakże pustem wobec rzeczywistości, a przez to jak bardzo tragicznem jest nasze hasło: „stać! wytrwać!“. Zadają mu kłam najpobieżniejsze obserwacje z zakresu przyrody, a przy cokolwiek bliższem wejrzeniu fałszywemi okazują się analogje, czerpane z osobistych, wewnętrznych spraw człowieka.

Mówi się pospolicie o kimś, co sobie poradził w ciężkich przejściach i trudnościach życiowych, że „wytrwał“. Omyłka! Nigdy „trwanie“ nie zwyciężyło przeciwności. Wszędy, gdzie jest zwycięstwo, musiał być czynnik inny: *twórczość*. Nawet w najsubtelniejszych i najbardziej oderwanych wypadkach, w całkiem osobistych zawikłaniach, czy cierpieniach, każda chwila ku wybrnięciu jest nie trwaniem, ale krokiem naprzód, *tworzeniem* w sobie coraz to nowych i coraz silniejszych środków do walki. *Wytrwałość* tu ma ogromne znaczenie, lecz nie w *znoszeniu*, jeno właśnie w *twórczości*. Ciągle i nieustannie *tworzyć*, to jest zadaniem życia. Człowiek, który nie wydobywa z siebie ciągłej twórczości, upada.

O ileż bardziej i o ile sztraszniej—naród.

Oddawna okłamujemy siebie.. Niczem sobie naród tak mocno nie szkodzi, jak bałamuceniem i usypianiem swej świadomości przez hasła puste. W hasłach wypowiada się miara tego, do czego się dane społeczeństwo czuje zobowiązanem, więc jeśli to tylko frazes—i obowiązek opada do skali frazesu.

Uspakajamy się tem pustem brzemieniem o trwaniu. A światło faktów okazuje, że gdy tak rzekomo trwamy w rzeczywistości tracimy grunt pod nogami cal za calem. Kurczymy się... Czy ktoś, komu nieubłaganie usuwają z pod nóg podstawę, może się zabiezpieczyć trwaniem? Na czem-że wreszcie „trwać“ będzie?

Lepiej jest narodowi nie mieć żadnych haseł i znaków na sztandarze, niźli posiadać nieodpowiadające prawdzie rzeczy. Zdawkowe, więc fałszywe, hypnotyzują i rozgrzeszają.

Hasło: *tworzyć* jest nieubłaganie jasne, a przez to tak pożyteczne. Niemasz tu żadnej „furtki“, żadnego sposobu obniżenia i zmiękczenia wielkiego nakazu. Kategorycznie brzmi wymaganie ciągłego zdobywania wartości życiowych, bezwzględnie wymaga się całej skali wysiłku.

A w przeciwieństwie do tego, to nasze ulubione, „trwajmy“ jest czemś nadzwyczaj elastycznem, tak elastycznem, że pokryć może wszystkie odcienie—od połowiczności do odstępstwa, bo i ten, co odstępuje, jeszcze się tak często zasłania frazesem, że i on przy czemś „trwa“, że on w imię czegoś...

Mozolnym ale radosnym jest twórczy trud, beznadziejnie smutnem tak zwane „trwanie“. A co najważniejsze, krzewi ono obłudę.

Gdyby synów Polski mierzono skalą ich twórczego dla niej wysilku, miałaby ich mniej, lecz — prawdziwych.

Niejednokrotnie pojęcie wszelkie przechodzi, czego się to u nas nie pokrywa wytartym frazesem patrjotycznym. Wzywa się imienia rzeczy świętej nietylko „nadaremnie“, ale często w złej wierze. Widocznie odczuwamy potrzebę sankcji dla różnych czynów i zjawisk, ale też udzielamy jej skwapliwie, bez wyboru, na wszystkie strony. Jakże często interes czysto osobisty, nie mając odwagi do uczciwego przyznania się, czem jest, mizdrzy się maską miłości

i „poświęcenia“ dla kraju. Istnieje w społeczeństwie głuche poczucie, iż każda sprawa osobista powinna służyć sprawie ogółu, ale ponieważ się do tego nie przykłada sprawdzianu twórczego wysiłku, panoszy się nazwa, gdzie niema rzeczy, krzewi się łatwo obłuda.

Odzewem pustych haseł są określenia kłamliwe. Np. jak się gęsto szafuje nazwą „dobrego polaka“. Wytarła się do tego stopnia, iż niejednokrotnie przysługuje absolutnemu niedołęstwu, zupełnej bierności. Kto nie popełni rażących przeciwko obowiązkowi narodowemu grzechów, ten się już cieszy w opinji honorem „dobrego polaka“, a czasami w dodatku zasłużonego obywatela! Wytwarza się wprost negatywne pojęcie rzeczy: „dobrym polakiem jest ten, kto polskości—nie szkodzi“.

Różne są stopnie świadomości w naszej obłudzie. Często bywa to istotnie ledwo wiedzące o sobie, przemieszane z „dobrą wiarą“ wyrosłe na tle zakorzenionego lenistwa. Ta najsłabsza odmiana jest najszkodliwszą...

Ona to sprawia, że gdy spada cios, od którego powinnaby się we wściekłem poczuciu obelgi wstrząsnąć i przetworzyć cała nasza istota, wzdychamy, ocierając łezkę i uspakajamy się frazesem o trwaniu...

Ona to pozwala wielu z pomiędzy nas nie przekraczać pewnego minimum nic nie kosztującej—życzliwości dla rodzinnego kraju... i nie razi bynajmniej oczu ogółu.

Dla każdego, kto kocha życie, ten komunał o trwaniu stać się powinien szczególnie nienawistnym i wstrętnym. Bo jest pokrywką wygodną gwoli rzeczom, bojącym się sprawdzenia i jest trucizną; zatruwa psychikę narodu.

Gdybyśmy byli tak przeniknięci potrzebą *twórczości*, jak jesteśmy tym komunałem usypiającym, świadomi, inaczej by wyglądałyby fakty...

Wszystkie dziedziny życia polskiego wołają o twórczość, przedstawiają się jako tworzywo, z którego trzeba wykuć moc. Każdy w społeczeństwie jest powołanym do tego, by miał tę najwyższą roskosz tworzenia.

Prawdziwą obroną posterunków zagrożonych może być tylko wszechstronna, ciągła twórczość. Ale życie nie poprzestaje na obronie, jest większem. Rozpręża się. Wysiłek twórczy rodzi moc, która się znowuż staje sposobem do jeszcze wyższego wytężenia...

Inaczej wyglądałyby fakty.

Czyż takim np. krokiem postępowałaby ta najważniejsza sprawa demokratyzacji Polski. gdyby ogół nasz był przepojony twórczą potrzebą wydobywania z siebie sił? Powolna ewolucja, uskuteczniana przez nierównomierne napieranie mas, utrudniona zawaleniem dróg przez przeżytki, zyskałaby godność czynu świadomego.

Przykładów jest mnóstwo, znajdują się w każdej dziedzinie.

Zupełnie inaczej zapatruje się na każde zjawisko ten, kto się pociesza, że pomimo wszystko, jakoby „trwa“, a ten, kto chce tworzyć...

Powinnibyśmy się stać fanatykami twórczości...

Jadwiga Marcinowska.

O kształceniu politycznem „Obywatela“.

(Dokończenie).

Uwagi powyższe dotyczą rownież naszej książkowej literatury publicystycznej. W ostatnich latach, chwalić Boga, i u nas zaczyna stę rodzić publicystyka książkowa, jakiej od lat kilkudziesięciu nie było wcale. Nieraz autorzy tych książek, ludzie poważni i odpowiedzialni, powołują się na przykład Zachodu, ilustrują swoje orjentacje myślowe przy pomocy przykładów, czerpanych z życia, odpowiadających domniemanie ich wierzeniom politycznym stronnictw Zachodnio-europiejskich. Mówimy domniemanie, albowiem przeważnie autorzy polscy, żyjąc zdala od życia politycznego Zachodu, znając to życie z przygodnych wypraw turystycznych, z przesiadywaniem w kawiarenkach w towarzystwie podobnych im turystów polskich, niedokładnie zgoła zdają sobie sprawę z rzeczywistej budowy stronnictwa, z jego składu, z jego interesów, z logiki jego postępowania, jako takiego. Polski radykał szuka spółbraci, kommilitonów śród radykałów francuskich, opierając swoją sympatję przyrodzoną na papierowym programie i agitacji wyborczej, w imię tego programu prowadzonej. Wspólnym atoli hasłom i programom nie odpowiadają zgoła wspólne interesy, (polski radykał jest na tyle szczęśliwy że tych dotychczas przeważnie nie posiada). Gdyby poznał bliżej ową pstrą gromadę, objętą ogólnem mianem radykalizmu francuskiego i porównywał z tym wrażeniem sądy, które na jej temat wypowiadał—zdziwił by się niepomiernie i rozczarował. Nie rozczaruje się, gdyż nie pozna, nie zada sobie trudu ciężkiego i niewdzięcznego, aby poznać. Woli przebywać w niebiosach zadrukowanego papieru. Niechaj się nie dziwi, że jego poglądy na życie francuskie są nieżywe i papierowe.

Wszędzie dzisiaj na świecie ludzie bogaci, rady miejskie i państwa, fundują stypendja, przeznaczone dla młodych doktorów uniwersyteckich, wysyłanych tu i owdzie do wielkich środowisk życia spółczesnego na przeciąg miesięcy i lat, w celu poznania złożonego życia politycznego i gospodarczego. *Boursiers* paryscy jeżdżą do Niemiec i do Austrji, do Petersburga i do Washingtonu, do Londynu i do Melburnu, zaopatrzeni w dostatnie środki, w rekomendacje towarzyskie i polityczne, korzystają z opieki agientów dyplomatycznych, korzystają ze stu możliwości poznania życia w parlamencie, fabryce, na roli, w organizacjach robotniczych i w salonie, na ulicy i na wiecach politycznych. Z tych podróży rodzą się niekiedy piękne książki, z tych stypendystów powstają niekiedy znakomici korespondenci. Gdyby też i u nas pomyślano o stypendjach nietylko dla wędrujących rzemieślników, ale także dla wędrujących polityków, dla młodych publicystów, którzy posiadając wykształcenie uniwersyteckie i pragnąc poświęcić się trudnemu i pożytecznemu zawodowi publicystycznemu, chcieliby przez dłuższy pobyt zagranicą *poznać* życie europejskie, zdobyć kryterja porównawcze dla oceny własnych na rzeczy polityczne poglądów, uzasadnić i umocnić i na szerokiej podstawie utrwalić własne poglądy na życie i rozwój własnego narodu.

Powołanie do życia takiej fundacji nie byłoby rzeczą łatwą i to nietylko ze względu na zna-

czny w tym celu potrzebny fundusz. Jak taką fundację zorganizować? Ktoby stypendystów mianował? Wchodziłyby tu w grę oczywiście i poglądy polityczne zarówno mianujących jak i mianowanych. Każde wielkie stronnictwo mianowałoby pewnie swoich. Ale są i u nas przecie instytucje neutralne, które powodowały by się w tych nominacjach względami nie politycznemi, tylko pożytek sprawy mając na względzie.

Aczkolwiek nie powtarzaliśmy na ostatnich szpaltach wciąż wyrazów „obywatel“, „kształcenie obywatela“, to jednak wciąż o tem tylko mówiliśmy i mówimy. To jedno zajmuje nas na przestrzeni całego tego artykułu. Zanim go zamkniemy, powróćmy na chwilę jeszcze na drogi zachodnio-europejskie. lnaczej tam kształcą „obywateli“. Obywatel poznaje tam już w szkole ludowej zasady *deklaracji praw człowieka i obywatela*. W krajach powszechnego prawa wyborczego poznaje politykę od lat najmłodszych: poznaje ją w domu rodzicielskim, na ulicy, na mityngu, z dziennika. Od lat młodzieńczych należy do organizacji, tej czy innej. Walczą o jego głos spółzawodniczące stronnictwa, starają się głos ten urobić przy pomocy złożonego aparatu środków pedagogicznych. Oddziaływują stale i wytrwale w jednym kierunku, urabiając umysł, uczucie, wolę. Wprowadzają do umysłu cały szereg pojęć prawnych i politycznych. Kształcenie to w duchu obywatelskim jest nietylko pod względem *ilościowym* nader wielkie. Dość przeczytać sprawozdanie roczne wydziału oświatowego jednego stronnictwa ludowego niemieckiego, partji socjalistycznej, ażeby się przekonać, jak wielkie praca ta pochłania ilości czasu, energji, środków. Czego tu niema! Mówcy wędrowni, nauczyciele wędrowni, szkoły partyjne, czasopisma, dzienniki, broszury, książki, wiece, dyskusje klubowe; wszystkie gromadzone w wielkim stylu w ilościach olbrzymich, jakościowo nienajgorzej, często wcale poważnie i bardzo umiejętnie, z dużą znajomością rzeczy i psychologji ludzkiej. Tu praca oświatowa ogarnia wszystkie warstwy, każdy wiek i rodzaj ludzki — młodzież, dojrzałych robotników, kobiety. Skierowana jest do wszystkich warstw wielkiego organizmu, liczącego prawie koło miljona żywych komórek ludzkich, poruszającego się w olbrzymiej atmosferze czterech miljonów głosów wyborczych! Nie wszystkie stronnictwa z równą siłą i równem powodzeniem szerzą oświatę polityczną. Każde jednak coś czyni w tym kierunku, środków nie szczędzi, zabiega, drukuje, agituje.

Jakże obfitą jest literatura polityczna *aktualna* angielska, niemiecka, francuska. Każde zagadnienie polityczne wywołuje oddźwięk wielokrotnie powtarzany w literaturze drukowanej. Sprawy tureckie, sprawy bałkańskie, sprawy perskie, stosunek Francji i Niemiec, stosunek Niemiec i Anglji, sprawy trójprzymierza i trójporozumienia posiadają z roku na rok rosnący arsenał książek i broszur. w których bogactwie trudno niekiedy zorjentować się. W ostatnich czasach, jak wiadomo, sprawa antagonizmu Francji i Niemiec weszła znowu na porządek dzienny litaratury politycznej i z różnych obozów, z różnych stron sypią się broszury i wcale pokaźne dzieła naukowe, mające na celu rozwiązanie kwestji, czy złagodzenie antagonizmu. Dużo w tej literaturze jest plew, nawianych wiatrem taniego szowinizmu, ale są i prace bardzo poważne, z których niektóre pozostaną na długo, jako źródła prawdziwych informacji politycznych. Tu należą prace George Goyau o katolicyzmie niemieckim, Paul Matter'a trzytomowa biografja Bismarka, książka Moysset o duchu publicznym w Niemczech, prace redaktora *Revue de deux Mondes*, René Pinon i Pierre Albin! Niedawno „Figaro“ delegował korespondenta swego George Bourdou'a do Niemiec w celu dokonania na miejscu ankiety w przedmiocie stosunków francusko-niemieckich, naprawy tych stosunków i możliwości tej naprawy. Korespondent obszedł najwybitniejsze osobistości reprezentatywne Niemiec spółczesnych, umiał umiejętnie pytać i z odpowiedzi, które otrzymał, zeszył wcale pokaźną i ciekawą książkę pod tytułem *L'énigme Allemande. Une enquête chez les Allemands. Ce qu'ils pensent, ce qu'ils veulent, ce qu'ils peuvent.* Zebrano tutaj głosy wszystkich stronnictw i klas, poczynając od sekretarza stanu Kinderlen-Wächtera, księcia Lichnowsky, obecnie ambasadora w Londynie, profesorowie: Liszt, Schmoller, Wagner, Lamprecht, Hermann Ludermann. Maxymiljan Harden, wielu wielu innych.

Ich poglądy obchodzą nas w tej chwili mniej, niż powstanie książki, dodajmy więc tylko, że wszyscy ci autorzy wypowiadają przekonanie o konieczności pokoju pomiędzy Francją i Niemcami w interesie świata i o tem, że naród niemiecki niczego więcej nie pożąda, jak tylko pokoju w stosunku do Francji. I naród francuski przecie niczego nie pragnie, jak tylko pokoju. Gdy tedy wszyscy niczego nie chcą, jak tylko pokoju, utalentowany dziennikarz mówi o zagadce niemieckiej, zagadką bowiem, wobec tego usposobienia pokojowego, jest nieulegający wątpliwości fakt wzrastania nieustannego zbrojeń niemieckich. Znajduje i rozwiązanie tej zagadki. Nie będzie pokoju, póki nie będzie rozwiązana kwestja Alzacji i Lotaryngji, z powodu zaboru której od lat czterdziestu wzruszony pokój europejski nie może odzyskać utraconej równowagi. „Nie ulega wątpliwości, że zagadnienie to, zmieniło nieco swój charakter w ostatnich czasach, ale tem samem nie przestało być groźnem, stało się, być może, nawet groźniejszem jeszcze. Mylą się Niemcy przypuszczając, że francuzi pozostali wierni nadziei odwetu. Odwet, była to pierwsza, bezpośrednia forma bólu zwyciężonych, wyraz brutalny gniewu poranionych atletów; ideja ta nie żyje więcej w sercach pokoleń spółczesnych. Poza zastępem żyjących jeszcze weteranów i podnieconych nacjonalistów, niema we Francji ani jednego rozumnego człowieka, który świadomie z jakiegokolwiekbądź tytułu pragnie wojny. Apostołowie odwetu liczyli stracone kilometry kwadratowe, wodząc oczyma po ziemi; dzisiaj oczy patrzą wyżej, na drogi sumienia i moralności. Ludzie naszych czasów nie mówią więcej o odwecie, mówią o sprawiedliwości; nie odwołują się do gwałtu. odwołują się do prawa. Dopóki Alzacja-Lotaryngja będzie tak źle traktowana przez Niemcy, dopóty Francja nie przestanie troszczyć się o los tych krajów i płakać nad niemi. Jeżeli Niemcy pragną pokoju z Francją, nie powinni dręczyć Alzacji—Lotaryngji. Zagadka pokoju francusko-niemieckiego tkwi w duszy alzackiej. Póki ta wołać będzie, jakże można przypuścić, ażeby Francja przed tym krzykiem zatykała sobie uszy. A jeżeli Alzacja domaga się tylko prawa, czemuż Niemcy jej tego prawa nie użyczą“?

Gdy mówimy tutaj o Alzacji — Lotaryngji, wspomnijmy ze względu na osobę autora o bardzo ciekawej książce znanego anti-militarysty francuskiego, tylokrotnie skazywanego na więzienia przez sądy francuskie, Gustawa Hervé. Hervé w ostatnich czasach poddał dawniejsze poglądy swoje poważnej rewizji i, jak twierdzą niektórzy, zupełnie je zmienił. W każdym bądź razie lat temu pięć jeszcze nikt by nie przypuścił, że Hervé może w przedmiocie Alzacji—Lotaryngji wypowiadać takie rozsądne i patryjotyczne poglądy. On, który na międzynarodowych zjazdach socjalistycznych wzywał niedawno jeszcze (w Stutgardzie 1907 roku) proletarjat Francji i Niemiec, aby na wypadek ogłoszenia wojny przez rządy obu krajów, proletarjat ten, zamiast pójść na wojnę tu i tam jednocześnie wywołał rewolucję socjalną (pomysły Hervé'go nie miały na tym zjeździe najmniejszego powodzenia, były nietylko przegłosowane, ale i wyśmiane), uważa teraz, że do pokoju pomiędzy Francją a Niemcami dojść trzeba inną drogą. Prowadzi do tego celu — *pacyfikacja Alzacji—Lotaryngji*. Nie ta oczywiście pacyfikacja, którą rząd niemiecki stosuje od lat czterdziestu, bądź zwalniając, bądź naciskając obręcze ucisku, którym wiąże nieszczęsne ziemie od kultury francuskiej oderwane, jeno nowa zgoła forma tej pacyfikacji: Alzacja — Lotaryngja, jako autonomiczne republikańskie państwo związkowe, należące do Rzeszy niemieckiej. Przyjmuje nawet pod uwagę możliwość przywrócenia panowania francuskiego w Alzacji. W takim razie gotów jest oddać Niemcom możliwie wielkie obszary kolonjalne, z wyłączeniem Północnej Afryki. Hervé jest francuzem, nie wątpi przeto, że ta druga kombinacja jest zgoła utopijna. Pierwsza odpowiada zamierzeniom i całej działalności polityków alzackich.

Tyle *de actualibus*. Na zakończenie niechaj znajdzie tu sobie wzmiankę poważne, cenne w pomyśle, często udatne w wykonaniu wielkie dzieło niemieckie, *Handbuch der Politik*, ukończone w roku bieżącym, bardzo szeroko pomyślane przez bardzo czynnego na polu filozofji prawa i państwa, (wydawcy *Archiv für Rechts und Wirtschafts philosophie*), Fritz'a Berolzheimer'a, w dwuch wielkich tomach, obejmujące całkowity zakres kwestji i kwestyjek, związanych z pojęciem życia politycznego i gospodarczego w państwie i społeczeństwie. Złożyło się na to dzieło kilkudziesięciu uczonych niemieckich, wedle bardzo zróżniczkowanego programu i choć urzędowe poglądy tych profesorów niemieckich na sprawy życia politycznego mogą nieraz razić nas swoją jednostronnością i wyłącznością giermańską, to jednak próba stworzenia takiej encyklopedji politycznej, dajacej odpowiedź na liczne i ważne kwestje spółczesnego życia politycznego, oddać może przysługi niezliczone, wagi pierwszorzędnej publicystom wszystkich krajów, uczonym, działaczom społecznym, a także „obywatelom". W połączeniu z dawniej powołanemi do życia wydawnictwami encyklopedycznemi, objaśnieniu *zjawisk gospodarczych* poświęconemi, *Handwörterbuch der Staatswisensschaften* (7 tomów, 3 wydania) i *Wörterbuch der Volkswirtschaft* (2 tomy), daje ta *Encyklopedja Polityczna* najpełniejszy w chwili obecnej obraz życia i myśli politycznych świata cywilizowanego.

Slowem: *zabiegajmy koło wykształcenia politycznego „obywateli!"*

Stanisław Posner.

Miecz Olbrzyma

Bratu memu, Eugieniuszowi.

W przekornej męce rzeźbię białą trumnę;
jej modrzewiowe wieko stroję w śmiertelniki —
W trumnie zamknąłem wszystkie myśli tłumne,
wszystkie spiżowe dawnych lat pewniki — — —

Gdy skończę pracę, wyjdę w step szeroki; —
tam, gdzie widnokrąg zacieśniają siny
chmury — i dziejów wyrocznie lawiny
spadają groźnie, hucznie, jak potoki — — —

Do matki—ziemi przytulę swe łono..,
... (na barkach swoich ziemia niebo trzyma!..)
...Gdy krwawą łuną krańce niebios spłoną,
do ręki porwę ciężki miecz Olbrzyma — — —

Bolesław Zahorski.

O teatrze.

— Więc głównie chodzi panu o repertuar?

— Oczywiście. Teatr jest. Jakim jest—musimy się z nim pogodzić. W tydzień ani miesiąc nikt go przerobić nie zdoła. Stratna tu jest, poza publicznością, przedewszystkiem dyrekcja, gdyż stale sto pięćdziesiąt przeszło miejsc galerji, zajmowanych przez „szerokie masy" świeci pustkami. Zaradziłby tu można jedynie, obniżając wysokie ceny miejsc galerji, prócz pierwszego rzędu, do 15 kop., nazwawszy je poprostu „stojącemi" ponieważ faktycznie są to miejsca, z których tylko stojąc widzi się, scenę. Za 15 kop. warto i postać parę godzin—korzystając z siedzenia w antraktach.

— No a co do repertuaru?

— Jak pan sądzi? Jaka sfera stanowi przedewszystkiem publiczność teatralną w Wilnie?

— No... chyba inteligiencja...

— Niezupełnie, ale prawie. Z nią więc przedewszystkiem liczyć się trzeba. Czyż repertuar obecny odpowiada gustom i wymaganiom przeciętnego inteligienta? Stanowczo nie. Jest to przerażliwy miche-mache rzeczy znakomitych i tandety, starzyzny i nowości, rzeczy głębokich i bez treści, rzucanych bez planu zupełnie, przypadkowo na deski sceniczne.

— Ależ panie! Wszakże dyrekcja wzoruje się całkowicie na repertuarze teatrów warszawskich. Niech pan uważa: Topiel—Berg op Zoom — Szaława—Myszy bez kota—Mój najdostojniejszy przodek—Dożywocie—Jeniec Napoleona, toż to wszystko sztuki grane w ubiegłym lub przedostatnim sezonie w Warszawie!

— Właśnie. I to jest złe. Warszawa ma, proszę pana, publiczność wszystkich absolutnie sfer—musi więc grać wszystko, dodajmy w siedmiu czy ośmiu teatrach, bo to jest ważne. Tam przeciętny słuchacz wie dokąd pójść, aby gusta swe i potrzeby zadowolić i ma w czem wybierać. Wilno ma

teatr jeden i dwa (jeśli nie więcej) odłamy publiczności...

— Bardzo pięknie, jednak śród jednej i tej samej publiczności znajdzie pan tyleż prawie gustów i upodobań, ile osób jest w teatrze. Więc jakże tu wszystkim dogodzić? Pamiętam bawiłem się świetnie na „Zdobyciu Berg-op-zoomu", podziwiając dowcipny, pełen finezji djalog Orlińskiego z panią Bończą, pełną humoru grę Orłowskiego (który doskonały w farsie, powinien stanowczo zrezygnować z ról kochanków serjo) oraz całą tę misterną, błyskotliwą a daleką od pornografji robotę francuskiego pióra. Zadowolenie moje podzielało bardzo wiele osób. Tymczasem na premjerze „Myszy bez kota", ramocie doskonałej na niedzielne popołudniówki, słyszę rozmowę sąsiadek z 6-go rzędu: „O, to się nazywa komedja, nie to co ów Berg-op-zoom, bez żadnego sensu!" No, powiedz pan sam, jak tu wszystkim dogodzić?

— Otóż to właśnie, drogi panie. Układem repertuaru kierować powinna jakaś myśl przewodnia, której tu nie widzę. Teatr jest jeden a zadowolnić musi wszystkich. Jest jednak siedem dni w tygodniu. Cóż łatwiejszego, jak przyzwyczaić publiczność do tego, że jedynie w niedzielę po południu usłyszy niewybredne „Myszy bez kota", ciężkiego jak cała artylerja „Towarzysza pancernego", bepretensjonalnego, lecz zato pięcioaktowego (co dla wielu jest plusem), „Szaławiłę", wzruszającą zawsze „Obronę Częstochowy" czy „Kmicica"; że w ciągu tygodnia dwa-trzy oznaczone dni dają widowiska również tanie, lecz o charakterze dydaktycznym, zapoznając niewyrobioną publiczność oraz młodzież z Fredrą, Korzeniowskim, Szekspirem; że pozostałe wieczory rezerwuje dla inteligiencji dając naprzemian sztuki poważnego lub lekkiego repertuaru, swojskiego i obcego, lecz już rzeczy bezwarunkowo wysokiej wartości pod względem literackim, scenicznym i artystycznym? Mając tak podzielony tydzień teatralny, sądzę, że dyrekcja nie miałaby powodu utyskiwać na pustkę wiejącą z widowni, bo widz wiedziałby, czego się ma trzymać i za każdym razem innego rodzaju publiczność zapełniałaby teatr.

Dużo się mówi o publiczności wileńskiej, mówi się przeważnie źle — a jest to poprostu nieporozumienie. Ten kto szuka w teatrze poruszeń głębszych pokładów duszy jednostki czy społecznej—nie pójdzie śmiać się na „Myszy bez kota" i vice versa. Kto przekłada sztuki swojskie czy patryjotyczne – będzie wzruszał ramionami na „Berg-op-zoomie". Bowiem wyjątkowe są rzeczy zdolne porwać cały tłum różnorodny, od najniższych szczebli po szczyty, bo Mickiewicz i Wyśpiański nie codzień się rodzą.

— Łatwo być sędzią, panie, i łatwo dawać przepisy na sposoby kierowania teatrem z za biurka. Lecz niechno pan zostanie dyrektorem teatru...

— Ja to wiem. A dlaczego to mówię? Bo kocham teatr, bo czuję i wierzę, że teatr nie powinien wegietować, lecz żyć pełną piersią i dawać życie tym, którzy chcą czerpać u jego źródła, i być dla każdego nie deserem po obiedzie, lecz tem, czem dla życia jest chleb i woda.

— Ale i w to pan wierzy, że na razie to utopja?

— Może. Ale tylko na razie. Wie pan? Z małych cegiełek powstają gmachy, góry z ziarenek piasku. A tworzy to wszystko — czas.

— Więc czekajmy.

— A właśnie nie czekajmy. Źle jest czy dobrze — bywajmy w teatrze choćby... siedem razy w tygodniu!

. . . .

Dzięki temu, że „Lilje" Morstina należą w sezonach ostatnich do dobrego tonu — poznaliśmy „Lilje". Dzięki temu, że właśnie w ubiegłą niedzielę przypadła piąta rocznica zgonu Wyśpiańskiego — mieliśmy wznowienie „Zgonu Barbary" i „Warszawianki. Słowem — przypadek.

I tu właśnie, na obronę publiczności wileńskiej, jako dowód, jak wrażliwą jest na prawdziwe piękno, jak ją mocny talent i potęga słowa porywa — konstatuję fakt: „Warszawiankę" grano w Wilnie poraz, o ile się nie mylę, dwudziesty szósty i teatr był pełny, a wzruszenie malowało się na wszystkich twarzach.

Na pochwałę dyrekcji dodać należy, że tak „Warszawiankę" jak „Zgon Barbary" wystawiła z prawdziwym pijetyzmem dla gienjusza poety i obsadziła z małemi wyjątkami odpowiednio. Wierna pod względem stylu, bajeczna w kolorze i tragiczna w nastroju komnata Barbary, na Wawelu, pozostawiła w pamięci widza niezatarte wrażenie. Pozatem p. Mostowska w roli Barbary zdobyła się na akcenty tak szczerego bólu i głębokiego uczucia, jakich w niej dotąd, po kilku dość sztywnych sylwetkach, nie podejrzewaliśmy. Szczerze jej tego winszujemy. Przytem zewnętrznym wyglądem w zupełności usprawiedliwiała rozpacz osieroconego Zygmunta. Rolę króla zbyt deklamował p. Przystański i to z fałszywego tonu, co robiło wrażenie, że chyba więcej mówi o swej boleści niż ją w rzeczywistości odczuwa. Warunki glosowe nie dopisały mu też dnia tego całkowicie. Chłopicki z „Warszawianki" w bardzo inteligientnej interpretacji p. Skarzyńskiego, obdarzonego silnym i dźwięcznym głosem, nie pozwolił nam żałować świetnych tradycji Knake Zawadzkiego w tej roli.

Z nowości poważnych dał nam jeszcze teatr „Topiel", o której choćby ze względu na autora uwielbianego przed dziesiątkiem lat wspomnieć należy. Dramat ciężki w czytaniu, z przewijającą się w nim, właściwą Przybyszewskiemu męczącą nutą fatalizmu — na scenie staje się prawdziwym melodramatem. Trudne, pełne jęków i histerycznych wybuchów role dwuch kobiet, przypadły w udziale paniom Leśniowskiej i Żmijewskiej, które z niewdzięcznych tych postaci robiły co mogły. Najmniej wymagająca wysiłku rola jednego z „mocnych ludzi", Skalskiego miała przedstawiciela w p. Skarzyńskim, który ją oddał z umiarkowanie zimnym cynizmem. P. Orliński świetnie odtworzył skomplikowaną postać Jelskiego, pod maską degienerata ukrywającego swe subtelne oblicze. P. Rommówna w epizodycznej roli kokoty (doskonała zewnętrzna sylwetka) w akcenty damy z półświatka niepotrzebnie wplatała minoderyjny tonik naiwnej mężateczki.

Quidam.

Wszystkich prenumeratorów naszych, którzy nie uiścili dotąd przedpłaty, prosimy uprzejmie o uregulowanie zaległości.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Iza Moszczeńska. *Pod Cierniową Koroną.* Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1913 r.

Znana publicystka i działaczka p. Iza Moszczeńska, myśli swe i obserwacje społeczno-życiowe, o wysokim, humanitarnym poziomie oraz indywidualnej interpretacji, utrwaliła, dla uprzystępnienia ogółowi, w formie powieściowej. Ktoby jednak w książce tej szukał podniecającego romansu, powikłań romantycznych, wreszcie erotycznych wybuchów—ten zawiedzionym zostanie najzupełniej. Kto natomiast szuka treści głębszej i postulatów wytycznych, kogo zwłaszcza porusza „do trzewi", nieskończenie smutna „prawda" życiowa, jej bóle beznadziejne, fatalizmy, zarówno jak krzywdy krwawe jednostek—ten zaduma się poważnie nad tą dziwną powieścią, i wyczytawszy między wierszami, niedomówione, najtajniejsze myśli autorki, wyczuje tętno serca, przepojonego tym „bólem bólów", choć pozornie chłodnego, refleksyjnego, chirurgicznym skalpelem rozbierającego wrzody ropiące...

I dobrze się stało, że ideały swe społeczne zamiast jak dotąd w artykuły publicystyczne, nie wszystkim umysłom dostępne, wcieliła autorka w powieść. W ten sposób prędzej czytane będą, prędzej wywołają dyskusję, krytykę—zaś ze sprzecznych zdań i starcia pojęć, wyłania się właśnie owa prawda pożądana, choć różnorodnie rozumiana i odczuta.

„Ten kto ran własnych ukoić chce żary, niech dłoń położy na sercu ludzkości"... czytamy między innemi w tej odrębnej książce—to uczyniła niewątpliwie autorka, przelewając uczucia i przemyślenia własne w przeżycia duchowe bohaterki swej Ireny, poznającej z „dobrowolnego wyboru" odwrotną, straszną stronę życia, w przebolesnym szpitalu pod „Cierniową Koroną"—tej giehennie cierpień bez nazwy i miary...

Z bystrością uduchowionego ostrowidza-badacza i realizmem prawdy zawsze przekonywującej bo rzeczywistej, przedstawia autorka w śmiałym rzucie psychikę istot, goszczących przejściowo, w tym ponurym, szpitalno-więziennym domu—psychikę najgrubszych i najprostszych, pierwotnych niemal natur dzieci nędzy i ulicy, do wykwintnej, wyrafinowanej psychologji najkulturalniejszych jednostek społecznych. Ściśle też i sprawiedliwie odtwarza prostolinijne, bezgrzeszne, choć częstokroć rażące jednostronnością rutyny i przesądu wiekowego, altruistyczne sylwetki idejowych opiekunek szpitala, w białych, anielskich kornetach, z różańcem u boku, przeciwstawiając im szorstkie, o mądrem obliczu i myślącem czole postacie ordynujących lekarzy, przedstawicieli ostatnich zdobyczy postępu i wiedzy: dwa prądy biegunowo przeciwne, ścierające się bezustannie, choć zasadniczo dążące do jednego celu—ulżenia cierpiącej ludzkości. Te dwa prądy krańcowo odbijające od siebie, uwydatnione są też subtelnie, w typie ascetycznej, bezwzględnej S. Kasyldy i wyzwolonej z formalistyki zewnętrznej, chrześcijanki w duchu—Ireny.

Poprzez to całe morze łez i niedoli, poprzez modły i święte pienia zakonnic, jęki operowanych i konających—poprzez całą tę rozległą gamę mąk i tortur fizycznych, przewija się, niby złota, nieuchwytna nić, miłość wielka dwojga „*wykolejeńców*" z pod praw wyjętych — męczeników idei najszczytniejszej... Miłość ta idealna, heroiczna, zagrzewająca do czynów nieśmiertelnych, z zapomnieniem własnego, egoistycznego szczęścia, wystrzela niby kwiat mistyczny, ponad tę „kałużę krwi i błota ziemskiego", upajając przeczuciem nadziei bezkresnych, wiecznych...

Oto kilka urywków z kart końcowych, gdy „ofiara" dopełnioną została:... „poprzedzony przez eskortę z karabinami, szedł Jerzy sam, choć z wysiłkiem. Głowę obandażowaną jeszcze trzymał wysoko i wyglądał tak, jak gdyby wodzem był tych zbrojnych ludzi, jak gdyby nie oni jego, lecz on ich prowadził. Szedł jak na bój. Na twarzy jego malował się zupełny spokój i skupiona siła, a wzrok patrzał bystro, mądrze w jakąś odległą przestrzeń... Za nim szli jeszcze zbrojni, potem matka z gołą siwą głową, blada, tragiczna, z suchemi oczami"....

A dalej:... „Iro — pisał Jerzy w testamencie serca (kartce ukrytej między bandażami, wręczonej Irenie przez współczującą S. Matyldę) — nie płacz nademną, nie płacz nigdy... Trzeba sił, hartu, przedewszystkiem. Więc nie poświęcaj się na ofiarę cichą, nie bądź żałobną płaczką ani rozpłakaną brzozą cmentarną... Idź w świat. Nie męczeństwa potrzeba, lecz zwycięztwa. Męczeństw było dosyć... Nie szukaj mnie za kratą, nie szukaj w grobie, nie szukaj we wspomnieniu niepowrotnych chwil. Szukaj mnie w tej wielkiej pięknej przyszłości, którą żyłem, którą będę żył do ostatniego tchnienia. Tam już będę zawsze z tobą; tam mnie znajdziesz, tam będzie nasze wspólne wielkie szczęście"...

Czytelniku, weź w rękę powieść „*Pod Cierniową Koroną*", a wiele tajnych rzeczy duszy twojej powie i o wielu sprawach cię pouczy. A gdy myśl głębsza, bruzdą poważnej zadumy przeorze ci czoło, uczujesz się rdzenniej „człowiekiem" w najdostojniejszem znaczeniu tego wyrazu...

E. Wielowieyska.

Nowa placówka postępu.

(„Zblizka i Zdaleka", czasopismo tygodniowe dla młodzieży).

W dziedzinie perjodycznych wydawnictw dla dziatwy i młodzieży dotychczas panowała u nas nędza. W istniejących pismach przeważnie niepodobieństwem się było dosłuchać tętna wymarzonego i wytęsknionego nowego życia, dopatrzeć przebłysków ideału Nowego Człowieka. Mazgajowatość sentymentalizmu, miast hartu mocy. Gloryfikacja miłosierdzia bogatych, pokory, rezygnacji, posłuszeństwa biednych.

Lecz oto, jak nieraz w Polsce bywa, śród beznadziejności pustkowia wykwita przepiękny kwiat czynu. Z punktu prześciga on wszystko, co w dziedzinie tej istnieje gdzieindziej.

Od dwuch miesięcy wychodzące w Warszawie czasopismo „Zblizka i Zdaleka" pod redakcją Stefanji Sempołowskiej i Janiny Mortkowiczowej, próżno szukać będzie spółzawodnika śród wydawnictw zagranicznych. Redakcja potrafiła skupić w gronie spółpracowników najwybitniejsze

siły nasze na polu: literatury, publicystyki i popularyzacji wiedzy. Potrafiła nadać obok pięknej, przyciągająco działającej szacie zewnętrznej, wybitną wartość — bogactwem poruszanych tematów, tonem powagi i entuzjazmu.

„Zblizka i Zdaleka“ zrodziło wielkie twórcze umiłowanie Polski, znajdujące swój wyraz w usiłowaniach wychowania pokolenia Jutra, które radośnie i zwycięzko Ją ku słońcu wyzwoleń na barkach swych poniesie. Potęga wiedzy zbratana z płomiennością ideału nie zawiodła, bo nie zawodzi nigdy, stworzyła arcydzieło w swej dziedzinie.

Układ zeszytów „Zblizka i Zdaleka„ charakteryzuje planowość i żywotność doboru treści (ma się rozumieć bez cienia pogoni za sensacją). Nie ślepy los przypadku decyduje o sąsiadowaniu ze sobą danych prac, ale rozumna celowość. Każdy zeszyt przedstawia pewną zakończoną całość, jednej poświęconą sprawie. Tak pierwszy zeszyt zajmuje się zjawiskami i nastrojami jesieni. Zdobi go nader piękny rysunek Jana Rembowskiego, oraz mistrzowski urywek Stefana Żeromskiego. Następny zeszyt poświęcony jest Litwie, inny wspomnieniom Księcia Józefa, i ten przeszedł chrzest warunków pracy w Królestwie. Inny jeszcze zadedykowany dniu Zmarłych i t. d.

Założyciele przeznaczyli „Zblizka i Zdaleka“ młodzieży.

Jedyny zarzut, który postawić można, to ten, że dla podrastającej młodzieży poziom jego zda się za wysoki. Dla młodzieży natomiast o pewnym już stopniu dojrzałości stanie się, niezawodnie, ukochanym towarzyszem i kierownikiem pracy pozaszkolnej. Lecz i dla dorosłych nie jest pozbawiony wartości: przynosi promień słońca, niejedną ciekawą wiadomość, dodaje zapałem swym sił i otuchy. Wszyscy ci, którzy nie ustają w zabiegach nad zapełnianiem luk swego wykształcenia ogólnego znajdą pomoc. Dlatego sądziliśmy, iż założyciele winni poświęcić go nie tylko młodzieńczości wieku, ale młodzieńczości ducha, t. j. szerokim rzeszom naszych samouków.

Jeżeli jedno pożądanie wyrazić wolno, to życzylibyśmy, co nie wątpimy, iż w następnych numerach nastąpi, aby „Zblizka i Zdaleka“ uwzględniało cele, motywy i wyniki pracy kooperatystycznej i pobudzało czytelników do spółdzielczego czynu np. w zakresie kooperatyw przyborów szkolnych. Bo próżno nosić najszczytniejszy ideał w duszy, jeśli się nie zna jedynego skutecznego środka budowania sprawiedliwości ekonomicznej, od której wszak wszystko inne zależy, lub znając go, nie wciela się go w czyn.

Każdy zeszyt „Zblizka i Zdaleka“ przynosi dodatek dla dzieci, nazwany trafnie „w Słońcu“, bo istotnie, pełen jest słoneczności.

Powstanie „Zblizka i Zdaleka“ jest faktem społecznie doniosłym, i nie dziw, iż już sam prospekt tego wydawnictwa wywołał namiętną reakcję naszych żywiołów ciemnych i podłych. Prasa reakcyjna rzuciła się nań z niesłychaną zajadłością: posypały się w nienawiści zrodzone najdziksze, najbezsensowniejsze zarzuty na pismo, które jeszcze nie istniało. *Bluźniono nazwiskom ludzi, któremi Polska ma prawo i obowiązek się szczycić.*

Lecz złość i głupota ludzka bezsilna jest wobec wiedzy i wiecznego znicza społecznych umiłowań. W końcu muszą ustąpić. A może wściekłość ich teraźniejszych ataków to znak, że policzone już dni ich bytowania na ziemiach Polski. Jedno jest pewne: każdy zwolennik postępu uznaniem swym, sympatją, całą wogóle potęgą uczuć swej czuje się zbratanym z tą nową placówką—której los od zarania dni nie szczędził cierni.

Słowem, trudno znaleźć bardziej wdzięcznego, pożytecznego i pięknego upominku na nadchodzącą gwiazdkę, jak zaprenumerowanie sobie czy innym „Zblizka i Zdaleka“.

M. Orsetti.

PRASA POLSKA.

— Sprawa samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem nie schodzi z łamów pism warszawskich. Wszelkie wiadomości, nadchodzące z Petersburga o nastrojach, panujących w sferach miarodajnych względem projektu samorządowego— są żywo omawiane i poddawane mniej lub więcej przenikliwej analizie.

W numerze z d. 16 (29) b. m. „Słowo“ warszawskie zamieściło następującą enuncjację.

„Prezes Rady ministrów Kokowcow udaje się na południe, ponieważ dla udzielenia nowej wskazówki w sprawie poprawki Stiszinskiego i Hurki, okazała się konieczność przejrzenia wszystkich materjałów, na których podstawie wydana została w czerwcu roku bieżącego pierwsza wskazówka. P. Kokowcow zawieźć ma z sobą piśmienną opinję prezesa Rady państwa Akimowa. Będzie to połączone z pewną trudnością, ponieważ p. Akimow zapadł dość ciężko na zdrowiu. Oprócz sprawy samorządowej są inne sprawy ogólno-państwowego znaczenia, które zniewalają prezesa Rady ministrów do osobistego przedstawienia stanu rzeczy, jest to mianowicie zasadnicza zmiana stanowiska październikowców wobec rządu oraz wybór prezydjum Dumy państwowej, który wypadł w duchu opozycyjnym. W tych dwóch ostatnich sprawach miał również osobiście referować minister spraw wewnętrznych, Makłakow. Trudno przypuścić, żeby Makłakow, referując o nowym układzie sił partyjnych w Dumie, nie dotknął ani jednem słowem sprawy języka w obradach samorządowych. zwłaszcza, że sprawa ta wchodzi bezpośrednio w zakres jego wydziału. Ponieważ poglądy pp. Kokowcowa i Makłakowa w sprawie językowej różnią się dość znacznie, więc w tej chwili trudno przewidzieć, który z tych poglądów zwycięży“.

Wiadomość powyższą „Kurjer Poranny“ zaopatruje w komentarz ironiczny, p.t. „Dwie metody“.

„Dla interesu polskiego jest oczywiście obojętne, który z tych poglądów zwycięży, bo oba zwracają się przeciwko polskości i jej naturalnym prawom, jeden gwałtowniej w formie. drugi dotkliwie w treści. Wnosząc z tego przedstawienia rzeczy, sprawa sporu o samorząd pomiędzy stronnictwami rosyjskiemi jest tylko kwestją rywalizacji dwóch metod w ogólnej polityce biurokratycznej, metody ostrzejszego czy łagodniejszego tonu, metody szczerości czy pozorów. Metoda pierwsza jest niewątpliwie cięższa, ale niewątpliwie krótsza; metoda druga jest znośniejsza i ma dzięki temu warunki długotrwałości. Wyobraźmy sobie. że państwo rosyjskie jest pacjentem, który przeszedł przez silne ataki konwulsji i leży przykuty do łoża. Nad tem łożem pochyla się dwóch lekarzy, którzy niezupełnie z sobą są zgodni co do djagnozy, ale obaj stawiają djagnozę błędną; nieszczęśliwy pacjent instynktownie odczuwa błędność i jednej i drugiej djagnozy i myśli tylko o tem, jak długo może ta kuracja potrwać. Jeden z eskulapów, chirurg, mówi, że kuracja musi być bezwzględna i radykalna, choćby pacjent miał dużo cierpieć; drugi, aleopata, twierdzi, że pacjenta należy oszczędzać, stosować środki łagodniejsze i uzbroić się w cierpliwość, byleby tylko nie marzył o tem, że kiedykolwiek będzie się mógł obejść bez kuracji.

Pacjent nie ma oczywiście żadnej możności wyboru, ale choć kurczą mu się szczęki na myśl o słodyczach kuracji pierwszej, z pewnością z większym niepokojem myśli o drugiej.

Ostatecznie pierwsza z tych metod wygospodaruje się bardzo prędko, i jeżeli pacjent będzie mógł ją przetrwać, ma pewne szanse wyjścia z łóżka, gdy go już lekarz o silnej pięści opuści; druga metoda daje perspektywę leżenia w łóżku aż do późnej starości".

— Znany publicysta p. Wł. Studnicki w „Gońcu" warszawskim poddaje ostrej krytyce politykę endecji galicyjskiej.

„Przyszły historyk polityczny Galicji, pisząc o endecji, sparafrazuje słowa Krasińskiego: „I coraz podlej tam w tej partji było". Jeszcze przed sześciu miesiącami partja ta wraz z podolakami i centrowcami srożyła się na przyznanie rusinom 27 proc. mandatów sejmowych i wyboru do Wydziału Krajowego rusinów nie przez cały sejm, ale przez posłów ruskich, uważając tę ostatnią reformę za początek podziału kraju, za stworzenie kurji narodowych. Endecja, proklamując walkę z naszemi krzywdami, zawartemi w projekcie bloku, ratowała swą reputację mocno zaszarganą jej stanowiskiem w polityce zewnętrznej podczas przeszłej zimy. Dziś za cenę dwumandatowości i proporcjonalności okręgów w kilku miastach i w szeregu okręgów wiejskich Galicji Zachodniej, endecy zgadzają się na postulaty ruskie, uprzednio uznawane przez nich za niebezpieczne. Trzeba im obecnie odwrócić uwagę społeczeństwa od swej kapitulacji. Rozpoczyna się więc przygotowanie do akcji antyżydowskiej w Galicji. Gdyby w rzeczy samej endekom chodziło o obronę kraju przed agresywnością rusinów, wobec zwiększającego się niebezpieczeństwa ruskiego, endecy nie proklamowaliby walki z żydami. Naszą przewagę w Galicji Wschodniej nad rusinami w znacznej mierze zawdzięczamy lojalności żydów galicyjskich względem nas. Swej siły materjalnej i liczebnej nie nadużywali żydzi galicyjscy dla przeprowadzenia zbyt wielkiej ilości żydów do sejmu lub parlamentu, z małemi wyjątkami lojalnie wstępowali do Koła Polskiego. Postulaty więc endeckie, centrowe i podolskie odseparowania wyborczego chrześcijańskiej i żydowskiej ludności nie są wywołane aktualnem niebezpieczeństwem, ale chęcią przeprowadzenia klerykałów i endeków za cenę jednoczesnego wprowadzenia sjonistów do sejmu".

Przytaczamy opinję powyższą jako głos działacza, którego nie można podejrzewać o obojętność względem interesów narodowych. P. Wł. Studnicki przeciwnie jest skrajnym nacjonalistą i stanowczym przeciwnikiem wszelkich ustępstw na rzecz spółobywateli innej narodowości. W swych wystąpieniach jednak jest zupełnie szczerym i niezależnym, co pozwala mu sądzić bezstronnie działalność pp. Grabskich i Zamorskich.

Uchwały październikowców.

W ostatnim dniu obrad zjazdu październikowców, Al. Guczkow wniósł projekt uchwały, która po krótkiej i ożywionej dyskusji przyjęta została jednogłośnie. Uchwała ta, nie pozbawiona znaczenia politycznego w życiu społeczeństwa rosyjskiego, brzmi w przekładzie, jak następuje:

„Zjazd związku 17 października, odbyty w d. 7 do 10 listopada 1913 r., omówiwszy kwestję spółczesnej ogólnej sytuacji politycznej, stosunku względem niej związku 17 października i zamierzonej dalszej taktyki związku,—biorąc pod uwagę:

1) iż odrodzenie Rosji powinno być oparte na niezachwianych podstawach ustroju konstytucyjnego i zasadach wolności obywatelskiej;

2) iż rząd, zjednoczony wspólnemi celami i odpowiedzialny przed prawem, powinien uczynić podstawą swych stosunków względem Dumy państwowej uznanie wysokiego autorytetu przedstawicielstwa narodowego i zapewnienie mu w życiu państwowem należytego uznania;

3) iż rząd obowiązany jest pomyśleć o tem, aby Rada państwa nie stawała się sztucznym hamulcem działalności prawodawczej;

4) iż dla ustalenia i wprowadzenia w życie zasadniczych czynników ustroju prewnego powinny być zaprowadzone prawa, istotnie gwarantujące wolność sumienia, prasy, zebrań, związków oraz osobistą nietykalność;

5) iż rząd obowiązany jest przedsięwziąć stanowcze i nieugięte środki w tym celu, aby administracja podporządkowała się normom porządku prawnego i aby wszyscy przedstawiciele administracji nieśli istotną odpowiedzialność za naruszenie praw.

6) iż jednym z pierwszych i najważniejszych środków powinno być zniesienie ustaw wyjątkowych, których dalszego utrzymania nie wymaga spółczesny stan państwa;

7) powinna być przeprowadzona szeroka polityka państwowa, skierowana ku podniesieniu duchowemu i materjalnemu mas ludowych;

8) oraz zapewniona zupełna swoboda wyborów do Dumy państwowej i stanowczo usunięte wszelkie wtrącanie się władz do tych wyborów;

9) iż wszystkie te zasady, będące podstawami wszelkiego kulturalnego spółżycia, otrzymały w niezbyt odległej przeszłości uroczyste uznanie ze strony Władzy Najwyższej w szeregu aktów państwowych i przedewszystkiem w akcie z d. 17 października;

10) iż rząd obecny i spółczesny kurs rządowy są w całkowitej niezgodzie z zapowiedzianemi w manifeście zasadami życia państwowego i społecznego;

tracąc wobec tego wiarę w chęć rządu wykonania stanowczej Woli Monarchy, wyrażonej w manifeście z d. 17 października, i z niepokojem stwierdzając rozwijającą się niezgodę władzy ze społeczeństwem i organami samorządu, a także ukazujące się w kraju groźne oznaki narzekań i niezadowolenia, które wytwarzają nastrój rewolucyjny—uznaje:

1) iż związek 17 października za pośrednictwem wszystkich swych organów i poszczególnych członków powinien przyczyniać się za pomocą wszelkich sposobów legalnych do stałego i natychmiastowego wprowadzenia wskazanych zasad w życie rosyjskie, i

2) iż frakcja parlamentaraa związku 17 października, jako jego organ, najlepiej uzbrojony w środki oddziaływania, powinna wziąć na siebie nieugiętą walkę ze szkodliwemi i niebezpiecznemi kierunkami polityki rządowej i z temi objawami samowoli i naruszania praw, skutkiem czego tak bardzo cierpi życie rosyjskie, oraz prawodawcze przeprowadzenie wzmiankowanych zasad. Frakcja parlamentarna powinna wyzyskać całkowicie wszystkie legalne sposoby walki parlamentarnej, jako to: wolność trybuny, prawo interpelacji, odrzucania projektów ustawodawczych i odmowy kredytów.

Odpowiedzialna praca i ciężka walka, jakie oczekują frakcję parlamentarną, wymagają od niej najwyższego napięcia sił i zupełnej zgodności w jej czynnościach oraz solidarności jej szeregów".

Tak brzmi w całkowitej redakcji ta znamienna z wielu względów uchwała. Wywołała ona duże zainteresowanie w prasie rosyjskiej, która jednak na ogół nader sceptycznie się zapatruje na szczerość i trwałość intencji opozycyjnych w łonie oktobrystów.

Większość bez znaczenia.

Mowa wstępna prezesa Dumy zwykle bywa wypadkiem politycznym. Mowy tej oczekiwano z niecierpliwością i słuchano uważnie, ponieważ uważano ją za miarodajną ocenę bieżącej chwili politycznej. Obecnie czasy zmieniły się. Posłowie sami przyznają, że „nie należy przywiązywać do mowy p. Rodzianki wielkiego znaczenia, że nie była to mowa programowa, lecz mowa, wskazana przez okoliczności — wynik długich pertraktacji dyplomatycznych“.

Stwierdzając ten fakt, organ kadetów, „Riecz“, zamieszcza uwagi następujące.

„Położenie prezesa Dumy rzeczywiście było trudne. Nacjonaliści wprost zjawili się u p. Rodzianki, zaczęli badać go — i, otrzymawszy zapewnienie, że mowa wstępna będzie minimalnie opozycyjną, zgodzili się głosować na niego.

„Zwycięzców nie należy sądzić! A zwycięstwo było świetne, gdyż p. Rodzianko otrzymał 272 głosy, przeciw zaś niemu głosowało zaledwie 70 posłów. Większość więc jest bardzo pokaźna, zdolna do rozwiania wszelkich obaw co do przyszłości Dumy. Taka większość, jaka głosy swe oddała p. Rodziance, zabezpiecza Dumie stałą zdolność do pracy.

„Lecz radość z powodu zwycięstwa osłabia ta okoliczność, że wszyscy są z niego niezadowoleni. Nietylko opozycja dumska, lecz nawet lewe skrzydło październikowców, rozczarowały się co do mowy p. Rodzianki. Nacjonaliści, ma się rozumieć, również nie mogą być zadowoleni, oni bowiem przyjęli tę mowę jedynie jako możliwy kompromis. No, a o prawicowcach niema co mówić.

„Jeżeli jednak chodziłoby tylko o samą mowę, to wogóle nie wartoby o tem mówić. Czy p. Rodzianko wypowiedział ją słabiej, niż w roku zeszłym, i jakie rokowania dypłomatyczne ją poprzedzały—to naprawdę nikogo by nie obchodziło. Lecz nacjonaliści nie dla kaprysu swego chcieli zawczasu wiedzieć, co powie p. Rodzianko.

„Nacjonaliści uważali mowę prezesa za deklarację polityczną i przedewszystkiem interesowali się tem, jaki jest stosunek jej względem osławionej rezolucji październikowców. P. Rodzianko oświadczył im, że mowa jego nie będzie miała nic wspólnego z tą rezolucją. Nacjonaliści na to przystali, lecz wszyscy inni byli nie zadowoleni.

„Obecnie więc należy rozważyć dwie ewentualności: albo mowa p. Rodzianki rzeczywiście nie ma żadnego znaczenia i nie przesądza o przyszłej działalności Dumy, a w takim razie piątkowa większość nie ma żadnego znaczenia poważniejszego; albo też mowa ta rzeczywiście wyobraża przepaść pomiędzy programem Dumy a rezolucją październikowców, lecz w takim razie większość piątkowa też nie ma znaczenia.

„Ostatecznie zwycięstwo stało się nadzwyczaj dziwnem. Biurokracji często udawało się otrzymywać takie zwycięstwa, lecz ona ceniła w nich tylko pozory. Żeby jednak i dla Dumy była ważna tylko świadomość imponującej większości, jest to bez kwestji *le dernier cri!*“.

KRONIKA.

= Adam Mahrburg.

D. 7 (20) b. m. po kilkomiesięcznych cierpieniach zmarł w Warszawie wybitny uczony polski Adam Mahrburg. Urodzony w r. 1860, ukończył gimnazjum w Mińsku, studja uniwersyteckie na wydziale historyczno-filozoficznym w Petersburgu; następnie udał się do Lipska, gdzie pracował w laboratorjum psychologicznem Wundta. Po powrocie do kraju osiadł w Warszawie, gdzie oddał się pracy publicystyczno-naukowej i pedagogicznej.

Adam Mahrburg odznaczał się niepospolitą rozległością wiedzy, pracowitością na polu piśmiennictwa filozoficznego i talentem pedagogicznym.

Obszerną charakterystykę działalności naukowej i obywatelskiej umarłego uczonego pióra p. St. Posnera zamieściliśmy w № 18—19 „Przeglądu Wileńskiego“.

= Przejście z prawosławja na katolicyzm w gub. mińskiej.

Według „Siew.-Zap. Żiźni“ w pow. mińskim (włącznie z m. Mińskiem) podało prośby o pozwolenie przejścia na katolicyzm w r. 1911 — 127 osób (44 mężcz. i 83 kob.); w r. 1912--108 osób (34 mężcz. i 74 kob.) i w r. 1913 — 63 osoby (29 mężcz. i 34 kob.). Wskutek perswazji duchowieństwa prawosławnego cofnęło prośby w r. 1911 | 16 osób (8 mężcz. i 4 kob.).

W całej gub. mińskiej w r. 1913 złożyło prośby o pozwolenie zmiany prawosławia na katolicyzm 199 osób (68 mężcz. i 131 kobiet).

= Język rosyjski w Finlandji.

Jak donoszą z Helsingforsu do pism moskiewskich, w senacie finlandzkim opracowywany jest projekt nowego znacznego rozszerzenia programu wykładów języka rosyjskiego w szkołach średnich.

W szkołach szwedzkich projektowane jest zwiększenie liczby lekcji języka rosyjskiego na koszt lekcji fińskiego. W szkołach fińskich, których jest znacznie więcej, zwiększenie to dokonane ma być kosztem lekcji języka szwedzkiego. Wogóle postawiona ma być zasada, aby abiturjenci szkół średnich mogli swobodnie mówić po rosyjsku.

Projektowane jest również zaprowadzenie w uniwersytecie obowiązkowych egzaminów z języka rosyjskiego dla studentów prawników, pragnących wstąpić na służbę państwową.

W niedalekiej przyszłości postawione ma być żądanie, aby niektórzy profesorowie uniwersytetu zaczęli prowadzić wykłady w języku rosyjskim. Ze względu na brak odpowiednich do tego celu profesorów finlandczyków mają być zaproszeni uczeni rosyjscy.

Uniwersytet w Helsingforsie posiada wprawdzie własną autonomję, ale członkowie senatu, inicjujący zarządzenia powyższe, liczą na pomoc byłego prezesa senatu, generała Markowa, mianowanego niedawno kanclerzem uniwersytetu.

Treść numeru.

Za wiele i za mało—L. A.
Sentymentalizm polityczny.—B. H.
Kto jest winowajcą.—J. S.
Wytarte hasło.—J. Marcinowska.
O kształceniu politycznem „Obywatela“. — St. Posner.
Miecz Olbrzyma.—B. Zahorski.
O teatrze.—Quidam.
Przegląd piśmienniczy.—S. Wielowieyska.
Nowa placówka postępu.—M. Orsetti.
Prasa polska.
Uchwały październikowców.
Większość bez znaczenia.
Kronika.
Odcinek: „Ostatni Idjota“ —M. K. Pawlikowski.

Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ“ Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**

Rok II. Wilno, 7 (20 grudnia) 1913 r. №№ 48—49.

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:	REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
w Wilnie Rocznie . . . 7.00 Półrocznie . . . 3.50 Kwartalnie . . . 1.75 Miesięcznie . . . 60 Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu Rocznie . . . 8.— Półrocznie . . . 4.00 Kwartalnie . . . 2.00 Miesięcznie . . . 70	Ś. Jerska 15 m. 26 Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp. Skrzynka pocztowa № 52	Przed tekstem za wiersz petitu . . . 50 k W tekście (nadesłane) . . . 1 rb. Po tekście . . . 20 k. Cena numeru 30 kop.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na rok 1914.

Po dwuch latach.

Oto i drugi rok upłynął od chwili, gdyśmy wydali pierwszy okazowy numer „Przeglądu Wileńskiego“.

Przepowiadano nam rychły koniec, nie wierzono, by pismo niezależne, nie hołdujące utartym poglądom, walczące z rozpanoszonym oportunizmem — mogło długo wytrwać i znaleźć dostateczne poparcie społeczeństwa.

A jednak wytrwaliśmy!

Wprawdzie droga nasza nie była łatwą. Niechęć, uprzedzenie, obojętność utrudniały nam w wysokim stopniu pracę, nie pozwalając rozwinąć się pismu należycie i tamując jego rozpowszechnienie. Z dumą jednak możemy wyznać, żeśmy wiele przeszkód przezwyciężyli i liczbę naszych czytelników i zwolenników pomnożyli znacznie.

Nie zdobyliśmy ich jeszcze tylu, by pismo stanęło o własnych siłach, by nie potrzebowało zasiłków, lecz o takim sukcesie trudno marzyć wogóle w naszych warunkach, gdzie czytelnictwo tak słabo jest rozwinięte i słowo drukowane uważane jest jeszcze za zbytek, nie za najpierwszą potrzebę kulturalną.

W ciągu dwuletniego wszakże swego istnienia „Przegląd Wileński“ uczynił spory krok naprzód, zyskując sobie uznanie w coraz szerszych kołach.

Ożywczemi promieniami dla nas były dowody sympatji przyjaciół „Przeglądu“. Liczne objawy życzliwości i pomocy od ludzi, nieraz z dala od redakcji stojących, podsycały w nas energję i dodawały otuchy do pracy, budząc wiarę w jej owocność i pożytek.

Z wiarą tą rozpoczynamy trzeci rok wydawania naszego pisma. Nie będziemy rozwijali tu szczegółowego swego programu. Rozpoczynając swą pracę od wszechstronnej analizy całokształtu naszego życia, nie kierując się z góry powziętemi formułkami, wolni od doktrynerstwa, hołdując jedynie szczytnym tradycjom wolnościowym polskim, zwolna wytworzyliśmy bardziej określony światopogląd i ustaliliśmy swe stanowisko.

Dziś jest już ono zupełnie wyraźne i żadnych wątpliwości budzić nie może.

W szeregu artykułów poruszyliśmy wszystkie zasadnicze zagadnienia społeczno-polityczne, omówiliśmy ważniejsze zjawiska w życiu publicznem, oświetliliśmy krytycznie każdą ciekawszą sprawę aktualną, zarówno w naszym kraju, jak poza jego granicami, zawsze z tą samą myślą przewodnią, sięgającą po przez gąszcz czasów obecnych w przyszłość dalszą.

Na obranem stanowisku wytrwać zamierzamy

i nadal. Jesteśmy głęboko przekonani, że placówka przez nas zajęta stanowi ważny posterunek narodowy, niedoceniany przez wielu. Niewątpliwie jego obsłudze możnaby nie jeden zarzut uczynić. Słabe strony jej dostrzegamy sami. Brakiem piór miejscowych daje się wytłómaczyć, że pismo nie stoi na tym poziomie, na którym pragnęlibyśmy je widzieć. Gdy koło spółpracowników zamiejscowych „Przeglądu" znacznie się rozszerzyło, i możemy śród nich wymienić nazwiska głośne pierwszorzędnych publicystów i literatów, natomiast zastęp sił piszących z Wilna i prowincji pozostaje wciąż szczupły i bez zmiany niemal.

Nie tyle też powody materjalne, co właśnie ów brak talentów pisarskich na miejscu wpływa na nieregularne wychodzenie pisma, które siłą rzeczy zamieniło się na dwutygodnik. Nie przewidujemy w najbliższym czasie zmiany na lepsze i dlatego, by nie narażać naszych czytelników na zawód, zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że i w roku przyszłym „Przegląd Wileński" będzie się ukazywał w odstępach dwutygodniowych. Zarazem jednak dołożymy wszelkich starań, by ten anomalny stan rzeczy nie trwał zbyt długo i nie wątpimy, że rozwój dalszy pisma pozwoli mu funkcjonować sprawniej i szybciej.

Niedokładność mimowolną usiłujemy wynagrodzić obfitością i doborem materjału oraz starannością w jego ugrupowaniu.

Sądzimy, że czytelnicy nasi zechcą uwzględnić trudności, z któremi musi się borykać pismo idejowe, dalekie od wszelkich kompromisów, i nie odmówią mu i nadal swego poparcia jaknajbardziej czynnego.

Ze swej strony dołożymy starań, by uczynić je jaknajbardziej żywotnem i pełnem.

Redakcja.

Miast rydza—muchomór.

— Lepszy rydz, niż nic—to zasada rostropna w polityce o tyle,, o ile rydz istotnie jest rydzem, a nie muchomorem trującym, oraz o ile chodzi o to, czy mamy — ofiarowany — przyjąć, lub odrzucić.

W przeciwnym razie, t. j. wówczas, gdy żądania jednej strony sprowadzają się—właśnie... do marnego rydza, gdy—dla otrzymania go — strona ta nie szczędzi próśb, upokorzeń, gdy zarzeka się i wyrzeka wszelkich większych żądań, gdy twierdzi i woła, że rydz ten—dla niej jest jedyny i zbawienny,—rzecz naturalna — dla strony przeciwnej urasta on do rozmiarów olbrzymich, droży się ona z nim i stara zbyć natrętnego petenta niczem.

Bo w polityce, zarówno zewnętrznej, jak wewnętrznej, niema sentymentów, prezentów, podarunków.

Są tylko żądania, poparte takim lub innym układem sił, warunków, i odpowiednie ustępstwa. Przyczem stosunek drugich do pierwszych bywa mniej więcej taki, jak w wadze dziesiętnej. Wielki też musi być ciężar gatunkowy żądań, by odpowiednikiem jego były choćby drobne ustępstwa.

Są to prawdy tak proste i tak znane ogólnie, tyle przykładów na nie mamy w historji, że zdawałoby się nikomu nie powinny być obce.

Niestety, oportunizm i egoizm klasowy tych sfer społeczeństwa polskiego, które reprezentowane są w Radzie Państwa i Dumie Petersburskiej, są tak bezbrzeżne, że prawdy te są dla nich niedostępne, a co gorzej, strusia ich polityka sprowadza w skutkach na całe społeczeństwo, cały naród — upokorzenia i klęski.

Miast żądać, „pańskie dziady" polityki polskiej robią... „ustępstwa", nic więc dziwnego, że rezultatem jest — ze strony przeciwnej — stawianie żądań, nic więcej.

Wszystko—naopak.

BOLESŁAW ZAHORSKI.

Nieco o krytyce i krytykach.

Krytyk powinien mieć w sobie coś z właściwości aktora. By móc należycie ocenić jakieś dzieło sztuki, powinien wpierw w swem intuicyjnem poznaniu uczynić przezroczystem nietylko jego idejologiczne podłoże, lecz, — co jest niepomiernie ważniejszem,—te drogi i te środki artystycznej budowy, które stanowią o estetycznej wartości dzieła. Gieneza utworu, — leży zawsze w duszy jego — (właściwego) autora. Zgłębiając tę duszę, docieramy do źródeł dzieła, a z ich zrozumienia powstaje ta wieża strażnica, która nas chroni od poważniejszych zmyleń:— to obserwatorjum, z którego, jak na dłoni, widzimy zasadniczy kierunek myśli, zamiarów artystycznych, inwencji,—słowem wszystkiego, co się składa na indywidualność autora i dzieła.

Lecz to nie wszystko. Odwieczne zagadnienie stosunku treści do formy, zlewających się w jedno u wielkich twórców, lecz dających stale tę, czy inną, mniejszą, lub większą rozbieżność u pisarzy pośledniejszych, lub pseudo-twórców, — powinno stać się przedmiotem analitycznych rozważań krytyka. Ocena dzieła *a vol d'oiseau*, badanie i komentowanie go na podstawie wrażeń, odbieranych ze strażniczej wieży, jest czemś—niejednokrotnie—zawodnem,—podległem różnym zboczeniom i załamaniom, jakie są właściwością, wszystkich promieni, zarówno świetlnych, jak i myśli i uczuć; — wszelkim odmianom daltonizmu idejologicznego, lub estetycznego i autosugiestji. I to jeszcze w najlepszym razie:—jeśli poznanie estetyczne dokonywuje się z wieży prawdziwej, ze strażnicy istotnej, panującej w samej rzeczy nad okolicą i dającej wolny przystęp wrażeniom. Jeśli obserwatorjum nie odpowiada tym warunkom, spostrzeżenia i dedukcje krytyka mają w najlepszym razie wartość minimalną, — w gorszym: nie mają żadnej.

Mały, najmniejszy nawet błąd w założeniu daje wyolbrzymiony błąd w niejednym wyniku. Wiedzą o tem dobrze matematycy i buchalterzy. Minimalne nawet odchylenie od linji pionowej fundamentu, lub parteru, mierzące się na sekundy,—stanowi o krzywiźnie całego gmachu. Wiedzą o tem architekci.

I oto, by odnaleźć miejsce właściwe dla budowy i zbudować istotną wieżę strażniczą i istotne

Wymowną ilustracją tej polityki niemowlęcej, choć obłudnej i wykrętnej, są dzieje niefortunnego samorządu dla miast Królestwa.

Zrezygnowano dlań z żądania autonomji, przełknięto „z godnością“ wyodrębnienie Chełmszczyzny, popierano rząd w projektach reakcyjnych, zerwano porozumienie z opozycją, zawiązano czułe stosunki z październikowcami, podkreślano na wszystkie tony stanowisko państwowe bez zastrzeżeń, pluto na wszystko, co dotąd było drogie każdemu sercu polskiemu, odżegnywano się od wszelkiej łączności z braćmi zza kordonu granicznego, byle tylko... otrzymać rydz—samorząd.

Zgodzono się na wszelkie poprawki, zmieniające samorząd ten w karykaturę, przekształcające go w „ustawę miejską dla dziewięciu guberuji nadwiślańskich“.

Wszystko—napróżno.

Im dalej brnęli przedstawiciele kół w oportunizmie, im więcej byli gotowi do ustępstw, tem zawziętszy spotykali odpór, tem więcej utwierdzali przeciwników w przekonaniu, że jednak... ten rydz—w rękach polaków—to rzecz dla państwa niebezpieczna.

Rydz schowano, a miast niego, ofiarowano... muchomór.

Dnia 27 października st. st. Rada Państwa odrzuciła punkt projektu, zezwalający radnym miejskim miast Królestwa przemawiać na posiedzeniach w języku ojczystym.

Pp. Stiszinskij i Hurko, oparci o większość starych biurokratów Rady, uznali za niemożliwe, by gdziekolwiek i w jakiejkolwiek instytucji, związanej z państwowością rosyjską, mógł się rozlegać język inny, niż państwowy.

Projekt, który wyszedł z kancelarji Stołypina, dziś, po latach kilku—został uznany przez biurokratów za niemożliwy, niezniszczalny.

Nie pomogło wątpliwe poparcie prezesa ministrów, Kokowcewa, który osobiście wystąpił w obronie redakcji dumskiej projektu. A pomóc nie mogło, bo, o ile sądzić z głosów prasy rosyjskiej, było ono tylko manewrem politycznym. Prezes, z góry wiedział, jaki nastrój panuje w Radzie, wiedział też, że w samym gabinecie nie wszyscy ministrowie podzielają jego stanowisko.

Ze wszystkich ministrów — tylko Sazonow, Timaszew i Charitonow — poparli Kokowcewa i wzięli udział w posiedzeniu.

Bądź co bądź fakt wystąpienia Kokowcewa jest znamienny.

Świadczy on, że ci ministrowie, którzy mają do czynienia z życiem realnem państwa jak ministrowie skarbu i handlu, lub — ze sprawami zewnętrznemi, jak minister Sazonow,—są zmuszeni —mniejsza o to, z jakich względów—uznać pewne prawa odrębne naszego narodu i to uznanie zamanifestować.

Nie uznaje ich tylko ta część biurokracji, która z życiem spółczesnem się nie liczy, której samo istnienie jest tego życia zaprzeczeniem.

I na tle tych właśnie stosunków w łonie samego rządu—tem smutniej i jaskrawiej uwypukla się oportunizm bierny polaków z Dumy i Rady Państwa.

Nie są i nie czują się przedstawicielami narodu całego.

Nie miljony serc polskich, a szczupłą garstkę wyborców—mają za sobą.

Nie dobro i przyszłość narodu mają na względzie, a interesy swoje i swych wyborców

Poza tem, jako ludzie, skrojeni są „na miarę krawca, nie Fidjasza“.

Nie można o nich powiedzieć nawet tego, co pisał Słowacki w swej „Odpowiedzi na psalmy przyszłości Spirydjonowi Prawdzickiemu“:

„Kiedyś ze sto was tysięcy,
Było szlachty z serc i z l..a...
Dziś — jednegom znał szlachcica,
Kraj ich cały nie znał więcej·..“

Tem wytłumaczyć należy brak śród tych ludzi orjentacji szerszej, oportunizm, chwiejność.

Tem objaśnić tylko można, że ludzie ci nie byli w stanie nie tylko wyzyskać, lecz zrozumieć

---

obserwatorjum, a nie — jak to często bywa — magazyn zbędnych formułek, lub lamus zwietrzałych idejologicznych rupieci, — by na istotnem zrozumieniu wszystkich plusów i wszystkich minusów autora, wszystkich zamierzeń jego i wszystkich uchybień i błędów — oprzeć sąd o nim i o jego dziele, — krytyk powinien stać się na chwilę aktorem. Jeśli jest marksistą, zapomnieć przedewszystkiem ma — o dogmatach ekonomicznego materjalizmu; jeśli jest symbolistą—nie mierzyć realizmu, lub naturalizmu miarą ukochania swoich symbolów. Krytyk powinien wyzbyć się na moment wszystkich swoich formułek, twierdzeń, sympatji i uprzedzeń; w milczenie wielkie powinien przystroić płytę swojej wrażliwości artystycznej, abstrahując ją od wszelkich apriorystycznych wyobrażeń. Stać się, jak tabula rasa, na której ręka poznawanego autora ma nakreślić te czy inne znaki, twierdzenia, lub symbole. I czemś więcej jeszcze!.. Powinien stać się odtwórcą, by razem z autorem kreślić jego znaki i budować jego twierdzenia...

Pomiędzy pomysłem, a wykonaniem leży droga twórczości artystycznej. Całą tę drogę stawania się dzieła sztuki powinien przejść krytyk-aktor, chcący powziąć dokładne wyobrażenie o wartości dzieła. Zwłaszcza, jeśli dzieło jest wielkie, epokowe, a choćby tylko znamienne. Powinien krok w krok iść za autorem, powtarzając za nim wszystkie jego giesty, sugierując sobie wszystkie jego odruchy. I jeśli — pomimo całej dobrej woli—i ... bycia się wszystkich apriorystycznych sądów — k... -aktor odczuje nieszczerość wspólnych giestów ... i fałsz, lub małość wspólnych odruchów uczuć, lub myśli, będzie to najlepszem, bo najmożliwiej objektywnem świadectwem nie tylko tej rozbieżności, jaka zachodzi pomiędzy światem wewnętrznym autora i krytyka,—lecz: co dla krytyki estetycznej jest o wiele ważniejszem — rozbieżności pomiędzy pomysłem autora, a jego wykonaniem. Ta bowiem tylko rozbieżność, jej waga, lub ewentualnie brak tej rozbieżności świadczą o talencie, lub braku talentu pisarza; — o artystycznej wartości, bądź braku zalet artystycznych dzieła.

Droga, wskazana przez nas, droga przeistoczenia się krytyka—jest drogą odpowiedzialną i żmudną, dla niepowołanych—ciężką, dla wielu niebezpieczną. Nie znamy bardziej szkodliwego kłamstwa, jak to, że każdy może być krytykiem. Krytyk istotny bierze udział w procesie stawania się walorów artystycznych; odtwarzając ponownie wszystko to, co już zostało

wagi komplikacji politycznych czasów ostatnich, że względy, które kazały Kokowcewowi wystąpić oficjalnie w obronie projektu dumskiego, nie umiały natchnąć posłów posłów polskich niczem innem, prócz zapewnień wierności sztandarowi państwowemu i wyrzekania się wszelkich „uroszczeń" polskich.

W chwili tak doniosłej, jak obecna, „spiritus movens" Koła polskiego w Dumie, p. Roman Dmowski, zdobył się tylko na frazes tego rodzaju: Rada państwa swem głosowaniem „zadała klęskę nie tylko polakom, lecz i racji stanu całej Rosji".

Na nic innego stać go nie było.

Jakie będą dalsze losy projektu samorządu, nie wiadomo.

Rada państwa uchwaliła oddać go do komisji rozjemczej Dumy i Rady. Narady tego godnego zespołu nic dobrego dać nie mogą.

To też społeczeństwo polskie w Królestwie życzyć sobie może tylko jednego: złożenia poronionego płodu „ad acta".

Lepiej bowiem stokroć poczekać jeszcze lat kilka na prawdziwy samorząd, niż przyjmować dary Danaów, które masom szerokim, usuniętym od samorządu,—nic dać nie mogą, a zabagnić są w stanie i tak zagmatwaną psychikę warstw uprzywilejowanych Królestwa oraz skazić ich język.

Wi-ski.

Petersburg.

Pozbawieni niektórych praw stanu.

(Sprawozdanie specjalnego delegata redakcji).

Są nimi mieszkańcy miasta i gubernji mińskiej.

Na terytorjum tem od dłuższego już czasu zawieszono działanie niektórych praw, — i kilkoletni usus do pewnego stopnia uświęcił tę samowolę tak dalece, że przestaje już dzisiaj dziwić absolutnie wszystko, co mieszkańca Mińszczyzny z ręki miejscowych władz spotyka.

Zaczęło się od prześladowania języka polskiego w posiłkowaniu się nim publicznie.

Przestano od roku, bodaj 1908, pozwalać na drukowanie polskich afiszów, zaczęto żądać zdejmowania polskich szyldów, przestano wydawać pozwolenia na wieszanie nowych napisów polskich, słowem, rozpoczęto z językiem polskim walkę nieubłaganą i równie kategoryczną, jak kategorycznem i nie pozostawiającem żadnej wątpliwości jest prawo znoszące wszelkie ograniczenia dla języka polskiego w „9 gubernjach Kraju Zachodniego" (Ukaz Cesarski z dnia 12 (25) grudnia 1904 r., i postanowienie Kom. ministr., zdn. 1 (14) maja 1905 r., punkt XI).

Na wszelkie domagania się osób interesowanych, aby pozwolono na wydrukowanie afiszu, czy ogłoszenia polskiego, p. policmajster Sokołow, lub jego zastępcy, odpowiadali stale i niezmiennie:

— Zdzieś nie Polsza...

Czasami, w zaufaniu, temu i owemu mówiono, że istnieje jakiś cyrkularz sekretny, jakieś rozporządzenie władz wyższych, ale nikt nigdy nic podobnego nie widział, i jak się zdaje, nic podobnego istnieć nie mogło...

Nie było też wydanem i żadne „postanowienie obowiązujące" w tej mierze, bo stosownie do wyjaśnienia senatu (wyrok Nr. 24, z d. 2 (15) listopada, 1908 r. Depart. I i kasacyjn.), gubernatorowie, jako „wykonawcy, i poniekąd stróże prawa, nie mają mocy czynić nowych postanowień, lub odstępować od istniejących". Dalej zaś, w tym samym wyroku powiedziano, że „postanowienia" podobne, „w żadnym razie nie mogą stać w sprzeczności z istniejącemi prawami", a także „postanowieniami władz wyższych".

Zakaz więc używania języka polskiego w życiu publicznem, jest bezwzględnym dowodem nieposzanowania przez władze mińskie istniejących praw. Zresztą, przy wszelkich próbach nadania

---

stworzone przez autora, kontroluje każdy jego wysiłek, każdy jego wzlot artystyczny. Słowem powinien być odtwórcą.

Odtwórczość nie zawsze idzie w parze z samoistną twórczością, lecz zawsze — z intuicją. Refleksja niepowszednich nawet — i obdarzonych sporą dozą zdolności dedukcyjnego myślenia umysłów bywa niejednokrotnie w sprawach sztuki ubogą, lub jałową. Stąd nie wszyscy poeci są krytykami (gdyż nie sama tylko intuicja artystyczna wymaganą jest od krytyka), niemniej wielu uzdolnionych krytyków: to poeci.

Gdy indywidualność poznawanego autora zatacza niepowszednie i górne kręgi, rola krytyka, tak jak my ją rozumiemy, staje się niezmiernie trudną. Łatwo podążać za autorem średniej miary, lecz by iść—i iść godnie—za Goethem, Shelleyem, Calderonem, lub Słowackim—trzeba mieć nietylko rozległość idejologicznych wyobrażeń, jaka cechowała wspomnianych autorów, lecz i właściwą im zdolność czucia—a także zdolność jasnowidzeń. Aktor bez intuicji, choćby był mądry, jak Salomon, nie zagra roli Otella — co więcej: — nie będzie wcale aktorem! Erudycja nie stanowi bynajmniej o zdolnościach krytycznych! Czy nie w tem tkwi rozwiązanie zagadki, iż tylu pigmejów kroczy drogą olbrzymów i tylu ślepców wydaje bezapalacyjne swe sądy o powstaniu świetlnych wyobrażeń? Czy nie dla tego to — między innemi— dźwiękiem dzwonków arlekina zdają się nam brzmieć apodyktyczne sądy tych, czy innych, — małych, czy wielkich — zatapiających wszelką możliwość syntezy i zrozumienia w błazeńskim tumulcie fakcików i faktów, — Hösicków, — bądź niepoprawnych i złośliwych dogmatyków — z wyżyn swoich idejologicznych lamusów tej, czy innej platformy politycznej, odsądzających od czci i wiary wszystkich tych, którzy stoją na stanowisku idejologicznem odmiennem?

„Żadnego dzieła nie można sądzić podług praw, których nie wyprowadziło się z niego samego". Ta, a nie inna zasada powinna przyświecać krytykom. Czy tak jest w istocie?.. Ktoś niedawno podniósł w którem z pism, że sądzi się u nas najczęściej autora nie za to, co napisał, lecz za to, czego nie napisał. I słusznie. Iluż mamy krytyków nietzscheanistów, buddystów, spirytystów, a nawet esperantystów i jaroszów, każdy ze swego, odmiennego, punktu widzenia zapatrujących się na istotę sztuki?.. Czyż nie mieliśmy cyklistów, piszących o modernizmie? czyż

swym postępkom cechy legalnej, policja mińska przegrywała, zarówno w drodze sądowej jak i administracyjnej.

Więc, w r. 1905, przegrała sprawę, wytoczoną o szyld polski właścicielowi łaźni mińskich, K. Pławskiemu.

W r. 1913, oddalono jej oskarżenia: o szyld polski f. „Cmielów“, o napis na torebce z lekarstwem z apteki p. W. Staroniewicza i, po raz drugi, o szyld polski Cmielowa. Ta ostatnia sprawa była zwłaszcza charakterystyczną, ponieważ w czasie pierwszego jej rozpatrywania policja prosiła o miesiąc zwłoki dla „przedstawienia dowodów prawnych“, i po upływie dwuch miesięcy powołała się zaledwie na jakiś, bliżej nie określony wyrok senatu z dn. 17 (30) września 1911 r., którego nb. w zbiorze wyroków nie znaleźliśmy zupełnie, i przypuszczamy, że może to być jedynie jakieś zdecydowanie sprawy specjalnej, w oddziale senatu, a więc bez znaczenia i charakteru prejudykatu.

W dziedzinie administracyjnej istnieje decyzja I departamentu senatu, z dn. 10 stycznia r. 1910, w sprawie o szyld składu drzewnego p. Proszyńskiego, który na zakaz wywieszenia go złożył skargę. Senat przyznał rację p. Proszyńskiemu.

Niemniej jednak, prześladowania języka polskiego, po miarodajnem zdecydowaniu wszystkich spraw powyższych, nie tylko nie ustało, nie tylko nie osłabło, ale nawet znacznie się wzmocniło...

Zwłaszcza z chwilą przybycia do Mińska na stanowisko gubernatora, p. Giersa, rugowanie języka polskiego przybrało charakter nader ostry. Rugowano go z jadłospisów restauracyjnych, z serwetek cukierniczych, z rachunków hotelowych...

Absurd, każący słuchaczom polskich przedstawień tylko po rosyjsku odczytywać afisze i programy, choć utarł się, i mieszkańców miejscowych nie dziwi, nie przestał być szczytnym, komicznym dowodem, do czego może doprowadzić samowola i zakazy, nie oparte, nie tylko na prawie, ale nawet i na elementarnych zasadach zdrowego sensu...

Ale szczytem nieposzanowania prawa jest fakt zagrożenia jednemu spółwłaścicielowi firmy „Cmielów“ wysiedleniem z granic gubernji za to, że tenże ośmielił się, po wygraniu sprawy o szyldy polskie, powiesić je, w większym nieco rozmiarze nazewnątrz swego sklepu...

Prawie jednocześnie, bo tego lata, tapicerowi, p. Kozakowi, dwaj stójkowi, z polecenia komisarza policji, zerwali, przy pomocy stróża szyldy, a jeden z nich wpadł nawet do mieszkania p. Kozaka, zerwał wiszącą tam za szybą reklamę polską i podarłszy ją, rzucił na podłogę. P. Kozak na podobną samowolę złożył skargę do policmajstra, ale odpowiedzi naturalnie nie otrzymał żadnej...

I po staremu, choć policja nie posiada nawet prawa prewencyjnego cenzurowania, pozwalania, lub zabraniania szyldów, jednakowoż ustaliła zwyczaj, że o to pozwolenie trzeba prosić, i opłacać je 2 markami po 75 kop. każda. Choć podobne prośby są podawane, w dalszym ciągu pozwolenia na nie odmawia p. Sokołow i jego zastępcy...

Sprawa uwięzienia ks. Miłaszewskiego i ob. ziemsk. P. Szalewicza, znalazła nawet w państwowym i konserwatywnym żywiole, jakim są październikowcy, wyraz potępienia.

Obecnie, ks. Miłaszewski znów siedzi pod kluczem, i uwięziono również p. Michała Łęskiego, zamożnego i zupełnie lojalnego obywatela ziemskiego, pod zarzutem, wprost diko i nieprawdopodobnie brzmiącym: kierowania włościanami, przy profanowaniu krzyża prawosławnego.

Co do krzyża samego, to zachodzi pytanie, w jaki sposób może on być „prawosławnym“, skoro go w r. 1863 postawił nieżyjący dziś katolik, Felicjan Birula, i żyjący brat tegoż Jan, również katolik (własnoręczne zeznanie odnośne Jana Biruli znajduje się w rękach Koła polskiego w Petersburgu).

Jaka jest zasada do nazwania prawosławnym krzyża, poświęconego w swoim czasie przez księdza katolickiego i stanowiącego przedmiot kultu katolików?

Czy może być „prawosławnym“ krzyż, noszący zwykły napis na tabliczce: I. N. R. J.?

Na czem polegała owa „profanacja“ i jaki w niej udział wzięli pp. Łęski i ks. Miłaszewski?

Krzyż, bezwzględnie katolicki, stojący w dodatku na gruncie, choć sztucznie zrobionym spornym, ale znajdujący się we władaniu kościoła, kłonił się do upadku i groził wprost przechodniom. Kilku więc mieszczan rubieżewickich postanowiło go wkopać i postawić nowy. Aby zaś nie narazić się na nieprzyjemności, udali się oni z zapytaniem do p. Łęskiego, który sam nie znał odpowiednich przepisów, obiecał jednak dowiedzieć się. Dowiedziawszy się zaś, dał mieszczanom, czy też pokazał im kartę, na której mu ktoś wynotował ten artykuł prawa, który określa prawa właściciela gruntu do krzyża, na gruncie jego stojącym. Otóż ta karta, stanowiąca akt jaknajbardziej prawny i lojalny nazwaną została przez oskarżenie „rozkazem na piśmie“, a że rozkaz ten dany był przez prezesa komitetu budowy kościoła, więc ten ostatni staje się moralnym sprawcą „profanacji“. Sam zaś przebieg owej profanacji, był taki, że 6 mieszczan wykopało krzyż stary, i jak to ma miejsce zawsze z rzeczami poświęcanemi, od-

---

nie pisali różni wegieterjanie—z punktu widzenia wegietarjanizmu—o kubiźmie i futuryźmie? lub zwolennicy jedzenia tłustego mięsa o rzekomej niemoralności Żeromskiego?...

Uznać i wyrozumieć gotowiśmy i to nawet, że obok krytyki artystycznej powinna istnieć i publicystyka, co więcej, że polityczne i społeczne poglądy poszczególnych belletrystów mogą stać się przedmiotem badań, znajdujących miejsce na łamach pism politycznych, — należy jednak rozgraniczać publicystykę od krytyki literackiej i w żadnym wypadku artystycznej wartości dzieła nie oceniać z punktu widzenia odźwierciadlanych w nim politycznych poglądów autora. Kryterjum dla estetycznej oceny, nie powinna być w żadnym wypadku rozbieżność pomiędzy światopoglądem krytyka i światopoglądem autora. Jedno z najbardziej istotnych — i objektywnych kryterjów daje w ręce krytyka poznanie rozbieżności, jaka zachodzi między ideją utworu, a jej wyrazem. Lecz, by poznać tę rozbieżność krytyk powinien przejść przez stadjum aktora.

dało jednemu z mieszkańców Rubieżewicz do spalenia. Nikt nic na śmietnisko nie rzucał, — nikt nie myślał profanować.

Zasadniczo zresztą, żadna profanacja nie mogła mieć miejsca, choćby z tego powodu, że krzyż ten był przedmiotem czci katolików...

Czemu został uwięziony ksiądz Miłaszewski, pomimo złożonej poprzednio niebywale wielkiej kaucji rb. 10.000? Przeciwko niemu bowiem nikt literalnie nie zeznawał, i o jego najmniejszym udziale w całej tej sprawie niema żadnej mowy...

Pomimo to, nie tylko osadzono obu ich powtórnie, ale nie pozwolono nadto złożyć żadnej, najwyższej nawet kaucji...

Nie pozwolono również złożyć tej kaucji i uwięzionym 6 włościanom, kiedy zaś ci ostatni chcieli podać na to skargę do sądu okręgowego, od miesiąca przeszło nie chcą im dać odpowiednich blankietów.

Oczywiście, choć uwięziły ks. M. i p. Ł. władze sądowe, jednakowoż jest rzeczą zbyt pewną, że pomiędzy tem aresztowaniem a niedawno uchwaloną formułą Izby poselskiej o bezprawnem postępowaniu gubernatora Giersa, istnieje związek organiczny, najściślejszy. Jest to nawet logiczne dość: władzom administracyjnym chodzi o dowiedzenie, że ten ksi[illegible] o którego upominało się ciało prawodawcze [illegible] nietylko zwykły, polski intrygant, ale wpros[illegible] wyrodek jakiś, profanujący symbol Chrystusowy! Aresztowanie p. Łęskiego, który rzekomo do tej profanacji pchał mieszczan rubieżewickich, jest w dodatku pięknym i jaskrawym obrazem, jak bardzo i daleko zgangrenowanem jest ziemiaństwo w gub. mińskiej, wobec czego i skazanie na 3-miesięczne więzienie p. Szalewicza za urządzenie jasełek nabiera innego zgoła oświetlenia...

Aresztowany p. Łęski, b. rotmistrz gwardji, człowiek stojący absolutnie poza wszelką zbiorową pracą społeczną, nawet najbardziej legalną, zresztą chorowity i charakteru nadzwyczaj spokojnego, jest najbardziej uderzającym przykładem, że wobec samowoli mińskich „autonomistów“, którzy przyw[illegible]aszcz[illegible] sobie wszelkiej przywileje prawodawców, [illegible] literalnie nie jest zagwarantowanym od najcięższej, najbardziej srogiej i jednocześnie najzupełniej bezpodstawnej odpowiedzialności. Wobec tego oskarżenia, wszystko staje się możliwe, i każdy może być posądzony o zbrodnię i przewinienie, o jakich nie miał nawet pojęcia.

Pozatem, nikt nie jest pewien, czy i z jakiego prawa wolno mu korzystać?

Bo, jeśli ktoś, nie tylko na zasadzie wyraźnego brzmienia prawa, ale i na mocy wygranej sądownie sprawy, wiesza polski szyld,—grożą mu wysiedleniem; kiedy restaurator pisze po polsku cennik, — obiecują mu karę w wysokości rb. 300; kiedy ktoś inny stawia na gruncie w jego władaniu pozostającym krzyż, — karany jest za samowolę!

— Jeżeli funkcjonarjusze państwowi dopuszczają się nadużyć, macie panowie prawo interpelacji,—powiedział niedawno posłom minister Makłakow.

A przecież, ze strony tego samego ministerjum, przy interpelacji w sprawie bezwzględnego bezprawia, jakiem było naruszenie przez g. Giersa § 86 proc. karn. (zamknięcie księdza do więzienia, zamiast oddania go władzy duchownej dla osadzenia w klasztorze), ogłoszono, że jednak takie pogwałcenie prawa było z tem prawem zgodne.

Co więc pozostaje „pozbawionym niektórych praw“ mieszkańcom Mińszczyzny czynić, aby przywrócić w tym zakątku państwa stan prawny? Aby Ukazy Cesarskie, decyzje komitetu ministrów, etc., nie były „zawieszane“ z mocy woli wszechpotężnego gubernatora, czy też nawet tylko policmajstra?

Czy „kwestja mińska“ nie staje się dziś o tyle już ważną i doniosłą, że nie tylko w interesie ludności miejscowej, ale wogóle i z punktu widzenia państwowego nie może, nie powinna być lekceważoną?

Jak za czasów Sęczykowskiego np., gub. mińska była, jakby stacją doświadczalną tego wszystkiego, co potem usiłowano stosować na Litwie całej, a nawet i w Królestwie, tak i dziś, *mutatis mutandis*, powtarza się to samo i, za pięknym przykładem, idą już inni, mający pewne praktyczne wskazówki...

A więc *caveant consules*...

Argus.

Zródło bogactwa krajowego w niełasce.

Kraj nasz, jak wiadomo, posiada jeden zaledwie produkt eksportowy. Jest nim drzewo. Pozatem mamy na wywóz tylko siłę roboczą, którą też wysyłamy pod postacią emigracji długo i krótkoterminowej.

O ile ten drugi „towar“ — prawdziwie żywy towar — jest wytworem klasycznym — naszych karykaturalnych stosunków, o tyle pierwszy uważany być powinien za jedno z najpoważniejszych źródeł bogactwa krajowego. Lesistość Litwy i Białejrusi w połączeniu z położeniem gieograficznem, t. j. względną bliskością Zachodu tudzież spławnością rzek tutejszych, stawia kraj nasz w położeniu wyjątkowo szczęśliwem i może uczynić go dostawcą drzewa dla całej niemal Europy.

I rzeczywiście, zwraca się po nie coraz więcej krajów, a przedewszystkiem Niemcy i Anglja. W miarę rozwijania się regularnego handlu eksportowego, dostrzegamy też stopniowe — acz powolne jeszcze — europeizowanie się tutejszej gospodarki leśnej. System rabunkowy ustępuje miejsca trzebieży racjonalnej, która na tem się zasadza, że las rąbać wolno tylko w miarę jego przyrostu. Na to wszakże, by ów przyrost nie ustawał, by dawał rocznie pewne quantum masy drzewa, las musi być pielęgnowany sztucznie.

Oczywiście, nie jest to rzeczą łatwą. Pamiętajmy, że kapitał, który kraj posiada w postaci lasów, gromadził się przez lat setki, a nawet tysiące, jeśli uwzględnimy stopniowe urabianie się odpowiedniej gleby. Dziś tę pracę natury człowiek musi znakomicie przyśpieszyć. Inaczej nie potrafi ograniczyć się zużywaniem procentów, lecz wypadnie mu zmniejszać sam kapitał.

Ale nawet przyśpieszona przez naukę praca natury w leśnictwie rachować się musi z wielkiemi okresami czasu. Las sieje się czy sadzi nie

dla siebie, ale dla wnuków i prawnuków; pozatem istnienie lub brak lasu w danej okolicy odbija się nietylko na kieszeni właściciela, ale — co ważniejsze — na warunkach życia i pracy miejscowej ludności rolniczej. Wiadomo już bowiem, jak wielkim wahaniom ulega klimat, zależnie od obecności lub nieobecności lasów i jak dobroczynne wywierają one skutki.

Wszystko to czyni z racjonalnego leśnictwa gałąź gospodarki, która liczyć się musi z potrzebami ogółu, a nietylko z interesem jakiejś prywatnej kieszeni. I stąd pochodzi, że wszystkie państwa kulturalne poddały leśnictwo kontroli rządowej.

Uczyniła to i Rosja.

Uczyniła w czasach bezwzględnego absolutyzmu i centralizmu. co oczywiście musiało pociągnąć za sobą najfatalniejsze skutki. Już w r. 1906 zwrócił na nie uwagę M. M. Orłow, profesor cesarsk. instytutu leśnego, który jasno wykazał, że przy istniejącym systemie, państwo nawet lasami własnemi zarządzać nie umie. Szablonizując bowiem gospodarkę i nie uwzględniając najrozmaitszych warunków lokalnych, jednych lasów wcale nie eksploatuje, a inne niszczy. Wyznaczając np. jednakowe fundusze na urządzanie i uprawę lasów gub., dajmy na to, grodzieńskiej i ołonieckiej, w pierwszej osiąga 6 rb. dochodu z dziesięciny, w drugiej — nic, tylko straty. Ale zarówno ów dochód, jak i straty — to fikcja. W las gub. grodzieńskiej łoży się za mało (7 % od dochodu brutto), a w ołonieckiej — za dużo (22 %). Lasy gub. wołogodzkiej pochłaniają 28 %, nowgorodzkiej 39 %, taurydzkiej 74 %, a piotrkowskiej — 5 %.

Już z tych kilku cyfr widać, że praktykowany system jedne okręgi faworyzuje, topiąc w nich miljony rubli, inne zaś—poprosu dewastuje. Tak się odbija centralistyczne poddawanie jednemu strychulcowi dziewiczych lasów gub. ołonieckiej i wymagających sztucznej, pieczołowitej hodowli lasów Król. Polskiego.

„Jednem z najważniejszych zadań zarządu lasów państwowych — powiada prof. Orłow — jest przeprowadzenie urządzenia lasów i regularne kontrolowanie tego urządzenia. Rozpoczęte w końcu pierwszej połowy XIX wieku, urządzenie państwowych lasów rosyjskich małe zrobiło postępy. W Rosji europejskiej, na ogólną powierzchnię lasów państwowych—107 miljonów dziesięcin, do r. 1903 urządzono zaledwie 24,6 mil. dzies., czyli 23 %. Na Kaukazie urządzono tylko 9 %, a w Rosji azjatyckiej 5 % powierzchni lasów. Duże przestrzenie nieurządzone znajdują się nietylko na północy, lecz również w środkowych, a częściowo i w południowych gubernjach; w r. 1903 było w nich około ½ miljona dzies. lasów nieurządzonych, między innemi w następujących gubernjach: w witebskiej 67 tys. dzies., w mińskiej 22 tys., w wileńskiej 21 tys., w mohylowskiej 20 tys., w kowieńskiej 17 tys., w łomżyńskiej 12 tys., w wołyńskiej 5 tys. I nie dość, że dotąd tak mało urządzono lasów, ale i w urządzonych częstokroć rewizje nie bywają przeprowadzane po 20 i 30 lat, a samo urządzenie i kontrola dokonywane bywają tak niedbale, że bynajmniej nie przekonywają o racjonalności prowadzonej gospodarki".

Najbardziej po macoszemu — zdaniem prof. Orłowa—traktowane są lasy rządowe w Król. Polskiem, eksploatowane wedle zasad z początku XIX wieku. Prowadzi to do wyniszczenia owych lasów, skutkiem nadmiernych cięć, złego odnawiania i prawie zupełnego braku pielęgnacji.

Rzeczą jest jasną, że jeżeli tak się przedstawia gospodarka w lasach skarbowych, to i piecza państwa nad własnością prywatną nie może być bez grzechów. Cierpi na tem niewątpliwie Rosja rdzenna, ale tam istnieje jeszcze obfitość lasów dziewiczych. którym gospodarka racjonalna nie jest tak nieodzownie pilną; cierpi Królestwo Polskie, ale posiada ono przemysł fabryczny, mogący w części straty pokrywać. W najgorszem położeniu jest nasz kraj, gdzie lasy, będące — jak się rzekło — głównem źródłem bogactwa, wyszły już ze stanu dziewiczości i gwałtem wymagają troskliwej, kulturalnej opieki. Inaczej — tnie się je, a one nie odrastają. I to stanowi właśnie główną bolączkę tutejszej gospodarki.

Mimo to jednak pewien postęp daje się zauważyć. Popyt zagraniczny, stawiający pewne określone wymagania i wprowadzający systematyczność handlową, zmusza właścicieli lasów, przedewszystkiem—wielkich, do prowadzenia gospodarki kulturalnej przy pomocy z europejska wyszkolonych leśników.

Stopniowo zarzuca się więc np. dawny system eksploatacji, t. zw. „plądrowniczej". Polega on na wybieraniu sztuk drzewa z najrozmaitszych miejsc, a nie rąbania obszarami. Ów system plądrowniczy okazał się wielce dla lasów szkodliwy. Wycinanie bowiem poszczególnych sztuk niszczy drzewa okoliczne i przyczynia się do zachwaszczania gleby. Wprowadza się więc obecnie system gospodarki towarowej, t. j. przeznacza się do cięcia pewne całe działki, a następnie drzewo sortuje się wedle wartości. Przestrzenie zaś ogołocone natychmiast się uprawia i obsiewa.

Ale prywatna, najracjonalniejsza nawet gospodarka bez troskliwego spółdziałania państwa obejść się tu nie może. Przedewszystkiem cierpi nasze leśnictwo wskutek strasznego braku dróg komunikacji. W Królestwie, gdzie jest znacznie więcej szos i kolei, wozi się drzewo rok cały. U nas—tylko w mrozy, sanną do spławu lub stacji drogi żelaznej. Jak to obniża rentowność lasów, nietrudno zmiarkować.

Olbrzymiem dalej utrudnieniem w gospodarce racjonalnej jest absolutny brak instytucji, któraby systematycznie dopomagała w meljoracjach i organizowała je. Najbogatszy nawet magnat, właściciel ogromnych przestrzeni nie może podjąć się osuszania błot. zależnych od daleko rozgałęzionego systemu wodnego. Zadanie takie dostępne jest tylko organizacji państwowej, zdolnej popierać tudzież kojarzyć interesy i wysiłki prywatne. U nas jednak nic się w tym kierunku nie robi i olbrzymie przestrzenie leśne toną w niedostępnych bagnach, gdzie gospodarka racjonalna jest wręcz niemożliwa.

Do najcięższych wreszcie bolączek leśnictwa tutejszego należy bez wątpienia serwitutowa polityka rządu. Stoi ona w jaskrawej kolizji z przepisami ochrony lasów, zupełnie tak, jak monopol wódczany i kuratorja trzeźwości.

Przepisy serwitutowe zgoła nie uwzględniają wymagań kulturalnej gospodarki leśnej; upoważniają włościan do pasania nawet na świeżo obsianych przestrzeniach, t. j. w miejscach, które zagranicą bywają conajmniej lat piętnaście najtro-

skliwiej ochraniane od dostępu bydła. Utrudnianie umów polubownych i zamiana przestrzeni serwitutowych, oraz popieranie głupiego szkodnictwa ma wszelkie cechy demagogji, strojonej w biurokratyczny (szczególnego zapachu) demokratyzm.

Warunki, w jakich rozwija się nasze leśnictwo są więc wyjątkowo ciężkie. Przemysł, posiadający dla kraju pierwszorzędne znaczenie, ochraniany pozornie tylko, w sposób szablonowy, wedle wymagań gubernji ołonieckiej, czy nowgorodzkiej, jeżeli zwolna czyni postępy, to jeno pod presją konieczności żywiołowej.

Ten los leśnictwa odzwierciadla do pewnego stopnia całokształt warunków życia naszego.

Organizowane obecnie zjazdy, z okazji odnawianego traktatu handlowego z Niemcami, nie mogą pominąć sprawy przemysłu leśnego. Nasuwa ona cały splot dezyderatów, które mocno podnieść trzeba, gdyż chodzi tu o kwestję wagi pierwszorzędnej.

Józef Sorokowicz.

Przemiany w ugrupowaniach litewskich.

W prasie litewskiej dokonywają się w chwili obecnej dość poważne przemiany. Dwa główne pisma litewskie, wychodzące w Wilnie i odpowiadające dwom zasadniczym kierunkom, dzielącym społeczeństwo litewskie,—demokratyczne „Letuvos Žinios“ („Wiadomości Litewskie“) i klerykalno-nacjonalistyczne „Viltis“ („Nadzieja“), wychodzące dotychczas po 3 razy na tydzień (co drugi dzień), przekształcają się obecnie na dzienniki.

W prasie litewskiej brakło całkowicie pism codziennych. Pierwszy i jedyny dziennik „Vilniaus Žinios“ („Wiadomości Wileńskie“), założony w r. 1904 przez inżyniera p. Piotra Vileiszysa, bezpośrednio po cofnięciu zakazu druków litewskich w państwie Rosyjskiem, nie zdołał się utrzymać. Po kilku latach egzystencji, zmieniając kilkakrotnie kierunki, dziennik ten w r. 1907 upadł ostatecznie i odtąd w prasie litewskiej pisma codziennego nie było. Publicystyka litewska była obsługiwana tylko przez tygodniki, miesięczniki oraz pisma, wychodzące co parę dni.

Wzrost świadomości narodowej i uspołecznienia litwinów, wzrastające czytelnictwo w masach ludowych, coraz liczniejsze szeregi inteligiencji narodowej, uwydatnianie się coraz nowych potrzeb kulturalnych i społecznych, wreszcie komplikujące się zróżniczkowanie kierunków i walka ich o wpływy w organizacji życia narodowego, spowodowały konieczność stworzenia prasy codziennej.

Koła kierownicze obu głównych obozów litewskich, demokratycznego i klerykalno-nacjonalistycznego, doszły jednocześnie i równolegle do myśli o przekształceniu organów swoich na dzienniki. Pierwsi zakrzątnęli się demokraci, a tuż za nimi, podniecani względami konkurencji, zabrali się do tegoż klerykali.

Jednocześnie wszakże i to właśnie na gruncie projektu dziennika zaszła pewna bardzo charakterystyczna zmiana w obozie klerykalno-nacjonalistycznym.

Trzeba zaznaczyć, że wogóle w społeczeństwie litewskiem kierunek klerykalny nie utożsamia się z nacjonalistycznym. Pozory, a do niedawna i fakty działania nazewnątrz, dawały istotnie podstawę do takiego utożsamiania. W wewnętrznym, wszakże układzie prądów i kierunków litewskich, wciąż znać było dwoistość obozu prawicy, złożonej z klerykałów i nacjonalistów świeckich. Łączyła ich wspólna niechęć do ludowego radykalizmu społecznego, reprezentowanego przez demokratów i socjalistów, wspólne poniekąd metody walki z polskością oraz stosunku do państwowości rosyjskiej.

Tak klerykali, jak nacjonaliści świeccy pragnęliby pozyskać dla sprawy litewskiej arystokrację i szlachtę, a niechęć ich do polskości ma w dużym stopniu źródło w żalu, jaki czują za odseparowanie się narodowe szlachty krajowej od większości ludu. Posiadanie bowiem własnej, narodowo-litewskiej arystokracji i burżuazji stanowiłoby dla tych kierunków ostoję przeciwko radykalizmowi ludowemu i dało w ich ręce poważniejsze wpływy w przyszłym rozwoju społecznym litwinów. Usamodzielnianie się zaś pierwiastku ludowego, które jest w obecnych warunkach ruchu litewskiego koniecznością, nie sprzyja ani klerykalizmowi, ani umiarkowaniu społecznemu, którego pożąda wykluwająca się burżuazja litewska, hołdująca nacjonalizmowi.

Takie są mniej więcej czynniki, które sprzyjały sojuszowi klerykałów i nacjonalistów świeckich w ich działalności nazewnątrz i wspólnej walce, jaką prowadziły z „postępem“, to znaczy z demokracją wewnątrz własnego narodu.

Był to jednak tylko kompromis, ale nigdy nie zlanie się zupełne. Oba kierunki zachowywały własne aspiracje, zachowywały odrębność nie tylko ostatecznych celów rozwoju, ale i pojmowania zadań narodowych w dobie obecnej. Klerykali, jak sama ich nazwa wskazuje, dążyli przedewszystkiem do całkowitego poddania rozwoju narodowego (kulturalnego i społecznego) pod wyłączną batutę kierowniczą kleru. W ich myśli organizacja narodowa powinna być podporządkowana organizacji kościelnej zupełnie, powinna ulegać ścisłej cenzurze i bezwzględnej opiece duchowieństwa.

Kler litewski, jak wszelki inny, nie znosi podziału władzy i zazdrośnie strzeże monopolu swych wpływów, gdy chodzi o masy ludowe.

To też kler o tyle tylko tolerował nacjonalistów świeckich i o tyle dopuszczał ich do spółdziałania ze sobą, o ile to mu było potrzebne do walki z niebezpieczeństwem demokratycznem.

Z chwilą, gdy ustawały potrzeby tej walki, gdy niebezpieczeństwo demokratyczne było pokonane, lub gdy kler poczuwał się na siłach odprawiał dotychczasowego sojusznika z kwitkiem, zagarniając owoce zwycięztwa, lub wspólnej pracy na swój wyłączny użytek. Sojusznik był dobry tylko do posługiwania się nim, ale nie do udziału w zyskach.

W gub. suwalskiej, gdzie organizacja klerykalna jest szczególnie silna i sprężysta, ustało już dawno spółdziałanie kleru z nacjonalistyczną inteligiencją świecką. Kler znakomicie zorganizowany, działa tam zupełnie samodzielnie, nie oglą-

dając się na nikogo. Dobiera on spółpracowników tylko takich, którzy uznają bezwzględnie jego przewagę i zgadzają się mu służyć bez zastrzeżeń. Organizacja klerykalna posiada tam nie tylko własną prasę, ale i własne związki i stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i nawet zawodowo-rolnicze. To też tam przeciwko sobie stają do walki bezpośredniej dwa tylko kierunki, zupełnie samodzielne, bez sojuszników żadnych—demokraci i klerykali. Oba liczą na własne tylko siły i, obchodzą się bez sprzymierzeńców pośrednich. I tylko w chwilach wyjątkowych walki, w jakichś okolicznościach nadzwyczajnych, zawierają tam klerykali sojusz z nacjonalistami świeckimi, przywołują ich na pomoc, nęcąc obietnicą udziału w zwycięstwie, której potem nie dotrzymują. Taki moment miał miejsce podczas ostatnich wyborów do Dumy (w r. 1912).

Z gub. suwalskiej posłował p. Bułat, jeden z najwyrazistszych przedstawicieli obozu demokratycznego. Klerykałom chodziło o obalenie jego kandydatury, o niedopuszczenie obozu przeciwnego do nowego zwycięstwa. Do przeciwstawienia tej kandydaturze kandydatury własnej, ściśle klerykalnej, nie czuli się dość mocni. Trzeba było popularnej i jaskrawej osobie p. Bułata przeciwstawić osobę nie mniej popularną i niemniej wybitną.

Rozpoczęli więc klerykali suwalscy flirt z nacjonalistami świeckimi, zakończony sojuszem na podstawie którego wysunięta została kandydatura popularnego p. Basanowicza.

Ten nestor odrodzenia litewskiego, człowiek wielkich zasług narodowych, za które jest ceniony przez wszystkie obozy litewskie, bez względu na różnice kierunków, dał się wypożyczyć klerykałom do walki z demokratami. Klerykali użyli popularnego nazwiska p. Basanowicza za sztandar i hasło do walki przeciwko p. Bułatowi i demokratom. I istotnie pod hasłem tem zdołali na prawyborach zwyciężyć demokratów i przeprowadzić swoich popleczników do kolegjum wyborczego. Tu wszakże, gdy się obliczyli z siłami i spostrzegli, że już są w większości i że ani nacjonaliści, ani popularny p. Basanovicz nie są im do zwycięztwa potrzebni, dali bez żadnych ceregieli odprawę swym naiwnym sojusznikom oraz wypożyczonemu przez nich kandydatowi i, nie wdając się w żadne układy, posłali do Dumy jednego ze swoich, klerykała z krwi i kości, księdza Łaukajtisa (który zdążył już dotąd w Dumie wykazać swoje oblicze i kapitalnie się skompromitować).

W gub. kowieńskiej klerykali też wzrastają w siły i, jak świadczy ujawniony niedawno przez demokratyczną prasę litewską okólnik zjednoczonych redakcji (klerykalnych) kowieńskich, rozesłany do wszystkich księży djecezji żmudzkiej, dążą także do zupełnego usamodzielniania swej akcji od wszelkiego spółudziału z intelligiencją świecką, opierając jej organizację wyłącznie na siłach duchowieństwa.

Najdłużej i najobszerniej trwało spółdziałanie klerykałów i nacjonalistycznej intelligiencji świeckiej w Wilnie, co się uwidoczniło szczególnie w piśmie „Viltis".

I oto teraz, gdy przyszło do przekształcenia „Viltis" na pismo codzienne, które będzie jedynym klerykalnym dziennikiem litewskim na całą Litwę, a więc będzie placówką dla klerykałów pierwszorzędnej wagi, postanowili oni pozbyć się sojuszników—nacjonalistów świeckich. Korzystając z przewagi swojej w gremjum udziałowców pisma, przekształcili oni redakcję i ustalili na przyszłość kierunek ściśle klerykalny, zupełnie odtąd samodzielny. Pokonani i odsądzeni od wpływów i od kierunku niedawni sojusznicy musieli wystąpić z pisma i zostali wykolejeni.

Ta odprawa, dana przez klerykałów nacjonalistom świeckim, popchnęła ich narazie nieco na lewo, zbliżając ich poniekęd, chwilowo zapewne, do demokratów. Przynajmniej w jednym względzie nacjonaliści litewscy, przez to doświadczenie na własnej skórze, zbliżyli się poniekąd do demokratów: w nieufności do klerykałów, w zrozumieniu niebezpieczeństwa zachłanności, jaką klerykalizm zagrażał młodej litewskiej kulturze narodowej.

Nacjonaliści świeccy, wyparci z „Viltis", zakładają teraz, ze swym wodzem p. Antonim Smetoną i posłem Yczasem na czele, nowe dwutygodniowe wydawnictwo ilustrowane w Wilnie pod nazwą „Vairas". Jakiemi drogami podąży ta grupa, zmuszona siłą rzeczy do samodzielnego działania i stanowiska,—pokaże bliska przyszłość.

Drugi powstający dziennik litewski—„Lietuvos Žinios"—pozostanie takim samym, jakim był dotąd, to znaczy jakim wychodził co dzień drugi.

Będzie to organ demokracji ludowej litewskiej. O ile w obozie prawicy litewskiej zwycięstwo klerykalizmu oznacza wyraźny zwrot ku wstecznictwu, o tyle w rozwoju demokracji litewskiej dają się w ostatnich czasach dostrzec pierwiastki uspołecznienia głębszego i szczerego.

M. R.

Rozłam śród ludowców.

Obok sejmowej reformy wyborczej, która przechodzi od lat kilku różne koleje, to zbliżając się już niemal do urzeczywistnienia, to znów zatrzymując się w martwym punkcie, z którego, jak się zdaje, wyjścia niema, drugą sprawą, która zaprząta umysły w Galicji, jest niewątpliwie rozłam w Polskiem Stronnictwie Ludowem. Rozłam ten wstrząsa poważnie równowagą sił politycznych w Galicji, a ponieważ rozmaicie jest komentowany, zasługuje na bliższe oświetlenie.

Polskie Stronnictwo Ludowe, które w ostatnich latach ogarnęło swojemi wpływami szerokie masy ludu wiejskiego i stało się poważnym czynnikiem politycznym, desygnując ze swego łona nawet ministrów (jak Długosz), nie przypomina w niczem ani dawnego Związku Ludowego, który działał w Królestwie w latach 1905—1907, ani dzisiejszego ruchu zaraniarskiego. Ludowcy galicyjscy nie myślą się ograniczać, jak zaraniarze, do pracy kulturalno-gospodarczej, dążąc, w przeciwstawieniu do tamtych, do władzy politycznej, ani też nie opierają się, jak ci, co swego czasu wydawali „Życie gromadzkie", na rewolucyjnych pierwiastkach, drzemiących w ludzie. Ludowcy — to stronnictwo chłopskich demagogów, prowadzące politykę chłopskich interesów, bez względu na to, czy

ten chłop—to ubogi komornik, czy bogaty gospodarz. Ten ostatni w oczach Stapińskiego miał bodaj że największą wagę. Wysługiwanie się interesom chłopskim, bez względu na to, czy zaspokojenie tych chwilowych nieraz interesów znajdzie się w zgodzie z dążeniami rozwojowemi Galicji do lepszej przyszłości, zaprowadzało Stapińskiego nieraz bardzo daleko.

W latach 1908—1909 zaczął on głosić teorję, że interesy miasta sprzeciwiają się radykalnie interesom wsi, te zaś ostatnie wytwarzają łączność między wszystkimi mieszkańcami wsi, tak że w gruncie rzeczy między interesami „małego rolnika" i „wielkiego rolnika" wytwarza się doskonała harmonja. Ze ten wielki rolnik—to obszarnik galicyjski, niezwykle uprzywilejowany, a mało produkcyjny, o tem zdawał się nie pamiętać Stapiński w swym zapale do jednoczenia wszystkich mieszkańców wsi.

Nie zawsze Stapiński stawał na takiem stanowisku, jak wówczas. Początkowa historja stronnictwa ludowego — to dzieje bezustannej walki radykalnych agitatorów z klerem, starostą, obszarnikiem. „Jaś" Stapiński był pierwszym człowiekiem, który budził w ludzie uświadomienie, który wzywał go, aby nie głosował na „panów" i nie pozwalał duchowieństwu nadużywać ambony do polityki. Walka była zacięta; Stapiński pomimo nędzy, jaka go nieraz trapiła, uświadamiał włościan i organizował, aż wreszcie odniósł zwycięztwo, mimo klątw i zakazów kościelnych, mimo okólników starościńskich i przeciwdziałania zjednoczonej reakcji. Dźwignął on własnemi siłami stronnictwo ludowe, które stanęło zrazu poza obrębem Koła polskiego, ale to właśnie dawało mu siłę i niezależność.

W porównaniu do tego pierwszego okresu rozwoju stronnictwa, lata 1908 — 1910 były latami rozwoju ilościowego stronnictwa, ale zarazem jego upadku idejowego. Sojusz ze stańczykami, jaki zawarł Stapiński w r. 1908 w czasie wyborów do Sejmu, w myśl swej nowej teorji o „wspólności interesów wiejskich" (wbrew miejskim, reprezentowanym wówczas przez połączone ze sobą chwilowym sojuszem demokrację narodową oraz mieszczańską), wzmocnił jeszcze bardziej potęgę stronnictwa ludowego. Jego przewódcy zaczęli się stawać „ministerialfähig" i ludowcy nietylko weszli do Koła, lecz zaczęli w nim ważną rolę odgrywać.

Wtedy to zaczęły napływać do stronnictwa nowe żywioły, których nie widać było wtedy, gdy ludowcy o swą egzystencję prowadzić musieli żmudną walkę. Przyszli oni teraz do gotowego: czekały na nich mandaty, posady, urzędy, ba — nawet teki ministerjalne. Hr. Lasocki, szambelan papieski, hr. Rej — ludzie, których same nazwiska zdają się przeczyć dążnościom do wszechwładztwa ludowego, wreszcie Długosz, przemysłowiec, zbogacony na borysławskiej nafcie, którego nietyle głowa, ile wyjątkowe szczęście wysunęło na czoło — wszystko to nowe typy „ludowców", które pojawiły się na powierzchni życia politycznego w Galicji. Z takiemi to żywiołami wypadło teraz pracować Stapińskiemu, temu niegdyś trybunowi ludu na modłę jakobińską, który mówił, że nie będzie spokoju w Galicji, dopóki „bruk się nie pokryje szlacheckiemi czaszkami".

Zwrot Stapińskiego na prawo wywołał niezadowolenie w szerokich kołach stronnictwa. Skorzystały z tego fermentu ambitne jednostki i wytworzyły nową partję, pod nazwą „frondy ludowej". Ale te jednostki jak Dąbski, nie umiały stanąć na wysokości zadania, gdyż kierowała niemi tylko niezdrowa ambicja, nie zaś umiłowanie sprawy ludowej. Dąbski nie umiał wrócić na to stanowisko, z którego zeszedł Stapiński. Osobista nienawiść do dawnego wodza pchały go i jego stronników coraz bardziej w stronę żywiołów endeckich. Najlepszym tego dowodem kierunek „Kurjera Lwowskiego", organu sympatyków frondy Dąbskiego.

Sojusz Stapińskiego ze stańczykami nie trwał jednak długo. Stapiński zrozumiał, że stańczycy nie mają przed sobą przyszłości, że najbliższa reforma wyborcza, która przecież kiedyś nastąpić będzie musiała, usunie raz na zawsze dotychczasową hegiemonję konserwatywnego stronnictwa. Stanąwszy zaś dzięki poparciu stańczyków (którzy po raz pierwszy przy wyborach sejmowych 1908 roku wydali starostom rozporządzenie, aby nie utrącano sztuczkami wyborczemi kandydatów ludowców) na mocnym gruncie, uznał Stapiński, że teraz może się obejść bez sztucznej podpory, i rozpoczął prowadzić politykę samodzielną. Polityka ta wymagała pewnego zwrotu na lewo, zwłaszcza że pojawienie się na terytorjum wsi galicyjskiej narodowych demokratów i sprzymierzonych z nimi grup klerykalnych pchało Stapińskiego w kierunku radykalizmu z nieubłaganą koniecznością. Nastał więc nowy trzeci okres w dziejach stronnictwa ludowego, który teraz w przededniu reformy wyborczej, doprowadził je do kryzysu.

Do przyśpieszenia kryzysu, którego dziś jesteśmy świadkiem, przyczyniła się krecia i podstępna działalność sprzymierzonych ze sobą narodowych oraz chrześcijańskich demokratów. Dwie te organizacje, zjednoczywszy się pod nazwą „Związku chrześcijańsko-ludowego", odniosły przy ostatnich wyborach do Sejmu w lipcu dość znaczny sukces, zdobywszy kilkanaście mandatów. Do zwycięstwa tego w znacznej mierze dopomógł list pasterski biskupów, występujący przeciw radykalizmowi wogóle, a przeciw ludowcom w szczególności. Tego zwycięztwa było jednak za mało zjednoczonej koalicji; chodziło jej o trwałe zapanowanie nad umysłami ludu wiejskiego, a ten cel dawał się osiągnąć jedynie przez rozbicie stronnictwa ludowego, posiadającego dotąd na wsi niejako monopol wpływów. Przystąpiono więc do rozbijania stronnictwa od wewnątrz, i cel ten, po długich, ale wytrwałych przygotowaniach wreszcie osiągnięto.

W stronnictwie ludowem nie było już cementu, któryby spajał poszczególne jego części. Kiedyś osoba Stapińskiego, który był duszą partji, jednoczyła wszystkich. Teraz przedostanie się do stronnictwa nowych żywiołów, bardzo różnolitych, a z dawną idejologją partji słabo związanych; żywiołów, które o tyle tylko były gotowe należeć do stronnictwa, o ile ono zacierało swe kanty i skłaniało się do kompromisów, czy to z rządem, czy z klerem, czy z każdorazową większością Koła polskiego, — musiało doprowadzić do katastrofy.

Nie należy oczywiście otaczać Stapińskiego aureolą. Jest to typowy demagog, nie bawiący się w skrupuły w sprawach politycznych, który dla interesów chwilowych (powiedzmy nawet: częstokroć osobistych) gotów poświęcić zasady. Stapiński niewątpliwie nadużył często wpływów politycz-

nych, jakie posiadał, dla prowadzenia spraw, które ani z interesem stronnictwa w szczególności, ani z interesem ludu polskiego wogóle nie mają nic wspólnego (dowodem sprawy „Wisły", wreszcie głośna afera z „Canadian Pacific"). Ale przyznać mu musimy, że był zawsze związany z ludem i nie tracił kontaktu z jego instynktami i odczuwaniami, że nie sprzedawał się, jak inni politycy galicyjscy, przechodzący kolejno przez wszystkie partje; że nawet wtedy, gdy łączył się ze stańczykami, myślał przedewszystkiem o tem, aby ich wyzyskać, nigdy zaś nie chciał zaprzedawać chłopa galicyjskiego w służbę interesom galicyjskiej „konserwy".

To też bez względu na to, jaki sąd wypadnie o Stapińskim, jako o polityku i człowieku, stwierdzić należy, że w tym sporze o władzę w stronnictwie ludowem, jaki się w tej chwili rozgrywa, wszelkie sympatje żywiołów szczerze demokratycznych i postępowych w Galicji stoją po jego stronie.

Przeciwnicy wysuwają przeciw Stapińskiemu cały szereg osobistych zarzutów, których zbadanie jest sprawą komisji, jak to, że brał pieniądze od Stürgkha, że godził się na projekt reformy wyborczej Bobrzyńskiego i t. d. Ale nie w tem leży istota rzeczy. Ludowcy-miljonerzy, jak Długosz, ludowcy-hrabiowie, jak Rej i Lasocki, którzy dziś występują przeciw człowiekowi, przez wiele lat znoszącemu niegdyś głód i nędzę, mają mu istotnie coś innego do zarzucenia, a mianowicie ostatni jego zwrot polityczny. W czasie ostatniego przesilenia Stapiński nie poszedł śladem Stojałowskiego, który miał stać na usługach obcego mocarstwa, lecz zbliżył się do żywiołów irredentystycznych, biorąc się do organizowania obrony ludu galicyjskiego przed grożącym zalewem obcych wojsk. Ta jego polityka zewnętrzna pobudziła podobnież i narodowych demokratów do wypowiedzenia mu w krytycznej chwili walki na śmierć i życie, polityka zaś wewnętrzna wywołała rozłam wewnątrz stronnictwa, rozłam, niewątpliwie również z zewnątrz inspirowany.

Sprawa rozłamu jeszcze nie zdecydowana. Zmuszenie Stapińskiego do ustąpienia ze stanowiska wiceprezesa Koła polskiego, które zajmował z ramienia parlamentarnej frakcji ludowców, oraz ze stanowiska prezesa parlamentarnej frakcji—bynajmniej nie przesądza przyszłości, gdyż między frakcją a stronnictwami w wielu krajach istnieje głęboka scysja, a dopiero stanowisko samej partji bywa decydujące. Więc i w danym wypadku mówić o upadku Stapińskiego, jako polityka, byłoby przedwcześnie, dopóki sprawy rozłamu nie rozstrzygnie Rada Naczelna, a następnie pełny Zjazd stronnictwa. Rada Naczelna, która odbyła się w Rzeszowie 13 i 14 b. m., dała możność skonstatowania, że większość stronnictwa stoi po stronie Stapińskiego, z czego pierwsza strona, wraz z ministrem Długoszem, musi wyciągnąć konsekwencje.

Bez względu na to, jakim torem sprawa się dalej potoczy, zgodzić się musimy, że konflikt, który ma charakter zasadniczy, pomimo pozorów ambicji osobistych, posiada duże znaczenie dla życia politycznego Galicji. Ze sposobu, w jaki konflikt zostanie rozwiązany, można będzie wyciągnąć odpowiedź na pytanie, czy jest miejsce na chłopskie stronnictwo radykalne w Galicji?

J. Krzesławski.

„MILES GLORIOSUS".

Od sześciu tygodni świat polityki europejskiej zajmuje się intensywniej znowu Alzacją. Opinja niemiecka, o ile jest reprezentowana w parlamencie berlińskim, wypowiedziała się bez zastrzeżeń przeciwko porządkom, panującym w Alzacji. Parlament posunął swoją niechęć dla tych rządów, swój radykalizm polityczny aż do uchwały, w której odmówił zaufania kanclerzowi Rzeszy, krok, co prawda, zgoła dla życia kanclerza i polityki cesarskiej nie groźny. Daleko, bowiem jeszcze Niemcom do rządów parlamentarnych, do odpowiedzialności ministrów przed parlamentem. Jak dotąd, ministrowie odpowiedzialni są przed cesarzem, który ich do woli wybiera i odsyła, podnosi i obala, zwołuje i rozpędza. Jeżeli p. Bethmann-Hollweg, istotnie, pójdzie za przykładem księcia Bülowa w stan spoczynku, stanie się nie dlatego, że tak chciał parlament, ale poprostu dlatego, że jego „pan" uznaje ponoć, iż intendent źle go broni przed parlamentem... Mówią, bowiem w Niemczech oddawna o zamierzonej dymisji Bethmana. Wymieniają nawet jego następców. Ale w żadnym to nie jest związku przyczynowym — z uchwałami parlamentu Rzeszy.

Mizerny oficerek należący do garnizonu Saverne'y w Alzacji, młokos, zaledwie dwadzieścia lat liczący, pewnego dnia, 5 listopada obraził alzatczyków, lud alzacki, pouczając rekrutów, że gdyby ich w „tym kraju" kto zaczepił, niechaj się bronią, niechaj strzelają. „Za każdego *wackes'a**) zabitego dostaniesz odemnie dziesięć marek". A obecny przy tem podoficer dodał: „a od siebie dodam jeszcze trzy marki"... Ta rozmowa powiedziana publicznie, kolportowana przez żołnierzy alzackich odbywających służbę swoją w Saverne, przedostała się nazewnątrz. Dziennik katolicki, wychodzący w Strasburgu *Der Elsaesser* podał o niej wiadomość i napiętnował zachowanie się oficera niejakiego von Forstnera. Gieneralicja w Strasburgu zaprotestowała. Wtedy gazeta ogłosiła zeznanie, podpisane przez żołnierza, alzatczyka, świadka sceny. Żołnierza, oczywiście, aresztowano, wraz z kilku kolegami, również alzatczykami pod zarzutem niesubordynacji, wydawania tajemnic służbowych i po kilkunastu dniach więzienia śledczego, skazano na kilkutygodniowe więzienie. Ale samą sprawą zajęła się opinja.

Nasamprzód *opinja alzacka*, która za pośrednictwem wszystkich swoich organów, podniosła straszne larum. Liberali i katolicy, nacjonaliści i socjaliści bez różnicy kierunku i wyznania zaczęli odwoływać się do opinji świata: patrzcie, co ci zdobywcy, ci prawnukowie Attyli, chełpiący się cywilizacją swoją—wyprawiają u nas! aleź odtąd przezwisko *wackes* nie będzie więcej hańbą, sromotą, stygmatem, będzie zaszczytem. My wszyscy jesteśmy odtąd—wackes!.." I kiedy w parę tygodni później adwokat strasburski Helmer miał wygłosić w Paryżu odczyt w serji *Conferences Alza-*

*) *Wackes* w djalekcie alzackim oznacza tyle co łobuz hultaj, włóczęga, cygan (wywodzą tem wyraz od *vagabond*) Niemcy wzgardliwie nazywają tem imieniem alzatczyków wogóle. Z powodu częstych awantur na tem tle, władze przestrzegają, aby wyrazu tego nie używać i każdy oficer obowiązuje się piśmiennie przestrzegać, aby żołnierze tego przezwiska nie używali.

ciennes, bardzo uczęszczanych przez alzatczyków, zamieszkałych w Paryżu—przewodniczący zakończył swoją mowę powitalną: Witamy w Panu *un wacke*... Zawież ukłony *wackes'om* z tamtej strony Wogezów od *wackesów* tutaj obecnych.

Saverne jest małem miasteczkiem. Obraza, rzucona przez zarozumiałego prusaka na lud alzacki stała się prędko wiadomą. Ludzie zbierali się na ulicach. Alzatczycy nie są wybuchowi. Są przeważnie bardzo ostrożni, zamknięci, mało dostępni. Nie poddają się odruchom. Są też pełni humoru, bez litości. Tłumnie chodzili za lejtnantem, śmiejąc się z głupca. Gdy przechodził, wychodzili ze sklepików, stawali na ulicach. Forstner stał się pośmiewiskiem miasta. Ze wsi okolicznych napływały tłumy, aby oglądać bohatera. Sława Forstnera stawała się zbyt wielką. Ciało oficerskie zaczęło reagować. Szlachetnym wiedzione instynktem wystąpiło z denuncjacją ludności alzackiej. „Jeżeli nie dacie nam pełnomocnictw większych, nie ręczymy za spokój w mieście. Jutro będą strzelać do nas..." Cóż łatwiejszego jak zaprowadzić stan oblężenia w zabranym kraju, w kraju niewoli? Zaprowadzono tedy stan wojenny na własną rękę, bez wiedzy władzy strasburskiej. I pewnego wieczoru aresztowano całą gromadę spokojnych obywateli, których sędzia nazajutrz kazał uwolnić. W odpowiedzi na to, oficerowie aresztowali cały trybunał z prokuratorem na czele w chwili, gdy z sądu wychodził na ulicę...

Władze autonomiczne w Strasburgu z namiestnikiem hrabią Wedel'em i sekretarzem stanu Zorn von Bulachem na czele wystraszone tą uzurpacją władzy, zawieszeniem konstytucji bez ich wiedzy i woli, odwołały się do cesarza i do Berlina.

W Berlinie już i bez tego było gorąco. Zaledwie zebrał się parlament po ferjach jesiennych, już cały szereg interpelacji spoczywał na stole prezydjalnym. Wszystkie stronnictwa żądały rachunku od kanclerza. „Czy wie o tem, co się dzieje w Alzacji? Czy tam obowiązuje jeszcze konstytucja nadana w roku 1911, czy też została już zawieszona? jeżeli tak — przez kogo, na jakiej zasadzie? Czy Forstner został ukarany i jego bezpośrednia władza w Saverne i w Strasburgu"? Interpelacje bywają wyjaśniane. I oto posypały się mowy. Jedna od drugiej ostrzejsza. Partje licytowały się w radykaliźmie, obnażając wszystkie rany konstytucjonalizmu prusko-niemieckiego. Kto rządzi Niemcami? Czy obowiązuje tu konstytucja i *prawo*, czy też dyktatura żołdactwa i gabinetu wojskowego Cesarza? Gdzie jest Cesarz? Dlaczego Forstner nie został ukarany? Dlaczego nie zostali ukarani, ci wszyscy, którzy zamiast go ukarać, zdegradować, wypędzić z armji, zakrywali go swoim autorytetem, pułkownik Rentter, gienerał Deimling?"

Odpowiedź ministra wojny była prowokacją. Opowiadał, iż jest to sprawa czysto wojskowa. Że śledztwo nie zostało jeszcze ukończone. Że żołnierze byli winni niedyskrecji i że za to powinni być ukarani. Że parlament nie powinien wtrącać się do spraw, które go nie obchodzą.

Kanclerz dolał jeszcze oliwy do ognia, zasłaniając ministra. Sprawy armji, to prerogatywa cesarza, zastrzeżona przez konstytucję i on jej bronić nie przestanie. Nic parlamentowi do tego. Jeżeli władze wojskowe popełniły w Saverne tę czy inną niewłaściwość, zostaną ukarane. Należy jednak pamiętać, że warunki, w których oficerowie pracują w Alzacji są zgoła osobliwe i to trzeba brać pod uwagę, gdy się sądzi poszczególne czyny.

Odpowiedź Kanclerza wyzwoliła w organizmie parlamentarnym maximum energji rewolucyjnej, na jaką się zdobyć mogło dotychczas ciało prawodawcze niemieckie. Powstał zgiełk nieopisany. Wymyślano kanclerzowi, obrzucano błotem cesarza. Socjaliści wypędzali „won" kanclerza (*Naus*). Gwizdano, jak w Wiedniu na premjerze obstrukcyjnej. Parlament nie dał się zagłuszyć, nie dał się też ułagodzić i olbrzymią większością — wszystkiemi głosami przeciwko głosom skrajnej prawicy oświadczył, iż kanclerz nie posiada więcej zaufania parlamentu. Powtórzyła się tedy scena z r. 1908, kiedy to cesarz miał przyrzec Bülowowi, że będzie oględniejszy w wypowiadaniu się na zewnątrz... Był to pierwszy atak parlamentu do fortecy przywilejów absolutystycznych, zawarunkowanych przez przestarzałą konstytucję pruską, przeobrażoną w roku 1871 w konstytucję Rzeszy Niemieckiej. Listopad 1913 r. był drugim aktem tego oblężenia powszechnego. Kiedyż wreszcie drżeć poczną mury Jerycho, aby zapaść się i otworzyć przed narodem niemieckim perspektywę rządów parlamentarnych, rzeczywiście wolnych, perspektywę bytowania politycznego obywateli a nie poddanych..

Kanclerz został wezwany do cesarza, który jak w roku 1908 polował w Donaueschingen u księcia Fürstenberga (też kandydata na urząd kanclerza). Kanclerz zastał tam namiestnika Alzacji-Lotaryngji i naczelnego gienerała Alzacji Deimlinga. Cesarz ponoć gniewał się na gienerała a namiestnikowi przyrzekł, iż konstytucja nie będzie naruszona. Garnizon Saverny za karę został przeniesiony do obozu w pole (ku niezadowoleniu kupców Saverny!), Forstner ma być wydalony z armji. Te środki mają spółdziałać uspokojeniu namiętności w Alzacji i dać zadośćuczynienie obrażonej godności narodowej alzatczyków.

Drobny ten (na obrazie świata) wypadek posiada morał niemały. Wykazał tym, którzy o tem nie wiedzieli, albo nie słyszeli,—że istnieje samopoczucie narodowe alzackie. Że istnieje opinja alzacka, która nic nie chce słyszeć o wcieleniu się do Niemiec. Że alzatczyk jest człowiekiem wolnym, że chce być sobą, że nie chce być poddanym. Że drwi sobie z władzy wojskowej, z majestatu pikielhauby od Boga nastawionej.

Francais ne puis,
Allemand ne daigne,
Alsacien suis.

Tak trawestując zawołanie herbowe Rohanów, mówią o sobie alzatczycy.

Na to wskazując, odchodzimy od właściwego tematu artykułu niniejszego. Mieliśmy opowiedzieć *co się stało w Saverne?* a widzimy, że zaczynamy mówić o tem, co się dzieje w Alzacji, co to są alzatczycy, jak im się dzieje, jaka ich psychologja. O tem wszystkiem można mówić wiele. Są to bardzo, w szczególności dla nas, bardzo ciekawe sprawy. Ale tu chodzi o Saverne. Owóż są drobne napozór wypadki, w których jak w kropli rosy odźwierciadla zda się świat cały złożonych stosunków. Złożony jest świat alzacki. Wpływy niemieckie, francuskie, samoistność alzacka; niewola; sympatje, antypatje; zaborca niemiecki głupi i bezczelny;

tu wszystkie wpływy, niby linje, przecinają się wzajem w tym punkciku drobnym jak plwocina muchy, który nazywa się lejtenant von Forstner. Świat olbrzymi stosunków, sprzeczności, walki, który ten punkcik otacza niby wielka bryła mgławicowa. Na tej mgławicy błyszczy jako jądro żywe i skończone: pragnienie wolności.

Stanisław Posner.

Ciernie drogi kobiecej.

Nie zaścielały jej nigdy same kwiaty, nawet gdy niewiasta szła biernie wąskiemi skrętami ścieżki, którą wyginał lub prostował, gwoli swym chęciom, pan stworzenia. Co przeżywały pierwsze bojowniczki o drogi szersze i niezależniejsze—to, w pewnej mierze, ogółowi jest już wiadomo, jakkolwiek za wiele kobiet zniosło w milczeniu, i trudy, i nędzę, i szyderstwo, i potwarz ścigające je w mozolnej orce godniejszych niw życiowych.

Zdawałoby się, że dzieje te należą już do przeszłości... Nie, raz poraz wypływa fakt jakiś, przystojniej może odziany od dawnych brutalnych antyfeministycznych wybryków, ale w treści swej zacofany i dziki. O taki chodzi w niniejszej notatce.

Ciekawi roli kobiety w ruchu naukowym, spotkali się pewnie z nazwiskiem Anny Croiset van der Kop, holenderki rodem, slawistki z wykształcenia, rozmiłowanej w przedmiocie swych studjów, łączącej erudycję z gorącem odczuciem i szerokiem rozumieniem wszystkiego, co w tej ulubionej słowjańszczyźnie cierpi lub krzywdzi, błądzi, walczy lub się odradza.

Już rozprawa doktorska p. Croiset van der Kop w uniwersytecie Berlińskim, obroniona 27 lipca 1907 r., zwróciła na nią uwagę slawistów.

Tytuł jej brzmi nie obco dla ucha polskiego: „De Morte Prologus“ — pierwsza z szeregu prac, zamierzonych przez autorkę, a objętych ogólną rubryką „Altrussische Uebersetzungen aus dem Polnischen“. Odtąd P. Croiset v. der Kop, studjuje stare zabytki piśmiennictwa polskiego i rosyjskiego, nietylko po bibljotekach i archiwach stolic. Umie ona dotrzeć do księgozbiorów prywatnych, domów pańskich polskich i rosyjskich, a nawet do niedostępnych prawie, zwłaszcza dla kobiety, foljałów drzemiących po zakątkach monasterów Cesarstwa lub akademji duchownych.

Widziały ją także przelotnie, bibljoteki wileńskie, do których ma jeszcze wrócić do ulubionych staropolskich druków i rękopisów. Owocem tych badań były prace drukowane w czasopismach polskich, niemieckich, holenderskich i rosyjskich: jak Pamiętnik Literacki, Archiw für slavische philologie, Żurnał minist. narodn. prosw., Izwiestja otdzielenja russkago jazyka i słowiestnosti i t. d., od 1909—1913 roku.

Z naszych zabytków, panna Croiset wydała z rękopisów petersburskiej bibljoteki publicznej „Dawne Pieśni Polskie“ („Pokłosie z rękopisów petersburskich“, Pamiętnik Literacki, 1913). Po niemiecku wyszedł komentarz do pracy bibljograficznej Józefa Korzeniowskiego „Zapiski z Rękopisów Cesarskiej Bibljoteki publicznej w Petersburgu i innych bibljotek petersburskich“, oraz pracowite dopełnienie tego dzieła. (Archiv fur slavische Philologie, 1913). Towarzystwo „Lubitielej drewniej piśmiennosti“ drukuje obecnie przekład p. Croiset „Postępku prawa Czartowskiego“, zabytku polskiego z XVII w. wystudjowanego z 14 rękopisów. Poszukiwania tyczące się dzieła „Czwartak“ już są na ukończeniu. Prócz tego, uczona holenderka posiada mozolnie zgromadzone cenne materjały do studjów naukowych nad innemi zabytkami piśmiennictwa naszego z XVI i XVII w., jako też nad jego stosunkiem do ówczesnej twórczości dalszej braci słowiańskiej.

Uczeni nasi: Prof. Brückner z Berlina i St. Ptaszycki z Petersburga; Prof. V. Jagicz z Wiednia; slawiści rosyjscy: F. Fortunatow i Szachmatow, ocenili wybitne zdolności p. Croiset, nie szczędząc zachęty, ułatwiając dostęp do źródeł.

Obok czysto erudycyjnej pracy, gorąca slawistka, przeprowadziła agitację śród fakultetów swego kraju, by uznały pożyteczność katedry słowiańskiej w Holandji, a u jej rządu, by takową odpowiednio uposażył. Wertować foljały nad Bałtykiem lub Wołgą, na Litwie lub Ukrainie, przerzucać się nad Atlantyk, docierać do profesorów, ministrów, królowej—to przeżyć trudy i niepokoje, dla nowożytnych nerwów — nieznośne.

Opłaciły się jednak. Katedra filologji słowiańskiej w Leydzie została zatwierdzona w lipcu 1913 r. Nikt ze znających stosunki, a zwłaszcza uczeni slawiści, nie wątpili, że jedynym poważnym kandydatem do tej katedry jest p. Croiset van der Kop. Nie wątpił i sam fakultet. O spółzawodnika dla osoby znającej i sam rozległy przedmiot i ludy, na których żywocie kulturalnym i duchowym ta nauka urosła—było trudno. Ale przyjąć w swe szeregi kobietę?.. To musiało być nad siły pewnych wpływowych w fakultecie Leydejskim konserwatystów,

I stała się w mądrej Holandji rzecz niepospolicie niemądra: zredukowano katedrę słowiańską do czegoś ułamkowego. Stworzono katedrę balto-słowiańską i oddano ją komuś, oczywiście mężczyźnie, może kompetentnemu w tym „balcie“, ale w nauce, slawistom nieznanemu.

Na nieużyteczność takiej placówki naukowej, oraz na cały przebieg sprawy nowej katedry Leydejskiej, rzuca najlepsze światło artykuł prof. Aleksandra Brücknera, którego zasług dla piśmiennictwa polskiego przypominać chyba nie trzeba, a o którego kompetencji w odnośnej gałęzi wiedzy, dwu zdań niema. Artykuł p. t. „Der neue Lehrstuhl für Slavistik an der universität Leiden“, wyszedł w miesięczniku holenderskim „Stemmen des Tyds“ (Głosy czasu) i wnet był przedrukowany w wielu dziennikach tamecznych. Ma się też ukazać w przyszłym N-rze „Archiv für slavische Philologie“. Że tej miary uczony nie lekceważy kobiety, to pocieszający dowód, że nie wszyscy profesorowie mężczyźni będą woleli zepsuć samą arenę, byle na niej nie pracowała kobieta.

Otwarcie nowej katedry odbyło się 8 października, orędziem inauguracyjnem p. t. „Zadania balto-słowiańskie“, przedstawiającem się dość mętnie. Ten pierwszy występ nie odsłonił też programu ani dał oczekiwanego zestawienia języków bałtyckich ze słowiańskiemi. Pytanie, czy tak one, jak słuchacze odniosą jakie korzyści z placówki wykołatanej przez dzielną kobietę, pozostaje otwarte.

Tymczasem P. Croiset van der Kop wychyla gorzki kielich rozczarowania od własnych rodaków, których miała za kwiat postępu. Ale zbyt ukochała wiedzę, by w niej nie znalazła ukojenia.

Obecnie została wydelegowana przez Petersburską Akademję Nauk, do Holandji, dla badań archiwalnych. Znalazła już w Leydzie, Utrechcie i Amsterdamie rękopisy słowiańskie, między innemi — polskie. Z ciekawszych dokona zdjęć fotograficznych.

Nie pierwszy to przykład wytrwałości kobiecej w pracy żmudnej, a naukowej. Nie mówiąc już o europejskiej sławy p. Curie-Skłodowskiej, i Wilno może się poszczycić głośnemi nazwiskami kobiecemi. Wdzięczni bylibyśmy kompetentnemu sprawozdawcy, któryby nas zapoznał z pismami np. p. Zofji Grużewskiej, pracującej od lat kilkunastu w Laboratorjum Fizjologicznem Sorbony w Paryżu. Jej rozprawki i sprawozdania z dziedziny doświadczeń chemicznych, ukazywały się w odnośnych pismach francuskich, niemieckich i „Chemiku Polskim".

Że muszą być rzeczywiście wartościowe—świadczy fakt, że kilkakrotnie już je odznaczono nagrodami i zaszczytnemi wzmiankami w naukowej prasie francuskiej. Pisząca te słowa widziała własnoręczny list pewnego francuza, uznający p. Grużewską za powagę „pierwszorzędną" w tej gałęzi chemji.

T. Zakrzewska.

Krok naprzód.

Traf zrządził, że wierszem najlepszym z.... dwustu kilkudziesięciu utworów poetyckich „o Poniatowskim" nadesłanych na konkurs „Tygodnika Ilustrowanego" był wiersz młodego poety, p. Zdzisława Kleszczyńskiego, autora wydanego w Wilnie miesięcy temu kilka, zbioru poezji p. t. „Pogrzeb lalki", a do niedawna jeszcze zasilającego sprawozdaniami teatralnemi „Przegląd Wileński". Ta prezentacja, mniemam, wystarczy—„po tamtej stronie Wisły". Po tej stronie Wisły, to jest, tu, w Warszawie, gdy pisma poranne rozniosły wiadomość o otrzymaniu przez Zdzisława Kleszczyńskiego pierwszej nagrody konkursowej, ten i ów, popijając kawę, stwierdził apodyktycznie:

— Aha!.. Nowy poeta.

I jął pochłaniać niewiedzieć już które z rzędu sprawozdanie—z procesu Ronikiera.

Znacznie zaś mniej jeszcze niż przyznanie konkursowej nagrody „nieznanemu" poecie podziałała na wrażliwość Warszawy—erupcja iście wulkaniczna aż dwustu kilkudziesięciu wierszy poświęconych — na obstalunek! — księciu Józefowi z racji... obchodzenia akurat w roku bieżącym stuletniego jubileuszu tragicznego zgonu bohaterskiego wodza.

O warszawska pasjo aktualności! O warszawskie ty, bezpamiętne jubileuszowanie!

Mniejsza jednak o specyficznie warszawskie „światopoglądy" i nastroje. Dobrze się stało, że połączone z odpowiednim rozgłosem (wizerunek „laureata" w ilustracjach biograficzne „dane" i t. p) otrzymanie pierwszej nagrody konkursowej utoruje drogę do naszego publicznego *forum*, to znaczy do czasopism naszych: *prawdziwemu talentowi*. Najtrudniej u nas—dostać się na arenę. Patent „laureata" otworzył ją p. Kleszczyńskiemu. Nic mu już teraz nie staje na przeszkodzie dla zajęcia w piśmiennictwie rodzimem choćby najwybitniejszego stanowiska....

A mamy do czynienia nietylko z prawdziwym, rzeczywistym talentem poetyckim, wyraźnie zarekomendowanym już w zbiorze „Pogrzeb lalki"; mamy do czynienia z oryginalną — do znacznego stopnia — fakturą tego talentu. Na czem ona polega? Wyrażę się może... wyszukanie, ale nie znajduję dosadniejszego określenia. W chwili obecnej uważałbym p. Kleszczyńskiego za przedstawiciela *puccinizmu* w poezji naszej. Jak maestro Giacomo Puccini nigdy nie wyczerpuje do dna melodji, frazesu muzycznego lub motywu, podobnie p. Kleszczyński kładzie jedne przy drugich jakby (barwne i migotliwe!) tylko strzępki, urywki idejowych, uczuciowych lub artystycznych motywów. Powstaje stąd często wiersz mieniący się prześlicznie, jednak zwichrzony, stargany, w który dobrze wsłuchać się lub wczytać trzeba, aby pochwycić.... o co chodzi. A często-gęsto nic nie pomoże najgorliwsze wczytywanie się; nie pochwycić.... o co poecie chodziło!

Powtórnym rysem oryginalnym poezji autora „Pogrzebu lalki" jest pewna — (znowu może wypadnie użyć nieoczekiwanego wyrazu)—„kabaretowość" faktury nawet tych utworów, które traktować kabaretowo nie wiele komu przyszłoby do głowy. Kabaretowo w rozumieniu: *à la* Willete, *à la* Xanrof, *à la* Jouy (autor słynnej piosenki „La veuve") *à la* Mac-Nab, Xavier Privas i t. d. jak się tam wszyscy dostojniejsi luminarze paryskiego Montmartre'u nazywali i nazywają. Prościutko przecie rodem z Montmartre'u jest np. „Szal Kolombiny".

Po trzecie. Na ogólnem u nas tle „słowacczyzny", do dziś dnia nadającej ton przeważnie poezji polskiej spółczesnej, wcale oryginalnie odcinają się pokrewieństwa poezji Kleszczyńskiego z ultra-modernizmem francuskich liryków, różnych Merrill'ów i Mikhael'ow.

Czy dziw, że wiersz z godłem Gryf skoczył od razu do oczu sędziom konkursowym? Wyobraźmy sobie wiersz „o Księciu Józefie" zabarwiony, nawet wcale silnie, tonami i wizjami *à la* Willete, zaprawiony *puccinizmem*, o fakturze przypominającej żywo w niejednym zwrocie poetycki modernizm francuski. Prawda, że mistrz Willete potrafi malować z równą głębią gryzącego sentymentu pieroty, kolombiny i... napoleońskich wiarusów; ale nasza cała literacka tradycja o Poniatowskim łącznie ze świeżej daty utworami o nim np. największego księciojózefisty, Or-Ot'a płynie wciąż i płynie korytem wygodnej elegijności... „Śpiewów historycznych". Owóż wiersz konkursowy Kleszczyńskiego ma — po za kilku wyśmienitemi obrazami błyskawicznemi—niepospolity wdzięk zawadjackowyzywającej *nowości*. Ktoś wyraził się: „Ma—męskość!" Złudzenie. Wiersz nie ma: ślamazarności i szablonowego patosu; tylko tyle.

Jest też w stosunku do „Pogrzebu lalki" niepospolicie sporym krokiem—naprzód.

Gdyż myliłby się, ktoby sądził, że *już* w „Pogrzebie lalki" tkwił „wielki poeta" o którym tylko nie wiedziano, że istnieje, lub nie poznano się na nim, dopóki nie zagrzmiały fanfary warszaw-

skiego konkursu. Tak nie jest. Jest nawet w zbiorze „Pogrzeb lalki“ rys wręcz zatrważający, zważywszy na to, że ów zbiór poezji był debiutem. Jest: *style precieux*, styl wyszukany, do tego stopnia uciekający od „pospolitości“, że aż nastroszony gęsto zwrotami o bardzo wątpliwym — smaku. P. Kleszczyński wręcz jakby bał się mówić jasno i wyraźnie, aby strzeż Boże, nie sciągnąć na siebie pozorów: banalności. Stąd tu i owdzie, po całym zbiorze, utwory nieszczere (przynajmniej takie wywierające wrażenie), przekunsztowione, widać jak kokieteryjnie muskane, i od tego cackania i przetasowywania wyrazów albo w całości niezrozumiałe, nieuchwytne, albo rozpływające się w jakąś *pointe*'ę piekielnie zawiłą. Np. wiersz „Dziecko“. Co ma znaczyć zakończenie: „w kwiecie ma swą duszę—dziecko!“? Albo zakończenie wierszu „Moc“; mówię o najostatniejszym czterowierszu. Albo ostatnia strofa — całego zbioru: „Rozjaśniony złożysz sam do snu głowę wypoczętą... prawda twa nie weźmie ram, jeno prosty tytuł: Święto“. A *nb.* ów wiersz zamykający „Pogrzeb lalki“ jest już wyzwolony do wysokiego stopnia z rozmyślnego gonienia za—niepospolitością. Położyłbym też nacisk na *nieścisłość* wyrażania się, czyli na „puszczanie“ pewnych niedbalstw właśnie rażących pod piórem, jak widać, bardzo dbałem o nieskazitelną formę, i o efekty stylowe. Tak np. nie upija się nikt „Pommery“ ale chyba Pommerym lub „winem Pomerry“; „muszki“ na twarzy markizy nie mogą mieć żadnego podobieństwa do „pączków jej piersi“, gdyż historycznej pamięci *mouches* były — czarne; dla czego w wierszu „Z motywów greckich“ księżyc się „rozżalił“? Albo w wierszu „Jesienią“ stała się istna stylowa katastrofa w trzech ostatnich wierszach... Przepraszam za—pedantyzm, ale muszę jednak zwrócić uwagę na wiersz „Pytały się usta czerwone ust“. Okazowym jest dla nieoględności, z jaką młody poeta podaje za rzecz głęboką rzecz od przesubtelnienia tak pajęczynową, że jej prawie... niewidać.

I rytm szwankuje często. Chwilami chciałoby się mniemać, że p. Kleszczyński rozmyślnie dodaje wierszowi swemu chropowatości, aby nie był zbyt... banalnie gładki! (Np. „Da mi na pożegnanie łzę przeczystą“ w wierszu „Moc“; „Tym szalem udusiła Kolombina“; ciągła zmiana rytmu w pierwszej strofie wiersza „Le régret“; brak wszelkiego rytmu od „gdzieby mój ból...“ do „pływaków“ w wierszu „Czarne łabędzie“ i t. p.).

Powie kto może: Drobiazgi! — Niestety, nie drobiazgi. Poezja bez doskonałej formy może sobie najspokojniej—nie istnieć. A w zakres formy wchodzi nietylko użycie danego wyrazu, ale i położenie go na tem lub na owem miejscu; nietylko tok rytmu, ale i—interpunktacja.

Jeżeli zaś tak na pozór pedantycznie „tropię“ po „Pogrzebie lalki“ wszelką chwiejność formy, to dlatego, aby—o ile to w mej mocy—dodać młodemu *talentowi* (podkreślam) bodźca do jeszcze pilniejszego i skrupulatniejszego zwracania uwagi na artystyczną nieskazitelność formy. Do hamowania skłonności ku stylowi *précieux*, ku wyszukanej groteskowatości, ku przysłanianiu karkołomnemi skrótami rozczochranego wiersza istotnej banalności... treści, ku kabaretowym nonszalancjom a chociażby tylko—pozom.

Nie potrzebuje lękać się jasnego wyrażenia rzeczywistego polotu, nie potrzebuje szukać... południa o czternastej godzinie, komu wyszły z pod pióra np. „Fryne“ lub „Zanim mi lotny wiatr pochwyci żagle“ (Drugi wiersz brzmiał by lepiej: „Nim się ze znanym i t. d.“) lub prawie cały drugi fragment „Wnętrz“ lub... Ale raczcie posłuchać sami:

Niewiem, jak przyszła—o której godzinie
dnia—czyli w nocy—a może nie w czasie?
Bywa tak czasem, że na białym pasie
księżyca—cicho—ktoś srebrny przepłynie...

Przyszła. Nie znałem jej. Może łabędzie
z bajki—przyniosły mi królewnę śpiącą?
W uśmiechu rzekła mi prawdę tęskniącą,
że była zawsze—i że zawsze będzie.

Dała mi ręce obie—półwyrazem
zwrócona do mnie, cudowna i słodka...
bywa, iż dwoje ludzi się napotka
i—już bez słowa—pójdzie dalej razem.

Takeśmy poszli cisi, zamyśleni,
wsłuchani w siebie i w marzenia nasze,
w czas, kiedy świata opalową czaszę
rzeźbiły ręce pogodnej jesieni.

....Żegnam się z tobą, Lalko, żegnam idąc dalej po męską siłę i męską pogodę, która przyjdzie —wiem!

Tak pisał sam autor poezji, o których mowa. I my... pogrzebmy lalkę! Męska siła i męska pogoda—przyszły. W wierszu o księciu Józefie.

P. Kleszczyński ma prawo pędzić naprzód — nie oglądając się za siebie. To oglądanie się przyjdzie... kiedyś tam... kiedyś... Dziś naprzód! Nie pisząc „w regiestr“ tego, z czego się otrzęsło, co samo rozwiało się i znikło. Jak, nie wolna od fanfaronady, — *poza* młodociana.

A niechby jeszcze słońce dało istotnie „znać którędy płynie jaśń świetlista!...“ Ach, mój Boże! Cóż za czarodziej, cóż za dobroczyńca — słońce! Komuż by na ziemskim padole nie życzyć—słońca!

Jeno, broń Boże, nie w intencji dawania rzeczywistemu poecie: rad co i jak pisać powinien, czyniąc mu wymówki *sub rosa*, że taką a nie inną... posiada organizację duchową! *Es ist bestimmt in Gottes Rath*, z góry już jest przesądzone w niezbadanych wyrokach: kto będzie pisał *á la* Horacy, kto *à la* Wiktor Hugo, a kto przenajbliższego pokrewieństwa z Hejnem ani rusz nie będzie mógł wyzbyć się, — choćby padli przed nimi na klęczki, błagając i zaklinając... krytycy całego świata.

Tak już jest.

Rezonans krytyki wobec dzieła sztuki ma dwa bieguny, a mianowicie: To piękne — to niepiękne! Ustaliwszy zaś jak się rzecz z tem ma, zabiera się krytyka do wielkiej, wielkiej księgi i w „Dziejach literatury“ zapisuje na „odpowiedniem“ miejscu dane imię. *Ad aeternam memoriam.*

Dla autora „Pogrzebu lalki“ oraz wierszu o Poniatowskim już się miejsce robi w owej księdze.

Czesław Jankowski.

Warszawa.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Wyspa.

Tak płynąc z biegiem fal, wyspę ujrzałem:
Jak gniazdo wiosny wstała z rzecznej piany,
Błyszcząc skał bielą i kaskad kryształem,
Szczyt jej kwiatami ku słońcu podany
Nęcił wśród nurtu wieczystych niesnasek,
Bluszcze obwiły jej srebrzyste łono,
U stóp jej pełza złotym wężem piasek,
A w koło błękit i przepaście zioną.

Tak dziewczę z konchy pian wynika wdziękiem,
Zebrawszy swiatło z fal jak złote rybki;
Włosy ją wężów obwinęły pękiem,
W przeguby złote biorąc kształt jei gibki,
Ramion i piersi lubieżne wygięcia
Rzeźbią się w słońca płomiennym uśmiechu;
W oczach dziecinnych słodycz wniebowzięcia,
A usta drgają pożądaniem grzechu.

Dokoła sceny

Poruszano kiedyś na łamach „Przeglądu" kwestję wpływu widowisk „Lutni" na frekwencję publiczności wileńskiej w teatrze polskim. Recenzent słusznie zauważył, że „Lutnia" w żadnym razie, wbrew twierdzeniom niektórych sceptyków, nie wytwarza konkurencji teatrowi, nie odciąga od niego publiczności. Przeciwnie, utrzymywał, że „Lutnia", budząc zamiłowanie śród średniej a licznej sfery półinteligiencji naszego miasta do widowisk scenicznych, oddać jeno może usługę teatrowi.

I dziś przypuszczać możemy, że jest tak a nie inaczej, że przeciętny widz „Lutni", nie ten, który tam uczęszcza po to, by zobaczyć jak gra jego siostra, córka, narzeczona, czy choćby znajoma i rzadko przez kurtuazję a przeważnie w zupełnie dobrej wierze „kreacje" jej oklaskiwać — lecz ten, który rzeczywiście ciekawy jest fabuły sztuki i idzie tam gwoli rozrywki, że takiemu widzowi po pewnym czasie widowiska „Lutni" nie będą wystarczały i zapragnie on z większą prawdą oddanej gry, subtelniejszych złudzeń wzroku i słuchu, lepszej wystawy, piękniejszych kostjumów — jednem słowem tego, co dać może jedynie prawdziwy teatr.

I fakty zdawały się to potwierdzać. Tygodniowe widowiska „Lutni" bywały przepełnione — lecz i „działówka" grająca wówczas w cyrku nie miała powodu uskarżać się na brak słuchaczów. Widywaliśmy przedstawienia tłumne, mniej liczne — pustek nigdy. Tanie, trzydziesto i czterdziesto kopiejkowe miejsca prawie stale bywały wyprzedane.

Dlaczego dzisiaj powiedzieć nie można tego samego? Wszakże „Lutnia" pod względem poziomu artystycznego swoich przedstawień na jotę się nie podniosła. Ta sama obsada, takie samo wykonanie, te same dekoracje. Z drugiej zaś strony teatr mamy zbudowany według wymagań techniki spółczesnej, repertuar nie lepszy, ale i nie gorszy niż w roku ubiegłym, trupę (poza Knake-Zawadzkim i Arkawinówną) nie lepszą i nie gorszą od zeszłorocznej, a dyrektorem teatru, człowieka, który jako dziennikarz i literat daje chyba jaknajlepsze rękojmie... Premjery pełne, drugie przedstawienie... przewiewne, trzecie — puste.

Więc — dlaczego?

. . . .

— Czy panna Naścia często bywa w teatrze?

— Na tanie przedstawienia popołudniu w niedzielę to chodzę, bo za 40 kop. wszystko widać w pierwszym rzędzie amfiteatru.

Raz byłam przyszedłszy codziennego dnia na galerję, ceny „byli" zwyczajne — to za te same pieniądze na galerji nic nie widziałam. Stać trzeba, a godzin parę stać — nie chce się.

. . . .

— Panie Piotrze, słysz pan, co wojewodzic teraz powiedział? a?

-- Kiedy nie słyszę choć trąbkę z dłoni przy uchu zrobił...

— Do kogo starościanka teraz mówi a? kto tam wszedł?

— Kiedy kurtyna zasłania... mężczyzna jakiś... widzę buty i spodnie...

— O, a teraz głowę tylko widać ufryzowaną, balkon znów zakrywa...

— Nie widać, nie słychać... Et panie chodźmy do „Bronisławy". Tam grają „Klucze szczęścia"...

. . . .

— Była pani na „Wąsach i Peruce"?

— Nie.

— Ależ pani dobrodziejko, sztuka piękna, patrjotyczna, Korzeniewskiego poznać godzi się! Piękne kostjumy, pięknie grają. Bardzo milutka Kopczewska a Lenartowicz, jako francuski fryzjer-dostawca! Uśmiejesz się pani dobrodziejka z niego do łez.

— Aj panie, ja wiem, ale piąć na tę górę tak nie chce się... Nie zawsze dorożkę dostać można a za każdym razem to także koszt... Zwoszczyk mniej trzydziestu kop. nie weźmie, jeszcze i za to nagrubjani.

. . . .

— Kiedy, moja droga, niema muzyki w antraktach... Ja tak nie lubię! Żeby choć kwartet, zarazby było weselej. Smutno i ciemno, tylko ten nieznośny ekran z wieczną ohydną „Noblessą" z Szumańskim, Januszewiczem, Kauiczem. Ach daj mi pokój, to mi działa na nerwy!

. . . .

Moja pani. W cyrku nie tak trzeba było ubierać się. Tu zawsze teatr prawdziwy, to też i strojów większych wymaga, trudno... A ze strojami, jak to pani wie: to na teatr za paradne — to za skromne... Ot czysta bieda.

. . . .

Ja, panie dobrodzieju jestem demokrata, lubię patrzeć na publiczność z galerji. Tam w cyrku

wszystko widziałem jak na dłoni panie dobrodzieju, i tych za przegrodą takoż. A tu, panie dobrodzieju, głowę zadzieram z krzeseł i nikogo nie widzę. Nawet ładnych kobiet w lożach dojrzeć nie sposób. Byłem panie dobrodzieju dwa razy i dosyć.

. . . .

— Ja wiem panie, że to nic wspólnego nie ma z teatrem w duchowem jego znaczeniu, że to absolutnie zależne od warunków technicznych, na które trudno poradzić. Jednak sam pan przyzna, że tam była łączność jakaś między parterem, lożą a amfiteatrem — tu zaś jej niema. A to wpływa ogromnie na nastrój widowni ożywiony, lub ponury. Tu parter jest jakimś sezamem zamkniętym dla balkonu i lóż i naodwrót; amfiteatr jest czemś zupełnie odległem i prawie mitycznem. Jakaś jakby klasyfikacja... brak kontaktu... No nieprawdaż?...

. . . .

Dlaczego?

Może w tych urywkach podsłuchanych rozmów znajdziemy odpowiedź.

. . . .

Dyrekcja dała nam w każdym razie piękną wystawę sztuk w dwu ubiegłych tygodniach. Palma pierwszeństwa pod tym względem należy się „Romantycznym“, Rostanda (wznowienie). Tę pełną jasnych, słonecznych refleksów perełkę w twórczości francuskiego dramaturga, podano w ładnej rokokowej oprawie, bardzo stylowej.

Piękne pod względem perspektywicznym i kolorystycznym dekoracje przynoszą zaszczyt p. Klopferowi. Ślicznym po podniesieniu kurtyny był obrazek dwojga młodych, przytulonych do siebie na historycznym murze. Wydawali się jakąś filigranową, bajeczną figurynką z serwskiej porcelany. Właściwy p. Czechowskiej wdzięk słowa i giestu podkreślał jeszcze to złudzenie. P. Skąpski, abstrahując niezbędny zapał i werwę młodzieńczyka, posiadał jednak w sylwetce Percineta za mało z pudru i szminki osiemnastego wieku, za mało miękości linii, w swem façon d' être, co wytwarzało pewną kanciastość postaci tego przemiłego chłopca. Przytem ta dykcja nieopanowana, pozwalająca słyszeć głos... ale bez słów. Doskonałe typy dwuch ojców stworzyli p. Neubelt zawsze wykwintny w sposobie ujęcia roli i dzielny jego partner, inteligientny aktor p. Dębowicz.

„Miłość i Szpada“, komedja niemieckiego pióra, operującego dość szczęśliwie śród francuzkiego towarzystwa, mającego jednak pewne cechy niemieckiej nudy i ociężałości dała nam garść wesołych wrażeń, okraszonych łezką niezbędnego u niemca sentymentu. P.p. Mostowska, Bończa, Rommówna, p.p. Bryliński i Neubelt tworzyli tu zespół miły i harmonijny. Sensacją dla widowni była funkcjonująca na pokładzie yachtu „prawdziwa“ winda.

Wyprowadzone na scenę ciężkie działo Hauptmana „Święto pokoju“, z miażdżącym swą powagą tytułem i treścią denerwującą, Bogu ducha winnego widza, zmuszonego w ciągu czterech długich aktów przebywać śród tak nieprzyjemnych ludzi — było mniej szczęśliwym pomysłem. Prawdopodobnie należy do savoir vivre u każdej szanującej się sceny dawać od czasu do czasu sztukę Hauptmana. Ta jest jedną ze słabszych i nudniejszych niemieckiego poety i może dlatego ludzie tak często mylą się mówiąc: „Święto pokoju“ Sudermana — przypomina bowiem jedną z ciężkich Sudermanowskich szkap. Teza: źle dobrane stadło którego rezultat: liczna rodzina przypominająca przeraźliwie rozstrojoną orkiestrę.

Pierwsze skrzypce w tej kakofonji trzymają p. Bartoszewska, bajeczna w swej naiwności i pospolitości doktorowa, p. Dąbrowski świetny typ alkoholika, p. Żmijewska bez zarzutu w roli zgryźliwej starej panny i p. Orliński zawsze zrastający się nerwami z odtwarzaną postacią.

P. Biernacki (Wilhelm) wyobrażał sobie może, że jest synem, zdolnym pod wpływem oburzenia, znieważyć czynnie rodzonego ojca, lub młodzieńcem zdolnym rozkochać w sobie śliczną i dobrą Idę (p. Czechowska). Widz co prawda tego złudzenia nie miał.

Na zakończenie wspomnę o „Wąsach i Peruce“ miłej kontuszowej komedji Korzeniowskiego, która barwnością i stylowością strojów, staropolskim humorem, oraz szlachetną tendencją wzbudzała na widowni gromkie oklaski.

Quidam.

Zbożne życzenia.

W dniu 3 listopada r. b. p. Ignacy Sokołowski wygłosił na zebraniu ogólnem członków Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego odczyt *„w sprawie rewizji traktatu handlowego z Niemcami“.*

Odczyt ten został wydrukowany w № 47 „Tygodnika Rolniczego“ i w ten sposób doszedł do wiadomości szerszej publiczności.

Na wstępie autor odczytu kategorycznie zaznacza, iż uznaje „antagonizmy“ społeczne i „walkę między dwoma (sic!) grupami społecznemi, a mianowicie: między rolnikami i warstwami ludności, zainteresowanemi w rozwoju przemysłu“.

Sprawa postawiona jasno i szczerze — walka klasowa między wieśniakami i mieszczuchami.

Wezwanie brzmi: rolnicy wszystkich narodowości państwa rosyjskiego łączcie się, — bo interesy wasze są identyczne. Łączcie się nie na gruncie potrzeb kraju swego, lecz na gruncie interesów „agrarjuszów czystej wody“ państwa całego.

Mamy więc tu solidarność klasową bez względu na różnice narodowościowe, wyznaniowe i wogóle kulturalne.

Ideałem autora są rolnicy niemieccy, którzy potrafili zdobyć decydujący wpływ na życie państwowe.

Wzór do naśladowania wskazany — należy stworzyć za przykładem niemieckim partję „agrarjuszów“, wprowadzić partję tę do ciał prawodawczych, partja zaś, opierając się na masie wyborczej, stanowiącej 86 procent. ludności, da już sobie radę ze wszystkiem i wszystkiemi.

Agrarjusze niemieccy, jak wiadomo, występują w Reichstagu jako *partja konserwatywna.* Jądro partji tej tworzą „junkrowie“ pruscy, żyjący ideałami czasów feudalnych. Są to, mówiąc wyraźnie, ludzie tego samego pokroju, których u nas nazywają żubrami—jaskrawi przeciwnicy głosowania powszechnego, wstecznicy, brutalni zwolennicy

pięści! Nie wszyscy też rolnicy w Niemczech, jakby wywnioskować można z odczytu autora, należą do stronnictwa konserwatywnego. Bynajmniej! Nie mówiąc już o rolnikach—polakach, którzy mimo wspólności interesów ekonomicznych, stanowią odrębną grupę niezależną, stwierdzić należy, iż rolnicy-katolicy przeważnie należą do *centrum*. Partja agrarjuszów liczy obecnie zaledwie 42 członków na ogólną liczbę 397 posłów, i znaczenie swe zawdzięcza wyłącznie wpływom, które posiada w t. zw. „sferach".

Widzimy więc, iż autor odczytu niepotrzebnie jeździł aż zagranicę po wzory. Nasi agrarjusze czystej wody, tym razem bez cudzysłowa, to znaczy—obszarnicy i więksi posiadacze rolni mają dzięki ustawie z d. 3 czerwca r. 1907 aż nazbyt uprzywilejowane przedstawicielstwo w Izbie państwowej, z krzywdą oczywiście, agrarjuszów nieczystej wody t. j. włościaństwa.

Prawda, drobny rolnik może mieć czasami interes wspólny z obszarnikiem, ale twierdzić, jak to czyni autor, że rolnicy, t. j. większość państwa Rosyjskiego *wszędzie i zawsze* muszą występować jedynie na podstawie interesów ekonomicznych... jest conajmniej dziwnem i nieuzasadnionem.

Jakiż to, naprzykład, wspólny interes ekonomiczny łączy właściciela obszarnika, posiadającego gospodarstwo leśne, z otaczającą wioską, która las kradnie? Jakież to porozumienie i kiedy nastąpi między posiadaczem ordynacji i chłopem, odczuwającym głód ziemi, który musi, chcąc nie chcąc, porzucić swój zagon, bo nawet pies ogona na nim nie wyciągnie, i wędrować do obcych krajów, do obozu klasowo wrogiego, do miasta?

Prelegient głosi walkę pomiędzy mieszkańcami miasta a wsi; uznaje antogonizmy społeczne; broni interesów rolnictwa ogólno-państwowego!

Odczyt ma charakter, że się tak wyrazimy, organizacyjno-bojowy. Dwa obozy—miasto i wieś. Ale wieś wszak zna obszarnika, parobka, chłopa; miasto znów zna fabrykanta, robotnika, rzemieślnika Walka trwa pomiędzy obszarnikiem a parobkiem, pomiędzy fabrykantem a robotnikiem. Prelegient—pragnąłby zaś walkę pomiędzy pracą a kapitałem skomplikować jeszcze, przez sztuczne przeciwstawienie wsi — miastom.

Treść odczytu jest wielce pouczającą, aczkolwiek nie w sensie sprawy traktatu handlowego. Autor radzi, by rolnicy nasi występowali zawsze, jako grupa samodzielna i bronili interesów rolnictwa ogólno-państwowego. Doskonale! Błąd prelegienta polega jedynie za tem, iż do grupy żubrów zdecydowanych, dla których ideałem jest junkierstwo pruskie, zalicza autor odczytu aż 86% ludności państwa, które składają się wszak z włościaństwa; agrarjusze zaś „czystej wody" tworzą u nas procent liczebnie znikomy, co nie przeszkadza im, naturalnie, chować do kieszeni renty gruntownej, zupełnie niewspółmiernej z ich liczebnością. Interes *posiadacza* ziemi i *pracownika* na roli jest sprzeczny i nie da się pogodzić nawet wskazaniem rzekomo wspólnego wroga, który mieszka w mieście. Tu, harmonja, tam zaś walka — oto ideał p. Sokołowskiego. Niestety rzeczywistość podrwiwa sobie z pobożnych życzeń domorosłych ekonomistów.

Ad usum Delphini nie należy też urabiać materjału naukowego. Prelegient podaje, że ludność miejska w Niemczech wynosi aż 70 % ogółu ludności, by wskazać, iż w Niemczech mieszkańcy wsi, którzy stanowią zaledwie 30% dają radę skuteczną z 70 procentami mieszczuchów; nasi zaś „agrarjusze czystej wody" w swej olbrzymiej 86-cio procentowej masie mogli by, gdyby zechcieli, doskonale poradzić sobie z nieliczną stosunkowo garstką mieszkańców miast i narzucić im swą przewagę. Statystyka atoli stwierdza, iż w Niemczech faktycznie procent ludności miejskiej wynosi 57,4. procent zaś ludności wiejskiej—42,6...*)

Rozwój przemysłu jest dobrodziejstwem dla kraju i rolnictwa. Polepszenie bytu swego zawdzięczają rolnicy głównie ludności, w przemyśle zatrudnionej, która stale wzrasta. Ceny produktów rolnych rosną, *pomimo ceł ochronnych* we *wszystkich* krajach właśnie dzięki uprzemysłowieniu krajów takich, jak Niemcy, Anglja, Belgja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

„Gospodarstwo wiejskie nie mniej, niż inne części niemieckiego życia gospodarczego, zainteresowane jest w istnieniu i rozwoju dalszym przemysłu niemieckiego. Ludność, w przemyśle zatrudniona, jest wszak rynkiem zbytu dla rolników. Przy pomyślnych i sprzyjających warunkach dla przemysłu produkcja rolna ma zbyt łatwy i ceny wysokie"...

Tak mówi Dr. Wohlmannstädter w książce swej *„Stand und Aussichten unserer Handelspolitik"*, wydanej w tym roku z powodu rewizji traktatu handlowego z państwem Rosyjskim**).

Oto jak się przedstawiają wywody p. Sokołowskiego w świetle krytyki.

Żałować można tylko, że nie spotkały się one z należytą odprawą ze strony zebranych słuchaczów i mają być w dalszym ciągu przedmiotem dyskusji i rozważań, szerząc niepotrzebne bałamuctwo.

Marcin Augustowski.

Beznadziejni.

Artykuł mój p. t. „Za wiele i za mało" wywołał ze strony p. J. Hł. w „Kurjerze Litewskim" odpowiedź, poprzedzoną o parę dni wcześniej, wystąpieniem na łamach tegoż pisma p. Wład. Życkiej.

I kobiece i męskie pióro wysunęły przeciwko moim twierdzeniom ten sam zarzut, mianowicie, że ziemi nie można uważać jedynie za warsztat pracy, lecz, że ziemiaństwo powinno rozbudzić w sobie ukochanie rodzinnego gniazda, przywiązanie do roli, poczucie obowiązku trwania przy ziemi, chociażby kosztem zaparcia się i wykoszlawienia swego „ja".

Nie należy nigdy stawiać wymagań większych nad te, które przeciętna natura ludzka spełnić jest zdolna. Inaczej konkretny nakaz społeczny traci swe znaczenie *realne* i przybiera charakter wskazania *idealnego*, które istnieje jako cel odległy, do którego dążyć należy wprawdzie, lecz które nie odegrywa roli normującej stosunki społeczne.

*) *Prof. Dr. J. Conrad. Grundriss zum Studium etc Statistik. str. 77. Iena 1910.*

**) Cyt. według *„Wiestnika Finansów"* № 44, r. 1913.

Nikomu nie przychodzi do głowy *zwalczać* przywiązania do odziedziczonej po przodkach ziemi. Bardzo pięknie, o ile ktoś je posiada. Słowo drukowane jednak nie wpłynie w żadnym wypadku na jego powstanie lub wzmocnienie. Bowiem żadnego *uczucia* sztucznie wywołać nie sposób. Można jedynie nakazać i wpoić w społeczeństwo *poszanowanie* i *posłuch* dla pewnych postulatów. Zadaniem publicystyki poważnej w naszych warunkach jest surowe przestrzeganie, aby nie wykraczano przeciwko elementarnemu obowiązkowi narodowemu—nie wyzbywania się ziemi czy innych placówek ekonomicznych w ręce obce. Deklamacje na temat „posłannictwa dziejowego“ ziemiaństwa czas już wielki złożyć do archiwum.

Przez lat 40 obowiązywał ziemiaństwo nasze bezwzględny nakaz moralny trzymania się ziemi. Z bardzo małemi wyjątkami, kosztem ogromnych nieraz wysiłków i ofiar, szlachta nasza wytrwała na swem stanowisku. Z chwilą zniesienia ukazu grudniowego skończył się okres nienormalny zastoju i społeczeństwo otrzymało możność ruchu. rozwoju. A dziś znowu rozlegają się nawoływania do powrotu na dawne stanowisko!

Nie trzeba wszakże zapominać, że czterdziestoletnie unieruchomienie wywarło wpływ fatalny nie tylko na stan ekonomiczny kraju, lecz i na psychikę społeczeństwa. Inteligiencja ziemiańska, przykuta do swego kawałka ziemi, borykając się z przeciwnościami, zaprzątnięta troską jedyną o ratówki bankowe,—zobojętniała zupełnie dla spraw ogólnych, publicznych, zamknęła się w ciasnem kółku interesów osobistych, materjalnych, pozostała daleko w tyle w ogólno-narodowym pochodzie kulturalnym. Ziemia pozostała wprawdzie, ale jej właściciele w sporej części utracili wartość czynników dodatnich w życiu społecznem. Kto zna dobrze nasz kraj, ten wie, ile jest w nim dworów, *de nomine* tylko uchodzących za placówki kulturalne!

W jakim więc celu je konserwować? Czy nie lepiej, aby przeszły one w ręce ludzi świeżych, energicznych, którzy wpuszczą więcej słońca do zatęchłej atmosfery?

Niezrozumiała jest obawa moich oponentów przed nowymi nabywcami.

Dlaczego oni właśnie mają być bardziej obojętni względem nakazów społecznych i narodowych, niż dawni właściciele? Sprzedawczykowie mogą się znaleźć w każdej sferze, w każdem środowisku. Żywienie jednak większego zaufania do dziedzicznej szlachty, niż do innych stanów jest co najmniej śmiesznym przeżytkiem.

P. Życka rzuca przytem taki frazes: „ciekawam np., czy który idejowy redaktor pozbyłby się redaktorstwa. gdyby mu wzamian ofiarowano lepiej rentującą... gorzelnię lub fabrykę zapałek?“. Dziwny przykład.

Jeżeli ten, czy ów właściciel ziemski jest przywiązany do swego majątku, kocha swą pracę i jest ze swego losu zadowolony, to czywiście nie będzie myślał o zamianie swych dóbr na kamienicę... Nikt go zresztą do tego nie będzie namawiał. Mowa wszakże o tych, którzy nie czują żadnego powołania do gospodarki i chcą się swego dziedzictwa pozbyć. Czyż syn redaktora musi zostać koniecznie dziennikarzem? A p.p. J. Hł. i W. Życka wymagują koniecznie, aby zamiłowanie do rolnictwa przechodziło z ojca na syna.

Tylko w starożytnych Indjach wszelkie zawody były dziedziczne. Wytwarzało to kastowość, która tamowała rozwój społeczeństwa i doprowadziła do upadku potężne państwo.

Coś podobnego również propaguje w XX-tym wieku „Kurjer Litewski“ i obraża się, że mu chcemy dawać rady! Zaiste bezcelowem jest radzić coś beznadziejnie choremu!

L. A.

PRASA POLSKA.

— Głębokie a nader trafne spostrzeżenie uczynił w jednym z ostatnich numerów „Prawdy“ p. W. Rzymowski, wskazując na chroniczną chorobę, która trapi stale naród polski; na zamiłowanie do złotego środka, na usiłowanie godzenia sprzeczności, robienia zgody za wszelką cenę.

Od tej choroby zmarła Rzeczpospolita.

„Kogóż to nie próbowaliśmy już zjednać? Z kim nie próbowaliśmy się w dziejach powielekroć godzić? Zaszła nam drogę Targowica? Czyż się z nią rozprawiono? Nie! — Kochajmy się! zawołano — i po krótkiem wahaniu wyciągnięto ku Targowiczanom dłonie braterskie, wyciągnięto je, by na nie nałożono dyby.

Od owej chwili, od owej chwili śmiertelnej, ileż razy zastępowała nam drogę, w coraz to innej postaci, Targowica odmładzana, wskrzeszana, uporczywa, jak zmora snu, i — zawsze na jej widok rozstępowała się wola narodu, jak ciało sypkie lub płynne, rozkrojone głazem, i zawsze, po krótkotrwałem wahaniu, rozlegało się z ust, niezłamanych, ale ugiętych nieprzejednańców, niby czkawka agonji, to złowieszczo pogodne, to trupio miłosne:

— Kochajmy się!

„Kochajmy się“ — to znaczy: niema granic, niema różnic żadnych między nami w narodzie. Niema i niechaj nie będzie! Lelewel na jednej ławie niechaj zasiada z Lubeckim! Mochnacki niechaj się pojedna z Wincentym Krasińskim! Ci, którzy idą naprzód, i ci, którzy idą wstecz, niechaj pojednają się ze sobą i zawrą zgodę przez wybór wspólnego miejsca spoczynku, wspólnego zastoju i wspólnej, powszechnej rezygnacji“.

„Ażeby uśmierzyć antagonizm w narodzie, przenosi się antagonizm do duszy jednostek.

Aby usunąć jedno pobojowisko wielkie, tworzy się pobojowiska miljon: tyle ile jest głów myślących“.

To też w dziejach narodu tak rzadko ukazują się bezwzględne postacie—Kołłątajów, natomiast tak często wysuwają się na czoło Hamleci—Chłopiccy. A już najbardziej rozpowszechnionym typem był i pozostał „człowiek poczciwy“.

Bajecznie go charakteryzuje Konopka w „Roku 1794-tym“ Reymonta.

„Człowiek poczciwy to najniebezpieczniejszy z tyranów. Poczciwy człowiek nie przeciwi się niczemu przez poczciwość: bowiem warcholstwo uważa za tężyznę; przemoc i zbrodnię wytłómaczy krewkością; nikczemność—swobodą przekonań; oczywistą zdradę — rozumem in statu. Wszystko taki wyrozumie akuratnie i wszystkiemu poczciwie pobłaży, byle jeno dali mu zażywać spokoju i nie tykali jego przywilejów! Panu Bogu świeczkę, a djabłu ogarek — to jego święte przykazanie.

Po stokroć wolę człowieka twardego, nieużytym, srogim, egoistą i szczerym nieprzyjacielem ludzkości. Przynajmniej wiem z kim sprawa, jak go zmacać po słabiźnie i czego się spodziewać!

Ale „człowiek poczciwy“ to jakbyś miał oko-

liczność z pierzyną; uderz kijem — spęczniеje; strzelisz—kula utonie bez śladu; przejedziesz sztychem—jakbyś szył powietrze!

Uważałeś go przyjacielem, przez poczciwość wyda cię wrogowi, a jeszcze się zgniewa na ciebie, gdy mu wypomnisz, boć on pragnął najlepiej! Człowiek poczciwy czuwa nad wszystkiem, troska się, boleje, rzewnie płacze, lecz niczemu nie zapobieży, bowiem poczciwość wzbrania mu uczynić przykrość choćby oczywistemu zdrajcy! Przekonałeś go do sprawy, zaprzysięgnął postąpić wedle sumienia i powinności—cóż, kiedy w pół godziny potem to samo przyobieca twojemu adwersarzowi. Na wołowej skórze nie spisałby uczynków człowieka poczciwego".

Z tym człowiekiem poczciwym „Prawda" chce stoczyć walkę na śmierć i życie.

„Uczono nas przez pokolenia, że wszelka zgoda lepsza jest od walki; alić odwrócić teraz trzeba tę zasadę, i głośno, i doniośle, i z krańca w kraniec narodu, inne obwołać hasło: Od martwej zgody lepsza jest żywa walka!

Niech żyje walka! Nie lękajmy się, że walką własne osłabimy siły, bo tylko przez walkę siły rosną, bo tylko do walki siły są potrzebne, i tam, gdzie się uśmierza i tłumi walkę, tam się dyskredytuje i obniża wartość siły".

Ale jak walczyć z cieniem, z widmem, z upiorem? Chyba p. Rzymowski zna jakieś zaklęcia tajemnicze, mocą których mary zamienią się w kształty ludzkie, tętniące krwią i obdarzone sprężystemi mięśniami... Boć tylko o brak temperamentu się rozchodzi...

— Młodzież polska, studjująca w wyższych zakładach naukowych w Petersburgu powzięła myśl wydawania własnego organu, w postaci dodatku do „Dziennika Petersburskiego". Ukazały się już trzy numery tego wydawnictwa p. t. „Głos młodych", świadczące o głębokiem uspołecznieniu kierowników pisma i poważnem traktowaniu przez nich swego odpowiedzialnego zadania. Zarzucić jedynie można redakcji, że nie ogranicza swej kompetencji do spraw, wchodzących w zakres jej specjalności i wprowadza na łamy pisma kwestje, mało mające wspólnego z zagadnieniami, bezpośrednio dotyczącemi życia młodzieży.

Tematów zaś z tej ostatniej dziedziny jest—mnóstwo i to wielce doniosłych. Przedewszystkiem kwestja szkolna w Królestwie Polskiem, w której „Głos młodych" ma wyrobione zdanie.

Stwierdzając,

...że szkolnictwo polskie mocno stanęło na nogi i obecnie z roku na rok normalnie rozwija się, gdyż dziś przodująca, rzeczywiście uobywatelona część polskiego społeczeństwa powierza swe dzieci polskim szkołom nie tylko w imię ich polskości, lecz i wobec ich coraz wyższego poziomu pedagogicznego.

„Głos młodych" zwraca jednocześnie uwagę, że

...całe zastępy polskiej młodzieży uczęszczają do szkół rządowych, że do polskich kolonji studenckich w Cesarstwie obecnie z Królestwa napływa prawie wyłącznie i to w coraz większej ilości młodzież z tych ostatnich, a stosunek do nich ogółu staje się kwestją palącą, widzimy również, że do uniwersytetu i politechniki w Warszawie uczęszcza część młodzieży polskiej.

Z drugiej zaś strony, czy to w głośnej uchwale narod,-demokracji, na którą otrzymała ona w sobie p. Dmowskiego nie mniej głośną odpowiedź od młodzieży, czy też w ufundowaniu przez obóz realistów stypendjów imienia ich wodza Ludwika Straszewicza dla studenta polaka i litwina na uniwersytecie i politechnice w Warszawie — grupy oportunistyczne starszego społeczeństwa dały wyraz opinji w kwestji szkolnej.

Redakcja nie uważa za stosowne otwierać łamów swego pisma dla dyskusji w drażliwej kwestji uczęszczania do szkół rządowych w Królestwie, gdyż rzecz prosta z przyczyn zewnętrznych dyskusja miałaby charakter jednostronny. Podaje natomiast projekt inny.

„Zbliżają się ferje świąteczne, podczas których odbywają się zwykle zjazdy różnych obozów ideowych młodzieży polskiej, a na porządku dziennym tych zjazdów postawiona oczywiście będzie i tak ważna sprawa szkolna.

I dlategośmy ją poruszyli. Tam nie skrępowani ubocznemi względami koledzy nasi mają możność szeroko i wszechstronnie omówić tę kwestję, Należałoby nie zadawalniając się ogólnikowem potwierdzeniem dawnych uchwał, określić swój stosunek do zjawisk, które zaszły na gruncie spraw związanych z położeniem szkolnictwa polskiego i rządowego w Króleśtwie w ciągu lat ostatnich i wyraźnemi dyrektywami co do zagadnień konkretnych wzmocnić i utrwalić tę tak niezmiernie ważną sprawę.

Przyczynić się do tego można zaznajamiając ogół kolegów i koleżanek, nie posiadających dokładnych informacji, o stanie szkolnictwa polskiego w chwili obecnej, przez oświetlenie tej sprawy ze strony faktycznej, zbieranie i zestawianie statystycznych danych za cały ten okres, wydanie odpowiedniej monografji i t. d."

Ze swej strony redakcja podejmuje się zebrać dane o ogólnej ilości młodzieży polskiej we wszystkich zakładach naukowych Cesarstwa.

Społeczeństwo niewątpliwie z zaciekawieniem będzie oczekiwało wyników tej ankiety.

Manifest futurystów.

Z terminem „futuryści" spotykamy się obecnie na szpaltach pism codziennych nader często. Spopularyzowały go ogromnie skandaliczne wybryki petersburskich wyznawców tego kierunku, jak zwykle w Rosji, doprowadzających wszelką myśl do ostateczności, do karykaturalnej przesady. Nie wielu jednak zdaje sobie dokładnie sprawę, co należy rozumieć pod mianem futuryzmu, którego źródeł szukać należy we Włoszech, gdzie przed kilku laty oszołomiły społeczeństwo wystąpienia poety Marinettiego i jego zwolenników.

Streścić istotę i dążenia ruchu futurystycznego nie jest rzeczą łatwą. Najlepiej je obrazuje manifest futurystów, drukowany po raz pierwszy w „Figaro" jeszcze d. 20 lutego 1901 r.

Oto jego przekład dosłowny:

„Oto pieśń nasza: Kochamy niebezpieczeństwo, bije w piersi naszej energja i odwaga szaleńców.

Główne elementy poezji naszej — to odwaga, śmiałość i bunt.

Literatura wielbiła dotąd martwotę refleksji, ekstazę i drzemkę. My wielbić będziemy napastniczy ruch, gorączkową bezsenność, gimnastyczny krok, niebezpieczny skok, uderzenie w pysk i pięścią w łeb.

Oświadczamy, że blask wszechświata się wzmógł; przybyło mu nowe piękno. Piękno chyżości. Automobil wyścigowy, którego pudło rurami zdobione, co jak węże olbrzymie parskają raz wraz wybuchowem tchem, ryczący automobil, co

pędzi, jak po kartaczach, piękniejszy jest niż Nika z Samothraki.

Chcemy śpiewać człowieka, co frygę trzyma w swym ręku; jej oś idealna przebija ziemię pędzącą wzdłuż swej orbity.

Poeta podawać winien siebie z ogniem, z hojnością, z przepychem, żeby spotęgować entuzjazm bijący od elementów zasadniczych.

Tylko w walce jest piękno. Nie masz arcydzieła bez momentu napastniczego. Poezja musi byś gwałtownym atakiem przeciw siłom nieznanym; musi im wyzwanie rzucać w twarz: niech się wiją u stóp człowieka.

Stoimy na ostatnim przylądku stuleci!... Po co się nam oglądać wstecz, właśnie dziś, gdy nam czas wyłamywać tajemnicze wrota Niemożliwości? Czas i przestrzeń umarły wczoraj. My żyjemy dziś w absolucie, bośmy już stworzyli wieczną, wszechobecną chyżość.

Będziemy wielbili wojnę — tę jedyną higjenę świata — militaryzm, patrjotyzm, zniszczenie wróżący giest anarchistów, piękne ideje, które niosą śmierć, będziemy wielbić pogardę kobiety.

Będziemy burzyli muzea i bibljoteki, akademje wszelkiego rodzaju; zwalczać będziemy moralizm, feminizm i wszelkie tchórzostwo które oportunizmem trąci czy utylitaryzmem.

Opiewać będziemy tłumy, których motorem praca, roskosz lub rewolta; tysiącem barw i tysiącem dźwięków o brzeg bijące fale rewolucji w nowoczesnych stolicach świata; gorączkowy ruch, co wre w arsenałach i dokach w gwałtownem świetle elektrycznych księżyców, wiecznie głodne dworce, co pożerają węże dymem ziejące; fabryki nićmi dymów uczepione o chmury, mosty do olbrzymich gimnastyków podobne, które skaczą przez rzeki, a iskrzą się w słońcu jak klingi sztyletów; szukające przygód parowce, które horyzont wietrzą, szerokie piersi lokomotyw, które ciężko po szynach stąpają, niby olbrzymie rumaki stalowe okiełzane długiemi rurami; ślizgowy lot aeroplanów, których śruba łopocze jak flaga, kiedy wicher dmie a klaszcze, jak tłum gdy szaleje.

Z Italji rzucamy w świat niby żagiew płonącą na dachy ten manifest gwałtu i przewrotu, mocą którego dzisiaj stwarzamy „futuryzm"; z Italji bo chcemy ten kraj uwolnić od wstrętnego raka, który go toczy: od profesorów, archeologów, ciceronów i od antykwarzy.

Zbyt długo już była Italja wielkiem targowiskiem starzyzny. Chcemy ją uwolnić od niezliczonych muzeów, których nieprzybrana moc ją okrywa, niby cmentarzów bez liku. Muzea: cmentarze!... Istotnie, to identyczne przez to bezładne nagromadzenie mnóstwa ciał, które się nie znają nawzajem. Muzea: publiczne przytułki, do których się chodzi spać na wieki w obliczu istot znienawidzonych lub nieznanych! Muzea: mordownie głupie; tam się szeregi malarzy i rzeźbiarzy po ścianach rżną bez litości; bije jeden drugiego barwą i linją!

Można do nich pielgrzymki odbywać raz w rok, jak na cmentarz chodzić w dzień Zaduszny... wolno. Raz na rok składać kwiaty u stóp Giocondy, wolno... Ale dzień w dzień nasz smutek i odwagę kruchą i niepokój chorobliwy do muzeów na przechadzki prowadzić — nie wolno! Po co? Żeby się truć, żeby gnić?

Cóż można znaleźć w starym obrazie, jeśli nie kurczowy wysiłek artysty, który bramy niemożliwości wyłamać usiłuje, żeby wiernie swój sen ucieleśnić?... Podziwiać stary obraz, to znaczy wylewać wrażliwość naszą w urny z prochami zmarłych, zamiast nią daleko naprzód tryskać, fontanną twórczości i czynów.

Chcecież więc najlepsze siły wasze strwonić na wiecznych a nieproduktywnych zachwytach nad tem, co minęło, mimo, że was to wyczerpuje fatalnie, pomniejsza i przybija do ziemi?

Istotnie, codzienne zwiedzanie muzeów, bibljotek akademji (cmentarze zmarnowanych wysiłków, Golgoty na krzyż wbijanych snów, rejestry skrzydeł połamanych!..) to dla artysty rzecz równie zgubna, jak zbyt długotrwała opieka rodziców nad inteligientnym młodzieńcem, którego żądza sławy pali a talent ponosi. Dla innych, dla inwalidów, dla więźniów—tak—ostatecznie. Czcigodna przeszłość jest dla nich może balsamem na rany, skoro przyszłość przed nim zamknięta... Ale my nie chcemy nic wiedzieć o przeszłości, my młodzi, dzielni, żywi futuryści!

Niechaj więc przyjdą dobrzy podpalacze, a palcy niech sobie w karbolu opłuczą! Już są!.. Już przyszli... Podpalić pulty bibljotek! Kanałów bieg skierować; niechaj zaleją muzea!.. A jakaż roskosz patrzeć, jak nurt ich porywa i niesie sławne stare płótna, podarte dziś i spłukane!.. Kilofy, siekiery i młoty w dłoń! Podkopać fundamenty czcigodnych, starych miast!

Zaledwie trzydzieści lat mają najstarsi z nas; przynajmniej dziesięć lat jeszcze mamy przed sobą; możemy dzieła dokonać. Kiedy będziemy mieli po czterdzieści, niech wtedy przyjdą młodsi i dzielniejsi od nas i niech nas do kosza wrzucą, jak niepotrzebny skrypt. Owszem, my tego chcemy! Wyjdą przeciwko nam ci nasi spadkobiercy; z daleka przyjdą, z wszystkich stron; w ich tańcu będzie lekki rytm ich pierwszych poematów; ich palce krzywe jak szpony po wietrze szarpać będą; u wrót akademji będą wciągać dobrą woń naszych duchów w rozkładzie, duchów już przeznaczonych katakumbom bibljotek.

Ale nas już nie będzie. Oni nas w noc zimową kędyś w polu znajdą u wrót ponurego hangaru. Deszcz monotonnie bębnić będzie po płótnach dachu; przy nas nasze aeroplany niecierpliwe, gotowe do lotu. My właśnie w ogień ciskać będziemy nasze książki i obrazy dzisiejsze, żeby sobie ręce zagżać nad lichym płomieniem ogniska.

Otoczą nas tłumem, dyszeć będą strachem i pogardą; z wyrazem rozpaczy patrzeć będą na naszą dumę, odwagę i moc. Rzucą się na nas, bo ich palić będzie nienawiść ku nam, a serce ich będzie rozpierać równie wielka miłość i uwielbienie dla nas. W ich oczach promienieć będzie jasny blask silnej, zdrowej niesprawiedliwości. Bo sztuka żyć może tylko gwałtem, okrucieństwem i niesprawiedliwością.

Zaledwie trzydzieści lat mają najstarsi z nas, a jednak skarby zdołaliśmy już rozrzucić. Skarby siły, miłości, odwagi, chytrości, hartu ducha, na gwałt, w szalonym pośpiechu, bez wahania, bez tchu; na przepadłe.

Spojrzyjcie na nas! Nam nie brak tchu... Serca nasze nie zmęczone ani trochę. Bo je karmi płomień, nienawiść i chyżość... To was dziwi? Tak bo wy sobie nie przypominacie nawet, żeśmy tylko sumą i przedłużeniem naszych przodków....

Być może!... Niech i tak będzie!... Ale cóż z tego? Nie chcemy tego słyszeć!... Niech się nikt nie waży powtarzać te słowa bezecne!...

Baczność! Do góry głowa!

Na szczycie świata stojąc, raz jeszcze wyzwanie nasze ciskamy gwiazdom w twarz!...“

KRONIKA

= Szkolnictwo polskie w Królestwie.

Unja Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Postępowej-Filareckiej wydała niedawno następujące ciekawe statystyczne dane tyczące się średniego szkolnictwa w Królestwie.

Obecnie istnieje w Królestwie 182 polskich średnich męskich i żeńskich zakładów naukowych. Z tego 117 żeńskich i 65 męskich i koedukacyjnych. Szkoły męskie mamy poniższe: 6 szkół filologicznych, 5 szkół filol. z oddziałami realnemi, 9 gimnazjów ośmioklasowych, 5 szkół realnych siedmioklasowych i jedną siedmioklasową, 22 handlówki siedmioklasowe z tych jedną koedukacyjną. 6 niższych handlówek, 5 szkół przemysłowo technicznych, 6 progimnajów czteroklasowych i sześcioklasowych filologicznych i realnych.

Z żeńskich zaś szkół mamy w Królestwie 106 pensji ośmio-siedmio-pięcio i czteroklasowych, oraz 11 szkół handlowych.

= Jubileusz publicysty.

W d. 1 (14) b. m. grono najbliższych przyjaciół politycznych obchodziło jubileusz 25-letniej pracy w polu publicystycznem p. Józefa Hłaski, spółredaktora „Kurjera Litewskiego“. Obchód miał charakter ściśle prywatny.

= Zwalczanie handlu żywym towarem i zniesienie reglamentacji prostytucji było tematem obrad na zebraniu nadzwyczajnem do 9-go grudnia n. st. w Związku równouprawnienia kobiet polskich w Warszawie.

Po ożywionej dyskusji, w której wykazywano, iż reglamentacja jest niesprawiedliwa, bezskuteczna, stanowi, podwalinę handlu żywym towarem, więc znieść ją trzeba koniecznie, uchwalono następującą rezolucję:

I. Związek równouprawnienia kobiet polskich na zebraniu nadzwyczajnem dn. 9-go grudnia 1913 r. uchwalił zwrócić się do posłów polskich z żądaniem usilnego przez nich poparcia wniosku, złożonego już Dumie Państwowej, o zniesienie reglamentacji prostytucji. Obietnice bowiem czynione członkiniom Z. R. K. P. na piśmie i ustnie przez p.p. Posłów: Parczewskiego, Harusewicza i Swieżyńskiego pozwalają spodziewać się, iż posłowie polscy wytężą usiłowania, aby wniosek o zniesieniu reglamentacji prostytucji przeprowadzić, a następnie uchwalić prawa dla ukrócenia handlu żywym towarem, któreby zarazem uniemożliwiały wyrabiania na jego wszechświatowych rynkach specjalnej marki „towaru polskiego“.

II. Związek postanowił również rozwinąć akcję dla uświadomienia opinji publicznej przez konferencje-odczyty odezwy i t. p. o konieczności zniesienia reglamentacji prostytucji, aby móc podjąć skuteczną walkę z ohydą handl. żywym towarem.

III. Związek odwołuje się do wszystkich stowarzyszeń o pokrewnych zadaniach i celach o rozwinięcie współczesnej akcji. Motywy tych odezw będą różne, jak odmiennemi są środowiska działalności, jednak wszyscy domagajmy się zgodnie:

„Zniesienie reglamentacji,
Zamknięcia domów rozpusty“.

— Rozłam śród październikowców.

W związku z uchwałami, powziętemi na zjeździe stronnictwa październikowców nastąpił rozłam we frakcji parlamentarnej stronnictwa. Mniejszość z posłem Chomiakowem na czele domagała się, aby frakcja ściśle wykazywała powyższe uchwały, większość zaś utrzymywała, że są to tylko ogólne dyrektywy, i że nie powinny one posłów krępować.

Próby sklejenia rozpadających się części frakcji nie powiodły się. Dotychczas wystąpiło z frakcji 22 posłów, których przezwano „listopadowcami“.

= Przemysł w gub. grodzieńskiej.

Według danych komitetu statystycznego gubernialnego, w r. 1912 w granicach gub. grodzieńskiej było 3406 zakładów przemysłowych, w których pracowało 22,455 osób. Produkcja ogólna w tym roku dosięgła 26,570,964 rubli. Pierwsze miejsce zajmuje przemysł tkacki, grupujący się głównie w Białymstoku i jego powiecie.

= Emigracja z Litwy i Białejrusi.

W ciągu roku 1912 przez Lipawę wyjechało z granic państwa wogóle 58,507 emigrantów. W tej liczbie 32.550 osób, udało się wprost do Ameryki i 25.951 do portów angielskich. Z sześciu gubernji litewsko-białoruskich emigrowały 25,272 osoby, w tem z gub. wileńskiej — 2,721, kowieńskiej — 3,582, grodzieńskiej—7,018, mińskiej—8,380, witebskiej — 1,322 i mohylowskiej—2,350 osób.

Książki nadesałne do Redakcji.

Weyssenhoff Józef. *Soból i Panna.* Cykl myśliwski. Ozdobiony 85 barwami i czerwonemi rysunkami Henryka Weyssenhoffa. Gabethner i Wolff. Warszawa 1913.

„Czerwony Kogut“ Nowele litewskie. Tłom. Kazimierza Puida, z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Warszawa 1913. Gebethner i Wolff.

Savitri. *Utopja.* Powieść. Nakładem W. S. C. Warszawa 1914.

Maliszewski Edward. *Polacy i polskość na Litwie i Rusi.*. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1914.

Grabowski Edward. *Ustrój państwowy Rosji.* Zarys obowiązującego prawodawstwa). Warszawa 1914. E. Wende i S-ka.

Twardowski Kazimierz. *O psychologji* jej przedmiocie, zadaniach, metodzie, stosunku do innych nauk i o jej rozwoju. Odbitka z „Encyklopedji wychowawczej“. Warszawa 1913.

Januszewski Jul. inż. *Przemysł ludowy na Litwie i Białorusi a gdzieindziej.* Odbitka z № 1 „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego“. Wilno 1913.

„Jutrzenka“. Kaledarz dla wsi i miast na rok 1914. Nakładem księgarni L. Idzikowskiego w Kijowie.

Treść numeru.

Po dwuch latach.
Zamiast rydza — muchomór.—W i—s k i.
Pozbawieni niektórych praw stanu.—A r g u s.
Źródło bogactwa krajowego — w niełasce. — J. S o r o k o w i c z.
Przemiany w ugrupowaniach litewskich.—M. R.
Pozłam śród ludowców.—J. K r z e s ł a w s k i.
„Miles gloriosus“.—S t. P o s n e r.
Ciernie drogi kobiecej.—T. Z a k r z e w s k a.
Krok naprzód.—C z. J a n k o w s k i.
Z księgi ciszy.—J. S t. W i e r z b i c k i.
Dokoła sceny.—Q u i d a m.
Zbożne życzenia.—M. A u g u s t o w s k i.
Beznadziejni.—L. A.
Prasa polska.
Manifest futurystów.
Kronika.
Odcinek: „Nieco o krytyce i krytykach“—B. Z a h o r s k i.

Wydawca **Witold Abramowicz**. Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa**.

Rok II. Wilno, 24 grudnia 1913 r. (6 stycznia 1914 r.) № 50—52

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	7.00
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	8.—
Półrocznie	4.00
Kwartalnie	2.00
Miesięcznie	70

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Cena numeru 15 kop.

Adwokaci.

(W odpowiedzi na artykuł p. t. „Oskarżyciele").

Gdy adwokat w zapędzie krasomówczym zaczyna się miotać i wygrażać pięściami prokuratorowi, przewodniczący powstrzymuje go i przywołuje do porządku.

W polemice prasowej niestety niema superarbitra i dlatego strony mogą sobie dowoli pozwalać na wszelkie ekscesy. Funkcję trybunału ma niby spełniać opinja publiczna, lecz ta notoryczna histeryczka najmniej ma kwalifikacji na sędziego bezstronnego; zresztą z reguły obdarza swą sympatją adwokatów, jako obrońców wszystkich uciśnionych i prześladowanych.

Nawet wówczas, gdy widzi wyraźnie, że adwokat podejmuje się obrony możnego klijenta, lekceważącego nakazy prawa i sprawiedliwości.

W tych warunkach rola oskarżyciela publicznego staje się wysoce trudną i niewdzięczną, tembardziej, iż odpowiedzialne stanowisko krępuje go w posiłkowaniu się środkami, w których nie przebiera zbytnio zręczny przeciwnik, mający na względzie jedynie interesy swego mocodawcy.

P. W. B-ski z „Kurjera Litewskiego" upodobał sobie zawód adwokacki, podjąwszy się prowadzenia spraw przedstawicielstwa polskiego w Dumie i Radzie Państwa, od którego prawdopodobnie otrzymał plenipotencję do stawania w jego obronie we wszystkich dostępnych mu instancjach prasowych.

Ostatnio p. W. B-ski wystąpił na łamach „Kurjera Litewskiego" i „Słowa", jako obrońca posłów polskich w efektownej sprawie oszczerstw i kalumnji, rzucanych na nich rzekomo przez polską prasę postępową, z „Przeglądem Wileńskim" włącznie.

W gorliwości swej p. W. B-ski zapędził się tak daleko, że z adwokata stał się prokuratorem i cały obóz postępowy odsądził od czci i wiary, pomawiając go o niezdolność absolutną do argumentacji i posługiwanie się „zatrutą jadem" bronią potwarzy i szkalowania hołdujących innym zasadom jednostek.

A no, papier jest cierpliwy, powtórzmy tu słowa p. W. B-skiego, i wytrzyma nawet taką metodę obrończą, pytanie jeno, czy wygra coś na tem „zbiorowa dusza Polska" o czystość której tak gorąco zdaje się dbać p. adwokat.

Zgodnie bowiem z psychiką wszelkiego rodzaju plenipotentów, p. W. B-ski nie umie się utrzymać na stanowisku zasadniczem i wietrzy wciąż intrygę i prywatę. Zamiast operować pojęciami—woli zasłaniać się nazwiskami...

Boć nikt nie oskarża ani Parczewskiego ani Harusewicza o zdradę narodową. Nie o jednostki chodzi, lecz o charakter polityki kół poselskich, która budzi niezadowolenie nie tylko śród postępowców... I gdy ktoś twierdzi że „posłowie nie dobro i przyszłość narodu mają na względzie, a interesy swoje i swych wyborców", to nie znaczy bynajmniej, że każdy poszczególny poseł jest lichym aferzystą, wyzyskującym swe stanowisko dla celów korzyści osobistej, lecz że przedstawicielstwo polskie w Dumie i Radzie Państwa stoi na gruncie klasowym i uprawia politykę, przystosowaną do potrzeb szczupłego grona wyborców, powołanych ustawą z d. 3 czerwca do reprezentowania całego narodu.

P. W. B-ski tego zrozumieć w żaden sposób nie chce czy nie może i z jednego zdania, wyrwanego z artykułu, wyciąga nieumotywowany niczem wniosek, że postępowcy nie są zdolni do krytyki rzeczowej i tylko potrafią swych przeciwników obrzucać błotem.

Ale p. W. B-ski wie dobrze, że nie tylko śród postępowców zachowanie się dotychczasowe posłów polskich spotyka się z ostrą krytyką.

„Goniec“ warszawski np. nie mający nic wspólnego z t. zw- postępem, niejednokrotnie, a zwłaszcza w sprawie samorządu, o wiele ostrzej potępiał politykę posłów polskich na gruncie petersburskim, niż to uczynił w inkryminowanym artykule „Przegląd Wileński“.

Dlaczegoż p. W. B-ski świadomie oświetla fałszywie sprawę, wmawiając w swych czytelników, że oskarżycielami są jedynie postępowcy, których przeciwstawia — ugodowcom? Sprytny adwokat chce tą drogą zasugiestjonować ogół, że olbrzymia większość narodu jest usposobioną ugodowo i tylko szczupła garstka postępowców nie uznaje żadnych kompromisów.

Któż tu więc „ogłupia i otumania“ zbiorową duszę Polski?

Czy prasa niezależna, która walczy z ugodą i spełnia rolę oskarżyciela, stając na straży poniewieranych zasad i ideałów, czy pisma, będące na usługach panujących kierunków oportunistycznych i broniące ich za pomocą sztuczek adwokackich?

Kaskadą grzmiących słów i efektownych frazesów można na razie ogłuszyć i oślepić społeczeństwo. Ale nie chodzi wszakże o wyrok doraźny. O tem zdaje się zapominać p. W. B-ski, przejąwszy się do głębi swą rolą adwokata. Historja wyda swój sąd bezstronny o tem, kto służy bezinteresownie Ojczyźnie, a kto się przykrywa Jej sztandarem, by zdobyć gromki aplauz niekrytycznej publiczności oraz krótkotrwały rozgłos.

L. A.

Początek końca.

Słabe jeszcze i nierówne są drgania przemarzniętej powierzchni nawy społecznej Rosji, a jednak... wskazówka tego dość prymitywnego aparatu sejsmograficznego, jakim jest czwarta Duma, poczyna odchylać się coraz wyraźniej!

Pod wpływem wstrząśnień podziemnych — w organizmie dumskim poczynają zachodzić zmiany, poczynają rysować się i rozpadać dotychczasowe jej formacje.

Cały okres krótki trwania ostatniej sesji dumskiej pełen był tych przeobrażeń wewnętrznych i tarć. Uległy im niemal wszystkie odłamy dumskie poczynając od lewicy, a kończąc na prawicy.

Nastąpiły tarcia wewnętrzne śród kadetów i nacjonalistów, rozpadła się na trzy odłamy frakcja październikowców, rozpadła się na dwie części frakcja społecznych demokratów, wreszcie, utworzyła się nowa grupa bezpartyjnych włościan. Najmniej ciekawy i nie tylko nie wywołany przez ruch robotniczy, lecz przeciwnie sprzeczny z jego tendencjami—był rozłam frakcji socjalno-demokratycznej.

Szczupły ten, bo zaledwie 14 członków liczący, zastęp przedstawicieli proletarjatu, składał się z 7 przedstawicieli t. zw. „mienszewików“, czyli inaczej „likwidatorów“, 6 przedstawicieli—„podkomendnych“ Lenina, t. zw. „bolszewików“ i wreszcie niefortunnego „przedstawiciela“ proletarjatu Królestwa, Jagieły.

„Mienszewicy“, z którymi razem głosował Jagieło, mieli we frakcji większość nie tylko ilościową, lecz i jakościową, bo posiadali w swych szeregach inteligientów: Czheidzego, Skobelewa, Czhenkeliego. To jedno już oburzało „samowładcę“ bolszewików, Lenina. Ponieważ zaś i w kwestji taktyki dumskiej zachodziły we frakcji różnice, gdyż Lenin żądał od swoich, by traktowali Dumę, jako trybunę agitacyjną, „mienszewicy“ zaś próbowali

MICHAŁ KRYSPIN PAWLIKOWSKI.

OGNISKO DOMOWE.

Borecki leżał na sofie, palił fajkę, patrzał w sufit i myślał.

Tak, — myślał. Teraz miał dużo czasu do myślenia. Skończył uniwersytet i miał dyplom — był lekarzem. Wypoczywał, jak sam mówił, nie zastanawiając się, po jakim właściwie trudzie wypoczywa.

Będąc studentem-medykiem, sam się ironicznie wyrażał, że się „nie przeciąża pracą...“ Był zdolny —studja szły jak po maśle. Ale sześć lat minionych—to był ruch, gorączka, dążenie do celu, przedewszystkiem dążenie do celu. Teraz zdobył ten cel, zdobył niewielkim kosztem i — wypoczywa. Raczej nie wypoczywa, a nic nie robi. Nic nie robi, bo nie ma celu przed sobą. To się tak mówi tylko — wypoczywa!

Wzamian myśli dużo.

Nigdy pierwiej nie myślał, lub raczej sądził, że myślenie to coś zwykłego, coś, co nie wchodzi w zakres konkretnej pracy, coś, nad czem się zastanawiać nie trzeba, bo to „coś“ dzieje się samo przez się. Teraz myślał — uczył się myśleć i pojmował, co to za praca!

Nie znając zasad logiki, sam mimowolnie, błądząc w sofizmatach, wynajdywał te zasady, mając się za myśliciela-wynalazcę, uczonego...

Leżał na sofie skórą obitej, palił tytuń angielski z krótkiej fajeczki, patrzał w biały sufit i myślał.

Myślał, czemu ma uczucie, że mu brak czegoś,—niby jakiegoś duchowego pokarmu, niby jakiejś prawdy wielkiej, której nie posiadł, niby tajemnicy życiowej, która mu jest konieczną, niezbędną.

Gdy człek myśli o swej duszy, o swych duchowych potrzebach, o swojem „ja“, — koniecznie, nieodwołalnie trafi w swej wędrówce po labiryntach dociekań na kobietę. Już to taki instynkt, czy prawo natury, czy coś w tym guście!

Więc kobiety brak Boreckiemu? Kobiety, czy miłości, bo to ogromna różnica?!

Kobiet ma w bród. Jest miły, subtelny, interesujący, „ma powodzenie“.

Więc miłości? Nie chwilowej a natężonej temperatury erotycznej, lecz bezustannego, słabego a miłego ciepła?...

„pracować“, nic więc dziwnego, że tarcia się powiększały, a manifesty władz partyjnych z za granicy dolewały oliwy do ognia. Nastąpił kryzys i... zerwanie—ku uciesze „tertii gaudentis“.

Jest faktem niezmiernie charakterystycznym, że gazety robotnicze obu kierunków, wychodzące w Petersburgu, stale konfiskowane dawniej, — w czasie kampanji rozłamowej—cieszyły się wyraźnem pobłażaniem władz. Tak jakby dawano im do poznania: kłóćcie się aż do skutku.

Na tle tego rozłamu smutnego pocieszającym objawem jest tylko to, że nie znajduje on uznania w masach robotniczych, instynktownie bronią się one od wniesienia go w swoje szeregi. Wówczas, gdy pod wpływem ambicyjek u „góry“ nastąpiło rozpadnięcie się frakcji socjal-demokratycznej, w sferze włościańskiej nastąpił fakt wprost przeciwny.

Oto—pod wpływem parcia milczących dotąd i bezwładnych mas włościańskich, — nastąpiło połączenie się przedstawicieli włościan, należących dotąd do różnych partji, a mianowicie: październikowców, postępowców i kadetów,—w jedną całość, w bezpartyjną grupę włościańską.

Świadczy to wymownie o tem, że masa włościańska poczyna reagować na potrzeby szerszego życia, że potrafiła oddziałać na swych przestawicieli w Dumie i pragnie zabrać głos w swych bezpośrednich interesach i potrzebach.

Grupa posłów włościańskich opracowała wspólną platformę, składającą się z 14 punktów, których główny nacisk skierowany jest—z właściwym chłopom realizmem—na kwestje ekonomiczno-społeczne.

Strona polityczna platformy streszczona jest w 2 tylko pierwszych punktach, w których wystawione jest żądanie zrównania całkowitego włościan pod względem praw i obowiązków z innemi stanami.

Największej miejsca i uwag poświęcono kwestji rolnej. Żądają włościanie zmiany istniejącego prawa wyborczego do ziemstw, udzielenia włościanom ziemi państwowej, apanażowej, gabinetowej oraz dopomożenia przy zagospodarowaniu się na niej, pomocy rządu przy wykupie ziemi od osób prywatnych, reorganizacji banku włościańskiego—na zasadach pomocy istotnej przy osadzaniu na ziemi włościan małorolnych i bezrolnych.

Pozatem wystawiają włościanie szereg żądań kulturalno-społecznych, a mianowicie: powszechnego bezpłatnego nauczania (*z prawem nauczania w języku ojczystym*) zaprowadzenia postępowego podatku od dochodów i zniesienia podatków pośrednich, reorganizacji parafji kościelnych, przedsięwzięcia środków radykalnych dla walki z pijaństwem, rozwoju kooperatyw.

Jak widzimy, żądania te są poważne i radykalne. I ani rząd, ani przedstawicielstwa „ludzi służyłych“ dopuścić do ich urzeczywistnienia choćby w części nie mogą. A więc.... a więc włościanie ci stają, mimo woli, w szeregu niebezpiecznych dla istniejącego „ładu“„—polityków“.

Znacznie mniej doniosłe—pod względem społecznym, choć nie mniej ważne — ze względu na następstwa, t. j. początek końca istnienia Dumy,—jest rozpadnięcie się frakcji październikowców.

Zdawało się, że ludzie ci zdolni są tylko do przystosowywania się do wskazań z góry, że ich interesy leżą w jednej płaszczyźnie z interesami rządu. Tymczasem, okazuje się, że i październikowcy giąć się mogą tylko do pewnych granic — pod grozą załamania się bezpośrednich ich interesów klasowych, że nawet „ziemcy“ szlacheccy i burżuazja miejska dalej po drodze reakcji kroczyć nie mogą i nie chcą. Zrozumieli oni — pod wpływem pouczającym rzeczywistości życia, — że ciśnienie bez miary musi spowodować wybuch, i pragną w porę je zatrzymać.

Tem zrozumieniem sytuacji wytłumaczyć należy wystąpienia Guczkowa i uchwałę paździer-

---

Kochał się „naprawdę“ cztery razy.

Pierwsza miłość wyszła zamąż kilka lat temu za inżyniera, roztyła i ma troje dzieci.

Druga miłość poślubiła literata nieuznanego i żyje w nędzy.

Trzecia miłość jest wciąż jeszcze interesującą, lecz coraz mniej tolerowaną panną na wydaniu.

Czwarta miłość, wreszcie, — puściła się, zbrukała cześć dziewiczą i niewiadomo gdzie się tuła.

We wszystkich się kochał, wszystkie go kochały i wszystkie rozwiały się jak mgła w jego życiu duchowem.

Rodzi się pytanie tragiczne.

Jeżeli jest w możności zakochać się, czy warto? Czy warto poświęcać siebie, swe ciało, duszę myśli, czyny kobiecie, która po dwuch latach roztyje, będzie mu płodzić dzieci i robić awantury; kobiecie, która go zamęczy swemi kaprysami i histerją; kobiecie, wabiącej subtelną pięknością i wątłem zdrowiem, która po kilku latach zgaśnie w jego oczach, trawiona suchotami; kobiecie, która po miesiącu ucieknie odeń z pierwszym z brzegu wypomadowanym samcem? Czy warto?

Małżeństwo to loterja. Stary to, utarty, ale przemądry komunał.

Więc poco próbować wątpliwego szczęścia, poco stawiać życie na kartę, gdy się bez tego tak świetnie obejść można. Poco?

Czy już tak szalenie pożąda „bezustannego ciepła“ małżeńskiego?

Czy nie lepiej stworzyć sobie czasowe „ognisko domowe“, częściej, lub rzadziej, stosownie do upodobania, zmieniając jego westalkę? — Westalkę, co nie będzie mądra, subtelna i piękna, lecz będzie dobra, posłuszna i miła?...

Borecki patrzał w sufit i pykał fajeczkę.

Otwarły się drzwi i cicho weszła przystojna, czysta pokojówka Marysia z listem na tacy.

Leniwie rozerwał kopertę i czytał.

Brat go zapraszał do siebie na wieś.

„...musimy cię koniecznie wyswatać. W sąsiedztwie dużo ładnych, interesujących i posażnych panien. Depeszuj, kiedy przyjedziesz“.

Marysia stała we drzwiach, trzymając rękę na klamce. Zdawała się czekać czegoś.

A w głowie Boreckiego treść listu dziwnie się plątała z tem, o czem myślał przed chwilą i z obec

nikowców na zjeździe w Moskwie; tem też, jako konsekwencją,—rozłam śród frakcji dumskiej: wystąpienie najpierw lewych październikowców, następnie zaś centrowców.

Ma się rozumieć, oczekiwać wskutek tego jakichkolwiek zmian zasadniczych w taktyce dumskiej rozłamowców—nie należy. W kwestjach społecznych są oni związani ściśle z prawicą i potrzebują poparcia rządu; jedynie w sprawach elementarnych zasad prawnorządności i swobód obywatelskich — mogą oni zająć wobec rządu stanowisko opozycyjne.

Wszelkie zaś nadzieje na utworzenie partji liberalnej, która mogłaby wpłynąć na bieg życia państwowego,—wobec słabości burżuazji rosyjskiej i zależności jej ekonomicznej od rządu — są płonne.

Inna rzecz, że sam fakt rozprzężenia i rozbicia październikowców może mieć następstwa doniosłe ze względu na stosunek rządu do Dumy.

Biurokracja rosyjska całym ciężarem inercji swej olbrzymiej machiny toczy się po pochyłości reakcji, jak lawina.

Tolerowała ona Dumę IV-ą dotąd, póki uważała ją, jeżeli już nie za potrzebną, to przynajmniej—za nieszkodliwą.

Obecnie przeto, gdy nadzieje na utworzenie w przesianej przez sito Makarowowsko-Sablerowskie Dumie—większości „zdolnej do pracy"—pryskają, gdy „niepewni" dotąd październikowcy zaczynają się jawnie buntować, można oczekiwać, że sfery miarodajne uznają za właściwe zakończyć grę w ciu-ciu-babkę konstytucyjną i zagrają w karty otwarte. Można oczekiwać tego dlatego, że coraz głośniej mówią o zwycięstwie prądu „odwiecznych zasad" i więcej, niż niepewnem, mimo oficjalnych zaprzeczeń, stanowisku Kokowcewa.

Przeciwko tego rodzaju wyjaśnieniu sytuacji politycznej—żywioły szczerze opozycyjne w państwie nic nie mają. Lęka się go jedynie burżuazja. Ten lęk może odwlec rozwiązanie, lecz zapobiec mu nie jest w stanie.

Początek końca istnienia czwartej Dumy w czasie sesji ubiegłej,—zdaje się już nastąpił.

Wi—ski.

Petersburg.

---

nością tej miłej, czystej, różowej pokojówki w nie skazitelnie białym fartuszku.

Systematycznie złożył list i spojrzał na dziewczynę.

Zarumieniła się po uszy.

Spracowana, szorstka ręka drgnęła na klamce, drugą wzięła biały fartuszek, a na ustach błądził uśmieszek dziwny. Taka mieszanina przebiegłości i lubieżności naiwnej...

Borecki patrzał na nią uważnie i niejasno odczuwał, że gdzieś na szalach losu waży się w tej chwili jego życie przyszłe.

Nagle odrzucił list, wstał z sofy, podszedł do Maryni i objął ją namiętnie. Dała mu swe świeże usta bez wstępu, komedji, ceremonji, — poprostu...

A w trzy kwadranse potem, siedząc przy biurku stylizował depeszę do brata o konie.

Bo po namyśle doszedł do wniosku, że wieczne i czasowe ogniska domowe nie wykluczają się wzajemnie, i że jedno z drugiem doskonale pogodzić można.

Biedna Marysia!

Ukochanie ziemi.

(*Głos ze strony*).

Reagując na artykuł p. L. A. „Za dużo i za mało" („Przegl. Wil." № 46—7), wystąpiła na łamach „Kur. Litewskiego" p. Wład. Życka i autorowi zarzuciła, iż nie odczuwa i pod uwagę nie bierze ziemiańskiego przywiązania do ziemi. Przywiązanie to—zdaniem p. Życkiej — stanowi w naszych warunkach czynnik niezmiernie doniosły; nie pozwala bowiem frymarczyć ojcowizną i tym sposobem gwarantuje żywiołowi polskiemu zachowanie nadal dotychczasowego stanu posiadania w tym kraju.

Korzystając z tej sposobności, pragnę o przywiązaniu owem wtrącić słów kilka.

Mówią, że „gość na chwilę patrzy na milę". Otóż bywając właśnie chwilowym gościem tylko pośród ziemiaństwa wogóle, a litewskiego w szczególności, kto wie, czy w życiu jego nie dostrzegam rzeczy znamiennych, które ono same przeocza.

W sferze tej mówi się ogromnie wiele o przywiązaniu do ziemi i to prawie zawsze temi samemi słowami, których używa p. Życka w swym artykule. Jakże jednak często okazują się one pustą, sentymentalną deklamacją!.. Jak często są parawanem bierności i umysłowego lenistwa!

Przedewszystkiem uderza obserwatora panujących tu stosunków, fakt, że w owem głośno reklamowanem, niby specyficznie ziemiańskiem, uczuciu—niema właściwie nic specyficznego. „Przywiązanie do ziemi", po krótkiej analizie, okazuje się najzwyklejszem i każdemu człowiekowi właściwem—miłowaniem swej przeszłości, a szczególniej swego dzieciństwa,

Wiadomo—kocha się to, w czem się wzrosło, co minęło i nie wróci.

Nawet, wycierający całe życie obce kąty mieszczuch z rozrzewnieniem wspomina ulicę i dom, z któremi wiąże chwile swej młodości. Rzeczą jest całkiem zrozumiałą, iż natężenie onej tęsknoty wzmaga się, gdy jej motywem jest kąt rodzinny z dziada-pradziada, z którym łączy się pewna familijna tradycja-legienda, mocno przemawiająca do młodzieńczej wyobraźni. W uczuciu tem wszakże nietylko niema nic—jak się już rzekło—specyficznego, ale—co godniejsze uwagi—niema zgoła miłowania ziemi.

Kocha się zazwyczaj dwór, ogród, jakieś drzewo, jakiś widok, skrawek lasu, kościół — słowem przedmioty, przywodzące na pamięć pewne przeżyte wrażenia.

A reszta?..

Resztę ogromnie często bez żadnych sentymentów i skrupułów... puszcza się w dzierżawę — i to w dzierżawę, rujnującą, dewastacyjną, obniżającą kulturę gospodarki krajowej.

I postępuje tak nietylko polska inteligiencja

miast Litwy (z wileńską na czele), rekrutująca się przeważnie z ziemiaństwa; nietylko ci, co rozpryskują się po Rosji właściwej, w pogoni za karjerą urzędniczą; ale nawet ludzie, krokiem nie ruszający się ze swych majątków. Każdego przybysza z zachodu uderza ta olbrzymia ilość folwarków, eksploatowanych zapomocą dzierżawców. Spotyka się tu przytem fakty, mimo swej lokalnej powszedniości, niezwykłe. Choćby taki np.: 4000 dziesięcin, na nich rodzina, złożona z 5-u osób — ojca, matki, dwu synów i córki; młodszy syn i córka na szerokim świecie; najstarszy (30-letni) przy rodzicach; w chwilach wolnych od familijnego preferansa bawi się po amatorsku pszczelarstwem. Gospodarkę zaś prowadzą miejscowi chłopi-dzierżawcy. Albo drugi przykład: 300 dzies. dobrej ziemi i lasu; dziedziczka dawała w życiu dowody energji i inteligiencji—na obczyźnie. Powróciwszy do rodzinnego kraju, osiadła w dworku ojczystym, modrzewiowym i zadawalnia się 600 rublami rocznie (plus utrzymanie) od żyda, dewastującego folwark. Trzeci przykład: dwaj bracia, posiadający 180 dzies. doskonałej gleby, absolutnie nic nie robią. Siedzą we dworku rodzinnym i żyją z arendy, płaconej przez dzierżawcę, b. pachciarza, który na dzierżawie tej robi doskonałe interesy. — Czwarty przykład...

Lecz dajmy pokój ich mnożeniu. Ktokolwiek w te stosunki wejrzy, bez trudu znajdzie sam dosyć przykładów. Nie wątpię, że zna ich dość i p. Życka, jako ziemianka.

W tem masowem poprzestawaniu na „obywatelstwie“ tytularnem, w powierzaniu gospodarki dzierżawcom i rezygnowaniu *de facto* ze „szczytnego posłannictwa dziejowego“ pewne kierunki demokratyczne dostrzegają wprawdzie zjawisko pożądane; nigdy jednak nie mogą dzielić tego poglądu ludzie, którzy (jak choćby p. Życka) misji ziemiaństwa przypisują dotąd znaczenie doniosłe.

Z ich punktu widzenia pragnąć należy, by wielka własność (ziemiańska, szlachecka) była jaknajdłużej żywotnym czynnikiem kultury, t. j. siłą. Pamiętajmy bowiem, że jedyną miarą siły, jedyną racją bytu danego elementu społecznego jest jego pożyteczność, jego rola kulturalna; wszelkie inne tytuły—to fikcja.

Otóż dla idejologów ziemiaństwa (a ze względów narodowych, poniekąd i dla całego ogółu polskiego) nie może być bez znaczenia fakt, że na Litwie i Białejrusi wielka i średnia własność ziemska—reprezentowana w b. poważnej części przez żywioł polski—ma jeszcze do spełnienia zadanie cywilizacyjne! Podlega ono przedewszystkiem na aklimatyzowaniu nowych metod pracy w dziedzinie rolnictwa. W kraju, pozbawionym instytucji społecznych, spełniających tę funkcję, — dwory służyć mogą i powinny za wzór racjonalnego pielęgnowania ziemi. O ile ziemiaństwo czyni temu zadość, jest czynnikiem krajowi potrzebnym i potrafi skuteczni stawić czoło nieprzyjaznym dlań konjunkturom.

Ale — powtórzmy: pod warunkiem spełniania owej naczelnej misji.

Czy jednak warunkowi temu odpowiadają „ziemianie“, przesiadujący po miastach, tułający się po Rosji, lub też wegietujący bezczynnie pod ojczystą strzechą i oddający folwarki w dzierżawę?

Na pytanie to odpowiedzieć można tylko przeczeniem—zwłaszcza, gdy się zważy, iż dzierżawcami są najczęściej ciemni włościanie (po swojemu, bardzo troskliwi o ziemię własną, a nielitościwi dla cudzej), oraz ta najpospolitsza kategorja żydów, która dla zysku gotowa jest zawsze prowadzić gospodarkę rabunkową. Przy tym systemie (bo oddawanie ziemi w dzierżawę stało się na Litwie i Białejrusi niejako systemem) wielka i średnia własność ziemska nietylko przestaje być czynnikiem kultury i wzorem dobrej gospodarki, ale przeciwnie — traci wszelką wartość społeczną, a często nawet bywa rozsadnikiem demoralizacji, bo daje przykład dewastowania ziemi dla korzyści doraźnych.

Godzi się teraz zapytać, czy owi tytularni „ziemianie“, prowadzący w taki właśnie sposób gospodarkę (a jest ich legjon), dobrze czynią, trzymając się *à tout prix* swych majątków rodowych?

Rzecz bardzo wątpliwa.

Było to koniecznością — *malum necessarium* — dopóki istniał zakaz sprzedawania ziemi polakom. Z chwilą wszakże zniesienia tego iście barbarzyńskiego prawa, konieczność owa nietylko minęła, ale dalsze stosowanie w życiu wytworzonej przez nią reguły staje się wprost szkodliwe. Przyczynia się bowiem do tego, że ziemiaństwo przedwcześnie rezygnuje ze swej roli kulturalnej, staje się niepotrzebnym balastem w kraju, gdzie naprawdę ma ono jeszcze coś do powiedzenia i gdzie braknie instytucji, mogących rolę jego przejąć.

A jakiż tego może być rezultat?

Oto ten, że samo życie będzie—jak wszędzie i zawsze—zbyteczny, bezwartościowy balast wyrzucało za nawias. Platonicznie-sentymentalni miłośnicy ziemi, którą pod własnym szyldem niszczyć pozwalają. ani nie obejrzą. jak poczną ich wypierać zupełnie nowi ludzie — i to ludzie ze względu na interes narodowy, może wcale nieodpowiedni choć odpowiedni jako siła społeczna.

Nad sprawą tą, póki czas, warto się dobrze zastanowić; jest to kwestja, której nie godzi się załatwiać wierszowanemi cytatami, ani oklepanemi frazesami.

Komu zależy na tem, by ziemiaństwo polskie na Litwie do końca spełniło swą misję, ten zgodzić się musi, iż w znacznej części trzeba skład jego odnowić. Temu jednak stanie na przeszkodzie zasada, nakazująca każdemu trzymać się rękami i nogami ojcowizny, kochanej w ciągu paru miesięcy wakacyjnych przez dziedzica, a dewastowanej rok cały przez dzierżawców.

Obserwator.

Z Francji i o Francji.

(*Listy polityczne*).

I.

Paryż, w grudniu.

Izba deputowanych zebrała się 3 listopada pod wrażeniem ważnego wypadku: na kongresie dorocznym radykałów i radykałów-socjalistów, od-

bytym w Pau — dokonano zjednoczenia i zorganizowania się, jako stronnictwa. Sytuacja, panująca w Izbie, stawała się coraz cięższą do zniesienia. Walka o reformę wyborczą dokonała się pod znakiem walki z radykałami, prowadzonej przez koalicję skrajnej lewicy i prawicy. Walka ta wypełniła całe trzy lata ubiegłe. Z najwyższą trudnością można było dyskusję budżetową poprowadzić i wreszcie budżet zawotować. Francja co roku żyła w ciągu sześciu miesięcy bez uchwalonego budżetu, przy pomocy „dwunastych“, t. j. miesięcznych rat budżetowych, wotowanych w ostatniej chwili.

Reforma służby wojskowej, uchwała powrotu do *trzyletniej* służby zabiła koalicję przypadkową prawicy i lewicy. Koalicja ta ze stanowiska republiki i demokracji wyrządzała wiele krzywdy. Rozdrobnieni w Izbie radykali, prawem swem skrzydłem zlewający się z partjami środka, lewem zaś ze skrajną lewicą, tutaj zmuszeni słuchać burżuazji, tam socjalistów, rozdrobnieni i osamotnieni, pozostawali bez wpływu na bieg wypadków w ostatnich kilku latach. Na skutek tej koalicji prawicowo-lewicowej, na skutek wyeleminowania radykałów z armji czynnej parlamentu, mogły dochodzić do władzy ministerja pp. Brianda, Poincaré'go, Barthou; mógł się dokonać wybór p. Poincarè'go na prezydenta republiki.

Ale przyszła reforma wojskowa. Pod wpływem zbrojeń niemieckich, nie bez wpływu Rosji, rząd wniósł do Izby projekt powrotu do trzyletniej służby wojskowej. I wnet zmienił się zupełnie cały obraz parlamentu. Socjaliści rozpoczęli gorącą, wprost rewolucyjną kampanję przeciwko reformie wojskowej i szukając popleczników w Izbie dla tej platformy, musieli oglądać się na radykałów, jako jedynych możliwych sojuszników w walce z większością Izby, z góry pozyskaną dla wszystkich projektów, związanych z obroną narodową na lądzie i morzu. Stąd krok tylko do odrodzenia dawnego *bloku* lewicowego z czasów Clemenceau — Jaurèsa, dzięki któremu zlikwidowana została sprawa Dreyfusa i radykali rządzili Francją w przeciągu lat kilku (do roku 1904 t. j. do uchwały na kongresie socjalistycznym w Amsterdamie, na skutek której Jaurés ustąpił z wiceprezydentury Izby i zerwały się stosunki radykalno-socjalistyczne w kraju). Niektórzy członkowie partji socjalystycznej w Izbie zaczęli głośno w prasie domagać się odbudowania bloku. Jeden z najzdolniejszych młodszych posłów socjalistycznych, ten, który podobno będzie następcą Jaurèsa, Albert-Thomas, napisał broszurę, wydaną na jesieni 1913 r., tuż przed zebraniem się Izby (La Politique Socialiste), w której wyjaśnia, na jakich warunkach da się blok odbudować tak, aby socjaliści nie stracili nic, a tylko zyskali.

Taka sytuacja oddziałać musiała na stronnictwo radykalne i wyprowadzić je ze stanu prostracji, w jakim żyło od lat kilku. „Zdrady“ poszczególnych członków osłabiły kadry stronnictwa. Brak dyscypliny partyjnej, brak ścisłej organizacji pozwalał poszczególnym ambitnym członkom stronnictwa obierać drogę najmniejszego oporu, o ile ta droga prowadziła do teki ministerjalnej. Tak wbrew egzekutywie partyjnej wchodzili do ministerjów Brianda i Poincaré'ego pp. Klotz i Dumont, radykał-socjalista, niedawno jeszcze na przeróżnych mitygach zaklinający stronników swoich, aby pozostawali wierni radykalizmowi i starali się zawsze iść ręka w rękę z socjalistami...

Nowa konstelacja w Izbie oddziałała ożywczo na radykałów. Niedawna koalicja *erpeistów* (R. P., reforma wyborcza. mająca na celu zaprowadzenie proporcjonalności w wyborach powszechnych) została osłabiona. Reforma wyborcza zejdzie na czas dłuższy z porządku dziennego. Radykali-socjaliści, jako przeciwnicy trzyletniej służby wojskowej — mogą popierać socjalistów. Wzamian mogą się spodziewać poparcia, a przynajmniej neutralności ze strony skrajnej lewicy. Radykali tedy, zebrani w Pau, postanowili zjednoczyć się. Widocznie, spoglądając na frakcję socjalistyczną, tak bardzo wewnętrznie różnolitą, a jednak nazewnątrz zjednoczoną, postanowili stworzyć platformę, na którejby się wszyscy mogli porozumieć i zjednoczyć. Combes, jako zanadto wyraźny wolno-mularz, *bête noire* prawicy, „skompromitowany“ systemem nadzoru, rezciągniętego w armji nad oficerami, ustąpił. Na jego miejsce wybrano finansistę Józefa Caillaux, sprawnego giętkiego radykała, ulubieńca fortuny, dyrektora wielu banków z mitycznemi premjami, dochodzącemi do wysokości 600,000 fr. rocznie.

I wnet, zaledwie zebrały się Izby, gabinet pana Barthou został obalony.

I pan Poincarè, pomimo wszelkich prób koncyljacyjnych, pomimo odwołania się do pomocy szanowanego przez wszystkich pana Ribot'a, a także zręcznego i nikomu nie narażającego się p. Dupuy, musiał zwrócić się do radykałów. Sam wybrany *przeciwko* woli radykałów, narzuciwszy Francji dwukrotnie rząd umiarkowany, swój własny, nasamprzód p. Briand'a, później pana Barthou, swoje własne, jak mówiono, gabinety, teraz musiał iść do Kanossy i musiał odwołać się do pomocy senatora Doumergue'a, zpoza pleców którego wyjrzała charakterystyczna, sarkastyczna, złośliwa figura p. Clemenceau. Pan Clemenceau obiecuje poparcie p. Doumergue. Nie wróży to jeszcze długiego życia gabinetowi. W tej chwili jednak chodzi o to tylko, aby przeżył wybory 1914 roku, aby Izba przyszła nie była bardziej prawicowa od dzisiejszej.

W takich warunkach przyszło do władzy pięćdziesiąte piąte ministerjum trzeciej Republiki francuskiej.

11 grudnia stanął p. Doumergue przed Izbą Deputowanych i odczytał swoją deklarację. Wrażenie było niekoniecznie silne. Służba trzyletnia zachowana, bez zastrzeżeń — co przyznał p. Doumergue sprowokowany umiejętnie przez Brianda, który miał znowu dzień szczęśliwy i potrafił zmusić prezesa rady ministrów do oświadczenia. że lojalnie wykonywać będzie ustawę o powrocie do trzyletniej służby wojskowej. Socjaliści, którzy rano tegoż dnia odbyli naradę co do stosunku swego do gabinetu i nie mogli dojść do porozumienia, —byli rozgoryczeni. Krewki p. Lauche wołał raz po raz: „a uchwały z Pau?“. „W Pau mówicie jedno, tu mówicie drugie“. Zresztą dodać należy, że p. Doumergue głosował w senacie za trzyletnią służbą wojskową, ale Caillaux i kilku innych członków gabinetu głosowało przeciwko tej ustawie, co nie przeszkodziło im wejść do gabinetu, mającego tę ustawę wykonywać... Kwestja finansowa, t. j. zdobycie środków na wykonanie tej ustawy, na pokrycie wielkiego deficytu—kwestja,

z powodu której upadł p. Barthou, została pozostawiona w cieniu: pożyczka nie ma być zaciągnięta, p. Caillaux ma zresztą niebawem wnieść projekt finansowy. Czem tedy ma się różnić rząd p. Doumergue'a od poprzedniego?

Zwolennicy dawnego krzyczą głośno, że p. Doumergue zeskamotował program p. Barthou, socjaliści są bez humoru, lewica radykalna w osobie redaktora „Les droits de l'Homme", krzykliwego pana Paul Hyacinthe-Loyson—wypowiada głośno zdziwienie swoje z powodu niedotrzymania słowa, danego w Pau. Dzicy szukają też przyczyn dziwacznego zachowania się p. Caillaux, który ma być wedle mniemania lewicy radykalnej istotnym szefem gabinetu. Przyczyny są zawsze te same: gabinet nie jest jednolity. Pan Poincaré potrafił wymóc na p. Doumergue, że odwoła się do pomocy p. Viviani'ego, który też objął ministerjum oświaty. Pan Viviani jest wprawdzie socjalistą-republikaninem (tak w Izbie nazywają siebie od niedawna socjaliści, nie należący do grup zjednoczonych), ale mimo to jest osobistym przyjacielem p. Poincaré'go, po którym objął klientelę adwokacką. Pan Viviani reprezentuje w gabinecie skrzydło prawe, do którego należy jeszcze kilku sekretarzy stanu. Owe skrzydło gra rolę tłumika na radykalnej trąbie. Za pośrednictwem p. Viviani'ego p. Poincaré łagodzi zbyt radykalne zapędy p. Doumergue'a. Pan Poincaré i przez p. Brianda potrafił na pierwszem zaraz posiedzeniu zmusić p. Doumergue'a do wyznania, które zrywa organiczny związek pomiędzy nim a uchwałami w Pau.

Ciężki to kawał chleba rządzić Francją. Trudno ze względów formalnych chociażby dla powodów, mających swoje źródło w architektonice parlamentu. Tyle się o tem mówi, warto może przyjrzeć się bliżej, dlaczego p. Doumergue inaczej wygląda w Pau, a inaczej w pałacu Burbonów.

Stanisław Posner.

Wygodna „opinja publiczna."

Nie tak dawno czytaliśmy w dziennikach telegram (własny) tej treści:

„Paryż.—*Excelsior* otrzymał z Petersburga depeszę, że opinja publiczna w Rosji domaga się energicznej akcji rządu rosyjskiego przeciwko mianowaniu gienerała niemieckiego dowódcą korpusu w Konstantynopolu".

Opinja publiczna w Rosji!...

Cóż to takiego?

Wszak miesiąc temu, jak p. Kokowcow zapewniał dziennikarzy berlińskich, że nic podobnego właściwie nie istnieje. „O sto kilometrów od miast stołecznych, a o 30 od miast gubernjalnych ludzie nie wiedzą nic o tem, co za politykę uważają „panowie" z Dumy i prasa"

P. Kokowcow, naturalnie, uważa ten stan rzeczy za bardzo pocieszający. Ale—dodać tu trzeba—mówił o polityce wewnętrznej. Ta, zdaniem biurokracji, nikogo z poddanych obchodzić nie powinna; należy ona wyłącznie do armji urzędniczej, a trochę także i do owych „panów z Dumy".

O ile jednak w polityce wewnętrznej t. zw. opinja publiczna jest czynnikiem niepożądanym, nielegalnym i tępienia godnym, o tyle w polityce zagranicznej dziś trudno się bez niej obejść. Przedewszystkiem dlatego, że na tym terenie, żyje się w kompanji z Europą, ze światem nowoczesnym, z XX wiekiem. A skoro inni biesiadnicy mają taki sprzęt, jak opinja publiczna, niepodobna bez niego w tem towarzystwie się zjawiać. Przypominałoby się za bardzo nieboszczyka Nasser Eddina, który, goszcząc u monarchów europejskich, jadał palcami, bo widelec uważał za wymysł zgniłego zachodu.

I opinja publiczna — to właściwie także (zdaniem biurokraty rosyjskiego) produkt szkodliwy zachodniej zgnilizny. Ale panowie dyplomaci petersburscy są nieco mniej prostoduszni od szacha perskiego. Form europejskich nie lekceważą z tak jawną nonszalancją i trzymają się zasady: „włazisz między wrony, krakaj, jak i one".

Co wszakże najważniejsze, to to, że politycy ci musieli bez wątpienia zauważyć, jak przydatnym orężem bywa nieraz „opinja publiczna" w dyplomatycznych starciach międzypaństwowych.

Bo wyobraźmy sobie tylko:

Oto siedzą razem p.p. Kokowcow i Bethmann Hollweg; czują się ze sobą doskonale, rozumieją wybornie, no poprostu myśli z oczu czytają. Bratnie dusze.

Ale interes państwa jest nieubłagany.

I choć obaj ministrowie radziby, jeden drugiemu nieba przychylić—twarda konieczność zmusza ich do czynienia sobie wzajemnych przykrości, do odmawiania najserdeczniejszym życzeniom, a czasem nawet do grożenia użyciem środków gwałtownych.

Postawcie się teraz w położeniu tych ludzi. Co za niemiła sytuacja!..

Aliści p. Bethmannowi na ratunek przychodzi—opinja publiczna.

— Kolego drogi—powiada—wiesz przecie, że niczego tak nie pragnę, jak zachować twą przyjaźń; ale sam powiedz, co mam począć. Jeśli spełnię twe żądanie, zbuntuje się przeciw mnie opinja całych Niemiec.

Minister rosyjski ma już wprawdzie na końcu języka radę w stylu rodzimych przepisów na wszelką „kramołę"; ale przypomina sobie, że w Niemczech to nie uchodzi. Ten biedny Bethmann istotnie rachować się musi i z parlamentem, i z prasą, i z Bóg wie kim wreszcie. A pamiętajmy, że jego położenie jeszcze nie jest najgorsze. Wedle ustawy, zależy on tylko od cesarza. Lecz co poradzi sam cesarz niemiecki, jeśli Reichstag zacznie wierzgać, obalać projekty rządowe i odmawiać kredytów? Z Reichstagiem sprawa nie tak prosta, jak z tą poczciwą Dumą.

O ileż jednak gorszą jest sytuacja premjera francuskiego, angielskiego, austrjackiego?!.. tu już — ...czart wie co takiego!.. Na każdym kroku: „nie można, bo opinja publiczna..."

Aż wreszcie, zniecierpliwiony, wybucha dyplomata petersburski:

— Ja też nie mogę, bo... opinja publiczna w Rosji... etc.

Śród spółzawodników zagranicznych ten i ów uśmiecha się pod wąsem i myśli: „wszak ty, kolego, możesz do kozy ją wpakować". — Ale głośno tej uwagi wyrazić nie wypada.

Zresztą... kto wie? Przecież w Rosji podobno już jest konstytucja. W Europie mają o państwie

tem wyobrażenie tak chaotyczne, że trudno znać prawdę.

Taki oto jest rodowód często obecnie powtarzanego powoływania się na rosyjską opinję publiczną.

Oczywiście, jest to opinja, tolerowana tylko na eksport. Społeczeństwo, z którem biurokracja nie liczy się, gdy idzie o jego własne, najbliższe, wewnętrzne sprawy, staje się nagle autorytetem, skoro chodzi o strasznie żywotne kwestje, w rodzaju: instruktorów armji tureckiej.

Społeczeństwo rosyjskie w żaden sposób nie może się zgodzić, by instruktorami tymi byli niemcy. Żąda ono energicznej akcji.

Mistyfikacja oczywista. Ale oczywista dla nas. Dla zagranicy jednak jest ona znacznie mniej widoczna, zwłaszcza od czasu nacjonalistyczno-słowianofilskich brewerji rozmaitych Wergunow, Bobrinskich i innych krzykaczów tego pokroju.

Ale akcja „patryjotów" tych nie byłaby sama przez się jeszcze tak skuteczną i nie potrafiłaby nikogo bałamucić, gdyby nie popierała jej od niejakiego czasu stale prasa liberalna, bardziej europejska, a więc też dla Europy zrozumialsza.

Gdy się czyta jej referat w sprawach polityki zagranicznej, doznaje się wrażenia dziwnego niesmaku. Pisma, z któremi biurokracja nietylko się nie liczy, ale za punkt honoru uważa wojować z niemi, wysługują się jej polityce zagranicznej, ujawniając tę samą, co ona, zachłanność.

Oto np. czytaliśmy niedawno w jednym z takich dzienników ubolewania nad faktem, że w roku 1826 Rosja odstąpiła Norwegji nad Morzem Białem pas „rdzennie rosyjskiej ziemi". Ziemia ta stała się rdzennie rosyjską i przypomniano sobie o niej dopiero teraz, gdy marzenie o zawładnięciu Konstantynopolem traci realne podstawy i gdy poszukiwacze niezamarzających portów odnaleźli kilka takich punktów na Morzu Białem, ale... w posiadaniu Norwegji.

Inne znów pismo, niemniej źle widziane, gdy zabiera głos w wewnętrznych sprawach rosyjskich, drze szaty nad „potulnością" Rosji wobec Chin, chwiejnością jej polityki mongolskiej i mandżurskiej. Jeszcze inne radzi dyplomacji petersburskiej wejrzeć w sprawy armeńskie i wymóc na Turcji reformy etc., etc...

Zdawałoby się, że dla nikogo, a więc i dla liberałów rosyjskich tajemnicą być nie może, iż ekspansja terytorjalna państwa jest — w danym wypadku szczególniej—główną podstawą reakcji. Ekspansja ta, niedostatecznie usprawiedliwiona potrzebą nowych rynków handlowych (gdyż przemysł rosyjski dotąd jeszcze ani w części nie wyzyskał posiadanych zdawna obszarów), stanowi w pierwszym rzędzie klapę bezpieczeństwa przeciw rzekomej „nadprodukcji" inteligiencji. Do coraz nowych, coraz dalszych kresów państwa eksportuje się pozorny nadmiar inteligiencji pod postacią urzędników; a jednocześnie ogałaca się Rosję rdzenną z elementów, dla postępu niezbędnych; z żywiołu, który gdyby musiał produkcyjnie pracować, a nie żyć kosztem skarbu *(respective* „inorodców") niezadługo stałby się samorzutnie dźwignią koniecznych reform.

A jednak—jak widzimy—liberalna prasa rosyjska ekspansję ową popiera i wogóle z zagraniczną polityką biurokracji najczęściej się solidaryzuje.

Najbardziej wszakże charakterystyczną jest ta okoliczność, że z tej solidarności i poparcia biurokracja najczęściej nic sobie prawie nie robi, a będąc skrępowana rozmaitemi motywami stosunków międzypaństwowych, w zaborczych swych apetytach nie posuwa się tak daleko, jakby tego chcieli „wewnętrzni wrogowie" państwa. To też nieraz ci ostatni okazują się *plus catholiques que le pape* i w rezultacie otrzymujemy takie wrażenie, jakby im właśnie o to tylko chodziło: jakby pragnęli dać dowód swej prawomyślności, swego patryjotyzmu państwowego, mimo opozycyjności względem ustroju wewnętrznego.

Jeśli pobudki istotnie są takie—to niewiadomo, dla kogo się gra tę komedję:

Dla mas, demagogją nacjonalistyczną bałamuconych?

Może.

Nim się jednak masy owe dadzą przekonać, biurokracja wyzyskuje głosy liberalne dla własnych widoków. Choć je bowiem w domu lekceważy, przedstawia zagranicy jako wyraz opinji publicznej.

Europa zaś nie wie, że jest to opinja, której można usta każdej chwili zamknąć; opinja, która ma głos tylko wówczas, kiedy idzie o armeńczyków, bułgarów, serbów, Mandżurję, Mongolję etc., ale której wolno, gdy chodzi o rosjan i Rosję, jedynie *małczat', nie razsużdat'*.

B. Hertz.

Z V-ej serji.

Jak cicha, polska anielica szara...

Jak cicha, polska anielica szara,
Gdzieś po zamglonej, smutnej naszej łące,
Roniąc łzy bólu tułacze, gorące,
Idzie ma dusza, szopenowa mara...

Jak żóraw szary, z krwawą w sercu raną,
Gdzieś naszym łzawym, podlaskim zagonem
Idąc, skrzydliskiem powłóczy zbarczonem
Po roli, co jest tak przez nią kochaną,

Co przed nią polnych ros skarży się mową
Na straszną, krwawą lat długich udrękę...
Ma dusza wzajem zwierza jej swą mękę,
A nasz wiatr polny przywtarza echowo...

Wacław Wolski.

Omegna.

Bliskie a nieznane.

„Czerwony Kogut" — Nowele litewskie w tłómaczeniu Kazimierza Puidy. Z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1913.

Zdarza się tak, iż mieszkaniec krainy, w której się urodził i wzrósł, spostrzega nagle, przy-

padkiem, żyłę nieznanego mu dotąd kruszcu śród skał, że tryska z głębin tej ziemi rodzinnej, nowe źródło zasilające jej płody, a ożywiające atmosferę, że słowem w ojczyźnie swej widzi z radosnem wzruszeniem nowe bogactwo, obietnicę jej rozwoju i chwały.

Z takiem uczuciem niewątpliwie powita polskie społeczeństwo książkę nową pod każdym względem—nowele autorów litewskich, przez nich samych tłómaczone i wydane po polsku — pierwszą wiązankę beletrystycznej literatury, którą nam pod sąd krytyczny poddaje młoda Litwa.

Stoimy bowiem wobec faktu, że spółrzędnie z nami rośnie i rozwija się zbiorowa umysłowość i koncepcje o wspólnie nas obchodzących i znanych przedmiotach, wyłania się ze wspólnego rodzinnego gruntu kultura, zamknięta odrębnością językową, a często odgradzająca się niechęcią tak szczelnie, że pojęcie o niej mamy dotąd bardzo słabe.

Prócz bowiem tomiku nowel tłómaczonych ongiś przez p. Herbaczewskiego do „Taniej bibl. dla wszystkich", nie mamy niczego, coby nas objaśniało, jak złączony z nami tylu węzłami naród pojmuje życie obyczajowe i jak się ono w jego artystycznem ujęciu przedstawia.

A przecież nie może być obcem to, co się dzieje koło nas—śród nas.

Nie może poza nawiasem umysłowości polskiej na Litwie pozostawać dorobek literacki litwinów tem bardziej, że dla krytyków i czytelników z innych dzielnic, będziemy jedynymi kompetentnymi informatorami i sędziami utworów, z natury rzeczy silnie zabarwionych kolorytem miejscowym.

Tem przychylniej witamy ów tomik otwierający nam widokręgi jeśli nie nowe, bo wszak traktują o ludziach, kraju i sprawach znanych, to w każdym razie oglądane przez inny pryzmat, czy z innego punktu widzenia.

To bodaj jest najciekawszą stroną nowel t. p. „Czerwony kogut". Dotąd wszak mieliśmy niejedną opowieść o ludzie tutejszym, niejedno świetne studjum Orzeszkowej, Rodziewiczówny, ostatnio typy Weyssenhoffa dawały nam obraz wsi widzianej bezpośrednio zapewne, ale przygodnie — dziś wchodzimy w życie wieśniacze wprowadzeni przez tych, co z niego sami wyszli.

Szlachta polska pisała o litewskich chłopach, o litewskiej wsi i krajobrazie—dziś możemy mieć pojęcie jak się litwinowi, który wyszedł z łona ludu, przedstawiają te same sprawy, ludzie i zdarzenia.

Szczęśliwą myśl miał inicjator i tłómacz p. Puida, prosząc p. Józefa Weyssenhoffa o słowo wstępne, wprowadzenie nieznanych autorów przed forum publiczności polskiej.

Któż lepiej jak autor *„Sobola i Panny"* oraz *„Unji"*, mógł zrozumieć i bestronnie ocenić próbę litewskiej beletrystyki?

Któż jak nie znawca doskonały kraju, miłośnik tego ludu, który mu się widzi „spokojny, poetyczny i zabobonny", któż jak nie wirtuoz polskiej mowy zabarwionej miejscowemi gwarami i wyrażeniami mógł pisać o pierwszych nowelach litewskich?

To też przedmowa jest w swoim rodzaju doskonałem studjum literackiem i psychologicznem w stosunku do następujących po niej utworów.

Widnieje w niej to, co każdego polskiego czytelnika uderzy w czytaniu nowel—różnica pojęcia naszego o litwinach i ich własne o sobie mniemanie.

Obraz wsi, jaki nam dają autorzy litewscy, jest o wiele bardziej ponury i pesymistyczny niż można się było spodziewać, znając lud ten żyjący na żyznej ziemi, pracowity, oszczędny i rządny, a wzmacniający wciąż swój dorobek materjalny i oświatę w rodowitym prowadzoną jezyku.

Czy to w *„Czerwonym kogucie"* przedstawiającym losy poniewieranego parobka, czy w *„Janie Wingisie"* i *„Jak liść jesienny"* opisujących dolę wyzyskiwanych, brutalizowanych kobiet, czy w *„Gościach"* i *„Krzywdzie"*, mających jako temat zdrady żon doprowadzające mężów do rozpaczy i zbrodni — czy w *„Homo sapiens"*, malującem nędzę wiejskiego dziecka lub *„Człowieku czy nie widziałeś?"* gdzie tragiczny wiew mistycznego fanatyzmu łączy się z fantazją i marzeniem poetyckiem na tle wierzeń ludowych — wszędzie wyczuwać się daje nietylko jakiś ponury podkład smętku i przygnębienia ale i beznadziejności. I ten ton, ten charakter utworów litewskich jest czemś zastanawiającem, poniekąd niespodzianem i obcem.

Żyjąc na tej samej ukochanej ziemi wiemy wszak, czem ona karmi głód naszej duszy, nietylko ciała, i jakie podtrzymuje przeciw wszystkiemu nadzieje rozjaśniające mroki rzeczywistości.

Stosunki wiejskie opisywane przez pp. Żemaité Vaideluté, Puidę, Peledę i Raganę i B—nes znamy wszyscy, z ludem tym spółżyjemy wszakże, w opowiadaniach zaś tych wydają się nam znajome oblicze poniekąd obce: surowsze, dziksze z piętnem jakiejś ponurości importowanej, obcego charakteru.

Jest w tem jakiś „styl" wschodnio-północny— wpływ nieunikniony szkół i literatury rosyjskiej, która przystępniejsza językowo, a może i pojęciowo, jako wielokrotnie również z łona ludu powstała, wstrząsająca swym tragicznym pesymizmem, wycisnęła na autorach litewskich piętno charakterystyczne, ujmując im przez to oryginalności.

Czytając bowiem te nowele ma się niejednokrotnie wrażenie, że się ma w ręku tłumaczenie nowel rosyjskich, tak podobne jest ujęcie przedmiotu i tak wspólny ton ciągłej krzywdy każdego przez każdego.

Czy nie należałoby zwrócić uwagę krytyki litewskiej na ten objaw mogący spaczyć narodowy charakter literatury?

Dla narodu odradzającego się z całą impulsywnością obudzonego patrjotyzmu, wżycie się we własne społeczeństwo jaknajszersze, jaknajbardziej wolne od wszelkich obcych wpływów, dało by dopiero obraz jego właściwego życia i duszy, pozwoliło zajrzeć w ten świat wyłaniający się z mroków ku światłu kultury, jak tajemne źródło szemrzące długo w głębiach ziemi, co się nagle na świat jasny wydrze.

Nie będziemy się rozpisywali długo o treści nowel—są one przeważnie ze świata biedy i niedoli; najbardziej artystycznie opracowane są Puidy „Człowieku czy nie widziałeś?" i Vaidelute „Jak liść jesienny".

K. Raczkowski daje nam poetyczną legiendę „Girnikas--Paszakarnis"--a Ragany „Przerwana idylla" (jedyna wprowadzająca nas w świat dworu

i stosunków „wyższych sfer") jest podobną z treści i ujęcia do „Dwuch biegunów" Orzeszkowej.

Należy się serdeczna wdzięczność p. Puidzie za zapoznanie polskiego społeczeństwa z utworami młodej Litwy — przekład jeżeli chwilami razi swą chropowatością i brakiem wyrobienia, nie powinien zrażać, zachowuje wzamian charakter i styl, który by może doskonalszy tłómacz spaczył lub zatarł, przytem pierwsza to książka autorów litewskich po polsku, dla polaków wydana — witać ją winniśmy z uwagą i uznaniem.

Hel. Rom. Och.

Wszystkim przyjaciołom naszego pisma, spółpracownikom i czytelnikom, wszystkim tym, którzy czynem i myślą dążą do lepszego jutra — życzymy, by rok nowy był bardziej pomyślnym w ich zamierzeniach i ziścił chociaż w części wspólne nasze nadzieje i pragnienia.

Czyn obywatelski.

Poniewież.

Pisma wileńskie codzienne podały już mniej więcej szczegółowe sprawozdania z otwarcia międzynarodowego teatru w Poniewieżu, wybudowanego przez p. Stanisława Montwiłła. Pomijamy więc takowe, a tylko pragniemy zastanowić się tu jeszcze nad stroną idejową tego, bądź co bądź, doniosłego czynu.

Wzniesienie bowiem teatru na użytek wszystkich narodowości kraj nasz zamieszkujących, nie miało na celu zabawy jedynie: inicjator pragnął przedewszystkiem stworzyć pewną placówkę społeczną, na której wszyscy z sobą spotykać by się mogli.

Teatr został oddany wszystkim grupom narodowościowym na prawach jednakowych, z tem zastrzeżeniem, uczynionem przez twórcę przy jego otwarciu, że kto je naruszy i w ten zespół dobrowolny wniesie rozdźwięk, lub spór, o przodownictwo, o hegiemonję, lub coś podobnego, ten na zawsze z niego wykluczonym zostanie.

Próby wzajemnego poznania się i zbliżenia z sobą były wprawdzie ze strony polskiej czynione i dawniej, niestety jednak urywały się rychło. Z jakich przyczyn tak się stało, przesądzać dziś trudno. Może winą naszą był zbyt szczery głos, może czyjaś dobra, ale nieufna wola, a może i zewnętrzne próby, zewnętrzne wpływy kogoś trzeciego postępującego konsenkwentnie w myśl zasady „divide et impera".

A tymczasem z biegiem lat narastały i mnożyły się wewnętrzne potrzeby, kulturalne i społeczne, co raz to większe, coraz donioślejsze—potrzeby konieczne, życiowe, które wyrzucała mimowoli na wierzch reakcja, jaka zapanowała u nas od pewnego czasu w polityce rządowej.

Bo pomime tego, a może i dla tego właśnie rosły one, wzmagały się i dojrzewały z dniem każdym, nie dozwalając zacieśnić uzdy na sumieniu narodowem, a w końcu wywołały pragnienie zbliżenia się pewnych grup narodowościowych, wymęczonych i rozgoryczonych tą ustawiczną waśnią. Zbliżenie się i porozumienie, ujęto w pewien całokształt, jeżeli nie zgody, to choćby wzajemnego poszanowania i znośniejszego spółżycia.

Nie chodzi tu o przodownictwo nasze śród innych narodów tutejszych ani o narzucanie kultury naszej, jaka tylko nam samym jest potrzebną i drogą—indywidualność narodową ceniąc, uszanować też umiemy i u innych narodów, a przedewszystkiem uznać ten budzący się ruch litewskiego uświadomienia. Chodzi nam ostatecznie tylko o poszanowanie wzajemne, jak się wyraziłem wyżej i o możliwość spokojnego spółżycia, na ziemi wspólnej — bez językowych i narodowościowych walk. A jeżeli i w dalszym ciągu mamy spór toczyć z sobą, walczmy otwarcie, ale nie skrycie, ale nie z poza płotu—jak bywało dotąd. I otóż właśnie abyśmy się lepiej poznali z sobą i mogli się wypowiedzieć wzajemnie, bez uciekania się do pokątnej akcji, na fundamentach tych naszych pożądań i dojrzewających potrzeb, zbudowana została wspólna kulturalna placówka.

Jak się będzie ona rozwijała, przesądzać tego jeszcze nie możemy, tylko o ile ona była potrzebną, daje to dziś obraz dnia tego, kiedy ona otwartą została, daje to zainteresowanie powszechne, to uznanie ogólne wszystkich tych narodowości, które w ów dzień tam się zebrały.

I właśnie patrząc na zapełnione szeregi krzeseł w sali teatru i słysząc grę i muzykę i śpiew, pomimo woli wnikało się w głąb duszy tych szeregów. zebranych na ucztę duchowną, wspólną.

Ton ten nadawał charakter każdej grupie etnicznej. Chór polski choć krótki był wzniosły i uroczysty. Przedstawienie skończyło się wdzięcznym krakowiakiem i dziarskim mazurem. Choralny śpiew litewski płynął pełen rzewności i tych smętnych wiewów z niw i pól ojczystych, które szły w głąb duszy człowieka. Dysonansem pewnym dźwięczał jeno egzotyczny śpiew rosyjski, w którym brzmiała nuta beznadziejności. Mimo to było jakoś dobrze i pogodnie. I zapomniało się o wszystkiem: co złe, co wrogie i smutne...

Był to wieczór dnia idejowego, gdzie wszyscy podali ręce sobie do uścisku.

Był to wieczór dnia, którego jutrzejszy szary świt być może wzejdzie mniej wesoło i ręce te się cofną i rozejdą.

Ale miało się choć złudzenie...

. . . .

Nie łudzimy się wcale, nie stawiamy horoskopów optymistycznych—zaznaczamy tylko objaw chwili obecnej.

W tem środowisku pełnem nastroju, to tak jak w orkiestrze, każdy ton stanowi oddzielny dźwięk i tylko w zharmonizowaniu tych dźwięków tworzy się melodja.

A nim to nastąpi, społeczeństwo rozbite na grupy i obozy będzie w dalszym ciągu zwalczać się wzajem. Jest to objaw zwykły u jednych, u których dusza narodowa jeszcze się tworzy, przechodząc drogę przemian, lub będąc, jak u drugich, pomimo wysokiej kultury własnej przyczynami historycznemi rozbita, a pragnąc jednak żyć, niemoże się pogodzić z szeregiem własnych przeszkód i zapomnieć tych narodowych ideałów, które

przyświecają jej z przeszłości. Zanim, w następstwie czasu z sobą się zespolą...

Niemałym i znaczącym objawem były telegramy z rozmaitych stron przysłane w dzień otwarcia teatru, zredagowane w języku polskim, litewskim, rosyjskim, niemieckim i w łacińskim, z pomiędzy których wyróżniły się pełne serdecznych wyrazów depesze litewskie. W nich odczuć było można, że już wszystkim dokuczyła waśń i gorycz bezustannie rozrabiana śród nas przez żywioły niespokojne a krótkowzroczne.

To też zachęciły i pobudziły nas one w dalszym ciągu do pokojowej akcji, choć chmury niechęci litewskiej, względem polskości, zaściełają widnokrąg. Stajemy do niej w tem przeświadczeniu, że nietylko na terenie zabawy wspólnej, ale i w życiu, w pracy codziennej obok siebie możemy iść naprzód zgodnie i w porozumieniu.

Stefan Okulicz.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ogólna i niekłamana sympatja, towarzysząca otwarciu mego teatru w Poniewieżu, pod godłem zgodnej, kulturalnej pracy wszystkich mieszkańców naszego kraju, przekonywa mnie raz jeszcze, iż znaczna część społeczeństwa wbrew waśniom narodowościowym, odczuwa potrzebę wspólnego porozumienia na drodze rozwoju kulturalnego.

Dążąc do tego celu zwracam się do Redakcji wszystkich pism wileńskich z prośbą o współdziałanie w sposób następujący: 1) niezamieszczanie żadnych drażniących i niesprawdzonych wiadomości i artykułów, 2) wymaganie od autorów artykułów, w razie zakwestjonowania faktów, aby występowali otwarcie nie skrywając się pod pseudonimami i 3) wskazywanie ludzi zaufania wszelkiej narodowości i z rozmaitych miejsc kraju, którzy podjęliby się sprawdzenia faktów i prostowania wiadomości podanych przez ich współziomków.

Cieszę się nadzieją, że Sz. Redakcja w imię prawdy uwzględni moją prośbę.

Z najgłębszym szacunkiem

Stanisław Montwiłł.

Z Traszkun 16|XII 1913.

Kronika ważniejszych wypadków politycznych w r. 1913.

Wojna bałkańska.

Na konferencji pokojowej w Londynie odroczyli obrady delegaci pokojowi związkowych państw bałkańskich na czas nieograniczony dnia 6-go stycznia, gdyż Turcja nie udzieliła im zadawalającej odpowiedzi na ich ultimatum.

Książe Konstanty dnia 17 stycznia zamianowany został głównodowodzącym armji greckiej w Macedonji i Epirze.

Z Konstantynopola nadeszła 22 stycznia wiadomość, że Turcja chce zawrzeć pokój i zrzec się Adrjanopola.

W Konstantynopolu 23 stycznia młodoturcy w. wezyra Kiamila paszę zmusili do ustąpienia. W miejsce jego zamianował sułtan wielkim wezyrem Machmuta Szefketa paszę.

Bułgarzy rozpoczęli 3 lutego ostrzeliwanie Adrjanopola.

Króla Jerzego greckiego zamordował w Salonikach dnia 18 marca pewien obłąkaniec, gdy król znajdował się na przechadzce.

Król Konstanty grecki dnia 21 marca składa przysięgę na konstytucję.

Austrja, Rosja i Włochy żądają 23 marca zaprzestania ostrzeliwania miasta Skodaru przez czarnogórców.

Bułgarzy zdobywają 27 marca Adrjanopol.

Z Cetynji nadchodzi 23 kwietnia wiadomość, że Skodar poddał się czarnogórcom.

Król Nikita donosi 5 maja mocarstwom, że gotów jest wydać im Skodar.

W Londynie podpisano 30 maja preliminarz pokojowy pomiędzy Turcją i zjednoczonemi państwami bałkańskiemi.

Dnia 3 lipca rozpoczyna się trzecia wojna bałkańska. Grecy zajmują Nigritę; bułgarzy zdobywają Gowgeli.

Dnia 4 lipca wygrywają grecy bitwę pod Kilkisz. Serbowie zdobywają Koczanę. Bułgarzy wdzierają się do Serbji pod Zajcar i Timok.

Bułgarja dnia 21 lipca przyjmuje warunki pokojowe Rumunji.

Wojska Tureckie bez oporu zajmują 22 lipca Adrjanopol.

W Bukareszcie rozpoczynają się układy pokojowe pomiędzy Bułgarją a Rumunją, Grecją, Serbją i Czarnogórą.

Dnia 10 sierpnia podpisano pokój w Bukareszcie.

Z wyprawy serbskiej przeciw albańczykom donoszą 28 września, że albańczycy pobici zostali na wszystkich punktach.

Książki nadesłane do Redakcji.

Słoński Edward. *Miłość.* Warszawa 1914.

J. M. Bystram *Lirykon.* Kraków. Anczyc i S-ka 1913.

Kutrzeba Stanisław. *Historja ustroju Polski w zarysie.* T. II. Litwa. Lwów 1914. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Gomulicki Wiktor. *Opowiadania o starej Warszawie.* Wydanie nowe, poprawione, rozszerzone i ozdobione ilustracjami. T. 1 i II. Warszawa 1913. Nakład i druk zakł. graf. Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-ka.

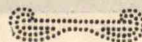
Poe Edgar Allan. *Opowieści nadzwyczajne.* Przekład i słowo wstępne Bolesława Leśmiana. Muzy. Bibljoteka literacko-artystyczna pod redakcją Jana Lorentowicza. Warszawa. Nakład i druk zakł. graf. S. Orgelbranda S-ów.

Kalendarz Kijowski na 1914 rok. Rocznik poświęcony wystawie przemysłowo-rolniczej w Kijowie w 1913 roku. Nakład księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie.

Kalendarz Wileński Informacyjny na rok 1914. Wydawnictwo księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

Treść numeru.

Adwokaci. — L. A.
Początek końca. — Wi—ski.
Ukochanie ziemi. — Obserwator.
Z Francji i o Francji. — St. Posner.
Wygodna „opinja publiczna". — B. Hertz.
Jak cicha, polska anielica szara... — W. Wolski.
Bliskie a nieznane. — Hel. Rom. Och.
Czyn obywatelski. — St. Okulicz.
List do redakcji. — St. Montwiłł.
Odcinek: „Ognisko domowe". — M. K. Pawlikowski.



Wydawca **Witold Abramowicz.** Druk „ZNICZ" Wilno. Redaktor odpowiedzialny **Zofja Ostachiewiczowa.**